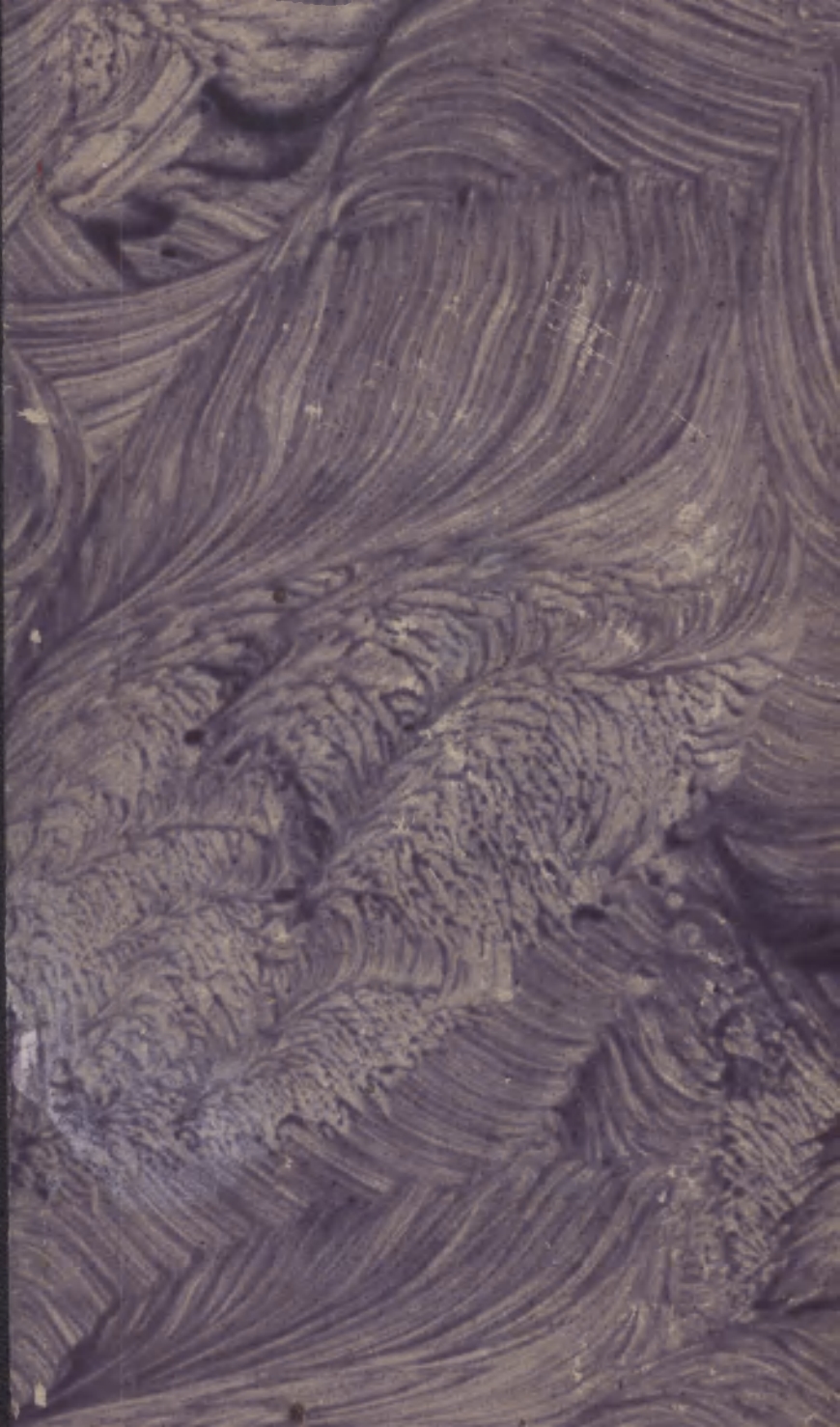

Zwrot
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ
1/98

Płyniesz, Olzo, po dolinie,
Płyniesz jak przed laty;
Takie same na twym brzegu
Kwitną wiosną kwiaty.

JAN KUBISZ

24. 1. 1848
26. 3. 1929

Andrzej Kubisz z żoną i wnuczkami przy grobie swego ojca Jana Kubisza na cmentarzu w Gnojniku

TACY BYLIŚMY

Budynek jednej z ośmiu filii Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Orłowej, której dyrektorem w latach trzydziestych był Józef Machnik.

Zdjęcie nadesłał Leopold Niemiec z Katowic. Właścicielką jest Jadwiga Machnik Sowińska.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 578 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

1/98

CZ III 6/1998

CZ 3166

W NUMERZE

[2]	Bieguny życia (wiersz)	WŁADYSŁAW MŁYNEK
[4]	Wspomnienie o Janie Kubiszu	C.R.
[6]	POŻEGNANIA Władysław Młynek Józef Kazik Emilia Michalska	
[10]	Formy i perspektywy współpracy mniejszości	FRANCISZKA CHOCHOLÁČ
[15]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (13)	ALOJZY NOWOK
[21]	Żywot śladem ryb pisany	JERZY OSZELDA
[24]	Moje dorastanie do dojrzałości (1)	BOLESŁAW ORSZULIK
[29]	Jesienna rozmowa w teatrze z Rudolfem Molińskim	CZESŁAWA RUDNIK
[34]	„Przejazdem" w Teatrze Cieszyńskim	E.S.
[36]	KRESY '97	E.S.
[38]	Poezja Jana Kubisza	
[40]	Jan Kubisz – Pamiętnik starego nauczyciela (fragment)	
[42]	Konkursy	
[44]	Renata Putzlacher – Moje fascynacje	
[47]	Echo wydarzeń muzycznych	
[53]	Trybuna czytelników	
[59]	Kronika	
[73]	Mozaika	
[78]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 19. 12. 1997

Na okładce: przy grobie Jana Kubisza w Gnojniku jego syn Andrzej z małżonką i wnuczkami.

D 316/02
18,00

BIEGUNY ŻYCIA

Są tylko dwa bieguny
życie i śmierć
tak jak jasność południa
obramowana zenitem
i ciemność północy
z oszronionymi krzyżami zorzy

chcę tylko pełni
lub pełni śmierci
nic pomiędzy tym
co może być wahadłem
myślą okaleczoną
płaczem ptaka nad ucieczką ziemi

chcę gnieść w garści grudę
tej ziemi
wyciść z niej gorycz i miód
albo tę garść martwą
oddać jej w ofierze

ryłem w niej
latałem nad nią
chodziłem po niej
a ona była we mnie
jako krew matczyna
ona nuciła kołysanki
a ja je śpiewałem
ona wymyślała wiersze
a ja je pisałem
i nie wiem tylko
dlaczego tak wcześnie
dzwoniły mi wrzosy

książko mych gór
zamknęłaś ostatnią kartę
jedną jedyną skibą

i nie stawiajcie
proszę
wykrzyknika
bo życie samo za siebie
krzyczało

w cieple butwienia
kiełkuje dąb
który ma rękami swych korzeni
uchwycić kawał ziemi
bo nikt jej nie ukradł
i nie splugawił

nie mówcie mu
że są ranki i noce
z płaczem dnia
wieczorami żalu
że są pioruny i grad
że są ostrza toporów

życie można rwać kawałkami
obcęgami ust
szarpać kopniakami jęzorów
boleśniej
niż dynamitem

życie można ciąć
i naciągać
jak łuk spadającej gwiazdy
na którym cięciwa myśli
drga niecierpliwie

nie ma żadnego rozdroża
jest kierunek po prostej
czasami pochyłej
czasami stromej
bez przewróconej ze zmęczenia
ósemki

są tylko dwa bieguny
początek i koniec
a między tymi iskierka
pędząca po drucie nadziei

WSPOMNIENIE O JANIE KUBISZU

Jan Kubisz urodził się 24 stycznia 1848 roku. W tym miesiącu mija 150. rocznica jego urodzin. Nie ma chyba na Zaolziu Polaka, który nie słyszałby o Janie Kubiszu, autorze pieśni „Płyniesz, Olzo", hymnu „Ojcowski dom", książki „Pamiętnik starego nauczyciela".

Życiorys Jana Kubisza można zamknąć w kilku zdaniach. Urodził się w Końskiej. Po skończeniu miejscowej szkoły rozpoczął naukę w niemieckim gimnazjum w Cieszynie, gdzie *omal nie uległ poniemczeniu.* Po czterech latach wrócił do rodzinnej wioski. Następnie zapisał się do zakładu kształcenia nauczycieli ludowych, które ukończył po dwu latach. Objął posadę nauczyciela w Gnojniku i tam już pozostał. Zmarł 26 marca 1929 roku w Gnojniku, został pochowany na tamtejszym cmentarzu.

Ale Jan Kubisz był nie tylko nauczycielem. Chętnie sięgał po pióro, z łatwością przychodziło mu rymowanie wierszy okolicznościowych, a pod koniec życia spisał swe dzieje w pamiętniku.

Paweł Musioł w portrecie literackim Jana Kubisza napisał:

Dorobek śląskiego poety przedstawia się bardzo nikło, jeśli idzie o ilość: „Z niwy śląskiej" (1902) i „Pamiętnik starego nauczyciela" (1928), jeśli zaś o jakość, trzeba przystąpić do jego oceny, mając ciągle na myśli ogół warunków, nieprzyjaznych rozwojowi talentu poetyckiego. Małe stosunkowo wykształcenie, praca nauczycielska na wsi, brak środowiska z odpowiednią atmosferą literacką, wreszcie wyłączne oddanie swego talentu w służbę chwili dziejowej małego odcinka ziemi polskiej – oto w ogólnych zarysach wszystko, co każe nam być wyrozumiałym w stosunku do artystycznych walorów poezji Kubisza. Że zaś poetą był z bożej łaski, predestynowanym z racji ustroju psychicznego na niepośledniego twórcę, świadczą te pierwiastki, błyszczące na kształt złotych żył w skromnej spuściźnie pisarza, które znamionują prawdziwych poetów: miłość człowieka i prawdy, mówiąc najogólniej...

Jednak nie same walory artystyczne utworów Kubisza stanowią o ich wartości i znaczeniu. Wiersze, a przede wszystkim proza są dokumentem epoki, a co najważniejsze i stale aktualne, wielką lekcją patriotyzmu.

Franciszek Popiołek ocenił „Pamiętnik starego nauczyciela" następującymi słowami:

Pamiętnik ten to karta z dziejów Śląska Cieszyńskiego, spisana przez naocznego, wiarygodnego świadka, to nadzwyczaj cenny przyczynek do historii odrodzenia narodowego tego kraju, podany potomności przez uczestnika czynnego wszystkich najważniejszych

wypadków w życiu narodowym Śląska, który, jeśli nawet w niektórych z nich nie brał bezpośredniego udziału, to jednak wszystkie odczuwał gorącym sercem. (...) Toteż czyta się pamiętnik, ten wylew serca natchnionego gorącym umiłowaniem Ojczyzny, Polski, z przejęciem, a bez przeczytania go i przestudiowania nie można pisać historii ruchu narodowego polskiego na Śląsku Cieszyńskim, bo te przeżycia autora to przeżycia wszystkich prawdziwych Polaków śląskich, Polaków nie tylko z urodzenia i języka, ale z przekonania głębokiego i przywiązania do narodu.

„Pamiętnik starego nauczyciela" z podtytułem „Garść wspomnień z życia śląskiego w okresie budzącego się ruchu narodowego w byłym Księstwie Cieszyńskim" ukazał się w 1928 roku. 66 lat trwało, nim pojawiło się drugie wydanie. To aż trzy pokolenia mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, które miały utrudniony kontakt z tą pozycją dlatego, że nie było jej wznowień.

O losie pamiętnika pisze Marian Grzegorz Gerlich w posłowiu do drugiego wydania:

Starsze pokolenie otacza go jednak nadal wielkim uznaniem, choć zaczyna dominować raczej postawa sentymentalna. Średnie i młode pokolenie wzrastało już jakby poza tą tak znaczącą dla Zaolzia pozycją. Nieliczne i przypadkowe kontakty z „Pamiętnikiem" Kubisza zubażają proces edukacji, tym samym tożsamość Polaków na Zaolziu. Po drugiej wojnie światowej nieobecność tego dzieła była szczególnie dokuczliwa. Docierano do niego, jak do wielu innych zakazanych dzieł zazwyczaj indywidualnie, bo istniał wykaz lektur obowiązkowych. Każdy poszukiwał na swój sposób drogi do Prawdy, a w czasie tej wędrówki poznawał różne dzieła, nim doszedł do tego, od którego powinien rozpocząć.

„Pamiętnik starego nauczyciela" jest autobiografią Kubisza, ale jest jednocześnie obrazem życia ludu śląskiego od Wiosny Ludów do pierwszych lat okresu międzywojennego, jego obyczajów, sposobu myślenia. Dziś książka ta nabiera nowego znaczenia, staje się w naszej obecnej rzeczywistości, tak samo jak wiersze „Płyniesz, Olzo" czy „Ojcowski dom", przede wszystkim tak potrzebnym podręcznikiem patriotyzmu.

Na ile Jan Kubisz odszedł, a na ile pozostaje? – pyta Władysław Sikora – *Właściwie – w proporcjach wieku jednego i drugiego, i w gęstwie zapamiętanych twarzy – jest to zaledwie szczegół albo epizod; a jednocześnie i mimo wszystko cała epoka z należnym jej klimatem, określone zjawisko dokonujące się bez szczególnego rozgłosu, lecz rzetelnie i z najlepszą wolą w cieniu wielkich deklaracji artystycznych. Przymknięcie do sprawdzonych, bogobojnych, budujących treści narodowych, które tutaj na swego rodzaju rozdrożu śródeuropejskim stanowiły jedyną nadzieję i niejaką pewność siebie.* C.R.

POŻEGNANIE WŁADYSŁAWA MŁYNKA

W sobotę 6 grudnia 1997 po wyjściu z przepełnionego kościoła ewangelickiego w Nawsiu ktoś powiedział: *To nie pogrzeb, to manifestacja polskości.*

Wszyscy, którzy go znali bliżej, a jest takich niemało, powtarzali zdruzgotani: *Nie mogę się z tym pogodzić...*

Wiedzieliśmy o jego chorobie, o jego przez tę chorobę koniecznym usuwaniu się z działalności na niwie społecznej, rezygnacji z wielu ważnych funkcji. Nikt jednak nawet na moment nie pomyślał o tym najgorszym.

Zmarł nagle 1 grudnia 1997 roku. Niewielu z nas mogłoby napisać o sobie to, co on miał pełne prawo napisać:

nic żech tej ziymi
nie zostoł dłużny
bo dóm ji siebie
za to
co óna mi dała...

Władysław Młynek przez całe życie dawał z siebie wszystko na rzecz naszej kultury, poświęcał się ponad granice ludzkich możliwości dla społeczności polskiej żyjącej na Zaolziu. Zasłużony i doceniony licznymi wyróżnieniami i odznaczeniami – obok medalu „Zasłużony dla Kultury Polskiej" uhonorowany został w październiku ubiegłego roku przez prezydenta Rzeczypospolitej Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi.

Urodził się 6 czerwca 1930 roku w Gródku. Ukończył Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie i Gimnazjum Pedagogiczne w Orłowej. Swe wykształcenie uzupełnił w Instytucie Pedagogicznym w Ostrawie. Pracował jako nauczyciel w polskich szkołach w Trzyńcu–Kanadzie, Gnojniku, Ligotce, Na Kamienitym, w Milikowie i Bukowcu. Pracy pedagogicznej poświęcił całe życie zawodowe. W szkołach nie tylko uczył dzieci obowiązkowych przedmiotów, ale po lekcjach uczył je poprzez śpiew umiłowania rodzimej ziemi i kultury. Prowadził wiele zespołów dziecięcych, wśród których na szczególną uwagę zasłużyły trzynieckie „Czantoryjki" i milikowski „Goroliczek".

Władysław Młynek był również dyrygentem chóru, kolejno w Gródku, Ligotce Kameralnej, Śmiłowicach, Jabłonkowie, Górnym Żukowie, Oldrzychowicach. Długie lata poświęcił aktywnej działalności w zespole „Gorol", jak również przy organizacji "Gorolskich Świąt" w Jabłonkowie.

W roku 1997 Władysław Młynek obchodził jubileusz 50–lecia swej pracy literackiej. Spod jego pióra wyszły liczne wiersze, pisane zarówno gwarą, jak i polskim językiem literackim. Na szczególną uwagę zasługuje jego poemat „W starym geplu", który drukowany był na łamach Zwrotu w roku 1995 w ramach Roku Kultury Ludowej.

Był działaczem PZKO od chwili jego założenia. Wiele czasu poświęcił pracy społecznej. Pełnił funkcję prezesa Zarządu Głównego PZKO, był również redaktorem naczelnym Zwrotu.

Nieubłagany los przerzedza nasze szeregi. Niema ludzi niezastąpionych... ale jednak są niepowtarzalni, po odejściu których zostaje olbrzymia pustka.

Władysław Młynek nie pozostawił po sobie ciszy. Jego głos – ten zapisany na papierze i ten w sercach tych, którzy go słyszeli – pozostanie na zawsze.

Drogi Władku, żegnamy Cię z prawdziwym bólem, nadal nie wierząc, że odszedłeś!

F.B.

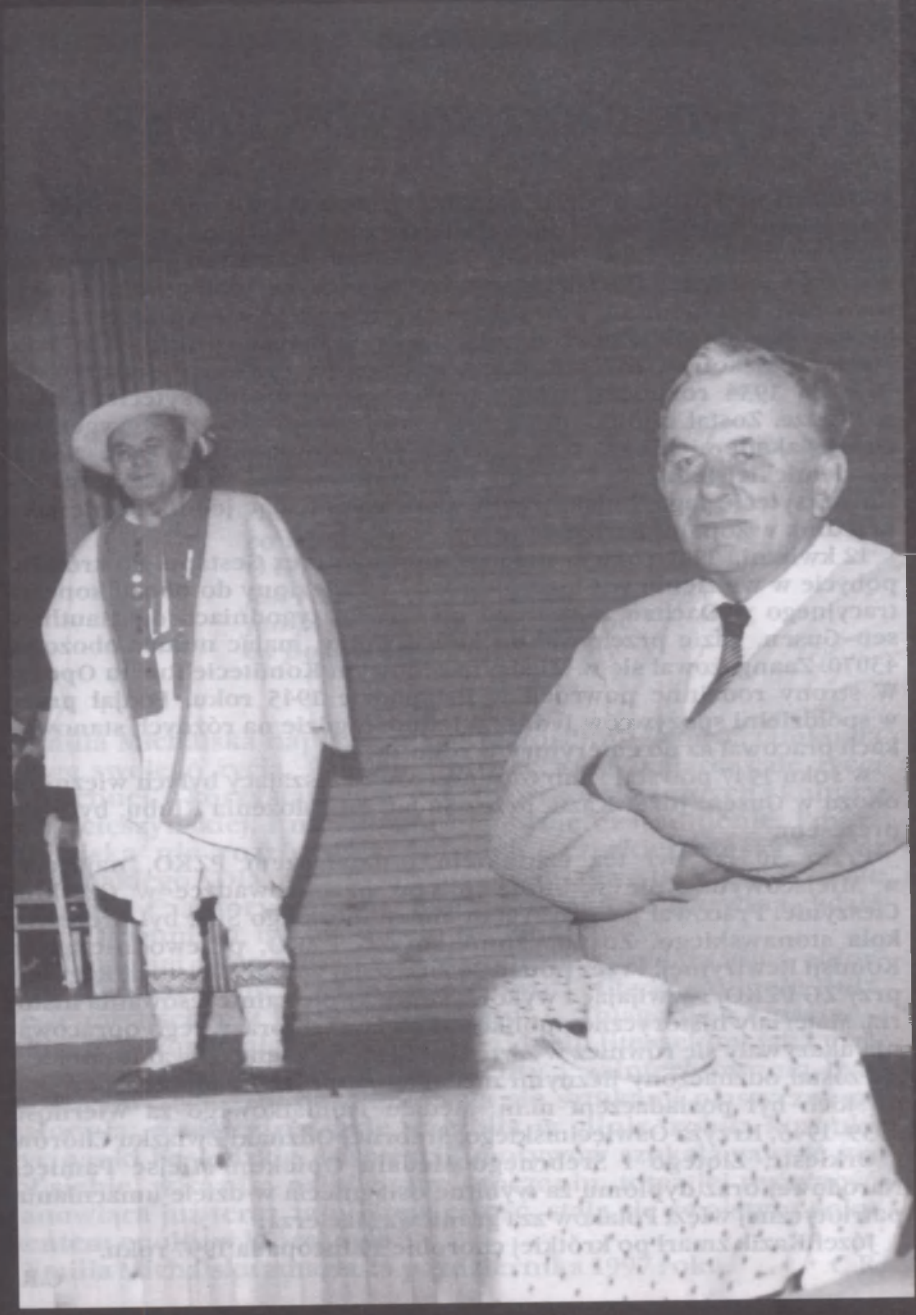

JÓZEF KAZIK (1915 – 1997)

Urodził się 11 stycznia 1915 roku w Stonawie w rodzinie górniczej. Po skończeniu miejscowej szkoły ludowej rozpoczął naukę w Polskim Gimnazjum Realnym w Orłowej. Już w latach szkolnych angażował się w pracy społecznej. Od dzieciństwa kochał muzykę, lubił grać na skrzypcach. Był dyrygentem powstałego w roku 1933 chóru mieszanego Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej w Stonawie, pracował w kole Macierzy Szkolnej, był członkiem miejscowej orkiestry smyczkowej. W roku 1934 rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Karola w Pradze. Został członkiem Ogniska Polskiego w Pradze, dyrygentem chóru akademickiego sekcji praskiej, członkiem zarządu Sekcji Akademickiej Jedność. Od roku 1938 kontynuował studia zaoczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, pracując jednocześnie jako urzędnik w kopalni Barbara.

12 kwietnia 1940 roku został aresztowany przez Gestapo. Po krótkim pobycie w więzieniu w Cieszynie został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau, a stamtąd po sześciu tygodniach do Mauthausen–Gusen, gdzie przebywał do końca wojny, mając numer obozowy 43070. Zaangażował się w Międzynarodowym Komitecie Ruchu Oporu. W strony rodzinne powrócił w listopadzie 1945 roku. Podjął pracę w spółdzielni spożywców Jednota–Jedność, gdzie na różnych stanowiskach pracował aż do emerytury w roku 1972.

W roku 1947 powstał Klub Gusenowców zrzeszający byłych więźniów obozu w Gusen. Józef Kazik przez 50 lat, od założenia Klubu, był jego prezesem.

Przez 50 lat był też członkiem i działaczem PZKO, najpierw w Miejscowym Kole w Stonawie, po przeprowadzce w Czeskim Cieszynie. Pracował jako dyrygent chóru męskiego Siła, był prezesem koła stonawskiego. Został członkiem ZG PZKO, przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Przez ponad 30 lat działał w Sekcji Historii Regionu przy ZG PZKO, rozwijając i wykorzystując swoje zainteresowania historią. Materiały historyczne publikował na łamach prasy. Jego opracowania ukazywały się również w Zwrocie. Za swoje zaangażowanie społeczne został odznaczony licznymi medalami. Oprócz odznaczeń pezetkaowskich był posiadaczem m.in. Medalu Pamiątkowego za Wierność 1939–1945, Krzyża Oświęcimskiego, Srebrnej Odznaki Związku Chórów i Orkiestr, Złotego i Srebrnego Medalu Opiekun Miejsc Pamięci Narodowej oraz dyplomu za wybitne osiągnięcia w dziele umacniania patriotycznej więzi Polaków zza granicy z Macierzą.

Józef Kazik zmarł po krótkiej chorobie 19 listopada 1997 roku.

C.R.

EMILIA MICHALSKA (1906–1997)

MALOWAĆ SŁOWAMI
Jo malować nie umiym,
ale pióru rozumiym,
co widzym, co słyszym,
po swojimu opiszym.
Niczego nie pominym
jeszcze nieco przywinym,
kaj trzeba to pogładzym,
komu trzeba – pokadzym.
Przindzie tako godzina,
kiedy moja rodzina
rada będzie czytała
co ich starka myślała.
O tej zimce, o chlebie
jak rodziła w potrzebie,
jak przez żywot wandrować,
by potym nie lutować.

Emilia Michalska napisała już swoje ostatnie słowo, zamknęła księgę swojego życia. Pamięć o poetce, mieszkającej całe życie w Pruchnej, a korzystającej w swej twórczości z tradycji i kultury ziemi cieszyńskiej, i na Zaolziu ma swoje uzasadnienie. Emilia Michalska nie rozróżniała polskiej i czeskiej części Śląska Cieszyńskiego. Dla niej kraj, gdzie Cieszka stary gród, gdzie Barania z Czantoryją, gdzie Jabłonków, gdzie Karwina, gdzie Odra u Bogumina, był jej krajem rodzinnym.

Domeną jej twórczości stała się poezja – wydała kilka zbiorków: „Zapach ziemi", „Chłopskie słowo", „Chylą się moje dni", „Jesienne liście", „Cieszyńskie kwiaty" i „Zmagania z czasem" – w której posługiwała się zarówno językiem literackim, jak i gwarą, pisała również nowele. Jej talenty i zainteresowania były bardziej wszechstronne, zajmowała się sztukami plastycznymi, malowała, również na szkle, rzeźbiła w glinie, robiła koronki, wycinanki beskidzkie. Inspiracji, motywów szukała zawsze wokół siebie, w swoim najbliższym otoczeniu, toteż jej twórczość, stanowiąca już teraz zamkniętą całość, stała się swoistym dokumentem epoki, w której żyła.

Emilia Michalska zmarła 24 października 1997 roku. C.R.

FORMY I PERSPEKTYWY WSPÓŁPRACY MNIEJSZOŚCI ZE SPOŁECZEŃSTWEM WIĘKSZOŚCIOWYM W ZAKRESIE REPREZENTACJI POLITYCZNEJ

Demokratyczne zmiany polityczne, jakie dokonały się w krajach Europy Środkowej i Wschodniej po 1989 roku, przyniosły również radykalne zmiany w życiu mniejszości narodowych. Równocześnie demokratyczne państwa tego regionu stanęły na progu lat dziewięćdziesiątych przed złożonym problemem „etniczności" rozumianym z jednej strony jako próba budowy czy odbudowy własnego państwa, z drugiej strony – jako stworzenie odpowiednich mechanizmów ochrony praw członków mniejszości narodowych. W okresie ostatnich kilku lat państwa te starały się wprowadzić określone regulacje ochrony praw mniejszości w postaci przyjmowania odpowiednich zapisów konstytucyjnych, ustaw oraz zawarciu dwu – lub wielostronnych układów międzynarodowych, w których znalazły się punkty dotyczące ochrony praw członków mniejszości.

Lata 90. stanowią równocześnie punkt zwrotny w aktywności międzynarodowych organizacji, przede wszystkim Organizacji Narodów Zjednoczonych, Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz Rady Europy. Temat ochrony praw mniejszości przesunął się do centrum uwagi na forum międzynarodowym, do czego przyczyniła się między innymi tragedia w Jugosławii. O tym, jak trudny jest to problem, mówi fakt, że pierwszy prawnie wiążący dokument międzynarodowy poświęcony ochronie mniejszości narodowych nie zawiera definicji pojęcia „mniejszość narodowa", ponieważ państwa członkowskie nie potrafiły wspólnej definicji uzgodnić.

Brak definicji nie może przeczyć temu, że mniejszości są ważnym czynnikiem polityki europejskiej, co powinno znaleźć odbicie w praktyce i wiąże się bezpośrednio z problematyką reprezentacji politycznej mniejszości narodowych w systemie organów państwowych wszystkich szczebli. Utrudnieniem dla mniejszości jest właśnie ich mniejsza liczebność w każdej sytuacji i za tym idące uświadomienie sobie i przyjęcie podstawowej zasady demokracji – prawa wyższej liczby – na podstawie której tworzy się demokratyczne organy władzy. Prowadzi to do szukania form umożliwiających udział mniejszości w działalności organów samorządowych, ustawodawczych, egzekutywy. Polityczna reprezentacja i partycypacja grup etnicznych w organach władzy odczuwane są jako niezmiernie potrzebne, jednak stwierdzić trzeba, że na dzień dzisiejszy nie są ogólnie przyjmowane jako oczywistość.

Zagadnienie dyskryminacji mniejszości, tj. grupy etnicznej nie żyjącej we własnym państwie, jest

historycznym dziedzictwem idei państwa narodowego, gdzie też szukać musimy korzeni tego problemu.

Wiek XIX przyniósł ideę państwa etnicznie, językowo, kulturalnie jednolitego – ideę państwa narodowego. Taki cel przyświecał Rewolucji Francuskiej. Usiłowano stworzyć państwo nie związane z żadnymi tradycjami i nie biorące pod uwagę pochodzenia swych obywateli. Wiadomo dzisiaj, że owo rewolucyjne państwo nie było krajem „jednolitego narodu", jak myślała garstka jego przedstawicieli. Tylko 10% mieszkańców było francuskojęzycznych, zaś większość posługiwała się językami regionalnymi, a niektórzy nawet wręcz obcymi – baskijskim, katalońskim, flandryjskim, niemieckim. Nawiasem mówiąc, odgłosy takiego pojmowania państwa pobrzmiewają we Francji do dziś dnia – nie uznaje ona bowiem na swym terytorium żadnych mniejszości narodowych.

Ten elitarny projekt z czasów Rewolucji, owa wizja „jednolitego narodu francuskiego" stał się wzorem dla nacjonalistów w Europie, zaś na napoleońskim państwie centralizowanym wzorowały się państwa narodowe, a dzisiaj tę tendencję dostrzegamy wyraźnie u „młodych państw", które dążą wszelkimi sposobami do państwa etnicznie czystego. Jednak im bardziej usiłuje państwo zbliżyć się do ideału państwa narodowego, z tym większymi trudnościami się boryka, jako że punktem wyjścia przy budowaniu państwa bywa zazwyczaj pstra mozaika kultur i języków regionalnych.

Bliskim nam przykładem złożoności problemu jest Monarchia Austro-Węgierska. O ile jej jedna część uległa stopniowo hungaryzacji, polityka wewnętrzna innej jej części rozbijała się o zagadnienia niemieckich narodów oraz grup etnicznych. Czesko-niemieckie wyrównanie w Brnie w 1905 roku było tylko jednym z całego szeregu kompromisów, nawiasem mówiąc próbą autonomii personalnej, jednak politycznej integracji narodów słowiańskich, przede wszystkim Czechów, nie udało się do 1918 roku osiągnąć.

Niezależnie od tego patrzymy dzisiaj na Austro-Węgry jako na wzór pokojowego współżycia narodów i grup etnicznych. Ten wielonarodowy kolos dysponował w różnych sytuacjach coraz to nowymi możliwościami kompromisu, w czym znajdujemy podobieństwo do współczesnego rozwiązywania problemów mniejszościowych. Jako przykład przytoczyć można formę autonomii terytorialnej, kiedy to kraje monarchii – „ziemie korony" posiadały jednoznacznie ograniczone terytorium, własny samorząd, tradycyjne instytucje i czasami nawet własne wiedeńskie urzędy centralne. Już wtedy dostrzegano problemy narodowościowe, jak dokumentuje praca Karla Rennera, ale o wnioskach wyciągniętych z obserwacji tych problemów nie prowadziło się, a zresztą w pełnej rozciągłości nie prowadzi się do dziś dnia dyskusji.

Rozpad Monarchii Austro-Węgierskiej w 1919 roku, powstanie całego szeregu samodzielnych państw, stworzyło dla większości grup etnicznych znacznie gorsze

warunki, niż było „monarchistyczne „więzienie narodów". W miejsce ostrożnych posunięć, starających się utrzymać istniejące tradycje przy zachowaniu proporcji, autonomii oraz konstrukcji pewnego samorządu, pojawia się „jednolite państwo narodowe" według wzoru francuskiego. Niektóre większe narody uzyskały wprawdzie własne państwo, ale większość grup etnicznych w wyniku podziałów granicznych pozostała w charakterze mniejszości narodowych w obcych państwach bezbronna przeciwko furorze nacjonalistycznej i praktykom asymilacyjnym stosowanym wobec nich w urzędach nowych państw, bez reszty objętych przez członków narodu większościowego.

W okresie międzywojennym ochrona praw mniejszości nie stanowiła normy prawa międzynarodowego. Doświadczenia tego okresu oraz II wojna światowa odegrały istotną rolę w tworzeniu powojennego systemu praw człowieka, w tym osób należących do mniejszości narodowych.

Wynikiem rozważania nad tym zagadnieniem jest stwierdzenie, że trzeba domagać się uprzywilejowania mniejszości w stosunku do grup społecznych zrzeszających się na innych zasadach. To wiąże się z przyjęciem pojęcia „definicja etniczna". Przyjęcie przez państwo zasady równości etnicznej wszystkich obywateli sprzyja działaniom asymilacyjnym, ponieważ nie tylko nie broni tożsamości mniejszości, ale de facto zmusza mniejszość do przyjęcia znaków etnicznych większości.

Przykładem takiej nietolerancji może być konstytucja bułgarska, która nie zezwala na organizację partii politycznych na zasadzie narodowościowej czy decyzja sądu francuskiego, który określenie „naród korsykański" odrzucił jako niezgodny z konstytucją. Za odrzuceniem dyferencjacji etnicznej opowiada się radykalna filozofia indywidualistyczno-liberalna, ponieważ w jej pojęciu grupy etniczne „z potrzeby naturalnej" są wobec państwa nieprzyjaźnie ustosunkowane i zagrażają jego politycznej stabilności. Na przykład niektóre kręgi w USA mówią o możliwości „bałkanizacji" Stanów właśnie na tle etnicznym.

Prawo do dyferencjacji etnicznej i z tego wynikających stosunków większość - mniejszość stwarza automatycznie pojęcie „prawo większości", co ze sobą może przynieść „tyranię większości". Jednak permanentny proces dyferencjacji nie jest przedmiotem polityki. Problem ten jako „politikum" otwiera się dopiero w momencie dyskusji nad wymaganiem praw mniejszości. I nie formalne, czy materialne, ale dopiero instytucjonalne równouprawnienie daje mniejszościom możliwość brać udział w życiu politycznym swego kraju. To wymaga jednak od większości umiejętności nieustannego rezygnowania z owego magicznego równania demokracji „im więcej głosów, tym więcej mocy" na korzyść mniejszości. Przykładem takiego podejścia może być Szwajcaria, której polityczna i socjalna stabilność opiera się na kulturze politycznej, ale również na systemie, w którym każdy obywatel jest w zmieniającej się konstelacji dzisiaj większością, a jutro mniejszością.

Innym nurtującym teoretyków zagadnieniem jest problem praw indywidualnych i kolektywnych. Obserwujemy, że odrzucanie praw kolektywnych i preferowanie praw indywidualnych charakterystyczne jest dla demokracji liberalnej, natomiast państwa totalitarne przyznają mniejszościom prawa kolektywne (np. autonomiczne republiki sowieckie). Jednak prawa te nie są sobie przeciwstawne jak indywidualizm i kolektywizm, ale się wzajemnie uzupełniają. Wiadomo, że suma praw indywidualnych przedstawia czasami prawo kolektywne.

W dyskusjach powraca nieustannie pojęcie „specjalne prawa mniejszości". Ale czy na przykład prawo do używania języka ojczystego nie jest również przyznane narodowi większościowemu? To „prawo" mniejszości nie stanowi dyskryminacji większości. Prawo do używania języka ojczystego przedstawia skomplikowany problem. Istnieje na przykład niepisana norma, że społeczeństwo w państwie powinno używać jednego języka. Bilingwizm jest zatem „prawem" tylko mniejszości. Na odwrót, dążenie do bilingwizmu obywateli państwowotwórczej narodowości żyjących na terytorium tradycyjnie zamieszkałym przez autochtoniczną mniejszość uważane jest za gwałt językowy i jest niedopuszczalne. Problem używania języka ma jeszcze inny aspekt. Język narodu większościowego jest zazwyczaj identyczny z językiem państwowym, w wyniku czego większość utożsamia się z państwem, co z kolei jest znakiem modelu państwa narodowego. Przy takim rozumowaniu owo „prawo" mniejszości do języka ojczystego jest instrumentem prawnym uniemożliwiającym formowanie się państwa narodowego.

Zagwarantowanie praw indywidualnych stwarza podstawę do autonomii kulturalnej i daje mniejszości przestrzeń, na podstawie czego może się rozwijać, określać w społeczeństwie i reprezentować. Przyznanie praw indywidualnych oznacza zakaz dyskryminacji i nic więcej. Nie zobowiązuje państwa do ochrony mniejszości czy też wspomagania jej rozwoju.

Przyznanie praw kolektywnych jest odrzucane przy użyciu argumentu, że prowadzą one do secesji (tzn. odłączenia terytorium) – stąd ów zakaz nazwy „naród korsykański", co znów bliskie jest definicji państwa narodowego tzn. „naród = państwo". Politycy, którzy w państwie narodowym widzą „koniec historii", czynią tak na konto mniejszości, które chcą podpo-rządkować tej idei.

We wszystkich dyskusjach na dzień dzisiejszy przyjęto zasadę „preferencja nie jest dyskryminacją", zaakceptowano również „dyskryminację pozytywną", która właśnie oznacza nierealizowanie przez większość bez reszty owego podstawowego równania demokracji o stosunku głosów do wła-dzy.

Można więc powiedzieć, że sprawa przyznania mniejszościom określonych praw została rozwiązana w pozytywny dla mniejszości sposób.

(dokończenie w następnym numerze)

FRANCISZKA CHOCHOLÁČ

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (13)
JUTRZENKA WOLNOŚCI

Trzy długie dni nareszcie upłynęły i ja mogłem pójść na moją pierwszą randkę w życiu. Nie poszedłem, bo raczej poleciałem i pięć minut przed czternastą, jak przystało na żołnierza, byłem na umówionym posterunku pod arkadami na rynku cieszyńskim. Jarka przyszła punktualnie. Przyglądnąłem się jej uważnie i z roztkliwieniem. Właściwie to dopiero drugi raz w życiu rozmawiamy ze sobą i tak się mi wydawała droga, bliska i bardzo elegancka. Ja też byłem ubrany w nieźle skrojony u krawca wojskowego nowy galowy mundur chorążego i czułem się dość pewnie.

Podążyliśmy spacerkiem wzdłuż Olzy w kierunku jej trzeciego wodospadu, czyli „trzeciej gaci" w Błogocicach. Kroczyłem obok Jarki w przyzwoitym odstępie, prawiąc jej szczere „dusery".

– Wyśliczniała pani – staram się mizdrzyć po czesku do Jarki – wygląda pani i pachnie jak kwitnąca róża. –

– A ja panu gratuluję tego szczęścia żołnierskiego, wszystkich tych ciekawych i na pewno groźnych przygód, które pan przeżył i są dziś już w przeszłości za panem oraz pięknych kobiet, których jest tak wiele w „Italii – na jihu"! – odwdzięczyła się mi Jarka trochę po czesku i nieco po polsku.

W trakcie wymiany takich grzeczności zawróciliśmy w Błogocicach w kierunku miasta. Jarce śpieszyło się do domu, bo za miesiąc wyjeżdżała z innymi studentami profesora Pogrobińskiego na występy do Krakowa i musiała całymi dniami ćwiczyć na fortepianie.

Po drodze odzywa się Jarka:

– Nie zaszkodzi na pewno, jeżeli się pan dobrze nauczy rozmawiać po czesku. Chętnie będę pana uczyła. –

– Zgadzam się – odpowiadam – a ja będę panią uczył rozmawiać poprawnie po polsku. –

Uzgodniliśmy, że nasze następne spotkania będę na przemian raz czeskie, raz polskie.

Tuż przed dworcem kolejowym natknąłem się na wysiadającego z tramwaju księdza Tomanka, mojego katechetę i przez pewien czas profesora polonistyki i do tego mojego ziomka z Ropicy. Ucieszyłem się ogromnie, że widzę ulubionego profesora. Ogarnął mnie jednak jakiś sztubacki lęk i wstyd przed profesorem. Oto idę w towarzystwie ekscentrycznie pięknej i eleganckiej panny, oto ćmię zakazanego w szkole papierosa i do tego paraduję w mundurze cesarsko-królewskiego chorążego armii austriackiej. Odruchowo rzuciłem papierosa i w roztargnieniu złapałem za czapkę oficerską, aby ją zdjąć i jak dawniej głęboko się ukłonić, lecz w ostatniej chwili poła-

◄ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

pałem się, że trzeba jednak oddać honor jak każda umundurowana po żołniersku istota. Biję więc do dachu, defilując przed moim panem profesorem w towarzystwie Jarki. Odkłonił się z serdecznym, lecz równocześnie podejrzliwym uśmiechem.

W dworcowym foyer pożegnałem się z Jarką. Podała mi dzień następnego przyjazdu do Cieszyna. Odwracam się i widzę znów przed sobą księdza profesora Tomanka. Salutuję powtórnie z wielkim uszanowaniem.

– Witam serdecznie i gratuluję tego szczęścia na froncie, no i tej szarży – podaje mi rękę i ściska mocno mój kochany profesor – słyszałem o tym wszystkim w domu moich rodziców w Ropicy – słyszałem!!! –

– Dziękuję, lecz szczerze mówiąc, to w tym cesarsko-królewskim mundurze i tej szarży nie bardzo się dobrze czuję – odpowiadam z dawną sztubacką tremą.

– Już wkrótce nadejdzie chwila –perswaduje mi profesor – że te cesarsko-królewskie mundury i gwiazdki przefasonujecie na polskie. Wszelkie znaki na ziemi i na niebie wskazują na to, że już w niedalekiej przyszłości paradować będziecie w polskich mundurach, a wasze doświadczenia i kwalifikacje żołnierskie będą na wagę złota! – odpowiada ksiądz profesor.

Chciał się już pożegnać, lecz zapytał jakby mimochodem jeszcze:

– A cóż to za pięknej zjawie towarzyszył pan przed chwilą na dworcu? Przecież to nie Ropiczanka! A może matka wojenna dla przesyłania paczek na front? Czy tak? –

Trochę się znowu stremowałem, więc jąkając się, wyjaśniam kłamliwie:

– Tę panią spotkałem przypadkowo na ulicy i odprowadzałem z grzeczności na dworzec. To jest Janalówna, Czeszka z Gnojnika, gdzie jej ojciec jest kierownikiem stacji kolejowej. Wracała z lekcji muzyki u profesora Pogrobinskiego, tego Rosjanina. Bardzo zdolna pianistka i wyjeżdża wkrótce na występ koncertowy do Krakowa. –

– Nie zapomniał pan chyba, że byłem przez pewien czas pańskim nauczycielem polonistyki – ciągnie dalej ksiądz profesor. – Zawsze wówczas przypisywałem panu szczyptę wrodzonej fantazji. Przypominam sobie na przykład, jak pan z tą fantazją opisał „Śmierć Longina Podbipięty" w wypracowaniu szkolnym z języka polskiego na ten temat i jak czytałem przed całą klasą to pańskie wypracowanie. I pamięta pan na pewno, jak po birbantce w kawiarni Austria po przehulanej nocy z szansonistkami kilku kandydatom groziło niedopuszczenie do matury, a nawet wydalenie ze szkoły? Ledwie ich uratowałem u dyrektora przed tym wydaleniem. I chyba pamięta pan, jak później poleciłem wam wykuć na pamięć cytat „Przeznaczeniem młodości jest nie tylko rozkosz, lecz przede wszystkim heroizm" oraz cytat z Prousta: „Pozostawcie ładne kobiety ludziom bez wyobraźni".

– Tak, pamiętam – odpowiadam – lecz zdaje się mi, że ksiądz profesor nam czytał również kiedyś słowa Schillera: „Des Lebens – Mai blüht nur einmal und nicht wieder!" –

– Co za pamięć?! Co za celna riposta! – zareagował z serdecznym i głośnym śmiechem profesor i pożegnał mnie gorącym uściskiem i pogodnym, życzliwym uśmiechem, gdyż zbliżała się minuta odjazdu jego pociągu. Mógł pewnie pojechać do Ropicy na linii kolejowej Cieszyn – Frydek pociągiem, którym odjechała Jarka. Pozostał jednak te kilka chwil ze mną i odjechał na przystanek Ropica–Baliny na linii kolejowej Bogumin–Koszyce. Niedaleko tego przystanku dudnił we dnie i w nocy młyn rodziców profesora Tomanka. Zdumiałem się trochę nad słowami mego byłego profesora katechety i polonisty.

– Może on chce, abym tak jak on księdzem został? Byłby jednak ze mnie kiepski ksiądz, skoro mi krew kipi, gdy myślę o Jarce.

Idę na kolację do kasyna i pod arkadami na rynku spotykam Józka Pustówkę. Był również instruktorem w jednej z kompanii naszego batalionu.

– Serwus Józek! – wołam do niego – pewnie wracasz z kolacji w kasynie i co tam podali smacznego? –

– Polenta z mąki czy też raczej z otrąb kukurydzianych z jakąś marmoladą i z jakąś cieczą, niby kawą – woła mi.

– To pójdę. Chodź ze mną. Rób mi towarzystwo. –

Opowiadam Józkowi o randce z Jarką i o rozmowie z prof. Tomankiem. Nagle spostrzegamy pod tymi samymi arkadami na przeciwległym końcu olbrzymią sylwetkę brzuchatego frajtra z odznakami jednoroczniaka–podchorążego. Poznaję błyskawicznie, że to mój były profesor matematyki dr Sprecher. Słyszałem już o tym kilkakrotnie od kolegów, że go powołali do wojska i że gdzieś się obija w służbie pomocniczej. Ogarnął mnie w pierwszej chwili paniczny strach. Przypomniałem sobie bowiem, że byłem jednym z najsłabszym z jego uczniów. Wszystkie przedmioty były dla mnie fraszką, tylko ta przeklęta matematyka u dr. Sprechera! Przypomniałem sobie, jak mnie zwykle na początku lekcji wywoływał krzykliwie do tablicy i nieraz się to kończyło dwóją. Wydawało się mi, że znów zmierzy mnie swoim przeszywającym wzrokiem, krzyknie na mnie i obleje. Po krótkiej chwili tych rozmyślań czy nawet obaw zaczynam jednak doznawać bardziej mieszanych uczuć. Zdaję sobie z tego sprawę, że los się teraz odwrócił i że dr Sprecher już nie jest moim, lecz ja mógłbym być jego nauczycielem... musztry. Lecz natychmiast odzywa się moje sumienie:

– Przecież on tylko frajter a ja chorąży! Musiałby mi oddać honor i bić do dachu! Nie wolno mi jednak dopuścić do takiego jego upokorzenia! To byłoby wielkie świństwo z mojej strony! Przecież to mój profesor – może kiepski psycholog – ale świetny matematyk! –

Dr Sprecher zbliżył się na odległość nie większą od trzydziestu

kroków i patrzył w naszą stronę. Już zaczynał się prężyć do salutowania. Pociągnąłem Pustówkę za rękaw i czmychnęliśmy obaj do najbliższej bramy arkad. Dr Sprecher nie poznał mnie wcale i nie domyślając się niczego, skierował swoje kroki na ulicę Stalmacha do domu, w którym mieszkał ze swoją żoną, z zawodu lekarką. Na ścianie frontowej wisiała tabliczka z napisem: Dr Klara Sprecher – lekarz chorób dziecięcych.

Przed kasynem pożegnałem się z Pustówką a po kolacji poszedłem na spacer nad Olzę. Rozmyślałem o rozmowie z prof. Tomankiem i zdawało się mi, że Olza szemrze czy też mruczy do mnie słowami Prousta: „Pozostawcie ładne kobiety ludziom bez wyobraźni". –

Wojna toczy się dalej. Austro-Węgry i Niemcy pobierają do wojska najstarsze i najmłodsze roczniki poborowe. Zabierają nawet niedołęgów fizycznych do pomocniczej służby wojskowej. Rekwirują masowo dzwony kościelne, wyciskają z ludności rolniczej ostatnie zapasy zboża. Organizują alarmowe oddziały rekwizycyjne i żniwiarskie. Młodszy ode mnie o dwa lata brat Józek został również już pobrany do wojska i wysłany do kompanii żniwiarskiej w Małopolsce.

Front rosyjski przestał właściwie istnieć. Zlikwidowała go bolszewicka rewolucja. Po stronie antygermańskich aliantów angażują się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę. Legiony Piłsudskiego faktycznie już nie istnieją, a sam Piłsudski jest wywieziony do Niemiec i internowany w Magdeburgu. Na ustach wszystkich Polaków jest teraz orędownik sprawy polskiej u aliantów nasz sławny i zacny rodak Józef Ignacy Paderewski. A więc wojna się na pewno niedługo skończy zwycięstwem aliantów i zmartwychwstaniem niepodległej Polski. Mówimy o tym codziennie otwarcie i głośno między sobą w trakcie ćwiczeń, w kasynie oficerskim i oczywiście razem z cywilnymi obywatelami Cieszyna przy spacerach pod arkadami i w ogóle na ulicach miasta.

W dniu 1 sierpnia spotkał mnie nowy zaszczyt. Otrzymałem nominację na podporucznika rezerwy i jednocześnie przydział na dowódcę kompanii w batalionie, który wyruszył za kilka dni do północnych Włoch. Nasz batalion znalazł się w uroczej wiosce Ravosa, położonej niedaleko Udine, stolicy północno-włoskiej prowincji Friaul.

W skład mojej kompanii wchodzili sami repatrianci z niewoli rosyjskiej, a więc żołnierze, którzy wrócili do pułku w miesiącach wiosennych, to jest po zawarciu traktatu pokojowego między Rosją a Austro-Niemcami w Brześciu nad Bugiem. Byli to żołnierze różnych narodowości i była to stara, doświadczona wiara żołnierska, prawie same wąsate, brązowe i poorane zmarszczkami twarze. Niejeden z nich miał pięćdziesiątkę na karku. Wyglądałem wśród nich jak synek-młodzik, a nie jak ich dowódca. Podchodziłem do

nich z dużym szacunkiem, łagodnością i pogodą i to mi ułatwiło przeżycie tych ostatni trzech miesięcy tej strasznej wojny. Nie było u mnie ani raz raportu karnego, ani jednej kary dyscyplinarnej.

We wrześniu dołączył do Ravosy ostatni batalion marszowy, w którym znalazł się mój rodzony, o dwa lata młodszy brat Józef. Pobrali go w marcu do wojska, a w pierwszych dniach lipca został wysłany do specjalnego batalionu żniwiarskiego w Ropczycach koło Tarnowa w Małopolsce. Oczywiście chodziło o przyśpieszenie i wykonanie w trybie wojennym wśród chłopów kampanii żniwnej oraz rekwizycji zboża dla wygłodniałych armii frontowych i ludności miejskiej. Brat Józef zdezerterował jednak w sierpniu z Ropczyc do domu do żniw w naszym gospodarstwie, lecz został po kilku dniach przytrzymany i zaraz przydzielony do oddziału przeznaczonego na front włoski. Wyjednałem u dowódcy batalionu, aby Józek został przeniesiony do mojej kompanii, gdzie pełnił zaszczytną funkcję mojego ordynansa osobistego.

Wreszcie runęły wszystkie fronty i zawaliły się trony Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowów. Koniec wojny zastał mnie w uroczej północno-włoskiej, okolonej pięknymi winnicami Ravosie. Po tygodniowej, pełnej koszmarnych przygód wędrówce wróciłem razem z bratem Józkiem do rodzinnego domu w mej ukochanej Ropicy. Obaj byliśmy zarażeni grypą hiszpańską, toteż zwaliliśmy się zaraz do łóżek. Czuwała nad nami nasza kochana matka. Wróciliśmy do domu w dniu 5 listopada, a więc w historycznym dla Ziemi Cieszyńskiej dniu, w którym została zawarta między Polską Radą Narodową Ziemi Cieszyńskiej z siedzibą w Cieszynie a Českým národním výborem pro Slezsko z siedzibą w Polskiej Ostrawie tymczasowa umowa, na mocy której wszystkie miejscowości Śląska Cieszyńskiego zamieszkałe w większości przez ludność narodowości polskiej mają wrócić do zmartwychwstającej w owych pamiętnych dniach Polski. A więc spełniły się wreszcie moje sny, wizje i marzenia! Miało się spełnić to, co z Tondą Slavíkiem uzgodniliśmy, to znaczy Zadora i ja, w małopolskiej wiosce Matowice w trakcie naszego marszu na rosyjski front na początku listopada 1916 roku. Do wskrzeszonej Polski wraca moja rodzinna Ropica oraz sąsiednie Niebory, Trzycież i niedaleki Gnojnik, w którym mieszka Jarka z rodzicami. Janalowie są podobno jedyną rodziną czeską, która mieszka w polskim Gnojniku. Ciekawy jestem czy Jarka pokocha tę swoją nową ojczyznę Polskę i czy do niej chętnie przylgnie. Trzeba będzie wreszcie zdecydować się na krok stanowczy, zebrać się na odwagę, wyznać Jarce wszystko, zapytać ją o wzajemność i zbadać jej uczucia do Polski. Przecież nie będę się żenił z Czeszką, która nie kocha Polski. Jestem jednak przekonany, że Jarka będzie tak samo obiektywna jako mój nieodżałowany przyjaciel Tonda Slavík, który w nurtach małopolskiego Styru, przy próbie przejścia na stronę rosyjską, tragicznie zginął.

Silna grypa hiszpańska przykuła mnie na sześć dni do łóżka. W niezapomnianym dniu 11 listopada odzyskałem dosyć siły, by wstać z łóżka i podążyć do Cieszyna, gdzie zgłosiłem się do służby w Wojsku Polskim w formującym się tamże Pułku Ziemi Cieszyńskiej. Trudno tu opisać moje radosne uniesienie z tego powodu. Wezbrała we mnie fala szału radosnego, że nasze żarliwe suplikacje o zmartwychwstaniu Polski zostały wysłuchane, a jednocześnie rozpierała mnie duma, że noszę z prawdziwego zdarzenia mundur żołnierza tej Polski i że nareszcie będę mógł dochować wierności mojej przysiędze z maja 1914 roku.

W koszarach spotkałem wielu znajomych i kolegów. Na pierwszym miejscu oczywiście rodaka ropickiego Gajdaczka. Od niego się dowiedziałem, że z wojny wrócił szczęśliwie mój tak lubiany i szanowany przeze mnie brat cioteczny Branny Franciszek z Zamarsk (urodzony w Ropicy) oraz brat cioteczny Biłko Karol z Krasnej. Wrócili też szczęśliwie z naszej szóstki konspiracyjnej Bernard Adamecki i Ludwik Zych. Zgłosili się już również ochotniczo do Wojska Polskiego. Nie wrócił jeszcze Henryk Niemiec, lecz wiadomo, że żyje i znajduje się we Włoszech albo we Francji. Nie wiadomo, co jest z dowódcą naszej szóstki konspiracyjnej Alojzym Glajcem. Podobno jest w niewoli rosyjskiej, czyli obecnie w niewoli bolszewickiej.

Miesiąc listopad i grudzień upłynął szybko na formowaniu pułku i na intensywnych ćwiczeniach. Zmartwychwstała Polska istniała zaledwie kilka tygodni i nie posiadała jeszcze ustalonych czy też zagwarantowanych jakimś traktatem pokojowym granic. Musiała je sobie dopiero wykuwać czynem zbrojnym. Nie wróciły jeszcze do Polski ziemie zaboru pruskiego, to jest Górny Śląsk, Księstwo Poznańskie, Pomorze, Prusy Wschodnie. Nie były ustalone granice wschodnie. Rozgorzały zażarte walki o Małopolskę Wschodnią z Ukraińcami, którzy zajęli Lwów i Przemyśl. W Cieszynie krążyły uporczywie pogłoski, że bracia Czesi nie zamierzają respektować podpisanej przez siebie umowy z dnia 5 listopada o ustaleniu granic państwowych na Śląsku Cieszyńskim.

Na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia zauważyłem niespodziewanie na ulicy w Cieszynie Jarkę Janalówną. Przeciskała się w gęstym tłumie na ulicy Głębokiej w towarzystwie jakiejś pani. Zapatrzyłem się zafascynowany w jej kierunku i zdawało mi się, że mnie zauważyła, lecz odwróciła swoją głowę w innym kierunku. Zrozumiałem ... Jarka nie chce mnie znać, gdyż jestem Polakiem, polskim oficerem. A może to była imaginacja i przeczulenie zakochanego?

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

ŻYWOT ŚLADEM RYB PISANY

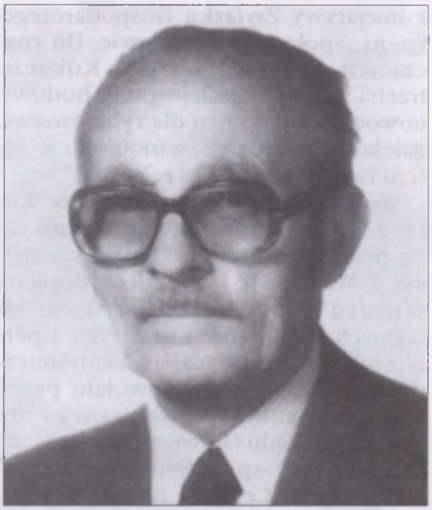

Miałem poważne trudności, jak z olbrzymiej faktografii dotyczącej życia dr. inż. Jerzego Kukucza, wybitnego autorytetu w dziedzinie morskiej gospodarki rybnej w Polsce i za granicą, wyłuskać sprawy najistotniejsze. Było to tak, jakbym z oceanu faktów wyłaniał najcenniejsze ławice wydarzeń.

Nasz bohater urodził się 19 czerwca 1905 w Wędryni na Zaolziu. W 1915 r. rozpoczął naukę w Gimnazjum Klasycznym w Cieszynie, w styczniu 1919 r. bierze udział w akcji plebiscytowej. Włącza się również energicznie w organizowanie ruchu harcerskiego. Po zdaniu egzaminu dojrzałości w 1923 roku rozpoczyna studia na Wydziale Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Na IV roku wybiera rybołówstwo, jedną z oś-miu specjalizacji różnych działów rolnictwa. Kierunek ten stał się pasją jego życia. Swoją wielką karierę rozpoczął uzyskując w lipcu 1927 roku dyplom inżyniera rolnictwa ze specjalnością w rybactwie.

W kwietniu 1928 roku podjął pracę na stanowisku sekretarza generalnego w Krajowym Towarzystwie Rybackim w Krakowie. W latach 1928-1930 jest asystentem przy Katedrze Ichtiologii i Rybactwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1931 roku zostaje dyrektorem pierwszego w Polsce polsko-holenderskiego Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich „Morze Północne" w Gdyni. W 1933 pracuje w Zakładzie Ichtiobiologii i Rybactwa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie jako nieetatowy wolontariusz naukowy. Stęskniony za niepowtarzalną atmosferą Gdyni wyrusza po raz drugi na podbój tego miasta. Obejmuje stanowisko kierownika działu rybnego przy Agenturze Handlu Zagranicznego Związku Spożywców „Społem". W roku 1936 został mianowany przez Ministra Sprawiedliwości sędzią handlowym przy Sądzie Okręgowym w Gdyni jako jedyny przedstawiciel gospodarki rybnej Wybrzeża.

Z chwilą wybuchu wojny został zmobilizowany do IV pułku lotniczego w Toruniu. Po kapitulacji Warszawy dostał się do niewoli niemieckiej, przebywając w różnych obozach na terenie Niemiec.

Po wojnie w maju 1945 roku przedostał się do Belgii (Brukseli), by następnie wyjechać do Paryża. Tu zostaje powołany przez dyrektora generalnego Polskiej YMCA na zastępcę dyrektora Polskiej YMCA na Francję.

Z początkiem 1946 roku zostaje powołany jako ekspert do spraw rybołówstwa dalekomorskiego do Polskiej Misji Morskiej w Londynie, a w kwietniu 1946 wraca do kraju, aby objąć stanowisko członka zarządu i dyrektora eksploatacyjnego pierwszego po wojnie Przedsiębiorstwa Połowów Dalekomorskich „Dalmor" Sp. z o.o., założonego

z inicjatywy Związku Gospodarczego Sp-ni „Społem" w Warszawie. Do znaczących osiągnięć Jerzego Kukucza trzeba zaliczyć zainicjowanie budowy nowoczesnego portu dla rybołówstwa dalekomorskiego w Świnoujściu w ujściu rzeki Świny już w roku 1947.

We wrześniu 1948 roku Jerzy Kukucz został bezpodstawnie aresztowany przez prokuratora komisji specjalnej w Warszawie i zwolniony dopiero w marcu 1949 roku. Pod naciskiem odnośnych czynników rządowych i partyjnych (w tym Wydziału Ekonomicznego KC PZPR) został powołany przez Ministra Handlu Wewnętrznego na członka Zarządu Głównego i dyrektora handlowego spółdzielczo-państwowej centrali „Centrala Rybna" w Warszawie od kwietnia 1949 roku.

W tym okresie, poczynając od roku akademickiego 1949/1950 rozpoczął wykłady na SGGW z rybołówstwa morskiego i technologii przetwórstwa i obrotu rybnego oraz z końcem 1949 r. założył czasopismo rybackie „Gospodarka Rybna" wydawane przez Polskie Wydawnictwo Gospodarcze w Warszawie. Zostaje redaktorem naczelnym tego czasopisma aż do roku 1962, to jest do momentu wyjazdu z Polski i rozpoczęcia pracy w FAO, agencji ONZ.

W listopadzie 1962 roku na wniosek Departamentu Rybackiego FAO został powołany przez dyrektora Generalnego FAO na dyrektora projektu rybackiego (project manager) w Nigerii. Po trzech i pół latach pracy w Nigerii zostaje przeniesiony przez rzymską centralę FAO do Indii, gdzie realizuje inny projekt, mający na celu zorganizowanie pierwszej w Indiach Wyższej Uczelni Rybackiej.

W latach służby zagranicznej dla ONZ Jerzy Kukucz od roku 1962 do 1969 był członkiem Japońskiego Naukowego Towarzystwa Rybackiego w Tokio, został także wybrany na dożywotniego członka Hinduskiego Towarzystwa Rybackiego w Bombaju. Jest pierwszym specjalistą polskim zaproszonym przez FAO do odpowiedzialnej funkcji dyrektora projektu pomocy w krajach rozwijających się w dziedzinie rybactwa. Jego praca zyskiwała u zwierzchników najwyższe uznanie.

Po powrocie do kraju w połowie 1969 r. podejmuje ponownie pracę w Morskim Instytucie Rybackim w Gdyni, jako samodzielny pracownik naukowy, w roku następnym przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

Dorobek publikacji dr. Jerzego Kukucza obejmuje około 100 prac i doniesień naukowych, podręczników, referatów na konferencje naukowe i kongresy międzynarodowe, artykułów problemowych, popularno-naukowych oraz recenzji. Połowa z nich ukazała się w języku angielskim i francuskim. Wykonał również wiele ekspertyz dla fabryk konserw rybnych, kombinatów chłodniczo przemysłowych oraz baz rybackich. Ponadto recenzował dla Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego programy przedmiotów rybackich na wyższych uczelniach. W 1982 r. Jerzy Kukucz został odznaczony medalem za „Udział w Wojnie Obronnej 1939 r." oraz w roku 1962 Złotą Odznaką Zasłużonego Pracownika Morza, otrzymaną z Ministerstwa Żeglugi. Trudno nie zauważyć zaskakującej dysproporcji między wielością i różnorodnością wspaniale sprawowanych funkcji, a szczupłością otrzymywanych zań oficjalnych dowodów uznania. Gdyby przyłożyć tutaj miarę matematyczną, to stosunek ten wynosiłby około 40 do 2. Najbardziej cenne jest jednak u dr. Jerzego Kukucza to, że z całego serca oddał morzu i jego sprawom rybackim swoje najlepsze umiejętności i wiedzę.

JERZY OSZELDA

Jerzy Kukucz zmarł w Warszawie 28 października 1997.

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (1)
(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Każdy człowiek posiada własną, jemu tylko przypisaną drogę życiową. Wprawdzie bywa ona często podobna do doświadczeń innych ludzi, lecz zawsze posiada niepowtarzalne, indywidualne znamiona, które jak linie papilarne są charakterystyczne tylko dla jednego osobnika. Moje dzieciństwo i młodość, przypadające na dwudziestolecie międzywojenne i wojnę, są w wielu wypadkach podobne do trudnych doświadczeń całego mojego rówieśniczego pokolenia, ale zawierają też pewne wyłącznie indywidualne przeżycia i osobiste doznania, które przywołuję w niniejszych wspomnieniach, będących zarazem fragmentem mojego curriculum vitae.

Moi rodzice, Maria z d. Ciuruś (1 I 1887 – 19 III 1962) i Józef Orszulik (2 III 1886 – 17 III 1969), wywodzą swój rodowód z biednych dziewiętnastowiecznych rodzin chłopskich. Matka pochodziła z galicyjskiej Kwaczały k. Alwerni, zaś ojciec urodził się na Śląsku Cieszyńskim w Pruchnej. Poznali się, gdy ojciec w mundurze austriackim odbywał ćwiczenia wojskowe w okolicach rodzinnych mojej matki. Po zawarciu małżeństwa w 1911 r. rodzice zamieszkali we Frysztacie. Ojciec pracował jako górnik w karwińskiej kopalni „Tiefbau" (Szyb Głęboki). W momencie wybuchu pierwszej wojny światowej został zmobilizowany i brał udział w walkach na froncie wschodnim. Tam też dostał się do niewoli rosyjskiej. Matka w tym bardzo trudnym okresie wojennym musiała sama wychowywać dwoje małych dzieci: dwuletnią córkę Anielę (1912 – 1989) oraz półrocznego syna Jana (1913 – 1977). Przyszło jej też pokonywać wiele trudności w zdobywaniu żywności. W tym celu wynajmowała się do różnych prac u okolicznych gospodarzy. Gdy zaś po skończonej wojnie ojciec przez długi czas nie dawał o sobie znaku życia, musiała nadal zdobywać w trudzie grosz na utrzymanie siebie i dwojga małych dzieci.

Ojciec znalazłszy się w niewoli rosyjskiej został wywieziony na Syberię do obozu jenieckiego gdzieś w okolicach Krasnojarska. Pracował na kolei w Górach Ałtajskich. W październiku 1918 r.

wstąpił do tworzącej się tam polskiej armii. Przydzielony do 5. Dywizji Syberyjskiej brał udział w walkach przeciw bolszewikom. Dywizja ta jednak po różnych zwycięskich starciach musiała skapitulować w 1919 r. Ojciec znów dostał się do niewoli, tym razem do sowieckiej. Bolszewicy poszukiwali wtedy górników wśród jeńców. Wraz z ojcem zgłosiło się ich kilku. W tej decyzji widzieli bowiem jedyną szansę wydostania się z jenieckiego obozu, gdzie panował głód, szerzyły się choroby i wzrastała śmiertelność. Górników przeniesiono do kopalnianych baraków. Byli tu lepiej traktowani i odżywiani, choć praca była bardzo ciężka. W krótkim czasie ojciec awansował do roli dozorcy górniczego (sztygara), lecz traktowany był wciąż jako jeniec wojenny.

Po różnych perypetiach w Krasnojarsku ojciec powrócił do domu dopiero po blisko 8 latach. Jego podróż z Syberii wraz z miesięczną kwarantanną, odbytą już w Polsce, trwała trzy miesiące. W domu we Frysztacie zjawił się w styczniu 1922 r. W tym czasie miasto to należało już do Czechosłowacji, co utrudniło ojcu sprawę przyznania przynależności państwowej. Władze czeskie bardzo niechętnie przyjęły polskiego żołnierza i dlatego nie były skłonne przyznać mu obywatelstwa czechosłowackiego. Uznając ojca za obcokrajowca, wykorzystano fakt, że urodził się on w Pruchnej, która znalazła się w Polsce. Polskie obywatelstwo automatycznie dotyczyło całej jego rodziny. Pozwolono jednak ojcu kontynuować pracę na kopalni „Tiefbau", dokąd jak poprzednio udawał się z Frysztatu piechotą. W 1923 r. przyszedł na świat brat Józef, zaś ja urodziłem się w 1925 r. W tym samym roku przeprowadziliśmy się do Larischowej kolonii górniczej na Henrykowie (gwarowo: Hajndrychów) w Karwinie, gdzie w 1926 r. urodził się najmłodszy z pięciorga rodzeństwa – Mieczysław (+1988).

Kolonia na Henrykowie, dziś już nie istniejąca, znajdowała się na wzgórzu, między kopalniami „Franciszka" i „Jana i Karola" (tzw. Johanszachta). Mieszkaliśmy tu w jednym z piętrowych budynków, który posiadał 8 mieszkań składających się z małego przedsionka z prymitywną ubikacją, kuchni z małą spiżarką i pokoju. Całkowitą powierzchnię tego mieszkania oceniam dziś na około 40 m². W mieszkaniu było oświetlenie elektryczne, lecz nie było kanalizacji. Wodę nosiło się ze wspólnej studni usytuowanej przy ulicy między budynkami. Każda taka studnia służyła 24 rodzinom. Do mieszkania przyporządkowane były piwnica (na opał, ziemniaki itp.), część strychu, mały ogródek i w podwórku tzw. szopka. Prócz tego każda rodzina mogła użytkować działkę o powierzchni około 8 arów.

W kolonii zdecydowanie przeważała – podobnie jak w całej Karwinie – ludność polska, co wyrażało się m. in. w tym, że niemal wszystkie dzieci uczęszczały do polskiej szkoły ludowej przy Starym Kościele i polskiej szkoły wydziałowej w Solcy (kilku studentów uczęszczało do Polskiego Gimnazjum w Orłowej). O etnicznym pochodzeniu mieszkańców kolonii świadczyły też ich nazwiska: Bielczyk, Bystroń, Czechowicz, Karwiński, Kądziołka, Małysz, Osuchowski, Wawrzyczek i in. Wielu górników należało do polskich organizacji (Macierz Szkolna, Sokół, Siła, Rodzina Opiekuńcza), młodzież zaś do harcerstwa, polskich stowarzyszeń religijnych itp. Ojciec był członkiem miejscowego koła Macierzy Szkolnej, Rodziny Opiekuńczej i Związku Zawodowego Górników. Wiązało się to z opłacaniem składek członkowskich, a także niekiedy z innymi wydatkami. Tak np. za swego rodzaju obowiązek poczytywali sobie rodzice, by mimo wszystko wykupić bilety wstępu na organizowane przez te instytucje imprezy, choć w nich nie uczestniczyli (bale, zabawy, tzw. szkolne „bale bez balu" itp.). Niektórzy górnicy byli członkami lewicowych partii (PPS, KPCz). W obu niedalekich kościołach katolickich (Stary i Nowy) wszystkie nabożeństwa odbywały się przeważnie w języku polskim, tylko niektóre po czesku. Dużym powodzeniem cieszyły się różne imprezy organizowane przez polskie organizacje lub szkoły (wianki, akademie, festyny, przedstawienia w Pracy, popisy gimnastyczne, występy chórów itp.). My, dzieci, pasjonowaliśmy się także, podobnie jak całe polskie zaolziańskie społeczeństwo, meczami karwińskiej Polonii, która w latach trzydziestych, należąc do tzw. morawsko–śląskiej Dywizji, osiągała wspaniałe sukcesy. Chcąc oglądać te mecze, prosiliśmy dorosłych, żeby nas przeprowadzili przez bramę jako własne dzieci. Kilka razy też sprzątaliśmy boisko i trybunę, za co otrzymywaliśmy parę darmowych wstępów na mecze. Miarą naszej fascynacji drużyną Polonii był m.in. fakt, że na pamięć mogliśmy szybko wyrecytować nazwiska całej jedenastki. Uczęszczałem też wraz z braćmi na ćwiczenia młodzików Sokoła odbywające się w sali Pracy. Pamiętam, jaki byłem dumny, kiedy podczas popisów sokolich w parku Pracy zajmowałem jako najmniejszy w grupie najwyższą pozycję (na 3. piętrze) w tzw. piramidzie. Wydawało mi się wtedy, że oklaski publiczności tylko mnie się należą.

Życie codzienne w ówczesnej kolonii górniczej nie było łatwe. Zwłaszcza w kryzysowych latach trzydziestych, które jako kilkuletnie wówczas dziecko pamiętam dość dobrze. Górnikom ograniczono wtedy pracę do 2–3 dniówek (tzw. szychty) tygodniowo,

co spowodowało zmniejszenie o połowę i więcej ich skromnych zarobków, a tym samym obniżyło i tak już niski wcześniejszy poziom życia. Odczuła to mocno moja rodzina, zwłaszcza że w tym czasie (na początku lat trzydziestych) ojciec dwukrotnie ciężko zachorował i przez długi czas leczył się na przemian albo w szpitalu (u ordynatora Beiera), albo w domu pod stałą opieką lekarza górniczego Wacława Olszaka (późniejszego burmistrza karwińskiego, bestialsko zamordowanego przez hitlerowców we wrześniu 1939 r.). Po przejściu kilku operacji kości prawej ręki ojciec został kaleką i przeszedł na wczesną emeryturę, której wysokość wynosiła 200 koron. Była to kwota niewystarczająca na utrzymanie wówczas już „tylko" 5-osobowej rodziny. W 1931 r. bowiem siostra Aniela wyszła za mąż za górnika Stefana Małysza i zamieszkała początkowo u jego rodziny w bezpośrednim sąsiedztwie kolonii na Henrykowie, w tzw. dworze, niebawem zaś w kolonii na Sowińcu. W tym samym roku brat Janek[1] zdał maturę w polskim gimnazjum w Orłowej i jako stypendysta Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji podjął studia na Politechnice we Lwowie na Wydziale Budownictwa Lądowo-Wodnego. Tak więc po przejściu ojca na przymusową emeryturę pozostało w domu jeszcze troje nieletnich dzieci, a wraz z nimi wielkie kłopoty rodziców z ich utrzymaniem i wychowaniem. Przy czym największe trudy spoczęły na matce, która i tak już w przeszłości nie miała łatwego życia, zwłaszcza w czasie wojny i bezpośrednio po niej, kiedy to przez długie lata wychowywała samotnie dwoje małych dzieci. Obecnie zaś oprócz trójki dzieci musiała opiekować się mężem-kaleką, w dodatku nie mając wystarczających środków do życia.

Jak już wspomniałem, nasze mieszkanie składało się z kuchni i pokoju. Kuchnia służyła nie tylko do gotowania posiłku, ale w niej koncentrowało się całodzienne życie rodziny. Tu odbywało się mycie, spożywanie posiłków, pranie bielizny itp., a także zabawy dzieci i odrabianie zadań szkolnych. W kuchni znajdowały się oprócz pieca stół, taborety, kredens i łóżko. W ciasnym pokoju były dwie szafy na ubrania, stolik i dwa łóżka. Tutaj też wieczorem przygotowywano na podłodze dodatkowe miejsca do spania.

c.d.n.

[1] Jan Orszulik (1912–1977) – żołnierz września (porucznik-saper), więzień sowieckich łagrów, żołnierz 2. Korpusu Polskiego pod dow. gen. Władysława Andersa. Zmarł w Anglii.

JESIENNA ROZMOWA W TEATRZE
WYWIAD Z RUDOLFEM MOLIŃSKIM

W ubiegłym sezonie Teatr Cieszyński zaczął drżeć w posadach. Zmiany personalne rozpoczęły się od szczebla najwyższego. Na stanowisku dyrektora Ladislava Slívę zastąpił Roman Rozbrój. W styczniu 1997 roku doszło też do zmiany kierownika artystycznego Sceny Czeskiej. W artykułach na temat teatru, ukazujących się w prasie, dominowały tematy ekonomiczne. Dlatego też, kiedy pewnego jesiennego popołudnia wybrałam się na rozmowę do kierownika artystycznego Sceny Polskiej Rudolfa Molińskiego, to mimo że chciałam rozmawiać przede wszystkim o sprawach artystycznych, postanowiłam rozpocząć od spraw bardziej przyziemnych.

Czy kierownik artystyczny musi być również managerem?

Tak, to jest charakterystyczne dla tego typu teatru. Jeśli chce się dbać o teatr, to trzeba być i tym managerem. I to też być może spowodowało, że nie ma w Scenie Polskiej na razie zmian personalnych. Dyrektor cały czas podkreślał, że jeszcze będą zmiany. Cały czas utrzymuje się ludzi w niepewności, co ma podobno spowodować ich aktywniejsze włączenie się do procesu twórczego.

O jakie zmiany konkretnie chodzi?

Tego nie wiemy. Od portiera prawdopodobnie począwszy, a skończywszy na kierowniku artystycznym. Ja z kolei uważam, że jako szef muszę zapewnić swoim podwładnym pewien komfort pracy twórczej, a nie ciągle kogoś straszyć, że go zwolnię. Ważne jest czuć się sobą i robić swoje z przekonaniem, że się robi dobrze. Faktem jest, że kiedy za długo robi się to samo, to wkrada się pewna rutyna, ale trzeba wsłuchiwać się w siebie, przeanalizować swoje postępowanie i zmienić je. W moim konkretnie wypadku bardzo pomogły mi zmiany, które nastąpiły w ostatnich miesiącach. Nigdy nie przypuszczałem, że jako człowiek porywczy spod znaku Barana będę w stanie wykazać taką cierpliwość.

Jest Pan kierownikiem artystycznym Sceny Polskiej od 1988 roku. Będzie okrągły jubileusz?

Jestem już najdłużej szefującą osobą w tym teatrze. Władysław Niedoba był 9 lat i Karol Suszka był 9 lat. Ja jestem dziesiąty sezon. Zmiana dyrekcji oznacza zmianę metod pracy,

◀ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

co nie ułatwia kierowania zespołem. Ale nie można nowych metod krytykować á priori. Trzeba próbować je zrozumieć i albo się do nich dostosować, albo odejść.

W zespole aktorskim również doszło do wielkich zmian?

Zespół aktorski zmienił się dość mocno, ale ta zmiana nie wynikała ze zmian dyrekcji. Aktorzy z Polski przychodzą do nas na zasadzie rocznych umów o pracę. Podpisujemy z nimi umowę, a po roku odnawiamy ją lub nie. Nasi aktorzy mają stałe umowy o pracę. W ciągu ostatnich lat zespół aktorski był przeróżny. W tej chwili jest nareszcie pełny zespół, tzn. podzielony na młodych, średnich i poważnych. Są panie i panowie, z tym, że panów powinno być więcej. Mówi się, że dobry jest ten teatr, który potrafi obsadzić „Wesele" Wyspiańskiego.

W teatrze zjawiła się grupa młodych ludzi z Polski. Dla nich pobyt w Scenie Polskiej może być przygodą a jednocześnie szansą na duże role?

Teraz młodzi ludzie po szkole teatralnej niechętnie wychodzą z dużych ośrodków. Tam jest telewizja, reklama, która daje duże możliwości zarobkowe. Czasami jednak zdarzają się takie roczniki młodych, którzy są autentycznie zakochani w teatrze i chcą go robić. Nam udało się właśnie teraz zaangażować taką grupę, absolwentów Studium Aktorskiego przy Starym Teatrze w Krakowie. Zwrócił mi na nich uwagę Jasiu Monczka, który tam wykłada. Widzę, że naprawdę interesuje ich teatr i chcą w nim pracować. Przygodą może być dla nich to, że są za granicą, ale trzeba sobie uświadomić, że ta przygoda ma raczej charakter negatywny, dlatego że jest to w Czeskim Cieszynie, gdzie Polaków kojarzy się ostatnio najczęściej z tymi, którzy przenoszą i konsumują alkohol. Tym, którzy chcą tu spokojnie żyć, nie jest łatwo.

Czy dobór aktorów ma wpływ na repertuar?

Oczywiście. „Dom kobiet" możemy grać tylko wtedy, gdy mamy dostateczną ilość kobiet. Był taki okres w Scenie Polskiej, kiedy mieliśmy przewagę kobiet nad mężczyznami. To się bardzo rzadko zdarza, ale poradziliśmy sobie właśnie poprzez dobór repertuaru.

W ubiegłym sezonie doszło do zmiany kierownika literackiego Sceny Polskiej. Miejsce Renaty Putzlacher zajęła Joanna Wania. Jaka jest rola kierownika literackiego w tym teatrze?

Kierownik literacki ma zasadniczy wpływ na repertuar. On pierwszy wybiera sztuki. U nas na tym stanowisku były głównie panie. Z linii repertuarowej

można odczytać dosyć charakterystyczne cechy psychiczne czy jakieś predyspozycje psychofizyczne poszczególnych pań. Repertuar na następny sezon ustala się w marcu, kwietniu. Spotykamy się w małej radzie artystycznej - reżyser, kierownik artystyczny i kierownik literacki. Kierownik literacki proponuje 20 sztuk. Zdarza się, że reżyser też ma swoje propozycje. Siedzimy tak przez kilka dni, dyskutujemy. Wybieramy 10 - 15 pozycji z propozycji, które są do dyspozycji. Później ustala się, kto miałby je robić i w jakich terminach.

Teatry w Polsce lubią mieć na stanowisku kierownika literackiego człowieka o znanym nazwisku?

W Polsce jest trochę inaczej. Tam kierownik literacki jest de facto od takiego dozłacania programu. Jest ozdobnikiem. U nas jego funkcja jest inna. W naszej scenie nie pełni jeszcze takiej roli jak w teatrach czeskich, nie robi skreśleń, opracowań tekstu. To zadanie reżysera, ale kierownik literacki jest mu pomocny. Przygotowuje dla reżysera materiały literackie na temat danej sztuki i całego klimatu wokół niej.

Nie mówiliśmy do tej pory o widzu. Jak dalece przy ustalaniu repertuaru myśli się o widzu?

Kierownikowi literackiemu łatwiej jest wybrać repertuar, kiedy zna widza. Trzeba połączyć nasze ambicje i naszą znajomość dramaturgii światowej i polskiej oraz czeskiej z możliwościami widza. Bo nasz widz jest specyficzny. Każdy teatr ma swojego widza, a my mamy superswojego. Wyobraźnia reżysera musi pracować na tych samych falach, na których odbiera widz. Bo może być spektakl znakomity, dobrze przyjęty przez krytykę i cisza w terenie. Jest wręcz nieprawdopodobne, jak szybko po premierze rozejdzie się informacja, że spektakl jest dobry albo taki sobie. Jest to niezależne od naszych intencji, bo my mamy intencje takie, żeby wszystko było jak najlepiej.

Kto reżyseruje w Scenie Polskiej?

Z siedmiu pozycji w sezonie ja reżyseruję dwa spektakle i Janusz Klimsza dwa. Przy wyborze reżyserów z Polski największą rolę odgrywają sprawy finansowe. Reżyser w Polsce zarabia dwa razy więcej niż u nas. Tam reżyserzy są na tzw. wolnej stopie, sami płacą wszystkie ubezpieczenia. W Czechach mają etaty w teatrze, a za dodatkowe przedstawienie otrzymują dodatkową zapłatę.

W Scenie Polskiej rzadko ostatnio goszczą reżyserzy z czeskich teatrów?

Moją tendencją było robienie polskiego teatru. Jesteśmy na co dzień otaczani czeskością,

która tkwi już w nas, w naszej mentalności. Ja tego nie wartościuję, stwierdzam tylko pewien fakt socjologiczny. I dlatego staram się utrzymać polskość tej instytucji, polski charakter tego teatru. Trzeba ludzi przekonać, że tu jeszcze jesteśmy, że nie mamy się czego wstydzić. To jest moja misja. Czeski reżyser jest dobry, kiedy robimy czeską sztukę, bo czeski reżyser zrobi każdą sztukę po czesku, tak jak polski po polsku. Jest to jakiś drobny nastrój, drobny odnośnik czy to do literatury, czy do formy. My mamy romantyzm, oni ludowość. Polski teatr idzie w stronę słowa, nastroju, on to słowo, ten nastrój rozgrywa. Teatr czeski zatraca słowo na rzecz formy, ruchu.

W Polsce coraz pozytywniej pisze się o teatrze, u nas natomiast przeważają dyskusje o tym, że teatr nie przemawia do widza. Jest wobec tego kryzys teatru czy go nie ma?

W Czechach teatr po rewolucji aksamitnej był bohaterem, znajdował się na szczycie sławy i długo z tego korzystał. Teraz nastąpił spadek i duży kryzys, który będzie się pogłębiał. Twórcy poszukują trochę na siłę, za bardzo zaufali formie, chcą być poza tym tak oryginalni, tak niepodobni jeden do drugiego, że widz zaczyna się gubić. Kryzys powstaje wtedy, kiedy teatr przestaje odwoływać się do najgłębszych zasadniczych wartości. Wesołość, śmiech, płacz, łzy, to są podstawowe emocje, na których bazuje życie ludzkie i teatr. Z nich bierze się katharsis. Formą nie da się widza wzruszyć. W Polsce kryzys mija, widz jest już przetechnizowany i zaczyna wracać do wspólnych przeżyć grupowych, ceremonii, obrzędów, obyczajów ludowych. Stąd popularność Gardzienic, Wierszalina, teatrów, które do tych prazwyczajów nawiązują.

Nie mogę wobec tego nie zapytać o Janusza Klimszę. Czy byłby innym reżyserem, gdyby studiował w Polsce?

Zupełnie innym. Nie wiadomo czy to byłoby lepiej. Może dla niego nie, bo jest wychowany tutaj, w tej mentalności. Janusz Klimsza ma swój specyficzny teatr, który prowadzi konsekwentnie. Jego poetykę trzeba było rozszyfrować. Od niego zależy, jak dalece będzie się rozwijał czy nie zacznie wszystkiego traktować formalnie. Ale jest on młodym człowiekiem i teatry nie są jeszcze przesiąknięte jego inscenizacjami. U nas jest jakby pewne przesilenie tej formy, chociaż gdyby robił mniej, to może zaczęłoby nam tego brakować.

Podstawową relację w teatrze stanowi widz i aktor. Dlatego chcę na koniec zapytać o „naszego" aktora, tego, który całe swoje życie ar-

tystyczne poświęcił dla jednego teatru, dla Sceny Polskiej?

Zazwyczaj jest to dobry aktor, ale przez to, że gra całe życie w jednym teatrze, traci na warsztacie, na dykcji. Tu nie ma ludzi niezdolnych, ale po pewnym czasie przestają już poszukiwać, zaczynają być takimi, jakimi chcą ich widzieć. Znam to z własnego doświadczenia. Dużo dało mi odejście stąd w latach siedemdziesiątych. Przede wszystkim przestałem dzielić teatr na „nasz" – najlepszy – i resztę świata, czyli posiłkując się zdaniem Stanisławskiego, zacząłem kochać nie siebie w teatrze, a teatr w sobie. I stąd moje przejście ze sceny na widownię – za stolik reżyserski.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

Rudolf Moliński (w środku) w towarzystwie redaktorów naczelnych: Głosu ludu – W. Bilki i ZWROTU – E. Stróżczyk. Spotkanie w konsulacie RP w Ostrawie

fot. FRANCISZEK BAŁON

„PRZEJAZDEM" W TEATRZE CIESZYŃSKIM

Na długo zapisze się w pamięci poniedziałkowy wieczór 1 grudnia ub. r. wszystkim, którzy przybyli do sali Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, by podziwiać artystów występujących niegdyś w Scenie Polskiej. A zawdzięczamy go inicjatywie Kongresu Polaków w RC, który koncert przy pomocy TC zorganizował.

Wieczór literacko-muzyczny zatytułowano „Przejazdem", bo każdy z artystów, biorących w nim udział, na co dzień związany jest z innym teatrem w różnych miastach Polski i Republiki Czeskiej.

„Przejazdem" wystąpili na deskach TC Renata Drössler, Dagmar Foniok, Przemysław Branny, Tadeusz Hankiewicz, Marek Mokrowiecki, Jan Monczka i Karol Suszka. Scenariusz przygotowali i koncert poprowadzili Renata Putzlacher-Buchta i Bogdan Kokotek.

Na spadochronie wylądował, debiutujący niegdyś na tej scenie, Jan Monczka. Przez wiele lat aktor Teatru Starego w Krakowie, a obecnie Teatru Narodowego w Warszawie. Wspólnie z Dagmar Foniok i Tadeuszem Hankiewiczem zaprezentowali publiczności akt zabawnej komedii amerykańskiej, granej aktualnie w Krakowie w Teatrze Tradycyjnym, którego założycielką, dyrektorem i aktorką jest Dagmar Foniok.

Jak zwykle wielki aplauz publiczności wzbudziła Renata Drössler, aktorka praskiego „Semaforu", piosenkarka i fotomodelka. Jej aktorski i wokalny kunszt mogliśmy podziwiać również podczas gościnnych występów na ostatnich Festiwalach Piosenki Dziecięcej. Zaprezentowała piosenki kabaretowe i musicalowe. W nastrój bożonarodzeniowy wprowadziła publiczność kolędą „Lulajże Jezuniu".

W drugiej części wieczoru zaprezentowali się aktorzy dobrze znani bywalcom czeskocieszyńskiego teatru, przez wiele lat nierozłączni, Karol Suszka i Marek Mokrowiecki. Dziś znów razem, tyle że w Płocku, gdzie Mokrowiecki jest dyrektorem teatru, a Suszka w obecnym sezonie reżyserem i aktorem. Zaprezentowali fragmenty prozy Marka Nowakowskiego, wywołując swoją grą, jak zwykle, salwy śmiechu.

Najmłodszym uczestnikiem niezwykłego wieczoru literacko-muzycznego był Przemek Branny, który zadebiutował na scenie TC jako mały chłopiec w „Historii żółtej ciżemki". Dziś aktor w Krakowie, występujący w Teatrze Bagatela i Teatrze Stu, a także Jamie Michalikowej i kabarecie Loch Camelot, znany również z telewizyjnych Spotkań z balladą. Jest laureatem wrocławskiego Festiwalu Piosenki Aktorskiej. Dał zaolziańskiej publiczności wspaniały recital piosenek, które prezentuje w kabarecie Loch Camelot. Zasłużył na wielkie brawa. Możemy czuć się dumni z kolejnego talentu, który podbija Polskę, tym bardziej, że jest synem aktorki Sceny Polskiej Haliny Pasekowej.

Nie mogli do nas przybyć z Pragi Bronisław Poloczek i Jan Szymik, a z Ostrawy Alina Farna-Podskalská. Mamy nadzieję na następne, choć chwilowe powroty, wierząc, że nie zabraknie pomysłów Renacie Putzlacher, choć by je zrealizować, przyjeżdża z Brna.

E.S.

Renata Drösler

Przemek Branny

...Marek Mokrowiecki, Karol Suszka, Renata Drösler, Przemek Branny, Jan Monczka, Dagmar Foniok... *fot. FRANCISZEK BAŁON*

KRESY '97

Towarzystwo Kultury Teatralnej Oddział w Białymstoku i Podlaski Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Białymstoku to organizatorzy już VI Konkursu Recytatorskiego KRESY, którego finał miał miejsce w Białymstoku w dniach 1-6 grudnia ub. r. Poprzedziły go eliminacje w poszczególnych krajach, z których polscy uczniowie biorą udział w konkursie. U nas miały miejsce w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie 7 listopada, a jego organizatorami, obok wspomnianych już instytucji białostockich, były Polskie Gimnazjum i Kongres Polaków w RC. Konkurs cieszy się na Zaolziu coraz większym zainteresowaniem wśród uczniów polskich szkół, i co niezwykle cieszy, jego uczestnicy prezentują z roku na rok lepsze przygotowanie. Potwierdzają to jurorzy czeskocieszyńskich eliminacji Arleta Godziszewska - aktorka „Teatru 3/4" z Zusna i poetka Renata Putzlacher oraz przewodniczący im kierownik artystyczny Sceny Polskiej TC Rudolf Moliński. Trzeba bezsprzecznie przyznać, że eliminacje centralne Konkursu Recytatorskiego dla Polaków z Republiki Czeskiej już po raz kolejny miały wysoki poziom nie tylko dzięki dobremu przygotowaniu jego uczestników, ale także oprawie plastycznej i muzycznej. Tę harmonię stwarza opiekun zaolziańskiej edycji konkursu polonista i plastyk Władysław Kubień. Tworzywem zmagań recytatorskich konkursu KRESY '97 była przede wszystkim poezja Adama Mickiewicza w związku z przypadającą w 1998 roku dwusetną rocznicą urodzin poety.

Laureatki najstarszej kategorii wiekowej czeskocieszyńskich eliminacji Ilona Franek i Teresa Branna z Polskiego Gimnazjum oraz reprezentująca klasy karwińskie tegoż gimnazjum Mariam Bangoura wraz z opiekunami Urszulą Czudek i Władysławem Kubieniem reprezentowały Republikę Czeską w finale KRESÓW '97 w Białymstoku. W VI Konkursie Recytatorskim dla Polaków z Zagranicy wzięli także udział młodzi recytatorzy z Litwy, Łotwy, Białorusi, Rosji, Ukrainy i po raz pierwszy Rumunii. Jury w składzie: Irena Jun (aktorka Teatru Powszechnego w Warszawie i pedagog tutejszej Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza), Andrzej Jakimiec (dyrektor i reżyser Teatru im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku), Wiesław Szymański (poeta i dziennikarz), Piotr Damulewicz (aktor i wykładowca Akademii Teatralnej w Białymstoku) uhonorowało najwyższą nagrodą Grand Prix Wojewody Białostockiego Ilonę Franek, uczennicę Polskiego Gimnazjum z Czeskiego Cieszyna. Teresa Branna reprezentująca tą samą szkołę uzyskała nagrodę

specjalną Prezydenta Miasta Białegostoku. I nagrodę otrzymała Aneta Litwinowicz z Litwy, II nasza reprezentantka Mariam Bangoura z Karwiny, a III Lilia Szyszko z Rosji. Ponadto Białostocki Teatr Lalek ufundował Nagrodę Publiczności, którą otrzymała także Ilona Franek, a Władysławowi Kubieniowi przyznano wyróżnienie specjalne za znakomite przygotowanie recytatorów z Czech. Nie ulega wątpliwości, że nasi reprezentanci są zwycięzcami absolutnymi. To wielki sukces uczennic polskiej szkoły średniej, zresztą powtórzony po raz drugi.

KRESY to nie tylko recytatorskie zmagania, to także warsztaty z zakresu dykcji, interpretacji i ruchu scenicznego. I co najważniejsze przyjacielskie spotkania młodych Polaków z różnych krajów, a że nie tylko uczą, ale także pozostawiają niezatarte wspomnienia, świadczą teksty uczestników konkursu opublikowane na łamach okazjonalnie wydawanego pisemka „Kresowiak Recytatorski". Ilona Franek napisała:

Tydzień spędzony tutaj spowodował, że pokochałam wiele rzeczy. Nauczył mnie rozumieć. Znalazłam tu skarb. I to mnie zaskoczyło. Muszę powiedzieć, że ani w jednej chwili nie czułam, że czas tutaj spędzony jest zmarnowany i że można by robić coś lepszego. I to znaczy bardzo dużo. Dziękuję, że mogłam tu być.

E.S.

Laureatka Grand Prix – Ilona Franek

JAN KUBISZ

WIERSZ
(fragment)

Raz w zadumaniu tęsknym sobie chodzę.
I w tej zadumie ku wzgórzu po drodze,
Żwirem upstrzonej kieruję swe kroki,
Aż nagle staję przy wieży wysokiej.
Spojrzałem w górę, przejęły mię dreszcze,
Na wieży szczycie chorągiew szeleszcze,
Czasem żelaznym odzywa się zgrzytem.
Słysząc to, straszno nie było mi przy tym,
I siadłem sobie na ławeczkę małą,
Aby podumać, a w tym mi się zdało,
Jak gdyby się ta wieża przedzierzgnęła
W jakowąś postać, która mię podjęła
Pod ręce – nagle w górę podźwignęła.
Spojrzałem w koło, widzę jak przodem
Śliczne Beskidy tańczą korowodem,
Na górach źródła, z nich woda wytryska,
Biegnie w dolinę królowa rzek, Wisła,
I jako biała, jak srebrzysta wstęga,
Lśni się na ciemnym czole widnokręga,
A z czoła spada i dalej się wije.
A potem postać objąwszy za szyję,
A nogę moją wsparłszy o jej biodra,

Patrzałem w stronę, kędy płynie Odra,
Ku której Olza skakała przez błonie,
Jak dziecko do matki i siadła na łonie.
Cudny krajobraz: kędy oko sięga,
Czarowna ziemia, jako gdyby księga
Ślicznych obrazów. Mnóstwo rzek się wije,
Jak pociągnięte na księdze linie,
W których się mieszczą obrazy i zgłoski:
Lasy i pola i miasta i wioski,
A naokoło wszystko cudnie wieńczą
Góry lesiste zieloną obręczą.
A gdy tak patrzę w rozkoszy zachwycie,
Rzecze mi postać: Moje lube dziecię,
Jam jest Duch – Starzec, za wyrokiem bożym
Tej Piastów wieży i tej ziemi stróżem,
Od wieków strzegę narodu świętości,
Dziedzictwa ojców, dla ich potomności
Chowam we spadku i tym, co wytrwali
Wiernie przy sprawie ojczystej, co stali
Przy narodowej świętości sztandarze,
Tę śląską ziemię na własność przekażę,
Widzisz tę ziemię tak piękną i żyzną?
Ta piękna ziemia jest twoją ojczyzną,
Przy ostrym pługu i we lśniącej zbroi
Żyli szczęśliwi i sławni i dzielni!

JAN KUBISZ

PAMIĘTNIK STAREGO NAUCZYCIELA

(fragment)

Jak ludzie zwyczajni poczynali sobie też i utopcy. Wysprzedawali się i w innych okolicach zakupywali sobie posiadłości. Odbywały się tedy przeprowadzki pojedynczo lub całemi rodzinami. Jednego razu przeprowadzał się utopiec z Zoducha do Racimowa, ale nie mógł nigdzie furmana znaleźć, bo dziwne oprócz fury stawiał żądania, niby warunek ciężki. Żądał mianowicie, żeby woźnica przez cały czas jazdy w tył się nie obejrzał, słowem, stanął zawsze z wozem tak, aby nie dojrzał, kto siada i siedzi. A na to, mimo wysokiej nagrody, jaką utopiec dawał, nie chciał się nikt zgodzić, bo niedotrzymanie warunku groziło woźnicy utratą życia. Aż nareszcie parobek Gorewoda powiedział, że on pojedzie. Miał parę czarnych koni i nowy wóz drabiniasty, jak sobie to utopiec wymówił, i w naznaczonym dniu stanął przed „plosem" w Zoduchu, a zajechał tak, żeby wsiadających nie widział. Dano mu znak i ruszył. Jechali wodą aż pod ławę. Noc była księżycowa, a miesiąc w pełni w towarzystwie gwiazd przechadzał się po dnie rzeki. Konie bluzgały w wodzie, ale szły tak lekko i raźno, jak po najrówniejszej drodze. Skręcili pod ławą koło Kajzarówki na kopiec i kopcem na frydecką, cesarską drogę. Kiedy zjeżdżali z kopca na most przez Nieborówkę, dziwna rzecz, konie zaczęły parskać, a na wodzie działy się jakieś rzeczy tak

nieznacznie i tak jakoś cicho, że Gorewoda nic nie słyszał, ale go jakiś lęk ogarniał, i nie tylko jego, ale i konie. A to się tak działo, ile razy przez jaki potok przejeżdżali. Może utopcy tych wód stawali w drzwiach swych domów i na przejeżdżających wołali: Gdzie jedziecie, sąsiedzi?! Gorewoda znajdował się nie tyle w strasznem, ile w niebezpiecznem bardzo położeniu. Nie bał się tyle tych utopców, ile swej ciekawości, aby go nie uniosła i nie zgubiła, jak dzikie konie unieść mogą woźnicę i wtrącić w przepaść. Trzymał ją tedy na wodzy i ani chwilki nie popuścił cugli. Przytem rozmyślał ciągle nad fortelem, co go sobie już w domu obmyślił, jakby go wykonać, mianowicie, zobaczyć swoich kochanych gości, a nie obejrzeć się. A jakże to zrobił? Oto podniósł się nagle z siedzenia, stanął na „sznica", rozkroczył nogi i głowę wsunął między kolana i patrzy: Na każdem siedzeniu, a były trzy, ściskają się utopcy, na każdem szczeblu zawisają. W okamgnieniu obejrzał wszystko, wyprostował się, kocem niby od zimna się owinął, usiadł i był kontent i wesoły, bo mu już teraz nic nie groziło. Konie zaczęły parskać, znać, że na wozie się coś działo, ale on sobie z tego już nic nie robił, bo mężne serce biło mu w piersi. Zaciął konie i zaśpiewał wesoło:

Nie ma śród końszczyńskich chłopców
Nade mnie większego zucha:
Wiozę kochanych utopców
Do Racimowa z Zoducha.
Hu! Ha!
Wio, koniczki! a najprościej –
Ostrawicy głębie sine,
Przyjmą chętnie zacnych gości,
Całą utopców rodzinę!...
Hu! Ha!

Tak sobie śpiewał i jechał, aż zajechał na oznaczone miejsce i stanął. Kiedy mu utopiec wyniósł zapłatę dla gazdy i „trangield" dla niego, pogroził mu i rzekł: Po drugie nie igraj sobie, bo może być źle! – Gorewoda przeżegnał się i pojechał.

Gimnazjum z polskim językiem nauczania w Czeskim Cieszynie

Redakcja miesięcznika Zwrot

Kongres Polaków w RC – Rada Polaków

w związku z 200. rocznicą urodzin
ADAMA MICKIEWICZA
ogłaszają:
Wielki konkurs plastyczny na najlepszą ilustrację dowolnego utworu A. Mickiewicza

Warunki konkursu:

1. Uczestnicy startują w trzech kategoriach
   a) do lat 12
   b) od 12 do 18
   c) powyżej 18
2. Technika prac dowolna, maksymalny format ilustracji A3, ilość nie ograniczona. Razem z pracami należy przesłać fragment tekstu lub tytuł większej całości, która stała się bodźcem do powstania dzieła lub cyklu.
3. Wszystkie nadesłane prace będą eksponowane na specjalnej wystawie towarzyszącej VII edycji Konkursu Recytatorskiego dla Polaków w RC KRESY '98 (listopad 1998). Tam też zostaną ogłoszone wyniki i rozdane nagrody. Nagrodzone dzieła będą publikowane na łamach miesięcznika Zwrot. Ponadto najciekawsze dzieła zostaną umieszczone w stałej ekspozycji w specjalnej pracowni (klasie), która zostanie otwarta i nazwana Salą im. Adama Mickiewicza. Prace i teksty czytelnie oznakowane należy przesłać w terminie **do 1. 10. 1998** na adres:

Władysław Kubień
Gimnazjum z polskim językiem nauczania
Havlíčkova 13
737 01 Czeski Cieszyn

4. Konkurs poza kategoriami wiekowymi jest konkursem otwartym, bez ograniczeń profesjonalnych i innych. Oceną prac zajmie się specjalnie do tego celu powołana komisja fachowców. **Nagrodami będą wartościowe zestawy książkowe o tematyce związanej ze sztuką, zabytkami, jej historią.**

II KONKURS POETYCKI

O
ZŁOTE CYGARO WILHELMA

Organizator: Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce–Leszczynach.

Zasady uczestnictwa:

1. Konkurs przeznaczony jest dla autorów przed i po debiucie.
2. Organizatorzy nie ograniczają tematyki wierszy.
3. Uczestnik nadsyła **zestaw trzech wierszy w języku polskim**, nie opublikowanych i nie nagradzanych wcześniej, w czterech kopiach maszynopisu na adres:

MIEJSKI OŚRODEK KULTURY
ul. Wolności 2
44–230 Czerwionka–Leszczyny
z dopiskiem na kopercie: **„Konkurs poetycki".**

Termin nadsyłania prac **15.4.1998 r.**

4. Nazwisko i imię i dokładny adres autora wierszy należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej takim samym godłem, jak prace konkursowe.

Informacje: tel/fax: 0 – 36 43 11 634

5. **Autorzy najlepszych prac zostaną zaproszeni do finału, który wyłoni laureatów nagród i wyróżnień w czerwcu 1998 r.**

ZAOLZIE LITERACKIE WE FRANCJI (I)

Francja jest dla mnie krajem powrotów. Zapewne dlatego, że spełnia trzy nieodzowne warunki: ma sympatycznych mieszkańców, cudowne zabytki i dobrą kuchnię. O literaturze nie wspominam. Jak więc się stało, że również nasza literatura trafiła do tego kraju ? Był to jak zwykle niezwykły zbieg okoliczności.

Pierwsze dwa moje dłuższe pobyty w tym kraju zawdzięczałam mojemu zauroczeniu folklorem – z mosteckimi „Górolami" byłam po raz pierwszy, jeszcze za czasów „żelaznej kurtyny", w Burgundii, w okolicach Dijon, a następnie z mostecką kapelą w Regionie Północnym (Nord-Pas-de Calais), w okolicach Lille i Calais. Dwukrotnie również zaliczaliśmy Paryż. Jako że Francja podzielona jest na 22 regiony, doszłam do wniosku, że zawsze jest po co wracać. Gdy więc kierowniczka polskiego oddziału Biblioteki Regionalnej w Karwinie, Helena Legowicz, poinformowała mnie jesienią 1996 roku o inicjatywie Pana Konsula RP w Lyonie, literaturoznawcy i wykładowcy uniwersyteckiego, Wojciecha Podgórskiego, bardzo się ucieszyłam. Okazało się bowiem, że literatura naszych pisarzy jest mu nieobca – pan Wojciech poznał zresztą jeszcze w Warszawie kilku Zaolziaków osobiście. Pomysł urządzenia wystawy książek pisarzy zaolziańskich w Lyonie również okazał się niezwykły. Mieliśmy szczęście, że Helena Legowicz jest nawiedzoną organizatorką i cały trud związany z przygotowaniem wystawy (i wyprawy) wzięła na swoje wątłe barki. A jako że sympatyczne zbiegi okoliczności chodzą parami, niejako w przeddzień wyjazdu nasza działaczka „na niwie" została uhonorowana Dyplomem Ministra Spraw Zagranicznych RP „za wybitne zasługi dla kultury polskiej w świecie '96".

Lyon, główne miasto regionu Valée-du-Rhóne (Dolina Rodanu) jest drugim co do wielkości miastem Francji (liczy, bagatela, ponad milion mieszkańców) i jest uznawany, obok Paryża, za centrum finansowe i handlowe. A ponieważ stąd pochodzą tacy słynni szefowie kuchni jak Jean-Paul Lacombe, Paul Bocuse i Georges Blanc, uważany jest za stolicę kulinarną cywilizacji zachodniej. Centrum Lyonu położone jest w widłach Rodanu i Saony, które rozcinają miasto na trzy części i liczy 2000 lat. Jego początki sięgają rzymskiej kolonii Lugdunum (43 r. p.n.e.), handlowego i wojskowego centrum Galii, założonego przez Juliusza Cezara. Z tamtych czasów dochowały się w Lyonie: odeon, ruiny rzymskiego Amfiteatru Trzech Gallów, który był miejscem męczeńskiej śmierci chrześ-

cijan w 177 r. n.e. i współczesne, bardzo oryginalne Muzeum Cywilizacji Gallo-Romańskiej, które w tworzących serpentynę salach z betonu eksponuje mozaiki, miecze, posągi i monety z czasów rzymskich.

W XV wieku miasto to było ważnym ośrodkiem drukarstwa; w tym czasie również zaczął się tu rozwijać przemysł jedwabniczy, któremu miasto zawdzięcza swoją długotrwałą dominację na europejskim rynku produkcji jedwabiu. Przed uprzemysłowieniem było tutaj 60 tysięcy ręcznych warsztatów tkackich. W typowo robotniczej, najniezwyklejszej dzielnicy Lyonu, Croix Rousse, można dziś zwiedzać lokalną ciekawostkę - les traboules (z łac. „trans ambulare" - iść ukosami) - przejścia prowadzące od ulicy do ulicy przez domy i podwórka. Służyły one tkaczom, którzy docierali tędy ze świeżo wyprodukowanym jedwabiem najkrótszą drogą do rzeki, a następnie pomagały w ucieczce zarówno podczas wystąpień tkaczy w latach 30. XIX wieku, jak w czasie II wojny światowej - tu bowiem znajdowało się centrum ruchu oporu. Oprócz muzeów jedwabiu i tkactwa można również zwiedzić Muzeum braci Lumiére, którzy wynaleźli projektor filmowy i tu nakręcili swój pierwszy film „Wyjście robotnic z zakładu".

W Muzeum Guignol wreszcie zrozumiałam tajemnicę wszechobecnej maskotki tego miasta, znanej mi z filmów francuskich: marionetki Guignola, wesołego i sprytnego chłopka-roztropka, występującego od 1815 roku w ulicznych pokazach lalkowych. Jego ojciec, lalkarz Laurent Mourquet, otworzył tu później kawiarnię z Teatrem Guignol i tradycja ta jest żywa do dziś w całej Francji. Warto dodać, że w Lyonie urodził się również autor „Małego Księcia", Antoine de Saint-Exupéry.

W wycieczce do Lyonu wzięli udział pisarze: Wiesław Adam Berger, który z niezwykłym hartem ducha wybrał się w tę podróż sentymentalną śladami swojej młodości, Wilhelm Przeczek, Jan Pyszko, Kazimierz Kaszper, Karol Suszka, który recytował nasze utwory, a skromne grono kobiet reprezentowała szefowa wyjazdu, Helena Legowicz i moja osoba. Niezawodnym kierowcą był pan Rybski z Hawierzowa, który oddał nam swój duży samochód do dyspozycji. Mieszkaliśmy w pokojach gościnnych Konsulatu Generalnego RP w Lyonie i tu również własnymi rękami (spotkania nasze przebiegały nota bene w ramach cyklu „Zobacz, jak to robią inni") zainstalowaliśmy wystawę dorobku kultury piśmienniczej i materialnej Zaolzia z okazji 50-lecia PZKO. Było to dla nas niezapomniane doświadczenie - przez kilkadziesiąt lat „słowo stawało się ciałem", a teraz sami autorzy ustawiali na półkach własne książki oraz publikacje kolegów; wielu z nich zresztą nie ma już między nami. Dnia 17 października 1997 roku miało miejsce otwarcie pierwszej, historycznej wystawy „Literatura na Zaolziu" na terenie Europy Zachodniej, połączonej z wieczorem autorskim, kiermaszem książek i koktajlem. Przybyło liczne grono osób, wśród nich byli również Ślązacy, absolwenci Uniwersytetu Śląskiego.

Jeden z nich, biznesmen, a także wykładowca tutejszej Szkoły Polskiej, Janusz Gębala, okazał się później naszym niezastąpionym przewodni-

kiem po urokliwym, nocnym Lyonie. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się o święcie „Beaujolais nouveau est arrive" („nowe Beaujolais przybyło"), w trakcie którego Francuzi degustują na wszystkich przepięknie przyozdobionych ulicach miasta pierwsze wino z tegorocznych zbiorów. To Lyończycy nagrodzili hucznymi oklaskami papieża, który w trakcie swej bytności w tym mieście powiedział, że Lyon posiada nie dwie, ale trzy rzeki: Rodan, Saonę i rzekę wina. Podobne święto odbywa się w czerwcu, jest to Święto Muzyki, w trakcie którego wszyscy właściciele restauracji i klubów wynajmują muzyków, którzy grają przez cały dzień na ulicach. Z kolei we wrześniu na ulice, ozdobione czerwonymi dywanami, wynoszą swoje stoiska antykwariusze, w ramach Drzwi Otwartych Antykwariuszy. Tego dnia każdy przechodzień jest ich gościem.

W dzień, pod nieobecność naszego cicerone Janusza, radziliśmy sobie sami, bowiem tutejsze metro gwarantowało nam bezproblemowe dotarcie do wszystkich ciekawostek, nawet bez dogłębnej znajomości języka. Zresztą Francuzi są tak mili, że można się z nimi zawsze dogadać za pomocą dowcipnej gestykulacji, radosnych okrzyków i angielskich słówek. Mój trzeci pobyt w kraju obfitującym w artystów zachęcił mnie do nauki języka, na starość bowiem (na wypadek spotkania ze złotą rybką lub bajkowym sponsorem) marzyłyby mi się twórcze, studyjne pobyty w moich ulubionych regionach, niekoniecznie na Lazurowym Wybrzeżu. Póki co warto pomarzyć... /cdn./

LYON: Jan Pyszko, W. A. Berger, Wilhelm Przeczek, Helena Legowicz, Kazimierz Kaszper - w pierwszym rzędzie - zaś w środku z tyłu, osoba najważniejsza, konsul Wojciech Podgórski *fot. autorka*

COLLEGIUM CANTICORUM KONCERTOWAŁO W OLSZTYNIE

Na zaproszenie Chóru Akademickiego im. prof. W. Wawrzyczka Akademii Rolniczo-Technicznej 27 października 1997 do Olsztyna przyjechał znany polski chór mieszany z Czeskiego Cieszyna Collegium Canticorum. Zespół ten do olsztyńskiej uczelni (10 wydziałów, 12 tysięcy studentów, 2 tysiące pracowników) praktycznie „wpadł" na jeden tylko wieczór, w drodze powrotnej z Trójmiasta, gdzie koncertował w ramach odbywającego się tam festiwalu muzyki oratoryjnej i sakralnej.

Zespół powitała przedstawicielka olsztyńskiego Chóru Akademickiego, która także przedstawiła zebranym krótką historię powstania, skład zespołu oraz ważniejsze sukcesy artystyczne. Bogate tradycje śpiewactwa na Zaolziu oraz związki ziemi cieszyńskiej z Warmią i Mazurami w skrócie omówił prezes Koła MZC w Olsztynie prof. Janusz Guziur. Powitał on także chór w imieniu 72 cieszyniaków-macierzowców, pochodzących z obu stron Olzy oraz prorektora prof.zw.dr.hab. Andrzeja Farugi, cieszyniaka, rodem z Kaczyc a także wiceprezesa Koła MZC w Olsztynie. Prezes MZC przypomniał zebranym, że przed wojną na stosunkowo niewielkim obszarze Zaolzia prężnie działało 108 polskich zespołów śpiewaczych, zaś naczelnym dyrygentem związkowym tych chórów był Ojciec autora Emanuel Guziur (1908-1989). Godnym uwagi jest fakt, że niedawno minęła 60. rocznica wielkiego sukcesu śpiewactwa zaolziańskiego, które na światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Warszawie zdobyło 3 pierwsze nagrody i wielkie uznanie. Na pozór dziwne, ale niedawno minęła inna rocznica - 30 lat temu odbyło się koncertowe tournée po Polsce, w tym także i w Olsztynie Chóru Nauczycieli Polskich z Zaolzia, także pod dyrekcją E. Guziura. W stolicy Warmii i Mazur Chór Nauczycieli Polskich przyjmowali cieszyniacy: twórca i opiekun Chóru Akademickiego ART prof. W. Wawrzyczek (1911-1969), ówczesny prezes ZNP-ART Olsztyn prof. Karol Bijok (1910-1978), prorektor uczelni prof. Józef Budsławski (1912-1978) oraz kurator oświaty WRN w Olsztynie mgr Józef Sikora (także nie żyjący).

Tak więc związki Cieszyna z odległą ziemią olsztyńską, datujące się jeszcze z początków stulecia (temat - rzeka), poprzez cieszyńską WSGW, przeniesioną do Olsztyna (1950), dalej są kultywowane i rozwijane.

Od lewej: prof. Janusz Guziur, dr Helena Cienciała-Nowak, dr Leszek Kalina

Fot. P. GUZIUR

Kompletnym zaskoczeniem Chóru CC wraz z dyrygentem Leszkiem Kaliną a także widowni było powitanie zespołu w oryginalnej gwarze zaolziańsko-góralskiej olsztyńskiej „gaździny" i „ciotki" rodem z Bystrzycy dr inż. Heleny Cieńciała-Nowak (emerytowanego pracownika naukowego uczelni). Pomimo 46-letniego pobytu w Olsztynie dr H. Nowakowa nie zapomniała rodowitej gwary i śląskich powiedzonek, a wymieniani i znani jej osobiście działacze i nauczyciele spod Czantorii czy Kozubowej znani byli także młodym chórzystom z Zaolzia.

W półtoragodzinnym programie koncertu CC znalazły się liczne „perełki" utworów chóralnych muzyki dawnej i współczesnej, i to zarówno polskiej (Mikołaj Gomółka, Wacław z Szamotuł, Stanisław Moniuszko), jak i kompozytorów obcych (m.in. G.D. Haendel, E.H. Grieg, P. Casals, F. Biancardi). Nie zabrakło też utworów kompozytorów czeskich i słowackich (Antonín Dvořák, J. Pančík, i in.). Szczególnie gorąco oklaskiwane przez młodzież akademicką były utwory nieco lżejsze a zwłaszcza utwór W. Dawsona (Soon ah Will Be Done), J. Paulsona (Kum Ba Yah) oraz na zakończenie oryginalnie wykonany Marsz J. Świdra (czyżby rodaka z Zaolzia?). Miarą sukcesu artystycznego chórzystów były gorące oklaski widowni (niestety niezbyt licznej) i zmuszanie chórzystów do „bisu", także ciepło przyjętego.

Po koncercie dyrygent Leszek Kalina wraz z częścią chórzystów spotkał się z organizatorami koncertu oraz olsztyńskimi cie-

szyniakami. Otrzymał też kilka bukietów kwiatów oraz pamiątkowy adres z życzeniami dalszych sukcesów w pracy artystycznej.

Niestety na dłuższe dyskusje nie było czasu, gdyż chór CC chcąc rano dotrzeć do domu, natychmiast wyjeżdża autokarem do Cieszyna (trasa ponad 600 km dodatkowo już oblodzona pierwszym śniegiem).

Oby częściej do stolicy Warmii i Mazur zajeżdżały polskie zespoły śpiewacze a także taneczne czy teatralne. Zespołowi Collegium Canticorum życzymy dalszych sukcesów oraz popularyzacji polskiego śpiewactwa zaolziańskiego.

JANUSZ GUZIUR
(prezes Koła MZC w Olsztynie)

GROMKIE BRAWA DLA PRZYJAŹNI

W drugą październikową sobotę br. 75-osobowy karwiński Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń z kierownikiem artystycznym Józefem Wierzgoniem i solistami Adelajdą Szymik i Władysławem Czepcem wyjechali do Piekar Śląskich w województwie katowickim, gdzie na zaproszenie miejscowego Śląskiego Chóru Górniczego Polonia-Harmonia wzięli udział w uroczystościach jubileuszowych z okazji 85-lecia istnienia tego zasłużonego i wielce cenionego zespołu.

Polonię-Harmonię od roku 1989 prowadzi wykładowczyni Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach adiunkt Iwona Melson. Przyjaźń koncertowała już z tym znakomitym zespołem (występującym w pięknych śląskich i górniczych strojach) w ubiegłym roku na koncercie inaugurującym Trokoja Śląskiego w Katowicach.

Chór-jubilat zaprezentował się na uroczystości jubileuszowej paroma pieśniami, udawadniając ich wysokim poziomem wykonawstwa artystycznego, iż słusznie należy do ścisłej czołówki wśród chórów województwa katowickiego.

Po przerwie w głównym programie wystąpiła karwińska Przyjaźń. Chór z orkiestrą już po wykonaniu pierwszej pieśni zdobył sobie serca i sympatię publiczności. Wykonaniu każdej następnej pieśni (G. Verdiego, Ch. Gounoda, St. Hadyny, M. Piwkowskiego, F. Lehara. J. Straussa) towarzyszyły gromkie i serdeczne oklaski. Rzęsiście oklaskiwano też solistów Adelajdę Szymik i Władysława Czepca.

Po wykonaniu ostatniej pieśni rozentuzjazmowana publiczność na stojąco domagała się bisowania. A potem na wspólnej, iście przyjacielskiej zabawie, rozbrzmiewały jeszcze długo przy dźwiękach akordeonu dyrygenta Przyjaźni rodzime pieśni śląskie i biesiadne w wykonaniu chórzystów z obu górniczych miast.

„Przyjaźniowcy" wracali późną nocą do Karwiny z poczuciem nieukrywanej radości i satysfakcji z wielce udanego koncertu.

-on-

KONCERT CHÓRU HASŁO W POLSCE

W ramach współpracy skrzeczońskiego Miejscowego Koła PZKO z zaprzyjaźnionym Towarzystwem Miłośników Grodkowa przebywał chór mieszany Hasło w dniach 8 i 9 listopada 1997 w Grodkowie.

Z okazji obchodów Święta Niepodległości Rzeczpospolitej Polskiej w pobliskiej gminie Olszanka przebiegł II Wojewódzki Festiwal Pieśni Patriotycznej „Tobie Polsko" zorganizowany przez Gminny Ośrodek Kultury i Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe w Opolu. W miejscowej szkole w różnych kategoriach wystąpiło 25 chórów z całego województwa opolskiego, przez które przewinęło się łącznie 358 śpiewaków. Jury imprezy udzieliło cały szereg nagród i wyróżnień w poszczególnych kategoriach, przy czym wśród amatorskich chórów mieszanych udzielono dwie równorzędne pierwsze nagrody, przy czym jedną z nich zdobył zaprzyjaźniony z chórem Hasło grodkowski chór Grodkovja z dyrygentem Aleksandrem Kwiatkowskim.

Po zakończeniu festiwalu odbył się przemarsz zespołów do pobliskiego kościoła parafialnego w Pogorzeli, gdzie odbył się koncert laureatów. U tu właśnie na początku koncertu gościnnie wystąpił skrzeczoński chór mieszany Hasło z wiązanką pieśni patriotycznych pod batutą Ireny Szeligi i przy fortepianowym akompaniamencie Franciszki Czernej. Konferansjerka Maria Sładeczek podkreśliła, iż wyjazd zespołu zaplanowano jeszcze z dyrygentem śp. Władysławem Ożogiem, który właśnie do gminy Olszanka został podczas drugiej wojny światowej wraz z całą rodziną wywieziony ze Skrzeczonia na prace przymusowe, pracując jako chłopiec w miejscowej piekarni. Los jednak chciał inaczej, bowiem w sierpniu br. po blisko 30-stu latach dyrygentury śp. Władysław Ożóg opuścił swoich podopiecznych na zawsze... Po występie organizatorzy wręczyli chórowi dyplom, puchar oraz okolicznościowy proporczyk.

Należy tutaj dodać, iż chór Hasło tym występem uczcił pamięć swego dyrygenta, w szeregach którego wystąpiła także żona Maria i córka Halina. Obecny był brat Emil, który również jako dziecko przebywał w Olszance, pracując w pobliskim gospodarstwie, którego wygląd przez te ponad 50 lat nie zmienił się bardzo.

Podczas dwudniowego pobytu skrzeczoniacy w obecności wiceburmistrza miasta Grodkowa i przewodniczącego Towarzystwa Miłośników Grodkowa mgr. Józefa Kośli zwiedzili Ratusz, Muzeum i Zamek Piastów Śląskich w Brzegu. Obejrzeli między innymi wystawę inspirowaną mazurkiem Dąbrowskiego, bowiem właśnie w bieżącym roku mija 200 lat, kiedy to Józef Wybicki napisał tekst pieśni legionów polskich we Włoszech. Ponadto zwie-

dzono Muzeum Józefa Elsnera w Grodkowie, gdzie równocześnie odbyła się próba zespołu. Delegacja skrzeczońskiego Koła złożyła bukiet kwiatów na miejscowym cmentarzu przy grobie byłego prezesa Towarzystwa Miłośników Grodkowa śp. Edwarda Hoszowskiego.

Odbyło się także spotkanie towarzyskie z członkami chóru Grodkovja, podczas którego na ręce przedstawicieli Towarzystwa i chóru przewodniczący Koła inż. Bogusław Czapek wręczył książkę Wincentego Szeligi „Tam około Bogumina". Ustalono również, iż grodkowski chór wystąpi w Skrzeczoniu i okolicy z kolędami.

DANUTA GUZIUR

ŚRODKI Z FUNDUSZU KULTURY UM W KARWINIE DLA CHÓRU DŹWIĘK

W marcu fundusz kultury Urzędu Miejskiego w Karwinie na łamach Gazety Karwińskiej ogłosił konkurs na projekty. Swój projekt złożył również chór mieszany Dźwięk. W maju zespół otrzymał pozytywną odpowiedź i środki finansowe potrzebne na nagranie taśmy magnetofonowej. Serdeczne podziękowania śpiewacy z Karwiny-Raju przekazują Komisji Kultury UM w Karwinie za wsparcie finansowe na nowe stroje dla chórzystów.

W dniach 15 i 16 listopada ubiegłego roku w studiu Permonik w Karwinie chór Dźwięk nagrywał swoją pierwszą taśmę magnetofonową. Nagrania trwały dwa dni, a czuwali nad ich przebiegiem najlepsi fachowcy w tej dziedzinie František Mixa i Ivo Roubal.

Pod batutą prof. Haliny Goniewicz-Urbaś zespół nagrał 22 utwory. Na kasecie znajdą się między innymi pieśni J. Świdra, M. Gomółki, S. Moniuszki, J. Maklakiewicza, J. Gawlasa, P. Kalety, S. Hadyny. Słuchać będzie można również pieśni „Tam w ogródeczku" w opracowaniu Jolanty Szopy, która obecnie jest chórzystką Dźwięku. Atrakcją nagrania jest śpiew solowy byłej członkini zespołu, a obecnie siostry w zakonie karmelitanek bosych w Norwegii Marii Bernadetty od Niepokalanego Poczęcia. W kilku nagraniach wykorzystano wspaniały akompaniament Piotra Cirbusa i Katarzyny Kunschke.

Na okładce obok spisu nagranych utworów, wykazu i zdjęcia chórzystów znalazły się także reprodukcje obrazów Tadeusza Wratnego. Jego grafiki frysztackiego rynku i miasta są umieszczone na okładce w związku z pomocą finansową Urzędu Miejskiego oraz z okazji 730-lecia Karwiny.

W styczniu kaseta rozprowadzana będzie za pośrednictwem chórzystów chóru mieszanego Dźwięk.

KSENIA OWCZARZY

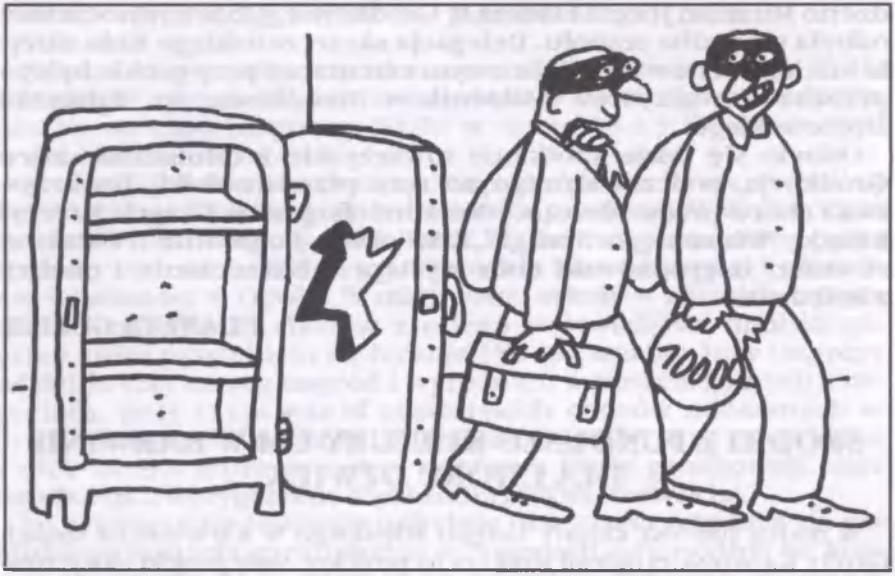

JESZCZE ZDĄŻYMY NA BAL MASKOWY

... A NA POCIECHĘ ZAPEWNIAM, ŻE WŁADZĘ BĘDĘ SPRAWOWAĆ TYLKO DO KOŃCA ROKU.

rys. Bronisław Liberda

POLACY Z ZAOLZIA SĄ DLA NAS PRZYKŁADEM ZAANGAŻOWANIA

W chlubne dzieje Cisownicy wpisał się długoletni kierownik szkoły cisownickiej Jan Ożana. Przybył do wsi w 1881 r. z Błędowic. Jemu cisownicza-nie zawdzięczają budowę dwóch budynków szkolnych, założenie Straży Pożarnej, koła Macierzy Szkolnej, koła Związku Młodzieży Ewangelickiej, Kółka Rolniczego, wzniesienie remizy strażackiej. Posiadał dużą wzorową pasiekę, do Ożany przyjeżdżali studenci Seminarium Nauczycielskiego na Bobrku, aby uczyć się pszczelarstwa.

Z szacunku, jakim się we wsi i okolicy cieszył, gospodarze zapraszali go na wesela i różnego rodzaju uroczystości. Zmarł w 1946 r., spoczywa na cmentarzu ewangelickim. Najstarsi mieszkańcy wciąż powtarzają, iż zasług kierownika Jana Ożany nikt nie zliczy.

W okresie międzywojennym w szkole pracował nauczyciel Józef Jurczek, również z Błędowic. Posiadał dużą własną bibliotekę, dysponując rzadkimi na owe czasy książkami naukowymi, z przewagą cennych pozycji przyrodniczych i medycznych.

Po zakończeniu II wojny światowej w roku 1946 w Cisownicy Józef Ondrusz prowadził kolonię dla dzieci polskich z Czechosłowacji. On to przygotował z młodzieżą piękne, wzruszające powitanie pisarza Kornela Makuszyńskiego, przedstawiciela Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża.

Już na schodach szkoły witano autora „Szatana z siódmej klasy" piosenką „Ej dziewczyno, ej niebogo, jakieś wojsko pędzi drogą..." Były to słowa Makuszyńskiego. Potem w rozmowie z pisarzem dzieci polskie z Zaolzia wykazały się doskonałą znajomością treści książek tegoż autora.

Właśnie dzięki zapisom Józefa Ondrusza w czytance dla uczniów klasy III znajduje się tekst „Wspomnienia o Kornelu Makuszyńskim", związany z jego bytnością w Cisownicy pod Czantorią, z podpisem Józef Ondrusz.

Karol Wawracz, urodzony w Sibicy, pracował w tutejszej szkole jako nauczyciel kilkanaście lat. Dał się poznać jako działacz społeczny, szczególnie wiele zawdzięcza mu cisownickie Kółko Rolnicze, gdzie przez wiele lat pełnił funkcję sekretarza, znał stenografię, biegle pisał na maszynie. Stąd protokoły pisane były bardzo dokładnie.

Karol Wawracz jest autorem monografii Cisownicy w maszynopisie. Do dziś dobrze nam służy jego zielnik roślin występujących na obszarze Sibicy i okolicy, wykonany w 1921 r.

Paweł Łyżbicki, pochodzący z Wędryni, pracował najpierw jako dyrektor Szkoły Przemysłowej w Goleszowie, po jej rozwiązaniu w latach pięćdzie-

siątych został kierownikiem szkoły podstawowej w Cisownicy. Był wspaniałym organizatorem imprez kulturalnych, miłośnikiem kwiatów. Za jego kadencji obejście szkoły i domu nauczycielskiego wyróżniało się pięknie zadbanym ogrodem ze szlachetnymi odmianami drzew owocowych. Pod jego kierunkiem uczniowie o artystycznych uzdolnieniach wyżywali się w zajęciach pozalekcyjnych; szczególnie w przedstawieniach różnych baśni. Paweł Łyżbicki, dostarczając bogatych przeżyć, wiązał uczniów emocjonalnie z rodzinną wsią. Zmarł nagle na zawał serca w listopadzie 1961 r. nie doczekawszy emerytury. Spoczywa na cisownickim cmentarzu.

Na Cisownicę zechciał też zwrócić uwagę redaktor Głosu Ziemi Cieszyńskiej, aktualnie wykładowca na uniwersytecie w Ostrawie, poeta Kazimierz Kaszper, rodem z Wędryni. Poświęcił mieszkańcom naszej wsi niejeden artykuł. Wskazał osobliwości niedużej wioski pod Czantorią.

Dzięki Klubowi Propozycji w Cieszynie CIS, kierowanemu przez nestora dziennikarzy polskich Władysława Oszeldę, zawiązały się nowe przyjazne układy między zaolziańskimi Polakami a sympatykami Klubu Propozycji w Cisownicy.

Dobry początek spotkaniom w Cisownicy dała Urszula Wawrosz-Czudek, nauczycielka polskiej szkoły w Mostach koło Jabłonkowa. Zauroczyła słuchaczy recytacjami utworów swego ojca Adama Wawrosza. Przekonała o niezwykłej wartości gwary, wierszami i opowiadaniami przywołała obrazy z przeszłości prostego ludu. Zachęciła do przyjaźni z książką „Z Adamowej dzichty", aby przywrócić pamięci słowa i mowę naszych stareczek i starzyków.

Do wsi pod Czantorią zechcieli też przyjechać prof. Daniel Kadłubiec i dr Józef Wierzgoń na wieczór Jadwig, Iren i Teres. Profesor przygrywał na skrzypcach, doktor Wierzgoń grał na akordeonie. Wcześniej rozdał teksty ludowych pieśni cieszyńskich z nutami, aby rozśpiewać towarzystwo. Prof. Daniel Kadłubiec opowiadał różne historie „po naszymu", tłumacząc jednocześnie jaką ogromną wartość posiada gwara, jakie bogactwo stanowi w kulturze ogólnonarodowej. W wieczorze tym uczestniczyła także Jadwiga Czap. Wszyscy w nastroju radości przeżywali spotkanie i jakoś nikt nie śpieszył się do domu, nie spoglądał nerwowo na zegarek.

Z wielkim zainteresowaniem cisowniczanie słuchali Władysława Kristena 2 kwietnia 1997. Zadziwił nas rozległą wiedzą z dziedziny botaniki, ze szczególnym uwzględnieniem znajomości roślin mających właściwości lecznicze. Wyjaśnił, że już w starożytności zioła służyły ratowaniu zdrowia i urody.

Wiernym sympatykiem mieszkańców Cisownicy jest Kornel Kalina z Suchej Górnej. Ma kłopoty z poruszaniem się, ale nawet najgorsze warunki atmosferyczne nie stanowią dla niego przeszkody, by zobaczyć kolejną wystawę zorganizowaną w Gminnej Świetlicy w Cisownicy. Szczególnie zadziwił go bogaty zbiór starodruków i starych fotografii spod cisownickich strzech. Gość zza Olzy nie mógł uwierzyć, w jaki sposób udało się ludziom przechować tyle cennych materiałów mówiących o wsi. Kontakty z nami utrzymuje od pierwszych miesięcy 1993 roku. W maju

1993 przyjął zaproszenie cisownickiego Klubu Propozycji i przedstawił uczestnikom spotkania dzieje Suchej Górnej. Opowiadał o ludziach, którzy w różnoraki sposób dokumentowali przywiązanie do korzeni, akcentował wierność polskim tradycjom. Wskazywał szczególnie chlubne karty historii Suchej Górnej. Wiele mówił o działalności różnych organizacji, stowarzyszeń, o zaangażowaniu grup zawodowych na rzecz wzbogacania dorobku kultury polskiej. Dowiedzieliśmy się, że pierwsza wzmianka historyczna o Suchej Górnej pochodzi z 1305 roku, tak jak i Cisownica.

Sympatyczny suszanin szybko pozyskał sobie słuchaczy barwnym, przekonywującym sposobem przekazywania informacji. Zawsze z radością witany bywa w cisownickiej placówce kulturalnej.

Zachowujemy wdzięczność dla Kornela Kaliny za bezinteresowne dostarczanie nam prasy polskiej zza Olzy – Głosu Ludu i Zwrotu. Ofiarował nam też różne okazjonalne wydawnictwa, które ukazały się na Zaolziu. Dzięki tym materiałom wielu z nas mogło zorientować się w różnorodności Waszych inicjatyw i dokonań. Mamy obraz Waszego życia, potrafimy sobie wyobrazić, co Was cieszy i co Wam spędza sen z oczu. Dostrzegamy osoby, które z trudnych sytuacji wychodzą zwycięsko.

Cenimy sobie przyjazne kontakty z Polakami z drugiego brzegu Olzy. Dziękujemy za wartości, które czynią nasze życie bogatsze duchowo.

Wszystkim czytelnikom Zwrotu i zespołowi redakcyjnemu życzą wszelkiej pomyślności i szczęścia w Nowym Roku cisowniczanie.

cis

SPOTKANIE PO 62 LATACH

Szanowna Redakcjo,

Chcę tą drogą podziękować panom Stanisławowi Ruszowi i Janowi Cienciale za ich wysiłek, ochotę i niemały trud włożony w zorganizowanie spotkania byłych uczniów drugiej klasy Szkoły Ludowej w Bystrzycy. Był to rok szkolny 1934–1935. Po 62 latach spotkaliśmy się w licznym gronie, bo przybyło nas na spotkanie ponad trzydziestu. Sześćdziesiąt lat to szmat czasu, więc nieraz trzeba było odświeżyć pamięć i przedstawić się, żeby jeden drugiego mógł poznać. No cóż, dziś liczymy po siedemdziesiąt lat, jesteśmy dziadkami i pradziadkami, a czas swoje robi.

Spotkanie było bardzo udane. Było miło i wesoło. Były piosenki takie jak za dawnych lat „Kiedy ranne wstają zorze", „Jadą, jadą dzieci drogą" i inne. Przyjemnie jest powspominać dawne czasy.

Dziękuję wszystkim za miłe spotkanie.

Absolwentka klasy 2
rok 1934–1935

11 listopada 1997

Na powyższej starej fotografii z roku 1935

Pierwszy rząd – siedzą na ziemi

1. Cienciała Jan
2. Raszka Józef
3. Lasota Jan +
4. Noga Jan
5. Stonawski Jan +
6. Grochol Franciszek

Drugi rząd – siedzą

1. Karzłówna Anna
2. Jaworkówna Bronisława
3. Bujokówna Helena +
4. Wawreczkówna Emilia
5. Młynkówna Zuzanna
6. kier. Ciahotny
7. naucz. Malczykówna
8. Czudkówna Anna +
9. Młynkówna Anna +
10. Łyżbicka Zuzanna +
11. Szolona Helena
12. Turoniówna Maria

Trzeci rząd – stoją

1. Kajzarówna Emilia
2. Turoniówna Anna
3. Szymczyskówna Anna
4. Szkanderówna Anna
5. Łabajówna Helena
6. Grocholówna Zuzanna
7. Ziętkówna Anna
8. Cupkówna Elżbieta

9. *Cieślarówna Anna +*
10. *Turoniówna Anna*
11. *Szlaurówna Emilia +*

Czwarty rząd – stoją na podwyższeniu

1. *Pomykaczówna Anna*
2. *Wojnarówna Helena*
3. *Czernekówna Ewa*
4. *Kaletówna Helena*
5. *Michałkówna Helena*
6. *Turoniówna Anna*
7. *Myrtynkówna Anna +*
8. *Lasotówna Emilia*
9. *Heczkówna Helena*
10. *Kusiówna Małgorzata*
11. *Pawlusówna Anna +*
12. *Samcówna Emilia*
13. *Wawreczkówna Emilia*
14. *Młynkówna Ewa*

Piąty rząd – najwyższy stopień

1. *Marosz Adam +*
2. *Kasztelnik Tadeusz*
3. *Raszka Jan*
4. *Pasz Franciszek +*
5. *Ćwik Józef +*
6. *Matula Jan +*
7. *Turoń Emanuel*
8. *Rusz Stanisław*
9. *Koždoń Józef*
10. *Toszek Karol +*
11. *Lisztwan Jan +*
12. *Lisztwan Jan*
13. *Hazuka Karol +*

Spotkanie w jubileuszowym wieku 70 lat

WYSTAWA POLSKIEJ KSIĄŻKI

11 listopada 1997 roku, tradycyjnie w obchodzonym w Polsce dniu Święta Niepodległości, zainaugurowana została w czeskocieszyńskim Klubie PZKO przy ul. Bożka V Wystawa Książek Polskich Wydawców. Organizatorami wystawy byli Hurt Księgarski Alfa z Bielska-Białej i Czeskiego Cieszyna, ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, Konsulat Generalny RP w Ostrawie, redakcja Głosu Ludu z Ostrawy, Wydawnictwo Wiedza Powszechna z Warszawy.

Na otwarcie wystawy przybyli liczni goście oficjalni, m.in. dyrektor Departamentu Książki i Czytelnictwa Ministerstwa Kultury i Sztuki RP Stanisław Kajak, dyrektor Wydawnictwa Literackiego (ubiegłorocznego laureata księgarskiej Nagrody Ikara, do której nominowany był również Zenon Wirth ze swoją Alfą) Janusz Adamczyk, pisarz Andrzej Zaniewski (autor powieści „Szczur", „Cywilizacja ptaków", „Król szczurów" oraz promowanej pozycji „Król tanga"), wicedyrektor Wiedzy Powszechnej Ewa Stańczuk, redaktor Notesu Wydawniczego Jakub Frołow, krytyk literacki Tadeusz Żółciński, konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, członkowie Rady Polaków Bronisław Walicki, Kazimierz Worek, Roman Baron. Obecni byli również przedstawiciele innych polskich organizacji z Zaolzia, ludzie kultury: pisarze, plastycy, muzycy, aktorzy, bibliotekarze, nauczyciele.

◀ *Grafika komputerowa – BRONISŁAW FIRLA*

Program inauguracji rozpoczęła krótkim recitalem piosenkarskim aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego Lenka Pešák. Dyrektor Hurtu Księgarskiego Alfa Zenon Wirth powitał wszystkich miłośników książki przybyłych na wernisaż. Goście podkreślali w swych wystąpieniach znaczenie książki polskiej, zwłaszcza dla Polaków zamieszkujących poza granicami Polski. Wyrażali też uznanie dla organizatorów wystawy.

W wystawie wzięło udział 25 oficyn wydawniczych z całej Polski, m.in. Wydawnictwo Literackie, Wiedza Powszechna, Wydawnictwo Naukowe PWN, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Ossolineum, Arkady, Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Nasza Księgarnia, Rebis, Debit. Wystawa jak co roku połączona została z kiermaszem. Zwiedzający mieli możliwość wyboru z bogatej oferty książek popularnonaukowych, słowników, encyklopedii, poradników, niektórych nawet w wersji multimedialnej. Do kupienia były dzieła literatury pięknej autorów polskich i obcych, klasyki i literatury współczesnej. Powodzeniem cieszyły się kolorowe książeczki dla najmłodszych i nieco starszych dzieci, książki popularnonaukowe dla młodzieży. Nie zabrakło również publikacji autorów związanych z Zaolziem.

Wystawa w Czeskim Cieszynie zakończyła się 15 listopada. Stamtąd książki przeniesione zostały, już też zgodnie z tradycją, do Domu PZKO w Jabłonkowie. Udostępniono je zwiedzającym w dniach od 20 do 23 listopada. Nowością V Wystawy Książek Polskich Wydawców był jej trzeci etap. Z Jabłonkowa książki powędrowały na przeciwległy kraniec Zaolzia do Domu PZKO w Karwinie-Frysztacie. Mieszkańcy miasta i okolic mogli je obejrzeć i zakupić w dniach od 27 do 29 listopada.

C.R.

OBRADY KOMISJI SZKOLNEJ

Komisja Szkolna zebrała się 10 listopada ub. r. i ustaliła tematy, które podejmie podczas obrad w 1998 roku:

a) opracowanie koncepcji polskiego szkolnictwa,
b) przygotowanie materiałów dla organów doradczych przy Ministerstwie Szkolnictwa RC,
c) problematyka nauczania języka polskiego w szkołach zawodowych,
d) konieczność wprowadzenia ochronek.

Komisja wystosuje apel do społeczeństwa, zwłaszcza do pedagogów, o nadsyłanie propozycji problemów, którymi Komisja Szkolna powinna się zająć.

T.T.

ODSŁONIĘCIE POMNIKA LEGIONISTÓW

Z okazji Święta Niepodległości Rzeczpospolitej Polskiej odbyła się w Jabłonkowie uroczystość odsłonięcia Pomnika Legionistów (po

renowacji), której organizatorami było Koło Polskich Kombatantów w RC oraz MK PZKO Jabłonków.

Mimo niesprzyjającej pogody, obfitych opadów mokrego śniegu, przed tablicą pamiątkową ku czci marszałka Józefa Piłsudskiego i na cmentarzu licznie zebrali się mieszkańcy Jabłonkowa i okolicznych gmin, a także zaproszeni goście. Między innymi konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk i konsul Piotr Szwarc, przedstawiciele ataszatu wojskowego Ambasady RP w Pradze, pełnomocnik Wojewódzkiego Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych w Bielsku-Białej ppkł. Andrzej Sitek, ewangelicki dziekan Krakowskiego Okręgu Wojskowego ks. kpt. Zbigniew Kowalczyk, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, przedstawiciele władz miasta i Rodziny Katyńskiej oraz kombatanci z Cieszyna i Ustronia.

Po złożeniu kwiatów pod tablicą upamiętniającą pobyt Józefa Piłsudskiego w Jabłonkowie w roku 1914 zgromadzeni udali się na cmentarz, gdzie odsłonięcia Pomnika Legionistów dokonał konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk, a poświęcił go ks. Kowalczyk.

Pomnik wykonany przez nieznanego rzeźbiarza w latach trzydziestych został poddany renowacji przez czeskiego artystę rzeźbiarza Oto Cienciałę z inicjatywy Koła Polskich Kombatantów, dzięki pomocy Konsulatu Generalnego w Ostrawie i wsparciu finansowemu Urzędu Ochrony Miejsc Pamięci Narodowej w Warszawie.

Druga część uroczystości miała miejsce w Domu PZKO, gdzie konsul Bernard Błaszczyk udekorował 18 kombatantów Krzyżami Weteranów.

E.S.

UROCZYSTA AKADEMIA W WĘDRYNI

Miejscowe Koło PZKO w Wędryni liczy prawie 700 członków. W sobotę 15 listopada zebrała się bardzo liczna ich reprezentacja wraz z rodzinami, by uczcić jubileusz 50-lecia swojej organizacji. Program spotkania wypełniły występy zespołów działających w ramach Koła, bo takie było założenie Zarządu Koła - pokazać dorobek własny. A trzeba przyznać, że mają wędryniacy czym się pochwalić. Ponad 90 lat działa w Wędryni zespół gimnastyków, znany nie tylko na naszym terenie, ciągle wzbogacający swój program. Równie długo działa tu amatorski teatr. Oba zespoły cieszą się ogromną popularnością i nic dziwnego w tym, że kiedy występują w wędryńskiej Czytelni, trudno znaleźć wolne miejsce.

W sobotniej akademii obok gimnastyków i aktorów, którzy na tę okazję przygotowali specjalnie jednoaktówkę Adama Wawrosza „Haudamasz", wziął również udział miejscowy zespół śpiewaczy, przedszkolaki i młodzież szkolna oraz zespół taneczny „TO MY", działający pod kierownictwem Ireny Ondraszek.

Prezes MK PZKO Bogusław Raszka podziękował wszystkim za aktywną działalność, wskazując na dobrą współpracę Koła z władzami gminy, czego przejawem była obecność na uroczystości starosty Wędryni Stefana Kujawy.

Pięćdziesięcioletni dorobek Koła podsumował Józef Kaszper, założyciel i jego pierwszy długoletni prezes (ponad 20 lat). Powiedział między innymi: *Minęło 50 lat. Ogromny szmat czasu! Pół wieku cierpliwej, mrówczej pracy. Pół wieku niewzruszonej wiary w sensowność wysił-*

ków mających na celu zachowanie tego, co najważniejsze w życiu człowieka – tożsamości narodowej, kulturalnej, wyznaniowej.

50 lat byliśmy związani z gmachem Czytelni. To tutaj, na tej sali, obok w restauracji, na górze w świetlicy, rodziły się przyjaźnie i koleżeńskie związki, które utwierdzały nas w przekonaniu, że warto nie ulegać zniechęceniu i naciskom z zewnątrz. Uzmysławiały otóż, że praca społeczna może mieć także swój bardzo sympatyczny wymiar indywidualnego i grupowego przeżycia. (...) Przecież marzenie o polskości wcale nie musi być tęsknotą do słowa, obrazu i dzwięku, ale także – a kto wie czy nie przede wszystkim – do dziewczyny czy chłopca z tej samej szkoły lub zespołu, do szczególnego klimatu przy ognisku, na próbie, wycieczce czy nawet budowie, wreszcie do pogodnego snucia wspomnień przy seniorskim stoliku.

Wszystko to w końcu oznacza to samo: bezkonfliktową realizację siebie i własnych celów życiowych. Bezkonfliktową – czyli respektującą źródła, z których biorą początek nasze wyobrażenia o świecie i własnej w nim obecności: regionalne tradycje i narodowe treści. (...)

I może właśnie dlatego chciałbym Was, Kochani, zapewnić, że były to piękne lata, najwspanialsze, jakie potrafiłbym sobie wyobrazić. Dziesiątki czy nawet setki i tysiące godzin spędzonych w tym Domu pozwalały nam – wędryńskim Polakom – czuć się jak jedna wielka rodzina, która – niezależnie od siły zewnętrznych nacisków – zawsze potrafiła znaleźć dla swoich członków słowa otuchy, wsparcia i zrozumienia. To jest najwspanialsze doświadczenie, jakie wynoszę z pięćdziesięciu lat pracy w naszym Kole PZKO. I za nie właśnie chciałbym Wam wszystkim z całego serca podziękować.

E.S.

50–LECIE SKRZECZOŃSKIEGO KOŁA PZKO

W sobotę 15 listopada ub. r. setka skrzeczońskich pezetkaowców uroczyście obchodziła w Domu PZKO jubileusz 50–lecia istnienia skrzeczońskiego Koła PZKO.

Spotkanie zorganizowane według scenariusza zasłużonego działacza Konstantego Krzystka rozpoczął wiązanką okolicznościowych piosenek chór mieszany Hasło, pod batutą Ireny Szeligi. Następnie historyczny zarys bogatej 50–letniej działalności Koła przedstawili członkowie Zarządu Koła Maria Sładeczek i Bogdan Waluszczyk, wspominając kolejno poprzednich przewodniczących Koła, którymi byli: Józef Szczepański, Maksymilian Guziur, Bogumił Goj, Józef Bugdol, Konstanty Krzystek, Albert Grzebień, Teofil Curzydło, Władysław Kwaśnica, Eryk Czerny, Alojzy Sładeczek i obecnie Bogusław Czapek. Prężnie działała również grupa Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej.

W okresie minionego półwiecza działały takie zespoły jak: chór

mieszany Hasło, zespół rewelersów, żeńskie chóry Hasełko i Skrzeczonianka, zespół teatralny Świt, zespół taneczny, estradowo-kabaretowy Andrusi oraz zespoły muzyczne Meteor i Krater. Bogatą działalnością mogą się także poszczycić Kluby – Dziecięcy, Młodych, Kobiet i Seniorów oraz kółka zainteresowań – szachowe, czytelnicze, tenisa stołowego, drużyna piłki nożnej. Organizowano bale, festyny, kursy szycia i tańców, wystawy, prelekcje, wycieczki, Skrzeczońskie Koktejle oraz Muzyczne Jesienie. Ponadto Koło objęło patronat nad wspólnym grobem 104 Polaków na skrzeczońskim cmentarzu, prowadzi polski oddział bogumińskiej Miejskiej Biblioteki, współpracuje ze szkołami w Lutyni Dolnej i Boguminie oraz Towarzystwem Miłośników Grodkowa. Oprócz tego od 1990 roku w Skrzeczoniu działa drużyna Harcerstwa Polskiego w RC im. Henryka Sienkiewicza pod kierownictwem druhny harcmistrzyni Alicji Berki. Długoletnim kronikarzem Koła, a także powojennych polskich organizacji działających na terenie Skrzeczonia był Rudolf Wójcik.

Ważnym wydarzeniem w historii Koła był wykup w roku 1973, a następnie przebudowa Domu PZKO. W związku z powyższym do najbardziej zasłużonych członków Koła należą: Eryk Czerny, Bronisław Waluszczyk, Stanisław Górniok, Otto Guziur, Albert Grzebień, Rudolf Stawowczyk, Szczepan Kwaśnica, Piotr Wnętrzak, Ludwik Machaczek, Franciszek Popek, Tadeusz Szeliga, Emilia Szymura i wielu innych ofiarnych członków. Dom PZKO służy nie tylko Kołu, ale korzystają z niego także inne organizacje społeczne oraz są tutaj organizowane spotkania o charakterze rodzinnym i towarzyskim.

W trakcie jubileuszowych obchodów członkowie Koła minutą ciszy uczcili pamięć zmarłego w sierpniu ub. r. zasłużonego działacza Koła, długoletniego dyrygenta chóru Hasło śp. Władysława Ożoga.

Najmłodszej członkini 15-letniej Halinie Szelidze wręczono legitymację członkowską. W pomieszczeniach Domu można było obejrzeć wystawę fotografii z historii Koła i kupić książki, w trakcie kiermaszu zorganizowanego przez bibliotekarkę Danutę Guziur, a dostarczone przez czeskocieszyński Contact i ofiarowane przez inż. Mariana Klisza. Dużym zainteresowaniem cieszyła się książka skrzeczoniaka Wincentego Szeligi, którą można było nabyć wraz z autorską dedykacją.

W pogramie kulturalnym obok chóru zaprezentował się odmłodzony 11-osobowy zespół estradowo-kabaretowy Andrusi pod kierownictwem Czesława Bugdola. Jako ciekawostkę warto podać fakt, że różnica wieku między najstarszym (Konstanty Krzystek) i najmłodszym (Krzysiek Gałuszka) wynosi prawie 80 lat. Na spotkaniu zaprezentowano także scenkę pt. „Romans" z Ireną Hrabiš w roli głównej.

T.G.

10-LECIE DOMKU PZKO W LIGOTCE KAMERALNEJ

Z okazji 50-lecia PZKO i 10-lecia otwarcia Domku PZKO w Domu Kultury w Ligotce Kameralnej odbyła się uroczysta akademia. Na szczególną pochwałę zasłużyli sobie organizatorzy jubileuszowego spotkania, bowiem to, co pokazali w ramach wystawy - stare fotografie, dokumenty i grafiki z przeszłości Ligotki Kameralnej i Koła - z powodzeniem mogłoby zapełnić niejedną salę muzealną. Liczące zaledwie 100 członków Koło może się poszczycić własnym budynkiem, choć małym, ale niezwykle przytulnym. Od początku jest ulubionym miejscem biwakowych spotkań naszych harcerzy i nie tylko. Prezes Paweł Kubica, reperezentujący młodszą generację pezetkaowską, nie narzeka na kłopoty, choć te na pewno są. Jest pełen optymizmu co do dalszej działalności Koła, bo choć w Ligotce Kameralnej nie ma ani polskiego przedszkola, ani polskiej szkoły, to jednak dzieci dojeżdżają do polskich placówek w Gnojniku i stanowią liczebnie największą ich część. Swoje talenty zaprezentowały na scenie. W sali ligockiego Domu Kultury niedzielne popołudnie 16 listopada spędziło ponad sto osób, wiele wielopokoleniowych rodzin. Trudno opisać wspaniałą rodzinną atmosferę spotkania, gdzie nawet obcy nie czuł się samotnie. Tu wszystko było niekonwencjonalne, nawet wyróżnienia dla najbardziej zasłużonych społeczników - serca z piernika, wręczane przez najmłodszych. Oczywiście był także upominek w postaci Leksykonu PZKO, a dla wszystkich poczęstunek w postaci smacznego gulaszu.

Koło zaprezentowało także własny ludowy zespół taneczny pod kierownictwem Ewy Sabeli, a dla wszystkich śpiewał chór męski Gorol pod batutą nowego dyrygenta Andrzeja Mozgały. Wzbudził niezwykły aplauz wśród słuchaczy, toteż musiał przedłużyć swój występ. E.S.

50 LAT KOŁA PZKO W MARKLOWICACH

Dokładnie w dniu 50. rocznicy powstania Koła PZKO Marklowice 16 listopada ub. r. odbyło się uroczyste zebranie sprawozdawcze, które poprowadził prezes Koła Karol Sikora. W programie kulturalnym wystąpił chór mieszany Piotrowice-Marklowice oraz dzieci z polskiego przedszkola w Karwinie-Granicach. Historię Koła przedstawił jego sekretarz Jan Rygiel.

W zebraniu gościnnie wzięli udział m.in. starosta gminy Petr Trojek i prezes ZG PZKO Jerzy Czap.

T.T.

KONWENT POLSKIEJ SEKCJI NARODOWEJ RUCHU POLITYCZNEGO WSPÓLNOTA

W piątek 21 listopada 1997 z udziałem członków Rady Wykonawczej, Rady Republikowej i działaczy terenowych odbył się w Czeskim Cieszynie Konwent Polskiej Sekcji Narodowej Ruchu Politycznego Wspólnota. Uczestnicy zebrania otrzymali pisemne sprawozdanie z działalności Ruchu za okres 16. 2. 1996 - 21. 11. 1997.

Referat omawiający działalność Wspólnoty przedstawił Alfred Kołorz. Sytuację polskiej kultury, oświaty i szkolnictwa omówił Edwin Macura. W trakcie Konwentu przygotowano ankietę, która pomoże zorientować się czy przesunięcie czasu antenowego audycji polskich Radia Ostrawa ograniczyło ilość słuchaczy.

Projekt obsady personalnej Ruchu przedstawił Władysław Drong. Wybrano 27 delegatów na Kongres Wspólnoty, który odbędzie się prawdopodobnie w marcu 1998 roku. Przewodniczącym polskiej sekcji wybrano ponownie Alfreda Kołorza, jego zastępcą Mariana Janasa.

T.T.

JUBILEUSZ MK PZKO PIOTROWICE

Koło PZKO w Piotrowicach było założone 23 listopada 1947 r. Z okazji 50-lecia Koła zarząd zorganizował dwie imprezy. 5 października odbyła się „gulaszówka", na której program kulturalny zapewnił chór mieszany Piotrowice-Marklowice. Ponownie śpiewali chórzyści na uroczystym zebraniu sprawozdawczym w dniu 23 listopada. W programie kulturalnym (dwie scenki) zaprezentowali się także państwo Pawlasowie z Hawierzowa-Szumbarku.

Referat przedstawiający 50-letni dorobek Koła przedstawił prezes Koła Henryk Toman. W zebraniu wziął udział starosta gminy Petr Trojek. W imieniu Zarządu Głównego PZKO był obecny Stanisław Gawlik. **T.T.**

WYSTAWA POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-SPORTOWEGO BESKID ŚLĄSKI

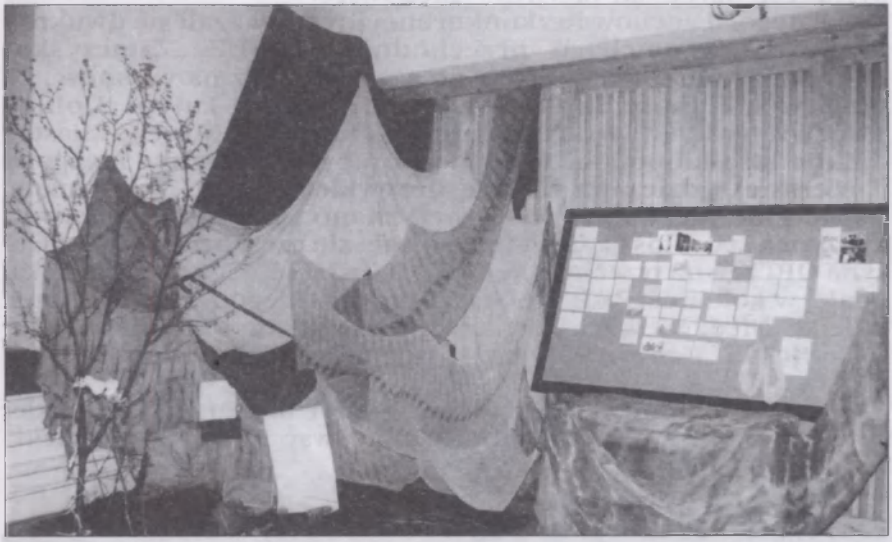

W sali Czytelni w Wędryni w dniach 22 - 30 listopada miała miejsce wystawa z okazji 75. rocznicy powstania Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Sportowego Beskid Śląski w obrębie Republiki Czechosłowackiej. Jej organizatorem był Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków, a autorami - Danuta Branna i Józef Szymeczek. Na wystawie zostały pokazane dokumenty i fotografie obrazujące działalność organizacji od czasów austriackich po dzień dzisiejszy.

Z okazji jubileuszu PTTŚ Beskid Śląski odbyło się również uroczyste zebranie przedwojennych i obecnych jego członków. Reaktywowany po latach zakazów w październiku 1991 roku związek liczy obecnie 260 osób. Jego prezesami w najnowszym okresie dziejów byli Bronisław Mencner i obecnie już po raz drugi Franciszka Chocholáč. Beskid Śląski jest widoczny w życiu turystyczno-sportowym społeczności polskiej na Zaolziu, choć nie posiada należnego mu majątku.

E.S.

IV FESTIWAL PIOSENKI HARCERSKIEJ

Dom PZKO w Hawierzowie–Błędowicach 22 listopada tętnił radosnym śpiewem zuchów i harcerzy, biorących udział w IV Festiwalu Piosenki Harcerskiej. Tym razem organizatorem festiwalu był szczep harcerski Cierlicko–Błędowice.

W kategorii zuchów bezkonkurencyjnymi okazali się dwukrotni zdobywcy pucharu przechodniego – DZ „Zamczysko" z Gródka, zdobywając puchar po raz trzeci, już na własność. Za nimi w kolejności uplasowały się zuchy z Lutyni Dolnej, Stonawy, Nydku, Cierlicka, Błędowic i Karwiny–Nowego Miasta.

Z nie lada kłopotami musieli uporać się jurorzy w kategorii harcerskiej, gdzie poziom był niezwykle wysoki i wyrównany. Ostatecznie pierwsze miejsce przyznano „Czarnym Panterom" z Trzyńca, a o włos za nimi uplasowała się czeskocieszyńska drużyna OPTY, a na trzecim miejscu DH Żwirki i Wigury z Cierlicka. I dalej w kolejności DH im. Stasia Tarkowskiego z Lutyni Dolnej, „Wielka Niedźwiedzica" z Karwiny–Frysztatu, „Robinsonowie" z Cierlicka i „Drużyna Mocnego Uderzenia" z Karwiny–Nowego Miasta.

Po części konkursowej wystąpili starsi harcerze Harcerskiej Drużyny Wodnej OPTY, prezentując wspaniały „wodniacki" show.

E.S.

„ZABIJACZKA" W NAWSIU PO RAZ TRZECI

Do Domu PZKO w Nawsiu w andrzejkowy wieczór po raz kolejny przybyli w komplecie goście, bowiem tutejsza „zabijaczka" cieszy się zasłużoną sławą jako impreza, na której można dobrze zjeść i wspaniale się zabawić. Toteż zjechali się miłośnicy folkloru nie tylko z Zaolzia, ale także z Polski, z Katowic, Bielska-Białej i województwa opolskiego.

Tym razem przybyłych gości zabawiał ZPiT Olza i jak zwykle zebrał gorące brawa, szczególnie za dynamiczne tańce słowackie i żywieckie. Kapela do późnych godzin nocnych przygrywała do tańca, a nawiejscy kucharze dbali, i to jakimi specjałami, o wypełnianie żołądków tańczących.

Nie ulega wątpliwości, że „zabijaczka" w Nawsiu, którą miejscowi działacze przygotowali po raz pierwszy w roku 1995 z okazji Roku Kultury Ludowej, stała się dobrą tradycją Koła.

F.B.

BOZONARODZENIOWE PRZEDSTAWIENIE „EDENU"

Nie ma bardziej radosnych dzieci, niż wychowankowie czeskocieszyńskiego Domu Opieki „Eden". Mogli się o tym przekonać ci, którzy zechcieli obejrzeć najnowsze przedstawienie, przygotowane jako zwiastun Bożego Narodzenia i zaprezentowane publiczności dwukrotnie na deskach Teatru Cieszyńskiego w piątek 29 listopada ub. r. Podopieczni „Edenu", widząc aplauz publiczności, spontanicznie przekazywali ze sceny swoje olbrzymie zadowolenie, wynikające z akceptacji ich działań. A mieli powód do radości, bo śmiem twierdzić, że nawet zawodowym aktorom trudno byłoby tak sugestywnie przy pomocy jedynie gestu przekazać treści i uczucia. Przedstawienie zatytułowane „Dwie drogi" wyreżyserowała Maria Szymanik, muzycznie opracował i grał na organach Tomasz Pindór, a niepełnosprawnych aktorów wzbogacał śpiewem Polski Chór Mieszany Kościoła Rzymskokatolickiego w Czeskim Cieszynie pod kierownictwem Beaty Brzóski.

Spektakl i towarzysząca mu wystawa, na której można było kupić prace wychowanków „Edenu", miał charakter dobroczynny, bowiem w ten sposób chcieli wesprzeć finansowo ośrodek jego podopieczni.

E.S.

W MK PZKO MOSTY-SZANCE

Obecnie niestety z Szańców nie chodzi do polskiej szkoły w Mostach żadne dziecko... W Kole PZKO Mosty-Szańce jest bardzo mało młodych. Są też, jak wszędzie, członkowie tylko w ewidencji - nie udzielający się aktywnie w pracy społecznej. Jednak trwamy i przetrwamy, chociaż pozostałaby garstka ludzi schodzących się w tym lokalu. Nawet tylko trzy rodziny - to w końcu ponad 10 ludzi...

Oto kilka zdań z wypowiedzi Jadwigi Onderek, prezesa MK PZKO Mosty-Szańce. Pani Jadwiga należy do młodszej generacji prezesów, emanuje z niej życiowy optymizm, jest zapaloną działaczką, angażuje się nie tylko w Miejscowym Kole, ale również w chórze "Przełęcz" w Mostach.

MK PZKO w Mostach-Szańcach należy do naszych najmniejszych Kół, bo liczy dokładnie 49 członków. Powstało ono w roku 1954 w efekcie usamodzielnienia się od Koła Mosty-Centrum. Szańce więc, jak powiedziała Pani prezes, czekają na swój jubileusz w roku 2004. Jednak i w tym kole odbyło się uroczyste zebranie z okazji jubileuszu PZKO. W niedzielę 23 listopada 1997 zeszło się na nim ponad 20 członków MK. Przy tej okazji zorganizowano tu sprzedaż polskich książek. W programie wy-

stąpiła Kapela Gorolska „Sómsiek" Leszka Kaliny. Samo zebranie nacechowane było żywą, rzeczową dyskusją ludzi rzeczywiście zainteresowanych działalnością PZKO. Do dyskusji o planach na rok 1998, o Gorolskim Święcie, w którym to Koło aktywnie uczestniczy, wprowadziła obecnych swym wystąpieniem Pani prezes, jak również obecny na zebraniu prezes MK PZKO Mosty-Centrum Józef Klus.

Sprawozdanie z działalności MK PZKO Mosty-Szańce, pomimo jego małej liczebności, jest niezwykle obfite. Odbyły się tu liczne odczyty świetlicowe spotkania przy śpiewie ludowym. Zorganizowano wspólne wycieczki. Panie schodzą się jesienią co piątek na ćwiczeniach, współuczestniczą w działalności Klubu Kobiet MK PZKO Mosty. W ogóle miejscowi członkowie współpracują z Kołem Mosteckim - wielu z nich śpiewa w tamtejszym chórze. Jest bowiem zrozumiałe, że tak małego Koła nie stać na założenie własnych zespołów. W Kole jest pieczołowicie prowadzona kronika.

Świetlica MK PZKO Mosty-Szańce mieści się w miejscowym Domu Spokojnej Starości w budynku byłej polskiej szkoły. Od stycznia 1996 roku MK ma tu do dyspozycji salkę na zasadzie umowy z gminą, podpisaną na 5 lat. PZKO-wcy dysponują tym pomieszczeniem każdy piątek, w inne dni po uzgodnieniu z urzędem gminnym. F.B.

foto w Kronice FRANCISZEK BAŁON

O ŻYDACH

Opowiadoł mi roz starzik z Łazów takóm przigode o jednym hawiyrzu, myślym że se nazywoł Bystróń abo tak jaksik. A tyn Bystróń, to ón był straszny wymasta, a pijus to też był dość wielki. To, o czym wykłodóm, to se odegrało w Karwine. Tego uż tam downo ni ma. Tam uż ni ma niczego. Yny ta cesta od bywałego Ungra, od krzižowatki aż ku szachcie Armadzie, tak idzie mniej wiyncyj, jak to było downi, ale je uż to wszystko podźwigane. Bo trzeba wiedzieć, że to było cyntrum stare Karwine, a Frysztot to było zaś cosi inszego.

Tóż tyn Bystróń kaj se ukozoł, tak tam se cosi stało. Mo se rozumieć, że go chłopi z kólónije eszcze hecowali. No a wedle te cesty były same sklepy i hotele. Była tam i znano wszystkim Polokóm „Praca". Ale to uż je historyja. A ty sklepy, restauracyje i tak dali mieli przeważnie karwińscy Żydzi – Gotlieb, Goldstein, Unger, Schpitzer, Borger, Wischnitzer – to sóm nikiere miana, kiere eszcze pamiyntóm. Borger tyn mioł galanterke, no i do dzisio se mówi, że jak se gdosi moc we sklepie wybiyro abo moc w czymsikej przegrabuje, że „kopie jak u Borgra we wiónzankach".

No i tak tyn Bystróń w te gospodzie mioł taki dłóg u tego Żyda, że tyn mu uż nic nie doł, jedynie aż zapłaci. Ale na płacyni nie było..., bo ty hawiyrski zarobki nie były haraśne, było bezroboci, tak że se robiły baji jyny dwie szychty w tydniu, a dziecka dóma też chciały jeść.

I tak tyn Bystróń zaś cosi wyhótoł we swoji pale i prawi chłopóm, aby se s nim łożyli o dziesiynć korón, a to uż był wtedy piekny pinióndz, że pujdzie do tego Gotlieba, i że ón go ni jynym nie wyciepie z te gospody, ale mu aji naleje. Chłopi nie chcieli wierzić, ale łożyli se s nim, bo choć wierzyli, że Bystróń je straszny wymasta, to na betón wiedzieli, że piniyndzy ni mo i Gotlieb nie naleje ani za nic. No i jak se łożyli, odeszeł se tyn Bystróń oblyc do lepszego, wzión se czystóm koszule, szpacyrsztok, burzke

i szeł do te gospody. Chłopi, mo se rozumieć, szli za nim, bo se ni mógli odpuścić te kómedyje.

Jak przizeł do te gospody, tak pieknie pozdrowił, siednył se za stół a niż go Żyd starczył wyciepać z gospody, prawi mu: „Wiedzóm, panie Gotlieb, przizeł żech wyrownać dłógi i cosi wypić." Na to Żyd zmiarkowoł, że trzeba zmiynić taktyke, aby gościa zachować i bardzo grzecznie z ukłónami prawi: „No pieknie witóm, panie Bystrrróń.." – bo ón strasznie zaszkrabowoł. A że był prawy Żyd, to mu hned do głowy przizeło, skónd tyn Bystróń może mieć tela piniyndzy, jak ani wypłata nie była a ón o żodne insze transakcyji nie wiy. Bo wtedy choć bez telewizorów, radij i dalszych kómedyji, „tamtamy" pracowały piyrszorzyndnie. I pyto se Bystrónia, skóndże mo tela piniyndzy. – No, wiedzóm panie Gotlieb, ani se mi wierzić nie chce... naszeł żech dziesiynć korón...

Jak to tyn Gotlieb usłyszoł – uczuł kszeft, że by móg na tym kłanianiu cosi „urwać". No i Bystróń se porynczył piwo, achtlik a mo se rozumieć, ni ynym roz. Jak uż se było trzeba zbiyrać ku chałupie, tak miły Bystróń zawołoł Żyda, że chce płacić. Żyd przinióś zeszyt, w kierym se pisoł dłógi klientów i czako. A Bystróń siyngnył do jedne kapsy, do drugi, trzeci, czworte, stanył – eszcze roz wszystki kapsy przekóntrolowoł, a potym ich aji poprzewracoł i na kóniec mówi: – Widzóm, panie Gotlieb, jak se prawi, jaki nabyci, taki pozbyci... isto żech stracił tych dziesiynć korón...

Aż teraz se Żyd zmiarkowoł, że to była na niego naszyto buda od Bystrónia, porwoł go za kragiel i wyciepoł z gospody. To ale Bystróniowi nie wadziło, bo jednak wygroł dziesiynć korón, przechytrzył Żyda... i było kupe srandy.

O POCIAPŁYM

Roz też był taki kapke ciapły na głowe chłop, Rzeszutko se nazywoł. Ón po prowdzie był taki borok. Rodzina se go zrzekła, spowoł w taki izbeczce w kólóniji, w robocie s nim pociepowali a dowali mu ty nejgorsze roboty. Ale z drugi strony muszym zaś rzyc, że se to kapke robił sóm, bo nie dboł o siebie, chodził ufultany, smrodlawy, w roztarganym i strasznie pił.

Tóż go też chłopi naszli roz ożrałego, jak szli z odpołedni szychty, spać w krzipopie. A że było chłódno, tóż go chcieli zakludzić do dómu. Ale żodyn go nie znoł. Jak go obudzili, tak sie go pytajóm, jak sie nazywo. No ciónglo to z niego jak ze szynkwasu. Ale se s nim ni mógli domówić. I tak se go pytajóm: – Jak sie nazywosz? Ale ón cosi fuloł, że tak samo jak se rzeknie to, czym se obili osiywo. No tak prawióm: – Sito. A ón im odpowiado – Ni to. Tak óni prawióm: – Tak... przetak? A ón im prawi: – Nie tak. Tak óni zaś wymyślali: – Możne, że rzeszóto. A ón prawi: To, tooo...

I tak sie dowiedzieli, że to je Rzeszutko....

O ORŁOWSKIM JOZEFOWI

W Orłowe, hned po wojnie był taki jedyn chłop – Jozef mu mówili. Ón, myślym, tam miyszkoł kajsi w Chobotowe kóloniji i był taki wiyncyj niż troche strzelóny. Ale nie ubliżył. Jak se prawi, dwa razy na rozum nie stoł. I ón se tak pomiatoł nejwiyncy po kierchowie i tam pómogoł kopidołóm kopać abo przi insze robocie. Sym tam dostoł jakisi tyn grejcar, sym tam mu gdosi cosi kupił, piwo abo co. Ón czynsto chodził na pogrzeby. Oblyk se dycki do starszego, czornego, dość obnoszónego ancuga i nosił krziż a wtedy ty strómy i krzoki na kierchowie były wysoki i niepoobrzazowane. Roz też szeł piyrszy przed pogrzebym z tym krzižym, na kierym była uwiónzano tako szarfa. Jak tak ważnie kroczoł, naroz fuknył wiater i ta szarfa se mu zaczepiła o jaksikej krzok i ni móg jóm ściónglnyć. Tak zustoł stoć, obrócił se ku pogrzebowiczóm, doł znak jak policajt – stój i prawi: – Halt z pogrzebym, pón Jezus se obiesił. No ale to jyny tak opowiadóm, aby sie gdo nie uraził, bo to był fakt borok, tyn Jozef.

JAN KUBICZEK

ROK 1998 – ROKIEM MŁODZIEŻY

Zarząd Główny PZKO ogłosił na swym XVIII Zjeździe Delegatów rok 1998 Rokiem Młodzieży. Z myślą o młodzieży organizowane będą imprezy ogólnozwiązkowe. Najważniejszą z nich stanie się planowany na początek lipca Zlot Młodzieży.

Zarząd Główny PZKO zwraca się do poszczególych Miejscowych Kół PZKO, by próbowały w ramach swoich możliwości i środków dotrzeć do młodzieży, aktywizować Kluby Młodych, udostępnić młodzieży swoje lokale, umożliwić jej atrakcyjne spędzenie wolnego czasu i znaleźć poprzez organizowanie spotkań i akcji dla młodzieży sposoby zachęcenia do pracy społecznej. Samo formalne zapisanie do PZKO to mało. Ważna jest na tym polu współpraca z rodzicami oraz Macierzą Szkolną.

C.R.

„OLZA" na Koncercie Świątecznym w Trzyńcu, fot. FRANCICZEK BAŁON ▶

KRZYŻÓWKA

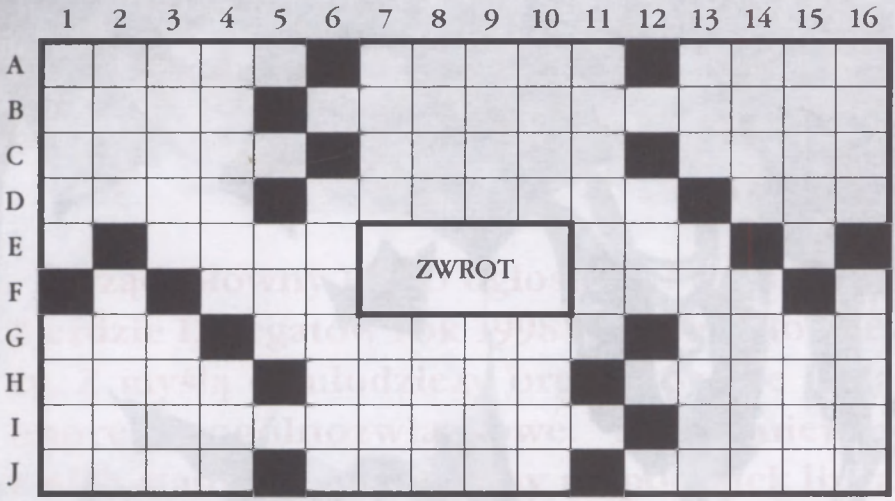

POZIOMO: A. Źdźbło roślin zbożowych; nakrycie głowy; rzeka w Rosji. **B.** Naczynie do podawania zupy; kompozytor opery „Król Roger". **C.** Marka komputera; wyskoczyła w pełnej zbroi z głowy Zeusa; 0,9144 metra. **D.** Pisarka australijska (Eleanor); zanieczyszczają środowisko naturalne; wąż z „Księgi dżungli". **E.** Jest między siekaczem a zębem trzonowym; stan w Nigerii. **F.** Antonim dobra; lud sudański zamieszkujący Afrykę. **G.** Sklep samoobsługowy; bardzo odległe obiekty we wszechświecie, nibygwiazdy; imię męskie. **H.** Wesoła zabawa, rozrywka; narządy spełniające w organizmie rolę filtru; uczucia niepewności, niepokoju. **I.** Spiskowiec; strona odwrotna. **J.** Jagiellonka; miasto w Turcji (anagram wyrazu ZAKON); podziałka na przyrządach pomiarowych.

PIONOWO: 1. Zacięcie krasomówcze; samica psa. **2.** Asortyment tarcicy; państwo w Afryce. **3.** Wyżyna w USA; autor powieści „Buddenbrookowie". **4.** Tytuł arystokratyczny; Wieczorowa Szkoła Aktywu (skrót). **5.** Miasto w województwie suwalskim. **6.** Jest przydatny podczas rozwiązywania krzyżówek. **7.** Prezes ZG PZKO; marka byłych samochodów produkcji czeskiej. **8.** Imię żeńskie; potrawa z mielonego mięsa. **9.** Miejscowość w Belgii; dokumenty urzędowe. **10.** Nauczycielka; miejscowość we Francji. **11.** Pseudonimy. **12.** Imię Sumac. **13.** Gatunki wierzb; człowiek leniwy, wałkoń. **14.** Karmi młode mlekiem; uczta religijna pierwotnych chrześcijan. **15.** Krawędź; podobny jest do elipsy. **16.** Opera Verdiego; hreczka lub tatarka.

Wyrazy trudne: AMEL, DARK, IMO, ISSA, MABA, OZARK, RION.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki – przysłowie ludowe ze Śląska Cieszyńskiego dadzą litery w następujących kratkach: G-14, D-1, B-8, H-2, G-11, C-10, I-6, E-5, F-2, I-13, C-4, B-7, G-15, E-6, J-16, H-13, D-12, F-5, J-1, F-13, H-16, A-15, I-9, I-2, C-16, F-6, A-2, C-7. (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca stycznia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru listopadowego:
Hasło: **„Festiwal Piosenki Dziecięcej".**
Nagrody książkowe wylosowali: **Barbara Boszczyk** – Milików
Jadwiga Makówka – Sucha Górna
Alina Jeżowicz – Orłowa-Lutynia

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO–OŚWIATOWY
ZARZĄD GŁÓWNY
W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
EWA SANTARIUS (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca kasa ZG PZKO.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

DRODZY PRENUMERATORZY

Już po raz trzeci mają Państwo okazję atrakcyjnie spędzić trzy dni w Krakowie. Dom Polonii czeka na kolejną szczęśliwą parę naszych stałych Czytelników.

Należy spełnić jeden warunek – opłacić prenumeratę Zwrotu na rok bieżący do końca marca.

Oprócz nagrody głównej zostanie rozlosowanych dziesięć nagród książkowych.

Fundatorem nagród jest jak zwykle Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie.

NASZE ZESPOŁY

COLLEGIUM CANTICORUM

Polski Chór Mieszany Collegium Canticorum powstał w październiku 1986 roku jako reprezentacyjny młodzieżowy zespół ZG PZKO. Usamodzielnił się we wrześniu 1992 roku. Jest członkiem Polskiego Związku Chórów i Orkiestr oraz Unii Chórów Mieszanych. Założycielem, dyrygentem i kierownikiem artystycznym chóru jest Leszek Kalina, drugim dyrygentem Halina Pribula. Członkami są śpiewacy-amatorzy. Chór ma szeroki repertuar. Składa się on z dzieł mistrzów polifonii, klasyki i romantyzmu, opracowań pieśni ludowych i muzyki tanecznej, muzyki współczesnej i eksperymentalnej.

Do największych sukcesów Collegium Canticorum zaliczyć można zdobycie pierwszego miejsca i nagrody za najlepsze wykonanie utworu obowiązkowego na Festiwalu Twórczości Chóralnej w Jihlawie w listopadzie 1990 roku oraz pierwszego miejsca i nagrody za najlepszy program konkursowy na międzynarodowym konkursie chóralnym w Pradze w lutym 1994 roku, a także uczestnictwo w lipcu tego samego roku w Debreczynie na Węgrzech w XIV Międzynarodowym Konkursie im. B. Bartoka, jednym z najbardziej prestiżowych konkursów w Europie.

W ramach Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego Collegium Canticorum działają również inne artystyczne i niezależne zespoły: Kapela Gorolska Zorómbek, Chór Studencki Collegium Iuvenum, Kompania Osób Prywatnych Amici Cantionis Antiquae, Kapela Ludowa Sómsiek.

fa Lubomír Horňák

Lipová ul., areál VOP, 737 01 Český Těšín
tel.: 0659-579 51/272, mobil: 0602-715 723

wizytówki
katalogi
druki
czasopisma
książki

bilboardy
ulotki
sprawozdania roczne
kalendarze

LH

AGENCJA REKLAMOWA
DZIAŁALNOŚĆ HANDLOWA
SKŁAD KOMPUTEROWY
PROJEKTY I ROZWIĄZANIA GRAFICZNE
POŚREDNICTWO W USŁUGACH DRUKARSKICH

FIRMA PRZYGOTOWUJE DO DRUKU
WIĘKSZOŚĆ PUBLIKACJI POLSKICH
WYDAWANYCH W REPUBLICE CZESKIEJ

Zwrot

2/98

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

KARNAWAŁ DLA WSZYSTKICH...

TACY BYLIŚMY

Grono nauczycielskie Polskiej Szkoły Wydziałowej w Karwinie-Solcy w roku szkolnym 1934–35.

Siedzą od lewej: Leopold Staniszek, Jan Böhm, Anna Bonczek, dyr. Paweł Rakus, Anna Folwarczna (po mężu Jonszta), Jerzy Rusnok, Ignacy Bonczek.
Stoją od lewej: Łukosz, Eugeniusz Masłowski, Leonard Bonczek, Emil Żyła, Wiktor Ramik, Karol Pastuszek, Sylwester Madecki.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 579 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

2/98

W NUMERZE

[2]	Bal Gorolski w Mostach po raz 20.	F.B.
[6]	Na Balu Śląskim była „Córka rybaka"	F.B.
[9]	Formy i perspektywy współpracy mniejszości	FRANCISZKA CHOCHOLÁČ
[14]	Walentynki	
[16]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (14)	ALOJZY NOWOK
[23]	Moje dorastanie do dojrzałości (2)	BOLESŁAW ORSZULIK
[28]	Koncert świąteczny	E.S.
[31]	Podsumowanie działalności SAP w roku 1997	OSKAR PAWLAS
[33]	Odwieczny marzyciel	F.B.
[35]	Obrazy Stanisława Krausa w bibliotece frysztackiej	C.R.
[37]	Nasze osiągnięcia na polu wydawniczym 1997	STANISŁAW ZAHRADNIK
[40]	Przed dziesięciu laty zmarł Karol Piegza	C.R.
[42]	Anna Filipek (1950-1997)	C.R.
[44]	Poezja Anny Filipek	
[46]	Renata Putzlacher - Wnuczka piekarza (fragment)	
[49]	Okruchy literackie	LIBOR MARTINEK
[50]	Renata Putzlacher - Moje fascynacje	
[55]	Na naszej scenie	
[57]	Na półkach księgarskich	
[60]	Konkurs	
[61]	Trybuna czytelników	
[62]	Kronika	
[72]	To i owo	
[76]	Mozaika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 20. 1. 1998

Na okładce: karnawał dziecięcy w Karwinie

„Technik"

Muzyczna przyszłość – Józef Wierzgoń z wnukiem...

i... amerykański gość „Kamratów"

BAL GOROLSKI W MOSTACH PO RAZ 20.

Ten bal i jego wieloletnią już, piękną tradycję stworzyli członkowie zespołu Górole. Jest on od początku, w porównaniu z innymi balami, odmienny. To bowiem nie tylko bal w sensie zabawy tanecznej, ale też, a może przede wszystkim, niezmiernie bogaty przegląd kapel i zespołów ludowych. Zespoły te zaś są godne podziwu, zarówno nasze, jak i te z szerokich okolic i zagranicy. O randze tej imprezy świadczy wiele faktów:

- Odwiedza Bal Gorolski w Mostach z zainteresowaniem wielu przedstawicieli różnych instytucji kulturalnych, etnograficznych i badaczy w dziedzinie folkloru.

- Występujące tu zespoły chętnie zjawiają się w Mostach co roku. Nie brak wśród nich takich, które były tym razem po raz czternasty czy siedemnasty z rzędu.

- Co roku na bal do Mostów zjeżdżają się ludzie nawet z bardzo odległych krańców nie tylko naszego terenu, lecz również całych Czech i Moraw, ze Słowacji, z Polski, nierzadko (jak przeczytacie państwo dalej) bywają tu goście z różnych krańców Europy i spoza kontynentu.

- Dom Kultury w Mostach pęka w szwach, nie mieści wszystkich chętnych. Zdobycie biletu rokrocznie wymaga większych zachodów. Po prostu uczestniczyć w tym balu to przeżycie, zaszczyt, szczęście.

„Bal Gorolski" w tym roku odbył się w sobotę 10 stycznia. Jak zawsze poprzedzał go przegląd kapel ludowych i zespołów. Do rozpoczęcia pozostawało jeszcze ładnych kilka chwil, a zaparkowanie samochodu w pobliżu Domu Kultury okazało się poważną trudnością. W sali i w pozostałych pomieszczeniach tłoczno. Pełno znanych twarzy.

Rzecz jasna nie brak prof. dr. hab. Daniela Kadłubca – człowieka żyjącego folklorem i dla folkloru, inż. Jerzego Czapa –przewodniczącego ZG PZKO, dr. Józefa Wierzgonia, którego zasługi dla naszego ruchu muzycznego i śpiewaczego nie trzeba podkreślać. Obecni byli przedstawiciele prawie wszystkich naszych zespołów i okolicznych Kół PZKO. Swoją obecnością w tym roku zaszczycił Bal Gorolski gość najzacniejszy ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Pradze Marek Pernal wraz z małżonką, któremu towarzyszył konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie Piotr Szwarc również z małżonką. Lista zacnych gości jest długa. Byli wśród nich folkloryści z Pragi, był dyrektor skansenu w Rożnowie dr Jaroslav Štika (z żoną i córką), była delegacja zespołu Arkadans z Francji i wiele, wiele innych.

Niezmiernie bogaty program organizował i prowadził niezmordowany kierownik zespołu Górole Alojzy Martynek. Zaprezentowały się następujące zespoły:

- Zespół Valašský Vojvoda z Kozlovic wraz ze swoją kapelą.

- Kapela Kamraci z Błędowic. Była w tym roku na balu po raz dziesiąty. Towarzyszył jej gość ze Stanów Zjednoczonych, przedstawicielka tamtejszej Polonii, pani Zuzanna Worland (grała na skrzypcach i śpiewała).

„Polana"

Pan ambasador Jacek Pernal z żoną

„Chodzony"

foto FRANCISZEK BAŁON

- Kapela P. Capka ze Skalitego, występowała tu po raz czternasty i jak powiedział jej kierownik - *Nieprowda, że my byli zaproszóni, my sie wciśli...*
- Kapela Zbyszka Wałacha Wałasi z Istebnej.
- Zespół Koniaków z Koniakowa.
- Kapela Zespołu Olza.
- Kapela Torka z Cieszyna.
- Budorze, Młodzieżowy Zespół Szkół Budowlanych z Zakopanego.
- Kapela Vincenta Hanuliaka z Terchovej. Zespół prawdziwie rodzinny, gdzie obok siebie występują ojciec, syn i wnuk.
- Zespół Górole, gospodarze balu, ze swą kapelą.
- Kapela J. Karpiela z Zakopanego.
- Cymbałowa Muzyka TECHNIK z Ostrawy wystąpiła razem ze swym gościem, solistką na flecie, Lizelot Alneman z Holandii.
- Zespół Pieśni i Tańca Szkół Wyższych Polana z Brna, który zaprezentował tańce wschodniosłowackie.

Razem więc zaprezentowało się trzynaście zespołów. Poza rodzimymi trzy przybyły z Czech (dokładnie Moraw, poza naszym terenem), dwa ze Słowacji, pięć z Polski. Zespoły fascynowały widzów nie tylko melodiami, śpiewami i tańcami, fascynujący był sam widok tego, z jakim zapałem i przejęciem poszczególni wykonawcy oddają piękno muzyki i tańców ludowych.

Po programie rozpoczęła się zabawa. W tradycyjnym "chodzónym", który jest „polonezem" Górolskiego Balu, zatańczyli również wszyscy zacni goście, nie wyłączając pana ambasadora. Do "chodzónego" przygrywała kapela Kamraci, która znalazła się na podium jako pierwsza. Potem, zmieniając się co kwadrans, grały do tańca kolejno wszystkie zaprezentowane w programie kapele - „aż do rana", jak zapowiedział Alojzy Martynek. Kapele grały w międzyczasie i w pomieszczeniach poza główną salą. Zabawa była przednia, bo czy istnieje gdziekolwiek taki bal, na którym gra do tańca aż tyle kapel?!

Na Balu Gorolskim trzeba być w stroju ludowym. Byli w takich strojach prawie wszyscy, niektórzy z braku możliwości włożyli chociaż część stroju ludowego. Tu należy podkreślić, z pełnym podziwem dla pani ambasadorowej, że i ona przybyła w stroju ludowym!

Organizatorami Balu Gorolskiego są tradycyjnie Górole. Zespół przygotowuje całość od strony programowej i organizacyjnej. Z Górolami współpracuje MK PZKO Mosty koło Jabłonkowa. Koło zapewnia zaplecze techniczne, sprawy kulinarne (a kuchnia na balu była palce lizać...), jak również tombolę. I nagrody w loterii były „gorolskie" - obok rzeźb mosteckiego rzeźbiarza ludowego Pawła Kufy można było wygrać nagrania naszych zespołów ludowych, rzecz jasna przede wszystkim „Góroli".

Nie trzeba chwalić, co samo się chwali... Ten cytat dotyczy Balu Gorolskigo w Mostach jak najbardziej. Niczego poza miejscem tam nie było brak. Pozostają nam piękne wspomnienia i oczekiwania na następny...

F.B.

NA BALU ŚLĄSKIM BYŁA I „CÓRKA RYBAKA"

Tradycyjny Bal śląski związany od dawna z Mistrzowicami i tamtejszym Kołem PZKO, wiadomo miejscem zamieszkania Daniela Kadłubca, w ubiegłym roku przeniesiono do hotelu Piast w Czeskim Cieszynie. To miejsce zmieniło wprawdzie nieco atmosferę tego balu - jego starzy bywalcy na pewno wspominają swojską w Mistrzowicach kameralność, więcej chyba ludowości w zabawie i w kuchni przygotowywanej tam zawsze przez miejscowe panie z Klubu Kobiet przy MK PZKO. Czasy się zmieniają, więc nieraz dla utrzymania tradycji są konieczne pewne zmiany, nie zawsze dotyczące tylko miejsca ... Ważne jest, że tradycyjny Bal śląski nie zniknął z planów naszych imprez. Równie bowiem ważną, jak działać i tworzyć w duchu naszych pięknych tradycji, jest i nasza wspólna zabawa - ta właśnie najbardziej może nas zjednoczyć, pomóc w trzymaniu się razem, teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebnym. Bal śląski w hotelu Piast, urządzony tu w tym roku po raz drugi, miał wiele plusów. Tu między innymi wymienić trzeba znacznie większe możliwości przestrzenne, lepszą dostępność - to wszystko, połączone z tradycyjnie dobrymi, doświadczonymi organizatorami z szeregów działaczy MK PZKO w Mistrzowicach, z nieodzownym wodzirejem w osobie Daniela Kadłubca, złożyło się na wynik równający się świetnej zabawie ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich jej uczestników. Rozmawiałem na tym balu z wielu jego uczestnikami - starszymi i młodymi, pochodzącymi z różnych sfer, z naszego terenu i z Polski - wszyscy czuli się tu dobrze i byli bardzo zadowoleni.

W programie balowym wystąpił Zespół „OLZA", który zaprezentował tańce cieszyńskie i latynoamerykańskie. Prawdziwym gwoździem programu był gość z Gdańska, znany z nieistniejącego już niestety zespołu Wały Jagiellońskie - Rudi Schubert. Bawił on entuzjastycznie reagującą publiczność przez ponad godzinę. Sala tańczyła przy jego melodiach i domagała się bisów... „Córka rybaka" była powtarzana. Artysta nie ukrywał zdziwienia nad tak spontaniczną reakcją, jak i nad tym, że cały jego repertuar jest u nas tak dobrze znany. I Rudi Schubert zalicza się do bardzo zadowolonych uczestników Balu śląskiego. Spróbowania świetnej „mioduli" przed występem odmówił... potem jednak skosztował. Obok kapeli Smolaři do tańca przygrywali Kamraci z Błędowic. W sali kawiarni była dyskoteka Wiesława Drobisza.

Odbył się również wybór miss balu. Została nią Beata Siostrzonek z Mistrzowic, studentka Uniwersytetu Ostrawskiego. Wśród wygranych w loterii balowej były rzeźby ludowe Pawła Kufy, obrazki malowane na szkle Antoniego Szpyrca, także odkurzacz ofiarowany przez firmę ZELMER. Obok wyżej wymienionej firmy sponsorami balu były firmy KOEXIMPO, MORAVA-CHEM, OLZA. Trzeba też podkreślić zasługi firmy EQUUS, która była współorganizatorem balu.

foto FRANCISZEK BALON

Gwiazdy balu D. Kadłubiec i R. Schubert... *oklaskiwane*

„Kamraci" grali... *Sala tańczyła*

Były tańce śląskie i śląskie śpiewanie. Obok strojów, w większości wieczorowych i kreacji balowych pań, były na sali również stroje ludowe – w oko rzucały się górnośląskie stroje z okolic Pszczyny, jakie miały na sobie panie właśnie z tego miasta. Obok gości z Pszczyny byli na Balu śląskim również goście z Katowic, Kłodawy (koło łodzi), z oddalonego około 500 km od Cieszyna Biłgoraja.

Byli obecni goście ze Słowacji. Rekord odległości pokonał przypadkowy uczestnik balu, który przybył z ... Krasnojarska.

Usłyszałem też na tym balu zdanie skierowane do mnie przez pewnego pana: *Czy pan zauważył, że na tej sali jest cała śmietanka naszej polskości.* Tak ... zauważyłem wśród balowiczów wielu naszych wybitnych przedstawicieli ze świata medycyny, nauczycieli i dyrektorów szkół, przewodniczących polskich organizacji, małych, większych i dużych przedsiębiorców, przedstawicieli świata artystycznego. I to bardzo dobrze, że byli tam, gdzie bywali i przed osiągnięciem takich czy innych zaszczytów, że zostali wierni swojemu środowisku, w którym pewnie nadal czują się najlepiej. Bawili się wspólnie z innymi, bez zadzierania nosa, bawili się razem ze studentami, pracownikami huty czy kopalni – nadal swoi ze swoimi.

F.B.

fot. FRANCISZEK BAŁON

FORMY I PERSPEKTYWY WSPÓŁPRACY MNIEJSZOŚCI ZE SPOŁECZEŃSTWEM WIĘKSZOŚCIOWYM W ZAKRESIE REPREZENTACJI POLITYCZNEJ

(Dokończenie)

Pozostał problem, w jaki sposób zagwarantować realizację praw mniejszości, zwłaszcza zaś równouprawnienie instytucjonalne. I tutaj przechodzimy w sferę polityki praktycznej. W pracy „Prawo do samostanowienia narodów" austriacki uczony Karl Renner w 1918 roku szukał konstruktywnego rozwiązania, które pozwoliłoby ominąć dwa krańcowe warianty – tzn. stwarzanie gett albo asymilację.

Długo wydawało się, że pozytywnym rozwiązaniem jest autonomia terytorialna. Przedstawia się ją jako rozwiązanie wprawdzie najlepsze, ale równocześnie przyznaje się, że chodzi o najbardziej skomplikowany model samorządu. Zresztą autonomią terytorialną posługiwały się dla rozwiązania swych problemów narodowościowych Austro-Węgry. Dla przykładu – w roku 1691 Leopold I ogłosił niezależność Siedmiogrodu w granicach monarchii. Siedmiogród posiadał językową oraz kulturalną autonomię, własne instytucje kościelne, własne organy samorządowe oraz sądowe. Jest to więc forma znana, jednak w nowoczesnym pojęciu praw człowieka nie rozwiązuje problemu współżycia różnych grup etnicznych. Autonomia terytorialna ma sens, wówczas gdy spełniony jest zasadniczy warunek – mniejszość zasiedla terytorium geograficzne ściśle ograniczone i ma na tym terytorium liczebną przewagę. Wytworzenie autonomii terytorialnej – autonomicznych „ojczyzn narodowych" w stylu byłego Związku Radzieckiego, w których naród państwowotwórczy stanowi mniejszość, stwarza tyle samo problemów, ile rozwiązuje. Owa mniejszość państwowotwórcza szuka odpowiedzi na identyczne pytania: w jaki sposób będzie zapewnione jej prawo do proporcjonalnego udziału w rządzeniu autonomią? Jeśli w tym momencie postawimy pytanie czy raczej nie dostosować struktury obywateli do politycznych wymagań, jesteśmy o krok od „czystek etnicznych". Tą drogą szły niektóre państwa postsowieckie, a w jeszcze groźniejszej formie widzieliśmy ją na terytorium byłej Jugosławii.

Następnym nie tak niebezpiecznym punktem zapalnym nowo wytworzonej autonomii jest w przemianie dotychczasowej mniejszości w większość. Do tego, by ugruntować swe prawa na terytorium autonomii, używa ona środków uważanych przez

państwo za nielegalne. Trudno temu zapobiec. Państwu pozostaje odpowiedzialność za „mniejszość w większości", to jest za mniejszość etniczną w państwie, ale również za „mniejszość w mniejszości", to jest za część narodu większościowego żyjącego w autonomii. Państwo również zapewnić musi ewentualne lokalne autonomie dla małych mniejszości żyjących w autonomii. Punktów zapalnych jest tutaj niezmiernie dużo.

Te negatywne strony autonomii nie znaczą bynajmniej, że trzeba ją bez reszty odrzucić. Przykład południowego Tyrolu, terytorium autonomicznego, na którym żyje 270 tysięcy Niemców, 18 tysięcy Retoromanów oraz 125 tys. Włochów, czy autonomia niemiecka w Belgii są przykładem udanego kompromisu w sprawie gwarancji praw członków mniejszości narodowych i działającej, chociaż ograniczonej, autonomii. Ta forma współżycia wymagała długoletniego procesu demokratycznego i nie może się sprawdzić na terenach postkomunistycznych. Można jednak powiedzieć, że terytorialne rozwiązanie problemu mniejszości jest możliwe, nie jest jednak sposobem na wszystkie sytuacje, wymaga bowiem specyficznych warunków. Utożsamienie mniejszości z życiem państwa wymaga przyznania przez państwo, że posiada ona specyficzne cechy mniejszości, to znaczy kroku, z którym trudno się niektórym państwom pogodzić – na przykład Francja czy Bułgaria, Szwecja czy RFN, która nie używa wcale terminu „mniejszość narodowa". Pojęcia narodowość – obywatelstwo są równoważne, opozycję stanowi pojęcie "cudzoziemiec". Inny stosunek mają Niemcy tylko do Serbów Łużyckich, Fryzów, Duńczyków oraz Romów. Przyznanie odrębności mniejszościowej oznacza pożegnanie się „z jednolitością" narodu państwowotwórczego, która to jednolitość jest często tylko fikcją panującej większości. A więc dopiero po umożliwieniu mniejszości samozdefiniowania się jako mniejszość otwiera się możliwość jej wintegrowania do systemu organów państwa, co jednak jest niemożliwe bez udziału przedstawicieli mniejszości w tych właśnie organach.

W większości wypadków mniejszość zadowala się pracą w organizacjach społecznych wspomaganych przez państwo. Dzięki takiej autonomii kulturalnej zapewniana jest opieka nad językiem, kulturą i szkolnictwem w ramach systemu państwowego. (Na marginesie – jeśli chodzi o szkolnictwo, to najlepszym rozwiązaniem jest prawo do utrzymywania prywatnych szkół finansowanych przez państwo w tym samym zakresie, co i szkoły państwowe. Takie finansowanie – wypadek duńskich szkół w Land Schleswik-Holstein – należy jednak do absolutnych wyjątków). W tym modelu mniejszość próbuje stworzyć swoją reprezentację polityczną za pomocą partii politycznych czy to większościowych, czy też włas-

nych. Trudności z tym związane są zasadniczym problemem mniejszości, to znaczy jej mniejszej liczebności, i wyłonienie jej reprezentacji jest zależne od dobrej woli większości (na przykład obniżenie progu wyborczego – Land Schleswik-Holstein, Polska czy zagwarantowanie mandatów mniejszościowych – Rumunia).

Jeśli jednak państwo chce osiągnąć pełną integrację mniejszości, uzyskać reprezentatywnego partnera do rozmów, musi organizować mniejszość w takiej formie, która umożliwi jej udzielanie się w życiu politycznym na całym terytorium państwa, otwierając przez to członkom mniejszości nie tylko możliwość prezentowania jej potrzeb lepiej niż mogą to zrobić organizacje społeczne, lecz także zajmowania najwyższych stanowisk w państwie. Bez rzeczywistej możliwości wejścia w organy samorządowe i ustawodawcze traci ta forma współżycia, to jest autonomia personalna, swój praktyczny cel.

Model autonomii personalnej daje wszystkim członkom mniejszości na terytorium całego państwa możliwość udziału w życiu politycznym przez stworzenie mniejszościowej reprezentacji politycznej wyłonionej w demokratycznych wyborach. Model ten dyskutowany był wiele razy, niektóre doświadczenia w tym zakresie ma Finlandia, system samorządów mniejszościowych przygotowuje również Słowenia. Najbardziej interesującym jest obecnie rozwiązanie węgierskie. W opinii samych Węgrów stanowi ono wzór prawnego rozwiązania dla innych krajów. Węgierska ustawa o mniejszościach, i to jest nowością na tle podobnych regulacji prawnych, precyzyjnie określa pojęcie mniejszość narodowa. Rozumie się przez nią wszelkie grupy etniczne zamieszkujące terytorium Węgier przynajmniej od stu lat, których członkowie są obywatelami węgierskimi i różnią się od reszty społeczeństwa poczuciem odrębnej świadomości narodowej, językiem i kulturą. Ustawa precyzyjnie wylicza trzynaście mniejszości narodowych, uznaje prawo do kultywowania poczucia narodowego za jedno z najważniejszych praw człowieka, zakazuje wszelkich przejawów dyskryminacji etnicznej i rasowej, zezwala na powoływanie własnych partii politycznych, ale – co ważniejsze – węgierska ustawa najbardziej rozbudowana i szczegółowa regulacja prawna dotycząca mniejszości narodowych w Europie Środkowej i Wschodniej, zezwala na powołanie własnych samorządów, tak zwanych narodowych samorządów mniejszości. Trzeba jednak zaznaczyć, że doświadczenia kilku lat po wprowadzeniu w życie węgierskiej ustawy narodowościowej sygnalizują, że jest ona zbyt usztywniona i nie pozwala na modulacje w zależności od zmieniającej się sytuacji.

Ta forma udziału mniejszości w rządzeniu państwem jest diametralnie przeciwstawną do dążeń jednoczącej wszystko biurokracji państwowej, jednak można w niej dostrzec cechę nie-

zgodną z duchem wolności, ponieważ zaszeregowuje jednostkę do pewnej grupy społecznej, w tym wypadku etnicznej, ograniczając w ten sposób możliwość samodzielnej decyzji politycznej.

Takie podporządkowywanie się nie sprawiałoby problemu w dawnych państwach stanowych, gdzie przynależność społeczna dana przez urodzenie szeregowała człowieka nieodwołalnie do jakiejś grupy społecznej. Tak więc idea kast etnicznych, którą mimo woli przynosi koncepcja autonomii personalnej, jest charakterystyczna dla historycznie anarchicznego państwa stanowego. W demokratycznej strukturze społecznej jednostka ma prawo własnej decyzji. Próba rozwiązania tego problemu autorstwa Petera Pernhaltera zakłada, że pasywne i aktywne prawo wyborcze miałby tylko ten, kto się aktywnie przyznaje do mniejszości narodowej formą pisemnej deklaracji. Zdaje się, że to jest najwłaściwszy kierunek, w którym powinna się autonomia personalna rozwijać. Stworzyć taki model nie jest łatwo. **Mniejszość ma często niższy status socjalny, tym bardziej, że wykształceni, na awans socjalny nastawieni członkowie mniejszości, mają wielką pokusę swą przynależność etniczną przemilczeć. Bycie mniejszością bywa bowiem odczuwane jako swego rodzaju negatywna cecha. Dlatego też zazwyczaj stworzenie własnej elity intelektualnej i kulturalnej jest utrudnione. Przedstawiciele mniejszości często wpadają w konflikty personalne czy ambicjonalne, co w końcu jest normalne i w społeczeństwie większościowym, ale dla mniejszości oznacza to kolejne zmniejszenie siły przebicia.**

Model samorządu mniejszościowego mobilizuje do życia politycznego, dając jej możliwość demokratycznego wyboru własnych przedstawicieli, ten zaś wybór zmusza wybranego do poważnego traktowania spraw mniejszości. Poprzez wybory wyłania się w pełni demokratyczne przedstawicielstwo wszystkich szczebli, którego prawo do reprezentowania danej mniejszości – swoich wyborców – nie podlega żadnej dyskusji. Mniejszość zaś musi dojść do porozumienia na temat programu politycznego, co wspiera proces jej integracji wewnętrznej. Tak zorganizowana, politycznie jednolita mniejszość, może artykułować swoje znaczenie w procesie politycznym. Publiczna reprezentacja mniejszości dodaje grupie etnicznej pewności siebie i równocześnie sygnalizuje większości, że państwo nie należy wyłącznie do niej i że musi ona brać pod uwagę słuszne żądania mniejszości. Tak więc przyznanie praw mniejszości nie jest „łaską", ale elementarną potrzebą państwa, prowadzącą do rozsądnej polityki mniejszościowej.

W autonomii personalnej – to znaczy przez państwo określonych „własnych organizacji", w postaci publicznych przedstawicielstw, to jest samorządów – leżą

wielkie możliwości rozwiązywania potencjalnych problemów. Zaletą jest okoliczność, że system ten zbliża się do uniwersalnego modelu, który można zastosować bez względu na liczebność mniejszości. Jest to również model, który odrzuca ewentualne roszczenia terytorialne i otwiera drogę do konstruktywnego dialogu. Szczególnie w sytuacji, kiedy mniejszość zasiedla zamknięte geograficznie terytorium, droga do integracji danego etnikum w struktury państwa za pośrednictwem autonomii personalnej jest najdogodniejszą i nie budzącą obaw (zwłaszcza tam, gdzie mniejszość graniczy terytorialnie z krajem macierzystym) z tendencji iredentystycznych. Ten system jest na pewno rozsądniejszym rozwiązaniem niż usiłowanie o autonomię terytorialną (wypadek Węgrów na Słowacji czy może Górnego Śląska).

Odrzucanie tej koncepcji w oficjalnej polityce, z czym niestety spotykamy się, pozbawia dzisiejszą Europę możliwości konstruktywnego rozwiązywania spraw mniejszości. O tym problemie Karl Renner w 1902 roku w książce „Problemy nacjonalne jako zagadnienie konstytucyjne oraz administracyjne" napisał: *Opinię, że w sprawach narodowościowych chodzi tylko o jakąś sprawiedliwą praktykę państwową, o jakieś sensowne sformułowanie prawa do języka urzędowego, albo nawet o jakieś sztuczki parlamentarne, mogą prezentować tylko „polityczne dzieci"* i dalej: *Zagadnienia języka narodowego oraz wszystkich innych spraw narodowościowych, od uniwersytetu aż po tablice na ulicach, są tylko symptomami. Kto tego nie zrozumie, będzie się wiecznie mylił, chociaż uważa się za nieomylnego. Przyjmijmy nareszcie do wiadomości – Czesi i Niemcy zgodzili się na ogólną dwujęzyczność administracji: zmieniło się coś chociażby w najmniejszym stopniu? Walka nie zapala się ciągle od nowa – tu, tam, wszędzie, w gminie, w regionach, w państwie. Ten problem jest problemem państwa i uspokoi się dopiero wtedy, gdy narodowości przekonają się, że zostały przez państwo prawnie uznane, co niesie z sobą gwarancję jedności oraz wolności. Jeśli to otrzymają i będą mogły z tego korzystać, wtedy wszystkie inne zagadnienia oraz punkty zapalne będą tylko prostymi problemami technicznymi, które same się rozwiążą.*

FRANCISZKA CHOCHOLÁČ

Referat wygłoszony podczas II spotkania słowiańskich mniejszości narodowych (Czeski Cieszyn 9 – 12.10.1997), którego organizatorami była Rada Polaków – organ wykonawczy Kongresu Polaków w RC, Związek Serbołużyczan Domowina (RFN) oraz Federacyjna Unia Europejskich Mniejszości Narodowych (FUEV)

WALENTYNKI

To święto nie mieści się w naszych tradycjach. Ani naszych zaolziańskich, ani środkowoeuropejskich. Nie mamy zwyczajów ludowych związanych z dniem świętego Walentego, nie czcimy tego świętego. Ba, odwrotnie. Odrzucamy zachodnie nowinki, mamy przecież własnych patronów.

Dla świętego Walentego zróbmy wyjątek. Celebrowanie go w krajach anglosaskich ma długą tradycję. Legenda mówi, że w roku 270 w Rzymie podczas prześladowania chrześcijan uwięziony Walenty, późniejszy święty, przesłał córce wiadomość podpisaną „Twój Walenty". Sam zginął śmiercią męczeńską 14 lutego. Do dziś jego imienia używają zakochani, by tak podpisywać kartki wysyłane do sympatii.

Przed kilku laty zwyczaj Walentynek – składania sobie sympatycznych życzeń w dniu 14 lutego – dotarł i do nas. W tym dniu należy wielbionej osobie, może to być sympatia do tej pory nieujawniona, przesłać kartkę z sercem, z życzeniem, ale koniecznie bez podpisu. Adresat powinien bowiem sam się domyślić, kto skierował doń swe uczucia.

W myśl hasła „nieśmiali do piór" postanowiliśmy co bardziej zakłopotanym zakochanym pomóc w doborze odpowiednich słów poprzez przytoczenie kilku cytatów z wierszy naszych rodzimych poetów. I znaleźliśmy się w kropce. Okazało się, że nasi poeci kochają prawie wyłącznie swoją ziemię ojczystą, swój kraj rodzinny, swoje miasto, wieś, góry, hutę czy kopalnie. Kochają też swój język. Kochają matkę i ojca, jak również swego nauczyciela. Jeśli już są zakochani w rówieśniku płci przeciwnej, to muszą przy tym szeleścić prześcieradła czy być zdeptana trawa. Rzadko bywają zakochani tylko tak, by móc godnie uczcić dzień świętego Walentego. Mimo wszystko przytaczamy kilka fragmentów z wyboru poezji miłosnej z Zaolzia. I zapraszamy do konkursu:

Zakochani Poeci! Przelejcie swe platoniczne uczucia na papier i wyślijcie do naszej redakcji! Najlepsze wiersze opublikujemy w majowym numerze Zwrotu.

Władysław Sikora
WŁOSY

Twoje rude włosy gąszczem dotyków
Opanowały moje palce,
Uwięziły teraźniejszość
Na bliskość jutra.

Jestem niespokojny o rozległość
I liczbę rzeczy.

Jak ciebie nazwać,
Powiem później,
Kiedy dokona się
Dalsze spojrzenie.

Renata Putzlacher
NAMIĘTNOŚĆ

Skryć się w tobie
gdzieś w przedsionku
serca
w jakiejś szarej komórce
Wejść ci w krew
stać się czerwonym
lub białym
podniecającym ciałkiem
Być twym tętnem
jedną nagą żyłką
na której twoje pragnienie
wygrywa namiętne
flamenco

Gabriel Palowski
WRASTANIE
(fragment)

Była rozkołysanym łanem zboża
kiedy ciepły wiatr
rozrzucał jej pszenne włosy
na bławatki oczu
i ust kwitnący mak
Podniosła kielichy swych dłoni
jakby chciała napoić skowronka
aby je złożyć
pod zniewoloną głowę

Stanisław Jedzok
* * *

Odnaleźliśmy swe spojrzenia
w jesiennych liściach.
Biegliśmy przez pole,
kiedy Ziemia stanęła
na palcach,
by zobaczyć, jak spadamy
na dyszący skrawek trawy.

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (14)

NA ODSIECZ LWOWA

Los tak zrządził, że w końcu grudnia 1918 roku, a więc niespełna dwa miesiące po odzyskaniu niepodległości został wyznaczony trzeci batalion nowo sformowanego Pułku Ziemi Cieszyńskiej na odsiecz Lwowa, oblężonego od pierwszych dni listopada przez przeważające siły wojsk ukraińskich. Zgłosiłem się na ochotnika na front lwowski i zostałem wyznaczony na dowódcę pierwszego plutonu w siódmej kompanii dowodzonej przez porucznika Matuszka. Datę odjazdu batalionu na front lwowski wyznaczono na dzień 2 stycznia 1919 roku.

Na odcinku Śląska Cieszyńskiego pozostały tylko dwa bataliony naszego pułku, aby bronić świeżo odzyskanego klejnotu polskiej korony przed możliwym apetytem braci Czechów.

Wszelkie znaki na ziemi i niebie, a wraz z nimi organa własnego wywiadu wojskowego, jako też liczne grupki zbiegów i to przeważnie górników z okolic Polskiej Ostrawy i Orłowej, alarmowały w tym czasie Radę Narodową w Cieszynie oraz sztab wojskowy ówczesnego dowódcy śląsko-cieszyńskiego odcinka obronnego generała Latinika, że Czesi planują zamach zbrojny na całą część Śląska Cieszyńskiego. Ówczesna sytuacja polityczna i militarna w zakątku cieszyńskim niewesołe budziła więc w nas uczucia i refleksje w czasie odmarszu batalionu na front lwowski. Wiadomo nam było, że uszczuplamy i tak już bardzo słabe siły obronne na tym odcinku.

Odzywa się sygnał do odjazdu i pierwszy transport Ślązaków rusza pod osłoną ciemnej i mroźnej nocy styczniowej, pod dowództwem majora Strońskiego na odsiecz obrońcom Lwowa.

– Zalewajcie tym Ukraińcom sadła za skórę i wracajcie rychło na Śląsk, gdyż tu czeka na was robota z Czechami! – krzyczy ktoś z żegnających nas Cieszyniaków. Była już głęboka noc, a jednak zgromadził się ich spory tłumek.

Na stacji kolejowej Czechowice – Dziedzice zapowiedziano kilkunastominutowy postój, w czasie którego przeprowadziłem kontrolę mojego plutonu. Podszedł do mnie szczuplutki i wątły, lecz gibki i wesoły ochotnik podchorąży Szotkowski, syn kierownika szkoły w Istebnej, i zaprasza mnie do swego wagonu. Tam częstuje mnie świeżo podgrzanym na maszynce spirytusowej krupniokiem i wspaniałym sernikiem.

– Byłem na Sylwestra w domu i wszyscy opowiadają w Istebnej, Jaworzynce i Koniakowie, że Czesi gromadzą duże siły wojska w rejonie Czadcy – mówi do mnie Szotkowski.

– W Karwinie wszystkie wróble o tym świergoczą – wtrąca się do roz-

mowy ochotnik karwiński kapral Wróbel – że Czesi skoncentrowali silne oddziały wojska w rejonie Morawskiej Ostrawy oraz w rejonie Frydku–Mistku. Stoją tam w pogotowiu marszowym w kierunku na Bogumin – Karwinę – Cieszyn – Trzyniec. –

– Jak się Czesi dowiedzą o tym, o co nietrudno, że nas tyle chłopa odjechało z Cieszyna w kierunku na Lwów, to nabiorą animuszu bojowego i ruszą na Cieszyn – mówi Szotkowski.

– Nie wierzę w to! – odparłem – że Czesi zdobędą się na taką niegodziwość! Miałem tylu kolegów i przyjaciół Czechów w wojsku i wszyscy zgadzali się z tym, że wszystkie miejscowości na Śląsku Cieszyńskim, w których mieszka większość Polaków winny wrócić do Polski. Problem ten został już zresztą załatwiony między władzami lokalnymi polskimi i czeskimi na Śląsku Cieszyńskim, gdyż w dniu 5 listopada podpisał w tym duchu umowę czeski Národní výbor pro Slezsko w Polskiej Ostrawie z polską Radą Narodową Księstwa Cieszyńskiego w Cieszynie. Chodzi tylko o to, aby umowa ta została zatwierdzona przez miarodajne władze centralne w Pradze i w Warszawie.

Udałem się do wagonu dla oficerów, gdzie również prowadzono ożywioną dyskusję na ten temat. Były tu również podzielone zdania wśród oficerów, lecz panowała opinia, że Czesi nie sprowokują konfliktu granicznego z Polakami i nie ośmielą się szkodzić zmartwychwstałej i w krwawym znoju wykuwającej swoje granice Polsce.

Transport nasz leniwie podążał do celu. Jechaliśmy jedyną arterią komunikacyjną, którą docierały, w wielu miejscach pod obstrzałem Ukraińców, nieliczne transporty żywności, broni oraz szczupłe posiłki żołnierskie dla obrońców Lwowa. Jechaliśmy magistralą kolejową Kraków – Tarnów – Rzeszów – Przemyśl – Lwów. Między Przemyślem i Lwowem znajdowały się niektóre odcinki toru kolejowego pod obstrzałem broni artyleryjskiej i maszynowej wysuniętych oddziałów wojska ukraińskiego. Oczywiste było, że Ukraińcy zamierzają zarzucić pętlę na tę wąską gardziel oddechową obrońców Lwowa, zdusić ją, a tym samym odtworzyć nowy i niedawno przerwany przez wojsko polskie pierścień oblężniczy koło Lwowa.

Nasz transport dotarł szczęśliwie po dwóch dobach podróży do miejsca przeznaczenia, to jest do Gródka Jagiellońskiego, który znajdował się co prawda w rękach polskich, lecz był okrążony silnym pierścieniem stale napierających wojsk ukraińskich. Zadaniem naszej odsieczy było przełamanie tego pierścienia natarciem w kierunku na Lubień Wielki i Lubień Mały. Dowódca naszego batalionu major Stroński krążył wczesnym rankiem w dniu święta Trzech Króli ze swoim adiutantem podpor. Kocurem z Chybia wśród kompanijnych kwater, gdzie czyniono ostatnie przygotowania do zbiórki i odmarszu na bój. Pamiętam dobrze ten mroźny i otulony w gęstą, błogosławioną dla nas mgłę poranek styczniowy w Gródku.

Po zbiórce batalionu, w czasie odprawy oficerskiej mjr Stroński podaje spokojnym głosem zadania poszczególnych kompanii, asystuje przy wysyłaniu patroli rozpoznawczych i ubezpieczających po osi marszu i skrzydłach kolumny i prowadzi batalion do podstawy wyjściowej do natarcia. Kto by o tej porze był w sztabie majora Strońskiego, mógłby mniemać, że wybieramy się tylko na zwykłe ćwiczenia wojskowe. Spokojny był głos i pogodnie uśmiechnięta twarz naszego świetnego dowódcy. W każdej drużynie panował ład, spokój, pewność i gotowość wykonania zadania bojowego.

Po godzinnym marszu ubezpieczonym batalion zajmuje na południowym skraju bliżej mi nieznanego przysiółka postawę wyjściową do natarcia. Celem naszego natarcia była silnie obsadzona i umocniona przez oddziały ukraińskie duża wieś ukraińska Kiernica. Jesteśmy ukryci wśród zabudowań przysiółka oraz zasłonięci gęstym całunem mroźnej mgły. Po krótkim czasie zaczyna jednak mgła wolno opadać i widzimy przed sobą ośnieżony, prawie równy i tylko gdzieniegdzie lekko pofałdowany teren, pokryty tu i ówdzie kępkami krzaków tarniny. Około kilometra na południe od nas wyłaniały się wśród mgły na ułamki sekund zarysy kopuł na unickiej cerkwi w Kiernicy.

Stoimy w bezruchu wśród zabudowań przysiółka. W rozczłonkowanych kompaniach i plutonach panuje skupienie oczekiwania i cisza przerywana tylko półgłosem wydawanych rozkazów. Nad terenem zawisła znowu gęsta mgła. To nasze szczęście, gdyż za kilka minut mamy rozpocząć atak przy wsparciu naszej polowej baterii.

Mieszkańcy przysiółka opowiadają nam, że kilkanaście minut przed naszym przybyciem opuściła przysiółek ukraińska placówka. Ukraińcy znają więc nasze zamiary, lecz dlaczegóż nie nękają nas artylerią? Widocznie chcą również wykorzystać mgłę, dopuścić na bliską odległość do swoich pozycji i skosić ogniem karabinów maszynowych.

Nadszedł umówiony moment. Nasza bateria częstuje gradem pocisków ukraińskie stanowiska obronne na przednim skraju Kiernicy oraz baterię ukraińską w Lubieniu Wielkim. Mjr Stroński wydaje dodatkowe krótkie rozkazy i sypią się już głośno rozkazy dowódców kompanii i dowódców plutonów. Karabiny maszynowe por. Cieńciały zajmują stanowiska ogniowe i rozpoczynają huraganowy ogień na pozycje Ukraińców. Piechota ukraińska jeszcze milczy.

Batalion nasz rusza do natarcia. Wreszcie odzywa się artyleria i broń maszynowa nieprzyjaciela. Batalion rozsypuje się błyskawicznie w tyralierę i rozlegają się karabiny pojedynczych strzelców. Na szczęście ogień Ukraińców z powodu mgły jest niecelny. Mój pluton, jako kierunkowy z wytyczonym kierunkiem na cerkiew w Kiernicy, dopada na mój znak błyskawicznym skokiem do zasypanej śniegiem polnej drogi. Ludzi nie trzeba było popędzać, ruszyli do przodu jak szaleni. Tu i tam, wzdłuż drogi, gdzie przykucnęliśmy, były krzaki dzikiej róży. Położy-

łem się za jednym krzakiem, bezmyślnie zerwałem kilka zmarzłych owoców i żułem je. Były kwaśne, ale smakowały mi i to chyba pomogło mi nawet pozbyć się podniecenia i zdenerwowania z początku natarcia. Powiedziałem sobie:

– Teraz wiem, o co walczę i mogę umrzeć za Polskę. Przecież już tak dawno przysięgałem Jej wierność i Jej obronę. Jestem ochotnikiem w tej walce! –

Równocześnie przypomniała mi się kochana matka, siostry, bracia, piękny Cieszyn, rodzinna Ropica, inwalida wojenny Gajdaczek i inni koledzy i przyjaciele, i uświadomiłem sobie, że chcę żyć jeszcze i wrócić do tego kraju ojczystego, do Ropicy, na ukochany wolny polski Śląsk Cieszyński. Świadomość i pragnienie tego zadziałały i chociaż pociski cekaemów ukraińskich gwizdały nad naszymi głowami, byłem już zupełnie spokojny.

Byliśmy jeszcze niedaleko zabudowań przysiółka. Tam wśród stodółek pozostał luzak konny dowódcy kompanii szeregowiec–ochotnik Marcol gdzieś spod Frysztatu. Jeden z tych chłopaków, co jeszcze trupa na wojnie nie widzieli i prochu nie wąchali. Uwiązał karą klacz „Lucę" naszego komendanta gdzieś w chłopskiej stodole, a sam obserwuje spokojnie, flegmatycznie, z rozdziawioną gębą arenę bojową. Gapi się z podziwem na eksplodujące kilka kroków przed nim szrapnele ukraińskie. Słyszymy jak sierżant – szef taborów i kuchni polowych – ryczy z zabudowań: – Marcol, dekuj się , bo szlag cię trafi! – Marcol jednak nadal się delektował eksplodującymi pociskami ukraińskimi.

Artyleria Ukraińców wali coraz gęściej granatami i szrapnelami. Większość ich pocisków przenosi, gdyż ukraińscy obserwatorzy są ciągle oślepieni mgłą. Niektóre z pocisków padają na przysiółek i kilka zabudowań płonie.

Mgła powoli zanika i widoczność jest coraz większa. Jesteśmy już około 400 metrów od stanowisk obronnych wroga i widzimy dość wyraźnie zarysy świeżych okopów ukraińskiej broni maszynowej. Ogień Ukraińców, huk kanonady i jazgot broni maszynowej natęża się. Wreszcie mgła zupełnie zanikła, a my jesteśmy 200 metrów od celu. Teren przed nami równy jak stół. Leżę znowu za kępką tarniny. Widzę jak mój ordynans Tomala rąbie łopatką w zamarzłej ziemi. Usiłuje sobie wykopać wnękę strzelecką. Kilka kroków na prawo ode mnie eksplodują dwa granaty artyleryjskie. Po tej eksplozji tracę na chwilę przytomność umysłu. Szybko jednak się ocknąłem i rozglądam się za plutonem. W miejscu eksplozji słyszę wrzaski i jęki rannych. Widzę, że w moim kierunku biegnie jakiś tyralierzysta. Koło niego padają pociski z cekaemu ukraińskiego. Pada więc plackiem na śniegu. Powstaje znów i krzyczy: – W mojej drużynie jeden zabity i trzech rannych! – Był to drużynowy kapral Sitek. Widzę, jak koło niego prószy śnieg z padających pocisków cekaemu ukraińskiego. Pada znów na ziemię – mart-

wy. Miał lekką śmierć, gdyż jak stwierdziłem po bitwie, pociski podziurawiły go jak sito.

Już czas przygotować się do szturmu. Zieje ogniem granatów nasza bateria a nasze cekaemy dzielnie jej wtórują. Mój ordynans Janek Tomala szybko i nerwowo, pewnie bez celowania, strzela przed siebie. Krzyczę więc do niego, żeby się skupił. Odpowiada wykrzykiem: – Ni móm już patrón! – Podbiega w piekielnym ogniu do zabitego kaprala Sitka i zrywa z niego pas główny z ładownicami. – Móm już patróny! – krzyczy, biegnąc do mnie i zaczyna znów strzelać.

Już najwyższy czas pójść do szturmu, więc krzyczę donośnym głosem: – Cały pluton – cel kulomiot koło kościoła – szybko strzelać! –

Za chwilę krzyczę: – Przerwać ogień i przygotować granaty do szturmu! – Strzelanie przerywa jednak tylko najbliższa drużyna, więc znów krzyczę mój rozkaz. Ogień plutonu milknie dopiero po dłuższej chwili, a Ukraińcy strzelają teraz jakoś z umiarem. Rozglądam się więc po plutonie i wołam: – Szturm! Rozglądam się powtórnie po tyralierze i czekam na powtórkę mego rozkazu przez drużynowych, lecz słyszę ją tylko w najbliższych drużynach. Ryczę więc po raz drugi: – Szturm! – Słyszę teraz więcej głosów. Zrywam się naprzód z Tomalą i podchor. Szotkowskim z okrzykiem – Hurra! – Widzę, że pluton biegnie za nami. Nasz bieg trwał jednak tylko najwyżej 60 kroków i znów przygwoździł nas do śniegu ogień ukraińskich cekaemów. Ktoś znowu jęczy.

Do stanowisk ukraińskich pozostało nam niespełna 150 kroków. Na lewo od siebie widzę jak z lewoskrzydłowej kompanii leżącej w nierażonym pociskami wroga zagłębieniu terenu wypadło około 30 ludzi, kierując się na prawe skrzydło nieprzyjaciela. Dodało mi to otuchy. Runąłem z Tomalą, podchor. Szotkowskim i strzelcem Cieślarem błyskawicznym skokiem do przodu. Padam na ziemię i słyszę w tej chwili nad głową przeraźliwy gwizd, od którego zaświdrowało mi w mózgu. Chowam głowę i ryję nosem w jakimś kretowisku czy wyoranej bruździe. Patrzę za chwilę, jak środek mego plutonu zalała fontanna wybuchu. Trudno mi było odgadnąć, jakie tam straty.

Leżeli wszyscy nieruchomo w głębokim śniegu, przywierając mocno twarzami i hełmami do zamarzniętej ziemi. Chcę podciągnąć pluton na moją wysokość. W tej chwili znowu przeraźliwy świst w powietrzu i przed stanowiskiem kulomiotu ukraińskiego eksploduje granat naszej artylerii. Dalszy nasz artyleryjski granat eksploduje już za stanowiskiem Ukraińców. Wykorzystuję tę chwilę, krzyczę znów: – Szturm! – i ruszamy do ataku. Obok mnie Tomala, Szotkowski i Cieślar. Przebiegliśmy tak może 70 kroków. Słyszę krzyk – o Jezu! – i Cieślar pada na śnieg. Był na miejscu martwy. Pada nasz drugi granat artyleryjski niedaleko nieprzyjacielskiego kulomiotu. Równocześnie leżący koło mnie Janek Tomala zrywa się nagle bez mego rozkazu, z granatem w ręku biegnie około 50 kroków i rzuca granatem w kierunku kulo-

miotu. Granat eksplodował dosyć daleko przed celem. Wtedy Tomala zrywa się ponownie, rzuca drugi granat już ze skutecznej odległości, lecz pada martwy, przeszyty całą serią pocisków. Granat Tomali eksploduje i kulomiot zamilkł. Podrywam więc pluton i gonimy uciekających Ukraińców, którzy wykorzystując parkany i drzewa przycerkiewne, znikają między wiejskimi zabudowaniami i opłotkami, pozostawiając kulomiot w naszych rękach.

Nastała przerwa w bitwie i trąbią sygnał do zbiórki. Nadchodzi mjr Stroński z adiutantem ppor. Kocurem i dowódcą kompanii kulomiotów por. Cieńciałą, dowódca naszej kompanii por. Matuszek, dowódcy dalszych kompanii por. Buchta i Merka. Dowódca batalionu mjr Stroński gratuluje i dziękuje wszystkim za dobre wykonanie rozkazów.

Po zbiórce poszedłem popatrzeć na teren bitwy. Janek Tomala, mój ordynans leżał nieopodal na śniegu na wznak z otwartymi oczami. Zamknąłem mu powieki i pomodliłem się gorąco nad jego zwłokami.

Mocno i głęboko utkwił mi w pamięci ten chrzest bojowy w zmartwychwstającej Polsce, to starcie w Kiernicy. Pamiętam wciąż każde drgnienie nerwów i serca w tym boju. Chodziło przecież o dochowanie wierności przysiędze, którą tak uroczyście składałem w sztubackiej konspiracji na zbiórce nad Olzą w Cieszynie. Byłem dumny z tego, że nareszcie mogę walczyć o prawdziwą niepodległość Polski.

Wszyscy żołnierze mego plutonu dobrze i sumiennie spełnili wówczas swój żołnierski obowiązek. A szeregowiec Janek Tomala, który rzucił się z granatami w ręku na nieprzyjacielski kulomiot, był prawdziwym bohaterem. Poświęcił się dla nas wszystkich z plutonu.

Groby dla poległych w tej bitwie Polaków i Ukraińców zostały wykopane pod unicką cerkwią w Kiernicy. Zostali pochowani blisko siebie. Wszyscy byli już tam, gdzie nie ma już zabijania i gdzie nie ma już krwawych sporów o graniczne powiaty oraz o graniczne miedze. Batalion, na czele z dowódcą, zgromadził się nad otwartymi jeszcze mogiłami poległych i oddając im cześć, przemaszerował w ciszy przed nimi.

Wszyscy polegli Polacy byli z okolicy Cieszyna. Z mego plutonu spoczywają we wspólnej mogile w Kiernicy Tomala, Sitek, Cieślar i Sikora. Odpoczywają na wieki tak daleko od Śląska.

Niech im ta piękna ziemia kresowa, ziemia lwowska, użyźniona tak obficie ich krwią i krwią jeszcze wielu innych poległych na niej Ślązaków spod Cieszyna, lekką będzie. Niech odpoczywają w wiecznym pokoju.

c.d.n.
Alojzy Nowok

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (2)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Przyznana ojcu renta nie mogła zaspokoić najbardziej elementarnych potrzeb 5-osobowej rodziny. Dlatego należało szukać różnych sposobów, by zdobywać dodatkowe środki utrzymania. Przydomowy ogródek uprawiany skrupulatnie przez matkę dostarczał trochę jarzyn, ale też i kwiatów. Na wspomnianym 8-arowym poletku, które podobnie jak ogródek ryło się i spulchniało szpadlem, matka uprawiała głównie ziemniaki, kapustę, fasolę oraz brukiew (tzw. kwaki). Wyhodowane ziemniaki i kapusta (później kiszona w beczce) były przechowywane w piwnicy i stanowiły wraz z fasolą główne składniki naszych obiadów w ciągu całej zimy. Brukiew (którą my, dzieci, tak bardzo lubiliśmy zajadać na surowo) matka sadziła jedynie na paszę dla naszej kozy oraz wtedy, gdy w chlewiku (w szopce) hodowała świnię.

Pamiętam jedną tylko „zabijaczkę". Wtedy to w domu było wiele smakołyków: kaszanki, wątrobianka, salceson. Mięso i słoninę wędziło się w kolonijnej wędzarni. Zapasy te wystarczały na dłuższy czas, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Przeważnie bowiem wykarmioną świnię matka sprzedawała rzeźnikowi, by w ten sposób zdobyć tak potrzebny dodatkowy grosz na zakup żywności, niekiedy tylko obuwia i odzieży. Zawsze w tej transakcji sprzedaży musiano się godzić na podyktowaną przez kupującego cenę, która była stanowczo za niska w stosunku do wartości towaru. Taką jedną transakcję zapamiętałem dokładnie. Mianowicie po powrocie ojca ze szpitala matka była zmuszona zdobyć jakieś pieniądze. Ordynator Baier zalecił bowiem, by schorowanego i bardzo osłabionego ojca leczyć także dla wzmocnienia codziennymi małymi dawkami koniaku, którego zakup wymagał sporego wydatku, nie mającego pokrycia w więcej niż skromnym budżecie domowym. Stąd sprzedaż świni była jedynym sposobem na zdobycie potrzebnych pieniędzy. Tę trudną sytuację wykorzystał jednak rzeźnik, który zaoferował bardzo niską cenę, na którą matka musiała niestety się zgodzić. Długo jeszcze potem nie mogła zapomnieć owej niegodziwości ludzkiej.

Ważną żywicielką rodziny była także koza, która dostarczała nam mleka. Właściwie w całym wczesnym dzieciństwie nie zaznałem smaku krowiego mleka. Pasienie kozy należało do nas dzieci.

◄ *Tak... czy tak – na Gorolskim Balu* *fot. FRANCISZEK BAŁON*

Od wiosny do późnej jesieni wyprowadzaliśmy ją na niedalekie rozległe pastwisko usytuowane między naszą kolonią a kopalnią Jana i Karola. Na nim wypasano wszystkie kozy z Hajndrychowa a także z odległej kolonii Na granicach. Stąd na pastwisku oprócz dużego stada kóz była wielka liczba dzieci rodzin górniczych. Kóz nie było trzeba specjalnie pilnować – same się pasły. Czasem dochodziło między nimi do bójki, bodąc się rogami, podobnie jak i między dziećmi różnego wieku powstawały niekiedy drobne nieporozumienia, zwłaszcza pomiędzy tymi z Hajndrychowa a graniczniokami. Pod wieczór tworzyły się wyraźne dwie grupy pasterzy z kozami. Jedna, liczniejsza, wyruszała do swojej kolonii Na granicach, druga zaś do pobliskich swoich domów. Oprócz świni i kozy matka hodowała także kury i króliki. Stanowiło to również bardzo ważne źródło pozyskiwania taniej żywności (jaja, mięso). Obowiązek dostarczania królikom świeżej trawy spoczywał również na dzieciach.

Niemal wszystkie rodziny górnicze z Hajndrychowa dokonywały zakupów podstawowych artykułów żywnościowych w centrum Karwiny w sklepie spółdzielczym CSSŁ (polska spółdzielnia Centralne Stowarzyszenie Spożywcze dla Śląska w Łazach). Jedynie doraźnie korzystano ze znajdującego się we dworze drewnianego sklepiku, będącego własnością niejakiego Popka. Owymi podstawowymi artykułami była mąka, cukier, sól, czasami ryż, kawa zbożowa, przyprawy itp., a także w bardzo ograniczonych ilościach mięso. Kupowało się „na książkę". Polegało to na tym, że sprzedający wpisywał do specjalnej książeczki nazwę i cenę zakupionego towaru. Należność regulowało się raz w miesiącu, w zamian zaś otrzymywało się paragony, które po upływie roku kalendarzowego zestawiało się i obliczało ich wartość, co z kolei stanowiło podstawę do przyznania skromnej, lecz liczącej się dywidendy, uprawniającej do darmowego nabycia wybranego towaru.

Chleb matka wypiekała sama. Pamiętam, że do wypieku używała po połowie mąki „gładkiej" i „chorej". Była to zapewne mąka pszenna i tańsza żytnia. Do ciasta dodawała też dla większej objętości trochę ugniecionych gotowanych ziemniaków. Wypiek odbywał się w kolonijnym piekarszczoku, z którego korzystało, tak jak ze wspomnianej wędzarni, wiele górniczych rodzin. Także jedyny w zasadzie tłuszcz (do smarowania chleba i do gotowania), jaki spożywaliśmy, był przyrządzany przez matkę. Był on mieszaniną taniego smalcu, stopionej świeżej słoniny wieprzowej oraz wołowego łoju z dodatkiem cebuli i odrobiny czosnku. Margaryny używała matka jedynie do świątecznych ciast, masła zaś nigdy nie używaliśmy (było za drogie). Resztę produktów spożywczych uzupełniały plony z działki oraz jarzyny z ogródka.

Codzienne śniadanie składało się z chleba posmarowanego wspomnianym tłuszczem oraz kawy zbożowej z kozim mlekiem. Często też my, dzieci, drobiliśmy suchy chleb do kawy i w takiej postaci jedliśmy łyżką. Jedynie z okazji wielkich świąt (Boże Narodzenie, Wielkanoc) spożywaliśmy babkę drożdżową z rodzynkami lub jakiś inny placek z kruszonką. Wtedy też matka do kawy zbożowej dodawała kilka ziarenek prawdziwej kawy, „żeby pachniało". Obiady zaś składały się z różnych zup (kartoflanka, czosnkowa, kminkowa, pomidorowa, fasolowa, grochowa i in.). Na drugie danie matka przygotowywała dość urozmaicone potrawy. Były więc mączne (naleśniki, różne rodzaje klusek), mleczne (grysik, ryż), częste placki ziemniaczane (stryki) lub fasola „na sucho". Jadaliśmy oczywiście także ziemniaki, np. w lecie z marchewką, kalarepką lub słodką kapustą, zaś w zimie z zasmażaną lub okraszoną skwarkami kiszoną kapustą. Raz lub dwa razy w tygodniu (zwłaszcza w niedzielę) drugie danie składało się także z kawałka parówkowej kiełbasy lub mięsa, którego kupowało się „sztwiertkę" (25 dkg), a nawet „ósemkę" (12,5 dkg). O ile dobrze pamiętam, „ósemka" wołowiny na rosół kosztowała wówczas 2 korony. Kolacja niekiedy była podobna do śniadania, ale też matka i ten posiłek starała się urozmaicać. Stąd zamiast kawy piliśmy herbatę, czasem z cytryną, lub bawarkę (oczywiście z kozim mlekiem). Niekiedy była też kolacja „gotowana". Przede wszystkim dojadaliśmy ewentualne resztki z obiadu lub też matka przygotowywała inne potrawy, np. placki ziemniaczane, jajecznicę, ryż z jabłkami, fasolę itp. Dla uzyskania większej objętości jajecznicy „zakłócało" się ją zawsze dodatkiem „rozfyrtanej" mąki. Była to tzw. „głupia jajecznica". Do dziś jestem pełen podziwu dla wszystkich starań mojej matki, która z takim trudem poświęcała się, by mimo napotykanych różnych trudności wyżywić rodzinę na pewnym poziomie.

Obok wymienionych najważniejszych problemów związanych ze zdobywaniem żywności dla całej rodziny były również inne sprawy, które musiała rozwiązywać matka. Wiązało się to zwłaszcza z utrzymywaniem higieny w ciasnym mieszkaniu oraz z troską o przyodziewek 5-osobowej rodziny. Jeśli idzie o sprawę pierwszą, to najmniejszym problemem było codzienne mycie naczyń. W tym zakresie musieliśmy matce pomagać, wprawdzie nie systematycznie, ale jednak czasami były dla nas wyznaczane dyżury (obcieranie naczyń, niekiedy dostarczanie wody ze studni). W wielu innych sprawach nie mogliśmy matce pomagać, byliśmy bowiem za mali. Czynności związane z praniem matka była zmuszona wykonywać w ciasnej kuchni w drewnianym korycie, tutaj też na piecu kuchennym gotowała większość brudnej bielizny. W tym samym miejscu

i w tym samym korycie odbywała się cotygodniowa kąpiel. Co pewien czas przed kąpielą ojciec, choć miał niesprawną prawą rękę, strzygł nasze głowy, z reguły do goła. Do tego celu służyła mu maszynka fryzjerska (oczywiście ręczna). Dość dużego wysiłku wymagało utrzymanie w czystości podłogi, która w budynkach kolonijnych była z desek. Matka co sobotę szorowała ją na klęczkach ryżową szczotką.

Innym trudnym problemem była sprawa przyodziewku, zwłaszcza dla rosnących dzieci. Ze zrozumiałych względów nie mogło być mowy o systematycznym kupowaniu odzieży i obuwia. Dlatego – jak to zresztą odbywało się we wszystkich górniczych rodzinach – my, dzieci, kolejno „dziedziczyliśmy" różne części garderoby i obuwie po starszych, gdy ci wyrastali z nich ponad miarę. Oczywiście w najgorszej sytuacji był zawsze ten najmłodszy z rodzeństwa, który znajdował się na samym końcu owej kolejki „dziedziczenia". Nasza matka dokonywała ciągle jakichś przeróbek, cerowań, łatań, nie mając oczywiście maszyny do szycia. Jeżeli zaistniała już rzeczywista konieczność zakupu jakiejś bielizny i wygospodarowało się jakiś grosz, wtedy kupowało się metrażowy materiał, z którego matka ręcznie szyła dla nas koszule, spodenki itp. Do szkoły uszyła mi z jakiegoś starszego materiału nawet plecak, w którym nosiłem początkowo elementarz i tabliczkę z rysikiem, później zaś książki, zeszyty i piórnik. Kolejnemu „dziedziczeniu" podlegało też obuwie, które poddawane było wielokrotnej reperacji. Tą sprawą natomiast zajmował się ojciec. Do tego celu zorganizował sobie potrzebne narzędzia: trójczłonowe żelazne kopyto, szydło, nóż (tzw. gnyp) i młotek szewski. W sklepie kupował skórę na zelówki i drewniane kołki (klinki), zaś do podbijania obcasów podkówki i odpowiednie gwoździe. W razie potrzeby na cholewki przyszywał skórzane łatki, posługując się szydłem i sporządzoną domowym sposobem dratwą. Często też nasze obuwie podbijał podeszwą, wykrojoną ze starego gumowego pasa, który na dole w kopalni służył do transportu urobku węgla. Poza tym ojciec szył dla nas także z różnych materiałów tekstylnych domowe kapcie.

Wtedy w szkole zazdrościłem niektórym kolegom z rodzin lepiej sytuowanych, że mają fabrycznie szyte koszule, a także nowe plecaki, piórniki itp. Zazdrościłem im również swetrów, których ja w dzieciństwie nie miałem. Od wiosny do jesieni dzieci z kolonii biegały boso, boso też chodziło się do szkoły. Dlatego ja, siedząc boso w jednej ławce z synami pastora i introligatora, bardzo im zazdrościłem, że są tak „elegancko" ubrani i obuci w kolorowe skarpetki i nowe półbuciki.

c.d.n.

OLZA na Koncercie Świątecznym w Trzyńcu ▶
fot. FRANCISZEK BAŁON

KONCERT ŚWIĄTECZNY

Największym wydarzeniem kulturalnym podczas Bożonarodzeniowych przygotowań pod koniec ubiegłego roku był Koncert świąteczny, który odbył się 20 grudnia w Domu Kultury TRISIA.

Przybywających tłumnie widzów w holu witały zespoły biorące udział w muzycznym widowisku. Olzianie sprzedawali pierniczki i suszone owoce na wigilijny stół. Wielkim powodzeniem cieszyły się piernikowe lukrowane chatki, których białe dachy przypominały o zimie nieobecnej na polach i ulicach. Tuż obok członków zespołu OLZA swój kram reklamowali GÓROLE z Mostów koło Jabłonkowa. Tu można było nabyć kasety i płyty zespołu z nagraniami kantyczek Adama Sikory, a w nagrodę spróbować śliwowicy. Po drugiej stronie holu piernikowe cacka sprzedawali najmłodsi tancerze i śpiewacy zespołów SUSZANIE i BYSTRZYCA.

Zaopatrzeni w kolorowe pierniczki, nastrojeni ciepłą atmosferą powitania, zasiedliśmy w wygodnych fotelach, by oddać się duchowej uczcie. I tu niespodzianka największa. Nie ulega wątpliwości, że lubimy swoje zespoły, choć rzadko możemy je podziwiać jednocześnie w takiej ilości i, co najważniejsze, w tak wspaniałej formie. Płynnie przebiegała wymiana kapel i zespołów. Wirowały kolorowe spódnice tancerek zespołów Olza, Bystrzyca, Skotnica, Suszanie i Górole. Mogliśmy podziwiać folklor naszego regionu i z różnych miejsc Polski, często poznany i przygotowany dzięki pobytom zespołów na kursach i festiwach w kraju ojczystym. Słowo wstępne przed koncertem wygłosił, kierując się tekstem Adama Sikory, Tadeusz Filipczyk. świąteczny czas przypomniały nam wspólnie z zespołami śpiewane kolędy i opłatki, którymi dzieliliśmy się wszyscy na widowni. To wzruszający akcent widowiska, które miło i optymistycznie nastroiło jego uczestników, po prostu chcemy takich przeżyć więcej, o czym świadczył aplauz uczestników koncertu, szczelnie wypełniających salę. Pozostaje wiara i nadzieja, że młodzi postarają się o kolejne miłe niespodzianki.

Organizatorkami i autorkami scenariusza koncertu były Urszula Niedoba i Michaela Donocik.

E.S.

fot. FRANCISZEK BAŁON

Ilustracja do opowiadania Anny Filipek „Kosztowani żiwota", rys. STANISŁAW KRAUS

PODSUMOWANIE DZIAŁALNOŚCI STOWARZYSZENIA ARTYSTÓW PLASTYKÓW W ROKU 1997

Na progu Nowego Roku spojrzeliśmy na rok miniony, żeby ocenić, jaki on dla nas był, co nam przyniósł i cieszyć się z tego, co udało się zrealizować. Jesteśmy członkami rodziny PZKO i staraliśmy się godnie uczcić Jubileusz 50-lecia. Wysoko postawiona była poprzeczka, którą udało się nam pokonać. Zainteresowani działalnością byli wszyscy członkowie SAP, których jest obecnie 23.

W ciągu roku odbyły się trzy zebrania członkowskie oraz w zależności od potrzeby narady-konsultacje zarządu. Od wielu lat współpracujemy z ośrodkami twórczymi w Polsce – Toruń, Opole. Ośrodki te organizują u siebie Międzynarodowe Plenery Malarskie, na które są zapraszani i nasi plastycy. W tym roku uczestniczyło w plenerze w Kędzierzynie-Koźlu, w Toruniu i w Zwierzyńcu po dwóch plastyków.

Dla uczczenia Jubileuszu PZKO odbył się w Kędzierzynie-Koźlu uroczysty Dzień Zaolzia, w ramach którego była i wystawa naszych plastyków, 16 artystów wystawiło 40 prac plus ekslibrysy. Wystawa została później przewieziona do Brzegu. W dniu Festiwalu PZKO odbył się w Małej Galerii Magal w Karwinie wernisaż wystawy 40 prac 19 plastyków. W ostatniej wystawie zbiorowej w Domu PZKO w Jabłonkowie 17 plastyków wystawiało 60 prac. Odbyły się cztery wystawy zbiorowe naszych plastyków, a poza tym siedmiu plastyków zaproszono do udziału w wystawie Salon Karwińskich Plastyków w Sali Mánesa w Domu Kultury w Karwinie.

Wystawiali również nasi plastycy swe prace na wystawach indywidualnych u nas i w Polsce.

Swe prace prezentowali: Monika Milerska – Biblioteka Regionalna Karwina, Walter Taszek – Dom Kultury Sala Mánesa Karwina, Józef Drong – Dom Kultury Sala Mánesa Karwina, Oskar Pawlas – Muzeum Okręgowe Bielsko-Biała, Gołuchów, Władysław Ćmiel – Mała Galeria Magal Karwina (dwukrotnie), Gustaw Fierla „in memoriam" – Polskie Gimnazjum Cz. Cieszyn, Tadeusz Wratny – Mała Galeria Magal Karwina, Biblioteka Regionalna Karwina, Darina Krygiel – Dom PZKO Błędowice.

Tyle o wystawach, ale zanim zostały one zrealizowane – zwłaszcza wystawy zbiorowe, trzeba było wiele wysiłku i czasu, żeby osiągnąć zamierzony cel.

Dzięki zaangażowaniu kilku osób udało się sfinalizować wydanie katalogu Gustawa Fierli i urządzić wystawę. Z powodu niewystarczających finansów musieliśmy zrezygnować z okazałego katalogu. Zabieganie o fundusze rozpoczęło się już w roku 1996. Przewodniczący SAP zwracał się pisemnie do instytucji, przedsiębiorców i osób prywatnych z prośbą o dary sponsorskie. Wielu jednak nie zareagowało na tę odezwę. Dziękujemy więc wszystkim tym, którzy złożyli dar sponsorski. Nasze podziękowanie kierujemy przede wszystkim do Urzędu Miasta Orłowa za poważne wsparcie finansowe, dziękujemy tym szkołom, które przeprowadziły u siebie zbiórkę na ten cel, członkom SAP za wpłacenie darów i wszystkim, którzy pomogli zdobyć potrzebne fundusze. W ostatniej fazie sprawą zajął się ZG PZKO i pomocną była kierowniczka Biblioteki Regionalnej w Karwinie. Zebrania obrazów na wystawę Gustawa Fierli podjął się Władysław Owczarzy i Monika Milerska oraz przewodniczący Oskar Pawlas. Przygotowanie lokalu do wystawy, instalację i wernisaż wystawy przeprowadził Władysław Kubień.

Przewodniczący SAP wygłosił w Domu PZKO w Błędowicach prelekcję na temat „Twórczość Franciszka Świdra i Rudolfa Żebroka".

Na zaproszenie pedagogów z PSP w Bukowcu trzech plastyków (Drong, Milerska, Pawlas) przeprowadziło w maju z uczniami szkoły dwukrotnie warsztaty plastyczne. We wrześniu odbyło się również w Bukowcu dwudniowe seminarium z udziałem pięciu plastyków (Drong, Milerska, Krygiel, Pawlas, Szkopek), za które odpowiedzialny był Józef Drong.

Ubiegły rok przebiegał nie tylko pod znakiem wzmożonej aktywności, ale były i miłe chwile, które będziemy długo wspominać.

Niektórzy nasi członkowie zostali odznaczeni za długoletnią pracę. Na Festiwalu PZKO w Karwinie otrzymał przewodniczący SAP Oskar Pawlas odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej", którą przyznał Minister Kultury i Sztuki RP. Na uroczystym Konwencie Prezesów Złotą Odznakę PZKO I stopnia z wpisem do Złotej Księgi otrzymał Oskar Pawlas oraz Gustaw Fierla „in memoriam".

Z okazji 100-lecia Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej wręczono Oskarowi Pawlasowi i jego małżonce Akt Uznania za owocną współpracę w promocji polskich artystów z Zaolzia.

Licznie zgromadzeni goście na wernisażu wystawy w Jabłonkowie byli świadkami uroczystego wręczenia odznaczeń naszym czterem plastykom (A. Bartulec, Z. Kubeczka, W. Taszek, T. Wratny).

W grudniu ub. r. wręczono w Konsulacie Generalnym w Ostrawie Tadeuszowi Wratnemu „Srebrne Spinki", przyznane za zaangażowanie i całokształt pracy.

Uroczysty akcent miało ostatnie zebranie SAP w grudniu, na którym dyrektor Biura ZG PZKO Bohdan Suchanek ocenił pozytywnie pracę SAP i razem z przewodniczącym Oskarem Pawlasem wręczył obecnym legitymacje członkowskie. Legitymacje i pieczątkę zaprojektował i wykonał Józef Drong. Z życzeniami wszelkiej pomyślności i niemniej udanego roku 1998 pożegnaliśmy kończący się rok.

OSKAR PAWLAS

Bukowiec, rys. OSKAR PAWLAS

ODWIECZNY MARZYCIEL

Kronika wydarzeń kulturalnych, których animatorami są Polacy mieszkający na terenie Czech, na Zaolziu, jest niezmiernie bogata. Odnotowywanie tych wydarzeń uważamy za bardzo ważne dla tego i przyszłych pokoleń. Niestety i Kronika Zwrotu ma swe ograniczenia – oprócz tych prozaicznych, wypływających z określonej ilości stronic, są to niekiedy przyczyny mniej prozaiczne – redakcja nadal o wielu akcjach dowiaduje się za późno, o niektórych wcale. Trzeba owszem również przyznać, że bardzo mały skład personalny redakcji i ograniczone możliwości finansowe nie pozwalają nam być wszędzie tam, gdzie być chcielibyśmy.

Powyższy tytuł do opisania kolejnych działań Bronisława Firli zapożyczyliśmy z Dziennika Rybnickiego. Bronisław Firla architekt, plastyk, niezmordowany eksperymentator w sztuce (chyba i w życiu...), działacz SLA – też długoletni przewodniczący Pionu Plastycznego tegoż, teraz poza nowo powstałym Związkiem Plastyków, zaangażowany jako przewodniczący Koła Polskich Kombatantów w RC. Skala działań i osiągnięć Bronisława Firli, urodzonego w 1924 roku, była i jest niezmiernie szeroka. Nadal pozostaje sobą – pełny żywotności, nie zatrzymujący się, niezatrzymywany przez czas czy czasy... Świadczą o tym i ostatnie jego eksperymenty z grafiką komputerową (jedną z prac publikowaliśmy w Zwrocie 1/98).

Do licznych wystaw autorskich Bronisława Firli w wielu miejscach w Czechach i w Polsce (tu również w Krakowie i Warszawie), wystaw

prawie corocznych, przybyła i zeszłoroczna, z przełomu sierpnia i września, wystawa artysty w muzeum w Raciborzu. Odbiła się ona szerokim echem w lokalnej prasie. Poniżej cytujemy fragmenty niektórych artykułów:

Dziennik Rybnicki nr 149, 1.9.1997 (Stanisław Wielocha)

... Tym razem na ścianach galerii zawisły prace artysty Zaolzia Bronisława Firli. Na uroczystość przybyli m. in. konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk oraz konsul Piotr Szwarc. (...) – To dosyć szczególna sytuacja, gdy sam autor jest wśród nas – przywitał obecnego na otwarciu Bronisława Firlę dyrektor muzeum Paweł Porwoł. – Dotychczas wystawialiśmy zwykle prace artystów już nieżyjących (...) Twórczość Firli, jak widać na przykładzie wystawianych w racibor-

skim muzeum obrazów, jest bardzo różnorodna. Operuje intensywnością kolorów i abstrakcją, lubi pionowe formy. (...) – Pomimo wielu przeciwności i trudności w kontaktach z innymi artystami Bronek zawsze zachował dystans i niezależność poglądów – określił jego ówczesną postawę dyrektor Porwoł.

Gazeta Raciborska nr 16, 11.9.1997 (WP)

... Uprawia malarstwo, rysunek, tkaninę Art–Protis, formy przestrzenne oraz ... poezję. W swoim dorobku artystycznym ma 26 wystaw indywidualnych i ponad 40 zbiorowych. Od lat 70. utrzymuje przyjazne kontakty z muzeum w Raciborzu. (...) Na wystawie autor pomieścił 59 obrazów o różnych formach plastycznych od grafiki i akwareli po prace olejne. Zapytany o swoją twórczość i prezentowaną wystawę artysta powiedział: „tworzę dla wewnętrznej, własnej potrzeby, własnego zadowolenia. Wystawianie w tym szacownym przybytku sztuki jest dla mnie zaszczytem". (...)

Trybuna Śląska nr 213, 12.9.1997 (Witold Grzonka)

Wreszcie doczekał się otwarcia indywidualnej wystawy swojego malarstwa i grafiki w tym mieście. – Muzeum nie jest galerią. Istotne jest jednak, aby artyści mogli się tutaj prezentować. Pod warunkiem, że jest się członkiem nietuzinkowym. Taki właśnie jest Bronek – mówi o artyście a zarazem swoim koledze dyrektor muzeum Paweł Porwoł. – Dostrzegam go jako najmłodszego z nas, mimo, że jest najstarszy. (...) Tworzę zawsze pod wpływem przeżyć i atmosfery, która mnie otacza – mówi artysta. – Dlatego te prace są tak różne. Powstały na przestrzeni ponad 20 lat. W tym czasie zaszły ogromne zmiany, które rzutowały na moją twórczość. (...) Uważam, że do malowania można z powodzeniem wykorzystywać pomoc komputera. Sztuka pójdzie w przyszłości w tym kierunku. Nie zmieni to jednak mojego przywiązania do motywów zaolziańskich i beskidzkich. (...) Konsul Szwarc mówi, że wystawa dokumentuje więzi artysty z Macierzą. – Widać, że jego uczucia, praca i wyobraźnia twórcza związane są z Polską. Na Zaolziu jest wiele takich osób. (...)

Nowiny Raciborskie nr 35, 5.9.1997 (w)

(...) Karierę międzynarodową rozpoczął w roku 1971 biorąc udział w plenerach w Polsce i na Węgrzech. (...) Odbył stypendia twórcze w Danii, Finlandii, Grecji, Hiszpanii, Portugalii i Szwecji (...) (Chodziło o stypendia twórcze architektów – przyp. redakcji).

Nowiny nr 36, 10.9.1997 (maj)

(...) – Był częstym uczestnikiem plenerów raciborskich – mówi komisarz wystawy Marian Zawisła. – Trafił do nas poprzez wystawę z Opola. (...) Jego prace znajdują się w muzeach w Bydgoszczy, Opolu i Raciborzu oraz w zbiorach prywatnych w Anglii, Niemczech i na Węgrzech. (...)

F.B.

Redakcja dziękuje za udostępnienie wycinków gazet ze zbiorów Bronisława Firli.

OBRAZY STANISŁAWA KRAUSA W BIBLIOTECE FRYSZTACKIEJ

7 stycznia otwarta została, przygotowana przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, w pomieszczeniach biblioteki frysztackiej wystawa obrazów Stanisława Krausa. Po kilku wystawach artystów związanych poprzez miejsce urodzenia lub tematykę twórczości z Karwiną i najbliższą okolicą swoje dzieła malarskie przedstawił artysta trzyniecki.

Stanisław Kraus urodził się 21 czerwca 1926 roku w Trzyńcu w rodzinie hutniczej. Lata dojrzewania zabrała mu wojna. Na początku wojennej tułaczki dotarł aż do Lwowa. W roku 1940 wrócił do Trzyńca, skąd wysłany został do pracy przymusowej na Dolny Śląsk. Po wojnie rozpoczął naukę w gimnazjum w Cieszynie, wybrał jednak przygodę. Zwiedził Gdańsk, Szczecin, Berlin, Nismegen w Holandii. W rodzinne strony powrócił w roku 1947. Został powołany do wojska i tu rozpoczął się jego flirt ze sztalugami.

Stanisław Kraus pracował w oddziale propagandy wizualnej Huty Trzynieckiej. Talent plastyczny rozwijał poprzez samokształcenie. Nawiązał kontakt ze środowiskiem plastyków, uczył się malarstwa u Gustawa Fierli, Franciszka Świdra i Rudolfa Żebroka. W roku 1950 został członkiem Sekcji Literacko–Artys-tycznej. W drugiej połowie lat 50. ukończył studium rysunku

fot. FRANCISZEK BAŁON

i estetyki w Pradze u prof. Baumbrucka. W końcu sam został nauczycielem – prowadził kółko plastyczne w Domu Kultury Huty Trzynieckiej – czterdziestu jego uczniów to późniejsi studenci wyższych szkół plastycznych. Rozwijał działalność w SLA, został prezesem pionu plastycznego.

Jego ulubioną techniką malarską był niezmiennie olej. Jego obrazy charakteryzuje brak szczegółu. Eksperymentując z kolorem, posługiwał się barwnymi plamami, utworzonymi z nałożonej pędzlem lub szpachlą jakby niedbale grubej warstwy farby. Malował pejzaże, krajobrazy beskidzkie, martwą naturę, ale również hutę trzyniecką i hutników przy pracy, portrety i akty. Brał udział w ponad 60 wystawach zbiorowych w kraju i za granicą. Do tego dochodzi 40 wystaw indywidualnych.

Wystawa w bibliotece frysztackiej zawierała ponad 50 obrazów z różnych okresów twórczości artysty, była wystawą przekrojową. Powstała z inspiracji Tadeusza Hławiczki, zainstalowana została pod fachowym okiem Władysława Owczarzego. Na wernisaż przybył sam artysta w towarzystwie najbliższych oraz liczne grono wielbicieli jego malarstwa, znajomi i przyjaciele. Spotkanie uświetnił mini-koncert uczennic Podstawowej Szkoły Artystycznej w Karwinie. Sylwetkę Stanisława Krausa – malarza i człowieka – przybliżył zebranym jego długoletni przyjaciel poeta Jan Pyszko.

C.R.

NASZE OSIĄGNIĘCIA NA POLU WYDAWNICZYM W 1997 ROKU

Pragnę przedstawić przegląd wydawnictw autorów czy instytucji wywodzących się z polskiego społeczeństwa zaolziańskiego. Jest to świadectwo potencjału twórczego, a zarazem mocny czynnik dla podtrzymania naszej tożsamości narodowej.

Zarys problematyki wydawnictw polskich na Zaolziu po 1945 roku podaje katalog wydany z okazji wystawy polskich wydawnictw 1945–1997 we Francji. Przedstawia pozycje wybiórczo i tradycyjnie preferuje wydawnictwa literackie. Z przedstawionego obrazu wynika, że w czasach władzy komunistów nasze wydawnictwa miały charakter w głównej mierze pozycji literackich, częściowo okolicznościowych. Natomiast po upadku totalitaryzmu sytuacja zaczyna się zmieniać na korzyść wydawnictw popularnonaukowych, a zwłaszcza okolicznościowych. Równocześnie znaczenie różnych dziedzin wydawniczych w walce o utrzymanie tożsamości narodowej ulega zmianie. Należy zgodzić się z Kazimierzem Kaszperem, który stwierdza: *Życie literackie po 1989 r. zdecydowanie zmieniło więc kierunek z dośrodkowego na odśrodkowy. Porządkującą je dotychczas ideę regionalnej wspólnoty narodowej zastąpiła idea europejskiej wspólnoty ogólnoludzkiej. Literatura może na tym tylko skorzystać.* Tak, literatura „europejska" może tak, ale na pewno nie nasze sprawy narodowe, które w coraz mniejszej mierze znajdują oparcie w rodzimej twórczości literackiej.

Rolę tę przejmują coraz liczniejsze wydawnictwa naukowe, popularnonaukowe czy też okolicznościowe. Są to publikacje, które swą istotą związane są bezpośrednio z bytem narodowym Polaków na Zaolziu, publikacje zajmujące się zagadnieniami folklorystycznymi, historycznymi, socjologicznymi, demograficznymi i dokumentacyjnymi. Wspominany już katalog przytacza z lat 1990–1997 ogółem 30 pozycji, z których tylko 8 ma charakter popularnonaukowy a jedna charakter okolicznościowy. W rzeczywistości ilościowy skład przedstawiał się zupełnie inaczej. Tutaj szczególnie należy podkreślić znaczenie wydawnictw okolicznościowych, jubileuszowych, które nie tylko przypominają różne ważne wydarzenia z naszej przeszłości, ale w naszych warunkach stanowią cenny materiał dokumentacyjny do badań historycznych.

Wydaje mi się, że należy przewartościować poglądy na nasz dorobek wydawniczy, nie umniejszać znaczenia twórczości literackiej, ale dostrzegać też inne gałęzie tego zjawiska, przede wszystkim wówczas, kiedy ujmuje się tę problematykę całościowo.

Przegląd rozpocznę od publikacji naukowych i popularnonaukowych.

Buława Edward, Pierwsi szermierze ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim. Wydawca: Stowarzyszenie PRO FILIA, Cieszyn 1997, s. 380.

Liberda Bronisław, Szóstka wygrywa. Wstęp, posłowie, redakcja i układ Renata Putzlacher. Wydał Kongres Polaków w RC, Cz. Cieszyn 1997, s. 115.

Literatura na Zaolziu. Wystawa polskich wydawnictw 1945–1997. Redakcja Helena Legowicz, Kazimierz Kaszper. Wydał Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie przy współpracy Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków w RC, s. 16.

Martynek Władysław, Pamiętnik Sybiraka. Wydawnictwo OLZA, Czeski Cieszyn 1997, s. 169.

Milerski Władysław, Nazwiska Cieszyńskie. Wydawnictwo ENERGEIA, Warszawa 1996, s. 352.

Rada Polaków organ wykonawczy Kongresu Polaków w RC, VI kadencja 1997–1999. Dokumenty – Informacje. I. Opracowanie D. Branna – J. Kubiczek. Wydał Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC, 1997, s. 30.

Rusek Halina, Kulturowe wzory życia polskich rodzin na Zaolziu a asymilacja. Studium socjologiczne. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1997, s. 167.

Wierzgoń Józef, Śpiewamy wszyscy. Śpiewnik popularny dla każdego. Oddział Śląski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr – Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO. Wybór i opracowanie Józef Wierzgoń. Śląska Biblioteka Muzyczna, Katowice – Czeski Cieszyn 1997, s. 84.

Twórczość literacka w 1997 roku była uboższa:

Babiuch Franciszek, Nie traćmy nadziei. Vydavatelství-Wydawnictwo POKOS, listopad 1997, s. 55.

Kupiec Aniela, Połotane żywobyci. Wydał Kongres Polaków w RC w ramach grantu Ministerstwa Kultury RC. Czeski Cieszyn 1997, s. 104.

Szeliga Wincenty przy współudziale Kadłubca Daniela, Tam około Bogumina. Obrazy z życia autochtonicznej ludności północnego Zaolzia. Wydawnictwo OLZA, Czeski Cieszyn 1997, s. 167.

Najwięcej pozycji wydawniczych w 1997 roku miało charakter okolicznościowy. Są to w większości publikacje objętościowo szczupłe, lecz cenne z powodu ich walorów informacyjno-dokumentacyjnych.

Bilans naszego dorobku. Publikacja z okazji 50-lecia MK PZKO w Suchej Górnej. Sucha Górna 1997. Red. publikacji: mgr Otokar Matuszek. Wydawca MK PZKO w Suchej Górnej. Czeski Cieszyn, s. 48.

Biuletyn wydany z okazji 50-lecia działalności MK PZKO w Lutyni Dolnej. Wydało MK PZKO Lutynia Dolna, 1997, s. 16.

Błędowice. Krótki zarys historii. Zespół redakcyjny: Tadeusz Nierostek, Emilia Bilan, Lidia Pawlas. Autor: Andrzej Pawlas. Wydawca MK PZKO Hawierzów-Błędowice 1997, s. 52.

Hasło Orłowa. Publikacja jubileuszowa z okazji 70-lecia chóru

męskiego HASŁO. Redakcja: Halina Kowalczyk. Wydawca HASŁO 1997, s. 10.

Jak żech chodził do szkoły ... 70 lat Polskiej Szkoły Wydziałowej im. Henryka Sienkiewicza w Jabłonkowie. Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC, s. 6 (składanka).

Leksykon PZKO. Redakcja Martyna Radłowska-Obrusnik, Otylia Toboła. Wydawca: ZG PZKO w Czeskim Cieszynie 1997, s. 286.

Melodia. Chór żeński PZKO w Nawsiu. Nawsie 1997, s. 8, folder ilustrowany.

Nawsie. Gazeta jubileuszowa (1947–1997). Kolegium redakcyjne Lidia Przeczek, Jan Pyszko, Stanisław Łupiński, Antoni Worek, s. 23.

Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe „Beskid Śląski" w RC. 1922–1997. Jednodniówka z okazji jubileuszu 75-lecia organizacji. Opracował Ośrodek Dokumentacyjny Kongresu Polaków w RC. Wydał PTTS „Beskid Śląski", s. 11.

70 lat przedszkola w Oldrzychowicach-Równi. Wydawca Janina Opluštilowa, współpraca inż. Wiesław Kaleta, Třinec, s. 8.

100 lat budynku PSP w Trzyńcu. Rada redakcyjna: Halina Cymorek, Barbara Mika, Halina Motyka, Jan Musioł, Maria Drobisz. Wydała Szkoła Podstawowa z Polskim Językiem Nauczania w Trzyńcu, 1997, s. 31.

Z serca i wiary słoneczna. Publikacja z okazji Jubileuszu 70-lecia Polskiej Szkoły Wydziałowej im. Henryka Sienkiewicza w Jabłonkowie. Kolegium redakcyjne: Sylwia Mrózek, Bogusław Słowiaczek, Jan Pyszko. Wydała PSP im. H. Sienkiewicza, 1997, s. 87.

Z publikacji polsko-czeskich przytaczamy:

90 let Dělnické bašty – 90 lat Bastionu Robotniczego Horní Suchá. Vydala Obec Horní Suchá 1997. Publikace k 90. výročí založení Dělnického domu v Horní Suché. Redakce Mgr. Otokar Matuszek, s. 32.

Jezu, ufam Tobie! – Ježíši, důvěřuji Ti! Modlitewnik i śpiewnik pielgrzymkowy. Poutní modlitebník a zpěvník. 1997, s. 80.

Klub Polski w Pradze. Wydał Klub Polski w Pradze jako publikację okolicznościową do użytku wewnętrznego. Praha 1, s. 91.

Slezsko můj domov – Śląsk moja ziemia rodzinna. Minulost v objektivu Karla Kalety – Przeszłość w obiektywie Karola Kalety. Vydala Hospodářská rozvojová agentura Třinecka HRAT Třinec v r. 1997, s. 36.

Oprócz wydawnictw książkowych wydano w 1997 r. KALENDARZ ŚLĄSKI i czasopisma: 3 x w tygodniu GŁOS LUDU, dwutygodnik dla młodzieży NASZA GAZETKA, ZWROT, miesięcznik kulturalno-oświatowy PZKO, miesięczniki dla młodzieży szkolnej OGNIWO i JUTRZENKA, kwartalniki MACIERZ (Organ ZG PZKO Macierzy Szkolnej w RC), WIARUS (organ Koła Polskich Kombatantów w RC) oraz szereg lokalnych i regionalnych pism czesko-polskich.

STANISŁAW ZAHRADNIK

PRZED DZIESIĘCIU LATY ZMARŁ KAROL PIEGZA

Malarz i pisarz, fotografik i etnograf, folklorysta i kolekcjoner, nauczyciel i społecznik – tym wszystkim był Karol Piegza. Urodził się 9 października 1899 roku w Łazach. Rozpoczął naukę w polskim gimnazjum w Orłowej, ale z powodu trudnych warunków materialnych musiał podjąć pracę w kopalni. Zapisał się do Seminarium Nauczycielskiego w Cieszynie. Naukę przerwała wojna i służba w wojsku austriackim. Maturę zdał w 1919 roku. Rozpoczął pracę nauczyciela. Był nauczycielem w szkole ludowej w Łazach, uczył rysunku w gimnazjum w Orłowej, został zastępcą dyrektora szkoły wydziałowej w Łazach, dyrektorem szkoły w Stonawie. Podczas drugiej wojny światowej był więźniem obozów koncentracyjnych w Dachau i Mauthausen-Gusen. Po zakończeniu wojny został dyrektorem Polskiej Szkoły Wydziałowej w Jabłonkowie, gdzie pracował aż do emerytury. Zmarł 3 lutego 1988 roku.

Karol Piegza był człowiekiem wielu pasji i wielu talentów. Posiadał ogromny zmysł organizacyjny, duszę społecznika. Już przed wojną został współzałożycielem i członkiem Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego, Polskiego Towarzystwa Turys-

tyczno-Sportowego Beskid Śląski, Rodziny Opiekuńczej. Był współorganizatorem pierwszej wystawy twórców zaolziańskich w Czeskim Cieszynie w 1926 roku. Po drugiej wojnie światowej włączył się w nurt pracy społeczno-kulturalnej na rzecz polskiej mniejszości na terenie czeskiej części Śląska Cieszyńskiego. Działał w Sekcji Folklorystycznej i Sekcji Literacko-Artystycznej przy Zarządzie Głównym PZKO. Był jednym z inicjatorów i organizatorów Gorolskigo Święta, współzałożycielem zespołu Gorol.

Karol Piegza był kolekcjonerem-pasjonatem. Zbierał i dokumentował wszelkie dzieła kultury materialnej, świadczące o sposobie życia i zwyczajach miejscowej ludności. Władysław Sikora napisał:

A dom państwa Piegzów był gościnnym, żywym muzeum pękającym w szwach. Siadało się do okrągłego stołu pośród bibliotecznych szafek i obrazów na ścianach lub w stertach - zależnie od sytuacji wystawowej. Tuż koło drzwi wisieli Adam Ciompa i Władysław Cejnar, w rogu koło okna Piegzowa kopia Kossaka. A na kanapie, też zależnie od sytuacji i zapotrzebowania, czekały już pękate teki i albumy pełne zdjęć z dokładnymi notatkami (w razie ich braku gospodarz bywał wdzięczny za każdą pomoc w ich ustalaniu)... Okna wychodziły na wschód i południe... Pani Agnieszka niezmiennie przynosiła kawę i uśmiechała się przyjaźnie, podsuwała zakąskę...

Karol Piegza starał się uświadamiać młodszym pokoleniom znaczenie i wartość kultury ludowej, sens kontynuowania tradycji ludowych. By nie zanikła, próbował ocalać to, co materialne. Zbierał, fotografował, malował, notował, tworzył dokumentację. Stroje góralskie, sprzęty domowe, garncarskie, chaty góralskie, krzyże, kapliczki, jak również pieśni, gawędy, przysłowia, anegdoty. Zapisywał, by ocalić od zapomnienia to, co ulotne, dopóki zachowało się jeszcze w pamięci ludzkiej.

O kulturze ludowej napisał niezliczoną ilość artykułów. Wydał kilkanaście publikacji. Zasłyszane opowieści ludowe spisał w książkach „Sękaci ludzie", „Tam pod Kozubową". Był autorem wierszy, słuchowisk i widowisk ludowych. Pisał o przeszłości tej ziemi, jej miejscowości, szkół i innych instytucji, a przede wszystkim o przejawach folkloru: „Malarze śląscy", „Kozubowa", „Ceramika cieszyńska", „Cieszyńskie skrzynie malowane", „Komedianci". Z Eugeniuszem Fierlą współpracował przy wydaniu „Pieśni na Dzień Matki", „Zbiorku pieśni dożynkowych".

Był również malarzem. Od lat gimnazjalnych przyjaźnił się z malarzem Gustawem Fierlą, wspólnie szukali motywów. W okresie międzywojennym, kiedy Piegza mieszkał jeszcze w zagłębiu karwińskim,

widoczna była w jego twórczości malarskiej nuta społeczna. Po wojnie, kiedy zmienił miejsce zamieszkania i krajobraz jemu towarzyszący na beskidzki, znalazł też inne nowe źródła inspiracji. Malował głównie pejzaże z elementami architektury ludowej oraz portrety górników, górali, żebraków, ludzi wsi i małych miasteczek, podejmował tematy baśniowe. Jego obrazy olejne a także drzeworyty i linoryty służą przede wszystkim jako dokument epoki, uwieczniają przemijające zjawiska społeczne i elementy kultury.

Nie sposób w kilku zdaniach chociażby w skrócie ująć, jak przedstawiają się wszystkie zasługi Karola Piegzy dla naszego polskiego społeczeństwa. Wydaje się, że nie uświadomiliśmy sobie ich jeszcze w pełni. Pierwszym zwiastunem dowodu pamięci i uznania stało się Małe Muzeum Regionalne im. Karola Piegzy otwarte w Polskiej Szkole Podstawowej w Bukowcu 30 maja 1995 roku. Stała ekspozycja zawiera przedmioty, fotografie, rysunki o Bukowcu i jego mieszkańcach. Zbierały je również dzieci miejscowej szkoły, której nauczycielki dzielnie wcielają w życie idee Karola Piegzy.

C.R.

POŻEGNANIA

ANNA FILIPEK

1950—1997

Najmłodsza z trójki autorek „Korzeni", publikacji wydanej w roku 1981, będącej jedynym zbiorkiem jej poezji, urodziła się 27 lipca 1950 roku w Jabłonkowie-Radwanowie. Tu przeżyła dzieciństwo i lata szkolne. Dorosłe życie związała z Łomną Dolną. Od wczesnej młodości pasjonowała się literaturą, teatrem, sama próbowała pisać. Nie szczędziła sił na pracę społeczną. Pomagała mężowi, długoletniemu prezesowi Koła PZKO w Łomnej Dolnej, angażowała się w Macierzy Szkolnej.

Ogromna wrażliwość na otaczającą rzeczywistość, odnaj-

dywanie osobliwości w szarości życia codziennego kazały jej chwytać za pióro. Posługiwanie się gwarą, przywiązanie do ziemi rodzinnej, umiłowanie krajobrazów przyrody to te cechy charakteryzujące jej wiersze, które stawiają ją w kręgu poetek ludowych. Odmienność jej poezji tak określił Daniel Kadłubiec: *Spogląda najczęściej w stronę współczesności i przyszłości, na cywilizację zurbanizowaną i to wszystko, co z sobą przynosi – zatratę humanistycznych, a zwłaszcza uczuciowych wartości człowieka. Posługuje się tutaj wyjątkowymi paralelami na osi przyroda – człowiek, swojskość – obcość, by dać wyraz wierze w zwycięstwo serca, sumienia nad oschłością i wyobcowaniem.*

Pory roku, pory dnia, zmiany pogody, przemiany przyrody z nimi związane były dla niej nie tylko pretekstem do opisu poetyckiego, ale przede wszystkim źródłem refleksji o charakterze bardziej ogólnym. Nastrój danej chwili po spojrzeniu w okno czy wyjściu na dwór wywoływał u niej głębszą zadumę nad życiem i losem człowieka. Otaczająca ją beskidzka przyroda pomagała zastanowić się i próbować lepiej zrozumieć ludzi, mijający czas, dawała "wiarę, nadzieję i miłość".

Swe wiersze drukowała Anna Filipek w prasie zaolziańskiej, była razem z Ewą Milerską i Anielą Kupiec współautorką tomu poezji "Korzenie". Ujawniła też przed czytelnikami swój talent gawędziarski. Na łamach prasy ukazywały się jej opowiadania. Pisała je gwarą. Historyjki z życia wzięte stanowiły nie tylko pogodną pełną humoru lekturę, ale zawierały także nutę refleksji, powodowały wzruszenie, pozostawiały ślad.

Anna Filipek nie zabiegała o sławę. Służąc społeczeństwu tak, jak umiała, nie chciała szumu wokół swej osoby. Zamykając księgę swego życia, odeszła równie cicho, jak żyła. Anna Filipek zmarła 16 grudnia 1997 roku.

C. R.

ANNA FILIPEK

PRZEZNACZENIE

Zła wróżka,
na ucztę nie proszona,
zaskrzeczała szyderczo nad moją kołyską:
Poetą będziesz,
ambitna,
w królewskim znaku urodzona!

A teraz?
Błąkam się sama w nieprzebytej puszczy
obdartych frazesów,
nawet w własnych myślach zagubiona,
już sen spokojny oddałam,
dawną wesołość,
a drogi znaleźć nie mogę.
Gonię obrazy jak spłoszone konie,
rzecz niepodobna spętać je do wiersza.
Dane mi tylko patrzeć na nie z dala
przez tumany kurzu,
przez mgłę,
przez łzy.

ŚNIEŻYCZKI

Urodziły się
z niewinnej miłości
z pierwszego słońca pocałunku,
z ciepła co grzeje jak słowo...
Patrzę wzruszona.
Nim deszcze spłuczą pleśni,
nim błękit nieba zakryje
tęsknotę po wiośnie,
nim zakwitnie róża,
powiedz mi słowo...

STARO JEDLA

Rosła se starucno jedla
na zboczach Gróniczka.
Całe dzieje wygrowała
w przepieknych pieśniczkach.

Żodne księgi nie spisały,
co óna wiedziała,
bo do biydnych wiejskich okiyn
wieki zoglądała.
Potym ludzie świat zmiynili,
dobrze sie już mieli.
Na ty stare przeszłe czasy
hónym zapómnieli.

Roz sie Olza domowała
z siostrą Kozubową,
że sie pujdą społu uczyć
mowę urzędową.

Starą jedle werbowały:
Besz darymnie szumieć,
dyć za takich pięć, szejść roków
gdóż ci bee rozumieć?

Starzik uczy sie od wnuka,
zamiast wnuk od dziada,
Nowi ludzie, nowe czasy,
ciężko na to rada.

Na to jedla odpowiado:
Stare już móm kości,
twardą głowe, tępy rozum
na świecki mądrości.

Jako mie mama uczyli,
tak se będę szumieć.
Może se tu gdosi nojdzie,
gdo mie bee rozumieć.

RENATA PUTZLACHER

WNUCZKA PIEKARZA

(fragment)

Mój dziadek miał ambiwalentny stosunek do Rosjan. W jego rodzinnej wiosce Izydorówce koło Stanisławowa, która kolejno należała do Austro–Węgier, wolnej Polski, faszystowskich Niemiec, potem do Kraju Rad, a dziś do wolnej Ukrainy, mieszkało wielu Rosjan. Obok nich Polacy, Żydzi, Ukraińcy i spolszczeni koloniści niemieccy z Austrii, z których wywodził się mój dziadek Rudolf Putzlacher.

„Brud, smród i ubóstwo", taka była najkrótsza opinia dziadka dotycząca wszystkiego, co rosyjskie. W dzieciństwie swoim stykał się bowiem na co dzień z takimi obrazkami rodzajowymi: chałupina, zdezelowany płot, nieco surrealistyczny ogródek z przewagą chwastów, uderzający odór w obejściu, samowar na stole, gospodarz w butach na wyrku, przeważnie wstawiony, i rumiana babuszka,"chazjajka", w nieodłącznej chustce na głowie, krzątająca się koło pieca, na którym odsypiał swe nocne przygody czarny jak infernalne otchłanie kocur, pupil gospodarza. Miejscowy obieżyświat, karczmarz Samuel, nazywał go z francuska Szatnłarem i imię to, brzmiące dziwnie i tajemniczo, przylgnęło w końcu do kociska.

„Ziemla nasza wielika i obilna, a narjada w niej niet", cytował po wielekroć słowa staroruskiego latopisu „chazjajin" Witalij Fiodorowicz, gdy nie mógł znaleźć swej „aqua vitae", pędzonej z czego popadło, tylko nie ze zboża, bo obilna czarnoziem leżała u nich odłogiem. Tego dziadek, wychowany w kulcie pracy, domu i ziemi, nie mógł pojąć. „Narjad", „ordnung", porządek zawsze panował w jego domu rodzinnym. Dom musiał być pewnikiem, ostoją dla rodu, którym historia miotała bez przerwy po całej Europie.

Franz Putzlacher, ojciec dziadka, był kołodziejem, a od świę-

ta także wiejskim weterynarzem. Dziadek towarzyszył mu w jego eskapadach do kulejących koni, wzdętych krów, do pijanego psa Żyda Samuela, który regularnie, z iście bydlęcym uporem, spijał resztki piwa z cebrzyka na zapleczu karczmy. Najbardziej jednak fascynował go czarny kocur Witalija Fiodorowicza, którego opętał sam diabeł. Kocisko bowiem nocami nawiedzało kurniki sąsiadów i wyczyniało w nich tak niesamowite harce, że ludzie budzili się przerażeni myśląc, że już nastał sądny dzień. Dziadek, zapalony czytelnik Biblii, nazwał Szatnłara kotem Apokalipsy.

Gdy nie pomogło odczynianie uroków, przyczepianie kotu pęcherza wypełnionego suchym grochem do ogona, wreszcie podawanie mu mleka od wściekłej krowy, co na zdrowy chłopski rozum wydawało się obserwującemu te wszystkie zabiegi młodemu chłopakowi absurdalnym posunięciem, bo jeszcze bardziej nasilało objawy obłędu u potężnego kocura; gdy więc zawiodły wszelkie domorosłe sposoby, zdesperowany właściciel infernalnego zjawiska zaprosił do siebie swego sąsiada weterynarza. Diagnoza pradziadka była krótka: poradził gospodarzom, by jak najszybciej pozbyli się zwierzęcia. W efekcie gospodarz wysłał go osobiście do wszystkich diabłów (pradziadka oczywiście, a nie kocura), ale następnego ranka kot nie wrócił. Cała wieś odetchnęła z ulgą, a zrozpaczony Witalij Fiodorowicz rozgłaszał wszem i wobec, że jego pupil, wrażliwy i delikatny, obraził się na tego przybłędę spod Grazu, na tego ni to Niemca, ni to Polaka.

To utwierdziło mego dziadka w jego ambiwalentnym stosunku do Rosjan.

Niejednokrotnie natknął się jeszcze w lesie na Szatnłara (a może był to jego duch ?), a jego imię powróciło doń w jednej z audycji, poświęconych paryskim kabaretom. Gdy udało mi się później zlokalizować na Montmartrze miejsce legendarnego „Chat – Noir“ sprzed stu lat, z legendarnym godłem – czarnym kotem, symbolizującym Sztukę, trzymającym w pazurach przerażoną gęś, symbol kołtuńskiego mieszczaństwa – oczyma duszy swojej zamiast paryskiej „bohemy“ zobaczyłam Izydorówkę, nawiedzonego kocura, tumany białego pierza i przerażonych widzów, nic nie rozumiejących z tego, co odgrywało się przed ich oczyma.

Jak wyglądał ów nawiedzony kocur ? Kot, który nie wiadomo skąd się wziął, olbrzymi jak wieprz, czarny jak sadza lub gawron, z fantazyjnymi, kawaleryjskimi wąsami... Gdy po la-

tach, już jako studentka krakowskiej Alma Mater, przeczytałam dziadkowi ową charakterystykę, był zaskoczony. To Szatnłar, jak żywy, wyszeptał olśniony moim talentem opisowym. Tego dnia uwierzył, że będę w stanie opisać surrealistyczne losy naszego rodu, gdy już nie stanie jego i gdy urwie się łańcuch nieżyciowych już w naszym wieku bajarzy i wajdelotów, niosących dalej wieść gminną o świecie, którego już nie ma. Niestety, musiałam go rozczarować: To nie Szatnłar, to Behemot, kot Michaiła Afanasjewicza, Bułhakowa zresztą. Ponieważ mój dziadek nie znał tego „chazjajna", pokazałam mu książkę mego życia – „Mistrza i Małgorzatę", która nota bene ujrzała światło dzienne w Rosji w roku, w którym przyszłam na świat, 26 lat po śmierci jej autora.

I mój dziadek na kilka lat przed śmiercią przeczytał tę powieść od deski do deski. Raz zapytałam go, co go najbardziej urzekło u Bułhakowa. Ludzie, wspaniałe typy, jakie pamiętam z dzieciństwa. Postać Jezusa, człowieka z krwi i kości i Poncjusz Piłat, który zawsze mnie fascynował. I historia, moja „magistra vitae", historia, która ciągle się powtarza...

Powtórzyła się i w moim przypadku. Dziadek, 15-letni syn kołodzieja, wyruszył w długą wędrówkę ze Stanisławowa do grodu Piastów, potomków legendarnego kołodzieja, do Krakowa, o którym naczytał się z książek, a losy rzuciły go do Cieszyna, grodu Piastów, bez zamku, z jedną wieżą, gdzie żyli obok siebie, tak jak w jego rodzinnej Izydorówce, Polacy, Czesi, Niemcy i Żydzi. Nigdy jednak nie zapomniał o mieście swoich marzeń. Marzenie dziadka dopiero mnie się spełniło: przez pięć lat mieszkałam w Krakowie, pokochałam go bez wzajemności i po kilku latach rozterek emocjonalnych wróciłam do miasta, które kochało mnie bez wzajemności. Do Cieszyna, do którego miałam zawsze ambiwalentny stosunek. Tak jak mój dziadek do Rosjan. I tak jak mój dziadek, który na kilka lat przed śmiercią pokochał Bułhakowa, tak i ja w kilka lat później pokochałam to miasto z jedną wieżą, kocie łby, rzekę, która dzieli i całą tysiącletnią historię Cieszyna, przez który wędrowali średniowieczni kupcy, wojska wszystkich armii, generałowie i kilku cesarzy.

Miasto, do którego po I wojnie światowej przywędrował za chlebem ubogi galicyjski chłopak, boso, z butami i z duszą na ramieniu. I w którego ziemi radosnej, jak sama nazwa wskazuje, i lekkiej spoczął z dala od swoich, których historia, jego ukochana nauczycielka, rozrzuciła po kilku kontynentach.

POZNAŃSKI LISTOPAD POEZJI

W Poznaniu odbył się jubileuszowy XX Międzynarodowy Listopad Poetycki z udziałem wielu ciekawych gości z Grecji, Niemiec, Austrii, Czech, Ukrainy, Białorusi, Włoch, Litwy, USA, w sumie z 13 państw.

Pięciodniowy maraton poetycki bogactwem treści i wysokim poziomem artystycznym nie ma chyba równego w Europie Środkowej. Zasługą głównego organizatora, poety, pisarza, aforysty, tłumacza greckiego pochodzenia Nikosa Chadzinikolau (piszącego w obu językach), uczestnicy mogli zwiedzić nie tylko historyczne centrum miasta, lecz również odbyć spotkania z młodzieżą w szkołach, kolegami po piórze w miastach trzech województw: poznańskiego, leszczyńskiego, kaliskiego. Dla mnie, Czecha, inspirującym było zwiedzenie Leszna, bowiem chodzi o miejsce związane z pobytem Jana Amosa Komenskiego, którego przypomina tutaj jego pomnik w pobliżu dawnego kościoła Braci Czeskich (obecnie mieści się w nim Archiwum Miejskie) oraz liceum jego imienia. Również Szamotuły związane są z kulturą czeską wydaniem w XVI wieku czeskiego kancjonału ewangelickiego. Niezapomnianym przeżyciem było zwiedzenie Sanktuarium Urszuli Ledóchowskiej w Pniewie.

Z imprez towarzyszących festiwalowi należy wymienić choćby wernisaż grafiki greckiej Marii Stamati, poetki. W Lesznie byliśmy obecni na otwarciu wystawy wrocławskiego grafika Zbigniewa Kresowatego, który w marcu i kwietniu ub. roku zaprezentował się nie tylko jako malarz, lecz również poeta w Opawie i Krnowie (Czechy). Na zamku w Pawłowicach uczestniczyliśmy w Koncercie Poetycko-Muzycznym (trio stroikowe) laureatów Międzynarodowych Listopadów Poetyckich. Tegorocznym laureatem Nagrody MLP (za najlepszą książkę roku) został syn Nikosa Ares Chadzinikolau, muzyk, kompozytor, poeta, absolwent poznańskiej Akademii Muzycznej za debiut poetycki Z TWARZĄ SŁOŃCA.

Tradycja międzynarodowych festiwali poetyckich w Polsce jest bez porównania większa niż u nas w Czechach. Podobne spotkanie poetów w Republice Czeskiej odbywa się dopiero od dwóch lat na zamku w Bitowie. Zasługa to Jiřího Kuběny, inicjatora i gospodarza dobrze zapowiadającej się imprezy poetyckiej. W Polsce byłem świadkiem prawdziwego zainteresowania władz wojewódzkich i urzędów miejskich i instytucji poezją i jej twórcami. Imprezę dotowało (oprócz ZLP i Ministerstwa Kultury RP) również kilka firm poznańskich oraz poznańskie Wydawnictwo GMP.

LIBOR MARTINEK

ZAOLZIE LITERACKIE WE FRANCJI (II)

Trzeba będzie opuścić Villard. Zostać? Tak?
Ale u kogo? I co z sobą począć?
Mogłem zostać pasterzem i miałbym spokój!
W.A.Berger „Okay"

W poprzednim odcinku, poświęconym wystawie zaolziańskich publikacji w Lyonie, napisałam, że Francja jest dla mnie krajem powrotów. Tym bardziej była i jest takim krajem dla siwowłosego „beniaminka" naszej wyprawy, zaolziańskiego Kolumba rocznik 1926, Wiesława Adama Bergera, który Francję nazwał „ojczyzną swoich marzeń". Berger to po francusku „pasterz". Obecny image Adama przypominał do złudzenia zabawnego Pana Boga z komiksów francuskiego rysownika Effela. „Pasterz Adam i jego owieczki" – przemknęło mi przez głowę komiksowe skojarzenie. Kiedyś powiedziałam, że zabawnie rozkojarzony i bezradny Adam to takie „pijane dziecko we mgle"... Nawet ta mgła przytrafiła mu się we Francji, zasnuwając słaby wzrok. *Każdy ma swoje miejsce ulubione w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy* – napisał autor „Przedwiośnia". Dzięki inicjatywie konsula Wojciecha Podgórskiego spełniło się marzenie Adama: w drodze na spotkanie z Polakami w Grenoble mogliśmy się udać do alpejskiej miejscowości Villard de Lans – znanej nam z opowiadań i książek WAB-a magicznej krainy jego młodości.

W powieści Bergera „Okay" znajdujemy list babki bohatera, który jest alter ego autora: *W Alpach, w Villard de Lans znajduje się twój wuj, czyli mój syn, brat twego świętej pamięci ojca Antka. Ernest Berger jest dyrektorem tamtejszego Liceum imienia Kamila Cypriana Norwida. Powinieneś do niego pojechać.* My też wiedzieliśmy, że powinniśmy tam pojechać. W drodze z Lyonu do Grenoble z okien naszego mikrobusu podziwialiśmy cudowne alpejskie szczyty, a potem, pnąc się w górę po stromych górskich serpentynach, zachwycaliśmy się malowniczością tych miejsc, niemal odciętych od świata. *Villard de Lans* – czytam – *jest pan na wysokości 1050 metrów, wyżej można tylko pieszo, w zimie na nartach.*

Widziałam wzruszenie Adama i na chwilę uścisnęłam jego drżącą rękę. Ta wycieczka była dla mnie zadośćuczynieniem za podróż sentymentalną z moim dziadkiem do jego rodzinnej Izydorówki koło Stanisławowa, której nigdy nie odbyłam. Zmarł w wieku siedemdziesięciu paru lat, tyle że ja byłam o te 10 lat młodsza i mało jeszcze wiedziałam o powrotach do miejsc ukochanych. Dziadek więc udał się sam w swoją najdłuższą podróż, nie zobaczywszy przed śmiercią Kresów. Na mogile w Villard de

Lans widnieje wśród nazwisk rozstrzelanych uczniów polskiego gimnazjum nazwisko Zdzisława Hernika, niemal rówieśnika dziadka, który urodził się w Stryju koło Stanisławowa. A jednym z tutejszych profesorów był matematyk Mól ze słynnej Kołomyji. Stamtąd z kolei wywodziła się moja babcia, matka mojej matki. Świat jest mały...

Adam wypatrywał alpejskich wodospadów ze wspomnień i ze swej powieści, i legendarnych narcyzów na zboczach gór, nie przyjmując do wiadomości, że mamy jesień. Powieściowe Villard pachniało przecież sianem i narcyzami! O nim mówił Gustaw Morcinek: *Przyszedł do mnie życzliwy mi człowiek, pojedź do Villard de Lans, powiedział, zobaczysz tam polskie gimnazjum, młodzież, nowych ludzi, którzy mają jeszcze ten uśmiech dziecka dla przechodnia. Opowiadał mi coś o miasteczku góralskim, które przypomni mi moją Istebną, i o górach, również podobnych do moich Beskidów i bardzo miłych ludziach, a wśród nich i tych znad Olzy...* Spacerowaliśmy po ulicach sennego miasteczka, w sezonie zapewne pełnego turystów, znaleźliśmy powieściową fontannę na Place de Maire i wstąpiliśmy do kościoła, którego wnętrze było już zupełnie inne. Wreszcie zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcia pod tablicą umieszczoną na dawnym Hotel du Parc, w którym od października 1940 do czerwca 1946 mieściło się Liceum Cypriana Norwida, jedyna polska szkoła średnia w okupowanej Europie. Z tamtych czasów zachowało się zdjęcie młodziutkiego Adama z profesorem Nowakowskim, dawnym konsulem Rzeczypospolitej w Hongkongu, z którym młody Berger często razem jeździł na nartach.

Żegnaliśmy Villard, by zdążyć na spotkanie z Polakami w dawnej stolicy olimpiady zimowej Grenoble. Jak je opisał Adam? *Grenoble stało w bieli wież i domów, za mną piętrzyły się gotyckie turnie. Uwierzyłem, że z Alpami w źrenicach uda mi się jakoś żyć. Błękit uspokajał. Wiara w życie wracała... Idę drogą za miasto, tędy podobno jechał karetą Fryderyk Chopin i Franciszek Liszt, towarzysze mojej młodości. Z góry, ze skały nad rzeką, zjeżdża do miasta zawieszona na linie kolejka. Pajęczyna w słońcu, na której wisi ludzki los...* Kiedy oglądam zdjęcia z naszej wyprawy, widzę, że opis nawet dziś zgadza się co do joty. Biel, błękit i królewski Mont Blanc w tle. Najpierw bowiem organizatorzy wywieźli nas na szczyt widokowy, z którego widać Grenoble i Alpy w całej krasie. Szczególną atrakcją była dla nas kolejka linowa z wagonikami w kształcie bańki mydlanej, w których uwięzieni turyści mogli podziwiać oszałamiający widok na miasto i okolice, ten sam, który zainspirował poetę Shelleya. Sprzyjała nam też pogoda, gdzież bowiem w połowie października można było podziwiać nagie torsy co odważniejszych panów i siedzieć do późnego wieczora w restauracyjnych ogródkach?

Barmani i kelnerzy to osobny rozdział. W barze Domu Polskiego w Grenoble Adam do tego stopnia zawojował serca francuskich barmanów, że nalewali mu wspaniałe tutejsze wino za darmo. Nie darmo przecież napisał: *Mam sto chorób, ale dzięki temu winu moja krew jest w porządku.* Parę dni wcześniej w uroczej knajpce w Perouges, średniowiecznym kamiennym miasteczku niedaleko Lyonu, czuliśmy się jak w domu. Właściciel i barman w jednej osobie, jak wycięty z dawnych francuskich fil-

mów, podejmował nas, jakby nie było, gości zagranicznych, jak starych znajomych. Każdy nasz powrót kwitował hałaśliwymi pozdrowieniami i wkrótce wszyscy ulegliśmy gorączce gestykulacji, zwłaszcza przy zamówieniach. Moja tradycyjna café au lait została skwitowana przezeń oklaskami: okazało się bowiem, że zamiast kawy z mlekiem zamówiłam przez samogłoskowe przejęzyczenie „kawę do łóżka". Moja mina typu „co kraj to obyczaj" sprawiła jednak, że dostałam kawę z mlekiem oraz – w ramach premii – popisowe ziewnięcie kelnera.

Najbardziej jednak wzruszające było spotkanie z Polakami, potomkami dawnych górników-emigrantów w St. Etienne. Tu przed 40 laty została założona polska misja i wokół kościoła, który obecny ksiądz rodem z Orawy (!) przepięknie rozbudował i wyposażył nawet w korty tenisowe dla parafian, skupia się obecnie około 250 rodzin. Witała nas już czwarta generacja tutejszych Polaków – dzieci w strojach krakowskich i łowickich – które jednak posługiwały się wyłącznie językiem francuskim. Najciekawsza była dla mnie historia pana Tadeusza Sokolika – jego rodzice z kilkorgiem dzieci pojechali w latach międzywojennych za chlebem do Francji. On, jako najmłodszy, urodził się już w St. Etienne. Pokochał nieznany kraj swoich rodziców do tego stopnia, że dziś posługuje się nienaganną polszczyzną i w takim samym duchu wychował swego syna, polskiego patriotę. Jego rodzeństwo, urodzone w Polsce, jest już francuskojęzyczne.

Żegnaliśmy uroczego konsula RP w Lyonie, pana Wojciecha Podgórskiego i jego niezwykle aktywną małżonkę oraz towarzyszącego nam w trakcie eskapad Ślązaka, Janusza Gębalę. Wierzyliśmy, że jeszcze tutaj wrócimy. Całą wyprawę mogłam przeżyć jeszcze raz dzięki powieści Adama Bergera, wydanej w Polsce rok przed aksamitną rewolucją, który tak napisał: *Wszystko nas żegna. Ludzie, trawa, kwiaty. Drzewa kołyszą się w ciepłym wietrze na pożegnanie. Tylko Alpy stoją niewzruszone. Bije od nich blask. Już nigdy ich nie zobaczę. Tak naprawdę, to nigdy stąd nie wyjechałem...*

P.S. Bohaterem drugiej części mego artykułu, który pierwotnie miał być poświęcony pobytowi zaolziańskich literatów we Francji, został w końcu Wiesław Adam Berger. Być może dlatego, że przed jego napisaniem jeszcze raz przeczytałam powieść Adama „Okay". Powinnam ją była zabrać ze sobą do Francji. Autor bowiem wiernie i niezwykle plastycznie oddał piękno mijanych przez nas krajobrazów. Próbowałam się więc posłużyć w trakcie pisania przynajmniej niektórymi jego cytatami.

Tuż przez Sylwestrem odbyło się spotkanie uczestników wyprawy w cieszyńskiej winiarni „Balladé". Wymienialiśmy zdjęcia i wspomnienia i obiecywaliśmy sobie kolejne spotkania, nie pozbawione „wyjazdowych atrakcji" w postaci termosów, kanapek i zup w proszku. Okazało się, że Adam uwierzył w nieoczekiwane powroty do miejsc ukochanych, którym zaprzeczał w swojej powieści, bowiem planował kolejny wyjazd do Lyonu i Villard de Lans, tym razem ze swoimi najbliższymi. I z lepszym, już nie zamglonym wzrokiem, bo miał już za sobą operację oka. Pokazywał nam zdjęcia z dawnego Villard, na których miał lat kilkanaście

i całe życie przed sobą. Kiedy dowiedział się o moim artykule, zaczął mi opowiadać wiele ciekawych rzeczy o wojnie, Francji i Villardczykach, niektóre fakty zresztą znałam z jego książek, ale przecież nie o wszystkim można było kiedyś pisać. Adam obiecał, że napisze artykuł do marcowego numeru Zwrotu. Dostarczył mi już czarnobiałe zdjęcie z 1946 roku, prosząc mnie kilkakrotnie o jego zwrot po publikacji: *Tylko tyle mi zostało z tamtych czasów...*

Powyższy artykuł oddałam do druku na początku stycznia. W dwa tygodnie później okazało się, że był to artykuł pożegnalny. Adam udał się w swoją ostatnią, najdłuższą podróż. Nie wiem, dlaczego na wieść o Jego śmierci przemknęły mi przez głowę słowa psalmu: *„Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego... Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach...“* Berger to przecież po francusku „pasterz“.

Jedna śmierć, a tyle strat... Powoli, dzień po dniu, będziemy coraz dotkliwiej odczuwali Jego brak. Zabraknie artykułów i opowiadań Adama w czasopismach, Jego zabawnego nieraz narzekania na nieprzychylność mediów. Każde spotkanie “łyończyków“ będzie odtąd zaprawione nostalgią i smutkiem. Pytaniami, których rozbawieni dotąd głośno nie zadawaliśmy. Zabraknie nam pytań stawianych przez Adama, dziecięco nieraz naiwnych, a przecież niepokojących tylko prawdziwych artystów, wrażliwych i wiecznie z czegoś niezadowolonych. Kim jesteśmy? Skąd wracamy? Dokąd idziemy? I Jego odwieczny dylemat: czy bycie Zaolzianinem równa się byciu Europejczykiem? Człowiekiem wolnym?

Wierzę, że Adam wreszcie odpoczął. Wolny od wszelkich stereotypów, metek, dogmatów. Wierzę, że odnalazł swoje pastwiska, pachnące sianem i narcyzami. Odwieczne Villard, z którego nigdy nie wyjechał...

W. A. BERGER (z prawej) ze swym profesorem języka angielskiego, byłym konsulem RP w Hong Kongu panem Nowakowskim

VILLARD de LANS 1947

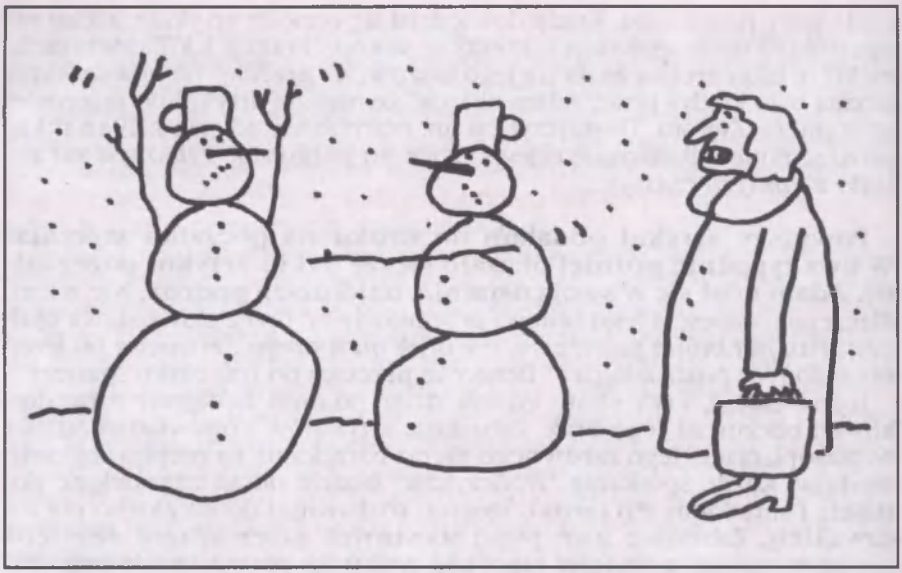

ACH! TA TELEWIZJA!

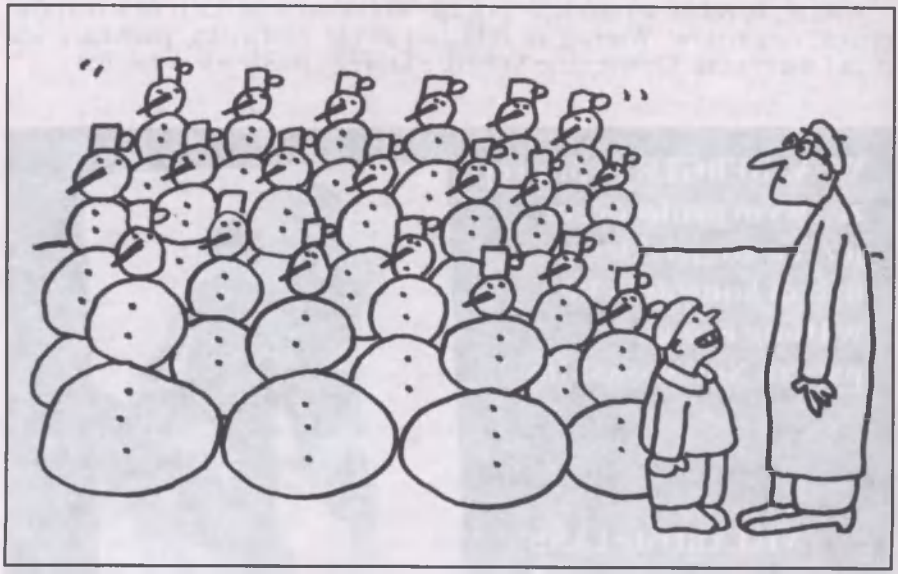

TATO! CHCIAŁBYM ZOSTAĆ POLITYKIEM!

rys. Bronisław Liberda

O PRZYSŁUDZE QUASI NIEDŹWIEDZIEJ CZYLI KLIMSZA KONTRA MORCINEK

Gustaw Morcinek odkrył Śląsk dla Polski. Był najwybitniejszym pisarzem wywodzącym swe korzenie ze Śląska Cieszyńskiego oraz czerpiącym inspiracje i znajdującym tematy do swej twórczości właśnie na Śląsku Cieszyńskim. O ciężkim losie górnika z początku naszego wieku uczą się dzieci w szkole na podstawie Morcinka. Jego „Łysek z pokładu Idy" należy od lat niezmiennie do kanonu lektur szkolnych. Najpilniejsi uczniowie może zapamiętają nazwę Karwiny, jako miasta, w którym urodził się Morcinek, części z nich może utkwi w pamięci, że Morcinek pochodził ze Śląska Cieszyńskiego.

Kiedy Morcinek opuszczał ten świat, Janusz Klimsza miał dwa lata. Janusz Klimsza jest młodym reżyserem z Zaolzia. Jest reżyserem niepokornym. Niepokornym wobec tradycji naszej sceny, niepokornym wobec widza tkwiącego w przekonaniu o nienaruszalności tradycyjnego modelu przedstawienia teatralnego. Klimsza ma własną wizję teatru. Jego teatr to zjawisko metafizyczne, gdzie to, co realistyczne, stanowi tylko podwaliny, fundament, na którym wznosi się nadrealizm i symbolika. Klimsza sieje poprzez swoje wizje ferment w społeczeństwie zaolziańskim, każe widzowi przewartościować sposób patrzenia na przedstawienie teatralne. Uczy innego teatru. Klimsza podzielił społeczeństwo na dwa obozy. Swych zwolenników i zagorzałych przeciwników. Na jego korzyść przemawia fakt, że nie pozostawia widza obojętnym.

Janusz Klimsza czerpie w swej twórczości z bogatej skarbnicy kultury rodzimej. Gustaw Morcinek zainspirował go już po raz drugi. Pod koniec swego życia wrócił Morcinek myślami do beztroskich lat dzieciństwa. Wtedy powstała „Czarna Julka", wtedy pisał baśnie śląskie. „Czarną Julkę" wystawił Klimsza przed czterema laty. Sam dokonał adaptacji scenicznej, sam zagrał rolę Gustlika, autora i narratora. Było to przedstawienie serio, choć nie pozbawione elementów komicznych. Odniosło sukces, chociaż niektórzy „abonamentowi" krzywili trochę nosami, że Morcinek nosił wprawdzie okulary, ale nie miał przecież brody.

W grudniowej premierze Sceny Polskiej pokazał Klimsza dwie z „Bajek śląskich" Gustawa Morcinka: „O Pulcheryji Beskurcyji" i „O żałosnej Meluzynie". Używając wielce modnego ostatnio określenia, można by stwierdzić, że odczytał je na nowo. I zastanawiam się czy na afiszu nie powinien tkwić Janusz Klimsza jako autor „Bajek śląskich", a na samym koń-

cu tylko maleńkimi literami wypisać należy Gustawa Morcinka jako pomysłodawcę pierwowzoru literackiego.

Jakże inne było to przedstawienie, gdy porównać je z kojarzącą się przy tej okazji „Czarną Julką". Klimsza pokazał ludzi i zdarzenia w krzywym zwierciadle satyry. Sceniczny świat baśni umocnił jeszcze groteskowość sytuacji i postaci.

Reżyser dobrał sobie sprawdzonych współpracowników. Autorem scenografii jest Martin Víšek, kostiumy zaprojektowała Eliška Zapletalová, muzykę skomponował Zbigniew Siwek, a teksty piosenek napisała Renata Putzlacher. Z ich pomocą dokonał Klimsza śmiałej adaptacji scenicznej.

Tak śmiałej, że chwilami niezrozumiałej. Jak zwykle u Klimszy jest to, brzydko mówiąc, trochę pomieszanie z poplątaniem. Reżyser prowadzi nas na scenę ograniczoną na proscenium rzędem świateł i drugą kurtyną, elementami stwarzającymi od razu na wstępie wrażenie podwójnej iluzji i podwójnego dystansu. Malowane części dekoracji, ograniczające w dodatku do minimum przestrzeń sceniczną, oraz barwne kostiumy i maski a także muzyka zapowiadają widowisko jarmarczne. Scena plebejska zamienia się w pewnych momentach w kabaret, kiedy na scenę wstępują osoby ucharakteryzowane na znane wszystkim postacie Marleny Dietrich czy Charliego Chaplina.

Ważnym wyróżnikiem przedstawienia jest język. Morcinek stosował czasem gwarę, ale Klimsza poszedł na całego. Gwarą, zwłaszcza w pierwszej części przedstawienia, kazał mówić wszystkim. A jako że duża część aktorów Sceny Polskiej przybyła tu z Polski, musieli mieć niezły ubaw, ucząc się tekstu. W dodatku była to gwara z kolorytem lokalnym od czasów austriackich chyba aż po dzień dzisiejszy, bo przeplatana wyrażeniami niemieckimi i czeskimi.

Reżyser w pierwszej baśni „O Pulcheryji Beskurcyji" na podstawie „Legendy o księciu Przemysławie" Morcinka wybrał dla siebie jedną z głównych ról. Zagrał rolę Xięcia Przemysława Piasta i przeszedł samego siebie. Swój humor rubaszny dostosował do plebejskiej sceny, swoją grę do poziomu teatrzyków ogródkowych. Przypominał mi jednego z dwóch improwizujących bohaterów ulubionego czeskiego programu telewizyjnego dla młodszej młodzieży z ruletką w tytule.

Z całości obsady, gdzie aktorzy wykonywali po kilka ról, jedna szczególnie godna była zapamiętania. Była to rola Małgorzaty Pikus jako Dyabła, małego sympatycznego łobuziaka. Jakże różna od roli poprzedniej w „Gimplu Głupku" tegoż reżysera.

Co wynika dla widza z tego, że obejrzał, jak Przemysław szuka żony, a Meluzyna łapie męża. Tym razem widz nie musi się zastanawiać. Kupując program do przedstawienia, dostaje wszystko czarno na białym. Reżyser w rozmowie z Joanną Wania uprzytomnia widzowi, że nie zawsze dobro zwycięża nad złem, a kultura rodzi się z cierpienia. Cóż, może Morcinek też by się z tym zgodził?

CZESŁAWA RUDNIK

TRZYNIEC I OKOLICA NA PRZESTRZENI LAT

To tytuł pod koniec ubiegłego roku wydanej publikacji. Ze względu na jej wartości informacyjno-dokumentacyjne i walory artystyczno-techniczne zasługuje na baczniejszą uwagę.

Celem autora było przy pomocy zdjęć-widokówek przedstawić, odświeżyć, zdokumentować przemiany, do których doszło od drugiej połowy XIX wieku do 1945 roku. Forma ta staje się ostatnio popularna.

Podstawowe dane o publikacji: Henryk Wawreczka, Třinec a okolí v proměnách času – Trzyniec i okolica na przestrzeni lat, Wydawnictwo WART-Henryk Wawreczka, 1997. Obejmuje 199 zdjęć czarnobiałych i kolorowych. Wszystkie teksty są w języku czeskim, polskim, angielskim i niemieckim.

Autor Henryk Wawreczka wywiązał się z podjętego zadania nadspodziewanie dobrze. Spowodowała to jego niecodzienna skrupulatność, dociekliwość, poszanowanie dla faktów i znajomość miejscowych warunków (pochodzi z Nieborów). Dalszym niezbędnym warunkiem było posiadanie lub dotarcie do odpowiednich źródeł – starych widokówek, jako podstawowego materiału twórczego oraz należyte wykorzystanie istniejącej już literatury przedmiotowej.

Zarówno teksty historyczne, jak i podpisy pod zdjęcia są dobrze opracowane, chociaż nie było to rzeczą łatwą. Złożona przeszłość omawianego obszaru, zmieniająca się terminologia w związku z dwu i trójjęzycznością, szybka urbanizacja utrudniały pracę i wymagały szczególnej dociekliwości, by osiągnąć w danych warunkach optymalny efekt. Kłopoty sprawiały też zmieniające się stosunki narodowościowe w Trzynieckiem. W związku z tym nasuwa się uwaga, że przy podpisach do zdjęć można było wyraźniej podkreślać charakter narodowy danego obiektu, instytucji czy organizacji. Brakuje tego zwłaszcza w wypadkach miejscowych szkół w czasach austriackich, co może u czytelnika wywoływać niewłaściwe skojarzenia. Chwalebnym jest fakt, że autor trzyma się tradycyjnych nazw, na przykład używając nazwy Olza a nie Olše. W tekstach, w niektórych wypadkach, można było uniknąć stereotypowych, powtarzających się określeń przez wprowadzenie lub wytłumaczenie ich we wstępie.

Praca składa się z trzech części. Pierwsza poświęcona jest pierwotnemu Trzyńcowi, druga zajmuje się miejscową hutą żelaza a trzecia sąsiednimi gminami, wchłoniętymi przez rozwijający się dynamicznie po 1945 roku Trzyniec. Chodzi o wsie Guty, Karpętna, Kojkowice, Końska, Leszna Dolna i Górna, Łyżbice, Niebory, Oldrzychowice, Ropica, Tyra i Wędrynia. Trzyńcowi poświęcono 80 zdjęć, hucie 56, a sąsiednim miejscowościom 63 zdjęcia.

Wbrew tytułowi dobór widokówek nie obejmuje całokształtu spraw bytowych regionu trzynieckiego. Przewodnim motywem jest tu krajobraz,

widoki poszczególnych obiektów, mniej natomiast jest zdjęć instytucji, organizacji, a tylko minimalnie zaprezentowane są obrazki z codziennego życia, przejawów działalności produkcyjnej, twórczej, społecznej, kulturalno-oświatowej itp. Jest rzeczą naturalną, że w takiej pracy nie było można ująć wszystkiego. Dlatego może warto było skoncentrować się tylko na konkretnej dziedzinie lub dziedzinach, a innymi zająć się w następnej publikacji.

Trudności wyłaniały się też przy identyfikacji zdjęć-widokówek. Przemiany krajobrazu w związku z urbanizacją obszaru, rozszerzaniem się huty miejscowej i ogólnego postępu wymagały drobiazgowych zabiegów. W niektórych wypadkach nie udało się z całą pewnością ustalić daty a nawet miejsca ujęcia.

W obecnych czasach, niezbyt sprzyjających wydawaniu tego rodzaju kosztownych książek, nie było rzeczą łatwą znaleźć potrzebne fundusze. Dzięki rzutkości, przemyślanej koncepcji i zdolnościom organizacyjnym udało się autorowi osiągnąć cel. Sponsorów znalazł przede wszystkim we władzach miejskich i kierownictwie huty, ale również w wielu mniejszych przedsiębiorstwach. Autor we wstępie stwierdza: *Na szczególne podziękowania zasługuje burmistrz Trzyńca inż. Igor Petrov oraz radni miasta inż. Bronisław Cienciała oraz inż. Rudolf Ovčaří z kierownictwa Huty Trzynieckiej oraz przedstawiciele dziesiątek innych firm trzynieckich, bez pomocy których książka ta nie ujrzałaby światła dziennego.*

Dobrze prezentująca się na pierwszy rzut oka publikacja służy nie tylko celom praktycznym i dokumentacyjnym, ale wzbogaca też dotychczasową historiografię Trzynieckiego.

STANISŁAW ZAHRADNIK

ŚPIEWAMY WSZYSCY

W skromnym nakładzie 500 egzemplarzy (z tego tylko 200 przeznaczonych dla Zaolzia) ukazał się na początku grudnia ub. roku, dzięki staraniom Oddziału Śląskiego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr i Śląskiej Biblioteki Muzycznej w Katowicach, pomocy finansowej Towarzystwa Kultury Zachęta w Katowicach oraz Fundacji im. Stefana Batorego w Warszawie, śpiewnik przygotowany i opracowany przez dr. Józefa Wierzgonia pt. „Śpiewamy wszyscy".

Śpiewnik przeznaczony jest do zbiorowego śpiewu jednogłosowego, dwugłosowy zaś zapis nutowy oraz uwzględnione proste znaki harmoniczne przeznaczone są do łatwego akompaniamentu (akordeon, gitara, keyboard, fortepian). „Śpiewamy wszyscy" zawiera 130 najpopularniejszych pieśni ludowych wspólnie z pieśniami ze współczesnej twórczości regionalnej (ponad dwie trzecie stanowią pieśni z regionu śląskiego, głównie cieszyńskiego) oraz 18 „pieśni naszych dziadków i babć" (takich, jak np. Jadą, jadą dzieci drogą, Stary niedźwiedź mocno śpi, Gdzieżeś to bywał czarny baranie).

Śpiewnik zawiera najpopularniejsze, melodyjne pieśni ludowe i spopularyzowane pieśni regionalne, które są rozsiane po różnych niedostępnych już dziś śpiewnikach czy też pieśni z własnych zapisów autora. Aby pieśni nie wykraczały poza możliwości wykonawcze młodocianych i dorosłych śpiewaków o średniej skali głosu, opracowano je w tonacjach niższych.

Jak zaznacza autor w słowie wstępnym, śpiewnik ma służyć wyłącznie celom popularyzatorskim naszych rodzimych pieśni (ulegających niestety powolnemu zapomnieniu), rozśpiewaniu naszego społeczeństwa (w przedszkolach, szkołach, na zbiórkach harcerskich, spotkaniach i biesiadach towarzyskich, wycieczkach).

Przy tak skromnym nakładzie śpiewnika trudno jednak marzyć o rozśpiewaniu szerszego kręgu zaolziańskiego społeczeństwa. Jak nam jednak zdradził autor śpiewnika, J. Wierzgoń, pracuje on już od dłuższego czasu nad poszerzoną wersją tegoż śpiewnika, który oprócz dotychczasowych pieśni ludowych i regionalnych, zawierać ma także popularne pieśni żołnierskie, harcerskie, okolicznościowe, towarzyskie, biesiadne oraz patriotyczne. W sumie 320 pieśni i piosenek. Ponadto ma śpiewnik także zawierać melodie (z tekstem) 20 najpopularniejszych tańców śląskich.

W wypadku, że znajdzie się chętny wydawca (oraz odpowiedni sponsorzy), mógłby śpiewnik „Śpiewamy wszyscy" w poszerzonej wersji ukazać się jeszcze w bieżącym roku.

– ON –

rys. OSKAR PAWLAS

Gimnazjum z polskim językiem nauczania
w Czeskim Cieszynie

Redakcja miesięcznika Zwrot

Kongres Polaków w RC – Rada Polaków

w związku z 200. rocznicą urodzin
ADAMA MICKIEWICZA
ogłaszają:
Wielki konkurs plastyczny
na najlepszą ilustrację dowolnego utworu
A. Mickiewicza

Warunki konkursu:

1. Uczestnicy startują w trzech kategoriach
   a) do lat 12
   b) od 12 do 18
   c) powyżej 18
2. Technika prac dowolna, maksymalny format ilustracji A3, ilość nie ograniczona. Razem z pracami należy przesłać fragment tekstu lub tytuł większej całości, która stała się bodźcem do powstania dzieła lub cyklu.
3. Wszystkie nadesłane prace będą eksponowane na specjalnej wystawie towarzyszącej VII edycji Konkursu Recytatorskiego dla Polaków w RC KRESY '98 (listopad 1998). Tam też zostaną ogłoszone wyniki i rozdane nagrody. Nagrodzone dzieła będą publikowane na łamach miesięcznika Zwrot. Ponadto najciekawsze dzieła zostaną umieszczone w stałej ekspozycji w specjalnej pracowni (klasie), która zostanie otwarta i nazwana Salą im. Adama Mickiewicza. Prace i teksty czytelnie oznakowane należy przesłać w terminie **do 1. 10. 1998** na adres:

Władysław Kubień
Gimnazjum z polskim językiem nauczania
Havlíčkova 13
737 01 Czeski Cieszyn

4. Konkurs poza kategoriami wiekowymi jest konkursem otwartym, bez ograniczeń profesjonalnych i innych. Oceną prac zajmie się specjalnie do tego celu powołana komisja fachowców. **Nagrodami będą wartościowe zestawy książkowe o tematyce związanej ze sztuką, zabytkami, jej historią.**

SKĄD JEST W WAS TAKA MIŁOŚĆ DO OJCZYZNY?

Jeszcze niedawno dla wielu z nas zagraniczne podróże były tylko dalekim marzeniem, niemożliwym do zrealizowania. Dziś zmieniła się rzeczywistość, realia naszego życia. Otwarły się granice i teraz już tylko od naszych chęci i środków materialnych zależy czy wyjeżdżamy do innego kraju.

Do moich zagranicznych przygód przyczyniła się w dużej mierze szkoła, w której się uczę – III Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Batorego w Chorzowie, klasa – III dziennikarska oraz wychowawcy – Aleksandra i Jacek Kurkowie.

W czerwcu ub. r. już drugi raz uczestniczyliśmy w obozie naukowym. Rok temu przemierzaliśmy Półwysep Apeniński, poznając kulturę i obyczaje Włochów. Tym razem miejscem, do którego dotarliśmy, było Zaolzie, a w następnej kolejności Praga. Była to wyprawa innego typu, miała też inny cel niż zeszłoroczna. Trwała siedem dni, z czego pierwsze trzy były poświęcone intensywnej pracy dziennikarskiej. Spotykaliśmy się z wieloma osobami, przeprowadzaliśmy wywiady, robiliśmy zdjęcia, wreszcie... pisaliśmy – plonem naszych działań jest gazeta „Zawsze razem. Młodzieży hajduckiej most przyjaźni do rodaków z Zaolzia". Myślę, że wspaniałym owocem tamtego czasu są także nasze wspomnienia, to, jaki obraz Zaolzia i jego mieszkańców pozostał w naszej pamięci.

Aby przedstawić tę kwestię w jak najbardziej obiektywny sposób, spytałem o zdanie moje koleżanki i kolegów. Jednym z naszych ważniejszych spostrzeżeń jest to, że w Cz. Cieszynie i Karwinie nie czuliśmy się wcale jak turyści. Gdy mieszaliśmy się z tłumem, wyglądaliśmy jak mieszkańcy. Z początku było to dla mnie przeszkodą – wcale nie czułam się jak na obozie naukowym. Jednak wraz z kolejnymi rozmowami i spotkaniami zaczynało mi się to podobać. Starałam się poznać i zrozumieć powody, jakimi kierują się Polacy, zostając i żyjąc na Zaolziu. Rósł we mnie coraz większy podziw dla tego, że chcecie zachować swoją tożsamość narodową, przyznajecie się do tego, że jesteście Polakami, posyłacie swoje dzieci do polskich szkół. Zrodziło się we mnie pytanie: Skąd jest w Was taka miłość do Ojczyzny?

Mam nadzieję, że jestem na dobrej drodze do znalezienia odpowiedzi.

ANNA IMIOLCZYK
uczennica III Liceum Ogólnokształcącego w Chorzowie

STRYCH– NOWA GALERIA W CZESKIM CIESZYNIE

Była ongiś w Miejskim Ośrodku Kultury w Czeskim Cieszynie przy ulicy Głównej galeria Na strychu. Nowo powstała galeria Strych, umieszczona na poddaszu siedziby Kulturalnego i Towarzyskiego Ośrodka Strzelnica w Czeskim Cieszynie, jest jakby kontynuatorką tamtej, bowiem inicjatorami są ci sami zapaleńcy, wśród których należy wymienić Władysława Szpyrca.

Uroczyste otwarcie galerii odbyło się 28 listopada ub. r. z udziałem przedstawicieli władz powiatowych i miejskich obu części Cieszyna. Zwiedzających witał swoimi piosenkami Jaroslav Nohavica. Pierwszą wystawą w galerii Strych, której wernisaż inaugurował jej działalność, była czesko-polska inicjatywa „Prostopadle do osi", której współorganizatorami są: ostrawski Klub otevřené kultury, nowo powstałe Stowarzyszenie Obywatelskie Strych, cieszyńska galeria Miejsce, Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka oraz Kongres Polaków w RC. Na wystawie zaprezentowane były m.in. dzieła zaolziańskich plastyków – Bronisława Firli, Władysława Kubienia, Franciszka Komolowskiego i Władysława Szpyrca. Wystawa była czynna do 21 stycznia br.

F.B.

KONCERT ADWENTOWY

W pierwszą niedzielę adwentową 30 listopada ub. r. odbył się w kościele ewangelickim Na Niwach tradycyjny koncert adwentowy, który słowem Bożym wzbogacał po polsku i po czesku ksiądz senior Bogusław Kokotek. W programie wystąpiła Orkiestra Kameralna Tadeusza Danela i Chór Mieszany Kościoła Ewangelickiego w Trzyńcu pod kierownictwem Ireny Małysz. Wiersze recytował Karol Suszka. Na koncercie obecni byli m. in. ze Słowackiej Synody SYON ze Stanów Zjednoczonych – dr Tomasz Drobena i sen. Sylwia Kucharik.

F.B.

JASEŁKA W WĘDRYNI

Uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej w Wędryni przygotowali pod koniec ubiegłego roku jasełka, wystawione po premierze 12 grudnia w wędryńskiej Czytelni jeszcze kilkakrotnie. Przedstawienie według scenariusza Adama Gajdzicy, w którym dzieci wspaniale posługiwały się gwarą, przygotowali: Danuta Hoczała, Bronisław Kadłubiec, Krystyna Kluz, Stanisława Kufa, Halina Podola, Irena Rajska, Halina Sikora, Danuta Walczysko, Elżbieta Wania, Roman Zemene. Muzycznie całość opracował Henryk Sumera, autorem efektów dzwiękowych był Andrzej Macoszek, a głównymi bohaterami uczniowie, którzy w pełni wykazali się swoimi talentami aktorskimi i wokalnymi.

F.B.

„SREBRNE SPINKI"

Nagroda „Srebrnych Spinek" przyznawana jest przez Konsula Generalnego RP w Ostrawie za wybitne osiągnięcia artystyczne zaolziańskim twórcom od roku 1993. Pierwszym jej laureatem był Władysław Sikora, a w roku 1994 Renata Putzlacher i Wilhelm Przeczek. W tym też roku ówczesny konsul generalny Jerzy Kronhold powołał kapitułę nagrody w składzie: Władysław Biłko, Zygmunt Branny, Rudolf Moliński, Oskar Pawlas i Gustaw Saj-

dok. W roku 1995 kapituła przyznała nagrodę Wiesławowi Adamowi Bergerowi, a w następnym roku otrzymał ją plastyk i muzyk Bronisław Liberda.

Laureatem tegorocznych „Srebrnych Spinek" został na wniosek kapituły malarz i rysownik z Karwiny Tadeusz Wratny. Nagrodę wręczył laureatowi konsul generalny RP w Ostrawie Bernard Błaszczyk podczas przedświątecznego spotkania zaolziańskich środowisk twórczych w gmachu konsulatu.

E.S.

ZEBRANIE JUBILEUSZOWE W MK PZKO TRZYNIEC-OSÓWKI

13 grudnia 1997 roku odbyło się zebranie sprawozdawcze w Kole Trzyniec-Osówki. Program kulturalny zapewnił chór mieszany Zgoda, działający pod kierownictwem Ireny Małysz przy MK PZKO Niebory, Trzyniec-Kanada i Trzyniec-Podlesie.

Historię Koła przedstawił jego prezes Tadeusz Kornuta. Od roku 1947 istniało Koło w Trzyńcu-Końskiej, jednak w roku 1959 w związku z rozbudową walcowni w Hucie Trzynieckiej doszło do podziału na Koło w Trzyńcu-Podlesiu i Trzyńcu-Osówkach. W Kole działał kiedyś zespół teatralny, chór mieszany, Klub Młodych, Klub Kobiet, sekcja sportowa. Do dziś Koło organizuje zebrania, prelekcje, bal, festyn i inne imprezy.

T.T.

WIGILIJKA W SKRZECZONIU

W sobotę 27 grudnia ub. r. w skrzeczońskim Domu PZKO odbyło się tradycyjne spotkanie, podczas którego dostojnie pożegnano stary 1997 i uroczyście powitano nowy 1998 rok. Na początku programu kulturalnego Klub Dziecięcy zaprezentował jasełka w opracowaniu Danuty i Marka Chorzempów. Następnie wystąpili harcerze ze skrzeczońskiej drużyny im. Henryka Sienkiewicza, przedstawiając pod kierownictwem hm. Alicji Berki świąteczny montaż wierszy i kolęd, a chór mieszany Hasło pod batutą Ireny Szeligi wzbogacił spotkanie śpiewem kolęd. Przewodniczący Koła inż. Bogusław Czapek podziękował wszystkim działaczom za pomoc w organizowaniu akcji i imprez Koła oraz przy utrzymaniu Domu PZKO, a wszystkim obecnym na spotkaniu przekazał życzenia wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym, zawodowym i społecznym. Do życzeń noworocznych przyłączył się również ksiądz proboszcz parafii bogumińskiej Stanisław Zwyrtek.

I tym razem tradycyjna wigilijka połączona była ze spotkaniem z ubiegłorocznymi jubilatami, którym wręczono upominki. Niestety, ze względów zdrowotnych nie mogli przybyć najstarsi jubilaci 90-letni Anna Jurosz i Rudolf Stawowczyk. Najstarszym z obecnych był 85-letni inż. Leopold Gałgonek. Jubilatom wiązankę humorystycznych piosenek i dowcipów zadedykował zespół estradowo-kabaretowy Andrusi pod kierownictwem Czesława Bugdola. Z nowym programem wystąpił w góralskich strojach. Po występie zespołu odbyło się spotkanie towarzyskie.

D.G.

WIGILIJKA W MARKLOWICACH

Działacze Kół PZKO w Piotrowicach-Marklowicach oraz członkowie chóru mieszanego Piotrowice-Marklowice spotykają się corocznie na tradycyjnej wigilijce, by złożyć sobie wzajemnie świąteczne i noworoczne życzenia. Tym razem spotkanie miało miejsce w niedzielę 28 grudnia ub. r., a jej organizatorem był zarząd MK PZKO Marklowice z prezesem Koła Karolem Sikorą na czele.

T.T.

KONCERT KOLĘD W MOSTACH

Tym razem ten tradycyjny koncert organizowany przez Chór Mieszany Przełęcz przy MK PZKO w Mostach koło Jabłonkowa odbył się 29 grudnia 1997. Salę Domu Kultury wypełnili po brzegi słuchacze z bliższych i dalszych stron. Organizatorzy nie zapomnieli o świątecznej atmosferze. Była choinka ze świeczkami,

opłatki i pierniczki na stołach. Obok Przełęczy, którą gościnnie dyrygował Alojzy Kaleta, kolędy śpiewał chór żeński Melodia z Nawsia pod batutą Aleksandry Paszek-Trefon. Chórom akompaniowała na fortepianie Maria Cienciała z Czeskiego Cieszyna. Śpiew przeplatany był słowami kantyczek Adama Sikory w wykonaniu Karola Suszki. Wiersze recytowali uczniowie miejscowej polskiej szkoły pod bacznym okiem nauczycielki Urszuli Czudek.

F.B.

KONCERTY ŚWIĄTECZNE COLLEGIUM CANTICORUM

Polski Chór Mieszany Collegium Canticorum pod batutą Leszka Kaliny wystąpił w okresie świąt Bożego Narodzenia z cyklem koncertów świątecznych w kościołach katolickich. Pierwszy koncert odbył się w niedzielę 28 grudnia ub.r. w Karwinie-Frysztacie. Niezapowiedziany wcześniej w prasie zareklamowany został jedynie z ambony. Dlatego też nie zgromadził pełnej widowni, a szkoda, bo chór nie jest w Karwinie zbyt częstym gościem.

Następne dwa koncerty odbyły się już w nowym roku. W sobotę 3 stycznia wystąpił chór Collegium Canticorum w Beskidach w kościele katolickim na Sałajce. Zaś w następną niedzielę 11 stycznia zaśpiewał przy pełnej widowni w Czeskim Cieszynie w Alejach.

W pierwszej części koncertu słuchacze usłyszeli najstarsze kolędy polskie i czeskie, jak również kantyczki do słów dziewiętnastowiecznego tkacza i poety z Jabłonkowa Adama Sikory w opracowaniu muzycznym Leszka Kaliny, druga część składała się z najbardziej znanych polskich kolęd. Koncert zakończyło Collegium Canticorum kolędą „Cicha noc", zaśpiewaną w trzech językach: po polsku, po czesku i po niemiecku.

C.R.

KONCERTY NOWOROCZNE W NAWSIU I STONAWIE

W Domu MK PZKO w Nawsiu 3 stycznia br. zebrali się miłośnicy chóru żeńskiego Melodia, który wystąpił pod kierownictwem Aleksandry Trefon-Paszek. Ujmująco zabrzmiały kolędy w wykonaniu Melodii, która niezaprzeczalnie należy do chórów wysokiej klasy. Obok Melodii w koncercie wziął udział szkolny zespół śpiewaczy Melodyjka, który przy miejscowej Polskiej Szkole Podstawowej prowadzi Krystyna Pyszko. Kilka kolęd zespoły wykonały wspólnie.

Wykonawcami koncertu noworocznego w Stonawie w kościele pod wezwaniem Św. Marii Magdaleny byli tym razem zawodowi artyści Erika Šporerowa, mezzosopranistka Morawskośląskiego

Teatru Narodowego w Ostrawie, Pavel Hromádka do niedawna trębacz w orkiestrze Filharmonii im. L. Janáčka i Marta Wierzgoń, absolwentka klasy organowej Akademii Muzycznej w Bratysławie, obecnie pedagog katedry wychowania muzycznego w Uniwersytecie Ostrawskim. Melomani zgromadzeni w kościele wysłuchali m. in. muzyki Bacha, Purcella, Gounoda, Franka, Martiniego i Bizeta.

J.W.

W KRAINIE ZIMY

W sobotę 10 stycznia skrzeczońskie Miejscowe Koło PZKO zorganizowało reprezentacyjny bal pn. W krainie zimy, który odbył się w sali Zakładu Bochemia w Boguminie.

Do nazwy balu dostosowana była dekoracja, a bal, zgodnie z tradycją, rozpoczęto polonezem. Następnie gościnnie wystąpił bogumiński zespół mażoretek Impuls. Ku zadowoleniu dwustu uczestników balu do tańca przygrywał zespół muzyczny Krater skrzeczońskiego Koła. Nie zapomniano o tańcach śląskich. Wspaniałą atmosferę dopełniły smaczne potrawy i atrakcyjna loteria rzeczowa. Słowa podziękowania należą się sponsorom, ofiarodawcom nagród oraz wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do udanego przebiegu imprezy.

D.G.

KONCERT W KOŚCIELE KATOLICKIM W KARWINIE

W niedzielę 11 stycznia w kościele katolickim pw. Podwyższenia Świętego Krzyża w Karwinie–Frysztacie odbył się Koncert kolęd, przygotowany przez Urząd Parafialny oraz MK PZKO. Jako pierwsza zaprezentowała się działająca przy frysztackim kościele dziewczęca Schola pod kierownictwem Ewy Blanik, nauczycielki miejscowej Polskiej Szkoły Podstawowej. Solistkami zespołu były Basia Potoczek i Mariam Bangoura. Występ Scholi urozmaicił pięknym barytonem miejscowy dziekan ks. Petr Černota (studiował śpiew solowy w Konserwatorium Ostrawskim), który wykonał „Pastorale" z mszy pastoralnej F. Laštuvki. Zespołowi i solistom akompaniował na organach Józef Kunschke.

Chór męski Hejnał–Echo pod dyrekcją Jadwigi Karolczyk zaśpiewał cztery kolędy, z których szczególnie podobała się słuchaczom kolęda góralska „Oj maluśki, maluśki", w której partię solową wykonał tenor Henryk Wiecheć.

Miłym uroizmaiceniem koncertu był solowy występ sopranist-

ki Jarmily Kolousowej z Ostrawy, która przy akompaniamencie skrzypiec (Miroslav Kolous) i organów (Kamil Nowak) wykonała „Słowiczka" z Mszy Bożonarodzeniowej czeskiego kompozytora Jana Jakuba Ryby.

Głównym wykonawcą koncertu był chór parafialny Cantantes Domino z Jastrzębia Zdroju, z którym od lat przyjaźni się frysztacki chór męski. Chór parafialny prowadzi doświadczona dyrygentka siostra Dacja Domańska.

J.W.

PRZEDWYBORCZE ROZMOWY

12 stycznia br. spotkali się w Czeskim Cieszynie działacze, reprezentujący Radę Polaków, Ruch Polityczny Wspólnota oraz osoby niezależne, aby przedyskutować problematykę udziału Polaków w wyborach komunalnych, senackich i parlamentarnych oraz współpracy przedwyborczej polskich organizacji na Zaolziu.

Przewodniczący Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik przedstawił aktualną sytuację polityczną w Republice Czeskiej. Poinformował również, że zgodnie z uchwałą Kongresu Polaków, będzie podjęta współpraca z Ruchem Politycznym Wspólnota. Rada Polaków zdecydowała współpracę poszerzyć o PZKO i Macierz Szkolną. Członek Rady Polaków Remigiusz Gąsior poinformował o powstaniu Komitetów Gminnych. W obradach wzięli również udział członkowie Rady Polaków Danuta Branna i Bronisław Walicki.

Członkowie Wspólnoty Alfred Kołorz, Edwin Macura i Tadeusz Toman poinformowali, że Wspólnota chce zawrzeć umowę przedwyborczą z Radą Polaków, weźmie też udział w obradach „okrągłego stołu" ze wszystkimi polskimi organizacjami na Zaolziu. W wyborach komunalnych będzie współpracować z Kołami PZKO w poszczególnych gminach. Zaproponowano powołanie przy Ruchu Politycznym Wspólnota centrum organizacyjnego, dotyczącego wyborów komunalnych.

Biorący udział w obradach Karol Cieślar zaproponował, by komisja polityczna była niezależna. W wypadku, gdyby komisja była częścią struktur Rady Polaków lub Wspólnoty, nie mogliby w niej działać wszyscy Polacy w RC zainteresowani wyborami. Tadeusz Wantuła agitował za szeroką współpracą przedwyborczą, bez przypominania starych konfliktów.

W wyborach komunalnych Wspólnota wystawi pełne listy kandydackie w 30 gminach na Zaolziu. Polacy będą startować także z list innych partii wyborczych. Wybory senackie odbędą się w okręgu obejmującym Trzyniec, Jabłonków, Czeski Cieszyn i Cierlicko.

T.T.

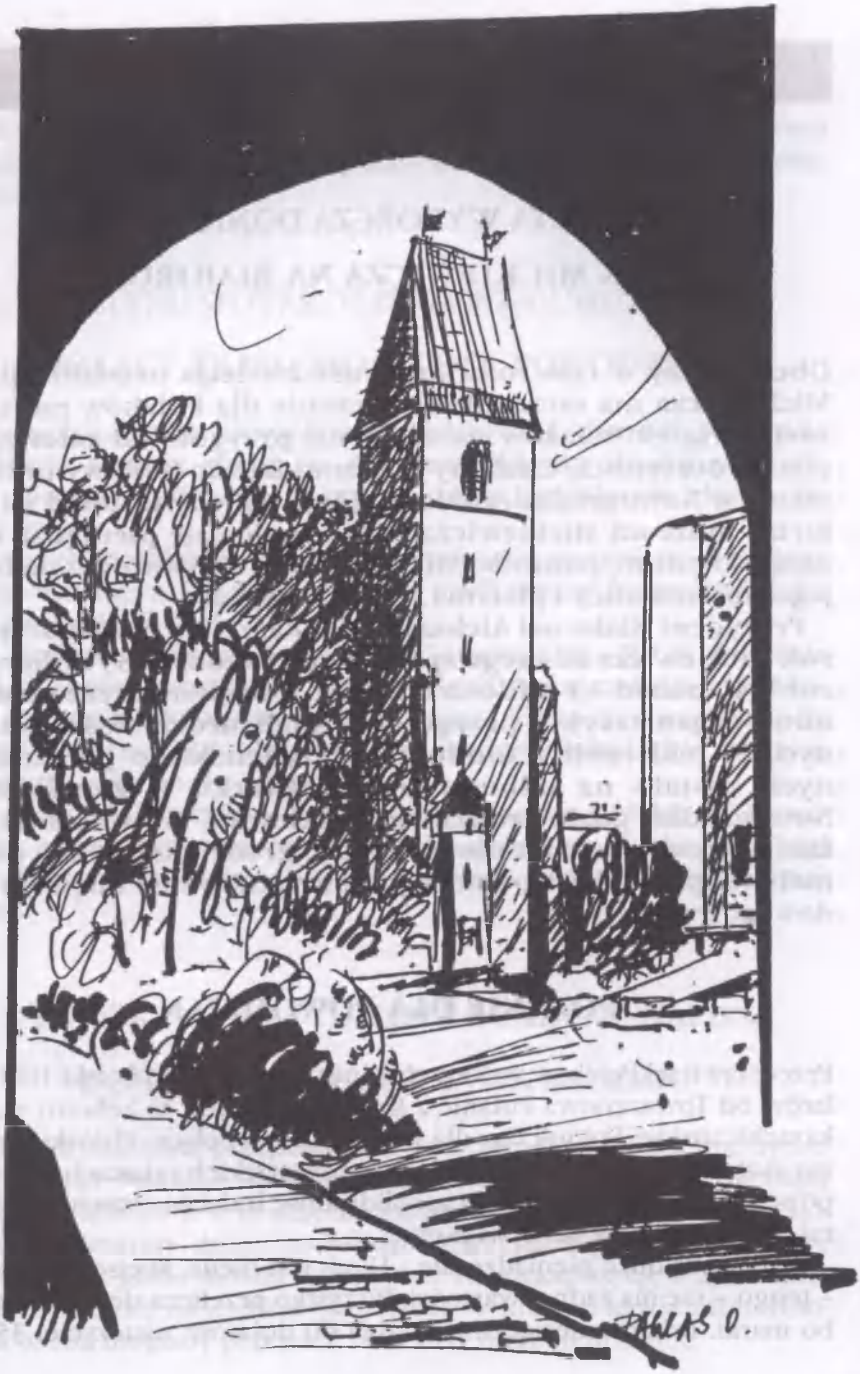

rys. OSKAR PAWLAS (Kościół Św. Zygmunda w Koźlu)

GAZETA WYBORCZA DONIOSŁA:

ROK MICKIEWICZA NA BIAŁORUSI

Obchodzony w tym roku jubileusz 200-lecia urodzin Adama Mickiewicza ma szczególne znaczenie dla Polaków na Białorusi. Związek Polaków na Białorusi przygotował całoroczny plan uroczystości. Chciałby doprowadzić do budowy polskiej szkoły w Nowogródku, gdzie znajduje się jedyne dotąd na Białorusi muzeum Mickiewicza. Może znajdą się pieniądze również na budowę pomnika Mickiewicza w Mińsku oraz nadanie jego imienia ulicy i placowi w tym mieście.

Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko przeznaczył na rok Mickiewicza ze swego specjalnego funduszu 35 miliardów rubli, tj. ponad 1,1 miliona dolarów. Powołany przez rząd komitet organizacyjny przygotował plan uroczystości oficjalnych. 5 mld rubli z funduszu prezydenckiego przeznaczonych zostało na odbudowanie folwarku w Zaosiu koło Nowogródka, gdzie urodził się Mickiewicz. We wrześniu ma tam powstać muzeum poety. Władze grodzieńszczyzny otrzymały też pieniądze z poleceniem przygotowania międzynarodowego święta poezji.

POLANIE DLA POWODZIAN

Przedstawiciel Polaków w Kazachstanie przywiózł do Polski 1000 dolarów od Towarzystwa Polanie z Kazachstanu. Jest to zebrany wśród kazachstańskiej Polonii dar dla powodzian w Polsce. Zbiórki pieniężne odbywały się też w kościołach we wszystkich miastach, gdzie są polscy księża. Jest to dar serca, solidarność ludzi biednych z rodakami dotkniętymi klęską żywiołową.

– To nie są duże pieniądze, ale... U nas jest bieda. Miejscowa waluta – tengo – nie ma żadnej wartości. Wszystko przelicza się na dolary albo marki. Lekarz miesięcznie zarabia 40 dolarów, nauczyciel 35, ile

ma emeryt, trudno powiedzieć – bo oni od roku nie dostają żadnych pieniędzy, ale to nie więcej niż 12 dolarów. Znam pielęgniarki, które przez rok pracowały w zamian za obiady. Na balkonach, na działkach hoduje się kury, jarzyny, co się da – żeby przeżyć – wyjaśnił Polak z Kazachstanu.

Z BIULETYNU STOWARZYSZENIA WSPÓLNOTA POLSKA:

POLACY ZE WSCHODU DLA POWODZIAN

Kraje byłego ZSRR nie opływają w dostatki. Mimo to Polacy ze Wschodu starają się m.in. poprzez zbiórkę darów pieniężnych pomóc rodakom w kraju, których dotknęła klęska żywiołowa.

Związek Polaków na Litwie przekazał na konto wrocławskiego Caritasu 136 tysięcy litów czyli około 34 tysięcy dolarów amerykańskich.

Za pośrednictwem Konsulatu Generalnego RP w Grodnie 6876 dolarów przekazali Polacy Grodzieńszczyzny: członkowie Związku Polaków na Białorusi, Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lidzkiej, parafie rzymskokatolickie w Iwiu i Dudach oraz osoby prywatne.

Łotwa gościła dzieci z zalanych terenów Polski. W Dyneburgu przebywało we wrześniu 30 dzieci ze śląska, do Rygi wyjechała w październiku 28-osobowa grupa dzieci z Raciborza.

DZIENNIK POLSKI TYDZIEŃ Z LONDYNU NAPISAŁ:

DOKUMENTACJA ŻYCIA NA ZAOLZIU

Kazimierz Santarius przeprowadził wywiad z Danutą Branną, dyrektor Ośrodka Dokumentacyjnego przy Radzie Polaków w Czes-kim Cieszynie. Zbiory o charakterze muzealnym, archiwalnym i bibliotecznym powinny służyć wszystkim. Marzeniem pozostaje na razie własny lokal, gdzie można by urządzić stałą ekspozycję o życiu mniejszości polskiej na Zaolziu oraz kącik, w którym każda zainteresowana osoba mogłaby przejrzeć materiały dokumentacyjne.

Zbiory ośrodka pochodzą od osób prywatnych lub zostały zakupione w antykwariacie a także z dubletów Biblioteki Regionalnej w Karwinie. Na pytanie, czym w szczególności zainteresowany jest ośrodek, Danuta Branna odpowiedziała:

Chciałoby się powiedzieć, że wszystkim, bo też tak jest w istocie. To, o czym mówiłam na początku, czyli dowody działalności stowarzyszeń polskich, powinno tworzyć trzon naszych zbiorów. Jesteśmy zainteresowani fotodokumentacją imprez i akcji, starymi materiałami archiwalnymi, jak protokoły, notatki, listy, korespondencja działaczy itp. Bardzo cennym materiałem źródłowym są plakaty, ulotki, jednodniówki wydawane przez organizacje, zaproszenia na imprezy. Wszystkie te materiały zaświadczają o charakterze i zakresie działania tych organizacji, często też bywają bardzo ciekawe od strony plastycznej. Chcemy współpracować z naszymi fotografikami, którzy dysponują bogatymi zestawami negatywów dokumentujących działalność społeczną naszych przodków. Oczywiście jesteśmy też zainteresowani książkami naszych autorów tak z dziedziny beletrystyki i poezji, jak opracowaniami historycznymi, socjologicznymi, językowymi o Zaolziu i polskiej ludności w Republice Czeskiej w ogóle.

DZIEŃ POLONII

Juliusz Osuchowski, sekretarz fundacji ODYSSEUM, która zorganizowała Ośrodek Dokumentacji Dokonań Polaków na Obczyźnie, apeluje o ustanowienie Święta Polonii. W Polsce przedwojennej obchodzono takie Święto, był to dzień 2 maja. Ustanowił je polski parlament.

Pomysł przywrócenia Święta Polonii został przekazany władzom polskim na Kongresie Polonii Ameryki Łacińskiej w Kurytybie w roku 1996. Był on konsekwencją kroku, jaki dwa lata wcześniej podjął parlament argentyński, ustanawiając dzień 8 czerwca świętem narodowym Polaków – Dniem Emigranta Polskiego. Fundacja ODYSSEUM uznała, że w Polsce powinno być podobne święto.

Na posiedzeniu Senatu w styczniu 1996 roku przyjęto uchwałę o postępowaniu legislacyjnym, które doprowadziłoby do przywrócenia dnia Polonii. Sprawa utknęła jednak w martwym punkcie.

Z „Koncertu Kolęd" w Mostach – recytuje Anna Pyszkowa ▶
fot. FRANCISZEK BAŁON

GOROL W MIEŚCIE

Wiycie, ludeczkowie, jo sie już do tego miasta moc nie cisnym, dyć w Łómnej też je dobrze, ale nikiedy człowiek musi. Trzeba nikiedy cosi kupić, co u nas nie sprzedują, albo cosi pozarządzać, rozmaicie przidzie. Oto niedowno żech sie też wybrała do Jabónkowa. Zaroz rano, bo dzisio pozarządzać to nima żodno sranda, tela wszędzi zmian, tela sie wszecy dosprzekludzali, że nim sie człowiek spamięce, co kaj je, już bije połednie. Dyć jyny gupióm czyściyrnie przekludzili w Jabónkowie ze sześć razy, co jo pamiętom. To aby człowiek pytoł na gminie plan miasta, nim cosi zacznie zarządzać. Jeśli najdzie gmine na starym miejscu! Z tymi sklepami sie też człowiek domoce. W cukierni sprzedują swetry, bóty w żelaznym sklepie, u masorza dostaniecie szampon na włosy, a po wórszt trzeba iść isto do drogeryje, jo nie wiym. Sami se chladejcie.

W tyn dziyń mi trza było iść jeszcze aj do zymbiorza. Ni, żeby żech wiertani w zymbach uznowała za jakómsi wielkóm przijymność, to ni, ale jak sie tak człowiek dotłócze po tych sklepach, to se aj rod siednie. No i tóż se siedzim, spoczywóm, czakóm, aż tej malty narobióm na załotani dziur, i w tym mi jakosi oczi wniysło na zygarek. Jezynderyno, jedynost dziesięć. Dyby sie tak dochtór pośpieszył, rozmyślóm, to bych aj mogła chycić autobus o pół dwanostej. No i zaś mie chyciła ta gorączka dzisiejszego świata. Hónym, hónym, hónym...

Wypadnym z ordynacyje jak wiater i tu sie mi za dźwiyrzami spómniało, żech se tam taszki z nakupym niechała. Wpolim zpatki bez zakupkanio, bez przeproszynio, porwiym taszki i lecim, aby jyny chycić tyn autobus. Jak żech już była w połówce schodów, dziwóm sie, dyć jo ni móm kabota! Zostoł w siyni na wieszoku! Jeszcze roz sie wracóm. No, teraz już go nie chycim. Albo chycim? Żynym za złómani karku przez rynek. Każdo minuta dobro. Autobus nie czako. Przilecim na most, już z daleka go widzim. Stoi. Dobre. Szwarnie ludzi nasiado. Wyszło! Łupnym sebóm na siedzisko i dyszim jak staro lokomotywa. Głównie żech go chyciła! Autobus sie rozjechoł i w tym sie mi spómniało, że móm auto przi poliklinice. Ale skleroza! No nic. Wysiednym przi Sanatorce.

KOSZTOWANI ŻYWOTA

– Mama, pójdymy do dómu, jo już nie chcym spać we stawbie – płakała Baśka.

– Ty mój guptasku mały – halkała ją matka – dyć to już ni ma żodno stawba, to je naszo piekno, nowo chałupka. Tu bedymy teraz bywać na dycki. Nareszcie my sie doczkali!

Baśka nie podzielała maminej radości.

Tak roz, dwa razy spać we stawbie, to by sie ji aj podobało, ale fórd!? Strasznie teschniała za swoją chałupą u starki. Wszecko tam musiała niechać, psa Dunaja, kotka Diablika, Rogatka, Fikołka, aj jejich mame, starą owce Natalke, kury, króliki i kupa rozmaitych ciekawych rzeczi. Jyny prosioka ji nie było luto, bo brzidok taki wielki urós, że sie go zaczinała boć. Tu, coż miała? Nic. Jedyną radością była ta malutko zogródeczka na kupie wyrchówki, kierą se zrobiła, jak chodziła z mamą a z tatą ku stawbie.

– A Dunajek był mój – łkała jeszcze w łóżeczku.

– Spej, już spej, dyć pujdziesz rano ku niymu – utulała ją mama.

* * *

– Mamo, pój sie podziwać! – wpadła Baśka do chałupy cało rozradowano. – Tymu kwioteczku, co w niedziele rozkwitło, sie urodziły dwie malutki dziecinki.

Mama miała pełne ręce roboty, ale musiała iść. Nie chciała Baśce psuć radości. Nic nadzwyczajnego sie nie działo. Astra, co kwitła na kupie wyrchówki, puściła dwa boczne pędy.

* * *

Baśka ni miała czasu ani pośniodać. Dyć Papuczek już też mioł przestraszny głód. Wyskocziła z łóżeczka i w piżamku poleciała zbiyrać mu zielóne listeczki. Cały dziyń by sie poradziła dziwać, jako Papuczek pieknie papo. Biere po jednym listeczku i tak go fajnie pyszczkym posuwo, aż go ni ma. Baśka miała ogrómną radość z tej swoi nowej gazdówki. Papuczek był jyny jeji! To una pomogała starzikowi zrobić króliczok. Wczora całe popołedni podowała mu gwózdki, klepocz, klyszcze, aż była chałupka dlo króliczków gotowo. Starka ji dała na razie jyny jednego, ale to nic, un bedzie mieć na wiosne małe króliczki, a ty małe króliczki, jak urosną, zaś będą mieć małe króliczki, a zaś, a zaś, aż bedzie strasznie kupa króliczków. Baśka ich nigdy nie pozwoli zabijać.

* * *

Matka usłyszała tak przeraźliwy wrzask, że ją nogi same wyniysły na pole. Z Baśką sie nie szło domówić. Załkała sie płaczym i ni mógła tchu dopaść. Rękami rozpaczliwie wymachowała w stróne Dunaja. Dunaj stoł zkruszóny ze świniónym kwostym, zwieszónym łbym, czakoł na wyrok. Kąsek dali leżoł podgryzióny królik. Matka zaroz wiedziała, co sie stało.

– Gdo niechoł odewrzite wrotka od króliczoka? – dziwiła sie.

– Jo chciała ukozać Dunajkowi swoigo Papuczka – wystękała Baśka między płaczym.

* * *

Dwa dni Baśka przeleżała w gorączce. Trzeci dziyń cały przepłakała. Darymnie ji mama tłómacziła, że piesek ni mo rozumu, że to już dycki tak na świecie bywało, pieski zjodały króliczki, króliczki zjodały kwiotka... Nic nie pomógło. Baśka uparcie powtarzała:

– Już ni móm Dunaja rada. Już tu nigdy nie śmiy do nas prziść.

– Niechej ją – mówiła starka mamie – niech sie wypłacze. Ze łzami wyndzie z ni żol.

Na sztworty dziyń wyszła Baśka na pole. W króliczoku już był nowy króliczek od starki. Nazbiyrała mu trowy, pogłaskała, ale jakosi tak bez radości. Nie był to jeji Papuczek.

– Mamo – zaczła Baśka nieśmiało – mogym se tu przikludzić Dunaja? Jo już nie bedym otwiyrać króliczoka.

– Dyć żeś prawiła, że już go ni mosz rada – uśmiychła sie matka. Baśka też sie uśmiychła, a matce sie zdało w tej chwili, że jejo cera jakosi wydoroślała za ty trzi dni.

Nauczila sie przeboczać.

* * *

Mama wyszła na pole wieszać prodło i uwidziała Baśke, wbitą w kątku przi szopie, całą upłakaną. Ogrómnie sie zlękła. Miała jeszcze w pamięci jeją niedowną chorobe.

– Cóż sie ci zaś stało przesmiłowani! – leciała ku ni. Baśka bez słowa wziyna ją za ręke i kludziła ku swoi zogródce.

– Podziwej sie – płakała cichutko – tym dwiyma malutkim kwioteczkóm, co sie dziepro urodziły, umrziła mamuśka.

Matke popuściło. Chwała Bogu, że sie nic nie stało! Kwiotko zwiędło. Dyby ni Baśka, to by se tego ani nie wszymła.

– Ty mój guptasku mały – tuliła ją uradowano, że to jyny tako drobnostka – Basieczko, to już tak musi być na tym świecie – tłumaczyła ji matka. – Jedne kwioteczka więdną, drugi sie rozwijają. I tak za chwile przidzie zima, przidzie śniyg, mróz... Kwioteczka zmarzną, śniyg ich przisypie, ale my nie bedemy smutni. Bedymy se wiesioło jeździć po śniegu na saneczkach. Ty rada jeździsz na saneczkach, prowda?

Baśka sie zamyśliła.

– Wiysz co, mamo – powiedziała po chwili – tak jo raczi nie chcym jeździć na saneczkach, a zrób tak, aby kwiatuszki nie zmarzły.

– Ty buliczku, dyć to żodyn człowiek nie poradzi tak zrobić – śmioła sie mama – Przidzie zima i basta.

Baśka nie rozumiała. Jejo mama, tako wielko, a nie poradzi kwioteczka obrónić?

Szkoda. Zapómniała ji mama opowiedzieć o wiośnie.

ANNA FILIPEK

KRZYŻÓWKA

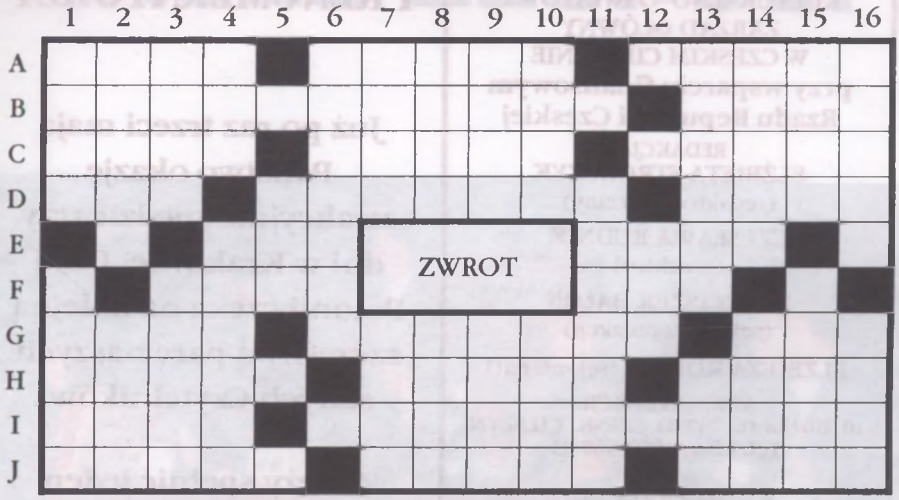

POZIOMO: A. Aluminium; „dzięcioł" po czesku; czwarty okres ery paleozoicznej. **B.** Odnawia obiekty architektoniczne i dzieła sztuki; oprawa obrazu. **C.** Rumuński malarz i grafik (Theodor); posterunek, warta; drobna roślina nie mająca korzeni lecz chwytniki. **D.** Tyfus; wymuszanie czegoś za pomocą zastraszenia; 1000 kg. **E.** Artretyzm; aktor czeski (Marek). **F.** Amerykański zoolog, ewolucjonista (Ernst); plebs. **G.** Ani liryk, ani dramatyk; związek azotu z wodorem; jedna z liter alfabetu greckiego. **H.** W naszych Beskidach jest Wielki i Mały; rzezimieszek; w przenośni poeta, wieszcz. **I.** Pospolity chwast polny; tor pocisku lub orbita ciała niebieskiego. **J.** Wysokogatunkowe wino węgierskie; muza poezji miłosnej; pożywka dla drobnoustrojów.

PIONOWO: 1. Opad atmosferyczny; krewny, ulubieniec osoby wpływowej. **2.** Niewielkie zwierzę z podrzędu małpiatek; jezioro na wyspie Celebes. **3.** Rzeka w Austrii i Niemczech (Izara); adonis. **4.** Najwyższy Trybunał Narodowy; w USA jest Południowa i Północna. **5.** W przenośni marzenia, rojenia. **6.** Bóstwo czczone przez Nabatejczyków. **7.** Miasto w Grecji; „morze" po łacinie. **8.** Dopływ Garonny w Francji; obok pary. **9.** Stała posada; kobra, okularnik indyjski. **10.** Jednostka organizacyjna wolnomularzy; rzeka w Rosji w dorzeczu Obu. **11.** Potrzebne jest do prasowania. **12.** Drzewo liściaste. **13.** Jednostka natężenia magnetycznego; wąż dusiciel. **14.** Naczynie na kwiaty; bazar, jarmark. **15.** Roślina (inula); imię Callas. 16. Rozkaz; apopleksja.

Wyrazy trudne: AMAN, ARTA, DUSZARA, ISET, MAYR, POSO (taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego - dadzą litery w następujących kratkach: A-1, H-3, F-12, H-8, B-10, D-13, J-4, A-2, G-16, D-1, H-11, C-16, I-13, D-9, J-2, I-9, G-1, A-8, B-2, D-11, F-13, B-14, J-8, E-12, H-4, C-10, F-5.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca lutego.

Rozwiązanie krzyżówek z numeru grudniowego:

Hasła krzyżówek świątecznych: **„Szopki krakowskie to prawdziwe arcydzieła sztuki ludowej", „Pasterka".**

Hasła tekstówek: **„Święta Bożego Narodzenia", „Pójdźmy wszyscy do stajenki".**

Nagrody książkowe wylosowali: **Bronisława Taraba** - Sucha Górna
Eugeniusz Danel - Hawierzów
Lidia Szymeczek - Nydek

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK
KULTURALNO–OŚWIATOWY
ZARZĄD GŁÓWNY
W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym
Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)
CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)
FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)
ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o.o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,– Kč, z wysyłką pocztową 222,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

DRODZY PRENUMERATORZY

Już po raz trzeci mają Państwo okazję atrakcyjnie spędzić trzy dni w Krakowie. Dom Polonii czeka na kolejną szczęśliwą parę naszych stałych Czytelników.

Należy spełnić jeden warunek – opłacić prenumeratę Zwrotu na rok bieżący do końca marca.

Oprócz nagrody głównej zostanie rozlosowanych dziesięć nagród książkowych.

Fundatorem nagród jest jak zwykle Stowarzyszenie „Wspólnota Polska" w Warszawie.

NASZE ZESPOŁY

TEATR AMATORSKI W WĘDRYNI

Inauguracja jego działalności przypada na rok 1903, kiedy to Zespół Teatralny Czytelni Katolickiej w Wędryni wystawił sztukę „Błogosławieństwo matki". Międzywojenne tradycje kontynuowano od roku 1946. W najświetniejszym okresie swej działalności zespół liczył 80 aktorów-amatorów i wystawiał 6 premier w roku.

Od kilkudziesięciu lat głównym reżyserem przedstawień Zespołu Teatralnego MK PZKO w Wędryni jest Jerzy Cienciała. Z ponad stu wystawionych w okresie powojennym sztuk wyreżyserował ponad siedemdziesiąt. Siedemdziesięciosiedmioletni dziś Jerzy Cienciała ma już swego następcę. Jest nim aktor wędryńskiej sceny Janusz Ondraszek.

W zespole panuje rodzinna atmosfera w znaczeniu dosłownym, tradycje teatralne przekazywane są z pokolenia na pokolenie. Teatr ma przed sobą przyszłość, bowiem wśród aktorów dominują ludzie młodzi.

Zespół przygotowuje dwa przedstawienia w roku. Swoją jesienną premierę – spektakl według komedii „Gwałtu, co się dzieje" Aleksandra Fredry w reżyserii Jerzego Cienciały – wystawił między innymi w październiku na II Spotkaniach Teatrów Polskich z Zagranicy w Rzeszowie.

(Na fot. aktorzy wędryńscy w „Hajdamaszu" Adama Wawrosza.)

zelmer

Sprzęt gospodarstwa domowego

Wodnik Trio
odkurzacz z filtrem wodnym oraz szamponiarką

Odkurzacze z filtrem wodnym

Odkurzacze

Ekspresy do kawy

Maszynki do mielenia

Krajalnice

Miksery

Robot kuchenny

Oferuje firma ZELMER BOHEMIA s.r.o.
Infotelefon: 0659 / 712 742

zelmer BOHEMIA

Zwrot

3/98

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

TEATR LALEK „DAJKA" 1948 1998 PRZY ZG PZKO

Cieszy, bawi i uczy... 50 lat

TACY BYLIŚMY

„ODWODY" – kawalerowie przed odejściem do wojska.

Fotografia wykonana w r. 1929. Kawalerowie z Błędowic Dolnych, pierwszy z lewej siedzi Kotula, z prawej Balon, a w środku stoi Rudolf Kolorz.
Właścicielką fotografii jest Helena Krzyżanek z Karwiny.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 580 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

3/98

W NUMERZE

[2] Premier Jerzy Buzek w rodzinnych stronach — E. S.
[4] BAJKA pięćdziesięcioletnia — C. R.
[18] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim [15] — ALOJZY NOWOK
[25] Moje dorastanie do dojrzałości [3] — BOLESŁAW ORSZULIK
[30] Guziurowie — ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[36] Wycieczka szlakiem drewnianych kościółków Zaolzia — JÓZEF KULA
[38] Współpraca nauczyciela z rodzicami — ELŻBIETA BARON
[40] Zjazd Gwiaździsty — F. B.
[43] Józef Ondrusz urodził się 18 marca 1918 roku — C. R.
[46] Poezja Gabriela Palowskiego
[48] Józef Ondrusz – opowiadania z książki „Cudowny chleb i inne godki śląskie"
[52] Aforyzmy i złote myśli Gustawa Sajdoka
[53] Renata Putzlacher – Moje fascynacje
[58] Echo wydarzeń muzycznych
[60] Na półkach księgarskich
[63] Z zebrania na zebranie — C. R.
[69] Jubileusz Alojzego Szymanika — J. K.
[71] Kronika
[77] Mozaika
[80] Krzyżówka

Numer zamknięto 18. 02. 1998

Na okładce: Teatr Lalek BAJKA przy ZG PZKO w Czeskim Cieszynie

Premierzy Josef Tošovský i Jerzy Buzek w Bielsku

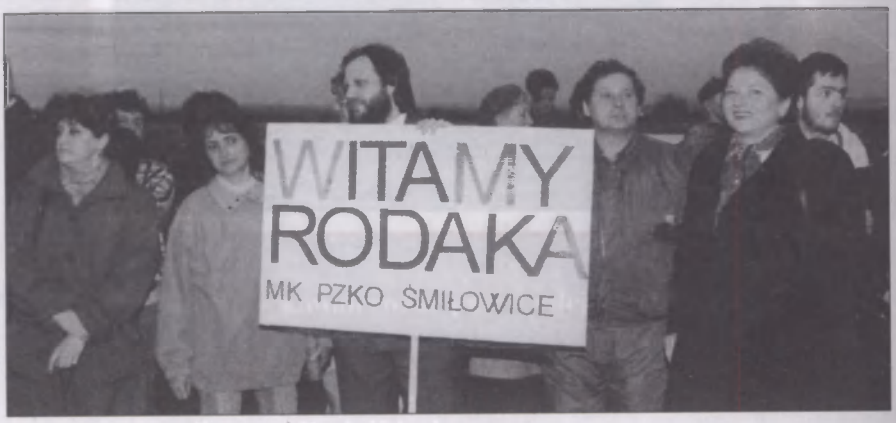

Śmiłowice witają swego rodaka...

PREMIER JERZY BUZEK W RODZINNYCH STRONACH

Z jednodniową wizytą 16 lutego przybył do Bielska-Białej i na Zaolzie premier RP Jerzy Buzek. Z inicjatywy premiera Rzeczypospolitej Polskiej Jerzego Buzka doszło do spotkania z premierem Republiki Czeskiej Josefem Tošovskim. Rozmowy, których tematem, między innymi, były sprawy wspólnego zapobiegania klęskom żywiołowym i współpraca w zakresie transportu kolejowego i drogowego, miały miejsce w Bielsku-Białej. Była to pierwsza zagraniczna wizyta oficjalna czeskiego premiera.

Obaj premierzy byli podejmowani na ratuszu w Czeskim Cieszynie, skąd udali się do Śmiłowic, miejsca urodzenia premiera Buzka. Tu, przed niegdyś rodzinnym domem, Miejscowe Koło PZKO powitało polskiego premiera transparentem, a chór Godulan-Ropica pieśnią Jana Kubisza „Ojcowski dom". Małgorzata Rakowska, dyrektorka Polskiej Szkoły Podstawowej w Gnojniku, wręczyła premierowi „Pamiętnik starego nauczyciela". Premier Jerzy Buzek powiedział po gorącym powitaniu ze strony miejscowych rodaków: *Jeszcze nigdy w ciągu stu dni bycia premierem nie byłem tak wzruszony. Nie przypuszczałbym, że wrócę do miejsca narodzin jako premier niepodległej Polski.*

W godzinach wieczornych w Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie odbyło się spotkanie obu premierów z przedstawicielami Polaków z Zaolzia. Premierów powitali ambasador RP w Pradze Marek Pernal, konsul Piotr Szwarc i ks. senior Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. Bogusław Kokotek. Konsul Piotr Szwarc przedstawił premierowi reprezentantów różnych polskich organizacji społecznych w Republice Czeskiej. Z każdym z nich premier odbył krótką rozmowę, żywo interesując się bieżącymi problemami życia Polaków na Zaolziu.

E. S.

Premierzy na spotkaniu w Konsulacie RP w Ostrawie
fot. FRANCISZEK BAŁON

Przedwojenny zespół teatrzyku kukiełkowego BAJKA Orłowa 1938 (pierwszy z lewej prof. St. Motyka, kierownik)

Zespół Teatrzyku Kukiełkowego BAJKA – r. 1948 (pierwszy z prawej kierownik zespołu Ferdynand Król)

BAJKA PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIA

Teatr Lalek Bajka, działający przy Zarządzie Głównym PZKO w Czeskim Cieszynie, obchodzi swoje pięćdziesięciolecie. Pięćdziesiąt lat teatru to 174 premiery i około 10,5 tysiąca przedstawień. Premiera pierwszego przedstawienia odbyła się 2 marca 1948 roku. Przez pierwsze dziesięciolecie kierownikiem był Ferdynand Król. W roku 1958 przyszedł do Bajki Adam Wawrosz, a w roku 1962 jego miejsce zajął Bronisław Liberda. Kierował Bajką przez 20 lat. Do roku 1989 stanowisko to piastował Paweł Żywczok. Przez następne 4 lata Bajka pracowała pod kierownictwem Franciszka Humla. Od roku 1993 kierownikiem Bajki jest Pawełka Niedoba.

W ubiegłym sezonie teatr dał 210 przedstawień. Abonament wykupiło 3120 widzów.

Zespół TL Bajka to w tej chwili osiem osób: Pawełka Niedoba, Krystyna Kubiczek, Krystyna Czech, Dorota Urbuś, Halina Szkopek, Jan Szymanik, Jakub Tomoszek i Marian Mokrosz.

Zespół nie chce mówić o swej codziennej ciężkiej pracy, o wielości zawodów, które muszą wykonywać. Najważniejsza jest dla nich wdzięczność widza, przede wszystkim tego najmłodszego.

Chyba żaden teatr na świecie nie jest tak gorąco witany przez swego widza jak Bajka – mówi Pawełka Niedoba – *Dzieci wyglądają przez okna. „Kukiełki jadą", cieszą się. W tym dniu nie ma już nauki, bo dzieci są zbyt podekscytowane. A nie wyobrażam sobie, żebym mogła zadzwonić wcześniej i z jakiegoś powodu odwołać kukiełki.*

Bajkę oglądają wszystkie polskie szkoły i przedszkola na Zaolziu. Z abonamentu korzysta 310 dzieci czeskich przedszkoli (Cz. Cieszyn–Rozwój i Grabina, Mosty koło Cz. Cieszyna, Stanisławice, Niebory, Trzyniec–Podlesie i Osówki, Guty, Wędrynia–Zaolzie, Bystrzyca–Pasieki, Koszarzyska, Milików, Jasienie, Nawsie, Boconowice) oraz szkół (Mosty koło Cz. Cieszyna, Stanisławice, Koszarzyska, Milików), jest też w Karwinie–Granicach przedszkolna grupa nieabonamentowa. Bajka występuje również w Polsce.

BAJKA, r. 1949, kierownik zespołu Ferdynand Król

Kurs lalkarski na Kozubowej w r. 1955 (pierwszy z prawej Eugeniusz Suchanek)

Z BAJKOWEGO ARCHIWUM O POCZĄTKACH TEATRU

Powiatowy Zarząd PZKO w Karwinie, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, jak ważną i doniosłą rolę wychowawczą odgrywają w życiu dziecka kukiełki, powołał do życia wędrowny teatr kukiełkowy Bajka. Siedzibą tego teatrzyku jest Orłowa, zaś kierownikiem jego od założenia aż do chwili obecnej znany w tej dziedzinie fachowiec nauczyciel Ferdynand Król.

Główna troska zespołu to strona artystyczna i wychowawcza urządzanych przedstawień. Z tych też pobudek pod koniec roku szkolnego 1948/49 przerzucono się z systemu „kijkowego" na „palcówki". Konstrukcję wędrownej scenki zaprojektował sam kierownik zespołu Ferdynand Król. Wszystkie akcesoria teatrzyku mieszczą się i przewożone są w dwóch normalnych walizkach.

Z PRZEGLĄDU PRACY ZA ROK 1950

Według zeszłorocznego planu pracy zespół miał w roku 1950 odegrać 80 przedstawień. Plan ten został wykonany w 122,5%. Zespół zdając sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywa w życiu dziecka teatr kukiełkowy, starał się jak najsumienniej pełnić przyjęte na siebie obowiązki. W roku 1950 wystawił 5 sztuczek, urządzając w różnych miejscowościach 98 przedstawień, na których było obecnych 13 821 osób, z tego 11 974 dzieci i 1 847 dorosłych.

Zespół pracowników kukiełkowych w roku 1950 do 30 września liczył 6 osób, od 1 października 7 osób. Każdy członek zespołu wykonuje kilka czynności. Kierownikiem zespołu jest Ferdynand Król, który jest zarazem reżyserem, głównym recytatorem, pomaga ruszaczkom, sporządza kulisy i kukiełki, prowadzi dziennik kasowy, inwentarz i kronikę. Prawa ręka kierownika to E. Żebrokówna, która projektuje i ubiera kukiełki, jest recytatorką oraz prowadzi gawędę. O stronę muzyczną troszczy się A. Pytlikowa. Reszta zespołu w osobach: E. Fierlowa, M. Gogółkowa, G. Kożuszników na i H. Swaczynówna, jako recytatorki i ruszaczki pełnią swoje obowiązki bardzo sumiennie.

ZE SPRAWOZDANIA ZA ROK 1951

W roku 1951 teatr odegrał 180 przedstawień. Wyznaczony plan pracy wykonano w 200%. W roku tym zaczęto wyjeżdżać również do powiatu czeskocieszyńskiego, gdzie systematycznie zajeżdżano do 30 miejscowości.

W przygotowanie pięciu sztuczek włożono wiele pracy i serca. Sporządzono kulisy i rekwizyty do 16 odsłon, zrobiono i ubrano 58 kukiełek. Wszystkie te prace wstępne wykonały 2 osoby: Żebrokówna i Król. Członkowie ci w ten sposób zaoszczędzili wiele tysięcy. Zorganizowanie 180 przedstawień od Bogumina, Marklowic, Szumbarku po Rzekę, Dolną Łomną, Nydek również pochłonęło wiele czasu i energii.

ZE SPRAWOZDANIA ZA ROK 1952

W roku 1952 Bajka odegrała 186 przedstawień. Z powodu nienależytego funkcjonowania i psucia się trzech samochodów, którymi dysponuje Zarząd Główny PZKO, w kilkunastu wypadkach musiano zaplanowane przedstawienia przesuwać, a w 45 wypadkach zupełnie odwołać. Stan taki sprawiał dziatwie przykre rozczarowanie, zaś wychowawcom, jak również samej Bajce, przysparzał wiele kłopotów. W terenie sarkano cicho i głośno. Sprawa przydziału kukiełkom stosownego i dobrego samochodu wlecze się już czwarty rok. Zespół Bajki wierzy, że Zarząd Główny nad tą sprawą znowu zastanowi się i nie pozwoli, by na tak ważnym odcinku oświatowo-wychowawczym praca utykiwała.

ZE SPRAWOZDANIA ZA ROK 1953

Obniżająca się z roku na rok frekwencja nie jest spowodowana brakiem zainteresowania ze strony terenu, lecz tym, że Bajka zajeżdża do coraz to liczebnie słabszych szkół.

Na repertuar złożyło się 5 sztuczek. Autorem wszystkich jest kierownik zespołu.

Zespół ze swej strony szuka ciągle nowych dróg, by jak najskuteczniej oddziaływać na wrażliwą duszę dziecka. Jeśli chodzi o wartości repertuaru, to zastrzeżenie miał jedynie inspektor szkolny powiatu karwińskiego. W sztuczce „Mali grymaśnicy" inspektor złożył następującą klauzulę: W sztuczkach powtarzają się te same tanie efekty (bijatyka zwierząt, nieumotywanana poprawa grzesznika), zbyt dużo moralizowania, które musi w końcu dzieci znudzić. Między innymi inspektor poleca uciec się do tłumaczenia czeskich sztuczek. Sztuczkę „Mali grymaśnicy" grano 73 razy, a zespół w żadnym wypadku nie zauważył wśród widowni nudów. Rzeczywistość była wręcz odwrotna, dzieci wszędzie brały bardzo żywy udział w akcji, co też w „uwagach" w dzienniku imprez potwierdziły bez wyjątku wszystkie szkoły. Wziąwszy również pod uwagę i recenzje zamieszczone w Głosie Ludu, należy stwierdzić, że klauzula inspektora jest pozbawiona fachowej znajomości, względnie jest tkana grubą nicią złośliwości. W sztuczce wcale nie występuje „bijatyka zwierząt" (ani też w pozostałej reszcie), zaś tematyki w naszym otoczeniu jest pod dostatkiem i zespół przypuszcza, że na razie nie trzeba uciekać się do tłumaczeń.

ZE SPRAWOZDANIA ZA ROK 1954

Zespół liczy 7 osób i w dalszym ciągu każdy członek zespołu odtwarza w sztuczce kilka postaci i wykonuje wszelkie prace techniczne. Dla porównania wypada podać, że stały teatr kukiełkowy w Ostrawie liczy obok kierownika 12 aktorów, 7 sił technicznych (stolarz, malarz, szwaczka...) 3 siły administracyjne i 2 siły dochodzące – razem 25 osób. Przeciętna stałych teatrów kukiełkowych w Czechosłowacji wynosi 25 osób, zaś w Polsce 35 osób.

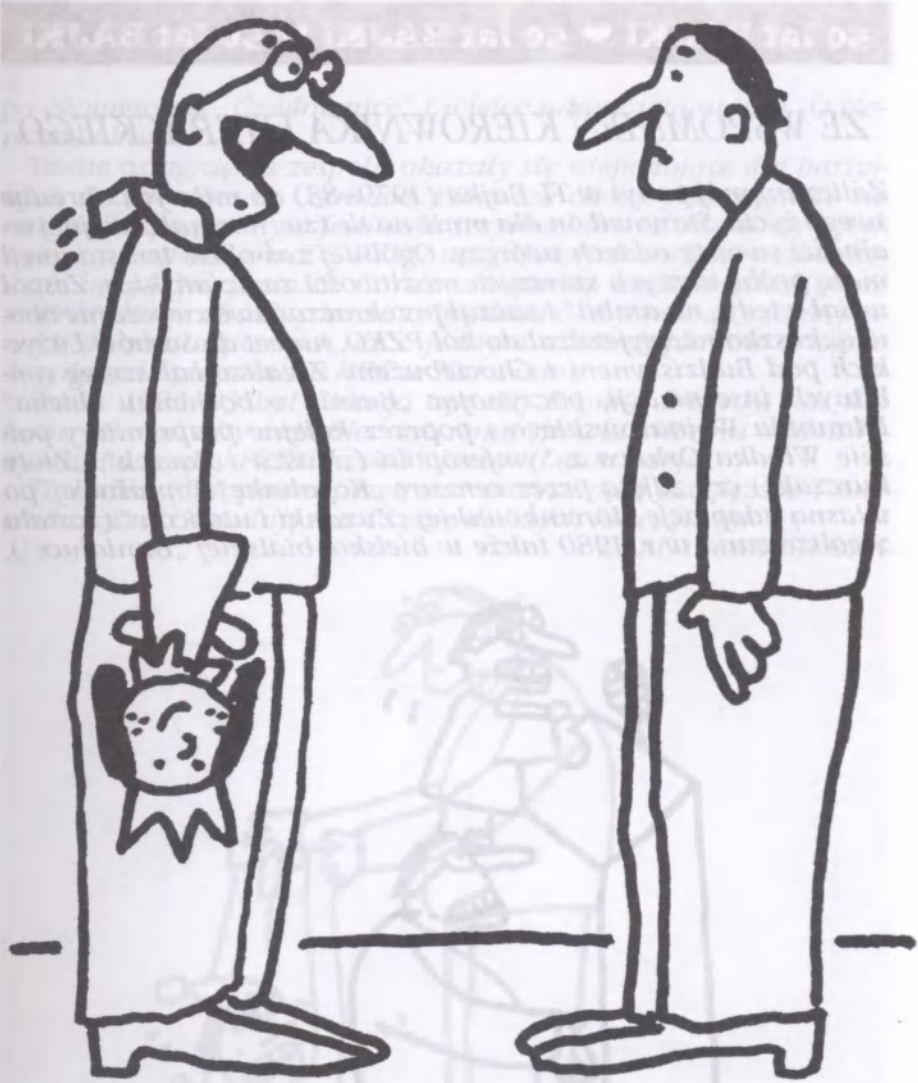

NARESZCIE ZAGRAM KRÓLEWICZA
rys. Bronisław Liberda

ZE WSPOMNIEŃ KIEROWNIKA LITERACKIEGO

Zaliczam mój pobyt w TL Bajka (1979–83) do milszych okresów swego życia. Stanowił on dla mnie na tle tzw. normalizacyjnej realności swoisty oddech twórczy. Ogólniej zaś okres ten stanowił małą próbę naszych szerszych możliwości zaolziańskich. Zespół wziął wtedy „na ambit" i zaczął przekraczać swe zwyczajne obowiązki szkolne, wyjeżdżał do kół PZKO, nawet do Serbów Łużyckich pod Budziszynem i Chociebużem. Zrealizował szereg ambitnych inscenizacji, poczynając „Baśnią o bochenku chleba" Edmunda Wojnarowskiego i poprzez kolejne prapremiery polskie Włodka Orłowa z Symferopola („Masza i Pączek", „Złoty kurczak") czy zdjętą przez cenzurę „Kozalinkę" Tomášowej, po własną adaptację Morcinkowskiej „Zuzanki i utopców" (została zrealizowana w r. 1980 także w bielsko-bialskiej „Banialuce"),

po ekologiczną „Czadownicę" i wielce udane widowisko „O stareczce i kurce"...

Tamte osiągnięcia zespołu okazały się niepokojące dla partyjnych decydentów w Ostrawie. Pierwsze chmury zaciągnęły się nad Bajką po pewnym festiwalu trzynieckim: od rozmowy z jednym z wiceprezesów ZG PZKO mogliśmy już trafniej przewidywać swoją przyszłość. Coraz uważniej zaczęto studiować w Prezydium obowiązkowe cele ideowo-wychowawcze w planach dramaturgicznych, aż o jednym z takich planów w ogóle decydowało plenum KP KPC w Karwinie.

Sezon 1982-83 był dlatego tak dla Bronka Liberdy, jak dla mnie ostatni: aby zapobiec naszemu niewłaściwemu oddziaływaniu na "masy PZKO-wskie", kazano nam odejść.

TL Bajka tymczasem przetrwał wszystko co najcięższe i najtrudniejsze. Gratuluję mu i życzę dalszych lat rozwoju.

WŁADYSŁAW SIKORA

TOTALITARYZM JUŻ SIĘ SKOŃCZYŁ
rys. Bronisław Liberda

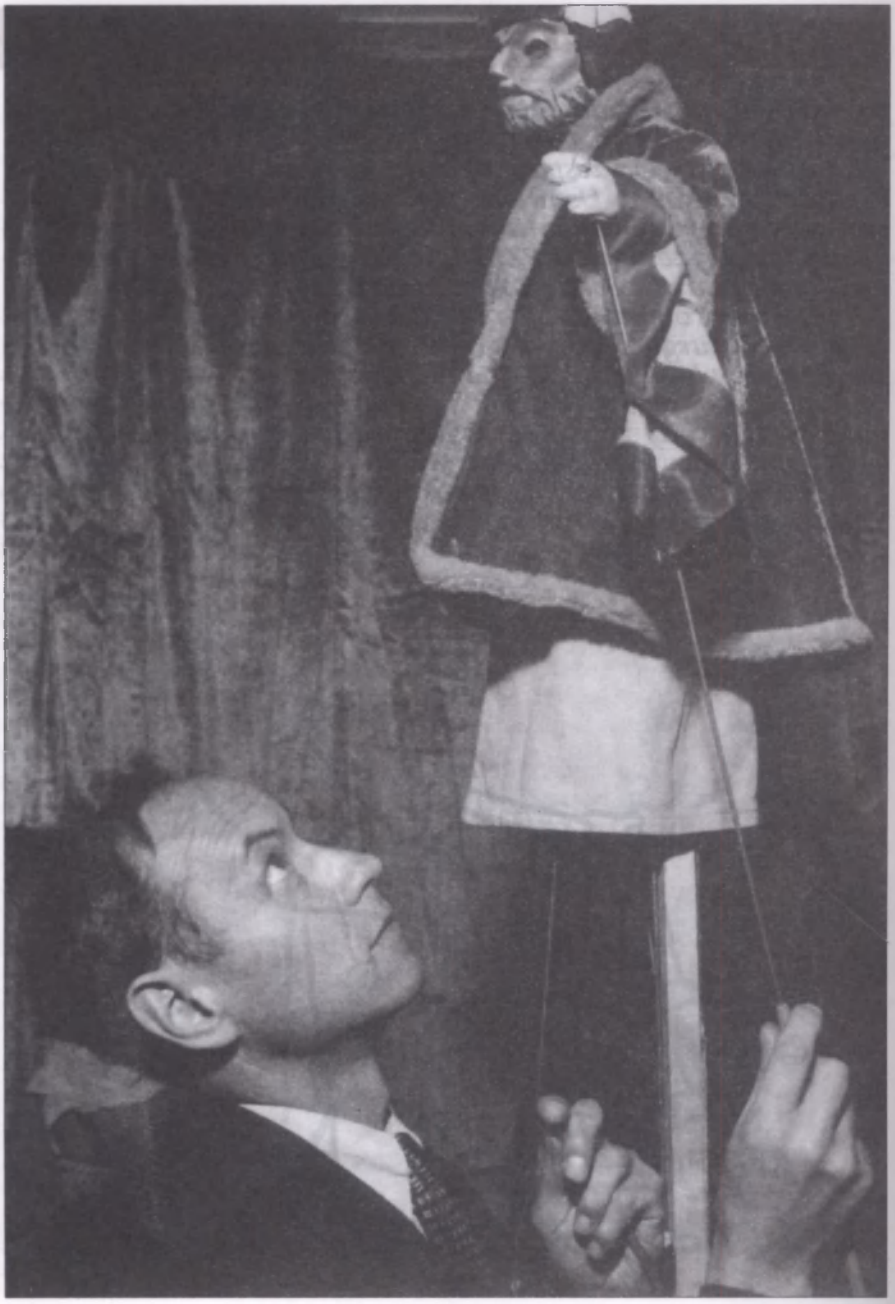

Kierownik BAJKI w latach 1958–1962 Adam Wawrosz

ANKIETOWANI O BAJCE

Na początku 1990 roku z powodu niejasnej sytuacji finansowej Zarządu Głównego PZKO Teatr Lalek Bajka stanął wobec problemu, skąd wziąć pieniądze na swoją działalność. Widmo likwidacji teatru zaciążyło nad zespołem. Bajka postanowiła bronić się, odpowiednio motywując potrzebę swego istnienia. Zwróciła się do opiekunów swej najwdzięczniejszej widowni – do nauczycieli szkół podstawowych i przedszkoli – prosząc ich o opinie na temat czy Teatr Lalek Bajka jest potrzebny. Wynikiem było kilkadziesiąt odpowiedzi ze szkół i przedszkoli, w tym również czeskich, będących informacją o odbiorze przedstawień, o oczekiwaniach widzów.

Bajka przetrwała i ten trudny okres. Ankiety spoczęły w archiwum, ale wydaje się, że warto je trochę odkurzyć i przytoczyć przy okazji półwiecza teatrzyku kilka z nich:

„Kukiełki" rozwijają w dziecku fantazję, są czymś, czego my, dorośli, chyba nie umiemy już w pełni docenić. O ile repertuar "kukiełek" jest przemyślany, to „kukiełki" mają największe szanse wpłynąć na formowanie się charakteru dziecka.

Dzieci pragną piękna czystego, niezmąconego. I pragną historii z morałem, i zachętą do dobra. Cieszę się, że TL nazywa się Bajka. Bo bajka ma zawsze morał i naucza uczciwego życia.

Bez Bajki zubożeje osobowość dziecka!

Przedstawienia podobają się, po wywieszeniu afisza w szkole dzieci z niecierpliwością oczekują dnia, w którym Bajka do szkoły zawita.

Uczniowie polskich szkół nie mają wiele okazji obcowania z piękną mową polską. TL Bajka spełnia i to zadanie.

Bajka potrzebna jest nie tylko dzieciom, ale także szkole w realizacji programu wychowawczego.

Trzeba zważyć możliwość nauczenia dzieci na przedstawieniach np. refrenu piosenki wykonywanej w spektaklu. Z obserwacji wynika, że dzieci chętnie włączałyby się w tok akcji.

TL Bajka poszerza wiadomości z zakresu literatury dziecięcej, regionalnej i światowej. Uzupełnia programy nauczania. Uczy kulturalnego zachowania i ogłady towarzyskiej.

Przedstawienia TL Bajka są inspiracją dla dzieci do zabawy w teatr. Oprócz przeżyć estetycznych czy moralnych bardzo ważną sprawą jest język.

Każde przedstawienie dzieci bardzo przeżywają – świadczy o tym dyskusja. Życzyłyby sobie inscenizacji znanych bajek.

Lalki są pomysłowo wykonane. Przedstawienia są ciekawie przygotowane. Podziwiamy kontakt aktorów z widownią.

Przedstawienia rozwijają fantazję dzieci i wzbogacają słownik. Najbardziej podobają się przedstawienia o zwierzętach.

Bardzo lubimy bajki klasyczne.

Dzieci wychodzą z przedstawienia pełne wrażeń.

Inscenizacje są naprawdę na wysokim poziomie, inspirują dzieci do malowania, rysowania, rozwijają zabawy tematyczne.

Psychika dziecka pobudzana jest do włączania się w akcje, które przedstawiane są na scenie.

Poprzez TL dzieci poznają różne metody opracowania tematu literackiego, sposób jego realizacji artystycznej, technicznej i dydaktycznej.

Wasza Bajka to dla naszych dzieci jedyne źródło prawdziwej kultury.

Przedstawienia Bajki pozwalają dzieciom zrozumieć różne sytuacje życiowe, odróżnić dobro od zła, szanować przyrodę, szanować stosunki międzyludzkie, poznać kulturę ludową naszego regionu i innych krajów.

TL Bajka jest jedynym polskim bezkonkurencyjnym teatrzykiem. Nauczycielki czeskich przedszkoli zazdroszczą nam, że mamy taki teatrzyk.

Przedstawienia przygotowują małego widza do odbioru w przyszłości sztuki teatralnej, uczą kultury zachowania się w teatrze.

Dzieci lubią bezpośredni kontakt sceny z widownią, który pozwala na reagowanie na aktualne sytuacje.

Przedstawienie TL Bajka to święto w życiu każdego przedszkolaka.

Żadne inne przedstawienie teatralne ani kino czy telewizja nie mogą zastąpić naszych kochanych kukiełek. Cenimy bardzo ich bezpośredni serdeczny kontakt z dziećmi i to, że przyjeżdżają wprost do dzieci.

Niech TL Bajka pozostanie tym, czym był dotychczas, nadal rozjaśnia horyzonty dziecięcej wyobraźni i rozwija wrażliwość na piękno słowa ojczystego.

Czyż trzeba dodawać coś więcej. Można by przytaczać opinie fachowców od scen lalkowych, wytykać niedociągnięcia warsztatowe czy językowe, analizować, teoretyzować. Ale najważniejsze są przecież odczucia widzów-adresatów przedstawień, a te są zgodne. Bajka robi wielką rzecz. Jest teatrem potrzebnym. I co najważniejsze, jest teatrem z sercem. Członkowie zespołu mają gorące serca. To pasjonaci Dobrej Sprawy.

C.R.

Marek Mokrowiecki jako listonosz Stempelek z zespołem BAJKI (1969)

30-lecie BAJKI – B. Liberda i Konsul PRL w Ostrawie pan Lampasiak (1978)

Jubileusz 30-lecia BAJKI – 25. 4. 1978

GŁOS O BAJCE

Wypowiedź Marka Mokrowieckiego, dyrektora Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego w Płocku, reżysera "Królowej śniegu", trzeciego spektaklu w sezonie jubileuszowym TL Bajka:

Jako reżyser występuję w Bajce nie po raz pierwszy, bo bardzo miło się tu współpracuje. Ten teatrzyk ma taką niesłychanie specyficzną atmosferę. Dzieje się tak i za sprawą tradycji, ale przede wszystkim ludzi, którzy tu pracują, pomimo że spotykam tu również coraz to inne nowe młode twarze. Panuje tu taka atmosfera nieformalnej więzi. Zespół Bajki to ludzie żyjący tym teatrem, jego problemami. A problemy są rzeczywiście wielkie, bo Bajka pracuje w bardzo ciężkich warunkach.

Sam spróbowałem tego chleba – już bardzo dawno temu – przez pół roku byłem w Bajce „za artystę". Grałem listonosza Stempelka **(w przedstawieniu „Pan listonosz Stempelek" według Karla Capka w reżyserii Bronisława Liberdy w sezonie 1969/70 – przyp. red.).** ***Jeździliśmy po terenie, wystawialiśmy po trzy przedstawienia dziennie. Pamiętam, jak nosiłem ciężkie walizki z dekoracjami. Było to coś pięknego, bo po każdym przedstawieniu zapraszano nas na jakiś poczęstunek. I ja go codziennie zjadałem – bardzo lubię zupki mleczne. W każdym przedszkolu, w każdej szkole była jakaś kaszka manna z soczkiem malinowym, płatki owsiane. Po pół roku nabrałem walorów prawdziwego mężczyzny, starszego o 20 kilogramów.***

Teraz przyjeżdżam tu z sentymentu. Ucieszyłem się bardzo, kiedy Bajka otrzymała wyremontowane pomieszczenie. Mimo że jest ono maciupeńkie i nie ma wentylacji. Warunki pracy nie są w pełni takie, jakie ma profesjonalny teatr lalkowy. Zaplecze techniczne jest maleńkie. Kiedy gra się jedną sztukę, a jednocześnie trwają próby innej, trzeba w ciągu jednego dnia zmieniać dekoracje – znosić je dwa piętra niżej i wynosić z powrotem po schodach. Członkowie zespołu sami robią dekoracje, sami je noszą i wożą. Ciężką pracą jest już samo klęczenie przez 40 minut 2–3 razy dziennie, trzymanie w górze lalki i mówienie tekstu jednocześnie. Gdybym ja aktorom w moim teatrze stworzył takie warunki pracy, to by mnie na taczkach wywieźli. Podkreślam to dlatego, że w czasie, kiedy byłem jeszcze aktorem w Scenie Polskiej, spotykałem się często z takimi uwagami: grasz w tym teatrze, no a gdzie pracujesz. Praca w Bajce jest ciężka, ale wdzięczna. Istnieje tu znakomita atmosfera przyjacielskiego tworzenia sztuki w naprawdę trudnych warunkach. To, że ten teatrzyk się uchował, że osiąga pięćdziesięciolecie, że przewinęło się przez niego tylu ludzi, z jednej i drugiej strony rampy, już coś znaczy. Najważniejsze zaś, że ciągle ma widza.

BAJKA w roku 1997 pod kierownictwem Pawełki Niedoby (stojąca na lewym dolnym zdjęciu), fot. FRANCISZEK BAŁON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (15)

NA FRONCIE LWOWSKIM

Po bitwie w Kiernicy Ukraińcy oderwali się od nas i uciekli w kierunku na Lubień Mały. Poszły za nimi patrole pościgowe, które jednak przed nocą powróciły do Kiernicy. Nocowaliśmy tutaj. Na przedpolu wsi zostały wystawione silne posterunki obserwacyjno-alarmowe. Noc jednak minęła spokojnie.

Nazajutrz wczesnym rankiem odbierał na błoniach Kiernicy cichą defiladę naszego batalionu płk. Serda, dowódca naszego zgrupowania bojowego. Pułkownik stał w otoczeniu swego nielicznego sztabu na nieznacznym wzniesieniu terenowym i powtarzał stale swoim donośnym głosem: – Niech żyją bohaterscy Ślązacy! –

Ruszyliśmy następnie do natarcia na Lubień Mały. Ukraińcy stawiali tylko lekki opór i nakazane cele taktyczne zostały przez nas osiągnięte z nieznacznymi stratami.

Z Lubienia Małego utworzyliśmy coś w rodzaju małej twierdzy. Zadaniem mego plutonu była teraz obrona małego, może półmorgowego lasku, położonego niedaleko toru kolejowego Lwów–Sambor i około pół kilometra na wschód od wioski. Dozorowaliśmy wymieniony tor kolejowy a zwłaszcza jego wylot z lasku od kierunku Sambora, gdyż stamtąd podjeżdżał często ukraiński pociąg pancerny. Działo się to oczywiście zwykle w czasie wściekłych szturmów Ukraińców na nasze pozycje obronne. W styczniu odparliśmy kilka takich szturmów, zadając przy tym Ukraińcom nieraz bardzo duże straty. Pomagała nam przy tym dzielnie bateria naszej artylerii z Lubienia Wielkiego oraz kulomioty z kompanii porucznika Cieńciały. Na odcinku mego plutonu towarzyszył mi stale i wspomagał wspaniale w każdej potyczce kulomiot, którego celowniczym był podchor. Szotkowski z Istebnej. W celnym ogniu tej jego maszynki załamywały się wszystkie szturmy Ukraińców na pozycje obronne plutonu.

W walkach w Lubieniu Małym wyróżniło się wielu żołnierzy, podoficerów i oficerów. Trudno mi wymieniać wszystkich. Pamiętam wiele tych bohaterskich sylwetek, lecz nie pamiętam nazwisk. Wyróżniali się stale oprócz świetnego dowódcy batalionu mjra Strońskiego wszyscy bez wyjątku dowódcy kompanii a więc porucznicy Cieńciała, Matuszek, Buchta, ppor. Merka i adiutant batalionu ppor. Kocur. Z podchorążych utkwił mi na zawsze w pamięci bohaterski patrolowiec, stale uśmiechnięty, pogodny, dużego wzrostu Adolf Jusof z Cieszyna-Pastwisk, odważny i flegmatyczny szturmo-

wiec, były marynarz sierżant Borski z Cieszyna-Brandysu i oczywiście nadzwyczaj odważny, szczuplutki i ruchliwy cekaemista podchor. Szotkowski z Istebnej. A więc wszyscy Ślązacy z Cieszyńskiego.

Nie przypominam sobie dokładnie, w którym dniu w końcu stycznia zaskoczyła nas tu na froncie w Lubieniu Małym hiobowa wieść, że bracia Czesi złamali zawartą z Polską Radą Narodową Księstwa Cieszyńskiego umowę z dnia 5 listopada 1918 roku i wpadli potężnymi siłami wojskowymi do polskiej części Śląska Cieszyńskiego. Zagarnęli za pierwszym zamachem Cieszyn – Bogumin – Karwinę – Orłowę – Trzyniec – Jabłonków. Wywiązała się bratobójcza walka. Najazd Czechów został wstrzymany aż na linii Wisły przez wielokrotnie słabsze liczebnie oddziały polskie generała Latinika.

Na wiadomość tę zagotowało się w całym batalionie od świętego oburzenia. Przybiegł do mnie podchor. Szotkowski, kapral Wróbel i wielu innych jeszcze i stawiają ultimatum: – Niech nas tu natychmiast zluzują, a my musimy wrócić na Śląsk, gdzie musimy wykurzyć z naszych terenów i chat najeźdźców! Pobiliśmy Ukraińców – damy też radę sobie z braćmi Czechami! Dowiedział się o tych nastrojach dowódca batalionu mjr Stroński. Zarządził odprawy oficerskie i pogadanki żołnierskie, w czasie których zdołaliśmy z dużym wysiłkiem uspokoić wzburzone masy żołnierskie i wytłumaczyć im, że Czesi na pewno zostaną zatrzymani i cały Śląsk Cieszyński wróci do Polski.

W końcu stycznia przeżyliśmy również jeden z najgwałtowniejszych szturmów ukraińskich na nasze pozycje. Nad ranem budzi mnie czujka nocna i gwałtowna strzelanina. Zrywam się z frontowego barłogu i biegnę do lasku na moje stanowisko dowódcy plutonu. Za mną pędzi podchor. Szotkowski do swojego kulomiotu. Pociski nam nad głowami gęsto bzykają i gwiżdżą. Dopadamy do naszych okopów z pierwszym brzaskiem dnia. Najwyższy czas, gdyż pierwsza fala Ukraińców zbliżyła się już do nas na odległość 200 metrów, a z przeciwległego lasu nadciąga już ich druga fala. Jednocześnie z wylotu leśnego sunie torem kolejowym olbrzymi opancerzony żółw – ich pociąg pancerny – i pluje na cały lasek oraz obsadę mego plutonu wściekłymi pociskami swego działka i gęstymi seriami kulomiotów.

Wszyscy żołnierze plutonu są na miejscu, na swych stanowiskach strzeleckich i bronimy się. Ukraińcy są niestety coraz bliżej i widocznie są pewni zwycięstwa. Coś się chyba przydarzyło Józkowi Szotkowskiemu, bo jego kulomiot milczy. Nareszcie się jego maszynka rozśpiewała i Józek na nieprzyjaciela sypnął celnie, gęstymi i długimi seriami. Skutek był natychmiastowy, gdyż fala nieprzyjaciela uciekła zaraz do lasu a przednia tyralieria została przygwoż-

dżona do równego i zaśnieżonego terenu, na którym czerniły się sylwetki pojedynczych tyralierów jak małe kupki obornika. Widać jak pojedyncze sylwetki siczowców wycofują się do martwej niecki terenowej, a następnie przemycają się pod mostkiem na drugą, bezpieczną dla nich stronę wału kolejowego. W tej chwili Józek Szotkowski przerywa ogień i przenosi kulomiot na zapasowe stanowisko, aby stamtąd prażyć skuteczniej ogniem ukraiński pociąg pancerny. Na to zapasowe stanowisko już niestety nie dobrnął. Upadł na ziemię rażony śmiertelnie.

Nasza bateria z Lubienia Wielkiego nam w obronie dzielnie sekundowała. Jeden z pocisków artyleryjskich był celny i trafił w wagon – platformę pociągu pancernego, który szybko zrejterował do tyłu w bezpieczne miejsce.

Atak Ukraińców został odparty.

Dla poległego podchor. Józka Szotkowskiego został wykopany grób żołnierski w lasku pod Lubieniem Małym. Tam, niedaleko od Gródka Jagiellońskiego i Lwowa, spoczęły jego młodzieńcze kości. A jego czysta i piękna duszyczka – a raczej jego wielka, szczera dusza beskidzkiego górala – zameldowała się najpierw w niebiańskim garnizonie u św. Piotra, a potem z przepustką Najwyższego wartko poleciała na pewno na wieczną kwaterę nad Istebną, nad szczyt Ochodzitej, skąd tęsknie spoziera w stronę niedalekiego, zabranego Bukowca i Jabłonkowa, na szczyty Kozubowej, Jaworowego, na Stożek i Czantorię osłaniającą swoim wyniosłym i zgarbionym wierchem dolinę Wisły przed dymnymi chmurami huty w Trzyńcu.

Podchor. J. Szotkowski był znany i lubiany w całym batalionie. Przyszli się z nim pożegnać i pomodlić się nad jego mogiłą wszyscy oficerowie batalionu, także mjra Strońskiego. Nie wstydziłem się za swoje łzy przy tym żołnierskim pochówku. Nie wstydzili się za swoje łzy nad grobem Józka i inni żołnierze mojego plutonu. I nikt się nie dziwił, że jego najbliższy druh, kapral-ochotnik Wróbel z Karwiny, rozszlochał się głośno nad jego mogiłą.

Bowiem byliśmy i jesteśmy nie tylko żołnierzami, ale i ludźmi.

Śmierć Józka Szotkowskiego była dla mnie strasznym wstrząsem. Długo nie mogłem się z tym pogodzić. Brakowało mi go bardzo. Był to zawsze pogodny, dobry, szczery przyjaciel i bardzo dobry, ofiarny i odważny żołnierz.

Walki o Lwów, Przemyśl i granice wschodnie Polski toczą się dalej. Nasz batalion odpiera skutecznie przez cały czas liczne szturmy siczowych strzelców. Dopiero w kwietniu nastąpiło zluzowanie batalionu przez oddział krakowski i maszerujemy na kilkudniowy odpoczynek do Gródka Jagiellońskiego. Po odpoczynku mamy objąć

odcinek frontowy w niedalekiej stąd kolonii Ebenau-Stodółki. W następnym dniu zaprosił wszystkich oficerów batalionu na obiad burmistrz miasta Le Bouton. Z ust ojca miasta i miejskich notabli padały często i gęsto toasty, pochwały i zachwyty pod adresem batalionu.

Nazajutrz prowadziłem kompanię do łaźni i zauważyłem na głównej ulicy miasta grupkę dystyngowanych, lecz nieznanych mi wcale oficerów. Naramienniki ich frenczów były ozdobione świeżo wprowadzonymi, lecz nieznanymi mi jeszcze epoletami i gwiazdkami oficerskimi. Oddaję im honor i salutuję. Jeden z nich daje mi znak ręką, abym podszedł do niego. Zapytuje mnie: – Cóż to za oddział i dokąd maszerujecie? – Widzę na naramiennikach jego frenczu-kurtki i czapki 3 gwiazdki, więc melduję: – Panie kapitanie! Podporucznik Nowok z 7-mej kompanii trzeciego batalionu Pułku Ziemi Cieszyńskiej melduje posłusznie, że prowadzi kompanię do łaźni.–

– Ach to ten sławny batalion śląski z Cieszyna! Mam zaszczyt poznać jednego z oficerów tego batalionu i przedstawić się. Pułkownik Sikorski jestem! – odzywa się przyjaźnie nieznany mi dotychczas oficer i podaje mi swoją i ściska mi mocno moją rękę. Wtórują mu z potakującym uśmiechem towarzyszący mu oficerowie, widocznie oficerowie jego sztabu. Speszyłem się niesamowicie, że nie umiem rozróżniać stopni oficerskich i chyba zaczerwieniłem się ze wstydu. Zauważył to widocznie ówczesny płk. Władysław Sikorski, o którym już coś słyszałem, gdyż od razu mnie pocieszył: – To nic, panie poruczniku, że pan mnie trochę zdegradował, a raczej odmłodził w szarży. Widać, poruczniku, że byliście dotychczas na froncie, gdyż nasze nowe dystynkcje oficerskie zostały wprowadzone od niedawna. Ach, wspaniały jest naprawdę ten wasz cieszyński batalion! – To mówiąc uścisnął mi na pożegnanie rękę i polecił odmaszerować. – Ku chwale Ojczyzny, panie pułkowniku! – ryknąłem donośnie – Spełniamy tylko nasz żołnierski obowiązek!

Po kilku dniach odpoczynku w Gródku Jagiellońskim pomaszerowaliśmy na nowy i od Gródka niedaleko położony odcinek frontowy w kolonii Ebenau-Stodółki, gdzie oprócz pilnowania frontu przeprowadzaliśmy intensywne szkolenie i uzupełnialiśmy nasze wyekwipowanie. Na froncie panował wówczas spokój. Był to okres po dotkliwej klęsce zadanej Ukraińcom pod Sadową Wisznią przez wielkopolskie wojska dowodzone przez generała Daniela Konarzewskiego. Wielkopolanie udzielili wówczas Ukraińcom porządne lanie, przerywając siczownikom w szerokim pasie ich pierścień oblężniczy i od tych pamiętnych dni wojska ukraińskie zachowywały się ostrożnie i z wyczekiwaniem.

Niedaleko na zachód od naszego batalionu stały na pozycjach fron-

towych inne bataliony naszego pułku. Na froncie lwowskim znajdował się wówczas cały nasz 10-ty Pułk Ziemi Cieszyńskiej, a w jego szeregach walczyło wielu moich kolegów, znajomych i krewnych. Trudno ich tu wszystkich wymienić. Wspomnę tylko o najbardziej mi drogich, bliskich i znajomych, jak mój brat cioteczny por. F. Branny z Ropicy, drugi mój brat cioteczny por. K. Biłko z Krasnej, por. Cienciała, por. W. Michejda, porucznicy bracia Edward i Ferdynand Buchtowie, por. Franek z Ochab oraz wielu innych.

Jeszcze w czasie postoju w Gródku Jagiellońskim została przeprowadzona pewna reorganizacja batalionu i zostały uzupełnione stany liczebne kompanii i plutonów za poległych i rannych. Otrzymałem do plutonu dziesięciu żołnierzy Ślązaków z byłej armii autriackiej, którzy jakimś cudem utrzymali się od końca wojny na tych terenach i zgłosili się teraz na ochotnika do wojska polskiego. Chodziło o starszych, doświadczonych żołnierzy. Był między nimi szeregowiec Karpeta z Trzyńca czy też z okolicy Trzyńca, robotnik tamtejszej huty. Doświadczony wyga, odważny zawadiaka, który wyróżniał się tym, że posiadał harmonię, którą wszędzie taszczył i przy każdej okazji grał na niej. Zwróciłem mu uwagę, że to przecież ciężki i nieforemny grat. Oburzył się wtedy szczerze i powiedział mi: – To bardzo fajny insztrument, fajno heligónka. Łacno ją kupiłech – tu w jednej wsi i muszę ją dosmyczyć do chałupy! – Nie wiem czy mu się to udało. W krótkim czasie nas bowiem rozdzielił los. W związku z tą harmonią był Karpeta znany później lepiej pod przezwiskiem „Heligón".

Wszystko wskazywało na to, że w krótkim czasie ruszymy do większej ofensywy. Rozpoczęła się ona w pierwszych dniach maja huraganowym natarciem naszych oddziałów. Działania naszego batalionu w tej ofensywie przebiegały pomyślnie, gdyż były prowadzone z niezwykłą siłą i intensywnością pod znakomitym dowództwem. Mieliśmy minimalne straty w ludziach. Najdotkliwszą stratą była niestety bohaterska śmierć dowódcy batalionu mjra Strońskiego, który zginął w pierszym dniu tej ofensywy trafiony odłamkiem szrapnela. Dowództwo batalionu objął po nim dowódca mojej kompanii por. Matuszek, a ja przejąłem po nim dowództwo 7 kompanii.

Wojska ukraińskie cofały się w popłochu na całym froncie. Po zaciętych kilkunastodniowych walkach i forsownym pościgu cofających się Ukraińców, znaleźliśmy się pod Brzeżanami, zabierając po drodze setki jeńców do niewoli. W jednej tylko bitwie niedaleko Brzeżan, po sforsowaniu mostu kolejowego nad Seretem obok stacji kolejowej Potutory, zabraliśmy do niewoli ponad 300 jeńców ukraińskich.

Po miesiącu zaciętych walk i wyczerpującego pościgu odmaszero-

waliśmy do odwodu dowódcy frontu. Odpoczęliśmy ledwie dwa dni w Tarnopolu, gdyż w dniu 8 czerwca zarządzono niespodziewany alarm batalionu. Pomaszerowaliśmy forsownym marszem w kierunku na Trembowle–Czortków. Okazało się, że wzmocnieni wielkimi siłami atamana Petlury i dowodzeni przez austriackiego generała Krausa zachodnio-ukraińscy siczowcy przełamali pod Czortkowem i na innych odcinkach nasze pozycje i ruszyli do kontrofensywy. W dniu 10 czerwca minęliśmy Trembowle i dotarliśmy wieczorem do czysto polskiej wioski Podhajczyki.

Zajęliśmy o zmroku na pagórkowatych przedpolach tej miejscowości stanowiska obronne. Posiadaliśmy doskonałe pole widzenia i obstrzału. Nie posiadałem tylko wglądu w głęboki i duży parów położony na przeciw lewego skrzydła kompanii opartego o kościół w Podhajczykach. Z parowu dochodził do moich uszu zgiełk koncentrujących się do szturmu oddziałów ukraińskich. Dozór nad tym parowem powierzyłem obsłudze miotacza min oraz umieściłem w tym samym celu jeden z przydzielonych mi kulomiotów na wieży kościelnej.

Ukraińcy szturmowali zaciekle przez dwa dni kilkakrotnie przeważającymi siłami nasze pozycje obronne, lecz wszystkie ich ataki załamywały się w naszym ogniu, a oddziały ich, zajmujące postawę wyjściową do natarć w parowie przed nami, były dziesiątkowane przez kulomiot z wieży kościelnej oraz przez miotacz min. Ponieśli więc ogromne straty, z czym zwierzył mi się z oburzeniem ukraiński dowódca pułkowego zwiadu szturmującego Podhajczyki. Oczywiście zwierzenia te miały miejsce po mojej nieszczęsnej wpadce do niewoli, co nastąpiło w dniu 13 czerwca.

Chociaż nasze pozycje obronne w tych walkach na przyczółku mostowym w Podhajczykach nawet nie drgnęły, otrzymaliśmy w dniu 12 czerwca przed zachodem słońca wyraźny rozkaz do oderwania się od przeciwnika i odwrotu w kierunku na Mikulińce – Tarnopol. Pierwszy nasz odskok z Podhajczyk musiał się odbyć przez jedyny nad Seretem most. Nie obeszło się przy tym bez strat, gdyż most był ostrzeliwany przez artylerię ukraińską. Zginął wówczas dobry żołnierz kapral Wróbel z Karwiny i nieznany mi bliżej rezerwista, stary wiarus również z Karwiny.

Dalsze działania przebiegały już w mrokach ciemnej, lecz wyjątkowo ciepłej i oczywiście krótkiej nocy z dnia dwunastego na trzynastego czerwca. Po zachodzie słońca oderwaliśmy się od nieprzyjaciela, pozostawiając nieuszkodzony most nad Seretem w rękach Ukraińców, gdyż nie mieliśmy materiału do wysadzenia go w powietrze. W czasie odwrotu odebrałem od dowódcy batalionu por. Matuszka zadanie:

– Kompania jako straż tylko musi ubezpieczyć odwrót batalionu cofającego się szosą w kierunku na Mikulińce–Tarnopol. –

Wydzieliłem z kompanii jeden pluton jako „szpicę" tylną i zdecydowałem się pozostać przy tym plutonie, aby osobiście dopilnować dokładnego i sumiennego wykonania zadania. Jeszcze przed tym zatrzymałem kompanię na krótki postój–odpoczynek, podczas którego przeprowadziłem przegląd kompanii od tylnej zabezpieczającej „szpicy" do plutonu na przodzie kompanii, którego dowódcą był odważny i pewny sierżant Borski z Cieszyna. Byłem jedynym oficerem w kompanii i dowódcami plutonów byli podoficerowie. W trakcie krótkich rozmów z żołnierzami w drużynach i plutonach przekonałem się, że pomimo ogromnego fizycznego zmęczenia żołnierska brać była dobrej myśli. Po tym przeglądzie–kontroli wydałem rozkaz do marszu. Zaraz po rozpoczęciu dalszego marszu plutonów i kompanii usłyszałem tony jakiejś melodii marszowej, którą na swym „insztrumencie" grał oczywiście Karpeta–Heligón. Kiedy jego pluton się przybliżył, Karpeta mnie w ciemnościach zauważył i krzyknął do mnie: – Pozywóm pana porucznika do arbajterhajmu, do dómu robotniczego w Trzyńcu. Zapłacę wszystko, co wypijemy! –

Pozostałem na miejscu tak długo, dopóki w dali w szurgocie butów maszerujących żołnierzy nie zanikły tony melodii granej na "fajnej heligónce" przez Karpetę–Heligóna. Podobno Karpeta przeżył wszystkie tarapaty i powrócił do Trzyńca. Nie spotkałem się z nim jednak już nigdy. Dzieliła nas po wojnie granica.

W kwadrans po odmarszu głównego członu wyruszyłem i ja z ostatnim plutonem – tylną „szpicą" za kompanią. Na dwukołowym wózku–biedce z jednym koniem wieźliśmy kulomiot, karabiny, amunicję i plecaki. Przytrzymywałem się biedki i próbowałem drzemać w marszu. Droga prowadziła nad wąwozem Seretu, którego wody w pierwszym porannym brzasku już lśniły.

Śmiertelnie znużeni zwaliliśmy się na kilkuminutowy odpoczynek do przydrożnego rowu. Pomyślałem sobie, że błąkamy się tu niepotrzebnie koło tego Czortkowa wśród ukraińskich wiosek, a tam u nas na Śląsku Cieszyńskim w czysto polskich wioskach szwendają się dla odmiany bracia Czesi. Cóż to za cholerna polityka? Czyj to interes pchać się w cudze zagrody?

Płynące kilka metrów niżej wody Seretu szemrały cichutko sennie i ukołysały mnie za chwilkę do kamiennego snu, który przerwał moje rozmyślania nad dziwnymi losami nas Ślazaków z Cieszyńskiego.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (3)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Do polskiej szkoły ludowej przy Starym Kościele uczęszczałem od pierwszej klasy (1931 r.) do półrocza w klasie piątej. W styczniu bowiem 1936 r. przeprowadziliśmy się do Suchej Górnej. Mile wspominam pobyt w karwińskiej „ludówce". Każdą klasę prowadził inny nauczyciel. Kolejno byli to: Szulcówna, Gotsmanówna, Pala, Smelik i kierownik Gałuszka. W szkole odbywało się wiele ciekawych rzeczy. Systematycznie urządzano przedstawienia szkolne dla rodziców, bożonarodzeniowe „gwiazdki" z prezentami dla dzieci, festyny szkolne z występami gimnastycznymi, różnymi popisami i zabawami (oraz z parówkami, kołaczami i lemoniadą dla uczniów). W tych imprezach brali gremialny udział wszyscy rodzice bez względu na ich status społeczny, a więc górnicy (najliczniej), inteligencja, rzemieślnicy i inni. Ów swego rodzaju solidaryzm demokratyczny wynikał zapewne z chęci zamanifestowania polskości w warunkach obcej państwowości.

W szkole przyjaźniłem się z Korneliuszem Heczką i Bronisławem Ramikiem. Kornel był synem pastora, zaś Bronek introligatora. Często odwiedzałem ich i wspólnie urządzaliśmy różne zabawy, a oni również przychodzili do mnie, choć rzadziej. W ich domach, oczywiście dostatnio wyposażonych, nie byłem przez ich rodziców traktowany jako intruz, wręcz odwrotnie – byłem przez nich do tych odwiedzin nawet zachęcany. Tutaj poznawałem różne zabawki, tutaj też z reguły częstowano mnie podwieczorkiem. Ale i moja matka starała się zawsze poczęstować moich kolegów jakimś posiłkiem. Do dziś pamiętam, jak bardzo smakowały Bronkowi Ramikowi placki ziemiaczane, których jego matka nie przyrządzała. Przyjaźniłem się także z Wiesławem Starzykiem, wychowującym się u dziadka kowala oraz z Brunonem Ryglem z rodziny górniczej mieszkającej w naszym sąsiedztwie (ten ostatni zapisał się po wojnie jako wybitny działacz kulturalny na niwie śpiewactwa i muzyki na Zaolziu oraz jako nauczyciel akademicki w Filii UŚ w Cieszynie).

W czwartej klasie nasz katecheta ksiądz Cieślar wybrał mnie na ministranta. Wielką trudność sprawiło mi nauczenie się na pamięć tzw. ministrantury. Był to dość długi, zupełnie dla mnie niezrozumiały, tekst łaciński (chociaż w nawiasach było polskie tłumaczenie), którym należało odpowiadać księdzu podczas mszy. Było nas ośmiu ministrantów, jednym z nich był także Brunon Rygiel. Na czele grupy stał najstarszy (oberministrant), który wyznaczał nam kolejno „służbę" podczas codziennych mszy, przy pogrzebach i ślubach. Ze strony parafii opiekę nad nami sprawował ksiądz Wałoszek. Tygodniowe msze odbywały się we wczesnych godzinach rannych i były odprawiane w Starym Kościele. Tu też w niedziele miały miejsce czeskie nabożeństwa, polskie bowiem odbywały się w Nowym Kościele (dziś już nie istniejącym) ufundowanym przez rodzinę Larischów. Uczestniczyła ona zawsze w polskim nabożeństwie o godz. 9.00. Gdy Larischowie podjeżdżali samochodami do bocznego wejścia obok zakrystii, ministrantom nie wolno było zaglądać do klatki schodowej, którą hrabiostwo udawało się do własnego oratorium po lewej stronie nad głównym ołtarzem. Tam rodzina Larischów nie była widoczna, ponieważ oddzielało ją od głównej nawy specjalne matowe przeszklenie.

Jako ministrant „miałem zaszczyt" uczestniczyć we mszy w hrabiowskiej kaplicy wybudowanej w parku obok zamku w Solcy. Zdaje się, że była to msza żałobna z okazji jakiejś rodzinnej rocznicy. Do odprawienia tej uroczystości został zaproszony sam prałat Weissman. Przed przyjazdem po nas (prałata i mnie) samochodu zostałem dokładnie poinformowany, jak mam się zachowywać w kaplicy. Chodziło głównie o to, abym się nie oglądał do tyłu (wtedy jeszcze podczas mszy ksiądz i ministranci byli zwróceni w kierunku ołtarza, tyłem do wiernych), a także abym nie patrzył na rodzinę Larischów, gdy ta będzie przystępować do Komunii Św. Tak więc ani w owe niedziele, ani podczas pobytu w Solcy nie udało mi się podpatrzyć żadnego z członków rodziny hrabiowskiej. Po skończonym nabożeństwie prałata zabrano „na pokoje", mnie zaś zaprowadzono do budynku dla służby, gdzie poczęstowano babką drożdżową i kawą. Po jakimś czasie ten sam szofer odwiózł nas z powrotem na parafię.

Z mojego krótkiego (około jednego roku) „ministrowania" zapamiętałem ówczesne pogrzeby. Rozpoczynały się one zawsze w domu zmarłego, skąd kondukt żałobny udawał się, z reguły

z orkiestrą górniczą, najpierw do Starego Kościoła, a następnie na niedaleki cmentarz. W okresie letnich upałów były wypadki, że zwłoki znajdowały się już w daleko zaawansowanym rozkładzie, a mimo to domowe ceremonie pogrzebowe odbywały się przy otwartej trumnie. Choć tego rodzaju sytuacje zdarzały się rzadko, zapamiętałem je jako bardzo nieprzyjemne doznania.

To moje „ministrowanie" miało także poniekąd charakter ekonomiczny, w pewnym bowiem stopniu wpływało na nasz budżet rodzinny. Zdaje się, że to rodzina Larischów ofiarowywała pewną kwotę dla ministrantów do podziału. Zarządzał nią nasz opiekun ks. Wałoszek, który regularnie co miesiąc wypłacał nam naszą "pensję". W tym celu musieliśmy założyć specjalne dzienniczki, do których wpisywał owe sumy wahające się w granicach 30–40 koron, rodzice zaś naszą comiesięczną „wypłatę" przyjmowali do wiadomości przez złożenie w dzienniczku swojego podpisu. Ministranci otrzymywali także nieraz drobne napiwki w granicach 1–5 koron przy okazji pogrzebów i ślubów. Oczywiście, wszystkie te moje „dochody" oddawałem matce, co niejednokrotnie było natychmiast wykorzystywane na zakup najpotrzebniejszych artykułów żywnościowych, głównie kawałka mięsa.

Po przejściu ojca na rentę inwalidzką rozpoczęły się coraz częstsze i coraz bardziej zdecydowane naciski administracji górniczej, by ojciec zwolnił kolonijne mieszkanie. Oznaczało to, że mieliśmy wynająć jakieś prywatne lokum, oczywiście płacąc za nie wysoki czynsz. Nie stać nas było na to i dlatego rodzice próbowali bronić się przed groźbą eksmisji, przedstawiając swoją trudną sytuację. Wszystko to jednak okazało się bezskuteczne. Oto w jesieni 1935 r. górnik nazwiskiem Zahurczok, otrzymał z kopalni przydział na zajmowane przez nas mieszkanie i wprowadził się do niego wraz z żoną i kilkuletnią córką. Na razie ustawił w kuchni kredens i wyrzuciwszy nasze łóżko postawił swoje. Myśmy pozostali w pokoju, zaś piec kuchenny służył obu rodzinom. Nastąpił prawdziwy horror. Rodzice musieli się godzić na tę surrealistyczną sytuację i cierpliwie unikali wszelkich zatargów, które chcieli wzniecać nowi lokatorzy. Z tamtych pełnych napięcia i szarpiących nerwy tygodni utkwiło mi w pamięci jedno z wydarzeń. Rodzice gdzieś wyszli, zaś w domu pozostałem ze starszym bratem Józkiem. Wykorzystali ten moment nowi „lokatorzy" i zaczęli wynosić ze spiżarki nasze skromne zapasy i drobne przedmioty. Chcieli je układać na naszym sto-

le, lecz przeszkodził im w tym brat, kładąc się na nim na całej długości. Wtedy próbowali kłaść nasze rzeczy pod stołem, na co znów ja zareagowałem podobnie jak brat, własnym ciałem osłaniając upatrzone przez nich miejsce. Wtedy „lokator", będąc pijany, wszczął z bratem szamotaninę i zrzucił go ze stołu. Brat posiniaczony i w poszarpanej koszuli musiał wreszcie ustąpić. Także i ja przestraszony owym zajściem uciekłem z domu, bojąc się, by nie spotkało mnie to samo. Nasza spiżarka została opróżniona i siłą zajęta przez nowych „lokatorów". Zajście to ojciec zgłosił na policji. Przybyły stróż prawa orzekł, że nie widzi tu żadnego przestępstwa.

W styczniu 1936 r. otrzymaliśmy przydział mieszkania w tzw. pyndzyjokach w Suchej Górnej. Wybudowało je Towarzystwo Górnicze, zdaje się, że w 1931 r. Były to trzy budynki przeznaczone dla górniczych emerytów i wdów po górnikach. Dwa z nich były dwupiętrowe z 10 mieszkaniami na każdej kondygnacji, zaś środkowy posiadał trzy piętra. W sumie było tu 105 mieszkań jednoizbowych (dwa z tych budynków stoją opustoszałe do dziś). Z przodu owego kompleksu domów był ozdobny ogródek z gazonami i ławeczkami, z tyłu zaś znajdowały się przyporządkowane do poszczególnych mieszkań miniaturowe działki warzywne (w zasadzie tylko na zieloną pietruszkę i szczypiorek) oraz szopki.

Nasze nowe mieszkanie, a właściwie jedna izba, do której wchodziło się bezpośrednio ze wspólnego korytarza, posiadała – tak jak wszystkie pozostałe – niszę przeznaczoną na sypialnię dla dwóch osób. Cała powierzchnia użytkowa wynosiła około 25 m^2. W izbie znajdował się mały piec kuchenny, zaś w ścianach były wbudowane mała spiżarka, szafa i regał. Do dyspozycji mieliśmy także pomieszczenie w piwnicy i na strychu. Było to mieszkanko jak na owe czasy dość wygodne dla samotnych emerytów, ale nie dla 5-osobowej rodziny. Tak więc musieliśmy się jeszcze bardziej niż poprzednio ścieśnić i dalej rozkładać na noc materace na podłodze. Ale były też plusy: w korytarzu był kran z wodą oraz kabiny wc (jedna dla 2 rodzin), w piwnicy zaś była prymitywna pralnia (w niej odbywała się nasza cosobotnia kąpiel w drewnianym korycie). Także dodatnią stroną było to, że czynsz nie był zbyt wygórowany w przeciwieństwie do tego, jaki musielibyśmy płacić za prywatne mieszkanie.

W owych trzech domach mieszkali emerytowani górnicy pochodzący z całego Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego, stąd też

niektórzy lokatorzy byli Czechami przybyłymi tu z Rewiru Ostrawskiego, ale były to wyjątki. Administratorem domów był również Czech o nazwisku Mam/a/. W Suchej Górnej zdecydowanie przeważała ludność polska. Byli to przeważnie górnicy, rzemieślnicy i rolnicy. Nieliczni Czesi i Niemcy pracowali w administracji na kopalni Franciszka i w tzw. dworze (folwark Larischa). Oczywiście w czeskiej szkole nauczali czescy nauczyciele, którzy przybyli tu spoza Śląska Cieszyńskiego.

Życie kulturalne tej miejscowości nie różniło się niczym od karwińskiego czy jakiejkolwiek innej zaolziańskiej miejscowości z przewagą etnicznie polskiej ludności. Działały tu takie same polskie organizacje, które w Domu Robotniczym urządzały przedstawienia, występy chórów, bale itp., zaś na boisku Lechii festyny, pokazy gimnastyczne, mecze. Duży udział w tych imprezach miały polskie szkoły: ludowa i wydziałowa. Wszystkie te imprezy cieszyły się wielkim powodzeniem, o czym świadczyła zawsze duża frekwencja uczestników. W ten sposób organizatorzy osiągali pewien dochód, tak potrzebny w tamtych warunkach na różne cele kulturalne czy – w wypadku szkół – charytatywne (np. organizowanie tzw. gwiazdki).

W związku z przeprowadzką ja i moi bracia musieliśmy również przenieść się do górnosuskich szkół: Józek z karwińskiej wydziałówki w Solcy do II klasy Polskiej Jubileuszowej Szkoły Wydziałowej, ja do V klasy Polskiej Szkoły Ludowej, Mietek zaś do klasy IV tej samej szkoły. W ten sposób znaleźliśmy się w nowym środowisku rówieśniczym, lecz szybko zdążyliśmy się w nim zaaklimatyzować. Wychowawcą mojej V klasy był Józef Palowski. W następnym roku szkolnym rozpocząłem naukę w suskiej wydziałówce. Nauczali tu tacy nauczyciele, jak dyrektor Leon Molenda (rysunek i kaligrafia), Józef Siwek (język polski, historia, geografia), Henryk Mokrosz (matematyka, stenografia), Jan Baron (biologia, gimnastyka), Alojzy Sznapka (język niemiecki), Karol Poncza, Engelbert Zajic, Fierla, zaś w 1938 r. (po zajęciu przez Polskę Zaolzia) także Józef Mierzwa, Stanisław Kica, Romuald Godula i Władysław Smołucha (śpiew, chór). Wszystkim tym nauczycielom zawdzięczam wiele, dlatego też do dziś zachowuję o nich wdzięczną pamięć. Cenną dla mnie pamiątką jest zdjęcie grobu śp. Stanisława Kicy, jakie zrobiłem po długim poszukiwaniu na polskim cmentarzu wojskowym pod Monte Cassino.

c.d.n.

GUZIUROWIE

29 lutego bieżącego roku minęła druga rocznica śmierci Oswalda Guziura, którego artykuły pojawiały się często na łamach Zwrotu. Współautor książki „Lido i stragan – Ślązacy w wywiadzie AK" był osobą dobrze znaną i poważaną na Zaolziu. Nie był z wykształcenia historykiem, lecz inżynierem elektrykiem. Jednak dzięki pasji odkłamywania historii, szczególnie w zakresie ruchu oporu na Zaolziu i stosunków polsko-czeskich, stał się Oswald Guziur historykiem i publicystą. Często przyjeżdżał z Katowic, gdzie mieszkał, do Czeskiego Cieszyna i prowadził długie rozmowy z rodakami, przeplatane wspomnieniami rodzinnymi z Suchej Górnej.

I tak powstał pomysł sagi rodu Guziurów, którą chcielibyśmy rozpocząć nowy cykl publikacji na łamach Zwrotu – opowieści o zaolziańskich rodach. Prosimy naszych Czytelników o uzupełnienie losów rodu Guziurów i historię własnych rodów.

W październiku 1975 roku w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie odbył się Zjazd Rodziny Guziurów, potomków Alojzego Guziura z Cierlicka. Przybyło ich 237 z obu stron granicznej Olzy. Główny organizator zjazdu, Emanuel Guziur, opracował z tej okazji drzewo genealogiczne rodu, które obejmowało blisko 600 pozycji.

Alojzy Guziur urodził się w roku 1831. Był cieślą w Cierlicku. Z młodszą od siebie o rok małżonką Józefą miał 11 synów. Zmarł w roku 1890, kiedy najstarszy syn Franciszek miał lat 37, a najmłodszy Izydor 13. Na fotografii (obok), wykonanej w roku 1896 zostali uwiecznieni wszyscy synowie z matką. I tak w pierwszym rzędzie siedzą od lewej: Jan, Piotr, Sylwester, matka Józefa Guziur, Franciszek, Józef i Karol. Powyżej stoją od lewej: Alojzy, Ignacy, Adolf, Izydor, Paweł. Wieść rodzinna niesie, że Józefa Guziur jechała z Cierlicka do Wiednia, gdzie z rąk najjaśniejszego cesarza Franciszka Józefa otrzymała medal za urodzenie i wychowanie jedenastu synów.

Nie było lekko rodzicom wychować taką gromadę dzieci, ale dołożyli wszelkich starań, aby każde z nich otrzymało dobry start do samodzielnego życia. Toteż wszyscy ukończyli jedyną wówczas dwuletnią szkołę i wyuczyli się konkretnego zawodu. Najstarszy Franciszek (1853 – 1908) zamieszkał w Cieszynie, gdzie był mistrzem cechu szewców. Sylwester (1855 – 1917) był rzeźnikiem, Józef (1857 – 1923)

Najstarsza dochowana fotografia rodu Guziurów

stolarzem w Cierlicku. Piotr (1860 - 1938) był z zawodu rzeźnikiem, ale w Cierlicku prowadził gospodę i sklep. Karol (1862 - 1942), choć wyuczył się na szewca, swoją rodzinę, a miał sześciu synów i siedem córek, utrzymywał z murarstwa. Jan (1864 -1923), wyuczony na rzeźnika, był wielce zasłużonym, światłym obywatelem Dąbrowy, gdzie mieszkał. Gdy został burmistrzem, w Dąbrowie powstała polska szkoła sztygarów górniczych. Alojzy (1868 - 1915) był kowalem w Suchej Górnej, a młodszy Ignacy (1870 - 1932), po fachu - jak większość braci - rzeźnikiem, był w tejże miejscowości właścicielem gospody. Adolf (1873 - 1947), osiadły również w Suchej Górnej rzeźnik, w latach 1931 - 1936 był tutejszym burmistrzem i inicjatorem budowy Polskiej Jubileuszowej Szkoły Wydziałowej (w roku ubiegłym polska szkoła w Suchej Górnej obchodziła jubileusz 70-lecia). Syn Paweł (1875 - 1962) był szewcem, a najmłodszy Izydor (1877 - 1966), choć wyuczony na rzeźnika, był rolnikiem.

Warto zatrzymać się dłużej przy osobie dziewiątego z kolei syna Alojzego, wspomnianego już burmistrza Suchej Górnej, Adolfa Guziura. W roku 1903 zbudował on tu dom rodzinny, w którym zamieszkał. Wówczas był to najokazalszy z prywatnych budynek piętrowy z zapleczem na warsztat rzeźniczy i lodownię z rzecznym lodem, służącą do przechowywania mięsa i wędlin. Część pierwszego piętra

Agnieszka i Adolf Guziurowie (1915), dzieci: Olga (z lewej), Leonard (w środku), Anna (z prawej), Zyta (w rękach matki), Oswald (koło ojca)

Adolf Guziur (z szarją) prowadzi pochód cechu rzeźników (1933)

przeznaczył Adolf Guziur na sklep spożywczy, który umożliwił mu szybsze spłacenie kredytów zaciągniętych na budowę domu. W tym czasie był już mocno zaagażowany w sprawy społeczne. W roku 1908 zlikwidował sklep spożywczy, a całe pierwsze piętro budynku przeznaczył dla lekarza. Sprowadził do Suchej Górnej pierwszego lekarza dr. Vavřinca Glazera. Rodzina Guziurów przeniosła się do zakupionego obok domu. Dr Glazer był jednym z pierwszych świadków katastrofy lotniczej w Cierlicku 11 września 1932 roku naszych polskich sportowców, lotników Żwirki i Wigury. Dom Adolfa Guziura w Suchej stoi do dziś, z lewej strony przed wejściem do sklepu rzeźniczego po II wojnie światowej umieszczono tablicę upamiętniającą 31-letni pobyt w Suchej Górnej dr. Vavřinca Glazera - dobrego człowieka, służącego ludziom. Dr Glazer zmarł 5 lipca 1942, wdowa po nim przesłała Agnieszce Guziurowej nekrolog męża, z dopiskiem o ich wdzięcznej pamięci dla właścicieli domu w Suchej. Adolf i Agnieszka (1877 - 1962) Guziurowie mieli pięcioro dzieci: dwóch synów Leonarda (1903 - 1990) i Oswalda (1910 - 1996), od którego tę opowieść zaczęliśmy, i trzy córki Olgę (1905 - 1985) - była żoną dr. Józefa Mazurka, lekarza, który pozostawił niezwykłe dzieło, 23-tomowy zapis okupacyjnej martyrologii Ziemi Cieszyńskiej, Annę (1906 - 1984) i najmłodszą Zytę (1915 - 1973). Leonard i Oswald studiowali na politechnice we Lwowie. Leonard założył tam Stowarzyszenie Studentów ze Śląska Cieszyńskiego „Znicz".

Różnie potoczyły się losy potomków Alojzego Guziura, ale mimo zawieruchy wojennej w większości pozostali lub po latach wracali na ojczystą cieszyńską ziemię. Tylko jeden z synów najstarszego z braci - Franciszka zaginął w dalekiej Ameryce Południowej. Dzieci jedenastu braci, tak jak i oni sami w przeszłości od swoich rodziców, otrzymali staranne wykształcenie. Pierwszym Guziurem, który uzyskał wykształcenie wyższe, był syn Piotra - Józef (1893 - 1973). W 1916 ukończył Akademię Górniczą w Loeben koło Wiednia. Po podziale Śląska Cieszyńskiego wyjechał do Lwowa, ale utrzymywał kontakty z Zaolziem. W 1935 r. osiadł w Wiśle, gdzie zakupił willę Bogdan, znaną później jako Beskid, najwytworniejszy pensjonat w wiślańskim uzdrowisku. Podczas wojny willa stanowiła miejsce schronienia i przerzutu licznych uciekinierów z Zaolzia.

Organizator zjazdu rodzinnego Emanuel Guziur (1906 - 1989), syn Pawła, nauczyciel i działacz kulturalno-oświatowy, ukończył studia muzyczne w katowickim konserwatorium. W 1935 roku stanął na czele chórów polskich w Czechosłowacji, zorganizował wyjazd na Zlot Śpiewactwa Polskiego w Warszawie, zdobywając I miejsce. Z kolei jego syn Janusz Guziur jest prof. dr. hab. w zakresie ichtiologii w Akademii Rolniczej w Olsztynie i działaczem Koła Macierzy Ziemi Cieszyńskiej w Olsztynie, autorem wielu artykułów publikowanych na łamach Zwrotu i Głosu Ziemi Cieszyńskiej.

Córka Olgi Guziurowej (najstarszej córki Adolfa) jest ordynatorem Oddziału Rehabilitacji szpitala w Czeskim Cieszynie, niezwykle cenionym specjalistą z zakresu schorzeń układu kostnego.

Można by jeszcze długo snuć opowieść o rodzie Guziurów, osiągnięciach zawodowych, naukowych i społecznych poszczególnych jego przedstawicieli. Liczymy na to, że odezwą się kolejne pokolenia protoplasty rodu Alojzego Guziura, cieśli z Cierlicka.

Po kilkakroć wspominanym już tu Zjeździe Rodziny Guziurów w październiku 1975 roku w tygodniku Panorama ukazała się obszerna relacja z jego przebiegu. Autor Jacek Cieszewski napisał: *Niejedni tutaj spotkali się dopiero po trzydziestu i więcej latach, niejedni nie widzieli się nigdy na oczy. „Tyś chyba od Karola" - zagadnął Oswald Guziur człowieka w sile wieku, bo patrząc na niego, dostrzegł w rysach i postawie coś znajomego, sylwetkę zapamiętaną przed 40 laty. „Ano, ano, jestem jego synem". I padali sobie wszyscy w objęcia, tylko pierwsze kilkanaście minut czuli się jakby nieco skrępowani tą chmarą nie zawsze znajomych krewnych, a potem cieszyli się i zaraz mówili do siebie przez ty.*

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

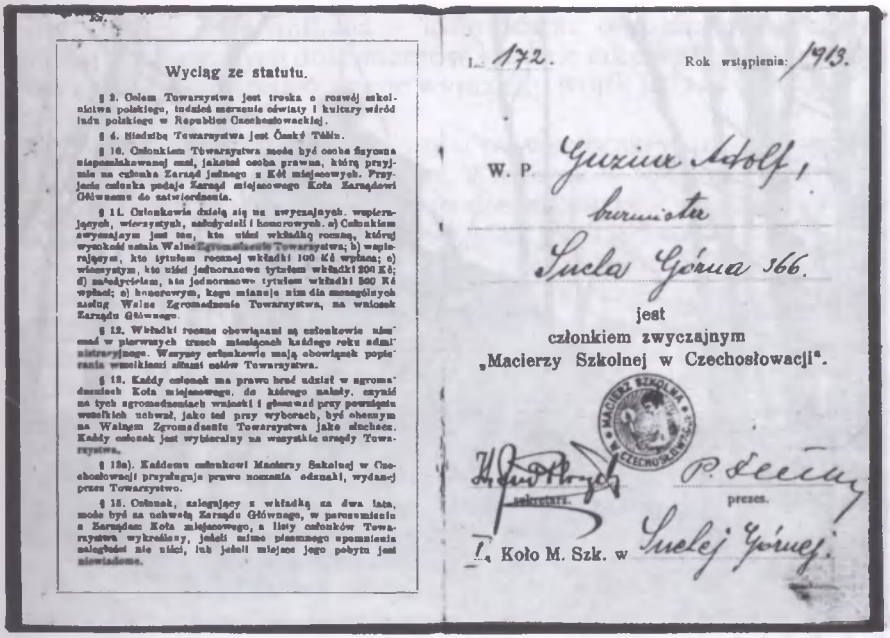

Wyciąg ze statutu.

§ 3. Celem Towarzystwa jest troska o rozwój szkolnictwa polskiego, tudzież szerzenie oświaty i kultury wśród ludu polskiego w Republice Czechosłowackiej.

§ 6. Siedzibą Towarzystwa jest Česká Třebová.

§ 10. Członkiem Towarzystwa może być osoba fizyczna niepomiskawanej woli, jakoteż osoba prawna, którą przyjmuje na członka Zarząd jednego z Kół miejscowych. Przyjęcie członka podaje Zarząd miejscowego Koła Zarządowi Głównemu do zatwierdzenia.

§ 11. Członkowie dzielą się na zwyczajnych, wspierających, wierzytnych, nabydycieli i honorowych. a) Członkiem zwyczajnym jest ten, kto uiści wkładkę roczną, której wysokość ustala Walne Zgromadzenie Towarzystwa; b) wspierającym, kto tytułem rocznej wkładki 100 Kč wpłaca; c) wierzytnym, kto uiści jednorazowo tytułem wkładki 200 Kč; d) nabydycielem, kto jednorazowo tytułem wkładki 500 Kč wpłaci; e) honorowym, kogo mianuje nim dla szczególnych zasług Walne Zgromadzenie Towarzystwa, na wniosek Zarządu Głównego.

§ 12. Wkładki roczne obowiązani są członkowie uiszczać w pierwszych trzech miesiącach każdego roku administracyjnego. Wszyscy członkowie mają obowiązek popierania wszelkimi siłami celów Towarzystwa.

§ 13. Każdy członek ma prawo brać udział w zgromadzeniach Koła miejscowego, do którego należy, czynić na tych zgromadzeniach wnioski i głosować przy powzięciu wszelkich uchwał, jako też przy wyborach, być obecnym na Walnym Zgromadzeniu Towarzystwa jako słuchacz. Każdy członek jest wybieralny na wszystkie urzędy Towarzystwa.

§ 13a). Każdemu członkowi Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji przysługuje prawo noszenia odznaki, wydanej przez Towarzystwo.

§ 15. Członek, zalegający z wkładką za dwa lata, może być na uchwałą Zarządu Głównego, w porozumieniu z Zarządem Koła miejscowego, a listy członków Towarzystwa wykreślony, jeżeli mimo pisemnego upomnienia zaległości nie uiści, lub jeżeli miejsce jego pobytu jest niewiadome.

L. 172. Rok wstąpienia: 1913.

W. P. Guzium Adolf,

burmistrz

Suchá Górna 566.

jest

członkiem zwyczajnym

„Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji".

MACIERZ SZKOLNA W CZECHOSŁOWACJI

sekretarz. prezes.

L. Koło M. Szk. w Suchej Górnej.

Legitymacja „Macierzy Szkolnej" z r. 1913

Dom Adolfa Guziura w Suchej Górnej

Drewniany kościołek w Gutach *fot. FRANCISZEK BAŁON*

WYCIECZKA SZLAKIEM DREWNIANYCH KOŚCIÓŁKÓW ZAOLZIA

Aż 120 zapaleńców zebrało się w Czeskim Cieszynie, by wziąć udział w wycieczce, zorganizowanej pod koniec grudnia ub. r. przez Klub Propozycji MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum. Władysław Kristen i jego współpracownicy postanowili reaktywować piękną tradycję wycieczek „Z kolędą i opłatkiem szlakiem drewnianych kościółków Zaolzia". Państwo Gawłowscy z Kończyc Wielkich postarali się o smaczny posiłek.

W radosnym i optymistycznym nastroju wyruszono w stronę uroczych Beskidów, gdzie w Nydku na Stokach Czantorii wznosi się piękny drewniany kościółek Św. Mikołaja z roku 1576. Spontanicznie zabrzmiała pieśń o śpiących rycerzach „Tam, gdzie Czantoria się wznosi". Z ust gospodarzy wysłuchano ciekawej historii kościoła. Został on zbudowany z inicjatywy ówczesnego wójta nydeckiego Walentego Rykały i jego brata Tomasza, by mieszkańcy chcący brać udział w nabożeństwie nie musieli pokonywać długiej i uciążliwej drogi do Wędryni. W czasie reformacji kościół przez długie lata dzierżawili protestanci. Dzwony kościelne miały za zadanie - w myśl pa-

tentu cesarza Maksymiliana – informować o najeździe tureckim. Według dochowanych dokumentów stało się tak dwukrotnie: w roku 1584 oraz w roku 1683 w czasie wymarszu wojsk Jana III Sobieskiego na Wiedeń.

W Bystrzycy powitali uczestników wycieczki pani starosta H. Konderlowa i prezes MK PZKO A. Wicherek w towarzystwie członków zespołu Bystrzyca. Zwiedzono drewniany kościółek Podwyższenia Krzyża Świętego, zbudowany w 1587 lub 1595 roku.

Z gościnnym przyjęciem spotkano się też w Domu PZKO w Gutach. Miejscowi działacze z państwem Ruckimi na czele przygotowali dla wycieczkowiczów mały relaks. Wysłuchano wierszy okolicznościowych, piosenek i zagadek, po czym wyruszono do najpiękniejszego chyba drewnianego kościółka na Zaolziu. Zbudowany został w roku 1563, poświęcony Przenajświętszemu Sakramentowi. Został bogato wyposażony w sprzęty sakralne i obrazy. Ze wszystkich kościołów drewnianych ten najbardziej zachował swój pierwotny charakter. U progu kościoła gości powitał chór Godulan z dyrygentem Wł. Cieślarem. Trzej Królowie wprowadzili nastrój, który wywołał wspomnienia bielskiego senatora RP Marcina Tyrny.

Pożegnano Beskidy, by udać się do Olbrachcic. Tam serdecznie powitali uczestników wycieczki państwo Czapowie. Prawdziwą ucztą duchową był program przygotowany przez panią Jadwigę. Zwiedzono też miejscowy kościół. Kościółek drewniany Św. Piotra i Pawła zbudowany został jeszcze w okresie przed reformacją. Był jeszcze piękniejszy niż obecnie. Niestety ustawiczne powodzie Stonawki doprowadziły go w końcu do ruiny. W roku 1766 stanął na jego miejscu nowy kościół. Nękany przez powodzie, trafiony przez piorun w 1910 roku przetrwał jednak do czasów dzisiejszych. Obok niego wybudowali parafianie kościół murowany, który w roku 1935 został poświęcony również św. Piotrowi i Pawłowi.

Ostatnim etapem podróży był drewniany kościółek Wniebowstąpienia Pańskiego w Marklowicach. Według najstarszych źródeł historycznych kościół w Marklowicach istniał już w 1360 roku, w roku 1447 stał się kościołem parafialnym. Przetrwał różne koleje losu, po przebudowie w roku 1739 służy wiernym do dziś. Finałem wycieczki była uroczysta Msza Św. w marklowickim kościele.

Pierwsze wojaże szlakiem kościołów drewnianych przeszły do historii. Dzięki ofiarnym organizatorom (W. Kristenowi, J. Szymikowi, p. Grzybkom) reaktywowana została piękna akcja, która ponownie może stać się tradycją Zaolzia. Chętnych do udziału na pewno nie zabraknie. Wszystkim organizatorom należą się słowa podziękowania i uznania.

JÓZEF KULA

WSPÓŁPRACA NAUCZYCIELA Z RODZICAMI

Od chwili urodzenia człowiek wchodzi w kontakt z najbliższym otoczeniem, którego oddziaływania nadają kierunek jego rozwojowi. Niektóre z tych oddziaływań mają charakter niezamierzony, można wówczas mówić o wychowaniu niezamierzonym. Inne natomiast zmierzają do uzyskania określonych rezultatów wychowawczych – mamy wówczas do czynienia z wychowaniem zamierzonym.

Wychowanie niezamierzone dokonuje się poprzez nabywanie norm zachowania i postępowania w sposób przypadkowy. Np. matka wpaja dziecku, że nie należy kłamać. Sama jednak nie zawsze przestrzega tej zasady i dziecko jest świadkiem tego. W ten sposób matka nieświadomie pokazuje, że w niektórych sytuacjach kłamstwo jest dopuszczalne.

Wychowanie zamierzone to świadome i zaplanowane zabiegi wychowawcze ze strony nauczycieli i rodziców, zmierzające do uzyskania pożądanych cech u dziecka.

Wychowanie zamierzone może być utrudnione, jeżeli dwie strony, w tym wypadku dom i szkoła, w swym postępowaniu kierują się różnymi zasadami i stawiają dziecku różne wymagania. Aby do tego nie doszło, niezbędne jest wzajemne poznanie się obu środowisk w celu ujednolicenia oddziaływań wychowawczych. O tym, jak ważna jest współpraca nauczyciela z rodzicami, świadczy również to, że rodzice znają dotychczasowy rozwój dziecka, natomiast nauczyciele dysponują wiedzą pedagogiczną i psychologiczną. Każde ze środowisk ma własną rolę do spełnienia z uwagi na to, że stosunki między dzieckiem a otoczeniem są w każdym z nich zupełnie inne: bardziej zindywidualizowane i bardziej emocjonalne w domu, bardziej zbiorowe i bardziej zintelektualizowane w szkole.

Jednym z celów współpracy nauczyciela z rodzicami jest doskonalenie działalności wychowawczej. Cel ten powinien być realizowany jak w stosunku do uczniów sprawiających kłopoty, tak do uczniów zdolnych. Nie sposób bowiem zaręczyć, że kiedyś w przyszłości brak współdziałania nie da znać o sobie i to zarówno w nauce, jak i w zachowaniu. Niemniej jednak współdziałanie nauczycieli i rodziców odnoszące się do uczniów aspołecznych nabiera szczególnego znaczenia i wymaga dużego zaangażowania się obu stron.

Ważnym celem współpracy jest również poznawanie uczniów: w szkole przez nauczycieli, w domu przez rodziców. Warto zaznaczyć, iż uczniowie inaczej zachowują się, będąc na lekcji, w szkole, a inaczej wobec rodziców czy rodzeństwa. Ponadto istnieje zależność między sposobem postępowania rodziców, nauczycieli, a niewłaściwymi zachowaniami dzieci. Czasami rodzice brak sukcesu swoich dzieci przypisują nauczycielowi, ten z kolei obwinia środowisko rodzinne. Wzajemna wymiana in-

formacji w tym zakresie pozwoli stworzyć pełniejszy obraz jednostki i na podstawie spostrzeżeń wysuwanych przez zainteresowane dobrem dziecka strony można będzie ustalić zakres jego potrzeb. Obustronne informowanie się może także uchronić przed popełnieniem niepożądanych błędów wychowawczych.

Celem współpracy powinno być także poznanie się wzajemne i zrozumienie nauczycieli i rodziców. Sprzyjają temu częste spotkania opierające się na wzajemnym zaufaniu. Jeżeli między nauczycielem i rodzicami wystąpi element przyjaźni, będzie można liczyć na pełne zaangażowanie się obu środowisk w procesie współdziałania.

Kolejnym celem współpracy nauczyciela z rodzicami będzie zachęcenie rodziców do pracy na rzecz ogółu uczniów. Mieści się w tym pomoc w przygotowywaniu wszelkiego typu imprez na terenie szkoły i poza nią, udostępnienie zakładów pracy w celu zapoznania uczniów z ich funkcjonowaniem itp.

Poza wymienionymi ogólnymi celami współpracy istnieją jeszcze cele szczegółowe, np. pokazanie rodzicom, że pozytywny rozwój dziecka uzależniony jest od wspólnych działań domu i szkoły, kształtowanie łączności emocjonalnej między rodzicami i nauczycielem, wzajemne informowanie się odnośnie rozwoju dziecka, demonstrowanie rodzicom sposobów oddziaływania, przez które mogliby pomagać dzieciom w nauce i zachowaniu.

ELŻBIETA BARON

fot. FRANCISZEK BAŁON

ZJAZD GWIAŹDZISTY

Działalność pozalekcyjna, dzięki aktywności nauczycieli, i co za tym idzie – uczniów, jak również rodziców – jest nadal w polskich szkołach na naszym terenie znacznie większa od przeciętnej w kraju. Śląskie tradycje dbałości o wszechstronne wychowanie młodego człowieka, także w zakresie kultury fizycznej, owocują dziś w postaci wszelkiego rodzaju imprez sportowych.

Zjazd Gwiaździsty, który po raz pierwszy odbył się przed trzydziestu laty, tylko z powodu kilku bezśnieżnych zim nie obchodził w tym roku jubileuszu 30–lecia swego istnienia. W tym roku odbył się po raz 27. Z każdym rokiem wzrasta ilość zainteresowanych tą okazałą zimową imprezą sportową. W tegorocznej wzięło udział 480 zawodników, uczniów wszystkich polskich szkół od Bogumina po Mosty. Zgłoszonych było ponad 500..! Tradycyjnym miejscem Zjazdu Gwiaździstego są Mosty koło Jabłonkowa. Niestety w tym roku ponownie Zjazd Gwiaździsty, ze względu na niepewne warunki śniegowe, zorganizowano na Bagińcu. Jego przygotowanie tym razem przypadło w udziale II PSP w Trzyńcu–Tarasie. Zadanie to utrudniał dojazd do tras. Były co nieco trudności z autobusami. Jednak organizatorzy pod wszystkimi względami spisali się bardzo dobrze. Obok imponu-

jącej liczby zawodników na Baginiec licznie przybyli widzowie, a spośród nich niektórzy brali udział w zjeździe już po raz 27. Toteż można tu było spotkać byłych zawodników, dziś w nowej roli ojców i opiekunów uczniów startujących w zawodach.

Organizatorzy zjazdu należycie zadbali o przygotowanie tras slalomowych i biegowych i ich obsługę, a także o żołądki zawodników i widzów. Obok ośrodka Huty Trzynieckiej można było zjeść smaczne dania w byłej polskiej szkole na Bagińcu, gdzie obecnie znajduje się ośrodek ZG Macierzy Szkolnej.

Zjazd Gwiaździsty niewiele różni się od olimpiady zimowej. Długoletnia tradycja i zmieniające się co roku szkoły, przygotowujące kolejne Zjazdy, spowodowały, że w ramach zdrowej konkurencji powstają nowe pomysły, uatrakcyjniające zawody. Jest więc obok tradycyjnego znicza olimpijskiego, medali, dyplomów i nagród rzeczowych dla zwycięzców – profesjonalne sędziowanie, komputerowe podliczanie wyników. A to wszystko dzięki sponsorom. Głównym – w tegorocznych zawodach była firma WALMARK.

W związku ze Zjazdami Gwiaździstymi od dawna rozważany jest problem wyrównania szans uczestników ze szkół powiatu karwińskiego w stosunku do tych z terenów podgóskich, co to „na nartach się już urodzili". Potwierdzają to również tegoroczne wyniki. Drużynowo, w punktacji ogólnej, kolejne miejsca, od pierwszego do trzeciego zajęły następujące szkoły: PSP w By-

strzycy (571,5 punktu), PSP w Mostach koło Jabłonkowa (463,5 punktu), PSP Jabłonków (338 punktów). Na kolejnych miejscach, po szóste włącznie, znalazły się I i II PSP z Trzyńca oraz PSP z Czeskiego Cieszyna.

W końcu jednak nie wyniki są najważniejsze, lecz uczestnictwo. O znaczeniu imprezy świadczą również liczni goście oficjalni, jacy byli tu w przeciągu lat obecni. Wielu z nich podziwiało nas. Pamiętam zdania gości z Polski, którzy nie wierzyli – ... *taka garstka ludzi dysponująca tak skromnymi środkami nie mogła przecież przygotować tak olbrzymiej imprezy...* Byli ongiś goście z czeskich i słowackich szkół i ... zazdrościli nam.

Zjazdy Gwiaździste są jedną z inicjatyw w stronę naszej przyszłej generacji. Nie byłoby ich bez mrówczej pracy naszych pedagogów, bez bezinteresownego zaangażowania rodziców, Macierzy Szkolnej, PZKO, Beskidu Śląskiego i wielu innych polskich organizacji, działających w Republice Czeskiej.

Za udane tegoroczne zawody należą się gorące podziękowania wszystkim zaangażowanym, przede wszystkim zaś nauczycielom i rodzicom z II PSP w Trzyńcu–Tarasie i kierującemu całością dyrektorowi Romanowi Wróblowi. Szczególne podziękowania należy skierować w stronę głównego arbitra zjazdów, od lat związanego z imprezą, sędziego klasy międzynarodowej Karola Klusa.

F.B.

fot. FRANCISZEK BALON

JÓZEF ONDRUSZ URODZIŁ SIĘ 18 MARCA 1918 ROKU

Rok 1959. Nauczyciel Józef Ondrusz w klasie

Wiosną 1996 wybierał się do Wielkiej Brytanii, by odwiedzić córkę i wnuka. Żartował, że musi dożyć roku dwutysięcznego, bo paszport ma ważny aż do następnego stulecia. Stało się inaczej. Kiedy córka towarzyszyła mu w drodze powrotnej do domu, nie myślała, że jedzie jednocześnie na pogrzeb swego ojca. Józef Ondrusz zmarł nagle 27 maja 1996 roku, miejsce swego ostatniego spoczynku znalazł obok żony na stonawskim cmentarzu.

A wydawało mu się, że ma jeszcze tyle spraw do załatwienia. Dom w Darkowie, który mieścił jego imponujący księgozbiór oraz wyniki jego pasji kolekcjonerskich, w tym między innymi zbiór około 10 tysięcy ekslibrisów, miał w niedługim czasie opustoszeć, gdyż z powodu szkód górniczych przebywanie w nim stawało się niebezpieczne. Józef Ondrusz po śmierci żony został sam ze swoimi problemami, bezradny, zastanawiał się, dokąd oddać swoje zbiory, nim przeniesie się do mieszkania w bloku osiedlowym.

Nie doczekał też nowego wydania - pierwsze ukazało się w Warszawie w 1984 roku - swych podań, baśni i opowieści cieszyńskich, które nazwane zostały „Cudowny chleb i inne godki śląskie", a ujrzały światło dzienne dzięki staraniom Towarzystwa Nauczycieli Polskich i mnóstwa zaangażowanych w tę sprawę osób tuż po jego śmierci.

Józef Ondrusz urodził się 18 marca 1918 roku w Darkowie. Ukończył szkołę ludową w Darkowie i szkołę wydziałową we Frysztacie. W roku 1933 rozpoczął naukę w polskich paralelkach przy Seminarium Nauczycielskim w Ostrawie. Po czterech latach nauki został nauczycielem.

Z domu rodzinnego wyniósł głęboki patriotyzm oraz zainteresowanie folklorem. Pogłębienie tego zainteresowania nastąpiło, paradoksalnie, w okresie okupacji hitlerowskiej. Poszukiwany przez gestapo przez całą wojnę ukrywał się. Najpierw przez kilka miesięcy w Zebrzydowicach, a następnie aż do końca wojny w domu rodzinnym w Darkowie, gdzie miał urządzoną specjalną kryjówkę. Zmuszony do przebywania w zamknięciu poświęcił się studiowaniu folkloru śląskiego. Spisywał gwarowe przysłowia i powiedzenia ludowe, notował zasłyszane w dzieciństwie opowieści.

Po wojnie wrócił do zawodu nauczyciela. Pracował w polskich szkołach w Trzanowicach, Pogwizdowie, Frysztacie i Darkowie. W roku 1969 został kierownikiem działu szkół polskich pierwszego stopnia w Okręgowym Ośrodku Pedagogicznym w Ostrawie.

Józef Ondrusz był autorem lub współautorem szesnastu podręczników dla polskich szkół podstawowych. Dwukrotnie - w latach 1950-1958 oraz 1970-1973 - był redaktorem naczelnym Jutrzenki. Publikował na łamach wszystkich polskich pism ukazujących się na Zaolziu.

Jednak największą jego zasługą jest popularyzacja rodzimego folkloru. Rozpoczęte w czasie wojny zapiski rozszerzył o inne dostępne materiały paremiograficzne i w roku 1954 wydał staraniem SLA przy PZKO w formie książkowej jako „Przysłowia i powiedzenia ludowe ze Śląska Cieszyńskiego". Wzbogacone do 8566 pozycji i uzupełnione słownikiem ukazały się w roku 1960 we Wrocławiu pod nazwą „Przysłowia i przymówiska ludowe ze Śląska Cieszyńskiego". W roku 1956 ukazały się też, wznawiane później kilkakrotnie, "Godki śląskie" a w roku 1963 „Śląskie opowieści ludowe".

W roku 1972 za pracę naukową „Proza ludowa Śląska Cieszyńskiego 1845-1970" otrzymał tytuł doktora nauk humanistycznych. Inne jego publikacje to „Proza ludowa górników karwińskich", „Wspominki okupacyjne", „O ptaszku Złotodzióbku i inne bajki", był też współautorem „Słownika pijackiego".

C.R.

W roku 1996 odbył się w Stonawie Złaz Zuchowy pod hasłem „Szlakiem Godek Śląskich Józefa Ondrusza". Na fot. zuchy nad grobem Józefa Ondrusza

GABRIEL PALOWSKI

POECI

wydaje nam się
że przelewamy słowa
jak płomień
z ust do ust

wydaje nam się
że niesiemy pół świata
i niebo całe
na swoich barkach

wydaje nam się
że jesteśmy mądrzy
bo widzieliśmy
za dużo świństw

a stoimy w zawierusze gwiazd
jak martwe wyręby widzeń
przykuci do pustej drogi
wiodącej do mamideł fantazji

CZY WARTO...

Czas wyrównał
kopczyki mogił
wybielił pamięć
o tych
którym warto było żyć
by zginąć
warto było żyć
by żyć

Czy warto
urodzonym po wojnie
posłuchać dziś
o rzeczach
tak dziwnych
które jednak
zdarzyły się
naprawdę...

TUŁACZY LOS

Od lat już szukam
w pustyni życia
swojej szczęśliwej oazy
a wciąż tylko jestem
nieporadnym tułaczem

Teraz już stukam
białą laseczką
i jak kulawy kuśtykam
ale wciąż wierzę
że swoją oazę zobaczę

Błądzę i też się boję
zjawisk niepojętych
NIEZNANYCH
i wciąż uciekam
jak od bólu pieszczot
niechcianych

Żyję w takim oszołomieniu
jakbym połknął
trujący szalej
a moje namioty
znów zostały zwinięte
więc muszę kuśtykać dalej

MOJA GENERACJA

Biczem historii
ujarzmieni
i okiełzani
jak więzione konie
podglądamy życie
jak złodzieje
którym
odcięto dłonie

Jeszcze trwamy
jak zdeptane
sumienie
jeszcze iskra w nas płonie
a nie chcemy odchodzić
umęczeni
jak śląski Chrystus
w cierniowej koronie...

Wiersze pochodzą ze zbiorku „ZAKOLA pamięci"

JÓZEF ONDRUSZ

NIEZWYKŁY GOŚĆ

Był grudzień 1655 roku. Zima wtedy hojnie szafowała śniegiem i mrozami. Niskie, drewniane chałupki jak gdyby jeszcze bardziej garbiły się do ziemi, a śnieg przykrywał je coraz grubszą puchową pierzyną. Na świecie marzło, aż szyndzioły strzelały.

Drogą biegnącą do Cieszyna poprzez Bystrzycę w kierunku Jabłonkowa i dalej aż gdzieś daleko do krajów madziarskich rzadko kto przejeżdżał. Turkot ciężkich wozów kupieckich ustał tutaj jesienią, bo kupcy woleli zimować w domowych pieleszach i nie narażać koni i ludzi na przykre niespodzianki srogiej zimy.

Pewnego dnia pod wieczór zaśnieżoną drogą od Wędryni w kierunku Gródku jechał na koniu jakiś człowiek. Zamieć śnieżna szczęściem ustała zaraz po południu, śnieg przestał sypać, toteż jeździec jako tako mógł się orientować w okolicy, bez obawy zgubienia drogi. Koń brodził w puszystym śniegu, który grubą warstwą pokrywał drogę i okoliczne pola. Zmierzch coraz bardziej gęstniejący otulał świat.

Kiedy jeździec dobrnął do niegłębokiej rzeczki Głuchowej, podjechał do stojącej opodal chałupki, zeskoczył z konia i zastukał do drzwi.

Stary Turoń – bo Turoniowie mieszkali w owej chałupce nad Głuchową – odsunął drewniany skobel i wyjrzał na pole. Ciepło nagromadzone w izbie i sieni buchnęło na mróz obłokiem białej mgły.

– Dobry wieczór – rzekł przyjezdny trzymając konia za uzdę.

– Dobry wieczór! – odparł Turoń i zaraz spytał. – Co was, panie, prowadzi tak późno do naszej chałupy?

– Użyczcie, gazdo, noclegu i przytuliska mnie i mojemu rumakowi. Jesteśmy obaj zmęczeni i głodni.

– Proszę serdecznie do nas, panie! Chodźcie zaraz do izby, a ja zaprowadzę konia do chlewa. Dosyć tam miejsca obok naszej Maliny.

Stary Turoń odebrał uzdę z rąk przyjezdnego i zaprowadził konia do obory. Tam wsypał do żłobu miarkę owsa, obok postawił putnię z wodą, a za jasła zawieszone ukosem na ścianie włożył sporą wiązkę pachnącego siana.

Tymczasem przyjezdny poszedł do izby, przywitał się z gaździną, zdjął z siebie futrzane okrycie i lisią czapkę, a potem usiadł na stołeczku w pobliżu nolepy, na której żywym płomieniem paliły się bukowe polana.

Turońkę żenowała obecność nieznajomego człowieka, toteż bez słowa uwijała się koło wieczerzy. Na dwóch żelaznych rynikach przystawionych do ognia gotowało się jadło dla domowych i przyjezdnego. Wkrótce rozeszła się po izbie smakowita woń ugotowanej na mleku trzyczki, czyli grubo mielonej na żarnach pszenicy, obficie okraszonej świeżym masłem.

Stary Turoń po nakarmieniu i oporządzeniu konia usiadł w izbie na ławie i wdał się w rozmowę z gościem. Przejeżdża tędy po raz pierwszy w życiu. Podróżuje konno z odległego Opola aż gdzieś daleko na Węgry. Wojowniczy Szwedowie z północnego kraju przeprawili się przez morze i zalewają Polską Rzeczpospolitą. Takie straszne rzeczy dzieją się na świecie.

Potem Turoniowie zasiedli wraz z gościem do stołu. Tak smacznej wieczerzy nieznajomy dawno już nie jadł. Nabierał po kawałku okraszonej trzyczki drewnianą łyżką i zapijał gorącym mlekiem z glinianego garnuszka. Potem podziękował za jadło i rzekł zadowolonej gospodyni, że takiego specjału nie jadają nawet na królewskim dworze.

Po wieczerzy Turońka posłała gościowi w białej izbie. Siennik nakryła świeżą płachtą z lnianego płótna, pierzynę i poduszki ubrała w białe poszwy z wzorzystego ćwilichu. Sami Turoniowie ułożyli się do snu na ławach tuż koło nolepy.

Nazajutrz rano, skoro tylko świt począł ogarniać zaśnieżony świat pod Beskidami, zerwali się Turoniowie z posłania, żeby dać paszę koniowi i przygotować śniadanie dla gościa. Jak wielkie było jednak ich zdziwienie, kiedy stwierdzili, że ów nieznajomy jeszcze przed brzaskiem pojechał w dalszą drogę. Widać śpieszył się bardzo, skoro nie żal mu było śniadania. Zdziwienie Turoniów powiększyło się jeszcze, kiedy na pierzynie w białej izbie znaleźli duży złoty dukat, jako zapłatę za nocleg i wieczerzę.

Oglądali staruszkowie ów złoty pieniądz z ogromnym zaciekawieniem, kręcili głowami nad szczodrobliwością nieznajomego, kiedy przed chałupką zaroiło się od jezdnych. Jakiś młody oficer przygalopował do chałupki Turoniów, zeskoczył z konia, wpadł do sieni i spytał zaskoczonych gospodarzy:

– Dobrzy ludzie, czy nocowaliście kogoś u siebie?

– Był jakiś nieznajomy pan, przyjechał wczoraj wieczorem na koniu, przespał się, ale wcześnie rano odjechał. Jeszcześmy spali...

– A czy wiecie, moi drodzy, kto był waszym gościem? – spytał znów ów młody oficer.

– Nie wiemy, panie – odparł Turoń.

– Króla polskiego nocowaliście! Król Jan Kazimierz Waza był waszym gościem!

Potem wybiegł ów oficer z chałupki, wskoczył na czekającego wierzchowca i pognał do przodu przejeżdżającej truchtem konnicy.

– Król polski to był! – rzekł uradowany stary Turoń.

– Króla polskiego nocowaliśmy u nas! – jakby z niedowierzaniem powiedziała uśmiechnięta Turońka.

I oboje staruszkowie zapatrzyli się znowu na złoty krążek królewskiego dukata.

O POWSTANIU WĘDRYNI

Dawno, dawno temu, kiedy pod Beskidami rozciągały się rozległe lasy, w okolice Czantorii z dalekiego gdzieś świata przybył zdrożony wędrowiec.

Chłop to był prosty, który przed okrutnym panem z własnej dziedziny musiał uchodzić, gdyż ten okrutnik dybał na jego nędzne życie. Uciekał biedak dniem i nocą odwiecznymi lasami, przez cieniste krzaki się przedzierał, wędrował spragniony, wyczerpany i z sił opadły.

Straszliwe zmęczenie zwaliło go wreszcie z nóg i zasnął długim, kamiennym snem. Spał spokojnie wiele godzin, bo prześladowcom nie udało się wytropić wędrowca. Kiedy się ocknął, posłyszał szmer pobliskiego źródła. Uradowany ugasił pragnienie kryształową wodą i zaspokoił głód kawałkiem suchego owsianego placka.

Potem rozejrzał się po okolicy i postanowił się tu osiedlić. Koło źródła zbudował chatę i osiadł tam na stałe.

Z biegiem czasu w tych miejscach powstała nowa osada. Od wędrowca nazwano ją Wędrynią.

Mieszkańcy Wędryni umieścili później na swej pieczęci gminnej postać zmęczonego i wspierającego się na lasce wędrowca. Uczcili w ten sposób pamięć założyciela swej wsi.

O ZAŁOŻENIU ORŁOWEJ

Mieszko, książę cieszyński, był zapalonym myśliwym, toteż często wyprawiał się na łowy w okoliczne bory. Pewnego razu wybrał się ze swą żoną i liczną drużyną na polowanie w okolice dzisiejszej Orłowej.

W samo południe drużyna książęca zatrzymała się u stóp wzniesienia porośniętego stuletnimi dębami.

Myśliwi przyrządzali posiłek na ognisku.

Księżna i książę weszli tymczasem na wzniesienie i odpoczywali na pniu strzaskanego przez piorun olbrzymiego dębu.

Naraz na niebie pojawił się biały orzeł dźwigający w swych szponach upolowaną zdobycz. Ptak obniżył lot i upuścił swój łup na ziemię. Księżna przestraszyła się ogromnie. Wkrótce potem urodził się jej syn, któremu dano na imię Kazimierz.

Szczęśliwy książę kazał zbudować w miejscu urodzenia syna kaplicę. Później las okoliczny wykarczowano, a na wyrębisku zbudowano osadę, którą na pamiątkę zdarzenia z orłem nazwano Orłową.

ŻYWOCICE

Na drodze prowadzącej z Suchej Górnej do Cieszyna leży wieś Żywocice. O powstaniu nazwy tej wsi opowiada następujące podanie:

Kiedyś, przed setkami lat, kraj nasz pokrywały rozległe bory. Osiedli ludzkich nie było w całej okolicy. Tylko tu i ówdzie na skraju kniei stała zadymiona chata węglarzy, którzy tutaj ścinali drzewa i w mielerzach wypalali węgiel drzewny.

Odwieczne bory rozdzielała na dwie części droga biegnąca z Karwiny przez Suchą do Cieszyna. Najczęściej jeździli nią kupcy z towarami.

Prawie w samym środku kniei, tuż koło drogi, wytryskało z ziemi źródełko. Woda jego była czysta jak kryształ i zimna jak lód, bo słońce nigdy tutaj nie zaglądało. Nie dziwota więc, że każdy podróżny czy wędrowiec albo i kupiec, przejeżdżający tędy z towarami, zatrzymywał się przy nim i źródlaną wodą krzepił siebie i zdrożone konie.

Po jakimś czasie zwiedzieli się o owym źródle rozbójnicy. Zauważyli, że kupcy tutaj odpoczywają i popasają konie, więc przenieśli się w okolicę źródła. Łatwo im tu było zasadzać się na przejeżdżających, rabować ich towary i pieniądze, a nieraz i mordować.

Ponieważ obok źródła wielu kupców straciło życie i mienie, z czasem źródło owo nazwano „Źródłem Żywota".

Po wielu, wielu latach zmienił się wygląd tych okolic. Osiedlili się tam ludzie, karczowali lasy, uprawiali ziemię.

W pobliżu Źródła Żywota powstała wieś, którą pierwsi jej mieszkańcy nazwali Żywocicami.

Opowiadania pochodzą z książki
„Cudowny chleb i inne godki śląskie"

FRASZKI GUSTAWA SAJDOKA

ze zbioru AFORYZMY i ZŁOTE MYŚLI GUSTAWA SAJDOKA

Kwintylion ma 30 zer, w rzeczywistości wszystkie depczą sobie po piętach, kłaniając się jedynce.

Nawet najwspanialsza opera to zaledwie preludium do wschodów i zachodów słońca.

Chęć łatwych zysków sprawia, że nawet złoto pokrywa się rdzą.

Miłość nie ma nic wspólnego z nienawiścią, chociaż są siostrami.

Perfidną metodą pogrążania bliźnich jest prowokacja.

Najlepszym lekarstwem na głupotę są egipskie ciemności, ponieważ wtedy jest szansa na odkrycie wiekuistej jasności.

Chwytać ryby na bezrybiu mogą tylko rybacy cierpiący na chroniczną sklerozę.

Nikt nie boi się psów, które tylko warczą i obnażają kły.

Szum niepokoju zabiera nam spokój tworzenia.

Wyliczanki mają różne oblicza, najchętniej wyliczamy własne zasługi, pomijając fakt, że jesteśmy rzepem na końcu psiego ogona.

Daltonizm to choroba władców malujących świat własnymi kolorami.

Choroby cywilizacji to nic innego jak uwspółcześnienie chorób Średniowiecza.

Całe lata próżniactwa to podróże donikąd.

Często kłamiemy z przyzwyczajenia, bo nie chcemy ciągle przegrywać.

W ciszy drążony szelest przejdzie w jeszcze jeden hałaśliwy dzień.

Nawet czarne owce dają białe mleko, jeżeli mają dostęp do pastwisk.

JAKA TO POLSKOŚĆ ? (I)

Zbyt silny jest w nas dotąd ten kompleks polski i zbyt obciążeni jesteśmy tradycją.
Witold Gombrowicz

Po nagłej i nieoczekiwanej śmierci Wiesława Adama Bergera sięgnęłam po publikację „W górę doliny" (Olza 1992), poświęconą zaolziańskim ludziom pióra. Chciałam znaleźć bliższe informacje na Jego temat, a zwróciłam uwagę na zaskakującą rzecz: do niedawna książka ta, w przeciwieństwie do „Pisarzy Zaolzia" (Olza 1992) Władysława Sikory, zawierała, z małymi wyjątkami, biogramy naszych żyjących literatów. Minione lata poczyniły jednak znaczne spustoszenia w środowisku, odeszło wielu naszych twórców i gdy wertowałam "W górę doliny" (nawet tytuł brzmi teraz w związku z Ich odejściami symbolicznie) w porządku alfabetycznym, zauważyłam, że biogramy Wiesława Adama Bergera, Ludwika Cienciały, Adolfa Dostala, Anny Filipek, Janusza Gaudyna, które otwierają tę publikację, należą już do nieżyjących pisarzy.

Pisarz żyje nadal, gdy jego książki znajdują swoich czytelników... W czasach, gdy nawet żyjący literaci narzekają na brak odbiorcy, zaczęłam się zastanawiać nad tym, czy nasi zmarli klasycy jeszcze żyją. Wielu z nich przez sam fakt przywiązania się do tego skrawka ziemi nad Olzą i wybór takiego a nie innego języka, zawęziło grono swoich odbiorców. Niektórzy wręcz zdecydowali się oddać cały swój talent i wszystkie swoje siły „naszej ziymeczce". Czy doceniono ich wysiłki ? Czy odeszli usatysfakcjonowani ? *Taki wieszcz, jaki słuchacz,* powiedział wieszcz Mickiewicz, o którym inny wieszcz powiedział, że *my z niego wszyscy.* Tyle u nas poczucia krzywdy, niedowartościowania, braku satysfakcji. Czy to cecha stricte zaolziańska, czy to syndrom typowy dla getta, skansenu, mniejszości wśród większości ? Czy po prostu, jak u Władka Sikory w jego gorzkim zbiorze „Nim sady nas wyręczą" (Trójkąt Bermudzki 1996) – *taka to polskość – z kamieniem u szyi ?* Na mojej

brneńskiej „małej emigracji“ po raz kolejny wracam do Gombrowicza, do jego „Dziennika“ i pisanego na emigracji porachunkowego „Trans-Atlantyku“, napisanego po tym, gdy pisarz w 1939 roku został w Buenos Aires zaskoczony przez wybuch wojny. Odtąd przez wszystkie jego dzieła przewijał się jeden temat: jak swoją „polskość“, odczuwaną jako rana, nieszczęście, przekształcić w źródło siły.

Zamiast teoretycznych wywodów posłużę się cytatem z „Dziennika“ Gombrowicza, niepokojącym i dziwnie znajomym: *Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha... gdzie, odśpiewawszy „Rotę“ i odtańczywszy krakowiaka, przystąpiono do wysłuchiwania mówcy, który wysławiał naród albowiem „wydaliśmy Szopena“, albowiem „mamy Curie-Skłodowską“ i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, a konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępowa... Tłumaczył on sobie i zebranym, że jesteśmy wielkim narodem, co może nie wzbudzało już entuzjazmu słuchaczy (którym znany był ten rytuał – brali w tym udział jak w nabożeństwie, od którego nie należy oczekiwać niespodzianek), niemniej jednak było przyjmowane z rodzajem zadowolenia, że stało się zadość patriotycznej powinności. Ale ja odczuwałem ten obrządek jak z piekła rodem, ta msza narodowa stawała mi się czymś szatańsko szyderczym i złośliwie groteskowym. Gdyż oni, wywyższając Mickiewicza, poniżali siebie – i takim wychwalaniem Szopena wykazywali to właśnie, że nie dorośli do Szopena – a lubując się własną kulturą, obnażali swój prymitywizm.*

Mogłabym dodać *my z tego wszyscy,* co dawniej utwierdziłoby mnie być może w poczuciu wspólnej doli-niedoli, ale dziś zaostrzyło mój niepokój. Brałam od dzieciństwa udział w polskich akademiach tego typu, tyle że miały one miejsce na czeskim gruncie, w okresie, który sprzyjał “internacjonalizmowi“ i powrotowi do „zdrowych, ludowych korzeni“. Przez sam ten fakt były to więc lekcje polskości poza Polską, a patriotyzm mój był komunistycznie (wyświechtane to słowo, ale jakim innym się tu posłużyć ?) spaczony. Jakaż więc była polskość, którą mi wpajano ? Kiedy w latach 70-tych śpiewaliśmy w szkole *Ukochany kraj, umiłowany kraj,* piosenkę wówczas od dawna nie śpiewaną w Polsce, każdy

z nas przy słowach *ukochane i miasta i wioski* myślał o Trzyńcu, Cieszynie (Czeskim), Karwinie. Dzieci z Wileńszczyzny śpiewając *ukochany, jedyny nasz, polski* myślałyby zapewne z tęsknotą o kraju nad Wisłą, a przed naszymi oczyma stała-płynęła Olza. My przecież mieliśmy swój hymn, swojego wieszcza. Jan Kubisz ze swoim „Płyniesz Olzo" zaciążył nad nami. Słysząc nazwisko „Kubisz", każdy automatycznie mówi Jan. Paweł kojarzy się z buntem, udziwnieniem i jest mało swojski.

Nowe pokolenia literatów nad Olzą przy każdej próbie wyjścia poza tradycjonalistyczne opłotki były odtąd ganione i krytykowane. Zmieniały się mody, style literackie, a tu, jak i w innych skupiskach Polaków, rozsianych po całym świecie, miał wzięcie tylko Mickiewicz, trzynastozgłoskowiec i Sienkiewicz. Gombrowicz tak pisał o Mickiewiczu: *Największa słabość Mickiewicza na tym polegała, że był poetą narodowym, to jest utożsamionym z narodem i wyrażającym naród, a przeto niezdolnym ujrzeć narodu z zewnątrz jako czegoś „istniejącego w świecie".* Coś w tym jest, tak wiele dobitnych dzieł, demaskujących narodowe mity, powstało przecież poza Krajem. *Ponieważ utraciliśmy niepodległość i byliśmy słabi, Mickiewicz przyozdobił słabość naszą pióropuszem romantyzmu, uczynił z Polski Chrystusa narodów, przeciwstawił naszą chrześcijańską cnotę nieprawości zaborców i wyśpiewywał piękno naszych krajobrazów. /.../ Jakże wyglądałby nasz rozwój, gdyby pojawiła się na naszym niebie, obok mickiewiczowskiej, inna gwiazda: mąż równie znakomity i wzniosły, który by jednak nie oddał siebie na służbę narodu, ale, dumnie wzgardziwszy całą biedą naszą, wszystkimi koniecznościami niewoli, spróbował dotrzeć do Piękności jako człowiek wolny, swobodny duchowo. Ale żadna gwiazda taka – w rodzaju Goethego – nie ukazała się nam we właściwym czasie, a dziś chyba już na to za późno...*

Wielu Polaków oburzyło się nań za te obrazoburcze słowa, a jednak można doszukać się w nich recepty, jak napisać dzieło, które byłoby w stanie nas wyrazić. Nasze krzywdy, bóle, blaski i nędze. Naszą wielkość i małość. Sienkiewiczowi, który zaraził nas polskością, umiłowaniem historii i tradycji, też się dostało. *Potężny geniusz* – pisał o nim Gombrowicz – *bo nigdy chyba nie było tak pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego. /.../ Po pierwsze, Sienkiewicz pragnął podobać się czytelnikowi. Po wtóre, pragnął,*

aby jeden Polak podobał się drugiemu Polakowi i aby naród podobał się wszystkim Polakom. Po trzecie, pragnął, aby naród podobał się innym narodom. W tej sieci chłonnego uwodzicielstwa ginie, rzecz jasna, wartość, a decydujący staje się efekt zewnętrzny.

Jak tu walczyć z geniuszami, którzy przez dziesięciolecia krzepili nasze polskie-niepolskie serca, kształtowali nasz polski-niepolski etos, na których wzorowaliśmy nasz polski-niepolski język ? Bo przecież powoli Zaolzie stawało się państwem w państwie, ani Polską, ani Czechami, wykształciło swój własny język, gwarę, o której przywoływany po wielokroć Rej wolałby jak najszybciej zapomnieć, folklor i jego święta, po których bywalcy spoza tego obszaru dochodzili do wniosku, że jesteśmy społeczeństwem skansenowych marionetek, nie mających pojęcia o współczesnym świecie. Zakonserwowaliśmy się wśród naszych hymnów i stereotypów,nie przyznając się do błędów, które popełnialiśmy, bo jesteśmy przecież tylko ludźmi, i licząc w popłochu topniejące szeregi. A po ostatnich publicznych aferach, których winowajcy kierowali się zdaje się modnym ostatnio, „titanicowym" refrenem „po nas potop", zamiast piętnować winnych, pozwoliliśmy przypiąć sobie metkę nieudolnej wspólnoty swojskich hochsztaplerów. *Nazywam się Milijon* - powiedział Konrad, identyfikujący się z cierpiącym narodem - *bo za milijony kocham i cierpię katusze.* Słowa te napisał nasz genialny wieszcz na emigracji przed 166 laty. Czasem mam wrażenie, że dla Zaolzia czas się zatrzymał.

Wracając do literatury zaolziańskiej, bo to od niej zaczęłam snuć moje niewesołe refleksje, tu również wszelkie rewolucyjne próby zmiany jej formy i treści, począwszy od „Przednówka" Pawła Kubisza, przyjmowane były z daleko posuniętą nieufnością. Nie trafiały pod strzechy jak dzieła sprawdzonych i oswojonych geniuszy. Co mówi na ten temat Gombrowicz ? *Geniusze ! Do cholery z tymi geniuszami ! Miałem ochotę powiedzieć zebranym: - Cóż mnie obchodzi Mickiewicz ? Wy jesteście dla mnie ważniejsi od Mickiewicza. I ani ja, ani nikt inny, nie będzie sądził narodu polskiego według Mickiewicza lub Szopena, ale wedle tego - co tu, na tej sali, się dzieje i co tu się mówi.*

Być może mało się działo na tej naszej sali i niezbyt głośno się mówiło...

/cdn./

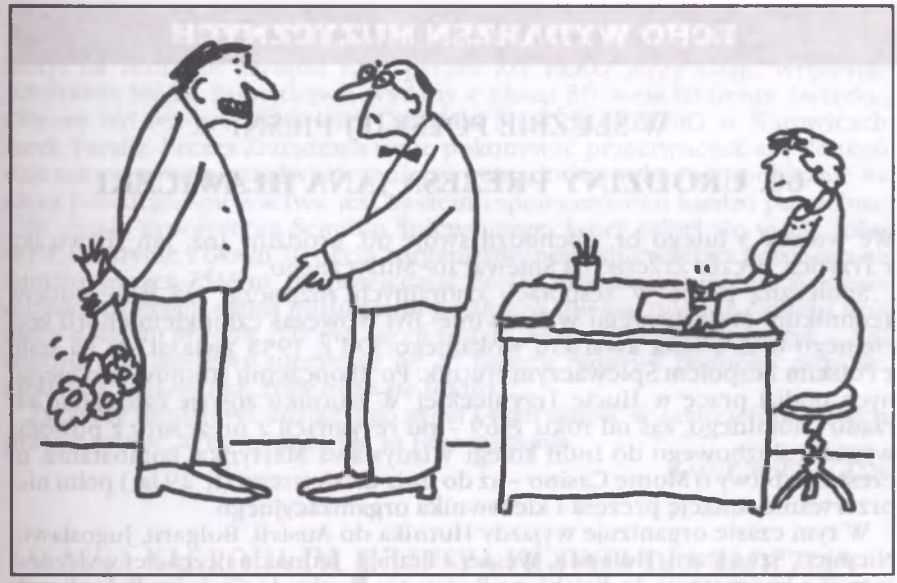

ALE W POLSKIM KALENDARZU PISZĄ, ŻE MAJĄ ŚWIĘTO!

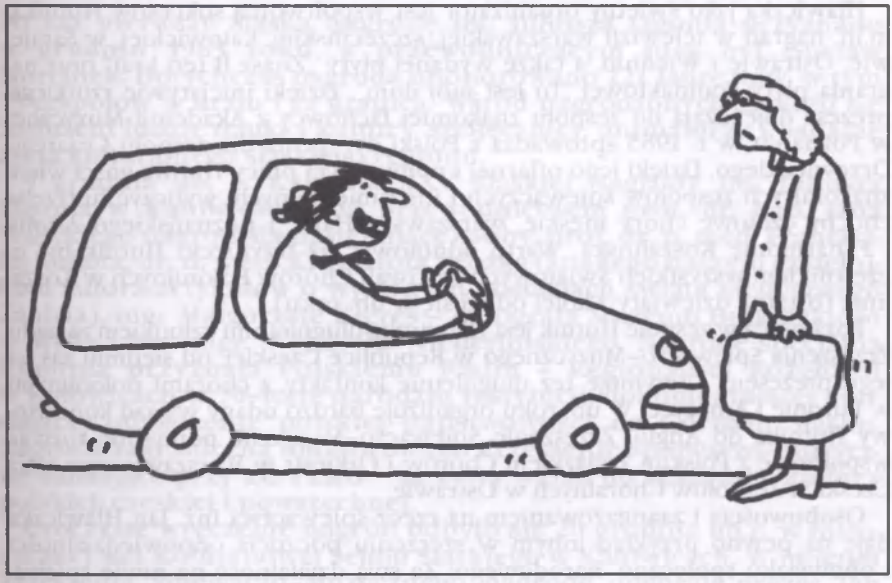

JAK SIĘ DARZY PANI NAUCZYCIELKO?
rys. Bronisław Liberda

W SŁUŻBIE POLSKIEJ PIEŚNI

60. URODZINY PREZESA JANA HŁAWICZKI

We wtorek 3 lutego br. obchodził swoje 60. urodziny inż. Jan Hławiczka z Trzyńca, prezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego.

Społeczną pracę w zespołach chóralnych rozpoczął już jako student Technikum Maszynowego w Karwinie. Był wówczas członkiem chóru kościelnego oraz solistą kwartetu wokalnego. Od r. 1958 związał się na stałe z Polskim Zespołem Śpiewaczym Hutnik. Po ukończeniu studiów inżynieryjnych podjął pracę w Hucie Trzynieckiej. W Hutniku zostaje członkiem zarządu chóralnego, zaś od roku 1969 - po rezygnacji z prezesury z powodu wyjazdu służbowego do Indii kolegi Władysława Martynka, kombatanta, uczestnika bitwy o Monte Casino - aż do dnia dzisiejszego (tj. 29 lat) pełni nieprzerwanie funkcję prezesa i kierownika organizacyjnego.

W tym czasie organizuje wyjazdy Hutnika do Austrii, Bułgarii, Jugosławii, Niemiec, Szwajcarii, Holandii, Węgier i Francji. Jednak najczęściej wyjeżdżał zespół z koncertami do Polski, na Światowe Festiwale Chórów Polonijnych w Koszalinie, śpiewa też w Filharmonii Narodowej w Warszawie, w Gdańsku, Częstochowie, Krakowie, Katowicach, Poznaniu.

Hławiczka jako świetny organizator jest współtwórcą sukcesów Hutnika, m.in. nagrań w telewizji warszawskiej, szczecińskiej, katowickiej, w Sarajewie, Ostrawie i Wiedniu, a także wydanej płyty „Znasz li ten kraj" oraz nagrania płyty kompaktowej „Tu jest mój dom". Dzięki inicjatywie rzutkiego prezesa dojeżdżają do zespołu znakomici fachowcy z Akademii Muzycznej w Poznaniu, w r. 1985 sprowadza z Polski dyrygenta dla zespołu Cezarego Drzewieckiego. Dzięki jego ofiarnej i pomysłowej pracy Hutnik gości wiele znakomitych zespołów śpiewaczych i instrumentalnych, wyliczyć tu trzeba choćby czołowe chóry męskie, warszawską Harfę i poznańskiego Ariona i Filharmonię Koszalińską. Warto odnotować, iż trzyniecki Hutnik był uczestnikiem wszystkich Światowych Festiwali Chórów Polonijnych w Koszalinie (ostatni, dziewiąty z kolei odbył się w ub. roku).

Poza pracą w zespole Hutnik jest Hławiczka długoletnim członkiem zarządu Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego w Republice Czeskiej, od siedmiu zaś lat jego prezesem. Utrzymuje też długoletnie kontakty z chórami polonijnymi w Europie i Ameryce. W ub. roku organizuje bardzo udany wyjazd koncertowy Hutnika do Anglii. Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne pomyślnie rozwija współpracę z Polskim Związkiem Chórów i Orkiestr w Warszawie oraz Unią Czeskich Zespołów Chóralnych w Ostrawie.

Osobowością i zaangażowaniem na rzecz śpiewactwa inż. Jan Hławiczka daje na pewno przykład innym w szerzeniu poczucia odpowiedzialności i obowiązku społeczno-narodowego. Za swą działalność na niwie śpiewaczej został odznaczony Złotą Odznaką Honorową z Laurem PZChiO oraz medalem Ministra Kultury i Sztuki RP Zasłużony dla Kultury Polskiej.

Prezesowi Janowi Hławiczce za jego długoletnią, żmudną pracę na rzecz polskiego śpiewactwa zaolziańskiego szczere wyrazy uznania i podziękowań złożył na zebraniu zarządu ZŚM prezes ZG PZKO Jerzy Czap, wręczając Jubilatowi Medal Pamiątkowy, wydany z okazji 50-lecia istnienia Związku. Obecny był też przedstawiciel Oddziału Śląskiego PZChiO w Katowicach Jacek Turaliz. Prezes Zrzeszenia umie pokonywać przeciwności; siłę do tego daje mu na pewno przeświadczenie, iż praca, którą wykonuje społecznie na rzecz polskiego śpiewactwa, jest naszemu społeczeństwu bardzo potrzebna.

W czasie uroczystego Sejmiku Śpiewaczego, który odbył się w ub. roku w Cz. Cieszynie z okazji 70-lecia zorganizowanego śpiewactwa polskiego na Zaolziu, prezes ZŚM m. in. powiedział: *Moim marzeniem jest utrzymanie dotychczasowego stanu posiadania polskiego śpiewactwa na Zaolziu i iść jakoś dalej do przodu. Nie ma się co łudzić, że będzie tak, jak kiedyś - 100 chórów. Ale możemy utrzymać to, co jeszcze mamy i podnosić poziom. Moim życzeniem jest, żeby nam się udało...*

Życzymy Jubilatowi, znając jego zapał i wytrwałość w realizacji podjętych przedsięwzięć, żeby spełniło się to Jego życzenie.

JÓZEF WIERZGOŃ

ŚLĄSKA NAGRODA IM. JULIUSZA LIGONIA DLA ZAOLZIAN

Po raz pierwszy Śląską Nagrodę im. Juliusza Ligonia przyznano w grudniu 1963 roku, a przewodniczącym jury był Gustaw Morcinek. Dotychczas nagrodą uhonorowano 121 laureatów, w tym 15 zespołów w kraju i za granicą. Wśród nagrodzonych znaleźli się zasłużeni ludzie nauki i kultury, społecznicy, animatorzy i badacze życia kulturalnego śląskiego regionu.

9 grudnia ub. r. Kapituła XXV Śląskiej Nagrody im. Juliusza Ligonia w Katowicach pod przewodnictwem prof. dr. hab. Jana Malickiego nagrodziła następujące osoby: prof. dr. n. med. Franciszka Kokota, dr. n. med. Krzysztofa Brożka (znanego naszym czytelnikom autora artykułów o wybitnych postaciach świata medycznego Zaolzia), mgr Małgorzatę Kiereś - etnografa Muzeum Beskidzkiego w Wiśle i hm. mgr. Wojciecha Niederlińskiego. Nagrodę specjalną Kapituła przyznała Polskiemu Radiu - Regionalnej Rozgłośni w Katowicach w 70-lecie narodzin instytucji, dokumentującej i budującej odrodzenie polskiej państwowości na Górnym Śląsku. Nagrodą zagraniczną uhonorowano Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne działające przy ZG PZKO - za żywy wkład do skarbnicy kultury polskiej, czeskiej i powszechnej.

Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 20 grudnia ub.r. w historycznej Sali Kolumnowej Sejmu Śląskiego w Katowicach. W imieniu Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego nagrodę odebrali prezes Jan Hławiczka i jego zastępca Józef Wierzgoń.

R.Ch.

KULTUROWE WZORY ŻYCIA POLSKICH RODZIN NA ZAOLZIU A ASYMILACJA

Studium socjologiczne

Pod takim tytułem pojawiła się w 1997 roku pożyteczna praca Haliny Rusek z Czeskiego Cieszyna, wykładowcy Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Pragnę czytelnikom Zwrotu wskazać na jej przydatność, osiągnięte wyniki, przedstawić pewne uwagi i momenty, na które w dalszych badaniach należy zwrócić baczniejszą uwagę.

Praca H. Rusek (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 1997, s. 167) zajmuje się aktualną, dotychczas pomijaną problematyką - procesami asymilacyjnymi na Zaolziu. Autorka stara się na podstawie badań socjologicznych polskich rodzin zaolziańskich wykazać przyczyny, przebieg i następstwa asymilacji, jako zjawiska społecznego na Zaolziu. Praca ma charakter naukowy, ale pisana jest językiem przystępnym dla każdego zainteresowanego tym zagadnieniem.

Składa się z 7 rozdziałów, tabel statystycznych, kwestionariuszy przeprowadzanych wywiadów i bibliografii. Na skalę poruszanych zagadnień wskazują poszczególne rozdziały. W rozdziale I omawiane są społeczno-kulturowe uwarunkowania procesów asymilacyjnych. W rozdziale II przedstawia autorka problematykę i warsztat badawczy. W rozdziale III znajdujemy omówienie wzorów życia rodzinnego, towarzyskiego i sąsiedzkiego badanych rodzin zaolziańskich (w tym: kontakty rodzinne, przyjacielskie, towarzyskie, sąsiedzkie; opinie o małżeństwach mieszanych narodowościowo; kontakty z krajem macierzystym). Rozdział IV zajmuje się wybranymi aspektami kulturowymi tożsamości narodowej Zaolzian (w tym: język jako wskaźnik charakteru i natężenia procesów asymilacyjnych; wiedza o przeszłości własnej rodziny i regionu, a procesy asymilacji; zainteresowanie życiem kraju macierzystego i kraju zamieszkania jako wskaźnik tożsamości narodowej). Postawy i stereotypy etniczne (w tym: osobisty stosunek Zaolzian do Polaków z Polski i Czechów) są przedmiotem badań rozdziału V. Podsumowanie wyników badań znajdujemy w rozdziale VI, a próbę generalizacji w rozdziale VII.

W badaniach uczestniczyło według ustalonych kryteriów wybranych losowo 735 osób, w tym 271 par małżeńskich oraz 193 dzieci tych małżeństw. Dobór respondentów oddaje istotę zróżnicowania polskiej społeczności pod względem wiekowym, socjalnym, płci, wykształcenia, pozycji społecznej, zawodowej itp. Badania terenowe przeprowadziło w latach 1993-1994 około 50 ankieterów najczęściej z szeregów miejscowych polskich nauczycieli-emerytów i zaangażowanych w działalność PZKO.

Uzyskane wyniki badań są bardzo ciekawe. Przytoczę przykład dotyczący poglądów badanych na asymilację. Wszyscy oni twierdzili zgodnie, *że Polacy zaolziańscy w coraz bardziej widoczny sposób asymilują się ze społecznością czeską*. Przyczyny tego zjawiska upatrują badani w takich czynnikach, jak: 1/ małżeństwa mieszane, 2/ presja ze strony społeczności czeskiej, 3/ naturalny proces, 4/ zobojętnienie wobec Polski i wobec spraw polskiej społeczności zaolziańskiej, 5/ brak wychowania patriotycznego u młodzieży, 6/ chęć osiągnięcia lepszej pozycji życiowej, 7/ obawy przed wyróżnianiem się w czeskim otoczeniu. Podobnych wniosków charakterytycznych, cechujących obecną polską społeczność zaolziańską, zawiera publikacja cały szereg.

Oczywiście nie ze wszystkimi wynikami można się zgodzić bez zastrzeżeń. Należy pamiętać, iż chociaż badania ankietowe, socjologiczne czy inne są nieodzowne, niosą z sobą zawsze pewne niebezpieczeństwo, które moim zdaniem spoczywa w:

a/ możliwości wprowadzania do nich subiektywnych pierwiastków, b/ przebiegają zawsze w pewnych konkretnych układach ideologiczno-politycznych, c/ nie dadzą pełnego, ale tylko przybliżony obraz. To w praktyce może w większej lub mniejszej mierze wpływać na wypaczanie wartości naukowych osiągniętych wyników.

W wypadku małżeństw mieszanych nie ze wszystkimi wskaźnikami badań można się zgodzić, na przykład, że *rodzice z badanych małżeństw polsko-czeskich posyłają dzieci prawie wyłącznie do szkół czeskich lub strona polska z reguły przejmuje wzory życia strony czeskiej*. Z praktyki wiemy, że sytuacja w tych wypadkach nie jest aż tak tragiczna.

Moim zdaniem w dalszych badaniach więcej uwagi należy poświęcić przykładowo takim czynnikom, jak średnia wieku polskiego społeczeństwa i jej konsekwencje, zagadnienie potrzeby znajomości języka polskiego w warunkach zaolziańskich, aktualne wyniki walki o polskość - plusy i minusy, ludność napływowa i jej wpływ na kształtowanie stosunków międzyludzkich, wpływ sytuacji gospodarczej i pozycji Polski w świecie na kształtowanie postawy Polaków w RC.

Jeszcze dużo wysiłku będzie trzeba włożyć do badań interdyscyplinarnych, by znaleźć odpowiedź zadowalającą, dlaczego miejscowa ludność przez długie wieki potrafiła pomimo niesprzyjających okoliczności utrzymać polskość, a w latach 70. uległa w znacznym stopniu asymilacji.

Ze względu na fakt, iż książka powinna dotrzeć również do czytelników czeskich, mogła oprócz podsumowania w języku niemieckim i angielskim posiadać i podsumowanie w języku czeskim.

Wszystkim tym, którzy interesują się naszymi bytowymi zagadnieniami, a na pewno nie jest ich mało, gorąco polecam pracę Haliny Rusek.

STANISŁAW ZAHRADNIK

Z ZEBRANIA NA ZEBRANIE

KARWINA GOŚCIŁA RADĘ POLAKÓW

W piątek 6 lutego br. spotkali się w świetlicy MK PZKO w Karwinie-Nowym Mieście członkowie Rady Polaków z działaczami innych organizacji polskich z Karwiny i okolic. Od razu na wstępie zabrzmiały usprawiedliwienia osób, które z różnych powodów nie mogły przybyć, chociaż były zainteresowane tematem, bo termin był nieodpowiedni, bowiem w ten wieczór rozpoczynał się połączony bal szkolny PSP z Karwiny-Nowego Miasta i karwińskiego Polskiego Gimnazjum. Dość powiedzieć, że po dojściu wszystkich spóźnialskich w świetlicy znalazło się 16 osób, z czego prawie połowę stanowili członkowie Rady Polaków.

Nieprzypadkowo zebranie wyjazdowe Rady Polaków odbywało się właśnie w świetlicy Koła PZKO w Karwinie-Nowym Mieście. Koło to bowiem stanowi ewenement. Jako jedyne zgłosiło akces do Rady Polaków. Chociaż zrobiło tak jeszcze przed ostatnim zjazdem, postąpiło właściwie zgodnie z zaleceniami XVIII Zjazdu PZKO, gdzie uchwalono, że PZKO jako całość nie zgłosi akcesu do Rady Polaków, natomiast poszczególne Koła mogą postępować zgodnie z wolą swoich własnych członków.

W spotkaniu wzięli udział przede wszystkim członkowie Miejscowego Koła i polskiej szkoły, do nich też przede wszystkim kierowane były pytania przedstawicieli Rady Polaków. Jednym z tematów była praca polskich organizacji w mieście i okolicy. Problemy PZKO są wszędzie jednakowe, brakuje młodzieży. Werbunek nowych młodych członków odbywa się formą spotkania z młodzieżą. Koła nie mają większych problemów z lokalami, te Koła, które posiadają Domy PZKO i świetlice, użyczają gościnności Kołom bez lokalu, np. Kołom ze starej Karwiny. W Domu PZKO w Karwinie-Frysztacie odbywają się też zebrania Związku Przyjaźni Czesko-Sło-wacko-Polskiej, organizacji, która prężnie rozwija się. Raz w miesiącu spotyka się Rada Obwodowa.

Rada Obwodowa współpracuje z gminą. Jest to ważne w związku ze zbliżającymi się wyborami komunalnymi i wyborem polskich kandydatów do przedstawicielstw miejskich i gminnych. W tej chwili w Karwińskiem w przedstawicielstwach zasiada siedmiu reprezentantów polskiej grupy narodowej. Prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik poinformował o propono-

◄ *ze spotkania z premierem Jerzym Buzkiem w Śmiłowicach (16. 2. 1998)*
fot. FRANCISZEK BAŁON

wanej nowelizacji ordynacji wyborczej do władz komunalnych, w myśl której wybierać mogliby również obcokrajowcy zamieszkali na stałe w RC.

Wspomniał o projekcie utworzenia Asocjacji Stowarzyszeń Mniejszości Narodowych w RC, jako rzecznika wszystkich organizacji mniejszości narodowych. Członkiem mogłoby zostać każde stowarzyszenie skupiające przynajmniej pięciuset członków albo też trzy organizacje samodzielne lub pięć regionalnych.

Obecność Wawrzyńca Fójcika spowodowała, że padło również pytanie o wybory parlamentarne oraz o niedawne głosowanie o wotum zaufania dla rządu premiera Josefa Tošovskiego, gdzie poseł Fójcik był „przeciw". Wawrzyniec Fójcik chętnie udzielił wyjaśnienia w tej sprawie. Stwierdził, że niezależnie od tego, jak potoczyłyby się losy rządu, wybory czerwcowe są już sprawą pewną. By mieć szansę dostać się na dobrą pozycję na liście kandydatów swojej partii – ODS – w następnych wyborach parlamentarnych, musiał głosować taktycznie. Był zresztą wśród ostatnich głosujących (głosowano imiennie w porządku alfabetycznym, rozpoczynając od litery J – przyp. red.) i wiedział już, że rząd otrzyma wotum zaufania.

Wiele miejsca na zebraniu poświęcono sprawom dzieci, szkół i przedszkoli oraz Macierzy Szkolnej. W szkołach ubywa dzieci. W Karwinie są jeszcze dwie polskie szkoły. Na razie oficjalnie nie mówi się o ich połączeniu, ale w najbliższych latach nad którąś z nich może zawisnąć groźba likwidacji. W Macierzy Szkolnej pracują rodzice uczniów, ale kiedy dzieci opuszczają szkołę, rodzice także przestają udzielać się w kołach macierzańskich. Zastanawiano się również nad możliwością samofinansowania się Macierzy Szkolnej, chociażby poprzez uruchomienie działalności gospodarczej. Członkowie MK PZKO z Karwiny-Nowego Miasta mówili o konkretnej pomocy. Koło przekazuje co roku dary sponsorskie dla polskich szkół i przedszkoli na terenie miasta, opłaca też dzieciom abonament Bajki.

Dyrektor Andrzej Bizoń z karwińskiego Polskiego Gimnazjum zabrał głos między innymi również w sprawach finansowych. Dotacje dla szkolnictwa są coraz mniejsze i może się zdarzyć, że nie będzie pieniędzy na dwa polskie gimnazja. Niepewny jest też los polskiej klasy w Średniej Szkole Zdrowotnej, ponieważ do pierwszej klasy napłynęło do tej pory tylko jedno zgłoszenie.

Nauczycielki PSP w Karwinie-Nowym Mieście zwróciły uwagę na fakt, jaką pomoc finansową dla szkół można otrzymać dzięki akceptacji przez ministerstwo konkretnych projektów, wysłanych przez nauczycieli. Dzięki temu szkoła ma nowoczesną pracownię

komputerową. W tym roku zostały już przyjęte dwa następne projekty. Nauczycielki opowiedziały też o osiągnięciach uczniów w olimpiadach naukowych i wszelkiego rodzaju konkursach. Wspomniano również o przygotowaniach do zbliżającego się jubileuszu osiemdziesięciolecia PSP w Karwinie-Frysz-tacie.

W drugiej części zebrania członkowie Rady Polaków już we własnym gronie przeprowadzili podsumowanie pierwszego roku nowej kadencji, ocenili realizację uchwał i wyznaczyli zadania na następne miesiące.

C.R.

KONWENT PREZESÓW

10 lutego br. spotkali się w sali hotelu Piast w Czeskim Cieszynie na uroczystym Konwencie Prezesów przedstawiciele 63 Miejscowych Kół PZKO. Na wstępie prezes ZG PZKO Jerzy Czap przedstawił sprawozdanie z działalności związku od ostatniego XVIII Zjazdu PZKO, który odbył się 25 października ub. r. Omówił pracę Zarządu Głównego, jego Prezydium oraz Rady Ekonomiczno-Organizacyjnej, Rady Kultury, Nauki i Oświaty i Rady Młodzieży i Sportu. Dyrektor Biura ZG PZKO Bohdan Suchanek opracował projekty na rok bieżący, które zostały przesłane do Ministerstwa Kultury RC, Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie oraz Ministerstwa Kultury i Sztuki RP. W styczniu został też wysłany list do ministra kultury RC z prośbą o spotkanie w celu omówienia sposobu dotowania organizacji działających na takich samych zasadach jak PZKO.

Program największych imprez pezetkaowskich bieżącego roku, przy przygotowaniu których planowany jest współudział organizacyjny i finansowy Zarządu Głównego PZKO, przedstawił wiceprezes Jerzy Taraba. Prezesi ustosunkowali się do niektórych punktów tego programu.

Wiceprezes Bronisław Sołczyk omówił aktualną sytuację wokół hotelu Piast. Zapoznał zebranych z działaniami na rzecz przywrócenia hotelu do własności PZKO, jakie podejmowane były w ostatnim czasie.

Analizę gospodarowania ZG PZKO oraz poprawki do Regulaminu Wewnątrzzwiązkowego przedstawiła wiceprezes Halina Gawlas. Uchwalony budżet na rok bieżący ma wartość minusową i wynosi minus 623 tysiące koron. Na koszty przygotowania imprez oraz działalność sekcji i zespołów przeznaczone są pieniądze z dotacji, brakuje natomiast funduszy na prowadzenie Biura ZG oraz utrzymanie budynku przy ulicy Strzelniczej. Taka sytuacja utrzymuje się od roku 1994, kiedy radykalnie obniżone zostały dotacje państwowe, brakuje pieniędzy na potrzeby bieżące i narastają jednocześnie długi z lat poprzednich. Nikt do tej pory nie zgłosił się do konkursu na stano-

wisko dyrektora Biura ZG, nie udało się też zaangażować do pomocy ekonomisty.

W trakcie burzliwej dyskusji padły projekty podwyższenia składek członkowskich. Ostatecznie rozważano trzy warianty: pozostawienie składki w wysokości 25 Kč, podwyższenie jej do 30 Kč lub do 35 Kč. Zwrócono uwagę na fakt, że po ostatniej podwyżce składek związek stracił około 2 tysięcy członków. W głosowaniu zwycię-żył projekt podwyższenia składki do 30 Kč od osoby, z tym że cała kwota przeznaczona zostanie na działalność Biura ZG. Mile widziane też będą dary sponsorskie. MK PZKO Karwina-Raj zadeklarowało gotowość opłacenia kosztów druku znaczków członkowskich. Chodzi o to, by Koła jak najszybciej mogły odebrać znaczki i oddać pieniądze na potrzeby Biura ZG. Konwent Prezesów zobowiązał jednak Biuro do dokładnego rozliczenia się z tej kwoty. Zalecił również Zarządowi Głównemu, by nie ustawał w próbach szukania nowych źródeł finansów.

C.R.

WSPÓLNIE O NASZEJ MŁODZIEŻY

Koordynacja działań przy organizowaniu imprez dziecięcych i młodzieżowych to naczelny temat spotkania Towarzystwa Nauczycieli Polskich z przedstawicielami innych organizacji zajmujących się programowo również młodzieżą. W spotkaniu wzięli udział reprezentanci PZKO, Rady Polaków, Harcerstwa Polskiego w RC i Macierzy Szkolnej.

Zebranie, które odbyło się 11 lutego br., poprowadził prezes TNP Stanisław Folwarczny. Wyjaśnił cel spotkania, które odtąd miałoby stać się tradycją. Organizacje i szkoły przygotowują w ciągu roku mnóstwo imprez dla dzieci i młodzieży. Zdarza się, że kilka urządzanych jest w tych samych terminach lub że niektóre pokrywają się tematycznie. Dlatego ważne jest wspólne spotkanie wszystkich organizatorów i omówienie organizacji i osób odpowiedzialnych za poszczególne imprezy oraz terminów ich realizacji.

Urządzaną corocznie imprezą sportową są Igrzyska Lekkoatletyczne w Trzyńcu, odbywające się zazwyczaj na początku czerwca. Gwarantem jest ZG PZKO, za organizację odpowiada w tym roku PSP w Suchej Górnej.

Eliminacje do przeglądu pieśni ludowej Śląskie Śpiewanie odbędą się w marcu.

W konkursie recytacji, którego eliminacje obwodowe zaplanowano na 23-26 marca, a finał na 16 kwietnia, wezmą tym razem udział tylko przedszkola i uczniowie młodszych klas szkoły podstawowej. Dla starszych uczniów przygotowane zostaną jubileuszowe V Kresy, poświęcone dwusetnej

rocznicy urodzin Adama Mickiewicza, których zaolziański finał odbędzie się jesienią w teatrze czeskocieszyńskim.

Jesienią odbędą się w Bibliotece Regionalnej w Karwinie konkursy czytelnicze. Osobny dla uczniów starszych klas szkół podstawowych, osobny dla szkół średnich. Tematycznie związany będzie on z Rokiem Mickiewiczowskim. Od kwietnia odbywać się będą na łamach Głosu Ludu 4 edycje konkursu o Mickiewiczu. Chociaż robiony jest on z myślą o dorosłych czytelnikach, skorzystać mogą również uczniowie, którzy przygotowywać będą się do eliminacji konkursu czytelniczego w swoich szkołach.

W bibliotekach przebiega obecnie trzecia edycja konkursu Czy znasz swoją bibliotekę.

Całorocznym konkursem jest też przygotowany przez Jutrzenkę i Ogniwo konkurs o Janie Kubiszu.

18 kwietnia odbędzie się przygotowany przez Radę Młodzieży oraz Sekcję Sportu i Turystyki ZG PZKO Wielki Kluboturniej dla Młodzieży.

Przegląd dziecięcych zespołów śpiewaczych przeniesiony zostanie na jesień, kiedy nie ma takiego natłoku konkursów szkolnych.

W listopadzie będą też miały miejsce eliminacje Festiwalu Piosenki Dziecięcej, który poszerzony zostanie o kategorię młodzieżową.

Młodzież starsza będzie także mogła startować w przyszłorocznym Zjeździe Gwiaździstym.

7 maja to termin przeglądu dziecięcych zespołów teatralnych Talinki 98. Zwycięzca bierze udział w wyjeździe do Polski.

Harcerze i zuchy mają swój Festiwal Piosenki Harcerskiej, który tym razem będzie w Lutyni Dolnej.

Uroczyście odbędzie się IX Rajd Beskidzki w dniach 7-9 maja, kiedy przekazany zostanie nowy sztandar harcerski.

Macierz Szkolna przygotowuje na 19 września Baginiecki Festyn Szkolny.

Imprezami o podobnym charakterze, których myślą przewodnią jest ogłoszony przez PZKO Rok Młodzieży, będą lipcowe warsztaty dla animatorów kultury, przygotowane przez ZG PZKO przy współpracy z Centrum Animacji Kultury z Warszawy, oraz kurs wodzireja, który organizuje Rada Polaków, a którego pierwszy etap - weekendowy - odbędzie się wiosną, drugi zaś podczas wakacji. Rada Polaków organizuje w sierpniu we współpracy z radiem RMF z Katowic Zlot Młodzieży w Bystrzycy, natomiast 19 września PZKO urządza w Koszarzyskach Festyn Młodzieżowy. Przedstawiciele PZKO i Rady Polaków zejdą się jeszcze, by omówić współpracę przy tych imprezach.

Rada Polaków pomaga też przy organizowaniu konkursów dla szkół średnich. Poloniada odbędzie się w marcu, a później także Liga gimnastyki językowej oraz Konkurs na najlepszą pracę maturalną.

Tak przedstawia się większość imprez młodzieżowych, o których mówiono na zebraniu. Poruszono też kwestię wychowania patriotycznego młodzieży. Młodzieży bliższa jest kultura czeska i język czeski. Dyskutowano na temat, w jaki sposób można by przybliżyć młodym ludziom polską kulturę. Celowi temu służą omawiane wcześniej konkursy. Może warto zwracać uwagę młodzieży na ciekawe programy w telewizji polskiej, w polskim radiu, organizować spotkania z ciekawymi Polakami. Ważne są wyjazdy do Polski, w tej sprawie dużo do zrobienia ma organizacja harcerska, urządzając swoje obozy na terenie Polski.

C.R.

ZEBRANIE ZG PZKO

Na odbywające się 17 lutego br. zebranie ZG PZKO, drugie w tym roku, przybyło 24 z 31 wybranych przez XVIII Zjazd PZKO członków Zarządu Głównego. Prezes Jerzy Czap powrócił na wstępie do niezrealizowanych uchwał z poprzedniego zebrania. Najważniejszą z nich było wysłanie do najwyższych władz państwowych listu opisującego działalność związku i przedstawiającego problemy związane z finansowaniem jego aparatu administracyjnego. Ostatecznie uchwalono, że list taki wysłany zostanie do premiera RC, natomiast prezydent otrzyma pismo informujące o tej inicjatywie.

Wiceprezes Bronisław Sołczyk pokazał zebranym podpisaną już umowę z firmą, która ma przekazać pieniądze na wykupienie hotelu Piast, potwierdził jednocześnie, że do tej pory pieniądze nie wpłynęły.

Najważniejszym punktem zebrania było, zgodnie z postulatem niedawnego Konwentu Prezesów, szukanie dojścia do nowych źródeł finansów, które pomogłyby w trudnej sytuacji finansowej Biura ZG. Jednym z takich źródeł są opłaty pobierane za wynajęcie pomieszczeń w budynkach ZG na ul. Strzelniczej i na ul. Bożka. Podda-no głosowaniu podniesienie czynszu dla poszczególnych dzierżawców.

Najwięcej emocji wywołała sprawa odpowiedniego wykorzystania klubu PZKO na ulicy Bożka. Budynek w ubiegłym roku nie przyniósł dochodu, a wręcz stratę. Poddano pod głosowanie podniesienie opłat za wynajęcie pomieszczeń. Instytucje i osoby prywatne pragnące urządzić tam imprezy będą musiały zapłacić więcej niż do tej pory. Wyjątek stanowić będą szkoły i przedszkola.

Omawiano również sprawę wynajęcia restauracji Formanka, która bezpośrednio związana jest z Piastem. Zadecydowano, komu wynajęta zostanie Dziupla.

Przyjęto ostatnie poprawki do Regulaminu Wewnątrz związkowego, zaznajomiono się z rozliczeniem dotacji za rok ubiegły.

C.R.

JUBILEUSZ ALOJZEGO SZYMANIKA

Urodzony i mieszkający w Stanisławicach Alojzy Szymanik, ofiarny społecznik i działacz MK PZKO, 14 marca br. obchodzi Jubileusz 70-lecia urodzin.

Podstawową wiedzę zdobywał w Polskiej Szkole Ludowej w Stanisławicach. W roku 1948 ukończył górniczą szkołę zawodową w Orłowej. Z ojcowskiego domu wyniósł głęboką wiarę, patriotyzm i potrzebę społecznego działania. Jego młodość przypadła na lata hitlerowskiej niewoli. Mimo młodego wieku musiał ciężko pracować jako robotnik na kolejach państwowych.

Rodzice Alojzego Szymanika mieli pięcioro dzieci. On był najmłodszym z nich. Za swoją patriotyczną postawę ojciec został zamordowany w obozie Mauthausen-Gusen w roku 1940. W roku 1942 do Oświęcimia został wywieziony najstarszy syn – Józef. W czasie ewakuacji obozu w 1945 został zamordowany. Młodszy – Franciszek szczęśliwie przetrwał pożogę wojenną, skończył teologię i był cenionym duszpasterzem. Swoją Mszę św. prymicyjną odprawił 8 lipca 1945 w kościeleckim kościółku.

Alojzy Szymanik od pierwszych powojennych dni przez 38 lat pracował jako górnik w kopalni. Był jednym z najmłodszych współzałożycieli MK PZKO w Stanisławicach, zapisany w kartotece członków pod numerem 1. Pełnił różne funkcje, sekretarza, protokolanta, skarbnika i prezesa. Obecnie jest członkiem Komisji Rewizyjnej.

Jego drugą pasją jest muzyka. Najpierw sam nauczył się grać na akordeonie, później pobierał lekcje gry na fortepianie, by na koniec zostać organistą, najpierw w Koniakowie, i do dziś pełni tę zaszczytną funkcję razem z żoną w kościele parafialnym na kościeleckim wzgórzu.

Przez wszystkie lata pracy społecznej nigdy nie zapominał o młodzieży, o jej aktywnym udziale w pracy Koła. Był kierownikiem i dyrygentem zespołu śpiewaczego i tanecznego, reżyserem teatralnego.

W 1996 wraz z żoną Franciszką obchodził czterdziestolecie pożycia małżeńskiego. Czterech synów państwa Szymaników równie ofiarnie uczestniczy w pracy PZKO.

Jubilatowi życzymy dużo zdrowia, wszelkiej pomyślności w życiu rodzinnym i społecznym.

J.K.

PODSUMOWANIA W CIERLICKU-KOŚCIELCU

17 stycznia odbyło się w Domu Polskim w Cierlicku-Kościelcu zebranie sprawozdawcze MK PZKO. Było o czym mówić, bowiem Koło działa prężnie, a poprzedni rok - jubileuszowy dla PZKO - obfitował w spotkania i wydarzenia kulturalne. Już po raz trzeci Koło zorganizowało wycieczkę na Litwę. Uroczyście obchodzono 65-lecie tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury. W Domu Polskim miał miejsce finał konkursu poetyckiego "O skrzydło Ikara". Wspólnie z działaczkami sąsiednich Kół przygotowano wystawę robót ręcznych i owoców. Na zebranie, które prowadził członek zarządu MK Jan Przywara, obok członków Koła przybyli goście z Polski, z Cieszyna, Bielska-Białej i Jastrzębia Zdroju. ZG PZKO reprezentował Władysław Niedoba.

J.K.

STANISŁAWICE OBRADUJĄ NA KOŚCIELCU

Małe, bo liczące zaledwie 87 członków MK PZKO Stanisławice, nie dorobiło się własnego dachu nad głową. Od lat współpracuje z kościeleckim MK, z obopólną korzyścią. 18 stycznia w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu odbyło się po raz pierwszy zebranie sprawozdawcze stanisławickiego Koła, na którym był obecny prezes kościeleckiego Koła Stanisław Mikula i reprezentujący ZG PZKO Władysław Martynek. Dokonano podsumowania działalności za rok ubiegły, która biorąc pod uwagę mały stan liczebny Koła, jest imponująca. Był tradycyjny bal, wycieczka do Krakowa, zorganizowana wspólnie z MK PZKO w Łąkach i imprezy dla dzieci. Nie zapomniano o jubileuszach życiowych członków. Podsumowania dokonała również skarbnik Koła Krystyna Szymanik i Komisja Rewizyjna, którą reprezentował Alojzy Szymanik.

J.K.

GRODKOWIANIE W SKRZECZONIU

W ramach współpracy skrzeczońskiego Miejscowego Koła PZKO z zaprzyjaźnionym Towarzystwem Miłośników Grodkowa w dniach 6 - 18 stycznia przebywał w Skrzeczoniu 22-osobowy

◀ *POWTARZAMY FOTOGRAFIĘ ze str. 27 ZWROTU 2/98*
Na zdjęciu jest zespół SUSZANIE na Koncercie Świątecznym w Trzyńcu (to nie „Olza" jak błędnie podano...) GORĄCO PRZEPRASZAMY SUSZAN!

chór mieszany Grodkovia, który w ubiegłym roku obchodził 10-lecie swojej działalności.

Chór, którym dyryguje Aleksander Kwiatkowski, zaprezentował podczas koncertów w kościołach katolickich w Nowym Boguminie, Lutyni Dolnej i Skrzeczoniu nie tylko popularne, ale i mniej znane u nas kolędy, za wykonanie których otrzymał gorące brawa i podziękowania.

W sobotę wieczorem odbyło się w skrzeczońskim Domu PZKO spotkanie członków chóru Grodkovia z miejscowym chórem Koła Hasło. Prezes Koła Bogusław Czapek przekazał gościom Kalendarze Śląskie. Prezes Towarzystwa Miłośników Grodkowa Józef Kośla podsumował ubiegłoroczną współpracę obu chórów i zespołów muzycznych grodkowskiego Domu Kultury i skrzeczońskiego Koła, a także szkół z Grodkowa i Dolnej Lutyni. Omówiono także plan współpracy na bieżący jubileuszowy 25. rok wzajemnych kontaktów.

D.G.

POSEŁ WAWRZYNIEC FÓJCIK W BIURZE WSPÓLNOTY

23 stycznia w obradach Rady Wykonawczej Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota na zaproszenie tegoż wziął udział poseł ODS i prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik. Przedstawił on aktualne działania Rady Polaków, dotyczące wyborów oraz podkreślił, że w tegorocznych wyborach parlamentarnych, senackich i komunalnych konieczna jest współpraca wszystkich polskich organizacji w RC.

Uzgodniono, że Wspólnota razem z Radą Polaków zwoła obrady „okrągłego stołu", na które zaproszone będą wszystkie polskie organizacje społeczne i polityczne działające na Zaolziu. Wspólnota po raz kolejny zadeklarowała, że jest zainteresowana podpisaniem umowy, dotyczącej współpracy w wyborach komunalnych.

T.T.

SPRAWOZDAWCZE ZEBRANIE SKRZECZOŃSKICH PEZETKAOWCÓW

W niedzielę 25 stycznia w Domu PZKO w Skrzeczoniu odbyło się zebranie Miejscowego Koła, podczas którego dokonano oceny jego działalności za rok 1997. Zebraniu przewodniczył prezes Koła inż. Bogusław Czapek, Zarząd Główny reprezentował inż. Józef Lugsch. Według sprawozdania przedstawionego przez sekretarza Koła inż. Tadeusza Guziura w ramach Koła działa: chór mie-

szany Hasło, zespół taneczny i estradowo-kabaretowy Andrusi, muzyczny Krater i teatralny Świt, które w ubiegłym roku dały łącznie 31 występów oraz Klub Dziecięcy, Klub Kobiet i Klub Seniorów. Do najważniejszych akcji i imprez zorganizowanych w ubiegłym roku należał reprezentacyjny bal La corrida, walne zebranie, występ chóru Hasło w Polsce w miejscowości Olszanka podczas II Wojewódzkiego Festiwalu Pieśni Patriotycznej, obchody 50-lecia MK PZKO Skrzeczoń połączone z obchodami Miesiąca Oświaty, Książki i Prasy oraz tradycyjne imprezy jak festyn ogrodowy czy spotkanie z jubilatami. W ramach działalności sportowej zorganizowano mistrzostwa Koła i dolnolutyńskiej szkoły w tenisie stołowym, a piłkarze wzięli udział w Polsce w II halowym turnieju o Puchar Grodkowa. Ponadto Koło kontynuowało współpracę z Towarzystwem Miłośników Grodkowa, Harcerstwem Polskim w RC, Macierzą Szkolną oraz szkołami w Boguminie i Lutyni Dolnej. Skrzeczońscy pezetkaowcy przepracowali społecznie 1560 godzin przy organizowaniu imprez oraz przy pracach związanych z naprawą, rekonstrukcją i porządkowaniem Domu PZKO.

Po przedstawieniu przez skarbnika Koła inż. Czesława Gałuszkę sprawozdania kasowego i budżetu na rok 1998 przedstawiciel ZG PZKO pozytywnie ocenił działalność skrzeczońskich pezetkaowców. Poinformował, iż rok bieżący został przez ZG PZKO ogłoszony Rokiem Młodzieży, a także o dotychczas nie rozwiązanych sprawach Piasta i finansów na utrzymanie Biura ZG PZKO.

Pod koniec zebrania przedstawiciel ZG PZKO i prezes Koła wręczyli członkom Koła pezetkaowskie odznaczenia Zasłużony dla Związku – złota odznaka (po raz drugi) z wpisem do Złotej Księgi, które otrzymali Franciszka Czerna i Władysław Ożóg (in memoriam), za którego wpis do Księgi złożyła żona Maria, natomiast zasłużonemu członkowi Koła Konstantemu Krzystkowi, niestety z powodu choroby nieobecnemu, zostanie medal 50-lecia wręczony przez przedstawicieli Koła w innym terminie.

D.G.

KONCERT LIRY

W niedzielę 25 stycznia już po raz drugi w tym roku odbył się we frysztackim kościele Podwyższenia Krzyża Świętego koncert muzyki chóralnej i organowej. Tym razem kolędy i pastorałki śpiewał chór mieszany Lira MK PZKO w Darkowie z młodą dyrygentką Beatą Pilśniak, pedago-

giem Filii Uniwersytetu Śląskiego i Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie. Koncert wzbogacił student Konserwatorium Ostrawskiego im. Leoša Janáčka (z klasy organowej prof. A. Rybki) Tomaš Pindór. Koncert zapowiadała Barbara Waleczek, a partię solową pieśni opracowanej przez chórzystę Franciszka Burego wykonał ks. Petr Černota.

J.W.

KONFERENCJA W JABŁONKOWIE O SYGNALE TELEWIZYJNYM

27 stycznia odbyła się w Jabłonkowie konferencja „Wszystko dla zapewnienia sygnału telewizyjnego w regionie jabłonkowskim", której organizatorem było Stowarzyszenie Gmin Obwodu Jabłonkowskiego. W obradach wzięli udział starostowie lub ich zastępcy z Jabłonkowa, Mostów k. Jabłonkowa, Herczawy, Nawsia, Gródka, Bystrzycy, Wędryni, Górnej Łomnej, Milikowa, Koszarzysk, Dolnej Łomnej, Bukowca, Piosku, Nydku i Trzyńca oraz senatorowie Emil Škrabiš (KDU–ČSL) i Věra Vašinkowa (ČSSD), przedstawiciel czeskiej telewizji publicznej, TV PRIMA, lokalnej TV Stonawa, przedstawiciele instytucji odpowiedzialnych za jakość sygnału. Z Polski przybył burmistrz Wisły i wójt Istebnej. Obecni byli również działacze organizacji polskich na Zaolziu: PZKO, Ruchu Politycznego Wspólnota i Rady Polaków.

Podczas konferencji omówiono problemy mieszkańców niektórych gmin, gdzie są problemy z odbiorem ČT1, ČT2, a nawet TV NOVA. Programy TV PRIMA i programy polskiej i słowackiej telewizji nie docierają do większości gmin.

Przedstawiciele firm telekomunikacyjnych poinformowali o możliwościach budowy sieci kablowych lub odbioru sygnału cyfrowego z satelity. Technologie te są jednak bardzo kosztowne i gmin na nie nie stać. Przedstawiciele trzynieckiej telewizji kablowej poinformowali o planach budowy nowego nadajnika w Trzyńcu, który powinien poprawić odbiór ČT2 i TV PRIMA w regionie. Dyrektor techniczny TV PRIMA zaproponował, by w jego programie emitowano program polskojęzyczny, co mogłoby ułatwić rozmowy o nadajniku w Polsce.

Organizatorzy konferencji opracowali petycję, która z podpisami mieszkańców gmin regionu wysłana zostanie do parlamentu RC. Komisja petycyjna będzie działać w składzie: Vilém Sikora (przew. Stowarzyszenia), Leo Legiersky (starosta Jabłonkowa), Bogusław Kaleta (sekretarz Urzędu Miejskiego w Jabłonkowie), Jan Kawulok (starosta Gródka), Igor Petrow (starosta Trzyńca), Anna Tichánkowa (starościna Nydku). T.T.

BALE, BALE, BALE...

Trudno policzyć bale karnawałowe na Zaolziu. Tradycyjnie organizują je Miejscowe Koła PZKO, Macierz Szkolna w poszczególnych polskich szkołach, są bale dla dzieci w przedszkolach i szkołach. Na żadnym z nich nie może zabraknąć poloneza. Tańczą i bawią się wszyscy uczestnicy balów, ale na każdym z nich mogą również obejrzeć mistrzowskie wykonania różnych tańców dzięki naszym zespołom folklorystycznym. Na balu Polskiego Gimnazjum z Czeskiego Cieszyna 30 stycznia w Domu Kultury w Trzyńcu zaprezentował się zespół Bystrzyca w specjalnym balowym programie – tańce staropolskie i country.

F.B.

SPOTKANIE AKTYWISTÓW KLUBU PROPOZYCJI MK PZKO CZ. CIESZYN–CENTRUM

W Klubie PZKO przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie 31 stycznia spotkali się działacze Klubu Propozycji, by podsumować i powspominać udaną imprezę – Z kolędą i opłatkiem po drewnianych kościołach Zaolzia (piszemy o niej w tym numerze Zwrotu). Obok pezetkaowców, m.in. prezesa Jerzego Czapa z małżonką, na spotkanie przybyli goście z Polski. W imieniu senatora Marcina Tyrny przybył kierownik jego senatorskiego biura Zdzisław Małysiak. Gospodarzem spotkania był przewodniczący Klubu Propozycji Władysław Kristen.

J.K.

O PAWLIS

PRZYSŁOWIA I PRZYMÓWISKA LUDOWE ZE ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

Na marzec narzyko każdy starzec.
Radowoł sie starzec, kiedy minół marzec.
Kogo luty napocznie, tego marzec dokóńczy.
Śpiwocie jak kocury w marcu.
Słószny jak kocur w marcu.
Jeżeś szary jak kóńczynisko na wiosne.
Na wiosne putnia deszcza – łyżka błota, na jesiyń łyżka deszcza – putnia błota.
Wiosna piekno kwiotkami, a jesiyń snopkami.
Toć sie też chyba Olza ku goróm obróci.
Stanół na szpónt od zody, a już szańce z nim na wszystki strony.
Coś gwóździym nie przibił, tego za takim nie chledej.
Bulczy jak świnia w pomyjach.
Ani kropelka nie spadła, a tela mroczynio.
Bydzie deszcz, bo sie baby schodzóm.
Gdyby ciotka miała fusy, toby była ujcym.
Mo wargi otopulóne jak kóń przi gospodzie.
Ón jod dóma stryki, óna jodała placki – jak sie terazy pogodzóm?
Z głupim sie nie domówisz, a z usmarkanym sie nie najysz.
Z ciebie by był dobry prorok, gdybyś nie jodoł kapusty.
Stawio sie jak prózny miech na zimioczysku.
Ón je tako bojónczka.
Niech to gyńś kopnie zadnióm nogóm.
Je wyżrany jak dudławy zómb.
Żro, jagby za płot ciepoł.
Bez chyńci ani nie przikryńci.
Do gymby se nie widzi, posłóchać go sie brzidzi.
Do łacnych papuczy to hneda nafuczy.
Trzeba być chłopym a nie opicóm.
Wyglóndosz, jakbyś ni mioł wszystkich dóma.
Świyci sie mu przez nos jak kumorowi przez kolano.
Siedzi jak wesz na strupie.
Nie straszy ci tak we wieży?
Lepszo dóma kapuścina, niż na wojnie owiyńzina.
Mo nogi jak hajźlowy pajónk.
Jynzyk mimo kości, ón sie zegnie i wyprości.
Gdo sie nie najod, tyn sie już nie naliże.
Tak sie rozjargoł, że mokry papiyr potargoł.

◀ *rys. OSKAR PAWLAS*

Zawrzij dwiyrze z drugi stróny, bydym cie mioł rod.
Wszystko na jedno kopyto zrobióne.
Stoji jak kupa nieszczyńścio.
Psińco na śmierć sóndzóm, i ni a ni sie domówić.
Oberwiesz, że popamiyntosz ruski miesiónc.
Nogi aż na ziym, a jeszcze poskłodane.
Mocie sie szpatnie przezywać, to sie radszy pieknie pobijcie.
Lepij szacić, jako chować.
Kup se drzewioki, bydziesz głośny, wybierymy cie delegatym.
Jak chcesz pieknóm babe mieć, na dziedzine po nióm jedź.
Jak cie drzisnym, tak z butów wypadniesz.
Hócz fórt, bydziesz delegatym przi zgniłych kwakach w piwnicy.
Ani was nie widać, bo wóm dyrekcyja rośnie.
Fulosz, fulosz, a ani ci se to kupy nie dzierży.
Dziwo sie jak szpok do oszkrabin.
Frygo, aż sie mu nos ogibo.
Każdymu czas dóńdzie, i tymu na korycie.
Mo gzycht jak miesiónczek w kole.
Na poły zrobióno robota je jak zogroda bez płota.
Oko za oko, zómb za zómb, sztacheta w płocie, nóż w kabocie.
Pieknie mówi, ale szpatnie gymbe otwiyro.
Rozkoz je rozkoz, choć padze, podlywać sie musi.
Toć chumidło, żeby sie tego zlónk straszok w kapuście.
Z tobóm człowiek nigdy nie trefi do dwiyrzi, jyny dycki do futer.
Nie sóm my tu wszyscy obuci, tóż trzeba rachować słowa.
Nie rozsypuj tu swoich rozumów, bo ci ich żodyn zbiyroł nie bydzie.
Myśli, że Cieszyn je jego.
Na dłóg nie padze.
Lepszy niech zaroz brzuch puknie, niżby sie mioł boży dor zniszczyć.
Głupi tyn, co dowo, głupszy tyn, co nie biere.
Dłógo obiecujym, ale jak zacznym, tak mie wszyscy dzierżcie.
Choćby dziesiyńć razy pysk na tym przipod, to sie po to nie zegnie.
Brzitwy, baby, zygarka i koła sie nie pojczuje.
Ani sie nie gnie od lynia.
Abyś nie dostoł pypcia, tu mosz, a ugryź.
Choć sumiyni zymbów ni mo, ale ugryźć może.
Jak mo człowiek pecha, to go wykóńczy aji błecha.
Łechciwy na dowani, łaczny na brani.
Lyniwy marznie przi robocie, a jak jy, to cały w pocie.
Mo w głowie heblowiny.
Nejlepsze to, co na swojim gnoju wyrośnie.
Pydli, jakby mioł mrowce w gaciach.
Biada tymu dómowi, każ wybodzie krowa wołowi.

JÓZEF ONDRUSZ

KRZYŻÓWKA

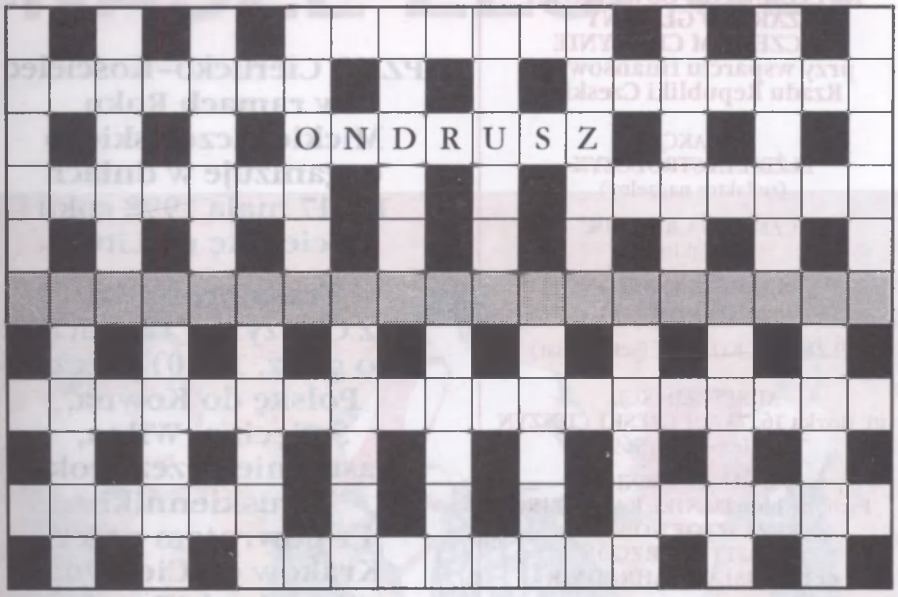

SYNTEZA KRZYŻÓWKI

Zapraszamy tym razem naszych Czytelników nie do rozwiązywania lecz do układania krzyżówki. Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę z rozwiązaniem dodatkowym, którym jest przysłowie ludowe ze Śląska Cieszyńskiego. Jeden wyraz – **ONDRUSZ** – wpisano już dla ułatwienia rozwiązania na swoim miejscu.

Wyrazy 6–literowe:
ADRIAN, CZEREP, DAMARA, GAJANE, JARZĄB, KAZURO, KMICIC, KORALE, LASKER, LECHIA, LIDICE, LUIZYT, MIENIE, OBEREK, OBERON, OCHŁAP, OGAREK, PROCHY, RIMINI, RZEMYK, TAPETA, ZOOLOG, ŻMURKO.

Wyrazy 7–literowe:
ALIBABA, CYRKIEL, MAZIDŁO, ULICZKA, ZALĄŻEK.

Wyrazy 9–literowe:
KARIATYDA, REKREACJA.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca marca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru styczniowego:
Hasło: Gdyby nie gorzoła, byłaby stodoła
Nagrody książkowe wylosowali: **Emilia Nieboras** – Trzyniec 6
Alicja Klimeš – Hawierzów
Jan Hlawiczka – Czeski Krumlow

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY
ZARZĄD GŁÓWNY
W CZESKIM CIESZYNIE
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

WYCIECZKA NA LITWĘ

PZKO Cierlicko-Kościelec w ramach Roku Mickiewiczowskiego organizuje w dniach 12–17 maja 1998 roku wycieczkę na Litwę.

Trasa prowadzi z Cieszyna (12 maja o godz. 17.00) przez Polskę do Kowna, Święcian, Wilna, następnie przez Troki, Druskienniki i z powrotem przez Kraków do Cieszyna (przyjazd 17 maja pod wieczór).

Świadczenia: przejazd około 2500 km, 3 noclegi na Litwie, pilot w autobusie, przewodnik na Litwie, wyżywienie (3 razy śniadanie, 4 razy kolacja, 1 raz obiad).

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela do 31 marca: Józef Przywara, ul. kpt. Nálepky 537, Trzyniec VI, numer telefonu 0659/24 714 po godz. 20.

NASZE ZESPOŁY

ZESPÓŁ TANECZNY MK PZKO W LIGOTCE KAMERALNEJ

Miejscowe Koło PZKO w Ligotce Kameralnej jest nieduże – liczy około 100 członków. W wiosce nie ma już polskiej szkoły. Młodzi ludzie są zmuszeni dojeżdżać do szkół, później do pracy. A jednak i w Ligotce Kameralnej istnieje zespół taneczny działający przy MK PZKO. Prowadzi go Ewa Sabela. Jego istnienie jest widoczne w bogatej w spotkania działalności tego Koła. Ligotka i jej małe Koło PZKO z własnym „Domkiem PZKO" to wielki zapał, dzięki któremu istnieje tu zespół taneczny prezentowany na naszym zdjęciu. Zespół, dzięki któremu również na imprezach PZKO w Ligotce nie brak widzów.

SPECTRA
ZBIGNIEW FRANEK
Slezská 7
737 01 ČESKÝ TĚŠÍN
tel./fax: 0659-711 936
Nasza firma prowadzi sprzedaż, montaż i usługi naprawcze urządzeń antenowych, jest dystrybutorem szerokiego asortymentu produktów tej branży, w tym i takich firm jak ZOLAN, VOX, ANPREL.
Prowadzimy również sprzedaż telewizorów TRILUX.
Przyjmujemy pisemne, telefoniczne i faxowe zamówienia. Stosujemy obniżkę ceny dla handlowców, chętnych prosimy o przesłanie kopii rejestracji („Živnostenský list").

Zwrot

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Biblioteka Cieszyńska

4/98

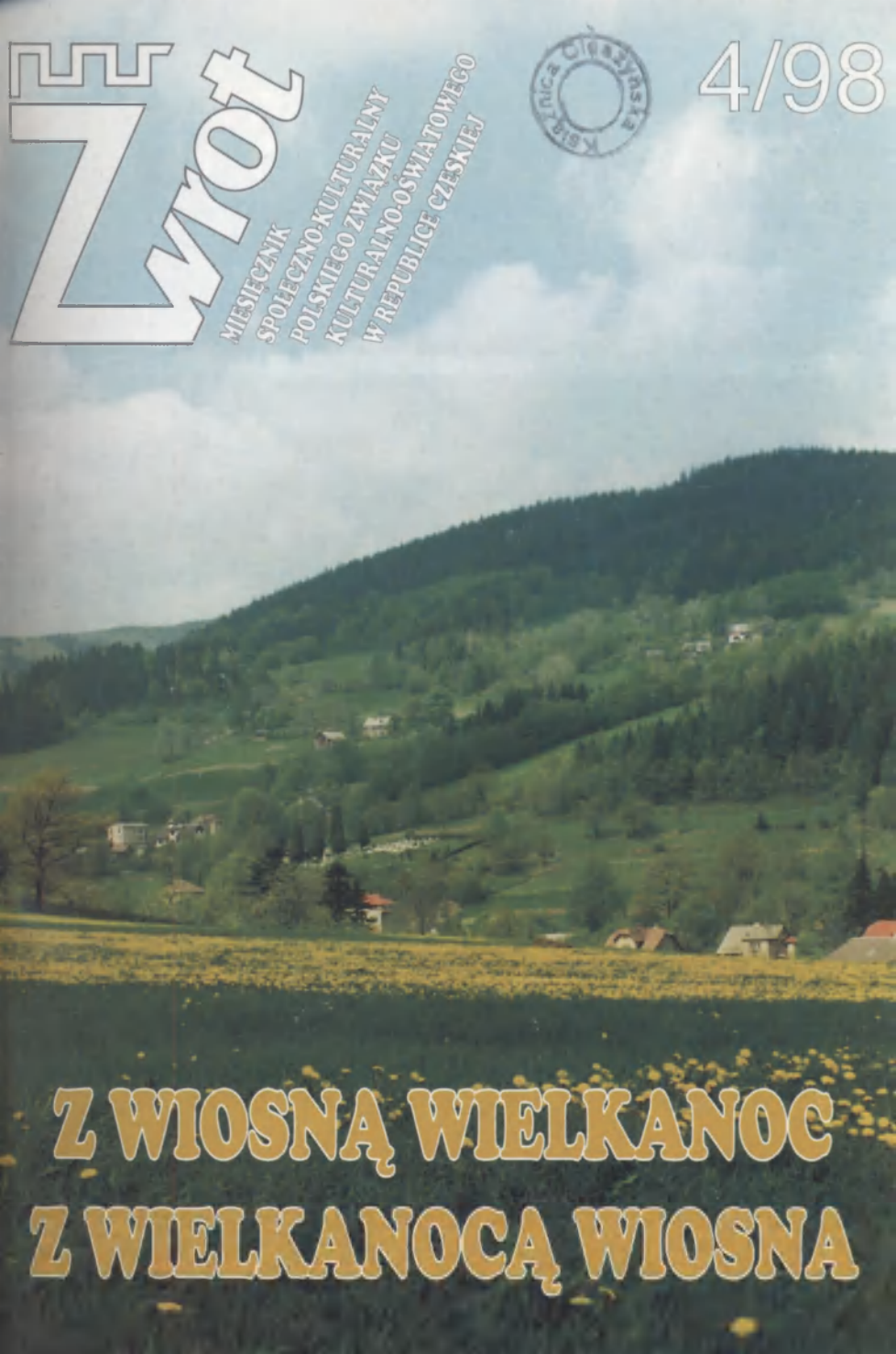

Z WIOSNĄ WIELKANOC
Z WIELKANOCĄ WIOSNA

TACY BYLIŚMY

Czerwiec roku 1942. Zakład krawiecki Guńki.
W środku Rudolf Kolorz.

Zdjęcie nadesłała Helena Krzyżanek z Karwiny.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 581 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

4/98

W NUMERZE

[2] Pierwsze myśli w dzień zmartwychwstania WŁADYSŁAW SYROKOMLA
[4] Od ostatków do śmiergustu WINCENTY SZELIGA
[10] Czesi w wołyńskim Kupiczowie LEON KARŁOWICZ
[16] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim [16] ALOJZY NOWOK
[23] Moje dorastanie do dojrzałości [4] BOLESŁAW ORSZULIK
[28] Spotkanie z Warszawą WŁADYSŁAW SMOLARZ
[30] Wieś błędowicka w XVIII wieku ANDRZEJ PAWLAS
[32] Poeta spod Kozubowej FRANTIŠEK VŠETIČKA
[34] Poezja Jana Pyszki
[36] Wiesław Adam Berger – Z Barcelony do Mieszkowic
[41] Renata Putzlacher – Moje fascyncje
[43] Lech Przeczek – Spostrzeżenia
[45] To i owo
[50] Jak nas widzą, tak nas piszą
[53] To trzeba wiedzieć
[54] Na naszej scenie
[62] Trybuna czytelników
[64] Kronika
[69] Ze starych kalendarzy
[72] Śmiech to zdrowie
[76] Mozaika
[79] Krzyżówka

Numer zamknięto 18. 03. 1998

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

PIERWSZE MYŚLI W DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA

Chrystus zmartwychwstał! chrześcijańskie dzwony
Radosną światu ogłosiły wieść;
Chrystus zmartwychwstał! śpiesz, duchu strapiony,
Zmartwychwstać z Bogiem, do nieba się wznieść.

Grobowy kamień, co–ć serce naciska,
Odwal z twych piersi i żyw z martwych wstań!
Anioł zwątpienia, co strzegł grobowiska,
Cofnie się z trwogą, gdy blask padnie nań.

Chrystus zmartwychwstał, a z Chrystusem razem
Słońce z zimowych zmartwychwstanie chmur;
Błysnęło ciepłem – za jego rozkazem
Stopione śniegi polały się z gór.

Zimna pierś ziemi ocieplała zwolna,
Wre życie w trawkach i w korzonkach zbóż;
A czyliż dusza człowieka niezdolna
Raz wyziębiona ocieplić się już?

Wstań, biedna duszo, z pościeli łazarza,
Orlego oka w ciemności nie mrocz,
I niech lód zimny, co serce zamraża
łzami ciepłemi poleje się z ócz.

Niechaj się głowa na światło odsłania,
Niech nowych myśli wysnowywa nić;
Niech serce nasze od dnia zmartwychwstania
Nowego życia pocznie takty bić.

Wiosna przed nami! do pługa, do pługa,
Kto jakim pługiem orze zagon swój!
Pan Bóg da żniwo – i plon, i zasługa,
Miodu i mleka wytryśnie nam zdrój.

Z Chrystusem brzemię dźwigaliśmy krzyża,
Bok nam przebito, pochowano nas;
Chrystus zmartwychwstał, do nieba się zbliża,
U bram niebieskich oczekuje nas.

Lecz nie masz nieba bez czynu, bez woli,
Bez łez, bez trudów, bez ofiar i strat;
Och! nieraz krwawo serce nas zaboli,
Nim się w nadchmurny uniesiemy świat!

Nieraz ku sercu się pochyli głowa,
Krople krwi, potu posączą się z niej;
Ale choć rani korona cierniowa,
Po zmartwychwstaniu już dźwigać ją lżej.

Poganin pada wśród życia katuszy,
Pomimo wielkich stoicyzmu cnót;
Boleść jest skrzydły chrześcijańskiej duszy,
Na których orli bierze w górę lot.

Mamy u ramion skrzydła promieniste,
Mamy przed sobą nadpowietrzny kraj...
O Słońce nasze, Zbawicielu Chryste!
I oczom naszym orlą siłę daj!

Tam na przestworzu szerokiego nieba
Są mgły, są chmury i uragan dmie:
Bystrego oka lecącym potrzeba,
Abyśmy słońce nie stracili w mgle...

OD OSTATKÓW DO ŚMIERGUSTU

Bliżół sie Popielec i Wielki Post, tóż też dycki sie ludzie starali eszcze na ostatek troche wychynyć z kopytka, wytańcować sie i wiesioło pośpiywać. Tóż tymu mówiyli ostatki. Mówiyło sie też: *Jak ostatki, to ostatki, niech sie trzynsóm babski zadki.* Organizowało sie ostatnióm zabawym w sobotym abo też eszcze we wtorek przed Strzodóm Popielcowóm, bo potym uż wszycko ucichło. Ani wiesiela sie w poście nie robiyły, ani nic. We Strzodym Popielcowóm szoł pómału każdy do kościoła, aby mu ksiónd zrobiół popiołym krziżyk na czole. My sie też stawiyli do kościoła, jak my szli do szkoły. Tyn popiół był ze zeszłoroczne Wielki Soboty, jak sie opalowały palmy kole kościoła. Od tego czasu uż był Wielki Post.

W kościele były dycki w pióntki i niedziele po połedniu sztacyje (Droga Krziżowo). To chodziół ksiónd od jedne sztacyje ku drugi z ministrantami, kierzi niyśli krziż (tyn, co sie też dycki niós na przodku przi procesyjach).

Przi każde sztacyji sie śpiywało i rzykało za parafianów, kierzi uż pomrzyli. Ludzie uż przedtym przinosiyli, podobnie jak na Wszyckich Świyntych taki karteczki z nazwiskami swojich ojców, starzików abo dzieci. Mówiyło sie: *dać na zalycani abo na rzykani.* To sie zapisowało do zeszyta a przi każde sztacyji, kierych je sztyrnost, sie przed Ojczynaszym czytało, za kogo sie rzyko. Nó a wtedy, przed szejśdziesiyncima rokami, to eszcze strasznie moc ludzi chodziyło do kościoła, tóż też tych zalycań było moc.

Sama nazwa Wielki Post uż znaczyła, że sie post udziyrżowoł dość ostro, gor w downiejszych czasach. Od Popielca chłopi przestali kurzić fajki abo cygara, co mieli na niedzielym, a odkłodali ich aż do Zmortwychwstanio, kiere bywało uż w Wielkóm Sobotym wieczór abo w Niedzielym Wielkanocnóm. Gdo mioł moc rod jakisi jodło, to se go też odmówiół na tyn czas. Nikierzi ani nic nie słodziyli. Do gospody też tak moc chłopi nie chodziyli ani karty nie grali. Jodła też były postne, maściyło se yny masłym. W downiejszych czasach zaś yny lniannym olejym. Na rano sie jodało nejwiyncy wodym z chlebym – mówiyli też woda na chlyb abo czoskula. To sie wrzóncóm wodóm przziloł nakroty chlyb, przidało sie rozpuszczónego czosku ze solóm, troche pomaściyło, a jak nie było postu, to sie dały i uszkwarzóne szpyrki.

Dość czynsto też bywały wodziónki w poście. To tam rozmajcie warzyli, ale nejwiyncy sie pokroły i powarzyły zimioki, przidała sie do waru

cebula, pietruszka i kónsek czosku, potym sie zrobiyło zosmożkym na maśle i wloło do tego, posolyło i dobre. Starzi eszcze dobrze pamiyntajóm, jak sie robiyła ściyrka. Troche mónki sie dało na deskym abo na stół, wbiyło do ni jedno, dwa abo i wiyncy wajec. Podle tego, wiela było ludzi ku obiadu. Potym sie to tak trzyło, aż sie zrobiyły taki szulki (chuchwalce). Jak troszkym przischły, to sie pómału po gorściach dowało do wrzóncego mlyka. Mógło sie też prziloć troche wody, jak było mało mlyka. Ale jak gospodyni troche moc szporowała na wajcach i mlyku, to sie ściyrka lepiyła na podniebiyni i na zymby. Ściyrka sie potym dała do wielki miski, pololа rozpuszczónym masłym i posłodziyła troche cukrym.

Na przedobiodek sie też nikiedy przipiykły krajiczki chleba na blasze i potrzyły czoskym. Jak mama zarobiali na chleby, to też dali tak ciynko tego ciasta na brótfanym, posypali troche wiyncy kminym i solóm, i upiykli w trómbie taki ciynki jakby placki. Mówiyło sie tymu podpłómyki (myślym tymu, bo downiejszy to piykli na blasze). Było to taki fajnie przepieczóne, tóż sie to z chyncióm chrupkało.

Jak uż minół post, to na rano też miywali bigus (bo kawa, jak uż potym bywała, to yny w niedzielym). Bigus sie warzół u nas tak: Pokroło sie na kosteczki szpyrkym, uszkwarzyło, ty szpyrki sie z tego masnego wyciónglo, do masnego dodało mónki i zrobiyła sie zosmożka, kiero sie zaloła wodóm i wloła do przewarzóne kwaśniónki (kapuśniónki). To była woda z kwaśnego zielo. Szpyrki sie dziepro potym dały do tego. Jak było tych szpyrek moc, tóż aji tyn bigus był lepszy. Mówiyło sie potym:

– Ja! To je bigus. Co łyżka to szpyrka nic mynszo jak żaba.

Ku bigusu sie jadły całe warzóne zimioki.

Jak była rano wodziónka abo bigus, to sie warzyło w połednie wyndzóne miynso. Do te polywki, co sie w ni warzyło miynso, to sie dodało warzónóm ryże abo krupy i dolywało troche mlyka. Ku tymu były całe warzóne zimioki. Nikandzi to jodali dwa abo trzi razy w tydniu, ale też bywało, że yny w niedzielym. To było podle tego, jaki był kormik, wiynkszy czy mynszy. Nieskorzi, w lecie, uż ta wyndzónka nie była tako zocno, bo też była twardszo i łyczno. Ku tymu wyndzónymu miynsu było nejlepsze kwaśne warzóne zieli.

Na drugi jodło sie też robiyło rozmajte śliżki (gałuszki). Robiyły sie z mlykym z wodóm (abo aji samóm wodóm, jak mlyka nie było), wbiyło sie do tego wajce i taki rzodsze ciasto sie łyżkóm uszczykowało, i ciepało do wrzónce wody. Jak wypłynyły na wyrch, to były uwarzóne i wybiyrało sie ich takim cedzokym, polywało masłym abo szpyrkóm. Fajne też były z masłym, ze syrym i cukrym. Ty nóm mama nejwiyncy gotowali, bo nóm też nejbardzi szmakowały. Były też chłupate śliżki. Do potrzytych zi-

mioków sie przimiyszało mónki, rozrobiyło z wajcym i z tego sie szkubały abo uszczykowały śliżki, i warzyły we wodzie. Potym se pomaściyły uszkwarzónóm szpyrkóm. Były też dobre ze zielim. Pieczóne śliżki: Do kónsków wyruszanego ciasta sie zatoczyło dycki troche marmelady, powideł albo syra, ukulało sie pieknie do okróngła i na plechach upiykło w trómbie do rużowa. Potym na wielki misce sie ich przziparzyło troszkóm wody, aby zmiynkły, pololo roztopiónym masłym i pocukrowało.

Nó, ale trzeba eszcze spómnieć, jak to było dali przez tyn Wielki Post aż do śmiergustu.

Tak nejmyni ze trzi tydnie przed Palmowóm Niedzielóm to uż tata przziniyśli na palmym gałónzki z trzaskółki, świby, lyskowego orzecha i kłokoczu, aby do te Niedziele wypuściyły listki a kłokocz aji wykwitnół takimi drobnymi biołymi kwioteczkami w takich jakby szyrszych szyszeczkach. Tyn kłokocz to je taki do piynci metrów wysoki krzok, kiery my też mieli w zegrodzie. W lasach go nie widać. Na kocianki to my uż sami chodziyli pod las. Rosły tam rozmajte – jedne żółtawe, drugi taki zielónkawe, a były też i czyrwiónawosiwe. Ty rosły na takich bardzi rozwidlónych gałónzkach po trzi, sztyry blisko siebie. Dóma potym, jak były we wodzie, to sie tak pieknie wydłóżyły i wyrosły z nich taki dłógi zametowe kućki (cwanculiki) aż siedym cyntimetrów dłógi.

Wieczór przed Palmowóm Niedzielóm to nóm tata z tych zielónych gałónzek, ku kierym przzidali piekne gynste kućki szoszo i kocianki, zwiónzali rozłupanymi na poły wiyrbowymi gałónzkami pieknóm palmym, z kieróm my szli do kościoła.

We Wielki (Zielóny) Czwortek sie do połednia, po odśpiywaniu *Gloryja*, dzwóniyło wszyckimi dzwónami ostatni roz. To było na zawiónzani dzwónów, bo od tego dnia aż do soboty sie zamiast dzwóniynio rano, w połednie i wieczór na Anioł Pański chodziyło dookoła kościoła i klekotało z klekotkami. To były taki deseczki z twardego drzewa, na kierych w postrzodku były też drzewianne dwa abo trzi kładziweczka, przewiertane na kóńcu szrubkym miyndzy wyrzazanym dziyrżokym. Tak, że jak tóm klekotkóm ruszoł do góry i na dół, to ty kładziwka biyły, klekotały po te deseczce. Nieskorszy potym uż też były taki drzewianne grzechotki, a jedyn synek skónsik zdobyczół taki mały tragaczek, kiery mioł na osi taki wrómbki, po kierych – jak jechoł – to tyrkotały z obuch strón na bokach przziszrubowane łajśniczki.

Rano we Wielki Pióntek sie musiało iść umyć do potoka abo stawu, a jak było daleko, to aspónć ku studni.

We Wielki Pióntek sie chodziyło porzykać ku Bożymu Grobu, kiery był w kościele szumnie ustrojóny kwiotkami, nejwiyncy hortynzyjami i hia-

cyntami. Oświetlóny był bardzo pieknie, bo przez taki bruszóne szkła w kształcie prómiyni, zaprawiónych we wielkucne ozdobne zasłónie, świyciyły żarówki z drugi strony. A świyczek wiela to było we wielkich mosióndzowych świycznikach! Przi grobie wtedy stoli na straży rzimscy wojocy, tóż też na pamióntkym byli u nas dycki przi Bożym Grobie sztyrze strażacy na baczność, w pełnym rysztunku, we świóntecznych mundurach, wyglancowanych hełmach i z toporkami przi pasie. Zmiyniali sie przi tym co pół godziny, i to z takóm musztróm jak wojocy.

We Wielkóm (Biołóm) Sobotym do połednia przi śpiywie *Gloryja* rozdzwóniyły sie wszycki dzwóny. I tymi małymi w kościele sie dzwóniyło. To było rozwiónzani dzwónów. Na polu kole kościoła sie też świynciół ogiyń, w kierym sie też opalowało kónce palmów. Popiół sie zaś niechowoł na prziszły rok na Strzodym Popielcowóm. Z tych rownych gałónzek z palmy sie w drugi świynto robiyło krziżyki. Hrubszo gałónzka, tak 12 cm dłógo, sie z wyrchu rozszczypła i krótszy kónsek sie do ni wsunół na posprzyk tak, że z tego był mały krziżyk. Ty krziżyki sie roznosiyło i zadziubło na każdym rogu pola do ziymie, kućkym ze szoszo sie namoczyło we świyncóne wodzie i pokropiyło tyn krziżyk. Miało to chrónić urodym przed gradym, powieruchóm i nieurodzajym. To, co zustało z palmy, sie zastyrczyło kansi za tróm na górze abo za krokwiym, aby sie chałupy nie ujón ogiyń.

W połednie o 12 huczały i piskały wszycki fabryki przez całe dwie minuty i wszycko zustało stoć czy we fabrykach, czy na cestach. To sie czciyło pamióntkym poległych we Światowóm Wojnym.

Piykło sie też w tóm Sobotym pecynki - chleby ze zapiykanóm wyndzónkóm, kiełbasóm dómowóm i szpyrkóm. To sie piykło dwa wielki, a nóm, dzieckóm, każdymu taki mały chlebuś - pecyneczek. Ś niego my mieli wiynkszóm uciechym niż z kołoczy, kiere sie też piykło, jak uż był piekarszczok wyhajcowany.

W Biołóm Sobotym po połedniu sie uż cało dziedzina gotowała na Zmartwychwstani. Każdy oblykoł na siebie, co mioł nejpiekniejszego. Dziołchy a młode gospodyńki, kiero miała nowy mantel, kłobuk abo szaty, to uż to dycki niechowała, aby sie piyrszy roz pokozać w nim na to świynto. Niż wyszła procesyj z kościoła, to sie uż zećmiyło, tóż strażacy nasze skrzeczóński Polski Ochotnicze Straże Pożarne, kierzi dycki przizli co do jednego, niyśli kole baldachu, pod kierym szoł ksióndz z mónstrancyjóm, szejść wielkich porożyganych fachuli (pochodni). Przed ksiyndzym szli ministranci i dzwóniyli dzwónkami ryncznymi, kościelny z kadzidłym, do kierego na rozżarzóne drzewianne wyngli przisypowoł mirym, z kiere ulatowały kłymby wóniawego dymu. Że uż była ćma i lu-

dzie ni mógli śpiywać z ksiónżek, tóż uż dycki organista abo jedyn z poważniejszych obywateli przedpowiadoł głośno słowa pieśniczki *Chrystus zmartwychwstan jest,* a wszyscy ludzie śpiywali z muzykóm (bo orkiestra też dycki była w kómplecie), aż sie na całóm dziedzinym rozlygało. W piyrsze Świynto Wielkanocne grali aji przi mszy w kościele, a na poczóntku i na zakończyni zagrali dycki taki piekny jakby hejnał; naprzód groł jedyn solo na trómbce, a potym cało kapela dokóńczała. Trzi razy to powtarzali, a ostatni roz to na nejwyższy tón wyciónglı.

Jaki to ty Świynta Wielkanocne były dycki uroczyste! A tych ludzi z całe dziedziny! To nikiedy i dwiesta musiało stoć na polu, bo sie nie zmieściyli w kościele. Czynsto se też wtedy śpiywało w kościołach pieśniczkym *Ludu śląski, nadszedł czas, serca w górę wznieśmy wraz... Zawsze wierny polski lud, nie opuści wiary swej...* Jak my przizsli w Sobotym z kościoła, to my sie uż mógli puściyć do tych pecynków. Też nas nie trza było dwa razy powiydzać, bo nóm dobrze wytrowiyło w żołóndkach przez tyn post.

Drugi świynto wielkanocne, śmiergust, je szyroko daleko znómy. Starzi ludzie opowiadali, że to je tako pamióntka, jak po zmortwychwstaniu Krystusa sie ludzie grómadziyli i rozpowiadali o tym zdarzyniu, to ich ci rzimscy wojocy polywali wodóm i tak ich rozganiali.

Tóż u nas uż w niedzielym wieczór była zabawa taneczno, Śmiergustówka, a o północy to prosto z te zabawy grómady starszych synków uż zaczynały chodzić po śmierguście. Chodziyli tam, kaj miyszkały dziołchy, kiere dobrze znali, i kaj trufali, że ich ojcowie puszczóm w nocy do chałupy. Nejwiyncy to były koleżanki, co ś nimi chodziyły do chóru abo downiejszy do szkoły.

Jak delszy czas klepali na okna czy dwiyrze i poznali ich ojcowie po głosie, tóż ich puściyli do chałupy. To było potym Boże dopuszczyni. Loli dziołchy wodóm tak, że nikiedy trzeba było za nimi wyciyrać, bo nikierzi mieli taki porzóndne sikowki abo aji piyncilitrowe syfóny, z kierych strzikali, kaj yny mógli... Nikiedy aji w łóżku śloli, jak kiero nie stykła uciyc. Mamym to tak troszkym yny pokropiyli wóniawkóm, aby sie jóm nie pogniywali.

Potym „wysuszyli" dziołchy karwaczami, ale też i czynstowali gorzołkóm. Nejprzód tate i mamym, aby moc nie przezywali, że w nocy przizsli bantować. Za to ich też ugościyli pecynkym, kiery sie tak obkroło dookoła i rozewrzyło, aby se móg każdy wybrać i ukroć, na co mioł chynć, czy na kiełbasym, szpyrkym abo wyndzónkym. Jak przizsła tako grómadka dziesiynci synczoków, to z pecynka wiela nie zbyło. Kołocze i rozmajte pierniki też były, ale to mówiyli, że z tego sie pruszy do nosa, a ku go-

rzołce, kieróm też i tata poczynstowoł, to musiało być cosi maśniejszego. Że też uż każdy mioł cosi pod czopkóm, tóż też śmiychu było i opowiadanio, że nikiedy i delszy czas posiedzieli, bo dziołchy uż były przewleczóne do suchego. Nikiedy też chodziyli z harmónikóm, a roz aji na gramofónie grali pod oknym, niż sie ich puściyło. Jak przziszli zaroz po północy, tóż sie moc dłógo nie zabawiyli, bo tych dziołch trza było do rana wiyncy poloć. Jak im to nie wyszło, to eszcze polywali, jak szły dziołchy z kościoła, ale to uż yny wóniawkóm.

Jak sie rano rozwidniało, to zaś zaczynali mynsi syncy, śmiergustnicy, chodzić polywać. Downiejszy jak przziszli do chałupy, to mówiyli:

– Przziszli my tu po śmierguście, yny nas też nie opuście, kopym wajec nagotujcie, a kołoczy nie szanujcie.

Każdy też dostoł malowane wajca, pierniki, kołocze i kierómsi tóm korónkym do kapsy na wóniawkym, choć jóm mioł nikiery zrobiónóm z wóniawego mydła, rozpuszczónego we wodzie. Teraz uż ty śmiergusty taki nie sóm wiesiołe, a jesi, to sie używo myni wody, a wiyncy gorzołki.

WINCENTY SZELIGA
fragment książki „Tam około Bogumina"

rys. ALICJA BARTULCOWA

CZESI W WOŁYŃSKIM KUPICZOWIE

Wołyń w granicach Rzeczypospolitej Polskiej po pierwszej wojnie światowej przedstawiał istną mozaikę narodowościową. W miastach i miasteczkach zamieszkiwali głównie Polacy i Żydzi, natomiast we wsiach przeważali Ukraińcy, lecz spotykało się tam bardzo często Czechów, Niemców, Holendrów, Rosjan, Ormian, niekiedy nawet Tatarów i Turków, na pewno pozostałość po dawnych wojnach, najazdach i branych do niewoli jeńcach, którzy potem, uzyskawszy wolność, pozostawali w naszym kraju na stałe.

Wśród tej mieszanki różnych nacji nie było od czasów Bohdana Chmielnickiego żadnych poważniejszych waśni ani buntów. Powstania Gonty, Żeleźniaka i inne rozruchy społeczne szczęśliwie ominęły krainę nad Styrem i Horyniem. Wytworzyła się tu z czasem dziwna symbioza owych różnych narodowości, wzajemne zrozumienie i daleko idąca tolerancja. Nie przeszkadzało nikomu, że rodzina sąsiadów posługuje się w domu innym językiem, uczęszcza na nabożeństwa do cerkwi lub kaplicy ewangelickiej, zachowuje odrębne zwyczaje i obyczaje. W życiu sąsiedzkim nie przywiązywano do pochodzenia narodowego żadnej prawie wagi. Naturalnie Polacy dobrze widzieli przypadki przyjmowania np. przez prawosławnych lub ewangelików wiary rzymskokatolickiej, głównie w małżeństwach mieszanych, ale nacisku na zmianę religii nie wywierano.

Szczególnie dobrze układało się współżycie Polaków z Czechami. W rozważaniach niniejszych chciałbym posłużyć się przykładem dużej osady czeskiej, położonej w byłym powiecie kowelskim, osady o nazwie Kupiczów.

Koloniści czescy przyjechali tam po powstaniu styczniowym, dokładnie w 1870 roku. Przyciągnęła ich niska cena ziemi, jej żyzność, obfitość lasów, przy tym władze carskie obiecały przybyłym całkowitą swobodę, równe ze wszystkimi prawa, nawet zwolnienie od obowiązkowej służby wojskowej. Kupili więc osadnicy duży obszar gruntów od ziemianina Zagórskiego (6 tysięcy mórg), pięknie położonych na wzgórzu, z rozległym widokiem na okolicę, a ponieważ gleba, jak wszędzie na Wołyniu, była bardzo urodzajna, bogata w stare, wspaniałe lasy, nowi właściciele szybko wznieśli w osadzie okazałe domy, zabudowania gospodarskie i po paru zaledwie latach miejscowość czeska stała się ozdobą tego regionu. W środku osady wyznaczyli mieszkańcy obszerny plac, coś niby rynek, w południowej części przy rozwidleniu dróg stanął w początkach XX w. kościół katolicki, tuż przy placu wznosiła się już wcześ-

niej ładna cerkiew prawosławna, nieco dalej zbudowano kaplicę ewangelicką. Większość Czechów była wyznania katolickiego, ale byli też i ewangelicy, jak również prawosławni, choć cerkiew służyła przede wszystkim prawosławnym Ukraińcom, zajmującym niewielką północno-wschodnią część osady.

Miasteczko, bo i tak nazywano czasem Kupiczów, rozwijało się bardzo pomyślnie. Przybyli na Wołyń Czesi okazali się ludźmi bardzo pracowitymi, zaradnymi, dobrymi organizatorami. Przywieźli ze sobą znacznie lepsze i bardziej nowoczesne narzędzia rolnicze, pozwalające dokładniej i szybciej wykonywać wszelkie prace polowe, umieli poza tym współpracować z sobą, pomagać sobie nawzajem, doradzać, okazywać daleko idącą życzliwość. Szybko zaprzyjaźnili się z okolicznymi sąsiadami – Polakami, od czasu do czasu zaczęło dochodzić do małżeństw mieszanych, co obie strony całkowicie akceptowały.

Czescy koloniści osiedli także w sąsiednich miejscowościach, jak na przykład Dażwa, Nowy Dwór, Peresieka, Jeziorany, Radowicze i inne. A Kupiczów zdobył się wkrótce na kilka sklepów, młyn, wiatrak, Dom Ludowy, szkołę, cegielnię, zakład fryzjerski, powołał Ochotniczą Straż Pożarną, zorganizował doskonałą orkiestrę dętą, wiele zakładów rzemieślniczych, słowem zaczął przyciągać uwagę całej okolicy. Wszędzie zapanował ład, porządek, widać było dbałość o estetykę i jak najkorzystniejszy wygląd osady połączone z zabiegami o dalszy pomyślny rozwój miejscowości. Czeska część Kupiczowa kontrastowała szczególnie wyraźnie z częścią ukraińską, zaniedbaną i jakby zatrzymaną w rozwoju kilkadziesiąt lat temu. Mając te same warunki i możliwości Ukraińcy przez wiele lat nie próbowali niczego zmieniać ani ulepszać.

Tymczasem przy domach i zagrodach czeskich pojawiły się wkrótce piękne sady, ogródki z kwiatami, krzewy owocowe i ozdobne. Szczególnie wiosną Kupiczów tonął w powodzi kwiecia jabłoni, dorodnych wiśni, śliw, gruszek. A i jesienią, gdy gałęzie drzew uginały się pod ciężarem dojrzałych owoców, osada prezentowała się niezwykle okazale.

Dobrze rozwinęły się warsztaty rzemieślnicze, sklepy różnych branż, szkolnictwo. W okresie międzywojennym kupiczowski młyn zdobył sobie doskonałą renomę, tak że rolnicy nawet z odległych stron tam właśnie przywozili zboże do przemiału. Również miejscowy felczer ukraińskiego pochodzenia, ale ciążący wyraźnie ku Czechom, nazwiskiem Miron Niemoszkalenko, cieszył się opinią dobrego lekarza. Był naprawdę świetnym specjalistą, jego więc diagnozy przyjmowane były i przez Czechów i przez Polaków z pełną aprobatą, ponieważ bardzo rzadko zdarzały mu się pomyłki.

Jedynym nieszczęściem osady były częste pożary, zwłaszcza w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy to ogień pochłonął znaczną jej część. Dzięki jednak bliskości lasów oraz własnej cegielni zdołano szybko odbudować miasteczko, kryjąc już dachy materiałami ogniotrwałymi, co nadało miejscowości jeszcze przyjemniejszy i bardziej nowoczesny wygląd.

Kupiczowscy Czesi do końca pieczołowicie zachowywali swój język narodowy, obyczaje, tradycje, pamięć o pozostawionej daleko ojczyźnie, co wcale nie przeszkadzało im być lojalnymi obywatelami przybranego kraju. Obchodzili bez protestu polskie święta narodowe, ale zachowywali jednocześnie pamięć o swojej historii i własnym dorobku kulturowym. Często rozbrzmiewały w osadzie piękne czeskie pieśni, które niejednokrotnie trafiały i do polskich wiosek, śpiewane obok rozlewnych dumek ukraińskich i polskich melodii ludowych, żołnierskich czy patriotycznych. Wszystko, co zawierało w sobie piękno i prawdę, trafiało do serc i umysłów ogółu Wołynian i stawało się własnością powszechną. Okoliczni Polacy wspominają do dziś z uznaniem czeskie uroczystości, jak np. wesela, dożynki, obrzędy ludowe, zawsze pełne śpiewów, radości, przy udziale własnej orkiestry, z charakterystycznymi przyśpiewkami i zabawnymi kupletami. Dobry humor i umiejętność wesołej, beztroskiej zabawy były chyba cechami narodowymi kupiczowskiej społeczności.

Okoliczni Polacy, rzadziej Ukraińcy, chętnie przyjmowali od Czechów bardziej racjonalne od naszych metody gospodarowania, uprawy roli, hodowli zwierząt domowych. Brano też przykład z czeskich kolonistów w dbałości o czystość i porządek w obejściach, niejednokrotnie stawiano Czechów za wzór w zgodnym współżyciu rodzinnym i sąsiedzkim, przyznać bowiem trzeba, że Polacy byli bardziej skłonni do sprzeczek, kłótni, czasem nawet awantur, zwłaszcza pod wpływem alkoholu. Wśród społeczności czeskiej tego rodzaju ekscesy należały do rzadkości.

Umieli też nasi sąsiedzi przybyli z Czech być wdzięczni za okazywane im zrozumienie i uznawanie ich obyczajów, kultury, języka. Do dziś wyrażają się z wielkim szacunkiem o swoim ostatnim proboszczu, ks. Bonawenturze Burzmińskim, o kierowniku szkoły powszechnej Wilhelmie Skomorowskim, który i wykształceniem, i taktem pedagogicznym i sympatią dla wszelkich odrębności czeskich zaskarbił sobie ich szczere uczucie i szacunek. Dzieci czeskie czuły się z nim swobodnie, na lekcjach były rozluźnione, nie obawiały się, że pan kierownik skarci któreś za posługiwanie się w szkole swoim językiem.

Jak wspomniano wyżej, Czesi w Kupiczowie starali się wypełniać wszelkie zarządzenia władz, przestrzegali obowiązujących

praw, zasługując tym na miano wzorowych obywateli państwa. Nigdy nie słyszało się, by w Kupiczowie doszło do jakichś zamieszek na tle politycznym, bojkotowania zarządzeń, sympatii komunistycznych czy innych. Taka sytuacja dotrwała do września 1939 roku, nie uległa też zmianie w latach okupacji.

Przybycie we wrześniu 1939 roku na tamte tereny Armii Czerwonej Czesi odczuli identycznie jak Polacy, może nawet dotkliwiej, ponieważ dzięki wrodzonej zapobiegliwości i gospodarności dorobili się ładnych domów, dobrze wyposażonych warsztatów, doskonale zaopatrzonych sklepów itd., automatycznie zasługując w opinii władz sowieckich na miano wrogów klasowych. Władze komunistyczne nękały ich na równi z Polakami i kupiczowianie stali się przedmiotem nieustannych ataków, oskarżeń, kłamliwych insynuacji. Czesi jednak trzymali się dzielnie i nie dali się zapędzić do kołchozów, nigdy nie byli donosicielami, agentami, czym zdobyli u sąsiadów - Polaków prawdziwą sympatię i uznanie.

Nie inaczej było również po zmianie okupanta, tzn. po wkroczeniu na Wołyń Niemców. O ile bowiem ludność ukraińska natychmiast jęła się współpracy z hitlerowcami, oddając się im w służbę, kolaborując z SS i Gestapo w nadziei uzyskania "zapłaty" w postaci satelickiej Ukrainy, o tyle Czesi stali od spraw politycznych nadal z daleka, zachowując godność i honor narodowy. Jedynie z żołnierzami niemieckimi narodowości czeskiej nawiązywali chętnie kontakty, dalekie jednak od choćby pozorów kolaboracji.

Taka postawa mieszkańców Kupiczowa sprawiła, że Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów i powstała w czasie okupacji tzw. Ukraińska Powstańcza Armia ze Stepanem Banderą na czele, zaczęła patrzeć na Czechów najpierw z niechęcią, później wręcz wrogo. I gdy po likwidacji Żydów, w czym policja ukraińska w służbie Niemców miała swój bardzo poważny udział, i po podobnej rozprawie z ogromną liczbą Polaków zaczęły odzywać się głosy, że w trzeciej kolejności nastąpią „rozrachunki" z Czechami, gdyż „Ukraina musi być czysta jak łza". Nie trzeba było długo czekać na czynne potwierdzenie owych pogróżek. W lecie 1943 padły pierwsze ofiary także wśród Czechów. Wówczas kupiczowianie wiedząc, że sami nie oprą się przemocy banderowskich szowinistów, zwrócili się do Polaków z propozycją współpracy w obronie zagrożonej ludności zarówno czeskiej, jak i polskiej w tym rejonie. Sami też zorganizowali oddział samoobrony i odważnie stanęli na straży swej ojcowizny.

Współdziałanie w obronie ofiar płonących naokoło wsi było rzeczą dla obu stron bezwzględnie konieczną. Wkrótce też po zaciętej walce z banderowcami, którzy zdążyli już wtargnąć do

Kupiczowa, osada została uratowana. Teraz rozpoczęła się obrona przed atakami band. Czesi wspólnie z Polakami walczyli z wielką ofiarnością w odpieraniu nacierających raz po raz ukraińskich faszystów. Dzielnie też pomagali w bardzo niebezpiecznym przeprowadzaniu polskich uciekinierów z dalszych wsi do Kowla lub do pobliskich Zasmyk, ochranianych przez silny oddział Armii Krajowej, uczestniczyli w patrolach rozpoznawczych, starali się o żywność dla szpitala, zorganizowanego w szkole. Dziewczęta polskie i czeskie bezinteresownie opiekowały się rannymi i chorymi, wykazując prawdziwe samarytańskie poświęcenie dla cierpiących. Słowem Czesi kupiczowscy zapisali się chlubnie w czasach tragedii wołyńskiej lat 1943 - 1944.

Po wojnie musieli, podobnie jak Polacy, opuścić swoje umiłowane już teraz rodzinne strony i wracać do Ojczyzny praprzodków. Osiedlali się w różnych miastach i wsiach ówczesnej Czechosłowacji. Pracowali jak zawsze ofiarnie i uczciwie. Większość z nich opuściła już ten świat, lecz ci, którzy jeszcze żyją, nie zapominają o Wołyniu i Kupiczowie. Odwiedzają go, nie żałując trudu i kosztów, piszą o nim, tęsknią do swych porzuconych domów i ubolewają na widok obecnego zaniedbania i ubóstwa kwitnącej niegdyś i pięknej miejscowości.

A i ze swymi kolegami-Polakami z czasów wspólnej walki nie zrywają kontaktów i korzystają z każdej okazji, by się z nimi spotkać, powspominać minione czasy, tych, którzy odeszli. Również Ukraińcy, obecni mieszkańcy Kupiczowa, wspominają swych poprzedników, jako przede wszystkim wzorowych gospodarzy. Nie potrafią im tylko dorównać w utrzymaniu porządku, estetyki, czystości, tak charakterystycznych dla lat, gdy mieszkali tam przybysze spod Pragi.

LEON KARŁOWICZ

Leon Karłowicz (1925) - nauczyciel i prozaik, który od początku lat dziewięćdziesiątych dokumentuje życie na Wołyniu, gdzie się urodził, spędził młodość i walczył w szeregach Armii Krajowej. Tej tematyce poświęcił szesnaście książek lub broszur. Z nich najważniejszy jest tom wspomnień „Od Zasnyk do Skrobowa", wydany w 1994 roku w Opolu. Opisuje też dzieje rodów szlacheckich, np. „Ród Stadnickich w Osmolicach" (1992) lub „Generał Franciszek Rohland i jego potomkowie" (1996).

Związany ze szkolnictwem rolniczym, m.in. jako polonista w Pszczelej Woli oraz kierownik ogniska metodycznego szkolnictwa rolniczego na województwo lubelskie, Leon Karłowicz stał się zasłużonym historykiem oświaty pszczelarskiej, m.in. jako autor rudymentarnego dzieła: „Z dziejów oświaty pszczelarskiej w Polsce" (Lublin, 1993).

Zamieszczony tu szkic pisarz opracował specjalnie dla Zwrotu.

(ER)

fot. BOGUSŁAW RAJSKI ▶

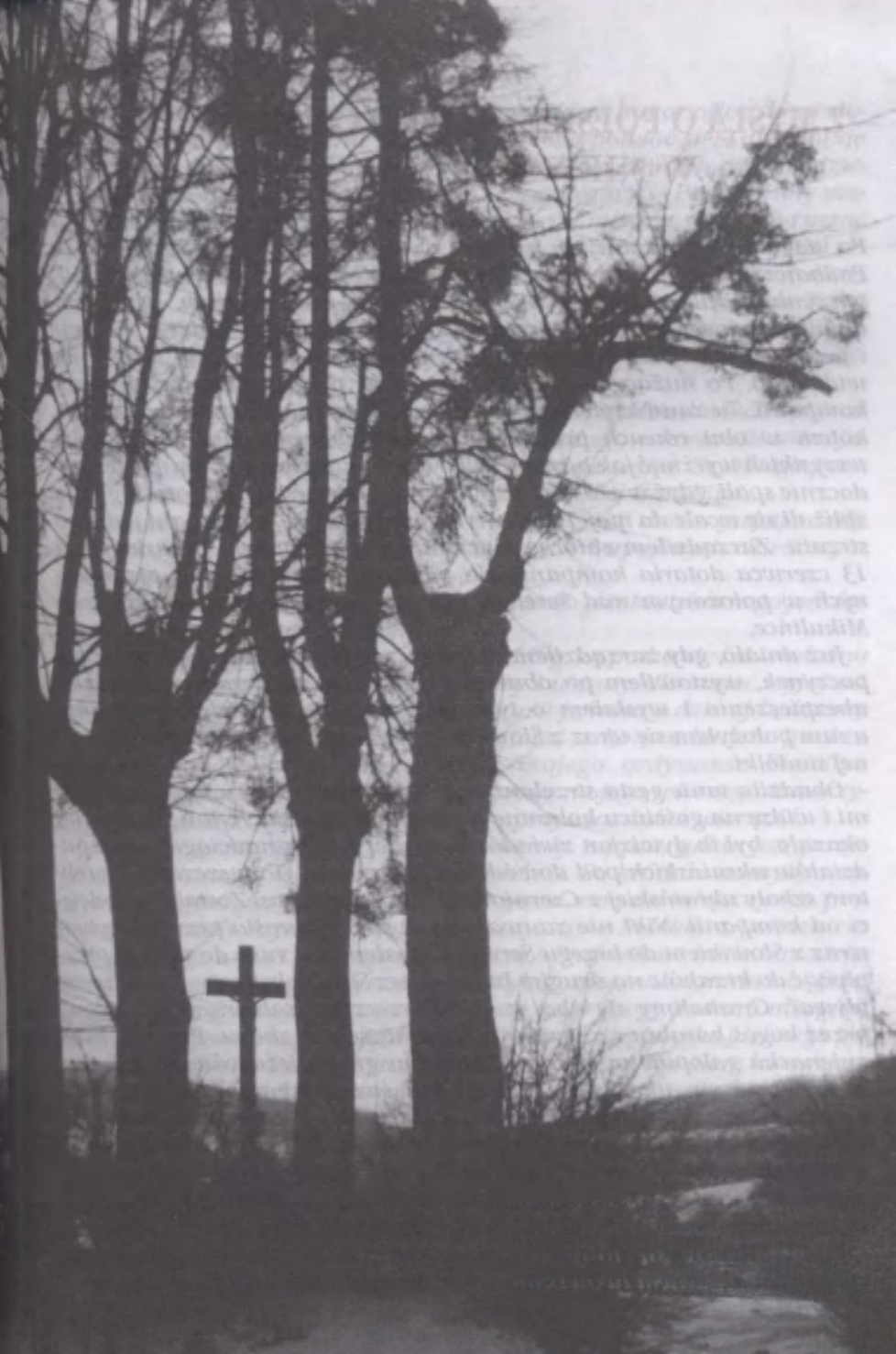

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (16)
W NIEWOLI UKRAIŃSKIEJ

Po wielu nieprzespanych nocach w czasie obrony przyczółka w Podhajczykach byliśmy wszyscy śmiertelnie znużeni. Po krótkim odpoczynku i kilkuminutowym śnie w rowie przydrożnym, z trudem obudziłem mego wiernego ordynansa Słowika i resztę ludzi z plutonu i pomaszerowaliśmy za kompanią. Wlokłem się po szosie jak senne widziadło. Po nużącym marszu dotarliśmy do głównego członu mej kompanii. Tu zauważyłem z przerażeniem, że cała kompania leży pokotem w obu rowach przydrożnych i śpi twardo. Można było ich wszystkich wyrżnąć jak barany, tylko całe szczęście, że Ukraińcy też widocznie spali, gdyż w czasie naszego nocnego marszu odwrotowego nie zbliżali się wcale do mojej szpicy tylnej i nie sprowokowali ani jednego strzału. Zarządziłem zbiórkę alarmową i o pierwszym brzasku dnia 13 czerwca dotarła kompania do pierwszych zabudowań przydrożnych w położonym nad Seretem i pamiętnym dla mnie miasteczku Mikulińce.

Już dniało, gdy zarządziłem dla zmęczonej kompanii godzinny odpoczynek, wystawiłem po obu stronach szosy na skraju miasteczka ubezpieczenia i wysłałem o tym meldunek do dowódcy batalionu, a sam położyłem się wraz z Słowikiem na boisku najbliższej przydrożnej stodółki.

Obudziła mnie gęsta strzelanina. Patrzę przez szpary między belkami i widzę na gościńcu kolumnę jeźdźców ukraińskich. Jak się później okazało, był to dywizjon zwiadów kawaleryjskich nadciągających oddziałów ukraińskich pod dowództwem atamana Topuszczaka, dyrektora szkoły ukraińskiej z Czerniowiec. Zaskoczyli nas. Zostaliśmy odcięci od kompanii. Nikt nie zauważył, jak przez zarośla przeskoczyłem wraz z Słowikiem do brzegu Seretu. Chciałem dać susa do wody i przepłynąć do krzaków na drugim brzegu, lecz Słowik krzyczy, że nie umie pływać. Gramolimy się obaj z doliny rzecznej, zabieram porzucony przez kogoś karabin i ukrywamy się w wysokim zbożu. Przeciw nam znienacka galopuje w naszym kierunku grupa jeźdźców. Przed zbożem, w którym ukryliśmy się, jest łan świeżo skoszonej koniczyny. Poletko zboża jest wąskie. Zaczynamy strzelać. Chcemy trafić do koni. Ukraińcy po pierwszych strzałach gdzieś znikają, lecz za chwilę nacierają w ósemkę pieszo na nas.

Po kilkuminutowej strzelaninie zabrakło nam amunicji. Zauważyli to Ukraińcy i jeden z nich krzyczy: – Antek, chodź na ryby! – Za kilka sekund odzywa się inny głos w pięknej polszczyźnie zabarwiony śpiewnym akcentem lwowskim: – Nie ma rady, panie poruczniku, trze-

ba się poddać! Obowiązek żołnierski wykonany, honor oficerski uratowany, bez amunicji nic nie wskóracie, trzeba poddać się! Gwarantuję słowem honoru, że nic złego wam nie zrobimy i z moich rąk odejdziecie żywi i nietknięci! A teraz powstać i ręce do góry! – Powstaliśmy machinalnie i słyszę ten sam donośny głos: – W miejscu stać! Nie ruszać się! Ręce do góry! – Wykonujemy rozkazy machinalnie. Podchodzi do nas ósemka jeźdźców ukraińskich z przystojnym oficerem na czele. Odbierają broń i sprzęt polowy, obmacują kieszenie. – Czetar Korol (tzn. król po ukraińsku) jestem – i podaje mi rękę. Częstuje mnie papierosem i zwierza mi się, że jest studentem prawa, synem parocha grekokatolickiego gdzieś spod Stanisławowa.

Zaprowadził nas do jednej z rodzin polskich w Mikulińcach i polecił przygotować nam śniadanie. Pozostawił jednego eskortanta uzbrojonego, wręczył paczkę papierosów i pożegnał słowami: Szybkiego powrotu z niewoli w wolnej i niepodległej Zachodniej Ukrainie!

Prowadzą nas gościńcem na Trembowlę. Na szosie panuje ścisk i zgiełk. Maszerują kolumny rozśpiewanych i upojonych chwilowym powodzeniem oręża oddziały siczowców.

Po noclegu w Trembowli zawleczono nas do punktu zbornego jeńców w dużej wsi pod Kopyczyńcami.

Następnego dnia wsadzono mnie na chłopską podwodę i skierowano do dalszego etapu. Mój konwojent, stary i wąsaty Ukrainiec wyjaśnia mi, że pojadę gdzieś do oficerskiego obozu jeńców a dzisiaj będziemy nocować w Borszczowie. Chcę rozmawiać z komendantem punktu zbornego. Pytam czy mogę zabrać mojego ordynansa Słowika. Komentant odmawia. Ściskam więc mocno mojego wiernego towarzysza boju i niedoli i dziękuję mu za jego przywiązanie i wierność.

W Borszczowie zajeżdżamy do komendy miasta, gdzie przyjmuje mnie jakiś starszy wiekiem oficer ukraiński. Po krótkim namyśle wręczył konwojentowi pismo i skierował go ze mną do miejscowego proboszcza parafii rzymskokatolickiej, oczywiście Polaka, z poleceniem nakarmienia mnie i dostarczenia bielizny. Przywitano mnie tam z niekłamaną radością i serdecznością. Wykąpano, nakarmiono obficie, wręczono dwa komplety czystej bielizny, a na drogę podano mi sporą paczkę gotowanej słoniny, bochenek chleba i dużą paczkę pięknego podolskiego tytoniu. Połowę tytoniu i słoniny sprezentowałem konwojentowi. Chciałem się zaasekurować u niego, a poza tym było to sympatyczne chłopisko.

Jedziemy wśród żyznych łanów, pięknych jarów i lasów Podola. Mijamy po drodze wyłącznie polskie, dostatnio oraz według europejskiej modły utrzymane dwory i pałacyki, otoczone zewsząd morzem ukraińskich wiosek – mrowisk biedoty chłopskiej. Przychodzi mi do głowy: Tu również panoszy się ten odwieczny „Drang nach Osten", tylko z tą różnicą, że u nas na śląsku wioski polskie, a dwory, kopalnie

i huty niemieckie, nawet tu i ówdzie czeskie. Tu dla odmiany wioski ukraińskie, a dwory polskie – pomyślałem. Pchamy się na tę Ukrainę, zamiast pilnować naszych rubieży zachodnich, naszych czarnych diamentów w Katowicach, w Bytomiu, a chociażby tego lśniącego jak brylant i najlepszego chyba na świecie węgla – antracytu w czysto polskiej Karwinie na Śląsku Cieszyńskim. Zamiast wytyczać orężem granice w tych czysto polskich ziemiach, to drepczemy po Ukrainie. I znów mi przyszedł do głowy Lwów, miasto, o którym mi tyle cudów opowiadał mój brat cioteczny Paweł Branny z Żukowa, który tam kończył politechnikę. Opowiadał, że tam we Lwowie duża większość Polaków a jacy oni wszyscy patrioci! –

– Dobra tu ziemia – odzywa się do mnie po polsku konwojent, tylko jej za mało dla chłopa i o grosz bieda. Ja mam trzy morgi i utrzymuję ze mną osiem osób. Mieszkamy w jednej izbie. Głodni nie jesteśmy, bo zboża i ziemniaków starczy, a co roku cztery kabany biję. Mam konia i dwie krowy. Tylko bieda o grosz, bo prawie wszystko zjadamy. Synek mój uczy się dobrze i chciałby do gimnazjum, lecz skąd wziąć grosza? –

– A jak myślicie, czy tu będzie Ukraina, czy Polska? Bo mnie to wszystko jedno. Dla mnie ojczyzna tam, gdzie chleba i ziemi dla mnie więcej – ciągnie dalej wąsacz.

Pokiwałem w milczeniu głową i pomyślałem: Jeżeli moja urocza, rodzinna i czysto polska Ropica na Śląsku z jednym Niemcem, właścicielem folwarku, baronem Hermanem von Kuenburg ma wrócić do Polski, to twoje czysto ukraińskie Wereszyce winne być rządzone przez twoich.

Tylko co zrobić z takimi regionami jak lwowski i złoczowski, gdzie mieszka chyba połowa Polaków? Co zrobić z samym Lwowem, gdzie większość Polaków? –

Dojeżdżamy do Mielnicy, mieściny leżącej między Dniestrem a uchodzącym tu do niego Zbruczem. Podjeżdżamy do komendy miasta, a stamtąd prowadzą nas do oficerskiego obozu jeńców. Zastałem w nim aż dwóch oficerów, to jest porucznika Kowala z małopolskiego pułku ułanów i – o dziwo – jednego z moich kolegów, z którym lizałem wspólnie rany frontowe i grałem w szachy jeszcze przed rokiem w szpitalu w Cieszynie, podporucznika Pustówkę Józefa z Cieszyna-Brandysu. Byliśmy umieszczeni w jakimś pokoju czy też celi więziennej w budynku sądowym. Byliśmy traktowani dobrze i humanitarnie. Otrzymaliśmy smaczne i obfite obiady, które nam dostarczał za zezwoleniem władz ukraińskich ofiarny komitet opieki nad polskimi jeńcami zorganizowany przez miejscowych Polaków. Pomieszczenie nasze było połączone drzwiami z przyległym biurem urzędu sądowego i co kilka dni dostarczał nam jakiś nieznany sympatyk przez dziurkę od klucza zwitek papieru, w którym w zwięzły sposób otrzymaliśmy wiadomości z walk z Ukraińcami i z Polski. Były one coraz pomyślniejsze. Oto przykład:

– Dywizja żeligowskiego dotarła z bolszewickiej Odessy przez Rumunię do kraju.

– Z Francji przyprowadził gen. Haller stutysięczną armię do Polski.

– Wojsko polskie ruszyło do nowej wielkiej ofensywy przeciw Ukraińcom.

– Tarnopol znów zdobyty i jest w rękach polskich.

Wiadomości te sprawiały nam ogromną radość. Podczas przechadzek obserwowaliśmy bacznie wszystkich spotykanych ludzi z nadzieją, że się skontaktujemy z tym naszym sympatykiem, który na pewno był Polakiem. Liczyliśmy na jego pomoc przy ucieczce z niewoli. Niestety nie udało się nam. Na odwrót. Pewnie go przyłapali, bo wiadomości przez dziurkę od klucza przestały nadchodzić. Równocześnie zostaliśmy niespodzianie wtrąceni do ciemnej i wilgotnej celi miejscowego więzienia z masywną kratą stalową w maluteńkim okienku i potężnymi drzwiami. Nie otrzymywaliśmy już obiadów od polskich rodzin Mielnicy. Musiała nam wystarczyć jeden raz dziennie podawana jakaś zupka i kawał chleba. Znalazło się raz w tej zupie coś niedobrego, bo wszyscy w trójkę zachorowaliśmy na żołądek. Leżeliśmy pokotem obok siebie w celi na twardych deskach. Oblazły nas wszy i mieliśmy silną gorączkę. Za kilka dni dopuszczono do nas polską siostrę zakonną z lekarstwami, po których nam gorączka trochę opadła. Po dwóch dniach odczułem nawet apetyt i chęć do życia. Nazajutrz znów nas odwiedziła ta sama zakonnica. Podała nam lekarstwa, a przed odejściem dawała nam jakieś tajemnicze znaki. Wyczuwałem, że dzieje się coś niezwykłego. Nazajutrz w południe wpada do celi naszej jakiś oficer ukraiński i spogląda na nas badawczo. Siedziałem wówczas na pryczy i spożywałem przed chwilką dostarczoną zupę, a Pustówka i Kowal stękali i leżeli jak łazarze. Po odejściu oficera odprowadzono, a raczej odwleczono ich gdzieś (od Pustówki się przy spotkaniu w Cieszynie dowiedziałem, że do lazaretu, z którego udało im się zbiec), a mnie eskorta poprowadziła do ogona odpoczywającej kolumny wojskowej, która niebawem ruszyła na wschód. Przekroczyliśmy Zbrucz i już na terenie byłej Rosji carskiej maszerowaliśmy na Kamieniec Podolski. Na szosie chaos, zgiełk i harminder. Wojska ukraińskie wycofywały się na wschód i zrozumiałem, że jestem świadkiem epilogu bratobójczych walk polsko-ukraińskich o posiadanie Lwowa i wytyczenie południowo-wschodnich granic Rzeczypospolitej.

Byłem bardzo osłabiony po chorobie i ledwie się wlokłem. Po kilku dniach marszu dotarliśmy do Winnicy, a stamtąd skierowano mnie do Mohylewa Podolskiego, gdzie miał być obóz jeńców polskich. Okazało się jednak, że żadnego obozu jeńców tam nie ma, lecz znajdowało się tam kilka ich drobnych grupek, których używano w jednostkach ukraińskich do cięższych robót, a kwaterowały one pod eskortą w specjalnie wydzielonych pomieszczeniach tych jednostek.

Szmat drogi przemaszerowałem po tych pięknych ziemiach kresowych w tej niezapomnianej dla mnie kampanii. I wiele się przeżywało w czasie tej tułaczki. Sporo przygód ciekawych, smutnych i wesołych a bardzo często naprawdę bolesnych.

Podczas mej jenieckiej tułaczki, podczas długiego przemarszu z Mielnicy do Mohylewa Podolskiego próbowałem kilka razy zbiec.

W pierwszym dniu po odmarszu z Mielnicy nocowaliśmy w niedaleko od Kamieńca położonej mieścinie Dunajewicze. Skorzystałem w pewnej chwili z nieobecności eskorty, wyleciałem na podwórko z naszej stajni i pobiegłem na oślep przez duży dziedziniec zapełniony wozami konnego taboru. Zwróciłem jednak rychło na siebie uwagę moim odmiennym mundurem i zachowaniem się, co zauważył żandarm polowy pilnujący jakiejś budowy na tym dziedzińcu oraz kilku taborytów. Zatrzymano mnie i odprowadzono z powrotem. Oberwałem przy tym masę mocnych kopniaków i szturchańców i potężnych uderzeń kolbami karabinowymi. W następnym dniu maszerowałem z opuchliznami i siniakami. Próbowałem ucieczki jeszcze trzy razy, ale niestety zawsze zostałem złapany. W tych wypadkach obyło się na szczęście już bez bicia.

W Mohylewie Podolskim byłem jedynym jeńcem-oficerem. Traktowano mnie humanitarnie i przydzielono specjalnego podoficera do eskorty. Nazywał się Tabaczuk i pochodził z samego Lwowa. Tabaczuk był dla mnie łagodny i grzeczny. Chodziliśmy codziennie na dłuższe przechadzki do podmiejskich naddniestrzańskich sadów i pożeraliśmy masy dojrzałych i przedniej jakości moreli, których tu pełno. Moje łakomstwo i obżarstwo odchorowałem jednak krwawą biegunką, która męczyła mnie dłuższy czas. Lecz nadal chodziłem na te morele. Bardzo często już sam, bez eskortującego.

Od Tabaczuka nauczyłem się alfabetu ukraińskiego i czytałem prawie codziennie ukraiński dziennik, którego tytułu nie pamiętam. W jednej z obszerniejszych notatek prasowych dowiedziałem się o pierwszym powstaniu na Górnym Śląsku i jego zdławieniu przez Niemców. A więc coś się na Śląsku dzieje. O Śląsku Cieszyńskim jednak żadnych komunikatów nie było. Doczytałem się natomiast o tymczasowej polsko-ukraińskiej granicy na rzece Zbrucz. To było dla mnie ważne.

W Mohylewie Podolskim zaprzyjaźniłem się z polskim jeńcem Pietrzakiem, wielkopolskim ochotnikiem. Rąbał stale drzewo przy żołnierskiej kuchni polowej. W czasie wojny służył w niemieckiej marynarce wojennej. We wrześniu umówiliśmy się, że uciekniemy przez Rumunię do Polski. Od Polski dzieliła nas przecież daleka przestrzeń do Zbrucza, natomiast od Rumunii tylko płynący głębokim i szerokim korytem przez Mohylew Dniestr. Pietrzak upatrzył już łódź rybacką na przedmieściu Mohylewa, którą przepłyniemy rzekę na stronę rumuń-

ską. Miał już zrobione dwa wiosła, które ukrywał w gąszczach ogrodu, gdzie rąbał drwa do opalania kuchni.

W umówiony wieczór spotkaliśmy się w tym ogrodzie. Przed odejściem powiedziałem Tabaczukowi, że udaję się do sadów na morele. Niczego nie podejrzewał. Pietrzak zmylił czujność Ukraińców, symulując chorobę. Po kolacji nie rąbał już drewna na ugotowanie śniadania, podstawił kolegę, nie poszedł już na kwaterę i razem zniknęliśmy w zalegających ciemnościach w ogrodzie. Przebraliśmy się tam w jakieś cywilne łachmany, które Pietrzak trzymał ukryte w krzakach, zabraliśmy wiosła i cichuteńko poszliśmy na upatrzone miejsce. Czekaliśmy do chwili, kiedy w chacie rybaka zgasło światło i stęknęła zapora w drzwiach. Po zejściu do rzeki sprawdziliśmy, że łódź jest niestety niemalże pełna wody i jest łańcuchem i kłódką przymocowana do jakiegoś drzewa na brzegu. W łódce znajdował się jakiś kubeł i Pietrzak zaraz zaczął wodę z łódki wylewać. Ja natomiast poszedłem poszukać jakiegoś narzędzia, jakiejś paki na wyrwanie łańcucha z łódki. Pomimo ciemności zobaczyłem nagle jak spoza sąsiedzkich zabudowań wyskakuje trójka ludzi i biegną w kierunku łodzi i Pietrzaka. Pietrzak zdążył jednak skoczyć do Dniestru i płynąc przez rzekę krzyczał: Uciekaj!

Padały za nim gęste strzały. Były jednak niecelne i Pietrzakowi udało się do Rumunii przepłynąć. Spotkałem się z nim kilka razy po wojnie. Pracował w zakładach Cegielskiego w Poznaniu. Zmarł niestety w 1930 r. na udar.

Ja oczywiście rzuciłem się do ucieczki. Strzelano i wołano za mną. Terenu nie znałem, więc leciałem na oślep i jakoś mijałem wszystkie przeszkody w ciemnościach.

Tej nocy przebyłem polami kawał drogi. Musiałem być ostrożny, więc i dalszą wędrówkę kontynuowałem tylko w nocnym czasie. Przez dzień odpoczywałem w stogach słomy, lecz najczęściej na skrajach lasów. Karmiłem się kaczanami kukurydzy i jabłkami lub gruszkami. Ludzi unikałem, chociaż władałem już dość poprawnie językiem ukraińskim. A może bym wcale nie wzbudzał podejrzeń, gdyż byłem brudny i ubrany w ukraińską „gimnasciorkę" i jakieś parciane spodnie.

W czwartym dniu pod wieczór znalazłem się kilka kilometrów od Kamieńca Podolskiego. Przenocowałem w stogu słomy, a następnego dnia przekroczyłem o zmroku przez nikogo nie zatrzymany graniczny Zbrucz. Było suche lato i jesień, więc stan wody był niski i tylko w jednym miejscu zanurzyłem się po piersi.

Oddaliłem się od rzeki kilkadziesiąt metrów, rozglądam się dookoła, lecz nie widzę i nie słyszę nikogo, więc nawołuję głośno. Dopiero wtedy się z krzaków przede mną odezwało: „Nie drzyj się tak do jasnej cholery i podejdź bliżej!" Byłem naprawdę w Polsce. *c.d.n.*

ALOJZY NOWOK

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (4)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

W nowym miejscu zamieszkania nie ustały różnorakie zabiegi rodziców o utrzymanie rodziny. W niektórych sprawach nastąpiło nawet pogorszenie naszej sytuacji ekonomicznej. Przede wszystkim zabrakło ogrodu warzywnego i działki (8 arów), które w Karwinie dostarczały wielu tanich produktów żywnościowych. Trzeba było zatem szukać nowych źródeł zaopatrzenia. Oczywiście cały ten ciężar spoczął znowu głównie na matce. Najmowała się ona do różnych prac polowych u okolicznych rolników (przeważnie u Józefa Firli), otrzymując za to skromne wynagrodzenie, głównie w naturze. Żeby zdobyć trochę pieniędzy, pracowała również przy młócce we wspomnianym dworze Larischa. Bardziej systematyczną zapłatę, choć również skromną, otrzymywała matka za sprzątanie gabinetu u lekarza Kożdonia. Także ja wynajmowałem się do pasienia krów, ale to nie przynosiło w zasadzie żadnych materialnych korzyści. Na przykład u wspomnianego siedloka Firli przez całą jesień pasłem kilka godzin dziennie 5 krów, prowadząc je na łańcuchach po miedzach i pastwiskach. „Zapłacił" mi za to oprócz codziennych swaczyn paczuszką włoskich orzechów, które dał mi wspaniałomyślnie – niby to w prezencie – z okazji Wigilii. Matka była oburzona takim postępowaniem Firli, ale nic nie mogła wskórać. Takie to były czasy.

W ziemniaki na zimę zaopatrywaliśmy się we dworze, który umożliwiał ich nabycie w tzw. systemie „na odrobek". Polegało to na tym, że folwark przygotował areał pod ziemniaki (orka, mechaniczne uformowanie rzędów) oraz dostarczył sadzeniaków, zaś sadzenie, dwukrotne ręczne okopywanie i plewienie oraz wykopanie ziemniaków należało do „odrabiającego". Za tę pracę dwór dzielił się plonami ziemniaków w stosunku: 6 koszy dla dworu – 1 kosz dla „odrabiającego". Ta transakcja wymagała zatem znacznego wysiłku w stosunku do osiągniętej korzyści. W tej „akcji" brałem wraz z braćmi również udział, pomagając matce zwłaszcza przy plewieniu i wykopkach. Z tej formy zaopatrywania się w ziemniaki na zimę korzystało wiele rodzin.

W dalszym ciągu matka wypiekała chleb według dawnej receptury (mąka „gładka" i „chora" z dodatkiem gotowanych ziemniaków), korzystając z kolonijnego piekarszczoka. Z tamtym chlebem kojarzę do dziś drobny epizod, jaki przydarzył mi się podczas pierwszej w moim

◀ *fotografika FRANCISZEK BAŁON*

życiu wycieczki w Beskidy. Nasza piąta klasa wraz z czwartą, w której był brat Mietek, urządziła wycieczkę na Kozubową. Matka dała nam do plecaka (przez nią uszytego) kromki chleba posmarowane tłuszczem przyrządzonym przez nią według wspomnianej receptury. Kiedy na szczycie rozpakowaliśmy nasz prowiant, okazało się, że mamy tylko same okruszyny. Wybieraliśmy je z plecaka i zajadaliśmy. Zobaczyli to siedzący niedaleko nas nauczyciele Jan Baron i jego żona Pelagia (wychowawczyni klasy Mietka) i dali nam bułki i puszkę sardynek. Nie chcieliśmy tego przyjąć, ale niejako zmusili nas do tego. Bardzo nam smakowało, ale i nasze okruchy zjedliśmy później również ze smakiem.

W Suchej Górnej nie mieliśmy także warunków do utrzymywania kozy. Szczęśliwym jednak zbiegiem okoliczności darmowe mleko otrzymywaliśmy z miejscowego dworu, za które jednak płacił bodajże urząd gminny. Dwa razy w tygodniu ja lub starszy brat odbieraliśmy 1 litr mleka o godz. 6 rano, bezpośrednio po skończonym udoju we dworze.

Pewne zmiany nastąpiły w zakresie naszego przyodziewku. Oczywiście w dalszym ciągu przejmowaliśmy „schedę" po starszych z rodzeństwa. Tymczasem jednak po wizycie u nas ciotki z Wiednia (siostra ojca), nastąpiła pewna „rewolucja", nie bardzo przez nas aprobowana. Ciotka była dość zamożna, wujek bowiem prowadził w Wiedniu zakład kominiarski. Mieli jedynaka w moim wieku. Ciotka zaczęła przysyłać od czasu do czasu używaną odzież naszego kuzyna. Dla nas byłoby to korzystne, gdyby nie fakt, że ta odzież była czasami jak na górnosuskie gusty bardzo ekstrawagancka. Otrzymywaliśmy w paczkach różne stylizowane stroje tyrolskie, z ozdobnymi wyłogami i guzikami, krótkie spodnie skórzane z szerokimi haftowanymi na piersiach szelkami, fikuśne kapelusiki, kolorowe podkolanówki itp. Nie chcieliśmy w to się ubierać, by nie narazić się na pośmiewisko rówieśników. Pamiętam, gdy pewnego razu w okresie silnych mrozów, idąc do szkoły, byłem zmuszony ubrać jakiś bardzo kolorowy „wiedeński" płaszcz. Szedłem wtedy okrężną drogą, także przez zaśnieżone pola, aby tylko nie spotkać się z kolegami, a raczej z koleżankami. Ów płaszczyk bowiem, który zdjąłem już przed szkołą, przypominał raczej dziewczęce okrycie. Także najmłodszy brat Mietek, by nie chodzić już dłużej w skórzanych krótkich spodniach tyrolskich, celowo je przedarł.

W Suchej Górnej miałem więcej okazji do zabaw niż w Karwinie. A może mi się to dziś tylko tak wydaje. Byłem wtedy już starszy, bardziej samodzielny i bardziej ciekawy świata. Hajndrychów był swego rodzaju enklawą, trochę odciętą od reszty karwińskich osiedli. Sucha zaś miała charakter wiejski, dający dzieciom większą możliwość włóczęgi po miedzach, zaroślach czy lesie. Niedaleko domu znajdowało się

małe boisko otoczone zaroślami, zwane Chrostem. Było to miejsce, w którym spotykały się dzieci różnego wieku z kolonii i okolicznych domów. Tutaj odbywały się różne zabawy, gonitwy, gry z piłką itp. Podobne zabawy urządzaliśmy na boisku „Lechii". W lecie chodziliśmy do sąsiednich Olbrachcic kąpać się w Stonawce pod mostem kolejowym. W żywocickim lesie zbieraliśmy grzyby. Wiele przyjemności dostarczały też ćwiczenia w młodzikach „Sokoła", które prowadził w sali gimnastycznej w szkole wydziałowej Alojzy Szołtys. Należałem też do harcerstwa. Ciekawe zbiórki organizował nasz drużynowy Józef Palowski (późniejszy nauczyciel w Górkach Wielkich). Bolałem tylko, że nie mogłem mieć harcerskiego mundurka. Tamte lata wspominam jednak mimo wszystko jako szczęśliwe.

W 1938 roku brat Józek po ukończeniu 4 klasy szkoły wydziałowej został przyjęty do 5 klasy Polskiego Gimnazjum w Orłowej (szkoła 8-letnia). Tak więc już drugi członek naszej rodziny znalazł się w szkole średniej (brat Janek ukończył to gimnazjum w 1931 roku). Dziś muszę przyznać, że mimo tych bardzo trudnych warunków materialnych nasi rodzice, sami posiadający zaledwie kilka klas szkoły ludowej, czynili wówczas, a także i później, wiele starań i poświęceń, byśmy mogli zdobyć solidne wykształcenie. W tym samym roku ja rozpocząłem naukę w 3 a Mietek w 2 klasie suskiej „wydziałówki".

I oto w październiku byliśmy świadkami przyłączenia Zaolzia do Polski. Nie mnie oceniać dziś aspekt polityczny tego wydarzenia. Wtedy jednak jako 13-letni chłopak, wychowany w polskiej patriotycznej rodzinie górniczej i w polskiej szkole (kładącej również duży nacisk na wychowanie patriotyczne), przeżywałem ów fakt entuzjastycznie, podobnie zresztą jak olbrzymia większość społeczności zaolziańskiej. Zajmowanie Zaolzia przez polskie wojsko odbywało się w dwu etapach. W pierwszym wojsko zajęło tereny po linię Stonawki. Nie czekając na jego przybycie do Suchej Górnej, postanowiliśmy wraz z kolegą Oswaldem Krakowczykiem (w czasie wojny wcielony do Wehrmachtu zaginął bez wieści) przedrzeć się do polskiego wojska stacjonującego w Olbrachcicach na prawym brzegu Stonawki. Bez przeszkód przeszliśmy przez most drogowy, gdzie po lewej stronie na niewielkim wzniesieniu zobaczyliśmy polskiego żołnierza stojącego na warcie. Gdy dowiedział się, że przyszliśmy tu zobaczyć polskie wojsko, przekazał nas innemu żołnierzowi, by zaprowadził nas do oficerów. Ci przyjęli nas bardzo serdecznie w namiocie wojskowym i powiedzieli, że niebawem przybędą do Suchej. Na pamiątkę tego spotkania dali nam żołnierskie guziki z orzełkiem, które potem, chwaląc się, pokazywaliśmy kolegom. Powrotną drogę odbyliśmy również bez jakichkolwiek przeszkód, nie spotykając ani jednego czeskiego żołnierza. Oczywiście tę eskapadę od-

byliśmy bez wiedzy rodziców, ale nie czynili nam z tego powodu żadnych wymówek, wręcz odwrotnie – wypytywali o różne szczegóły naszego spotkania.

Niebawem powitaliśmy polskie wojsko w Suchej Górnej. Było wiele przemówień, oklasków, radości. Część wojska stacjonowała tu przez dłuższy czas, co dawało nam, dzieciom, wiele okazji do spotykania się z żołnierzami. Z tamtych czasów utkwiła mi w pamięci wojskowa uroczysta msza polowa (chyba z okazji Święta Niepodległości w dniu 11 listopada) celebrowana przez naszego proboszcza (także katechetę) ks. dziekana Jakuba Gazurka. Odbyła się ona na wypełnionym po brzegu boisku Lechii. Oprócz wojska uczestniczyli w niej suszanie oraz młodzież szkolna. Zbudowany przez wojsko ołtarz tonął w kwiatach, zaś jego tło tworzył jakiś obraz religijny otoczony promieniście wachlarzem z karabinów wraz z osadzonymi na nich bagnetami. Grała orkiestra wojskowa, ważniejsze zaś momenty nabożeństwa podkreślano solowymi melodiami na trąbce oraz werblami. Całość sprawiała nie tylko na mnie wielkie wrażenie. Na tym samym boisku wojsko zorganizowało także dla ludności wieczór artystyczny ze śpiewami, deklamacjami, humorystycznymi kupletami i inscenizacjami.

W tym czasie nasza sytuacja materialna uległa zdecydowanej poprawie. Po wyprowadzeniu się do Protektoratu zarządzającego domami dla emerytów wspomnianego Mam(a), jego funkcję powierzono ojcu. Tym samym mogliśmy się przeprowadzić do przeznaczonego dla administratora mieszkania. Składało się ono z kuchni i dużego pokoju, których łączna powierzchnia była dwukrotnie większa od poprzedniej naszej izby. Równocześnie przyznano ojcu miesięczną pensję w takiej samej wysokości, jaką pobierał Mamčar (1000 kč), przeliczając ją na złote. Ponieważ ówczesny kurs złotówki w stosunku do korony wynosił 1 : 6,25, miesięczne wynagrodzenie ojca wynosiło 160 zł. W takim samym stosunku przeliczono emeryturę : 200 kč = 32 zł. Nasz budżet domowy powiększył się zatem 6-krotnie. Dużą pomoc stanowiło również stypendium, jakie uzyskał Józek na pokrycie kosztów utrzymania w orłowskiej bursie.

Do obowiązków ojca jako administratora należała kontrola wykonywania przez lokatorów obowiązkowych dyżurów w zakresie utrzymywania czystości w korytarzach, klatkach schodowych i wokół budynków, zlecanie fachowcom różnych napraw (np. instalacji wodnej itp.), przede wszystkim zaś inkasowanie i odprowadzanie należności za czynsz, elektryczność i wodę wraz z prowadzeniem stosownej dokumentacji kancelaryjnej (wystawianie pokwitowań, prowadzenie kontroli wpłat itp.).

W maju 1939 roku zostałem wytypowany przez szkołę na kilkudnio-

wą wycieczkę do Warszawy. Akcja ta odbyła się pod hasłem "Dzieci Zaolzia witają Stolicę". Specjalnym pociągiem wyjechało wtedy tysiąc uczniów z całego Zaolzia. Po przyjeździe do Warszawy cała ta zaolziańska grupa przemaszerowała w barwnym korowodzie ulicami stolicy, owacyjnie witana przez mieszkańców. Tutaj zamieszkaliśmy u miejscowych rodzin. Mnie zabrała do siebie rodzina kolejarska z Targówka posiadająca syna w moim wieku. Grupami zwiedzaliśmy Zamek, Belweder, Łazienki, Muzeum Wojskowe i in. Mieliśmy także wystąpić w Warszawie z przygotowanym jeszcze w szkole programem artystycznym. Ja miałem recytować obszerny fragment „Przednówka" Pawła Kubisza. Przez cały czas trwania wycieczki odczuwałem wielką tremę przed tym występem. Uspokoiłem się dopiero wtedy, gdy oznajmiono nam, że ów popis z jakichś względów nie może dojść do skutku. Odetchnąłem z ulgą.

Przed wakacjami zdawałem egzamin do 2 klasy orłowskiego gimnazjum (już 6-letniego). Przedtem przez cały rok szkolny uczęszczałem na lekcje łaciny, których udzielali mi (bezpłatnie!) nauczyciele S. Kica i R. Godula. Zostałem przyjęty, chociaż pewne zastrzeżenia miał profesor egzaminujący mnie z języka niemieckiego. Ciesząc się z przyjęcia i przyznanego mi równocześnie stypendium, nie przypuszczałem wówczas, że od nowego roku szkolnego przyjdzie mi pobierać „nauki" od innych „profesorów" posługujących się właśnie językiem niemieckim. A „edukacja" ta miała trwać blisko 6 koszmarnych lat.

c. d. n.

fot. FRANCISZEK BAŁON

SPOTKANIE Z WARSZAWĄ

Rok 1939 dla mnie i mojego rocznika zapowiadał się pomyślnie. Kończyłem wykształcenie podstawowe a przede mną bogaty wybór dalszej mojej edukacji. Ten entuzjazm i perspektywę lepszego jutra spowodowało to, że do nas Polaków na Śląsku za Olzą przyszła ukochana Ojczyzna–Polska. Nam młodym nie w głowie było politykowanie. Nie mieliśmy pojęcia o rozgrywkach polityków, jakie w tym czasie prowadzone były w licznych państwach Europy. Z Polską wiązaliśmy nasze nadzieje na lepszą przyszłość.

Kończyłem 4 klasę szkoły wydziałowej w Karwinie–Solcy. Jako wyróżnienie za dobrą naukę i pracę w organizacjach młodzieżowych miałem zaszczyt uczestniczyć w wycieczce dla najlepszych uczniów szkół zaolziańskich – w SPOTKANIU Z WARSZAWĄ.

Pociąg z delegatami szkół polskich z Zaolzia zajechał na pięknie ozdobiony Dworzec Główny zapełniony warszawską młodzieżą, która nas bardzo serdecznie przywitała. Było to niezapomniane przeżycie. Poszczególne delegacje szkolne zostały przydzielone warszawskim szkołom. Nasza szkoła – karwińska – gościła w szkole na Żoliborzu przy ulicy Krasińskiego. Tu również spotkało nas gorące powitanie, były śpiewy, deklamacje i serdeczne rozmowy z uczniami i ich rodzicami. Gościnnie przyjęci zostaliśmy w domach rodziców uczniów warszawskich.

W drugi dzień naszego pobytu braliśmy udział w obchodach Święta 3 Maja, zaś w godzinach popołudniowych uczestniczyliśmy w festynie w dzielnicy Żolibórz. W trzecim dniu zorganizowano nam autokarową wycieczkę w celu zwiedzenia Warszawy. Odbyło się spotkanie wszystkich uczestników w ratuszu z prezydentem miasta Warszawy Stefanem Starzyńskim. Było to dla mnie wspaniałe przeżycie. W następnym dniu przewidziano dla nas zwiedzanie Muzeum Wojska Polskiego, a wieczorem oglądaliśmy w teatrze sztukę Bałuckiego „Grube ryby" we wspaniałej obsadzie z Ćwiklińską, Barszczewską i Żabczyńskim. Po spektaklu mieliśmy okazję spotkania z aktorami. W następnym dniu zwiedzaliśmy Wilanów. Wieczorem harcerze szkoły opiekujący się nami zorganizowali wspólne ognisko na placu szkolnym i wspólną zabawę, w czasie której zadzierzgnęły się między nami serdeczne więzi przyjaźni.

Pożegnanie wszystkich grup szkolnych odbyło się na Dworcu Głównym w Warszawie, gdzie wymienialiśmy adresy i zapewnialiśmy się o wzajemnej przyjaźni na dobre i złe. Tu w Warszawie po raz pierwszy usłyszeliśmy o zagrożeniu wojennym ze strony Niemiec hitlerowskich. W drodze powrotnej dzieliliśmy się wrażeniami z kolegami z innych szkół. W pociągu zdarzyła mi się niemiła przygoda. Do mojego pamiętnika wpisała się jedna z koleżanek, uczestniczka naszej wycieczki, w języku niemieckim. Było to dla mnie szokujące zdarzenie. Wtedy skojarzyłem sobie to zajście z hasłami widniejącymi na murach Warszawy, że *Wróg jest wszędzie i trzeba być czujnym.*

WŁADYSŁAW SMOLARZ

Uczniowie Szkoły Wydziałowej z Karwiny–Centrum na wycieczce w Warszawie 3 maja 1939 roku. U góry: przed budynkiem szkoły na warszawskim Żoliborzu, niżej: przed Muzeum Wojska Polskiego.

WIEŚ BŁĘDOWICKA W XVIII WIEKU

O XVIII-wiecznych właścicielach Błędowic wiemy dosyć dużo, informacje te pozostają w ścisłym związku z reformacją i kontrreformacją. O mieszkańcach wiemy tylko tyle, że żyli w poddaństwie, że w sprawach religii byli posłusznymi wobec właścicieli wsi rodów Marklowskich.

Jak podają źródła z pierwszej połowy XVIII wieku, w Dolnych Błędowicach było 88 poddanych, 15 zamożnych rolników zwanych siedlakami. 73 mniej zamożnych zagrodników oraz najuboższych chałupników z rodzinami. Zagrodnicy gospodarowali na zagrodzie - w domu wiejskim z podwórzem i zabudowaniami gospodarskimi, chałupnicy to bezrolni posiadający tylko chałupę z obejściem i ogrodem. Oprócz nich pole obsiewali i bydło hodowali również komornicy - kategoria robotników rolnych zamieszkała w wynajętym mieszkaniu u swojego pracodawcy.

Pierwsze wiarygodne dane o obywatelach i domach Błędowic pochodzą dopiero z roku 1847, a więc krótko przed zniesieniem pańszczyzny. Żyło tu wtedy 1711 osób w 220 domach oraz 347 komorników, z których 317 zajmowało się rolnictwem, reszta rolnictwem i rzemiosłem.

Do majątku ziemskiego należały również dwa dwory, dwa młyny i 12 stawów rybnych. Zwierzchnictwo korzystało z prawa wyłączności produkcji, ze sprzedaży piwa i gorzałki. W ówczesnym krajobrazie zastanawia duża ilość stawów rybnych w posiadaniu właściciela wioski. Najwięcej tych stawów było na podmokłych łąkach w dolinie Łucyny i potoka Strużnik. Świadectwem tego jest pozostałość po usypanej z gliny grobli pod dzisiejszym stadionem Hawierzowa oraz przed kilkudziesięciu laty istniejące na łąkach przepusty zwane przez miejscową ludność „pidła". O sprawne funkcjonowanie tego urządzenia troszczył się stawowy.

W drugiej połowie XVIII wieku specjalna komisja urbarialna miała do dyspozycji spis powinności poddanych, tzw. urbarium. Według tego spisu ilość poddanych nie zmienia się, ulega zmianie tylko ich struktura.

Oprócz zbóż, owsa i żyta, do najważniejszych uprawianych produktów rolnych należała „poganka", fasola i kapusta. O pile i dwóch młynach istnieje wzmianka w dokumentach XVIII-wiecznych. Były to młyny wodne do mielenia zboża na mąkę, które przetrwały do XIX wieku i znajdowały się nad rzeką Łucyną. Jeden z nich był w posiadaniu Józefa Pawlicy, pracował jeszcze na początku XX wieku, drugi z tego okresu należał do Ryszki, był przy moście, który zabrała woda i prawdopodobnie dlatego również przestał istnieć.

Błędowice były również ośrodkiem rzemiosła. Ewidencja z pierwszej połowy XIX wieku wykazuje, że wprawdzie było tu tylko trzech tkaczy,

którzy wyprodukowali 350 sztuk płótna domowego, inne źródła mówią o bogatej tradycji rzemiosła garncarskiego, pierwsze wzmianki na ten temat pochodzą już z XVII wieku.

Rozwój garncarstwa w Błędowicach i Datyniach przypada na XVIII wiek, kiedy tym rzemiosłem trudniło się 50 rodzin. Jego rozwój umożliwiała glina dobrej jakości. Na błędowicką ceramikę użytkową, chociaż skromnie dekoracyjną, był na targowiskach znaczny pobyt. Jej produkcja zanika w pierwszym dziesięcioleciu XX stulecia.

Dla pieczęci Błędowic z pierwszej połowy XVIII wieku charakterystyczny jest lemiesz oraz czółenko tkackie. Tkactwo było tu kiedyś bardzo rozpowszechnione. W domowych warsztatach pracowano dniem i nocą. Wyrabiano grube płótna z przędzy konopnej oraz cieńsze, tzw. „surowioki" z nici lnianych, później bawełnianych. Towary wykańczano w fabrykach frydeckich, gotowe sprzedawano.

Pokolenie, do którego należę, z ust starki dowiadywało się między innymi o tym, że półfabrykaty z domowych warsztatów tkackich na piechotę i na plecach dostarczano z Błędowic do obróbki do Frydku, zaś moi rówieśnicy przypominają sobie wycieczki z błędowickiej ludówki do Datyń, gdzie ostatni z miejscowych garncarzy demonstrował swoją sztukę garncarską. Były to jeszcze czasy, kiedy chałupnik Bałon z Międzydola ze swojej drewnianej chałupy jednokonnym zaprzęgiem rozwoził po jarmarkach gliniane „banioki". A jak to w XVIII wieku było naprawdę, wyczytać można w kronice miejscowego nauczyciela Jana Kasperlika, który pisał ją w języku niemieckim i złożył w błędowickiej katolickiej parafii.

ANDRZEJ PAWLAS

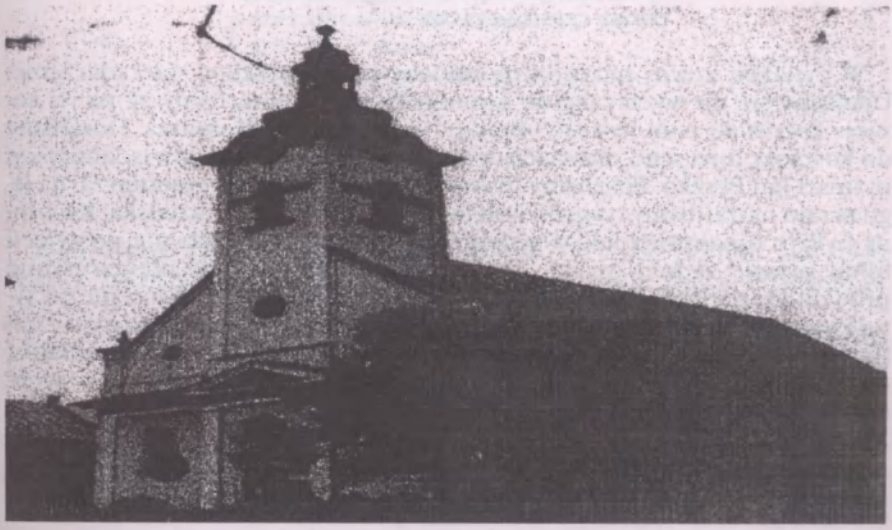

fot. FRANCISZEK BAŁON

POETA SPOD KOZUBOWEJ

Materialiści twierdzą, że człowieka kształtuje środowisko. Nie wiem, gdzie ówczesni autorzy tego poglądu szukali przykładów dla swej tezy. Jej dzisiejsi zwolennicy znaleźliby bardziej niż naoczny przykład w Janie Pyszce z Nawsia i Potoków zarazem (nie mówcie przy nim o Jabłonkowie, on jako lokalny patriota niechętnie to słyszy). Dowodu na to, iż środowisko kształtuje człowieka, należy upatrywać przede wszystkim w jego domu rodzinnym. Z okien swej wilki ogląda swój najbliższy świat, z jednej strony widzi płynący potok, z innej obserwuje pasmo Beskidów, któremu przewodzi rozsiadła Kozubowa. A gdzieś pośród tego szereg pojedynczych domów należących do pobliskich osad. Oto krajobraz środowiska, w którym poeta nie tylko żyje, ale który równocześnie znajduje odbicie w jego poezji. Realia środowiska Pyszki są zarazem realiami tematycznymi jego twórczości poetyckiej. Beskidy, Kozubowa oraz pobliskie wsie są częstym tematem jego wierszy. W tym sensie jest Jan Pyszko poetą regionalnym - regionalnym w lepszym tego słowa znaczeniu. Przywiązanie do kraju rodzinnego jest wyrażone w niejednym jego wierszu. W miniaturze nazwanej „Kościółek w Gutach" ma na przykład taki wyraz:

Jesteś jak szum wiosny
modrzewiowy
a my w tobie
jak beskidzka kantata żywicy
(...)
W korzeniach pochylonych krzyży
coraz częstsza cisza

W związku z tym przypomnę choćby jedno pyszkowskie zdarzenie. Udaliśmy się na wycieczkę do Łomnej Górnej i dotarliśmy aż na jej koniec. Pozostało nam jeszcze obejrzenie kościoła i cmentarza. Doszliśmy do kościoła, a na jego drzwiach wisiał świeży nekrolog, zawiadamiający, iż zmarł Jan Pyszko. Poszliśmy w stronę przeciwległego cmentarza, na jego skraju natrafiliśmy na grób kolejnego nosiciela tego nazwiska. Ktoś inny byłby co najmniej lekko wstrząśnięty, lecz Jan Pyszko nie poświęcił temu prawie żadnej uwagi. Chyba dlatego, że ma swe niewzruszone prawdy, które przenikają także jego poezję. Znajdują wyraz również w tytule jednego ze zbiorów poetyckich („Słowa jak kamienie") i bardzo często w zakończeniu wierszy. „Ogród Beliala" na przykład kończy wzmianką o nadziei, o której wiemy, że ona umiera ostatnia. Nie inaczej jest w wierszu dedykowanym Wilhelmowi Przeczkowi:

Jakże zdrowe bywają myśli
z goryczy nagiej prawdy

Ziemia zaolziańska, gdzie Jan Pyszko mieszka, jest stosunkowo niewielkim obszarem, na którym żyje spora liczba polskich twórców i ludzi sztuki. Jan Pyszko ma z nimi nie tylko przyjazne stosunki – kontakty, lecz często ich w swej poezji szerzej lub bardziej skrótowo portretuje. O wierszu charakteryzującym Wilhelma Przeczka oraz podstawowe rysy jego poezji była już mowa. Podobnie jest w strofach poświęconych trzynieckiemu malarzowi Stanisławowi Krausowi, którego twórczy proces odpowiednio monumentalizuje:

W śląskich pęknięciach
skupiona ręka
delikatnie miesza zaczyn kształtu

Poezja Pyszki ma swą osobliwą motywację, której moim zdaniem najbardziej znamiennym jest element rąk i dłoni. Pojawia się we wszystkich jego zbiorach i kulminuje w dwóch wersjach poematu "Wycinki z prasy Chulio Cortazara". Wzmiankowany poemat ma siedem części, w ostatniej jest mowa o obciętych rękach nauczycielki Aidy Leonory Bruchstein, którą wraz z innymi podczas pewnej obławy wojskowej w 1975 roku zmasakrowali żołnierze armii argentyńskiej.

Jan Pyszko pisze o innych, lecz sam też kilkakrotnie staje się bohaterem poetyckiego portretu. Pisał o nim Harry Duda i Wiesław Malicki. Opolski poeta Malicki wyraził w swym wierszu atmosferę i środowisko, w którym Jan Pyszko żyje:

łyżkami jadłem gościnę
łapczywie wdychałem co swojskie
Obok pstrągami potok płynął
przez kamieniste dzieje
i gorolskie dusze
Dostojne progi domów
szeptały modlitwy
Jesienie i zimy
dymiły strzeliście
Panu Bogu w okno

Wiersz nosi tytuł „W Jabłonkowie–Nawsiu" i zaraz po nim następuje wiersz „Idąc za Słowackim". Czyż Pyszko może sobie życzyć lepszego sąsiedztwa?

FRANTIŠEK VŠETIČKA
UP Ołomuniec

(Mowa wygłoszona na sympozjum literackim 9 sierpnia 1997 roku poświęconym literaturze polskiej powstającej w Republice Czeskiej na Zaolziu). Przekład IJP

JAN PYSZKO

MIGOTY

Na
padole
migoty zegarynki osobliwej

Rytmy

Krzyk czasu
na oścież

SCENA

Pąsy
zapowiedź muzyki
jaśniejącej
Dnieje

Akordy
bez przerwy w uniwersum
w biorytmy maciupeńkiej
co bąkiem w nim i z nim
się kręci
mknie

Uwertura ciężarna
Rój nut
dzień w dzień noc co noc
żniwny
Natura i Ty
w niej i z nią los twój
brzemienny szczepami
Arie
tam–tamy
żywioł dziki
Tak chcesz Aż dziw bierze
a
wszędzie
tyle światła dobrej nowiny

Czyżby
mądre
do cna sczezło
potraciło głowy

W
żyłach przecież ogień serc
prawy
jak w NAGANO
kwiaty słońca
żywe

Potoki, 22. 02. 1998

POEZJA

Nie wiem

Być może
to
radość przebiśniegów
sól słowa
ogniem czysto zaprawiana
chleb prawy
nieczystym na wygnanie zsyłany

Być może
to
ból uśmiechu kamienia z wnętrza
ognistego wytchnięty
Piętrzy się teraz szczytami wyso-
ko
dramat natury
łańcuchem bezruchu zastygły

Być może
to
fortuna wyobraźni
niczym

ni słowem doścignionа

Potoki (czas przebiśniegów 1998)

PEŁNIA

Pawłowi z Brzegu

Nie
nie poskromisz żaru ognia
co
płomieniem
pali
rozpala gejzery światła
wulkany ciemności

A
ty
żarem żyłki orła
słowika jedyną
stale

granie
aż po samo górowanie

Brzeg (październik 1997)

WIESŁAW ADAM BERGER

Z BARCELONY DO MIESZKOWIC

(Pamiętnik pisany dniem i nocą)

20 IX 1995 – Moje prywatne spojrzenie, niczym z lotu ptaka, na mój współczesny, mniejszościowy świat zwany „Zaolziem", w którym się przed 69 laty urodziłem. Często, za często, czułem się tu jak Indianin w Ameryce, ale to już obecnie poza mną...

Według mojego skromnego zdania, mniejszość narodowa w państwie demokratycznym jest tyle warta, na ile ją z własnej woli stać. Jeżeli z powodu swoich braków i nieumiejętności nie powodzi jej się zbyt dobrze, zawsze będzie winiła z tego większość, czyli państwo, w którym żyje. Oczywiście, państwo też rzadko bywa bez winy. Zapomina o tym, że jego międzynarodową wizytówką są właśnie mniejszości, obywatele tego samego państwa. Mniejszość nie powinna zanadto czuć się mniejszością i nie powinna zamykać się w murach obronnych, bo to ją degraduje. Nie bardzo mądrze wychodzi, gdy na każdym kroku prowokacyjnie manifestuje się swą odrębność. O ile chce się w danym państwie żyć, trzeba się jakoś dostosować. Młodzi uciekają, nie chcą być mniejszością, chcą być wolni. Niemądre pojmowanie narodowości przeszkadza jej w rozwoju, poznaniu świata, ale także światła i mroków tego świata. Młodzi po prostu się urywają i na przekór zostają kosmopolitami, co dla starszych patriotów jest katastrofą.

Trzeba też pamiętać o dziejowej niesprawiedliwości. Historia jest pokrętną linią kłamstw i wątpliwych prawd. Po pierwszej wojnie światowej Czesi walczyli z Polakami, by dojść do Białki. Są tego dowody na orłowskim cmentarzu. Piłsudski wtedy walczył z bolszewikami. Czesi zawsze byli wielkimi słowianofilami, bo gnębili ich Germanie, więc wierzyli w Rosję. Palacký przewidział katastrofę, która sprawdziła się dopiero w lutym 1948 roku, a ostatecznie w sierpniu 1968 roku.

Polacy dążyli do *Ostrawicy granicy – Gruszów polski*. Tu (według polskiego myślenia) błędu nie było. To już wówczas na Zaolziu bratnie narody podcinały sobie gałęzie, na których sie-

działy, zdarzało się, że także gardła, zamiast iść (*chociaż się kochali patykami*, jak mawiał mój wujek Austriak) razem! Zapłacili za te swoje patyki w latach 1938 – 39, płacąc następnie do roku 1945, a na dobrą sprawę właściwie do roku 1989. Czesi zrozumieli, co to Związek Radziecki w roku 1948 a później w roku 1968. Oczywiście nie wszyscy. Z Polakami było tak samo. Tęskno niektórym nadal do komuny.

Współcześni Czesi, trzeba o tym pamiętać, nie są już Czechami z lat 1918 – 20, ani z lat 1948 i 1968. Oczywiście nie wszyscy, bo są nadal zawzięci patriot-szowiniści, których skleroza nie boli, ale wśród nas, Polaków, istnieją tacy sami i znowu chcieliby się pokochać kijami. Teraz już nawet Polacy między sobą. Sami swoi. Głupota nadal kwitnie.

Tradycja nienawiści. Wychowałem się wśród niej. Do dziś odczuwam tamte i przedtamte czasy. Mówiono tu po naszemu: Czesi – *ty hrómski Poloku*, zaś Polacy – *hrómski Czechu... Czech mioł na dupie plech, Polok mioł na rzyci bolok!* Internacjonalizm jak pierón! Trudno doszukać się w tym jakiejkolwiek „filozofii" – zabrakło niektórym ludziom rozumu. Więc nie chce mi się być mniejszościowcem, chcę być normalnym obywatelem – nie towarzyszem – Republiki Czeskiej i normalnym Polakiem w Polsce, ale także na Zaolziu, które w pewnym sensie jest dla mnie małą Europą.

O co my się tak naprawdę kłócimy, o co żeśmy się bili, a przedtem nawet zabijali – po co? Szło o te nasze „prawdy" i „racje"– o te kolorowe szmatki, które wywieszamy ponad naszymi głowami jako dumne sztandary? O co chodzi? O rację stanu? Jakiego znowu stanu? O granicę na Ostrawicy lub na Białce? O zabawę w ciuciubabkę? Jedna kolorowa szmatka krzywdzi inną kolorową szmatkę i to trwa już całe wieki. W końcu bojownicy, z jednej i drugiej strony, popatrzcie na siebie, przecież czeski i polski sztandar jest biało-czerwony.

Głupi – nadal wierzą w poranek...

Z Bogumina (Bohumín, Oderberg) jadę wreszcie przez most żelazny – w ciągu 50 lat władzy komuny nie używany. Chodzi o żelazny most kolejowy na rzece Odrze, granicy między dwu republikami słowiańskimi – Republiką Czeską a Rzeczypospolitą Polską. Później były jeszcze następne mosty graniczne między RP a RFN w Krajniku Dolnym.

Człowiek nigdy nie grał zbyt wielkiej roli. Urzędnicy z pistoletami są tu przekonani, że każdy przekraczający granicę może być mafistą lub czymś w tym rodzaju. Wobec tego nie mają sensu twierdzenia, że „prawa człowieka" zapewniają mu prawo pobytu

w jakimś państwie. Prawo istnieje, ale w rzeczywistości go nie ma. Można sprawy usprawiedliwić tylko tym, że na świecie jest więcej „hochsztaplerów" i bandytów aniżeli normalnych, porządnych ludzi. Zawsze Pani Bieda istnieje przede wszystkim dla porządnych ludzi? Być porządnym, znaczy być biednym?

Pochodzę z kraju zwanego ZAOLZIEM. Swoje pierwsze, jeszcze niemowlęce, kroki stawiałem w Błędowicach Dolnych: dolne znaczy częściej na dole aniżeli na górze. Natomiast Błędowice, jakby skłaniały do błądzenia. Błądzę więc pomiędzy niewiadomą a moim Zaolziem, które ostatnio zbyt często wyrzuca mnie za burtę. W tamtych latach za to, że nie potrafiłem się przystosować do czesko-polskiej komuny, a teraz za to, że nie potrafię się przystosować do tego ich „postkomunizmu", do „przewlykania kabotów", do bogoojczyźnianej miłości - polskości. Nigdy nie byłem komunistą, więc nie mogę być postkomunistą. Byłem i jestem indywidualistą pełen kontrastów i kontrowersji, chociaż zdarza mi się czasami być konformistą. Kiedyś, jeszcze w obozie, za drutami kolczastymi, za które wsadzili mnie Amicy, bo wzięli mnie za żołnierza Wermachtu - starałem się, idealista, uwierzyć w sprawiedliwość starego commies, zaolziańskiego Śliwki, ale wówczas nie miałem pojęcia, kim był Lenin, nie mówiąc o Stalinie i inych czerwonych faszystach. Nie miałem pojęcia o „Innym świecie" Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, nie wiedziałem, że istnieje generał Anders. Miałem lat 19 i chciałem kochać i być kochany, po prostu chciałem mieć dziewczynę. Błądziłem w błocie obozów pokoncentracyjnych - i ze złości, i na przekór, że nie chcieli mi uwierzyć, chciałem zostać komunistą. Wreszcie jednak zrozumieli i dali mi karabin. - Ty, polski - powiedzieli - idziesz z nami. - Poszedłem. Wreszcie byłem wśród swoich.

Ale teraz jadę poprzez ten niesamowity kraj, zwany Ziemiami Odzyskanymi - Ziemiami Obiecanymi. Właściwie cała ta egzotyczna przestrzeń - chyba większa od Republiki Czeskiej - rozpoczyna się już od mostu na Odrze w Chałupkach. Godzina jest bardzo wczesna - 4.28. Ciemno, bo to 20 września. Chałupki, Racibórz i świta, Kędzierzyn już dzień, Opole, Brzeg Dolny, Wołów (jadę przez Wołów, cieszcie się więc zaolziańscy towarzysze, że macie mnie wreszcie w Wołowie, bo nadal „robicie ze mnie woła", to wasza specjalność!). A jednak Wołów to sympatyczne miasteczko. Przypominają mi się majestatyczne białe woły o potężnych rogach, ciągnące pług. - Wreszcie orzemy ten ugór - powiedział do mnie wąsaty oracz. Był rok 1938, za rok zjawili się hitlerowcy. Zaorali wszystko, udało im się zaorać nawet własne pań-stwo. Ale tu lasy jakoś przeżyły.

Za Rudną - Pogwizdowem lasy brzozowe na przemian z akacjowymi, sosnowymi, zagajniki wierzbowe i olszyna, jak u śp. Tadka Nowaka. Polsko-zachodni krajobraz pełen mgieł a później także deszczu. Zrobiło się minorowo. Mnóstwo kilometrów za mną. Krajobraz przypomina przedziwny, historyczny a zarazem bezsensowny czas wiekowych walk i wojen słowiańsko-germańskich. Czas wypełniony ludzkimi nieszczęściami, głupotą, nienawiścią, ale także miłością. Bo czy wówczas wiedziano, kto jest Słowianinem a kto Germanem, kto Polakiem a kto Niemcem? Zwariowany świat nawiedzonych, podzielony na szufladki. Straszni chrześcijanie - krzyżacy i poganie i ...

Szeroka kraina pełna lasów, pól uprawnych, łąk i czarnobiałych łaciatych krów, potoków, jezior i rzek. Głogów - stara twierdza nad Odrą (po niemiecku Glogau, należał do Śląska Pruskiego - od roku 1255 - 1506 stolica księstwa głogowskiego) pamiętająca niejedną bitwę...

Kilka razy pociąg - tak jak w Chałupkach - mijał coraz szerszą Odrę, która jest niezbyt szeroka w Ostrawie (niedaleko od domu, w którym teraz mieszkam). Wygląda na to, że cała Polska ze swymi podwalinami została przez Stalina przesunięta na Zachód i od niego na długie lata odcięta. Wschód Polski urwał bezwzględnie, po swojemu, nóż w plecy, ten sam generalissimus. Dzisiaj z Wilnem i Lwowem tak jak z Zaolziem, chociaż może nie tak całkiem. Historia i cóż ona znaczy? Wciąż gotujący się wulkan. Nigdy żadna granica nie była, nie jest i nie będzie sprawiedliwa. Dla fauny i flory granica jest fikcją.

I przed tymi fikcyjnymi granicami, chronionymi przez różnej marki pistolety z ludźmi w zielonym, stoją całe kolonie przeróżnych krasnali, jedni czerwoni, jeszcze postkomunistyczni, inni zieloni z Partii Zielonych. Krasnale - Zwergi na zachodnich granicach śmieją się i kurzą fajki...

Piękna nasza Polska cała - oby Bóg dał i wreszcie tak było. Ale leje, jak z przysłowiowego cebra. Zielona Góra, gdzieś tu mieszka nie tylko pani Agnieszka, ale także poeta Janusz Koniusz, tylko nie wiadomo, czy pasuje do współczesnej sytuacji - bo w naszym kraju nigdy nie wiadomo co i jak, i znowu chodzimy jak kukiełki na nici, poniekąd pomyleni stanem wojennym Generała. Oj Góro Zielona i te Zwergi.

I tu mi się przypomniał wiersz Janusza „Ręce"

Lewa ręka z Abla
z Kaina prawa

w lewej dźwigam tarczę
w prawej miecz
albo odwrotnie
Tak się te ręce pomieszały
że nie wiem
która z Abla
z Kaina która

Obie w ręku Boga

A może jednak w ręku Poety?

Caleffel, Barcelona, Bogumin, Zielona Góra – powinienem jednak, przyjeżdżając tutaj, odwiedzić Poetę. Ale za późno i pociąg mknie przed siebie aż do Szczecina przez Kostrzyń.

Wysiadam w Kostrzynie. Godzina 11.33. Policjant (już nie milicjant!) patrzy na mnie – zdziwiłoby mnie, gdyby na mnie nie zwrócił uwagi, oni zawsze i wszędzie mają mnie na oku, jakbym nie był tym, kim jestem. A tu leje, jakby miał nastać potop.

Wygnani z Raju
pospołu za stołem siadali
nie poczęto ich wpuszczać
przez igielne ucho
do arki Noego
i chmury zbierać

(Z „Ładu i chaosu")

Osiadła na Aracie arka
ostatnią kroplą potopu

(Z „Po potopie")

Janusza Koniusza

Więc jednak go spotkałem, nie osobiście, bliżej bo duchowo – poetycznie. Z Kostrzynia do Berlina to tylko 80 kilometrów. Za godzinę mam pociąg do celu mojej podróży. To trasa szczecińska, ale pośpieszny w Mieszkowicach się nie zatrzymuje. Wierzyłem, że "ostatnia kropla potopu" Janusza mnie uratuje. Jednak nie, leje i nie ma nadziei. A jednak głupcy wierzą w poranek. To jednak kara boska – bo po co ja „mniejszościowiec" tu się pcham? I to z mniejszościowej Katalonii, z Calaffel i z Barcelony, tyle że Katalończyków jest aż 6 milionów.

c.d.n.

RENATA PUTZLACHER – MOJE FASCYNACJE

JAKA TO POLSKOŚĆ ? /II/

Po trzydziestce coraz częściej spoglądam w przeszłość. Chciałabym choć na chwilę zatrzymać czas, który dawniej niecierpliwie popędzałam: byle już być dorosłą. Będąc dorosłą, wracam nie tylko do czasów mojego dzieciństwa, ale także do tych wcześniejszych, osnutych mgiełką sentymentu przez sam fakt, że nie było mi dane w nich żyć. Czasy Monarchii i dwudziestolecia międzywojennego dla wielu ludzi były z pewnością koszmarem. Już przez sam fakt, że po nich nastąpiły dwie straszliwe wojny. Wojnom i politykom zawdzięczamy kontrowersyjny skrawek ziemi nazywany Zaolziem. Każdy, kto się tu urodził, musiał się do niego jakoś ustosunkować. Dokonywać wyborów. Wielu rozbitków życiowych obarczyło Zaolzie winą za wszystkie swoje niepowodzenia. Wielu tubylców uciekło od niego, fizycznie lub symbolicznie, i udają, że nie ma tego problemu, że został sztucznie wytworzony. Wielu wolało zapomnieć o swoich polskich korzeniach, bo pochopnie kojarzyli je z tym, co prowincjonalne, konfliktowe, niepraktyczne (czytaj: zaolziańskie). Od lat próbuję sobie i siłą rzeczy moim czytelnikom udowodnić, że bycie Zaolziakiem jest wyzwaniem i niewiarygodną przygodą, która nam się przydarzyła. Doszukuję się plusów w całej tej pozornej mizerii w myśl przysłowia, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Bo czym skorupka za młodu...

Wielojęzyczność otaczała mnie od początku mojego życia, wdzierała się do świadomości, ustanawiała związki między mną a światem – powiedział tłumacz Edward Balcerzan w jednym z wywiadów (Kwartalnik Literacki, 17/ 1994). *Urodziłem się w miasteczku Wołczańsk pod Charkowem w 1937 roku. Ojciec był Polakiem, w domu rozmawiano jednak po rosyjsku i po ukraińsku albo „po wołczańsku", czyli posługując się przedziwną mieszaniną gwar rosyjskich i ukraińskich z tego regionu. Po wojnie ojciec przywiózł mnie z matką do Polski, do Szczecina. Szczecin w 1946 roku był także miastem dwujęzycznym: rozbrzmiewał polszczyzną i niemczyzną. Niemczyzny ubywało (Niemców wywożono), polszczyzny przybywało. Bez trudu można było się zorientować, że w tym wielojęzycznym świecie pozycję uprzywilejowaną zajmuje ten, kto zna sekretne przejścia między językami: t ł u m a c z ! Więcej wie, więcej rozumie, potrafi pomóc, potrafi zaszkodzić...*

Dziś uświadamiam sobie, że ten bardzo ważny dla mnie wywiad przeczytałam w momencie, kiedy zaczynałam przewartościowywać moje dotychczasowe poglądy i kiedy zaczęło się dziać wiele dobrego w stosunkach czesko-polskich. Na łamach historycznego pisma Modrý květ braci Motýlów pojawiły się wiersze Janusza Klimszy, Kazimierza Kaszpera, Jacka Sikory i moje w oryginalnym brzmieniu (potem zaczęły się pojawiać kolejne nazwiska, w tym nieżyjących już klasyków polskich), po których nastąpiły spotkania w Ostrawie, obu Cieszynach, na Hukwaldach i w Brnie. Można po-

wiedzieć, że młodzi czescy poeci z różnych stron kraju, którzy dotąd mało wiedzieli o Śląsku Cieszyńskim (*Vendryně, to je někde v Maďarsku* ? – to pytanie jednego z poetów ze środkowych Czech, zacytowane w numerze 3 pisma), zaakceptowali nas bez reszty, a dla dwójki kontynuatorów idei Modrého květu, Bogdana Trojaka i Vojty Kučery, redaktorów wędryńskiego WELESU, spotkania te stały się początkiem interesującej serii wydawniczej. Wydanie pierwszej od dziesięciu lat antologii młodej polskiej poezji Bílé propasti (wydawnictwa HOST/WELES, Brno 1997), którą redagowałam i tłumaczyłam wraz z Bogdanem Trojakiem (plus dwójka czeskich tłumaczy), stało się również okazją do historycznego spotkania grona czeskich poetów z szóstką poetów z Polski w listopadzie ubiegłego roku. W tym roku planujemy w Brnie w ramach Dni Polski spotkanie poetów-redaktorów polskich pism literackich z poetami-redaktorami HOSTA i WELESU. Połowa kwietniowego numeru brneńskiego HOSTA, którą właśnie przygotowuję, poświęcona będzie literaturze polskiej. Podobny numer przygotowuje opawska Alternativa. Na czeskich półkach księgarskich pojawia się wiele ciekawych tłumaczeń literatury polskiej.

W okresie, kiedy czytałam po raz pierwszy cytowany wyżej wywiad, realizatorzy serii filmów o Zaolziu z wrocławskiego oddziału Telewizji Polskiej zwrócili się do mnie z prośbą o przekłady piosenek czeskocieszyńskiego barda, Jaromíra Nohavicy. Wielu osobom pomysł ten wydawał się absurdalny (znów zawężone patrzenie przez zaolziański pryzmat – my przecież doskonale rozumiemy, o czym on śpiewa!), dla mnie był on jednak początkiem wielu zmian i decyzji, które miały później nastąpić. Przede wszystkim jednak nasze wspólne, polsko-czeskie dyskusje były twórczymi próbami przełamywania polsko-czeskich stereotypów, które później zaowocowały spotkaniami w kawiarni AVION. Mniejsza o to, co działo się na scenie, ważne, że usiedli razem, na jednej sali, Czesi obok Polaków, antagonistyczne drużyny „prawowiernych" obok „szkopyrtoków" i byli dumni z tego, że tworzą niepowtarzalną publiczność, która rozumie oba języki. Niektórzy, jak się później dowiedziałam, w oczyszczający sposób przyjęli język i kulturę tego drugiego, które ich wbrew dotychczasowym poglądom i schematom wzbogaciły. Choćbyśmy już nigdy nie stanęli razem na jednej scenie (której nie ma), trafiliśmy chyba w czas i miejsce i – w przeciwieństwie do ciężko pracujących polityków, bez przerwy grzmiących o bliskości, przyjaźni i pomostach – bawiąc się wykonaliśmy kawał tzw. nikomu niepotrzebnej roboty. Niech jej dowodem będzie chociażby płyta „bez granic" – „Divné století", która w tym roku dotrze również do polskich słuchaczy.

Wracam do Edwarda Balcerzana: *Nie wiem, co lepsze, czy lepiej poznawać świat w jedno-, czy też w wielojęzyczności. Twierdzę tylko, że obydwa sposoby poznania się różnią; mnie przytrafiło się dzieciństwo wielojęzyczne, które zaważyło i na moich gustach literackich, i na próbach poetyckich, i wreszcie na zainteresowaniach przekładem.*

Do kwestii dzieciństwa w wielojęzycznym środowisku Zaolzia wrócę w następnym odcinku; póki co, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podpisać się pod słowami tego ciekawego wywiadu, który mnie przed laty zainspirował.

/cdn./

LECH PRZECZEK

SPOSTRZEŻENIA

Do trzech razy sztuka – mówił żeniąc się po raz trzeci.

Nie miała co na siebie włożyć, więc została striptizerką.

Z rosnącymi cenami spadała niestety jakość usług świadczonych przez jego firmę.

W życiu zapominamy o wiele więcej niż chcielibyśmy zapamiętać.

Środki finansowe uzyskiwał w sposób bardzo niekonwencjonalny: sprzedawał towar, lecz nie płacił za niego dostawcom.

Najlepszą przyjaciółką bywa czasami samotność. Nie narzuca nam przynajmniej swojej obecności.

Wysokość długów jego spółki z ograniczoną odpowiedzialnością przekraczała już wszelkie granice.

Dobro i zło są jak bliźniaki syjamskie. Jedno nie może istnieć bez drugiego.

Podczas pracy bywał często bardzo roztargniony. Pewnego razu włamał się nawet przez pomyłkę do własnego mieszkania.

PATRZ WIOSNA!

ZNOWU TYLKO JAJKO!

rys. Bronisław Liberda

ATRAKCYJNY CIESZYN

Cieszyn, Goleniów, Kołobrzeg, Kościan, Malbork, Słubice, Sopot, Szamotuły, Świebodzin, Świnoujście, Zgorzelec i Żary to, w porządku alfabetycznym, zwycięzcy rankingu najatrakcyjniejszych polskich miast średniej wielkości. Badania przeprowadzone przez Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową objęły 197 miast liczących 30–50 tysięcy mieszkańców oraz te mniejsze, które posiadają siedziby urzędów rejonowych. Oceniano jakość miejscowego rynku pracy, klimat społeczny, infrastrukturę otoczenia biznesu, komunikację i dystans od wielkich aglomeracji, skuteczność przemian gospodarczych, chłonność lokalnego rynku oraz możliwości rekreacji.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że większość ze zwycięskich miast leży w zachodniej części kraju. Różnice między wschodnią a zachodnią częścią Polski są znaczne i pogłębiają się. Zdaniem ekspertów nie uda się ich w najbliższym czasie wyrównać.

POLAK KULTURALNY

Centrum Badania Opinii Społecznych przeprowadziło badania na temat życia kulturalnego obywateli Polski. Ocena nie wypadła optymistycznie. Według badań 90 procent Polaków w ciągu dwunastu miesięcy poprzedzających badanie nie było w teatrze. Do opery poszło tylko 3 procent Polaków. W imprezach estradowych wzięło udział 18 procent obywateli Polski. Do kina wybrało się 23 procent. Tyle samo, tj. tylko co czwarty Polak, czytał codziennie gazetę, a 28 procent nie wzięło jej do ręki w ogóle. 44 procent obywateli nie przeczytało też w ciągu ostatniego roku ani jednej książki.

Szczegółowe badania czytelnictwa prasy opublikowała firma Estymator. Największe wzięcie mają tygodniki kobiece. Prowadzi Pani Domu, następnie Życie na Gorąco, Przyjaciółka, Naj, Tina i Chwila dla Ciebie. Z dwutygodników najbardziej czytane są Z życia wzięte, Świat kobiety i Viva, z miesięczników Claudia, Poradnik Domowy i Twój Styl.

UCIĄŻLIWE SĄSIEDZTWO

Sąsiedzkie stosunki czesko-niemieckie nastręczają jeszcze wiele problemów. Dlatego nie od rzeczy byłoby otwarcie w Czechach Domu Współpracy Czesko-Niemieckiej, stwierdził w Gliwicach Hartmut Koschyk, poseł do Bundestagu, rzecznik frakcji CDU/CSU do spraw wypędzonych. Bezpośrednią przyczyną wy-

powiedzenia tych słów była konferencja prasowa z okazji zbliżającego się otwarcia Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej w Gliwicach. Dom ma być ponadpartyjną instytucją służącą pogłębianiu przyjaznych stosunków między obydwoma krajami, likwidacji stereotypów i uprzedzeń oraz dialogowi między niemiecką mniejszością a polską większością.

JĘZYKI MNIEJSZOŚCI W SZWECJI

Komitet językowy powołany przez ministra rolnictwa Szwecji, który odpowiada również za politykę regionalną kraju, przedstawił niedawno propozycję uznania trzech oficjalnych języków mniejszości narodowych: fińskiego, lapońskiego i cygańskiego romani chib. W praktyce oznaczałoby to zobowiązanie państwa do wspomagania nauczania języka mniejszości, wspierania przedsięwzięć kulturalnych oraz dopuszczania języka mniejszości na pewnym, zamieszkałym przez tę mniejszość, obszarze jako języka urzędowego. Szwecja przystąpiłaby też do konwencji Rady Europy w sprawie mniejszości.

POLSCY STUDENCI NA LITWIE

Polacy na Litwie walczą o swoich studentów. Absolwenci polskich szkół, którzy podejmowali studia w Polsce, rzadko wracali po ich skończeniu do kraju. Macierz Szkolna wraz z fundacją Semper Polonia postanowiła chociaż częściowo temu zaradzić. Wprowadziła kursy, które absolwentów polskich szkół przygotują do studiów na uczelniach litewskich.

WĘGRZY I UKRAIŃCY W REGIONIE OSTRAWSKIM

Według spisu ludności z 1991 roku w regionie ostrawskim żyje około 3,5 tys. obywateli narodowości węgierskiej. W swoim Ośrodku Kultury Węgierskiej w Ostrawie urządzają spotkania, na których mogą porozmawiać w języku ojczystym. W roku ubiegłym węgierskie organizacje działające w RC zorganizowały obchody milenium państwowości węgierskiej, Tydzień Kultury Węgierskiej w Hradcu nad Morawicą oraz koncert węgierskiego kompozytora Ferenca Liszta w Hawierzowie. W ostrawskim rzymskokatolickim kościele diecezjalnym odprawiane są nabożeństwa w języku węgierskim.

Ukraińców i Rusinów mieszka w regionie ostrawskim około 1,2 tys. Ukraińsko-rusińska organizacja kulturalno-oświatowa zrzesza zaledwie około 50 członków, w większości w zaawansowanym wieku. Wydaje dwujęzyczny ukraińsko-czeski kwartalnik, organizuje rocznie kilka imprez. Nie posiada własnego lokalu. Oczekuje większego wsparcia od ostrawskiego urzędu miejskiego.

MNIEJSZOŚĆ SŁOWACKA W REPUBLICE CZESKIEJ

Według spisu ludności z 1991 roku na terenie Republiki Czeskiej żyje 316 tys. Słowaków. Nie posiadają oni swego przedstawiciela w parlamencie, nie mają też szkolnictwa narodowościowego. Rząd RC dotuje trzy słowackie miesięczniki: Dotyky, Korene i Slovenské listy. Pomimo tego, że w Pradze żyje 25 tys. Słowaków, nie udało się tam powołać słowackiego gimnazjum. Jedyna słowacka szkoła podstawowa mieści się w Karwinie. Uczęszcza do niej obecnie 54 uczniów, o edukację których troszczy się 8 nauczycieli. W przeciągu ostatnich trzech lat wyraźnie zaczęła obniżać się liczba uczniów, do pierwszej klasy zapisano tylko dwoje dzieci. Urząd Szkolny udzielił szkole wyjątku tylko na okres dwu lat. Za dwa lata planowane jest zamknięcie szkoły.

OBCOKRAJOWCY W POLSCE

27 grudnia ub. roku weszła w Polsce w życie nowa ustawa o cudzoziemcach. Ustala ona dokładnie zgodny z międzynarodowym prawem status przebywających w Polsce legalnie obcokrajowców. Ustawa posiada 112 artykułów, podczas kiedy dotychczasowa, z roku 1963, miała ich tylko 30. Ustawa wprowadza między innymi zasady zapraszania obcokrajowców do Polski, zawiera przepisy dotyczące repatriacji i środki dyscyplinujące pobyt cudzoziemców, łącznie z aresztem. Określa zasady wydawania zezwolenia na osiedlenie.

Kartę stałego pobytu posiadało w 1996 roku 2844 obcokrajowców (dla porównania: w Republice Czeskiej według prasy czeskiej przebywa obecnie 155 tys. cudzoziemców na prawach pobytu długotrwałego i 50 tys. posiadających prawo stałego pobytu). Była ona wydawana na czas nieokreślony. Nowa karta ważna będzie 10 lat i następnie wymieniona zostanie na nową. Ubiegający się o nią będzie musiał przed złożeniem wniosku przebywać w Polsce legalnie co najmniej przez trzy lata.

Wśród osób posiadających kartę stałego pobytu najliczniejszą grupę stanowią Ukraińcy, na drugiej pozycji są Rosjanie, a następnie Wietnamczycy i Kazachowie.

Według danych szacunkowych na terenie Polski przebywa nielegalnie, przedłużając swój pobyt po wyczerpaniu się ważności wizy, około 100 tys. cudzoziemców.

PRZYWRACANIE POLSKIEGO OBYWATELSTWA

Od kilku już lat mówi się w Polsce o konieczności zmian w przepisach o obywatelstwie polskim. Prace nad projektem nowej ustawy o obywatelstwie rozpoczęła Senacka Komisja Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Jedną z najważniejszych spraw jest określenie zasad przywracania obywatelstwa polskiego osobom,

które utraciły je po roku 1939. Dotyczy to głównie mieszkańców byłych Kresów Wschodnich. Sprawa jest delikatna, bo nie można automatycznie nadać obywatelstwa polskiego wszystkim byłym obywatelom II Rzeczypospolitej. Problem stanowią również przepisy niektórych państw zabraniające podwójnego obywatelstwa.

NARODOWOŚĆ W SPISIE LUDNOŚCI

Organizacja Narodów Zjednoczonych oraz międzynarodowe organizacje statystyczne zalecają, by w spisach powszechnych uwzględniona została problematyka etniczna danego państwa. Innymi słowy, w spisie ludności powinno znaleźć się pytanie o narodowość i wyznanie obywateli.

Polski Sejm poprzedniej kadencji wbrew opiniom i propozycjom Głównego Urzędu Statystycznego wykreślił z projektu przewidywanego na rok 2000 Narodowego Spisu Ludności pytanie o narodowość i religię. Polska jest jedynym krajem Europy Środkowowschodniej, która sprawy te uważa za drażliwe. Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych poprzedniego Sejmu decyzję swą umotywowała troską o zagwarantowanie prywatności oraz wolności światopoglądowej jednostki. W ten sposób dane szacunkowe mniejszości narodowych w Polsce mogą się w znacznym stopniu różnić od rzeczywistości. Do roku 2000 pozostało jeszcze sporo miesięcy. Nowy Sejm może więc jeszcze naprawić sytuację.

CO CZYTA PREMIER

W Wydawnictwie Akapit Press ukazała się książka Lucyny Legut „Piotrek zgubił dziadka oko, a Jasiek chce dożyć spokojnej starości". Oceniono ją jako mądrą i dowcipną, z niezwykle trafnym psychologicznie opisem scen rodzinnych. Dodatkową jej reklamę stanowi fakt, że jest ukochaną książką rodziny premiera Buzka.

TEATR FASCYNATÓW

Dziennik Nowa Trybuna Opolska stosunkowo często pisze o kontaktach z południowymi sąsiadami. Szkoda, że mniej dba o dokładność nazw i nazwisk. W artykule „Teatr fascynatów" doniósł o odnowieniu współpracy Teatru im. Jana Kochanowskiego z Opola ze Sceną Polską w Czeskim Cieszynie. Z incjatywą spotkania z Adamem Sroką, dyrektorem teatru opolskiego, w Czeskim Cieszynie wyszedł *Ludwik Moliński, dyrektor Sceny Polskiej.* Scena Polska wystąpi podczas tegorocznych Opolskich Konfrontacji Teatralnych Klasyka Polska.

To bardzo interesujący teatr z ciekawym, w pełni profesjonalnym zespołem aktorskim. Od dawna myślałem o powrocie do dawnych kontaktów – stwierdził Adam Sroka – *Cieszyn, choć leży tak niedaleko, jest*

dla nas trochę egzotyczny, a Scena Polska jest na pewno współpracy warta. To teatr fascynatów, ich walka o utrzymanie sceny, obrona polskości w obcym żywiole, aktywność artystyczna są czymś godnym zainteresowania i poparcia.

KONTAKTY JABŁONKOWA Z GOGOLINEM

Nowa Trybuna Opolska doniosła też o podpisaniu aktu o partnerstwie i wzajemnej współpracy na płaszczyźnie kulturalnej między Gogolinem i *czeskim Jablonkovem*. Kontakty nawiązane zostały przed czterema laty. Opolskie Święto Pieśni Ludowej w Gogolinie i Gorolski Święto w Jabłonkowie to imprezy folklorystyczne, na których możliwa jest wzajemna wymiana zespołów. W przeciągu czterech lat w Gogolinie wystąpiło 12 zespołów folklorystycznych i sportowych z Zaolzia. Jabłonków jest po niemieckim Schongau i szwajcarskim Dubendorfie trzecim partnerskim miastem Gogolina.

MŁODA POLSKA POEZJA

„Białe przepaści", antologia młodej polskiej poezji, wierszy poetów urodzonych w latach sześćdziesiątych, która ukazała się w RC w przekładzie Bogdana Trojaka, Libora Martinka, Renaty Putzlacher i Miroslava Zelinskiego, stała się pretekstem do rozważań dziennikarskich o stosunkach polsko-czeskich w szerszym kontekście. Stosunki te, w przeszłości obciążone antagonizmami politycznymi i narodowymi, zmieniły się obecnie w niebywale harmonijne współdziałanie dwu krajów bliskich językowo, zupełnie jednak różnych pod względem mentalności. W dziedzinie kultury istniała jednak przyjaźń i współpraca od czasów odrodzenia narodowego. Obydwa narody przejawiały żywe zainteresowanie kulturą sąsiada. Z polskiej strony zainteresowanie to było zawsze głębsze i bardziej intensywne. „Białe przepaści" to jedna z publikacji, które starają się bilans ten wyrównać.

ZWYCZAJE OSTATKOWE

Relację o ostatkowych zwyczajach Polaków na Śląsku Cieszyńskim przyniósł Moravskoslezský den. Ostatni czwartek karnawału kupuje się lub smaży pączki albo chrust. Zwyczajem prawie zapomnianym jest „pochowanie basy" w wieczór ostatkowy. W czasie zabawy odkręca się struny instrumentu, aż rozlegnie się głos ostatniej struny i o północy rozpoczyna narzekanie „wdowa po basie". Zabawa ostatkowa nazywana jest też śledziówką, gdyż podawane na niej mogą być już potrawy postne – śledzie na różne sposoby.

SZUFLADA PEŁNA POMYSŁÓW

O tematach swych sztuk teatralnych, które wystarczy wyjąć z szuflady, opowiada dla dziennika Moravskoslezský den Urszula Kurek. Przedstawiona została jako coroczna uczestniczka warsztatów teatralnych w Koszarzyskach, członkini czeskocieszyńskiego Teatru im. mjr. Szmauza, autorka sztuk dla tego teatru i ostatnio ostrawskiej Sceny Kameralnej Arena. Chce nadal pisać dla swego teatru, myśli też o bajkach dla teatrów lalkowych. Szkoda, że w artykule nie padło ani razu słowo „polski".

ZAOLZIAŃSKIE KOŚCIOŁY W KALENDARZU BESKIDZKIM

Sytuację wyznaniową na Zaolziu od czasów pierwszej wojny światowej przedstawia w Kalendarzu Beskidzkim na rok 1998 w artykule „Zaolziańskie kościoły" Stanisław Zahradnik. Obszernie kreśli zmiany, jakie zaszły w strukturze wyznaniowej tego terenu w dwudziestym wieku. Szeroko przedstawia dzieje Kościoła Rzymskokatolickiego i Kościoła Ewangelickiego. Zwraca uwagę na liczną w zachodniej części Zaolzia ludność napływową, którą w dużym stopniu stanowią ateiści bez żadnego wyznania.

JAK NAS WIDZĄ, TAK NAS PISZĄ

Nie zapomina Dziennik Zachodni, gazeta dla województw katowickiego, bielsko-bialskiego, częstochowskiego i opolskiego, o naszych zaolziańskich sprawach. Szczególnie często ukazują się nowe sensacyjne wieści na temat hotelu Piast. Ale są też komentarze, nad którymi powinniśmy wszyscy zastanowić się głębiej. Ponieważ zapewne do niewielu zaolziańskich czytelników dociera Dziennik Zachodni, przytaczamy fragmenty kilku artykułów.

Dziennik Zachodni z dnia 12 stycznia 1998 roku:

POLACY KŁÓCĄ SIĘ PRZED CZESKIM SĄDEM
ZAOLZIE ZBULWERSOWANE

Rada Polaków w Republice Czeskiej zareagowała ostro na niektóre

sformułowania Andrzeja Chodkiewicza wygłoszone podczas jubileuszowego Zjazdu PZKO z okazji 50-lecia Związku. Działacze Rady wysłali list do przewodniczącego Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie prof. Andrzeja Stelmachowskiego, w którym wyrazili kategoryczny protest przeciwko słowom przedstawiciela Wspólnoty dyrektora Andrzeja Chodkiewicza wygłoszonym podczas XVIII Zjazdu PZKO. Chodkiewicz, mówiąc o tragicznym położeniu hotelu Piast i fatalnym gospodarowaniu tym obiektem przez PZKO, stwierdził m. in.: "Widzimy, jak życie polskie w tym regionie zamiera". (...) Rada Polaków stwierdziła, że nie dostrzegł pracy działaczy polskich, dorobku chórów i zespołów folklorystycznych, walki o utrzymanie przedszkoli i szkół, licznych wydawnictw polskich, mrówczej pracy kół PZKO. Jednym krótkim stwiedzeniem, że życie polskie zamiera, uraził ludzi walczących o polskość tej ziemi. (...) Oficjalnej odpowiedzi z Warszawy na razie nie ma, napłynęła natomiast sugestia, by Zarząd Główny PZKO w Czeskim Cieszynie oddał sprawę utraty hotelu Piast do sądu. Tak też się stało. Pozwany został holding Dom Polski S.A. w Ostrawie. Stało się więc najgorsze: Polacy kłócą się z Polakami przed czeskim sądem.

Dziennik Zachodni z dnia 2 lutego 1998 roku:

PIAST POD MŁOTEK

W tych dniach Zaolziacy poruszeni zostali informacją, że czeskie dzienniki o zasięgu ogólnokrajowym przyniosły ogłoszenia spółki TSL o wystawieniu Piasta na sprzedaż. (...) Sprawa przyjęła taki obrót, ponieważ właściciel TSL Stanisław Gleta stracił cierpliwość i nadzieję na odzyskanie pieniędzy. (...) Ogłoszenie w czeskiej prasie traktowane jest przez Polaków jako publiczne ostrzeżenie przed ostateczną utratą narodowej pamiątki. Skądinąd wiadomo, że nieruchomością zainteresowane są duże czeskie firmy, które na granicy z Polską chcą urządzić w nim biurowiec.

Dziennik Zachodni z dnia 24 lutego 1998 roku:

POKOJOWE WYNARODOWIENIE?

Polska społeczność na Zaolziu, którą jeszcze kilkanaście lat temu oceniano na jakieś 70-80 tysięcy, dramatycznie się kurczy. (...) I nie jest to bynajmniej wynik migracji czy jakichś tajemniczych exodusów. Niestety śląsko-polski żywioł ulega czechizacji. Jej rozmiary są poważne i - co tu kryć - bardzo niepokoją miejscowych działaczy polskich. Niepokoją, więc i prowadzą - jak to bywa w naszych obyczajach - do coraz silniejszych podziałów politycznych wewnątrz

polskiej grupy narodowej. Nie przypadkiem na Zaolziu jest dziś więcej różnych stowarzyszeń polskich niż w czasach komunistycznych. I nie da się tego wytłumaczyć tylko tym, że teraz w Czechach panuje demokracja, więc Polacy, czerpiąc z wolności obywatelskich, mogą nareszcie bez przeszkód zrzeszać się w coraz to nowe organizacje. (...) To tylko połowa prawdy. W rzeczywistości – to „pączkowanie" stowarzyszeń i fakt, że istnieją tam dwie duże „centrale polskie" zamiast jednej (chodzi o Radę Polaków i Polski Związek Kulturalno-Oświatowy), jest efektem ostrych tarć wewnątrz mniejszości. Jest również objawem pewnej słabości i nerwowości, wynikającej właśnie z nieubłaganej wymowy liczb i statystyk. (...) Proces wynaradawiania dokonuje się w warunkach demokratycznych i pokojowych. I dlatego jest tak bolesny. (...) Zaolziańscy Polacy przede wszystkim sami w sobie powinni znaleźć siłę, która pozwoli im przetrwać. To jednak nie oznacza, że wolno ich pozostawić w poczuciu osamotnienia. Niesienie pomocy tej społeczności leży w obowiązkach zarówno państwa czeskiego, jak i polskiego.

Dziennik Zachodni z dnia 2 marca 1998 roku:

GŁOS „WSPÓLNOTY"

Szanowny panie Redaktorze,
działając w imieniu Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Wspólnota Polska z siedzibą w Warszawie, zwracam się o opublikowanie sprostowania... (...) Informujemy, że list, (...) jakoby wysłany przez Radę Polaków w Czechach do naszego Stowarzyszenia jak na razie nie dotarł (jest już 27.01). W tej sytuacji zupełnie niezrozumiałym jest dla nas fakt, jak można napisać, że: „...Oficjalnej odpowiedzi z Warszawy na razie nie ma...". (...) Artykuł (...) może wywoływać mylne wrażenie, że wypowiedź członka Zarządu Krajowego Wspólnoty Polskiej dyr. Andrzeja Chodkiewicza dotycząca zamierania życia polskiego na Zaolziu była osamotniona. Informujemy, że między innymi z równie krytyczną oceną stanu społeczności polskiej wystąpił na ostatnim Zjeździe PZKO p. prof. Stanisław Zahradnik – Zaolzianin, wybitny badacz historii i kultury Śląska Cieszyńskiego. Informujemy, że opinia Wspólnoty Polskiej w tzw. sprawie hotelu Piast jest klarowna i wszystkim zainteresowanym już od dawna dobrze znana. Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Zarządu Krajowego naszego Stowarzyszenia należy uczynić wszystko, by hotel Piast wrócił do społeczności polskiej na Zaolziu, a PZKO jako odpowiedzialny za utratę hotelu jest zobowiązany do odzyskania go lub też do zwrotu 277 tys. USD. (...)

Odpowiedź autora: (...) Chodkiewicz mówił o „zamieraniu życia" na Zaolziu, natomiast Zahradnik krytycznie ocenił działanie insty-

tucji zaolziańskich, takich jak PZKO czy Rada Polaków, co uczyniło zresztą wielu delegatów. To istotna różnica. Byłem na Zjeździe PZKO i zaręczam: nikt poza gościem tegoż Zjazdu z Warszawy nie odważył się powiedzieć, że na Zaolziu życie zamiera. W moim tekście nie chciałem „wywołać mylnego wrażenia", że wypowiedź dyr. Chodkiewicza była osamotniona. Ona była osamotniona, co nie oznacza, że z gruntu fałszywa czy nieprawdziwa, zwłaszcza w odniesieniu do Piasta.

Od redakcji Zwrotu:

Gwoli ścisłości przejrzeliśmy jeszcze raz dokładnie spisane z taśmy przemówienie Andrzeja Chodkiewicza na XVIII Zjeździe PZKO. Nie ma tam wyrażenia o zamieraniu życia polskiego. Słowa te pojawiły się natomiast w wypowiedzi dyrektora Chodkiewicza opublikowanej w Głosie Ludu wśród komentarzy gości Zjazdu: *Trudno mi w tej chwili wyrokować, jak zachowa się w przyszłości Wspólnota Polska, sprawy Piasta nie zostały bowiem jeszcze do końca przesądzone, rzutuje to jednak wszystko na naszą ocenę polskiego środowiska na Zaolziu (mówiłem zresztą o tym na Zjeździe) i myślę, że zmusi nas to do refleksji na temat dalszej pomocy finansowej dla Zaolzia... Tym bardziej, że widzimy, jak życie polskie w tym regionie zamiera, o czym zresztą mówił z trybuny zjazdowej profesor Kadłubiec, który określił aktualną sytuację wprost mianem kryzysu społeczeństwa polskiego...*

TO TRZEBA WIEDZIEĆ

Za Kurierem Praskim nr 1 z 1998 roku podajemy informacje o sprawach prawnych nie tyle nowe, co na nowo potwierdzone w kilku ministerstwach Republiki Czeskiej, a dotyczące cudzoziemców mających zezwolenie na stały pobyt w RC.

W przygotowaniu znajduje się gruntowna nowelizacja Ustawy o pobycie cudzoziemców na terytorium Republiki Czeskiej (zákon č. 123/1992 Sb. o pobytu cizinců na území České a Slovenské federativní republiky, częściowo zmieniony i uzupełniony ustawą nr 150/1996 Sb. z dnia 26.4. 1996).

Wielu rodaków ma wątpliwości w sprawie nabywania nieruchomości w Czechach (domy, mieszkania). Departament dewizowy MF RC wyjaśnia na podstawie Ustawy dewizowej (devizový zákon č. 219/1995 Sb.) z 26. 9. 1995, że każdy cudzoziemiec mający stały pobyt w RC uważany jest za krajowca ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu uprawnieniami, a więc i prawem do nabycia nieruchomości.

Kurier Praski uzyskał także z MF informację, że cudzoziemiec mający przyznany w RC pobyt długotrwały może być członkiem spółdzielni mieszkaniowej, czyli innymi słowy może mu być przydzielone mieszkanie spółdzielcze, jednak bez prawa do uzyskania go na własność. Natomiast cudzoziemiec mający przyznany w RC stały pobyt może takie (czy inne) mieszkanie bez przeszkód nabyć.

Ministerstvo školství, mládeže a tělovýchovy ČR wydało zalecenie nr 25509/96 z dnia 5. 9. 1996, w którym mówi się, że cudzoziemcy mający w RC prawo stałego pobytu studiują na wyższych uczelniach w Czechach na takich samych warunkach jak obywatele RC. Ewentualne opłaty (problem obecnie szeroko dyskutowany na różnych szczeblach) byłyby dla nich również takie same. Jak potwierdzono to redaktorowi Kuriera Praskiego, w dwóch największych uczelniach praskich (Uniwersytet Karola i Politechnika Czeska) zalecenie to jest respektowane, z tym że poszczególne wydziały w ramach autonomii mogą wprowadzać swoje wewnętrzne zarządzenia mające dla każdego z wydziałów moc obowiązującą.

NA NASZEJ SCENIE

BAJKA ZA DWA GROSZE

Był sobie dziad i baba. Dziad-Bieda i Baba-Przaśna. Ale nie razem, tylko każdy w swoim domu. I był kogucik i kurka. Chociaż właściwie na początku były tylko dwa jajka. Z nich wylęgły się pisklęta. Jedno miał dziad, a drugie baba. Kurczaki rosły i rosły, aż stały się powodem konfliktu we wsi. Bo jeden okazał się kurą, a drugi kogutem. Dziad chodził dumny, że ma takiego pięknego koguta. Ale kura okazała się pożyteczniejsza. Znosiła jaja. A kogut nie chciał.

Gdyby dziad z babą dogadali się, zrobili dla kury i koguta wspólną zagrodę, może doczekaliby się i następnych kurek i kogutków. Ale oni byli egoistami. Każdy trzymał swego zwierzaka tylko dla siebie. Baba sprzedawała jajka, a dziad jej zazdrościł.

I byłby niechybnie marnie skończył, gdyby na scenę nie wkroczyła prawdziwie bajkowa atmosfera w postaci tajemniczej sakiewki

fot. WIESŁAW PRZECZEK

z dwoma groszami, która mogła z dziada zrobić bogacza. Mogłaby, gdyby nie młody władca, który swej narzeczonej gotów był nieba przychylić. A konkretnie w tym wypadku ograbił swych poddanych ze wszystkiego. Babę z jaj, dziada nawet z komina. No i sakiewka też przepadła. Na szczęście w kogucie obudził się wojowniczy duch. Postanowił odbić sakiewkę. Nie powstrzymała go pierwsza klęska, kiedy został złapany i zamknięty w skrzyni pełnej skarbów. Zdziobał kosztowności, co dało mu wielką siłę i przeogromny wzrost. Jako

zwycięzca powrócił do dziada, który mógł teraz kupić babę razem z chałupą i kurą z jajami.

Tak mniej więcej przedstawia się, przyznaję, moja interpretacja bajki „Sakiewka z dwoma groszami" rumuńskiego autora Iona Creanga, będącej drugą premierą jubileuszowego – pięćdziesiątego – sezonu Teatru Lalek Bajka. W przedstawieniu występują aktorzy i lalki. Warto zatrzymać się dłużej nad opisem pomysłów scenograficznych Janusza Klimszy, reżysera a zarazem autora scenografii do spektaklu.

Klimsza wsadził aktorów manipulujących lalkami na cały spektakl do kosza, przez co mogą budzić współczucie co wrażliwszej widowni. Podstawę dekoracji stanowią bowiem dwa wielkie kosze. Z nich wynurzają się kolejne elementy, lalki i rekwizyty. One ograniczają miejsce akcji dla baby i dziada. Nad nimi obserwujemy poczynania kogucika, a przede wszystkim kurki, która pilnie znosi jajka, siedząc jakby w bocianim gnieździe i co jakiś czas wyrzucając z siebie jajko, które specjalną rynienką toczy się w dół wprost do koszyka.

Reszta przestrzeni scenicznej należy do aktorów, wśród których prym wiedzie Krystyna Kubiczek jako nieznośna i grymaśna panna młoda. Jej Kasia jest przeciwieństwem drobnego i uległego Księcia w interpretacji Jana Szymanika. Mimo swego okropnego charakteru nie wzbudza jednak antypatii, lecz od pierwszej chwili pojawieniu się jej towarzyszy śmiech widowni. Wystarczy przecież spojrzeć, jak wygląda. Widz traktuje jej wybryki z przymrużeniem oka. Raz po raz strzela z bicza wierny Bojar w wykonaniu Krystyny Czech, śpiewając przy tym kolejne zwrotki opisującej wydarzenia piosenki z muzyką Zbigniewa Siwka. Uśmiech wywołuje również gramolący się ze skrzyni Jakub Tomoszek jako ogromny kogut. Dla Pawełki Niedoby i Doroty Urbuś zabrakło ról pozwalających w trakcie przedstawienia na rozprostowanie kości, cały czas muszą przebywać w koszach. Prawda ta jednak zostaje ujawniona widzom dopiero w finale poprzedzającym końcowe oklaski.

Marzenia o sakiewce z cudownymi groszami wydają się być na miejscu właśnie w tym teatrze. Przydałaby się Bajce taka sakiewka, która umożliwiłaby zbudowanie teatru lalek z prawdziwego zdarzenia, z dużą sceną i widownią oraz nowoczesnym zapleczem technicznym, a gaże licznych pracowników teatru wzrosłyby co najmniej czterokrotnie. Ale to już zupełnie inna bajka.

CZESŁAWA RUDNIK

ROZERWIJMY SIĘ WIĘC

Rozerwać się – to próbować umknąć zmęczeniu pracą, troskom życia codziennego, wielkim niepokojom swego czasu. Taka definicja znalazła się, o dziwo, właśnie w książce o teatrze. Bo istnieje od wieków rodzaj teatru, który służy wyłącznie temu celowi. Rozrywce par excellence. Jest to teatr, w którym nie ma pytań egzystencjalnych, nie ma budzenia sumień, nie ma problemów narodowych. Teatr ten oferuje zabawę bez konieczności włączania głębszych pokładów intelektu w celu przetworzenia i zrozumienia myśli zawartych w spektaklu.

Teatr rozrywkowy, którego celem było tylko rozśmieszanie publiczności i dostarczanie jej chwil beztroskiego wypoczynku, istniał od wieków. Teatr jarmarczny, komedia dell'arte, farsy, wodewile to tylko niektóre jego odmiany. Uznawali go i wielcy pisarze komediowi, sami tworząc sztuki wyższego gatunku. *Rozśmieszaniem zacnych ludzi* nazywał Molier ten rodzaj publicznej zabawy.

Złoty wiek to dziewiętnaste stulecie. Miejsce – Francja. W Paryżu w Belle Epoque królował teatr bulwarowy – najwyższa forma teatru czystej rozrywki. Klasykiem gatunku został Eugéne Labiche. Jego komedia „Szczęśliwi we troje" grana była zresztą w Scenie Polskiej całkiem niedawno, bo niewiele ponad dwa lata temu. Widocznie duże jest zapotrzebowanie na owe „rozkosznie nieodpowiedzialne" sztuczki. Młodszym kolegą Labiche'a był Georges Feydeau, autor taśmowo produkowanych fars. Jego twórczość sięga już wieku dwudziestego. W nim to dopatrywano się wzoru dla autorów najlżejszych komedii współczesnych. Jednym z tych autorów był Marc Camoletti, którego „Latające narzeczone" też już zresztą przed laty gościły w Scenie Polskiej. Prapremiera „Perły" odbyła się w Paryżu w latach pięćdziesiątych.

„Perłę", komedię w dwóch aktach, Marca Camolettiego, której oryginalny tytuł brzmi „La bonne Anna", przetłumaczyli Włodzimierz Dzięciołowski i Henryk Rostworowski. Opracowania tekstu dokonał reżyser przedstawienia Rudolf Moliński. O stronę muzyczną spektaklu zatroszczył się Zbigniew Siwek. Scenografię i kostiumy stworzył niedawny solenizant, świeży pięćdziesięciolatek, scenograf ostrawskiego Narodowego Teatru Morawskośląskiego Alexander Babraj.

Niezmienna przez cały spektakl dekoracja odgrywa tu zresztą dużą rolę. Nowoczesne wnętrze mieszkalne uzmysławia od razu na wstępie, że będziemy mieli do czynienia jak najbardziej ze współczesnością. Centralny punkt dekoracji stanowi obrotowa kanapa w kształcie koła fortuny z kolorowymi poduszkami i liczbami. Przestrzeń sceniczną zamyka ściana, którą Babraj pobabrał kolorowymi wstęgami. W niej kilka drzwi - harmonijkowych oczywiście - mających zasadnicze znaczenie dla przebiegu akcji. I jeszcze kilka nowoczesnych sprzętów. Widzę tu pomysły charakterystyczne dla reżyserskiej ręki Rudolfa Molińskiego, lubiącego wstawki stanowiące satyrę na naszą współczesność. Rzuca się w oczy chociażby telefon komórkowy, który w tej komedii leży sobie spokojnie na półce w mieszkaniu, zamiast gnieździć się w kieszeni właściciela i przemieszczać razem z nim.

Paryska scena bulwarowa miała swe ściśle określone zasady. Mieściła salon mieszczański, w którym przysłowiowy trójkąt małżeński snuł zabawną intrygę, by w końcu doprowadzić zawsze do zwycięstwa tzw. moralności mieszczańskiej, która opierała się na pozorach. W finale wszystko wracało do normy i właściwie nikomu nie działa się krzywda.

Podobnie jest w „Perle". W sztuce mamy do czynienia z czworokątem małżeńskim. Klaudia chce zdradzić swego męża Bernarda z Robertem, zaś Bernard ma młodą przyjaciółkę Katarzynę. Małżonkowie niby to wyjeżdżają z domu w tym samym czasie, każdy w swoją stronę, by po dłuższej chwili wrócić do mieszkania z nowym partnerem. I tu zadanie najważniejsze dla gosposi Andzi: nie dopuścić, by obecni spotkali się, ba, nie powinni nawet dowiedzieć się o obecności partnera i jego gościa w mieszkaniu. Nietrudno domyślić się, że gosposia sprosta swemu zadaniu w sposób znakomity.

Cała intryga szyta jest dość grubą nicią. Bo o ile początek spektaklu cechuje duże napięcie, widz oczekuje z niecierpliwością, co zdarzy się za chwilę, o tyle w trakcie rozwoju wydarzeń owo napięcie zamiast rosnąć, powoli opada. Widz domyśla się już, że zwycięzcą tej rozgrywki zostanie Andzia, że nic nieoczekiwanego już stać się nie może, bohaterowie czworokąta będą na przemian wychodzić z którychś drzwi i znikać w nich z powrotem, aż wszystko powróci do starych kolein. Z przedstawienia nie wynika nawet dokładnie czy małżonkowie zdążyli popełnić zdradę, ponieważ przez cały czas wydają się być o wiele bardziej zafrapowani innymi sprawami. Ukoronowanie spektaklu to happy end na całej linii. Małżonkowie konstatują,

że są stworzeni tylko dla siebie. Młodzi Katarzyna i Robert zostają drugą parą. Andzia zaś, która kierowała krokami czwórki zakochanych niczym policjant ruchem na skrzyżowaniu, nie cofając się przy tym przed braniem łapówek, może przeliczyć niezły zarobek.

Spektakl ma śmieszyć dwoma sposobami. Z jednej strony poprzez zabawne sytuacje, z drugiej poprzez igraszki słowne. Pierwszy sposób, jak zaznaczyłam, jest trochę nużący, ponieważ powtarza kilkakrotnie te same ograne wcześniej chwyty. Zdecydowanie lepiej w moim mniemaniu wypadają potyczki słowne, zabawne riposty, które zresztą powodują salwy śmiechu na widowni.

Charakter przedstawienia nakazuje aktorom korzystać przy pokazaniu swych postaci z przerysowań, nie trzymać się kurczowo prawdy psychologicznej. Wśród odtwórców ról nie ma ani jednego z zaolziańskich weteranów Sceny Polskiej. W spektaklu prym wiedzie Krystyna Pryszczyk w roli Andzi. Swoją vis comica ujawniła już w tym teatrze kilkakrotnie. Tym razem również nie zawiodła, tworząc pełną wyrazu postać gosposi zaradnej i zabawnej. Właściwie to dzięki tej roli widz, obserwując zmagania Andzi i słuchając jej wywodów, nie nudzi się. W domu Klaudii i Bernarda generałem jest Klaudia (Anna Paprzyca). Romans jest dla niej potwierdzeniem atrakcyjności, małżeństwo stabilizacją. Ryszard Malinowski jako Bernard chwilami chce być zabawny trochę na siłę. Można by się zastanawiać, co widzi w nim owa młoda dziewczyna Katarzyna (Beata Swat), gdyby nie został jasno postawiony jej jedyny cel: wyjście za mąż. Katarzyna zresztą też wydaje się nie taką, za jaką chce uchodzić – wielce atrakcyjną, chociaż usiłuje przekonać widza, że jest inaczej. Mało zróżnicowane sylwetki dwóch rywalek mogą świadczyć o jednym, że Bernard lubi właśnie takie kobiety, które przypominają mu jego własną żonę. Ciekawie zaprezentował się w roli nieśmiałego kawalera Roberta Sebastian Pawlak.

Teatr służy rozrywce, ale przede wszystkim wzbogacaniu ducha. Najlepiej, gdy oba te zadania spełniają się w jednym przedstawieniu. Rozważając te znane prawdy, zastanawiam się, na jakim poziomie powinien teatr ustawić poprzeczkę, by nie stracić szacunku widza. Twórcy „Perły" ustawili ją tak, by i ten najmniej zaawansowany widz mógł ją przeskoczyć, koneser zaś nie czuł się urażony jej wysokością (niskością).

CZESŁAWA RUDNIK

CHÓR
II KOŁA MACIERZY SZKOLNEJ
KARWINA-SOLCA

5-LECIE CHÓRU (1933)

Fotografia jest własnością pani Otylii Geigorowej z Cieszyna

Pierwszy górny rząd od lewej:

1. Karol Urbańczyk - założyciel chóru
2. Jerzy Rusnok - założyciel chóru
3. Wilhelm Polak - dyrygent
4. Stanisław Suchanek - założyciel chóru
5. Paweł Kubaczka - zastępca dyrygenta

Rząd drugi od lewej:

1. Karol Suchanek
2. Karol Sembol
3. Franciszek Czapek
4. Ludwik Bogunia
5. Franciszek Szostek
6. Izydor Szewieczek
7. Adolf Witosz
8. Józef Szłapka
9. Emil Firla
10. Alojzy Funiok
11. Leopold Suchanek

Rząd trzeci od lewej:

1. Maria Kuncówna
2. Maria Momotówna
3. Jan Gałuszka
4. Franciszek Chlebowczyk
5. Franciszek Krótki
6. Wilhelm Rychły
7. Leopold Burysz
8. Oswald Kremer
9. Ernest Szebesta
10. Józef Czapek
11. Maria Sztemonówna
12. Maria Burówna

Rząd czwarty od lewej:

1. Maria Sembolówna II
2. Bronisława Rakusówna
3. Helena Götznerówna
4. Maksymilian Urbańczyk
5. Emil Sembol
6. Józef Sacha
7. Erwin Kołek
8. Hubert Gmuzdek
9. Agnieszka Sembolówna
10. Stefania Kochowa
11. Hildegarda Urbańczykówna

Rząd piąty od lewej:

1. Hermina Hołkówna
2. Olga Gałuszkówna
3. Aurelia Kuncówna
4. Maria Chlebikówna
5. Emilia Sztemonówna
6. Aniela Suchankowa
7. Hildegarda Polakowa
8. Anna Gmuzdkówna
9. Maria Sembolówna
10. Elżbieta Chlebikówna
11. Gertruda Szewieczkówna
12. Anna Rusnokowa

Rząd szósty od lewej:

1. Gertruda Krótka
2. Monika Szewieczkowa
3. Anna Wańkowa
4. Maria Tobolanka
5. Maria Szłapkówna
6. Berta Śmiżanka
7. Waleria Kuncówna
8. Anna Buryszówna

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

DROGI ZWROCIE!

Pobieramy miesięcznik Zwrot, więc postanowiłam ułożyć i przesłać do waszej redakcji wiersz.

GWIAZDA

Marzę jak zawsze,
marzę, gdy chcę,
marzę być gwiazdą,
co na niebie jest.

Tą gwiazdą,
co każdą noc lśni
i małym dzieciom
opowiada sny.
Sny smutne, wesołe,
sny długie i krótkie,
sny takie,
które dziecię zrozumie
tylko we śnie.

Tą gwiazdą,
co śpiewa jak słowik,
co tańczy jak wiatr,
co nuci i śpiewa piosenki,
które by zaśpiewał świat.

Tą gwiazdą,
z którą lepiej
by było na świecie
i z którą by nie było
walk i burz.

Tą gwiazdą,
która by pokój
do naszych serc wlała,
która by jak na niebie
beztrosko się zabawiała.

Marzę już o tym
parę setek lat,
ażeby pokój
wszedł w dziecięcy świat.

Ukończyłam 15 lat i uczęszczam do klasy 9B 1. PSP w Trzyńcu. Cześć Zwrocie.

Monika Krupa

Z jubileuszu 50-lecia BAJKI ▶
fot. FRANCISZEK BAŁON

OBRADOWAŁA RADA REPUBLIKOWA WSPÓLNOTY

20 lutego br. odbyło się w Karwinie-Frysztacie zebranie Rady Republikowej Ruchu Politycznego Wspólnota. Sprawozdanie z działalności poszczególnych sekcji narodowych przedstawili: Alfred Kołorz (przewodniczący Polskiej Sekcji Narodowej), Ferenc Monuš (przewodniczący Węgierskiej Sekcji Narodowej) i Vasil Vaník (przewodniczący Ukraińsko-Rusińskiej Sekcji Narodowej).

Trwają przygotowania Ruchu do wyborów komunalnych w obwodzie bogumińsko-orłowsko-karwińskim. Wspólnota wystawi w większości gmin pełne listy kandydatów. Jak podkreślił Stanisław Gawlik, przewodniczący Ruchu, listy kandydackie Wspólnoty umożliwią szerszy wybór i są korzystne dla polskiej mniejszości. Jak uczy bowiem doświadczenie z poprzednich wyborów komunalnych, wyborcy głosują przede wszystkim na osobistości. W przyjętej uchwale zaakceptowano przedstawiony program Rady Wykonawczej, dotyczący przygotowania list kandydackich do przedstawicielstw gminnych i miejskich.

Dyskutowano również o wyborach senackich i parlamentarnych. Rada Republikowa zobowiązała Radę Wykonawczą do nawiązania dyskusji z partiami, które w swoich założeniach programowych mają problematykę mniejszości narodowych (np. KDU-ČSL), mając na uwadze wytworzenie wspólnej koalicji do wyborów parlamentarnych.

Rada Republikowa zaakceptowała powołanie Komisji Petycyjnej, która przygotuje petycję dotyczącą praw mniejszości narodowych w RC.

T.T.

JAK OSTATKI, TO W GRÓDKU

Również w tym roku sezon karnawałowy w Gródku zakończył bal ostatkowy, zwany popularnie „papuciowym". W sobotą 21 lutego br. chętnych do zabawy w miejscowym Domu PZKO powitał starosta gminy a zarazem członek zarządu Koła inż. Jan Kawulok. Na bal przybyli także goście z Pszczyny. Z programem artystycznym wystąpili tancerze z Klubu Tanecznego Elan w Trzyńcu, a humorystycznymi opowieściami zabawiał Tadeusz Filipczyk, znany jako Filip. Bawiono się do białego rana przy muzyce zespołu Homeless i obfitym bufecie przygotowanym przez Klub Kobiet. Już dziś zapraszamy na przyszłoroczne ostatkowe szaleństwa do Gródka wszystkich tych, którzy spędzili tę noc z nami, i tych, którzy uwierzyli, że prawdziwe ostatki są tylko w Gródku.

L.K.

STRÓJ CIESZYŃSKI W CZESKOCIESZYŃSKIM KLUBIE PROPOZYCJI

Na podziw i wysoką ocenę zasługuje działalność Klubu Propozycji przy MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum. Motorem tego Klubu jest dwojący i trojący się Władysław Kristen. Z jego inicjatywy MK PZKO Czeski Cieszyn-Centrum przygotowało w ramach Klubu Propozycji w Klubie PZKO przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie w czwartek 26 lutego 1998 ciekawe spotkanie z historią i dniem dzisiejszym stroju ludowego. Wykłady na ten temat dopełnione były demonstracją strojów zarówno ze zbiorów, jak i współcześnie precyzyjnie odtworzonych. Ważnym momentem tego spotkania były między innymi pokazy strojów i srebrnych ozdób na żywo. Stroje zademonstrowały dzieci z Rytmiki, tancerze zespołu Olza oraz członkinie Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, jak również twórczynie tych pięknych ubiorów - hafciarki z Polski.

Prezentacja najbogatszego i najpiękniejszego stroju ludowego naszego regionu była dziełem magister Janiny Marcinkowej - etnografa, choreografa Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej, której towarzyszyły hafciarki Michalina Prus i jej córka Urszula, uczennica Technikum Tkactwa Artystycznego im. Heleny Modrzejewskiej (kierunek haftu i koronkarstwa) w Zakopanem oraz Irena Rakowska. Na spotkaniu był również obecny złotnik z Cieszyna Wiktor Pieczonka - ostatni w Cieszynie „hoczkorz" -

robiący do dnia dzisiejszego tradycyjne hoczki i srebrne pasy do kobiecego stroju cieszyńskiego.

Z wykładu Janiny Marcinkowej, jak również z wypowiedzi Wiktora Pieczonki można było się dowiedzieć, że ludowy strój kobiecy nazywany obecnie powszechnie „cieszyńskim" jest rzeczywiście klejnotem. Stał on się takim w okresie, kiedy miejscowa ludność wzbogaciła się i z bogactwem materialnym wiązało się bezpośrednio bogactwo haftu na żywotkach, jak również bogactwo srebrnych ozdób stroju.

Salę Klubu PZKO przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie wypełniło tego wieczoru wiele zainteresowanych z obu stron Olzy. Żywe zainteresowanie obecnych wykładami i wystawionymi eksponatami przerywane było wspólnym śpiewem pieśni ludowych.

F.B.

DWA JUBILEUSZOWE WIECZORY BAJKI

2 marca 1948 roku miała miejsce pierwsza premiera BAJKI, podczas której zaprezentowano M. Kownackiej „O szewczyku i królewnie". Pięćdziesiąt lat później bajką o szewczyku Dratewce, tyle że innych autorów Jaremy i Wolskiego, Teatr Lalek ZG PZKO rozpoczął swoje jubileuszowe świętowanie. Reżyserem przedstawienia jest G. Lewandowski, scenografię opracowała M. Zielińska, obydwoje z Częstochowy, a muzykę napisał Zbigniew Siwek.

W sali BAJKI, mieszczącej się na ostatnim piętrze ZG PZKO, licznie zgromadzili się miłośnicy teatru, niezależnie od wieku. Następnego dnia w sobotę 7 marca miała miejsce premiera bajki „Królowa śniegu" według Hansa Christiana Andersena w reżyserii Marka Mokrowieckiego z Płocka, z muzyką Leszka Wronki i scenografią Haliny Szkopek. W obu Bajkowych wieczorach wzięli udział licznie przybyli goście, wśród których nie zabrakło dawnych aktorów, reżyserów, kierowników artystycznych i literackich. Z jubileuszowymi gratulacjami przybyła przedstawicielka Ministerstwa Kultury i Sztuki RP Magdalena Gumkowska. Miłą niespodziankę kierowniczce BAJKI i jej aktorom sprawiła była aktorka, dziś mieszkająca w Holandii, Jola Kubiszówna, która przywiozła dar pieniężny od miłośników teatru w swojej nowej ojczyźnie. Zarząd Główny PZKO z okazji jubileuszu przyznał odznaki zasłużony dla Związku II stopnia Pawełce Niedobowej, Krystynie Kubiczek i Janowi Szymanikowi, srebrną odznakę PZKO Halinie Szkopek, a brązową Krystynie Czech. Napłynęły też liczne gratulacje i życzenia od osób, które nie mogły osobiście w jubileuszowych obchodach wziąć udziału, m.in. od prezesa Wspólnoty Polskiej w Warszawie prof. Andrzeja Stelmachowskiego.

E.S.

„JURA SPOD GRÓNIA" SKOŃCZYŁ 84 LATA

Władysław Niedoba to współzałożyciel Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego, aktor, działacz społeczny, którego znają chyba wszyscy jak ze sceny, tak z Gorolskich Świąt, których duszą był przez całe 50 lat. Człowiek powszechnie znany i wielce szanowany. Nic więc dziwnego, że inicjatorem spotkania z jubilatem w celu złożenia mu życzeń urodzinowych był Konsulat Generalny RP w Ostrawie reprezentowany przez pełniącego obowiązki konsula generalnego Piotra Szwarca. Spotkanie odbyło się we wtorek 10 marca br. (na 12 dni przed jubileuszem) w restauracji Pensjon w Jabłonkowie-Białej w kameralnym gronie. Z gratulacjami przyszli, obok konsula, przedstawiciele Urzędu Miejskiego Jabłonkowa, MK PZKO Jabłonków, Zespołu Gorol. Warto tu przytoczyć słowa konsula Piotra Szwarca: *Dzięki takim jak Pan Polska poszerzyła swe granice, stała się bogatsza, a instytucje, którym od samego początku Pan patronował, zasługują na miano narodowych.*

F.B.

foto w kronice FRANCISZEK BAŁON

RADY PRAKTYCZNE SPRZED 60 LAT

Do pielęgnowania twarzy nie każda kobieta jest w stanie łożyć wielkie sumy na drogie kremy i maści. A jednak każda chciałaby być piękną. Wystarczy rano i wieczorem po umyciu natrzeć twarz czystym spirytusem z salicylem (3% salicylu rozpuścić w spirytusie). Skóra się napręży, a zmarszczki i nieczystości skóry znikną.

Robaki z doniczek usunąć można w następujący sposób: Na ziemię pod roślinę w doniczce położymy nadgniłe jabłko. Wkrótce robaki z ziemi wylezą, tak, że można je będzie pozbierać. Jabłko pozostawimy dalej, aż wszystkie robaki wylezą.

Czy drożdże są dobre, dowiemy się, próbując w gorącej wodzie. Kawałek drożdży puścimy do gorącej wody; jeżeli drożdże wypłyną, są dobre, w przeciwnym razie należy je wyrzucić.

Do czyszczenia rąk użyć można zwyczajnych trocin (rzazin). Od pracy domowej zabrudzone ręce można wyczyścić szybko, jeżeli się je silno namydli, a następnie umyje dobrze w letniej miękkiej wodzie.

Na poty pachwinowe myć należy jamy pod pachami trzy razy dziennie letnią wodą i nacierać przy pomocy ręcznika octem toaletowym oraz myć słabym rozczynem formaldehydu.

Popiołem z papieru czyści się naczynia cynowe lub pocynowane. Zardzewiałe żelazo lub stal zwilża się naftą, a po upływie 2 lub 3 godzin czyści się przesianym popiołem z brykietów.

Utrzymywać krowy w czystości. Krowy starannie czyszczone zgrzebłem, czyli tzw. u nas grzebelcem, są zdrowsze i daleko więcej dają mleka, niż krowy nieczyszczone, które ponadto znacznie łatwiej ulegają wszelkiego rodzaju chorobom.

Bicie serca. Kto cierpi w nocy na bicie serca, powinien każdego wieczoru przed pójściem na spoczynek pić szklankę wody z cukrem i cytryną.

Tłuste plamy z papieru wywabia się w następujący sposób: Zatłuszczony papier położy się na czystą białą bibułę, a na wierzch papieru położy się drugą bibułę. Miejsce, gdzie jest plama, zwilży się benzyną, na wierzch położy się jeszcze dwie bibuły, a następnie gorącym żelazkiem wolno przeprasuje. Manipulację tę przeprowadzić należy z dala od ognia, najlepiej przy otwartym oknie, gdyż pary benzyny łatwo eksplodują.

Przy cierpieniach reumatycznych należy uważać, żeby nie nadwyrężać wątroby. Mało tłuszczu, nic mleka, unikać śmietany i sera, jaj, alkoholu. Masło można jeść.

Tania klinika igieł do szycia. Jeżeli igła stanie się szorstką i nie chce leźć do materii, położymy ją na podłodze i posuwamy po niej podeszwę buta tam i na powrót. Po takim "wydrekslowaniu" igła jest znowu zdatną do użytku.

Po myciu włosów blond jako ostatniej wody do opłukania użyć należy odwaru rumiankowego, przy ciemnych włosach odwaru rozmarynowego.

Stwardniały ser zmięknie, jeżeli włożymy go na kilka godzin do zimnego mleka.

Podeszwy stają się wytrzymalszymi, jeżeli je przed użyciem natrzemy olejem rycynowym.

Kąpiel parowa przy zaziębieniach. Do miednicy (lawora) wsypujemy garść rumianku i garść kwiatu bzowego (hebzu), po łyżce stołowej kminu i anyżu, nalewamy wrzącą wodę (ze dwa litry), nad unoszącą się parą nachylimy głowę i przykryjemy chustką. Następnie wdychamy gorącą parę głęboko, przez co nastąpi odświeżenie błon śluzowych nosa i oskrzeli.

Jeżeli wpadł nam w butelkę korek, a nie możemy go w żaden sposób z niej wydobyć, nalejemy do butelki tyle amoniaku, aby korek pływał. Za kilka dni korek zostanie przez amoniak zupełnie rozłożony.

Aby pozbawić się piegów, należy częściej zmywać twarz sokiem brzozy, to jest miazgą, która na wiosnę wycieka z nawierconej brzozy.

Piorąc jedwabne bluzki, należy dodać do ostatniej wody nieco miałkiego cukru. Wyprany jedwab nabywa sztywności, jakby był nakrochmalony (naskrobiony).

Na kaszel dobrym środkiem jest mleko z miodem pić kilka razy na dzień. Również działa wyśmienicie wieczór przed pójściem do łóżka filiżanka mleka z łyżką stołową gliceryny. Pić należy powoli, łykami.

Plamy na parasolach najlepiej wyczyścić można przez nacieranie alkoholem metylowym.

Pleśń na ścianach usunąć można w następujący sposób: Sporządzimy sobie mieszaninę z jednej części kwasu salicylowego i pięciu części spirytusu i przy pomocy kawałka waty zwilżymy pokryte pleśnią ściany.

„Sztuczna śmietana". Jeżeli potrzeba nam naprędce kwaśnej śmietany, a nie można jej nabyć, można sfabrykować „ersatz". W tym celu bierzemy trochę mleka, nieco soku cytrynowego lub octu, mąki, kawałek masła, rozmieszamy dokładnie i mamy doskonały „ersatz" śmietany.

Na bezsenność. Pół godziny przed pójściem na spoczynek należy pić każdego wieczoru filiżankę odwaru kozłka lekarskiego (Baldrian, valeriana ofic.). Bierze się łyżeczkę na filiżankę wody, mocząc w wodzie od rana, a wieczór się ugotuje. Odwar przed wypiciem należy ochłodzić. Do osłodzenia można użyć miodu w dowolnej ilości. - Innym środkiem na bezsenność są mokre skarpetki. Cienkie skarpetki zmaczać w wodzie, wykręcić dobrze i wdziać, a na nie drugie, suche, wełniane. W ten sposób nastąpi odkrwienie głowy, uspokojenie i sen.

fot. BOGUSŁAW RAJSKI ▶

ŚMIECH TO ZDROWIE

Tak mówi przysłowie. A przysłowia są mądrością ludu. Nie od dziś wiadomo, że ludzie, którzy często się śmieją, łatwiej zjednują sobie sympatię otoczenia, lepiej radzą sobie ze stresami, przeciwnościami losu, ogólnie są zdrowsi. Badania naukowe dowodzą, że ludzie weseli, o pogodnym usposobieniu żyją dłużej. Śmiech i wesoła zabawa wykorzystywane są w niektórych ćwiczeniach terapeutycznych dla osób z zaburzeniami psychicznymi. Poczucie humoru to cecha wysoko stawiana w hierarchii zalet osobistych.

Do niedawna nauka niewiele jeszcze wiedziała na temat mechanizmów śmiechu w organizmie ludzkim. Podczas śmiechu zachodzą w ciele człowieka różne procesy fizjologiczne. Na początku jest to ledwo zauważalny ruch niektórych mięśni twarzy. Szybko jednak przeradza się on w reakcję łańcuchową. Działa przede wszystkim na układ oddechowy. Dobrze pracuje przepona, mięśnie brzucha, rozszerzają się płuca, organizm się dotlenia, bo i krew krąży szybciej. Tuż po śmiechu następuje w organizmie pozorny chaos, który jest efektem całkowitego odprężenia. Człowiek czuje się zmęczony, ale szczęśliwy.

Istnieje kilka rodzajów śmiechu:

Uśmiech okolicznościowy, nazywany też sztucznym, polega na lekkim uniesieniu kącików ust bez odsłaniania zębów. Oczy pozostają nieruchome.

Śmiech szczery powoduje mocniejsze podniesienie kącików ust z częściowym odsłonięciem zębów. Śmieją się już i oczy, marszczy się skóra wokół nich, unoszą się brwi.

Cichy śmiech wbrew samej nazwie już słychać. Rozchylają się usta, odsłaniają zęby, wydobywają się pierwsze dźwięki.

Śmiech podstawowy oznacza głośniejsze dźwięki, mocniejsze rozchylenie ust. Zmarszczenie skóry powoduje, że oczy zamieniają się w szparki. Serce bije szybciej, szybszy staje się też oddech.

Głośny śmiech to głośniejsze i gwałtowniejsze dźwięki, większe napięcie mięśni twarzy. Powietrze z płuc wydostaje się z prędkością 100 kilometrów na godzinę. Rozszerzają się naczynia krwionośne. Trudno opanować mimikę twarzy.

Śmiechu do rozpuku nie da się już opanować. Serce uderza 120 razy za minutę. Napięcie przepony powoduje spazmy klatki piersiowej. Twarz wykrzywia się w grymasie podobnym do bólu. Gruczoły łzowe nie dają się opanować, mogą pojawić się łzy. Rozluźniają się mięśnie nóg, co może spowodować nawet upadek.

Różne są też rodzaje humoru. Formą najwyżej cenionego humoru jest humor rubaszny. Dzięki rubaszności pośrednio zostają wyrażone tłumione skądinąd popędy. Sztuka podwójnego znaczenia sugeruje to, o czym dobre wychowanie nie pozwala mówić wprost.

Proponujemy dziś czytelnikom kilka przykładów rubasznego humoru ludowego. Fragmenty pochodzą z książki Karola Daniela Kadłubca „Górniczy śmiech".

O GOROLCE

Za Niymców gorolka jechała z Jabónkowa do Cieszyna. A gestapak też. Siedzieli w jednym przedziale. Gestapak w nocy robił słóżbe, tak sie mu chciało spać. Tak sie tak oprził o okno, firankóm sie zasłónił. Gorolka, tak jóm jaksi puczyło, tóż prawi se: „Spi, tóż jo se po cichu mogym teraz puścić". I óna sie tak naddźwigła i puściła se. A tyn gestapak sie przebudził i prawi se: „Fuj". A ta baba prawi: „Nó na ostatku. Szkołyście nóm zawrzili, kościołyście nóm zawrzili, ale to nóm nie zawrzecie".

DOBRZE, ŻECH DO TEGO NIE STANÓŁ

Idym też z gospody a przedy mnóm idzie taki popity hawiyrz. A słóneczko tak świyciło, a łón sie tak dziwo, cosik widzi na ceście. Piyrsze palcym sprubował, poliże, prawi: „Jej, to je guwno. Dobrze żech do tego nie stanół".

O HAWIYRZU

Teraz wóm też powiym o hawiyrzu. Też przizoł taki młody synek do hawiyrnie a taki niemowa to był. No i hawiyrze go chcieli wyprugować. I tak każdy roz, co przizoł, tak mu wziyni a do bótów mu nagiździli.

Nó a tak to robili dość dłógo, możne sztyrnoście dni. A ón nic nie mówił, yny dycki wysuł z tego, wypłókoł i zaś obuł bóty, i dali robił. No a tak za sztyrnoście dni mówióm: „Tak widzimy, że z ciebie bydzie dobry hawiyrz, że nie chodzisz żałować". A ón mówi: „No, jak wy mi nie bydziecie do tych bótów smolić, tak jo wóm nie bydym do kawy jscać".

JAKO CHŁOP ZASTRZELÓŁ PSA

Był żech na myśliwieckim balu a tyn jedyn mówi kolegowi: „Dzisio móm urodziny a to moji babsko mie tak grejcarym oddzielo. Jo by tak cosi wypiół". Jedyn mu kupił achtlik, a tyn drugi mu doł do tego broków. Ón sie zatrzepoł, łyk to do siebie, a tyn rozmyślo: „Jej, maryjku, ón może być na żołóndek nimocny. Na ślepe strzewo". Idzie ku jego babie, una była tako świdrato, prawi: „Sómsiadko, jak je waszymu po wczorajszku?" A óna sie tak dziwo: „Nie wiym, co ta potwora wczora zeżroł, yny dzisio jak se zegnół po podkowe, to mi psa zatrzelół".

JAKO JEDNA BABA PORODZIŁA

Ze Żofinki jedyn hawiyrz doł babe sztudować do Pragi. Byli tam Murzini. A óna była dość szykowno, jedyn se kole ni zatoczył i miała bliźniynta. Tyn doktór to tak przigotowoł i wyjaśnił to tymu hawiyrzowi. A tyn prawi: „To żech je rod, przi jednym to wychowiymy". A idzie ku te babie z tymi kwiotkami. A óna mówi: „Chłopie złoty, jo ci straciła mlyko. Dała żech pić Murzince a ty dziecka szczerniały". I tyn hawiyrz to pisze swoji mamie: „Kochana matko, moja straciła mlyko... A óna na to: „To samo sie mie stało. Jo ci też straciła mlyko. Dała żech ci krowski, a dzisio je z ciebie wół".

Też jajko... fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

FUSEKLE

Opowiadali mi kiedyś dziadkowie przygodę o pewnym koledze z pracy. Jak się nazywał? Nie pamiętam a raczej myślę, że to nieważne. Ważniejsza jest, tak myślę, owa przygoda ... a owego przyjaciela nazwijmy np. Franek.

To wszystko było przez wojne. Franek, tak jak my, robił we fabryce u Meldra. Ón też był na robotach jak my. A było nas, to znaczy Poloków, kupe. Starali my se tóm naszóm biydnóm dole jakosik urozmaicić wszelijakimi srandami, wcipami, kiere ale nikiedy groziły konsekwencyjami. Ale my wtedy byli młodzi, wiesioli, ale aji głupi, nieopaterni a zbytecznie odważni. Posóndźcie sami. Jedyn taki wymasta, to uż było ku kóńcu wojny, jak uż se bliżył definitywny kóniec, roz rano przisżeł a strasznie potajymnie po całej fabryce, głównie miyndzy nami Polokami, rozgłosił tajnóm informacyje, że uż tu sóm, uż je kóniec wojny, w Gutach banhof zbómbardowali. Samo sebóm ta informacyja se wartko roznióśła po całej fabryce, a dozwiedzieli se to aj Niymcy. Zaniedłógo uż ci, z tymi trupimi czaszkami, gónili po fabryce i pytali se każdego, co to je za informacyja, skónd, kiedy, jak i tak dali. Ważne je to, że z poczóntku se żodyn nie uświadómił, że przez Guty żodne glajzy nie idóm i że w Gutach żodyn banhof ni ma. I tak se aji Niymcy dali nachytać, i o to wiyncy byli źli i dociyrni. Ale nic wtedy nie ziścili. Ale ni dycki to tak kóńczyło. Nikiedy to kóńczyło źle.

No a tyn Franek też s nami chodził na zabawy, wycieczki, bo to był taki dobry synek do partyje, był moc móndry, sóm se fórt uczył i dokozoł pieknie opowiadać o wszelijakich wiecach, kiere wyczytoł z ksiónżek. A czytoł skoro fórt. Całóm ceste do roboty i z roboty, w tramwajce mioł przed sebóm ksiónżke i czytoł.

Ale tyn Franek se strasznie lutowoł, że je odstyrkowany dziołchami, że na zabawach s nim żodno nie chce tańcować i tak dali. Powodym tych jego niepowodzyń u dzieuch było to, że mu strasznie smerdziały nogi. Opowiadoł nóm, że uż se nie wiy rady, że uż wyprubowoł wszelijaki sposoby, nie wyłónczajónc wszelijakich babskich zielin i lyków. Ale nic nie pómógło. No luto nóm było synczyska, tak my mu poradzili przed jednym balym, aby se nogi porzóndnie wymoczoł w pokrziwach a potym niech se weźnie rezerwni fusekle, kiere wymiyni i tak to bydzie lepsze i do wydziyrżynio. To wiycie, wtedy eszcze nie było tela wszelijakich wóniawek, dezodorantów, kolińskich i jaksich tam inszych smrodów. A jak były, tak my na nich nie mieli piniyndzy. Wtedy było, jak se mówi – ryżowy kartacz a mydło z jelyniym.

No i miły Franek nas posłechnył. Jak my mu kozali, tak zrobił. Starce wzión ususzónych pokrziw, sparził ich i we wodzie wymoczył ty swoje smrodziuchy, czyli nożyska. Potym se we żberze wydrził szichtowym mydłym i umyty, pieknie obleczóny z rezerwnimi fuseklami w plewni przizsel na bal. Zabawa była szumno, ale Franek zaś obsiodowoł po kóntach. Dziołchy abo mu dały koszym, abo po poru taktach uciykły. Dycki se cosi wymyślały i wymówiły se na jakisikej problemy na przikład zdrowotne abo cosi.

No tak my potym tego Franka brali na spytki i pytali my se go: – Moczył żeś giczale w pokrziwach? – No toć żech moczył! – Wzión żeś se czyste, rezerwni fusekle? – No toć, że wzión! Przewlyk żeś se ty rezerwni fusekle? – Toć, że przewlyk!

I byli my z tego wybici. Ni mógli my prziść na to, czymu ty dziołchy od niego uciekały. Ale jak my tak rozmyślali cały czas, to jedyn z kamratów se go pyto: – Franek, kaj żeś doł ty stare fusekle, kiere żeś se przewlyk? A Franek dobrodusznie odpowiedzioł: – No tu, do tej przedni kapeski ancugu, za biołóm chustke...

JAN KUBICZEK

24 kwietnia 1998
Dom PZKO w Jabłonkowie

Gościem kawiarenki „POD PEGAZEM" będzie

ANDRZEJ GRABOWSKI

Kawaler Orderu Uśmiechu, poeta, prozaik i niezależny publicysta, autor licznych fraszek, satyr i humoresek. Urodzony 9 września 1947 we Wrocławiu. Studiował w Krakowie i Rzeszowie. Założyciel grupy literackiej „Rydwan" i kabaretu „V koło". Prowadził również kabarety autorskie „Perskie oko", „Dyszel" i „Ogrodnik". Uzyskał wiele nagród za scenariusze i reżyserie. Jest również twórcą widowisk parateatralnych i telewizyjnych, autorem licznych książek dla dzieci i młodzieży, z których największym powodzeniem cieszą się „Przygody skrzata Wiercipiętka" spopularyzowane przez telewizyjny program „Domowe przedszkole"...

OT I CO
Szło „toto" ze wzrokiem utkwionym
w chmury. – Istne zadęcie!
I miało wzięcie!!!
Brał „to" każdy za „coś"
a chciało być „KIMŚ"
Oj, nie łatwo „na psa urok"
z samej chęci bycia w czymś
aż tak wielkim...
Bo i korek z butelki
w y s a d z a ,
gdy wzbierają bąbelki.

Z tomiku Andrzeja Grabowskiego
FRASZKI IGRASZKI (1996)

Andrzej Grabowski będzie miał następujące spotkania autorskie:

23 kwietnia o godzinie 14.00
– w Centrum Pedagogicznym w Czeskim Cieszynie – z polonistami

24 kwietnia
– w godzinach przedpołudniowych – w PSP i w Gimnazjum Polskim w Czeskim Cieszynie
– w godzinach południowych – w PSP w Jabłonkowie

KRZYŻÓWKA

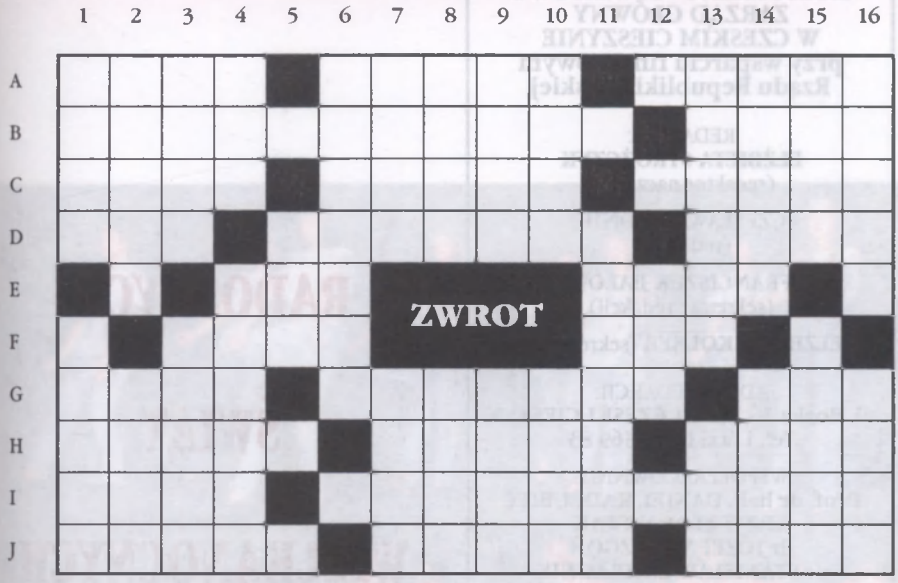

POZIOMO: A. Intensywne karmienie zwierzęcia; australijski niedźwiadek; antyczny pomnik nagrobny. **B.** Gospodarka oparta tylko na jednym rodzaju produkcji; poeta hiszpański (Juan, 1283-1350). **C.** Miejsce bezpiecznego pobytu; mebel; opłata za przesyłki pocztowe. **D.** Kolor lub kosmetyk; rodzaj zagadki; nadrzewna małpiatka. **E.** Wyspa na Morzu Irlandzkim; przyczepia się do psiego ogona. **F.** Nauczycielka; tytuł poematu K. H. Máchy. **G.** Nić w świecy; duchowny wojskowy; lina do podnoszenia żagli. **H.** Warstwa skał; rodzaj surduta; rodzaj naczynia. **I.** Koczownik; telemetr. **J.** Danina w naturze ściągana przez urzędników carskich; starożytna moneta srebrna; poeta angielski (Thomas).

PIONOWO: 1. Imię Sharifa; krawędź. **2.** Powierzchowne, łudzące wrażenie; uchodzi do Zatoki Fińskiej. **3.** Badian lub biedrzeniec; pierwiastek chemiczny (K). **4.** Jednostka monetarna Peru; lewy dopływ Donu w Rosji. **5.** Płynie przez Przemyśl. **6.** Żołnierz uzbrojony w kuszę. **7.** Wydawnictwo w Cz. Cieszynie; starożytne państwo semickie. **8.** Miasto w Mauretanii; służą do budowy palisady. **9.** Główna część broni palnej; czeski aktor (Marek). **10.** Miasto w Rumunii; rodzaj żywicy. **11.** Eksploatuje statek handlowy. **12.** Poeta, przyjaciel Mickiewicza. **13.** Drezyna; samolot bojowy produkcji rosyjskiej. **14.** Rzadki metal z grupy lantanowców; miasto w Albanii. **15.** 1 dm^3; miasto w Iraku. **16.** Era archaiczna; miejsce urodzenia Karola Piegzy.

Wyrazy trudne: ATAR, FIER, JASAK, MATYRA, RUIZ.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego - dadzą litery w następujących kratkach: J-13, G-16, A-7, I-2, D-2, F-11, B-1, B-14, H-1, B-6, J-9, H-14, G-9, E-14, I-15, B-16, E-13, H-9, F-6, F-13, A-14, D-5, I-16. (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca miesiąca kwietnia.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lutowego:
Hasło: **Głupota ludzko, to je też dar Boży**
Nagrody książkowe wylosowali: **Miriam Hurta** - Bystrzyca
Mieczysław Piszczek - Stonawa
Zofia Siuda - Dziećmorowice

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

RADOSNYCH

ŚWIĄT

WIELKANOCNYCH

ŻYCZY

REDAKCJA

NASZE ZESPOŁY

„TO MY"

Zespół dziecięcy działa przy MK PZKO w Wędryni od roku 1995. Powstał on z grupy dzieci, które przygotowały taniec na jubileusz dziewięćdziesięciolecia wędryńskich „Gimnastyków". Młodym spodobało się i po pierwszym tańcu były następne. Zespół nazwany prosto i wymownie „TO MY" występował na balach w sezonie karnawałowym 1996, przygotował swój spektakl na sezon karnawałowy 1997, następne i następne tańce. „TO MY" działa w dwu kategoriach wiekowych. Zarówno młodsza jak i starsza część zespołu cieszy widzów bez względu na wiek.
Zespół prowadzi Irena Ondraszek, a pomagają Zosia Biłko i Renata Ondraszek. „TO MY" to też przyszłość wędryńskiego Koła PZKO.

Ford
SilCar
Frýdecká 36, 737 01 ČESKÝ TĚŠÍN
tel.: 0659-711 177, mobil: 0602-727 123
Nasz autosalon proponuje świetne i popularne w całym świecie
SAMOCHODY FORD
od KA, przez FIESTĘ, ESCORT, MONDEO, SCORPIO aż po TRANZYT.
Pomożemy Wam zapewnić leasing na dogodnych warunkach,
jak również ubezpieczyć
Wasz NOWY SAMOCHÓD
ESCORT

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

Biblioteka Cieszyńska

5/98

SPOTKALI SIĘ POD BESKIDAMI

TACY BYLIŚMY

Zarząd Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego.
W środku za stołem prezes Towarzystwa Jan Wanok. Obok zaproszenie na walne zebranie Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego z roku 1935. Właścicielką dokumentów jest córka Jana Wanoka p. Maria Łabajowa zamieszkała w Śmilowicach.
Jan Wanok urodził się 22 kwietnia 1892 w Rzece, zmarł 12 czerwca 1980 roku. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Cieszynie-Bobrku w r. 1913. Po maturze pracował jako nauczyciel w szkołach ludowych w Trzanowicach, Rzece i Śmilowicach. Po pierwszej wojnie światowej był kierownikiem Polskiej Szkoły Ludowej w Śmilowicach. Założył Towarzystwo Pszczelniczo-Ogrodnicze, którego był prezesem. Po drugiej wojnie światowej był założycielem Koła Miejscowego PZKO w Śmilowicach, w którym przez wiele lat pełnił funkcję sekretarza. Był również prelegentem ZG PZKO w dziedzinie pomologii i pszczelarstwa.

Zaproszenie

na

Walne Zebranie

Towarzystwa Pszczelniczo-ogrodniczego,
które odbędzie się **1 marca b. r. o godz. 8 rano**
w sali Domu Reprezentacyjnego „Polonia"
w Cz. Cieszynie.

Porządek obrad:

1. Zagajenie.
2. Protokół.
3. Referaty z pszczelnictwa i ogrodnictwa.
4. Sprawozdanie z działalności za r. 1935.
5. Sprawozdanie kasowe.
6. Wybór Zarządu.
7. Program działalności na r. 1936.
8. Pogadanka pszczelniczo-ogrodnicza.
9. Wnioski i życzenia.
10. Uiszczenie wkładek i przyjęcie nowych członków.

Za Zarząd:

Szmapka Alojzy *m. p.*
sekretarz

Wanok Jan *m. p.*
prezes

KUTZER I SP. W CZ. CIESZYNIE.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 582 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

5/98

W NUMERZE

[3] Rod Buzków — CZESŁAWA RUDNIK
[10] Wspomnienia i refleksje o Wacławie Olszaku — OTOKAR MATUSZEK
[12] Wspomnienia o ks. Prałacie Józefie Londzinie
[17] Co nowego w Dąbrowie i Suchej Górnej — TADEUSZ TOMAN
[20] Z myślą o polskich Śląsku Cieszyńskim (17) — ALOJZY NOWOK
[27] Moje dorastanie do dojrzałości (5) — BOLESŁAW ORSZULIK
[34] Poezja Władysława Sikory
[36] Wiesław Adam Berger – Z Barcelony do Mieszkowic
[42] Renata Putzlacher – Moje fascynacje
[48] Na naszej scenie — CZESŁAWA RUDNIK
[55] Na półkach księgarskich
[58] Serce na dłoni
[61] Złote myśli o miłości
[64] Echo wydarzeń muzycznych
[65] Kronika
[74] Mozaika
[78] Krzyżówka

Numer zamknięto 17. 04. 1998
Na pierwszej stronie okładki: Premier RP Jerzy Buzek oraz premier RC Josef Tošovský w towarzystwie ambasadora RP w Pradze Marka Pernala.

SPROSTOWANIE

Cytat wypowiedzi konsula Piotra Szwarca zamieszczonej w informacji „Jura spod Grónia skończył 84 lat" (Zwrot 4/98, s. 68) powinien brzmieć: ***Dzięki takim jak Pan Polska jest większa niż jej granice.***

RÓD BUZKÓW

Anna i Karol Buzkowie z Końskiej (siedzą), za nimi ich dzieci (od lewej): Helena, Paweł, Jan i Anna

W marcowym numerze Zwrotu rozpoczęliśmy prezentację cyklu opowieści o rodach zaolziańskich. W oczekiwaniu na następne propozycje naszych czytelników przypominamy dziś dzieje rodu Buzków.

Nazwisko Buzek nie należy do najczęściej spotykanych na naszym terenie i do niedawna nie cieszyło się specjalną sławą ani popularnością. Sytuacja zmieniła się, kiedy jesienią ubiegłego roku został premierem Polski Jerzy Buzek, rodem z Zaolzia. Wzrosło zainteresowanie dziejami rodu Buzków. Zaczęto je zgłębiać i opisywać w prasie.

Buzkowie są mocno związani ze swym rodem, pielęgnują pamięć o swych przodkach i tradycje rodzinne. Urządzają spotkania a nawet zjazdy. Pierwszy zjazd rodzinny odbył się w roku 1976 w Bielsku-Białej. Inicjatorką była Maria Wegert, córka pastora Karola Buzka, wnuczka Jerzego z Końskiej. Jan Wojnar, potomek Marii Krzywoń z domu Buzek, córki Jerzego z Końskiej, urządził drugi zjazd rodzinny, który odbył się w 1996 roku w Simoradzu koło Skoczowa. Z rodu Buzków wywodzi się kilku wybitnych ludzi nauki i kultury. W samym tylko „Słowniku biograficznym Ziemi Cieszyńskiej" znalazło się osiem sylwetek Buzków.

Nazwisko Buzek pochodzi od słowiańskiego imienia Budzisław, złożonego ze słów budzić i sława lub sławny, tłumaczonego jako pobudzający do sławy lub strzegący sławy.

W pisanej po łacinie kronice Thietmara z XI wieku po raz pierwszy mowa jest o łużyckim, pochodzącym z Miśni, rodzie Buzici. Z tego rodu wywodziła się pierwsza żona Bolesława Chrobrego. W Czechach Buzkowie należeli do najznamienitszych rodów, dostąpili zaszczytów na dworze Przemyślidów. Praprzodek Jetrich wsławił się około roku 1109 w walkach przeciw Niemcom. Tak brzmi jedna z legend. Kronikarze czescy wspominają Dzietrzyszka Buzka, który w roku 1110 poległ w czesko-polskiej bitwie u Chlumca nad rzeką Cidliną. W roku 1148 zginął w wyprawach krzyżowych marszałek Jurik z rodu Buzków. Jego wnuk Jan został w roku 1227 biskupem praskim. Z tego rodu mieli też pochodzić, mający w herbie głowę dzika - od czasów Dzietrzyszka, *który dziką świnię żywą za uszy chwycił i głowę dzika na tarczę swą przyjął* - np. panowie z Waldeku, Trzebonia, Rożmitala itd. W Polsce nazwisko Buzek pojawiło się w bulli z roku 1136. Według jednego z podań po klęsce na Białej Górze w roku 1621 ewangelicki ród Buzków przeniósł się z Czech na Śląsk Cieszyński.

Ksiądz Jan Unicki z Ligotki Kameralnej, syn Anny, wnuk Jerzego, w spisanej przez siebie w roku 1976 historii zaolziańskiego rodu Buzków napisał: *Wiele rodów czeskich się poniemczyło, a ostatecznie wymarło. Zapewne część rodu Buzici, która nie osiągnęła sławy, majątków i znaczenia, zachowała pierwotne nazwisko Buzek i pozostała w pierwotnej ojczyźnie Łużycach, skąd niektórzy przybyli i na nasz Śląsk. Możemy powiedzieć, że dzisiejsi Buzkowie na pewno nie są potomkami wymienionych w historii sławnych Buzków, ale jedną gałęzią tego samego pnia, gałęzią, która, jak Łużyczanie, od tysiąca lat się nie poniemczyła i pozostała słowiańska i która ma jeszcze sławną przyszłość przed sobą.*

Na Zaolziu nazwisko Buzek pojawiło się w XVII wieku w Oldrzychowicach, w Cierlicku i Nieborach. W latach 1639-1717 żył nad Olzą Paweł Buzek. Na początku XVIII wieku wójtem w Nieborach był syn Pawła Adam. W tym czasie w Nieborach mieszkało wielu Buzków, głównie rolników, od najbogatszych siedlaków, przez zagrodników, chałupników do komorników bez chałupy i pola. Adam ożenił się z Anną z domu Marek, miał z nią 8 synów: Adama, Pawła, Jana, Jerzego, Mateusza, Andrzeja, Jakuba i Macieja. Urodzony w roku 1723 Jerzy był pastorem w Smardach koło Kluczborka. Tam też zmarł w roku 1763. Jakub urodzony w roku 1728 miał z wdową po chałupniku Widence Marią z domu Ostruszka syna Jerzego.

Najsławniejsza gałąź rodu Buzków wywodzi się z Końskiej. Gospodarstwo pod numerem 5, nazywane „Na Roli", liczące ponad 39 hektarów, położone na lewym brzegu potoku Nieborówka tuż koło jego ujścia do Olzy, zakupił około roku 1805 wspomniany Jerzy Buzek, urodzony

Dom w Końskiej nr 5 – późniejszy dom Buzków – w roku 1782

w roku 1769. Tutaj przychodziły na świat kolejne pokolenia. Dom rodzinny przetrwał aż do lat pięćdziesiątych naszego stulecia. Wtedy tereny te zabrano pod rozbudowującą się Trzyniecką Hutę.

Jerzy był furmanem, wozem zaprzężonym w parę koni przewoził towary. Żonaty z najstarszą córką wójta z Puńcowa Marią Glaycar, został ojcem Jana, Jerzego, Anny i Pawła. Zmarł w roku 1816. Maria wyszła ponownie za mąż za Jana Buzka z Nieborów, który po jej śmierci ożenił się z Cienciałówną z Lesznej. Mieli dwóch synów. Jeden został leśniczym w Ustroniu, drugi swobodnym pracownikiem w młynie Stonawskiego w Lesznej.

Jan, syn Jerzego, urodzony w roku 1800 jeszcze w domu dziadków w Puńcowie, pojął w roku 1821 za żonę Annę Cięgiel z Ropicy. Był również furmanem, woził towary aż do Odessy. W czasie jego nieobecności gospodarstwo prowadziła żona. Anna i Jan mieli 7 dzieci: Marię, Annę, Zuzannę, Jana, Pawła, Jerzego i Andrzeja.

Jerzy (1842–1907), syn Jana i Anny, był pierwszym z rodu Buzków, o którym zachowały się dokładniejsze informacje. Zajmował się prowadzeniem gospodarstwa, ale był też działaczem społecznym i wielkim patriotą. Sam kształcił się i pomagał kształcić innych. Znał języki obce, interesował się historią i literaturą. Żart rodzinny mówi o tym, w jaki

Paweł Buzek – ojciec premiera

„Lusia i Jurek" – Jerzy Buzek z siostrą Heleną

sposób ganiła go żona: *Mój tatulek tylko raz w roku kalendarz sobie kupili i czytali w nim cały rok, a ty kupujesz i kupujesz książki i gazety bez końca.* O dodatnim wpływie, jaki wywarł na niego Jerzy Buzek, pisał Jan Kubisz w „Pamiętniku starego nauczyciela".

Młodszy brat Jerzego Andrzej (1844–1900) wynajął gospodarstwo w Cieszynie w miejscu, gdzie dziś stoi hotel Piast i polska szkoła, sięgało ono od dworca kolejowego do Olzy. Później gospodarzył też u teściów. Ożenił się z Marią Kajzar. Jeden z ich synów Jerzy (1874–1939), inżynier górnictwa i hutnictwa, został profesorem Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, miał wielkie zasługi w rozwoju odlewnictwa metali. Z żoną Heleną Leopoldyną Gryglewicz miał dwóch synów Stanisława Andrzeja i Jerzego Romana. Drugi z synów Andrzeja Jan (1874–1940) był doktorem nauk medycznych, posłem do Zgromadzenia Narodowego w Pradze, działaczem oświatowym i społecznym. Osiadł w Dąbrowie. Z Anną, córką pastora bystrzyckiego Karola Michejdy, miał dwóch synów. Starszy z nich Jan Andrzej (1904–1977), absolwent prawa i filozofii, został dyplomatą, od roku 1948 przebywał w Kanadzie. Młodszy Władysław (1909–1978), inżynier metalurgii, w roku 1953 przeniósł się do brata do Kanady. Najmłodszy z synów Andrzeja Paweł był rolnikiem, ożenił się w Bystrzycy i tam został na gospodarstwie.

Jerzy Buzek, syn Jana i Anny, był ojcem 12 dzieci. Jego pierwsza żona Anna Lazar z Ropicy urodziła w roku 1869 Tadeusza, który otrzymał niespotykane w tych stronach imię na pamiątkę Tadeusza Kościuszki. W rok później przy narodzinach Jerzego Anna zmarła. Z drugą żoną Zuzanną Delong z Olbrachcic miał 10 dzieci: Annę, Józefa, Zuzannę, Marię, Karola, Helenę, Pawła, Ewę, Andrzeja i Jana.

Tadeusz poślubił Annę z Sabelów, zamieszkał w Pastwiskach. Kochał konie, prowadził gospodarstwo rolne. Miał 5 dzieci. Zmarł, podobnie jak jego żona, w 1939 roku. Gospodarstwo odziedziczył syn Jan, absolwent Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie, z żoną i jego siostra Ewa. Jego wnuki mieszkające na prawym brzegu Olzy to już dziesiąte pokolenie potomków Pawła Buzka z Nieborów.

Józef (1873–1936), najwybitniejszy z rodzeństwa, ekonomista i prawnik, profesor zwyczajny, był posłem na sejm wiedeński, posłem i senatorem II Rzeczypospolitej, dyrektorem Głównego Urzędu Statystycznego.

Andrzej (1885–1971), pastor, publikował w różnych pismach na Śląsku Cieszyńskim, pisał również książki historyczne, otrzymał tytuł doktora honoris causa Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej.

W tej chwili najbardziej popularnym z rodzeństwa stał się Karol (1880–1953) ze względu na to, że był dziadkiem obecnego premiera RP.

Z innej gałęzi Buzków pochodzi jego imiennik Karol (1882–1936), urodzony w Lesznej Dolnej, pedagog, inspektor szkolny, wykładowca w seminarium nauczycielskim, autor podręczników szkolnych, działacz społeczny.

Natomiast Karol, o którym mowa wcześniej, absolwent szkoły rolniczej, prowadził gospodarstwo w Końskiej, o którym Adam Fierla napisał: *Pod Beskidem rola, dzień się nad nią jarzy – na niej z dobrym człekiem Pan Bóg gospodarzy.* Dom stał otworem dla wszystkich gości, wśród pamiątek rodzinnych przechowywane są ich podpisy i podziękowania dla gospodarzy. Karol był przewodniczącym Kółka Rolniczego i Ochotniczej Straży Pożarnej w Końskiej, prezesem Towarzystwa Rolniczego w Czeskim Cieszynie, prezesem Związku Spółdzielni Polskich, inspektorem i prezesem Ochotniczych Straży Pożarnych w okręgu czesko-cieszyńskim, prezbiterem zboru czesko-cieszyńskiego. Ożenił się z Anną Kajzar, mieli czworo dzieci: Helenę, Pawła, Jana i Annę.

Helena wyszła za mąż za Jana Stonawskiego z Lesznej. Z ich związku urodził się Józef i Jadwiga. Józef jest ojcem Witolda i Igora. Matką ich jest Irena z domu Szczyrba z Czeskiego Cieszyna. Igor ożenił się z Barbarą Szotek, aktorką Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego.

Paweł (1909–1953) uzyskał tytuł inżyniera na Wydziale Elektrotechniki Politechniki Gdańskiej. W roku 1936 ożenił się z Bronisławą z domu Szczuka ze Śmiłowic, pracował w Chorzowie. Na początku drugiej wojny światowej państwo Buzkowie przenieśli się do Śmiłowic i tu urodził się w roku 1940 syn Jerzy, obecny premier RP. Miał już starszą siostrę Hele-

nę, zwaną Lusią, urodzoną w roku 1937, która wyszła za mąż za Huberta Machę, mieszka w Katowicach, ma syna Aleksandra i córkę Joannę, wnuki Łukasza i Filipa.

Jan z żoną Janiną miał troje dzieci: Bogdana, Brzetysławę i Grażynę. Najstarszy Bogdan jest lekarzem w Ołomuńcu, młodsze siostry mieszkają z rodzinami w Czeskim Cieszynie.

Anna, najmłodsza córka Karola, osiadła z mężem Pawłem Binkiem w Bielsku. Tam też mieszkają ich dzieci Adam i Janina. Adam tak wspominał rodzinne spotkania w Końskiej: *Zawsze na początku wakacji odbywały się w Końskiej wspólne urodziny, bo tak się składało, że nasza babcia była główną solenizantką – Anna Buzek z domu Kajzar urodziła się 1 lipca, Lusia i ja 2 lipca, a Jurek, czyli obecny premier, 3 lipca. Oczywiście babcia była główną solenizantką. Jako prezenty, ponieważ był to okres dojrzewania czereśni, dostawaliśmy torty z liczbą czereśni równą naszemu wiekowi.*

Karol zmarł w styczniu 1953 roku. W licznym orszaku pogrzebowym zabrakło kilku osób. *Niestety starszy syn Paweł, inżynier w Chorzowie, z żoną Bronisławą ze Szczuków i 14-letnią córką Heleną i 12-letnim synem Jerzym, jak i młodsza córka Anna z mężem inż. Pawłem Binkiem w Bielsku i synem 14-letnim Adamem i 9-letnią córką Janiną nie mogli brać udziału w pogrzebie, bo mieszkając poza pasem granicznym w Polsce, nie otrzymali przepustek granicznych* – zapisano w kronice rodzinnej.

W listopadzie tego samego roku zmarł nagle na serce Paweł, mieszkający po wojnie w Chorzowie. Z Chorzowem związana jest też młodość jego syna Jerzego. Tu ukończył Liceum Ogólnokształcące. Po studiach na Wydziale Energetycznym Politechniki Śląskiej rozpoczął pracę naukową w Instytucie Inżynierii Chemicznej Polskiej Akademii Nauk. W roku bieżącym otrzymał nominację na profesora zwyczajnego. Jest specjalistą w dziedzinie odsiarczania gazów. Członek Solidarności od roku 1980, został jednym z głównych ekspertów gospodarczych Akcji Wyborczej Solidarność. Żona Ludgarda jest pracownikiem naukowym Politechniki Śląskiej, córka Agata studentką Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W październiku ubiegłego roku został Jerzy Buzek premierem RP, musiał przenieść się z Gliwic do Warszawy. Stał się najsławniejszym z Buzków. 16 lutego br. już jako premier Rzeczpospolitej Polskiej zawitał na Zaolzie. W towarzystwie premiera Republiki Czeskiej Josefa Tošovskiego odwiedził Czeski Cieszyn oraz Śmiłowice, gdzie się urodził. W ostrawskim Konsulacie Generalnym spotkał się z rodakami z Zaolzia.

CZESŁAWA RUDNIK

DZIĘKUJEMY PANU JÓZEFOWI STONAWSKIEMU ZA WYPOŻYCZENIE DOKUMENTÓW I ZDJĘĆ RODZINNYCH.

„Tam jest Polska –
gdzie bije serce polskie"
St. Wyspiański

Delegacja Polska (Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici") na Kongres Słowiańskiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Bratisławie

zacnemu P. Prezesowi Buzkowi w podzięce za serdeczną staropolską gościnność.

Kazimierz Banach prezes ZMWRP „Wici"

Bolesław Jabłoński, kierownik na Śląsk R.P.

Gwiazdes

Z Mikołajczyk poseł na Śląsk

Jadwiga Kubarskówna

19/VIII-1932.

WSPOMNIENIA I REFLEKSJE O WACŁAWIE OLSZAKU

Na cmentarzu w Karwinie-Kopalniach znajduje się grób, obok którego zawsze przechodzę z czcią, wzruszeniem i szacunkiem. Spoczywa w nim dr Wacław Olszak, długoletni i ofiarny lekarz, patriota, działacz społeczny i narodowy, burmistrz miasta Karwiny, pierwsza ofiara terroru faszystowskiego.

W związku ze 130. rocznicą jego urodzin chciałbym ten artykuł poświęcić osobie dr. Wacława Olszaka. Przez 43 lata był wśród mieszkańców znany jako ofiarny lekarz, człowiek o pogodnym i spokojnym usposobieniu, wielkim zasobie wiedzy i złotym sercu. „Nasz lekarz", jak go nazywano, był powszechnie szanowany. Nad nikogo się nie wywyższał, potrafił zbliżyć się jednakowo do przedstawiciela inteligencji, jak i prostego robotnika. Jego uczciwość i ofiarność zjednały mu powszechny szacunek nie tylko w Karwinie, ale na całym Zaolziu.

Wacław Olszak urodził się 29 maja 1868 r. w Szonowie jako dziesiąte dziecko małorolnego chłopa. Szkołę ludową (chodził do niej piechotą ponad godzinę) ukończył w rodzinnej wiosce. Dzięki kierownikowi szkoły i wstawiennictwu starszego brata, późniejszego proboszcza w Cieszynie, został przyjęty do niemieckiego gimnazjum w Cieszynie. W soboty wędrował około czterech godzin piechotą z Cieszyna do domu, w niedzielę przemierzał tę trasę z powrotem, dźwigając całotygodniowy prowiant, bo pieniędzy ledwie wystarczyło na skromne mieszkanie. Już w cieszyńskim gimnazjum działał w tajnym Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej Jedność. Po ukończeniu studiów medycznych w Wiedniu, gdzie uzyskał stopień doktora nauk lekarskich, odbyciu praktyki lekarskiej w szpitalach w Wiedniu i Krakowie, został w roku 1896 pierwszym lekarzem Kasy Brackiej Przemysłu Węglowego w Karwinie.

Pracując w samym sercu zagłębia węglowego, czynił starania o poprawę warunków pracy górników w kopalniach, o poprawę bytu ludności zamieszkałej w koloniach górniczych, inicjował ró-

żnego rodzaju formy pomocy społecznej. Szczególną pieczą otaczał Polskie Gimnazjum Realne w Orłowej, w którym pełnił społecznie funkcję lekarza szkolnego, był również lekarzem drużynowym polskiego skautingu. Z okazji swoich 60. urodzin z własnych środków stworzył fundację stypendialną dla ubogich uczniów orłowskiego gimnazjum.

Lekarska praca Olszaka w środowisku karwińskim wiązała się ściśle z pracą społeczno-narodową. Nie brakowało go w zarządach polskich organizacji skupiających ludzi z różnych środowisk. Od roku 1904 był członkiem, a w latach 1921-1930 prezesem Zarządu Głównego Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji. Pracował w Dziedzictwie Błog. Jana Sarkandra w Cieszynie, towarzystwie szerzącym oświatę wśród ludu cieszyńskiego. Tam wydał broszurkę pt. „Co powinien każdy wiedzieć o gruźlicy". Prowadził popularne wykłady z zakresu higieny i oświaty zdrowotnej. Przewodniczył grupie polskich lekarzy w Śląskiej Izbie Lekarskiej z siedzibą w Opawie. Był współzałożycielem PTT Beskid Śląski, przyczynił się m.in. finansowo do budowy pierwszego polskiego schroniska na Ropiczce i schroniska na Kozubowej. Działał w Ognisku Polskim w Dąbrowie, a po 1920 r. w Orłowej, w Stowarzyszeniu Chrześcijańskich Robotników Praca w Karwinie, Zarządzie Związku Śląskich Katolików, z jego ramienia wchodził w skład Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego (1918 r.).

Olszak zdobył popularność i szacunek nie tylko wśród współpracowników, lecz także w środowisku przeciwników politycznych, narodowych i wyznaniowych. O jego popularności świadczy fakt, że w latach 1929-1936 został wybrany burmistrzem miasta Karwiny. W czasie jego kadencji 6 lipca 1930 r. doszło do spotkania z prezydentem T. G. Masarykiem, została założona Polska Biblioteka Publiczna w Karwinie, która w 1938 roku liczyła około 10 tys. tomów, oraz czytelnia czasopism. Na początku wojny w 1939 roku Wacław Olszak został w wieku 71 lat uwięziony i okrutnie torturowany przez gestapo i karwińskich Niemców, wskutek czego zmarł 11 września tego samego roku. Pogrzeb odbył się z udziałem najbliższej rodziny i duszpasterza pod nadzorem gestapo.

Dr Wacław Olszak swą głęboką ludzką działalnością, inteligencją i skromnością został wciąż żywym wspomnieniem dla Karwiny i Zaolzia. Za swą działalność narodową i kulturalno-oświatową odznaczony był w 1932 roku Komandorią Orderu Polonia Restituta. Jego nazwiskiem nazwano ulicę w śródmieściu Cieszyna, uwieczniono je także na tablicy pamiątkowej Domu Lekarza w Katowicach. Społeczność Karwiny powinna czynić starania, by jedną z ulic i szpital w Karwinie nazwać jego imieniem.

OTOKAR MATUSZEK

WSPOMNIENIE O KS. PRAŁACIE JÓZEFIE LONDZINIE

W lutym minęła 135. rocznica urodzin Józefa Londzina, wybitnego działacza na Śląsku Cieszyńskim. Zmarł w kwietniu 1929 roku. W publikacji „Sprawozdanie Macierzy Szkolnej w obrębie Republiki Czechosłowackiej za rok 1928" pojawiło się zaproszenie na majowe Walne Zgromadzenie Macierzy Szkolnej, gdzie ówczesny prezes dr Wacław Olszak „wygłosił" wspomnienie pośmiertne o Józefie Londzinie. Przedrukowujemy obszerne fragmenty zamieszczonego w publikacji życiorysu księdza prałata Józefa Londzina, tak jak przedstawiono je przed prawie sześćdziesięciu laty.

ŚP. KS. PRAŁAT JÓZEF LONDZIN

(...) Zmarł niespodziewanie po kilkudniowej zaledwie chorobie, jeszcze w pełni sił i osierocił lud śląski, którego był Opiekunem, a nawet rzec można Ojcem. Ziemia śląska straciła swego wiernego Syna.

Ubył Hetman ludu śląskiego, ubył Bojownik nieugięty i nieustraszony o polskość tej prastarej dzielnicy piastowskiej, ubył zasłużony Mąż o silnej i niezwykłej indywidualności, ubył Kapłan-Patriota o charakterze czystym jak kryształ, którego cechowała: uczciwość, szczerość, praca niestrudzona, ciągła, systematyczna, bezinteresowna, heroiczna, dla dobra innych, szczególnie dla Boga i Ojczyzny.

Oto krótki rys życia Jego świetlanej postaci.

Ks. Józef Londzin urodził się dnia 3 lutego 1863 roku w Zabrzegu na Śląsku Cieszyńskim. Ojciec Jego był tamże nauczycielem. Gimnazjum ukończył w Bielsku, a seminarium duchowne w Ołomuńcu na Morawach, gdzie został wyświęcony na kapłana. Już jako teolog

poświęca w roku 1887 całe swoje dwumiesięczne wakacje na uporządkowanie biblioteki teologów polskich w seminarium duchownym, przez co umożliwia 16 późniejszym kursom kleryków dogodne korzystanie z tej jedynej polskiej krynicy na obcej ziemi.

Wyświęcony na kapłana dnia 7 lipca 1889 pracuje nader gorliwie w duszpasterstwie najpierw w Strumieniu i Międzyrzeczu, następnie od roku 1890 w Cieszynie, a równocześnie redaguje tamże Gwiazdkę Cieszyńską. (...)

Jest trzonem Macierzy Szkolnej i gromadzi fundusze na rozbudowę polskiego szkolnictwa Macierzy, szczególnie na projektowane gimnazjum polskie w Cieszynie, które po ogromnych trudnościach i niebywałych szykanach zostało otwarte 10 października 1895. (...)

W roku 1895 obejmuje ks. Londzin obowiązki profesora religii w nowym zakładzie i na tym stanowisku wychowawcy i duszpasterza polskiej młodzieży pozostaje do roku 1907.

Równocześnie spełnia poza pracą zawodową obowiązki sekretarza i skarbnika Macierzy Szkolnej. Fundusze gimnazjum polskiego się wyczerpują, trzeba ciągle zbierać i kwestować, klas i sił nauczycielskich przybywa, a równolegle z tem rosną i powiększają się troski o fundusze.

W r. 1903 i 1904 piastuje godność prezesa Macierzy Szk., przeprowadzając w roku 1903 upaństwowienie gimnazjum polskiego. Dla biednych studentów organizuje tanią (bezpłatną) kuchnię, gdzie najubożsi otrzymują najczęściej za darmo ciepłe obiady i kolacje, a w roku 1904 powołuje do życia towarzystwo humanitarno-oświatowe p.n. „Opieka nad kształcącą się młodzieżą katolicką im. błog. Melchiora Grodzieckiego", by skoro się znajdą środki, przy pomocy tegoż towarzystwa otworzyć internat dla zamiejscowych studentów. Następują nowe zbiórki, nowe pukania do serc naszego ludu, aż wreszcie we wrześniu 1912 roku nowy gmach internacki na Bobrku otwiera dla młodzieży studiującej swoje podwoje. W roku 1919 powstaje filia tego zakładu dla męskiej, a w roku 1920 dla żeńskiej młodzieży.

Obok tego pracuje najpierw jako skarbnik, a następnie jako prezes w towarzystwie kulturalno-oświatowym pod nazwą „Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra", które w ciągu 13-letniej działalności skarbnikowskiej doprowadza do rozkwitu i do wielkiej rozbudowy działalności.

Na szerszą arenę polityczną wstąpił w roku 1907, kiedy został wybrany posłem do parlamentu austriackiego, jako poseł był rzecznikiem i bojownikiem o sprawiedliwość i o równo-

uprawnienie dla polskiego ludu śląskiego. (...)

Wybrany został trzykrotnie do delegacji austro-węgierskich, które obradowały na przemian we Wiedniu i Budapeszcie.

Mandat poselski nie był dla Niego jakąś synekurą, ale twardą służbą narodową, która nakładała ciężkie obowiązki, a którym podołać mogły tylko żelazne nerwy i żelazna wola, aby przez 11 lat bronić interesów ogółu, jak i poszczególnych jednostek na terenie wiedeńskim.

Po wielkim przewrocie w październiku 1918 utworzył razem z posłami innych polskich obozów Radę Narodową, w której jako prezydent pracuje do utworzenia Komisji Rządowej w roku 1920 z podziwu godną gorliwością. W marcu 1919 otrzymuje w myśl uchwały sejmu mandat poselski do Sejmu konstytucyjnego, w roku 1922 ponownie wchodzi z okręgu 41. do Sejmu warszawskiego, a w roku 1928 do Senatu.

W czerwcu 1927 wybrany został wielką większością głosów burmistrzem miasta Cieszyna. W tymże samym roku otrzymał godność prałata domowego Papieża. Od 20 lat był prezesem Rady Nadzorczej Spółek Rolniczych i piastował różne inne godności w najrozmaitszych polskich towarzystwach oświatowych, gospodarczych i w instytucjach publicznych.

Od r. 1890 aż do śmierci był ks. Londzin wydawcą i redaktorem „Gwiazdki Cieszyńskiej", w której prócz artykułów politycznych umieścił kilkadziesiąt rozpraw naukowych z zakresu dziejów śląskich, bibliografii, ludoznawstwa itp. (...)

W czasie całej swojej działalności poselskiej utrzymywał ciągły i bezpośredni kontakt z wyborcami i całą ludnością. Któż policzy te publiczne zgromadzenia i wiece, na które śpieszył, często piechotą, wśród mrozu, deszczu i skwaru, a na których wygłaszał przemowy rzeczowe, oświecał, odpierał zarzuty wrogów, borykał się z fanatyzmem partyjnym i bez cienia demagogii lub schlebiania namiętnościom czy przed, czy powojennym głosił nieustraszenie prawa, lecz i równocześnie obowiązki obywatelskie.

Na zarzuty wrogów (...) miał broń niezawodną: czyste ręce, bezinteresowną, sumienną pracę, bezwzględną sprawiedliwość, chrześcijańskie przebaczenie uraz, życie bez skazy, spartańską prostotę i szczodrą ofiarność na cele szlachetne i humanitarne.

Był to Człowiek wielkiej pracy i wielkich zasług, Człowiek o wielkiem i złotem sercu, którem ukochał cały lud śląski, z którego wyszedł i dla którego przez blisko 50 lat działał, pracował i cierpiał.

Porządek dzienny

Walnego Zgromadzenia

„Macierzy Szkolnej“
w obrębie Republiki Czechosłowackiej,

które odbędzie się

w niedzielę, dnia 26 maja 1929 o godzinie 9½ przedpołudniem w Cz. Cieszynie w sali „Kina“ obok hotelu Centralnego.

---

1. Ks. Prałat J. Londzin i Jan Kubisz — wspomnienie pośmiertne — wygłosi prezes Macierzy.
2. Kantatę na cześć ich pamięci — odśpiewa Chór Towarzystwa Nauczycieli Polskich
3. Otwarcie Walnego Zgromadzenia.
4. Wybór prezydjum.
5. Przemówienie reprezentacyjne.
6. Odczytanie protokołu.
7. Sprawozdanie Zarządu Głównego: *a*) z działalności, *b*) ze skarbowości.
8. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i załatwienie wniosku o udzielenie absolutorjum.
9. Plenarne obrady i uchwały wniosków: *a*) Komisji Szkolnej, *b*) Komisji Skarbowej, *c*) Komisji Oświatowej, *d*) Komisji Organizacyjnej.
10. Wybory: *a*) do Zarządu Głównego, *b*) do Komisji Rewizyjnej.
11. Zmiana statutu.
12. Wnioski i życzenia.

Uwaga: O godzinie 8 rano odbędzie się w lokalu szkoły wydziałowej w Czeskim Cieszynie posiedzenie Komisyj: *a*) Szkolnej, *b*) Skarbowej, *c*) Oświatowej, *d*) Organizacyjnej.

Ks. Franciszek Moroń m p.
sekretarz.

Dr. Wacław Olszak m.p.
prezes.

O Bóg sam za tyle nade mną opieki,
Będzie Ci miłościw na wieki!

Jan Kubisz

NA DZIEŃ MATEK W ROKU 1931
U góry: Pani Halfarowa, żona starosty, i dziewczynka z sierocińca w Orłowej-Łazach.
U dołu: Panna Władysława Wójcik z Orłowej-Łazów, studentka medycyny, i chłopiec z orłowskiego sierocińca, kierowanego przez inspektora szkolnego Władysława Wójcika.
Widokówki, wydane nakładem Polskiej Krajowej Rodziny Opiekuńczej w Czechosłowacji, wraz z informacjami o osobach na nich uwiecznionych przekazała pani Anna Przeczek z Ligotki Kameralnej.

Pieśniś mi śpiewała,
mówiłaś mi gadki,
Nad brzegiem rzeczułki
zbierałaś mi kwiatki!

Jan Kubisz

CO NOWEGO W DĄBROWIE

Dąbrowa – gmina w powiecie karwińskim liczy ok. 1800 mieszkańców (1821 – według spisu ludności z 1991, z czego 166 Polaków). Jeszcze w 1970 roku mieszkało tu 3500 osób, jednak działalność wydobywcza kopalni OKD i związane z tym szkody górnicze spowodowały szybkie wyludnienie Dąbrowy.

W latach 1974 – 1990 Dąbrowa była włączona do Orłowej.

Władze gminne ukształtowały się po ostatnich wyborach komunalnych w 1994 roku. Do 15-osobowego przedstawicielstwa gminnego weszło 7 kandydatów Stowarzyszenia Kandydatów Niezależnych, 3 kandydatów ČSSD, 3 kandydatów KSČM i 2 kandydatów KDU-ČSL. Członkiem Rady Gminnej został również prezes Koła PZKO w Dąbrowie, kandydujący z SKN, inż. Aleksander Hanzel.

Prosiłem naszego Radnego o krótką informację na temat jego działalności w Zarządzie Gminy:

Radni z tak małej gminy, jaką jest Dąbrowa, muszą rozwiązywać szeroki wachlarz problemów. W wielkich miastach jest możliwy podział pracy. Kilku naszych urzędników musi się zajmować takimi samymi problemami, jakie rozwiązują kilkunastoosobowe wydziały w miastach.

Gmina rozwiązała problem wywozu odpadów komunalnych. Zakupiono kontenery, które zlokalizowano w miejscu nielegalnych wysypisk. W 1997 i 1998 roku gmina dopłacała do wywozu odpadów przedsiębiorstwu OPOS (dotacja ta czyniła ok. 50 % kosztów). Na przyszły rok przygotowywane jest rozporządzenie gminne o odpadach. Niestety w większym stopniu koszty będą pokrywać obywatele.

Największym naszym zadaniem jest wymiana sieci elektrycznej i związany z tym zakup transformatorów. Rekonstruowana jest również sieć wodociągowa.

W marcu zakończona zostanie rekonstrukcja byłej szkoły narodowej, powstanie tu dom o 16 mieszkaniach.

Wielkie szkody w Dąbrowie wyrządziła działalność kopalni węgla kamiennego. Jak radzi sobie gmina z tymi problemami?

Gmina jest zdewastowana. Największe szkody są na budynkach mieszkalnych, które trzeba ankrować, konieczne są rekonstrukcje fasad, strzech, kominów. Gmina ma umowę z kopalnią ČSA o pokrywaniu kosztów związanych z likwidacją szkód górniczych. Ankruje się budynki użyteczności publicznej, jednak nie wszystko płaci kopalnia. Podkreślić trzeba

również, że obywatele są zmuszeni ankrować swoje domy rodzinne, również mój dom jest ankrowany.

Niektórzy mieszkańcy są niestety zmuszeni do zmiany miejsca zamieszkania i liczba obywateli Dąbrowy nieustannie spada. Nie wiem czy Dąbrowa nie podzieli losu starej Karwiny, Łąk, czy Łazów.

Jest Pan prezesem Koła PZKO w Dąbrowie. Proszę o krótkie omówienie działalności Koła?

W niedzielę (15 marca - T.T.) odbyła się impreza z okazji 50-lecia Koła, które zostało założone 28.2.1948, choć zgłoszenia do PZKO były już w 1947 roku. Niestety miejscowe „czynniki" nie pozwoliły zorganizować Polakom w 1947 imprezy i założyć Koło PZKO. W latach 70-tych aktywny był u nas Klub Młodych, w 1975 powstał Klub Starszych, organizowano odczyty, pogawędki, zapraszano Bajkę. Do 1972 istniała w Dąbro-wie polska szkoła. W 1974 roku mieliśmy 244 członków, dziś jest 101 członków, brak niestety młodzieży. Stale organizujemy festyn, bal, jeszcze niedawno organizowaliśmy Babski Bal. Pomimo że jesteśmy dziś już małym Kołem, nasi członkowie są nadal aktywni. Na ostatnią imprezę przybyło 60 ludzi.

Nasz Dom PZKO mieści się w budynku byłej polskiej szkoły, czyli w budynku, który tworzy majątek byłej Macierzy Szkolnej. Dziś jest to majątek gminy, PZKO budynek wynajmuje. Inne organizacje urządzają imprezy w Domu Narodowym, jednak zdaniem naszych PZKO-wców lepszy jest „własny kąt".

A jak Polacy w Dąbrowie chcą włączyć się do tegorocznych wyborów komunalnych?

Obecnie w przedstawicielstwie gminnym działa trzech Polaków, oprócz mnie pan inż. Oton Wania i pani Aleksandra Figula. Chcielibyśmy w tegorocznych wyborach uzyskać podobny wynik. Prawdopodobnie będziemy startować z listy niezależnych. Jednak decyzję podejmiemy dopiero po dyskusji z innymi organizacjami politycznymi w gminie.

W SUCHEJ GÓRNEJ

Sucha Górna jest gminą w powiecie karwińskim, liczącą 4316 mieszkańców, z tego 1228 Polaków (spis ludności z 1991 roku). Samodzielność administracyjną gmina odzyskała 1.12.1990 (w okresie 1975-1990 włączona była do Hawierzowa).

Żeby przekazać czytelnikom ZWROTU informację o działalności władz gminy, odwiedziłem 21 marca JUDr Eugeniusza Kiedronia, członka przedstawicielstwa gminnego reprezentującego Ruch Polityczny COEXISTENTIA - WSPÓLNOTA.

Proszę przedstawić, jak pracuje przedstawicielstwo gminne w Suchej Górnej?

Po ostatnich wyborach w 15-osobowym przedstawicielstwie gminnym pracuje 5 członków ČSSD, 4 członkowie KSČM, 3 członkowie ODS i 2 członków KDU-ČSL. Ja jestem jedynym członkiem Wspólnoty w przedstawicielstwie. Oprócz mnie w przedstawicielstwie jest 5 Polaków - burmistrz gminy inż. Karol Siwek, który jest członkiem ČSSD, oraz inż. Bronisław Kuczera, Eugeniusz Faja, Otto Rzyman i Alfred Lotter.

Przedstawicielstwo schodzi się regularnie raz na 3 miesiące w remizie strażackiej lub w sali Domu Robotniczego. Jeśli trzeba zwołać zebranie w trybie nagłym - to odbywa się ono w sali Urzędu Gminnego.

Jakie problemy udało się gminie rozwiązać?

Udało się dokończyć gazyfikację wioski. Północna część gminy znajduje się na terenie działań górniczych. Po przeprowadzonych ekspertyzach zdecydowano, że ta część wioski nie będzie zgazyfikowana. Granicą gazyfikacji była ulica Stonawska, dzieląca wioskę na część północną i południową. Południowa część gminy aż po granicę Olbrachcic, Cierlicka i Żywocic jest w miejszym stopniu dotknięta działalnością górniczą. W pierwszej kolejności zgazyfikowano osiedle Chrost, prace przebiegające w 7 etapach zakończono w Podołkowicach i na ul. Stonawskiej. Gazyfikacja spowodowała znaczną ekologizację wioski. Udało się też w krótkim czasie przeprowadzić nadbudowę czeskiej szkoły na ulicy Cierlickiej. Inwestycja, którą zlecono firmie Železniční stavitelství Brno, była oddana do użytku we wrześniu 1996 roku.

W ubiegłym roku w podobny sposób zrekonstruowano 2 klasyczne bloki na osiedlu Chrost, będące własnością gminy. Powstało tu 6 nowych mieszkań.

W Suchej Górnej działa prężne Koło PZKO. Czy jego działalność jest dostrzegana przez obywateli gminy?

Działalność PZKO jest widoczna. W tym roku odbędą się koncerty jubileuszowe z okazji 45-lecia zespołu tanecznego Suszanie (25 kwietnia), 45-lecia męskiego zespołu śpiewaczego Gama (31 maja) oraz z okazji 85-lecia polskiego śpiewactwa w Suchej Górnej (7 listopada). Informacje w języku polskim publikuje gminna gazetka Informátor, ukazująca się 4 razy w roku. Redaktorem rubryki polskiej jest pan Otokar Matuszek. Pan Matuszek prowadzi również nieoficjalną kronikę gminną.

W listopadzie br. odbędą się wybory komunalne. Jak przygotowuje się do nich Wspólnota w Suchej Górnej?

Trudno mi w tej chwili powiedzieć czy Wspólnota wystawi pełną listę kandydatów. Z informacji, jakie posiadam, wynika, że listę organizuje pełnomocnik Wspólnoty w naszej gminie - pan Władysław Bura. Na czołowych miejscach powinni, moim zdaniem, kandydować młodzi działacze. Ja jestem przygotowany zgłosić swój udział w wyborach, jednak prawdopodobnie nie zgodzę się być umieszczony na czołowych miejscach listy.

Rozmawiał TADEUSZ TOMAN

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (17)

POWRÓT I ZMAGANIA O ZAOLZIE

Z zarośli nad rzeką, w których znajdował się dobrze zamaskowany polski posterunek obserwacyjny, wyszli dwaj żołnierze polscy.

– Z niewoli wracam! – wołam i rzucam się w ich objęcia.

Zaprowadzili mnie do schronu położonego jeszcze dalej od Zbrucza. Byłem głodny jak wilk, więc przy świetle świecy pożarłem tym biedakom żołnierzom na pewno cały przydział chleba i słoniny dla całej nocnej warty i położyłem się spać. Między swoimi spało mi się dobrze i beztrosko, więc obudziłem się dopiero w południe następnego dnia. A raczej obudził mnie z twardego snu komendant tego odcinka granicznego, który postarał się o mój transport do Czortkowa. Tam w sztabie dywizji złożyłem sprawozdanie z niewoli, otrzymałem nowiuteńki mundur oficerski i odpoczywałem. Szwendałem się kilka dni po mieścinie i uzupełniałem złożone sprawozdanie.

Prawdziwym odpoczynkiem dla mnie był jednak dopiero pobyt we Lwowie. Byłem tam dziesięć dni niby to w szpitalu. W rzeczywistości zwiedzałem i podziwiałem to piękne, bogate miasto. I przekonałem się na własne oczy i uszy, że jest to miasto naprawdę polskie. Na ulicach byłem zatrzymywany przez różnych ludzi, którzy mnie zapraszali na poczęstunek do najbliżej położonego lokalu albo do swego mieszkania na obiad czy też kolację. Miasto radowało się wciąż jeszcze z wywalczonej z ciężkimi ofiarami wolności i powoli powracało do normalnego życia.

Pod koniec października wróciłem do Cieszyna. Chciałem udać się do mej rodzinnej Ropicy, lecz dowiaduję się, że jest zajęta jeszcze przez wojsko czeskie. Pobiegłem na Wzgórze Wisielców (Galgenberg) i na wieżę Piastów i stamtąd wodziłem błędnym wzrokiem w kierunku mej ukochanej Ropicy i w kierunku szczytów beskidzkich, szukając mego rodzinnego domu z czerwonym dachem.

– Nie widać go, gdyż jest zasłonięty pagórkami. Jak go tu przesunąć tych kilka kilometrów na wschodni brzeg Olzy? – rozmyślam w duchu. – Wróciłem z niewoli od braci Ukraińców do mego rodzinnego domu, lecz dom ten znajduje się z moją rodziną w niewoli u braci Czechów. – Pieski jest los Ślązaka Cieszyńskiego – żołnierza polskiego – patrioty polskiego. Jest on tylko pyłkiem w wielkiej grze obcych polityków.

– A ciekawy jestem, jak też ta moja kochana Jarka Janalówna z Gnojnika obecnie wygląda. – Przypomniały się mi słowa Zadory, który śmiał się z tej mojej wielkiej miłości do Jarki i mówił: – Wybij sobie tę Czeszkę z głowy, pasuje do ciebie jak róża do kożucha! – No tak, tak! Ale Zadora wcale nie uznawał kobiet i powinien pójść do klasztoru, a ja nadal kocham Jarkę! Pierwszą noc przenocowałem u siostry Zuzi

i szwagra Światłocha w Cieszynie. Przyjęli mnie z przerażającą radością jako zmartwychwstałego nieboszczyka. Okazało się, że w Ropicy zostały odprawione w mojej intencji msze żałobne, gdyż matka otrzymała jakieś niejasne zawiadomienie, że zaginąłem bez śladu na froncie ukraińskim. Prorokowała mi z tego powodu siostra Zuzia długie życie.

W następnym dniu postanowiłem za wszelką cenę przedrzeć się przez gęsty kordon wojsk granicznych do rodzinnej Ropicy. Przecież już posiadałem dość bogatą praktykę w tej rzeczy i miałem już zdrowe nogi. Pod wieczór tego dnia podpatrzyłem sytuację rozstawiania naszych placówek i czujek w Ropicy-Balinach i niepostrzeżenie przedarłem się koło Tomanka na kępie nad Olzą i dalej wśród zabudowań Oblasków do domu rodzinnego. Tam powtórzyła się podobna historia jak u siostry Zuzi. Przerażenie z powodu mego zmartwychwstałego widma. Przenocowałem spokojnie, nałykałem się pieszczot i radości matczynych oraz sióstr i braci, spałaszowałem pełno smakołyków i następnego ranka przekradłem się niepostrzeżony między gęstymi czujkami czeskimi i polskimi znów do Cieszyna. Byłem obarczony plecakiem wypełnionym chlebem domowym, wędzonką domową i innymi specjałami domowymi.

Z Cieszyna pojechałem zaraz do baonu zapasowego naszego pułku, który znalazł się w międzyczasie aż w Łowiczu. Nieciekawy i nudny był tam pobyt. Całe szczęście, że za kilka dni zostali wszyscy urodzeni na obszarze Śląska Cieszyńskiego zdemobilizowani, aby wziąć czynny udział w dalszych zmaganiach o przynależność państwową tej ziemi. Władcy świata zadecydowali bowiem, że na spornym obszarze Śląska Cieszyńskiego winien być przeprowadzony pod nadzorem zwycięskich aliantów plebiscyt.

W listopadzie 1919 roku wróciłem więc wraz z wielu innymi do Cieszyna, gdzie mieścił się główny sztab miejscowych organizacji polskich predestynowanych do kierowania akcją plebiscytową. Wojska polskie i czeskie stały jeszcze wówczas w pogotowiu bojowym naprzeciw siebie na tak zwanej linii demarkacyjnej wytyczonej po ukończeniu styczniowych walk polsko-czeskich spowodowanych najazdem braci Czechów, w wyniku czego większa część Zaolzia, a w tym i moja rodzinna wioska Ropica znajdowała się pod okupacją czeską. Postanowiłem zaprotestować chociażby symbolicznie przeciw tej trwającej nadal niesprawiedliwości i zaraz na drugi dzień po przybyciu do Cieszyna z Łowicza gnany tęsknotą powtórzyłem moją wizytę w Ropicy, i przedarłem się tam znów w mundurze oficera polskiego. Poszedłem znanymi mi dobrze ścieżkami przez gęsty łańcuch czujek, patroli i posterunków tak polskich jak też i czeskich do mojej ojczystej zagrody Na Polokowicach. Kiedy w następnym dniu powracałem, natknąłem się znienacka na czeski patrol na linii demarkacyjnej w Ropicy-Balinach. Dwaj czescy żołnierze byli tak zaskoczeni, że wcale mnie nie zatrzymali, a nawet mi

zasalutowali. Do Cieszyna powróciłem więc bez szwanku. Miałem szczęście!

W Cieszynie zaroiło się wówczas od znajomych i kolegów wracających z różnych frontowych linii wytyczających granice zmartwychwstałej Polski.

W tym samym dniu spotykam więc mego ziomka z Ropicy Alojzego Gajdaczka. Za kilka dni zaczęliśmy obaj pracować w sekretariacie Stacji Zbornej dla Zdemobilizowanych Ślązaków umieszczonej w barakach niedaleko kościoła O.O. Jezuitów.

W sobotę po obiedzie idziemy do kawiarni Pod Jeleniem. Jakież to było nasze radosne uniesienie, gdy w czasie naszego krążenia pod arkadami spostrzegamy przez okno Centralnej siedzących przy stoliku kawiarnianym legionistę Ludwika Zycha, hallerczyka Henryka Niemca i Bernarda Adameckiego. Ależ niespodzianka!

A więc pięciu z naszej konspiracyjnej szóstki studenckiej przeżyło szczęśliwie wojnę i powróciliśmy z różnych krańców Polski i Europy na Śląsk, aby tu uczestniczyć w decydującej batalii o przynależność państwową Zaolzia. Brakuje tylko komentanta szóstki Alojzego Glajca. Jest podobno w niewoli rosyjskiej. Ale on nie jest Zaolziakiem i o przynależność państwową jego rodzinnego Lipowca koło Ustronia nie musiałby się wcale obawiać.

Natomiast nasza piątka, to jest Adamecki, Gajdaczek, Niemiec, Zych i ja – to rodzoni Zaolziacy, czekający z tęsknotą na zasłużony i bezpieczny powrót do swoich rodzinnych gniazd, aby wrócić już z nimi na zawsze na łono Macierzy.

Takie były nasze rozumowania i tylko o tym rozmawialiśmy w kawiarni hotelu Pod Jeleniem dokąd udaliśmy się z Centralnej. Nasze szczęśliwe spotkanie oblaliśmy tam doskonałym punczem. Fundował zawzięcie Adamecki; mówił, że jest pierwszy z nas w alfabecie.

Znów sobie przyrzekliśmy, że o polski Śląsk Cieszyński będziemy walczyć z wszystkich sił. I z tym przyrzeczeniem rozstaliśmy się.

Zmagania o przynależność państwową Śląska Cieszyńskiego przybierały na sile. O tym nieszczęsnym dla obu bratnich narodów, a najbardziej bolesnym i tragicznym dla polskiego ludu zaolziańskiego okresie niełatwo się mówi i pisze. Być może, że moje słowa będą zabarwione pewnym subiektywizmem a nawet pewną dozą sentymentu dla sprawy Zaolzia, lecz jest to zrozumiałe, gdyż urodziłem się na Zaolziu i tutaj się wychowałem jako Polak i patriota.

W pierwszych miesiącach 1920 roku przybyły na Śląsk Cieszyński wojska francuskie i włoskie w celu zabezpieczenia bezstronnego przeprowadzenia plebiscytu na spornym terytorium.

Wojska czeskie wycofały się na nową linię demarkacyjną i moja rodzinna Ropica znalazła się w strefie polskiej. Po latach wojennej pielgrzymki i tułaczki mogłem nareszcie wrócić bezpiecznie do rodzinnego domu.

W dobie przygotowań do plebiscytu pełniłem funkcję dowódcy kompanii-grupy w Polskiej Organizacji Wojskowej, w skład której wchodziła ochotniczo młodzież patriotyczna ze strefy polskiej mego regionu, to jest z Ropicy, Sibicy i Żukowa Dolnego oraz przyległych prawie czysto polskich miejscowości leżących w strefie czeskiej jak Niebory, Guty, Śmiłowice, Trzycież, Rzeka, Gnojnik i Ligotka Kameralna. Naszym zadaniem było zapewnienie bezpieczeństwa działaczom polskim, zamieszkałym na naszym terenie i oczywiście również w strefie czeskiej, przed bojówkami czeskimi, które zapoczątkowały swoją czynność dywersyjną przeciw wszystkiemu, co było polskie. Po całym tym obszarze krążyły, głównie w nocnej porze, nasze patrole i w wielu wypadkach udało nam się odwrócić czy też zlikwidować napady bojówek czeskich na domostwa naszych działaczy – patriotów polskich.

Plebiscyt był głównym tematem każdego dnia w tym okresie czasu. I dla mnie. Najbardziej frapował mnie oprócz Ropicy oczywiście Gnojnik, gdyż tam mieszkała moja ukochana Czeszka Jarosława Janalówna. Już dwa lata upłynie w dniu 30 maja, jak jej nie widziałem. Byłem pewny, że nie zapomniała i darzy mnie sympatią. Byłem święcie przekonany, że miłość nie zna granic, nie zna narodowości, nacjonalizmu i szowinizmu, i w ogóle żadnych podobnych barier. Żyłem nadzieją, że Janalowie zżyli się z polskim środowiskiem i nie będzie żadnych przeszkód między Jarką i mną. Jej ojca ustanowili przecież jeszcze Austriacy urzędnikiem w polskim Gnojniku.

– Ciekawy jestem, jak wypadnie plebiscyt w Gnojniku, gdzie rodzina Janalów jest podobno jedyną rodziną czeską – pytam się w czasie jednego z patroli nocnych mych towarzyszy A. Gajdaczka i J. Oszeldy.

– Gwarantuję – odpowiada Oszelda – że wszystkie nasze polskie wioski leżące w strefie czeskiej naszego regionu działania, więc Niebory, Guty, Śmiłowice, Trzycież, Rzeka, Ligotka Kameralna, Żuków Górny będą głosowały jak jeden mąż za Polską. Tylko w Gnojniku padnie chyba z piętnaście głosów czeskich, w tym sześć głosów członków rodziny Janala. –

– Lecz z tych sześciu głosów czeskich rodziny Janalów w Gnojniku to jeden niepewny – odzywam się na to. Oczywiście, że myślałem o Jarce.

– Jest u Janalów sześciu członków rodziny, starzy Janalowie, trzy uprawnione do głosowania córki i syn i na pewno wszyscy oddadzą swoje głosy czeskiej stronie, i skąd masz pomysł tylko o pięciu głosach czeskich w tej rodzinie? – dziwią się jednocześnie Gajdaczek i Oszelda.

Zbyłem ich milczeniem. Na granicy Ropicy i Trzycieża spotkaliśmy się po północy z naszą zmianą, która miała trzymać służbę i patrolować teren do rana. My śpieszyliśmy się do naszych domostw, by odpocząć trochę. W następnym dniu, w sobotę, mieliśmy zabezpieczyć polskie zebranie przedplebiscytowe w gospodzie Na Figlówce na granicy Ropicy, Trzycieża i Śmiłowic.

Zebranie, na które przybyło bardzo wielu ludzi, było przez nas dobrze zabezpieczone i nie zostało niczym zakłócone. Mówcą – agitatorem plebiscytowym był Szuścik, któremu towarzyszył porucznik wojska polskiego Ziętek (imion nie zanotowałem) – obaj z Ligotki Kameralnej. Ziętek był oczywiście w ubraniu cywilnym. Był z wojska zwolniony tak samo jako i ja na pomoc w akcji plebiscytowej.

Byłem zadowolony, że jeden udany dzień jest znów za nami. Niestety – w drodze powrotnej już na terenie Trzycieża, a więc w strefie czeskiej, zostaliśmy poczęstowani granatami. Jechaliśmy w dwóch powozach konnych, więc napastnicy rzucili dwa granaty. Na każdy powóz jeden.

Napastnicy pewnie mieli wspólnika między uczestnikami zebrania, który sprawdził, skąd, z którego kierunku i czym na miejsce przyjechaliśmy. A może sami napastnicy się wkradli do tłumu uczestników wiecu. Pod koniec odeszli, na najbardziej dogodnym miejscu na nas poczekali i rzucili w naszym kierunku te dwa granaty. Bez szkody, gdyż eksplodowały daleko od nas. Napastnicy nie mieli dosyć odwagi podejść bliżej do drogi.

Noc nie była za bardzo ciemna i zobaczyliśmy dwie sylwetki uciekających osobników. Rzuciliśmy się za nimi w pościg. Zniknęli jednak w lasku za przystankiem kolejowym w Trzycieżu w kierunku Gnojnika. Zrezygnowaliśmy z pościgu, gdyż nie chciałem ryzykować. Mogli się ukryć na skraju lasku i oczekiwać, aż przybiegniemy bliżej. Sami ukryci za pniami drzew mogli nas potem na otwartym polu znów obrzucić granatami. Zawróciliśmy na drogę i już bez przeszkód dotarliśmy do Ligotki. Stamtąd powróciłem z Gajdaczkiem naszym powozem do Ropicy polnymi drogami przez Śmiłowice.

Dowiedziałem się, że zaraz w poniedziałek został Ziętek w Ligotce aresztowany. Po kilku dniach, po demonstracji polskiej na rynku cieszyńskim go jednak zwolniono.

Mniej więcej w tych samych dniach przyszedł do mnie wierny druh i współpracownik A. Gajdaczek, który niemalże był sąsiadem gospody Na Figlówce. Właściciel tej gospody Barteczek przyniósł mu list, który mu ktoś w nocy wsunął przez szparę pod drzwiami wejściowymi do domu. List zawierał groźby, że jeżeli Na Figlówce odbędzie się jeszcze jakieś następne polskie zebranie czy wiec plebiscytowy, to wobec niego będzie zastosowany surowy odwet. Od pobicia jego osoby do zdemolowania lokalu. List był napisany gramatycznym językiem czeskim, a i pismo było bardzo ładne i wyraźne.

Już przed tymi wypadkami docierały do nas informacje, że antypolska działalność na obszarze naszej kompanii jest organizowana i kierowana z Gnojnika i to przez kierownika tamtejszej stacji kolejowej Janala. Nie chciało mi się w to wierzyć i postanowiłem sprawę dokładniej zbadać. Dwa dni łaziłem po Gnojniku i Ligotce Kameralnej i zbierałem wiadomości przede wszystkim od moich chłopców, to jest szere-

gowych mojej kompanii, zamieszkałych i zakonspirowanych w tych gminach.

– U Janala jest zmontowana centrala wszelkich poczynań antypolskich na rejon naszej kompanii – informowali mnie wszyscy. I to nie tylko członkowie mojej kompanii.

Niemalże codziennie odbywają się u Janalów jakieś zebrania, w których uczestniczą nietutejsi młodzi mężczyźni. Przychodzi ich do Janalów coraz więcej. W ostatnim czasie były to już dziesiątki osób.

Nie miałem już wątpliwości. Na naszym terenie działały dwie nieprzyjazne i wręcz wrogie sobie grupy. Polska grupa obronna z ośrodkiem u mnie w Ropicy i czeska grupa ofensywno–dywersyjna z ośrodkiem u Janala w Gnojniku. Kierownikami tychże ośrodków byli dwaj osobnicy, a więc Janal, mój prawdopodobny czy też możliwy przyszły teść, no i ja, możliwy przyszły zięć Janala. Niesamowicie absurdalna sytuacja!

Za dużo było tego wszystkiego. Poczułem się strasznie zmęczony od tych bratnich sąsiedzkich swarów. Tam daleko na kresach wschodnich walczyłem z pobratymcami Ukraińcami, a tu znowu z rozpaczą opędzam się od natarczywych braci Czechów.

Rozmyślałem głęboko nad tym wszystkim i sprawdzałem czy też szukałem różnic w tych walkach na wschodzie Polski i u nas na Śląsku. Zgoła inną genezę, oraz inny charakter i oblicze miały walki z Ukraińcami na wschodzie Polski. Tam biłem się o polski Lwów i Przemyśl. Walki z Ukraińcami, chociaż były zacięte i krwawe, to jednak były spontaniczną, samorzutną i otwartą oraz honorową obroną wzajemnych interesów narodowych Polaków oraz Ukraińców i Rusinów. I przede wszystkim nie doszło do złamania żadnych wzajemnych polsko–ukraińskich umów i zobowiązań. Tymczasem krwawą batalię o Śląsk Cieszyński spowodowali bracia Czesi, którzy złamali umowę z dnia 5 listopada 1918 roku, zagarniając zbrojnie wielką przewagą sił należne nam tereny. Tam na kresach wschodnich byłem umundurowanym żołnierzem i jawnym konformistą, a Janal prowadzi tajny ośrodek dywersyjny na czysto polskich terenach.

Zadora i ja kłóciliśmy się kiedyś w Ostrawie z naszym wspólnym czeskim przyjacielem Tondą Slavíkiem, że u Czechów to zawsze na pierwszym miejscu aktywny bilans handlowy, interesy ekonomiczne i potem jakiś tam realizm polityczny. Niech sobie tak i będzie, lecz bez szkody dla nas, dla ludu Śląska Cieszyńskiego.

Przecież ten nasz naprawdę szczery i uczciwy oraz sprawiedliwy czeski przyjaciel Tonda Slavík zawyrokował, że gminy z większością ludności polskiej, łącznie z Gnojnikiem, powinny wrócić do Polski.

Tonda Slavík niestety zginął!

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

Anmeldung zur polizeilichen Einwohnererfassung
Vor Ausfüllung die Erläuterungen auf der Rückseite lesen!

Zgłoszenie celem policyjnego stwierdzenia ludności
Czytajcie przed wypełnieniem objaśnienia odwrótnej strony!

Wohnort und Wohnung
Miejsce zamieszkania i mieszkanie

Kreis (Powiat): Tryszlat-Iesiłem
Gemeinde (Gmina): Słucha Górna
Ortschaft (Miejscowość:) – " –
Straße und Hausnummer: 412
Ulica i nr. d.

1. Familienname (Nazwisko): Orzułek
(Bei Frauen auch Geburtsname und gegebenenfalls Name aus der letzten früheren Ehe)
(u zamętnych kobiet również nazwisko panieńskie i w danym wypadku ostatnio-wdowie)

2. Rufname (Imię): Bolesław

3. Geburtstag, Monat und Jahr: 11.4.1925
Dzień, miesiąc i rok urodzenia:

Geburtsort (miejsce urodzenia): Tryszlat, ditto
(auch Gemeinde und Kreis) (możliwie także gmina i powiat)

4. Geschlecht:*) männlich, weiblich
Płeć:*) męska, ~~żeńska~~

5. Familienstand:*) ledig, verh., verw., gesch.
Stan cywilny:*) wolny-na, ~~żonaty-zamężna, wdowiec-wdowa, rozwodzony-rozwódka~~

6. Religion (Wyznanie): rz. kat

7. Volkszugehörigkeit: Polska
Narodowość:

8. Welche Sprache sprechen Sie zu Hause? polski
Który język, mówi się w domu?

9. Seit wann sind Sie im neuen Reichsgebiet wohnhaft? od urodzenia
~~Od którego czasu mieszka w r. r. na nowym obszarze Rzeszy?~~

10. Haben Sie in der polnischen Armee gedient? Dienstgrad?
~~Czy WP. służył w armii polskiej?~~ Rang służbowy:

11. Beruf (Zawód): student
(genaue Angabe der Berufstätigkeit und Angabe, ob selbständig, Angestellter, Arbeiter usw.)
(dokładne podanie czynności zawodowej i czy samodzielnym, funkcjonaryuszem, robotnikiem i t. p.)

12. Sind Sie Eigentümer oder Miteigentümer eines Geschäftes?
Czy WP. właścicielem lub współwłaścicielem interesu?
eines Hauses (kamienicy)?
von Land (gruntu)?

13. **Nur für Familien- und Haushaltungsverstände:**
Tylko dla głów rodzin lub gospodarstw domowych:
Zahl der im Haushalt lebenden Kinder unter 12 Jahren:
Ilość dzieci poniżej 12 lat żyjących w gospodarstwie domowym:

Fingerabdruck (Odciskpalca)

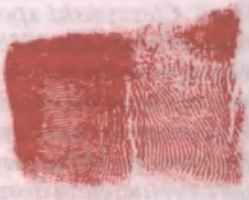

Raum für Stempel oder Stempelmarke.

und
Unterschrift des Gemeldeten:
Arsenik Bolesław
i podpis zgłoszonego:

*) Nichtzutreffendes ist zu durchstreichen.
*) Niedotyczące przekreślić.

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (5)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Tymczasem od dłuższego już czasu odczuwało się napiętą atmosferę, wręcz zagrożenie wojenne spowodowane zaborczą polityką hitlerowskiej III Rzeszy, zwłaszcza zaś roszczeniami terytorialnymi wobec Polski. Będąc już wówczas 14-letnim chłopcem, pamiętam tę powszechnie odczuwaną obawę i niepewność jutra, chociaż - rzecz jasna - nie rozumiałem jeszcze wszystkich aspektów owej politycznej sprawy.

I oto w dniu 1 września 1939 roku we wczesnych godzinach rannych obudził nas warkot samolotów. Ojciec natychmiast udał się do Urzędu Gminnego, gdzie dowiedział się, że owe samoloty to eskadry bombowców Luftwaffe, które wtargnęły na terytorium Polski, co oczywiście oznaczało, że hitlerowskie Niemcy rozpoczęły bez wypowiedzenia wojnę. Była to dla nas wszystkich porażająca wiadomość. W Urzędzie Gminnym ojciec był również świadkiem gorączkowych przygotowań do natychmiastowej ewakuacji urzędników i policji.

Już około godziny 8.00 polscy saperzy wysadzili most kolejowy nad drogą prowadzącą do Karwiny. Detonacja ta spowodowała, że mimo pięknej słonecznej pogody spadł krótkotrwały deszcz. Niebawem zaś na drodze koło pyndzyjoków pojawili się pierwsi żołnierze Wehrmachtu. Jeśli dobrze pamiętam, było ich siedmiu. W hełmach i uzbrojeni jechali powoli na rowerach od skrzyżowania przy dworze w kierunku Stonawy, spoglądając to w lewo, to w prawo. Zgromadzona garstka ludzi przyglądała im się w głębokim milczeniu. W tym dniu i w kilku następnych rodzice nie pozwolili nam wychodzić z domu. Jedynie ojciec, bardzo przeżywający owe wydarzenia, udawał się do znajomych posiadających radio, by zasięgnąć bliższych informacji o rozwijających się wypadkach. Przez pewien bowiem czas można było jeszcze słuchać polskich radiostacji, głównie warszawskiej. Niestety nowe komunikaty, już wojenne, tylko pogarszały nastroje, nie tylko zresztą w naszej rodzinie. Dobrze utkwiła mi w pamięci zmieniona twarz ojca, gdy powrócił z kolejnego „wywiadu" w dniu 17 września i oznajmił nam, że wojska sowieckie wkroczyły do Polski. Zdaje się, że do tej pory łudził się wciąż, zwłaszcza po przystąpieniu do wojny Anglii i Francji, iż sytuacja nie jest dla Polski beznadziejna. Jednak zadanie ciosu przez bolszewików pozbawiło go wszelkich złudzeń. Ciężko to przeżywał.

Tymczasem trzeba było się zastanowić, jak zachować się w nowo powstałej sytuacji. Już w pierwszym dniu wojny powstał problem, co

zrobić z dość dużą gotówką, którą ojciec zgromadził w biurku od 105 lokatorów za czynsz, prąd i wodę. Pieniądze te wpłacał w Urzędzie Gminnym w pierwszych dniach każdego miesiąca, a urząd ten przestał istnieć. Ojciec zadecydował krótko: pieniędzy nie odda Niemcom! Przekazał je matce, by natychmiast zakupiła w sklepie tekstylnym Gustawa Badury najpotrzebniejsze rzeczy. Była bowiem w pierwszych dniach wojny jeszcze taka możliwość. Warto podkreślić, że o te pieniądze upomnieli się Niemcy po upływie kilkunastu miesięcy, kiedy to wezwali ojca do jakiegoś urzędu w Cieszynie, przesłuchując go w tej sprawie. Szczęście, że zadowolili się wyjaśnieniem, iż pieniądze wpłacił w urzędzie gminnym w ostatnich dniach sierpnia, zaś pokwitowanie pozostawił wśród innych dokumentów w biurku w mieszkaniu, z którego został przez nowe władze wykwaterowany wraz z pozbawieniem go pełnienia funkcji administratora.

Owa eksmisja nastąpiła wkrótce po przeprowadzonej przez Niemców akcji tzw. „palcówki" (Fingerabdruck), kiedy to cała nasza rodzina w rubryce narodowość wpisała „polska". Otrzymaliśmy wtedy takie samo jak w 1936 roku jednopokojowe mieszkanie, tym razem w środkowym budynku pyndzyjoków. Ale i z tego mieszkania zostaliśmy w następnym roku wyrzuceni. Zamieszkaliśmy w prywatnym domu w jednym pokoju o powierzchni około 18 metrów kwadratowych. Te przymusowe w czasie wojny dwie przeprowadzki były tylko maleńką cząstką tego, co zgotował okupant polskiemu społeczeństwu, tak tragicznie doświadczonemu w owych latach niespotykanej w dziejach nienawiści narodowej i powszechnego terroru.

Każdy bowiem, kto w sposób świadomy przeżywał lata wojny i okupacji, niewątpliwie wyszedł z tego okresu w większym lub mniejszym stopniu okaleczony i to jeśli nie fizycznie, to zapewne psychicznie, a najczęściej spotkały go obydwie te przypadłości. Owe przeżycia, jakże często tragiczne w swoim wymiarze, były udziałem wszystkich bez wyjątku Polaków. Dotyczy to zwłaszcza więźniów obozów koncentracyjnych i łagrów, ich rodzin, członków organizacji konspiracyjnych, przymusowych robotników w III Rzeszy, polskich żołnierzy walczących na wielu frontach, również tych, którzy wbrew własnej woli wcieleni zostali do Wehrmachtu. Wszyscy oni, jeśli tylko przeżyli, wynieśli z tej zawieruchy wojennej i szalejącego terroru pewien kompleks uporczywie powracających wciąż bolesnych wspomnień o doznanych swego czasu krzywdach, cierpieniach i upokorzeniach.

Moje przeżycia wojenne na tle zbiorowych doświadczeń nie należą do szczególnie tragicznych, choć los nie obszedł się ze mną łagodnie. Oto już w maju 1940 roku zostałem wywieziony wraz z bratem Józkiem na przymusowe roboty rolne do III Rzeszy. Na dworcu w Orłowej, dokąd odprowadzili nas zatroskani i bardzo przejęci rodzice, zebrała

się dość liczna grupa kilkunastoletnich chłopców z całego Zagłębia Karwińskiego. Tych młodych Polaków wyznaczył również orłowski Arbeitsamt do niewolniczej pracy w III Rzeszy. Całą tę grupę transportowano w wagonach osobowych, oczywiście pod eskortą. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas Niemcy wywożą. Dojechaliśmy do Brzegu (Brieg), gdzie zaprowadzono nas do tamtejszego Arbeitsamtu. Tutaj niemieccy bauerzy wybierali nas jak niewolników, oglądając nas ze wszystkich stron, niejednokrotnie sprawdzając nasze muskuły u ramion. W pierwszej kolejności wybierano starszych, bo byli roślejsi, przedstawiali więc większy potencjał roboczy. Widziałem, jak brata Józka wybrał jeden z farmerów. Nie zdążyliśmy się nawet pożegnać, nie wiedziałem też, dokąd go bauer zabiera (kontakt z nim nawiązałem dopiero dzięki okrężnej korespondencji z rodzicami). W końcu przyszła kolej na tych najmniejszych, wśród których i ja byłem. Zabrał mnie barczysty, przysadzisty i trochę już posiwiały bauer i po załatwieniu jakichś fomalności zaprowadził do niedalekiej mleczarni. Tam polecił mleczarzowi, by zabrał mnie w dalszą drogę, sam zaś odjechał na rowerze. Na wozie siedziało już dwóch chłopców z transportu. Gdy dojechaliśmy do Kreisewitz (dziś Krzyżowice w gminie Olszanka, woj. opolskie), mleczarz zaprowadził mnie do gospodarstwa, gdzie czekał już na mnie mój „pryncypał". Pozostali dwaj chłopcy pojechali dalej. Tak więc znalazłem się u celu mojego „zesłania". Jak się niebawem miało okazać, trafiłem do wyjątkowo brutalnego bauera nazwiskiem Gerhard Raabe, u którego podczas blisko 5-letniej niewolniczej poniewierki (od maja 1940 do stycznia 1945) musiałem wykonywać najcięższe prace od wczesnego świtu do późnych godzin wieczornych. Brat miał trochę więcej szczęścia, jego bauer bowiem zwolnił go niebawem już w jesieni tego samego roku. Powróciwszy do domu, musiał jednak wykonywać bodaj czy nie bardziej katorżniczą pracę do końca wojny na kopalni w Suchej Dolnej.

W gospodarstwie Raabe'go znalazłem się w sobotę 25 maja 1940 roku. Przybyłem tam z małą walizeczką, ubrany w marynarkę, spodnie brata (były to pumpy z niebieskimi lampasami, stanowiące część mundurku gimnazjalnego) i w półbucikach. Tak ubranego bauer zabrał mnie natychmiast w pole, gdzie bauerka wraz z dziewczyną (tzw. Pflichtjahrmädel) przerywały buraki. Mnie też od razu, po krótkim instruktażu na migi, kazano je przerywać. Niebawem jednak na kościele odezwał się dzwon, oznajmujący godzinę 12.00, o której w południe kończono pracę w polu, by w obejściu opatrzyć żywy inwentarz. Mnie rozkazano wywozić, oczywiście wciąż w tym samym ubraniu, obornik z obory. Dopiero po obiedzie wskazano mi moje miejsce do spania, znajdujące się na poddaszu. Gdy tam próbowałem się przebrać, przyszedł do mnie bardzo zdenerwowany jeden z owych chłopców pozna-

A. [redacted]

Arbeitskarte — Befreiungsschein *)

Gültig bis auf weiteres. Widerruf vorbehalten

Familienname: O r s z u l i k

Vor(Ruf-)name: Boleslaw

Geburtsname bei Frauen: –

Geboren am 11.4.1925 in Freistadt

männlich, [redacted] ledig, [redacted]

Staatsangehörigkeit: Schutzangeh.

Volkszugehörigkeit: (Pole)

Herkunftsland (eingereist aus): Eingegl.Ostgebiete

Heimatort: Ober Suchau

Kreis: Teschen

Wohnhaft: –

(bei Ausstellg. d. Befr.Sch.)

Beschäftigt als: landw.Arbeiter 1A2c

Arbeitsbuch-Nr.: A 15/ 0173

Arbeitsstelle: Gerhard Raabe
Kreisewitz Krs.Brieg.

Trpt-Nr.:

Im Inl. seit 4.41

Ausgestellt am 6.10.1943

(Dienstsiegel)

Arbeitsamt
Brieg

*) Ausländischen Arbeitern/Angestellten auszuhändigen!

nych na wozie mleczarskim. Uciekł z sąsiedniej wioski i namawiał mnie, bym razem z nim również uciekał. Po tych pierwszych przykrych doświadczeniach nie musiał mnie długo przekonywać. Nie namyślając się wiele, chyłkiem opuściliśmy podwórze. Nie uszliśmy jednak daleko. Oto niespodziewanie dogonił nas na rowerze bauer owego chłopca i wrzeszcząc, zaczął okładać go kijem. Usłyszał to „mój" bauer i przybiegłszy, również nie szczędził mi razów. Dotkliwie pobici musieliśmy powrócić do „naszych pracodawców" i służyć im niewolniczo wedle ich rozkazów. Tak rozpoczął się mój blisko 5-letni okres przymusowej pracy.

A była to praca bardzo ciężka. Trzykrotnie w ciągu dnia oporządzałem oborę z 25 krowami (usuwanie obornika, karmienie, pojenie), zaś tzw. rok gospodarski dyktował kolejność prac w polu i w obejściu. Do najcięższych prac polowych, jakie m.in. musiałem wykonywać, należało ręczne rozsiewanie różnych nawozów sztucznych, nieraz bardzo żrących, ręczne ładowanie i roztrząsanie obornika, kilkutygodniowe (w styczniu i lutym) rąbanie drzewa na mrozie, zimowa młocka, zaś gdy już trochę podrosłem, także wynoszenie na odległy i wysoki strych worków ze zbożem. Do tego dochodziły liczne prace żniwne, wykopkowe, siewne i inne. W lecie moja „dniówka" trwała bez jakiegokolwiek odpoczynku od godz. 4.00 do 22.00, w zimie od 5.00 do 20.00. Większość prac polowych odbywała się pod kierunkiem i w obecności „pryncypała". Wtedy też nie było możliwości jakiegokolwiek odpoczynku w pracy (orka, suszenie i zwożenie siana, prace żniwne, wykopki itp.). Ścisłej kontroli podlegałem również i wtedy, gdy polecono mi samotnie wykonywać jakąś pracę. Często bowiem bauer zjawiał się w polu niespodziewanie na rowerze, by przekonać się o mojej wydajności, którą z góry miałem wyznaczoną (np. koszenie koniczyny, ręczne rozsiewanie nawozów sztucznych, roztrząsanie obornika itp.).

Ową wręcz pazerną dążność, by maksymalnie wyeksploatować siły swoich poddanych (mnie i Rosjanki), dobrze ilustruje jedna z wielu metod stosowanych przez nieludzkiego bauera. Było to w czasie wiosennej orki, kiedy przez kilka dni z rzędu wyjeżdżałem końmi w pole, zaś pryncypał dojeżdżał tam na rowerze. On prowadził pług, ja konie. Zawsze przed wyjazdem bauer przypominał mi, by zabrać ze sobą kosz, lecz nigdy nie był on potrzebny. Aż pewnego dnia zerwał się łańcuch przy uprzęży konia. Wtedy bauer polecił mi zbierać do kosza kamienie na roli, on zaś z postronkiem pojechał na rowerze do kowala. Po powrocie oglądał ilość nazbieranych przeze mnie kamieni. Wreszcie zrozumiałem, po co ten kosz był potrzebny! Skazany byłem również na bardzo trudne warunki higieniczne. Spałem wprawdzie w odrębnym pomieszczeniu na poddaszu, lecz bez oświetlenia i ogrzewania, okna zaś były pojedyncze. Nic też dziwnego, że w zimową noc

przemoknięte na dworze drewniaki zamarzały mi na kość. Bauerska kuchnia nawet w dzień pełna była karaluchów, które często spotkać można było w wypiekanym przez bauerkę chlebie i w innych potrawach. Robactwo to zalegało całą chmarą na ścianie wokół pieca. Kilka razy w roku osiemdziesięcioletni ojciec bauerki, Friedrich Hoffman, wylewał na ową ścianę całe wiadro wrzątku, następnie zgarniał karaluchy i karmił nimi kury.

Owo niechlujstwo panowało tu wszechwładnie. Tak np. przed udojem nigdy nie myto wymion krowom, nawet wtedy, gdy były szczególnie powalane (np. gdy były karmione buraczanymi liśćmi). Mleko wlewano do bańki, cedząc je przez sitko i kawałek płótna. Każdorazowo na sitku osadzała się gruba warstwa krowich odchodów. Doił również bauer. By uniknąć uderzenia brudnym krowim ogonem, przytrzymywał go głową na brzuchu krowy. Stąd na jego kaszkiecie powstała zaschnięta skorupa, co nie przeszkadzało mu, by w tej czapce pojechać do Brzegu i załatwiać tam różne urzędowe sprawy. Wprawdzie przed takim wyjazdem się ogolił, lecz już się nie mył. Widoczne to było po jego powrocie, na baczkach bowiem miał wyraźne ślady zaschniętej piany mydła. Wielki brud w kuchni, brak podstawowych zasad elementarnej higieny, niechlujne obejście, walące się wrota stodoły, w oborze wypadające ze sklepionego sufitu cegły – oto tylko niektóre elementy charakteryzujące to gospodarstwo i jego właścicieli. Jednym słowem gospodarstwo Raabe'go pod wieloma względami przedstawiało – by się tak przewrotnie wyrazić – eine deutsche Wirtschaft. W domu rodzinnym miałem również trudne warunki, lecz było drewniane koryto do kąpieli, za którym teraz mogłem tylko tęsknić. Tutaj o jakiejkolwiek łazience trudno było nawet marzyć, stąd też zmuszony byłem „zażywać kąpieli" w starej miednicy w stodole lub w zimie w oborze. Podejrzewam, że rodzina bauera nie zażywała nawet takiej kąpieli. Ta ogólna atmosfera niechlujstwa była dla mnie bodaj bardziej uciążliwa aniżeli wyczerpująca ciężka praca. Muszę jednak sprawiedliwie przyznać, że w przeciwieństwie do opisanego wyżej ogólnego bałaganu w obejściu bauer Raabe osiągał we wsi jedne z najlepszych plonów, zawsze też miał niepohamowaną ambicję, by z wszelkimi pracami polowymi uporać się przed innymi. Był w tym – niestety – również i mój udział, ale udział w sposób bezwzględny i siłą wymuszony.

Posiłki początkowo spożywałem wraz z całą rodziną bauera. Niebawem jednak wyszło zarządzenie, że obcokrajowcy muszą być odseparowani od wspólnego z Niemcami stołu. Wstawiono więc do kuchni dodatkowy stół, przy którym razem z Rosjanką Elizawietą Bolszakową spożywaliśmy 3 posiłki dziennie.

c.d.n.

KAWIARENKA POD PEGAZEM

zaprasza serdecznie
na spotkanie z Poetą

Janem GOCZOŁEM

z Opola

„NIECH SIĘ ŚWIĘCI I POEZJA"

29 maja 1998
o godz. 18.30 w Domu PZKO
w Jabłonkowie

JAN GOCZOŁ, 13. 05. 1934 w Rozmierzy na Opolszczyźnie, poeta, publicysta z chłopskim rodowodem, niestrudzony działacz społeczny, animator życia młodoliterackiego w Opolu (Grupa lit. FORMATY wraz z I. Wyczółkowską, B. Żurakowskim, W. Kazaneckim, W. Koszelą i St. Daneckim). Debiutuje Topografią intymną (1961). W latach siedemdziesiątych ubiega się o powołanie miesięcznika społ.-kult. w Opolu, opracowuje jego koncepcję, początkowo jest sekretarzem, po roku zast. naczelnego, a w 1975 red. naczelnym.

Poezja J. Goczoła idzie własną drogą, w której przebija się estetyczny światopogląd, polegający na przemianowaniu tego, co jest „samym życiem" na to, co jest samą sztuką.

Wierszy się nie „pisze", nie konstruuje, wiersz „rośnie" wewnątrz, naporem konieczności zostaje wypchnięty na zewnątrz, zostaje wyartkułowany. Żadnego ze swoich wierszy nie mogłem nie napisać...

„Wszystko jest poezją". Jest to stwierdzenie oślepiające. A jednak tym mocniej niepokoi nas pytanie o jej sens, o jej cel...

WŁADYSŁAW SIKORA

PŁONKA

O jesieni się nie ucieka
stulić trza uszy przed zimą
wyrko rzucić w kącie
pod jabłonią płonką
i wymieniem mlecznej drogi
puls wyrównać z oddechem
gar zawiesić na orbicie
głąb kapuściany korzeń
w garści na użytek własny

5 XI 1997

POZOSTAĆ

Opada z nas życie jak łamie się kra
pilnują nas niebyłych
przykro wierzyć nam i pozostawać

5 I 1998

POECIE – Z OKAZJI URODZIN – ŻYCZENIA SERDECZNE SKŁADA REDAKCJA

ŁĄKA

Pan na adwent przegryzł cosi
na Beskidku łąkę kosi
od świtania do poranka
po Emilii Władek Hanka

Syriusz rogacz kostropaty
za Adamem ciska graty
Spocznij Panie omiń ganek
ukrył się tam Spodbrzeżanek

30 I 1998

REFREN PO SZKODZIE

We snach idzie za mną ulicami goni
gruz i złomowisko starzyzna z tandetą
pewnie przekroczyłem granicę pamięci
ku przeprawie w refren znieczulanie czasu

Pusta i bolesna jest utrata tonu
zaprzeczenie prawdy której byłeś świadkiem
pozostaje starość z przebiśniegiem w dłoni
młodość wystukana laską na chodniku

Jedni Bogdan z Michałem staruszka ciepleszą
kiedy odwracają kota ogonem Będzie
że damy dłonie w ognisko i nastanie...
co wtedy nastanie w refrenie

14 III 1998

WIESŁAW ADAM BERGER

Z BARCELONY DO MIESZKOWIC

(Pamiętnik pisany dniem i nocą)

O 12.18 jest pociąg do Mieszkowic. Wagony PKP podskakują na szynach, elektryczny pędzi wśród lasów. Jeszcze trzy stacje i... MIESZKOWICE, godzina 12.41. Idę do hotelu Mieszko, nadal leje. Z nieba coraz intensywniej lecą strugi deszczu, ba, całe potoki wody. Potop rzeczywisty? Idę. Po trzech kwadransach dochodzę wreszcie do ulicy, a raczej dorodnej alei Kusocińskiego i jest hotel Mieszko (tel. 14 5207). Wchodzę w roli wodnika, wita mnie piękna pani Katarzyna Halemba, suszą mnie, karmią i od razu jazda samochodem do Gorzowa Wielkopolskiego. Droga wśród nie kończących się lasów, czasem jakiś dom, czasem pole, łąka, wioska lub miasteczko i ta nieskończoność przestrzeni, której nam ostatnio tak bardzo brakuje, fascynuje mnie.

Mój poznany później bliski Przyjaciel, wilk morski Jerzy, pisze o tym w swojej książce: *Żyjemy pozbawieni słońca, przestrzeni horyzontu. Żyjemy bez oddechu wiatru. Bez nieba i gwiazd.* I nagle jest odwrotnie – szeroki kraj nad Odrą i Wartą... W innym dniu wyszliśmy z zamku Schloss Gusow (o nim później) – na nocnym niebie ujrzałem po kilku latach blask rozgwieżdżonego nieba z diamentami jasnych pojedynczych gwiazd, połączonych szeroką Mleczną Drogą prowadzącą w nieznany Wszechświat. Wszystko to nadal istnieje na firmamencie niebieskim, niewidoczne w miastach, często zapomniane przez spieszących ku „wieczności" śmiertelników, zasłonięte kulisami nowoczesnego szaleństwa pieniądza i sztucznymi światłami laserów.

Oto prawdziwa przyroda. Z katalońskiej korzystał całym swym umysłem, duszą i odczuciem artysty, natchnieniem architekta sam GAUDI. Budował na ziemi, w mieście Barcelonie niebo górskiego, skalistego Montserratu.

Tam katalońska Barcelona, tu, nad Odrą, spotykają się polscy i niemieccy pisarze. Nie ma granicy na nieboskłonie, nie ma granicy w myśleniu, w sercach, w duszy. Nie ma granic w sztuce. Nic nas nie dzieli – zwłaszcza dzisiaj – jeżeli jesteśmy sobą, każdy z dobrymi intencjami zrozumienia tego drugiego. Jadąc przez Pireneje, trudno było sprawdzić, kiedy tak naprawdę przekroczyliśmy granicę. Tak powinno wreszcie być na czesko-polskiej Olzie, czesko-polskiej Odrze i polsko-niemieckiej Odrze. Może tak będzie, kiedy wydoroślejа nasze państwa i zaczną myśleć o swoich obywatelach. Na pewno już teraz granica nie dzieli tych, którzy się starają zrozumieć sens życia – i to nie tylko swój własny. Prawdziwą demokrację wykorzystują radykałowie, commies i inni wariaci. Jest poniekąd słaba wobec nienawiści i głupoty oraz wobec szowinizmu, który jest mocny jak wspomniana głupota. Niestety, wszystko to są pobożne życzenia – słowa, słowa, słowa... Wracając do głupiej nienawiści, tu nawet rasowej (?), bo to przecież Słowianie i Germanie. Ale jakoś wszyscy wyglądamy jednakowo – głowa, nogi, ręce a nawet kolor skóry. Rasa słowiańska, rasa germańska to w moim odczuciu fikcja. Zresztą często się zdarza, że te tak zwane „rasy" są mocno ze sobą powiązane poprzez małżeństwa, kulturę i gwiaździste niebo nad nami. Rasy? To tylko pewne określenia, nazwy, wśród których znajdują się wartościowi ludzie.

W Gorzowie Wielkopolskim nad Wartą (121 500 mieszkańców) jeżdżą romantyczne tramwaje, jest trochę ciekawej architektury, zwłaszcza kościoły. Towarzyszyłem pani Agnie-szce, niezmordowanej tłumaczce z niemieckiego, której na nieszczęście skradziono w tym dniu wcześnie rano, sprzed hotelu Mieszko, firmowy samochód ze znakami rejestracyjnymi Berlina. Więc i tu wśród spokojnych lasów grasują bandy mafijne.

W restauracji uroczysta kolacja i tu spotykam się z niemieckimi i polskimi pisarzami. Wreszcie, mówię to otwarcie, czuję się jak u siebie, wśród swoich. Wiem, bo jakoś udało mi się przeżyć, jak straszne były czasy Hitlera, ostatnio ponownie przypomniał mi o tym film Spilberga „Lista Schindlera", to przecież Niemiec uratował mnóstwo Żydów. Można by powiedzieć: jeden sprawiedliwy wśród zgrai wilków – mnie też Niemcy uratowali przed rozstrzelaniem. Ostatnio już nie przeszkadza mi jakakolwiek narodowość człowieka, jeśli nim jest, jeśli jest wyrozumiały, stara się zrozumieć nie tylko siebie, ale także swego innojęzycznego sąsiada i jeśli jest tolerancyjny – oczywiście nie wobec świństw.

Przeszliśmy piekła wojen i wiemy, co to jest współczesna Jugosławia – ale czy tak naprawdę wiemy? Rozum i serce bez uczucia i poczucia przynależności do Europy intelektualnej nie może mieć przyszłości. Zaś dla zacofanych i motłochu szowinizm zawsze zostanie religią, są również tacy, którzy zarabiają na takiej głupocie, na fanatyzmie, udając patriotów, albowiem na patriotyzmie można sporo zarobić.

Kiedy wreszcie w czasach drugiej wojny światowej udało mi się przedostać do US–army, pytali mnie oficerowie polskiego i niemieckiego pochodzenia o curriculum vitae. Napisałem tak, jak mnie uczyli w szkole: narodowość polska, obywatelstwo CSR, religia ewangelik. Wówczas te sprawy były bardzo ważne, zwłaszcza u nas. Amicy patrzyli na mnie jakoś dziwnie. – U nas – powiedzieli – liczy się przede wszystkim przynależność. My tu wszyscy jesteśmy obywatelami USA. Po prostu Amerykanami. To dalsze, żołnierzyku, co wypisałeś, jest dla ciebie bardzo ważne i to się chwali, ale religia i narodowość są u nas sprawami osobistymi, duchowymi, intymnymi nawet. Nie trzeba, nie wolno się za nie wstydzić, albowiem to są twoje korzenie, powinieneś o sobie wiedzieć, kim jesteś, ale u nas nie nosi się tych spraw wypisanych na czole. Nikogo to nie obchodzi, dla wszystkich w tym państwie są te same prawa – przynajmniej powinny być – jesteś przecież jego obywatelem a nie narodowością. Jesteś Polakiem! OK! Ale przede wszystkim jesteś sobą, jesteś człowiekiem i to jest jeszcze ważniejsze. Jeżeli ci tak bardzo na tym zależy, masz na furażerce orzełka a na ramieniu wypisane POLAND. Witaj na naszym pokładzie. I poszedłem z nimi. Miałem szczęście, trafiłem do żołnierzy generała Pattona. Dzisiaj wolno mi już to powiedzieć, nawet tu, na Ziemiach Odzyskanych. Oczywiście nie było to znowu tak bardzo łatwe – jeszcze do tego wrócę.

Rozmawiam po niemiecku, ale idzie mi jak po grudzie. Myślałem, iż nie zapomniałem, a jednak pół wieku zrobiło swoje. Ale jakoś się udawało – dogadałem się.

Przyjechała właśnie na to spotkanie, widocznie myślała, że będzie wśród polskich pisarzy, jak przed laty, osiemdziesięcioletnia niemiecka pisarka, antyfaszystka, ale commies. Nic nie rozumiem – myślę i gadam do siebie po cichu – czym różni się faszyzm od stalinizmu? I czy jest różnica pomiędzy stalinizmem, leninizmem a marksizmem? Czy leninista–stalinista może być intelektualistą? Marks i Engels nie stworzyli obozów koncentracyjnych, lecz Lenin i Stalin. Starzy terroryści, byli mistrzami w tworzeniu nie tylko wię-zień, co odziedziczyli po carach, wy-

myślili kary fizyczne i psychiczne, udoskonalili carskie metody w tej dziedzinie, morderstwa były dla nich normalną sprawą, zatrudnili do tej roboty całą armię psychopatów i zacofanych durniów – zaś ich obozy koncentracyjne wcale nie były gorsze od hitlerowskich. Patrz „Inny świat" Gustawa Herlinga–Grudzińskiego i „Piękni dwudziestoletni" Marka Hłaski. Pisarka powiedziała bez wstydu, że obecnie czuje się w domu, w byłej NRD, jako obcokrajowiec. Wcale się jej nie dziwię, jej domem była tamta komuna. Bałem się, że stara pisarka zacznie na nowo z socrealizmem, i rzeczywiście, czytała coś w tym duchu. Była starsza ode mnie tylko o dziesięć lat. Przeżyła Hitlera i uwierzyła – tak na amen – w Stalina. Wiem, starość nie radość, ale powinna być mądra. Siedziała w całkiem innej łódce aniżeli ja. Dziesięć lat różnicy – nie rozumiem, jak było można nie zrozumieć.

Jednak Marek Hłasko miał rację w tym, co pisał. Zachód może uwierzyć w to, co się u nas działo tylko wtedy, kiedy na ulicach Paryża i Mediolanu staną rosyjskie czołgi, obojętnie czy z gwiazdą, sierpem, i młotem, czy z dwugłowym orłem. To tylko ja, głupi, nadal wierzyłem w zachodni poranek. *Pamiętaj* – pisze Marek – *że prawdziwy człowiek nigdy nie ucieka naprawdę; ale przed nimi nie ucieka nikt* (Bo to niemożliwe – wab). Mądrość starców – a nawet tej tu osiemdziesięcioletniej – gdzieś się zaprzepaściła. Czołgi pomogły im w karierze i nie mogą się od nich odzwyczaić? Widzę cyniczny uśmiech starego lewicowego Sartra...

Potem czytał fragmenty swej książki pisarz niemiecki z Berlina, pochodzący ze Szczytna (Ortelsburg) Anders Richard, byłem zaskoczony jego nazwiskiem. *To mogła być ruina z dziewiętnastego wieku* – czyta Anders – *myśli R. patrząc na dom swoich rodziców, czy właściwie na to, co z niego zostało...* I ten dramat przypomniał mi nasz dom w Orłowej–Międzylesiu, zburzony podczas tąpnięcia wyrobisk górniczych – przyczyna całkiem inna, a jednak. Tęsknota ta sama... *Po powrocie do Niemiec Zachodnich R. dowiaduje się od swojej siostry* – pisze dalej Richard Anders – *że jego ojciec, który zginął później podczas ucieczki, widział z okna pociągu relacji Białystok – Warszawa, żołnierzy SS pędzących kobiety, dzieci i starców. Nie powiedział czy byli to Polacy, czy Żydzi. Poprosił ją tylko, by nic nie mówiła młodszemu rodzeństwu. Prawdopodobnie wiedział więcej, ale nie chciał o tym opowiadać. Powiedział tylko, że naród niemiecki jeszcze za to odpokutuje. Zobaczycie, powiedział, będziecie strugać łyżki z drewna!*

Jednak było o wiele gorzej. Niewinni zawsze płacą za winnych.

Richard Anders wspominał z wielkim żalem i uczuciem o swoim starym rodzinnym domu. I w tej właśnie chwili pomyślałem sobie, co z nami zrobiła owa historia. Hitler, Stalin, Franco... Jakby było, gdyby ich nie było? Czy zawsze musi Tytanic zatonąć, czy zawsze muszą być trzęsienia ziemi, wybuchy Wezuwiusza? Czarne hitlerowskie a po nich czerwone komunistyczne folkslisty? I co jeszcze nas czeka? Jelcyn głoszący III wojną światową? Ostatnio choruje – uspakajają nas z Zachodu, że to z alkoholu. Nie wierzę. Rosja była, jest i będzie carem, żandarmem Europy. Jej godła państwowe ani kolory flag nie mają wpływu na jej dogmaty i totalitaryzm. Zawsze zachłanna, gotowa do brania i likwidowania innych narodów. To, co robił Stalin, dzisiaj dzieje się w Czeczenii, a inni mocni nabrali wody w usta. Godłem współczesności jest terror.

Rozmawiam z Olafem Müntzbergiem (doktorem filozofii) z Berlina. Od razu nam wiadomo, o co chodzi. Jesteśmy ze swymi przekonaniami podobni do siebie. On jest o wiele młodszy ode mnie, co bardzo mnie cieszy. Idziemy w kierunku porozumienia. Po wszystkich tych emocjach w Gorzowie wracamy autobusem do hotelu Mieszko w Mieszkowi-cach. Zapach lasów i pól po deszczu, i późny wieczór przechodzący w noc. *Wer reitet so spät durch die Nacht?* – snuje mi się po głowie, kiedy słyszę niemiecką i polską mowę, łą-czącą się w przedziwny song. Ponowna próba zbudowania wieży Babel? Autobus snuje się za smugami swych reflektorów po wyboistych i tajemniczych drogach. Zdarza się jakaś uśpiona wioska lub na pół śpiące miasteczko... Ciekawe, jak wyglądało tu życie w tamtych i przedtamtych czasach? Chyba nigdy nie było za wesoło – może tylko w lesie: bo to przecież Bismarck, Hitler, Peerel i granica z Enderonami, jedna bieda...

Nowi wygnańcy z ziem wschodnich na ziemiach wygnanych na Zachód, założyli tu nowe życie z obciętymi korzeniami. Wyrugowani bez pardonu, niemiłosiernie – jeśli chcieli pozostać chociażby trochę sobą – na Ziemie Odzyskane zachodniej Polski. Kleszcz czerwonego totalitaryzmu załatwił ich wszędzie, przede wszystkim wilniaków i lwowiaków, chociaż innych także. Ale tak jak żadna książka nie jest dopisana, chociaż ma swoje fikcyjne zakończenie, tak... Gdzie, na Boga, są prawdziwe granice jakiegokolwiek państwa? Czy można tak naprawdę, sprawiedliwie wytyczyć i ustalić granice Polski, Czech, Niemiec i Francji? A co Litwa – ojczyzna moja? A co Rosja i ZSRR? Ukraina? Białoruś? Granice? Nie wierzę! A była Jugosławia?

c.d.n.

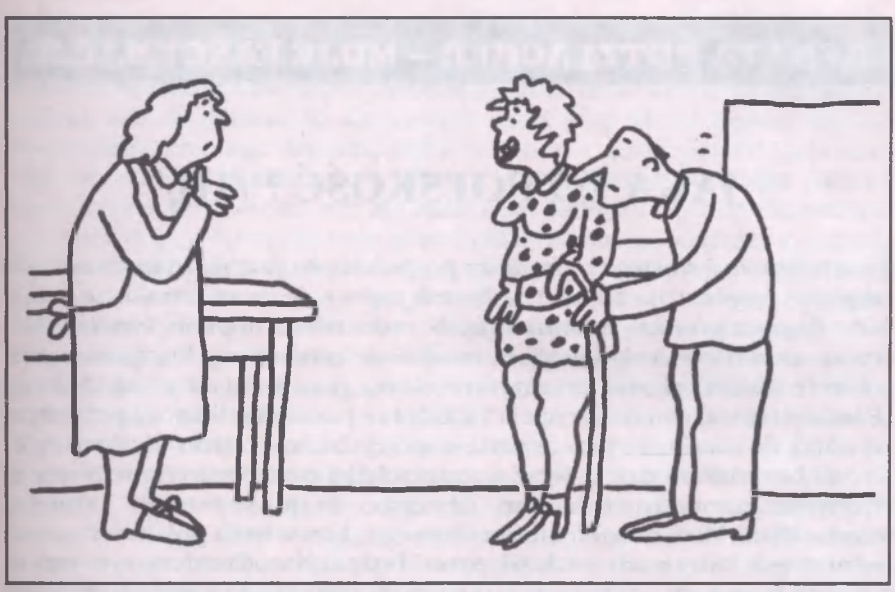

NARESZCIE ZNALAZŁAM MAMO! NIE PIJE, NIE PALI, CHODZI DO KOŚCIOŁA I MATUROWAŁ PO POLSKU!

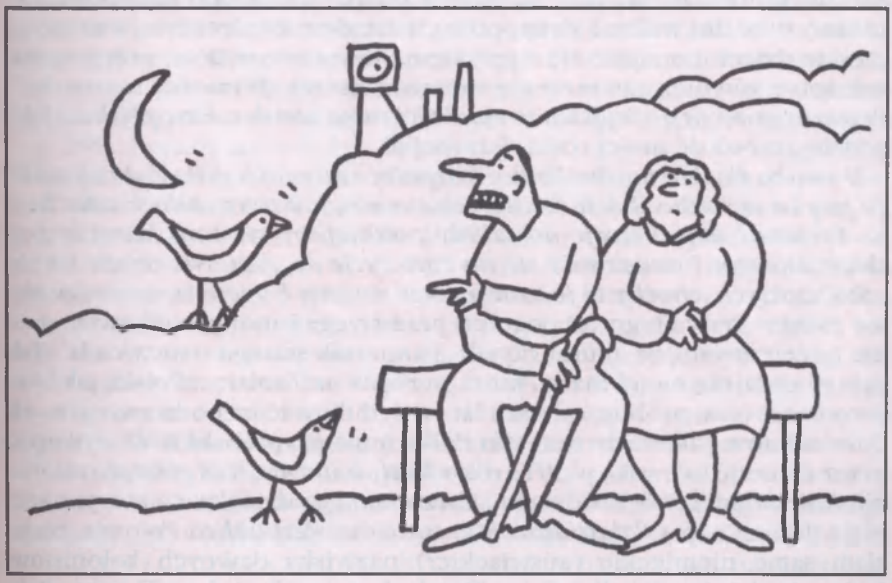

JESZCZE NAM ZOSTAŁ KSIĘŻYC I PTASZKI. *Rys. Bronisław Liberda*

JAKA TO POLSKOŚĆ ? /III/

Uważ, bracie i siostro, że mówisz po polsku, to jest jednym z najpiękniejszych języków na ziemi. On jest tak piękny, że omal aniołowie w niebie z Bogiem nim nie rozmawiają. O, mów nim z Bogiem, bracie i siostro, w modlitwie codziennej, w modlitwie serdecznej! Przypomniałam sobie te świeżo akurat przeczytane słowa Jana Kubisza z zakończenia „Pamiętnika starego nauczyciela", kiedy tuż przed Wielkanocą przyszłam po córkę do czeskiego przedszkola w mojej dzielnicy Brno–Královo Pole. Grono brneńskich dzieci wraz z nauczycielką próbowało mnie bowiem przywitać egzotycznym hasłem „Chrząszcz brzmi w trzcinie", którego uczyła ich córka w ramach nieświadomego „krzewienia polskości" na południowych Morawach. I tak jak przed Bożym Narodzeniem, tym razem również musiałam opowiedzieć o naszych zwyczajach świątecznych (teraz ominęło nas śpiewanie polskich kolęd), które w opowieściach córki jawiły się jako coś pięknego i absolutnie niezwykłego. Podobnie jak Zaolzie, które stało się dla niej sielską krainą (przez sam fakt, że przyjeżdżamy tu w dni wolne i świąteczne), a nie złem koniecznym. Patrząc na czeskie dzieci mocujące się z językiem Słowian–sąsiadów, przypomniałam sobie również zakończenie mojego wiersza „Wnuczka monarchii": *Przeszłości moja galicyjska. Przyszłości moja sielska, Europejska...* Jaka będzie przyszłość mojej córki–Europejki?

O matko śląska, matko Polko! Rozpalaj zawczasu miłość do ojczystego języka w serduszkach dziateczek swoich, jak to czyniła matka twoja. Prowadź dzieci twoje do szkoły polskiej, by się tam karmiły polskiem słowem i nakarmiły się na całe życie do syta. Nie wiedź ich do szkół cudzych, choćby ci je tam ozłocić miano, bo wiedz, że cudze słowo zabija! Prawa tego od pokoleń przestrzegali moi przodkowie, choć nie podejrzewam, że akurat czytali „Pamiętnik starego nauczyciela". Tak było w rodzinie mojej matki, która przyszła na Zaolzie z Polski, jak było w rodzinie ojca, próbuję od paru lat wydedukować na podstawie starych dokumentów. Jakie były te matki Polki, moje praprababki? W wydanym przez diecezję lwowską w 1913 roku *Testimonium ortus et baptismi* – łacińskim świadectwie urodzenia i chrztu mojego dziadka, na którym widnieje dumny napis *Palatinatus Stanisławów, Respublica Polonia*, znalazłam same niemieckie (austriackie?) nazwiska dawnych kolonistów. Imiona rodziców dziadka: Franz Putzlacher, syn Josepha i Theresy Rehmann oraz Anna Christel, córka Laurentusa i Barbary Fleissner. Imię mo-

jej praprababki Barbary, od XVI wieku jedno z najczęstszych polskich imion, potwierdza być może to, że matki na wielonarodowościowych Kresach *rozpalały miłość do polskiego języka w serduszkach dziateczek swoich* moich przodków. Ciekawym dowodem niech będzie świadectwo szkolne mojego dziadka, gdzie w rubryce „język polski" stoi ocena „bardzo dobry", natomiast w rubryce „język niemiecki" tylko „dobry" (w rubryce „język ruski" nie ma natomiast żadnych ocen i rzeczywiście język ten nigdy dziadkowi nie przeszedł przez usta). Zagadką pozostaje dla mnie natomiast świadectwo jego młodszego brata Jana. Wynika z niego, że w przeciwieństwie do dziadka uczęszczał on do Prywatnej Powszechnej Szkoły Katolickiej z niemieckim językiem nauczania (wymóg czasów czy pradziadka?), o czym świadczy jego świadectwo szkolne wydane w języku polskim (jego oceny z kolei świadczą o bardzo dobrym opanowaniu obu języków, polskiego i niemieckiego). Dla pokoleń Ślązaków urodzonych przed II wojną światową uczęszczanie do kilku różnych przedszkoli i szkół (polskich, niemieckich, czeskich), w zależności od sytuacji historycznej, było chlebem codziennym. Tym ważniejsza była więc rola matek (zwłaszcza pod nieobecność walczących ojców), które uczyły swoje dzieci w szalonych wojennych czasach pierwszych słów. Najczęściej były to słowa modlitwy.

Starszy brat ojca urodził się w Cieszynie, mój tata w Czeskim Cieszynie. Wychowywany w kulcie polskości nie znał języka czeskiego i w gronie rówieśników na podwórku bywał wyśmiewany. Podobny los, typowy dla przedstawicieli wszelkich mniejszości, spotkał również mnie. Przez długi okres czułam się dzieckiem „drugiej kategorii", zwłaszcza że rodzice konsekwentnie posyłali mnie na lekcje religii, co w okresie postnormalizacyjnym było posunięciem zdecydowanie niepopularnym. Świadectwem tego była moja opinia szkolna, w której grubą, czerwoną krechą podkreślono „wstecznictwo" mojej rodziny. Nigdy nie wymachiwałam tymi faktami jako świadectwem „martyrologii" mojej rodziny. Zwłaszcza po fali gremialnych nawróceń po roku 1989 byłoby to zbyt prostackie posunięcie. Studia w Polsce w okresie po stanie wojennym (niejednokrotnie miałam się przekonać o tym, że jestem bacznie obserwowana pod kątem sączenia „solidarnościowego jadu", co pogłębiało moją niepewność) nie były więc w moim przypadku „nagrodą dla nielicznych wybranych", ale raczej wyborem z rozsądku. Po pięciu latach studiów, a następnie siedmiu latach pracy w Scenie Polskiej, gdzie konsekwentnie posługiwaliśmy się językiem polskim, mój szkolny język czeski doznał wielu uszczerbków.

Koho chleba jíš, toho píseň zpívej – ileż razy polscy patrioci rzucali to hasło w oczy tym, „którzy się odwrócili". Tym, którzy zaczęli się posługiwać językiem czeskim, posyłać dzieci do czeskich szkół. Gdzież byli ci szermierze i obrońcy czystości obyczaju, gdy wpajano nam, naiwnej dziatwie szkolnej, sowieckie wzorce i płukano nam mózgi na moskiewską modłę? Gdy dziś oglądam moje zeszyty szkolne, śmiech zamiera mi na

wargach. Gdybym nie kochała rosyjskiego folkloru i dobrej rosyjskiej literatury, uległabym (na przekór) nowej ideologii, powszechnej i powierzchownej z kolei amerykanizacji, która miała być antidotum na rusyfikację. Nigdy by mi też nie wpadło do głowy, że los rzuci mnie do Brna, że trafi mi się okazja nadrobienia moich językowych braków przez sam fakt bycia w wyłącznie czeskim (acz morawskim) środowisku. Że w czeskim przedszkolu będą sobie łamać język nad pisownią polskiego imienia mojej córki Agnieszka, o której poprawność walczyłam w urzędzie metrykalnym. Moja córka jednak nie czuje się dzieckiem „drugiej kategorii". Nie znając oklepanego hasła *Ile języków znasz, tyle razy jesteś człowiekiem*, jest dumna z tego, że wie i rozumie więcej niż jej czescy rówieśnicy.

Wracam do cytowanego w poprzednim odcinku Edwarda Balcerzana (artykuł „Tłumacz a przeżycie wielojęzyczności"): *Psycholingwistyka twierdzi, że słowo i rzecz jest dla dziecka jednością. Dziecko poznaje świat rzeczy i świat znaków równocześnie. Dopiero w miarę dojrzewania dochodzi do stopniowego rozpadu tej jedności, do przeżycia języka jako konwencji, do oderwania mowy od natury. Otóż dziecko dwu- czy trójjęzyczne rozwija się inaczej: od razu demaskuje konwencjonalność słowa. Żyje w świecie, który przemawia do niego jakby w cudzysłowie. Znaki okazują się wymienne, porządki znakowe także są wymienne. Można tę samą reakcję wywołać mówiąc do kogoś „patrz", albo „smotri", albo „dywys". To wzmacnia dystans do słowa, a dystans rodzi ironię. Rzeczywistość wydaje się czymś ironicznym wobec nieskończoności języków.* Nie wiem, na ile spostrzeżenia te potwierdzają się w wypadku mojej córki, z zainteresowaniem jednak obserwuję chłonność dziecięcego umysłu, pozwalającego na swobodny wybór języka, którym dziecko mówi w zależności od sytuacji i odbiorcy. I ciekawość, żądzę poznawania nowych słów, różnic i czasem łudzących podobieństw językowych. *W wielojęzycznym świecie pozycję uprzywilejowaną zajmuje ten, kto zna sekretne przejścia między językami* – powiedział E. Balcerzan. *Więcej wie, więcej rozumie, potrafi pomóc, potrafi zaszkodzić.* Obserwując dwujęzyczne dzieci z rodzin mieszanych moich rówieśników, a często wbrew większościowym tendencjom uczęszczają one do polskich szkół, zauważam, że rośnie nowe pokolenie ludzi wolnych, bez kompleksów, tolerancyjnych, wierzę bowiem święcie, że dojrzewanie w takim środowisku, pod inteligentną opieką doświadczonych rodziców, skłania ku tolerancji, a nie zaślepionemu szowinizmowi. Zresztą u Jana Kubisza znalazłam również takie słowa: *Czechy i Polska, te dwa najinteligentniejsze narody słowiańskie, powinny się, wyrównawszy poprzednio swoje sąsiedzkie bolączki, szczerze pogodzić, powinny wejść z sobą w ścisłe, serdeczne przymierze; nad tym zagadnieniem trzeba na razie przynajmniej pomyśleć.*

Tak myślał nasz pisarz w 1925 roku. Myślę, że dziś nastał najodpowiedniejszy moment dla czynów.

STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA“ W ZWIĄZKU Z 200. ROCZNICĄ URODZIN ADAMA MICKIEWICZA OGŁASZA KONKURS DLA NAUCZYCIELI:

„MICKIEWICZOWSKIE INSPIRACJE“

Konkurs na scenariusz edukacyjny (lekcja szkolna, lekcja muzealna, program wycieczki itp.) przeznaczony do realizacji przez nauczycieli polskich i polonijnych we własnym środowisku. Scenariusz może obejmować zajęcia jednostkowe lub cykliczne związane z biografią, twórczością bądź recepcją mickiewiczowską. Powinien zawierać konspekt zajęć, opis materiałów pomocniczych bądź topografii ich realizacji. Forma i treści dowolne, jedynie obok celów poznawczych ma on być dostosowany do możliwości odbioru oraz aktywizacji uczniów.

Prace z godłem i podanym krajem zamieszkania autora, zaopatrzone w zamkniętą kopertę zawierającą: imię, nazwisko, miejsce pracy i zamieszkania oraz wykształcenie należy nadsyłać na adres Biura Zarządu Krajowego Stowarzyszenia **do 30 maja 1998 roku: Stowarzyszenie „Wspólnota Polska“, Krakowskie Przedmieście 64, 00–322 Warszawa.**

Najciekawsze prace będą wykorzystane w czasie zajęć programowych kolonii polonijnych. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi we wrześniu br. **Laureaci zostaną zaproszeni na uroczystości obchodów Roku Mickiewiczowskiego w Kraju, zaś autorzy najlepszych prac w nagrodę odwiedzą „miejsca mickiewiczowskie“: Nowogródek, St. Petersburg, Paryż.**

Z poważaniem

Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska“
Prof. Andrzej Stelmachowski

REGULAMIN VII ŚWIATOWEGO FESTIWALU POEZJI MARII KONOPNICKIEJ

Przedbórz - Góry Mokre, 13-16 sierpnia 1998

1. Konkurs przeprowadzony zostanie w 2 kategoriach:
   * recytacji,
   * poezji śpiewanej.
2. Warunkiem udziału w turnieju recytatorskim jest wykonanie 2 wybranych utworów poetyckich Marii Konopnickiej w języku polskim. Prezentacja utworów nie powinna przekroczyć 15 minut.
3. Warunkiem udziału w turnieju poezji śpiewanej jest wykonanie 2 utworów opartych na tekstach Marii Konopnickiej (dopuszcza się wykonanie utworów w języku swojego kraju).
4. Uczestnicy oceniani będą w 4 kategoriach:
   * do 15 lat (dzieci),
   * powyżej 15 lat (młodzież),
   * dorośli,
   * zespoły.
5. Uczestnicy przyjeżdżają do Polski na własny koszt bądź instytucji delegujących.
6. W Festiwalu uczestniczyć mogą również goście z zagranicy czasowo przebywający w Polsce.
7. Organizatorzy zapewniają bezpłatne wyżywienie, zakwaterowanie oraz udział w imprezach towarzyszących.
8. Laureaci konkursu otrzymają nagrody pieniężne i rzeczowe.
9. Istnieje możliwość zaprezentowania - poza konkursem - swoich własnych utworów, bądź programów artystycznych podczas imprez towarzyszących.
10. Zgłoszenia należy nadsyłać w terminie do 30 lipca 1998 r.
11. Zgłoszenia można przesyłać również za pośrednictwem ambasad lub konsulatów.
12. Wszelkich informacji udzielać będzie Biuro Festiwalu:
    Miejski Dom Kultury, ul. Rynek 15, 97-570 Przedbórz
    tel/fax (0-44) 81 25 15, 81 22 61 do 5. Fax 81 21 80
    p. Małgorzata Błaszczyk i p. Władysław Obarzanek.
13. Przyjazd uczestników w dn. 13. 08. 1998 r. do Domu Kultury w Przedborzu.
14. Karty zgłoszenia prosimy kierować na adres:
    Rada Główna
    Światowego Festiwalu Poezji Marii Konopnickiej
    97 - 566 Góry Mokre
    woj. piotrkowskie

serdecznie zapraszamy
ORGANIZATORZY

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

KRÓLOWA FIRANEK

Nieomal jak w sklepie z firankami czuje się widz wchodzący na przedstawienie „Królowej Śniegu" w Teatrze Lalek Bajka. Autorka scenografii Halina Szkopek każe uwierzyć, że śnieg może być we wzorki, a płatki śniegu tworzą różnorakie ornamenty. Porozwieszała zatem na scenie kawałki firanek, by stworzyć zimę, w czasie której dzieje się bajkowa przygoda Gerdy i Kaja. Ale kiedy tylko na scenę wpadają dwa złośliwe, lecz sympatyczne diabełki, kiedy tylko babunia zaczyna snuć swą opowieść, widz zapomina o firankach, ma przed oczyma już tylko zimową krainę.

Adaptacja „Królowej Śniegu" według baśni Hansa Christiana Andersena, której dokonała Mirosława Banaszyńska, jest dość wierna oryginałowi. Dynamizmu nabiera poprzez wprowadzenie postaci diabłów. Reżyser i autor ruchu scenicznego Marek Mokro-

fot. FRANCISZEK BAŁON

wiecki nie rezygnuje z wtrącenia wątków mniej lub bardziej rodzimych. Babcia chce opowiedzieć dzieciom o utopcu, który mieszka pod mostem w Darkowie, próbuje przypomnieć legendę o smoku wawelskim, ale dzieci wolą wielki świat. A od Królowej Śniegu wieje światowością.

Wszystkim poczynaniom dzieci towarzyszą dwa diabły. Są w tym przedstawieniu motorem, siłą napędową całej akcji. To za ich przyczynieniem dzieci znajdą się w tarapatach i to one, reprezentując złe moce, muszą w końcu przegrać. Ale pełnią też inne zadanie. Dzięki ich igraszkom znana wszystkim, no, może oprócz tych zupełnie małych widzów, bajka nikogo nie nudzi. Dostarcza rozrywki nawet wybrednym amatorom teatru baśni. Diabły ponadto są w gruncie rzeczy mało szkodliwe i wręcz sympatyczne. Robią wiele zamieszania, stroją do widzów głupie miny, uśmiechają się krzywo, skaczą, robią przewroty i śpiewają.

Muzyka autorstwa Leszka Wronki to jedna z mocnych stron tego przedstawienia. Chwytliwe melodie nie tylko wypełniają luki, nie tylko towarzyszą akcji, ale wprowadzają też w dobry nastrój widza, który ma ochotę zanucić razem z aktorami. Teksty piosenek napisała autorka adaptacji Mirosława Banaszyńska. Jedną z piosenek – „Lodowi ludzie" – śpiewa gościnnie Urszula Niedoba.

Szóstka aktorów odgrywa w większości po kilka ról, nie tylko lalkowych. Głosy Gerdy i Kaja to Dorota Urbuś i Krystyna Czech. Babcię gra Pawełka Niedoba. Ona jest też w pełnej dramatyzmu, widowiskowo bardzo dobrze opracowanej scenie kulminacyjnej tytułową Królową Śniegu. W roli Starej Rozbójnicy, która na szczęście nie napędza dzieciom dużego strachu, występuje Krystyna Kubiczek. Rozbrykane Diabły grają Wanda Michałek i Jan Szymanik. Lalkowe postacie to oprócz Gerdy i Kaja również Wrona i Ren (Krystyna Kubiczek), Finka i Lilia (Pawełka Niedoba), Książę, Laponka i Kaczeniec (Wanda Michałek), Mała Rozbójniczka (Krystyna Czech), Wrona i Narcyz (Jan Szymanik).

Miłość dwa serca łączy i na tym się bajka kończy. Wtedy rozpoczyna się prawdziwe życie, jakim jest wejście w nowe pięćdziesięciolecie. Bowiem „Królowa Śniegu" jest trzecim, ostatnim przedstawieniem jubileuszowego sezonu Teatru Lalek Bajka. Na premierze zabrzmiało dużo ciepłych słów, gratulacji pod adresem zespołu i życzeń na przyszłość. Nie pozostaje więc Bajce nic innego, jak kontynuować swoją pracę, zwłaszcza że mali, i nie tylko mali, widzowie czekają.

CZESŁAWA RUDNIK

ANIA Z ŁYSEJ GÓRY

Ach, te dzieciaki! Zawsze muszą coś przekręcić. Wróciły któregoś dnia ze szkoły i oznajmiły, że idą niedługo do teatru na „Anię z Łysej Góry". A to chodziło przecież o „Anię z Zielonego Wzgórza". I jestem pewna, że nie było w tym z ich strony żadnej złośliwości. Ot, młodzieńcza fantazja. Zupełnie jak ta Ania.

Jest przywilejem dzieciństwa i młodości wymyślanie życia innego niż jest w rzeczywistości. Wymyślanie życia lepszego niż jest w rzeczywistości. Niektórym zostaje to na całe życie i wtedy wyrastają z nich artyści. Stają się na przykład pisarzami.

Nie inaczej było z Lucy Maud Montgomery. Świat, który ją otaczał, nie przynosił jej satysfakcji. Odskocznię stanowiły kartki pamiętnika, który zawierał nie tylko opisy zdarzeń, przeżyć, ale przede wszystkim marzenia, przemyślenia o życiu i uczuciach. Tak narodziła się Ania, nastolatka, która zawojowała świat. Jej losy uwiecznione przez Lucy Maud Montgomery na kartkach powieści „Ania z Zielonego Wzgórza" i następnych są od kilkudziesięciu już lat ulubioną lekturą kolejnych pokoleń dziewcząt w wielu krajach. Nie stanowią bariery tzw. inne czasy, inne obyczaje. Radości i smutki, uczucia i marzenia, wszystko to, co składa się na życie wewnętrzne człowieka, jest niezmienne. Ujęte zgrabnie w słowa może liczyć na powodzenie u czytelnika.

Podobne najwidoczniej myśli towarzyszyły twórcom, którzy zdecydowali się na pokazanie w Scenie Polskiej adaptacji „Ani z Zielonego Wzgórza". Jeszcze nie zszedł na dobre z afisza zeszłoroczny spektakl młodzieżowy „Przygody Tomka Sawyera", a już pojawił się następny przebój literatury młodzieżowej. Z tą różnicą, że o ile po powieść o Tomku Sawyerze sięgają zarówno chłopcy jak i dziewczęta i jest ona jedną z lektur obowiązkowych, o tyle Ania reprezentuje literaturę typowo dziewczęcą, nie będącą w kręgu zainteresowań kilkunastoletnich chłopców. Z tym musieli się liczyć twórcy przedstawienia. Mimo to jednak tytuł „Ania z Zielonego Wzgórza" sam w sobie stanowi hasło – slogan reklamowy. O tym, że tak jest naprawdę, mogła przekonać się już publiczność przedstawienia premierowego. Początek spektaklu opóźnił się, ponieważ do kasy teatru w ostatniej chwili ustawiła się kolejka żądnych artystycznych przeżyć widzów. Prawie pełna widownia, zjawisko ostatnio dość rzadkie, stała się faktem. Zasiedli tam zgod-

fot. WIESŁAW PRZECZEK

nie przedstawiciele wszystkich pokoleń, od najmłodszych, oby przyszłych sympatyków Sceny Polskiej, do najstarszych, weteranów tego teatru.

Tu nie mogę się powstrzymać od nieco przykrej dygresji. Boć zadaniem recenzenta czy dziennikarza jest, o czym niedawno w związku w pewną aferą głośno w swych mediach przypomnieli najwybitniejsi dziennikarze w Polsce, nie tylko grzecznie informować i chwalić. Pojątrzę więc trochę, będąc przekonaną, że racja jest po mojej stronie. W tym samym czasie, kiedy Ania po raz pierwszy przed widzami biegała po scenie, niedaleko, na poddaszu budynku ZG PZKO przebiegały uroczystości pięćdziesięciolecia Teatru Lalek Bajka. Bajki, która jako pierwsza zaznajamia nasze dzieci i przybliża im zjawisko zwane teatrem, a stara się to robić najlepiej, jak umie. Te dwie instytucje – niepoważna lalkowa Bajka i poważna duża Scena Polska – nie potrafiły dogadać się na dwóch różnych terminach swych premier. Szkoda.

Scena Polska przedstawiła „Anię z Zielonego Wzgórza" w adaptacji Andrzeja Konica. Realizacji podjęli się goście z Polski.

Spektakl reżyserował Jerzy Batycki, scenografię i kostiumy zaprojektowała Małgorzata Komorowska, muzykę napisał Krzysztof Maciejowski. Adaptacja obejmuje historię Ani aż do jej dojrzałości, kiedy już jako nauczycielka może zatroszczyć się o swoją dotychczasową opiekunkę.

Realistyczna dekoracja zaskakuje dbałością o szczegóły. Pieczołowicie zgromadzone rekwizyty oddają nastrój ogniska domowego, mieszkania, który staje się prawdziwym domem, takim, w którym chce się przebywać. Scena przedstawia izbę, do której wchodzi się z ogrodu, nad nią na pięterku mieści się pokój Ani. Widz może więc oglądać jednocześnie dwa miejsca akcji. Z tym, że jedno z nich zostaje zawsze przyciemnione, dialogi nie dzieją się jednocześnie na dwóch planach, nie przeplatają się. Pomysł został nie do końca wykorzystany, bo wchodzenie na piętro poza sceną kilkakrotnie niepotrzebnie rwie akcję.

„Ania z Zielonego Wzgórza" jest spektaklem rozgadanym. Bohaterce wprost usta się nie zamykają. Swoje rozważania, przemyślenia, które spokojnie mogłaby umieszczać na kartkach pamiętnika, przedstawia głośno swym partnerom scenicznym oraz widzom. Dzięki temu w krótkim czasie poznajemy dokładnie jej charakter. Taki sposób narracji wymaga od odtwórczyni Ani pełnej gotowości przez cały spektakl. Spektakl tworzą pojedyncze, chronologicznie ułożone zdarzenia, najważniejsze epizody z pokazanego wycinka życia głównej postaci.

Anię gra Gabriela Fabian. Rola ta była dużą szansą dla młodej aktorki, którą nieźle wykorzystała. Dobrze udało jej się oddać nastroje swojej bohaterki, jak również jej dojrzewanie od lekkomyślnego podlotka do młodej odpowiedzialnej kobiety. Inna sprawa czy akurat taką Anię wyobrażały sobie czytelniczki książki. Dobrotliwą Marylę zagrała Halina Pasekowa, gwałtowną, choć również o dobrym sercu Małgorzatę Janina Buława, bohaterki przedstawienia „Ani z Zielonego Wzgórza" sprzed ponad trzydziestu lat. Dianą, przyjaciółką od serca, była Małgorzata Pikus. Jedyna rola męska, bo trudno nazwać rolą epizod Gilberta w wykonaniu Janusza Laskowskiego, to Mateusz Ryszarda Pochronia, zapatrzony w Anię dziadek-mediator, który cicho żyje i cicho odchodzi.

Ach, jak byłoby dobrze na świecie, gdyby był on naprawdę taki milutki, jak w przedstawieniu, należałoby westchnąć. Ale mimo że taki nie jest, przychylam się do końcowej maksymy: Życie jest piękne.

CZESŁAWA RUDNIK

ŻYDZI W AVIONIE

Okazuje się, że wystarczy odpowiednie nakrycie głowy, pewne elementy stroju, może jeszcze pejsy czy broda, a już z chrześcijanina robi się Żyd. Tak przynajmniej było ostatnio w kawiarni Avion, kiedy program „Historia prosta: w Cieszynie żył Kohn..." zagaili Kamraci przebrani za żydowską kapelę Jidełe.

Szesnaste spotkanie w kawiarni Avion zrealizowane według własnego scenariusza przez Renatę Putzlacher odbyło się całkowicie pod hasłem kultury żydowskiej.

Renata Putzlacher uprawia swoistego rodzaju ekshibicjonizm. W tym, co stanowi źródła inspiracji jej twórczości, znajduje i odkrywa zawsze siebie. To impresjonistyczne obnażanie się „wnuczki piekarza" sprawia jej wyraźną przyjemność, jest poza tym rodzajem autoreklamy. A że zareklamować siebie umie, widać po zawsze pełnej widowni.

Renata Putzlacher jest ambasadorem polskości. Szum, który z wrodzonym wdziękiem i skromnością robi wokół swej osoby, pozwala poznać i zrozumieć Zaolzie i jego sprawy ludziom oddalonym od nas setki kilometrów.

Renata Putzlacher wreszcie to człowiek-orkiestra. Rozpierająca ją energia nie pozwala siedzieć jedynie przy biurku i pisać wiersze. Ona widzi te wiersze już na scenie recytowane czy nawet śpiewane. Wymyśla

fot. WIESŁAW PRZECZEK

i realizuje programy, w których sama występuje: mówi i śpiewa. Jeśli zainteresuje ją jakiś temat, postanawia go zgłębić, a następnie przybliżyć również innym ludziom.

Wieczór żydowski w kawiarni Avion zrodził się z inspiracji Bułhakowem, Chagallem i Singerem. Aktorzy, kostiumy i rekwizyty a także niektóre piosenki zagrały już wcześniej w Scenie Polskiej w przedstawieniu Janusza Klimszy „Gimpel głupek". Autorka wieczoru wypożyczyła więc niejako stworzone już wcześniej postacie. W programie wystąpili oprócz Renaty Putzlacher aktorzy Sceny Polskiej Małgorzata Pikus, Janusz Laskowski, Sebastian Pawlak, Ryszard Pochroń i Michał Siegoczyński.

Spotkanie z „mieszkańcami Cieszyna, których nie ma" pomyślane zostało jako składanka piosenek, wierszy, dowcipów, przypowieści. Z kapelą Jidełe grał na gitarze kierownik muzyczny tego przedsięwzięcia Zbigniew Siwek. Niektóre piosenki śpiewane były w języku jidysz. Wykorzystano piosenki tradycyjne oraz melodie ludowe, do których teksty napisała Renata Putzlacher. Przypowieści i szmoncesy, czyli znane, lecz warte przypomnienia skecze, monologi, dowcipy żydowskie nic nie straciły ze swego uroku. *Gatunek ten, który nie miał nic wspólnego ze złośliwym wyśmiewaniem się z Żydów, bawił wszystkich obdarzonych poczuciem humoru, bez względu na pochodzenie, jego mistrzami byli bowiem znakomici autorzy pochodzenia żydowskiego, tacy jak Tuwim, Słonimski, Hemar* – napisała o ich genezie autorka wieczoru. Z kilku wierszy Renaty Putzlacher, nie pozbawionych zresztą akcentów osobistych, najbliższy sercu naszej redakcji okazał się wykonywany przez autorkę wiersz „Tańczyłam w bóżnicy", mówił bowiem o budynku, w którym dziś mieści się między innymi i redakcja Zwrotu.

Elementem nie współgrającym z całością widowiska były krótkie wykłady na temat charakterystycznych dla kultury i religii żydowskiej symboli i zwyczajów. Te krótkie na wpół improwizowane wstawki w wykonaniu autorki programu zawierały masę cennych wiadomości, obcych zapewne dla większości słuchaczy, niewtajemniczonych w niuanse obyczajowości Żydów. Rozbijały jednak całość zgrabnie poza tym skleconego wieczoru, niespójne poprzez swój charakter wykładu akademickiego. Bardziej zgrane z resztą programu stałyby się, gdyby utraciły ten rys prywatności na rzecz teatralizacji poprzez np. wygłaszanie ich przez aktora z mównicy lub ambony czy czytanie ich z kartki przez samą autorkę w okularach na nosie. I teraz stało się najgorsze, co może zrobić recenzent. Zaczynam radzić twórczyni, jak ja bym to zrobiła, gdybym to w ogóle potrafiła. Ale wracając do tematu:

Renata Putzlacher nie poszła aż tak daleko, by bawić się w udawanie kogoś, kim nie jest. W sposób sobie właściwy przekazała widzom wiedzę o ludziach, którzy jeszcze do niedawna byli integralną cząstką naszej społeczności, a po których ślady zacierają się coraz bardziej.

CZESŁAWA RUDNIK

SZCZĘŚLIWY AUTOR, KTÓRY ZNAJDZIE WYDAWCĘ

Te słowa zostały wypowiedziane przez konsula Piotra Szwarca z Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie na tegorocznym spotkaniu z okazji Dnia Nauczyciela, na którym była po raz pierwszy zaprezentowana książka dr. Józefa Macury „Historia szkolnictwa polskiego na Zaolziu". Jej wydawcy należy się pełny podziw za nie tylko uwieńczone sukcesem starania o wydanie książki, ale także za wzorowo przygotowaną – organizacyjnie i terminowo – promocję. Wiadomo, jak trudno dziś zdobyć środki na wydanie jakiejkolwiek publikacji. Naszemu społeczeństwu tym bardziej, ponieważ możemy sobie pozwolić jedynie na małe nakłady, co powoduje wysokie koszty produkcji, a jednocześnie wysoką cenę jednego egzemplarza książki. Niestety przy ogólnym braku zainteresowania książką i te małe nakłady długo czekają na swego nabywcę.

Obszerna praca dr. Józefa Macury ukazała się w nakładzie 500 egzemplarzy, a i tak wydawca Towarzystwo Nauczycieli Polskich w RC ma obawy czy nakład w pełni się rozejdzie. Nikt nie ma wątpliwości co do historycznej wartości publikacji dr. Macury. Po raz pierwszy udało się spisać dzieje polskiego szkolnictwa na Zaolziu i utrwalić dla potomności to, co w większości już bezpowrotnie utraciliśmy. To nie jest zwykła książka do czytania, ale pozycja do każdej domowej biblioteczki polskiej rodziny na Zaolziu.

Recenzję książki pozostawiamy osobom do tego powołanym.

Dlatego przytaczamy obszerne fragmenty opinii wydawniczej pracy dr. Józefa Macury, jaką przygotował wykładowca Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Zenon Jasiński.

Przedłożona do oceny praca ma charakter szczególny. Jest owocem trudu, pracy i serca jednego z zaolziańskich nauczycieli kontynuujących chlubne tradycje swoich poprzedników, nauczycieli, którzy aktywnie uczestniczyli w życiu społeczno-kulturalnym regionu.

Szkoła polska na Zaolziu odegrała istotną rolę w zachowaniu kultury polskiej i języka polskiego. Stąd jej losy nie mogą być obojętne dla Polaków na Zaolziu jak i w Polsce.

Praca nie ma w pełni charakteru naukowego, lecz popularnonaukowy. Autor bowiem nie odwołuje się do szerszej literatury przedmiotu

w Polsce czy nawet czeskiej, korzysta w ograniczonym stopniu ze źródeł archiwalnych, ale i tak żadne z opracowań naukowych nie będzie w stanie stworzyć syntezy dziejów polskiego szkolnictwa na Zaolziu, bez korzystania z pracy J. Macury, bowiem posiada ona niezaprzeczalny walor, jej autorem jest nauczyciel, który przeszedł w swej drodze zawodowej od nauczyciela szkoły podstawowej do pracownika instytutu pedagogicznego, od działacza PZKO do członka Komisji d\s Narodowościowych. To doświadczenie życiowe oraz tkwienie wewnątrz dziejących się problemów szkolnictwa polskiego pozwoliły Autorowi na poznanie jego złożonych problemów od wewnątrz a także porównanie jego problemów z problemami szkolnictwa narodowościowego w Czechosłowacji.

Szereg faktów i ustaleń Autora ma wartość szczególną dla obecnych i przyszłych badaczy dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu. Jako pracownik KPU miał dr Macura dostęp do wielu informacji, powszechnie nie znanych szerszemu kręgowi polskiego społeczeństwa, dzięki czemu mógł szerzej ukazać uwarunkowania szkolnictwa polskiego na tle ogólnego rozwoju systemu szkolnego w Czechosłowacji.

Zgromadzone dane statystyczne dają smutny obraz stopniowego zanikania tego szkolnictwa. (...)

W swoim opracowaniu dr Macura stosunkowo dobrze zarysował początki szkolnictwa w Cieszyńskiem, w jego części zaolziańskiej, które w polskiej literaturze były dotychczas pomijane. (...) Wysokie kompetencje zawodowe i duże doświadczenie sprawiły, że Autor w niewielkiej syntezie potrafił uchwycić istotne wątki dla polskiego szkolnictwa. (...) ...zebranie dziejów przedszkoli, szkół w jednej pracy wydaje się zasadne, istnieje bowiem takie społeczne zapotrzebowanie a jednocześnie szansa na uchronienie tego dorobku.

Część III stanowi statystyka szkolnictwa, bardzo cenna, chociaż zawierająca niewielkie luki, których nie sposób uzupełnić ze względu na niedostatki dokumentacji urzędów szkolnych. Daje ona jednak ogólny obraz rozmiarów polskiego szkolnictwa na Zaolziu.

Wydawcy może się wydawać, że materiał statystyczny nie zainteresuje przeciętnego czytelnika. Należy jednak brać pod uwagę fakt, że jest to jedyna i niepowtarzalna szansa upowszechnienia tych danych. Należy myśleć nie tyle o obecnych czytelnikach, co o przyszłych, dla których dotarcie do takich danych będzie bardzo trudne. Pomocna wówczas będzie w tym praca J. Macury. Pracę należy cenić za jej materiałowy charakter. Szereg faktów ustalonych przez Autora będzie mieć niezwykle ważne znaczenie dla osób, które zechcą przygotować większą monografię. (...)

F.B.

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

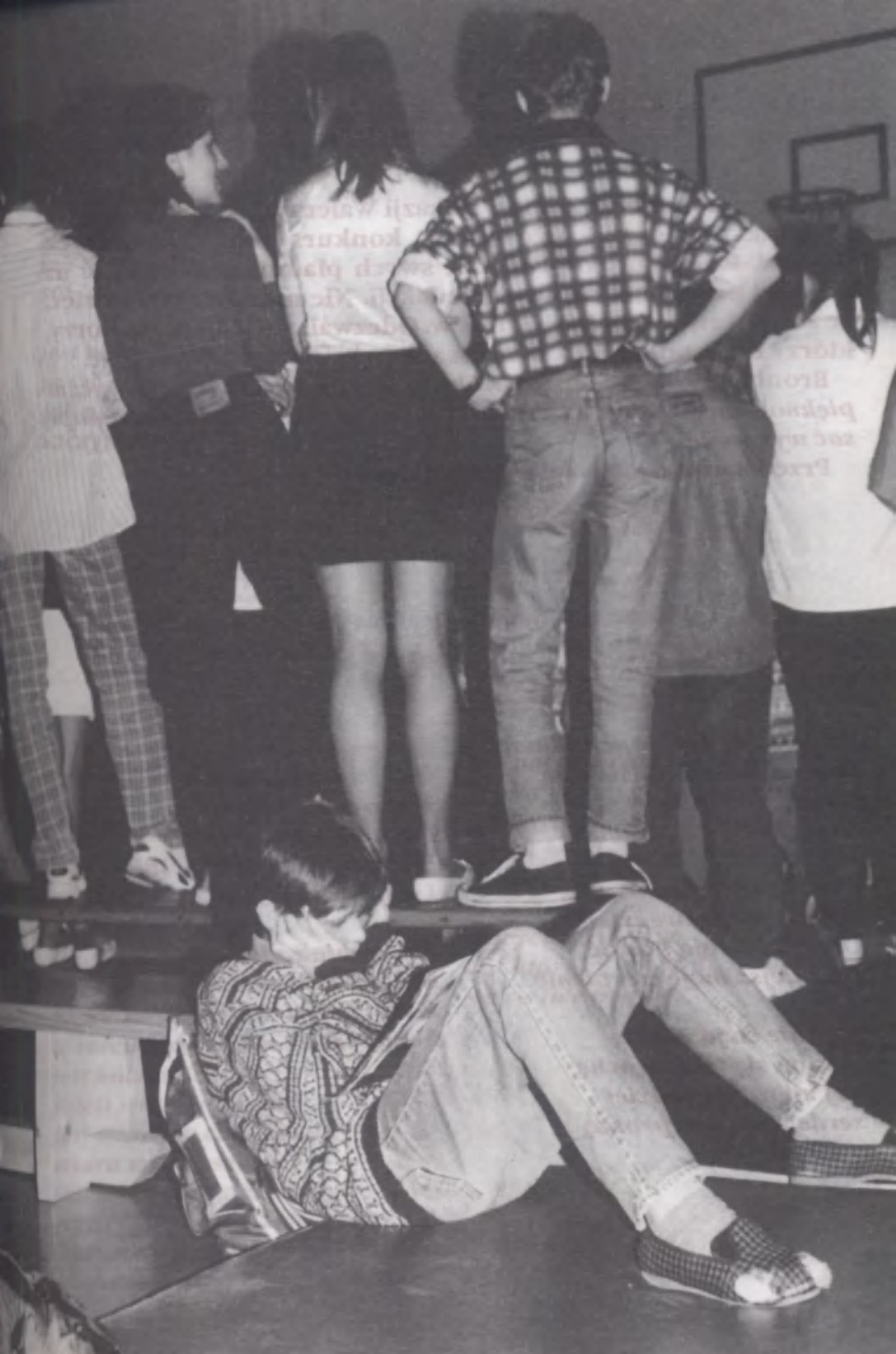

SERCE NA DŁONI

W lutowym numerze Zwrotu z okazji Walentynek, święta wszystkich zakochanych, ogłosiliśmy konkurs dla Zakochanych Poetów. Prosiliśmy o przelanie swych platonicznych uczuć na papier i przysłanie do naszej redakcji. Nie możemy powiedzieć, że zostaliśmy zalani lawiną listów. Odezwali się jednak amatorzy, którzy lubią poezję i którym pisanie wierszy sprawia radość.

Bronisław Sikora napisał: ***Chyba każdy, kto w szkole wyczuł piękno słowa, wiersza i przeżył pierwsze miłości, próbował napisać wyznanie.***

Przedstawiamy dziś kilka takich próbek.

ANNA MRÓZEK
MIŁOŚĆ

Pełno cię w książkach filmach
Tam widzę cię codziennie
Choć jesteś niby wszędzie
Szukam cię nadaremnie

Czy istniejesz naprawdę
Już wątpię w twe istnienie
Ukaż mi swoją postać
I zmniejsz moje cierpienie

Ależ nie co ja mówię
Odsłoń się tylko trochę
daj mi rąbek nadziei
serdecznie o to proszę

Tyle o tobie piszą
I mówią bardzo wiele
Bo przecież ważna jesteś
I w piątek i w niedzielę

Bez ciebie żaden człowiek
Nie zazna szczęścia w życiu
Panuj więc w całym świecie
I bądź łatwą w zdobyciu

BRONISŁAW SIKORA

* * *

Jest miłość
głęboka jak morze
jak tępy nóż
sól płona

jest miłość głęboko ukryta
jak w nożu ból
jak w soli
szczypta pragnienia.

BRONISŁAW SIKORA

PYTASZ CZY KOCHAM

Jeżeli bolesne wspomnienie
jest kochaniem
piękno, które było
w sercu pozostało
jest kochaniem,
jeżeli wiara w Boga
jest wiarą w człowieka
wiara w przyszłość
jest wiarą dla dziecka,
jeżeli ty
wszystko wszystkim poświęcasz
kocham.

EWA MROWIEC

TAK BARDZO CHCIAŁABYM

Tak bardzo kocham cię,
cicho i tajemnie,
lecz ty o tym nie wiesz
a to dręczy mnie.

Tak bardzo chciałabym
tulić się do ciebie,
tak bardzo chciałabym
być teraz na niebie.

Być małą gwiazdką,
stworzeniem niewinnym,
być tylko z tobą
i z nikim innym.

Tak bardzo chciałabym
byś na mnie spojrzał–choć raz,
tak bardzo chciałabym
być tą jedyną wśród nas.

Tę, którą polubisz,
chwycisz za rękę,
dla której z miłości
serce Twe pęknie.

BEATA NOWAK
UCIELEŚNIONY IDEAŁ

Myślałam, że się w tobie zakochałam.
A to nieprawda. Nieprawda!
Ty – człowiek – ty – cielesny –
ty nic mnie nie obchodzisz.
Kocham się w ideale.
Daję mu twoją postać.
Piękny jesteś, przyznaję.
Chcę mieć ideał z ciałem.
Twoje mi odpowiada.

A jednak pragnę tego,
by twoje piękne ciało
to, co w moich marzeniach,
bez reszty wypełniało.

BEATA NOWAK
NARODZINY UCZUCIA

Czy to o tobie kiedyś marzyłam?
Kogoś innego sobie wyśniłam.
Tamtego uśmiech, tamtego oczy
miałam przed sobą i w dzień, i w nocy.

Kiedyś realny mi się objawił,
iskierki złudzeń nie pozostawił,
nie uwierzyłam, że to ty właśnie,
że coś zapalisz i już nie zgaśnie.
Tak się broniłam i w wielkiej męce
załamywałam nad nami ręce.
Ale przegrałam w nierównym boju,
chociaż walczyłam w trudzie i znoju.
I podpisałam kapitulację,
i pomyślałam: może masz rację.

Ciesz się, zwycięzco niewymarzony,
cały mój umysł już zniewolony.
Myśl moja krąży przy twej osobie,
a ja po prostu chcę być przy tobie.

ZŁOTE MYŚLI O MIŁOŚCI

MIŁOŚĆ jest z pewnością czymś najwyższym w życiu.

Tomáš Garrique Masaryk

MIŁOŚĆ równa się poświęceniu i zatraceniu siebie.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz

MIŁOŚĆ to latarnia morska o zmiennym świetle.

Romain Rolland

MIŁOŚĆ jest darem nieba, nadużyta – piekłem.

Zygmunt Krasiński

MIŁOŚĆ to nauka, która nie wymaga żadnych objaśnień.

Božena Benešová

MIŁOŚĆ pomaga znieść wspólną niedolę.

Friedrich Schiller

MIŁOŚĆ poznaje się tylko po cierpieniu.

Zofia Nałkowska

MIŁOŚĆ to zgłodniały stołownik.

Josef Kajetán Tyl

MIŁOŚĆ jest podstawą całego świata.

Alfred de Musset

MIŁOŚĆ rozbija okowy samotności.

André Maurois

MIŁOŚĆ – trudna do ugaszenia substancja samozapalna.

Zbigniew Becher

MIŁOŚĆ ujawnia to, co w nas najlepsze.

Stefan Garczyński

MIŁOŚĆ bez kłótni jest jak paw bez piór.

Karel Matěj Čapek-Chod

MIŁOŚĆ nie udowadnia się słowami.

Mikołaj Gogol

MIŁOŚĆ jest pragnieniem, aby komuś coś dawać.

Bertold Brecht

MIŁOŚĆ jest pożądaniem piękności.

Łukasz Górnicki

MIŁOŚĆ jest pewną próbą rzetelnej wartości człowieka.

Narcyza Żmichowska

MIŁOŚĆ albo jest szalona, albo jej w ogóle nie ma.

Milan Kundera

MIŁOŚĆ daje, ale niczego nie żąda.

Lew Tołstoj

MIŁOŚĆ nie ma wieku i wciąż się rodzi.

Blaise Pascal

MIŁOŚĆ bez zazdrości, to jak Polak bez wąsa.

Kazimierz Władysław Wójcicki

MIŁOŚĆ gardzi modą – pragnie być naga.

František Gellner

MIŁOŚĆ jest jak młynek, wszystko zmiele.

Jaromír Nohavica

MIŁOŚĆ jest główną drogą ucieczki od samotności.

Bertrand Russel

MIŁOŚĆ i wojna to wszystko jedno.

Miquel de Cervantes

MIŁOŚĆ sama w sobie jest szczęściem.

Halina Górska

MIŁOŚĆ tyle jest warta, ile kosztuje.

Karol Bunsch

MIŁOŚĆ to pragnienie dobra.

Dante Alighieri

MIŁOŚĆ jednak wydaje się być śmiercią w pięknej masce.

Jaroslav Seifert

MIŁOŚĆ jest złudzeniem.

Oscar Wilde

MIŁOŚĆ jest jak mydło, ubywa jej przy używaniu.

Jerzy Andrzejewski

MIŁOŚĆ jest najtańszą z religii.

Cesare Pavese

MIŁOŚĆ jest najwyższym sensem istnienia.

Ernest Hemingway

MIŁOŚĆ to jakby pieśń najszczersza...

Stiepan Szczypaczow

MIŁOŚĆ jest wieczna. Zmieniają się tylko partnerzy.

Martine Carol

MIŁOŚĆ niejedno ma imię. I wiele pseudonimów.

Janusz Roś

MIŁOŚĆ jest wzajemnym świętokradztwem.

Karol Irzykowski

MIŁOŚĆ jest jak pochód – przechodzi.

Henri Verneuil

MIŁOŚĆ, jakiż to cud!

Julius Zeyer

MIŁOŚĆ przezwycięża wszystko.

Leonardo da Vinci

MIŁOŚĆ to zakon, do którego wstępuje się przez cierpienie.

Karel Kryl

MIŁOŚĆ nie zna wartościowania.

Erich Maria Remarque

MIŁOŚĆ i kwiaty jedną trwają wiosnę.

Pierre de Ronsard

MIŁOŚĆ jak wiatr, niepokoi i nie zaspokaja.

Maria Karpowska

MIŁOŚĆ nigdy nie zapomina...

Vítězslav Nezval

MIŁOŚĆ jest ślepa, dlatego lubi ciemność.

Tadeusz Gicgier

MIŁOŚĆ jest potężniejsza od siły i mądrzejsza od filozofii.

Oscar Wilde

MIŁOŚĆ własna nie powszednieje.

Aleksander Kumor

MIŁOŚĆ = dwie ręce. Kobieta jest prawą, mężczyzna lewą ręką.

Jaromír John

MIŁOŚĆ nie może niczego odmówić miłości.

Theodor van de Velde

MIŁOŚĆ rodzi miłość.

przysłowie ludowe

MIŁOŚĆ jest jedynym balsamem na rany miłości.

Romain Rolland

MIŁOŚĆ należy do kosmetyków,
albowiem nieszczęśliwa wybiela, szczęśliwa różuje.

Henryk Sienkiewicz

MIŁOŚĆ jest jak śmierć – zawsze ma pierwszeństwo.

Pierre la Mure

MIŁOŚĆ zna dwie choroby: Wojnę i pokój.

Horacy

MIŁOŚĆ wszystko zwycięża.

maksyma rzymska

MIŁOŚĆ to uczucie niewymowne i mylące.

Karel Čapek

MIŁOŚĆ jest silniejsza niż rozsądek.

Ewa Wachnowska

MIŁOŚĆ to jedyna szansa, jaką mają głupcy,
by uróść we własnych oczach.

Honoré de Balzac

MIŁOŚĆ jak testament: nowa unieważnia poprzednią.

Krecia Pataczkówna

MIŁOŚĆ to niewola, do której każdy idzie na ochotnika.

Władysław Grzeszczyk

MIŁOŚĆ: funkcja fizjologiczna, która zrobiła karierę.

Julian Tuwim

MIŁOŚĆ jak rewolucja – nie udaje się słabym.

Karol Dusza

MIŁOŚĆ rozgrzewa wszystkie zbrodnie.

Kazimierz Perzyński

MIŁOŚĆ wolna – niewolnica namiętności.

Wiesław Malicki

MIŁOŚĆ potrzebuje gniazda, jak ptak.

Henryk Sienkiewicz

Zebrał: -taj-

WIELKI SUKCES STONAWIANINA MICHAŁA RZESZUTA DO KARLOWYCH WARÓW PRZYLECIAŁO 150 SKOWRONKÓW

Już po raz trzeci odbył się w Karlowych Warach ogólnopaństwowy konkurs w śpiewie solowym pn. Karlowarski skowronek, w którym od wtorku 17 marca br. przez trzy dni o laury pierwszeństwa współzawodniczyło 150 dzieci z 89 szkół podstawowych z 30 powiatów Republiki Czeskiej.

Trudno opisać atmosferę, jaka panowała w auli miejscowej Podstawowej Szkoły Artystycznej, pięknie ozdobionej motywami karlowarskimi i muzycznymi oraz dużą makietą Karola IV - założyciela Karlowych Warów. Żywo tu było jak w ulu. Dzieci przyjechały w towarzystwie rodziców, korepetytorów i nauczycieli.

Napięcie spowodowane niecierpliwym oczekiwaniem i tremą przed pięcioosobowym, wysoko kwalifikowanym jury na czele z prof. Jaroslavem Horáčkiem, solistą Teatru Narodowego w Pradze, stopniowo przerodziło się w ciepłą, miłą i przyjacielską atmosferę. 150 dzieci, które najlepiej zaśpiewały w eliminacjach powiatowych, współzawodniczyło w 3 kategoriach: A (klasy 1-5), B (klasy 6-9) i C (uczniowie podstawowych szkół artystycznych).

Przesłuchania konkursowe odbywały się codziennie aż do godz. 15.00 i sala codziennie pękała w szwach. Jury nie miało łatwego zadania, bowiem większość uczestników była sumiennie przygotowana. W kategorii A (54 uczestników) udzieliło jury 6 wyróżnień i 6 trzecich miejsc, 4 miejsca drugie, zaś na 1 miejscu uplasowała się Marcela Krčková z Kraslic. Wśród wyróżnionych znalazła się najmłodsza uczestniczka Kateřina Šteffková z Orłowej-Poręby, zaś 3 miejsce wywalczyła Jana Gryczová ze szkoły podstawowej Družba w Karwinie (opiekun i akompaniator nauczycielka Barbara Halousková).

O laury w kategorii B ubiegało się w środę 18 marca aż 62 „skowronków". Długimi i mocnymi brawami nagrodzono popis dziewiętnastego z rzędu wykonawcy 14-letniego Michała Rzeszuta ze Stonawy, ucznia 9 klasy Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie-Nowym Mieście, któremu na akordeonie akompaniował Józef Wierzgoń. Po występie Michała zapanowało na sali ożywienie. W przerwie podeszło do mnie parę osób, bardzo pochlebnie wyrażając się o śpiewie Michała. Nauczycielka miejscowej szkoły muzycznej była mocno wzruszona. *Powiało na mnie wiatrem kraju rodzinnego, pochodzę bowiem z Suchej Górnej.* Młoda zaś mężatka powiedziała z żalem: *Szkoda, że tu nie było mojego męża, który jest Polakiem, na pewno by się ucieszył, słysząc te piękne piosenki.* Zaś dyrektor szkoły, w której odbywał się konkurs, powiedział mi: *Proszę*

powiedzieć swojemu podopiecznemu, żeby został w stroju, bo na pewno znajdzie się wśród laureatów i będzie musiał jeszcze raz zaśpiewać. Trzeba jeszcze dodać, iż Michał jako jedyny młodociany uczestnik zaprezentował się w stroju ludowym, oczywiście śląskim.

Ogłoszenie wyników nastąpiło w tym dniu wyjątkowo dopiero o godz 16.30. Po uroczystych fanfarach ogłoszono wyniki: było 5 wyróżnień, 7 trzecich i 6 drugich miejsc. A Michał Rzeszut - ex aequo z Michalem Stulikiem z Nowego Jiczyna - zajął I. miejsce i kończył swoim śpiewem popisy laureatów. Wprost entuzjastycznie przyjęto jego „Furmana".

Ogromna była radość nie tylko Michała, ale i jego rodziców i siostrzyczki, którzy mu przez cały czas towarzyszyli w Karlowych Warach. Dumny był też starosta Stonawy Andrzej Feber, który przyjechał w tym samym dniu na leczenie do Karlowych Warów i przybył na uroczyste ogłoszenie wyników.

Jedyny reprezentant polskich szkół na Zaolziu zdobył w silnej konkurencji laur najcenniejszy i najwyższy! Jak zaznaczył po występie Michał, wielką zasługę w osiągnięciu tego wspaniałego sukcesu ma dyrektorka szkoły pani Jadwiga Palowska, nauczyciel Bronisław Bednarz i rodzice, zwłaszcza zaś mamusia. Wszyscy bowiem poświęcają mu wiele uwagi i udzielają cennych wskazówek.

JÓZEF WIERZGOŃ

KRONIKA

JUBILEUSZ PZKO W DĄBROWIE

W niedzielę 15 marca odbyło się jubileuszowe spotkanie z okazji 50-lecia Koła PZKO w Dąbrowie. W programie kulturalnym gościnnie wystąpił zespół GAMA z Suchej Górnej. W imprezie udział wzięli m.in. starościna gminy inż. Květuše Szyroká. ZG PZKO reprezentował Jerzy Taraba, a orłowską Radę Obwodową Władysław Orszulik.

T.T.

ZEBRANIE ZG PZKO

We wtorek 17 marca br. spotkali się członkowie Zarządu Głównego PZKO na swym kolejnym zebraniu. Dyrektor Biura ZG Bohdan Suchanek poinformował o swej niedawnej wizycie w Pradze. Miesiąc wcześniej został wysłany list do premiera Rządu RC Josefa Tošovskiego, gdzie oprócz informacji o działalności związku przedstawiono problemy związane z finansowaniem aparatu administracyjnego jego Zarządu Głównego. W krótkim czasie nadeszła odpowiedź podpisana z polecenia premiera i sekretariatu Rady do spraw Narodowości przez ministra Vladimíra Mlynáře. Dyrektor Biura pojechał w czwartek 12 marca do

Pragi. Rozmowy z przedstawicielami Ministerstwa Kultury RC okazały się owocne. Dyrektor stwierdził, że był mile zaskoczony możliwością negocjacji oraz tym, jak dobrze przygotowana do tych negocjacji była druga strona. Dotacja, jaką otrzymało ZG PZKO na realizację swoich projektów, jest jedną z najwyższych dotacji przeznaczonych na działalność mniejszości narodowych. Mieści w sobie również kwotę na płace dla realizatorów tych projektów.

Zebrani zapoznani zostali w związku ze znaną już wysokością dotacji z opracowanymi przez dyrektora Biura zmianami w budżecie na rok bieżący. Najważniejsze pozycje w działalności kulturalno-oświatowej to Gorolski Święto, działalność taneczna i folklorystyczna, działalność śpiewaczo-muzyczna, teatr i żywe słowo, działalność plastyczna i artystyczna, działalność oświatowa i wystawy. Przewidziana jest również działalność prelekcyjna oraz wydanie Kalendarza Śląskiego. Osobna pula to Teatr Lalek Bajka.

Biuro ZG przeprowadziło ostateczną rekapitulację podziału darów dla powodzian zebranych na koncie ZG. Ofiarodawcy wpłacili łącznie 146 033 Kč. Dary te przekazane zostały osobom prywatnym oraz MK PZKO Bogumin. Spis ofiarodawców znajduje się w Biurze ZG oraz w redakcji Głosu Ludu.

Prezes ZG PZKO Jerzy Czap zapoznał zebranych z programami najbliższych imprez, których współorganizatorem jest Zarząd Główny.

C.R.

POWITANIE WIOSNY

W sobotę 21 marca w skrzeczońskim Domu PZKO odbyła się tradycyjna impreza Powitanie wiosny dedykowana członkiniom Miejscowego Koła PZKO. Na wstępie miejscowy Klub Dziecięcy przedstawił wiązankę wierszyków, piosenek i tańców w opracowaniu Danuty Chorzempy. Następnie wystąpili harcerze szczepu dolnolutyńskiego, przedstawiając przy akompaniamencie gitary piosenki harcerskie, a chór mieszany Hasło pod batutą Ireny Szeligi przedstawił okolicznościowe pieśni.

W drugiej części spotkania wiceprzewodniczący Koła Alojzy Sładeczek podziękował członkiniom Klubu Kobiet, które pod kierownictwem długoletniej przewodniczącej Klubu Marii Ożóg ofiarnie udzielają się w ramach działalności pezetkaowskiej. Wiązankę humorystycznych piosenek i dowcipów zadedykował paniom zespół estradowo-kabaretowy skrzeczońskiego Koła Andrusi, który pod kierownictwem artystycznym Czesława Bugdola tym razem wystąpił z nowym programem w wojskowych mundurach. Po występie zespołu odbyło się spotkanie towarzyskie.

D.G.

ANKI ŚPIEWAJĄ JUŻ 5 LAT

Piosenka na dobre i na złe – pod takim tytułem odbył się w sobotę 21 marca koncert dziewczęcego zespołu Anki w Domu MK PZKO w Błędowicach. Zespół istnieje już pięć lat, a dał się poznać jako zespół szkolny PSP w Błędowicach. Anki występowały w ramach szkolnych uroczystości, ale przede wszystkim brały udział w kolejnych Festiwalach Piosenki Dziecięcej, gdzie zawsze cieszyły się olbrzymim powodzeniem u jurorów i publiczności. Odnosiły również sukcesy na występach w Polsce. Od roku są zespołem MK PZKO w Błędowicach. Niezmiennie zespołem opiekuje się Lidia Pawlas, nauczycielka PSP w Błędowicach, a obecnie Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie. Śpiewające dziewczęta – Iza Bałon, Danusia Chodura, Mariola Fryda, Jola Gałuszka, Magda Jedlička, Krysia Prymus, Krysia Roik, Magda Skurzok, Basia Suchanek – dziś są uczennicami polskich średnich szkół.

Sobotni koncert trwał ponad półtorej godziny, a Anki zaprezentowały zaledwie połowę swego repertuaru. Śpiewają tylko piosenki polskie, popularne i młodzieżowe. Gościnnie z Ankami jako soliści wystąpili: ich dawna szkolna koleżanka Irka Polak i młodszy kolega Tomasz Suchanek, także laureaci Festiwali Piosenki Dziecięcej.

W opracowaniu muzycznym i aranżacji piosenek zespołowi pomagają Henryk Sumera, Zbigniew Siwek i Wiesław Farana.

E.S.

MEDALE DLA NAUCZYCIELI

25 marca podczas uroczystości zorganizowanej przez Towarzystwo Nauczycieli Polskich w RC z okazji Dnia Nauczyciela konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarc odznaczył 10 zasłużonych pedagogów Medalami Ministerstwa Edukacji Narodowej. Medale otrzymali: Alicja Berki, Józef Franek, Maria Janiurek, Eugenia Kania, Jan Musioł, Halina Pawera, Bronisław Procner, Jan Pyszko, Gustaw Sajdok i Daniela Zaremba. Główną częścią uroczystości była promocja książki dr. Józefa Macury „Z dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu", której wydawcą jest TNP.

Po części oficjalnej 350 zaolziańskich pedagogów bawił dowcipami i piosenkami Kabaret Pod Egidą Jana Pietrzaka.

F.B.

FRYSZTACKI KLUB PROPOZYCJI

Pezetkaowskie Kluby Propozycji kojarzą się najczęściej z działalnością prelekcyjną. Na spotkanie zaproszona zostaje osoba, która opowie zgromadzonym słuchaczom na przykład o tym, jak dbać o zdrowie czy jak pielęgnować ogród, może też podzielić się wrażeniami z podróży zagranicznej lub przybliżyć sylwetkę sławnego rodaka. Takie spotkania mają już długoletnią tradycję i z powodzeniem są kontynuowane.

Nie ma w naszym społeczeństwie tradycji dyskutowania. Mieć własne zdanie, potrafić je zrozumiale przekazać i obronić, te umiejętności, przez lata tłumione czy wręcz zabronione, warto dziś wskrzeszać i pielęgnować. Kulturalne dyskusje w szerszym gronie nie rozwiążą może wszystkich problemów, ale potrafią je lepiej naświetlić i zrozumieć.

Pomysł Klubu Propozycji jako forum dyskusyjnego – spotkania ludzi, którzy wymienią swoje poglądy – zrodził się niedawno w Miejscowym Kole PZKO w Karwinie-Frysztacie. Pierwsze, robocze, spotkanie odbyło się pod koniec lutego. Na 25 marca br. zaproszono gości z Rady Polaków. W spotkaniu wzięli udział członkowie Rady Polaków Romuald Gąsior i Roman Baron oraz przewodniczący Komisji Rewizyjnej Melchior Sikora. Spotkanie prowadził Stanisław Kondziołka. Umotywował on zaproszenie członków Rady Polaków koniecznością dyskusji o współpracy wszystkich polskich organizacji na Zaolziu.

Inna jest dziś rola Rady Polaków niż była na początku lat 90. Wielu ludzi jednak ciągle nie rozumie idei Kongresu Polaków. By ją przybliżyć, Rada Polaków zdecydowała się na wyjazdowe spotkania. Niestety nie spotkały się one z odzewem w społeczeństwie, udział w nich był minimalny. Bierność jest jedną z największych bolączek naszej polskiej społeczności, głównym powodem niewesołych perspektyw na przyszłość. Nastały inne czasy, inne są też potrzeby ludzi. Dziś do pracy społecznej trzeba dopłacać, nie jest ona źródłem korzyści materialnych. Polskość musi stać się sposobem na życie.

Wiele miejsca w dyskusji poświęcono sprawom młodzieży. Młodzi ludzie sami muszą chcieć angażować się w pracy społecznej, nie można ich do tego zmusić. Sami też muszą chcieć zostać Polakami, a nie tylko Europejczykami. Ogromne znaczenie ma tutaj rodzina i wychowanie, równie ważna jest rola szkoły, przykład rodziców i nauczycieli.

Przy Radzie Polaków powstała Komisja Młodzieży, która opracowała dwunastopunktowy program. Jednym z punktów tego programu była ankieta, przeprowadzona w polskich klasach szkół średnich. 150 osób odpowiadało na pytanie czy młodzież chce mieć swoją organizację. Wyniki są dokładnie opracowywane. Na razie wiadomo, że około 60 procent ankietowanych opowiedziało się za. Jednak aż 90 procent chętnie weźmie udział w imprezach, byle sami nie musieli niczego organizować.

Na spotkaniu w Klubie Propozycji mówiono jeszcze o innych zadaniach Rady Polaków, o stosunku Kongresu Polaków i PZKO, o Komitecie Obwodowym i Komitecie Gminnym. Mnóstwo tematów pozostało na następne spotkania. Szkoda tylko, że z możliwości dyskusji skorzystało tylko kilkanaście osób.

C.R.

WSPÓŁPRACA ZE SZKOŁAMI

Podczas marcowego zebrania zarządu skrzeczońskiego Miejscowego Koła PZKO przeprowadzono ocenę wzajemnie korzystnej współpracy Koła z dolnolutyńską i bogumińską szkołą.

W ubiegłym roku podczas festynu zorganizowanego przez Koło przedszkolacy z Lutyni Dolnej wystąpili w tańcu krakowskim oraz w scence o Rumcajsie, Hance i Cypisku. Podczas wigi-

lijki w Kole dolnolutyńscy harcerze zaprezentowali okolicznościowy montaż wierszy i piosenek. Przedstawiciele Koła uczestniczyli w obchodach 90-lecia istnienia bogumińskiej szkoły, w ramach których uczniowie wystawili sztukę Benedykta Hertza „Trzewiczki szczęścia", wyreżyserowaną przez dyrektorkę szkoły Marię Sładeczek. Już tradycyjnie w skrzeczońskim Domu PZKO podczas zbiórki harcerskiej dolnolutyńskiego szczepu zorganizowano rozgrywki w tenisie stołowym. Ponadto członkowie Koła zrzeszeni w Kole Macierzy Szkolnej pomagali przy organizowaniu akcji szkolnych i brali udział w pracach porządkowych.

Dyrektorka dolnolutyńskiej szkoły mgr Alicja Berki zaznajomiła członków zarządu Koła z bieżącą sytuacją szkoły. Postanowiono poszerzyć współpracę poprzez wspólne spotkania zarządu Koła Macierzy Szkolnej z poszczególnymi zarządami okolicznych pezetkaowskich Kół. D.G.

WIELKANOC – WYSTAWA MK PZKO ŁYŻBICE-WIEŚ

Liczące około 200 członków MK PZKO Trzyniec Łyżbice-Wieś ma dzięki przychylności miejscowych władz swoją świetlicę w dawnej polskiej szkole. Tu spotykają się członkowie Miejscowego Koła na wieczorach przy świecach oraz wystawach. Świetlica, choć nie jest duża, posiada scenę i małe zaplecze kuchenne, a wszystko za sprawą pezetkaowców, którzy od kilkudziesięciu lat systematycznie modernizują swoją siedzibę. Koło może się szczycić kroniką, chronologicznie dokumentującą jego działal-

ność, nie tylko szczegółowymi opisami wydarzeń z życia Koła, ale także wiadomościami na temat życia całej polskiej społeczności na Zaolziu. Kronika dodatkowo jest bogato ilustrowana i dokumentowana fotografiami. Obecnie od kilku lat prowadzi ją Jarosława Jursa, poprzednio równie starannie czyniła to żona prezesa Miejscowego Koła Tadeusza Supika.

W dniach od 27 do 29 marca po raz drugi w historii Koła, głównie dzięki staraniom Klubu Kobiet z przewodniczącą Hanią Sikorową na czele, w świetlicy miała miejsce wystawa pod nazwą Wielkanoc. Tłumnie oglądali ją Zaolziacy. A było co podziwiać. Na kilkunastu stołach przygotowano wielkanocne ozdoby zgodnie z naszą tradycją. A więc były pięknie haftowane przez członkinie Klubu obrusy i serwetki z wielkanocnymi ornamentami, kompozycje wiosennych kwiatów i bazi, pisanki wykonane najróżniejszymi technikami, baranki, babki, ozdobne pierniczki w kształcie zajączków i jaj. Na miejscu można było spróbować wielkanocnych wypieków. Wystawa cieszyła się olbrzymim powodzeniem, w ciągu soboty i niedzieli zwiedziło ją ponad 400 osób. Widać wyraźnie, że takie wystawy są potrzebne, chyba najbardziej młodszym, by zaczerpnąć wzory przygotowania wielkanocnego stołu zgodnie z tradycją.

E.S.

TRADYCJE WIELKANOCNE W CZESKIM CIESZYNIE

Podobną wystawę jak ta, która odbyła się w Łyżbicach zorganizowały panie z Klubu Kobiet przy MK PZKO Czeski Cieszyn Park Sikory. I tu zgromadzono własnoręcznie haftowane piękne obrusy, wielkanocne domowe wypieki – babki, baranki, pier-

niczki. A wszystko zostało przybrane wiosenną zielenią. Zwiedzających witał prezes Miejscowego Koła Bogdan Bubik i przewodnicząca działającego przy Kole Klubu Kobiet Jadwiga Kluz. Koło liczy aktualnie 160 członków, oczywiście tych aktywnie działających jest znacznie mniej. Wystawę zorganizowano po raz pierwszy i naprawdę było co podziwiać, toteż mamy nadzieję, że w przyszłym roku znów będzie można podpatrzyć, jak przygotować w zgodzie z tradycją wielkanocny stół. Wielka szkoda, że tak mało było zwiedzających, mimo informacji zamieszczonej na łamach Głosu Ludu. Niestety to cieszyńska specyfika, nie dość że mało osób pracuje społecznie dla dobra całej miejscowej polskiej społeczności, to jeszcze na dodatek nie udzielająca się większość nawet nie znajduje czasu na obejrzenie pracy mniejszości. Nie tędy wiedzie nasza przyszłość. E.S.

KONGRES RUCHU POLITYCZNEGO WSPÓLNOTA

27 marca odbył się w Czeskim Cieszynie kongres Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota. Oprócz działaczy Polskiej Sekcji Narodowej w kongresie wzięli również udział członkowie Węgierskiej Sekcji Narodowej. Z zaproszonych gości na kongres przybyli senatorowie Emil Škrabiš (KDU-ČSL) i Antonín Petráš (KSČM), konsul RP w Ostrawie Piotr Szwarc i przedstawiciele Koła Polskich Kombatantów.

Przewodniczący Stanisław Gawlik przedstawił ocenę działalności Ruchu za ostatnie dwa lata oraz omówił strategię wyborczą przed tegorocznymi wyborami parlamentarnymi, senackimi i komunalnymi.

Delegaci przyjęli sprawozdania sekcji polskiej i węgierskiej oraz uchwalili tekst petycji w sprawie ochrony praw mniejszości narodowych, która zostanie wysłana do parlamentu RC.

Delegaci wybrali w głosowaniu jawnym 24-osobową Radę Republikową, 3-osobową Komisję Rewizyjną i 3-osobowy Sąd Rozjemczy. Przewodniczącym Wspólnoty został ponownie wybrany Stanisław Gawlik. Skład nowej Rady Republikowej przedstawia się następująco: Władysław Bura, Józef Chmiel, Władysław Drong, Władysław Gałuszka, Stanisław Gawlik, Bogdan Hajduk, Marian Janas, Bogusław Kaleta, Eugeniusz Kiedroń, Ladislav Kocsis, Alfred Kołorz, Józef Kula, Edwin Macura, Klára Michutová, Ferenc Monuš, Władysław Niedoba, Józef Pietrus, Jan Sikora, Władysław Sztebel, Jan Szymik, Tadeusz Toman, Vasil Vaník, Piotr Żabiński. Członkami Komisji Rewizyjnej są Władysław Buda, Emil Sztabla, Bogusław Wróbel, a członkami Sądu Rozjemczego Rudolf Fronc, Witold Chmiel i Władysław Milerski. T.T.

WIECZÓR KUBISZOWSKI W TRZYŃCU-OSÓWKACH

W sobotę 28 marca Koło PZKO Trzyniec-Osówki zorganizowało imprezę z okazji 150-lecia urodzin nauczyciela, poety i działacza społecznego. Jan Kubisz urodził się w Końskiej (miejsce to, jak wiele innych pochłonęła Huta Trzyniecka) w roku 1848. Po studiach aż do śmierci (1929) mieszkał w Gnojniku. W roku 1928 Towarzystwo Ewangelickie w Cieszynie wydało najbardziej znaną jego książkę „Pamiętnik starego nauczyciela". Dwa lata temu ukazało się jej wznowienie. Książkę mogli zakupić uczestnicy kubiszowskiego wieczoru w Końskiej. Program kulturalny, poświęcony postaci twórcy dwu najpopularniejszych pieśni na Zaolziu „Ojcowskiego domu" i „Płyniesz Olzo", przygotował chór Zgoda pod kierownictwem Ireny Małysz. T.T.

PRELEKCJA O HIMALAJSKIEJ EKSPEDYCJI

29 marca odbyła się w Karwinie-Starym Mieście prelekcja „Ekspedycja Himalaje 1997". Miejscowe Koło PZKO współpracuje z alpinistami z Klubu Sportowego Banik 1 Maj Karwina. 12 członków sekcji zorganizowało w dniach od 1 września do 23 października 1997 ekspedycję w Himalaje, której celem miał być szczyt Makalu II (7640 m npm). Szczytu nie udało się osiągnąć, wyprawa dotarła do wysokości 7300 m npm.

Prelegentem był Wiesław Chrząszcz, jeden z uczestników wyprawy. Pokazał zebranym ciekawe przeźrocza z Nepalu oraz zdjęcia ilustrujące wysokogórską wspinaczkę.

Wyprawa odbyła się tylko dzięki licznym sponsorom. Jednym z nich był również ZG PZKO.

T.T.

foto w Kronice FRANCISZEK BAŁON

MÓJ TATA OPOWIADALI

U nas w Starym Mieście kole roku 1888 był jedyn siedlok, nazywoł sie Zejchow. Był aji fojtym. U niego słóżyli za pachołka mój tata. Tej gaździnej mówili mój tata paniczko. Ten Zejchow mioł jednego syna Alfonca i chowanke Lynke. Słóżyła też tam dziywka, pogónicz i pastyrz. Fszyscy jedli przi jednym stole. Lenka warziła na rano wodzionke, na połednie polywke, a na wieczór polyweczke. Było to jedno a to same, jyny to inaczy nazywali. Nikiedy też mieli fazole s kiszkóm, a na wielki święta żymłe z mlykym.

Mój tata sie tam okropnie urobili, bo wszysko obili musioł zesiyc pachołek, nikiedy szli siyc aji o drugij po północy, aby jak bydzie nejbardzi przipiykać, mógli sie troche spocznóć. Na wożyni nie było czasu, bo siykli. A jak sie mroczyło, to Zejchow dycki groził do nieba, a klón, a jak uż to dostali do stodoły, to młócili we sztwiórke: tata, pogónicz, dziywka a Lynka. To młócili całóm zime. Tata prawili, jak ich oziąbało w nogi, to sie aji zatańcowali na gumnie. Ale dobrze młócili. Roz przyszła do stodoły Zejchowka, trepała słómóm czy dobrze wymłócili i wytrepała pore zorneczek. A wtym szoł kole stodoły jedyn gazda, nazywoł sie Grzonka, mówili mu chromy Grzonka, bo troche chromoł, a ta Zejchowka zaczyna wrzeszczeć, że do jodła to ja, jyny do roboty to ni. Dziywka sie rozbeczała, a taty to mierziało, że im to tak mówiła. Tak sie domówili, że nie pujdóm jeść, jyny posłali pastyrza do Najmana. Dali mu piniondze, aby przinióś żymły a tworużek, aji achtliczek. Tak se pojedli, a popili, a potem bili cepami o sto sześć. I Zejchowce nic nie zrobili, bo nie jedli, a swoji piniondze udali. I szeł do ni jedyn siedlok, nazywoł sie Szweda Francek, tak mu Zejchowka mówiła: słyszycie mojóm czelać, jak bijóm cepami. Nie jedzóm, ale młócom porzóndnie.

Piyrwej siedlocy mieli ty chowanki, ale óny jeszcze miały gorszy niż dziywki, bo sie im nie chcieli dać ani galanić, ani wydać. U Zejchowa ta Lynka była szykowno i miała galana. Jyny se s nim ni mógła nigdy pomówić. A czelotka spała w lecie na górze, tak tyn galan od tej Lynki mignół wieczór na góre niż było pozamykane. Ale gorszy było potym dudómu. Jak było kole dziesiątej, przizsła Lynka ku tatowi: co teraz bydóm robić, jak paniczka majóm klucze. Tata wziyni dwie słómy, zawiązali galana do nich, ściągli dobrze porwóśłami i spuścili szłopcym na ziym. Rano jak brali słóme kóniom, to była jyny troche roztrzepano.

U Zejchowa był też jedyn chłop, nazywoł sie Łasztówka Hańdryszek. Mówioł Zejchowce ciotuszko, bo to była jakosi rodzina. Tata dycki opowiadali o nim, jaki to był borok. Był nimocny, bo nie poradził udzierżeć na stróne, robił to nogawicami. Możne że był przeziąbiony, ale żołądek mioł bardzo dobry, bo mu wszysko szmakowało. Jak sie nie mył, tak go aji ciotuszka kijym bili. Tyn

Łasztówka mioł jeszcze dwóch bratów: Hanys i Francek. Tego Francka jeszcze jo pamiyntóm, miyszkoł ze swojóm babóm w budelu przi dworze. Cera mu poszła do Ameryki, a syn był we Starem Mieście, wybudowoł se chałupe przi krziżu w bolszewickij koloniji. Ojciec tych Łasztówków był bogaty. To pole przi dworze na prawej stronie, to mu patrzyło. To pole nazywali dłógo Łasztówkowice. On mioł okropne szczęści grać na lutryji. Tata mówili, że roz wygroł 3/4 lutryje, tak musioł być dość chytry. Jyny ci jego synowie chytrzi nie byli.

Tak tego Hańdryszka miała ta Zejchowka. Biydnie chodził obleczony, każdy od niego uciekoł, że go było czuć. Ale jak Hańdryszkowi dochodziły 24 roki, to Zejchowka posłała po Kucharczyka, to był krawiec we Starym Mieście, aby mu uszył piekne szaty, po Harazima, to był szewc we Starym Mieście, aby uszył piekne bóty madledrówki. Jak to ci majstrzi poprzinoszali, to na drugi dziyń Zejchowka mówiła tatowi: Francek, zaprzągnij konie, a pojadymy z Hańdryszkym do Cieszyna. Tata prawili, że tyn był taki wymigany. Zejchowka mu kozała siednoć wedle siebie. Ani nie muwiła, że go czuć. I jechali do Cieszyna. Jak przijechali ku kasie, Zejchowka kozała tatowi dać konie do masztale, że pujdzie tata śnimi, że bydzie za światka. Jak wlyźli do kasy, tata prawili, że tam był taki wielki stół. Kozali sie im siednóć, a tyn pan prawiół: Tak, panie Łasztówka, dostanie dzisio ty piniondze. Zaczyni rachować, a ukłodać ty papiurki na ten wielki stół, tak ten stół był pełny. Tata prawili, że tela piniędzy jeszcze nigdy nie widzieli. Jak jusz to było wszysko wyrachowane, tak ten pan prawiół: Tak, panie Łasztówka, to sie wszysko weznóm, to jest jejich. A on prawioł: Ciotuszko, to se weznóm, bo co bych jo s tym robił. A Zejchowka miała koszyk, tak to wszysko pozgrzybała do tego koszyka. Tata prawili, że był pełny. I potym przyjechali do Starego Miasta. A w tyn dziyń była u Mikszana muzyka. Tak Zejchowka dała 7 ryńskich Hańdryszkowi, a prawiła mu: Tak, Hańdryszku, tu mosz, a idź se też dzisio zatańcować, abyś też wiedzioł, żeś dostoł piniondze. I Hańdryszek szoł z mojim tatóm ku tej muzyce. Po chodniku mu tata prawili: Na, Hańdryszku, kieś je taki bogaty, dej mi tesz co, bo jo nimóm nic. I Hańdryszek im doł 2 ryński. Jak przisziłi ku tej muzyce, ta Łasztówka płacół muzykantóm i pić dowoł każdymu i baby szły snim tańcować. Nie trwało to dłógo, a Hańdryszek przyszeł ku tatowi, aby mu doł ty dwa ryński, że już nimo nic. Tata prawili, aż idzie do ciotuszki, że mo jego piniędzy pełny koszyk. I Hańdryszek szoł i chcioł piniondze. Ale Zejchowka wziyna na niego mietłym, a wrzeszczała i biła: Tu mosz piniondze! Tu mosz! Tu mosz! I tak Hańdryszek zustoł zaś biydokem.

Moja mama też tam wyrobiali u tych Zejchowów i tak ich tam tata poznali. I prawili Zejchowce, że sie im ta Madlyna podobo. I Zejchowka posłała po starzika a po mame i zawołała taty, i prawiła im: No, Francku, podobo ci sie ta Madlyna? Toć! Dydź je szykowno! A ty Madlyno? Podobo ci sie tyn Francek? Na toć, dydź je szykowny! Tak se podejcie ręce, prawiła Zejchowka. A uż sie domówili ze starzikem o wiesielu. Zejchowka nie dała tatowi nic, bo była okropnie łakomo. Jak tata szli ku św. piyrzmowaniu, to se napytali Zejchowa za podka. Tak sie ich pyto Zejchowka, co im mo kupić na pamiątke. Tata ji nie prawili nic. Tak im prawiła, że im kupi to, co majom radzi. I kupiła im fajwke. To wiesieli umowili na 28 lutego, a tatowi dochodziły roki 7 marca, tak musieli jechać do Cieszyna po papiury, bo im chybiało do sztyradwacet roków jeszcze 9 dni.

Kołocze se już piykły, jak tata jechali do tego Cieszyna na bryczce po ty papiury. Jyny jak tam przziszli do tego urzędu, a powiedzieli, co chcom, to im ci urzędnicy nadali do smarkoczy, że nimajóm swojich roków, że sie im żyniaczki zachciywo. I tata jechali na spadek do chałupy. Jak ich mama widzieli, to z daleka wołali na nich: Francek, mosz papiury? Oni prawili, że ni. Mama sie starali, bo se wszysko przyprawiało. Jak sie to Zejchow dowiedzioł, tak prawiół tatowi: Jutro pojadymy społem do tego Cieszyna. Jak tam na drugi dzień przyjechali, tak urzędnicy skokali kole stołów, a Zejchowa witali, ręke mu dowali, a papiury zaroz pisali. A mówili, że zaroz pan Zubek mioł prawić, że jest od pana Zejchowa.

Tata okropnie radzi tańcowali, jak jeszcze byli swobodni. Roz opowiadali, że cały tydzień siykli, a wieczór cały tydzień tańcowali. W niedziele a w pędziałek było wiesieli, we wtorek a we strzode też było wiesieli u Szpandla, a we czwortek była placówka, tak sie 5 dni tańcowało. A w piątek była przerwa. Tata prawili, jak leżeli na górze, że im w głowie tak huczało. Jak Harakim na basie wytrębowoł, tak im też to tak w głowie huczało hu hu hu hu... Tak se prawili, że uż tego muszą niechać, aby jeszcze nie zgłupli.

Starziczek nazywoł sie Piszczek. Był chłop biydny, ale grejcar jakisi mieli schowany, robili na szachcie Franciszce jako hawiyrz. Zrobili mamie dość piekne wiesieli. Potym tata szli do roboty. Zejchow im napisoł pismo. Musiało być dość dobre, bo sie ich tyn pan, co ich przzijimoł do roboty, pytoł czy chcom iść ku koniom, czy na szachte abo na koksownie. Tata se wybrali to ostatni, a przerobili tam trzicetpięć roków.

A Zejchow jusz we Starym Mieście przedowoł grąd. Bo se wystawił wile we Frysztocie. Roz na koksowni prawiół jedyn kamrat tatowi, że by sie tu chcioł postawić chałupe kaj bliży szachty. Tata go zakludzili do Zejchowa, aby mu przedoł kąsek pola. Zejchow mu przedoł na glinie wedle rymizy, kaj dzisio jest postawiony Stalingrad. I chłop zaczón budować, piyrsze stodołe. Przziwióz to z Haźlachu. Bo tam miyszkoł. Była gotowo, jyny jóm słożył. Jak sie to dowiedzioł grow Larysz, tak zawołoł tego chłopa i Zejchowke i prawił tymu chłopu, że mu do rostela piniędzy, jak on doł Zejchowce, i stodołe mu zawiezóm na spadek do Haźlacha. I chłop natym przzistoł. Dycki dziękowoł tatowi, że dobrze zarobiół. I tak całe Zejchowowice dostoł grof. Oni sie nie chcieli dać żodnymu postawić na glinie, bo tam było moc zwierzyny, tak sie boli, że im tam bydóm raupszykować.

Jak se wykludzili Zejchowowie do Miasta, to Hańdryszek sie dostoł do jednego siedloka do Dziecimorowic. I chłopi tatowi mowili na szachcie, że tyn siedlok sie ze Zejchowym sądził o tyn majątek Hańdryszków. Jyny że to przegroł, bo Zejchow mioł syna Alfonca, a tyn był wysztudyrowany za adwokata. Jako młody przzikludził roz galanke do chałupy. To było jeszcze we Starem Mieście. Była to wiydynioczka. Jak jedli, to ona jadła po pańsku, bardzo sie zgibała głowóm do miski. A Zejchowka ta za niom stoła, a groziła ji pięściom nad głowom, bo ona to okropnie nierada widziała. U ni musioł przzi jodle prosto siedzieć. Potem sie ten pan Alfonc wzión tom wiydynioczke i miyszkali we Frysztocie. Jyny mu moc piła wina.

Jozef

Tekst sponsorowany

BIURO PODRÓŻY SLESTOUR DLA WSZYSTKICH

SLESTOUR to jedno z pierwszych prywatnych biur podróży w Czechosłowacji, które rozpoczęło swą działalność w roku 1990. Od początku sprawą priorytetową dla istnienia biura są kontakty z Polską. W pierwszych latach działalności były to przyjazdy dzieci z Polski na kolonie do Czechosłowacji. Od roku 1993 biuro organizuje pobyt czeskich turystów nad Bałtykiem i na Mazurach. Obecnie za pośrednictwem biura do Polski rocznie wyjeżdża około 2000 czeskich turystów. SLESTOUR wydaje w okazałej szacie graficznej katalogi własnych propozycji wczasowych. Od roku 1993 bierze również udział we wszystkich największych targach turystycznych w Republice Czeskiej i w Polsce (Brno, Praga, Poznań, Warszawa, Bielsko-Biała), propagując Polskę w Republice Czeskiej i Republikę Czeską w Polsce.

Henryk Cieślar, właściciel biura podróży SLESTOUR, określił swe działania następująco: *Nasze usługi są przygotowane dla grup obywateli o średnich i niższych dochodach. Obecnie obserwujemy mniejsze zainteresowanie wyjazdami na zachód Europy. Powodem jest bariera językowa, odczuwalna szczególnie przez generację w średnim wieku, jak również poczucie bycia „ubogim krewnym" w trakcie pobytu we Włoszech, Francji, Hiszpanii czy Niemczech. W Polsce bariera językowa nie istnieje, a ceny są tylko nieznacznie wyższe niż nasze.*

Poza tym podstawowym plusem pobytu nad polskim morzem, co uświadamiają sobie szczególnie rodzice wyjeżdżający z dziećmi, jest ilość jodu w powietrzu nad Bałtykiem, nieporównywalnie wyższa niż gdziekolwiek indziej. Pobyt nad polskim morzem ma szczególne znaczenie dla dzieci z Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego. Kuracja jodowa działa leczniczo i prewencyjnie na wszelkie choroby dróg oddechowych.

Z aktualnych propozycji SLESTOURU warto wymienić:

Pobyty nad Bałtykiem - tygodniowy pobyt w pensjonacie w Jastrzębiej Górze w cenie od 2450 do 7950 Kč od osoby w luksusowym hotelu Slavia w Międzyzdrojach.

Pobyty nad jeziorami - od ubiegłego roku biuro promuje Pojezierze Lubuskie (zachodnia Polska). I w tym roku ma w swej ofercie ośrodek wczasowy w Lubniewicach, ulokowany w lesie sosnowym tuż nad jeziorem połączonym z następnymi dwoma w kilkusethektarową płaszczyznę wodną. Na miejscu możliwość uprawiania sportów wodnych, raj dla wędkarzy. Tygodniowy pobyt z pełnymi usługami 4250 Kč.

Turystyczny przebój lata 1998 z katalogu SLESTOURU to francuska Korsyka, wyspa na wymarzone wczasy. Wspaniałe wybrzeże, możliwość korzystania z wszelkich sportów wodnych, łącznie z nurkowaniem, oraz uprawiania turystyki wysokogórskiej (szczyty o wysokości 2500 m) z aktrakcyjnymi głębokimi kanionami dzikich rzek.

SLESTOUR serdecznie zaprasza wszystkich zainteresowanych do biura przy ulicy Strzelniczej 18 w Czeskim Cieszynie od poniedziałku do piątku w godzinach 9.00 - 17.00 i w soboty 10.00 - 13.00.

W roku bieżącym Biuro Podróży SLESTOUR w przeddzień największych targów turystycznych Holiday Word w Pradze otworzyło podwoje swej placówki w stolicy RC w dzielnicy Vinohrady przy ulicy U vodárny 14.

KRZYŻÓWKA

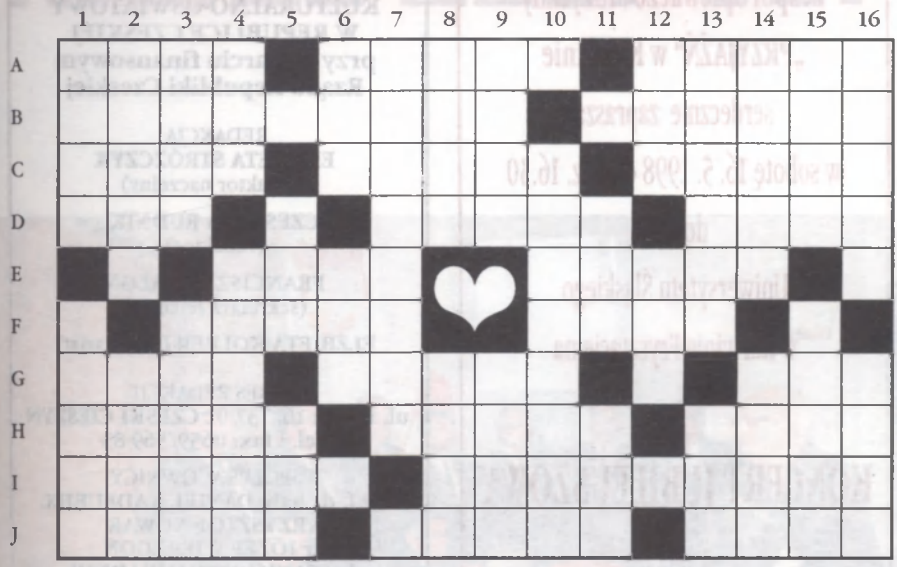

POZIOMO: A. Łajdak, niegodziwiec: miasto przy ujściu Słupii do Bałtyku; gromada psów myśliwskich. **B.** Błona surowicza obejmująca serce kręgowców; tytuł tygodnika wychodzącego w RC. **C.** Fabryka czekolady w Ołomuńcu; sól kwasu octowego; turystyczna atrakcja Moskwy. **D.** Dawna nazwa miasta Turku; czarny pas lub sznur noszony przez chrześcijan w Turcji; lewy dopływ Dunaju. **E.** Odgłos; kontur. **F.** Dawna złota moneta; syn syna. **G.** Rzymski Eros; nogi zająca; miesiąc roku kalendarzowego. **H.** Jednostka podziału administracyjnego Grecji; opryszek, rzezimieszek; nazwa sieci supermarketów w RC. **I.** Dawniej rodzaj kołnierza marszczonego; cesarz rzymski (378-408). **J.** Imię Pawlasa; rzeka na południu Francji; stolica Styrii.

PIONOWO: 1. Wierzba szara; głos prowadzący melodię. **2.** Persona; ssak morski. **3.** Bibliotekarz i sekretarz Cycerona; mały dom. **4.** Matka Zeusa; część świata. **5.** Humanista i poeta łaciński pochodzenia szwajcarskiego; produkt z mleka. **6.** Część kończyny dolnej; reżyser filmowy (Wojciech Jerzy). **7.** Służy do zamiatania lub czyszczenia. **8.** Josip Broz; intensywne karmienie, tuczenie. **9.** Aktor angielski (Edmund, 1787-1833); mały wyścigowy samochód jednoosobowy. **10.** Miano. **11.** Rugianin; współzałożyciel filomatów (Tomasz). **12.** Znane uzdrowisko w Belgii; była między innymi Halicko-Wołyńska i Kijowska. **13.** Lekkoduch, modniś; rosyjski samolot bojowy. **14.** Polskie biuro podróży; mieszkaniec Mauretanii. **15.** Rodzaj wybrzeża morskiego; czeski elektrotechnik (František). **16.** Poeta perski (anagram wyrazu TATRA); muzyka improwizowana.

Wyrazy trudne: ECK, JANSA, TREPEL, ZONAR.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - złotą myśl Demokryta - dadzą litery w następujących kratkach: A-9, F-7, B-1, J-11, D-14, J-3, A-2, J-13, H-4, C-10, B-13, I-3, G-7, A-14, D-13, E-6, I-8, A-7, H-16, G-2, F-11, B-8, E-5, C-1, E-13, G-16, B-4, F-15, H-1, G-10, B-9, E-10, J-15, H-11, D-9, F-6, H-13, B-15, A-1, C-6, G-12, F-1, I-13. (taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca miesiąca maja.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru marcowego:
Hasło: **Co po nogle, to po dioble**
Nagrody książkowe wylosowali: **Roman Folwarczny** - Cz. Cieszyn-Mosty
Jan Drobisz - Cz. Cieszyn
Małgorzata Wygrys - Olbrachcice

Przepraszamy za usterkę techniczną w krzyżówce. Mimo trudności nadeszło dużo prawidłowych rozwiązań, za co serdecznie Naszym Czytelnikom dziękujemy. Redakcja

Zespół Śpiewaczo-Muzyczny
„PRZYJAŹŃ" w Karwinie
serdecznie zaprasza
w sobotę 16. 5. 1998 o godz. 16.30
do auli
Uniwersytetu Śląskiego
w Karwinie-Frysztacie na

KONCERT JUBILEUSZOWY

z okazji 40-lecia
założenia zespołu „Przyjaźń"
oraz 45-lecia działalności dyrygenckiej
dr. Józefa Wierzgonia

W programie koncertu wystąpią:
chór, orkiestra oraz soliści
Olga Suchanek
Adelajda Szymik
i Władysław Czepiec

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

NASZE ZESPOŁY

GAMA

Kameralny Zespół wokalno-instrumentalny „Gama" powstał 11 maja 1953 roku przy Miejscowym Kole PZKO w Suchej Górnej. Nikt chyba z pierwszych jego członków (Kajzar, Janeczek, Demel, Mec, Tomiczek, Taraba, dr Mackowski, Buława oraz pierwszy kierownik Kaim) nie pomyślał wtedy, że powstał zespół, który śpiewać będzie tak wiele lat. W roku bieżącym Gama obchodzi 45-lecie swego istnienia. Należy do zespołów pracowitych i ambitnych, który potrafi pozyskać sympatię nie tylko zaolziańskiej publiczności. Kolejno kierownikami artystycznymi byli: Edward Kaim, Marta Bury, dr Holoubek, Zygmunt Pietraszek, od wielu zaś lat Erich Paździora. Gamie i jej członkom przyznano najwyższe odznaczenia PZKO-wskie oraz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie. W zespole przewinęło się wiele twarzy; niecodzienny upór i wytrwałość oraz przeświadczenie o potrzebie istnienia tego rodzaju zespołu spowodowały, że Gama do dnia dzisiejszego swoim repertuarem popularno-rozrywkowym i dobrym wykonawstwem potrafi utrzymać kontakt ze słuchaczem i zauroczyć go swoim śpiewem.

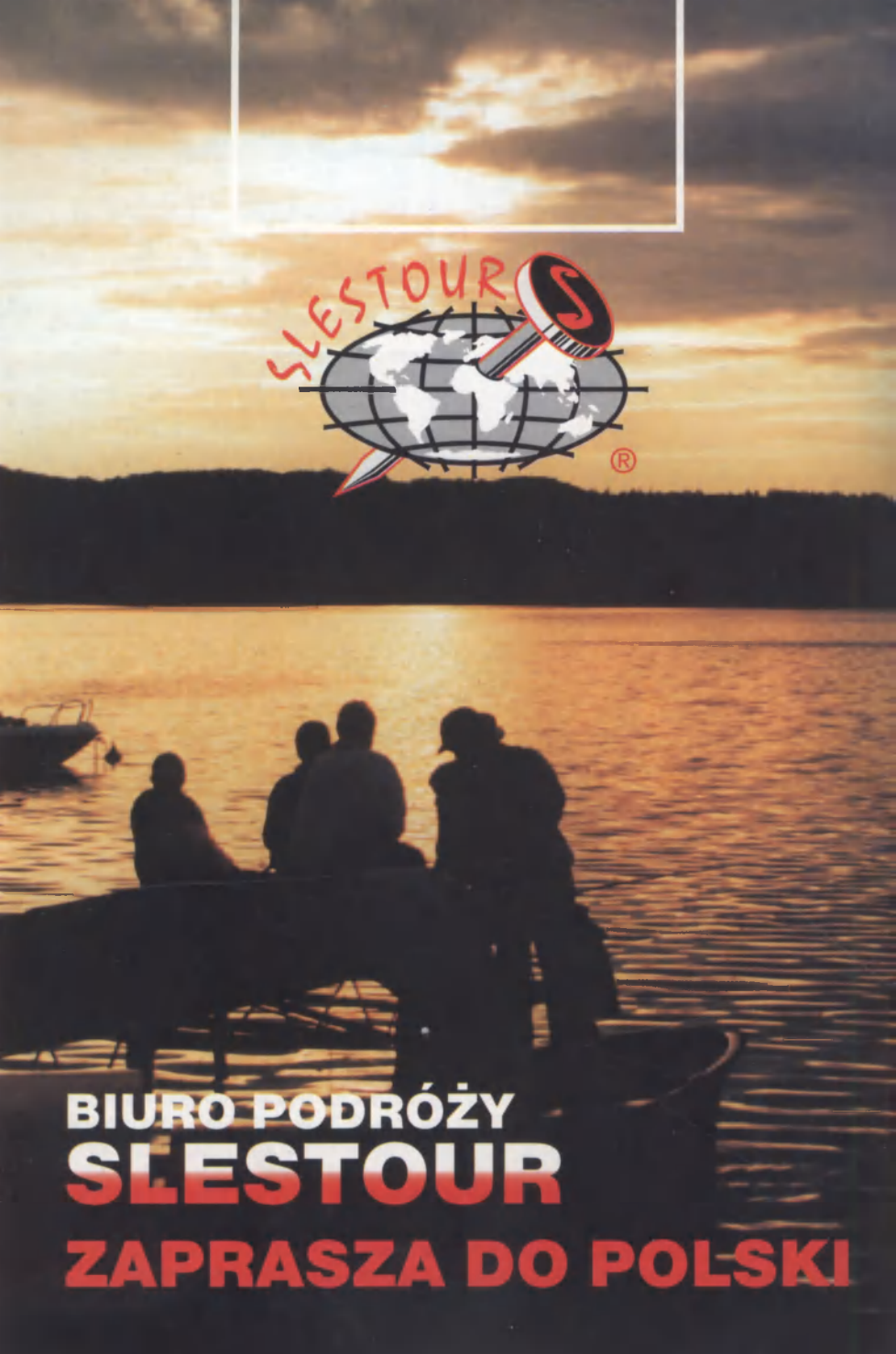
SLESTOUR
BIURO PODRÓŻY
SLESTOUR
ZAPRASZA DO POLSKI

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

6/98

IGRZYSKA SPORTOWE NASZYCH SZKÓŁ

TACY BYLIŚMY

Dzieci z polskiego przedszkola w Karwinie-Granicach w roku 1928. Kierowniczką ochronki była p. Kwiatkowska, jej zastępczynią p. Wronkówna, a pomocnicą p. Żdziebło. Właściciel fotografii p. Władysław Smolarz z Katowic jest jednym z dzieci uwiecznionych na niej. Na odwrotnej stronie fotografii widnieją własnoręczne podpisy podopiecznych ochronki, z całą pewnością wykonane wiele lat później. Niektóre z nich udało się odczytać: Ludwik Cupek, Kowalczyk, Machej, Wilhelm Grabowski, Władysław Smolarz, Waleria Stoklosińska, Lilka Świniarska, Waleria Hudeczkówna, Lolka Buławianka, Wanda Pietroniówna, Wilczkówna, Szczudówna.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 583 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

6/98

Książnica Cieszyńska

W NUMERZE

[3]	Wiersze o szkole Janusza Korczaka i Janusza Gaudyna	
[4]	Przedszkole nad Olzą	C. R.
[9]	Domowe przedszkole	C. R.
[12]	Moje przedszkole	C. R.
[15]	Szkoła dobrej sławy	CZESŁAWA RUDNIK
[19]	Jubileusz szkoły w Olbrachcicach	ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[21]	Harcerski rajd	C. R.
[24]	Karwińskie Polskie Gimnazjum w rodzinie Słowaków	C. R.
[26]	Co robimy w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie	E. S.
[28]	Pożegnania: Tadeusz Błanik	C. R.
[29]	Z działalności Sekcji Akademickiej Jedność	JAN SIKORA
[33]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (18)	ALOJZY NOWOK
[39]	Moje dorastanie do dojrzałości (6)	BOLESŁAW ORSZULIK
[44]	Co nowego w Czeskim Cieszynie i Kocobędzu	TADEUSZ TOMAN
[46]	Stylizacja i intertekstualność w poezji Renaty Putzlacher	LIBOR MARTINEK
[56]	Poezja Piotra Horzyka	
[58]	Wiesław Adam Berger – Z Barcelony do Mieszkowic	
[62]	Renata Putzlacher – Moje fascynacje	
[66]	Na półkach księgarskich	
[69]	Kronika	
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 18. 5. 1998

HEAD

JANUSZ KORCZAK

DO DOROSŁEGO CZYTELNIKA

Powiadacie:
nuży nas obcowanie z dziećmi.
Macie słuszność.
Mówicie:
– Bo musimy się zniżać do ich pojęć.
Zniżać, pochylać, naginać, kurczyć.
Mylicie się.
Nie to nas męczy. Ale to, że musimy się wspinać
do ich uczuć.
Wspinać, wyciągać, na palcach stawać, sięgać.
Żeby nie urazić.

JANUSZ GAUDYN

Szkoło
Twa ręka prowadzi
i zespala serca

Z siwizną lat
poznajemy życie
i ludzi

I wtedy
wracamy do ciebie
z nadzieją
i wdzięcznością
niewdzięcznych
kiedyś uczniów

fot. FRANCISZEK BAŁON

PRZEDSZKOLE NAD OLZĄ

Tylko kilkadziesiąt metrów dzieli od Olzy budynek Polskiego Przedszkola w Czeskim Cieszynie na ulicy Moskiewskiej. Tę bliskość wykorzystali przedszkolacy między innymi na końcu zimy, kiedy wrzucili do wody Marzannę, by popłynęła hen do morza i nie broniła Pani Wiośnie rozdawania barw, które mogły uszczęśliwić między innymi smutnego dotąd Motylka. Dzięki wypędzeniu Pani Zimy wszyscy mogli być weseli i kolorowo mieć na świecie.

„Moje przedszkole" – rys. TONI CAMFRULA

Powitanie wiosny to tylko jedna z wielu zabaw tematycznych, jakie przygotowują dla swoich małych podopiecznych nauczycielki przedszkola Henryka Heczko, Danuta Wacławik i Ewa Lípa wraz z dyrektorką Haliną Gaura. Wykorzystują do tego celu również rodzime tradycje ludowe, zwyczaje związane ze świętami, zjawiskami przyrody, porami roku. Dzieci cieszą się już i czekają z niecierpliwością na organizowane co roku akcje: Powitanie Pani Jesieni, Andrzejki, Spotkanie z Mikołajem, Uroczystość Choinkową, Dzień Babci i Dziadka, Balik Przedszkolny, Tłusty Czwartek, Powitanie Wiosny, Spotkanie z Zajączkiem, Dzień Matki, Festyn, Dzień Dziecka, wycieczkę czy uroczystość zakończenia roku szkolnego połączoną z pożegnaniem starszaków. Wychowawczynie starają się, by każdej akcji, każdej uroczystości nadać nazwę, którą dzieci łatwo zapamiętają. Dzieci włączają się też do licznych konkursów plastycznych, recytatorskich, muzycznych, tanecznych, folklorystycznych. Przedszkole zorganizowało kilka wystaw plastycznych: Dziecko-świat-fantazja, Świat w oczach dziecka, Dziecko i pokój, Ukochany kraj, Kolorowy świat. Bliskość granicznej Olzy i Polski tuż na jej drugim brzegu pomaga też w uczeniu dzieci polskości. Bo właśnie wychowanie dzieci w duchu patriotycznym kładą sobie za cel przedszkolanki z ulicy Moskiewskiej. A także to, by dzieci dobrze czuły się w przedszkolu. Służy temu miła rodzinna atmosfera.

W dobrej zabawie nie przeszkadza nawet ciasnota w dwóch pomieszczeniach, które mają do dyspozycji przedszkolaki, a które muszą służyć również jako jadalnia i sypialnia. Dzieci lubią swoje przedszkole, chętnie do niego przychodzą. Starszaki, z którymi rozmawiałam, mają różne dodatkowe zajęcia. Karty robocze, które wypełniają, służą im w przygotowaniu się do zajęć w szkole. Pani Denisa uczy ich angielskiego, pani Jadzia religii, wszyscy lubią pływanie, bo nikt nie boi się wody. Śpiewają w Cieszyniance, zespole śpiewaczym polskich przedszkoli w Czeskim Cieszynie – z ulicy Moskiewskiej, Akacjowej, Grabińskiej oraz z Sibicy, założo-

nym 14 grudnia 1974 roku, którym kieruje Maria Szymanik. Dzieci śpiewają, tańczą, recytują, ćwiczą. Ale najbardziej dzieci oczywiście lubią się bawić. W ogródku przedszkolnym czeka na nie piaskownica, przełaźnica, huśtawka. Można pohasać na trawie, pojeździć na rowerkach. Mniej zachwyca dzieci grzeczny spacerek nad Olzą. A najmniej cieszą się, kiedy trzeba spać po obiedzie. Każde dziecko ma swoje ulubione zabawy i zabawki. Bastek i Kamil lubią samochody i klocki. Klockami lubi bawić się też Tomek, który jednak na pierwszym miejscu stawia rysowanie. Rysować i malować lubi ponadto także Kamil, Toni i Maciuś. Toni i Maciuś chętnie oglądają książeczki, a Adaś najbardziej lubi śpiewać. Dziewczynki najchętniej bawią się lalkami. Lalki Barbie lubią Ewunia i Agatka, Adrianka poza tym również chętnie bawi się lalkami-dzidziusiami, krząta się w kuchence i gotuje dla lalek. Do przedszkola uczęszcza w tym roku 40 dzieci: 20 maluchów i 20 starszaków, w tym tylko 9 dziewczynek.

Wychowawczynie przedszkola bardzo pozytywnie oceniają

współpracę z rodzicami. Rodzice zaangażowani są w przygotowanie imprez, co dwa lata biorą udział w baliku przedszkolaków oraz w wycieczce w góry. Przy przedszkolu działa Czarodziejska Księga, zespół teatralny rodziców, który dwa razy w roku przygotowuje premiery bajek dla swoich dzieci.

Rodzice i wychowankowie wzięli też udział na równi z przedszkolakami w przedstawieniu „Król Bul" na deskach Teatru Cieszyńskiego, które stało się głównym punktem programu obchodów jubileuszu pięćdziesięciolecia przedszkola przy ulicy Moskiewskiej w piątek 15 maja. W bajce muzycznej według scenariusza Katarzyny Lengren w reżyserii Marii Szymanik, gdzie scenografię i kostiumy zaprojektowała Krystyna Klimsza, muzykę Stanisława Syrewicza zaaranżował i wykonał Zbigniew Glac, taniec małych dam i parady rycerzy do muzyki Zbigniewa Siwka wykonali właśnie przedszkolacy. Imprezę jubileuszową uświetnił też występ Cieszynianki, można było obejrzeć wystawę prac dzie-

cięcych. Zaś w sobotę 16 maja odbył się w ogrodzie przedszkolnym uroczysty Festyn Ogrodowy.

Uroczystości jubileuszowe przypadły prawie dokładnie w pięćdziesięciolecie przedszkola. Otwarcie jego nastąpiło bowiem 5 maja 1948 w budynku szkoły ludowej na ulicy Havlíčka. 8 września 1950 roku doszło do przeprowadzki przedszkola do budynku, w którym znajduje się do dziś. Przedszkole uzyskało samodzielność, najpierw jako jednooddziałowe, wkrótce z powodu dużej ilości dzieci rozszerzono je na dwa oddziały. Generalny remont przebiegł w latach 1983 - 1987, w tym czasie przedszkole mieściło się w lokalach zastępczych. Dyrektorkami samodzielnego przedszkola były: Ludmiła Raszyk, Wanda Adamus, Bronisława Guziur oraz od roku 1995 Halina Gaura.

Wśród życzeń składanych na ręce przedszkolanek w czasie jubileuszu najważniejsze wydaje się jedno: Oby nie zabrakło dzieci.

C.R.

fot. FRANCISZEK BAŁON

DOMOWE PRZEDSZKOLE

Na skraju Lesznej Dolnej, niedaleko innego polskiego przedszkola – w starym Trzyńcu, w poniemieckim piętrowym domu rodzinnym przycupnęło „domowe przedszkole". Tak właśnie nazywają przedszkole w Lesznej wychowankowie, rodzice i nauczycielki. Przekraczający jego progi gość czuje się tu trochę jak w mieszkaniu krasnoludków. Małe pokoiki a w nich miniłóżeczka, na wieszakach porozwieszane kolorowe piżamki. W innym pokoju znów mały tapczanik, stolik i krzesełka. W większym pomieszczeniu w kąciku mała kuchenka, do której prowadzą wahadłowe drzwi jak w filmach z Dzikiego Zachodu. Domowa atmosfera narzuca się już sama przez się.

Dzieci uczęszczające do tego przedszkola mają rodziców, którym się nie spieszy – mówią wychowawczynie przedszkola. Przyprowadzane są tu bowiem nie tylko dzieci z najbliższej okolicy. Niektórzy miejscy rodzice wolą nadłożyć drogi, by ich potomkowie znaleźli się chociaż przez część dnia na łonie przyrody. Przedszkole w Lesznej, mimo że niedaleko stąd do huty, usytuowane jest już jakby na wsi wśród domków rodzinnych i ogrodów. Dzieci korzystają nie tylko z ogródka przedszkolnego. Zbocza pobliskiej góry Jagodnej zapraszają na dłuższe spacery i wycieczki.

Przedszkole liczy w tej chwili 20 dzieci. Pięcioro z nich po wakacjach rozpocznie naukę w szkole. Od kilku lat ilość przedszkolaków utrzymuje się na tym samym poziomie, ale marzeniem przedszkolanek jest, by dzieci przybyło, by nie trzeba było martwić się o przyszłość przedszkola. Od roku 1988 dyrektorką przedszkola jest Maria Przywara, nauczycielką Danuta Sabela, tercjanką i pomocą do dzieci Helena Cienciała.

Codzienne zajęcia i zabawy przedszkolaków urozmaicane są okolicznościowymi imprezami i spotkaniami. Choinka, Dzień Babci, Dzień Matki, Bal Papuciowy, Festyn Przedszkolny, Smażenie Jajecznicy, Wyścigi Latawców, Pieczenie Placków to nazwy niektórych corocznych akcji. Przedszkole współpracuje z miejscowym Kołem PZKO, które pomaga organizować niektóre imprezy. W ramach poznawania zawodów organizowane są spotkania z pielęgniarką, hutnikiem, górnikiem. Od roku 1989 dzieci wyjeżdżają do „zielonej szkoły" w Beskidy. Były w Sałajce, podoba im się na Bagińcu.

Najbardziej cenią sobie przedszkolanki ofiarność i zaangażowanie rodziców. Bez ich pomocy życie przedszkola byłoby o wiele uboższe. Rodzice uczestniczą w przygotowaniu większych akcji przedszkola, w których biorą udział potem razem ze swymi dziećmi. Wychowawczy-

nie pragną, by rodzice również dobrze poznali się nawzajem. Temu celowi służy np. przygotowywany z myślą o rodzicach przedszkolaków Andrzejkowy Wieczór Zapoznawczy, Wieczór Wideo czy pogadanka z psychologiem.

Pomoc rodziców jest też przedszkolu potrzebna w tej chwili, kiedy trwają ostatnie przygotowania do jubileuszu pięćdziesięciolecia. Przedszkole obchodzi w tym roku właściwie podwójny jubileusz. Wzmianka o otwarciu pierwszej ochronki pochodzi bowiem z roku 1928, cztery lata po powstaniu Macierzy Szkolnej. Po drugiej wojnie światowej dzięki staraniom ówczesnego kierownika szkoły Józefa Stebla zaadaptowano dla potrzeb przedszkola budynek pod numerem 172. Otwarcie przedszkola nastąpiło 1 września 1948 roku. Pierwszą nauczycielką przedszkola została Maria Macura. Kierowała przedszkolem aż do końca roku 1966, do swego przejścia na emeryturę. Następne dyrektorki to Hilda Kornut (1967-1969), Krystyna Przyhoda (1969-1972), Herta Kubisz (1972-1975), Helena Harok (1975-1985), Anna Klus (1985-1988) i Maria Przywara - do dziś. W latach 1983-84 wykonano remont kapitalny budynku. Dziś przedszkole przygotowuje się do jubileuszowego festynu, który odbędzie się 20 czerwca i na który zaproszeni są wszyscy, którzy lubią przedszkole w Lesznej.

C.R.

fot. FRANCISZEK BAŁON

MOJE PRZEDSZKOLE

W Karwinie-Frysztacie w piętrowym domu na ulicy Frysztackiej, domu, który zbudowany został przez niejakiego Gabzdyla w roku 1884, mieści się moje przedszkole. Piszę familiarnie - moje - bo tu prowadziła mnie kiedyś przez cztery lata moja mama i tu pod koniec lat osiemdziesiątych chodziły również moje dzieci. Przyznaję jednak, że niewiele utkwiło mi w pamięci z tych moich lat dziecinnych. Pamiętam jakiś festyn w Parku B. Němcovej, kiedy jeszcze scena znajdowała się pod zamkiem, a ławki zbudowane były na zboczu nad nią. Gdy przyprowadziłam do przedszkola swoje dzieci, wydało mi się, że od „moich" czasów właściwie nic się nie zmieniło. Toteż zaskoczona byłam zmianami, jakie dokonały się w budynku i ogródku w latach dziewięćdziesiątych.

Przedszkole frysztackie nigdy nie obchodziło jubileuszu. Nie ma kronik o początkach przedszkola, nie zachowały się materiały przedwojenne. Kiedy jednak miejscowa polska szkoła zaczęła przygotowania do jubileuszu osiemdziesięciolecia, a losy szkoły i przedszkola przez dziesięciolecia splatały się między innymi dzięki temu, że przed laty szkoła mieściła się w budynku dzisiejszego przedszkola, postanowiono i w przedszkolu znaleźć początki jego historii. W materiałach Archiwum Powiatowego w Karwinie odszukano wzmianki o powstaniu w roku 1918 we Frysztacie ochronki. Annały mówią o uroczystości gwiazdkowej, o festynie u pani Musiołkowej, o wycieczkach dzieci do Czarnego Lasu. Materiały z archiwum dowodzą, że przedszkole również może w tym roku obchodzić swoje osiemdziesięciolecie. Dołączy do uroczystości szkoły frysztackiej, 12 czerwca przedszkolaki przedstawią się na akademii w Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście, następnego dnia na festynie w ogrodzie szkolnym.

Przedszkole usytuowane jest w środku miasta, ale przylega do Parku B. Smetany. Przedszkolacy mogą spacerować po parku bez konieczności przechodzenia przez ruchliwe ulice. Obok w parku mieści się frysztacka szkoła i Dom PZKO. Dobrze układa się współpraca przedszkola ze szkołą i MK PZKO. Z sali w Domu PZKO korzysta przy urządzaniu balików przedszkolaków, festyny przygotowuje razem ze szkołą.

Wokół budynku przedszkola znajduje się ogród. Jeszcze kilka lat temu pomniejszony był o szpecący go drewniany barak. Barak ten miał również swoją długą historię, np. w latach 60. mieściły się tam dwie klasy szkoły podstawowej, potem służył jako świetlica pezetkaowska, wreszcie był magazynem. Po jego wyburzeniu można było odnowić ogródek. Dzięki pomocy rodziców, którzy sami ze swoich środków nawieźli zie-

mię, usypali mały pagórek, zasadzili drzewa, krzewy i kwiaty, wyremontowali urządzenia do zabaw, ogródek zmienił się nie do poznania.

Wielkie zmiany dokonały się też wewnątrz budynku przedszkola. Remont pomieszczeń, nawet wyburzenie ściany, zakupienie nowych mebli do sal zabaw sprawiły, że dzieci przebywają teraz wśród nowoczesnych sprzętów, mają do dyspozycji przestronne pomieszczenia.

Do dwu oddziałów przedszkola uczęszcza 32 dzieci w wieku od 2 do 6 lat. Wychowawczynie maluchów to Maria Liszok i Jadwiga Pytlik, o starszaki troszczą się Halina Skwarło i dyrektor Elżbieta Gałuszka. Naczelnym hasłem przedszkola jest dbałość o wszechstronny rozwój dziecka.

Przedszkole frysztackie stara się przeplatać współczesność z tradycją. Częścią wychowania przedszkolnego jest zaznajamianie dzieci z przejawami kultury ludowej. Według cyklu opowiadań „Jak to kiedyś bywało" urządzane są dokopki, deptanie kapusty, jasełka, łuskaczki, doszkubki, zwyczaje świąt wielkanocnych, marzanna, wianki.

Dzieciom przybliża się też literaturę polską i zaolziańską. Tu zrodziła się myśl ponownego wydania „Cudownego chleba" Józefa Ondrusza, tu dzieci malowały ilustracje do tej książki. Kącik poświęcony autorowi „Godek śląskich" wraz z rysunkami dzieci zdobi przedszkole.

Dużo czasu poświęca się wychowaniu zdrowotnemu dzieci. Ćwiczenia na piłkach rehabilitacyjnych – przedszkole frysztackie wprowadziło

je jako pierwsze w Karwinie - pomagają podnosić kondycję fizyczną dzieci i jednocześnie sprawiają dzieciom dużo radości.

Przedszkole zakupiło dla dzieci flety, kurs gry na flecie przebiega pod hasłem: Wesołe gwizdanie - zdrowe oddychanie.

Poprzez udział w konkursach śpiewaczych, muzycznych, recytatorskich, plastycznych umożliwiony jest rozwój dzieci utalentowanych.

Dzieci osłuchują się też z językiem angielskim. Ćwiczą bajkową jogę. Poznają elementy kultury narodowej - przykładem może być bal pod nazwą Od Beskidów po Bałtyk. Od września ub. roku nauczycielka Halina Skwarło prowadzi poradnię logopedyczną.

W sali, która służy dzieciom do poobiedniego odpoczynku, znajduje się teatrzyk, a przed nim rozciąga się Lego-siowo. System Lego Dacta od pięciu lat stosowany jest w przedszkolu frysztackim. Przedszkole będzie w tym roku gospodarzem szkolenia powiatowego. Klocki Lego uczą i bawią dzieci frysztackiego przedszkola. Leguś, Legusia i Leguminek to ulubiona Legorodzinka, która towarzyszy przedszkolakom w zabawie i pilnuje, by dzieci nie gubiły klocków. Udaje im się to znakomicie, bo jak podkreśla wychowawczyni, klocki nie giną.

By odetchnąć innym powietrzem, dzieci wyjeżdżają do zielonej szkoły. Korzystają też z krótszych wycieczek w Beskidy. Niedługo czeka je taka wycieczka, dwudniowa, razem z rodzicami.

C.R.

fot. FRANCISZEK BAŁON

SZKOŁA DOBREJ SŁAWY

Pod takim tytułem ukazywały się biuletyny przygotowywane z okazji kolejnych jubileuszów Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie-Frysztacie. W czasie, kiedy czytelnik dostaje do rąk ten numer Zwrotu, zostają dopięte na ostatni guzik przygotowania do kolejnych uroczystości. W piątek 12 czerwca o godzinie 16.30 nauczyciele i uczniowie zapraszają do Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście na przedstawienie jubileuszowe, w sobotę 13 czerwca o godz. 14.00 do ogrodu szkolnego na festyn i spotkanie wychowanków, nazwane Bal Wspomnień. Szkoła frysztacka obchodzi bowiem w tym roku 80 lat.

Szkoła mieści się w budynku na tzw. Babiszowcu. Budowę gmachu szkolnego rozpoczęto w roku 1901. Wcześniej istniało we Frysztacie kilka szkół. Uczono w nich czytania, pisania, rachunków i śpiewu – po polsku. Uczono też niekiedy łaciny, języka niemieckiego, w okresie rozkwitu husytyzmu języka czeskiego. Napływ żywiołu niemieckiego spowodował przewagę języka niemieckiego we frysztackiej szkole miejskiej. Dwie lekcje polskiego tygodniowo miały wystarczyć do opanowania języka, którego używano na tym terenie na co dzień. Otwarciu polskiej wyłącznie szkoły sprzeciwiały się będące w rękach niemieckich władze miasta.

Około roku 1900 powstał we Frysztacie Polski Komitet Szkolny, w roku 1908 Koło Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego. Polski Komitet Szkolny zabiegał o otwarcie polskiej szkoły ludowej, a Macierz Szkolna polskiej szkoły wydziałowej. Od roku 1912 gromadzone były z dobrowolnych składek miejscowej ludności polskiej środki finansowe, w roku 1917 Polski Komitet Szkolny zakupił budynek przy ulicy Rajskiej (dziś Frysztackiej) i 16 września tego samego roku otwarta została nowa dwuklasowa Polska Szkoła Ludowa. Pierwszym kierownikiem był Józef Mucha, nauczyciel polskiej szkoły w Dąbrowie. Do szkoły zapisano 39 dziewcząt i 42 chłopców. W roku następnym pod naciskiem Polskiej Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego radni miasta zezwolili na otwarcie publicznej Polskiej Szkoły Wydziałowej we Frysztacie. 22 listopada 1922 roku Krajowa Rada Szkolna w Opawie wydała rozporządzenie, na mocy którego uznała z wsteczną ważnością od dnia 8 października 1919 roku istnienie Polskiej Szkoły Wydziałowej we Frysztacie. Pod zarządem państwa były tylko klasy 1 – 3, natomiast klasą czwartą opiekowała się Macierz Szkolna. Początkowo szkoła mieściła się we własnym budynku Macierzy Szkolnej, tam, gdzie dziś znajduje się polskie przedszkole, od roku 1922 dwie klasy przeniesiono do gmachu na Babiszowcu. Z tym budynkiem związane są też dzieje szkoły od roku 1945.

Dyrektorami szkoły od roku 1918 byli: Józef Mucha, Jan Chromik, Alojzy Kocjan, Karol Marosz, Jerzy Rusnok, Franciszek Chowaniec, Józef Kunz, Franciszek Buzek, Zbigniew Kocur, Janina Fierla (od roku 1990).

Damy dworu ze sztuki „Śpiący rycerze" wystawianej przez uczniów PSP Karwina-Frysztat 17. 3. 1971

Z dyrektor Janiną Fierlą rozmawiam o dniu dzisiejszym szkoły:

Szkoła frysztacka jest „zdrową" szkołą. Co oznacza ta nazwa?

W roku 1992 szkoła nasza została na podstawie projektu zaszeregowana do sieci tzw. zdrowych szkół w RC, ogółem w całym państwie jest około 50 takich szkół. Praca z dziećmi polega na specjalnym stosunku grona pedagogicznego do młodzieży, na wzajemnym zaufaniu. Nauczyciele muszą dbać o to, by dzieci nie stresować, by jak najwięcej pracować z nimi w szkole, do domu zadawać jak najmniej. W czasie przerw dzieci wychodzą na podwórze, mogą odetchnąć, wykrzyczeć się. Do tego projektu musiała dołączyć kuchnia i gotować według najnowszych zasad żywienia. Zdrowa szkoła uczy też pozytywnego stosunku do ekologii. Corocznie wysyłamy uczniów do tzw. ekoszkoły, gdzie przez tydzień prowadzą badania przyrodnicze i biorą udział w konkursach. W tym roku, tak samo jak w ubiegłym, nasz uczeń zajął drugie miejsce.

Ilu uczniów uczęszcza do Frysztatu?

Mamy w tej chwili 127 uczniów: 62 w klasach 1-5, 65 w klasach 6-9.

Szkoła posiada klasy łączone?

Od ubiegłego roku są na niższym stopniu klasy łączone, ponieważ według nowej ustawy na jedną klasę musi przypadać 17 uczniów. Ale ja widzę w tym nawet pewną korzyść. Kiedy nauczyciel pracuje z jedną klasą, druga musi pracować samodzielnie. Dzieci uczą się większej samodzielności.

fot. FRANCISZEK BALON

Obserwuję to w tym roku w szóstej klasie. Przedtem przez rok dzieci te chodziły do klasy łączonej. Teraz wystarczy im raz coś powiedzieć, a one już reagują, już wiedzą, co mają robić.

Ilu nauczycieli uczy w szkole?

Grono pedagogiczne liczy 14 osób, jest bardzo młode. Są to nauczycielki pełne zapału do pracy, bardzo mocno się angażują, dużo pracują z dziećmi poza lekcjami.

Jak wygląda działalność pozalekcyjna?

W szkole działa zespół taneczno-wokalny Wiolinek, który stale podnosi swój poziom. Od dwóch lat bierze udział w eliminacjach Śląskiego Śpiewania w Polsce. Istnieje zespół dramatyczny Arlekin, który przygotowuje inscenizacje wierszy, krótkie scenki a nawet duże przedstawienia szkolne. Bierze udział w przeglądzie szkolnych zespołów teatralnych, gdzie zajmuje bardzo dobre miejsca. Bardzo dobre wyniki osiągają też uczniowie, którzy uczęszczają do kółka plastycznego. Przez ostatnie dwa lata było to drugie miejsce w ogłoszonym przez Służby Techniczne Miasta Karwiny konkursie plastycznym z okazji Dnia Ziemi, co wiązało się z nagrodą pieniężną dla szkoły. Cieszą nas też sukcesy w konkursie recytatorskim. Uczniowie recytują bardzo dobrze również po czesku, największym osiągnięciem był awans uczennicy do koła ogólnopaństwowego. Istnieje w naszej szkole drużyna harcerska Wielka Niedźwiedzica.

A olimpiady i konkursy wiedzy?

Bierzemy udział właściwie we *wszystkich olimpiadach szkolnych:* matematycznej, fizycznej, chemicznej, biologicznej. Nasi uczniowie zawsze zdobywają bardzo dobre miejsca, np. w ubiegłym roku ex aequo 1-2 miejsce w kole powiatowym olimpiady matematycznej i awans do koła okręgowego. W tym roku uczniowie szkoły również są w kole okręgowym olimpiady matematycznej i fizycznej.

Wielki sukces odniósł uczeń naszej szkoły w ubiegłorocznym Kangurze Matematycznym w kategorii klas 6 i 7, w nagrodę pojechał na dwutygodniową wycieczkę do Paryża. Cieszymy się tym bardziej, że początki zaolziańskiego Kangura Matematycznego wiążą się z naszą szkołą. Kangur Matematyczny odbywa się co roku, przebiega w tym samym dniu w całym świecie. Dzieci zaolziańskie właśnie z inicjatywy naszej szkoły dołączyły do konkursu w Polsce, organizacją następnych zajęło się już Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Mniejszościowego w Czeskim Cieszynie. Czeskie szkoły wzięły w nim udział dwa razy, jak na razie w RC nie rozpowszechnił się.

Szóste miejsce zdobył uczeń naszej szkoły w powiatowym kole konwersacji w języku angielskim.

Współpracujemy z Biblioteką Regionalną i Stanicą Młodych Przyrodników, bierzemy udział w konkursach przez nich organizowanych.

Duże znaczenie ma dla szkoły dyktando ortograficzne o tytuł Mistrza Ortografii?

Tak, ponieważ sami wymyśliliśmy ten konkurs. Przed kilku laty byliśmy przez dwa tygodnie w Chorzowie na zorganizowanych przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska warsztatach polonijnych. Zostaliśmy zaproszeni na konkurs dyktanda ortograficznego do jednej z chorzowskich szkół. Nasi uczniowie *okazali się najlepsi, zdobyli* pierwsze trzy miejsca. Pomysł tak mi się spodobał, że po powrocie postanowiłam zrobić taki konkurs u nas. Odbył się on już w tym roku po raz czwarty.

Wzięli w nim udział uczniowie starszych klas wszystkich 13 polskich podstawówek oraz sześcioletniego gimnazjum. Dzięki przychylności Stowarzyszenia Wspólnota Polska oraz pomocy pana Stefana Gajdy z Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska umożliwiono zdobywcom pierwszych miejsc udział w ogólnopolskim finale. Wśród wyróżnionych była również uczennica naszej szkoły.

To wszystko dotyczy rozwoju umysłowego uczniów, a co z kondycją fizyczną ?

Ogólnie można powiedzieć, że niedobrze. Dzieci mają za mało ruchu. Może na wsi jest lepiej. W naszej szkole nadarzyła się w tym roku okazja, by podreperować kondycję fizyczną naszej młodzieży. Szkoła posiada wreszcie wuefistkę z prawdziwego zdarzenia. Nauczycielka wychowania fizycznego jest absolwentką Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, trenuje z dziećmi bardzo poważnie, prowadzi kółko turystyczne. Pół miliona koron wyniosły koszty budowy nowego boiska szkolnego.

Skąd szkoła uzyskała finanse na budowę boiska?

350 tysięcy Kč od Urzędu Miejskiego, reszta to wynik własnego gospodarowania, np. za wynajęcie pomieszczeń. Szkoła ma od kilku lat osobowość prawną. Uważamy, że było to bardzo dobre pociągnięcie, ponieważ możemy sami gospodarować pieniędzmi, które przeznacza dla szkoły Urząd Miejski. W tym roku kilku nauczycieli napisało projekty związane z działalnością naukową, sportową, plastyczną oraz z jubileuszem szkoły. W ten sposób uzyskaliśmy dodatkowo 100 tysięcy Kč.

W ubiegłych latach szkoła była kilka razy remontowana?

W roku 1990 rozpoczęliśmy od remontu dachu, który przeciekał. Trzeba było wymienić również sufity na drugim piętrze. Doszło do rekonstrukcji całej kanalizacji, bo nagle w budynku pojawiła się wilgoć. Okazało się, że pod szkołą znajdują się podziemne korytarze, które kiedyś służyły do wietrzenia. Ale wywody zostały zasypane i przez prawie 20 lat pod szkołą gromadziły się ścieki. Trzeba było się tam przebić, wypompować warstwę szlamu i śmieci o grubości około 70 cm i przekopać zasypane korytarze. Następnie doszło do wymiany podłóg we wszystkich pomieszczeniach szkoły. Wyremontowane zostały toalety, mieszkanie woźnej, dobudowano magazyn przyrządów do wuefu i prysznice. W tym roku zabieramy się do gruntownego remontu kuchni. Wszystkie urządzenia są przestarzałe i trzeba wymienić je na nowe.

Szkoła miała piękne przestronne klasy, ale nie było gabinetów. Pomocy naukowych przybywało, toteż trzeba było dobudować gabinety. Szkoła ma też kilka pięknie wyposażonych klasopracowni: matematyczno-fizyczną, chemiczno-biologiczną, geograficzno-historyczną. Dzięki darom sponsorskim przystępujemy do realizacji klasopracowni komputerowej z prawdziwego zdarzenia. Komputery, które mieliśmy do tej pory do dyspozycji, były już bardzo przestarzałe.

Ze słów Pani Dyrektor wynika, że frysztaccy uczniowie pobierają nauki w pięknej i nowoczesnej szkole. Dziękując za rozmowę, składam życzenia, by szkoła nadal rozkwitała, by nie umilkł gwar jej uczniów. Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

JUBILEUSZ SZKOŁY W OLBRACHCICACH

fot. FRANCISZEK BAŁON

Budynek Szkoły Podstawowej z Polskim Językiem Nauczania w Olbrachcicach ma już 170 lat. Szkoła, jak przystało na szacowną jubilatkę, z tej okazji wydała broszurę, z kart której możemy poznać jej bogatą historię i dzień dzisiejszy.

Zarys historii szkolnictwa polskiego w Olbrachcicach opracował długoletni (1954–1988) dyrektor szkoły Bruno Waszek. Jej dzień obecny dyrektor Otakar Winkler.

Pierwsze wzmianki o nauczaniu w Olbrachcicach pochodzą z drugiej połowy XVII wieku, jednak pierwszy budynek szkolny wybudowano w roku 1828. Przez długie lata była to szkoła jednoklasowa. Na podstawie tzw. wyciągu egzaminacyjnego, sporządzonego przez kierownika szkoły Józefa Kasperlika 2 czerwca 1848 roku, dowiadujemy się, że dzieci dzielono na pięć grup: poznających litery, sylabizujących, czytających mały katechizm, czytających pierwszą część czytanek i czytających drugą część czytanek.

W roku 1898 budynek szkolny powiększył się o piętro, szkoła była już dwuklasowa, a uczyło się w niej 138 uczniów. W tym też czasie została założona pierwsza kronika szkolna. Systematycznie wzrastała ilość uczniów. W roku 1911 było ich już 211.

W czasie drugiej wojny światowej w budynku umieszczono jedną z klas szkoły niemieckiej, a pozostała jego część była siedzibą organizacji Hitlerjugend. Naukę w języku polskim prowadził potajemnie nauczyciel Jan Głombek, który po wojnie został kierownikiem trzyklasowej polskiej szkoły liczącej 101 uczniów. Po nim kolejno funkcję dyrektora pełnili: Henryk Bonczek, Karol Miczka, Adolf Kiedroń, Bruno Waszek, Iwona Guńkowa i obecnie Otakar Winkler.

W roku jubileuszowym do szkoły uczęszcza 26 dzieci, uczących się w łączonych klasach pięciu roczników szkolnych. W szkole poza podstawowym programem nauczania, zresztą przy tak małej ilości dzieci można mówić o nauczaniu indywidualnym - korzystnym dla wychowanków, niezwykłą wagę przykłada się do kształcenia artystycznego. Dla dzieci uzdolnionych muzycznie są prowadzone lekcje gry na fortepianie i zajęcia taneczno-rytmiczne. W ramach świetlicy szkolnej działa kółko żywego słowa, które co roku przygotowuje dziecięcy spektakl sceniczny. Dzieci prezentują swoje talenty nie tylko w szkole, ale także podczas imprez MK PZKO i gminnych. Biorą także udział w konkursach śpiewaczych, recytatorskich i plastycznych.

Jubileuszową akademię, która miała miejsce w miejscowym Domu PZKO, poprzedził wernisaż wystawy rysunków i prac ręcznych uczniów oraz archiwalnych dokumentów i zdjęć szkoły w Olbrachcicach. Uczniowe zaprezentowali się w widowisku muzycznym „Wiosna radosna", a teatrzyk Drops działający przy MK PZKO pod kierownictwem Jadwigi Czapowej przedstawił teatralne scenki oparte na motywach „Hamleta". Na akademię przybyli m.in.: konsul Piotr Szwarc, reprezentujący Konsulat Generalny w Ostrawie, prezes Rady Polaków Wawrzyniec Fójcik, starosta Olbrachcic Juraj Legindi, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, prezes TNP Stanisław Folwarczny, prezes MK PZKO a jednocześnie była dyrektor szkoły jubilatki i długoletnia jej nauczycielka Iwona Guńkowa.

Miłym akcentem uroczystości był występ chóru żeńskiego Kalina z Karwiny-Frysztatu, który przybył do Olbrachcic, by nie tylko uczcić jubileusz szkoły, ale także złożyć z tej okazji gratulacje dyrektorowi szkoły a zarazem dyrygentowi chóru.

Końcowym akcentem jubileuszu będzie festyn szkolny, który odbędzie się 21 czerwca.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

HARCERSKI RAJD
NOWY SZTANDAR DLA HPC

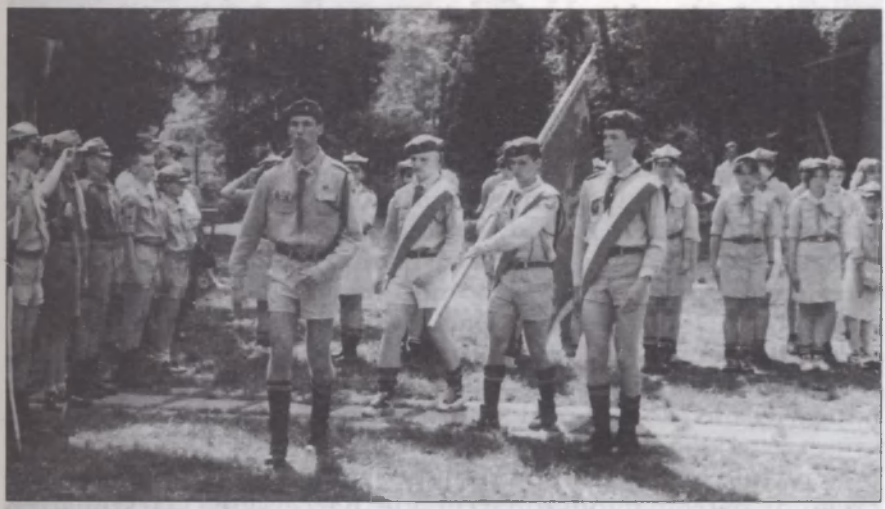

Lepszej pogody nie mogli sobie wymarzyć uczestnicy uroczystości, jaka odbyła się w sobotę 9 maja w Koszarzyskach. Mocno świecące słońce zwabiło w góry mnóstwo gości.

Wielomiesięczne starania harcerzy uwieńczone zostały sukcesem. Na placu apelowym przed ośrodkiem harcerskim Kikula naczelnik Harcerstwa Polskiego w Republice Czeskiej Kazimierz Worek odebrał z rąk naczelnika Związku Harcerstwa Polskiego Ryszarda Pacławskiego nowy sztandar HPC. Świadkami tego wydarzenia byli członkowie naczelnych władz HPC, zuchy i harcerze zaolziańskich drużyn zuchowych i harcerskich, harcerze z Polski i Litwy, delegacja czeskiego Junáka. W uroczystości wzięli też udział m. in. Piotr Szwarc, konsul Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, Antoni Kobielusz, poseł na Sejm RP, członek Sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą, Wawrzyniec Fójcik, prezes Rady Polaków, Jerzy Czap, prezes ZG PZKO, i przedstawiciele innych polskich organizacji na Zaolziu.

Zabrzmiał hymn harcerski, poświęcenia sztandaru dokonali księża Jacek Domański z parafii rzymskokatolickiej z Jabłonkowa oraz Jan Wacławek, pastor Śląskiego Kościoła Ewangelickiego A. W. z Nawsia. Odczytano list prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Goście w swych krótkich wystąpieniach podkreślali

łączność Zaolzia z Macierzą, przypominali o przynależności do narodu polskiego.

Zasłużonym harcerzom wręczono wysokie odznaczenia harcerskie i akty uznania. Złote Krzyże za Zasługi dla ZHP z rąk Ryszarda Pacławskiego odebrali Władysław Sztebel, Mieczysław Piszczek oraz Władysław Wróbel in memoriam.

Uczestnicy uroczystości obejrzeli też wystawę, na której zgromadzono liczne kroniki – nawet sprzed pierwszej wojny światowej – oraz zdjęcia mówiące o historii i dniu dzisiejszym ruchu harcerskiego na Zaolziu.

Dopiero przy wieczornym ognisku, kiedy ogłoszono wyniki Harcerskiego Rajdu Beskidzkiego, stało się dla wszystkich jasne, dlaczego niektórzy harcerze, zwłaszcza ci mniej doświadczeni w rajdach, sprawiali na popołudniowym apelu wrażenie zmęczonych. Mieli bowiem w nogach ładnych parę kilometrów.

Dla harcerzy rajd rozpoczął się już dwa dni wcześniej. W czwartek 7 maja przybyli do Koszarzysk, by przygotować się odpowiednio do sobotniej uroczystości. Rezultaty ćwiczenia musztry aż do znudzenia były potem dobrze widoczne i zostały pozytywnie ocenione. Po nocy spędzonej pod namiotami poszczególne patrole młodszoharcerskie, harcerskie i starszoharcerskie wyruszyły na trasę. Wszyscy nieśli plecaki ze śpiworami, karimatkami, namiotami, obuwiem na zmianę, prowiantem na drogę. Każda grupa otrzymała mapę części Beskidów, na której wyznaczone zostały punkty – szczyty beskidzkie, które należało zaliczyć. Po drodze czekały na harcerzy następne zadania.

Między punktami możecie spotkać harcerzy, od których uzyskacie informacje. Jedni z nich będą zawsze mówić prawdę, a inni będą zawsze kłamać. Oprócz informacji, które mają do przekazania, na dodatkowe pytania mogą odpowiadać jedynie „tak" lub „nie". Tak brzmiała jedna z wiadomości. Noc z piątku na sobotę spędzili harcerze pod chmurką. Rankiem zwinęli mokre od porannej rosy śpiwory i wyruszyli w dalszą drogę, by do godziny 13.00 dotrzeć do punktu startu. Toteż na uroczystym apelu o godzinie 15.00 mieli prawo czuć się zmęczeni. W sobotę przebiegał też Złaz Zuchowy.

Najlepszymi wśród młodszych harcerzy okazali się wodniacy z czeskocieszyńskiej drużyny Opty, wśród harcerzy triumfowały Czarne Pantery z Trzyńca, a wśród starszych harcerzy laury zwycięstwa przypadły także członkom drużyny Opty. Jednak uznanie należy się wszystkim uczestnikom rajdu.

C.R.

fot. FRANCISZEK BAŁON

KARWIŃSKIE POLSKIE GIMNAZJUM W RODZINIE SŁOWAKÓW

Piętnaście lat temu we Wrocławiu odsłonięto pomnik Juliusza Słowackiego. Był to dzień szczególny. Zapoczątkował bowiem spotkania szkół podstawowych i średnich, których patronem jest Juliusz Słowacki. Od tego czasu młodzież zaczęła regularnie spotykać się zawsze pod koniec kwietnia.

Sześć lat temu po raz pierwszy delegacja z Karwiny znalazła się w Chorzowie na Zlocie Szkół im. Juliusza Słowackiego, zdobyła pierwsze miejsce w konkursie poetyckim, była najsympatyczniejsza. Dziś spełniły się marzenia o tym, że któryś kolejny Zlot będzie na Zaolziu.

Spotkanie tutaj na Zaolziu wzbogaci pracę polskich szkół, wzbogaci naszą wiedzę historyczną, programy języka polskiego, historii, geografii. Jest to jedyny chyba w Polsce przykład na inny troszeczkę wymiar edukacji europejskiej, współpracy transgranicznej, tworzenia i budowania kolejnych sympatycznych mostów nad tymi obszarami granicznymi.

Takie słowa padły z ust gości z Polski na otwarciu karwińskiej części XV Zlotu Szkół im. Juliusza Słowackiego 30 kwietnia. Do Karwiny przybyły delegacje 10 z ogólnej liczby 15 liceów Słowackiego w Polsce: z Chorzowa, Częstochowy, Elbląga, Grodziska Wielkopolskiego, Kielc, Łodzi, Przemyśla, Oleśnicy, Warszawy i Wrocławia, jak również przedstawiciele Kolegium Nauczycielskiego z Krzemieńca na Ukrainie. Karwińskie

fot. FRANCISZEK BAŁON

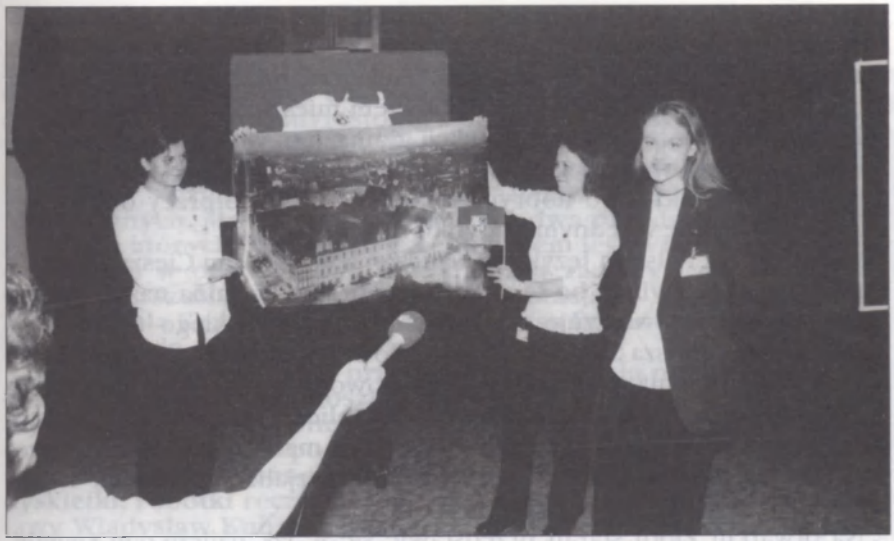

gimnazjum należy do stowarzyszenia „Słowaków" od lutego 1997 roku. O randze spotkania świadczy fakt, że w uroczystości otwarcia Zlotu, którego dokonał jego patron honorowy konsul Piotr Szwarc, wzięło udział wielu gości oficjalnych: naczelnik Urzędu Powiatowego w Karwinie Jan Weber, starosta Karwiny Lubomír Kuznik, kierownik Urzędu Szkolnego w Karwinie Pavel Kulhánek, dyrektor Centrum Pedagogicznego dla Polskiego Szkolnictwa Mniejszościowego Irena Kufa, dyrektor Akademii Handlu i Bankowości, gospodarza budynku, Jaroslav Ochodek, delegacje polskich organizacji i instytucji na Zaolziu, księża miejscowej parafii. Duże brawa zebrali pomysłodawcy Zlotu karwińskiego Andrzej Król, pracownik Kuratorium Oświaty w Katowicach, i Andrzej Bizoń, dyrektor karwińskiego gimnazjum, gospodarza spotkania.

Historię gimnazjum przedstawił dyrektor Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie Alojzy Kufa. Dzieje szkolnictwa średniego na Śląsku Cieszyńskim rozpoczynają się w roku 1895, kiedy otwarto w Cieszynie gimnazjum klasyczne. Szkołą, która miała zasadnicze znaczenie dla wielu pokoleń inteligencji zaolziańskiej, stało się Polskie Gimnazjum Realne im. Juliusza Słowackiego w Orłowej, otwarte 23 września 1909 roku. Budynek na Obrokach był symbolem, bastionem polskości. W latach 60. gimnazjum zmuszone było opuścić swój gmach i przenieść się do baraków w Łazach. W roku 1964 doszło do połączenia klas orłowskich z klasami Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Gimnazjum orłowskie nazywano odtąd klasami elokowanymi. Przed kilku laty klasy te przeniesiono do Karwiny do budynku szkoły czeskiej –

prywatnej Akademii Handlu i Bankowości. Burzliwie przebiegała dyskusja nad ich ponownym umieszczeniem w Orłowej, kiedy budowano tam nowoczesne czeskie gimnazjum. Większość rodziców opowiedziała się za pozostaniem w Karwinie, tu bowiem mieszka większość gimnazjalistów. Podobne było zdanie dyrekcji gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Szkoła pozostała w Karwinie. Dyrektor Bizoń i dyrektor Ochodek zapewniali na spotkaniu o dobrym sąsiedztwie i współpracy obu istniejących obok siebie w jednym budynku szkół.

Gimnazjum z Polskim Językiem Nauczania w Czeskim Cieszynie, klasy elokowane w Karwinie, bo tak właściwie brzmi oficjalna nazwa szkoły, nie ma kompleksów. Czuje się kontynuatorem Polskiego Gimnazjum Realnego im. Juliusza Słowackiego w Orłowej, spadkobiercą jego tradycji i dobrego imienia. Najlepszym tego dowodem jest obecność szkoły w rodzinie „Słowaków". Korytarze zdobią tablice z informacjami o historii gimnazjum, zdjęcia kolejnych roczników maturzystów, na honorowym miejscu wisi portret patrona. Gimnazjaliści śpiewają hymn „Słowaków".

Na otwarciu Zlotu starali przedstawić się w jak najlepszym świetle. W programie kulturalnym śpiewano, recytowano i tańczono, wystąpiła Skotnica i teatrzyk SZ.K.A.P.A. z gimnazjum czeskocieszyńskiego. Ale najważniejsze, że goście z Polski i Ukrainy, którzy przez trzy dni zwiedzali Zaolzie, zanieśli w swe strony wiadomość, że jest na Zaolziu taka polska szkoła. Szkoła, która w roku przyszłym obchodzić będzie swoje dziewięćdziesięciolecie.

C.R.

CO ROBIMY W POLSKIM GIMNAZJUM W CZESKIM CIESZYNIE

Życie szkoły to nie tylko lekcje, w czasie których uczniowie zdobywają wiedzę wytyczoną przez programy szkolne. Od lat w Polskim Gimnazjum w Czeskim Cieszynie uczniowie mogą rozwijać swoje talenty muzyczne i plastyczne, szczególnie gdy w nowej części budynku powstały przestronne i dobrze wyposażone pracownie muzyczna i plastyczna. Chór gimnazjalny Collegium Iuvenum odnosi sukcesy na festiwalach krajowych i zagranicznych, a jego konkursowe trofea i dyplomy można obejrzeć w holu łączącym obie pracownie. Podobnie jest z Kapelą Gorolską Zorómbek. Zespołami, nie tylko tymi gimnazjalnymi, z pasją kieruje dr Leszek Kalina.

Hol służy także prezentacji działalności plastycznej wychowanków czeskocieszyńskiego gimnazjum. Okazjonalnie z jego przestrzeni i pomieszczenia pracowni plastycznej korzystają zaolziańscy artyści plastycy, przy czym angażują się także uczniowie. Działalność plastyczna w gimnazjum to domena polonisty i plastyka

Władysława Kubienia. Umiejętne połączenie tych dwu dziedzin daje pozytywne rezultaty widoczne np. podczas kolejnych edycji konkursu recytatorskiego KRESY. Tu prezentują się młodzi recytatorzy, od trzech lat odnoszący sukcesy w postaci pierwszych miejsc w finałach konkursu w Białymstoku, a uzdolnieni plastycznie i muzycznie gimnazjaliści przygotowują stosowną dla konkursowych zmagań oprawę. Jakby poszerzeniem tej artystycznej działalności jest SZ.K.A.P.A. czyli Szkolne Kółko Alternatywnych Prezentacji Artystycznych. Ma na swym koncie już dwa przedstawienia „Liny" i „Ramy", których reżyserem i scenografem jest Władysław Kubień, do muzyki w opracowaniu i wykonaniu Tamary Czudek, Urszuli Gaura i Urszuli Toboły. W obu prezentacjach występują: Hania Kajzar, Kasia Krzyżanek, Ania Raab, Teresa Branna, Krysia Prymus, Mariola Fryda, Marek Piekarski.

Na początku kwietnia w pracowni wychowania plastycznego miał miejsce wernisaż ogólnoszkolnej wystawy różności Co robimy? Wystawa miała szczególny charakter. Oglądającym rzucała się w oczy różnorodność eksponatów, wyroby z gliny, elementy dekoracji wnętrz z papieru, różnego rodzaju ozdoby na ścianę, komputerowe dyskietki, robótki ręczne i domowe przetwory. Pomysłodawca wystawy Władysław Kubień chciał pokazać wszystko to, co jest wytworem uczniów i nauczycieli poza godzinami nauki i pracy zawodowej. I choć wielu, szczególnie pedagogom, zabrakło odwagi, by pokazać swoje skrzętnie skrywane w domowych pieleszach zainteresowania, wystawa zorganizowana w taki sposób po raz pierwszy będzie miała swoją kontynuację. Szeroki wachlarz swoich możliwości zaprezentowali: Marcel Boszczyk, Łukasz Franek, Dominika Marciniak, Magda Stróżczyk, Ania Marciniak, Tamara Lysek, Gabina Broda, Krystyna Prymus, Ewa Pieczonka, Michał Ryłko, Zbyszek Zysek, Marek Piekarski, Michał Krzyżanek, Zuzanna Czepczor, Natalia Tačar, Ewa Woźnica, Marian Byrtus, Maja Fryda, Krysia Ondraszek, Jacek Branny, Lidka Pawlas, Władysław Kubień.

E.S.

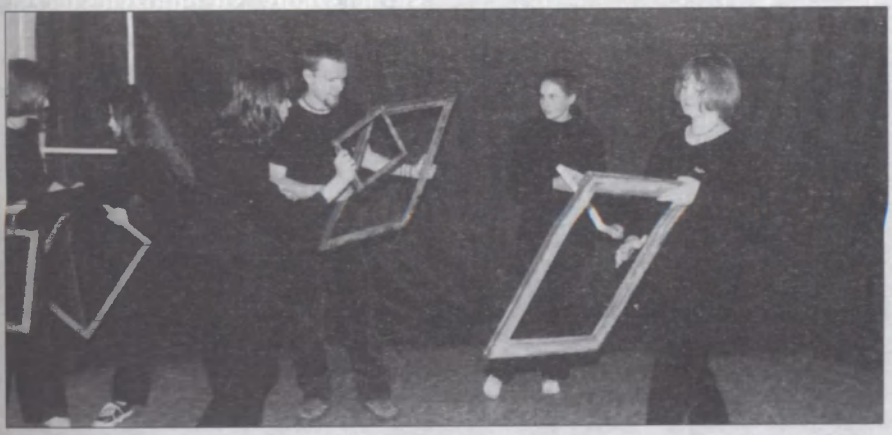

SZ.K.A.P.A. „Ramy" – fot. FRANCISZEK BAŁON

TADEUSZ BŁANIK (1929–1998)

Vale, Drogi Profesorze!
Non omnis moriar! Tylko te słowa mogły zabrzmieć 24 kwietnia nad Twoim grobem, Profesorze, kiedy wydawać się mogło, że dla Ciebie został na tym świecie już tylko czas plusquamperfectum. Exegi monumentum... Uczyłeś nas „Pieśni" Horacjusza, wznosząc jednocześnie pomnik, nie ze spiżu, lecz z naszej pamięci i wdzięczności.

Non omnis moriar! Jakże mogłoby być inaczej, kiedy przez czterdzieści lat stawałeś przed klasą na lekcjach łaciny, historii, języka niemieckiego. Niemieckie Du Dummkopf! czy łacińskie Aside, sibi, tu capra! wryły się w naszą pamięć o wiele lepiej, niż reguły gramatyki.

Nie zawsze zjednywałeś sobie od razu sympatię klasy. Ironiczny dystans i wrażenie wyższości sprawiały, że lody topniały powoli. Siedzący w ławkach musieli dopiero dojrzeć do zrozumienia, że to tylko maska.

Sapiens vir mówili o Tobie Twoi uczniowie. Książki, z których czerpałeś owe mądrości, towarzyszyły Ci wszędzie. Renesansowy umysł, głęboki humanizm, rozległa wiedza oraz umiejętność jej przekazania to cechy, które pozwalały Ci, Profesorze, napełniać również i nasze umysły.

O mi rosmarine accrescito... uczyłeś nas pieśni, bo śpiew był Ci potrzebny do życia prawie tak jak powietrze. Śpiewałeś w chórach i solo, z orkiestrą i a cappella, sam grałeś na kilku instrumentach.

Alma mater (almus znaczy żyzny, żywiący, ale też dobrotliwy, miły) nazywałeś gimnazjum, w którym przyszło pobierać Ci nauki, a potem samemu przekazywać wiedzę. I nie potrafiłeś żyć bez swojej szkoły. Nie odłożyłeś teczki, kiedy nadszedł czas odpoczynku, by w zaciszu domowym czekać na listonosza z emeryturą. Póki starczyło Ci sił, szedłeś do szkoły, by następnym pokoleniom tłumaczyć, kto to student: od studeo, studere – infinitivus preasentis activi oznacza starać się.

Aż musiałeś odłożyć teczkę po raz ostatni. Vis maior!

Ostende mihi, Domine, misericordiam Tuam – stanąłeś przed tronem Najwyższego.

Salve, Professor!

C.R.

Z DZIAŁALNOŚCI SEKCJI AKADEMICKIEJ JEDNOŚĆ W LATACH 1950-1954

Po zatwierdzeniu przez Krajowy Komitet Narodowy w Brnie 27 czerwca 1947 powstało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej. W ramach SMP rozpoczęła swoją działalność Sekcja Akademicka Jedność. W roku 1949 doszło do reorganizacji ruchu młodzieży w skali ogólnopaństwowej. Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej stało się sekcją w ramach Czechosłowackiego Związku Młodzieży. Zachowało ono pełne prawo do kierowania życiem młodzieży polskiej w ramach CzZM. Nowa rzeczywistość nie stała się na razie hamulcem działalności młodzieży polskiej, lecz jak się później okazało, była pierwszym krokiem likwidacji grup esempowskich i całkowitego połączenia z czeskimi organizacjami w roku 1952.

Ogromne znaczenie dla rozwoju i formowania świadomości narodowej młodzieży polskiej studiującej na wyższych uczelniach w Brnie było założenie na przełomie lat 1947-48 Towarzystwa Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej, które miało swoją siedzibę na Rynku Dominikańskim. Z inicjatywy pierwszego przewodniczącego prof. dr. Maksymiliana Kolaji powstała tam dosyć duża czytelnia, biblioteka polskich książek i czasopism. W tej właśnie czytelni znaleźliśmy lokal, gdzie mogliśmy się regularnie spotykać i rozwijać naszą działalność.

Z inicjatywy naszego kolegi Bronisława Chodury, który chyba od roku 1948 studiował na wyższej uczelni w Brnie, zaczęliśmy się organizować w ramach Komitetu Miejskiego CzZM dla wyższych uczelni (Vysokoškolský městský výbor ČSM v Brně).

On sam był członkiem prezydium tej organizacji. Nasza oficjalna nazwa brzmiała: CzZM - SMP - Sekcja Akademicka Jedność. Przy komitecie tym pracował również słowacki zespół folklorystyczny Polana oraz zespół bułgarskich studentów Christo-Botev.

Nie był to więc żaden żywioł o charakterze niezorganizowanym. Komitet Miejski żądał od nas aktywnej postawy w pracy kulturalno-oświatowej i pomagał nam przy załatwianiu lokalu, gdzie mogliśmy przeprowadzać próby naszych zespołów. Bardzo często żądał, abyśmy na tej czy innej imprezie wystąpili ze swoim programem.

W roku 1950 przyszła spora grupa studentów z naszego terenu na wyższe uczelnie do Brna. Byli to przede wszystkim studenci, którzy pracę społecznikowską rozpoczęli po założeniu SMP na terenie swoich uczelni czy też w miejscowych Kołach SMP. Tak więc na terenie Brna powstały idealne warunki dla rozwoju Sekcji Akademickiej Jedność. Jesienią 1950 roku powstał męski chór akademicki. Trzydziestka śpiewaków schodziła się co tydzień na próbach. Pierwszy nasz występ odbył się na balu akademickim 26 grudnia 1950 w sali hotelu Piast w Cz. Cieszynie.

Dyrygentem zespołu był student akademii muzycznej JAMU Oton Mazurek. W latach 1951-1953 zespół śpiewaczy prowadził profesor szkoły muzycznej Pohanka. Od roku 1953 znowu Oton Mazurek. Co roku było sporo występów. Do najważniejszych trzeba zaliczyć występy na centralnej akademii miasta Brna z okazji rocznicy podpisania umowy czechosłowacko-polskiej dnia 10 marca. Akademie te odbywały się w największej w tym czasie sali widowiskowej zwanej na stadionie. Zespół na polecenie Komitetu Miejskiego występował bardzo często na wyższych uczelniach a to przede wszystkim na zabawach młodzieżowych tzw. hratkach. Były wyjazdy zespołu śpiewaczego poza Brno. Do bardzo udanych należy zaliczyć występ w Jednolitej Spółdzielni Rolniczej w Hevlínie, gdzie do południa pracowaliśmy na roli przy opielaniu buraka cukrowego, a po południu zespoły nasze razem z solistami dały koncert dla spółdzielców w miejscowej gospodzie. Pamiętam występ naszego chóru na rynku w Prostějovie. Było to w niedzielę przed południem, chyba w przeddzień 1 maja. Największe brawa wśród licznie zgromadzonej publiczności zebrał Bogdan Warchał za swój solowy występ skrzypcowy. Musiał kilkakrotnie bisować.

Innym bardzo aktywnym zespołem był zespół taneczny. Próby tego zespołu rozpoczęły się na początku 1951 roku. Wśród naszego grona znalazło się dużo zapaleńców, którzy przyczynili się do utworzenie tego zespołu oraz przygotowania programu. Wielką pomocą przy opracowaniu choreografii była obecność Ferdynanda Króla. Przyjeżdżał 3-4 razy w ro-

Chór męski przed koncertem v Prostějowie

ku na nasze próby. Przyjeżdżał w piątek wieczorem do Brna, a w sobotę i niedzielę odbywały się całodzienne próby. Wieczorem wracał do domu. Było to ogromne poświęcenie z jego strony. Wiedział jednak, że czas poświęcony tej sprawie przyniesie swój owoc. Zespół bowiem na występach prezentował widzom wspaniały pokaz tańców polskich nie tylko na terenie Brna, ale i przy różnych wyjazdach poza Brno. Wielką pomocą służył nam Zarząd Powiatowy PZKO w Karwinie, który umożliwił gratisowe wypożyczanie strojów. Duszą całego przedsięwzięcia była Helena Zoniowa. W tym składzie zespół pracował do roku 1954. Nie pamiętam już imiennego składu całego zespołu, ale wspomnę kilka nazwisk: Wanda Konieczna, Danuta Gattnarówna, Janina Kubeczkówna, Irena Mazur-kówna, Jan Konieczny, Mirosław Dydowicz, Erwin Kaim, Karol Heinz, Jan Sikora i wielu innych członków SAJ-u.

W roku 1951 powstał również kwartet męski, który prowadził Kornel Konieczny. Pracował systematycznie aż do roku 1954.

Najczęstszą formą spotkań polskiej młodzieży akademickiej były niedzielne popołudniowe spotkania w czytelni Towarzystwa Przyjaźni Czechosłowacko-Polskiej na Rynku Dominikańskim. Były to tzw. spotkania świetlicowe, gdzie można było przeczytać polskie czasopisma, wypożyczyć polskie książki. Odbywały się różne pogadanki, dyskusje itp. Były to jak gdyby zebrania członkowskie, gdzie dyskutowaliśmy o całokształcie naszej pracy organizacyjnej. Był to program przeznaczony dla wszystkich, również tych, którzy nie brali udziału w pracy zespołów. Na

Zespół taneczny występuje na centralnej akademii

spotkaniach tych niejednokrotnie wysuwano wnioski, jak naszą pracę jeszcze udoskonalić i co zrobić, żeby jak najszersze kręgi naszej młodzieży brały udział w naszych spotkaniach. Mieliśmy zarząd, na czele którego stał do roku 1952 Bronisław Chodura, a od roku 1952 Jan Sikora.

Wielkim wydarzeniem był dla nas przyjazd Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Mazowsze do Brna. Było to chyba w roku 1951. Braliśmy udział w oficjalnym powitaniu zespołu na dworcu kolejowym w Brnie. W czasie całego pobytu byliśmy do dyspozycji nie tylko kierownictwa, ale całego zespołu. Koncert odbywał się na stadionie zimowym. Niezapomnianą pieśń „Ej, przeleciał ptaszek" śpiewała młodziutka Irena Santon. Musiała kilkakrotnie bisować.

Kiedy w roku 1952 doszło do połączenia grup esempowskich z czeskimi grupami młodzieżowymi, postanowiliśmy na początku 1953 roku podpisać deklarację PZKO i niemalże wszyscy staliśmy się członkami PZKO w Kołach macierzystych na naszym terenie. Już nie występowaliśmy w młodzieżowych koszulach, lecz w białych, i ciemnych spodniach pod nazwą Sekcja Akademicka Jedność. Nikt nam nigdy nie zarzucił, że nazwa nasza nie ma charakteru prawnego.

Jeśli chodzi o imprezy na naszym terenie, to były w pierwszej kolejności bale akademickie, które odbywały się corocznie 26 grudnia w hotelu Piast w Cz. Cieszynie. Na balach tych program kulturalny wykonywały SAJ Brno i Ołomuniec. W Ołomuńcu istniał również w tym czasie chór i małe zespoły wokalne. Bale te cieszyły się zawsze dużym powodzeniem, a sala hotelu Piast była zawsze pełna. Następną całowieczorową imprezą była Rewia Wiosenna zespołów akademickich, która odbyła się w karwińskim domu Praca. Był to chyba rok 1953. Publiczności naszej prezentowaliśmy wszystkie zespoły akademickie na terenie naszej republiki. Były więc chóry, małe zespoły wokalne, występy solistów, skecze, monologi i zespół taneczny. Tak samo tutaj publiczność dopisała. Organizatorem był Zarząd Powiatowy PZKO w Karwinie.

Kiedy w roku 1954 większość aktywistów opuściła wyższe uczelnie na terenie Brna, również i praca kulturalno-oświatowa przestawała istnieć. Do dnia dzisiejszego nigdzie nie udało mi się dowiedzieć, czy w kołach akademickich od roku 1955 istniał jakiś zespół taneczny czy wokalny, który propagowałby naszą kulturę narodową. Czynność SAJ ograniczała się do wycieczek, spotkań okolicznościowych, imprez sportowych czy zabaw. Wielka to szkoda. Można pozazdrościć słowackiemu zespołowi Polana, który na niejednej imprezie występował z naszymi zespołami na terenie Brna, a w roku wystąpił na Balu Gorolskim w Jabłonkowie. Ten słowacki zespół będzie obchodził 50-lecie swego istnienia. Szkoda, że takich zespołów nie mamy wśród naszej młodzieży akademickiej.

JAN SIKORA

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (18)
ZMAGAŃ O ZAOLZIE DALSZY CIĄG

Przetargi polityczne i połączona z nimi akcja zbrojna o przynależność państwową Śląska Cieszyńskiego przybrały w pierwszych miesiącach 1920 roku na sile. Na zaolziańskim pograniczu etnicznym czesko-polskim nie było wówczas spokojnych dni i nocy. Ówczesna fama głosiła często o krwawym rozbijaniu zgromadzeń i wieców plebiscytowych, o wysadzaniu budynków w powietrze, o uprowadzaniu, aresztowaniu i maltretowaniu działaczy plebiscytowych, o nocnych bojach, różnych utarczkach, różnych akcjach zbrojnych, o wielkich, ustawicznych wiecach i manifestacjach politycznych. Były to działania obustronne. Jest oczywiste, że obu spierającym się stronom chodziło wówczas o zbrojne zabezpieczenie swoich zamierzeń politycznych oraz interesów ekonomicznych, przy czym akcję zabezpieczenia powierzono tak ze strony polskiej jak i czeskiej zakonspirowanym organizacjom wojskowym.

Po napadzie granatami na naszych agitatorów plebiscytowych w Trzycieżu, powracających z zebrania plebiscytowego w gospodzie Na Figłówce w Ropicy do swych domostw w Ligotce Kameralnej, wprowadziłem po naradzie z Gajdaczkiem i Oszeldą w naszej kompanii ostre pogotowie. Po całym ropicko-gnojnickim obszarze krążyły całymi nocami nasze patrole. Było to bardzo męczące dla ludzi, ale wszyscy się do tej służby chętnie zgłaszali. Wiele razy patrole te natknęły się na grupki jakichś osobników, którzy nie mieli chęci zdradzić, czego nocnej porze na tym terenie poszukują i po prostu uciekali - znikali. Długi czas nie udało się nikogo z nich złapać.

Również w miejscowościach, które były pod ochroną ropicko-gnojnickiej kompanii POW, było kilka wypadków pobicia działaczy polskich. W dwóch wypadkach napastnicy mieszkania pobitych doszczętnie zdemolowali.

Przy wykonywaniu zadań patrolowych natknęli się jednak moi ludzie w Żukowie Dolnym na dwuosobowy czeski patrol dywersyjny i jednego dywersanta udało się im zatrzymać. Według meldunku, który mi złożył zaraz w następnym dniu dowódca naszego patrolu, miało wydarzenie następujący przebieg:

Już było dosyć późno, wieczór był jednak jasny, na polach leżał jeszcze śnieg i nasz patrol, który się zatrzymał na krótki odpoczynek pod strzechą przydrożnej stodoły, zobaczył na drodze z Ropicy dwie sylwetki mężczyzn. Chłopcy wyszli na drogę i udając pijanych, kłócili się głośno między sobą. Kłótnię przeplatali również czeskimi wulgarnymi przezwiskami. Mężczyźni się najpierw zatrzymali, ale pewnie doszli do

wniosku, że naprawdę natrafili na pijanych ludzi i nie starali się zniknąć. Wręcz odwrotnie. Zatrzymali się przy naszej trójce i jeden z nich dosyć poprawną gwarą cieszyńską tłumaczył, że idą do znajomego, ale zabłądzili i prosili o wskazanie drogi do Żukowa Górnego.

– Ale do kogo tam? – zapytali nasi.

– Do pana Junga – odpowiedział nieznajomy.

– Ale żadnego Junga w Żukowie Górnym nie ma, więc chodzi może o Jungę? – zapytali znów nasi patrolowcy.

– Ano tak, Junga, właśnie Junga – brzmiała odpowiedź – to jest mój stryc, mój onkel.

W tej chwili chłopcy z naszego patrolu nareszcie połapali się. Cóż to za krewniak, który nazwisko wuja niewłaściwie podaje i nie mówi o wujku, czy też o „ujcu" w naszej gwarze, ale o „strycu" i o „onklu".

– Ręce do góry – zaryczał dowódca patrolu. Równocześnie próbowali nieznanych osobników zatrzymać. Nie mieli jednak doświadczeń i w trakcie szamotania obaj intruzi zbiegli. Jeden z nich jednak na gładkiej drodze poślizgnął się, upadł i zwichnął sobie nogę. Nasi chłopcy go złapali, ściągnęli za jakieś stodoły przy drodze, tam go zrewidowali i przesłuchali.

W międzyczasie drugi dywersant oddał dwa strzały z jakiejś broni i krzyczał, że jeżeli jego towarzysz nie zostanie zwolniony, to się postara, że wszyscy Polacy padną trupem. Chłopcy mu odkrzyknęli, by sobie po kolegę przyszedł.

Zatrzymany dywersant nie miał żadnej broni ani dokumentów. Miał chyba 25 lat i jak podał, był mieszkańcem Příbora. Służył w wojsku czeskim i za namową jakichś agitatorów zgłosił się na ochotnika do działalności przeciw Polakom na Śląsku Cieszyńskim. Ochotnikom takim werbujący przyrzekali podobno dobrą służbę na zdobytych terenach czy to u policji, na poczcie, czy w innych instytucjach i organizacjach. Jego towarzysz był podobno mieszkańcem Dobracic. Według rozkazu mieli gopodarstwo Jungów obrzucić granatami. Napad mieli zrobić w trójkę. Trzeci uczestnik miał ich oczekiwać z granatami na dworcu kolejowym w Ropicy. Takie instrukcje i rozkazy otrzymali w Gnojniku. Nazwisk instruktorów z Gnojnika nie powiedział. Twierdził, że ich nie zna. Było ich podobno trzech i do jednego, chyba tego głównego, inni zwracali się przez „panie kapitanie". Na dworcu w Ropicy na nich jednak nikt nie czekał. Przypuszczali więc, że doszło do jakiegoś nieporozumienia i ten trzeci z granatami do Żukowa już poszedł i tam czeka na nich. Więc szli również do Żukowa.

Zatrzymany dywersant nie znał języka polskiego ani gwary cieszyńskiej. Dowódca naszego patrolu pracował jednak dłuższy czas w browarze w Přerovie, tam się nauczył czeskiego i przesłuchanie bezbłędnie

przeprowadził. Kilka razy co prawda pogroził zatrzymanemu, że dostanie lanie na goły tyłek i rozkazał mu spuścić portki, ale nie było to nawet potrzebne. Dywersant się w końcu rozpłakał, narzekał, że dał się nabrać przez jakichś agitatorów i przyrzekał, że więcej w czymś podobnym nie będzie uczestniczyć i na Cieszyńskie więcej nie wkroczy. W końcu chłopcy przepuścili go. Obserwowali, jak idzie w kierunku Ropicy. W pewnej odległości spoza przydrożnego drzewa wyszedł na drogę jego towarzysz. W tej samej chwili jeden z naszych chłopców zobaczył w rowie jakiś przedmiot na śniegu. Był to pistolet, który udało się zatrzymanemu dywersantowi odrzucić, a nasi chłopcy tego niestety nie zauważyli. Teraz, zaskoczeni, krzyczeli za uciekającymi, żeby powrócili i znaleziony pistolet odebrali.

Patrol oczywiście zaraz ruszył do Jungów i pozostał tam przez całą noc. Trzeciego dywersanta jednak nie znaleźli. Nie przyszedł. A może nawet i był. Może się gdzieś dobrze ukrył i wycofał się później.

Niemalże równocześnie z meldunkiem dowódcy patrolu otrzymałem wiadomość, że dopołudnia na dworcu kolejowym w Ropicy żegnał się z jakimiś osobnikami rozmawiającymi po czesku, z których jeden kulał, tutejszy kierownik stacji kolejowej, w mowie potocznej „forsztand" stacji. Człowiek ten pochodził skądś od Opawy i był zaciętym Niemcem, wielbicielem Monarchii Austro-Węgierskiej i panujących w niej Habsburgów. Miał jakieś trudne niemieckie nazwisko, którego sobie nie przypominam. Nie wiem, ilu ludzi w Ropicy jego prawdziwe nazwisko znało. W związku z jego sympatiami do rodu panującego otrzymał przezwisko „forsztand Franc Jozef".

Pod tym przezwiskiem był ogólnie znany. Jak mnie poinformował mój druh Gajdaczek, który jako inwalida wojenny służył w garnizonie w Cieszynie i często jeździł do Trzycieża w odwiedziny do swych rodziców zamieszkałych za ropickim lasem, odwiedzał bardzo często „forsztanda Franca Jozefa" feldwebel zawodowy Grundt, odpowiedzialny za magazyny broni i amunicji w cieszyńskim garnizonie. Przyjeżdżał do Ropicy tym samym pociągiem, którym Gajdaczek jechał o jedną stację dalej, do Trzycieża. Grundt tak samo jak „Franc Jozef" pochodził spod Opawy, więc stąd ta wzajemna sympatia. Po likwidacji armii austriackiej pracował Grundt jako magazynier w jakimś przedsiębiorstwie w Cieszynie i wciąż Ropicę odwiedzał. Bardzo często w towarzystwie swego młodego, najwyżej osiemnastoletniego syna.

Jak kierownik stacji w Ropicy tak i Grundt byli Ślązakowcami, a więc Niemcami. A że ich przywódca renegat Kożdoń przeszedł w konflikcie o Śląsk na stronę czeską i ruchem ślązakowskim kierował teraz z Ostrawy, nie było wykluczone, że młody Grundt był tym trzecim dywersantem a może nawet dowódcą tej grupki, która miała przepro-

wadzić napad na gospodarstwo znanego działacza polskiego Karola Jungi w Żukowie Górnym.

Nie było również wykluczone, że dywersanci czescy mieli do dyspozycji granaty, które feldwebel Grundt zdążył przewieźć z magazynu garnizonowego do jakiegoś „lewego" magazynu i oddał teraz do dyspozycji czeskiemu ugrupowaniu dywersyjnemu w Gnojniku. Może granaty te leżały nawet w magazynie na dworcu w Ropicy. Telegraf i telefony w biurach na stacjach kolejowych działały, więc nie było trudno z Gnojnika do Ropicy przesyłać rozkazy, w jakich wypadkach mają być granaty użyte. Przenoszenie granatów przez linię demarkacyjną było ryzykowne. A tak granaty te leżały i czekały na swych użytkowników w strefie polskiej.

Było, jest i pewnie pozostanie zagadką, dlaczego nic nie wyszło z zamiarów dywersantów w trakcie przygotowań napadu na gospodarstwo Jungów. Może przypuszczalny dowódca grupki dywersyjnej młody Grundt się spił i dlatego nie przyszedł na umówioną zbiórkę w Ropicy. Jak sprawdziliśmy później, ten młody człowiek bardzo lubił alkohol i przy każdej okazji się upijał.

Szykowaliśmy się z Gajdaczkiem, że całą zagadkę rozszyfrujemy, ale niestety nie zdążyliśmy.

Na terenie naszej kompanii odbyło się jeszcze jedno zebranie czy też wiec plebiscytowy. Znów na granicy stref i to w gospodzie Na Tysiowicach w Ropicy. Zastosowaliśmy wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa. Terenu strzegły gęsto rozstawione nasze czujki i wiec się zakończył bez zakłóceń. Tylko w drodze powrotnej do Gnojnika, Ligotki i Toszonowic, zaraz za granicą w Trzycieżu, wykrzykiwały jakieś indywidua wulgarne obelgi na powracających uczestników wiecu.

Co najmniej dwa razy w tygodniu przesyłałem czy też osobiście składałem raport o sytuacji na terenie naszej kompanii mojemu przełożonemu, dowódcy zgrupowania POW w powiecie Cieszyn por. Jerzemu Szczurkowi. W opisywanym tu okresie zjawił się u mnie pewnego dnia goniec ze sztabu por. Szczurka z poleceniem natychmiastowego zgłoszenia się po odbiór rozkazów. Zdarzało się tak wówczas często, toteż podążyłem spokojnie do mego dowódcy. Zostałem przez niego poinformowany:

Według raportów wszystkich dowódców kompanii POW w powiecie Cieszyn oraz innych różnych informacji jest w Gnojniku silny, dobrze zorganizowany ośrodek dywersji czeskiej, w którym się cała antypolska działalność koncentruje, jest tam bardzo sprawnie koordynowana i wyrządza nam wielkie szkody. Działanie tego ośrodka musimy sparaliżować. W tym celu specjalna grupa członków POW przeprowadzi napad na ten ośrodek, głównie na stację kolejową i zniszczy, lub przynajmniej uszkodzi urządzenia służące temu ośrodkowi w jego działa-

niu. Ja zostałem wyznaczony na przewodnika tej grupy i miałem przeprowadzić dokładne rozeznanie terenu, budowli i urządzeń, które miały być zniszczone lub uszkodzone.

Po odebraniu tego poufnego rozkazu, który przyjąłem z pozornym spokojem, doznałem z uwagi na Jarkę Janalówną potężnego szoku i wracam zmaltretowany psychicznie na dworzec kolejowy. Po drodze wstąpiłem jak za dawnych sztubackich czasów do kościoła O. O. Bonifratrów i zacząłem się modlić żarliwie:

– Boże Wszechmocny! Pytam Cię, jak mam postąpić? Jak to ciężko stać mi na straży mego honoru żołnierskiego i wykonać otrzymany rozkaz, a jednocześnie iść za głosem mego serca i ratować ukochaną Jarkę od kalectwa a może nawet od śmierci.

Długo się tak modliłem. Po wyjściu z tej świątyni wstąpiłem jeszcze do sąsiedniego kościółka św. Trójcy, ale ani tam mi nie przyszło na myśl jakieś rozwiązanie tej trudnej sytuacji.

Poszedłem na rynek wprost na lśniącą w blasku wiosennego słońca i srebrzystych perłach szumiącej fontanny statuę św. Floriana. Spoglądam na tego dobrodusznego świętego, jakobym oczekiwał jakiejś pomocy od niego. Lecz święty ani drgnął.

Przed ratuszem odbywała się w tej chwili uroczysta zmiana warty francuskiej. Pod arkadami panował ożywiony ruch, a przed ratuszem stoi tłumek gapiów. Ja między tymi gapiami. Spoglądam z ciekawością na ceremonię zmiany warty i w tym momencie ściska mnie i całuje serdecznie mój wypróbowany druh z frontu rosyjskiego i włoskiego hallerczyk Zadora z Karwiny.

Na jego widok z radości z tego spotkania zapomniałem chwilowo o mej rozterce duchowej i słuchałem jego opowiadania. Mówił o perypetiach, jakie przeżył już beze mnie od początku grudnia 1917 roku, to jest od dnia, w którym zostałem ranny. Opowiadał o swej szczęśliwej dezercji w czasie Świąt Bożego Narodzenia do Włochów, o swoich przygodach w włoskim obozie jeńców, o wstąpieniu do błękitnej armii generała Hallera i o powrocie do Polski. Dowiedziałem się o śmierci jego ojca, który umarł na przedwiośniu niespodziewanie na zapalenie płuc. Pracuje ciężko na kopalni, aby utrzymać matkę i siebie, a jednocześnie jest oczywiście członkiem POW.

Po ukończonej ceremonii zmiany warty francuskiej udaliśmy się do kawiarni hotelu Pod Brunatnym Jeleniem. Odwzajemniając się, opowiedziałem Zadorze w skrócie o moich nieciekawych przygodach, no i w końcu o moim uczuciu do Jarki Janalówny w Gnojniku, o dzisiejszym rozkazie por. Jerzego Szczurka oraz o wynikłej stąd bezradności.

– Wyglądasz naprawdę, jakby cię zdjęli z krzyża. Nieraz cię ostrzegałem i ratowałem przed babkami, i nieraz się bałem, że wsiąkniesz

z powodu tej Jarki. Gdzie mieszka ten twój porucznik Szczurek? Prowadź mnie zaraz do niego! –

Zaprowadziłem Zadorę na Bobrek, gdzie por. Szczurek mieszkał. Polecił mi zaczekać w pobliskiej knajpie, a sam udał się do mego przełożonego.

Skutek był nadzwyczajny. Za niespełna trzydzieści minut przyszedł do knajpy osobiście por. Szczurek i zawiadomił mnie, że swój rozkaz anuluje i zwalnia mnie z uczestnictwa w planowanej akcji w Gnojniku. Zadanie to będzie powierzone komu innemu. Olbrzymi ciężar spadł mi z serca.

Było oczywiste, że takie rozwiązanie sprawy porządnie oblaliśmy. Chwialiśmy się trochę z Zadorą w drodze na dworzec kolejowy. – Niepoprawny mięczak i kochliwy bubek z ciebie! – kpił ze mnie Zadora. – Radzę ci, unikaj wszelkich babsztylów i tych głupich miłostek, bo nie będzie z tobą dobrze. I daj mi słowo honoru, że puścisz nareszcie kantem tę twoją gnojnicką Jarkę! –

Skłoniłem głowę pokornie na znak zgody. Na dworcu pożegnaliśmy się. Zdawało mi się, że Zadora spoglądał na mnie wyniośle może z odrobiną pogardy i chyba myślał o mnie: – Ty ofiaro głupiej miłości! –

Przypomniałem sobie w tej chwili również księdza profesora Tomanka i jego ulubiony cytat z Prousta: „Pozostawcie ładne kobiety ludziom bez wyobraźni!"

Kotłowało się wszystko w mej głowie w drodze do Ropicy. Wreszcie odetchnąłem jednak z ulgą i na podwórku naszego gospodarstwa, przed moim rodzinnym domem, zaśpiewałem na głos:

– Bywaj, Jarko, zdrowa! Ojczyzna mnie woła! –

Zanim znalazłem i wydostałem z kieszeni klucze od drzwi domowych, drzwi te się otwarły i moja droga matka, stojąca w tych drzwiach ze świecą w ręce zwróciła się do mnie ze słowami:

– Co sie tela rozdziyrosz na tym placu? Idź raczy spać! –

Pzypomniałem sobie w tej chwili pewną noc na polskim brzegu rzeki Zbrucz. Wtedy sobie uświadomiłem z pewnością, że powróciłem naprawdę do Polski.

„Na placu" naszego gospodarstwa w Ropicy była również Polska i co więcej – drzwi naszego domu, mojego rodzinnego domu, otwarła mi moja droga matka, najdroższa istota w tej Polsce.

Taki był epilog mojej pierwszej miłości. Miłości nieskalanej nawet pocałunkiem. Miłości niepozbawionej imaginacji i donkiszoterii, lecz czystej jak łza. Wciąż czuję jej niezapomniany urok, chociaż wiem, że Jarka była moim sztubackim, urojonym ideałem czy nawet fetyszem.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (6)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

W pierwszym okresie nie mogłem – rzecz jasna – podołać wszystkim narzuconym mi obowiązkom. Byłem bowiem piętnastolatkiem, w dodatku dość wątłej budowy. Za każde najmniejsze uchybienie lub niedokładność w pracy otrzymywałem lanie lub w najlepszym przypadku kilka szturchańców. Po pewnym jednak czasie bauer nie odważył się na podobne mnie traktowanie. Nie wiem, w jakim stopniu wpłynął na ową zmianę list brata Józka do bauera. Brat bowiem dobrze orientował się w mojej sytuacji. W liście napisał, że moi rodzice nie będą dłużej tolerować, by traktowano mnie jak niewolnika (napisał: als Sklavearbeiter). Była to niewątpliwie brawurowa odwaga, która mogła przynieść nieobliczalne skutki. Przeraziłem się, gdy bauer po otrzymaniu tego listu powiedział mi, że przedstawi go w Arbeitsamcie. Ale chyba tego nie zrobił, bo sprawa nie wywołała żadnych dla mnie negatywnych skutków. Wręcz odwrotnie – po pewnym czasie skończyły się dla mnie kary cielesne.

Ja również próbowałem na własną rękę ulżyć mojej niedoli. Mianowicie w lutym 1943 roku zwróciłem się pisemnie do Arbeitsamtu w Brzegu, by przeniesiono mnie do innego bauera. Otrzymałem negatywną odpowiedź. Brzmiała ona: Ihre Umvermitlung in eine andere Arbeitsstelle kann z. Zt. nicht erfolgen, weil Ihr Betriebsführer Sie dringend benötigt. A więc odpowiedź grzeczna, per Pan, że na razie (zur Zeit) nie można mnie przenieść, bo jestem „pracodawcy" pilnie potrzebny! Zapewne o tym moim podaniu bauer został powiadomiony. Dziś oceniam ten desperacki krok jako bardzo lekkomyślny, ale spowodowany był on nie tyle naiwnością, ile przede wszystkim determinacją.

Lekkomyślności i mało kontrolowanej młodzieńczej wyobraźni dawałem zresztą niejednokrotnie wyraz poprzez inne moje szalone pomysły, o czym dziś z perspektywy czasu wspominam z pewnym przerażeniem, że mogło się to wtedy skończyć tragicznie i dla mnie, i dla mojej rodziny. Najzuchwalsza bodaj była sprawa wysłania przeze mnie telegramu do domu o moim pogrzebie. Oczywiście o tym zamiarze wcześniej powiadomiłem rodziców. Do owej sytuacji doszło w sposób następujący. W liście prosiłem brata Józka, by do mnie przyjechał. Był on u mnie już przedtem dwukrotnie: najpierw, gdy wywieziony razem ze mną w 1940 roku pracował w niedalekim Konradswaldau, później, gdy w sierpniu 1941 roku wracał do domu z Westfalii, gdzie przez pewien czas pracował jako górnik. Wtedy też uciekłem od bauera i wraz z nim

pojechałem do domu. Na mój list brat odpisał, że kopalnia może udzielić mu krótkiego urlopu tylko na wypadek pogrzebu członka rodziny. Odpisałem, że taki telegram przyślę bezpośrednio po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi na moją propozycję. Gdy otrzymałem aprobatę na realizację mojego pomysłu, udałem się do miejscowej placówki pocztowej. Treść telegramu brzmiała: Der Boleslaus ist gestorben. Beerdigung am ... (tu dzień tygodnia i data, której nie pamiętam). Depeszę przyjmowała młoda Niemka, która będąc także listonoszem, doręczała mi korespondencję z domu. Gdy przeczytała treść telegramu, powiedziała: Sie sind doch der Boleslaus. Zaskoczyła mnie całkowicie, ale nie miałem już odwrotu. Tłumaczyłem jej, że Boleslaus to również imię mojego kuzyna o tym samym co ja nazwisku, który umarł w niedalekich Pampitz (dziś: Pępice). Jakoś uwierzyła w moje kłamstwa i przyjęła je współczującym westchnieniem: Och, Armer Kerl! (biedaczysko). Cała ta historia mogła jednak w dalszym swym rozwoju zakończyć się tragicznie. Oto nadaną przeze mnie depeszę przyjęła pracująca na poczcie w Górnej Suchej moja koleżanka z klasy. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że w Reichu umrzył synek Orszulików. Gdy matka przyszła do spożywczego sklepu po jakieś zakupy, natychmiast ucichł gwar znajdujących się tam kobiet. Po pewnym czasie jedna z nich podeszła do matki i zapytała: Óni ni po czornu? Dobrze się stało, że matka nic nie odpowiedziała, tylko rozpłakała się i wyszła. Na szczęście wkrótce wszyscy o „mojej śmierci" zapomnieli, zaś brat na podstawie tego telegramu otrzymał urlop i przyjechał do Kreisewitz. Ale dziś uświadamiam sobie, że była to z naszej strony (mojej i brata) wielka lekkomyślność, pozbawiona wszelkiej wyobraźni, mogąca pociągnąć za sobą tragiczne skutki. Usprawiedliwić to może tylko nieobliczalna nasza trudna młodość.

Innym znów razem przesłałem do domu zrzucone w Hamburgu przez alianckie lotnictwo kartki na zakup reglamentowanej żywności (Lebensmittelkarte) oraz odzieży (Kleiderkarte), nie informując jednak, że są to fałszywki. Były to karty, jakie otrzymywali Niemcy, a więc pozwalające ich właścicielom zakupić o wiele więcej towaru, niż mojej rodzinie w Suchej, otrzymującej mocno okrojone kartki dla Polaków. Alianckie kartki otrzymałem od mojego kolegi Stanisława Mitki, Polaka z Wielunia, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, kiedy pracował przymusowo w miejscowym folwarku. Przez pomyłkę został wcielony do Wehrmachtu. Służył w jednostce pancernej właśnie w Hamburgu. Przyjechał na urlop do Kreisewitz do swojej siostry, u której poprzednio mieszkał, a która przybyła tu jeszcze przed wojną na roboty (tzw. saksy) i wyszła za mąż za Niemca, otrzymując tym samym obywatelstwo niemieckie. Fakt ten – zdaje się – zadecydował o tym, że jej brata Stanisława powołano do niemieckiego wojska. Nie

był on jednak w Wehrmachcie zbyt długo. Ojciec bowiem, mieszkający w Wieluniu, gdy dowiedział się, że jego syn został bezprawnie wcielony do wojska, napisał protest (podobno do samego Hitlera). W każdym razie kolegę wkrótce zwolniono i powrócił znów jako polski robotnik do folwarku w Kreisewitz. Takie to dziwne koleje losu spotykały w tamtych czasach wielu ludzi. Otrzymane wtedy od „niemieckiego czołgisty" i przesłane do domu wspomniane karty zostały należycie wykorzystane przez matkę. Niczym nie różniły się od oryginalnych: miały identyczny nadruk (niby trudny do podrobienia) oraz pieczątkę z napisem Das Ernährungsamt in Hamburg z hitlerowskim orłem. Największą wartość miała Kleiderkarta, która zrealizowana w sklepie Badury w Górnej Suchej także i mnie przyniosła pewną korzyść. Ale była to znowu sprawa, która mogła mieć zupełnie inny obrót. Oj, ta młodość, ta młodość!

Wielkie przerażenie ogarnęło mnie po innym wydarzeniu sprowokowanym przez o dwa lata młodszego ode mnie syna bauera Erwina. Było to w pogodny i ciepły dzień września. W podwórzu ładowałem na wóz obornik, który wywoził bauer na odległe pole. Erwin, wracając ze szkoły w mundurze Hitlerjugend, zobaczył mnie stojącego bezczynnie. Zaczął na mnie krzyczeć, że się obijam. Nie wytrzymałem nerwowo i nabrawszy na widły mokrego obornika, rzuciłem nim w bezczelnego poganiacza. Ten, pochyliwszy się, próbował uciekać. Nie zdążył – obornik wylądował na jego plecach, plamiąc mu białą hajotowską koszulę. Z wielkim krzykiem pobiegł do domu, a ja struchlałem. Uświadomiłem sobie, że ten incydent zapewne nie ujdzie mi płazem. Ale i tym razem miałem wielkie szczęście. Skończyło się tylko na tym, że wzburzona bauerka skrzyczała mnie niemiłosiernie. Trochę się jednak uspokoiła, gdy przedstawiłem jej prawdziwą przyczynę zdarzenia (ona – w przeciwieństwie do bauera – traktowała mnie zawsze bardziej przyjaźnie). Przyjęła też moje tłumaczenie, że nie chciałem zbrudzić Erwina, lecz tylko go postraszyć. Ze strony zaś bauera nie miałem z tego powodu żadnych przykrości, jakby nic o tym nie wiedział.

Popełniałem także jeszcze inne, drobniejsze i mniej niebezpieczne „przestępstwa", które „urozmaicały" wlokące się dla mnie bardzo trudne dni, tygodnie, miesiące i lata. Najgorsze było to, że nie było żadnej perspektywy, która wskazywałaby na zbliżający się kres mojej poniewierki.

Dziś po latach i licznych przemyśleniach muszę jednak stwierdzić, że moja niewolnicza egzystencja u bauera była mimo wszystko bardziej bezpieczna niż mojej rodziny z polskim fingerabdruckiem w Suchej Górnej. Wprawdzie bracia byli również zmuszeni do katorżniczej pracy, starszy Józek – jak już wspomniałem – na kopalni, młodszy, Mietek, w firmie budowlanej, ale prócz tego żyli w wielkiej obawie przed aresz-

towaniem i ciągłej niepewności o własne życie. Ileż to razy moi rodzice, a wraz z nimi obaj bracia przeżywali chwile pełne grozy, gdy hitlerowcy przeprowadzali bandyckie akcje terrorystyczne i odwetowe wobec Polaków (np. publiczne powieszenie 6 Polaków w Górnej Suchej, tragedia rozstrzeliwania Polaków związana ze sprawą w sąsiednich Żywocicach, systematyczne aresztowania itp.). Kilka razy podczas takich akcji ojciec wraz z braćmi uciekali w nocy z domu, by znaleźć chwilowe schronienie u mojej zamężnej siostry w Karwinie na Sowińcu. Ja natomiast nie przeżywałem takich stresów. Paradoksalnie u bauera miałem poczucie względnego bezpieczeństwa. Z upływem zaś czasu coraz trudniej było bauerom zdobywać nowych niewolników do pracy, stąd też mój „szef" (tak kazał się nazywać) stał się nieco łagodniejszy, nawet po mojej wspomnianej ucieczce do domu, gdy schwytany w Górnej Suchej przez policję ponownie musiałem wrócić do Kreisewitz (fakt ten oceniam również jako bardzo szczęśliwy!). Niemniej w trakcie mojego 5-letniego dorastania do pełnoletności mój stosunek do pamponia (tak nazywaliśmy bauerów) stawał się coraz bardziej wrogi. Po prostu był on moim gnębicielem, który wymagał ponad moje siły, nie okazywał mi żadnego zrozumienia w chorobie i traktował mnie jak niewolnika będącego jego własnością.

Inni niemieccy farmerzy różnie traktowali Polaków, ale tylko nieliczni obchodzili się z nimi w sposób bardziej humanitarny. Należał do nich Richard Gerstenberg, u którego pracował Janek Piechowicz z Olkusza. Dość często odwiedzałem Janka. Niejednokrotnie do naszej rozmowy przyłączał się jego bauer, który nie ukrywał przed nami, że nie akceptuje aktualnej sytuacji politycznej w Niemczech. Kiedyś powiedział nam, że jest również PeGe (PG było skrótem słowa Parteigenosse, czyli oznaczało członka NSDAP), lecz natychmiast dodał: Parteigegner (przeciwnik partii).

Przeważnie jednak polscy robotnicy byli eksploatowani ponad ich siły. W Kreisewitz był nawet śmiertelny wypadek. Niejaki Walter Scholz codziennie zmuszał młodziutką Anię do wydobywania z kopca kilku koszy buraków na karmę dla krów. W miarę ich wydobywania powstał dość długi tunel ze zmarzniętej ziemi. Mimo wiosennych roztopów Scholz nie likwidował tunelu, lecz nadal wymagał, by Ania, czołgając się, kontynuowała tę pracę. Pewnego dnia ciężka ziemia przywaliła na śmierć młodą Polkę. Początkowo nie wiedzieliśmy, co z Anią się stało – zniknęła bez śladu. Dopiero po pewnym czasie podsłuchałem rozmowę Scholza z Raabem, z której dowiedziałem się o prawdziwej przyczynie jej tragedii. Nadal jednak nie wiedzieliśmy, co stało się ze zwłokami Ani oraz czy o jej śmierci zostali powiadomieni rodzice.

c.d.n.

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

CO NOWEGO

W CZESKIM CIESZYNIE I... KOCOBĘDZU

Jednym z dwóch kandydatów wybranych w 1994 roku z listy Ruchu Politycznego „Coexistentia–Wspólnota" do przedstawicielstwa miejskiego w Czeskim Cieszynie był mieszkaniec obecnie już samodzielnego Kocobędza 43–letni inż. Jan Branny, technik, zatrudniony w firmie AUTEL–Trzyniec.
Inż. Jana Brannego, działacza Wspólnoty i członka PZKO w Kocobędzu, odwiedziłem 31 marca. Interesowała mnie przede wszystkim jego działalność w przedstawicielstwie czeskocieszyńskim oraz problematyka podejmowana na zebraniach przedstawicielstwa.

W 1994 roku wybrano 27–osobowe przedstawicielstwo, w którym przeważały partie ODS (6 członków) oraz KDU–ČSL i KDS (po 4 członków), reprezentowane są też ČSSD i KSČM oraz kilka mniejszych partii, wśród nich Wspólnota.

Zebrania zwoływane były 4 razy w roku w ratuszu, jedno zebranie odbyło się w budynku szpitala. Zdarzało się konieczne zwołanie nadzwyczajnego zebrania. Podczas obrad przeważała dyskusja nad budżetem miasta i decyzje w sprawach majątkowych.

Nawiązano współpracę z władzami polskiego Cieszyna. Dwa razy w roku spotykaliśmy się na przemian w Polsce i u nas z członkami Rady Miasta Cieszyna, która jest odpowiednikiem naszego przedstawicielstwa miejskiego. W dyskusjach przeważała problematyka rozwoju kultury i poprawa ekologii. Udało się też zapewnić bezpośrednie połączenie telefoniczne na linii burmistrz Cieszyna – starosta Czeskiego Cieszyna. W niedalekiej przyszłości zaplanowane jest spotkanie przedstawicieli miast granicznych, takich jak Cieszyn, np. Komarno, Zgorzelec.

Czeski Cieszyn postrzegany jest jako bogate miasto. Ludzie odwiedzają targowisko, rozwija się handel?

Boom targowy jest już niestety za nami. Kiedyś dochody z handlu były większe. Poza tym znaczne koszty pochłania np. sprzątanie miasta, zapewnienie porządku publicznego i inne uboczne wydatki.

W związku z tym chciałbym podkreślić, że niekorzystne z punktu widzenia radnych były zmiany w finansowaniu kasy miejskiej. Maleją dochody z podatków od płac, które miały progresywną tendencję.

Niestety obecnie w podatkach pobieranych od osób fizycznych i prawnych obserwujemy zastój.

W prasie wiele miejsca poświęcono ostatnio problematyce działalności służby zdrowia, a konkretnie szpitala w Czeskim Cieszynie?

Szpital w Czeskim Cieszynie jest obecnie szpitalem miejskim. Standard tu jest wysoki, wykorzystanie stuprocentowe. W całości odnowiono np. oddział położniczy. Niestety zgodnie z decyzją ministerstwa szpital przeznaczony jest do likwidacji i przekształcenia go w lecznicę dla osób przewlekle chorych. Miasto pisało w tej sprawie listy do ministerstwa.

Decyzje te są dla radnych niezrozumiałe. Większość małych szpitali wykazuje zysk. Koszty są większe np. w szpitalu w Hawierzowie. Osobiście nie rozumiem, dlaczego ubezpieczalnie miałyby decydować o likwidacji szpitali. Jeśli szpital zadłuży się, to sam dojdzie do wniosku, że zmiany są konieczne.

Od 1 stycznia br. jako mieszkaniec Kocobędza, zgodnie z ustawą był pan odwołany z przedstawicielstwa w Czeskim Cieszynie. Będzie pan kandydował do samodzielnych władz Kocobędza. Proszę przekazać czytelnikom ZWROTU informacje o zbliżających się wyborach komunalnych w Kocobędzu?

Głównym impulsem, który spowodował, że obywatele Kocobędza w referendum zdecydowali o usamodzielnieniu się gminy, była decyzja władz miasta o budowie parkingu dla TIR-ów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zadecydowało, że wybory w Kocobędzu odbędą się dopiero 25 kwietnia.

Obywatele Kocobędza zrezygnowali z tworzenia politycznych list wyborczych. Chcieliśmy, by we władzach zasiedli ludzie kompetentni i zasłużeni dla Kocobędza. W skład Kocobędza wchodzą trzy wioski - Kocobędz, Ligota i Podobora, kiedyś samodzielną wioską była również Wyrąbana. Do 9-osobowego przedstawicielstwa w prawyborach obywatele wybrali po 3 mieszkańców z poszczególnych wiosek, które wchodzą w skład gminy. Wybory w dniu 25 kwietnia będą już tylko potwierdzeniem prawyborów. Do przedstawicielstwa wejdzie 2 Polaków, oprócz mnie inż. Bronisław Mrózek. Członkiem władz będzie też MUDr Karel Dziadek z KDU-ČSL, który był również członkiem przedstawicielstwa w Czeskim Cieszynie.

Przedstawicielstwo w Kocobędzu będzie działać do czasu ogólnopaństwowych wyborów w listopadzie br. Jedną z jego najważniejszych decyzji będzie sprawa Domu Kultury, wybudowanego w czynie społecznym. Trzeba powalczyć, by został on bezpłatnie przekazany gminie.

TADEUSZ TOMAN

LIBOR MARTINEK

STYLIZACJA I INTERTEKSTUALNOŚĆ W POEZJI RENATY PUTZLACHER

Literatura polskojęzyczna, powstająca na terenie Republiki Czeskiej, należy w ramach literatury polskiej w zasadzie do piśmiennictwa kresowego, w kontekście literatury czeskiej zaś zajmuje pozycję literatury mniejszości narodowej. W obydwu przypadkach mamy do czynienia z twórczością peryferyjną, na uboczu. Uwaga krytyki i literaturoznawstwa przy tym skierowuje się na ogół na tradycyjne środowiska kulturalne, będące niejako głównymi czynnikami w procesach kulturalnych i cywilizacyjnych. Czy zatem miałoby to oznaczać, że kultura mniejszości narodowych nie oddziałuje na dynamikę rozwojową dominującego pod względem językowym i terytorialnym nurtu piśmiennictwa i że nie jest w stanie wpływać w sposób zwrotny na stan życia literackiego na danym terenie językowym? Pozwalam sobie stwierdzić, że bynajmniej. W Polsce aktualnie poświęca się literaturom kresowym coraz więcej uwagi. W twórczości noblisty literackiego Czesława Miłosza, wywodzącego się przecież z kresów litewskich, spotkamy tak powroty do korzeni, jak również stanowiska uniwersalistyczne. Literaturę polskojęzyczną z terenów czeskiego Śląska Cieszyńskiego określa się w literaturze polskiej od lat dwudziestych naszego wieku terminem „literatura na Zaolziu".[1]

Renata Putzlacher (ur. 15.6.1966 w Karwinie) po maturze w Gimnazjum Polskim w Czeskim Cieszynie ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Do roku 1997 była kierownikiem literackim Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego.

Renata Putzlacher należy do generacji, którą ukształtował kryzys moralny i polityczny lat osiemdziesiątych. W roku 1986 pojawił się w Polsce słynny zbiorek poetycki Wisławy Szymborskiej „Ludzie na moście". W tym samym roku literackie podziemie krakowskie założyło czasopismo „bruLion" redagowane przez Roberta Tekielego i grupę jego przyjaciół. Pismo wykreowało generację nazwaną dziś „Parnasem-bis" względnie pokoleniem „bruLionu", tzn. pisarzy urodzonych w latach 1960-1970. Lata osiemdziesiąte okazały się też niezwykle istotne dla młodszej literatury polskiej na Zaolziu. W roku 1985 pojawił się

w Ostrawie almanach poezji i prozy zatytułowany „Spotkanie", w którym debiutowała również Renata Putzlacher. Poszło o prawdziwe spotkanie młodych poetów, jednakże o spotkanie ponadgeneracyjne, skoro uczestniczyli w nim także poeci urodzeni przed rokiem 1960, jak Stanisław Jedzok i Franciszek Nastulczyk.

Samodzielny zbiorek wydała Putzlacher w wieku swych dwudziestu czterech lat pod tytułem „Próba identyfikacji", w którym wypowiadała się na temat sensu istnienia. Próbowała zatem w swym młodzieńczym buncie oraz na podstawie swych doświadczeń akademickich analizować własny charakter i poszukiwać najcenniejszych właściwości ludzkiego życia. Chodziło o bunt młodej kobiety przeciwko głupocie i konwencjom; jej zdecydowanie i bezpośredniość, z jaką burzyła zastane wyobrażenia o patriotyzmie, powinny były zainteresować ludzi wolnomyślnych, odstraszyć zaś ludzi chwiejnych w środowisku literackim Zaolzia, które do końca lat pięćdziesiątych stawiało na służenie specyficznym potrzebom kulturalnym jego polskojęzycznych mieszkańców. Tamta ograniczana artystycznie twórczość regionalna została przezwyciężona dopiero przez generację almanachu „Pierwszy lot" z roku 1959 (należą tutaj Wilhelm Przeczek, Władysław Sikora, nieżyjący już Adolf Dostal, Janusz Gaudyn, Wiesław Berger i in., po powołaniu zaś Grupy Literackiej'63 w Trzyńcu Gustaw Sajdok, Jan Pyszko, Kazimierz Jaworski i in.); przeważnie spotkał tę generację zakaz publikacji na początku tzw. normalizacji po roku 1969. Świeża absolwentka filologii polskiej prestiżowego uniwersytetu, przywykła do ożywionego ruchu kulturalnego i akademickiego w galicyjskiej metropolii, znalazła się nagle wobec szarej prowincjonalnej rzeczywistości.

Podmiot liryczny tomu „Próba identyfikacji" z ironią i osobistym sarkazmem dotyka najróżniejszych aspektów regionu, poddaje go wszelakim próbom i (aby sparafrazować Marcela Prousta) poszukuje w nim czasu teraźniejszego epoki. *To jednak ja / dziewczyna z małego miasteczka / z nabytym instynktem / ukrywania się (...) kozica ofiarna / i Erynia w zamierzeniach / matka Polka / z obwisłą piersią (*z wiersza „Próba identyfikacji"*)*. Autorka usiłuje zatem zidentyfikować się z krainą swych ojców, wynik wszak okazuje się groteskowy, ponieważ obserwujemy tutaj napięcie pomiędzy rolą prywatną a publiczną. Sprzeciwianie się stereotypom narodowym, hasłom, mitom i tradycjom jest więc traktowane jako wezwanie młodości do przezwyciężania zastanych wartości polskiej diaspory i odnajdywania aktualnych wartości.

Pędowi autorki do spełniania się i do szczerości twórczej oraz do odkrywania pewników oraz własnej tożsamości towarzyszy w zbiorku pro-

ces uświadamiania sobie i podkreślania języka osobistego, szerzej zaś stylu artystycznego. Walorem tekstów pierwszego zbiorku jest dążenie do maksymalnej konkretyzacji realności w lapidarnym i aforystycznym stylu. Jak zauważył Zbigniew Machej: Mądrość tych proroctw jest banalna, ale i niezaprzeczalna. W wielu swoich wierszach weryfikuje potoczne porzekadła i komunały przekazywane z pokolenia na pokolenie. Usiłuje też zbadać magiczną moc znaków popularnej kultury – literatury, teatru, malarstwa. (...) Natomiast wielką zaletą tych tekstów jest ich lapidarność, która w niektórych fragmentach osiąga stężenie stylu aforystycznego. Odległym patronem tej poezji jest Stanisław Jerzy Lec.[2/] Pewność siebie oraz świadomość własnego stylu, jako zasady jednoczącej formułowanie wypowiedzi o świecie, idzie u Putzlacher w parze z niespełnioną tęsknotą za samodzielnością, za materialną i (jak to zobaczymy w tomach następnych) kobiecą niezależnością, za przezwyciężaniem indywidualnej izolacji poprzez wolność stylu i osobowości (*...może z kimś / się zwiąże. / Może przywiąże się / do życia.../ Jak?*, czytamy w wierszu „Rozwiązania?"). Struktura owych tekstów poetyckich zdradza również niektóre pierwiastki autoartykulacji, które mogą nasuwać obserwatorowi określone możliwości oraz punkty widzenia. Putzlacher stylizuje się poprzez liryczne „ja" do roli kobiety prowincjonalnej, „emancypantki od siedmiu boleści" (z wiersza „Próba identyfikacji"), co można przyjąć za zabieg stylizacyjny przenikający z warstw tekstu literackiego na tereny autoprojekcji podmiotu autorskiego. Stylizacja podmiotu autorskiego w debiucie Putzlacher nie pojawia się na razie w bardziej zdecydowanej i sprecyzowanej formie, niemniej znajdziemy tutaj pierwsze sygnały późniejszych tendencji autostylizacyjnych.[3/]

Głównego zamierzenia swej poezji – poszukiwania własnej tożsamości – nie wyzbyła się autorka również w dwóch kolejnych zbiorkach liryki miłosnej i rodzinnej: w „Kompleksie Ewy" (Kraków 1992) i „Oczekiwaniu" (Trzyniec 1992), z tym że autorefleksje na temat swej tożsamości w środowisku regionu cieszyńskiego zastąpiły próby utożsamienia siebie w roli kobiety i matki. Od sprawdzania warunków życia i twórczości w regionie pogranicza przechodzi do badania czegoś, co można by – cum grano salis – nazwać „duszą kobiecą". A priori można sądzić, iż wiersze „Kompleksu Ewy" tym samym uzyskują uniwersalniejszy wymiar niż to zdarzyło się w debiucie. Wiersze zatytułowane: „Ewa wygnana", „Ewa schyłkowa", „Kompleks Ewy", „Weronika", „Maria z Magdali", „Penelopa dolorosa", „Po Hamlecie", „Westalka" itd. nawiązują swymi aluzjami do pretekstów starozakonnych, nowozakonnych, homerycznych, szekspirowskich i in., są też dalszym wyrazem stylizacji autorki,

którą można też uważać za kwestię intertekstualną, będącą wynikiem poszukiwania paralel między kobietą końca XX. stulecia a kobietą z innych epok historycznych. Intertekstualność zachowuje tutaj zdolność do przesunięć znaczeniowych w związku z ponownym odczytywaniem dziejów przez autorkę. Przymiarki kostiumów z różnych epok umożliwiają niechybnie znajdowanie nowych oraz uniwersalniejszych horyzontów twórczych niż dotąd.

Jeśli chodzi o bliski „Kompleksowi Ewy" zbiorek „Oczekiwanie", to Marta Fox napisała o nim: *Wiersze Renaty Putzlacher (...) poruszyły podstawy mojego odczuwania i myślenia. (...) Są konsekwencją indywidualnych doświadczeń kobiety, przeżywającej swoją macierzyńską inicjację, objawienie. Nazywając wrażenia, kobieta ta chce zrozumieć siebie samą, a jednocześnie dać światu siebie świadomą, przygotowaną do wszelkich ograniczeń narzuconych z zewnątrz, przygotowaną do macierzyństwa. Autorka poprzez własną poezję próbuje uporządkować swój świat, a także nas wprowadzić w jego magię.*

Do kolejnej symboliki regionu zaolziańskiego, własnego rodu oraz swych austriacko-galicyjskich korzeni wraca Renata Putzlacher w tomiku „Ziemia albo-albo" (Czeski Cieszyn 1993) - bogatsza o szerszą świadomość konwencji literackich, a także sprawniejszych form poetyckich niż uprzednio; na rozwój jej poetyki oddziaływała współczesna poezja polska, zwłaszcza wiersze Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza i in. W „Ziemi albo-albo" spotkamy też odniesienia intertekstualne do bloków semantycznych tomu Czesława Miłosza „Ziemia Ulro"; tytuł jest wyjęty z Blake'a i oznacza u niego kraj ludzi wydziedziczonych (w sensie ontologicznym), rozdartych, przypisujących człowiekowi najwyższe znaczenie, a zarazem przekonanych o jego nicości, oraz do zbiorku „Divertimento litewskie" Josifa Brodskiego.[4] Z punktu widzenia stylizacji artystycznej, jak również autostylizacji ludzkiej, Renata Putzlacher zaczęła formować swój mit „wnuczki monarchii" (z wiersza „Wnuczka monarchii"), urodzonej dla prowincji mieszkanki „czwartego wymiaru" (z wiersza „Dorastanie do rodowodu"), podkreślającej swe austriacko-ukraińsko-galicyjskie korzenie nie tylko w strukturze wiersza, ale także w wstępie do zbiorku (nieco później podobny temat podejmuje w miesięczniku Śląsk [5]). Swoista hiperbolika stylu autorki stanowi tutaj oczywiście element „praktyki dyskursywnej" oraz „faktów tekstualnych". Podobnie jak w debiucie „Próba indentyfikacji", również tutaj struktura tekstu poetyckiego zawiera wyraźne pierwiastki autointerpretacyjne, które z praktycznych, ideowych lub innych jeszcze względów podpowiadają czytelnikowi sens komunikatywnego, a zwłaszcza wartoś-

ciującego przekazu. Nie jest istotne to, że zbiorek „Ziemia albo-albo" spotkał się na Zaolziu z pozytywnym przyjęciem, w Warszawie zaś wytknięto mu zbytnią „zaolziańskość" - w porównaniu z poezją cieszyńską Jerzego Kronholda i Zbigniewa Macheja. Istotna pozostaje estetyczna ocena książki. Odgórne, pozaartystyczne kryteria jedynie komplikują nam sytuację, zwłaszcza gdy przedostają się do sfer krytycznoliterackich i gdy sugerują sposoby podchodzenia do oceny dzieła. Dążność autorki do autostylizacji w stosunku do twórczości i świata jest naturalna. Renata Putzlacher żyje obecnie, jak zaznaczono, na peryferii, na marginesie. Ów „margines" przy tym bywa rozumiany jako coś, co nie uczestniczy w utwarzaniu wartości. Często przekonujemy się, ku swemu zaskoczeniu, że „margines" w szerokim słowa znaczeniu dopełnia kontekst kulturalny, w głębszym sensie zaś stanowi konieczną alternatywę dla tego, co dominujące i preferowane w centrum, co narusza próżność ustalonych prawd i w ten sposób wspiera podtrzymywanie autentyzmu twórczego. Przypomnijmy tutaj autorów czeskich, którzy zgłaszali swe przodowanie i nowatorstwo, a jednak długo należeli do outsiderów. Dostrzegamy to (w różnej mierze) np. u Jaroslava Haška, Ladislava Klímy, Bohumila Hrabala, Jana Hanča. Dążenie Renaty Putzlacher do ułatwionego odczytania swego tekstu za pomocą stylizacji blokuje jednak i ogranicza możliwości semantyczne owego tekstu, chociaż na jego tle może to być dostrzegane jako „metagest" w mobilizacji indywidualnych doświadczeń świata. Stylizacja bowiem okazuje się jednym ze stałych pierwiastków subiektywnego obrazowania autorskiego, skutecznego lub nie. Patrzenie przez optykę stylizacji może objaśniać niektóre aktualne układy i sygnały literackie, może zwracać uwagę na zjawiska peryferyjne lub marginalne granice względności.

Najnowszy zbiorek Renaty Putzlacher „Małgorzata poszukuje Mistrza / Markétka hledá Mistra" (Czeski Cieszyn 1996) jakby skupiał w sobie główne jak dotąd cechy jej twórczości lirycznej i jakby stał otworem przed nowymi faktami znaczeniowymi. Strukturalnym i semantycznym pretekstem nowej, złożonej i rozwarstwionej znaczeniowo struktury tomu, tj. celowo i świadomie podjętym oraz oczywistym dla odbiorcy sposobem, staje się powieść „Mistrz i Małgorzata" Michaiła Anasjewicza Bułhakowa. Autorka nawiązuje intertekstowo do dzieła Bułhakowa formą dialogową, w sposób afirmatywny (za pośrednictwem aluzji i cytatów) oraz kontrowersyjny (poprzez persyflaż i parafrazę), więc nie całościowo, a transtekstualnie. Już odniesienie do nazwy książki Bułhakowa sygnalizuje nawiązywanie paratekstowe poprzez zmityzowanie tytułu zbiorku „Małgorzata poszukuje Mistrza" (podobnie postępowała autorka

w przypadku poprzedniego zbiorku „Ziemia albo-albo"). Specyficznym przypadkiem relacji paratekstowej stały się koneksje (związki) intermedialne tekstu literackiego z systemami znakowymi realizowanymi również sposobem pozajęzykowym. Zwrócę uwagę zwłaszcza na ilustracje artysty malarza Macieja Bieniasza, którego obrazy powstawały niezależnie od zbiorku i które (wraz z jego interesującymi spostrzeżeniami dotyczącymi Bułhakowa) zainspirowały również niektóre wiersze tomu. Swoją rolę w trakcie powstawania tekstów poetyckich zbiorku odegrały także (prócz lektury książki) mocne przeżycia emocjonalne związane z obejrzeniem wersji teatralnej - teatr zresztą należy do najbardziej złożonych form znakowych - „Mistrza i Małgorzaty" Bułhakowa z okresu krakowskich studiów autorki; dopiero po spektaklu doszło do dokładnej i wielokrotnej lektury książki (ale to już tereny psychologii twórczej). Jakkolwiek krytyka obserwuje procesy intertekstualne zwłaszcza w dziełach postmodernistycznych (u Jorge Luisa Borgesa, Umberta Eco, Pavla Vilikovskiego i in.), nie mam wcale zamiaru uważać tomu „Małgorzata poszukuje Mistrza" za postmodernistyczny. Postmodernizm stawia mocno na destrukcję, dekonstrukcję tekstu, przeważa palimpsestowość, gdy tymczasem Renata Putzlacher pojmuje swoje nawiązywanie twórcze do pretekstu bułhakowowskiego w zasadzie w duchu modernistycznym. Autorka nie usiłuje deheroizować, demistyfikować ani demityzować wielkich postaci historycznych, ustosunkowuje się jednak do głównych bohaterów powieści Bułhakowa (Poncjusz Piłat, Mistrz, Małgorzata, Margot, Jeszua Ha-Nocri) w sposób persyflażowy, aby w dyskursie noetyckim dzieła literackiego komentować ich role, przewartościowywać je i oceniać. Z mnóstwa aluzji literackich wyłania się na powierzchnię napomknienie o materii faustowskiej (Małgorzata decyduje się dla swej miłości do Mistrza na samounicestwienie). Motyw poświęcenia się Małgorzaty został ujęty w dwóch odrębnych gatunkowo tekstach: w powieści Bułhakowa w postaci dialogu, w zbiorku Renaty Putzlacher zaś w postaci monologu. U Goethego Małgorzata symbolizuje istnienie rodzaju ludzkiego, swym postępowaniem wszak uzasadnia faustowską przemianę biblijnego wiersza: Na początku było słowo na Na początku był czyn. Jeżeli współczesność, stawiając człowiekowi mnóstwo pytań negujących sens jego istnienia, więc kwestionujących tym samym ów „czyn", który przekształca, a nieraz niszczy świat i dzięki któremu ludzkość wyprzedza zdolność swej historycznej autorefleksji, to w finale wiersza Renaty Putzlacher „Z Fausta" możemy przeczytać o ufności w przyszłość, w wierszu *Chciałam ci dać dar bezcenny syn mógł być twoim perpetuum.* Spośród innych metatekstowych przekazów zbiorku

„Małgorzata poszukuje Mistrza" zwracam też uwagę na aluzje dotyczące biblii, kultury antycznej i średniowiecznej oraz poezji autorów polskich. W związku z tym nasuwa się istotna kwestia wartościującego aspektu intertekstualności, której wyniki przede wszystkim tutaj obserwujemy (przy czym nie mam na celu związków transtekstualnych z ich specyfikacją; rozumiem je jako punkt wyjścia do odkrywania potencjału znaczeniowego tekstu literackiego). Odpowiedź na postawione pytanie nasuwają badania neostrukturalisty praskiego Mojmíra Otruby: Kiedy tylko w tekstacji dzieła artystycznego pojawiają się związki międzytekstualne, należy zawsze skonfrontować energię semantyczną rodzącego się tekstu odnośnego (tutaj teksty zbiorku „Małgorzata poszukuje Mistrza") z energią semantyczną zawartą w tekście warunkującym (tekst powieści „Mistrz i Małgorzata" Bułhakowa, „Faust" Goethego itd.), który aktualizuje również historyczny zasięg kulturalny. Obydwie te energie tekstu warunkującego i odnośnego prowadzą do ujednolicenia w osobie autora tekstu (w tym przypadku w osobowości twórczej Renaty Putzlacher). Idzie zawsze o nowo powstający tekst, co wartościuje pozycję nowego dzieła, można zatem uważać ów proces za proces przewartościowania, którego wynikiem są nie zwyczajne zmiany, a wprowadzenie nowych wartości.[6]

Podkreślam te sprawy z uwagi na aksjologię związków i pozycji międzytekstualnych architekstu Bułhakowowskiego a zbioru „Małgorzata poszukuje Mistrza".[7]

Nie odważam się scharakteryzować osobowości Renaty Putzlacher jako konkretnej osoby psychofizycznej, chętnie wszak zastanowię się tutaj nad niektórymi dominantami tomu „Małgorzata poszukuje Mistrza" jak również nad ujawnianiem się podmiotu lirycznego w tekstach wierszy. Mówiąc metaforycznie o Małgorzacie poszukującej Mistrza – kolejna ta relacja, tym razem w kategoriach płci, staje się dla autorki punktem wyjścia do krytycznego ustosunkowania się wobec androcentrycznie zorientowanej i „prawem ojcowskim" uwarunkowanej kultury, w której subiekt kobiecy (kobiecość) pozostał niewypowiedziany lub stłumiony. Podmiot liryczny (Małgorzata, Margot, Margareta) nie przejawia dążeń emancypacyjnych wobec mężczyzn i mężów (Mistrza i mistrza), lecz podkreśla i preferuje – w sensie pozytywnym – swą odrębność, odmienność. Problemy autoidentyfikacji i autoartykulacji, ironizowane przez poetkę (co uwidoczniło się m.in. w tytułowym wierszu „Małgorzata poszukuje Mistrza"), wynikają stąd, że procesy te wymagają również określonej pozycji podmiotu kobiecego w społeczeństwie. W przypadku literata idzie o ustosunkowanie się do kompetencji mowy,

którym dziś z rzadka dysponuje kobieta (za przykład może tu posłużyć wiersz „O młodych poetkach"). Nie idzie jedynie o różnice rodowe jako decydujące fakty w identyfikacji i autoartykulacji podmiotu. Różnicujące tendencje na terenie archetypów obojga płci są w sensie ontologicznym częścią faktorów, które oddziałują w ramach skali innych faktorów (jak narodowość, wiek, zaplecze zawodowe lub artystyczne, religia itp.). Podkreślenie odnośnej kategorii, obecnej w symbolice i treści, zwraca uwagę podmiotu lirycznego na centralność stosunków manifestowaną przede wszystkim przez religię. Skupienie to charakteryzowało wiarę społeczności izraelskiej jak również życie i dzieło Jezusa Chrystusa. W ten sposób można interpretować tak wiersz *nawróć mnie rabbi / bo nie rozumiem twojej religii* (z wiersza „Rozmowa z rabbim"), jak również pytanie *kim jestem dzieckiem Boga Mistrza czy szatana* (z wiersza „Bal Małgorzaty") i wreszcie odpowiedź na nie w „Modlitwie Małgorzaty": *Mój pierwszy i ostatni Mistrzu.*

Próbuję tutaj, w dyskursie intertekstualności, scharakteryzować niektóre jej sygnały w tekstach ostatniego zbiorku Renaty Putzlacher. Idzie o jeden z kilku możliwych i nasuwających się sposobów „odczytania" tekstu (przychodzą mi na myśl także inne strategie odczytania tomu „Małgorzata poszukuje Mistrza" i jego interpretacji – z położeniem nacisku na egzystencjalną dominantę tekstu, na sposób krytyki psychologicznej lub też na dyskurs feministyczny).

Jeśli spojrzymy wstecz na twórczość cieszyńskiej autorki, zamieszkałej obecnie w Brnie, zauważymy u niej przeplatanie się dwu podstawowych linii tematycznych. W pierwszym zbiorku identyfikacji z rolą kobiety i matki, potem nastaje dalszy powrót do korzeni i toposu Zaolzia, dotychczasowym zaś szczytem owej twórczości jest problematyka związku pomiędzy mężczyzną a kobietą. Interesującą cechą rozwoju artystycznego Renaty Putzlacher jest przy tym potęgowanie się fenomenu stylizacji i intertekstualności, które w różnych warstwach jej liryki przeplatają się i uzupełniają. Fenomeny te wiążą się z pozycją autorki na „marginesie" tak polskiego jak czeskiego życia kulturalnego i z takiego punktu widzenia są bardziej uchwytne i poddające się interpretacji.

tł. Saw

[1]Polski historyk literatury prof. Edmund Rosner rozumie pojęcie Zaolzia jako termin używany od połowy lat dwudziestych naszego stulecia dla tej części Śląska Cieszyńskiego, która po jego podziale przypadła Republice Czeskiej. W treści owego pojęcia mieści się perspektywa polska, z pozycji Polski (np. polskiej części Śląska Cieszyńskiego), bowiem

teren ów znajduje się za rzeką Olzą, stanowiącą granicę między Polską a Republiką Czeską. Polska przydawka „zaolziański" nie dotyczy przejawów kultury Czechów, Słowaków i Austriaków względnie dalszych narodowości, które zamieszkiwały bądź zamieszkują zachodnią część Śląska Cieszyńskiego, odnosi się natomiast do dorobku twórczego Polaków zamieszkałych na tym terenie. Termin „literatura zaolziańska" nie może być używany w znaczeniu literatury narodowej lub piśmiennictwa określonego regionu, lecz wyłącznie w sensie zapisu świadomości polskiej zbiorowości, wyróżniającej się tym, że żyje poza krajem (nie jest to jednak twórczość emigrantów, ale polskich autochtonów, żyjących w Republice Czeskiej, podobnie jak literatura Polaków na Litwie lub na Ukrainie). Por. Rosner Edmund „Literatura polska z czeskiego Śląska", Cieszyn, UŚ Filia w Cieszynie 1995, s. 24–25.

[2]/Machej Zbigniew „Próba generalna", Zwrot, Czeski Cieszyn 1991, nr 5, s. 66.

[3]/Przez stylizację rozumiemy proces stylowej sugestii, wyłaniania się szczególnej płaszczyzny znaczeniowej, która zjawia się w trakcie formułowania wypowiedzi jako tematyzacji własnej specyfiki i zamiarów. Na temat owego pojęcia wypowiadali się np. Mukařovský, Hausenblas, Sontag, Bachtin, Scherer, Broo–Rose. Por. Merhaut Luboš „Cesty stylizace", Praha UČL AV ČR 1994, s.12.

[4]/Na światowe literaturoznawstwo wpłynęło w ostatnich dziesięcioleciach studium intertekstualności. Twierdzi się zazwyczaj, że jego teoretycznym inspiratorem jest M.M. Bachtin, wybitną kontynuatorką zaś francuska teoretyk literatury J.Kristewa oraz strukturalista francuski Gérard Genette. Zainteresowanie intertekstualnością wynika również stąd, że w beletrystyce dziś spotykamy się bardzo często z tym co jest istotne dla tego zjawiska, tzn. z różnymi formami udostępniania i replikowania tego, co już powstało wcześniej i weszło do dorobku historycznego. Niezbędnym założeniem literatury pozostaje sama literatura – literatura w nieodzowny sposób wyłania się z literatury. W ramach praskiego strukturalizmu (oraz neostrukturalizmu), do którego pozwolę się zaliczać, zjawisko to nazywane jest terminem „mezitextovost".

[5]/Putzlacher Renata „Wnuczka piekarza. Kot apokalipsy". Śląsk, nr 8, sierpień 1997, s. 56.

[6]/Otruba Mojmír „Znaky a hodnoty", Praha 1994, s. 238 i 244.

[7]/Pojęcie „architekst" został tutaj użyty w celu wyraźniejszego oddania relacji tekst – gatunek (architext). Związki architekstowe wiążą teksty o tym samym motywie i zakładają możliwość nawiązań międzytekstowych.

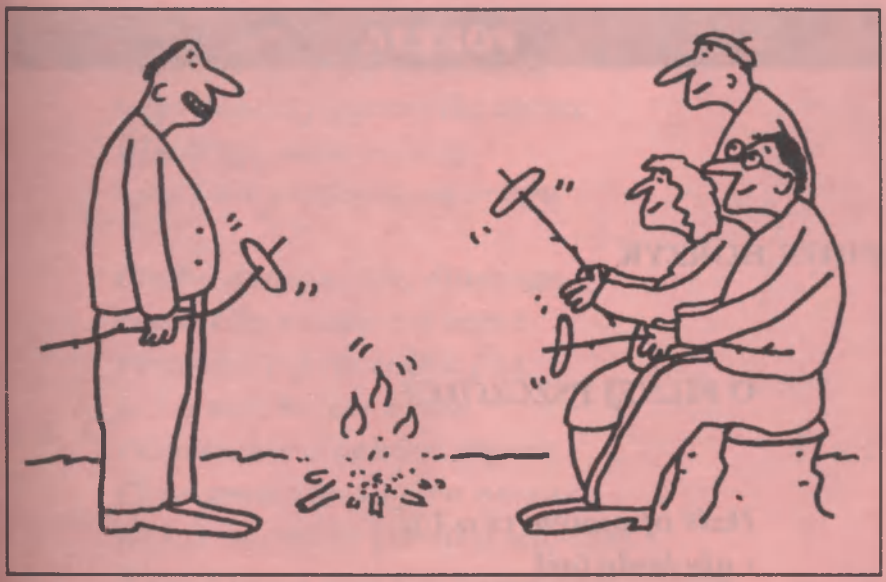

ZAGAJAM KOLEJNĄ IMPREZĘ KULTURALNĄ W TYM ROKU

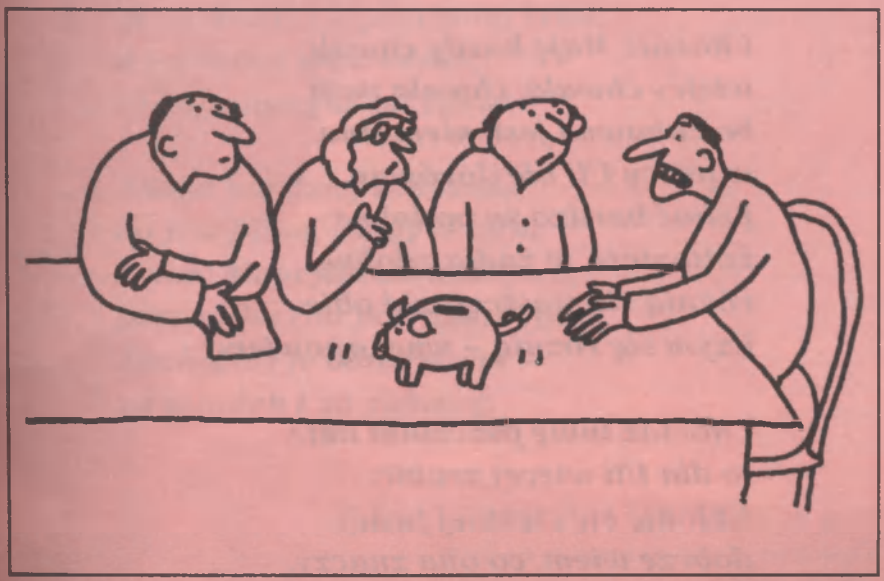

DZIŚ OMÓWIMY STAN NASZEJ KASY *rys. Bronisław Liberda*

PIOTR HORZYK

O PILNEJ PSZCZÓŁCE

Dziś opowiem ci o Uli
i nie będę taił,
że to siostra sławnej pszczółki,
znasz ją przecież – Mai.

Chociaż Maję każdy chwali,
wielcy chwalą, chwalą mali,
bo zabawna jest, nienudna,
w pracy Uli nie dorówna.
I choć bardzo są podobne –
żółtozłote, w żądła zdobne,
różnią się siostrzyczki obie.
Czym się różnią – wnet opowiem.

Chociaż lubię pszczółki obie,
to dla Uli więcej zrobię.
Ukłonię się ciężkiej pracy,
dobrze wiem, co ona znaczy,
napiszę też wiersz dziękczynny,

postaram się być uczynny.
Cukrem będę karmił zimą,
gdyż inaczej pszczółki zginą.
Ul okryję złotą słomą,
ochronię przed zimą srogą.

Chyba dziwisz się, dlaczego
cenię Ulę, co mam z tego?
Pracowita pszczółka Ula
już o świcie leci z ula.
Do wieczora nektar zbiera.
Choć zmęczona bywa nieraz,
wciąż napełnia plastry miodem.
Wszak jest z pilnych pszczółek rodem.

Pamiętaj więc, gdy jesz miód,
że ta słodycz – pszczółki trud,
a łyżeczka smakołyku,
to jej praca już od świtu.

Zatem bardziej Ulę cenię,
bo jest pilną, nigdy leniem.
I choć Maja jest sławniejsza,
pszczółka Ula potrzebniejsza.
Kochajmy je obie razem –
za miodek i za zabawę.

Wierszyk pochodzi z książki Piotra Horzyka
„Bajki Piotrusia"
Wydawnictwo OLZA

WIESŁAW ADAM BERGER

Z BARCELONY DO MIESZKOWIC

(Pamiętnik pisany dniem i nocą)

21 IX 1995. Wyszło słońce, świat lasów, pól, jezior i rzek wyglądał całkiem inaczej niż wczoraj. Poweselało moje samopoczucie – pokochałem ten krajobraz i często, po powrocie, będę w swej wyobraźni do niego wracał. Spokój lasów, chociaż i tu kradną... Wszędzie pcha się mafijna współczesność.

Porozmawialiśmy z Bolkiem L. o starych czasach, które zawsze były wyłącznie czerwone i jednoznaczne. Mnóstwo się zmieniło. Ale czy aż tak całkiem? Trudno zapomnieć o tym wszystkim, co było, z drugiej zaś strony nie wszystko było tak absolutnie do bani. Sprzeciwialiśmy się głupocie, zaszywając się w skórę diabła, machając czerwoną chorągiewką, drażniliśmy byka, co to zamiast rogów nosił się z sierpem i młotem. To zastanawiające, jakimi drogami było trzeba chodzić, by nie być podejrzanym przez urzędy bezpieczeństwa – nie podpisując czerwonych folkslist! Syn Basi Sadowskiej Przemek zapłacił za to życiem, zamordowany przez swoich, Polaków. Więc u nas też byli faszyści, po czarnych przyszli czerwoni. Narodowość w policji, w jakiejkolwiek policji, nie grała roli.

Niejeden sprawiedliwy szukał swojej drogi – a Bolek na pewno do nich należał. Wśród rozwalonych rozdroży, idąc po wyboistych drogach komuchów, w których i tak nie wierzył, ale pisarzowi i dziennikarzowi też było trzeba jakoś żyć, aż wreszcie wychodząc z matni odnalazł siebie. Być wreszcie sobą, zaś tamta wiara, niewiara przeminęła z wiatrem. Tylko czy można wyjść z matni, czy nie ma jej teraz na Zaolziu? Tu nic nie przemija z wiatrem a jest jak opadnięte liście gnijące pod białą płachtą śniegu.

A jeśli chodzi o tamto „natchnienie", które ich za Odrą uwiodło – niczym pełnokrwista dziewoja swoim fałszywym seksem (bo była lesbijką), zwyrodniałą, fikcyjną „demokracją" w kolorze czerwonym – to robili to w pewnym sensie na przekór Anglii i USA za to, że sprzedali nas po wojnie Stalinowi! Szkoda zdolnych, mądrych, zagubionych wśród socrealistycznej zawieruchy literatów, byli wśród nich i wartościowi... Hańba narodowa? Urban się śmieje – to taki cyniczny polski Sartre. W końcu który pisarz został z czystymi rękami? Chociaż nigdy nie należałem do

czerwonych i nigdy nie byłem po ich stronie barykady, siłą rzeczy ocierałem się o nich, nie biorąc tego pod uwagę. Ale niejednego rozumiem i mój ludzki stosunek się do nich nie zmienił. Tak też rozumiałem Bolka, wiem, że dąży, zresztą zawsze dążył, do swojego renesansu. Ale czy dojdzie, czy tak całkiem pojął, jaką krzywdę mu tamci wyrządzili? W końcu nie był sam. Czy w ogóle zrozumiał, tak do końca, co się z nim działo i teraz stało? Bo wyglądało niekiedy na to, że nie on zbłądził. Każdy jest w jakiś sposób sobą, a że nim manipulują i nie zdaje sobie z tego sprawy – to już inna sprawa.

Kilka zdań dygresji nie oznaczających agresji

Jeśli istnieje wśród Czechów i Polaków na Zaolziu wciąż się powtarzające i wyolbrzymiające „ale", to widać, że liczni nasi Polacy i Czesi, po prostu chcą być ślepi i głusi, bo nie chcą i nie potrafią nic zrozumieć, wciąż będą w koło młócić tę swoją wymłóconą słomę, a czy to jest godne myślących ludzi? – mówi do mnie Telimena.

– A czechizacja? A pan Valenta? – myślę głośno.

– Dajmy temu spokój – mówi Zosia – kto chce, niech się czechizuje i tak na to nic nie poradzimy. Widocznie źle uczono w polskich szkołach patriotyzmu.

– A polonizacja? – kontruję, chociaż wiem, że to bez sensu.

– Kto chce, niech się polonizuje – śmieje się Zosia – jest demokracja. Teraz to i demoludy stały się demokratyczne, a lewica zasiadła na prawicy... Nawet Urban korzysta pełnymi garściami z demokracji.

– Trudno kogoś namawiać – mówi Telimena – do tego, by był Polakiem albo Czechem. To jego osobista sprawa. Sprawa sumienia. Znam Żydów, którzy szanują Jezusa Chrystusa. Znam Polaków, którzy nienawidzą Piłsudskiego, a ilu ich po dziś dzień uwielbia Stalina. Trzeba być zawsze światłym obywatelem, na poziomie. To już koniec XX wieku. I to jest kwestia naszego na Zaolziu istnienia – być światłym, demokratycznym, tolerancyjnym i mądrym Polakiem. Potomkowie starego „internacjonalistycznego" i socrealistycznego reżymu, który był jak najbardziej nacjonalistyczny, nadal czekają i wierzą, że im się uda na wieżach naszych kościołów zapalić czerwone gwiazdy. Głupie i zarazem straszne – lata pięćdziesiąte – głupie jest zawsze straszne! Wiedział już o tym Mickiewicz – Mickiewiczius, kiedy pisał „Litwo, Ojczyzno moja..."

– I kto tu – denerwuję się – ma rację? Bo przecież Mickiewicz z kosturem w ręku idzie, chociaż nadal tam stoi nad Sekwaną w Paryżu (właśnie ciemnoskóry zamiata przed nim opadnięte liście), idzie na Wschód, w odwrotnym kierunku aniżeli Kolumb w Barcelonie, stojąc tuż nad Morzem Śródziemnym.

– Zastanów się – mówi Telimena – ilu takich naszych właśnie idzie w ten sposób...

– Stojąc? – pytam naiwnie. Ucieszyłem się, bo Kolumb zwany w Barcelonie Colonem, spiesząc w odwrotnym kierunku aniżeli Mickiewicz, też stoi w miejscu. Wszystko jest na niby. Gdyby tak było z tym Colonem od zawsze, to tak zwani chrześcijanie nie pomordowaliby prawie wszystkich Indian. To jedna z największych hańb chrześcijaństwa. Nawracanie ogniem i mieczem!

– Trudno uciec przed samym sobą – mówi, tym razem bardzo poważnie, Telimena, ale Zosia się śmieje, bo po Telimenie spacerowały mrówki.

Skamieniałem niczym rzeźba Moore' a w Genewie. Całe szczęście, że moje kroki, stojąc zmierzały w kierunku najpiękniejszej dziewczyny na cokole. (Koniec dygresji)

Ciąg dalszy dnia 21 IX 1995. Rano, odjazd do Kostrzyna. Miasto (17000 mieszkańców) z atrakcyjnym węzłem kolejowym. Budapeszt, Bogumin, Chałupki, Kostrzyn, Szczecin. Ponad tymi torami jest most żelazny z torami z Piły przez Gorzów, Kostrzyn (Köstrin an der Oder) do Berlina 80 km. Z Kostrzyna do Poznania, do Stargardu, do Hamburga 400 km. Najdalej jest do Warszawy – 520 km. Kostrzyn w latach 1535 – 1571 był stolicą Nowej Marchii, w latach 1806 – 1814 w ręku Francuzów, w roku 1945 miasto zostało w 95 procentach zniszczone. Miasto 48 lat trwało w letargu. Życie rozpoczęło się tu dopieru w roku 1993.

Stoimy w miejscu, gdzie Warta wlewa się do Odry. Między Wartą a Odrą zielony półwysep pełen drzew – wierzb i olch. Na brzegu Odry potężne topole, dalej parki. *Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziem Polakami...* Spotkanie z obecnymi w Kostrzynie ciekawymi twórcami oraz burmistrzem, który podobno dba o kulturę, ale plastyk i pisarze tego miasta nie bardzo w to wierzą: wszędzie jest prawie tak samo – jeden chwali, sam się chwali, inni nie wierzą. Jedni mają rację, inni jej nie mają. To także tradycja – nie tylko polska zresztą.

Wreszcie zebrałem się w sobie, wstałem i dziwiąc się samemu sobie odważyłem się jako członek SPP, pozdrowić wszystkich w imieniu Zrzeszenia Literatów Polskich w RC, w imieniu Gminy Pisarzy Czeskich oraz Koła Kombatantów Polskich w Republice Czeskiej. Nie mam pojęcia, czy miało to sens, ale jadąc tu aż z Bogumina, prawie tysiąc kilometrów, poczułem się zobowiązany to powiedzieć. Jestem tu w pewnym sensie niczym egzotyczny egzemplarz. Z wiekiem coraz instensywniej to odczuwam. Jakoś trudno z tym swoim Zaolziem w duszy być normalnym.

Grupa twórców z Kostrzyna, też nazywa się egzotycznie: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury. We Francji, kiedy ministrem kultury był słynny pisarz Andre Malraux, w miasteczkach i wsiach powstały Domy Kultury, w nich podobne stowarzyszenia.

Rozchodzimy się mądrzejsi o kulturę i ducha Kostrzyna. Burmistrz powiedział swoje, miłośnik Kostrzyna i jego historyk swoje, poetki i poeci zarecytowali, co stworzyli, malarz miał pretensje, że w Kostrzynie nie miał żadnej wystawy i pokazał swoje obrazy oraz pracownię–atelier. A życie, jak to życie, leci ku rozostrzeniu i zapomnieniu. Byliśmy, jesteśmy, ale czy będziemy? Wracamy na brzeg Odry, tu już płynie razem z Wartą. Wreszcie jestem na POLSKO–NIEMIECKIM STATKU LITERACKIM – DEUTSCH–POLNISCHER POETENDAMPFER (17 – 28 September 1995 – zapisuję tę datę, żeby nie zapomnieć), który jest przycumowany między dwoma mostami, gdzie Warta łączy się z Odrą. Statek jest niewielki, na ile stać literatów, jest nawet barek, ale polskich poetów, a tym bardziej prozaików, takich jak ja egzotyków z Zaolzia, nie stać nawet na piwo za 3 marki. Dochodzimy – my pisarze – do zenitu biedy? Chyba tak. Jeszcze całe szczęście, że pisarstwo nie jest zależne od złotówek czy dolarów – o koronach też nie zapominam – piszę dla siebie. Czy państwo, które nie dba o kulturę, można zaliczyć po prostu do barbarzyńskich? Na dwoje babka wróżyła... Kabiny na okręciku z piętrowymi łóżeczkami jak dla krasnoludków, ale miłe. Jednak hotel w Mieszkowicach jest wygodniejszy a piwo i wódka polska o całe niebo tańsze. Można jakoś żyć.

Na brzegu Odro–Warty pod ogromną topolą, pamiętającą może przedbismarckowskie czasy, pieką się na rożnie kiełbasy. Otrzymałem jedną dostatnich kształtów z musztardą, kęsem poczciwego kostrzyńskiego chleba i piwo (jak u nas na festynie, ale kiełbaska była polska, to znaczy dobra). Posilając się, rozmawiam z Bolkiem o sprawach Poglądów, Panoramy i Po Prostu, o czasach Marka Hłaski, Szewczyka i jego cygarze (polski Churchil), ale także Nawrockim, który nie chciał wiedzieć, co to jest „federpusch" i przekreślał nasze literackie zaolziańskie sprawy. Był przyjacielem Henryka Jasiczka, ale tylko do roku 1968, potem jego nieprzejednanym wrogiem. Ciekawe, czego szukał na Gorolskim Święcie w Jabłonkowie w roku 1990? Jeszcze bardziej mnie zaskoczyło, że wałęsał się wśród ludu zaolziańskiego razem z śp. Bogusiem Kundą. Boguś był awangardą, Nawrot komuchem. No cóż tacy też są Polacy... *I kiedy myślę o nim* – pisze Marek – *przypomina mi się najgenialniejsza scena śmierci, jaką czytałem w „Wojnie i pokoju", kiedy ten człowiek umiera a drugi pyta: I gdzie on teraz jest? (–) Czy istnieje dla nas, ludzi, takie miejsce – jak w tej murzyńskiej pieśni – gdzie spotykamy się wszyscy: czyści, dobrzy i bez gniewu. A jeśli spotkamy się tam, to o czym będzie pisał i w co będzie wierzył?* Nie chodzi tu tylko o nieżyjącego Jasiczka, Bogusia Kundę, ale także żyjącego Nawrota. Wszyscy się tam spotkamy. Ale jak to będzie?!

c.d.n.

MARIKA DRECHSLER – NASZA ARTYSTKA W NEAPOLU

Moje „życie w sztuce" to ostatnio łańcuch szczęśliwych przypadków. I choć zdaję sobie sprawę z tego, że wszystko, co nas otacza, nie jest dziełem przypadku, odmieniam to słowo we wszystkich przypadkach. Gdyby nie dokuczył mi kręgosłup (ach, to nocne wysiadywanie przy komputerze !) do tego stopnia, że przez tydzień korzystałam z dobrodziejstw rehabilitacji w Czeskim Cieszynie, nie spotkałabym niezwykłej osoby, która również zawitała na czas jakiś do Cieszyna. Włoski znawca sztuki Vittorio Amedeo Caravaglios tak ją scharakteryzował: *Z posagiem rygorystycznych studiów artystycznych i literackich, bogata w dobrze zaasymilowaną różnorodną kulturę, istota wrażliwa na każdy wyraz estetyki i sentymentów, o silnej osobowości twórczej. Nie ulega tendencjom ani manierom mistrzów, posiada swój własny styl.* Na wizytówce – adres Napoli, więc włoskiej – przeczytałam: dr Marika Drechsler, Artista Grafica – Pittrice, Membro Accademia Arts, Sciences, Letters – Paris. Sięgnęłam po słownik łaciński, rzeczywiście: członkini Akademii Sztuk, Nauk i Literatury w Paryżu ! Tuż przed spotkaniem zastanawiałam się nad tym, czy mój dom okaże się godnym takiego gościa. I zobaczyłam promienną, uroczą kobietę ubraną na sportowo (później okazało się, że bezbłędnie wyczułam klimaty zakopiańskie), a jej uścisk dłoni był szczery, śląski. Już po pierwszym podaniu ręki wiedziałam, że mam do czynienia z artystką-plastyczką, plastycy bowiem nigdy nie mają miękkich białych dłoni jak literaci (chyba że mamy do czynienia z literatem nie stroniącym od ciężkiej pracy fizycznej, a to raczej rzadkość). Praca z farbami, rozpuszczalnikami, często z dłutem rzeźbiarskim sprawia, że plastycy mają ręce, na temat których można pisać dzieła literackie.

Marika Drechsler przyszła na świat w Orłowej w czasie II wojny światowej, w domu, który dał jej wychowanie dwujęzyczne: polskie

po kądzieli i niemieckie po mieczu. Ponadto posługuje się nienaganną czeszczyzną, że nie wspomnę o językach zachodnich. Aczkolwiek nie podaje się dat urodzin kobiet-artystek (a pani Marika promienieje wieczną młodością), w tym wypadku posłużyłam się katalogiem wydanym w Wiedniu, w którym artystka przyznaje się do daty i do miejsca urodzin. Uczęszczała jednocześnie do gimnazjum w Czeskim Cieszynie i do Szkoły Przemysłu Artystycznego w Ostrawie i już jako nastolatka uczestniczyła w zbiorowej wystawie plastycznej w Morawskiej Ostrawie, gdzie zdobyła swoją pierwszą nagrodę za kompozycję figuralną. Potem studiowała w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na wydziale malarstwa i grafiki. Zdobyła wszechstronne wykształcenie pod kierunkiem wybitnych artystów i pedagogów, takich jak profesorowie Aleksander Rak, Andrzej Pietsch, Zbigniew Kowalewski i Stanisław Krzyształowski. Po uzyskaniu w roku 1967 dyplomu ASP polskie Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało jej stypendium artystyczne i przyszła pora na sukcesy zagraniczne. W roku 1976 Marika Drechsler osiadła na stałe we Włoszech, w Neapolu. Zdobywała następne wyróżnienia i prestiżowe nagrody, by w roku 1985 po wystawieniu swoich prac, dedykowanych miastu i niepowtarzalnej atmosferze włoskiego po-

„Zakopane" – rys. MARIKA DRECHSLER

łudnia, w neapolitańskiej Akademii Pontano, działającej pod egidą włoskiego Ministerstwa Kultury, zdobyć nagrodę miasta Neapolu. Krytyk Gino Grassi napisał o niej, że jest artystką, *która pod italskim niebem odkryła ciepłe, gorące tony, dotąd jej obce.*

Mówi się *zobaczyć Neapol i umrzeć.* Dużo wcześniej, zanim w ogóle doszło do naszej rozmowy, zdecydowałam się na wakacyjny podbój dotąd nieznanych mi lądów. Spośród wielu propozycji biur podróży najbardziej przypadła mi do gustu leżąca nieopodal Neapolu wyspa Ischia (tu leczyli cesarze i rzymscy patrycjusze ischias, zanim nerwobóle i bóle kręgosłupa stały się chorobami cywilizacyjnymi XX wieku). Tu mogłam połączyć przyjemne (kąpiele w basenach termalnych i masaże – *zobaczyć Neapol i odżyć*) z pożytecznym (zwiedzanie urokliwej Ischii – „Perły Śródziemnomorskiej" i „Zielonej Wyspy", Neapolu, Wezuwiusza, Sorrento i Capri). Po rozmowie z panią Mariką, która nazwała Ischię swoją ukochaną wyspą i zaprosiła mnie do obejrzenia prac malarskich jej dedykowanych już na miejscu, w Neapolu, okazało się, że przyjemne i pożyteczne można jeszcze połączyć z artystyczno-inspirującym. Dla pani Mariki z kolei takim spotkaniem był wieczór w kawiarni AVION, dedykowany cieszyńskim Żydom. Chociaż bywa w Polsce regularnie (na przykład w Zakopanem u znanej i lubianej przez zaolziańskich bywalców Bali Góralskich rodziny Karpielów) i często odwiedza zamieszkałą w Cieszynie matkę, udało nam się przywołać wiele miejsc i obudzić kilka wzruszających wspomnień.

Program ten obejrzeli przybyły z Holandii Jan Kuczek, Ewa i Andrzej Baczewscy z Norymbergi, ale póki co pani Marika była gościem z najodleglejszego zakątka Europy. Czytam jej słowa w kronice: *Dziękuję ! Wspaniały wieczór! Do następnego ARRIVEDERCI w naszym Cieszynie.* Niewykluczone, że owocem tego spotkania, które zrządził przypadek, będzie spotkanie malarsko-poetyckie w Czeskim Cieszynie, zorganizowane przez Towarzystwo AVION, które zawiązuje się właśnie w tych dniach. Byłby to symboliczny powrót na Śląsk artystki, która czerpie siłę ze swoich korzeni, rysując, operując rylcem, malując na płótnie, desce, szkle, jedwabiu, ilustrując książki, zdobiąc pisanki, tworząc biżuterię artystyczną, tkając niezwykłe makaty i kobierce. O której włoski krytyk Domenico Rea napisał: *Prawdą jest, by malować Italię, a w szczególności tę południową, szorstką, z jej morzami i skalistymi wybrzeżami, wzniesieniami oraz górami, i żeby odczytać jej tajemnice – niezbędna jest wyobraźnia człowieka północy... Nieposkromiona Marika Drechsler zmierza ku morzom i wybrzeżom południowym, wydobywając z nich barokowe aglomeraty, arabeski linii, intensywne pejzaże, konstruowane przez człowieka we współpracy z diabłem...*

„Ischia" – rys. MARIKA DRECHSLER ▶

KSIĄŻKA GODNA POLECENIA

Dla osób, które dobrze znają dzieje Śląska Cieszyńskiego lub choćby tylko pobieżnie orientują się w dziejach polskiego ruchu narodowego na tutejszym terenie, postacie Stalmacha czy Cinciały nie stanowią „białej plamy" i kojarzone są z kilkoma przełomowymi w dziejach regionu wydarzeniami. Stąd kolejna historyczna ich prezentacja - tym razem w książce Edwarda Buławy „Pierwsi szermierze ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim" (wyd. Cieszyn 1997) może wzbudzić wątpliwości i zapytania o sens tego typu przedsięwzięcia. Wątpliwości te mogą być dodatkowo wzmocnione faktem, iż „Pierwsi szermierze", co wynika choćby z podanej w pracy literatury przedmiotu, mogą mieć także charakter zwyczajnej kompilacji wcześniejszego dorobku historiograficznego, w tym dorobku samego ich autora, znawcy zagadnień okresu Wiosny Ludów nad Olzą, zwłaszcza w kontekście jego ostatnich artykułów opublikowanych w „Pamiętniku Cieszyńskim". Po lekturze „Szermierzy" należy jednak stwierdzić, iż jest to wrażenie jedynie pozorne. Uwaga ta dotyczy wszystkich rozdziałów pracy, poświęconych kolejno: Pawłowi Stalmachowi (1824-1891), Andrzejowi Cinciale (1825-1898), Andrzejowi Kotuli (1822-1891), Janowi Śliwce (1823-1874) i Janowi Winklerowi (1794-1874). Od razu można również dodać, iż stało się tak po części za sprawą interesującego sposobu narracji odautorskiej.

Postacią niewątpliwie wybijającą się pod wieloma względami w polskim ruchu narodowym nad Olzą był Paweł Stalmach, pierwszy z opisanych przez Buławę „szermierzy". Właśnie sposób prezentacji tej sylwetki, jej roli w cieszyńskim życiu kulturalnym i politycznym jak i problemów, z którymi musiał się zmierzyć i w które był uwikłany, czyni z tej części pracy zagadnienie niezwykle interesujące, w tym także od strony historycznego warsztatu badawczego, aczkolwiek znający wcześniejsze wypowiedzi autora czytelnik może wyrazić opinię, iż momentami autor ze swoją ogromną wiedzą i doświadczeniem naukowym popada w jedną z wielu trudnych do uniknięcia przy biografistyce pułapek - obdarzania postaci, o których się myśli ciepło i z uznaniem - własną inteligencją, sposobem rozumowania czy nawet filozofią. Z drugiej jednak strony, w przypadku omawiania przez Buławę drogi Stalmacha do polskości sprawa ta stanowić może także i zaletę książki.

Na kartach omawianej pracy poznajemy całą złożoność sytuacji, w jakiej działał Stalmach, a także dramatyzm jego skomplikowanych losów. Chodzi tutaj zwłaszcza o konflikty wyznaniowe, które stanowią klucz do analizy wielu wydarzeń historycznych nad Olzą w XIX i XX wieku, a których korzenie sięgały głęboko w czasy pierwszych narodowców. Z jednej strony będzie to więc ukazanie stalmachowskiej krytyki ścisłego wiązania przez zafascynowanych „mesjanizmem" protestanckim pastora Otty cieszyńskich ewangelików zagadnień religijnych z kwestią narodowościową, przez co nie docenia-

no faktu liczebnej przewagi katolików oraz roli, jaką mogli odegrać katoliccy księża nad Olzą, z drugiej zaś strony – uwarunkowań, jakie złożyły się na takie właśnie postawy, które autor, podkreślając jednak słusznie ogromny wkład polskiego protestantyzmu na Śląsku w dzieło „unarodowienia" miejscowego chłopstwa, logicznie prezentuje i komentuje. Wiele interesujących nowych spostrzeżeń E. Buławy można wynieść zwłaszcza z opisu dysput ideowych, prowadzonych przez Stalmacha na temat roli i zadań Czytelni Ludowej, chcącego ochronić jej działalność, oczywiście w myśl własnych zasad, przed jej kulturotwórczym, a więc i narodotwórczym upadkiem. Na tle życia i działalności Stalmacha poznajemy jego zwolenników i antagonistów, ich wzloty i upadki, miejscowych czeskich czy niemieckich przywódców, idee i wartości, w jakich funkcjonowali polscy, czescy i niemieccy mieszkańcy Cieszyna. Chodzi tutaj na przykład o mniej znany okres sprzed Wiosny Ludów, który jak się okazuje, w wielu momentach życia społeczno-politycznego stanowił prawdziwe „przedwiośnie" i genezę późniejszych wydarzeń, które trwale zmieniły obraz ziemi cieszyńskiej. Wynika z tego, że „przedwiośnie" to dotyczyło również miejscowych Niemców, którzy razem z Polakami przeżywali swoje filozoficzne uniesienia i których poczynania nie zawsze kojarzono wtedy wyłącznie z ich późniejszym (także narzucanym przez ideologię) antywolnościowym i antypolskim obrazem. Dzięki pracy autora możemy także zrozumieć, dlaczego tak geograficznie bliska Galicja była jednocześnie dla Ślązaków tak nieprzystępna kulturowo i politycznie, poznajemy również swoisty cieszyński zaścianek z połowy XIX wieku oraz mało znane kulisy kontaktów cieszyńsko-słowacko-węgierskich w tym okresie. Docenić należy tutaj przede wszystkim dokonaną przez autora interesującą analizę niektórych cech osobowości „szermierzy", dzięki czemu łatwiej możemy zrozumieć, dlaczego w kraju nad Olzą nie wytworzyły się warunki do wykreowania, także i w późniejszym okresie jednego zdecydowanego przywódcy i lidera ruchu narodowego, choćby na miarę górnośląskiego Korfantego, co też znacznie osłabiało obóz polski w momentach decydujących. Z drugiej jednak strony stało się przyczyną jego ciągłego wzbogacenia o nowe istotne elementy. Na tym tle postać Stalmacha, z jej ideami, nadziejami, wahaniami i troskami nabiera szczególnej wymowy, dopełnia się jej wielkość a zarazem staje się ona na wskroś tragiczna, jako symbol kumulujący w sobie całą złożoną problematykę polską na Śląsku Cieszyńskim w minionym stuleciu. Warto się nad tym zastanowić, mijając jego ustawiony w polskim Cieszynie pomnik.

Nieco inaczej więc na tle tak wszechstronnie przedstawionej sylwetki Stalmacha wypada Andrzej Cinciała, drugi z „szermierzy", zresztą twórca tego określenia. Nie ideolog, jak Stalmach, ale badacz kultury ludowej, wieloletni prezes Czytelni Ludowej, w pewnym okresie antagonista swego przybierającego rolę mistrza starszego o rok kolegi. Z drugiej strony zachowawczy i niesklonny do ryzyka jak i do popierania oraz wychowywania swoich następców – cecha jakże aktualna i charakterystyczna dla wielu działaczy regionalnych.

Trzecim „szermierzem" jest Kotula, postać mniej znana od Stalmacha czy Cinciały i jakby na nowo odkryta przez Buławę dla lokalnej historii kwestii narodowościowej. Prawnik, uczestnik zjazdu słowiańskiego w Pradze, jawi się nam jako osoba daleka od skłonności do antagonizowania stosunków

wyznaniowych, a także twórca całej masy krótkich utworów rymowanych, celnych spostrzeżeń, ośmieszających niekiedy miejscowe zwaśnione politycznie podwórko.

Kolejną postacią, która po Stalmachu niewątpliwie najbardziej fascynuje autora książki, jest Jan Śliwka, znany jako nauczyciel z Końskiej, a także osoba utrwalona w zbiorowej pamięci jako antagonista Stalmacha, którego stosunek do polskości miał uchodzić za wielce podejrzany. Poprzez rozważania E. Buławy poznajemy źródła tych opinii, jak i interesującą ideową drogę życiową nauczyciela spod Trzyńca. Było w niej miejsce i na poparcie dla nurtu frankfurckiego w przekonaniu o szansie na powszechną wolność dla ludów w ramach wolnych Niemiec, wbrew opcji Stalmacha i Kluckiego, i na fascynacje literaturą i filozofią niemiecką czy wreszcie na bliskie kontakty z pastorami, zwalczającymi ideowe więzi Cieszyniaków z resztą ziem polskich. Jest wreszcie Śliwka, nauczyciel o wszechstronnych zainteresowaniach, korzystający z ówczesnego dorobku myśli społecznej i pedagogicznej, której założenia autor również przedstawił, choć może nieco za obszernie.

Przy omawianiu działalności J. Śliwki autor „Szermierzy" słusznie podkreśla przełomowy moment w jego życiu, czyli jego kontakty z wybitnym ideologiem polskiej myśli protestanckiej ks. Leopoldem Ottą z Warszawy, związanym z Cieszynem w latach 1866–1875. Miejscowy propolski polityczny ruch ewangelicki, kojarzony z rodziną Michejdów, miał mu wiele do zawdzięczenia, zwracając przy tym uwagę na przyczyny późniejszych sporów politycznych, przesadnej megalomanii obu cieszyńskich obozów konfesyjnych jak i narosłych latami kompleksów oraz wzajemnych uprzedzeń.

Na tle problemów „polskiego podwórka" szczególnie zaciekawić może dokonany przez autora książki zabieg włączenia w poczet „szermierzy" czeskiego pastora Jana Winklera z Nawsia, a głównie analiza jego opartych na fałszywych przesłankach filozoficznych, z czego sam Winkler nie zdawał sobie sprawy, poglądów na kwestię słowiańską w monarchii austriackiej. Chodzi tutaj o jego nadzieje na utrwalenie wzajemności słowiańskiej przy jednoczesnym zaliczaniu Ślązaków do czeskiego pnia narodowego. Jak się jednak okazało, sama Wiosna Ludów stała się na tyle wiosną zjednoczonych Słowian, ile początkiem końca związanej z tym ideologii, która także w podcieszyńskich wsiach musiała ustąpić istniejącym realiom. W tej sytuacji szczególnego wydźwięku nabiera tutaj fakt, iż w ośrodku nawiejskim, w którym działał starający się nakłonić ku czeskości swoich współwyznawców Winkler, powstało potem gniazdo polskich Michejdów, w pewnym okresie jedyna ostoja propolskiej linii politycznej wśród cieszyńskich ewangelików zdominowanych przez wpływy haasowskie a potem kożdoniowskie.

Książka E. Buławy, historyka mającego własne spojrzenie na dzieje naszego regionu, mimo drobnych, wyłącznie formalnych uchybień (kwestia ujęcia bibliografii, aneksów, tytułu, który bez cudzysłowiu przy szermierzach skłania się w kierunku publicystyki) jest niewątpliwie najważniejszą pozycją zwartą poświęconą dziejom Polaków na Śląsku Cieszyńskim, jakie ukazały się w ostatnich kilku latach.

KRZYSZTOF NOWAK

POLONIADA

Po raz piąty reprezentanci Zaolzia wezmą udział w finale konkursu Poloniada, organizowanego dla młodzieży w wieku 15-20 lat przez Fundację Młodej Polonii w Warszawie. Organizatorem półfinału konkursu na naszym terenie jest Kongres Polaków. 3 kwietnia w Czeskim Cieszynie w konkursie obok dwu zawodniczek indywidualnych reprezentujących Akademię Handlową wzięły także udział trzy drużyny (Polskie Gimnazjum w Czeskim Cieszynie i jego filia w Karwinie oraz Akademia Handlowa w Czeskim Cieszynie). W rywalizacji zespołowej najlepszymi okazali się gimnazjaliści z Karwiny przed czeskocieszyńskimi i handlówką. Ich zmagania były jedynie urozmaiceniem prezentacji uczestniczek indywidualnych, które zaprezentowały swoje konkursowe prace na temat wcielania w życie idei przyjaźni między młodzieżą świata. Decyzją jurorów obie reprezentantki Akademii Handlowej Irena Wacławik i Barbara Guziur będą reprezentowały Zaolzie w finałach Poloniady w Warszawie.

E.S.

SPOTKANIE Z MARSZAŁKIEM SENATU RP

Marszałek Senatu RP Alicja Grześkowiak spotkała się 4 kwietnia w cieszyńskim ratuszu z przedstawicielami życia społeczno-kulturalnego Ziemi Cieszyńskiej i organizacji polskich z Zaolzia. Gospodarzami spotkania był burmistrz Cieszyna Jan Olbrycht oraz Kongres Polaków w RC. Przedstawiciele Zaolzia reprezentujący Radę Polaków, ZG PZKO, Macierz Szkolną, Scenę Polską oraz inne polskie organizacje poruszyli m. in. problemy polskiego szkolnictwa, zwrotu przedwojennych polskich majątków i uregulowania praw własnościowych Domów PZKO.

E.S.

ZAOLZIAŃSKA KSIĄŻKA NA POLSKIM RYNKU

Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie z inicjatywy Hurtu Księgarskiego Alfa z Bielska-Białej i firmy Contact zorganizował 6 kwietnia spotkanie, którego celem było poinformowanie zaolziańskich wydawców książek i czasopism o warunkach umożliwiających sprzedaż polskiej książki wydanej w RC na polskim rynku księgarskim. Kierowniczka oddziału Helena Legowicz poinformowała, w jaki sposób wydawcy powinni uzyskać dla każdej książki Międzynarodowy Znormalizowany Numer Książki, czyli ISBN i odpowiedni dla czasopism ISSN. Międzynarodowy numer pozwala na sprzedaż książek w Polsce z zerową stawką VAT-u, podatku od wartości dodanej. W przypadku czasopism międzynarodowy numer umożliwia wprowadzenie czasopisma czy gazety do międzynarodowych baz danych.

W spotkaniu wzięli udział nie tylko przedstawiciele wydawnictw i organizacji zajmujących się wydawaniem książek, jak Wydawnictwa Olza, Towarzystwa Nauczycieli Polskich, ZG PZKO, Kongresu Polaków, ale także wydawcy zaolziańskiej prasy.

E.S.

WIOSENNE PRZEDSTAWIENIA AMATORSKICH TEATRÓW

W MILIKOWIE

Stało się dobrą tradycją prezentowanie co roku pierwszego dnia wielkanocnych świąt przez członków MK PZKO Milików–Centrum komedii zaolziańskich autorów. Mieszkańcy Milikowa są niezwykle przywiązani do tej formy świątecznego wypoczynku. Przybywają tłumnie na przedstawienia. I w tym roku, już tradycyjnie, zabrakło miejsc do siedzenia. To wspaniała rozrywka móc obejrzeć swoich krewnych czy sąsiadów, wcielających się w postacie sztuk Młynka, Filipkowej czy Wawrosza. Grają ludzie młodzi, nie szczędząc własnego czasu i wysiłku na kilkutygodniowe próby.

W tym roku zaprezentowali dwie jednoaktówki: Anny Filipek „Miano na gróncie" w reżyserii Stanisława Kantora (zagrał też główną rolę) i Władysława Młynka „Z deszczu pod rynnę" w reżyserii Hynka Czeczotki, również odtwórcy jednej z głównych postaci. Tegoroczny zespół teatralny to także: Renata Staszowska, Ryszard Staszowski, Dorota Hóta, Bogdan Sikora, Bronisław Mazur, Krystyna Sikora, Kazimierz Sikora, Wanda Suszka, Anna Cieślar i Maria Sikora. Nowym, niezwykle utalentowanym nabytkiem zespołu, jest Wanda Suszka, na co dzień dyrektor polskiej szkoły w Milikowie.

Miłym gestem ze strony Miejscowego Koła było zaproszenie na teatralne spotkanie najbliższych krewnych obojga nieżyjących już autorów.

W ŁOMNEJ DOLNEJ

Zespół teatralny działający przy MK PZKO w Łomnej Dolnej w tym roku zaprezentował dwie części sztuki Władysława Młynka „U nas dóma" w reżyserii Stanisława Szotkowskiego. Oprócz reżysera w przedstawieniu udział wzięli: Lucyna Sikora, Marek Wacławek, Blanka Szczuka, Jerzy Sikora i Wanda Jochymek. Na przedstawieniu obecna była Anna Młynek.

Każdego roku zespół teatralny z Łomnej Dolnej wystawia także w okolicznych wioskach, w roku 1993 był z występami na Podhalu w Polsce.

W ŁOMNEJ GÓRNEJ

Historia teatru amatorskiego przy MK PZKO w Łomnej Górnej sięga dwudziestu lat. Co roku przygotowują swoją premierę w okresie Wielkanocy, a później objeżdżają z przedstawieniem okoliczne Miejscowe Koła, ale podobnie jak ich teatralni koledzy z Łomnej Dolnej byli także w Polsce. 10 maja na zaproszenie MK PZKO grali w Nydku dwie jednoaktówki: „Malowane wajca" Adama Warosza i „Tako miłość" Władysława Młynka. Reżyserem

obu był Władysław Stryczek, a w postacie bohaterów komedii wcielili się: Wanda Stryczek, Lenka Stryczek, Leonka Stryczek, Monika Gomola, Jiří Zimný, Tadeusz Gruszka, Radek Mikula, Janka Martynek. Po przedstawieniu aktorzy spotkali się z miejscowymi pezetkaowcami, a poetka Aniela Kupiec wspominała dzieje teatru amatorskiego w Nydku.

E.S.

W KARWINIE OBRADOWAŁA RADA OBWODOWA PZKO

We wtorek 14 kwietnia odbyło się w Karwinie zebranie Rady Obwodowej PZKO, której członkami są delegaci wszystkich 11 Kół PZKO działających na terenie Karwiny (Frysztat, Raj, Nowe Miasto, Stare Miasto, Łąki, Granice, Darków, Sowiniec, Nowy Jork, Henryk i Centrum). W trakcie obrad przedstawiono informację ZG PZKO o podziale środków finansowych z konta „dla powodzian". Dyskutowano również o konieczności zapewnienia działalności Biura ZG PZKO, z czym związane jest podniesienie składek członkowskich w bieżącym roku.

Głównym punktem obrad było przygotowanie tradycyjnej imprezy Maj nad Olzą, której współorganizatorem jest Rada Obwodowa PZKO. Wsparcie finansowe zapewnił Urząd Miejski w Karwinie i ZG PZKO.

T.T.

MISTRZ KRZYŻÓWEK PRZEKROJU

Już po raz czwarty odbył się 15 kwietnia zorganizowany przez Oddział Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie konkurs o tytuł Mistrza Krzyżówek Przekroju. I znowu jak co roku kilkanaście osób przez półtorej godziny starało się rozwiązać jak najwięcej haseł trzech wybranych przekrojowych krzyżówek – z lat 60., 70. i 80. Obok poważnej konkurencji indywidualnej, gdzie laur zwycięstwa oraz nagrodę w postaci rocznej prenumeraty Przekroju – nagrodę tę ofiarowała zwyciężczyni bibliotece – wywalczyła już po raz trzeci Zofia Göbel z Jabłonkowa, odegrała się już też po raz trzeci mniej poważna – o nagrodę książkową – konkurencja par dla tych, co to sami wstydzą się lub czują się niepewnie. Serca organizatorów grzała myśl, że konkurs, zwłaszcza w konkurencji par, rozrasta się. Przy rozdaniu nagród i zabawie pokonkursowej umawiano się już na piątą – jubileuszową – edycję Mistrza Krzyżówek Przekroju za rok, bo przecież jeszcze wiele krzyżówek pozostało do rozwiązania.

C.R.

EKSLIBRISY W MIEJSKIEJ BIBLIOTECE W CZESKIM CIESZYNIE

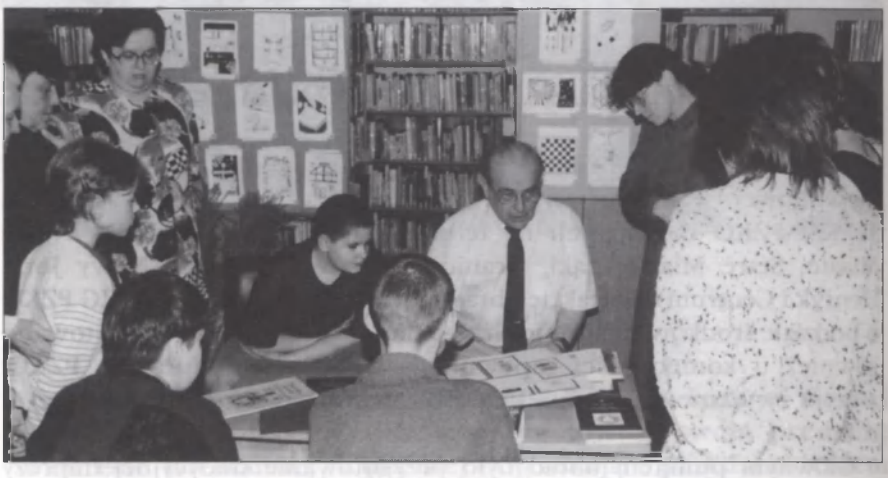

Zbigniew Kubeczka, twórca, znawca i kolekcjoner ekslibrisów, spotkał się w Bibliotece Miejskiej w Czeskim Cieszynie przy ulicy Havlíčka z młodzieżą czeskocieszyńskich szkół, która brała udział w konkursie na własny ekslibris. Prace można było oglądać w bibliotece, a każdy ogląda-

jący mógł stać się jurorem. Całość podsumowało jury fachowców, a 15 kwietnia w trakcie spotkania rozdano nagrody. Przy okazji młodzi plastycy amatorzy mogli dowiedzieć się wiele ciekawostek z historii ekslibrisu i sztuki jego tworzenia. Wiele księgozbiorów zaolziańskich Polaków przyozdobionych jest pięknymi znakami graficznymi wykonanymi przez Zbigniewa Kubeczkę. Mogliśmy je oglądać kilka lat temu na indywidualnej wystawie artysty w Bibliotece Regionalnej w Karwinie. W roku ubiegłym Zbigniew Kubeczka brał udział w Wystawie Polskiego Ekslibrisu Wojskowego w Warszawie.

E.S.

KLUBOTURNIEJ W LESZNEJ

Rada Młodzieży i Sportu przy PZKO zorganizowała dla młodzieży Kluboturniej, który odbył się w Domu PZKO w Lesznej Dolnej 18 kwietnia. Wystartowały trzyosobowe zespoły z Orłowej-Poręby, Orłowej-Lutyni, Karwiny, Lesznej Dolnej, Gutów i Hawierzowa-Błędowic. Zawodnicy odpowiadali na pytania o różnym stopniu trudności z różnych dziedzin: PZKO, wyrazy obce, świat lat 90., geografia, historia, sport i ciekawostki. Największym powodzeniem cieszyła się historia i geografia. Gdy wyczerpały się pytania z dziedzin ogólnych, na placu boju pozostało PZKO, którego historia i dzień dzisiejszy sprawiały uczestnikom turnieju wiele trudności. Ostatecznie zwyciężyła

drużyna z Hawierzowa-Błędowic w składzie: Basia Suchanek, Krysia Prymus i Magda Jedlička, a tuż za nimi uplasowali się reprezentanci Gutów (Basia Kaleta, Jan Kaleta i Adam Kantor). Na trzecim miejscu uplasowała się reprezentacja gospodarzy (Irena Szkucik, Janka Śniegoń i Leszek Sikora). Kluboturniej prowadziła Barbara Buława przy współudziale szefa Rady Tadeusza Szkucika. Była to impreza, którą z pewnością warto w przyszłości powtórzyć.

E.S.

MISTRZ ORTOGRAFII

Po raz czwarty odbyło się w Polskiej Szkole Podstawowej w Karwinie-Frysztacie dyktando ortograficzne dla uczniów starszych klas szkoły podstawowej o tytuł Mistrza Ortografii. Wzięli w nim udział uczniowie wszystkich 13 polskich podstawówek oraz gimnazjum czeskocieszyńskiego. Spośród ponad 60 uczestników wyłoniono finalistów, którym dzięki pomocy Górnośląskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska umożliwiono zmierzenie sił ze swoimi rówieśnikami w Polsce w Ogólnopolskim Konkursie Ortografii. W eliminacjach ogólnopolskich wzięło udział około 2 tysięcy uczniów z całej Polski. Dziewczyny z Zaolzia - Joanna Bartulec ze szkoły dolnolutyńskiej, Barbara Chrobok z Karwiny-Frysztatu i Janina Bujok z Gnojnika - przeszły do finału i otrzymały wyróżnienia. To dobrze świadczy o poziomie języka polskiego w naszych polskich szkołach.

C.R.

KONCERT W GUTACH

Z okazji 50-lecia PZKO Miejscowe Koło w Gutach zorganizowało 19 kwietnia koncert. W wypełnionej po brzegi sali Domu PZKO w Gutach wystąpił pezetkaowski chór mieszany Godulan-Ropica pod dyrekcją Władysława Cieślara i zaprzyjaźniony chór mieszany z Mazańcowic z Polski, którym dyrygował Krzysztof Przemyk. Występy chórów urozmaiciły wesołymi piosenkami dzieci z PSP w Gnojniku, laureaci konkursów śpiewaczych. Koncert był ukoronowaniem obchodów jubileuszowych PZKO w obwodzie gnojnickim.

E.S.

EUROREGION ŚLĄSK CIESZYŃSKI-TĚŠÍNSKÉ SLEZSKO

22 kwietnia doszło w sali konferencyjnej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie do podpisania umowy o współpracy między prezesami Regionalnego Stowarzyszenia Współpracy Czesko-Polskiej Śląska Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, obejmującego 39 gmin należących

do Związku Gmin Powiatu Karwińskiego w Karwinie, Regionalnej Rady Rozwoju i Współpracy w Trzyńcu oraz Stowarzyszenia Gmin Regionu Jabłonkowskiego w Jabłonkowie, i Stowarzyszenia Rozwoju i Współpracy Regionalnej Olza w Cieszynie, obejmującego 12 gmin należących do Związku Komunalnego Ziemi Cieszyńskiej oraz Jastrzębie Zdrój i Zebrzydowice. Umowę podpisali Lubomír Kuznik, prezes Regionalnego Stowarzyszenia Współpracy i starosta Karwiny, Igor Petrov, wiceprezes i starosta Trzyńca, oraz Jan Olbrycht, prezes Stowarzyszenia Olza i burmistrz Cieszyna, i Marek Dorsz, wiceprezes i wicestarosta Jastrzębia Zdroju. Powołanie Euroregionu umożliwi lepszą współpracę między gminami polskimi i czeskimi. Euroregion jest jednocześnie sygnałem dla Unii Europejskiej, która finansuje programy regionalne. Na czele Rady Euroregionu Śląsk Cieszyński stanął Jan Olbrycht, jego zastępcą został Lubomír Kuznik.

C.R.

OBRADY WSPÓLNOTY W SUCHEJ GÓRNEJ

Rada Republikowa Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota zebrała się 24 kwietnia w Suchej Górnej. Na zebraniu m.in. poruszono sprawę przygotowań Ruchu do wyborów komunalnych w Suchej Górnej, Hawierzowie, Olbrachcicach, Cierlicku, Czeskim Cieszynie i Kocobędzu. Zdecydowano o podjęciu współpracy z ruchem politycznym Důchodci za životní jistoty.

Rada Republikowa uchwaliła tekst listu do ministra rządu RC Vladimíra Mlynářa dotyczący reakcji poszczególnych resortów rządowych na obowiązującą od 1.4.1998 umowę ramową o Ochronie Mniejszości Narodowych. Rada Republikowa zobowiązała Radę Wykonawczą do uzupełnienia tekstu listu wykazem konkretnych żądań na rzecz ochrony mniejszości narodowych.

T.T.

SUSZANIE TAŃCZĄ JUŻ 45 LAT

Jubileuszowy koncert z okazji 45. rocznicy powstania zespołu Suszanie odbył się w sobotę 25 kwietnia w Aplaus–Centrum w Suchej Górnej. Zespół MK PZKO w Suchej Górnej po raz pierwszy zaprezentował się zaolziańskiej publiczności w lipcu 1953 roku, ale obecną nazwę przyjął dopiero w roku 1986.

Autorką scenariusza i reżyserem koncertu była kierowniczka zespołu Janina Rzyman (pełni tę funkcję od roku 1967). W pierwszej części koncertu licznie zgromadzona publiczność obejrzała tańce cieszyńskie i z okolic Pietwałdu oraz widowisko pokazujące ludowe tradycje związane z wiosną (topienie Marzanny, chodzenie z goiczkiem, brawurowe po-

kazy zabaw pasterskich, śmiergust). W części drugiej zespół zaprezentował taneczny kunszt w czeskich polkach, tańcach słowackich i nagrodzony burzliwymi oklaskami folklor łowicki w choreografii Doroty Rzyman. Całość przeplatana była występami śpiewaków, dobrze znanej i utytułowanej Beaty Czendlik oraz Grażyny i Mariana Pilchów, Magdy Mec i Jolanty Gałuszki.

Od roku 1987 zespołowi towarzyszy kapela pod kierownictwem Leona Buławy.

E.S.

STAWKA WIĘKSZA NIŻ SZYCIE

Pod takim hasłem odbyła się 25 kwietnia w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury w Cierlicku-Kościelcu ciekawa impreza, której organizatorami były panie z Klubów Kobiet z Cierlicka-Centrum, Kościelca, Grodziszcza i Stanisławic. Dzieci z cierlickiego przedszkola i szkoły zaprezentowały wygodne ubrania do noszenia na co dzień i na różnego rodzaju uroczystości. Stroje zostały przygotowane lub zakupione przez mamy i babcie. Nie zabrakło także wytwornych strojów damskich, które z gracją prezentowały miejscowe panie, a jurorzy na czele z Janem Przywarą byli w nie lada kłopocie, by dokonać wyboru najpiękniejszej sukni. Imprezie towarzyszył pokaz kosmetyków i zdrowej żywności. Była to ciekawa impreza, z pewnością do naśladowania przez inne Kluby Kobiet. A co ważne, przyciągnęła do Domu Polskiego wielu młodych ludzi.

E.S.

foto w kronice FRANCISZEK BAŁON

KRZYŻÓWKA

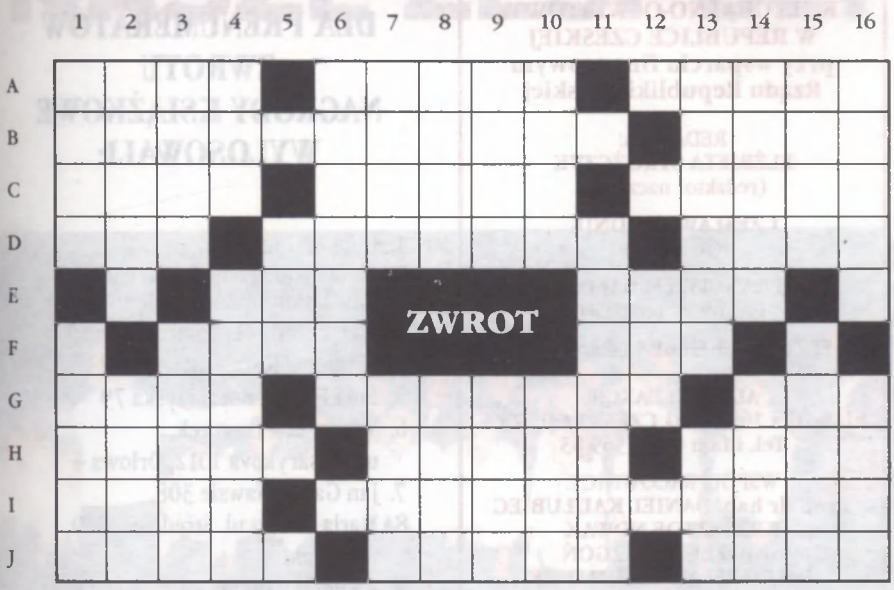

POZIOMO: A. Może być atmosferyczny; dawny dostojnik zarządzający okręgiem administracyjnym; załącznik. **B.** Pracownik drukarni; stolica Ghany. **C.** Surowiec wtórny dla hut; służy do ślizgania się po śniegu; jest łowicki, krakowski i inne. **D.** Wiecznie zielone drzewo; miasto na Ukrainie; ryba wód przybrzeżnych. **E.** Zabawa taneczna; potrzebny do wypełniania lamp jarzeniowych. **F.** Sztuczne nabrzeże w porcie; Tatrzański Park Narodowy. **G.** 1/6 drachmy; usuwanie zarostu twarzy; „sztuka" po łacinie. **H.** Dawniej zakonnik mający święcenia kapłańskie; miasto w Tadżykistanie (anagram wyrazu KABUL); pojedyncza sztuka. **I.** Tatarak; znawstwo. **J.** Krzyżacki lub rycerzy maltańskich; nastrój powagi; uchodzi za projektanta wileńskiego kościoła na Antokolu.

PIONOWO: 1. Czeskocieszyńskie wydawnictwo; kamień szlachetny. **2.** Służy do zabawy i gier sportowych; rodzaj flaneli. **3.** Mało znany gatunek bawołu na Celebesie; szpulka z namotanymi nićmi. **4.** Budynek; znany utwór Ravela. **5.** Słup z zaostrzonym końcem. **6.** Wie wszystko o psie. **7.** Drzewo, węgiel lub koks; obiekt fortyfikacyjny. **8.** Zimotrwały krzew; dawniej Księżyc. **9.** Poprzedniczka Supraphonu; lud zamieszkujący głównie Mongolię. **10.** Służy do hodowli ryb; jedno z imion Owidiusza. **11.** Kąpielisko morskie na Lazurowym Wybrzeżu (anagram wyrazu ISTEBNA). **12.** Miasto w Holandii. **13.** Soda rodzima; miasto w Kirgistanie. **14.** Część składowa kineskopu telewizora; dokumenty urzędowe. **15.** Fason, model, wzór; oklaski wyrażające uznanie, zachwyt. **16.** Męski kaftan noszony przez rycerstwo i dworzan; rodzaj uprzęży.

Wyrazy trudne: ANOA, ELET, EPE, OSZ, RAJA, ZAOR. (taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki - przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego - dadzą litery w następujących kratkach: F-13, E-5, J-7, G-1, C-2, B-6, J-13, C-8, G-7, E-4, B-2, C-15, I-8, F-4, C-14, J-10, G-2, J-4, I-14, A-3, I-2, E-12, C-16, D-1, H-14, C-1, A-7, G-6, B-15, D-6, A-4, D-11, H-11, I-9, J-1, A-2, D-7, E-13, H-3, D-14.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca miesiąca czerwca.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru kwietniowego:
Hasło: **Głowóm muru nie przebijesz**
Nagrody książkowe wylosowali : **Eugeniusz Lose** - Cz.Cieszyn-Mosty
Władysława Vitošowa - Karwina
Sonia Kotas - Wędrynia

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,– Kč, z wysyłką pocztową 222,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

UPRZEJMIE INFORMUJEMY, ŻE W KONKURSIE DLA PRENUMERATÓW ZWROTU NAGRODY KSIĄŻKOWE WYLOSOWALI:

1. Helena Gottsman, ul. Pivovarská 12/3, Karwina 1
2. Karol Kantor, Żuków Dolny 264
3. Maria Stryczek, Łomna Górna 77
4. Zbigniew Kluz, Jabłonków 737
5. Ema Foltyn, Koszarzyska 79
6. Władysław Przeczek, ul. Masarykova 1012, Orłowa 4
7. Jan Gazur, Nawsie 308
8. Maria Rusek, ul. Středová 1509, Rychwałd
9. Agnieszka Benek, ul. Tyršova 813, Bogumin 1
10. Antoni Szpyrc, Wędrynia 447

NAGRODĘ GŁÓWNĄ ufundowaną przez STOWARZYSZENIE WSPÓLNOTA POLSKA 3-dniowy pobyt w Domu Polonii w Krakowie (dla dwóch osób) **z pełnym wyżywieniem i atrakcjami wylosowała EWA RUSNOK** Nydek 82

Osoby nagrodzone prosimy o kontakt z redakcją.

NASZE ZESPOŁY

PRZEŁĘCZ

Spadkobiercą długoletnich tradycji zorganizowanego śpiewactwa polskiego w Mostach koło Jabłonkowa (od r. 1929) stał się w latach powojennych chór mieszany Przełęcz, który obok wielkich wzlotów przechodził także chwile zastoju. Przetrwał jednak do dnia dzisiejszego i w r. 1999 obchodzić będzie 45-lecie swego istnienia. Założycielem i pierwszym kierownikiem artystycznym Przełęczy był wybitny dyrygent i pedagog Józef Mazur, późniejszy twórca legendarnego chóru szkolnego Jabłoneczka przy PSP w Jabłonkowie. Dyrygentami byli też im. in. Józef Firla, Karol Wronka, Bogusław Michałek, Władysław Cieślar. W latach kryzysu małe zespoły wokalne prowadzą Karol Heczko i Gustaw Pyszko. Mostecka Przełęcz zaprezentowała się zaolziańskiej publiczności w r. 1974 jako chór żeński, na czele którego stanęła nauczycielka wychowania muzycznego Halina Niedoba, pod której kierownictwem odradza się chór mieszany ponownie pod koniec 1983 roku. Repetruar Przełęczy odznacza się różnorodnością pieśni i skrupulatnością wykonawstwa. Sukces odnosi Przełęcz wykonując Mszę Wielkanocną karwińskiego rodaka Stanisława Boguni, prezentując ją nawet dwukrotnie w kościele Świętego Krzyża w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu. Zespół występował też m. in. w Toruniu i Koszalinie. Długoletni twórczy wysiłek Przełęczy uwieńczony zostaje odznakami honorowymi ZG PZKO „Zasłużony dla Związku" oraz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie (odznaka Złota, zaś dyrygentka H. Niedoba udekorowana została Złotą z Laurem.) W chwili obecnej nieobecną dyrygentkę zastępuje inż. Alojzy Kaleta.

Silva ART
společnost s r.o.

Kostelní 16/918
737 01 Český Těšín
tel./fax: (00420) 659/731 360-2

OFERUJE NASTĘPUJĄCE USŁUGI:

- odprawy celne towarów w imporcie i eksporcie na placu odpraw w Czeskim Cieszynie
- magazynowanie towarów w składach celnych bez składania zabezpieczenia
- dostawy maszyn, urządzeń i części zamiennych dla kopalń
- hurt – detal: sprzedaż boazerii, okładzin i podłóg pływających

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

7/98

HARCERSKIE WAKACJE W "DOMKU PZKO" W LIGOTCE KAMERALNEJ

TACY BYLIŚMY

Uczestniczki kursu gotowania, zorganizowanego przez Polski Związek Niewiast Katolickich w Suchej Górnej w roku 1937. W środku: Józefa Niemiec przewodnicząca Związku oraz Walburga Fójcik kierowniczka kursu. Fotografia jest własnością p. Leopolda Niemca z Katowic.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 584 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

7/98

W NUMERZE

[2] Święto Trzech Braci
[4] IV Światowe Forum Mediów Polonijnych — CZESŁAWA RUDNIK
[9] Polacy w Republice Słowackiej — ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[15] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (19) — ALOJZY NOWOK
[22] Wszyscy numizmatykami — WICEK SZ.
[23] Moje dorastanie do dojrzałości (7) — BOLESŁAW ORSZULIK
[27] Poplantane jynzyki — WICEK SZ.
[28] O roku ów — EDWARD BUŁAWA
[34] Niezgodliwi ludziska — WICEK CZ.
[36] Co nowego w Wędryni? — TADEUSZ TOMAN
[39] To i owo
[44] Polemiki: Lew i makatka z orłem
[50] Zadziorki — ANDRZEJ GRABOWSKI
[52] Poezja Wiesława Janusza Mikulskiego
[54] Wiesław Adam Berger: Z Barcelony do Miezkowic
[57] Renata Putzlacher – Moje fascynacje
[60] Młode pióro: Wiersze Rafała Zawadzkiego
[62] Pożegnanie: Edmund Rosner
[63] Zaproszenie do lektury pogodnej
[68] Na naszej scenie — CZESŁAWA RUDNIK
[72] 80-lecie społecznika Gustawa Słowika — JÓZEF KULA
[73] Kronika
[78] Krzyżówki

Numer zamknięto 17. 6. 1998

ŚWIĘTO

Te „armaty" oznajmiały głośno...

...obecność rycerzy w drodze na...

...most Przyjaźni z... tradycyjną olbrzymią słodką roladą

TRZECH BRACI

Było gorąco pod ratuszem w Czeskim Cieszynie...

...i w Cieszynie...

...wśród wielu atrakcji były i turnieje rycerzy z dawnej epoki przywrócone na „Święto Trzech Braci". *fot. FRANCISZEK BAŁON*

VI ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

W dniach od 27 maja do 1 czerwca przebiegło w Tarnowie VI Światowe Forum Mediów Polonijnych. 200 polskich dziennikarzy prasy, radia i telewizji z 23 krajów, reprezentujących media mówiące i piszące po polsku w różnych państwach na różnych kontynentach przybyło do sali lustrzanej Banku Przemysłowo-Handlowego w Tarnowie na inaugurację VI ŚFMP, by przez kilka następnych dni prowadzić dyskusje na temat roli mediów w utrzymywaniu więzi między środowiskami Polonii a Polską oraz pomóc w promocji Polski w świecie. Z RC przybyli w tym roku na forum przedstawiciele prasy zaolziańskiej: Władysław Biłko z Głosu Ludu, Czesława Rudnik ze Zwrotu, Bronisław Firla z Wiarusa, oraz dyrektor Wydawnictwa Olza Janusz Ciesielski, a Kurier Praski reprezentowała Alicja Skalska.

Głównym organizatorem forum była Tarnowska Agencja Rozwoju Regionalnego, w tym roku z nowym prezesem Wiesławem Gadziałą, ponieważ dotychczasowy prezes Stanisław Lis, pomysłodawca forum sprzed sześciu lat, uległ poważnemu wypadkowi samochodowemu i nie mógł uczestniczyć w pracach Biura Organizacyjnego Forum. Współorganizatorami było Polskie Stowarzyszenie Prasy Lokalnej oraz Stowarzyszenie na Rzecz Integracji Europy Środkowej z Unią Europejską, patronat objął Senat RP, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Fundacja Kultury, Stowarzyszenie Wspólnota Polska, wojewoda tarnowski, burmistrz Krynicy, prezydent Tarnowa.

Pierwszy dzień forum przebiegał przede wszystkim pod znakiem współpracy Polski z krajami byłego Związku Radzieckiego. Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód przedstawiono jako samorządną organizację, której działalność skupia się na rozwoju współpracy gospodarczej, ale również turystycznej czy kulturalnej na razie z Ukrainą, Białorusią, Litwą, Łotwą, Estonią, Rosją i Kazachstanem. Stowarzyszenie redaguje biuletyn Prawo na Wschodzie, wyjaśniający kwestie prawne obowiązujące w różnych krajach. W Tarnowie powstało też Stowarzyszenie na Rzecz Integracji Europy Środkowej z Unią Europejską w celu ożywienia kontaktów euroregionalnych między narodami Niemiec, Austrii, Czech, Słowacji, Węgier, Polski, Ukrainy i Litwy. Kontakty te dotyczą działalności gospodarczej, oświatowej, kulturalnej i sportowej.

rys. BRONISŁAW FIRLA

Wieczór spędzili uczestnicy forum w tarnowskim Teatrze im. L. Solskiego, oglądając przedstawienie „Moralność pani Dulskiej" Gabrieli Zapolskiej. Spektakl w reżyserii dyrektora teatru Stanisława Świdra daleko odbiegał od klasycznych adaptacji tego dramatu. Zaadresowany został do młodzieży, centralną postacią stała się Mela ze swoją dziewczęcą wrażliwością. Ekspresjonistyczno-surrealistyczne widowisko zostało przez część starszej publiczności przyjęte z mieszanymi uczuciami. W foyer teatru zaprezentowano wystawę „Kościoły Polonijne Archidiecezji Chicagowskiej".

Drugi dzień forum stał się tradycyjnie dniem oficjalnej jego inauguracji. Uroczystego otwarcia dokonała marszałek Senatu RP Alicja Grześkowiak. *Dziś na tej sali zgromadzili się przedstawiciele mediów z całego świata. Reprezentujecie państwo nie tylko najróżniejsze środowiska polskie za granicą, ale też różne warsztaty dziennikarskie i różny sposób podejścia do informacji. Dlatego dobrze, że istnieje takie fo-*

rys. BRONISŁAW FIRLA

rum, na którym możecie państwo wymieniać doświadczenia, szkolić warsztat i zawiązywać przyjaźnie - powiedziała. W czasie półgodzinnej konferencji prasowej odpowiadała na pytania dziennikarzy. W uroczystości wzięli również udział wojewoda tarnowski Aleksander Grad, prezydent Tarnowa Roman Ciepiela, dyrektor Departamentu Wychodźstwa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP Dobiesław Rzemieniewski, odczytano list ministra spraw zagranicznych Bronisława Geremka oraz list prezesa Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzeja Stelmachowskiego. Prof. Emil Orzechowski, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, przedstawił wykład inauguracyjny. O problemach integracji Polski z Unią Europejską mówił prof. Jacek Szlachta z Komitetu Integracji Europejskiej.

Popołudniowe spotkanie z głównym oficjalnym sponsorem forum Markiem Roleskim, właścicielem Firmy Roleski, rozpoczęło się od wizyty w zakładach produkujących keczupy, musztardy i majonezy, bardzo smaczne zresztą. (Po powrocie do domu ze zdumieniem stwierdziłam, że i u nas można kupić produkty tej firmy.) Sponsor ugościł następnie uczestników forum w pięknie odrestaurowanym dworku w Janowicach, który jest ośrodkiem szkoleniowo-wypoczynkowym Politechniki Krakowskiej.

Na robocze przedpołudnie następnego dnia trwania forum złożyły się warsztaty dziennikarskie, w trakcie których wysłuchano wykładu Andrzeja Chodkiewicza, dyrektora Zarządu Krajowego Stowarzyszenia Wspólnota Polska, na temat współczesnej Polonii. Dyskusję o granicach wolności w dziennikarstwie prowadziła Alina Kietrys, dziennikarka z Gdańska. O reportażu historycznym opowiedział Zbigniew Święch z Międzynarodowej Szkoły Dziennikarstwa.

Turystyczno-wypoczynkowa część forum przebiegała w tym roku w Krynicy. Przy ognisku odbyło się spotkanie z władzami miasta. Wystąpiły dzieci i młodzież z Regionalnego Zespołu Sądeczoki z Nowego Sącza, którzy po programie zbierali nie tylko oklaski, ale również dobrowolne datki do kapelusza. Każdy z widzów, który darował jakąś sumę pieniężną na działalność zespołu, otrzymał w zamian zdjęcie zespołu na widokówce. Może byłby to pomysł na podreperowanie budżetu i dla naszych zaolziańskich zespołów.

Oprócz zwiedzania Krynicy, miasta oraz sanatorium z całą bazą zabiegowo-wypoczynkową, w programie znalazł się również wyjazd uruchomioną w roku ubiegłym najdłuższą i najnowocześniejszą kolejką gondolową z Czarnego Potoku na szczyt Jaworzyny Krynickiej. Gospodarze zapewniali o świetnych warunkach do uprawiania sportów zimowych. Wierzyli w to, że dzięki kolejce w niedalekiej przyszłoś-

ci Krynica stanie się największym ośrodkiem sportów zimowych w Polsce. Do dyspozycji narciarzy będzie 8 tras zjazdowych o łącznej długości 13 kilometrów.

W sali konferencyjnej ośrodka wypoczynkowego Czarny Potok odbyła się multimedialna prezentacja województwa tarnowskiego, przygotowana na razie w wersji roboczej na CD krążku przez pracowników Ośrodka Informatyki UW. Bardziej krytycznie zareagowali na ten eksperyment dziennikarze z Zachodu, dla których taki sposób przekazywania informacji jest już chlebem powszednim. Dla porównania obejrzano podobną prezentację Polski w wersji angielskiej zrealizowaną w USA przez obecnego na forum Andrzeja Słodkowskiego.

W Czarnym Potoku odbyło się też spotkanie z goszczącym niedawno na Zaolziu pisarzem Andrzejem Grabowskim, autorem książek dla dzieci, poetą i satyrykiem, którego „zadziorki" przedstawiamy w tym numerze Zwrotu. W prywatnej rozmowie nie krył zachwytu nad sposobem pracy z dziećmi w naszych szkołach oraz wysokim poziomem Ogniwa i Jutrzenki.

Po powrocie do Tarnowa odebrali nagrody uczestnicy konkursu literackiego „Powroty do źródeł" oraz konkursu na reportaż. Wśród laureatów znalazł się również Bronisław Firla, autor tekstu „Decyzje", *w interesującej formie ukazującego dramatyzm polskich losów powojennych.* Odbyły się też ostatnie warsztaty dziennikarskie, na które złożyło się spotkanie z dyrektorem teatru Stanisławem Świdrem, dyskusja o miejscu kultury w mediach prowadzona przez Alinę Kietrys oraz wykład o mediach polonijnych i informacja o Szkole Letniej Kultury i Języka Polskiego UJ przekazane przez dr. Jarosława Rokickiego z UJ.

W Tarnowie przebiegały właśnie Dni Tarnowa. W miejscowym amfiteatrze odbywał się finał XIV Międzynarodowych Spotkań Folklorystycznych o Pawie Pióro i Gliniany Dzban, była więc okazja do porównań.

Zakończenie VI ŚFMP odbyło się w Warszawie w siedzibie Senatu RP po spotkaniu z marszałkiem Senatu Alicją Grześkowiak i członkami Senackiej Komisji Spraw Emigracji i Polaków za Granicą. Wcześniej, w Tarnowie, pożegnał uczestników forum wicewojewoda tarnowski Tomasz Majka słowami: *Dziękuję, że chcą państwo do Tarnowa przyjeżdżać. Chcę się wam nisko pokłonić za to, że utrzymujecie więzi z krajem, że myślicie po polsku. W przyszłym roku nie będzie województwa, ale będą ludzie gotowi zawsze was przyjąć.*

CZESŁAWA RUDNIK

POLACY W REPUBLICE SŁOWACKIEJ

Z wizytą w Bratysławie

RODOWÓD SŁOWACKIEJ POLONII

Polonia słowacka jest niewielka, w optymistycznych szacunkach oceniana jest na około trzy tysiące osób, według ostatniego spisu powszechnego liczba Polaków wynosi 2100 osób. Polacy w Słowacji są rozproszeni: największe skupiska Polaków znajdują się w Bratysławie (około 300 osób) i dalej nieco mniejsze w Koszycach, Martinie i Popradzie.

W przeważającej większości słowacka Polonia to Polacy, którzy w latach 1974 – 1985 przybyli do ówczesnej Czechosłowacji do pracy w polskich firmach, mających tu swoje przedstawicielstwa. Nie było im łatwo, szczególnie w latach osiemdziesiątych, gdy po wydarzeniach roku 1980 w Polsce w CSRS trwała antypolska propaganda. Po podziale państwa czechosłowackiego na dwa oddzielne organizmy państwowe większość zamieszkujących te tereny Polaków pozostała w swoich miejscach stałego pobytu. Przybywali też nowi, nie tylko z terenów przygranicznych, przeważnie ludzie młodzi w poszukiwaniu pracy i często życiowego partnera. Na obszarze Słowacji pozostają też studenci z Polski, a także

Instytut Polski w Bratysławie

włączają się w kręgi polskie Słowacy, którzy ukończyli studia w Polsce.

Trudno określić, ilu Zaolziaków pozostało w Słowacji, są na pewno, choć pozostając w słowackich związkach rodzinnych, nie zawsze ujawniają swe polskie pochodzenie, tak jak większość Polaków przybyłych tu z Polski. Wpływ na tę sytuację ma również rozproszenie.

Niegdyś skupiska ludności polskiej znajdowały się na terenie Spisza i Orawy i innych terenów przygranicznych (np. Czadca). Istnieją wprawdzie pewne nikłe ślady polskości w obyczajach spotykanych wśród tutejszej ludności, ale faktycznie polska tam obecność zanikła jeszcze w wieku XIX. Pozostały natomiast polskie pamiątki w postaci domów mieszkalnych i na cmentarzach. Ale jeśli już mowa o polskich śladach, to trzeba wspomnieć o pamiątkach historycznych, które pozostały z czasów, gdy obecna Słowacja to były Górne Węgry (lata 907 – 1918) i stanowiły szlak tranzytowy z Krakowa w dalekie strony czy neutralne miejsce dyplomatycznych spotkań, jak choćby zjazd Jagiellonów w Lewoczy na Spiszu w r. 1494. Polskie pamiątki z tego okresu pozostały głównie w kościołach. Np. w Lewoczy w kościele parafialnym św. Jakuba w nawie bocznej na gotyckim Ołtarzu Matki Boskiej Śnieżnej króluje Orzeł Jagiellonów, ołtarz główny uważany za najwyższy ołtarz gotycki świata jest dziełem Pawła z Lewoczy, ucznia Wita Stwosza, i w rzeczywistości kopią Ołtarza Mariackiego w Krakowie. Relikwie polskiego męczennika pochodzącego ze Śląska Cieszyńskiego św. Melchiora Grodzieckiego (1582 – 1619) znajdują się w kościele urszulanek w Trnawie koło Bratysławy. Może warto w czasie letnich wędrówek po Słowacji poszukać polskich pamiątek.

POLSKIE KLUBY

Idea zorganizowania stowarzyszenia osób narodowości polskiej, polskiego pochodzenia, członków ich rodzin, a wreszcie ludzi, którym bliski jest polski krąg kulturowy, zaowocowała już w roku 1991 utworzeniem Klubu Polskiego im. Adama Mickiewicza w Martinie. Klub Polski – Stowarzyszenie Polaków i Ich Przyjaciół w Słowacji – powstał w styczniu 1994 roku z inicjatywy grupy założycielskiej, którą tworzyli: Elżbieta Dutková, Maria Jakubčová, František Letena, Zbyhněv Stebel, Pavol Šramko i Ryszard Zwiewka. Jeszcze w styczniu Klub Polski został zarejestrowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Republiki Słowackiej. Organizacje regionalne powstały w Bratysławie, Koszycach i Martinie. W kwietniu tegoż roku odbył się w Bratysławie I Kongres Klubu Polskiego, którego prezesem został Ryszard Zwiewka, a wiceprezesem Elżbieta Dutková.

Polska orkiestra dęta nad brzegiem Dunaju

II Kongres Klubu Polskiego miał miejsce w Koszycach w listopadzie 1996. Prezesem została Elżbieta Dutková, wiceprezesem – Tadeusz Błoński (równocześnie prezes Regionu Koszyce), a członkami Lidia Grala-Bednarcik (Region Bratysława) i Cezary Torebko (Region Martin).

Członkowie stowarzyszenia Klub Polski w Republice Słowackiej charakteryzują siebie jako ludzi, którzy, zachowując swoją tożsamość narodową, stanowią integralną część społeczeństwa słowackiego. Aby zachować polską tożsamość narodową, zakładają i utrzymują szkółki języka polskiego (jedyna forma poza rodziną uczenia dzieci języka polskiego), wydają miesięcznik Monitor Polonijny, organizują spotkania dyskusyjne klubów regionalnych i zabiegają o wszelkiego rodzaju kontakty z Polską. A nie jest to proste, bo nie posiadają własnego lokalu – korzystają z gościnności Instytutu Polskiego w Bratysławie, nie posiadają funduszy na realizację imprez kulturalnych (w ubiegłym roku uzyskali wsparcie finansowe z Ministerstwa Kultury Republiki Słowackiej na działalność klubową i wydawanie Monitora Polonijnego). W tym roku polski miesięcznik z braku funduszy chwilowo (choć ukazał się jeszcze numer majowy) za-

Zespół z Koniakowa na statku...

wiesił swoją działalność. Jednak jego redaktor naczelna Danuta Meyza-Marušiaková jest pełna optymizmu co do jego przyszłości, wierząc, że ktoś zechce wesprzeć ich działalność, biorąc pod uwagę fakt, że pismo redagowane jest społecznie i ponosi jedynie koszty przygotowania i druku. Wychodzi w nakładzie 500 egzemplarzy i rozsyłane jest po całej Słowacji. Nawiasem mówiąc, podobne pismo Beseda, wydawane przez czeską mniejszość zamieszkałą w Słowacji, finansowane jest przez rząd Republiki Czeskiej.

Być może już wkrótce poprawie ulegnie sytuacja lokalowa, bowiem w niedługiej przyszłości swoje podwoje otworzy rekonstruowany obecnie Dom Mniejszości Narodowych w Bratysławie, gdzie Polacy obok innych mniejszości będą posiadali lokal klubowy, a duża sala służyć będzie wszystkim.

Kluby Polskie w Słowacji, szczególnie przez ostatnie trzy lata, działają bardzo prężnie, toteż zyskują nowych członków. Status klubowicza ma charakter rodzinny, jeśli 65 jego członków opłaca składki w Bratysławie, to znaczy, że w Klubie jest zrzeszonych tyleż rodzin. Mimo wszystko pracy przy tak dużym zakresie działalności klubowej jest wiele, a wiemy to z własnego podwórka, jak trudno znaleźć czas na społeczne działania.

Członkowie Klubów utrzy-

Na statku – od lewej: E. Stróżczyk, J. Lenard, E. Cywińska, E. Dutková

mują kontakty, m.in. dzięki Stowarzyszeniu Wspólnota Polska, z Polakami w innych krajach, biorąc udział w różnego rodzaju spotkaniach. Ryszard Zwiewka był także gościem Gorolskigo Święta.

TYDZIEŃ MUZYKI POLSKIEJ W BRATYSŁAWIE

To największa impreza kulturalna przygotowana przez Polonię słowacką w roku bieżącym. Odbyła się w Bratysławie w dniach 18 – 22 maja. Zaistniała dzięki współpracy Klubu Polskiego Region Bratysława z Sejmikiem Samorządowym Województwa Katowickiego, Instytutem Polskim w Bratysławie a także licznym sponsorom, w tym Stowarzyszenia Wspólnota Polska i przede wszystkim Polskim Liniom Lotniczym LOT.

Pokaz polskiego dorobku kulturalnego w Bratysławie miał szeroki wachlarz: od muzyki poważnej (koncert kwartetu smyczkowego Filharmonii Śląskiej, koncert organowy), poprzez zespół harmonijek ustnych aż po występy orkiestr górniczych. A wszystkie koncerty odbywały się w prestiżowych salach stolicy Słowacji, w Sali Kongresowej czy na Zamku. Absolutną bratysławską rewelacją kulturalną tego roku pozostanie występ Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk, który przyjmowany był niezwykle gorąco, wielokrotnie bisował, a publiczność

nie szczędziła owacji na stojąco. W kuluarach słychać było pełne zachwytu i podziwu dla Polaków komentarze, a nawet nuty zazdrości ze strony mniejszości węgierskiej, która swoim najlepszym ludowym zespołem usiłowała w roku ubiegłym podbić bratysławską publiczność, lecz nie udało jej się tego, czego dokonali Polacy.

Finał Tygodnia Muzyki Polskiej miał miejsce w piątek 22 maja w centrum starego grodu, nieopodal prezydenckiego pałacu, gdzie pod Instytutem Polskim zebrała się Orkiestra Dęta Kopalni Węgla Kamiennego Kleofas w Katowicach, by grając, przemaszerować na molo portu rzecznego w Bratysławie, gdzie dała dłuższy koncert. Górnicy z pióropuszami i dźwięki marsza zwracały uwagę przechodniów, którzy przyłączali się do szczególnego orszaku, bowiem za orkiestrą podążali Polacy z różnych stron Słowacji i goście z Polski. Szczególny zachwyt polska orkiestra wzbudziła wśród grupy japońskich turystów, toteż w marszu przyłączali się do jej członków, by robić sobie pamiątkowe zdjęcia z egzotycznie dla nich wyglądającymi górnikami. Sytuacja miała dość komiczny charakter, bowiem górnicze czapki czyniły muzykantów bardzo wysokimi w porównaniu z niskimi wzrostem Japończykami.

Na nabrzeżu zacumowany był statek, na który wsiedli zaproszeni przedstawiciele słowackiej Polonii i liczni goście (w tym sponsorzy) z Polski. Tu z kolei przygrywała kapela i tańczył, znany także na Zaolziu, zespół góralski Pod Ochodzitą z Koniakowa. Rejs przy dźwiękach ludowych melodii i wspólnych tańcach trwał pięć godzin. Mimo silnego wiatru, co uniemożliwiło popłynięcie do Gabčikova, nie zabrakło chętnych do podziwiania z pokładu statku pięknych krajobrazów. Jako że tyle godzin rozmów, śpiewów i tańców mogło nadwyrężyć podróżujących, organizatorzy nie zapomnieli o jedzeniu i piciu. Było smaczne i do syta.

A następnego dnia rano toczyły się rzeczowe rozmowy między przedstawicielami Wspólnoty Polskiej z Warszawy Ewą Cywińską, członkiem Zarządu Krajowego, i Jadwigą Lenard a przedstawicielkami zarządu Klubu Polskiego w Bratysławie z jego prezes Elżbietą Dutkową na czele. Prezes krakowskiego Oddziału Wspólnoty Polskiej prof. Zygmunt Kolenda prowadził długie rozmowy z reprezentantami słowackiej Polonii w czasie rejsu na statku. Polacy żyjący w Słowacji po raz kolejny udowodnili, że nawet tak niewielu może zrobić tak wiele. Przez poprzednie dwa lata organizowali Dni Kultury Polskiej w Koszycach.

ELŻBIETA STRÓŻCZYK

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (19)

ZNÓW NAD STYREM – UTRATA ZAOLZIA

Od listopada 1919 roku dowódcą zgrupowania POW w okręgu Karwina – Frysztat – Bogumin był mój serdeczny druh Ludwik Zych, doświadczony żołnierz-legionista i bardzo dobry organizator. Pochodził z Rychwałdu. Pod koniec marca 1920 roku przybył do mnie do Ropicy. Taszczył walizeczkę, plecak i jakąś torbę. Przenocował u mnie w naszym domu. Bez specjalnego zachwytu oznajmił, że został powołany z powrotem do wojska i przyszedł się pożegnać. Pewnie coś się święci, bowiem wielu oficerów otrzymało podobne rozkazy. Do późnej nocy rozmawialiśmy na temat Śląska Cieszyńskiego i doszliśmy do wniosku, że sytuacja na naszym terenie nie jest wcale dobra. Wyglądało na to, że Zaolzie zostanie ogołocone z ludzi z doświadczeniami wojskowymi i politycznymi.

Okazało się, że Zych miał rację. Za dwa dni po jego odwiedzinach otrzymałem i ja rozkaz meldować się w przeciągu czterech dni w koszarach w Szepetówce. Jednak zaraz w tym samym dniu wieczorem otrzymałem rozkaz meldować się nie w Szepetówce, lecz w garnizonie w Łucku.

Odwiedziłem natychmiast por. Jerzego Szczurka w Cieszynie i na podstawie porozumienia z nim zdałem dowództwo nad ropicko-gnojnicką kompanią POW por. A. Gajdaczkowi. Był inwalidą wojennym, więc nie groziło mu, że będzie powołany do służby czynnej w wojsku. Jego kalectwo nie przeszkadzało mu jednak w wypełnianiu obowiązków związanych z tą funkcją. Wytrzymał dzielnie na tym stanowisku aż do końca. A więc do czasu, gdy mu zagrażały represje ze strony czeskiej. Ropicę opuścił dopiero na początku sierpnia 1920 r., a więc po podziale Śląska Cieszyńskiego. Z wojska został zwolniony jednak dopiero w 1921 roku.

Do Łucka dotarłem stosunkowo szybko, bo już 5 kwietnia. Całe miasto było przepełnione wojskiem. Formacje różnych broni kwaterowały w szkołach, w magazynach na dworcu kolejowym, na samej stacji kolejowej, w różnych innych budynkach publicznych i pod namiotami na każdym skrawku ogrodów czy parków. Duże, byłe rosyjskie koszary pękały w szwach. Coś się naprawdę święciło.

A więc znów znalazłem się nad Styrem, w którym w wigilię Bożego Narodzenia w 1916 roku utonął mój serdeczny przyjaciel czeski Tonda Slavík przy nieudanej próbie dezercji do Rosjan. Wówczas byliśmy nad Styrem w okopach jako podchorążowie armii austriackiej, a teraz by-

łem nad tą rzeką w koszarach byłej armii rosyjskiej jako oficer wojska polskiego.

Chyba już w trzecim dniu pobytu w Łucku otrzymałem list od A. Gajdaczka. Pisał, że por. Szczurek również został powołany do służby czynnej w wojsku, ale jeszcze przed jego wyjazdem z Cieszyna został przeprowadzony atak na stację kolejową w Gnojniku. Zostały zniszczone jakieś urządzenia na stacji, ale ofiar w ludziach nie było. Odetchnąłem z ulgą.

W Łucku tworzył się z młodych ludzi z poborów zupełnie nowy pułk piechoty. Byłem dowódcą pierwszej kompanii tego pułku. Na jego formowaniu czas strasznie szybko upływał. A że duży plac ćwiczeń przy koszarach był zajęty przez artylerię i inne formacje, wyprowadzałem moją kompanię zazwyczaj na ćwiczenia za miasto, do okolicznych wiosek. Ale i w tych zniszczonych wioskach obozowały silne oddziały wojska.

We wszystkich wioskach znajdowały się ślady wielkiej wojny austriacko-rosyjskiej. Wszędzie znajdowały się stare okopy, zwoje zardzewiałego drutu kolczastego, sterty zniszczonych jaszczyków artyleryjskich i innego materiału. Były to bardzo ciężkie rany czy wrzody na ciele tej ziemi, na tej tak bardzo urodzajnej glebie wołyńskiej. Jak długo będą się te rany goić? Tu i ówdzie ukazywali się pierwsi powracający mieszkańcy tych wiosek. Wygnano ich stąd gdzieś tam w 1915 r. i powracali teraz z głębi Rosji a nawet z Sybiru. I nie mieli właściwie do czego wracać! Rozpacz! Powracały głównie kobiety z dziećmi. Żaliły się :

– Ruskie nam mężów zabrali, Germańcy nas ograbili i spalili i potem powrócili znów Ruskie i wygnali nas na tułaczkę. I co wy Polaki z nami teraz zrobicie? –

Bardzo żal było mi tych ludzi. I to jeszcze jedna wojna się w krótkim czasie przez ten kraj przewaliła. A bolszewicy nacierający na cofające się oddziały polskie nie znali miłosierdzia. Grabili, a opornych stawiali „pod stienku"!

Zaraz po przybyciu do Łucka otrzymałem rozkaz czy też informację, że na podstawie jakiejś tam umowy będą nam w niektórych dniach przy ćwiczeniach towarzyszyć oficerowie ukraińscy i że mamy im pomagać w zdobywaniu wiedzy wojennej. Nie mieściło mi się w głowie, że mam być instruktorem oficerów armii, w której byłem przed kilku miesiącami jako jeniec wojenny w niewoli. Ale rozkaz to rozkaz. Ukraińscy oficerowie przychodzili i meldowali się. Zawsze inni – zmieniali się. I tak w mej kompanii chyba w ciągu dziesięciu dni przebywało ośmiu ukraińskich oficerów. Zapamiętałem sobie nazwisko tylko jednego z nich. Nazywał się Paweł Szandruk i mówił stosunkowo dobrze po polsku. Spotkałem się z nim znów w 1935 r. w ministerstwie w Warszawie. Był dyplomowanym podpułkownikiem wojska polskiego! Ja byłem wówczas tylko kapitanem. Po opanowaniu Ukrainy przez

bolszewików zostały dywizje atamana S. Petlury na terenie Polski na początku 1921 r. rozwiązane. Kilkaset oficerów ukraińskich przeszło wtedy do wojska polskiego i bardzo szybko i łatwo awansowali. Między nimi i mój znajomy Paweł Szandruk.

Za kilka dni po mym przyjściu do Łucka skoncentrowane tam oddziały wojska zaczęły opuszczać kwatery i obozowiska w mieście i w okolicy. Maszerowały na wschód. Było już wtedy pewne, że to początek wyprawy na Kijów. Na początku 1920 roku przeprowadził marszałek Józef Piłsudski inspekcję kresów wschodnich, głównie Łucka i okolicy i pewnie wtedy doszło do nawiązania kontaktów przyjacielskich z Ukraińcami. W dniu 21 kwietnia została podpisana umowa ze zwierzchnikiem Ukrainy atamanem S. Petlurą i pod osobistym dowództwem marsz. J. Piłsudskiego wyruszyły armie polskie i dwie dywizje ukraińskie dnia 25 kwietnia na Kijów zajęty przez bolszewików. Mój pułk miał wyruszyć do walki po zupełnym wyszkoleniu żołnierzy i po uzupełnieniu wyposażenia bojowego. Nie doczekałem się jednak tego.

Od końca wojny w 1918 r. grasowały w trójkącie Łuck–Równe–Sarny, między rzekami Styr i Horyń silne, bardzo dobrze uzbrojone bandy dezerterów z wszystkich armii, które na tych terenach walczyły. W bandach byli Rosjanie, Ukraińcy, Niemcy, Austriacy, Polacy i dezerterzy różnych innych narodowości. Na zimę zaszyły się bandy te w lasach. Na początku wiosny i po wymarszu głównych sił polskich na Kijów ośmieliły się, wyszły z lasów i jak głodne wilki rabowały i napadały nawet na niektóre słabsze oddziały naszego wojska w różnych miejscowościach. Moja kompania natknęła się dnia 8 maja 1920 na jedną taką silną bandę na północnym wschodzie od Łucka. Udało się nam ją zlikwidować, ale jeden mój żołnierz poległ, a pod koniec potyczki ja sam zostałem ciężko ranny w płuca i lewą rękę. Leżałem najpierw w szpitalu w Łucku, później w Lublinie a w końcu w Krakowie, gdzie doczekałem „cudu nad Wisłą" i końca wojny z bolszewicką Rosją.

A więc jednak zwyciężyliśmy nad silniejszym nieprzyjacielem. Byłem dumny z tego. Sporo drogich mi osób niestety nie wróciło już z tej wojny. Między innymi mój kochany brat cioteczny Franciszek Branny z Ropicy, który dostał się na froncie do niewoli, oraz mój młodszy kolega Karol Tomanek z Kępy Ropickiej nad Olzą, który jako ochotnik w tej wojnie poświęcił gdzieś w stepach ukraińskich swe życie. Dla Polski, z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim.

W międzyczasie sprawa Zaolzia została przesądzona.

Dyplomacja czeska sprytnie, umiejętnie, we właściwym czasie pokierowała całą sprawą. Rozstrzygnięcie w Spa o podziale Śląska Cieszyńskiego padło po niepomyślnym dla Polski wyniku plebiscytowym na Warmii i Mazurach oraz w okresie, kiedy oddziały sowieckie zbliżały się do Warszawy. I w czasie, kiedy na torach w Czechach i na

Morawach były zatrzymywane, a raczej blokowane francuskie wagony kolejowe z dostawami broni i amunicji dla walczącej Polski z Francji.

Czeska dyplomacja we właściwym momencie wykorzystała ówczesną sytuację polityczną i militarną Polski zaangażowanej zbytnio na wschodzie i zapatrzonej na ten wschód, a zapominającej o naszych rubieżach zachodnich. Przecież znana to sprawa, że „oczkiem w głowie" polityki Piłsudskiego były sprawy wschodnie. Sądzę jednak, że nie należy potępiać w czambuł jego sentymentów do kresów wschodnich, na przykład do Wilna, gdyż urodził się i wychował w tamtych stronach. Lecz faktem jest, że między innymi i dzięki temu utraciliśmy wówczas najbogatszą część Śląska Cieszyńskiego – Zaolzie – brylant w koronie Polski.

Z prastarego, odwiecznego grodu Piastów śląskich i stolicy książąt cieszyńskich powstał w dniu 28 lipca 1920 roku przekrojony sztucznie na dwa organizmy życiowe potworek. Ukochana, dobrotliwie zawsze szemrząca rzeka Olza przedzieliła Cieszyn. Polsce przypadła stara część miasta z licznymi zabytkami. Wśród nich króluje nad miastem majestatyczna wieża Piastów. Spogląda czujnym okiem na szczyt Jaworowego, Ropiczki, Goduli, Praszywki, na moją kochaną Ropicę, na Żuków, na Trzyniec oraz inne polskie sadyby i zdaje się wołać:

– Czuwajcie rodacy...

Po stronie polskiej pozostała też elektrownia i – góra wisielców. Natomiast braciom Czechom przypadł główny dworzec kolejowy, gazownia i kilka fabryk. Linia tramwajowa przypadła w części Polakom i w części Czechom. W rezultacie podziału miasta tramwaj został jednak w krótkim czasie zlikwidowany.

Tysiące ludzi, z dziada pradziada rodacy z Zaolzia, opuszczały w tym czasie miejsca swego urodzenia i zamieszkania na Zaolziu i przeprowadzały się do Polski.

Również ja z podpor. Gajdaczkiem i z wielu innymi opuściłem w owych dla mnie tragicznych dniach rodzinną Ropicę, matkę, siostry i braci. Powrót i pobyt w Ropicy był dla nas niewskazany. Czekały tam na nas represje ze strony braci Czechów. Od 1919 roku przychodziły na mnie do Ropicy anonimowe listy z Frydku i Ostrawy z pogróżkami i nakazami zgłoszenia się bezzwłocznego w „biurze ukarania terrorystów polskich". Podobne listy przychodziły na mój adres w Ropicy jeszcze bardzo długo. Przynosił mi je do koszar w Cieszynie mój najmłodszy brat Karol, który był studentem gimnazjum a później akademii rolniczej w Cieszynie. Po studiach na akademii rolniczej i on zdecydował się pozostać raczej w Polsce. Przyjął obywatelstwo polskie. Pracował jako adiunkt a później jako zarządca różnych dóbr ziemiańskich w Wielkopolsce.

Nosiłem się z zamiarem sprawdzenia w jakiś sposób, ile takich emigrantów politycznych z Zaolzia jak Gajdaczek, Niemiec, Zych,

Adamecki, mój brat Karol żyje w Polsce. Ale jakoś nigdy nie miałem czasu i nie znalazłem sposobu, jak to zrobić. Na pewno było tych emigrantów kilkadziesiąt tysięcy.

Przegrana batalia o Zaolzie wywoływała często wśród oficerów wiele fermentów, kontrowersji i namiętnych nieraz polemik. Najczęściej słyszało się zarzuty pod adresem ówczesnego komentanta POW na Śląsk Cieszyński majora Bolesława Ostrowskiego, że nie zarządził w dniu 28 lipca, a więc po nieszczęsnej decyzji Rady Ambasadorów w Spa o podziale Zaolzia, zbrojnego powstania wśród członków POW, górników karwińskich i hutników trzynieckich.

Pamiętam, jak w czasie zebrania likwidacyjnego członków POW, które się odbyło w okresie jesiennym w sali teatralnej Domu Narodowego w Cieszynie, wytaczano ciężkie zarzuty pod adresem Warszawy i jej przedstawiciela majora Ostrowskiego o zaprzepaszczenie sprawy Zaolzia. Pamiętam również, jak w tych dniach prowadził na ten temat przy stoliku kawiarni w hotelu Pod Brunatnym Jeleniem ożywioną polemikę z majorem Ostrowskim wieloletni poseł i zasłużony działacz adwokat Michejda, rodak z zaolziańskich Olbrachcic. Warto na pewno podkreślić, że Michejda w czasie zmagań o Zaolzie był trzykrotnie aresztowany i więziony przez Czechów w Opawie i Ołomuńcu. Byłem świadkiem polemiki Michejdy z majorem Ostrowskim.

– Czy nie byłoby korzystniej dla Polski – zapytuje Michejda – gdyby zamiast białoruskiego ubogiego Wołkowyska, Kobrynia, Mołodeczna, Prużan itd. wrócił na łono Macierzy niepodzielony Cieszyn, Karwina, Trzyniec, Jabłonków, moje Olbrachcice i całe Zaolzie z bogactwami naturalnymi i jego polskim ludem? –

– Przyjdzie niedługo czas, że i Zaolzie do nas wróci! – pocieszał mecenasa Michejdę major Ostrowski. – Przeżyliśmy niedawno „cud nad Wisłą" i zobaczycie, że doczekamy się w odpowiednim czasie „cudu nad Olzą".–

– Obiecanki, cacanki! Obstaję przy tym, że Warszawa w ogóle nie dostrzegała naszego miniaturowego a tak wartościowego regionu i nie doceniła jego olbrzymich wartości. Nasze Zaolzie to dla Warszawy i wielu Polaków „terra incognita", to prawie nieznany i niedostrzegany przez ogół Polaków zakątek. Śląsk Cieszyński i jego polski lud to zapomniany, lekceważony przez naszych polityków region, to zupełnie niedostrzegalny w naszej koronie polskiej bezcenny diadem i brylant. Dla mnie nadal nie ma Polski bez Zaolzia, tak jak nie ma polskiego Zaolzia bez Polski! – zakończył polemikę podnieconym głosem dr Michejda.

Wydaje się, że major Ostrowski był w tej sprawie ściśle skrępowany dyrektywami z Warszawy, skąd został specjalnie delegowany do Cieszyna do objęcia komendy POW i pokierowania akcją zbrojną na Zaolziu po myśli centralnych władz. Jest niezaprzeczalne, że w ostatnich dniach lipca 1920 roku sytuacja militarna na froncie bolszewic-

kim była dla Polaków wysoce niepomyślna, a poza tym cały kraj przeżywał szok po niepomyślnym wyniku plebiscytowym na Warmii i Mazurach. Wydaje się więc prawdopodobnym, że centrala warszawska nie zezwoliła wówczas angażować się zbrojnie z Czechami.

Nadmieniam jednak, że są to tylko moje osobiste domysły i przypuszczenia. Może kiedyś z archiwalnych źródeł wydostanie się jakaś inna „prawdziwa prawda" na światło dzienne.

Warto poświęcić jeszcze więcej uwagi konferencji w Spa, która zaważyła nie tylko w sprawie Zaolzia, lecz również w innych, ważnych sprawach odradzającej się Polski. W konferencji tej w lipcu 1920 roku wziął udział premier polski W. Grabski. Podpisał układ, w którym Polska zgadzała się wszcząć natychmiast rokowania z Rosją, oddać Wilno Litwinom, przyjąć decyzję Ententy w sprawie Śląska Cieszyńskiego, Małopolski Wschodniej (Zachodniej Ukrainy), traktatu polsko-gdańskiego i innych. W razie odrzucenia przez Rosję Radziecką propozycji rozejmowych Ententa miała wesprzeć Polskę. Warunki narzucone Grabskiemu były bardzo ciężkie. Jego powrót do kraju wywołał wiele emocji. „Jeżeli w walce tej nie odeprzemy bolszewików, to stokroć lepiej będzie – pisały wówczas niektóre gazety – aby bolszewia przewaliła się po naszej Ojczyźnie, a stąd poszła po całej Europie. Bo wtedy cała Europa znajdzie się w jednakowych warunkach. A jałmużna z ręki sprzymierzeńca natychmiast z nas uczyni nędzarzy, w krótkim zaś czasie znów niewolników. Nie uznamy nigdy haniebnych postanowień. Precz z nowym rozbiorem Polski! Precz z Grabskim!

Jednak Rada Obrony Państwa, której przewodniczącym był Naczelnik Państwa, a członkami której byli: marszałek Sejmu, premier, trzech członków rządu, dziesięciu posłów na Sejm i trzech przedstawicieli armii, zgodziła się, choć niejednogłośnie, na twarde warunki narzucone Polsce przez konferencję w Spa.

Wbrew dyktatowi tej konferencji „nieposłuszny" czy też „zbuntowany" generał Lucjan Żeligowski dnia 9 października 1920 wkroczył ze swoimi oddziałami do swego rodzinnego Wilna i tam ogłosił utworzenie „Litwy Środkowej", która na podstawie wyników wyborów przeprowadzonych 8 stycznia 1922 wyraziła chęć przyłączenia się do Polski. Dnia 24 marca 1922 Sejm Polski fakt ten zaakceptował i zatwierdził przyłączenie Wileńszczyzny do Polski.

Zaolzie nie miało żadnego „zbuntowanego" generała. Urodzili się na Zaolziu tylko oficerowie do stopnia podpułkownika. I to nie wystarczało!

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

Wierne generacje... (z imprezy PZKO w Kocobędzu) ▶
fot. FRANCISZEK BAŁON

WSZYSCY NUMIZMATYKAMI

Kiejsi ludzie zbiyrali zimioki, orzechy,
aby mieli na zimym pełne piwnice i miechy,
potym zbiyrali pinióndze i dłógo szporowali,
aby se jakisi tyn dómek wybudowali.

Nie wiedzieli, że bydóm granice zmiyniać,
i pinióndze ludziom czynsto wymiyniać,
tóż jedni dowali pinióndze do kasy,
drudzy do strużoków i za obrazy.

W kasach, przez ty przewroty zustało niewiela,
za to dóma w gorkach mónet było tela,
że se dziecka dłógo miały czym bawić,
a za strzybnioki móg se chłop na półke stawić.

– A jaki były ty pinióndze?

Za Austryje były grejcary, koróny, ryński,
dobrze musioł szporować nasz ludek ślónski,
potym przisły piyrsze czeski koróny,
ale też nie wszyscy mógli żyć jak baróny.

Jak przisły piekne polski złotki,
to uż tyn żywot był prawie że słodki.
Za okupacyje trza było płacić markami,
ciynżko harować abo siedzieć za „drótami".

Przinisyli też nikierzi koróny z Protektoratu,
ale taki sine, cynkowe, pokozać ujcowi czy bratu,
aji francuski, italski, ruski mónety jeńcy tu niechali,
aby my na jejich utropym kiejsi wspóminali.

Po wojnie zaś były koróny, ale papiyrowe,
to znaczyło, że zaniedłógo zaś bydóm nowe,
no i były kulate, potym z gwiozdkami,
bo sie wszyndzi pisało: na wieki s wami.

Były aji strzybne z niejednym portretym
prezydenta, naukowca, „wodza" czy poety.
Potym zaś z nowym herbym, ty federalne,
kiere za trzi roki zaś nie były wymienialne.

Mennice pracowały na pełne obroty,
bo fórt pinióndze miyniyli, jak ludzie kaboty,
a że z każdych piniyndzy nóm cosi dóma zustało,
zrobiyli z nas numizmatyków, jakich w świecie mało.

WICEK SZ.

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (7)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Niemieccy rolnicy nie pracowali w niedziele i święta, dlatego i ja nie byłem zmuszany do innych prac prócz 3-krotnego oporządzania obory i drobnych robót w obejściu. Polakom zaś nie zabraniano spotykać się w czasie wolnym od pracy, nawet po tzw. fajrancie, chociaż byliśmy oznakowani. Obowiązkowo bowiem musieliśmy nosić znak „P" (fioletowa litera na żółtym tle z fioletowym otokiem - całość o wymiarach 7 x 7 cm). Mimo to mogłem korzystać z każdej wolnej chwili, by spotykać się z rodakami, którzy pracowali w sąsiednich gospodarstwach. Spora ich grupa (m.in. 4 rodziny) pracowała w miejscowym dworze (tzw. dominium hrabiny von Pheifer). Skoszarowano ich w kilku pomieszczeniach w starym budynku gospodarczym, który stał się głównym punktem naszych spotkań. Oprócz różnych zabaw urządzaliśmy nawet wieczorki ze śpiewami i deklamacjami. Sam zorganizowałem bardzo skromny wieczór poświęcony poezji Mickiewicza i Słowackiego. Deklamowałem wtedy, a ściślej czytałem wiersze z książek, które przywiózł mi brat. Nie mam prawa się chwalić, ale w owym gronie byłem jednym z dwóch, którzy do wybuchu wojny ukończyli 8 lub więcej lat nauki. Ja po 5-klasowej szkole ludowej ukończyłem 3 klasy wydziałowe. Reszta Polaków, pochodząca przeważnie z Żywiecczyzny i Częstochowskiego, wywodząca się z biedoty, nie miała szczęścia zdobyć pełnego wykształcenia podstawowego, niektórzy zaś byli nawet wtórnymi analfabetami. Owe skromne wieczorki, choć nader rzadkie i zapewne prymitywne, dostarczały jednak pewnych patriotycznych wzruszeń. Doskonale pamiętam, jak po przeczytaniu jakiegoś wiersza Mickiewicza (tytułu niestety już nie pomnę) jedna z uczestniczek, bardzo wzruszona, uściskała mnie i ucałowała, co było dla mnie nie tylko zaskoczeniem, ale - nie ukrywam - także satysfakcją.

Podczas tych spotkań bardzo często czytałem też wiersze i krótkie opowiadania, jakie zamieszczał wychodzący w Krakowie tygodnik Siew. Dziś nie pamiętam, w jakich okolicznościach wpadł w moje ręce jego egzemplarz. Ponieważ gazetka ta była adresowana także do Polaków w Rzeszy, natychmiast ją zaprenumerowałem. Co tydzień otrzymywałem ją pocztą, co w tamtym mrocznym czasie było ewenementem. Denerwowało to samego bauera, który nazywając tygodnik Ziw (zgodnie z odczytem wg niemieckiej pisowni) często naśmiewał się z mojego abonamentu. Redakcja Siewu, oscylując między lojalnością wobec niemieckiej cenzury, a polskością, zamieszczała, oprócz różnych

spraw politycznych, porad gospodarczych i in., także wiersze i drobne utwory prozaiczne, bardzo starannie dobierane dla prostego polskiego czytelnika w Guberni i w Niemczech. Sprawiały nam one wielką radość, ponieważ stanowiły jedyną dostępną lekturę. W niej często odczytywaliśmy pewne podteksty mające walor patriotyczny. Oto jak bezpośrednio po wojnie napisałem o Siewie w wypracowaniu szkolnym: „[...] Od tego czasu [abonowania Siewu] mieliśmy program naszych świetlic bardziej urozmaicony [...] Z nich [wierszy i opowiadań] odczytywaliśmy utajoną myśl i odpowiednio ją interpretowaliśmy. Podziwialiśmy wszyscy wierszyki o treści dwuznacznej, na czym cenzura niemiecka się nie poznała [...]" (pełny tekst wypracowania w książce „Śląsk chciał być polski. Wspomnienia młodzieży polskiej z lat okupacji hitlerowskiej 1939–1945.", zebranie, wybór i opracowanie Mieczysława Mitera-Dobrowolska przy współpracy Krystyny Heskiej-Kwaśniewskiej, Śląski Instytut Naukowy, Katowice 1984, s. 213–214).

Te nasze spontaniczne spotkania u polskich rodzin we dworze, mające charakter swojskości, pomagały znosić tęsknotę za domem, zapomnieć choćby na chwilę o naszej niedoli. Ja zaś jako Zaolziak miałem okazję poznać mieszkańców innych dzielnic Polski, ich mentalność, obyczaje, zwłaszcza zaś pieśni, których wiele pamiętam do dziś. Nie byli to jednak jedyni Polacy, z którymi mnie zetknął na tamtej nieprzyjaznej ziemi wspólny los. Już w pierwszym dniu pobytu w Kreisewitz, po pierwszej pamiętnej „dniówce", gdy wieczorem przygnębiony po bardzo przykrych doświadczeniach udawałem się na spoczynek na poddaszu, przez otwarte okna usłyszałem nagle polską żołnierską piosenkę:

„Bywaj zdrowa moja luba,
Żegnam cię ostatni raz,
Bo strzelecka trąbka woła,
Do ataku wzywa nas".

Potem nastąpiły dalsze zwrotki śpiewane przez mężczyzn. Był to dla mnie wielki szok. Na drugi dzień, w niedzielę, dowiedziałem się, że na wprost moich okien, za wysokim murowanym parkanem wspomnianego dworu, znajduje się prowizoryczny obóz polskich jeńców, którzy wieczorami wyśpiewywali najrozmaitsze pieśni. Pracowali również u bauerów i we dworze, zaś na noc sprowadzano ich pod strażą do obozu. Mogliśmy ich odwiedzać, ponieważ ich strażnicy byli bardzo liberalni. Często też korzystaliśmy z ich fryzjerskich usług. Po pewnym czasie zwolniono z niewoli tych, którzy pochodząc ze wschodnich terenów Polski przyznawali się do narodowości ukraińskiej i zgłosili się do podporządkowanej Wehrmachtowi armii Własowa. Pozostałych polskich jeńców przeniesiono do innego obozu, zaś ich miejsce zajęli jeńcy francuscy, później sowieccy. Z tymi ostatnimi nie wolno nam już było u-

trzymywać kontaktów, choć w miarę możliwości staraliśmy się im pomagać. Pracowali oni wyłącznie we dworze, zawsze pod ścisłą kontrolą uzbrojonej straży.

Inną grupę Polaków, a ściślej Polek skoszarowano w sąsiednim Alzenau (Olszance), w baraku przy fabryce płatków ziemniaczanych (Kartoffelflockenfabrik). Były to warszawianki, które po powstaniu przeszły przez obóz w Pruszkowie i ostatecznie w listopadzie 1944 roku wywiezione zostały do Rzeszy na przymusowe roboty. Z nimi również nawiązaliśmy kontakt, wspomagając je w miarę naszych skromnych możliwości żywnością podbieraną bauerom (najłatwiej było o jaja z „dzikich" gniazd w stodołach). Warszawianki znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Przede wszystkim nie miały odzieży prócz tej, którą w ciepłym sierpniu-wrześniu miały na sobie i w której Niemcy popędzili je po powstaniu na ciężką poniewierkę. Pod tym względem nie mogliśmy im wiele pomóc, a one musiały pracować pod gołym niebem podczas zimnej jesiennej pluchy.

Pewien kontakt z Polakami z okolicznych wiosek nawiązywaliśmy także podczas organizowanych od 1944 roku jeden raz w miesiącu Mszy Św. dla polskich robotników. Stało się to za sprawą wrocławskiego kardynała Bertrama. Każdorazowo kościół w Brzegu był przepełniony. Przed pierwszym nabożeństwem ksiądz zapytał czy są wśród nas ministranci. Oczywiście zgłosiłem się od razu i wraz z innym Polakiem co miesiąc towarzyszyliśmy księdzu dzięki znajomości łacińskiej ministrantury. Były to zawsze ciche Msze św., oczywiście bez kazań, bez śpiewów (wyraźnie ksiądz o to prosił) i bez muzyki organowej. Jedynie tekst Ewangelii i modlitwy generalnej spowiedzi ksiądz odczytywał łamaną polszczyzną. Jestem przekonany, że sam nie rozumiał, co czytał. Otrzymywaliśmy zbiorowe rozgrzeszenie pod warunkiem jednak, że przy najbliższej sposobności przystąpimy do indywidualnej spowiedzi. W ten sposób mogliśmy przyjmować komunię św. Po nabożeństwie tworzyły się przed kościołem liczne grupki, w których zawiązywały się nowe znajomości, a nawet przyjaźnie. Czasu jednak na dłuższe rozmowy nie było wiele, bo wszyscy musieli wracać do „swoich" gospodarstw, by tam oporządzić bydło w południowej porze.

Chyba przed listopadowym nabożeństwem, gdy ksiądz i my, ministranci, byliśmy już ubrani w stroje liturgiczne i mieliśmy wyjść do ołtarza, do zakrystii weszło dwóch elegancko ubranych starszych panów. Jak się okazało, byli to warszawiacy, zapewne z powstania. Jeden był tłumaczem, drugi zaś organistą z warszawskiej Katedry Św. Jana. Ów tłumacz prosił księdza, by jego kolega mógł zagrać na organach. Ksiądz jednak, nieco zmieszany, odpowiedział, że nie może dać zezwolenia, ponieważ nie ma takich kompetencji. Przyrzekł jednak, że tę sprawę przekaże odpowiednim czynnikom kościelnym i da odpowiedź

za miesiąc. Oczywiście, gdy owi dwaj panowie zgłosili się ponownie po odpowiedź, dowiedzieli się, że władze (hitlerowskie) nie wyrażają zgody, by podczas polskiego nabożeństwa ktokolwiek grał na organach.

W połowie grudnia 1944 roku zostałem skierowany przez Arbeitsamt w Brzegu do kopania rowów przeciwpancernych na wschód od Wrocławia, gdzieś w okolicach między Namysłowem a Kluczborkiem. Fakt ten przyjąłem z wielkim zadowoleniem, wręcz ostentacyjnie wobec bauera, na co on powiedział, że jeszcze będę dziękował, gdy tylko będę mógł do niego powrócić. Ja zaś arogancko odparowałem (wiedziałem bowiem, iż mogę sobie na to pozwolić), że chyba lepiej jest już w więzieniu niż u niego.

Praca przy kopaniu rowów nie była ciężka, wyżywienie z polowego kotła wystarczające, a przede wszystkim bardziej higieniczne niż u bauerki. Jedynie skoszarowanie około setki Polaków pod jednym dachem w dawnej świńskiej fermie, położonej w szczerym polu, było bardzo uciążliwe. W mniejszej części fermy zlokalizowano jeńców sowieckich, od nas całkowicie odizolowanych. Cały ten obóz znajdował się pod komendą oficera SS, zaś podczas pracy pilnowali nas poczciwi staruszkowie z tzw. Volkssturmu, ale z karabinem. Mieli oni wielkie zrozumienie dla naszej sytuacji i chyba z nią się identyfikowali, ponieważ również jak my musieli marznąć na mrozie, w dodatku nic nie robiąc.

c.d.n.

POPLANTANE JYNZYKI

Jednako se ludzie nad Olzóm od wieków gwarzyli,
ale im z czasym jynzyki pokrynciyli.
Młodym i dzieckóm sie ni ma co dziwić,
bo ich wszyndzi uczóm „urzyndowo“ mówić.

Źle sie jednak posłócho takich uchali,
co to jejich ojcowie na „sztosbolu“ przijechali,
bo abo sie robióm, że nie umióm po naszymu,
abo „modernizujóm“ naszóm gwarym po swojimu.

Kiejsi mówiyli, baba wózek cisła,
teraz, jaki też we Sportce wyszły „cisła“,
abo że dziecka góniyły za balym,
dzisio, jo ci tyn chlyb „zabalym“.

Mówiyła starka: jo ci pieśniczkym zanucym,
a wnuczka na to: jo cie do tego nie „nucym!“
Mama mówi: usmażym ci fajnego stryka,
a synek: że jutro pojadymy do miasta, do „stryka“?

Francik był we szpitolu, mo nogym w gipsie,
Aniczka była w „nemocnicy“ i mo rynkym w „sadrze“,
Francikowi my zaniyśli pomorańczek pełny paczek,
Aniczce my dali cukrowego pełny „saczek“.

Mame zaś wczora strasznie bolały nyrki,
Bracha, tyn zaś mo rod szkwarzóne „ledwinki“,
ujca straszyli dochtorzi, że to odniesie wóntroba,
ciotka miała wczora fajne knedliki „jatrowe“.

Móg bych tego eszcze moc napisać, naklepać,
ale muszym iść na wyngli do „sklepa“,
bo piwnicym my uż downo zamurowali,
i w sejfie wszycki gwarowe wyrazy schowali.

Jak sie kiejsi obudzóm z Czantorie wojocy,
to poznajóm, że tu gospodarzili ślónscy Polocy,
kierzi tu od wieków nad Olzóm miyszkali,
i pieknie se po swojimu śpiywali i gwarzili!

WICEK SZ.

O ROKU ÓW
W 150 ROCZNICĘ WIOSNY LUDÓW

Strumień czasu historycznego przyzwyczailiśmy się dzielić na równe, roczne odcinki, najczęściej niewiele znaczące dla istoty wydarzeń dziejowych. Wśród mijających lat zdarzają się, co prawda niezbyt często, i przebogate w wydarzenia o znaczeniu długofalowym, przynoszące z sobą załamanie się starych układów oraz inicjatywy zjawisk nowych. Dla Europy, od Pirenejów po ówczesną granicę imperium carów rosyjskich, takim rokiem był 1848, nieprzypadkowo zwany Wiosną Ludów.

Rewolucyjna burza zmiotła w lutym tego roku we Francji dynastię orańską, zachwiała Niemcami, w połowie marca wstrząsnęła Wiedniem i w dniu 17 tego miesiąca dotarła do Cieszyna. Urzędników cyrkułu cieszyńskiego, obejmującego obszar tradycyjnego Księstwa Cieszyńskiego, owa burza nie zaskoczyła. Nie podejmowali oni prób przeciwstawiania się groźnej zawierusze, stanęli natomiast na czele wydarzeń i w sposób skuteczny sytuację opanowali. Starosta krajowy Franciszek von Scharfschmidt oraz przerastający go politycznym znaczeniem dyrektor dóbr habsburskich Józef von Kalchberg zorganizowali wieczorem owego 17 marca manifestację witającą nadchodzące przemiany. Ich istotę stanowić miały bliżej nie określona wolność i konstytucja.

Miasto ogarnęła euforia, gdyż zdecydowana większość jego mieszkańców miała wiele zastrzeżeń do panujących dotąd porządków i pragnęła rozwiązań nowych. Radość z nadchodzących przemian potwierdzano między innymi iluminacją okien. Wyłamali się od takiego zachowania mieszkańcy kilku budynków będących we władaniu szlachty. Ich właścicieli spotkała natychmiastowa kara, gdyż jak pisze Paweł Stalmach, *okna tych domów powytłukali szubrawcy mali.* Groźniejszą była postawa głównej siły społecznej – chłopów, którzy nie cieszyli się z wolności i konstytucji, czekali na zniesienie pańszczyzny i nadanie im ziemi, milczeli.

Dyrektor Kalchberg, będący w Cieszynie faktycznym kierownikiem życia politycznego, starał się zdobyć zaufanie i poparcie tej milczącej masy, stąd duży nacisk kładł na propagandę w języku polskim. W czasie manifestacji, obok przemówień niemieckich, wygłaszano więcej szczegółowe, polskie, do współpracy wciągano duchowieństwo. Mówiono o cesarskim patencie z 15 marca, zapowiadano głębokie zmiany. Zatroszczono się też o wydawnictwa w języku polskim. Ich autorem był

Andrzej Cinciała, związany z pierwszoplanową postacią w cieszyńskim magistracie, adwokatem Ludwikiem Kluckim. W oparciu o dostarczone mu teksty niemieckie napisał on dwie broszury: „Objaśnienie Najwyższego Patentu" oraz „Wiadomości niesłychane dla chłopów śląskich". Od lipca w służbie lokalnych polityków niemieckich znajdowało się, redagowane przez księdza pastora Andrzeja Źlika, pismo: „Nowiny dla ludu wiejskiego". Jednak potrzebom chwili pewnie najbardziej odpowiadał napisany przez Andrzeja Cinciałę nowy, dostosowany do potrzeb chwili, hymn cesarski. Oto jego tekst:

Boże zachowaj cesarza
Ferdynanda Pierwszego
Co dał wolność kraju swemu
I z nią wiele dobrego
Co chce bronić kraj i ludzi
I na przyszłość od złego
Boże zachowaj cesarza
Ferdynanda Pierwszego

Pokruszone są okowy
Co nas cisły ku ziemi
Teraz wiąże miłość wierność
Nas z współbraćmi miłymi
Ciemność co nas otaczała
Znikła z kraju naszego
Boże zachowaj cesarza
Ferdynanda Pierwszego

Daj by nam słońce wolności
Długie lata świeciło
I wszystkich nieprzyjacieli
Tej wolności zgubiło
Daj nam spokój w kraju naszym
Broń nas zawsze od złego
Boże zachowaj cesarza
Ferdynanda Pierwszego

Ów hymn, śpiewany w kościołach obu wyznań, był w 1848 roku narzędziem propagandowym, pewnie najmocniej oddziaływującym na umysły chłopskie w cieszyńskim regionie.

A wydarzenia się toczyły torem, dla rewolucji politycznej, normalnym. Rozpoczęło się od deklaracji dobrej woli dwu istniejących w Cieszynie ugrupowań. Niemieckiego i zdominowanego przez napływową inteligencję czeską, ugrupowania słowiańskiego. Znalazło to wyraz w deklaracji pióra profesora Ernesta Plucara: „O svornosti Němců a Slovanů u zřídel Visly". Był to apel o narodową zgodę, nie posiadający żadnej nadziei na powodzenie, już z racji konfliktów w skali szerszej niż lokalna. A w samym Cieszynie też zarysowały się zasadnicze sprzeczności. Profesor Plucar, stojący na czele stronnictwa słowiańskiego, agitował i zbierał podpisy pod adresem domagającym się połączenia austriackiego Śląska z Królestwem Czeskim. Natomiast przywódcy niemieccy chcieli ten kraj włączyć do Zjednoczonych Niemiec, różnie zresztą pojmowanych. Dla większości miały one być nową wersją tradycyjnej Rzeszy Niemieckiej, mocno jednak zdominowanej przez Habsburgów. Niewielka część, ale w swoich działaniach bardzo dynamiczna, przyznawała decydujący głos Ogólnoniemieckiemu Zgromadzeniu Narodowemu, obradującemu w Katedrze świętego Pawła we Frankfurcie. Ono uchwalić miało konstytucję Zjednoczonych Niemiec i kierować państwem przez stanowione przez siebie prawa i zależny od siebie rząd, przy zmarginalizowaniu, a nawet całkowitym pominięciu monarchów.

Słowiańską alternatywę dla dążeń niemieckich stworzyć miał zwołany pod koniec maja do Pragi Zjazd Słowiański. Wzięła w nim udział również delegacja ugrupowania słowiańskiego z Cieszyna w osobach profesora Ernesta Plucara oraz dwu rodowitych Ślązaków, świeżych absolwentów Uniwersytetu Wiedeńskiego – Pawła Stalmacha i Andrzeja Kotuli. Obaj wymienieni zakładali, że Śląsk, z racji swego etnicznego oblicza, winien związać się z Polską, która wyłoni się z rewolucyjnego zamętu. Protektorem obu Ślązaków był przewodniczący delegacji polskiej uczestniczącej w Zjeździe, jego wicestarosta, książę Jerzy Lubomirski. W wyniku prośby Stalmacha i Kotuli spowodował on przeniesienie wszystkich delegatów Śląska z Czeskosłowiańskiej Sekcji Zjazdu, do której przydzielili ich gospodarze czescy, do Sekcji Polsko-Rusińskiej. Na jej forum Ślązacy złożyli dwa memoriały, w których wyrazili pragnienie swoich ziomków połączenia się z Polską. Owe memoriały były rozpatrywane w czasie obrad i zostały przez Komisje przyjęte z sympatią.

Pacyfikacja Pragi przez wojska generała Windischgrätza przerwała obrady Zjazdu Słowiańskiego i tak w pierwszych dniach lipca delegaci śląscy znaleźli się w Cieszynie. Spotkali się z niemiłym przyjęciem ze strony niemieckich partnerów. Stalmach dostał odmowę zatrudnienia w gimnazjum, co przesądziło o jego związaniu się z pracą polskiego

dziennikarza i działacza, która nadała sens całemu jego życiu. Bezpośredni atak został jednak wówczas skierowany na osobę profesora Plucara, któremu zarzucono, iż w Pradze ponownie podejmował starania o przyłączenie Śląska do Korony Czeskiej. Niemcy zorganizowali burzliwą manifestację skierowaną przeciw jego osobie i zamierzeniom.

Bo stwierdzić trzeba, że idea związku Śląska z Królestwem Czeskim, poza kilkunastoosobową grupą napływowej inteligencji czeskiej, zwolenników w tym kraju nie miała. Wśród aktywnej w życiu politycznym szlachty i zamożnego mieszczaństwa żywym były dążenie do ukonstytuowania Śląska w samodzielną jednostkę administracyjną, podporządkowaną, bez wszelkich pośrednictw, Wiedniowi. Zaś masa chłopów i mieszczan, których poglądy polityczne sprowadzały się do poczucia wierności wobec cesarza i niechęci do obcych, też była przeciwna wiązaniu się z Czechami, bo obcymi.

Starcie między stronnictwem niemieckim, a profesorem Plucarem stało się okazją do ataku, a w konsekwencji wyeliminowania inteligencji czeskiej z politycznego życia Cieszyna i regionu. Opróżnioną przestrzeń społeczną wypełnili Ślązacy z redaktorem Tygodnika Cieszyńskiego Pawłem Stalmachem na czele. On to na łamach swych pism postawił przed Ślązakami zadanie nie tyle walki o przynależność do Polski, bo do tego warunków nie było, co program budowania więzi łączących jego ziomków z Narodem Polskim.

I już w latach 1848–1849 odniósł redaktor cieszyńskich pism szereg sukcesów w tej dziedzinie. Zapobiegł niebezpieczeństwu wprowadzenia do pism cieszyńskich niemieckiej szwabachy, zamiast alfabetu łacińskiego, co oznaczałoby utworzenie istotnej bariery w korzystaniu z literatury i pism polskich przez prostych Ślązaków. Przekonał też współczesnych, że cieszyńska gwara ludowa jest językiem polskim i że na nim i kulturze polskiej należy budować wychowanie Ślązaków oraz ich instytucje narodowe, przy odrzuceniu pomysłów tworzenia żargonu zwanego „naszą śląszczyzną". To otworzyło drogę jego rodakom do korzystania z prasy i literatury polskiej oraz umożliwiło pracę nad systematycznym umacnianiem ich więzi z Narodem Polskim. Na tym gruncie możliwym było stworzenie w ciągu kilku dziesięcioleci systemu instytucji narodowych, gospodarczych i kulturalnych.

Kolejną dziedzinę, w której przez dziesięciolecia obecnym było dziedzictwo Wiosny Ludw, stanowiło szkolnictwo polskie i starania o podnoszenie jego poziomu do wymagań czasów współczesnych. Przecież to w 1848 roku, w wyniku żądań posła Jana Śliwki, który w czasie listopadowej audiencji chłopów śląskich u cesarza Ferdynanda w Ołomuńcu za-

żądał wprowadzenia do szkół na Śląsku Cieszyńskim języka polskiego, formalnie wprowadzono do szkół na Śląsku Cieszyńskim ten język. Prawda, że już wcześniej nadzorcy szkół katolickich wprowadzali do części podległych im szkół podręczniki galicyjskie, a w szkołach ewangelickich też posługiwano się podręcznikami polskimi, jednak formalnie, zgodnie z prawem szkoły śląskie traktowano jako niemieckie.

Ten sam Jan Śliwka od maja do lipca opracowywał, razem z kolegami ze szkół ewangelickich, memoriał do Rady Państwa w Wiedniu, w którym żądano dostępu wszystkich dzieci do szkół państwowych, znajdujących się pod nadzorem inspektorów- nauczycieli. Domagano się podniesienia płac, emerytur nauczycielskich, przedłużenia obowiązkowego nauczania do 13 roku życia, opracowania polskich podręczników, kształcenia nauczycieli w trzyletnich seminariach oraz wprowadzenia systemu ciągłego doskonalenia ich kwalifikacji.

Trzeba stwierdzić, że te właśnie cele stanowiły, w drugiej połowie XIX i w początkach XX wieku, a więc w nauczycielskim pokoleniu Jana Kubisza, główne kierunki działań Macierzy Szkolnej i polskiego ruchu nauczycielskiego na Śląsku Cieszyńskim. Z tymi działaniami wiązały się też starania o podwyższenie poziomu organizacyjnego szkół oraz tworzenie polskiego szkolnictwa średniego, a więc gimnazjum i seminarium nauczycielskiego. Warto wskazać, że sprawę walki o polskie gimnazjum w Cieszynie po raz pierwszy podjął Paweł Stalmach w grudniu 1848 roku.

Najważniejszym wydarzeniem 1848 roku był dekret cesarski z 7 września przekreślający dominującą dotąd w życiu Austrii gospodarczą pozycję szlachty. Prawda, że mocno ją już nadwątliły, u schyłku XVIII wieku, reformy Józefa II ograniczające poddaństwo chłopów i że realizacja dekretu cesarskiego z 7 września 1848 roku dotyczącego kwestii nowego ładu społecznego też nadmiarem konsekwencji nie grzeszyła, ale zasadniczy przełom został dokonany. Chłopi uzyskali uprawianą dotąd ziemię na własność przy umiarkowanej opłacie i zwolnieni zostali z odrabiania pańszczyzny oraz innych świadczeń na rzecz dworu.

Przemiany społeczne będące konsekwencją tych decyzji doprowadziły w następnych dziesięcioleciach do ukształtowania się zamożnej i wpływowej elity stanu chłopskiego - cieszyńskich siedloków, siły społecznej przesądzającej o obliczu regionu również w narodowym wymiarze. To owi siedlocy tworzyli społeczne zaplecze dla pism Stalmacha i powstających instytucji narodowych z Towarzystwem Rolniczym, Macierzą Szkolną i Polskim Gimnazjum w Cieszynie włącznie.

W 1848 roku chłopi i mieszczanie Śląska Cieszyńskiego po raz pierw-

szy spotkali się z tak bujnym życiem politycznym, związanym między innymi z uczestnictwem w wyborach. W tym roku przynajmniej trzy razy wzywano ich do urn wyborczych. Wiadomo, że najczęściej nie widzieli oni sensu w głosowaniu na posłów do parlamentu frankfurckiego, do którego wybory odbyły się w kwietniu. Głosowali, bo tego sobie życzyła władza. Inaczej już było w majowych wyborach do Rady Państwa w Wiedniu, bo wybrani tu posłowie uchwalić mieli zniesienie pańszczyzny i nabycie przez chłopów ziemi na własność, a w wypadku ewangelików zrównanie ich w prawach z katolikami. Zrozumiałym też było zainteresowanie wyborami do Sejmu Krajowego w Opawie, trwającymi ponad dwa miesiące, gdyż każda prawie gmina chciała mieć swego przedstawiciela w gremium, które decydować miało o sprawach jej dotyczących.

Jednak efekty działań posłów były raczej marne. Wybranych do Frankfurtu cesarz po prostu odwołał, a radykałów, takich jak Adolfa Kolaczka z Białej, wybranego na posła w cieszyńskim cyrkule, polecił ścigać jako zdrajców. Zwolenników orientacji politycznej tego posła skupionych w Towarzystwach Demokratycznych policja rozpędziła, były aresztowania, procesy, takie, jakie stały się udziałem doktora Pawła Oszeldy z Nieborów.

Posłowie do sejmu w Opawie, wobec nieustalonej pozycji prawnej tej instytucji, nie mieli możliwości rozwinięcia szerszego działania, zaś posłowie do Rady Państwa w Wiedniu też niczym się nie wykazali. Prawda, że uchwalili ustawę o zniesieniu pańszczyzny, a pewnym echem odbiły się starania bielskiego posła księdza pastora Karola Samuela Schneidera o równouprawnienie ewangelików, ale wszystko skończyło się na przemówieniach, ewentualnie na uchwałach, które znaczenia nie miały, bo instytucją decydującą pozostał cesarz, jego urzędnicy, policjanci i armia, która, jak się to wydawało, na zawsze rozprawiła się z buntownikami.

Nie tak jednak było. Naga przemoc administracyjna i militarna po kilkunastu latach okazała się niewystarczającą. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych trzeba było zabrać się do rzeczywistego rozwiązywania problemów, które tak wyraziście ujawniły się w burzliwym 1848 roku. Ich podejmowanie i stopniowe rozwiązywanie będzie stanowiło treść działań również naszej, śląsko-cieszyńskiej wspólnoty polskiej co najmniej do lat dziewięćdziesiątych XIX wieku.

EDWARD BUŁAWA

NIEZGODLIWI LUDZISKA

Ni ma dnia, żebymy nie widzieli w telewizyji
bijatyki, wojyn, terroryzmu i rozmajtych kumedyji.
Ludzie sie dziwióm, co sie to na świecie dzieje,
ale niejedyn sie tymu wszyckimu śmieje...

Dyć sie ludziska biyli od zarania ludzkości,
kamiyniami, maczugami, łómali se kości.
Potym oszczepami, łukami strzylali,
i tak sie zajadle nawzajym zwalczali.

Wynaleźli potym siylny proch strzelniczy,
straszny i okropny, po prostu zbrodniczy.
Flinty, rewolwery, moździyrze, kanóny,
szarpały wojoków i burzyły dómy.

Ledwa sie trochym z wojny spamiyntali,
zaś sie zaniedłógo wszyscy zbrojyli.
Zamiast posyłać synków do szkół, na uniwersytety,
uczóm ich teraz jak móntować atómowe rakiety!

To nic, że tych wojyn uż było sztyry i pół tysiónca,
dyć teraz uż sóm i dwie, trzi do miesiónca.
Tak sie ludziska nawzajym zwalczajów i bijóm,
aż sie roz tóm przepieknóm Ziymeczkym rozbijóm...

Rozmajte już były ty wojny znienawidzóne,
lokalne, etniczne, światowe i wojny domowe.
Ty domowe sóm nejciekawsze i nejłacniejsze,
bo ich też finansujóm kraje zamożniejsze.

Domowe se też i dóma nieroz urzóndzajóm,
bijóm sie gorkami, stołkami, nożami sie żgajóm.
Z rozmajte i błahostkowe, niewinne przziczyny,
zrodzóm sie przigłupi, nierozważne czyny.

UWAGA! Wczora tu kosmici w „UFO"–kach przilecieli
i całymu światu z gniywym pogroziyli:
„Jak sie nie przestaniecie nawzajym mordować,
nie bydymy sie uż dłógo na to wszycko dziwać.

Nejprzód was obezwładniymy prómieniami laserowymi,
abo uspiymy gazym, pruszkami rozmajtymi.
Potym wóm wszycki ty brónie i rakiety zeszmelcujymy,
i wszyckim niezgodliwcóm „tyłki" obijymy!

Wytłóczymy też ludzióm z głowy wszycki nienawiści,
aby na dycki zapómnieli, co to sóm kapitaliści, faszyści,
socjaliści, kómóniści, fundamentaliści czy mormoniści,
abo rozmajci „pałónie", co widzóm jyny swoji korzyści!

Nie bydziecie sie dzielić na piyńćdziesiónt partyji
i robić na zebraniach i przi wyborach tela kumedyji.
Bydziecie po prostu sprawiedliwymi, dobrymi LUDZIAMI,
i to słowo bydziecie pisać wielkimi literami!

Każdymu też inekcyj pichnymy z dobrymi „genami"
aby ludziska na całym świecie byli kolegami.
Nauczymy was też wszyckich po esperancku mówić,
abyście sie uż roz miyndzy sebóm mógli domówić!

Za dziesiyńć roków zaś tu do was przilecymy,
i wszycko se na te Ziymi dobrze skóntrolujymy.
Jeśli sie tu przez tyn czas nie polepszycie,
bydziecie tego piernicko żałować, to uwidzicie!

Każdego do małe rakiety posadzymy
i na samotnóm planetkym wystrzelymy.
Tam se każdy bydzie żyć sóm jak Robinzon Kruzoe
za to, że nie umioł żyć na tej Ziymi we zgodzie!"

Ps. Odlecieli kosmici, i jeszcze wołali z wysokości:
„Nie zasłóżyliście se na taki wspaniałości,
Na takóm przepieknóm i przebogatóm Ziymeczkym,
kieróm mocie jyny pojczanóm, a ni z prawym wiecznym!"

WICEK SZ.

CO NOWEGO W WĘDRYNI?

Członkiem przedstawicielstwa gminnego w Wędryni jest Bogusław Raszka, prezes Koła PZKO, z zawodu elektryk – zatrudniony w Hucie Trzynieckiej. Wybrany był z listy Ruchu Politycznego Wspólnota.

Poprosiłem naszego radnego, żeby przedstawił czytelnikom ZWROTU swoją gminę oraz działalność przedstawicielstwa gminnego.

Wędrynia liczy ok. 3800 mieszkańców, z czego 1/3 to Polacy. Jest rozległą gminą, jej obszar liczy 21 km² i sięga aż po granice Trzyńca, Nydku, Bystrzycy i Koszarzysk.

Członkami 17-osobowego przedstawicielstwa gminnego oprócz 5 reprezentantów Wspólnoty są również członkowie KDU-ČSL, ODS i niezależni. W przedstawicielstwie gminnym jest 8 Polaków i 9 Czechów. Polakiem jest starosta gminy inż. Stefan Kujawa, kandydujący za stowarzyszenie kandydatów niezależnych. W 5-osobowej Radzie Gminnej Wspólnotę reprezentuje Stanisław Samek.

Początkowo zebrania przedstawicielstwa gminnego odbywały się co 3 miesiące, obecnie poszczególne partie w gminie zdecydowały, że powinny odbywać się częściej – co 2 miesiące.

Zwoływane są na przemian w Czytelni, w Motoreście (w dzielnicy Czornowski) oraz w Domu PZKO (w dzielnicy Zaolzie).

Jeszcze nie tak dawno Wędrynia była dzielnicą Trzyńca?

Wędrynia odzyskała samodzielność 1 stycznia 1995 roku. Nasza gmina, wchodząc w skład Trzyńca, była pomijana w swoich potrzebach przez Urząd Miejski. Miasto oszczędzało na tzw. zintegrowanych gminach, co było szczególnie widoczne w przypadku Wędryni.

Musimy sobie również uświadomić, że Wędrynia została założona wcześniej niż Trzyniec. Jeszcze na przełomie XIX i XX wieku Wędrynia liczyła więcej obywateli. Dopiero po powstaniu huty w Trzyńcu i budowie osiedli mieszkaniowych sytuacja uległa zmianie.

Jednak głównym impulsem,

który spowodował, że mieszkańcy formą petycji zażądali samodzielności – była sprawa wysypiska śmieci, które miało być wybudowane na terytorium Wędryni, tuż koło szpitala na Sośnie. W referendum obywatele opowiedzieli się za samodzielnością, choć wynik nie był przekonujący, zwolenników usamodzielnienia było około 52 – 53%.

A jak ocenia Pan politykę władz gminnych?

Sprawnie udało się przeprowadzić rozliczenie finansowe z Trzyńcem. Zapewniono też lokal dla Urzędu Gminnego. Z inwestycji udało się zakończyć trzeci etap gazyfikacji. Sporo pieniędzy poszło też na szkolnictwo. Wybudowano nową jadalnię – koło budynku czeskiej szkoły, z której korzystają również uczniowie polskiej szkoły. Niedawno rozpoczęto budowę wodociągu w dzielnicy Zaolzie. Pomimo że gmina musiała zrezygnować z niektórych kosztowniejszych inwestycji, to jednak sytuacja nie jest tak zła, jak przed usamodzielnieniem. Gmina na przykład mogła częściowo sfinansować gazyfikację Czytelni, tj. budynku Koła PZKO.

W 1995 roku przedstawicielstwo gminne wybrało, z dwu projektów, herb gminny. Jest na nim muszla i różnokolorowe pasy, są to właściwie symbole gminy. Według legendy osadę na tym terenie założył wędrowiec, muszla – to ślady wędrowca, różnokolorowe pasy – to kije, którymi się podpierał.

Jakie organizacje działają w Wędryni?

Najaktywniejszymi są Związek Działkowców i Klub Sportowy. Jeśli natomiast chodzi o polskie organizacje, w naszej gminie działają PZKO, Beskid Śląski i Macierz Szkolna. Najaktywniejsze jest PZKO, które obecnie przygotowuje się do jubileuszu teatru amatorskiego.

W listopadzie bieżącego roku odbędą się wybory komunalne?

Na pewno będziemy kandydować z listy Wspólnoty. Chciałbym podkreślić, że dzięki Wspólnocie mamy w Wędryni tak liczną reprezentację Polaków we władzach gminnych.

Przed nowo wybranymi radnymi będą stały następne zadania – przede wszystkim dokończenie gazyfikacji i naprawa dróg, których stan jest bardzo zły.

Rozmawiał
TADEUSZ TOMAN

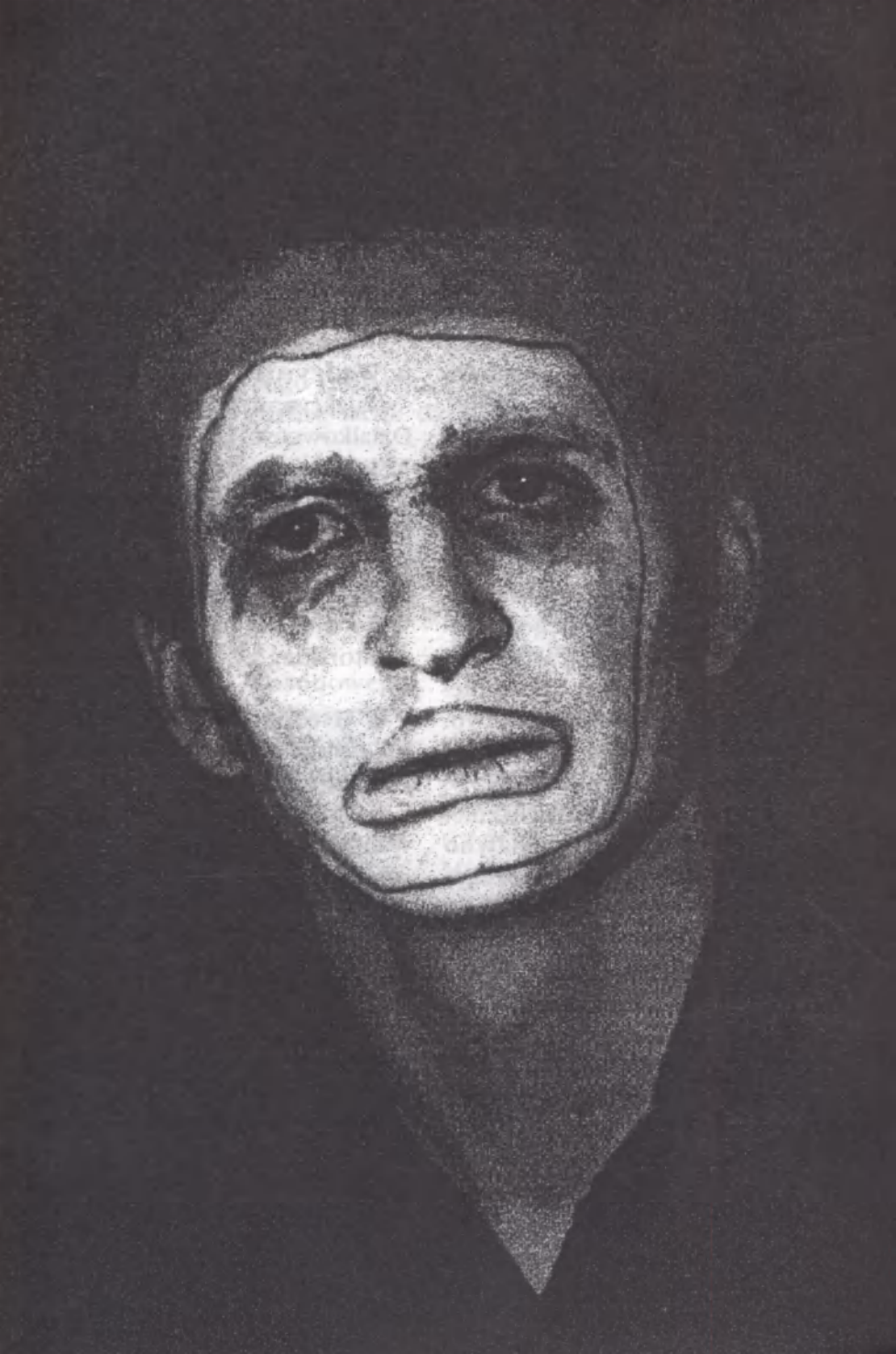

ZDROWIE POLAKÓW

Warszawska konferencja pod nazwą „Stan zdrowia mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej po transformacji ustrojowej" ujawniła zmiany, jakie dokonały się w ostatnich latach w sposobie myślenia o swoim zdrowiu między innymi wśród Polaków. W roku 1997 zmarło w Polsce o 25 tysięcy ludzi w wieku od 45 do 64 lat mniej niż w roku 1991. To proste porównanie świadczy o tym, że Polacy bardziej zaczęli dbać o swoje zdrowie.

Przede wszystkim zmniejszyła się ilość osób palących papierosy. W roku 1982 paliło w Polsce 62 proc. dorosłych mężczyzn i 30 proc. kobiet, w roku 1997 43 proc. mężczyzn i 22 proc. kobiet. Wyraźną zmianą w sposobie odżywiania się był też wzrost udziału nienasyconych tłuszczów roślinnych (oleje, margaryny), jak również białego mięsa oraz jarzyn i owoców.

Nadal jednak dużym problemem jest picie alkoholu. Do znanego faktu, że alkohol jest silną trucizną tkankową powodującą między innymi marskość wątroby, dołączyły wyniki najnowszych badań. Dowiodły one niezbicie, że wypicie dużej ilości stężonego alkoholu może spowodować nagłe zatrzymanie pracy serca i zgon.

POLAK PRZY STOLE

Badania „W polskim domu" przeprowadzone przez Pracownię Badań Społecznych ujawniły, co i jak je najchętniej przeciętny Polak. Około 10 proc. Polaków nie jada śniadania, z tych, którzy jedzą, 69 proc. spożywa je w domu. Spać bez kolacji idzie nieco mniej niż 10 proc. Polaków, aż 91 proc. jedzących kolację robi to w domu. Całkiem inaczej niż u nas przedstawia się sprawa miejsca spożywania obiadu. Stołówki są o wiele mniej popularne. Aż 79 proc. mieszkańców Polski gotuje i je obiad w domu.

Co towarzyszy w polskich rodzinach jedzeniu posiłku? 80 proc. rodzin rozmawia przy jedzeniu, w 60 proc. domów gra telewizor, w 16 proc. domów czyta się gazetę lub książkę. Modlitwę przed jedzeniem odmawia 11 proc. rodzin. Na zachowanie się przy jedzeniu, dobre maniery zwraca uwagę 60 proc. rodzin, ale w 57 proc. domów można jeść w szlafroku lub piżamie, 27 proc. rodzin pomaga sobie przy jedzeniu palcami, w 9 proc. domów dozwolone jest mlaskanie.

Jakie dania lubią Polacy? Z 11 różnych potraw najwięcej osób wybrało

◀ *„Mim", fot. FRANCISZEK BAŁON*

kotlet schabowy z kapustą, kurczaka z frytkami oraz pizzę z dobrej pizzerii. Schabowego z kapustą preferowali ludzie z najniższym wykształceniem. Zupełnie inne okazały się się gusty ludzi po studiach. Z potraw, które mieli do dyspozycji, wybierali najczęściej kurczaka z frytkami, następnie pstrąga, szaszłyk, kotlet schabowy, kaczkę z pomarańczami, tuńczyka, potrawę chińską a na końcu pizzę.

ZĘBY POLAKA

Niewesoło przedstawia się stan uzębienia przeciętnego mieszkańca Polski. Ponad 80 proc. dzieci w wieku od 7 do 10 lat ma próchnicę zębów. Połowa dzieci ma wady zgryzu. 40 proc. nie posiada nawyku regularnego mycia zębów. Wśród dorosłych tylko 16 proc. ma wszystkie swoje zęby. Tylko co dziesiąta osoba chodzi do dentysty regularnie, by sprawdzać stan swojego uzębienia. Co szósta udaje się tam z powodu nagłego bólu zęba. Ponad 5 proc. Polaków nie używa pasty do zębów, 1,2 proc. szczoteczek.

URLOPY MACIERZYŃSKIE W ŚWIECIE

Według raportu o ochronie matek w pracy Międzynarodowej Organizacji Pracy najdłuższy płatny urlop macierzyński mają Czeszki, wynosi on 28 tygodni. Na Węgrzech trwa on 24 tygodnie, we Włoszech i Kanadzie 17 tygodni, w Hiszpanii i Rumunii 16 tygodni, w Bangladeszu 12 tygodni. W Polsce płatny urlop macierzyński po urodzeniu pierwszego dziecka trwa również 16 tygodni, przy następnym dziecku wydłuża się do 18 tygodni, po urodzeniu bliźniąt do 26 tygodni. W Australii i Nowej Zelandii nie ma w ogóle przepisów o takich płatnych urlopach. W USA niektóre stany zdecydowały się na wprowadzenie płatnych urlopów macierzyńskich, ogólnie jednak ustawa z roku 1993 zapewnia 12 tygodni urlopu na urodzenie dziecka i opiekę nad niemowlakiem, jest to jednak urlop bezpłatny i dotyczy tylko pracowniczek zakładów zatrudniających ponad 50 osób.

SZKOŁA DLA BOGACZY?

O załamaniu się systemu oświaty w niektórych państwach postkomunistycznych mówi raport UNICEF o stanie szkolnictwa. Narastające różnice majątkowe decydują o różnicach w dostępie do edukacji. W krajach najbiedniejszych teorią pozostaje prawo każdego dziecka do dobrej szkoły. Np. w Kirgistanie co czwarte dziecko nie chodzi w ogóle do szkoły, w Mołdawii dzieci zostają w domu, kiedy rodziców nie stać na ciepłe buty i ubrania dla nich, w Rosji i Rumunii część dzieci pracuje, utrzymując bezrobotnych rodziców.

Są kraje, które dzięki wyższemu udziałowi wydatków na oświa-

tę z budżetu państwa radzą sobie nieźle. Należy do nich Polska, ale przewyższają ją jeszcze takie kraje jak Czechy, Litwa, Słowenia, Łotwa a nawet Kazachstan. Konkurencją dla szkół publicznych stają się szkoły społeczne i prywatne. Najwięcej szkół prywatnych powstało w Czechach, w roku 1994 była to już jedna czwarta szkół średnich. W Polsce w roku szkolnym 1995/96 w szkołach niepublicznych uczyło się 4 proc. uczniów. W Czechach państwo hojnie wspomaga szkoły niepubliczne, dotacje wynoszą 60–90 proc. kosztów szkolnictwa państwowego. W Polsce pomoc ta zamyka się w granicach 50 proc.

POLACY NA LITWIE TEŻ SKŁÓCENI

Na Litwie istnieje 39 polskich organizacji. Największy Związek Polaków na Litwie skupia prawie 10 tysięcy członków. Konkurencyjny Kongres Polaków Litwy wychodzi z kryzysu z lat 1993–95, kiedy to drastycznie spadła liczba jego członków, w tej chwili wynosi kilkaset osób. Kierownictwo Związku Polaków na Litwie kłóci się z innymi organizacjami polskimi. Na kwietniowy zjazd Związku Polaków na Litwie nie zostali zaproszeni polscy działacze na Litwie: Artur Płokszto i Zygmunt Mackiewicz, posłowie z ramienia partii litewskich, jak również Czesław Okińczyc i Stanisław Widtmann, wysocy urzędnicy we władzach litewskich. Gość z Polski apelował, by Polacy na Litwie nie odwracali się do siebie plecami.

MICKIEWICZ ZAMIAST LENINA

Prezydent Białorusi Aleksander Łukaszenko ogłosił rok bieżący Rokiem Mickiewicza. Na obchody oraz przygotowanie do nich przeznaczono około miliona dolarów. *Adam Mickiewicz to wielki białoruski poeta, ale należy do całego świata* – stwierdził minister kultury Aleksander Sosnowski. Najważniejsze uroczystości poświęcone dwusetnej rocznicy urodzin Mickiewicza rozpoczną się 12 września w Nowogródku. Trwa odnowa miejsc związanych z wieszczem, remont ulic, budynków. Z centrum miasta przeniesiony zostanie w bardziej ustronne miejsce pomnik Lenina, któremu zresztą brakuje już jednej ręki.

NARODZINY GWIAZDY

Udział w Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie był nagrodą za zwycięstwo w IV Festiwalu Twórczości Studenckiej w Klubie Studenckim Arkada w Krakowie dla Barbary Kubieny. Barbara Kubiena od dwóch lat studiuje na Wydziale Lalkarskim w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej we Wrocławiu. Przedtem pracowała w Teatrze Lalek Bajka w Czeskim Cieszynie. Śpiewa, akompaniując sobie na gitarze, pio-

senki do słów Haliny Poświatowskiej czy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, ale przede wszystkim utwory własne, sama pisze muzykę i teksty w języku polskim oraz czeskim.

CIESZYŃSCY ICHTIOLODZY O KARPIU

W III Krajowej Konferencji Hodowców Karpia w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą wzięło udział około 200 ichtiologów z Polski oraz innych krajów. Spotkali się tu również ichtiolodzy cieszyńscy z doc. dr. hab. Janem Szumcem i dyrektorem mgr. Janem Brodą na czele. Był obecny mgr inż. Rajmund Ronchetti, zamieszkały w Czeskim Cieszynie, pracownik naukowy Zakładu Ichtiobiologii i Gospodarki Rybackiej Polskiej Akademii Nauk w Gołyszu koło Skoczowa, oraz mgr inż. Lech Szarowski, rodak z Górnej Suchej, dyrektor Rybackiego Zakładu Doświadczalnego IRŚ w Zatorze koło Krakowa.

CZESKIE FILMY W KATOWICACH

Kolejnym mostem przez Olzę nazwano zorganizowany w katowickim kinie Zorza przegląd dorobku filmowego sławnego już czeskiego reżysera Jana Svěráka, uznawanego za następcę Milosza Formana. Przy tej okazji odkryto, że od dziesięciu lat w polskich kinach nie ma czeskich filmów, Polacy nie wiedzą, co dzieje się w kinematografii czeskiej.

Na Zaolziu, jak stwierdza Rzeczpospolita, filmowe mosty przez Olzę od pięciu lat próbuje przerzucać Tadeusz Wantuła, inicjator festiwalu Cierlickie Lato Filmowe. *Dzięki obecności znanych twórców i aktorów z kraju i zagranicy rośnie z roku na rok ranga imprezy. Wantuła stwierdził jednak, że rozwój kontaktów kulturalnych musi być długą i żmudną pracą od podstaw, choćby ze względu na konieczność przezwyciężania wzajemnych uprzedzeń wynikających z historii. Warto jednak ten wysiłek podejmować, bo w nowej Europie współpraca regionów musi się rozwijać.*

STYPENDIUM DLA POLONII

Rok nauki na polskiej uczelni kosztuje studenta-obcokrajowca od 2000 do 6000 USD. Studenci polskiego pochodzenia z krajów Europy Środkowej i Wschodniej w większości korzystają ze stypendium rządowego przydzielanego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej RP. W tej chwili takie stypendium pobiera 3800 studentów. Miesięcznie dostają 525 złotych, od nowego roku akademickiego suma ta wzrośnie do 600 złotych. Kandydaci na studia w Polsce, którym nie powiedzie się przy egzaminach wstępnych, jeśli otrzymają rekomendację polskiej placówki dyplomatycznej w swym kraju, mogą studiować bezpłatnie, lecz bez świadczeń finansowych.

MONOGRAFIA FRANCISZKA ŚWIDRA

Fundacja „Pro" czyli Dla powstała w Karwinie w roku 1997 z inicjatywy malarki karwińskiej Renaty Filipowej i pracowniczki naukowej uniwersytetu karwińskiego Maryli Godulowej w celu promocji kultury regionu karwińskiego. Zadaniem numer jeden miało być wydanie monografii Franciszka Świdra. Po nieoczekiwanej śmierci artysty nie zaprzestano gromadzenia środków na ten cel. Otwarte jest konto fundacji, każdy, kto wpłaci pieniądze, może sprawdzić, w jaki sposób zostaną wykorzystane. W tej chwili brakuje jeszcze około 200 tysięcy koron, zebrano już około 300 tysięcy. Gotowa jest dokumentacja dzieł artysty. Monografia ma być publikacją reprezentacyjną, inicjatorki jej wydania sądzą, że mogłaby się ukazać jeszcze w tym roku na Boże Narodzenie.

KLIMSZA W ARENIE

Szalone tempo i mocne środki ekspresji to cechy inscenizacji o katastroficznym wybrzmieniu, którą w ostrawskim teatrze Scena Kameralna Arena przygotował Janusz Klimsza. Opublikowaną w Dialogu sztukę duńskiego muzyka o pseudonimie Morti Vizki przetłumaczył i opracował Janusz Klimsza. Został reżyserem, scenografem i autorem oprawy muzycznej. Autorskie przedstawienie „V. I. P.'s Children" oparte jest na kanwie historii Kaina i Abla. Mówi o odpowiedzialności, winie i karze.

Namiętny... widz, fot. FRANCISZEK BAŁON

W warszawskim dzienniku Życie, którego redaktorem naczelnym jest Tomasz Wołek, ukazał się 28 lutego br. niżej publikowany artykuł na temat życia Polaków na Zaolziu, który okazał się daleko odbiegającą od prawdy, krzywdzącą nas, farsą. Polecamy go uważnej lekturze naszych czytelników bez poprawek i komentarza, bowiem prostowanie rzeczywistości w nim przedstawionej musiałoby mieć jeszcze większą objętość niż on sam.

LEW I MAKATKA Z ORŁEM

Rada Polaków ma swoją siedzibę w Czeskim Cieszynie o rzut kamieniem od granicy państwowej. Nieco dalej mają do Rzeczypospolitej działacze z Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Z polskiego gimnazjum można pójść do Polski na śniadanie podczas długiej przerwy. Polscy górale ze wsi Osůvky mają bliżej do granicy niż do sklepu po papierosy. Polska społeczność z Zaolzia codziennie ogląda Macierz z okna, a ona codziennie się od nich oddala.

Od „aksamitnej rewolucji" w Czeskim Cieszynie wszystko jest coraz bardziej czeskie. Neony sklepów są błyszczące, nowe i pachną Zachodem. Jeszcze intensywniej pachną towary, które wcześniej były tylko w „Cuzexach". Wszystko co polskie, trąci myszką z epoki wczesnego Gierka, a właściwie powinno się powiedzieć Husaka. U rzeźnika napis „Mięso – Wędliny". W końcu to centrum miasta, więc rzeźnik wolał się z polskością nie afiszować i zostawił na swoim szyldzie tylko dumne „Maso – Uzeniny". Dwujęzyczne napisy zanikają. Po samoprzylepnych literach „Księgarnia" zostały tylko wyblakłe ślady. Młody księgarz jest zły, że nagabują go po polsku o jakieś napisy.

Węszy prowokację.

– Tu są Czechy, tu jest czeska księgarnia i tu się mówi po czesku. Polskie księgarnie macie tam – mówi stanowczo, wskazując palcem za Olzę.

Za Olzą mamy polskie księgarnie, a jednak on sprzedaje u siebie w oryginale „Pana Tadeusza" i „Trylogię". Nie zamierza się z tego tłumaczyć.

Prywatnie prawie nikt na Zaolziu nie używa polskiego. Mówią mię-

dzy sobą w narzeczu zwanym „po naszemu", które jest czeską odmianą gwary śląskiej. Publicznie sprawa ma się podobnie. Po czesku odzywają się portierzy, sekretarki, kolejarze, policjanci i w ogóle wszyscy. Z uporem maniaka płynną „czesztiną" potrafią odpowiadać na pytania płynnie zadawane po polsku. Publiczne użycie książkowego polskiego, bez gwarowej naleciałości, często uznają za prowokację. Zwłaszcza kiedy tłumaczy im się, żeby nie mówili po czesku i że ten język jest niezrozumiały.

W gospodzie u stóp góry Javorovy, w której nie zatarto jeszcze ozdobnych polskich napisów na ścianach po poprzednim restauratorze, wszyscy Polacy odruchowo odzywają się do barmana po polsku. On zaś odruchowo wrzeszczy na nich, że tu są Czechy i żeby się wynosili, jeżeli tego nie zaakceptują.

Ci, którzy na Zaolziu nie są Polakami, serdecznie tych drugich nie cierpią. Twierdzą, że ich miejsce jest w Polsce i sugerują, że czas najwyższy postąpić zgodnie z regułą „kochaj albo rzuć". Ekstremiści wypisują na ścianach „Bijte Polaky po hlavě, aż Polaci tachněte pryč", czego można właściwie nie tłumaczyć. Ale Polacy nie myślą o opuszczeniu Śląska Cieszyńskiego.

– Przecież jesteśmy u siebie – tłumaczą – tutaj jest nasza czeska Polska.

MICKIEWICZ, GULASZ I KNEDLIKI

– Wyciągam dzieciaki na wycieczki do Polski, żeby z tej polskości miały jak najwięcej pożytku – opowiada Władysław Josiek, nauczyciel historii w „Gymnasium s polskym jazykem vyučovanim" w Czeskim Cieszynie. – Pokazujemy im Bałtyk, no i rzecz jasna Warszawę. Organizujemy konkursy recytatorskie, żeby im jeszcze bardziej przybliżyć Mickiewicza i Słowackiego. Nawet wychowanie plastyczne jest maksymalnie nastawione na polską klasykę.

W pracowni plastycznej polskiego gimnazjum wiszą reprodukcje obrazów Matejki i Kossaka. Pan Kubień, który prowadzi zajęcia, woli jednak przybliżać uczniom współczesną sztukę. Mimo że o Beksińskim ani Dudzie-Graczu niewiele wspomina się w programie.

Na korytarzach szkoły trzy tysiące polskich uczniów rozmawia „po naszemu", także z profesorami. Język polski pojawia się w użyciu przeważnie na zajęciach z języka polskiego. Inne przedmioty prowadzone są po czesku, głównie dlatego, że w tym języku napisano podręczniki. Podopieczni szkoły traktują swoją polskość praktycznie jako dodatek do nauki.

– My już sami nie wiemy, kim właściwie jesteśmy – dziewczyna na przerwie rozkłada ręce – Polakami, Czechami, Ślązakami czy może jeszcze kimś innym. W paszportach mamy obywatelstwo czeskie, ale do dowodów osobistych wpisują nam narodowość polską. Nie wszystkim,

bo można tego nie chcieć. Można sobie wybrać. My powtarzamy „Litwo, ojczyzno moja", a na obiad w domu matka robi gulasz i knedliki. My jesteśmy gdzieś pomiędzy – ani tu, ani tam...

TUWIM I FALTH NO MORE...

W gimnazjum zdaje się dwie matury – polską i czeską. Ta pierwsza potrzebna jest właściwie tylko tym, którzy będą chcieli pójść na studia w Polsce. Trafia się ich zaledwie kilkoro z każdego rocznika. Reszta zapamięta swój „pisemny polski" jako kuriozum, kompletnie nieprzydatne do życia. Tak samo pamiętają szkolne czasy absolwenci polskich podstawówek, którzy na tym zakończyli naukę o Macierzy. Po kilku latach przerwy sami się dziwią, że jeszcze pamiętają polskie słowa. W Cieszynie, Trzyńcu i innych okolicznych miasteczkach Zaolzia co drugi człowiek miał styczność z polską szkołą podstawową, ale niewielu z nich ma ochotę rozmawiać po polsku.

– Wielu rodziców pyta się pukając w czoło: Po co wysyłać dziecko do polskiej szkoły, skoro jesteśmy w Czechach? – ubolewa Władysław Josiek. – A ja im odpowiadam, że przecież jesteśmy Polakami w tych Czechach, do diaska!

Jakby na przekór słowom własnego profesora, młody chłopak w szatni szkoły, poproszony, by je jakoś skomentował, rzuca ironicznym tonem:

– Mamo, po co ja chcę być Polakiem? No po co? Przecież tutaj są Czechy! Urodziłem się, sakra, w Czechach!

Niewiele jest sposobów na udane połączenie „starych" polskich korzeni z „nowym", które przyszło do Czech wraz z odwilżą. Roman Henner, młody mieszkaniec Czeskiego Cieszyna, wpadł na pomysł równie oryginalny, co zabawny. Siedem lat temu zebrali grupkę zdeklarowanych zaolziańskich Polaków i założyli zespół rockowy. Grają hard core i ciężką muzykę w stylu amerykańskiego Faith No More do tekstów Tuwima. Popisowym numerem grupy jest „Lokomotywa", odegrana i zaśpiewana tak hałaśliwie, że odpadają uszy. Ale wokalista – literat Henner – i koledzy są niesamowicie dumni ze swojego pomysłu.

– Zespół nazywa się Hazah, bo to taka anglojęzyczna przeróbka nazwy wsi, która nazywa się Haźlach i jest po polskiej stronie – tłumaczy Henner. – Chcieliśmy być oryginalni no i sławić swój „heimat" po obu stronach granicy.

– Niestety, stary – kontruje basista Marek – skończyło się na tym, że w Polsce zrobiliśmy się popularni, bo na tych kilku festiwalach mówili o nas jako o popieprzonych Czechach. No wiesz, Pepiki grają rokendrola, czy to nie zabawne i tak dalej. A w Czechach mają nas za Polaków. Wyszło na to, że jesteśmy znikąd.

Członkowie zespołu zapisali się do Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, bo działacze PZKO pozwolili im za darmo grać

w swojej piwnicy. Zespół dostał potrzebny sprzęt i ogólne błogosławieństwo podczas różnych imprez kulturalnych. Ale gdy przychodzi do poszukiwań wytwórni płytowej, dzwonią tylko do czeskich. Twierdzą, że to będzie pewniejsze.

Polska muzyka rozrywkowa przestała być na Zaolziu popularna. Za czasów Husaka w Czechosłowacji młodzi ludzie słuchali listy przebojów polskiej Trójki. Kiedy przed ośmioma laty przytrafił im się okazjonalny koncert Bajmu, przyszło kilkanaście tysięcy ludzi wyjących z zachwytu. W 1996 r. w Trzyńcu już gwizdali na występie Oddziału Zamkniętego.

A JEDNAK SIĘ KRĘCI...

Polskie Radio na Morawach zajmuje dwa pokoje budynku Českeho Rozhlasu przy ulicy Jana Směrala w Ostrawie. Tu również stare plakaty z Jazz Jamboree i Opola przypominają o czasach świetności tej placówki. Sprzęt, którego używają radiowcy, był nowością w czasach polowań na czarownice, a program, który jest na tym sprzęcie nagrywany, czescy dyrektorzy programowi puszczają tylko przez piętnaście minut dziennie.

Mimo tego materialno-duchowego ubóstwa, nastroje w redakcji są wyjątkowo pogodne. Dziennikarze przychodzą się spotkać, poplotkować, napić się kawy albo piwa. Jeżeli istnieją, to znaczy że jeszcze nie jest najgorzej.

– Chcemy profesjonalnie prowadzić ten program – mówi Marek Michałek, redaktor polskiej sekcji Českeho Rozhlasu. – Tak, żeby dać dobry przykład nawet radiowcom w Polsce. Audycja musi być prowadzona w konserwatywny sposób, profesjonalnie, a więc wiarygodnie. Dzisiaj w Polsce, w tych wszystkich komercyjnych radiach, pełno jest dzieciaków, które się po prostu wygłupiają. Nie na tym polega fachowe dziennikarstwo.

Od 1945 roku wychodzi na Zaolziu polski tygodnik „Głos Ludu". Sprzedaje się zupełnie dobrze, a to głównie dlatego, że nie ima się wyłącznie spraw Polaków. Informuje o wszystkim, co się tylko zdarzy w regionie. Gorzej jest z miesięcznikiem kulturalnym „Zwrot", który nie znajduje zbytu nawet wśród zagorzałych działaczy polskich. Od roku działa też lokalne zaolziańskie studio telewizyjne Stonava TV, ale dopiero raczkuje i niektórzy obawiają się, że na tym poprzestanie.

Polskie stowarzyszenia na Zaolziu uparcie przypominają o odrębności narodowej swoich członków. Co roku latem z ich inicjatywy w Jabłonkowie odbywa się polski festyn ludowy Gorolski Święto. W założeniu miała to być impreza folklorystyczna, w rzeczywistości bardziej przypomina zwykłą dyskotekę, której towarzyszy kiermasz sztuki ludowej, alkoholu i kiełbasek.

– Jesteśmy w Czechach widoczni i będziemy widoczni – mówi

Danuta Branna z Rady Polaków. – To nieprawda, że nie dajemy sobie rady z wewnętrznymi lokalnymi antagonizmami, a świadczy o tym fakt, że zaistnieliśmy na czeskiej scenie politycznej.

Danuta Branna została posłanką Zgromadzenia Federalnego Republiki Czeskiej. Mniejszość polską na Zaolziu reprezentuje też poseł Wawrzyniec Wójcik. Ale prawdą jest również, że wewnętrzne lokalne antagonizmy dają o sobie znać w łonie tej mniejszości. Radzie Polaków, jako instytucji nadrzędnej, zdarza się toczyć spory z PZKO i innymi organizacjami. Reprezentowanie mniejszości narodowej na krajowym forum to teraz polityczna gratka. Można się na tym wysoko wybić.

Ale to dotyczy tylko potyczek „na górze". Dołom organizacyjnym zaczyna już być wszystko jedno.

Polski hotel Piast w Czeskim Cieszynie i jego odpowiednik – Polsky Dům w Ostrawie – choć należą do PZKO, są już polskie tylko z nazwy. Nawet aparatura nagłośnieniowa oblepiona emblematami polskich wytwórni zniknęła z sal dancingowych przed dwoma laty.

– Teraz nawet duch białego orła się tu nie kołacze – zasmuca się portierka w Piaście. – Czasem tylko odbywają się tu próby. Teraz, proszę pana, liczy się tylko biznes i nic więcej. Ludzie handlują, wie pan, czeskie piwo w tamtą, polskie papierosy w tę, dzisiaj pieniądze trzeba robić, a nie bawić się w patriotyzm.

Piast jest bodaj jedynym hotelem w Czechach, gdzie Polacy do dziś płacą za nocleg tyle samo co miejscowi. Gdzie indziej obcokrajowców obowiązuje podwójna taryfa.

PRZEZ POLSKĘ NA SKRÓTY

Granica państwa lub – jak kto woli – statni hranice, wcina się szerokim klinem między górską wieś Osůvky (kiedyś Osówki) i Kojkovice. Gdy zapada zmrok, podchmielonym bywalcom osuwieckiej gospody zdarza się wracać do domu na skróty przez terytorium Rzeczypospolitej. Niektórzy zupełnie nie wiedząc, że oto są właśnie w Lechistanie, zapadają w polski, pijacki sen na łonie ojczyzny matki.

– Raz żech się kiedyś zwalił na trawę jak kłoda i tak do rana – ciągnie opowieść góral przy złotym Radegaście z grubą pianą – a rano cosik mnie tarmosze. Wstałżech, a to owieczka. Ja patrzę, a ona do mnie „meee" i popycha główką. No i zaraz zrozumiałem. Tam obok była tabliczka „granica państwa" i to była polska owieczka. I ona mnie do Czech popychała.

W Osuvkach ludzie już nie wiedzą, za kogo mają się uważać. Granica państwowa przesuwała się tam siedem razy przez ostatnie siedemdziesiąt lat. Bywało tak, że w ogóle nie było tam granicy. Potem Polskie władze kazały wyrabiać dowody osobiste. Później Czesi wręczali im obczanske prukazy. I tak w kółko. Teraz wolą nie zastanawiać się głębiej nad istotą swej narodowości.

– Polska, Polska. Przecież ta Polska jest tylko kilometr od domu – śmieje się barman osuwieckiej gospody. – Mam w kieszeni paszport z lwem, a na ścianie makatkę z orłem. Czy warto się tak martwić o symbole?

PÓŁ NA PÓŁ Z CZECHAMI

Od XIV wieku lennikami królów czeskich byli na Zaolziu Piastowie Cieszyńscy. Mimo iż polski charakter Księstwa Cieszyńskiego był niezaprzeczalny, tereny te nieczęsto w historii należały do Polski. Po upadku monarchii austro-węgierskiej Podbeskidzie podzielono; połowa przypadła Polakom, połowa Czechom. W 1919 roku Czesi bezskutecznie próbowali zająć polską część. W 1938 r. czeską część zajęli Polacy. Rok później całość została zajęta przez III Rzeszę. Po wojnie Polacy w Beskidzie Śląskim stali się oficjalnie mniejszością narodową, od kiedy rząd czeski zaczął przesiedlać na Zaolzie Czechów, by dać im pracę w rozbudowywanej gigantycznej hucie trzynieckiej i innych zakładach. Dziś na Zaolziu mieszka 60 000 osób deklarujących narodowość polską przy dwukrotnie wyższej liczbie Czechów. Najważniejszym śladem polskości na tych ziemiach jest 29 polskich szkół podstawowych i polskie gimnazjum. Regularnie ukazują się dwa polskie pisma, codziennie nadawany jest polski program radiowy.

PIOTR BERGER

foto FRANCISZEK BAŁON

ANDRZEJ GRABOWSKI

ZADZIORKI

POSTĘP
Wśród wielu innych
ciekawych wyników
mamy niezłe rezultaty
w budowie pomników.

JEDNOSTRONNI
Bez względu na ustrój,
narodowość, kraj...
Zawsze będą uczuleni
jedynie na – d a j.

W OBLICZU
Kiedy lud zaczyna się gniewać,
niejeden ważniak wtedy cienko
śpiewa.

GORĄCZKA
Najczęściej
przy spotkaniu z tłumem
emocje biorą górę nad rozumem.

FUTOROLOGIA
Wreszcie, w ramach
biologicznej odnowy
udało nam się zmienić
ustrój pokarmowy.

BEZ ZAPALNIKA
I na cóż nam hasła
kiedy iskra zgasła.

DO NAWRÓCONEGO
Wybacz mi, że nie wierzę
w twe spóźnione pacierze.

ODGŁOSY
Gdy w stadzie
następują zmiany
najgłośniej ryczą barany.

TO FAKT
Oj niełatwe
teraz życie
przy korycie.

SYZYFOWA PRACA
Najtrudniej pozbyć się kołka,
który w czasie obróbki
już był częścią stołka.

OSTATNIA DESKA...
Gdy realnie się nie uda
pozostaje wiara w cuda.

OKADZONYM
Nie wystarczy użyć mydła
by zniknęła woń kadzidła.

SPYCHANKA
Nie oskarżaj wuja, cioci
o to, coś samemu sknocił.

O ROZRÓŻNIANIU
Zdarza się, że społeczeństwo
za odwagę bierze błazeństwo.

POROZUMIENIE
Od lat rozmawiamy,
jak Polak z Polakiem –
Jeden szkli oczy,
drugi kładzie lakier.

Z książki Andrzeja Grabowskiego „Fraszki Igraszki"

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

WIESŁAW JANUSZ MIKULSKI

***

ponad górami wyobraźni
są tylko mgły i cisza

krajobraz rysuje się
spiczastymi wierzchołkami
górskich łańcuchów

szlaki wydeptane są tęsknotą
szturmujących niebo
ludzi

***

czasu strugi rozbijają się
o skały ciszy
stoimy na głazach
zmoczeni

wiatr napędza chmury
jak gęsi
na urwiska

z niebem objęci
smukłością granitów
rozbijamy o skały słowa

miknące w strugach
czasu
w szalejącym wietrze ...

***

prostą drogą
ciężko zajść na szczyty

nawet szlaki
wiją się jak węże

a gdy zajdziesz
szczyt śniegiem pokryty – –

wiatry niosą na rękach chmury
i sieją deszcz...

***

Tatry
zanurzone w morzu słońca
wykąpane we mgle

przyciśnięte jest moje serce do was
jak pieczęć
szaleństwem snu

gór gwiezdnych strome krawędzie
wyrzeźbiły w was
mijające dni

***

wylewa się ze mnie
lawa ciszy
patrzę wśród chmur
nie ma słońca

przebija się tylko
światło
na zamazane deszczem
szyby

wylewa się ze mnie
pamięć
rwącym nurtem
wypełnia koryta dni

tęsknię za śniegami
Tatr za dolinami
białymi jak szczęście
porosłymi świerkami i snem ...

WIESŁAW ADAM BERGER

Z BARCELONY DO MIESZKOWIC

(Pamiętnik pisany dniem i nocą)

Tymczasem jedziemy dalej. Jakoś udaje nam się przepchnąć przez zakorkowaną granicę polsko–niemiecką. Mosty graniczne nadal wąskie, tak jak drogi. Jest, jak było, przybyło tylko krasnoludków. Podobno można na nich zbić majątek. A gdyby tak zamiast krasnali – książki? Z krasnalami? Kup pan cegłę.

Na granicy Polscy, jak w Chałupkach, nadal biją w paszporty swoje stemple i mówią, że na pamiątkę. Też OK! Ale nie ma się czego wstydzić. Niemcy przez radio zgłaszają do centrali numer każdego paszporu... Ale to nie koniec, żeby nie było nudno, Polakom zabierają do kontroli paszporty, Niemcom z niemieckimi paszportami zostawiają. Mojego też nie zabrali, bo czeski.

A więc jestem w Niemczech (byłej NRD). Jest z nami Madame redaktor z Radia Brandenburg. Powinienem był złowić jakiś kontakt, bo jeśli u nas w domu, na Zaolziu, prawie nie można publikować swoich myśli i poglądów, i trzeba tylko według dyrygentów – chociaż młodych, jednak ze starej garnitury – to może uda się w Radiu Brandenburg w charakterze „Minderheit" i to po swojemu. Jakoś nie miałem nastroju do rozmowy. Poczekam. Pożyję? Zobaczę?

Stary niemiecki krajobraz. Jednak staro–nowe dzielnice w stylu – tak jak u nas – podpisanym przez socrealizm. Wszystko jednakie, jak umundurowani żołnierze.

A jednak... Zatrzymujemy się przed czymś zupełnie innym. Przed różowym okazałym, niczym w bajce, neogotyckim zamkiem obronnym „Gusow". Jest słoneczne popołudnie. Wieże w kształcie walca, jedna jest już odrestaurowana, lewa jeszcze ubrana w rusztowania. Wokół zamku biegnie fosa obronna, w niej woda z białymi i różowymi liliami wodnymi. Wnętrze zamku elegancko odnowione, wszystko na wysoki połysk – przypomina to stare czasy brandenbursko–pruskie, nie zawsze nam przyjazne. Ale teraz, jeżeli Kwaśniewski każe zapominać o komunistach, to my też możemy zapomnieć o bardziej dawnej pruskiej krzywdzie z czasów kajzera Wilusia. Teraz jest tu muzeum, gdzie odbywają się koncerty. W XVII wieku żył tu marszałek polski, generał Georg Freiherr von Berffilinger. Nie wiem, kto to taki i nie mogę go znaleźć w polskim leksykonie. Można tu także zobaczyć medal słynnego niemieckiego pisarza, który wędrował i pisał o tym kraju „Wanderungen durch die Mark Brandenburg – Wędrówki po Marchii Brandenburskiej". Był to Theodor Fontane (1819 – 1898), który pochodził z rodziny francuskich hugenotów. Na medalu znajduje się wizerunek pisarza, na re-

wersie jest przedstawione drzewo z korzeniami, pniem i koroną, jakby – nieraz tu przeze mnie wspomniane – drzewo pnące się ku słońcu i piszące swą koroną po niebie.

Na stole w głównej sali świecą oczekujące na nas lampki wina. Pan zamku, na szczęście już nie generał, wita nas serdecznie. Cieszy się z naszych odwiedzin w imię przyjaźni polskich i niemieckich pisarzy. Pijemy, żeby ta przyjaźń już nigdy nie skończyła się w czarnych lub czerwonych obozach koncentracyjnych.

Trzeba popracować. Idziemy ścieżką wysypaną żółtym piaskiem, poprzez bogaty park zamkowy ze starymi potężnymi drzewami, pamiętającymi Fontane'a, na plebanię. Wita nas ksiądz w cywilu, chyba ewangelicki, potem proza i poezja. Poezja niemiecka brzmi innymi kolorami tonów niż nasza, przypomina utwory Beethovena, a jednak niby inna, niby obca, nie jest mi obca. Język ten znam od dziecka, chociaż nie bardzo umiem się nim posługiwać. Po uczcie duchowej wracamy, wśród zieleni i kwiatów, do zamku. W drodze rozmawiam z młodą dziewczyną z byłej NRD i tłumaczę jej różnicę między tamtym a tym systemem. Nie bardzo chce w to wierzyć. Tkwi w niej tamten enerdowski garb – wina nauczania. Na tym ugorze jest mnóstwo pracy. Popatrzmy tylko, jak te sprawy wyglądają u nas, nie mówiąc o Polsce.

Późny obiad lub wczesna kolacja, przypominający obfite obiady u katowickiego wojewody Czecha w dużej historycznej sali. Siedzę obok Bolka, chociaż nie jestem Lolkiem. Nie szkodzi i tak się rozumiemy.

Jeszcze przed ucztą przemawia do nas Pan Zamku. Opowiada, jak kupił zamek za symboliczną markę (była to ruina), ale musi go własnym sumptem odnawiać i doprowadzić cały obiekt wraz z parkiem do pierwotnego stanu. W czasach drugiej wojny światowej nikt się z zamkiem nie certolił. Ząb za ząb, oko za oko i Europa w gruzach.

Właściciel prosi, żebyśmy w jego zamku czuli się jak u siebie w domu i założyli u niego nasz Polsko–Niemiecki Klub Pisarzy–Przyjaciół. Przyjaźni przeciwstawionej tamtej faszystowskiej i komunistycznej nienawiści. Byłby to kamień na szaniec przeciw szowinistycznej głupocie i zarazem kamień na budowę naszej drogi lub przynajmniej ścieżki do wspólnej Europy. Oczywiście, że różnimy się od siebie, ale jeśli Szwajcarom się udało...

Po kolacji czytanie prozy. Najbardziej odpowiada mi opowiadanie Olava Münzberga z Berlina. Jest mi bliski swym pisarstwem, wracaniem do tamtych czasów, każdy pisarz ma swoją rzekę, swój las, swoje kładki przez potoki, swój most i dom, który istnieje już tylko we wspomnieniach. Nazwisko Münzberga kończy się tak, jak moje zaczyna. Obiecał mi przesłać swoje opowiadanie i zaprosić do Berlina. Czekam... Już w pierwszym dniu powiedzieliśmy sobie mnóstwo interesujących spraw. Rozumiemy się i to jest ważne. Jesteśmy ludźmi, w dodatku pisarzami. Narodowość, jeżeli nie jest zaborcza, to piękna sprawa, patriotyzm tolerancyjny wobec innych narodowości, bez nienawiści do sąsiada to korzenie, ale my chcemy jeszcze czegoś więcej, być sobą, być po prostu normalnymi ludźmi i pisać to, o czym chcemy, a nie czego się od nas żąda. Nie sposób robić czegoś, w co się nie wierzy. I znów to wyjście z korzeni w koronę drzew, by pisać

o swoich nieskrępowanych przez nikogo przemyśleniach i uczuciach a nie przepuszczanych przez maszynkę cenzuralną jakiegokolwiek redaktora czy szefredaktora pisma. Ale tego oni, należący do przeróżnych zwariowanych partii nie umieją, nie potrafią zrozumieć, chociaż by byli Bóg wie jak wielkimi filozofami. Jestem pewien, że nawet sam Adam Michnik nie wydrukuje tego, co jemu nie odpowiada, więc nie jest demokratą. A może ja też nim nie jestem, bo nie znoszę fałszywej arystokracji i jej fałszywej demokracji? Bo jeżeli toleruje się Urbana, dlaczego nikt nie jest w stanie mnie tolerować?

Na Zaolziu jest tak samo. Trudno tu cokolwiek opublikować, jeśli nie zgadzają się na to „poststarestruktury", które chcą po nowemu, ale ze starymi garbami i na dodatek niejeden postkomunista postawił na prawicę, po prostu lewica usiadła na prawicy – zwłaszcza w dziennikarstwie i robi nadal swoją robotę. Być, istnieć, tworzyć. Naiwny – myślę – że może uda mi się w Berlinie (I znów, tym razem początek mojego nazwiska „Ber". Ber to po czesku bierz).

Być, istnieć, tworzyć, właśnie o to chodzi – mówi mi nowy, ale bardzo bliski przyjaciel Jerzy Pachlowski – pisarz, marynarz, przewodniczący SPP w Szczecinie.

Po uczcie kulinarnej podniesieni na duchu dobrym winem a przede wszystkim literaturą, jeszcze przed północą wychodzimy z zamku. Nad nami niebo całe w błyszczących gwiazdach. Czegoś tak wyraźnego i pięknego już od kilku dobrych lat nie widziałem. Więc tu w Niemczech też są gwiazdy jak u nas – czym różni się człowiek od człowieka?

Na niebie i na ziemi nie ma granic. To tylko ludzie je wymyślili i teraz za to cierpią, jak Adam za Ewę. Granice wylęgły się w chorych mózgach polityków...

Gwiaździste niebo – oto potwierdzenie tego, o czym myślę, o czym piszę i będę pisał. Z korzeni do gwiazd. Te nasze „pnioki, krzoki i ptoki" – jestem tym wszystkim, ale przede wszystkim ptakiem, mleczną drogą, spadającą i spalającą się w drodze gwiazdą (oczywiście nie czerwoną z okupacyjnego czołgu), lecz gwiazdą znikającą w gwiezdnym pyle na nieboskłonie.

Wracamy. Tym razem na granicy nie ma problemów, jednak musimy czekać pół godziny, by przebić się przez zakorkowane gardło mostu.

Północ z 21 na 22 IX 1995. Hotel Mieszko, kawiarnia i ponowne nocne Polaków z Niemcami rozmowy. Nie znaczy to, że musimy mieć wspólny język, ale jest nam potrzebne zrozumienie, uszanowanie odmiennych zapatrywań i wzajemny szacunek. Nie ma innego wyjścia, albo się porozumiemy, albo zginiemy, teraz już na tym samym statku zwanym EUROPĄ. Europę, o ile nie damy się do kupy, czeka los Atlantydy, zalanej wschodnim morzem. Wahania morza się powtarzają – przypływy i odpływy... Wszystko zależy od człowieka. Okręt tymczasem jakoś tam płynie we właściwym kierunku, omijając rafy i mielizny.

Trudno zrozumieć tych, którzy są obciążeni średniowieczem lat pięćdziesiątych XX stulecia. Tu takich nie spotkałem poza tą starą panią, co to w obecnej Bundesrepublik czuje się obco (w NRD było dla niej wszystko OK).

c.d.n.

„A" JAK AUTOR, AUTOREKLAMA, AVION CZYLI SAMA SOBIE STEREM, ŻEGLARZEM, MENAŻEREM

Gustaw Flaubert, autor słynnego stwierdzenia *Pani Bovary to ja* napisał parokrotnie w swoich listach: *Autor w swoim dziele powinien być jak Bóg we wszechświecie, wszędzie obecny i nigdzie niewidzialny.* Tak się składa, że mój temperament twórczy każe mi się odsłaniać i dokonywać niejako autowiwisekcji, a więc operacji na żywym (własnym) ciele w celach doświadczalnych. Mogę za Flaubertem powtarzać: Małgorzata to ja, skrzypek Kohn to ja i tak kolejno o moich postaciach literackich. Postawa ta jednak czytelników, złaknionych autobiograficznych sensacji, tych, którzy uwierzyli, że każda opisywana rzecz zdarzyła się naprawdę, często prowadzi na manowce. Mnie samej po opublikowaniu debiutanckiej „Próby identyfikacji", gdzie między innymi w młodzieńczy i buntowniczy sposób obnażałam blaski i nędze pożycia małżeńskiego, nie zakosztowawszy go uprzednio, zdarzały się później zabawne nieporozumienia z czytelnikami, którzy spodziewali się zastać steraną życiem kobietę po przejściach. A tu debiutantka, świeżo po studiach, próbowała im wyjaśnić, że wystarczy tylko szeroko otwierać oczy i opisywać, dodając do fikcyjnych historyjek z życia odrobinę własnego bólu, szczęścia, rozczarowania. Podzielić się sobą z innymi ludźmi...

Jakby nie było, słowo „auto-" w złożeniach wywodzi się z greckiego „autós" czyli „sam". Autor więc to twórca dzieła, obecny w nim jak Bóg we wszechświecie, niezależnie od tego czy pisze o Indianach, Himalajach, dziurach ozonowych, czy też o tym, że boli go serce lub wyrostek robaczkowy. Gdybyśmy jednak chcieli posłużyć się konkretniejszymi narzędziami teoretycznoliterackimi, musielibyśmy więc mówić nie o autorze w dziele, ale *o podmiocie lirycznym*, nazywanym również *ja lirycznym*, a więc o *centralnej postaci fikcji utworu lirycznego, wyznającej swoje uczucia, przeżycia i doznania, a nierzadko i przekonania w rozmaitych kwestiach.* Owo ja, często utożsamiane z autorem-poetą (bo chciałabym tu mówić przede wszystkim o poezji), płata nieraz czytelnikowi, któremu wydaje się, że wszystko wie i rozumie, figle. Świadczą o tym przeróżne mistyfikacje i gry z czytelnikiem albo, gdy autor chce się nieco zdystansować, tzw. *liryka roli (podmiot liryczny* jest postacią historyczną, mitologiczną itp.) lub *liryka maski* (*ja liryczne* przyjmuje postać osoby, zwierzęcia, przedmiotu i wygłasza poglądy, które możemy - ale nie możemy - przypisać samemu autorowi-poecie).

I masz, babo, placek. Uwaga więc na słowo „ekshibicjonizm", panie-panowie krytycy ! Słowo to oznacza jedno ze zboczeń, a w znaczeniu przenośnym, cytuję: *skłonność do nieumiarkowanego wywnętrzania się, zwierzania się z intymnych spraw swego życia albo do zwracania na siebie ogólnej uwagi.* No cóż, mieszczańskie horyzonty i podszyte dulszczyzną hasło o niewynoszeniu poza próg własnego domu wstydliwych tajemnic i słodkich (bo własnych) świństewek, każą niektórym odbiorcom, nie tylko zresztą na naszym podwórku, w każdym erotyku dopatrywać się burzliwych (i koniecznie grzesznych, zakazanych) przeżyć autora, a w każdym namalowanym akcie kolejnej kochanki (lub nie daj Boże, wyuzdanej modelki) malarza. Ileż ja się nasłuchałam żalów od starszych i często nierozumianych kolegów-artystów! Jeden z nich - o nim już nie odważono by się napisać, że był ekshibicjonistą - odszedł niedawno i zabrał ze sobą na tamten świat całe grono barwnych, niepowtarzalnych i jakże często fikcyjnych postaci. Coraz więcej Jego czytelników kiwa głową, że był niedoceniony, że walczył przez całe życie z kołtuńskimi wiatrakami. Nasz zaolziański Don Kichot...

Gdybym miała sprostać wyobrażeniom niektórych ludzi na temat życia poetki (?), publicystki (?), powinnam siedzieć za biurkiem, czekać z piórem w ręku na „natchnienie", czasem coś lękliwie i z widocznym zażenowaniem (bo się odsłaniam - co zresztą nie jest prawdą, jak próbowałam wyjaśnić powyżej) przeczytać na świecącym pustkami spotkaniu autorskim i czekać na to, że mnie ktoś może odkryje po śmierci i wreszcie coś wymiernego przypadnie głodującej (rodzina literata - kolejny stereotyp - zawsze musi być biedna) rodzinie. Ta wizja mnie nie nęci, bo mam po prostu inny temperament. Skoro już mowa o „natchnieniu", dopada mnie ono czasem w miejscach tak mało poetyckich, że aż wstyd się przyznać, aczkolwiek Szanownym Czytelnikom zapewne nic, co ludzkie, nie może być obce. W każdym razie zdarzyło mi się już czytać wiersz autora napisany naprędce na... papierze toaletowym, bo natrętne muzy nie znają dnia ani godziny. A skoro wspomniałam o ludziach, lgnę do nich, bo są mi potrzebni, każda promocja nowej książki jest dla mnie świętem, a święta mają to do siebie, że się je obchodzi w większym gronie, radośnie. Niektórzy koledzy po piórze, zazdrośni, bo przecież ludzie życzliwi nie przypinają metek, doszli do krzepiącego wniosku, że umiem się „sprzedawać". W dzisiejszych rynkowych czasach, brzmi to jak komplement, ale tu przecież nie chodzi o komplementy. Pani Rudnik, pisząc w swej niespodzianie przychylnej recenzji z kawiarni Avion o swoistej autoreklamie, była bliska tego, o co mi chodzi w mojej działalności, aczkolwiek wyczuwa się w tych słowach odcień „wymierności", „żądzy sławy i zysku". Mój Boże, nie znam instytucji mniej dochodowej niż Avion ! I nie znam instytucji bardziej mnie wzbogacającej...

Wracam do słowa „aut-", „auto-", występującego w złożeniach: autentyczny (z greckiego „authentikós", czyli gwarantowany), autobiograficzny, autochtoniczny, autodydaktyczny, autonomiczny, autorski. Absolutnie oddają ideę tego, o co mi chodzi w mojej działalności animatorskiej (ciekawostka, w języku łacińskim słowo to pochodzi od „animare" - ożywiać, tchnąć ducha). Rdzeń „auto-" pojawia się również w słowach autokrata, autorytarny (nie mylić z autorytetem) i auto da fé (chodzi o proces publicznego spalenia na stosie heretyka lub niestosownych książek). Tych znaczeń wolałabym uniknąć, choć biorę je przezornie pod uwagę. Gdy więc mowa o programie lub teatrze autorskim, zakłada się uczestnictwo, częściowe lub pełne, autora. Publiczność wie, czego może oczekiwać i albo akceptuje formułę, uczestnicząc w programie, albo jej w ogóle nie bierze pod uwagę. Idea Avionu w skrócie to chyba: wielokorzenność, tolerancja, sentyment i humor, sztuka pod wieloma postaciami, radość tworzenia, nieustająca auto-edukacja twórców, wykonawców i widzów, improwizacja i zabawa, wspólne klimaty (lubię to modne ostatnio słowo) i konsumpcja (tę dziedzinę - przez żołądek do serca - chciałabym rozwinąć, ale sama nie podołam wszystkiemu - kucharze wszystkich nacji, łączcie się !).

Gdy mowa o słowie „autorski", wiele znamienitości typu Tadeusza Kantora czy Piotra Skrzyneckiego z „Piwnicy pod Baranami" z pewnością lepiej rozwiązywało tę kwestię pod względem organizacyjnym. Dla mnie słowo to wiąże się z hasłem „dziewczynka do wszystkiego" - czytaj „sama wszystko zrobię lepiej, tak jak sobie wyobrażałam" - przez co nieraz totalnie się spalam i ze zmęczenia po prostu tracę głos. Nie jestem jednak masochistką, lubię te wszystkie role, łącznie z funkcją inspicjenta, suflera, nieraz garderobianej i rekwizytorki, sprzątaczki i kucharki (próby bowiem w moim domu często połączone są z degustacją, co sprzyja atmosferze wspólnoty, swojskości, bycia jedną „trupą" artystów i zapaleńców - ludzi do wszystkiego). Gdybym próbowała dociec, co robiłam w poprzednim (było takie ?) życiu, doszłabym prawdopodobnie do wniosku, że byłam „artystką wędrowną". Czy nie jestem nią nadal?

Gdyby ktoś zapytał, co uważam za swój największy sukces, odpowiedziałabym: grono ludzi, których udało się zgromadzić po tej i po tamtej stronie rampy (której, jak to w Avionie, nie ma). Artystów, którzy pracują niemal bezinteresownie i wierną publiczność, której szeregi, bez haseł reklamowych i plakatów, powoli, metodą „poczty pantoflowej", czyli „polecił znajomy kolejnemu znajomemu", rosną, dzięki czemu Avion powoli traci pozory pewnej elitarności, której powodem była od początku ograniczona ilość miejsc. Ale i to, wierzę, uda nam się rozwiązać. Jest takie słowo na „A" - animusz.

Oby nam go nie zabrakło!

RAFAŁ ZAWADZKI

WIERSZE

* * *

mej nadziei drzewo zasadziłem
na polu smutku duszy zgubionej
mej wiary cieniem go otoczyłem
siedzę w trawie zła słońcem spalonej

rośnie nadziei drzewo przez wieki
bez liści kwiatów gałęzie suche
deszczu nie czuję nie widzę rzeki
samotnym jestem w wieczności
duchem

patrzę na zeschłe drzewo nadziei
w pustyni cierpień na wodę życia
sam czekam bez pomyślnej idei
zbawienia ludzkości i nas bycia

nadziei drzewa korzenie zgniłe
umiera drzewo w samotnej trwodze
od wieków ja wiary człowiek wyłem
nikt nie poszedł po nadziei drodze

* * *

człowiek by go za błazna nie mieli
aktorem dobrym tutaj być musi
w świecie ponurym nikt się nie dzieli
litości nie znają zło ich kusi

ten jest błaznem co kocha każdego
i ten co pragnie sprawiedliwości
i ten co pragnie życia wiecznego
i ten co żyje w cnocie miłości

w życia teatrze rolę odgrywa
malutki wielki najpotężniejszy
w każdym nadzieja wiara się zmywa
a będzie najbrzydszy najpiękniejszym

błaznem jestem i ja pan poeta
dobra żądam i też klęski złego
błaznem jestem i ja pan asceta
wyrzekam się uciech życia mego

* * *

kończy sie nas lechów trwanie
za rzeką o dwu imionach
zatańczmy ostatni taniec
trzymajmy się za ramiona

wielu nas w pocie walczyło
o nasze wieczne przetrwanie
dobrze nam się tutaj żyło
na skrawku ziemi kochanej

stójmy razem w jednym kole
żyjmy w wierze i przetrwamy
nasz język uczony w szkole
pokoleniom przyszłym damy

nie zmienimy przeznaczenia
nasza przyszłość bogiem dana
nie oddamy nas istnienia
naszej wiary w nas i w pana

KONKURS LITERACKI IM. K. I. GAŁCZYŃSKIEGO

Szczeciński oddział Związku Literatów Polskich, Klub Garnizonowy oraz Książnica Pomorska są organizatorami Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. K.I. Gałczyńskiego na **debiutancki tomik poezji.**

W konkursie mogą uczestniczyć **tylko osoby, które nie mają w dorobku publikacji książkowej** w danej kategorii. Organizatorzy nie ograniczają tematyki. Przewidziana jest pierwsza nagroda w postaci edycji książkowej oraz nagrody pieniężne.

Prace w objętości 50-70 stron znormalizowanego maszynopisu, w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem wraz z zamkniętą kopertą (również oznaczoną tym samym godłem), zawierającą imię i nazwisko, wiek i adres autora, należy przesłać do 31 lipca 1998 roku na adres: Klub Garnizonowy (Biblioteka), ul. Wawrzyniaka 5, 70-393 Szczecin; z dopiskiem na kopercie „Konkurs-literacki im. K.I. Gałczyńskiego". Tel.: (091) 48-719-35 lub (091) 445-53-75; 445-53-76.

Liczba prac zgłoszonych przez jednego autora nie jest ograniczona.

Rozstrzygnięcie konkursu przewidziane jest w sierpniu 1998 r. Laureaci zostaną zaproszeni na I Biennale im. K.I. Gałczyńskiego.

Związek Literatów Polskich
Oddział w Szczecinie

EDMUND ROSNER

1930–1998

Zmarł nieoczekiwanie 18 maja. W nekrologach, które ukazały się na łamach prasy okręgu beskidzkiego, możemy przeczytać, jak wiele prof. dr hab. Emund Rosner uczynił dla ludzi i nauku: był wybitnym znawcą literatury z pogranicza polsko-czeskiego, organizatorem szerokiej współpracy polsko-czeskiej, zwłaszcza pomiędzy Uniwersytetem Śląskim, którego był wieloletnim pracownikiem a czeskimi uczelniami w Opawie, Karwinie, Ostrawie, Brnie, Ołomuńcu i Pradze. Pozostawił trudny do przecenienia dorobek w postaci opublikowanch książek i artykułów naukowych. W ostatnich latach pełnił funkcję przewodniczącego Komisji ds. Stosunków Polsko-Czeskich i Polsko-Słowackich Polskiej Akademii Nauk. Uczesnik rozlicznych międzynarodowch i krajowych konferencji, seminariów, sypozjów. Założyciel i wieloletni przewodniczący Towarzystwa Prazyjaźni Polsko-Austryjackiej w Cieszynie. Trudno wymienić wszystkie funkcje zawodowe i społeczne, które pełnił prof. Edmund Rosner. Jak bogata jest Jego twórczość, świadczy borszura wydana przez przyjaciół Profesora Józefa Golca i Kazimierza Szczurka w roku 1995, będąca próbą zapisu materiałów do bibliografii. W ostatnich latach znacznie ich jeszcze przybyło.

Wiele artykułów i recenzji opublikował prof. dr hab. Edmund Rosner w prasie zaolziańskiej Głosie Ludu, Jutrzence i Zwrocie, którego redakcję regularnie raz w miesiącu odwiedzał. Informował o naukowych i towarzyskich spotkaniach literackich po drugiej stronie Olzy, nowych publikacjach, a także przyprowadzał swoich przyjaciół z Polski i Austrii, aby zwrócić ich uwagę na zaolziański zakątek literacki. Doradzał, inspirował i wyszukiwał autorów dla Zwrotu. Zakochany w Śląsku Cieszyńskim i jego regionalnej kulturze, choć mieszkał po drugiej stronie Olzy, był niezwykłym przyjacielem Zaolzia, zbierał i dokumentował wszystko, co dotyczyło literatury regionu w jego historycznych granicach.

Ubywa nam przyjaciół, których rady, choć niewidocznie, znajdowały swoje odbicie na kartach pisma.

REDAKCJA

ZAPROSZENIE DO LEKTURY POGODNEJ

W teczce każdego zmęczonego życiem mężczyzny powinna się znaleźć, obok telefonu komórkowego, notebooku i innych atrybutów nowoczesności, jakakolwiek powieść Małgorzaty Musierowicz – napisano w jakiejś recenzji. *Dlaczego? Bo nic tak nie podnosi na duchu jak te właśnie książki.*

Małgorzata Musierowicz, córka lekarzy, siostra wybitnego poety i tłumacza Stanisława Barańczaka, matka czworga dzieci, jest z wykształcenia grafikiem, ilustratorem własnych książek. Mieszka w Poznaniu, gdzie też dzieje się akcja większości jej powieści. Pisze przede wszystkim powieści współczesne dla młodzieży. Najsławniejszy cykl powieściowy, nazwany przez wybitnego historyka teatru prof. Zbigniewa Raszewskiego „Jeżycjadą" – od poznańskiej dzielnicy Jeżyce, gdzie odbywa się akcja, doczekał się już dwunastu części. „Szósta klepka", „Kłamczucha", „Kwiat kalafiora", „Ida sierpniowa", „Opium w rosole", „Brulion Bebe B.", „Noelka", „Pulpecja", „Dziecko piątku", „Nutria i Nerwus", „Córka Robrojka" i ostatnia „Imieniny", która znalazła się na półkach księgarskich pod koniec kwietnia, czytane po kolei sprawiają, że czytelnik zaczyna czuć się przyjacielem tej wielkiej rodziny bohaterów powieści, żywo zaczynają interesować go jej losy i czeka z niecierpliwością, jak potoczy się dalej życie jej członków. Bohaterowie pierwszych powieści, sprzed dwudziestu lat, są dziś rodzicami prawie dorosłych dzieci.

Małgorzata Musierowicz pisze również książki dla najmłodszych, w formie publikacji książkowych ukazały się przepisy kulinarne gospodyń z Jeżyc, zdążyła już też wydać swoją autobiografię „Tym razem serio". „Frywolitki" to felietony o książkach, drukowane na łamach Tygodnika Powszechnego, w których Małgorzata Musierowicz zachęca młodych czytelników do lektury.

Co sprawia, że powieści młodzieżowe pisarki mogą być z powodzeniem balsamem na nerwy, lekarstwem na stres? Powieści dzieją się w rodzinie, rodzinie wielopokoleniowej, z większą nieraz ilością dzieci, w której wszyscy spotykają się przy wspólnym stole i tam rozwiązują swoje problemy. Wyeksponowana jest rola kobiety, matki, która świetnie gotuje, potrafi nie zaniedbywać obowiązków, a przy tym realizować swoje ambicje. Mężczyźni są czuli i wierni, choć niekoniecznie najprzystojniejsi. Prawie wszyscy są gościnni, uczynni, wrażliwi na potrzeby bliźnich, inteligentni, wykształceni, często uzdolnieni artystycznie, do tego sympatyczni, mają półki pełne książek, które w dodatku czytają.

Książki Musierowicz przywracają radość życia. Pęka się przy nich ze śmiechu. Są genialnym lakarstwem na stres. Dlatego wszystkim pa-

nom, którzy mają taką możliwość, radzę po kryjomu poszperać w biblioteczkach swych córek, a tym panom, którzy takiej możliwości nie mają, proponuję, aby poszli do księgarni i udając, że to na prezent, kupili wszystkie książki Musierowicz, jakie tam znajdą. Warto! – pisze recenzent.

Zaproszeniem do lektury pogodnej niech będą fragmenty „Córki Robrojka", będące monologami młodej mamy, spacerującej ze swym półtorarocznym synem. Może staną się inspiracją do rozmów z naszymi dziećmi i wnukami.

– Przez calutką drogę nic tylko byś chybotał i chybotał. A wózek nasz służył jeszcze ciotce Patrycji, jak była w twoim wieku, że już nie wspomnę o kolejnym użytkowniku, Ignacym Grzegorzu. Oj, stracisz ty kiedyś równowagę i rymniesz na dziób! O, popatrz, jak zabrudziłeś rączkę. Wybaczam ci tylko dlatego, że każdy może zgłupieć od tego nagłego wybuchu lata. A już myślałam, że zima stulecia przeciągnie się z czerwca na lipiec. Ciekawe, czemu tak się nagle odmieniło. To jest niepokojące. Ciesz się latem, Józinku, ciesz, gdyż bynajmniej nie wiadomo, jak długo jeszcze przyroda będzie funkcjonować normalnie. Nie chcę roztaczać przed twymi młodymi oczami katastroficznych wizji, lecz powinieneś może wiedzieć przynajmniej tyle, że istnieje teoria, w myśl której pokolenie twych wnuków znać będzie drzewa jedynie z obrazków. Nazwiesz mnie pesymistką? – lecz zważ, że żyjemy w świecie dość znacznie zapaskudzonym, a atmosfera wciąż się pogarsza, co – nie uwierzysz – ma wiele wspólnego z lodówkami oraz banalnym dezodorantem.

Ha! Nie wiem, dlaczego ja do ciebie tyle mówię, skoro ty i tak nic nie rozumiesz. Ale z drugiej strony – kto cię tam wie. Gabriela bez przerwy gadała z Ignacym Grzegorzem, dosłownie od chwili jego narodzin, i zawsze twierdziła, że on rozumie każde słowo. Trzeba przyznać, że jej metoda przyniosła efekty, i to spektakularne. A my nie pozwolimy kuzynowi się prześcignąć, prawda, dziecino? – ejże, dlaczego się uśmiechasz z bolesnym powątpiewaniem? W tej chwili dzieląca was różnica jedenastu miesięcy gra bez wątpienia na twoją niekorzyść i może ci się nawet wydawać przepaścią nie do przeskoczenia. Jednakże – uwierz mi – za kilkanaście lat to będzie fraszka. A! – widzę ostry błysk w twym oku. To głód wiedzy. Interesuje cię zapewne, co to jest fraszka? Już mówię. Jest to krótki, Józinku, wierszyk, najczęściej żartobliwy, oparty na anegdocie lub dowcipnym koncepcie. Kiedy dorośniesz, mój synu, dowiesz się zapewne w szkole (o ile szkoła, ja-

ko instytucja, oprze się powszechnej entropii), że termin „fraszka" wprowadził do polszczyzny Jan Kochanowski, zaczerpnąwszy go z języka włoskiego. Z pewnością pokochasz Jana Kochanowskiego, gdyż jest on ulubionym poetą twego dziadka Ignacego, ten zaś ma niebywałą moc perswazji, jeśli idzie o ulubionych poetów, tudzież myślicieli. To samo zresztą dotyczy wielkich postaci historycznych, zwłaszcza ze świata antyku. No, ale cóż ja tak gadam i gadam i nie daję ci dojść do słowa. To chyba dlatego, że przeraża mnie ogrom wiedzy, którą będę musiała wtłoczyć do twej niewinnej głowiny. Nie mam pojęcia, jak ja to zrobię. A jak to zrobiła moja matka? Muszę się nad tym zastanowić.

– Czy zauważyłeś, że Ignacy Grzegorz bardzo ładnie śpiewa? Powiesz mi, że to nic dziwnego, bo on jest starszy od ciebie i potrafi już panować nad głosem. Zgoda, odpowiem, lecz nigdy nie jest za wcześnie na próby. Pomyśl, jak to by było pięknie, gdybyście któregoś poranka odśpiewali zgodnym duetem pieśń propagandową naszej z Gabrysią PRL–owskiej młodości, czyli „Już w przedszkolu dzieci wiedzą, co to Wisła, co to Bałtyk". No, ale porzućmy nierealne projekty. Co jak co, ale zgodny duet na pewno się wam nie uda. Natomiast, Józinku, co byś powiedział na śpiew solowy? Widzę cię, jak w smudze słonecznego blasku stajesz wczesnym rankiem u wezgłowia swojego taty i wyrywasz go ze snu perlistym wykonaniem piosenki o krasnoludkach, którą on sam nucił jeszcze w kołysce. Posłuchaj, teraz ci ją odśpiewam i zademonstruję, oto dlaczego zatrzymujemy się pod tym oto kasztanem. Do odśpiewania tej piosneczki potrzebne są obie ręce, Józinku. Uważasz – ruchy rąk muszą być adekwatne do tekstu. A więc: to pokazujesz – w ten sposób – jak wysokie mniej więcej są czapeczki krasnoludków, to znów formujesz z rączek kształt, proszę ja ciebie, grzybka, względnie rysujesz dłońmi, jeśli się nie mylę, niezabudkę. Ale – chwileczkę, niech się zastanowię. Józinku! – czy ty aby wiesz, co to jest krasnoludek? Czy ja ci kiedykolwiek wspominałam o krasnoludkach? Boże. Nie wspominałam. Oto moment bolesnej autorefleksji. Biedny synu. Mówiono ci już o kodzie genetycznym, poinformowano cię także o dziurze ozonowej. A nikt ci nie powiedział prawdy o krasnoludkach, nawet twoja rodzona matka. Otóż, Józinku, prawda o krasnoludkach jest taka, że krasnoludków nie ma. I tu wchodzimy prościutko w interesujący problem: skoro ich nie ma, to dlaczego wszyscy o nich tyle gadają, zupełnie jakby je kiedyś widzieli? Dlaczego życie krasnoludka jest tematem baśni, filmów,

oper i nawet powieści? Nawiasem mówiąc, rzuciło mi się w oczy arcyciekawe zjawisko: odkąd ojczyzna nasza odzyskała wolność, co objawiło się odejściem wojsk radzieckich z naszego terytorium, zaczęło się ono w zastraszającym tempie pokrywać gipsowymi pomniczkami krasnoludków! Szalenie to interesująca i oryginalna reakcja społeczna, nie uważasz? To chyba niezły temat na pracę magisterską jakiegoś młodego socjologa. Spójrz, nawet tu, w tym nieciekawym skadinąd ogródku, jak na urągowisko stoi gipsowy pomniczek istoty, której nikt nigdy nie widział. A wygląda jak żywy! Tak, tak jest, to jest to, pośród tych czerwonych kwiatków, widzisz? To jest krasnoludek, Józinku. Tylko pamiętaj, co ci mówiłam: krasnoludków nie ma. Jak ci kiedyś pani w przedszkolu będzie czytać o nich ckliwe opowiastki, to jej powiedz, że równie dobrze może ci mówić o UFO.

– No, wracamy. Zanosi się na upał, mój słodki okruszku, nie do wiary. Prognozy, co? Istna farsa. Zaraz będzie tropikalny skwar. Ale nie przejmuj się niczym – twoja wierna matka czuwa. Tylko nie zdzieraj tak wciąż tego kapelusika, dobrze? I nie pakuj go do buzi. Nie chciałbyś chyba dostać udaru słonecznego i leżeć potem w malignie, dręczony przez majaki? No. Widzisz. Jakbyś nie chciał, to wkładaj kapelusik, ale już! – do buzi zaś wetknij sobie ten oto biszkopcik. Aha. Nie chcesz biszkopcika. Prawdę mówiąc, ja też bym nie chciała czegoś takiego, miałabym raczej chętkę na lody. Lecz zapewniam cię z całą powagą, Józinku (oddaj no ciasteczko, a pobaw się moją torebką, tylko nie zgub kluczy), że nikt, ale to nikt, nie namówiłby mnie do ssania płóciennego kapelusza. Nikt. Za żadne pieniądze. Ale, jak już zapewne zauważyłeś, nasze gusta często się różnią. Hm? Czy to spojrzenie spode łba ma oznaczać, że prosisz o parę przykładów? Ależ służę uprzejmie, oto przykład pierwszy z brzegu, najprostszy, prawie prymitywny: dziś w nocy około trzeciej piętnaście wyrosła między nami prawdziwa różnica poglądów, i to w kwestii zasadniczej – ja wolałam spać, ty zaś opuściłeś swe łóżeczko, wydostając się z niego po oczkach siatki (nawiasem mówiąc, niezły wyczyn, gratulacje, mój drogi, w tym samym łóżeczku potrafiła to zrobić jeszcze tylko Nutria). Zachciało ci się spaceru! – i nawet kiedy cię wzięłam pod kołdrę, żebyś, przytulony, usnął słodko jak dziecko w ciepłym gnieździe mych macierzyńskich ramion, ty nadal przebierałeś niestrudzenie nogami i wydawałeś dziarskie okrzyki marszowe. Rodzice twoi wskutek tego nie mogli zasnąć i w efekcie doszło między nimi do przykrej wymiany zdań na te-

maty wychowawcze. Twój ojciec twierdził, jak słyszałeś, że Ignacy Grzegorz przenigdy nie bywał brany do łóżka przez rodziców i dlatego wyrósł na prawdziwego mężczyznę. Ja zaś obstawałam przy prawdziwej wersji, a mianowicie: że Gaba nieustannie brała i bierze swego syna do łóżka, dzięki czemu nie tylko ona się wysypia, ale i on wyrasta na – jak wiemy – geniusza. Dziecko bowiem do pełnego rozwoju potrzebuje ciepła macierzyńskich ramion. Twój tato zasugerował wtedy, że mam potężny kompleks na tle Ignacego Grzegorza (ciekawe; a kto zaczął o nim mówić? Ja?) – i że zadręczam nas wszystkich nieustannym porównywaniem was obu. Nie znasz dalszego ciągu dyskusji, bo gdy myśmy osiągnęli apogeum sporu – ty byłeś uprzejmy zasnąć słodko w centrum mojej poduszki, a ja potem bałam się ciebie ruszyć, więc poszłam spać do twojego łóżeczka, skąd musiałam wystawiać nogi przez pręty.

oprac. C.R.

Ilustracja MAŁGORZATY MUSIEROWICZ z książki „Córka Robrojka"

TEATR MÓJ WIDZĘ OGROMNY?

Aleksander Nikołajewicz Ostrowski był prekursorem realizmu w dramaturgii rosyjskiej. Pisał sztuki obyczajowe, w których odzwierciedlał życie współczesnego sobie społeczeństwa w różnych jego aspektach, kreślił portrety psychologiczne poszczególnych członków tego społeczeństwa, nie zapominając o ukazaniu ich na szerszym tle społecznym. Był człowiekiem teatru w pełnym tego słowa znaczeniu, bo nie tylko pisał sztuki, ale sam pracował w teatrze, był nawet dyrektorem moskiewskiego teatru cesarskiego, uważany jest za twórcę rosyjskiego teatru narodowego. Przyćmiony został później nieco przez geniusz Czechowa, jego zasługi na polu rozwoju dramaturgii rosyjskiej są jednak niewątpliwe, niezaprzeczalne i zapisane w historii dramatu na wieki.

Ale wielkość twórcy mierzy się jeszcze innym sposobem. Ostrowski żył i tworzył przed 150 laty. Inne było wtedy życie, inni, wydawałoby się, ludzie. Czy więc zostało w jego sztukach coś, co przemawiałoby do dzisiejszego widza, co zainteresowałoby obywatela świata końca XX wieku i przykuło do fotela na widowni teatru? Odpowiedzią jest repertuar współczesnego teatru, w którym sztuki Ostrowskiego wciąż znajdują swoje miejsce. Tym, co poraża dziś z jednakową siłą jak przed wiekami, są dramaty ludzkich namiętności.

Najwybitniejszą sztuką Aleksandra Ostrowskiego jest „Burza". I po nią właśnie, w przekładzie Jerzego Jędrzejewicza, sięgnął reżyser Rudolf Moliński, by wystawić ją w Scenie Polskiej jako dramat w dwóch aktach. W programie do przedstawienia zapowiedział siebie jako autora opracowania tekstu, inscenizatora i reżysera.

Inscenizator – ten główny bohater odwiecznego dylematu: twórca czy odtwórca – to ktoś, kto „odczytuje dramat na nowo" i pokazuje na scenie własną koncepcję, niekoniecznie zgodną z pierwotnymi intencjami autora sztuki. Nie znaczy to jednak, że autor od razu musi obracać się w grobie.

Dramat realistyczny, obyczajowy, z dokładnym rysunkiem psychologicznym postaci, kojarzy się przede wszystkim ze sceną kameralną, spokojną dekoracją, dialogami z życia wziętymi, gdzie nawet owe wielkie namiętności są stonowane, ujęte w ryzy.

Rudolf Moliński postanowił inaczej. Ciągoty ku teatrowi „ogromnemu" uwidoczniły się w widowisku, które starało się nawiązać do tradycji wielkich wystawień repertuaru romantycznego czy neoromantycznego – żeby nie być gołosłowną, podaję przykładowo nazwiska:

Wyspiański, Schiller, Swinarski. Zresztą Ostrowski żył w epoce romantyzmu, a powstanie „Burzy" to okres schyłku romantyzmu, a początek realizmu, toteż cechy obydwu tych kierunków w niej mają swoje uzasadnienie.

Autorem scenografii jest Tadeusz Smolicki, kostiumy zaprojektowała Anna Smolicka. Znany już ze Sceny Polskiej scenograf i tym razem zbudował dekorację z wielkim rozmachem. Główne miejsce gry mieści się znowu w prostokącie na podeście opadającym w stronę widowni, za nim rzeka, nad nią trzciny i wierzba płacząca, z boku furtka, a w tle niebo zachmurzone, po którym w kulminacyjnym punkcie akcji przetaczają się liczne błyskawice.

Muzykę do spektaklu przygotował Zbigniew Siwek. Ważną rolę odgrywają również efekty dźwiękowe, np. potęgujące nastrój powagi i grozy odgłosy burzy.

Ostrowski poruszył w swym dramacie wiele problemów, które nurtują osoby dramatu. Problemy te znajdują swe odbicie w dialogach postaci drugoplanowych. Ale w spektaklu Molińskiego wydają się być tylko dopełnieniem głównej osi dramatycznej i na dobrą sprawę można by z nich prawie całkowicie zrezygnować. Najważniejsza jest miłość: matki do syna – zaborcza i wszechwładna, syna do matki – uległa i posłuszna, męża do żony – narzucona i przypadkowa, żony do męża – wynikająca z poczucia obowiązku, żony do kochanka – wymarzona, ale zabroniona, kochanka do żony – nieśmiała i tchórzliwa.

Zapowiadana burza namiętności z ogromnym hukiem przetoczyła się przez scenę. Rozegrał się dramat z wielkimi monologami, uzewnętrzniającymi rozterki duchowe bohaterów. Nieszczęśliwa miłość dojrzała do tragicznego finału. Widowisko sceniczne, w którym teatr nie udawał życia, ale był prawdziwym teatrem z jednakowo ważnym słowem, kostiumem, gestem, muzyką, ruchem czy dekoracją, spowodowało dreszczyk emocji u widza spragnionego mocnych teatralnych wrażeń. Dodatkowym elementem potęgującym były postacie Pani (Anna Paprzyca) i jej Lokaja (Ryszard Pochroń), wprowadzone na zasadzie głosu sumienia.

Reżyser zaryzykował i postawił na młodość. Do ról najważniejszych – postaci trójkąta małżeńskiego – zaangażował świeży, najmłodszy narybek teatru. Tragiczną rolę Katieriny zagrała Beata Swat. Katierina nie ma sławy Julii ani Ofelii, oferuje jednak ciekawy materiał aktorski. Dla aktorki młodej, która chce pokazać, co potrafi, jest „szansą na sukces". Beata Swat przekonująco oddała zmienne nastroje swej bohaterki, jej wahania, zróżnicowanie swego stosunku do różnych osób. W dłuższych monologach umiała skupić na sobie uwagę widza. Jej męża Tichona zagrał Michał Siegoczyński. Całkowicie poddany matce Tichon i z jej powodu szukający zapomnienia w kieliszku potrafił w krótkich chwilach sam na sam z żoną okazać garstkę uczuć ludzkich. Aktor odsłaniał wtedy wnętrze swego bohatera, jego rozterki i to, że nie był on tak do końca złym, ale raczej bardzo słabym człowiekiem. Borys Sebastiana Pawlaka to sub-

telny i układny młodzian, który zapatrzył się w młodą mężatkę, ale nie na tyle, by chcieć się dla niej poświęcić. Aktor, mający z racji swego wyglądu i brzmienia głosu predyspozycje do ról nieśmiałych młodzieńców, tu oszczędnymi środkami aktorskimi, bo właściwie tylko głosem - słowami, bez zbędnych ruchów i gestów, wyraził swoje zdecydowanie, najpierw na romans, a potem na ucieczkę. Despotyczną matką była Janina Buława, pełną zrozumienia szwagierką Katieriny Warwarą Małgorzata Pikus, jej chłopakiem Wanią, zdradzającym również cechy przyszłego męża-despoty, Janusz Laskowski. Świetną w swej niewielkiej roli pątniczki-globtroterki Fiekłuszy okazała się Halina Pasekowa, dzielnie sekundowała jej Gabriela Fabian jako służąca Głasza, zainteresowanie wzbudzał też swoimi teoriami Ryszard Malinowski jako Kuligin. W dobrej formie powrócił na scenę Kazimierz Siedlaczek w roli kupca Sawioła.

Jeśli cisza na widowni, bez skrzypienia krzeseł i szelestu papierków, ma być miarą zainteresowania przedstawieniem, to w czasie „Burzy" nie było tak źle. Najwidoczniej lubimy przeżywać cudze dramaty, niezależnie kiedy i gdzie się dzieją, zwłaszcza jeżeli dotyczą spraw sercowych.

CZESŁAWA RUDNIK

1 sierpnia 1998, godz. 15.00, Park PZKO w Bystrzycy nad Olzą

ZLOT POWRACA DO BYSTRZYCY

Kto choć raz nie słyszał o bystrzyckim ZLOCIE. Ta impreza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych organizowana przez bystrzycki Klub Młodych GROŃ zdobyła serca młodzieży nie tylko zaolziańskiej, ale także serca młodych ludzi z terenów całej ówczesnej Czechosłowacji. Wszak w owych czasach były to jedyne w bardzo szerokiej okolicy spotkania, w których skład wchodziły koncerty rockowe wysokiej klasy polskich zespołów rockowych. Budka Suflera, Perfect, Lombard, Mech, Tadeusz Nalepa, Martyna Jakubowicz i wiele, wiele innych - legendy o tych koncertach kołują do dnia dzisiejszego.

Na początku lat dziewięćdziesiątych organizacji ZLOTÓW podjęli się ludzie zgrupowani wokół ówczesnego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Popisowym Zlotem była wtedy impreza, do wzięcia udziału w której została zaproszona katowicka formacja rockowa DŻEM.

To wszystko historia. Ale przecież ZLOTY nie były tylko koncertami rockowymi. Były to przede wszystkim spotkania przyjaciół i dobra zabawa. O tym, że na pewno spotkamy się na następnym Zlocie, zapewniali się zapewne wszyscy opuszczający w nocy park nad Głuchówką. Bystrzyca była też miejscem nawiązywania nowych

przyjaźni i, jak to bywa, nowych miłości, które niejednokrotnie stawały się romantycznym związkiem na całe życie.

No dobra, znowu wspomnienia, powiecie. Tak, ale są to wspomnienia uzasadnione. Otóż.

W sobotę 1 sierpnia br. o godzinie 15.00 w Parku PZKO w Bystrzycy nad Olzą rozpocznie się Z L O T '98. ZLOT, który ma zamiar nawiązać do najlepszych tradycji tej imprezy.

Organizatorzy postanowili stworzyć niepowtarzalny klimat i zadowolić maksymalną większość osób, które pojawią się w Bystrzycy. Będzie więc rock – plejada naszych rodzimych zespołów rockowych a wieczorem koncert wschodzącej gwiazdy polskiego bluesa zespołu HARLEM. Będzie teatr – a raczej produkcje parateatralne – happening, cuda, wianki i plon zżęty na Kursie Teatralnym Szmauza. Będzie plastyka – wystawy, trójrozmiarowe konstrukcje i inne działania plastyczne. Do tego – nocna rockoteka made in AV Studio. Do tego – kuchnia domowa i wszelkie napoje prócz trunków „twardych". A na dodatek wszystkie pomysły, które zostaną zrealizowane po drodze.

Taki oto „koktajl" zaserwuje w pierwszą sierpniową sobotę Kongres Polaków w RC i MK PZKO Bystrzyca nad Olzą. A w założeniu jest to koktajl wielogeneracyjny. ZLOT bowiem chce być „zlotem" młodych nastolatków, dwudziesto–, trzydziesto–, czterdziesto– i... to nieprawdopodobne, ale niektórym uczestnikom pierwszych ZLOTÓW puka do drzwi pięćdziesiątka.

Do zobaczenia w Bystrzycy na ZLOCIE '98.

MAREK MICHAŁEK

fot. FRANCISZEK BAŁON

80-LECIE SPOŁECZNIKA GUSTAWA SŁOWIKA

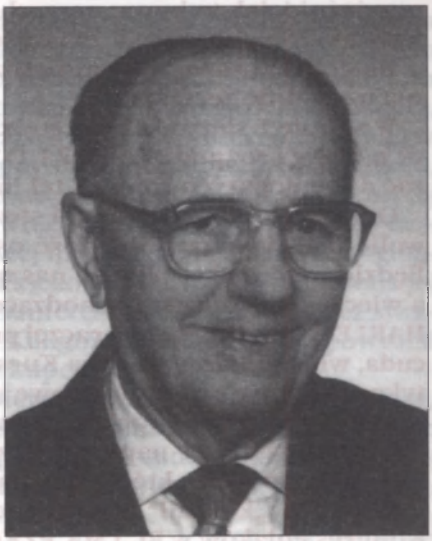

Urodził się 11. 7. 1918 roku w Błędowicach Dolnych – na Podlesiu. Tam rozpoczął edukację szkolną w Polskiej Szkole Ludowej, a świadectwo dojrzałości otrzymał w gimnazjum orłowskim w roku 1938. Dopiero po zakończeniu działań wojennych mógł urzeczywistnić swoje młodzieńcze marzenia, uzupełniając nauczycielskie studia. Rozpoczął pracę w „swoich" Błędowicach. Był nauczycielem, zastępcą dyrektora a w końcu i dyrektorem szkoły do końca roku szkolnego 1963/64.

Od początku był aktywnym społecznikiem, sportowcem, szczególnie zaś pedagogiem rozkochanym w muzyce. Założył chór szkolny z własną orkiestrą. Wiele czasu poświęcał dzieciom, ćwicząc przedstawienia szkolne. Wyreżyserował kilka sztuk scenicznych z dorosłymi.

Tam, w rodzinnej wsi, był u kołyski narodzin SMP. Pracował w zarządzie MK PZKO, piastując nawet przez 4 lata funkcję prezesa.

Na początku roku szkolnego 1964/65 skierowany został do Stanisławic, gdzie objął kierownictwo w polskiej szkole ludowej. Prowadził chór szkolny, reżyserował przedstawienia szkolne, na krótko nawet z dorosłymi w PZKO. Był członkiem zarządu MK PZKO, piastował funkcję prezesa. Był ofiarnym organizatorem. Przez całe lata stał na czele Rady Nadzorczej w Jedności.

Aktywnie udzielał się w ChNP, gdzie nie tylko śpiewał. Przez długie lata był kierownikiem organizacyjnym czy prezesem. Do dziś, o ile mu zdrowie pozwala, uczęszcza na próby i występy. Nadal, okazyjnie, bierze udział w ważniejszych imprezach PZKO, jak walne zebrania, akademie czy świetlice.

Posiada wszystkie honorowe odznaki PZKO, nawet wpis do Złotej Księgi, odznaczenia Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie, medal pamiątkowy PZChiO w Katowicach oraz medal pamiątkowy MK PZKO Błędowice.

Dziękując mu publicznie za ogrom wykonanej pracy społecznej, życzymy 100 lat!

JÓZEF KULA

NA ZIELONYCH STOŁACH

W ramach współpracy między dolnolutyńską szkołą i Miejscowym Kołem PZKO odbyły się w piątek 29 kwietnia br. w sali gimnastycznej w Lutyni Dolnej mistrzostwa szkoły w tenisie stołowym.

Rozgrywki przebiegały w trzech kategoriach na dwa zwycięskie sety. A oto wyniki: drużyna młodszoharcerska (dziewczęta) - 1. Barbara Mulka, 2. Renata Guziur, 3. Joanna Bartulec; drużyna młodszoharcerska (chłopcy) - 1. Michał Kozieł, 2. Adam Borowski, 3. Lech Radim; drużyna starszoharcerska - 1. Adrian Berki, 2. Barbara Guziur, 3. Maja Toboła.

Nad sprawnym przebiegiem rozgrywek czuwała szczepowa hm. Alicja Berki oraz MK PZKO Skrzeczoń. Dla najlepszych HPC ufundowało skromne nagrody. D.G.

WYSTAWA PIERWSZOMAJOWA W CZESKIM CIESZYNIE

Zgodnie z wieloletnią tradycją cieszyniacy 1 maja odwiedzają Klub PZKO przy ulicy Bożka, choć kiedyś odwiedziny te związane były ściśle z pochodem. W ostatnich latach, w ramach wiosennej przechadzki, oglądają wystawę, spotykają się z przyjaciółmi i w miłej atmosferze jedzą smaczne posiłki przygotowane przez panie z miejscowego Klubu Kobiet.

W tym roku swoje prace zaprezentowali plastycy reprezentujący obie części Śląska Cieszyńskiego. Malarka Stefania Bojda z Cieszyna przedstawiła swoje akwarele i pastele z metaforycznego cyklu „Człowiek i przyroda", który realizuje od dwudziestu lat. Od lat cieszyńska plastyczka uczy także dzieci sztuki rysowania i malowania, a jej podopieczni zdobywają nagrody na ogólnoświatowych konkursach. Efekty pracy młodych talentów mogliśmy podziwiać na Bożka.

Stronę zaolziańską reprezentował Paweł Martynek z Milikowa - znany twórca ludowy. Jego rzeźby i płaskorzeźby z drewna cieszą się olbrzymim powodzeniem. Zorganizowania pierwszomajowej wystawy podjął się w tym roku Klub Propozycji, któremu przewodzi Władysław Kristen. E.S.

ROCZNICA KONSTYTUCJI 3 MAJA

W 207. rocznicę Konstytucji 3 Maja na zaproszenie Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie do Domu Polskiego przybyło ponad 200 osób, reprezentujących różnorodne środowiska społeczne polskie i czeskie. Gospodarzem uroczystości był pełniący obowiązki konsula generalnego konsul Piotr Szwarc z małżonką Barbarą. Konsul w krótkich słowach przypomniał ważkość pierwszej w Europie Konstytucji, która włączyła Polskę w nurt demokracji europejskiej. W części oficjalnej spotkania wystąpił Robert Šariski, student Konserwatorium Muzycznego w Brnie, prezentując etiudy fortepianowe Fryderyka Chopina i Karola Szymanowskiego. E.S.

40-LECIE ZESPOŁU ŚPIEWACZO-MUZYCZNEGO PRZYJAŹŃ

Koncert z podwójnej okazji, jubileuszu chóru i 45-lecia działalności dyrygenckiej jego obecnego dyrygenta dr. Józefa Wierzgonia, odbył się 16 maja w auli Uniwersytetu Śląskiego w Karwinie-Frysztacie. Olbrzymia aula wypełniona była po brzegi dostojnymi gośćmi i sympatykami zespołu. W koncercie wystąpili chór, orkiestra i soliści - Olga Suchanek (skrzypce), Adelajda Szymik (alt) i Władysław Czepiec (tenor), a program koncertu z wdziękiem zapowiadała Mariam Bangoura, uczennica karwińskiego gimnazjum.

W programie pierwszej części jubileuszowego koncertu znalazły się utwory Hadyny, Smetany, Gounoda, Bacha, Beethovena. Drugą część koncertu rozpoczęły swoim występem uczennice karwińskiego gimnazjum Alicja Herman i Helena Lugsch oraz Sylwia Herman. Ich lekki repertuar stanowił doskonałe wprowadzenie w krainę operetki, której najsłynniejsze przeboje zaprezentowała Przyjaźń, czym zachwyciła publiczność.

Oczywiście, jak przystało na jubileusz, życzeniom nie było końca.

E.S.

WŁASNY DOM MK PZKO W ORŁOWEJ-PORĘBIE

Po wielu latach starań pezetkaowcy z Orłowej-Poręby, dzięki przychylności Urzędu Miejskiego, zyskali na własność budynek, z którego lokali od dawna korzystali. Budynek w całości poddany został renowacji, głównie dzięki sponsorom, którzy partycypowali w jej kosztach, bądź to poprzez dary pieniężne, bądź własne usługi czy materiały. Koło liczy 125 członków, a jego pre-

zesem jest Józef Lugsch. W uroczystości otwarcia Domu udział wzięli: konsul Piotr Szwarc z Ostrawy, burmistrz Orłowej Bohumír Bobák, przedstawiciel Rady Polaków Marian Jędrzejczyk i prezes ZG PZKO Jerzy Czap.

E.S.

150 LAT PRASY POLSKIEJ NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

W Klubie PZKO przy ulicy Bożka w Czeskim Cieszynie odbyło się 16 maja seminarium poświęcone 150-leciu polskiego czasopiśmiennictwa na Zaolziu. Referat poświęcony tej tematyce wygłosił dr Stanisław Zahradnik, a dopełnił Piotr Koenig z Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej, komisarz wystawy i autor broszury „150 lat prasy polskiej na Śląsku Cieszyńskim", aktualnie prezentowanej do końca sierpnia br. w Bielsku-Białej. Seminarium towarzyszyła również mała wystawa prasy polskiej, wychodzącej dawniej i dziś na Zaolziu. Redaktorzy zaolziańskich czasopism opowiedzieli o bieżących problemach, sprowadzających się głównie do spadku nakładów pism, spowodowanego malejącą liczbą czytelników. Niestety w seminarium, poza skromnymi wyjątkami, nie wzięli udziału nauczyciele i uczniowie szkół średnich, do których m.in. było adresowane.

E.S.

OSZELDÓWKA PO RAZ 45.

23 maja już po raz 45. spotkali się w sobotnie popołudnie sympatycy popularnej Oszeldówki, czyli Dnia Oszeldy, organizowanego na cześć patrona Domu PZKO w Nieborach Pawła Oszeldy. I choć dziś, szczególnie

młodszemu pokoleniu, postać nieborowskiego rodaka niewiele mówi, to jednak pod jego portretem w dużej sali wybudowanego w 1985 roku Domu PZKO spotykają się wielokrotnie zaolziacy przy różnych okazjach. Paweł Oszelda, lekarz po studiach medycznych w Wiedniu, po powrocie w rodzinne strony w 1848 roku stał się obrońcą ludu Śląska Cieszyńskiego. Jako pierwszy walczył o zniesienie pańszczyzny. Po rewolucji trafił do więzienia na Spielbergu w Brnie. Później w wojnie austriacko-włoskiej niósł pomoc rannym i konającym, stając się pionierem idei Czerwonego Krzyża.

Jak co roku w Dzień Oszeldy niebo nie poskąpiło deszczu, lecz przywykli już do tego goście podziwiali przybyłe do Nieborów zespoły - z Polski Zespół Taneczny Krapkowice i nasze chóry Zgoda-Zgodzik, Ropica-Godulan i Zespół Pieśni i Tańca Górole z Mostów koło Jabłonkowa.

E.S.

RADA REPUBLIKOWA WSPÓLNOTY OBRADOWAŁA W WĘDRYNI

29 maja odbyło się w Wędryni zebranie Rady Republikowej Ruchu Politycznego Coexistentia - Wspólnota. Informację o przygotowaniach Wspólnoty do listopadowych wyborów komunalnych w powiecie Frydek-Mistek przedstawił Władysław Drong. Powołano sztab wyborczy, którego przewodniczącym został Tadeusz Toman. Działalność władz gminnych w Wędryni przedstawił członek miejscowej Rady, wybrany z listy Wspólnoty, Stanisław Samek.

Dyskutowano też o wyborach parlamentarnych. Bogusław Kaleta zaprezentował tekst petycji „O ochronie mniejszości narodowych w RC", w której Wspólnota domaga się przygotowania ustawy dotyczącej prawnej ochrony mniejszości narodowych w RC i obcokrajowców zamieszkałych na stałe w RC. Przewodniczący Wspólnoty Stanisław Gawlik poinformował o spotkaniu przedstawicieli polskich organizacji w RC z ministrem spraw zagranicznych RP Bronisławem Geremkiem podczas jego oficjalnej wizyty w Pradze.

T.T.

fot. w kronice FRANCISZEK BAŁON

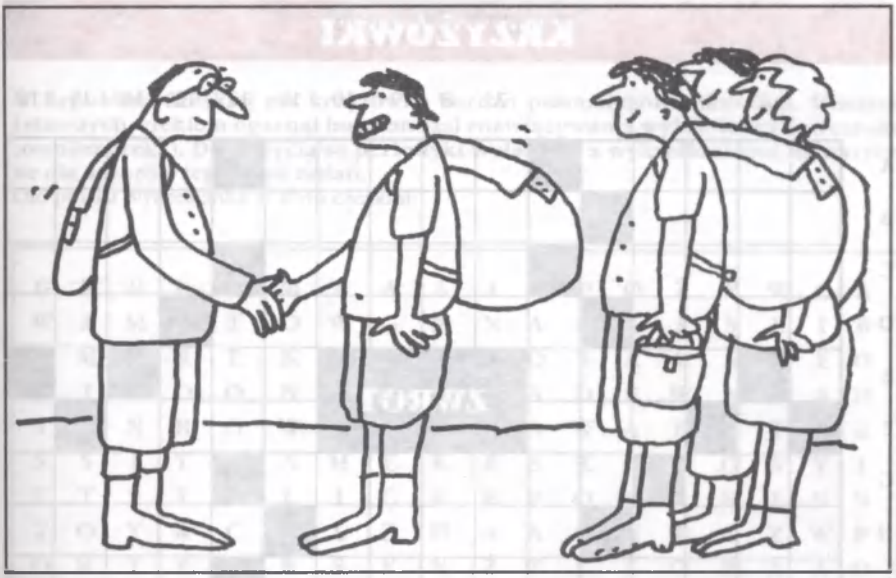

WITAM PIERWSZEGO EMERYTA W NASZEJ GRUPIE

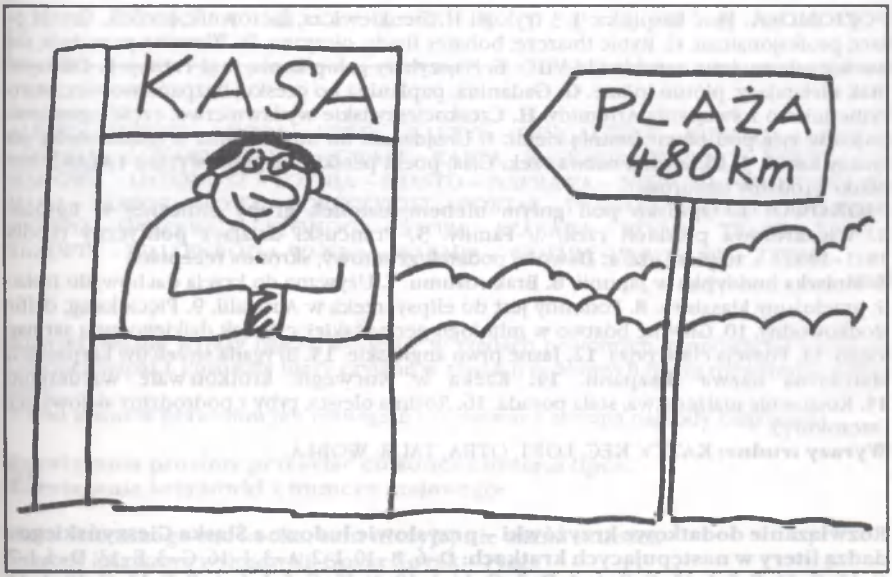

rys. Bronisław Liberda

KRZYŻÓWKI

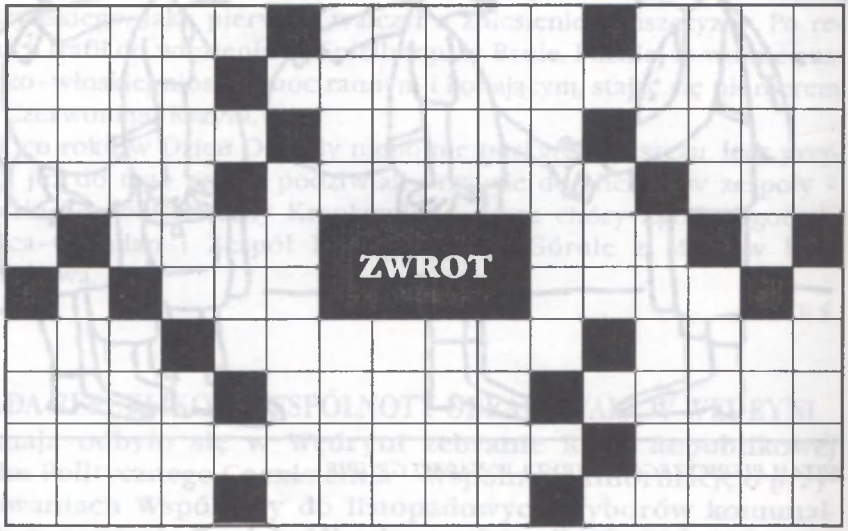

POZIOMO: A. Płoć kaspijska; 1/3 trylogii H. Sienkiewicza; kierownik, szef. **B.** Czeski pisarz; profesjonalizm. **C.** Rybie tłuszcze; bohater Iliady; ojczyzna. **D.** Wczesna pora dnia; słowackie miasto; imię żeńskie (14 VIII). **E.** Najszybszy galop konia; mąż Fatimy. **F.** Olbrzymi ptak nielatający; płótno lniane. **G.** Gadanina, paplanina po czesku; bezpaństwowiec; starożytne miasto z świątynią Artemidy. **H.** Czeskocieszyńskie wydawnictwo; część ogumienia pojazdu; żyją pod powierzchnią ziemi. **I.** Urządzenie do odtwarzania wyglądu nieba; mityczny lotnik. **J.** Ukraińska nazwa rzeki Cisa; poeta perski (anagram wyrazu TATAR); małpiatki z rodziny lemurów.

PIONOWO: 1. Ognisko pod gołym niebem; członek grupy etnicznej w Egipcie. **2.** Wicekrólowa polskich rzek; ... Familу. **3.** Francuski działacz polityczny (Louis, 1811–1882); ... to pieniądz. **4.** Dawniej podatek gruntowy; skrót na receptach. **5.** Mniszka buddyjska w Japonii. **6.** Brak rozumu. **7.** Używana do krycia dachów, do izolacji; przełożony klasztoru. **8.** Podobny jest do elipsy; rzeka w Australii. **9.** Pięcioksiąg; delfin słodkowodny. **10.** Główne bóstwo w mitologii germańskiej; członek dzikiego ludu sarmackiego. **11.** Pozycja ciała, poza. **12.** Jasne piwo angielskie. **13.** Brygada strzelców karpackich; starożytna nazwa Hiszpanii. **14.** Rzeka w Norwegii; krótkotrwałe wzruszenie. **15.** Kojarzenie małżeństwa; stała posada. **16.** Roślina oleista; ryby z podrodziny siejowatych (szczokury).

Wyrazy trudne: KATTY, KEC, LORT, OTRA, TAUR, WOBŁA.

(taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki – przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego – dadzą litery w następujących kratkach: D–6, B–10, J–2, A–3, J–16, G–3, E–13, D–4, J–7, C–13, G–11, F–5, I–13, C–8, A–4, D–2, G–14, I–10, A–15, C–5, I–6, A–8, F–13, C–10, A–13, H–16, E–6, B–1, F–6, C–16, E–3, E–15, I–11.

WYKREŚLANKA

W Republice Czeskiej ma krzyżówka bardzo poważnego konkurenta. Młodych i starszych wiekiem ogarnął bowiem szał rozwiązywania wykreślanek (po czesku „osmismĕrek"). Do nabycia są periodyki wyłącznie z wykreślankami, są wytyczne dla autorów tego typu zadań.
Oto polska wykreślanka w stylu czeskim:

G	R	E	K	A	M	A	A	A	I	S	P	O	Ż	Y	W	C	A
W	A	M	U	T	O	W	G	N	N	A	D	A	I	S	E	I	B
A	M	O	R	E	K	O	P	Y	N	O	S	A	L	A	T	E	O
Ł	I	I	O	O	N	N	O	Z	C	A	D	S	W	A	N	S	D
T	A	N	R	O	W	A	R	S	Z	A	W	A	P	G	T	Z	E
S	S	I	T	E	A	M	Ę	K	R	S	R	A	A	O	W	Y	I
E	T	S	T	O	L	I	C	A	B	P	O	L	S	K	I	N	N
T	O	Y	R	C	L	L	Z	H	A	A	C	N	T	A	Z	W	P
O	K	T	Z	S	E	S	Y	N	Ż	Z	Ł	A	O	R	A	A	O
R	A	B	E	T	N	Y	C	E	Y	C	A	T	R	T	N	R	R
P	R	A	W	O	R	S	I	K	L	A	W	A	Y	A	S	M	T
T	T	K	I	P	O	Z	E	G	A	R	Ó	Ł	M	K	W	I	A
K	A	S	K	A	D	A	L	E	R	T	P	A	T	E	W	A	L

ALERT – AMOREK – ANODA – AORTA – BAŁTYK – BENGALCZYK – BIESIADA – CIESZYN – DZIEŻA – GOKART – GREKA – GWAŁT – KARTA – KASKADA – KURORT – LAWETA – LIMANOWA – LISTONOSZ – LOTNIA – MIASTO – NAPRAWA – NIEDOBA – PALATYN – PANAMA – PASTOR – PŁYTA – PORĘCZYCIEL – PORTAL – PRAWO – PROTEST – SIKLAWA – SPOIWO – SPOŻYWCA – STONOGA – STOPA – SZARADA – SZYNA – TRACZ – TRIAS – TRZEWIK – WALLENROD – WANNA – WARMIA – WOTUM – WROCŁAW – ZEGAR.

(taj)

Powyżej podane wyrazy należy wykreślić w rzędach poziomych, pionowych i ukośnych (również wspak). Pozostałe litery czytane w rzędach poziomych dadzą rozwiązanie dodatkowe.
Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca miesiąca lipca.
Rozwiązanie krzyżówki z numeru majowego:

Hasło: **Kto nikogo nie kocha, sam niczyjej nie zazna miłości.**
Nagrody książkowe wylosowali: **Gosia Novák** – Praga
Adolf Staszewski – Czeski Cieszyn
Halina Kunčíkowa – Sucha Górna

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,– Kč, z wysyłką pocztową 222,– Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

WSZYSTKIM CZYTELNIKÓM ŻYCZYMY WSPANIAŁYCH WAKACJI I URLOPÓW

redakcja

NASZE ZESPOŁY

SÓMSIEK

Kapela Gorolsko Sómsiek jest jednym z zespołów Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego Collegium Canticorum. Powstała w roku 1995 jako zespół dorywczo towarzyszący Polskiemu Chórowi Mieszanemu Collegium Canticorum na fetiwalu w walijskim Llangollen, zdobywając w swej kategorii drugie miejsce.
W chwili obecnej kapela stanowi zespół alternatywny dla Kapeli Gorolskiej Zorómbek.
Sómsiek uczestniczył również w I Światowym Festiwalu Kapel Polonijnych w Dąbrowie Tarnowskiej (1997). Zdobył też pierwsze miejsce w konkursie folklorystycznym w Zebrzydowicach w roku 1997. Aktualny skład kapeli to: dr Leszek Kalina (kierownik), Joanna Branna, Zbigniew i Bogdan Szmekowie, Ewa i Irena Bársony, Danuta Pawlitek i dorywczo inni członkowie Polskiego Towarzystwa Śpiewaczego Collegium Canticorum.

Okolice Bukowca

Zwrot

8/98

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

Z Milikowa na GOROLSKI ŚWIĘTO

TACY BYLIŚMY

Kocobędzka Szkoła Rolnicza, rocznik 1912/1913.
Fotografia przedstawia jeden z roczników dwuletniej szkoły, do której przyjmowano 16-letnich chłopców po ukończeniu 4 klasy szkoły podstawowej z dobrymi wynikami. Szkoła przygotowywała do samodzielnego gospodarowania synów zamożnych rolników z całego Śląska Cieszyńskiego. Uczono w niej prawie pół wieku aż do roku szkolnego 1920/1921.
Szkoła przejawiała tendencje germanistyczne.
Pierwszy z prawej w środkowym rzędzie to Karol Pawlas, kupiec z Międzydola w Dolnych Błędowicach.
Fotografię nadesłał p. Andrzej Pawlas z Błędowic.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 585 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

8/98

W NUMERZE

[2] Tamten sierpień
[6] Piosenki Karla Kryla
[10] Anna Rucka – czołowa działaczka społeczno-narodowa na Zaolziu — STANISŁAW ZAHRADNIK i JAN RUCKI
[16] Pamięci Pawła Kubisza
[17] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (20) — ALOJZY NOWOK
[25] Moje dorastanie do dojrzałości (8) — BOLESŁAW ORSZULIK
[29] Co nowego w Łomnej Dolnej — TADEUSZ TOMAN
[31] Podwójny jubileusz w Skrzeczoniu — T. G. i E. S.
[35] Rozmowa z Pawłem Niedobą — CZESŁAWA RUDNIK
[40] Poezja Gustawa Sajdoka
[42] Wiesław Adam Berger: Z Barcelony do Mieszkowic
[48] Renata Putzlacher – Moje fascynacje
[53] Na naszej scenie — CZESŁAWA RUDNIK
[55] Na półkach księgarskich
[60] Echo wydarzeń muzycznych
[64] Plener malarski 1998
[66] Trybuna czytelników
[71] Żarty z brodą
[72] Kronika
[76] Krzyżówki

Numer zamknięto 16. 07. 1998

TAMTEN SIERPIEŃ

HENRYK JASICZEK

IM GŁĘBSZA NOC...

Każdy wiek ma swoje średniowiecze
i zawsze znajdą się papieże
wyklinający się wzajemnie,
rozdający jedną ręką odpusty,
a drugą anatemy.

I zawsze znajdzie się armia inkwizytorów,
polujących na czarownice.
I zawsze znajdą się teologowie
udowadniający,
że Adam miał pępek,
że Adam nie miał pępka,
że na koniec szpilki wejdzie
dwa tysiące sto trzydzieści jeden aniołów.

I zawsze znajdą się heretycy,
nie mogący pogodzić się z tym,
że dwa razy dwa jest pięć
albo trzy,
zależnie od tego czego wymaga
dobro Sprawy, Ojczyzny, Idei.

Każde stulecie
ma swoje średniowiecze.
Zmieniają się tylko
kulisy, kostiumy, argumenty.
Pozostaje tylko ten sam strach,
ta sama nienawiść,
te same motywy
i ta sama naiwność
staruszki z Konstancji
rzucającej gałązeczkę chrustu
na stos heretyka
w błogiej wierze,
że za to będzie kiedyś mogła
ogrzać zziębnięte ręce
w raju niebieskim.

Każde stulecie
ma swoje średniowiecze,
swoich dogmatyków,
swoich heretyków.
I zawsze większość przetrwa,
a nieliczni pójdą na stos.

Czesi są małym narodem w Europie Środkowej, zamieszkującym zwartą, niegdyś bardzo trudno dostępną obszar zwany Czechami i przylegającą do niego płaską krainę zwaną Morawami. Bywają czasy, kiedy pozostała Europa nie interesuje się nimi zupełnie lub tylko bardzo powierzchownie, aby ustąpić następnie miejsca okresom, kiedy uwrzesza się na temat jakiegoś tematu dnia, kiedy rodzą się wokół nich najdziwniejsze dramaty – które wszelako znów łagodnieją – i pozostają zwykle z domieszką pewnego zawstydzenia.

(Jan Patočka)

POWTÓRKA Z HISTORII:

Styczeń 1968 – ustąpienie Antonina Novotnego ze stanowiska pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, jego miejsce zajął Alexander Dubček.

Rozpoczęto prace nad nowym programem działania partii, nazwanym później Programem Praskiej Wiosny, programem „socjalizmu z ludzką twarzą". Miał powstać system, który łączyłby idee socjalizmu z demokracją pluralistyczną i socjalną gospodarką rynkową.

Marzec 1968 – ustąpienie Antonina Novotnego ze stanowiska prezydenta, następcą został wybrany generał Ludvík Svoboda. Podczas szczytu państw Układu Warszawskiego sekretarz generalny KC KPZR Leonid Breżniew zwrócił uwagę, że o ile kontrrewolucja w CSRS nie zostanie powstrzymana własnymi siłami, będzie musiał wkroczyć „obóz".

Kwiecień 1968 – na czele nowego rządu stanął Oldřich Černík, przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego wybrano Josefa Smrkowskiego. Komitet Centralny KPCz ogłosił Program Działania (Akční program), który miał stanowić kompromis i godzić zwolenników reform i konserwatystów partyjnych. Nie zadowolił jednak żadnej ze stron. Zwolennicy reform obawiali się jego zahamowania, konserwatyści uznali go za program kontrrewolucji.

Maj 1968 – spotkanie pierwszych sekretarzy partii Bułgarii, NRD, Polski, Węgier i ZSRR w Moskwie, gdzie Breżniew stwierdził m. in.: *Nie można rozpatrywać problemu czechosłowackiego w oderwaniu od walki naszych wrogów, trzeba widzieć skalę tej walki, jej charakter, metody walki ideologicznej Zachodu, metody wrogów, którzy działają w Czechosłowacji, którzy usiłują działać przeciwko naszemu obozowi.*

Lipiec 1968 – delegaci pięciu państw Układu Warszawskiego wystosowali do Komitetu Centralnego KPCz list z ostrzeżeniem. Koncepcję, którą zawierał, nazwano później doktryną Breżniewa.

Noc z 20 na 21 sierpnia 1968 – wojska pięciu państw Układu Warszawskiego, ZSRR, Polski, NRD, Węgier i Bułgarii, przekroczyły granice Czechosłowacji, transportowe samoloty radzieckie wylądowały na lotnisku w Pradze.

22 sierpnia 1968 – obradował XIV Nadzwyczajny Zjazd KPCz, który potępił interwencję, a który później uznano za bezprawny.

Wrzesień 1968 – Zwrot pisał: *W ciężkich dniach, bezpośrednio po wkroczeniu obcych wojsk do naszego kraju, zostało poddane szczególnie trudnej próbie nasze polskie społeczeństwo. Najciężej zaś było nam komunistom – Polakom, bo wojska wysłali między innymi też komunistów – Polacy. Był to dla każdego z nas wstrząs, przenikający do najgłębszych zakamarków świadomości i sumienia. Przy całym optimizmie Marzec – trzeba w sumieniu stwierdzić, że wyszliśmy z niej z honorem.*

Przygniatająca większość nas, Polaków w Czechosłowacji, stanęła zdecydowanie po stronie legalnych władz państwowych. Żaden uczciwy człowiek, który żył w ostatnich miesiącach w naszym państwie, nie mógł bowiem akceptować wykonstruowanego poglądu, że u nas narasta kontrrewolucja i tak, jak całe społeczeństwo naszego kraju, musiał potępić wprowadzenie do argumentacji ideologicznej czołgów.

Październik 1968 – podpisano „Układ o warunkach i przejściowym pobycie wojsk radzieckich na terytorium Czechosłowacji".

Kwiecień 1969 – Dubček musiał ustąpić ze stanowiska pierwszego sekretarza partii, jego następcą został Gustav Husák. Rozpoczął się okres „normalizacji".

HENRYK JASICZEK
ZOSTAŃ CZŁOWIEKIEM

Kiedy ci gorycz ściśnie krtań,
kiedy zdradzony zostaniesz sam,
zostań człowiekiem.

Gdy z piasku wyjrzą głowy strusie,
krzycząc obłudnie: I ty, Brutusie!
zostań człowiekiem.

Gdy ci przyjaciel napluje w twarz,
przy twoich myślach postawi straż,
zostań człowiekiem.

Kiedy zostaniesz strasznie sam,
a wokół przemoc, fałsz i kłam,
gdy łez zabraknie opuchłym powiekom,
zostań człowiekiem. 4.12.1968

Ważną do dziś nauką Praskiej Wiosny jest to, że gospodarka nie może dobrze funkcjonować i służyć obywatelom bez roli rynku, ale tak samo bez regulującej roli państwa jako reprezentanta interesów całego społeczeństwa. Nie przypadkiem do tych idei „trzeciej drogi" przyznają się dziś partie socjaldemokratyczne i koalicje z ich udziałem, rządzące w 13 z 15 krajów Unii Europejskiej, do której zmierzają także nowe demokracje, takie jak Polska, Czechy i Węgry, co potwierdza, że idee Praskiej Wiosny nie są martwymi wspomnieniami i że dochodzą do głosu również w nowych warunkach rzeczywistej demokracji, oczywiście w innej postaci. (Jiří Pelikan)

oprac. C.R.

PIOSENKI KARLA KRYLA

fot. WIESŁAW PRZECZEK

DZIĘKUJĘ

Latorośl stworzył Bóg,
bym mógł z niej splatać wieńce.
Dziękuję więc za ból,
bo uczy pytać więcej,
Za niepowodzeń sto,
przegranych interesów,
bym w końcu wydał plon,
choć byłem u sił kresu,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Dziękuję za słabość,
bo uczy mnie pokory.
Pokory, gdy radość
i pomimo niewoli.
I za łzy dziękuję,
bo budzą me uczucia,
gdy pokrzywdzonych jęk
domaga się współczucia,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Gdy piękno kusi mnie,
dziękuję za brzydotę
i gdy spotkają się
wrogość z miłością potem.
Wiedząc, że koi sen,
dziękuję za zmęczenie.
I za strumienia tren,
za szał, za uniesienie,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

I za pragnienia dar,
jesteśmy słabi, mali,
za mękę, cierpień czar,
co dzieła doskonali.
Za to, że kochać chcę,
choć lęk jest w sercu, we mnie.
Baranku, dziękuję,
nie zmarłeś nadaremnie,
dziękuję, dziękuję, dziękuję.

1975
przekład Renata Putzlacher

MAŁEJ WIARY

W judejską ziemię wsiąka krew
I milczą drzewa w Nazarecie
W tę samą ciągle gramy grę
Jak w nierealnym kabarecie.

Nie starcza wiary, skąd ją wziąć
Kiedy na krzyż Chrystusa wznoszą
A gdy pasterza sięgnie cios
Wnet się i owce też rozproszą.

W księżyca blasku krzyże lśnią
Cierń się uczepił szat Mesjasza
W ogrodzie słowik śpiewa wciąż
I czeka noc na cień Judasza.

Nad miastem mdły księżyca blask
I choć po grób być wierni chcemy
Nim kur zapieje raz po raz
Boga i siebie się zaprzemy.

Przeczymy po raz pierwszy
(I ręce nam się trzęsą)
Przeczymy po raz drugi
(Oni i tak zwyciężą)

I trzeci raz przeczymy
Ot tak z przyzwyczajenia
I z oczu łza popłynie
Znak niemy potwierdzenia.

W judejską ziemię wsiąka krew
I pieje kogut w Galilei
My wciąż w tę samą gramy grę
Jak Piotr błagamy o nadzieję.

My małej wiary, więc nam wciąż
Wcielenia prawdy na krzyż wznoszą
Bo gdy pasterza sięga cios
Wnet się i owce też rozproszą.

1975
przekład Maryna Miklaszewska

ORGANY W OLIWIE

Organy w Oliwie zamarły w pół dźwięku
Jest cicho nad brzegiem ulice we mgle
A mózg który winien prowadzić ich rękę
Automat i czołgi kieruje na cel
W imię socjalizmu!

Być wdzięcznym tej ręce co ochłap ci rzuca
Gdy stół pod choinką i nie ma co jeść
Być niemym jak ryba i krzyk zdławić w płucach
Lub pod gąsienicą pozwolić się zgnieść
W imię socjalizmu.

W stajence na sianie
odnajdziesz swój dom
Byś bliżej był Boga
ubogi jak On
Do ceny dodadzą
sto haseł nowych
do ceny dodadzą
popiersie gipsowe
i twoje westchnienie
i jakieś wspomnienie
twą radość
twój płacz
I głód.

Już radość świąteczna gdzie indziej rozbrzmiewa
Organy w Oliwie żałobnie dziś łkają
Żołądek twój głodny kolędy ci śpiewa
W refrenie nie dzwony lecz strzały zagrają
W imię socjalizmu!

1970
przekład anonimowy

KOŁYSANKA

Zaśnij, syneczku, śpij,
pod powiekami skryj
niebieskie swe źrenice.
Kiedyś zwiędną jak mech,
gdy ci życie i pech
obrócą świat na nice.
Zaspokoją twą chęć
dwie dziewczyny lub pięć,
bo można tak bez końca,
Któraś powie ci „nie“,
rany zabliźnią się
i pójdziesz w ślady ojca.

Zaśnij, syneczku, śpij,
mleka starczy, więc pij,
bo jesteś grzecznym synkiem.
Kiedyś wyrośniesz nam,
w barze usiądziesz sam
nad zgoła innym drinkiem.
Szybko upłynie czas,
wstąpisz do armii raz,
broń błyśnie zamiast słońca.
Wódka na chwile złe,
cofać nauczysz się
i pójdziesz w ślady ojca.

Śpisz już, syneczku, śpisz,
bieda piszczy jak mysz,
a strach ma dyżur nocny.
Zimny żłobek dzień w dzień,
mama podrzuci cię
na wychowanie obcym.
Przepis, jak kłamać masz,
rzucą ci prosto w twarz,
zysk każdy to twa strata.
Kompromisy, by żyć,
cel – samotność jak nić...
I będziesz niczym tata.

przekład Renata Putzlacher

ANNA RUCKA (1903-1944) - CZOŁOWA DZIAŁACZKA SPOŁECZNO-NARODOWA - NA ZAOLZIU W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM

Anna Rucka z Nydku należy niewątpliwie do najbardziej zasłużonych działaczek społeczno-narodowych na Zaolziu. Jej działalność związana jest przede wszystkim ze Związkiem Absolwentek Końszczanek i Związkiem Kół Gospodyń. Dlatego dorobek życia Anny Ruckiej przedstawię na tle obu wymienionych stowarzyszeń polskich w okresie międzywojennym, a jej drogę życiową przybliży nam najbardziej powołana do tego osoba jej syn inż. Janusz Rucki.

Żeńska Szkoła Gospodarstwa Wiejskiego w Końskiej powstała w 1919 i była do 1927 r. utrzymywana przez Towarzystwo Rolnicze, później przez Macierz Szkolną. Celem szkoły było kształcenie dziewcząt w prowadzeniu gospodarstwa domowego i rolnego. Ogółem w latach 1919-1939 ukończyło szkołę 377 uczennic. Przy szkole istniały stowarzyszenia Bratnia Pomoc - rodzaj samorządu uczniowskiego, sklepik spółdzielczy Łączność oraz Związek Absolwentek Końszczanek. Związek powstał w 1922 r. i stawiał sobie za cel szerzenie oświaty wśród kobiet poprzez aktywny udział absolwentek szkoły w działalności organizacji polskich w miejscu zamieszkania. Członkinie dbały najczęściej o bufet przy organizowaniu festynów, bali, dożynek i innych imprez towarzyskich. Związek organizował także odczyty poświęcone sprawom prowadzenia gospodarstwa domowego, higienie i wychowaniu dzieci. W 1933 r. związek uruchomił i prowadził przy szkole w Końskiej bezpłatną poradnię dla matek. Członkinie spotykały się w szkole z okazji rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego, pomagały przy tworzeniu właściwych warunków pracy szkoły. W 1934 r. liczył związek 283 członkinie skupione w 6 kołach miejscowych. Funkcję przewodniczącej pełniła Anna Rucka a od 1937 r. Eryka Cymorkowa. Działalność związku brutalnie przerwała okupacja hitlerowska na początku września 1939 roku. Po wojnie Związek Absolwentek Końszczanek już nie podjął próby wznowienia działalności, a szkoła z bogatymi tradycjami zanikła ostatecznie w 1951 roku.

Związek Kół Gospodyń, jedna z najmocniejszych samodzielnych organizacji zaolziańskich Polek w drugiej połowie lat trzydziestych, była ściśle związana z organizacją poprzednią, a zwłaszcza z Towarzystwem Rolniczym w Czechosłowacji. W 1932 r. ówczesna dyrektor Żeńskiej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Końskiej Helena Dalais-Świniarska rzuciła myśl tworzenia samoistnych Kół Gospodyń. Dzięki usilnym zabiegom czołowych przedstawicieli Towarzystwa Rolniczego oraz przewod-

niczącej Związku Absolwentek Końszczanek Anny Ruckiej powstaje Związek Kół Gospodyń, który swą działalnością tworzy sieć jednostek organizacyjnych ruchu kobiecego. Utworzony Komitet Związku Kół Gospodyń poczynił w 1936 roku potrzebne kroki w celu zorganizowania samodzielnego stowarzyszenia kobiecego o szerszym zakresie działania, niż Związek Absolwentek Końszczanek. Po zatwierdzeniu statutu przez nadrzędne władze 29 września 1936 r. doszło 20 stycznia 1937 r. do zebrania konstytuującego Związku Kół Gospodyń. Od tej pory związek rozpoczął intensywną działalność wśród kobiet w kierunku oświatowo-gospodarczym. Prezesem związku wybrano Annę Rucką.

W myśl statutu celem związku było ujęcie ruchu kobiecego w jedną organizację, szerzenie oświaty ogólnej i zawodowo-gospodarczej, dążenie do wzmocnienia polskiego stanu posiadania, wychowanie młodego pokolenia w domu rodzinnym w poczuciu ducha narodowego, a dzięki wpływowi matek na światłych obywateli, umiejących w przyszłości przejąć w własne ręce ster życia społeczno-organizacyjnego w terenie. Główną formą pracy były wykłady i kursy dotyczące różnych zagadnień, jak racjonalnego gotowania, kroju i szycia, prowadzenia gospodarstwa domowego i rolnego a nawet tańców ludowych, wycieczek krajoznawczych i fachowych do Polski.

W 1938 roku związek zrzeszał 39 ruchliwych Kół Gospodyń rozsianych po całym Zaolziu. Zorganizował Koło Prelegentów, którzy wygłaszali referaty na co miesięcznych zebraniach Kół Gospodyń. Zatrudniał dwie płatne instruktorki. W ciągu 1937 roku urządziły Koła Gospodyń ogółem 201 zebrań z referatami, 187 izb pracy (zebrania członkiń w celu wykonywania robót ręcznych i szycia), 37 kursów gotowania, 11 kursów tańców ludowych i polskich, inscenizacji, programów świetlicowych itp., w 4 kołach prowadzono poradnie dla matek. Po przyłączeniu Zaolzia do Polski dochodzi na początku 1939 roku do zaszeregowania Związku Kół Gospodyń na Zaolziu do ogólnokrajowego Polskiego Związku Kobiet w Warszawie z równoczesnym podziałem byłego zaolziańskiego związku na organizacje powiatowe. Prezesem powiatu Frysztat została Elżbieta Mencner, natomiast prezesem powiatu Cieszyn dotychczasowa przewodnicząca związku zaolziańskiego Anna Rucka. Zaraz w pier-wszych dniach okupacji hitlerowskiej Związek Kół Gospodyń podzielił los wszystkich innych miejscowych organizacji polskich, został zlikwidowany, a jej czołowa działaczka - Anna Rucka - zamordowana w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

Popularność, osiągnięcia, ofiarność i poświęcenie dla sprawy Anny Ruckiej najlepiej dokumentują przytoczone cytaty. Pierwszy z nich znajdujemy w Dzienniku Polskim (r. IV, nr 56, 9 III 1937, s. 3) - sprawozdaniu z Walnego Zebrania Związku Absolwentek Końszczanek:

Podkreślić należy, że w ciągu ostatnich lat - za prezesury pani nauczycielki Anny Ruckiej z Nydku, która tę godność piastowała przez 6 lat

– związek wykazał niezwykłą żywotność. Z jego łona powstała nowa organizacja Związku Kół Gospodyń, co jest zasługą przede wszystkim niezmordowanej i pełnej poświęcenia działaczki społecznej p. Ruckiej, która z prawdziwym zaparciem siebie nigdy nie szczędziła trudu, ani czasu, by przyjść kobiecie śląskiej z pomocą i szerzyć dobre imię szkoły gospodarczej w Końskiej. Podniesienie i zorganizowanie kobiety śląskiej oraz współpraca z fachową uczelnią w Końskiej – oto myśli przewodnie, które przyświecały tej szlachetnej pracowniczce. Pracowała wytrwale i była prawdziwym apostołem dla związku. Toteż obecnie, kiedy p. Rucka składa prezesurę związku absolwentek, odchodząc na inną ważną placówkę społeczną, dziękujemy jej za tę mozolną pracę, która tyle pozytywnych rezultatów wydała oraz życzymy szczęścia w dalszej pracy społecznej.

Również warto tu przytoczyć w całości treść dziękczynnego listu Zarządu nowo utworzonego Związku Kół Gospodyń na terenie powiatu Frysztat w marcu 1939 roku:

Wielce Szanowna, Kochana Pani Prezesko

W chwili, kiedy po kilkuletniej wspólnej pracy w Związku Kół Gospodyń w Cieszynie Zachodnim przychodzi nam się rozłączyć, Koła Gospodyń z powiatu frysztackiego poczuwają się do miłego obowiązku wyrażenia Ci, Wielce Czcigodna Pani Prezesko, gorących słów uznania za Twą pracę nad uświadomieniem polskiej kobiety na Śląsku w czasie inwazji czeskiej oraz słów podziękowania za niezmordowany wysiłek wykonywany w charakterze Prezeski Związku Kół Gospodyń. Równocześnie składamy gorące życzenia dalszej owocnej pracy w Towarzystwie Polek w Wolnej już Polsce. W Cieszynie, dnia 25 marca 1939.

Następowały podpisy czołowych działaczek wszystkich 11 Kół Gospodyń istniejących w powiecie frysztackim.

Anna Rucka, skromna w obejściu, lecz wielka w działaniu kobieta zaolziańska, podzieliła los większości czołowych osobistości polskich z tego terenu, ponosząc za swoją postawę społeczno-narodową śmierć męczeńską z rąk hitlerowskich w oświęcimskim obozie koncentracyjnym.

STANISŁAW ZAHRADNIK

ŻYCIORYS ANNY RUCKIEJ

Urodziła się 26 kwietnia 1903 w rodzinie rolnika i kupca Jana Bajtka i Anny z Raszków, jako drugie dziecko, a pierwsza córka spośród siedmiorga dzieci. Jej też przypadła później w udziale opieka nad młodszym rodzeństwem, gdyż rodzice zajmowali się gospodarstwem. Po ukończeniu polskiej szkoły ludowej w Nydku – 1909–1916 – uczęszczała przez 2 lata do niemieckiej szkoły wydziałowej – Öffentliche Bürgerschule für Mädchen – w Cieszynie. Była też jedną z pierwszych absolwentek nowo powstałej Szkoły Gospodyń Wiejskich w Końskiej. Siostrzana i twórcza

atmosfera tam panująca wywarła decydujący wpływ na ukształtowanie jej osobowości. Wkrótce powstaje - 1924 - Związek Absolwentek Końszczanek - między jego założycielkami, jako jedna z najaktywniejszych, jest i Anna Rucka, niedługo potem wybrana przewodniczącą.

W wieku 18 lat w r. 1921 wychodzi za mąż za nauczyciela nydeckiej polskiej szkoły ludowej Jerzego Ruckiego, rodem z Gutów. W małżeństwie tym rodzą się 3 synowie Stanisław, Tadeusz i Jan. Harmonijne małżeństwo, społeczna praca obojga, osobowości gospodarzy oraz dobrze prowadzony dom i małe gospodarstwo stwarzają atmosferę przyciągającą gości. Schodzą się u Ruckich nauczyciele, nie tylko nydeccy, na herbatki. Bywają szkolne koleżanki gospodyni, często z mężami: Poloczkówna, Buchwałdkowie i Karpeccy - pastorowie z Bystrzycy, na placki ziemniaczane pieczone na blasze przyjeżdża poseł Buzek z żoną i wielu innych.

Angażuje się w Stowarzyszeniu Niewiast Ewangelickich przy bystrzyckim zborze, gdzie łączą ją liczne przyjaźnie. Niesławny spór księży bystrzyckich powoduje wycofanie się z tej pracy.

Pod koniec 20. lat, wraz z dyrekcją i gronem nauczycielskim SzGW w Końskiej inicjuje zakładanie w okolicznych gminach Kół Gospodyń Wiejskich.

Należy do grupy prelegentek, które wspólnie z instruktorami Towarzystwa Rolniczego wypełniają programy zebrań referatami, pogadankami, kursami na temat higieny i zdrowia w rodzinie, odżywiania, wychowania, prowadzenia gospodarstwa, hodowli i in. Pierwsze koła powstają w Końskiej, Ropicy, Wędryni, Nydku, Oldrzychowicach, Nawsiu, Śmiłowicach, Ligotce Kameralnej.

Nowe roczniki absolwentek SzGW rozszerzają szeregi angażujących się w ruchu kobiecym działaczek. Poszerza się działalność ZAK (Zw. Abs. Końszczanek) oraz Kół Gospodyń Wiejskich. Rozwój spowodował konieczność koordynacji czynności. Powstaje Związek Kół Gospodyń (ZKG), kształtuje się jego zarząd z własnym biurem w budynku dyrekcji Towarzystwa Rolniczego w Czeskim Cieszynie przy ul. Fabrycznej. W skład zarządu wchodzą Helena Cymorkowa, Helena Kynastówna, Elżbieta Mencnerowa, p. Wanokowa, ..., etatową sekretarką zostaje Wanda Śliżówna. Na stanowisko prezesa była powołana Anna Rucka. Zarząd organizuje wycieczki do Polski, często połączone z kursami lub tematycznymi pogadankami. Anna Rucka nawiązuje bliskie kontakty i przyjaźnie, między innymi z powieściopisarką Polą Gojawiczyńską, z prezesem Światowego Związku Polaków za Granicą p. Moszczeńską. W r. 1938 z inicjatywy związku powstaje w Cz. Cieszynie w Domu Nauczyciela jadłodajnia Kresówka.

Po wydarzeniach październikowych w r. 1938, kiedy wszyscy trzej synowie uczęszczają do gimnazjum w Cieszynie, wynajmuje tam pokój. Dzieli teraz życie na dom w Nydku, mieszkanie synów w Cieszynie i pra-

cę społeczną w Cieszynie i w terenie. ZKG został w r 1939 zaszeregowany do Polskiego Związku Kobiet i podzielony na organizacje powiatowe. Prezesem na powiat Frysztat została Elżbieta Mencner.

Annie Ruckiej przyznano za całokształt pracy społecznej Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski - Polonia Restituta.

Wybuch wojny wprowadził do życia chaos. Wobec politycznej gorączki, umieszczono pod koniec sierpnia najmłodszego syna u krewnych dyr. SzGW p. H. Dolais w Brzesku niedaleko Bochni. W dniu wybuchu wojny Jerzy Rucki, jako nauczyciel, ewakuował się z polecenia władz szkolnych, zabierając z Nydku starszych synów. Anna Rucka znajdowała się wówczas w Cieszynie, bez zamiaru ewakuowania, likwiduje część akt biura ZKG. Jednakowoż na skutek przypadkiem zasłyszanej rozmowy miejscowych hitlerowców zdecydowała się w ostatniej chwili na ewakuację i ostatnim pociągiem udała się na wędrówkę-ucieczkę. Dotarła aż do Łańcuta, by jako ostatnia z rodziny wrócić pod koniec września do domu rodzinnego. Likwiduje biuro ZKG oraz pokoik synów w Cieszynie. W drugiej dekadzie października 1939 zostaje aresztowana i umieszczona w więzieniu w Cieszynie. Zwolniona w połowie grudnia musi się codziennie zgłaszać na posterunku żandarmerii Niemieckiej Rzeszy. Obowiązek ten złagodzono przed Bożym Narodzeniem na dwa razy w tygodniu, a w lutym 1940 zawieszono. Kilka dni przed pierwszą wojenną wigilią umiera jej ojciec Jan Bajtek.

Pomimo panującego zagrożenia do domu przychodzą uciekinierzy bezpośrednio ścigani przez Niemców czy obawiający się aresztowania, przynoszący rzeczy do ukrycia lub potrzebujący pomocy. Otrzymują żywność, odzież, pieniądze.

Do powstającego ruchu oporu (Związek Walki Zbrojnej w siatce inż. Kwaśnickiego) włącza się najpierw młodszy brat Anny Jan Bajtek, później jej najstarszy syn Stanisław. Dom Anny staje się stanicą kurierską, punktem łącznościowym, miejscem konspiracyjnych spotkań, magazynem materiałów do przerzutu. Przejściowo ukrywał się tu dr Bol. Wiechuła, mgr Oswald Guziur, najstarszy brat Anny Józef Bajtek i wielu innych.

Po wsypie w siatce nasilają się aresztowania. Dnia 14.7.1943 przychodzi Gestapo aresztować Stanisława Ruckiego, któremu jednak udaje się zbiec. Zabierają więc Annę Rucką. Najpierw jest przesłuchiwana w więzieniu w Cieszynie, później w Rybniku, Katowicach i Mysłowicach, a następnie w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, gdzie pod koniec maja 1944 r. sąd doraźny wydał wyrok śmierci za zdradę stanu (Standgericht für Hochverrat). Wyrok wykonano w dniu 30 czerwca 1944.

Anna Rucka została in memoriam odznaczona Medalem Wojska przez centralę londyńską Armii Krajowej już w r. 1948, w r. 1986 Krzyżem AK. Otrzymała tylko legitymację - bez odznaczeń. Te przekazano dopiero w r. 1992 i 1994.

JAN RUCKI

Anna Rucka ze swym mężem Jerzym

Zarząd Związku Kół Gospodyń – Anna Rucka – Siedzi czwarta od lewej

PAMIĘCI PAWŁA KUBISZA

19 sierpnia obchodzimy trzydziestą rocznicę śmierci Pawła Kubisza, poety i pierwszego redaktora naczelnego Zwrotu.

PAWEŁ KUBISZ

* * *

Gdy będę konał będzie noc grobowa
Zegar wykrztusi w rytm kilka uderzeń –
Z ust mi krew buchnie jak szalone słowa
Ktoś we mnie złamie gmach myśli i wierzeń!

Piersi mdłe charkot bez upodleń strwonią
Szkarłat krwi zbryzga oblicze potokiem –
W żadnej kaplicy ludzie nie zadzwonią!
Mgła się rozkłębi nad gasnącym wzrokiem.

Wszystko się skończy, wszystko dla mnie zgaśnie
Wszystko zło–dobro, dróg bliskich szukanie –
W pył mnie znikomy durna noc roztrzaśnie
Na zgubę w ziemi – na trumny posłanie...

GUSTAW PYSZKO

Pawłowi Kubiszowi

LATO

Pamiętam
Chodziliśmy z myślami
na przełaj
Poezja
splatała nas razem
Malutka Olza śmiała się
Czas – wieczny stoper
mącił rytm gitar
Tylko kominy
dziobały niebo

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (20)

ŚMIERĆ MATKI – OŻENEK Z WOJSKIEM

Mój młody organizm dzielnie się bronił i dzięki świetnej opiece lekarzy w krakowskim szpitalu rana w płucach została wyleczona. Z Krakowa zostałem skierowany do Cieszyna do pułku strzelców podhalańskich, który po ukończeniu działań wojennych wrócił pod dowództwem pułkownika Boruty-Spiechowicza z frontu wschodniego i został skierowany na stałe garnizonowe leże do Cieszyna.

Większość moich druhów–przyjaciół z Zaolzia opuściło swoje rodzinne strony. Hallerczyk Henryk Niemiec wrócił do swojej błękitnej dywizji aż do Równego na Wołyniu, Bernard Adamecki służył w formującym się lotnictwie i też znalazł się poza Śląskiem. Z naszej dawnej szóstki pozostał w Cieszynie tylko Zych, Gajdaczek i ja. Alojzy Glajc powrócił z niewoli w Rosji dopiero pod koniec 1922 r. i został urzędnikiem w Cieszynie a później w Katowicach. Mój serdeczny przyjaciel z frontu wschodniego i włoskiego Aleksander Zadora musiał również z matką opuścić Karwinę i przebywał w Warszawie a później w Kielcach.

Jesienią zaczęły dochodzić do mnie niepokojące wiadomości o obłożnej chorobie Matki. Zachorowała na zapalenie płuc i wkrótce zmarła. O śmierci doniósł mi najmłodszy brat Karolek, który codziennie dojeżdżał do gimnazjum w polskim Cieszynie. Zaopatrzony w przepustkę graniczną i przebrany w ubranie cywilne udałem się do zagranicznej już Ropicy. W drodze do domu zameldowałem się na miejscowym posterunku czeskiej żandarmerii. Obecny komendant posterunku opieczętował i podpisał moją przepustkę, spojrzał wyniośle na mnie i odezwał się: – Gdyby nie to, żeście przybyli na pogrzeb matki, to bym was teraz aresztował za wasze antyczeskie sprawki i odwiózł chyba na Spilberg! –

Podziękowałem mu ironicznie za wspaniałomyślność, po czym podążyłem co tchu do domu. Matka spoczywała w trumnie i zdawało się mi, że tylko zasnęła twardo, lecz nie na zawsze, aby odpocząć po ciężkich znojach i trudach swego życia. Na głowie miała ślubny „czepiec" z koronek śląskich. W uznojonych rękach ściskała różaniec i zdawało się mi, że lada chwila będzie przesuwać palcami po paciorkach i będzie modlić się kolejno za nas, za swoje dzieci. Na Jej twarzy malował się smutek.

Zacząłem głaskać Ją po twarzy i Jej zimne o woskowym odcieniu ręce.

– Ileś Ty mi dała Twego serca, Twej bohaterskiej miłości i słodyczy, kochana Matko! Ile razy Tyś mnie ustrzegła od zła i od nieszczęść, droga Matko, a nie mogłem, nie zdążyłem się nic Tobie odwdzięczyć! –

Po tym ruszył kondukt pogrzebowy, który prowadził mój profesor ksiądz Rudolf Tomanek w asystencji proboszcza ropickiego księdza Waliczka.

Po pogrzebie wstąpiłem wraz z całą rodziną na krótki czas do domu i po tym skierowałem swe kroki na punkt graniczny w Cieszynie. Po drodze wstąpiłem jeszcze na cmentarz na świeży grób Matki i westchnąłem:

– Żegnam Cię, moja Matko, i błagam Cię, wyjednaj mi pomyślną drogę w dalszej pielgrzymce mego życia i spraw, abym mógł przed śmiercią wrócić do Ciebie i spocząć na wieki u Twego boku, pod Twoimi opiekuńczymi skrzydłami, tu w mojej rodzinnej Ropicy. Wyjednaj u Wszechmocnego, aby nasz dom rodzinny i nasza Ropica znalazła się w Polsce! –

Już ciemniało, jak opuściłem cmentarz i znalazłem się na rozdrożu koło gospody Woleństwo. Od mostu nad Ropiczanką kroczyło gościńcem w kierunku gospody dwóch uzbrojonych mężczyzn. Nie zdołałem już rozpoznać czy to byli żandarmi, czy też wojskowy patrol graniczny. Przypomniała się mi groźba komendanta posterunku żandarmerii i ogarnęły mnie jakieś obawy. Skręciłem szybko z gościńca na boczną drogę wiodącą do gospodarstwa Pawła Wani i ścieżkami podążałem wzdłuż Ropiczanki i Olzy do Cieszyna. Nie wykluczałem, że gorliwy żandarm z Ropicy przygotował mi jakąś nieprzyjemną pułapkę na mostach granicznych. Nie chciałem więc ryzykować i przejść do Polski przez kontrolę na którymś z mostów. W okolicy parku Sikory zdjąłem płaszcz i za kilka sekund już biegłem po znanej mi tu płyciźnie Olzy na polską stronę. Woda sięgnęła mi w jednym miejscu do piersi. Znalazłem się na ścieżce wypieszczonego skweru spacerowego w Błogocicach i podążałem co tchu do mego mieszkania, aby zrzucić przemoczone obuwie i ubranie. W pobliżu mieszkania spotkałem znajomą staruszkę z sąsiedniego domu, która wiedziała, że będę na pogrzebie po czeskiej stronie. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i z politowaniem mówi: – Kajś sie tak, boroku, okąpoł? Czy przyszedłeś od tych Pepików przez wodę? Toć isto! –

Położyłem się do łóżka i dopiero teraz sobie uświadomiłem, jak naiwne było moje postępowanie. Jednak za chwilę zasnąłem. Przyśnił mi się Mohylew Podolski i płynący tamże Dniestr, graniczna rzeka między Rosją i Rumunią, oraz moja nieudana próba ucieczki przez tę rzekę z niewoli ukraińskiej. Przyśnił mi się graniczny Zbrucz, przez który tak szczęśliwie przebrnąłem z Ukrainy do Polski po tejże niewoli. W śnie odwiedzili mnie liczni członkowie rodziny, z którymi spotkałem się na

pogrzebie Matki. W Ropicy pozostały dwie siostry i dwóch młodszych braci, w Sibicy zamężna siostra Marynka, a w Cieszynie-Brandysie zamężna siostra Zuzia. Poza tym zostawiłem na Zaolziu około dwóch tuzinów braci i sióstr ciotecznych i stryjecznych w Żukowie, Ropicy, Śmiłowicach i Sibicy. Wszyscy mnie w śnie odwiedzili i jeszcze wiele innych znajomych postaci. Nie śniła się mi już Jarka z Gnojnika. To jedno urojenie minęło chyba na zawsze.

Nazajutrz powróciłem do nudnego życia koszarowego, do normalnych zajęć koszarowych. Potoczyły się szybko dalsze powojenne miesiące. W wojsku tak jak i na wszystkich odcinkach życia państwowego rozpoczął się wyścig pracy, a w korpusie oficerskim wyścig doskonalenia zawodowego. W szkołach i licznych kursach wojskowych uwijały się wówczas liczne grupy oficerów francuskich. Oficerowie francuskiej misji wojskowej przeprowadzali intensywną unifikację organizacji, wyszkolenia i uzbrojenia polskich sił zbrojnych w duchu i po myśli obowiązującej doktryny wojskowej zwycięskiego marszałka Francuzów Focha. W centrum wyszkolenia w Rembertowie pod Warszawą był wówczas jednym z najlepszych wykładowców oficer francuski major Charles de Gaulle. Bardzo wymagający i równocześnie bardzo przyjacielski-koleżeński. W okresie 1921 roku i na początku 1922 roku ukończyłem dwa kursy taktyczne w Rembertowie i dwa w Krakowie. Wykłady w Krakowie prowadzili również oficerowie francuscy. Tutaj niejednokrotnie dał się mocno we znaki inspektor armii generał Szeptycki, który często prowadził z nami w otoczeniu oficerów francuskich niejedno ćwiczenie taktyczne.

Po powrocie z tych kursów do Cieszyna zatęskniłem gwałtownie do swobodnego życia cywilnego. Najadłem się już do syta życia koszarowego i wojska. Uśmiechały się mi wówczas studia filologiczne lub leśnicze. Był to okres stopniowego zwalniana oficerów do rezerwy, a jednocześnie przy każdym pułku działały komisje kwalifikujące i werbujące oficerów do pozostania w służbie zawodowej.

Napisałem do ówczesnego dowódcy pułku podpułkownika Kosteckiego prośbę o zwolnienie mnie do rezerwy. Ze swoich zamiarów zwierzyłem się między innymi Zychowi i Gajdaczkowi. Gajdaczek, który jako inwalida miał być w niedługim czasie zwolniony z wojska, pochwalił te zamiary. Natomiast Zych radził mi, abym się zdecydował iść do służby zawodowej w wojsku.

– Pozostań ze mną w wojsku, masz zapewniony chleb i jakąś karierę. Jesteś porucznikiem ze starszeństwem z dnia l czerwca 1919 roku. Za kilka lat awansujesz do stopnia kapitana. Poza tym masz możność ukończenia studiów w Wyższej Szkole Wojennej i uzyskania dyplomu oficera sztabu generalnego. Ja już ślęczę wieczorami nad książkami, aby się przygotować do trudnego egzaminu konkursowego, gdyż jak wiem, to kandydatów do tej szkoły więcej od ilości miejsc dla słucha-

czy; egzamin zdają więc tylko najzdolniejsi i najlepiej przygotowani. – Odpieram kuszące namowy Zycha.

– Nie czuję zamiłowania do tego zawodu i chociaż wszyscy przełożeni są z mojej pracy zadowoleni, powiem ci szczerze, że w koszarach się duszę, a na ćwiczeniach terenowych i aplikacyjnych ziewam i wściekle się nudzę. Żadnych zdolności ani też zamiłowań do pracy w wysokich sztabach nie wykryłem w sobie. Do służby zawodowej w wojsku nie nadaję się również choćby dlatego, że nie opanowałem dotychczas wcale brydża czy też innej sztuki karcianej. Nie kocham również ani wódki, ani wina i dzięki tej ignoracji w brydżu oraz nieudolności w pijaństwie naraziłem się już niejednemu koledze i zwierzchnikowi. Nie opanowałem też sztuki salonowego kłaniania się przed damami pułkowymi i prawienia im słodkich duserów. –

– Nie płeć głupstw! – karci mnie Zych – Rozpili się tylko niektórzy i tych zwalnia się do rezerwy. –

– Jutro przedstawiam w pułku mój nowy wniosek o zwolnienie mnie do rezerwy. Służyłem dotychczas tylko jako ochotnik walk o niepodległość i ustalenie granic, a między innymi o dochowanie wierności naszej przysiędze i powrót Zaolzia do Polski. Nie wszystkie nasze tęsknoty zostały spełnione, gdyż Zaolzie nie wróciło do Polski, a główna w tym wina Warszawy, która zaangażowała wszystkie siły zbrojne na wschodzie, a nam tu przysłali na pomoc tylko majora Ostrowskiego – przekonuję Zycha.

– Zgadzam się z tym, gdyż przecież sam jestem Zaolziakiem – pociesza mnie Zych – lecz pamiętaj, że „nec Hercules contra plures". Pamiętaj o tym, że tak jak był cud nad Wisłą, tak kiedyś dożyjemy cudu nad Olzą. – Od 1918 roku prowadziliśmy boje z Rosjanami, Ukraińcami, Niemcami i Czechami, czyli z wszystkimi naszymi głównymi sąsiadami, a przegraliśmy właściwie wojnę tylko z Czechami. Nie chcę również i dlatego pozostać zupakiem w wojsku! – odpowiedziałem Zychowi i pożegnałem go.

Udałem się nazajutrz do adiutanta pułku porucznika Ziemskiego, któremu wręczyłem ponownie podanie o zwolnienie mnie do rezerwy. Po kilku dniach zostałem wezwany do dowódcy pułku podpułkownika Kosteckiego, który w odpowiedzi na moje naglące prośby o zwolnienie mnie do rezerwy oświadczył mi, że zostałem już dość dawno zakwalifikowany komisyjnie jako kandydat na oficera zawodowego oraz umieszczony w wykazie zakwalifikowanych, który został wysłany do ministerstwa w Warszawie do zatwierdzenia. Polecił mi czekać aż do nadejścia decyzji od władz centralnych.

Pobiegłem wściekły o poradę do Gajdaczka. Na ulicy Stalmacha spotykam niespodzianie kroczącą w niczym niezmąconej, pogodnej ekumenicznej idylli tak dobrze mi znaną parę szkolnych dostojników religijnych, a więc księdza Tomanka, nauczyciela religii katolickiej,

i księdza-pastora Stonawskiego, nauczyciela religii ewangelickiej. Kroczyli obok siebie jak Kastor i Pollux pogodnie i sielankowo wprost roześmiani. Kłaniam się głęboko uniżenie moim ulubionym profesorom i biję im mocno do dachu mej rogatywki. Zatrzymali mnie.

- Jeszcze nie pogwarzyliśmy sobie po wojnie. Jakie ma pan zamiary? Pewnie pan zostanie w wojsku? - zagaduje mnie ksiądz Tomanek.

- Idę właśnie do Gajdaczka na naradę, co robić, gdyż chcą mnie pozostawić w wojsku jako zupaka, a ja tęsknię za większą wolnością i samodzielnością - wyjaśniam.

- Proszę pana - odzywa się ksiądz Tomanek - dla pana wojsko to moim zdaniem wymarzony zawód. Przecież pan jest neuropatą i pamiętam niejeden okres nasilenia tej choroby u pana za czasów szkolnych i niejedną wizytę lekarską pana u neurologa Sojki z Frydku. Radziłbym pozostać panu w wojsku, gdyż moim zdaniem istnieją tam takie warunki, które będą wpływać kojąco na pańską neurozę. Tylko z dala od wódki, od kart i od kobiet, a w zamian za to jak najwięcej sportu. -

- A czemuż to trzymać się z dala od kobiet? - pytam półżartem ulubionego profesora.

- Jak najdalej! Kobiety, a zwłaszcza te ładne a zarazem próżne pozostawić mężczyznom bez głębszej wyobraźni, a zawód wojskowy potraktować raczej jako stałe kuracyjne antidotum na tę ogólną nerwicę pana oraz jako zakon oddania się i poświęcenia swoich sił zmartwychwstałej Polsce - zakończył ksiądz Tomanek. Ksiądz-pastor Stonawski cały czas gorliwie przytakiwał.

Gajdaczka nie zastałem w domu, więc biegnę w te pędy na rynek i szukam go po kawiarniach, cukierniach, barach i pod arkadami rynku. Nigdzie go nie znalazłem, lecz pod arkadami nadziewam się niespodzianie na uroczą dziewczynę Helę, którą poznałem przed kilku tygodniami na kursie tańców i w kilku lekcjach już jej towarzyszyłem.

- Wybieram się na dzisiejszą lekcję tańców i nie zapomnij o niej. Wiesz o tym, że najlżej mi z tobą płynąć w walcu, skakać w foxtrocie i puścić się w wir radosnego szału - prosiła.

Na lekcję tańców przybyłem punktualnie. Opowiedziałem Heli o moim dzisiejszym spotkaniu z dowódcą pułku i z księdzem Tomankiem oraz o tym, że namawiają mnie na ożenek z wojskiem, a nie z nią.

- Ożeń się najpierw z wojskiem, a później ze mną - parsknęła śmiechem tuląc się do mnie Hela - Mówię ci to zupełnie na serio, gdyż nie wyobrażam sobie ciebie bez munduru i w ogóle mego życia bez ciebie. Pamiętaj, że w mundurze bardzo ci do twarzy i mundur jest jakimś symbolem męskości. Musisz koniecznie pozostać w wojsku, gdyż inaczej zrywam z tobą i koniec naszej miłości! Za trzy lata skończę konserwatorium, po czym się pobierzemy! -

Los tak zrządził, że Hela tak samo jak Jarka Janalówna chciała być

pianistką. Cóż było w tej sytuacji robić? Czarujący był urok Heli, przemożny jej wpływ i zaklęcia, gdyż pokochałem ją szczerze. Była to moja druga miłość, lecz już jakaś inna od tej pierwszej, konkretniejsza i treściwsza. Po ukończonej lekcji tańców poprowadziłem Helę wydeptaną alejką miłości nad Olzą w kierunku Błogocic. Chociaż był już chłodny wieczór jesienny – było nam w tych Błogocicach bardzo błogo i ciepło. Siedzieliśmy na trawie pod osiką. Całowałem Helę po ustach, rękach, włosach aż do przesytu. Nie broniła się i również gorąco odwzajemniała. Zakipiała mi krew, a w całym ciele poczułem jakiś płonący żar. Dookoła była cisza jak w jąderku orzechowym. Szeptały tylko cicho listki osiki, pod którą leżeliśmy i zamamrotała trochę głośniej Olza. Nikt nie był świadkiem naszego szczęścia. Tylko pyzaty księżyc rozdziawił swoją gębę i śmiał się z nas szyderczo. Ale wcale nam na tym satelicie naszej planety nie zależało. Byłem szczęśliwy. Czarujący był uśmiech Heli, czarujące jej usteczka i cudne perełki ząbków, gdy szeptała do mnie – Parzyłeś mnie jak gorący płomień! –

Blisko nas przeszła po ścieżce jakaś grupka hałasujących, pewnie podpitych mężczyzn. Nie zauważyli nas, ale czar naszej chwili, czar naszego zamroczenia miłosnego prysnął. Pofrunął pewnie nad Olzę i z jej nurtem popłynął w nieznane światy, istniejące tylko w myślach zakochanych. Zamroczenie przeminęło, otrzeźwiałem. Podążyliśmy szybko do miasta.

– Pozostanę dla ciebie w wojsku, a po ukończeniu konserwatorium przez ciebie pobierzemy się i będziemy wspólnie komponować muzykę naszego przyszłego życia – powiedziałem Heli na pożegnanie.

W mieszkaniu zadumałem się nad Helą i w ogóle nad naszą przyszłością. Przypomniałem sobie przestrogi księdza Tomanka i przypomniał się mi też Zadora, ten anioł stróż mojej cnoty i zdecydowany wróg kobiet. No ten dałby mi dopiero serdeczną wcierę. Ale przecież sam św. Augustyn powiedział – Świat jest piękny nawet z grzechem i grzesznikami. – W wypadku Jarki miał może Zadora rację. Ale wyrosłem już przecież z tej sztubackiej miłości, którą kiedyś Jarkę darzyłem. Byłem przecież już prawdziwym młodym mężczyzną. Z Helą ożenię się za trzy lata, jak ukończy konserwatorium. Co jednak będzie, jeżeli zostanę przedwcześnie ojcem a Hela matką? No to ożenię się z nią zaraz, już teraz. Tak – tak! Tylko na zawarcie małżeństwa potrzeba uzyskać przychylnie zaopiniowane przez komisję małżeńską zezwolenie od dowódcy pułku. A jak nie udzielą takiego zezwolenia, to i tak się ożenię i jazda z wojska! No tak, ale Hela chce, abym został zawodowym. Co teraz począć? Helę kocham inaczej jak Jarkę. Jarka była moim sztubackim, nietykalnym ideałem. W stosunku do Heli odczułem od pierwszego wejrzenia pożądanie. Hela jest osiemnastoletnią sierotą, którą wychowała jej ciotka, emerytowana nauczycielka. Całe szczęście, że znam ciotki adres. Pójdę do niej, zwierzę się z wszystkiego i poproszę o rękę Heli.

Hela nie jest ani próżna ani też lalkowata. Nie maluje sobie twarzy, ani też nie upiększa się sztucznie makijażem, ubiera się skromnie, lecz bardzo gustownie, myśli poważnie o swojej przyszłości i zaimponuje na pewno księdzu Tomankowi, a może nawet temu oryginałowi, mojemu cnotliwemu Zadorze.

Przedziwny był więc wybór mojego zawodu, to jest mój ożenek z wojskiem, gdyż do służby wojskowej nie skłoniło mnie tak zwane powołanie czy też umiłowanie zawodu, lecz namówiła mnie do tego dziewczyna, koledzy i mój ulubiony ksiądz-profesor.

Hela odjechała wkrótce na studia do koserwatorium muzycznego w Krakowie. Przed odjazdem prosiłem ją, by mnie przedstawiła swojej przybranej matce-ciotce, lecz nie zgodziła się.

– Moja kochana ciocia to wielka dziwaczka. Jest bardzo zazdrosna o mnie i chciałaby, abym żyła w staropanieństwie. Pewnie dlatego, że sama jest zawiedzioną w miłości starą panną. Specjalnie nienawidzi wojskowych. Kochała się w młodości w szarmanckim oficerku austriackim, który ją wykorzystał bez litości, wyłudził pieniądze przeznaczone na posag, a później porzucił. Musimy więc poczekać – wyjaśniła mi Hela.

Napisaliśmy do siebie wiele listów. W jednym z pierwszych mi napisała – Z twojego ojcostwa i mojego macierzyństwa to wyszła plajta. Może i dobrze, że się nam tak jakoś upiekło a to z uwagi na ciotkę. Byłby to może dla niej wielki szok, lecz kto wie czy nie skłoniłoby jej to, w tej sytuacji, do udzielenia nam błogosławieństwa. –

Byłem przekonany, że będziemy dobraną parą, że mogę być szczęśliwy z Helą i mogę ją uszczęśliwić. To gorące pragnienie dawania i brania szczęścia trawiło mnie stale i coraz mocniej. Helę bardzo pokochałem i stale marzyłem o niej jako o przyszłej żonie.

Tymczasem już pod koniec grudnia 1921 znalazłem się niespodziewanie w Wielkopolsce. Zostałem przeniesiony wraz z kilku innymi kolegami do 25 Dywizji Piechoty, która stacjonowała w obozie ćwiczebnym Biedrusk koło Poznania. Dywizja ta wchodziła w skład grupy armii znajdującej się pod dowództwem generała Szeptyckiego i przeznaczonej do objęcia przyznanej Polsce części Górnego Śląska. Przydzielono mnie do 73 pułku piechoty (dawnego rezerwowego wielkopolskiego 155 pułku piechoty), którym dowodził podpułkownik Kossowski.

c.d.n.
ALOJZY NOWOK

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (8)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Nadszedł pamiętny dla nas piątek 19 stycznia 1945 roku. Już od samego rana zauważyliśmy u Niemców jakieś wielkie podekscytowanie. Podczas porannego apelu ów SS–wiec już nie krzyczał na nas, jak to miał w zwyczaju. Zaś w czasie pracy zapowiedziano nam, że będziemy w nocy przekopywać drogi. Tymczasem już o zmroku odwołano ów rozkaz, a sam komendant odwiedził nas (po raz pierwszy i ostatni) w owej hali chlewnej i zakomunikował, tym razem posługując się górnośląską polszczyzną, że jutro nie pójdziemy już do pracy, bo zbliża się front. Zapytany, co mamy robić, odpowiedział, że nie wie, ale najlepiej zrobimy, jeśli wrócimy do swoich bauerów. Gdy tylko wyszedł, podniósł się nieopisany wrzask radości. Budziło to nawet obawę, że mocno zdenerwowany SS–man powróci i zrobi użytek ze swego pistoletu. Na szczęście tak się nie stało. Po względnym uspokojeniu postanowiliśmy wracać do bauerów i zaczęliśmy szykować się do drogi. Z pryczy zbijaliśmy prowizoryczne sanki, by na nich ciągnąć nasz „dobytek". Mój mieścił się w małej walizce, w którą zaopatrzyła mnie swego czasu matka. Miałem też końską przepoconą derkę od bauera, choć w piśmie, jakie otrzymałem z Arbeitsamtu wyraźnie napisano, że miałem od mojego „pracodawcy" otrzymać oprócz garnka, menażki, łyżki i widelca także normalny koc. W nocy doszły nas wieści, że pobliska wieś przygotowuje się do ewakuacji wraz z bydłem. Jak się później okazało, akcją tą objęty był szerszy obszar na prawym brzegu Odry.

Wstał bardzo mroźny świt w sobotę 20 stycznia. Dołączyliśmy do długiego szeregu wozów, bryczek i ludzi, by niebawem ruszyć w kierunku oddalonego o około 30 km Brzegu. Zdaje się, że bydło popędzono później. Ów niecodzienny korowód wydłużał się z godziny na godzinę, ponieważ włączały się do niego takie same z innych miejscowości. Dlatego bardzo często musieliśmy się zatrzymywać, by przepuścić włączające się wsie to z lewej, to z prawej strony. Na tamtych rozległych równinach, wtedy ośnieżonych, był to niesamowity widok. Podczas powolnego marszu widziałem w rowach matki karmiące swe dzieci. Przekazywano sobie nawet wiadomość, że troje dzieci zamarzło na śmierć. Moje sklecone sanki po paru kilometrach się rozpadły, lecz nad moim „bagażem" ulitował się pewien Niemiec, który pozwolił mi walizeczkę i derkę rzucić na swój przeładowany wóz. Marsz im bliżej Brzegu, tym wolniej posuwał się naprzód. Lewą stroną drogi, w przeciwnym kierunku na wschód, przetaczały się liczne konwoje wojskowe.

◀ *Z festynu PSP w Gnojniku, fot. FRANCISZEK BAŁON*

Najdłużej trwała przeprawa przez most na Odrze, ponieważ wojsko przepuszczało tylko parę furmanek jednocześnie. Na szczęście miasto Brzeg znałem bardzo dobrze, dlatego gdy tylko znalazłem się na lewym brzegu Odry, podziękowałem Niemcowi za transport mojego bagażu i natychmiast odłączyłem się od kilometrami ciągnącego się korowodu.

Miało się już ku wieczorowi. Gdy poza miastem zmierzałem polną drogą do Kreisewitz (około 7 km), dopędził mnie wóz konny, prowadzony przez Polaka z tej samej wsi. Również on był wysłany wraz z zaprzęgiem do okopów, a teraz podobnie jak ja powracał do swojego bauera. Zabrałem się z nim i niebawem znaleźliśmy się na miejscu. Bardzo zmęczony, zziębnięty i głodny zapukałem do drzwi kuchennych, które otworzyła bauerka. Krótką rozmowę i sytuację, jaka nastąpiła potem, pamiętam dokładnie. Wyglądało to w skrócie tak:

– Dobry wieczór – pozdrowiłem.

– Ach, Boleslaus – powiedziała bauerka – jesteś już z powrotem!

Usłyszał to bauer w przyległym pokoju i wchodząc do kuchni złośliwie uśmiechnięty, powiedział:

– Pamiętasz, co ci mówiłem? Widzisz? Wróciłeś jednak! Ha, ha, ha!

– No cóż – ja na to – gdyby nie Rosjanie, nie byłoby mnie tutaj. Oni mnie z okopów przegonili i gonią mnie nadal.

Dziś wiem, że było to złośliwe z mojej strony, ale wtedy nie mogłem się od tego powstrzymać. Zauważyłem, jak bauerka zbladła i głośno płacząc, udała się do pokoju, a za nią bauer. Za zamkniętymi drzwiami było słychać odgłosy ich nerwowej rozmowy. Niebawem on ubrany w gunię i czapkę szybko wyszedł z domu, lecz niedługo wrócił. Był zmieniony na twarzy. Ponownie wszedł do izby, a za chwilę dał się słyszeć jeszcze głośniejszy spazmatyczny płacz jego żony. Wszystko zrozumiałem. W bezpośrednim sąsiedztwie urzędował Ortsbauernführer Walter Geppert (miejscowy przywódca NSDAP). Do niego zapewne udał się mój pryncypał, gdzie otrzymał potwierdzenie moich doniesień.

Tym razem zakwaterowano mnie w ogrzewanym pomieszczeniu (pierwszy raz po blisko 5 latach pobytu w Rzeszy!) w pokoju ojca bauerki, na tzw. wymowie. Poproszono mnie też na kolację i podano jajecznicę (również po raz pierwszy u bauera, chociaż często spożywałem ją z jaj dostarczonych przeze mnie od polskich rodzin). Nie wymagano ode mnie żadnej pracy, z czego byłem bardzo zadowolony, ponieważ pilno mi było do rodaków we dworze, by zwiastować im ową „wesołą nowinę". Okazało się, że o niczym nie wiedzieli, więc tego wieczoru przyjmowali mnie nieomal jak bohatera, zaś radości nie było końca. Również tej euforii nie zapomnę nigdy.

Tymczasem już na drugi dzień po moim powrocie do Kreisewitz było wiadomo, że ewakuacja Niemców nie zatrzyma się na Odrze. Na jej lewym brzegu zaczęły się gorączkowe przygotowania do ucieczki przed

szybko zbliżającym się frontem. Zauważyłem bowiem, że bauer zaczął szykować wóz, zaopatrując go w daszek i załadowując różnymi rzeczami. We wtorek (23 stycznia) wczesnym rankiem bauerka przyszła do pokoju, w którym spałem z jej ciężko chorym ojcem. Udając śpiącego, słyszałem, jak oznajmiła mu, że dziś muszą już uciekać, na co on odpowiedział, że nigdzie nie pojedzie. Zgodził się na wyjazd dopiero wtedy, gdy powiedziała mu, że dla niego doczepiono do wozu kryty powóz. Następnie bauerka podeszła do mojego łóżka i budząc mnie, zapytała (oczywiście zdawkowo) czy chcę również z nimi uciekać. Odpowiedziałem, że moja droga do domu prowadzi w przeciwnym kierunku.

O godzinie 9.00 na sygnał trąbki zaczęto zaprzęgać konie we wszystkich gospodarstwach. Po pewnym czasie rozległ się drugi sygnał, na który wszystkie zaprzęgi wyjechały na ulicę. Nastąpiło sprawdzanie sprawności wozów, uprzęży i podków końskich, zaś sanitariuszki niosły pomoc medyczną, zwłaszcza dzieciom. Ogólnego porządku doglądali niektórzy bauerzy, którzy nosili na rękawach specjalne opaski i byli uzbrojeni w pistolety. Temu wszystkiemu przyglądałem się ukradkiem, udając, że pilnie doglądam dobytku pozostawianego mojej opiece. Przy tym zdawałem sobie sprawę, że muszę unikać jakichkolwiek zachowań, które mogłyby budzić podejrzenie, iż obserwowana sytuacja sprawia mi choćby najmniejszą radość. Zdenerwowani bowiem Niemcy, zwłaszcza ci uzbrojeni z Ortsbauernführerem na czele, mogli być do wszystkiego zdolni. Mój bauer wyraźnie mnie unikał, jedynie jego żona, powierzając mi opiekę nad żywym inwentarzem, powiedziała, że ich powrót nastąpi po 2–3 dniach. Na trzeci sygnał wozy ruszyły, jak się później dowiedziałem, w kierunku Sudetów.

W pierwszych dniach po ucieczce bauerów we wsi pojawiali się sporadycznie żołnierze niemieccy. Początkowo byli to funkcjonariusze jakichś służb specjalnych, prawdopodobnie z oddziałów SS, ale i oni niebawem zniknęli. Natomiast zaczęli się pojawiać pojedynczy żołnierze Wehrmachtu, którzy w poszukiwaniu swoich rozbitych jednostek prosili nas o żywność i nocleg. Pamiętam pewnego Austriaka, który szukając „u mnie" noclegu, przeklinał Hitlera i całą III Rzeszę. Wtedy nie obawiałem się już żadnej prowokacji i dzielnie wspierałem go w tych przekleństwach. Był mi za to niezmiernie wdzięczny. We wsi pozostało tylko kilku starszych mieszkańców powołanych w ostatniej chwili do tzw. Volkssturmu. Jak się później okazało, wszyscy oni zginęli na wyznaczonych im posterunkach na skraju wsi.

We wsi pozostali tylko sami Polacy i kilka Rosjanek, które podobnie jak my pracowały u bauerów. Niemcy, uciekając, pozostawili cały inwentarz żywy, którym staraliśmy się, już bez przymusu, opiekować, choć opieka ta z oczywistych względów nie mogła być pełna (np. w za-

kresie udoju, utrzymania odpowiedniego porządku w oborach, stajniach i chlewach). W „moim" gospodarstwie inwentarz składał się z 25 krów (nie licząc cieląt i jałówek), jednego pozostawionego konia, kilkunastu świń, sporo kur, gęsi i chyba setki gołębi. W tym gospodarstwie pozostałem sam, ponieważ Rosjanka Elizawieta Bolszakowa, która również została tu wywieziona na przymusowe roboty aż spod Leningradu, natychmiast przepadła gdzieś bez śladu. Widocznie udała się do swojej matki zatrudnionej także u bauera w jednej z okolicznych wsi. W podobnej sytuacji znaleźli się również moi koledzy we wszystkich kilkunastu gospodarstwach, a niektóre z nich były jeszcze większe niż to, w którym ja pracowałem. Prawdziwy problem powstał z utrzymaniem olbrzymiej obory w miejscowym dominium (majątek hrabiny von Pfeifer). Przez blisko 2 tygodnie staraliśmy się w miarę naszych możliwości utrzymać przy życiu ów liczny inwentarz żywy.

Niemal natychmiast po opuszczeniu przez Niemców Kreisewitz ktoś z nas rzucił myśl, by z pozostawionego przez nich dostatku skorzystać i przygotować wspólną ucztę. Jej miejsce na pierwszy ogień upatrzono w „moim" gospodarstwie. Przyjąłem tę propozycję pod warunkiem, że zorganizuje się odpowiedni „personel", zwłaszcza żeński, który przygotuje owo przyjęcie. Nie mieliśmy rzeźnika, stąd postanowiliśmy, że główne dania będą się składać z drobiu (rosół z kury, pieczeń gęsia), zaś kompoty dostarczy się ze spiżarni innych gospodarstw.

Ów uroczysty obiad odbył się w czwartek (25 stycznia) w najobszerniejszym pokoju bauera (nigdy przedtem w nim nie byłem), przy wykorzystaniu rodowej porcelany bauerki. Biesiadowało chyba około 20 osób. Nagle zamarłem ze strachu. Oto przez okno zobaczyłem, że do podwórza wjechali na rowerze syn mojego bauera (o 2 lata młodszy ode mnie, który również niejednokrotnie dawał mi się we znaki) oraz syn Ortsbauernführera. W pierwszej chwili byłem przekonany, że cała wieś powraca. Chłopcy weszli do domu, gdzie zobaczyli naszą biesiadę. Ochłonąłem z przerażenia dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się o celu przybycia wyrostków. Przyjechali z bańkami po wodę, której zabrakło w miejscu skoncentrowania wielkiej liczby uciekinierów w niedalekim Konradswaldau (dziś: Przylesie). Młody Raabe zabrał także jeszcze 3 gęsi, zaś mnie przekazał ostatnie polecenie swojego ojca, bym zmielił śrutę dla świń. Zdradził też miejsce w stodole, gdzie bauer ukrył skórzany pas transmisyjny potrzebny do mielenia. Polecenie to nigdy nie zostało wykonane. Zapraszani zaś przez nas dwaj Hitlerjugend na gorący rosół i smaczną pieczeń odmówili uczestniczenia w przyjęciu i bardzo speszeni odjechali.

c.d.n.

CO NOWEGO W ŁOMNEJ DOLNEJ

Gmina Łomna Dolna (w powiecie Frydek-Mistek) liczy według ostatniego spisu ludności 816 mieszkańców, z czego 299 (tj. 36,7%) - to Polacy. Po wyborach komunalnych w 1994 roku do 7-osobowego przedstawicielstwa gminnego weszło 3 członków ODS, 2 członków Stowarzyszenia Kandydatów Niezależnych i po 1 członku Partii Zielonych i Ruchu Politycznego Wspólnota. Żeby przedstawić czytelnikom Zwrotu działalność władz gminnych, poprosiłem o rozmowę Martę Pilich, zastępcę starosty Łomnej Dolnej, która kandydowała z listy Wspólnoty.

Przedstawicielstwo gminne schodzi się co kwartał. Zdarza się, że w sprawach pilnych konieczne było zwołanie zebrania nadzwyczajnego. Przykładowo w ubiegłym roku zwołano dwa takie zebrania. Pod koniec roku zebranie przedstawicielstwa odbywa się w terenie i ma uroczysty charakter.

Członkami przedstawicielstwa jest dwoje Polaków, oprócz mnie pan Antoni Martynek, kandydujący z ramienia Partii Zielonych. W Urzędzie Gminnym zatrudniona jest urzędniczka narodowości polskiej. Zebrania a także inne uroczystości gminne, na przykład witanie nowych obywateli, odbywają się w pięknej, niedawno zrekonstruowanej sali Urzędu Gminnego. Uroczystości gminne są zawsze dwujęzyczne.

Jakie problemy w obecnej kadencji rozwiązywały władze Łomnej Dolnej?

Do sukcesów należy zaliczyć sfinalizowanie pierwszego etapu gazyfikacji. Gaz doprowadzono do dzielnicy Młyny. W tym roku zgazyfikowana będzie część gminy od granicy Boconowic po Jastrzębski Potok. W przyszłym roku planujemy kontynuować gazyfikację do granicy Łomnej Górnej. Zgazyfikowane powinny zostać szkoły, budynek Urzędu Gminnego oraz budynek mieszkalny, którego właścicielem jest gmina. Niestety na zebraniu, na którym omawiano harmonogram gazyfikacji, nie zjawił się przedstawiciel piekarni, która najbardziej zadymia środowisko. Oczywiście inwestycje te uzależnione są od funduszy. Na gazyfikację gmina nie otrzymała żadnej dotacji, gazyfikacja jak na razie finansowana jest z własnych środków. Współudział przy doprowadzeniu gazociągu do swego ośrodka wczasowego zadeklarowało przedsiębiorstwo Jäkl Karwina.

Władzom gminnym udaje się również usuwać szkody, jakie wyrządziła powódź w lipcu ubiegłego roku. Na naprawę dróg i mostów

gmina otrzymała 1,6 mln Kč dotacji docelowej. W tym roku obiecano nam przekazanie środków z funduszu PHARE. Nareszcie ukończono budowę drogi do dzielnicy Nowina. Niestety w finansowaniu tej inwestycji nie brało udziału przedsiębiorstwo Lasy Państwowe, główny użytkownik drogi, podobno nie ma pieniędzy.

Prasa lokalna ostatnio informowała o problemach z zapewnieniem komunikacji autobusowej w gminie?

To jest największy problem. W tej kadencji odbyło się już 15 spotkań z przedstawicielami ČSAD. Gminy są zmuszone płacić zawrotne sumy, by zapewnić połączenia autobusowe w sobotę i niedzielę. W bieżącym roku płacimy kwartalnie 36 tys. Kč. Moim zdaniem konieczne jest rozbicie monopolu ČSAD. Nasza gmina pertraktowała z prywatnym przewoźnikiem HESA-TOUR z Wędryni, niestety nie dano mu licencji. Prywatny przewoźnik byłby o wiele tańszy.

Łomna Dolna jest znaną gminą letniskową. Dolina rzeki Łomnej to jeden z najbardziej odwiedzanych beskidzkich regionów?

Naszą gminę odwiedza masa turystów, zwłaszcza w sezonie letnim. Przyjeżdża wielu turystów z Polski, dla których pobyt tu jest stosunkowo tani. W Łomnej Dolnej jest 7 ośrodków wczasowych oraz około 200 chat prywatnych. Przygotowaliśmy nowe rozporządzenie o likwidacji odpadów komunalnych. Opłaty są zobowiązani uiszczać również właściciele domków letniskowych, suma ta wynosi obecnie 350 Kč rocznie. Niestety nie wszyscy płacą. Wywóz zapewnia prywatna firma NELSEN. W tym roku była też otwarta trasa zjazdowa, niestety narciarze z powodu braku śniegu nie mogli z niej skorzystać.

W bieżącym roku odbędą się wybory komunalne. Jakie zadania będą musieli rozwiązywać nowi radni?

Nowe przedstawicielstwo gminne będzie musiało dokończyć gazyfikację, naprawić nawierzchnie dróg, rozkopanych zwłaszcza przez przedsiębiorstwo TELECOM. Środki finansowe będą też potrzebne na szkolnictwo. Tu chciałabym podkreślić zasługi dyrektor polskiej szkoły pani Lidii Kalety, odchodzącej w bieżącym roku na emeryturę.

Przedstawicielstwo gminne zdecydowało, że w następnej kadencji będzie ponownie 7-osobowe. Wspólnota zgłosi w wyborach komunalnych pełną, tj. 7-osobową listę.

Rozmawiał
TADEUSZ TOMAN

PODWÓJNY JUBILEUSZ

25-LECIE DOMU PZKO W SKRZECZONIU I WSPÓŁPRACY Z GRODKOWEM

Jednym z głównych zadań zarządu skrzeczońskiego Koła PZKO po pierwszym walnym zebraniu, które odbyło się 16 listopada 1947 roku, było zabezpieczenie pomieszczenia dla potrzeb Koła. Warunki lokalowe były początkowo dosyć trudne. Zebrania zarządu oraz próby chóru mieszanego Hasło i zespołu teatralnego odbywały się w salce restauracji Leona Sittka, a czasem w budynku przedszkola. Po otwarciu w roku 1948 miejscowej polskiej szkoły jedną z klas w tymże budynku przeznaczono na świetlicę. Na początku roku 1950 wynajęto lokal w byłym składzie Alfreda Klisza. Lokal, choć schludny, dla potrzeb Koła był za mały.

Kłopoty skończyły się, gdy 1 stycznia 1954 roku wynajęto obszerny lokal w budynku Hugona Szewczyka, gdzie obok sali prób i spotkań znalazła również swoje miejsce biblioteka. Lokal służy pezetkaowcom do dziś, bowiem po śmierci właściciela jego spadkobiercy podjęli decyzję o odsprzedaży całego budynku Kołu PZKO. Zarząd Główny udzielił Kołu finansowego wsparcia

i 25 kwietnia 1973 roku została podpisana umowa o kupnie budynku, potwierdzona stosowną decyzją Miejscowej Rady Narodowej.

W pierwszym etapie remontu Domu naprawiono dach i dokonano połączenia dwu pomieszczeń na parterze budynku w jedną obszerną salę. W roku następnym budynek zyskał nowe tynki, a pomieszczenia na pierwszym piętrze przystosowano do potrzeb pracy w Kole. Kolejnym etapem przebudowy był remont urządzeń socjalnych. W roku 1977 zagospodarowano teren obok budynku, który do dziś służy wiosennym i letnim spotkaniom skrzeczońskich pezetkaowców.

Z każdym rokiem Dom jaśniał swoim wyglądem, nowe okna, nowe podłogi, umeblowanie pomieszczeń, wyposażenie kuchni. A wszystko to dzięki niestrudzonej pracy miejscowych działaczy i finansowemu wsparciu ZG PZKO, Miejscowej Rady Narodowej w Boguminie oraz bogumińskiej Huty i Druciarni, za co należą się słowa serdecznego podziękowania. Do najbardziej zasłużonych w tym zakresie działaczy Koła należą Eryk Czerny – prezes Koła w latach 1969 – 1982, Bronisław Waluszczyk – długoletni gospodarz i obecny gospodarz Stanisław Górniok oraz wiele osób, których nie sposób wymienić, dzięki którym budynek pięknieje, a w jego wnętrzu spotykają się członkowie chóru

Prezes Towarzystwa Miłośników Grodkowa – Józef Kośla (z prawej) wręcza medale prezesom MK PZKO...

Hasło, zespołu Andrusi, zespołu muzycznego, Klubu Kobiet, Klubu Młodych, Klubu Dziecięcego i miłośnicy książek.

Rok 1973 ma dla Koła PZKO w Skrzeczoniu znaczenie nie tylko z powodu uzyskania własnego lokalu, ale także nawiązania obustronnie korzystnej współpracy kulturalno-oświatowej z Towarzystwem Miłośników Grodkowa, leżącego na ziemi opolskiej.

W ramach wzajemnych kontaktów delegacje grodkowian gościły w Skrzeczoniu, między innymi podczas kolejnych rocznic istnienia Koła, pezetkaowskich festiwali oraz jubileuszy chóru Hasło i zespołu teatralnego Świt. Delegacje Koła uczestniczyły w Grodkowie podczas kolejnych obchodów Dni Elsnerowskich, zebrań i bali Towarzystwa.

Ważny rozdział w obustronnych kontaktach stanowi wymiana zespołów. Na naszym terenie występowały zespoły instrumentalne Forum i Makyo, młodzieżowa orkiestra dęta z Grodkowa, zespół góralski z Sidziny oraz chór mieszany Grodkowia. W rewanżu w Grodkowie występował zespół teatralny Świt, chór mieszany Hasło, zespół taneczny oraz popularny zespół estradowo-kabaretowy Andrusi. Najczęściej jednak w Grodkowie i okolicy występował zespół instrumentalny Meteor, głównie podczas kolejnych Muzycznych Jesieni.

„Andrusi" wystąpili z Konstantym Krzystkiem (w środku).
fot. FRANCISZEK BAŁON

Duże znaczenie dla wzajemnie przyjaznych kontaktów mają wymiany wycieczek. Zarząd Koła zorganizował dla grodkowian wycieczki do Brna, Ołomuńca, Koszarzysk, Żywocic oraz na Gorolskie Święta do Jabłonkowa. Natomiast dzieci ze Skrzeczonia pojechały na kolonie do Krakowa, a pezetkaowcy na wycieczki do Warszawy, Szczecina, w Góry Stołowe i okolice Grodkowa, zorganizowane przez zarząd Towarzystwa Miłośników Grodkowa. Oprócz tego członkowie skrzeczońskiego Klubu Młodych przebywali nad Bałtykiem, Jeziorem Otmuchowskim i Jeziorem Turawskim. Była też wymiana młodzieżowych wycieczek kolarskich.

Z okazji podwójnego jubileuszu w Skrzeczoniu 27 czerwca odbył się festyn. Dopisała pogoda i skrzeczońscy pezetkaowcy, którzy z całymi rodzinami przybyli do ogrodu przy Domu MK PZKO.

Przewodniczący Koła Bogusław Czapek przywitał przybyłych na festyn gości, a wśród nich prezesa ZG PZKO Jerzego Czapa, dyrektorkę PSP w Dolnej Lutyni Alicję Berki, delegację zaprzyjaźnionego Towarzystwa Miłośników Grodkowa na czele z jego prezesem a zarazem burmistrzem miasta Józefem Koślą, byłego długoletniego prezesa MK Eryka Czernego i nestora zespołu Andrusi Konstantego Krzystka. Prezes ZG PZKO wręczył legitymacje nowym, najmłodszym członkiniom Koła Krystynie Berki i Renacie Guziur. Prezes grodkowskiego Towarzystwa udekorował okolicznościowymi medalami Eryka Czapka, Alojzego Sładeczka, Bogusława Czapka, Stanisława Górnioka i Tadeusza Guziura, a dla Koła przekazał okazały jubileuszowy puchar. Nie był to pierwszy dar od grodkowian, kolekcja ich pucharów zajmuje czołowe miejsce w Izbie Tradycji skrzeczońskiego Domu.

W programie artystycznym udział wzięły miejscowe zespoły: chór mieszany Hasło pod kierownictwem Ireny Szeligi, zespół taneczny dolnolutyńskiej szkoły, zespół dziecięcy skrzeczońskiego Koła i zespół Andrusi. Gościnnie zabawiał gości gawędami Tadeusz Filipczyk, a konferansjerką była Maria Sładeczek. Niezwykle gorąco reagowała publiczność na występy Andrusów, którzy zaprezentowali zaledwie fragment swojego bogatego repertuaru, zmieniając kilkakrotnie stroje. Zespołem Andrusi kieruje Czesław Bugdol, a jego najstarszym członkiem jest Konstanty Krzystek, który z okazji jubileuszowego festynu rozśmieszał publiczność monologiem pt.“ Żydzi“, a także wraz z zespołem śpiewał dobrze znane publiczności szlagiery.

Na piętrze budynku można było obejrzeć wystawę robót ręcznych, przygotowaną przez Klub Kobiet, którego przewodniczącą jest Maria Ożóg.

W przerwie bogatego programu można było zjeść miejscowe smakołyki, a później potańczyć przy muzyce zespołu Krater.

T.G. i E.S.

NIE MOGĘ ŻYĆ BEZ ZAOLZIA

ROZMOWA Z PAWŁEM NIEDOBĄ

Przed trzema laty obchodził dwudziestopięciolecie pracy artystycznej, które przeżył jako aktor na deskach jednego teatru – Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego. Jest jednym z niewielu już „naszych" ludzi, którzy na stałe związali swoje losy z tym teatrem. W tym roku obchodzi jubileusz życiowy. To szczególna okazja do wspomnień i refleksji, niekoniecznie tylko tych poważnych. Rozmowę z Pawłem Niedobą rozpoczęłam od pytania o debiut.

Jakie były Pana pierwsze kroki sceniczne?

Najpiękniejszy mój debiut odbył się, kiedy miałem 6 czy 7 lat. Ubrano mnie w strój góralski, tatuś trzymał mnie na rękach – było to na Gorolskim Święcie – a ja śpiewałem: Na stodole w gumnie... To był mój pierwszy publiczny występ. Kiedy byłem w szkole średniej, złapał mnie poeta Jan Pyszko, który w Nawsiu w naszej gospódce U Kosa zaczął wystawiać sztuki teatralne. Próby odbywały się w gospodzie, graliśmy w bilard, przy tym czytaliśmy teksty, było wspaniale. Graliśmy np. sztukę „Kolejka na Jaworowy". W hucie zrobiono z żelaza wagonik i podczas spektaklu

przez salę po linie przejeżdżała kolejka. Sztuka trwała około dwie i pół godziny. W pierwszym rzędzie siadali księża, koło nich ciotki. Ludzi było tak dużo, że dzieci zajmowały okna. Przychodziła cała wieś, bo to było wydarzenie. Ale jeśli księdzu nie spodobał się pierwszy akt, to wstał i już nie wrócił. Za nim odeszły wszystkie ciocie i pół sali opustoszało.

Jest Pan absolwentem czeskocieszyńskiego gimnazjum?

Z czasów gimnazjalnych wspominam szczególnie prof. Błanika. To był mój ulubiony profesor. Próbował mnie uczyć łaciny i niemieckiego. Wiele mnie nie nauczył, ale czułem przed nim autentyczny respekt, kochałem go. Cudowne były dojazdy pociągami do szkoły, jeździły wtedy jeszcze lokomotywy parowe. Graliśmy w pociągu w karty, konduktor wyrzucał nam te karty przez okno. Występowałem na wszystkich akademiach szkolnych, dyrektor Zahraj zaangażował mnie do śpiewania na dużej przerwie piosenek do głośnika. Ogromnie podobał mi się śpiew. W ogóle nie chciałem być aktorem.

Talent można odziedziczyć?

Ojciec skończył 84 lata, ale jeszcze dziś ma silny głos. Kiedy huknie... Zawsze ogromnie mi się to jego śpiewanie podobało. Ojciec to fantastyczne chłopisko. I dostał, wydaje mi się, od Boga taki dar. Dar osobowości. Nie musiał grać, był sobą. Jednak w naszej rodzinie najbardziej muzykalna była moja mama Helcia. Do dziś jeszcze tak pięknie gra na fortepianie. Mama była w kościele w Nawsiu główną organistką. Kiedy ksiądz nie miał przy organach Helcinki, bo my ją Helcinka nazywamy, czuł się nieswojo. Ja sam trochę pograłem na pianinie, na trąbce, potem spodobał mi się saksofon, grałem też na harmonijce. Wygrałem kilka konkursów piosenkarskich.

Jednak został Pan aktorem?

I główną winę i odpowiedzialność za to ponosi moja mama. Mama pochodzi z Cieszyna, jest kobietą wykształconą. To ona namówiła mnie, bym poszedł do szkoły teatralnej. A ja już wcześniej zdałem egzamin do szkoły leśniczej. Marzyłem wtedy, że chodziłbym ze strzelbą po lesie, miałbym leśniczówkę, kochającą żoneczkę, 10 - 11 dzieci, bo zawsze mi się podobała duża rodzina. Ale rodzice uznali, że mam talent. Zdałem egzamin do PWST w Krakowie i zostałem przyjęty.

Czy nie żałował Pan swej decyzji?

Przyznaję, że dzisiaj trochę żałuję. Bo z zawodem, który ja wykonuję, powinno iść się w świat i robić karierę. A ja jestem typem człowieka, który nie potrafi żyć poza stronami rodzinnymi. Każdy ma w życiu takie momenty, okazje, których nie wykorzysta, a potem żałuje. Np. gdzie teraz byłbym, gdybym został piosenkarzem.

Jak Pan wspomina lata studenckie?

Do Krakowa przyjechałem w 1967 roku. Studiowałem z fantastycznymi ludźmi: Jerzym Trelą, Jerzym Stuhrem, Grażyną Barszczewską, Leszkiem Teleszyńskim, Olgierdem Łukaszewiczem. Mieszkałem w pokoju z Wojciechem Pszoniakiem. Podczas studiów grałem w „Złotej czaszce", „Weselu". Występowałem w Klubie Pod Jaszczurami, brałem udział w Festiwalu Piosenki Aktorskiej. Cały czas najbardziej odpowiadał mi śpiew. Słowo mówione tak do mnie nie przemawiało. Chciałem iść do operetki, ale profesorowie okrzyczeli mnie, że operetka to nie jest aktorstwo. Dyrektor Teatru Słowackiego Bronisław Dąbrowski zaproponował mi miejsce w swoim teatrze. Ale mnie ciągnęło do miejsc, gdzie się urodziłem.

I został Pan aktorem Sceny Polskiej. Czy trudno było wyzwolić się z mitu syna sławnego ojca?

Zawsze słyszałem, że było mi łatwiej, bo przecież tata... Zazdrościłem kolegom, którzy byli uwolnieni od tej popularności rodziców. Były czasy, kiedy proponowano mi miejsce kierownika czy dyrektora. Ale ja nie chciałem być tym, czym ojciec, ja chciałem być sobą.

Jakie role proponowano Panu w teatrze?

Akurat wtedy byłem jeszcze piękny i młody, nie siwy, dostawałem więc role amantów. A to są w zasadzie najgorsze role. Chodzi taki po scenie i nie ma właściwie nic do powiedzenia. Najlepsze są role charakterystyczne, kiedy można zagrać jakąś konkretną postać. Bardzo lubię role komiczne. W Scenie Polskiej mistrzami byli Janusz Bobek i Władysław Liberda. To była już wrodzona vis comica. W rolach komicznych potrzebna jest błyskotliwość umysłu, kiedy dialog leci szybko, a tu jeszcze trzeba stworzyć śmieszną figurkę. Jest to bardzo trudne, trudniejsze niż przeżywanie w rolach dramatycznych.

Pana szczególne sukcesy teatralne?

Sukcesem była oczywiście rola Janosika i całe przedstawienie „Na szkle malowane", które graliśmy przez dziesięć lat. Bardzo lubiłem rolę w sztuce Bukovčana „Zanim kur zapieje". Było tych ról wiele, bo mam już na swoim koncie ponad 150 premier. Bardzo fajnie było w Scenie Polskiej w czasach, kiedy byli tu „nasi" ludzie, np. państwo Gogółkowie, Bobkowie, mój tata, bo to był teatr rodzinny. Większość czasu spędzaliśmy w teatrze.

A jak jest dziś?

Kiedy wróciłem tu po studiach, Scena Polska objeżdżała prawie 60 stacji. Dziś zostało ich dwanaście. Po drodze od Jabłonkowa do Czeskiego Cieszyna jest tylko Trzyniec. Od czasu do czasu zagramy w Wędryni. Jeśli jedno przedstawienie gramy dwanaście razy, to nie warto się tekstu uczyć.

Gdyby miał Pan scharakteryzować siebie?

Jestem normalnym chłopakiem stąd, który kocha rodzinę, kocha ludzi z tego terenu. Jestem znany, ale kariery nie zrobiłem, pieniędzy nie mam. Raz już odszedłem ze Sceny Polskiej na dwa lata, by pracować w kopalni. W teatrze zarabiałem mniej niż trzy tysiące koron, w kopalni miałem osiem. Teraz obydwie córki są na studiach, to kosztuje. Ale nie narzekam.

Właśnie! Albo się żenić, albo być artystą?

Podziwiałem dawnych artystów, np. w Paryżu, którzy nie mieli pieniędzy ani na mieszkanie, ani na jedzenie, żyli dniem dzisiejszym, chwilą, a byli geniuszami. Ja też lubię brać, co życie niesie, wszystkiego po trochu. Zawsze byłem zwolennikiem płci pięknej. Uważam, że mężczyźni są nieciekawi, a kobiety fajne. Na szczęście mam bardzo tolerancyjną żonę. Ciągle ciągnie mnie do teatru, do tych desek. Chociaż nie ma już tej atmosfery rodzinnej. W zespole aktorskim została tylko trójka ludzi z naszego terenu: Halina Pasekowa, Kazimierz Siedlaczek i ja. A widzowie są ciągle ci sami. Mają nas jak na dłoni, kontrolują nas. Na scenie i w życiu prywatnym.

Ma Pan poza teatrem jakieś inne hobby?

Lubię gotować, łowić ryby, chodzić do lasu, na grzyby. Kocham przyrodę. Kiedy coś mnie gryzie, np. nie mogę poradzić sobie z rolą, biorę rower górski, wyjadę na Czantorię, przeja-

dę przez Soszów, Stożek, zjadę do Bukowca albo z drugiej strony przez Jaworowy, Ostry, Kozubową, Połom. Wrócę zmęczony, ale mogę na nowo siadać i uczyć się tekstu.

Ostatnią Pana rolą jest Franciszek w sztuce „Czarujący łajdak"?

Niedawno grał tę rolę Jan Kobuszewski. Specjalnie nie oglądałem tego spektaklu. Dowiedziałem się później od reżysera Andrzeja Gałły, że potraktowałem tę rolę zupełnie inaczej niż Kobuszewski. On zagrał ładnego dżentelmena, który opowiada ludziom o swoich przeżyciach z kobietami. Ja grałem rolę na zasadzie z życia wzięte. Po premierze znajomi stwierdzili, że to tak wygląda, jakbym ja w ogóle nie grał. Jakbym to był ja. I to cieszy mnie najbardziej.

Gratuluję wobec tego doboru postaci na jubileusz i dołączam się do życzeń urodzinowych: Oby nie zabrakło w Pana życiu dobrych ról i oby miał Pan zawsze peł-ną widownię.

Dziękuję za rozmowę.

CZESŁAWA RUDNIK

GUSTAW SAJDOK

OBŁĘD

Zgubiłem
kroplę dnia
błękitną perłę głębin
Słonecznik van Gogha
w samo południe
balansuje
na pograniczu obłędu
korzeniem w ziemi
głową w niebie

Jestem bezradny
stoję
nad burzącym się
oceanem
zastygam
w zamyśleniu

Gdzie szukać
zagubionej
kropelki czystego nieba
Będę cierpliwie
czekał
któregoś lata
musi dojrzeć
słonecznik van Gogha

* * *

Moje drobne
wstydliwe uczucia
toczą się po twarzy

Wyjmij z torebki chusteczkę
zatrzymaj dla siebie
tę moją słabość
to nasze wspólne
przyznanie się do winy

* * *

Znalazłem na drodze
śrubkę
zwyczajną śrubkę
nie wiem komu ją oddać
na pewno
gdzieś tam brakuje

Może to drobnostka
może
o życie chodzi
Zobaczcie
sprawdźcie
zanim ruszycie dalej
Napiszcie pod adres
– Ten
kto śrubkę znalazł –
a oddam ją
wróci w to miejsce
gdzie gwint
jak ulał pasuje

* * *

Wydłużę cień samotnej sosny
Przezimuję z moim piecykiem
jeszcze jedną udrękę

Ktoś trąci mnie łokciem
zachęci
bym szedł dalej

Pójdę przed siebie
i w ciszy drążony szelest
przejdzie
w jeszcze jeden hałaśliwy dzień

* * *

Kontury cieni wyostrzę
knot świecy podkręcę
Ponad szczytami
popod głębiami
oplotę korzeniami
ziemię
by ludzie żyli
prościej

WIESŁAW ADAM BERGER

Z BARCELONY DO MIESZKOWIC

(Pamiętnik pisany dniem i nocą)

22 IX 1995 Cedynia. Dzisiaj, jak podają w programie, ma się odbyć dyskusja na temat Mniejszości narodowe – Minderheiten.

W programie wymieniono także moje skromne nazwisko.

Jedziemy przez bardzo romantyczny krajobraz, przypominający prozę Sienkiewicza, lasy Żeromskiego, beskidzkie lasy Sikory a nawet Mickiewicza (Pan Tadeusz). Może nieco przesadziłem. Tak to jednak widzę, oczami chłopca, kiedy wczytywałem się w tomy książek naszych wieszczów. A może oni już dzisiaj nie są wieszczami? Hłasce nie bardzo odpowiadali. Takie były czasy, potem przyszły inne, a teraz są całkiem inne. *„Was im Liede soll erstehen, muss im Leben untergehen“.*

Ale wybrali sobie „prawdziwka“, myślę o sobie, długo odczuwałem „kompleks mniejszościowca“, może teraz, kiedy im o tym opowiem, zrzucę z siebie ten balast. Pejzaż, teraz już mój, pełen jest słońca, blasku wody, jezior i rzek, jedna płynąca w zakolach rzeka, przypomina mi Łucynę, więc jestem w domu i myślę o tym, co im powiedzieć. Czuję odpowiedzialność za swoje słowa, ale nie mogę mówić tego, czego nie odczuwam. Człowiek zawsze i wszędzie powinien być sobą. Są jednak tacy, którzy są sobą tylko wówczas, kiedy stają się kameleonami.

Mijamy przejazd kolejowy. Szyny zarośnięte są trawą. Widać, że pociągi już dawno tu nie kursują. Jest także piętrowy dworzec z czerwonej cegły, który już nie jest dworcem. Szyny są pogięte, można nimi pojechać do „krzywokłodów“ na jakąś pokrzywioną stację lub plener stworzony przez Felliniego. Zawsze fascynują mnie stare sprawy, prowadzące do tajemniczego świata. Przecież tędy kiedyś (kiedy?) jeździli dokądś ludzie. Jak wyglądały lokomotywy, wagony, dyżurny ruchu, pasażerowie?

Wysiadamy przed nową szkołą. Wydaje mi się, że jestem gdzieś na samym końcu świata, a właściwie to jestem na początku

Polski. Bolek przedstawia mi przystojnego, wysokiego mężczyznę, Serbołużyczanina Benedykta Dyrlicha. Pierwsze co widzę, to jego – u nas by to nazwano luksusowym samochodem – auto ze znakiem rejestracyjnym D. Na sali Dyrlich walczy jak lew o swoją mniejszość i czyta poezję w swoim języku, a potem po niemiecku (oj gdybym ja tak potrafił po czesku), odbieram to bardzo – jako egzotyk – egzotycznie i bardzo mi się to podoba. Ciekawy naród – wyspa Słowian w morzu niemieckim. Ich historia musi być pasjonująca. Teraz już ich nie gnębią fikcyjnym internacjonalizmem, ale mają inne problemy i pretensje do niemieckiej demokracji – sprawy gospodarcze i potrzeba przystosowania się do nowych rządów. Mają podobne pretensje jak Zaolzianie. Wizytówką moralności i poziomu kultury większości czyli państwa jest sposób, w jaki obchodzi się z mniejszością narodową w swym państwie.

Ale co ja? Powiedziałem, co myślałem, że oczywiście mam swoje korzenie, narodowość i to wszystko, co Zaolziak powinien mieć, ale nie noszę w sobie historycznych nienawiści i zazdrości ani do Czechów, ani do Niemców, czy Austriaków, bo zrozumiałem, że nie można całego narodu wsadzać w jeden worek i zrozumiałem także, że nie ma dobra bez zła i odwrotnie, tak jak nie ma życia bez śmierci. Ostatnio nie czuję się mniejszościowcem, ani prześladowanym Polakiem, ale kiedy mnie nawet prześladują, to mówię im z ironią i szyderstwem: odpieprzcie się MAM SWOJE PRAWA W TEJ I TAMTEJ ZIEMI, ONA JEST TAK SAMO MOJA JAK I WASZA – mam swoje prawa i co możecie mi zrobić? Chcę żyć i żyję jako pełnowartościowy i prawy obywatel nie tylko Republiki Czeskiej, ale także Europy. Chcę być człowiekiem, a nie niewolnikiem mniejszości ani większości. Przygotowanego referatu nie przeczytałem, do diabła z referatami. Powiedziałem, co i jak myślę. Mam wreszcie, mimo wszystko, otwarte granice i mogę, kiedy zechcę, pojechać do Polski lub gdzie indziej. Człowiek musi mieć prawo bycia sobą. To co mówiłem, nie bardzo odpowiadało Dyrlichowi i wcale mu się nie dziwię. Oni żyją w innej sytuacji i warunkach. Są enklawą, wyspą słowiańską w morzu niemieckim. Mniejszość jednak nie może zamykać się w murach swojej kultury, bo zostanie rezerwatem we własnym świecie. Jedni zrozumieli, inni nie. Trudno. To ja żyję na Zaolziu – w Ostrawie tylko mieszkam – w kotle kilku narodowości, one miały wpływ na kształtowanie się mojego światopoglądu. I kiedy to wszystko zrozumiałem, piszę i mówię tylko w moim imieniu –

nie kocham tych, którzy chcą mówić w imieniu całego narodu. Niektórzy nasi mówią mi, że nie jestem Polakiem (Czesi mówią o mnie ten Polak, w Polsce, zdarza się, ten Czech). Nie są mi potrzebne dumne znaki rejestracyjne, ani szufladki. Dajcie mi już święty spokój. Piszę tylko po polsku – więc wszyscy moi drodzy Rodacy, co z tego wynika? Ikar skaczący z okna?

Zrozumiał mnie i powiedział to w dyskusji, bo szedł razem z moimi myślami, Olaf. On, berlińczyk, zrozumiał, o co mi chodzi i zaprosił do Berlina. Zobaczymy, co z tego wyniknie...

Ze szkolnego tarasu widać szerokie, płaskie zielone pola, porośnięte rzadkimi kępami krzaków i pojedynczymi drzewami. Tu Mieszko – założyciel państwa – także toczył o to państwo bitwy.

W Cedynii lasy i słońce, i mnóstwo grzybów. Na obiad wspaniały gulasz.

Wracamy na cmentarz w Siekierkach, który przypomina mi Monte Casino, tu też było ciężko. Odpoczywa tu po ciężkim znoju w walce o wolność i demokrację, której później „demoludy" całkowicie łeb ukręciły, około półtora tysiąca polskich żołnierzy. Niemieccy pisarze złożyli na cmentarzu wieniec z biało-czerwoną wstęgą. Jeden z nich mówił o tym, jak spędził tu swoją młodość i jako piętnastoletni chłopak pomagał przy pochówku poległych polskich żołnierzy. (Żołnierze byli polscy, dowódca radziecki, ten przeżył). Jego – Niemca – wzruszenie wbiło się głęboko w moją pamięć. Wreszcie nadszedł czas dojrzewania. Polegli Amerykanie mieli groby w innym miejscu. Niemieccy żołnierze na cmentarzu. Ale pisarz, berlińczyk, był tu z Polakami już wtedy. Żywi Amerykanie musieli się stąd wynieść. Zostali Ruscy. Polacy z Ruskimi poszli na Berlin. Stalin triumfował. *Cóż można powiedzieć o Polsce* – pisze Marek Hłasko – *poza tym, iż przestała istnieć w dniu, w którym spiker Radia Moskwa powiedział: Dzisiaj, 11 stycznia 1945 roku nasze pełne chwały wojska oswobodziły miasto Warszawę. Wieczna sława bohaterom Armii Czerwonej poległym w dziele oswobodzenia Ojczyzny. Śmierć niemieckim najeźdźcom*, z którymi ten sam Stalin dokonał w roku 1939 czwartego rozbioru Polski, a potem był Katyń i obozy koncentracyjne, tyle że czerwone. Stalin zawsze i wszędzie wygrywał, jednak pierwszą swoją bitwę przegrał z Polakami za czasów Józefa Piłsudskiego. Ostatecznie przegrał w kilka lat po śmierci, ale jego demon generalissimusa nadal straszy świat.

Białe krzyże w Siekierkach – dziwiłem się, że nie czerwone gwiazdy – świeciły w gorącym jesiennym słońcu, stojąc w dłu-

gich szeregach. Ile iluzji, ile marzeń i wiary w przyszłość, ile dobrych uczynków tam pochowano... Co musiało się tu dziać z tubylcami po zwycięstwie nad III Rzeszą? Zawsze za winnych płacą niewinni. Podobne do siebie systemy likwidowały się nawzajem a zarazem, u siebie, swój swego, syn ojca, brat brata... Lenin, Hitler, Stalin i cała banda bolszewickich i nazistowskich morderców – ci „ludzie" rodzili się chyba z okrucieństwem i śmiercią zakodowanymi w swych mózgach. Jakimi oni byli dziećmi? Czy wiadomo, jaki był koniec Hitlera lub Stalina? „Ziemie Odzyskane" pod władzą nazistowską a potem bezpardonową komuną. Hitlerowski porządek, a potem sowiecki bałagan. Gestapo a potem GPU. Trudno sobie wyobrazić – chociaż to samo dziś dzieje się na terenach byłej Jugosławii – tę całą ludzką biedę, nienawiść i bezsilność. Starałem się zrozumieć, stojąc nad grobami polskich żołnierzy, jak niedorzeczne są nasze zaolziańskie, pretensje w stosunku do tej tu historii... Tu nie narodowość odgrywała główną rolę, lecz partie – czarna i czerwona. Ale historia krzywym kołem się toczy. Ludzie ludziom czynią z historii histerię i śmierć. To samo działo się na Zaolziu i z Zaolziem już od roku 1918.

Siekierki i Monte Casino są symbolem, z jedną tylko różnicą – przynajmniej tak mi się wydaje – w Siekierkach walczono o inną Polskę...

Patrząc na białe krzyże, na pomnik matki z dzieckiem, na nowy, duży krzyż i słuchając berlińczyka z biało–czerwoną wstęgą w ręce, który całą tę tragedię rozumiał w podobny sposób jak ja, miałem łzy w oczach, on także i głos mu się załamał. Po 50 latach wszystko wraca. Na polach bitewnych, na krwi kilku zwaśnionych rodów rośnie wieczna trawa, rosną drzewa i lasy. Nadszedł czas pojednania. Ale pomyśleć tylko, że Jelcyn wali pięścią w stół... Zaprowadźcie takich do Siekierek i przywiążcie do krzyży, może, kiedy trochę powiszą, zrozumieją.

Z Siekierek pędzimy autobusem do miasta Bad Freienwalde, ale przez granicę tylko dla samochodów osobowych nie wpuszczają nas z autobusem. Trzeba jechać okrężną drogą – około 100 km. Urzędasy się nie zmienili, wszędzie są tacy sami. Komuna nie komuna, oni wszędzie mają swego fioła... I gdzie, do jasnej cholery, jest ta moja Europa?! Wszędzie pełno śmiejących się z nas złośliwie Zwergów. Autobus pełny jest słów niemieckich i polskich: my się rozumiemy. Chodzi nam o coś więcej, dla nas granice nie istnieją. Nie ma granic w literaturze, w przyrodzie ani na niebie...

Jednak rozumiemy, że trzeba bronić granic przed różnymi chamami, durniami, rasistami itp. Jak z tego wybrnąć?

Stoimy na moście, pod nami płynie Odra, a my stoimy i stoimy... Wreszcie ruszamy, zostawiając za sobą złośliwe krasnale. I znów jesteśmy w byłej NRD, wszystko podobne jest tu do naszego krajobrazu. Miasta a zwłaszcza osiedla niczym nie różnią się od naszych domów klatek–ulów–punktowców. Po dwu godzinach jesteśmy w Bad Freienwald (50 km od Berlina). Piękne miasto, przypomina Marienbad. Szukamy Lesecafe Schlosspark, w mieście naprawiają ulice, więc trudno trafić. Zatrzymujemy się koło apteki, zza okna wystawowego patrzy na nas uśmiechnięty... krasnal, duży i mruga do mnie figlarnie: *rozumiem cię stary, to dobrze, że się zjawiłeś, takiego to oni tu jeszcze nie mieli...*

Wreszcie jest Schlosspark. Do kawiarni prowadzi mnóstwo schodów. Jakoś udaje nam się z Bolkiem zwyciężyć nad schodami – tym razem zawał nas ominął. Wnętrze kawiarni – jak to w „badach" bywa – bombonierkowo–paryskie, coś z któregoś tam Ludwika, coś z rokoka. Przyjemnie. Opowiadają nam o Badzie, można by tu, będąc bogatym, posiedzieć i popisać. Spokój, zieleń, bogate wille, kwiaty, parki, ogrody... I znowu toasty z dobrym niemieckim winem i dobre niemieckie jedzenie. I w Polsce, i w Niemczech jedzenie było OK.

W wielkiej sali Pałacu Kultury swój „Poemat in Memoriam an Anna Papelpu" czyta Erika Stöpler z Berlina. Zaprzyjaźniłem się z nią. Jej poemat to historia zbrodni ludobójstwa w czasie II wojny światowej w Wetzlar, w tym mieście Erika się urodziła, ja zaś wylądowałem tam w roku 1944, Erika miała wówczas dwa lata. Teraz czekam na jej list. Potem fragment swej książki czytał Andrzej Braun z Warszawy – jeden z czołowych pisarzy polskich – założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i jego pierwszy prezes: *Przegraliśmy obaj... Człowiek przegrywa, kiedy przestaje walczyć. Kiedy przekreśla siebie. – Kto nas tu zwyciężył? – pytał Reksza z rozpaczą. – Historia – odparł jak echo Lach. – Trzeba było nie brać udziału. – Zawsze człowiek powinien brać udział... – Ale przecież robiliśmy to po coś, dla jakiegoś celu... – Piekło pochłonie tych, którzy mu służą. (...)* W tym fragmencie prozy mieści się tragedia całego półwiecza historii, rozpoczynającej się w roku 1939 – tragedia nadal trwa – po gestapowcach przyszli ubecy... Co gorsza, ci panowie nas nie opuścili i jeszcze uważają się za niewinnych.

Na zakończenie wystąpił z głęboką ironią pisarz niemiecki Heinz Kahlau. Pomyślałem wtedy, że tylu wspaniałych pisarzy stara się jakoś żyć – pisząc – na tym zwariowanym świecie, a ja osobiście znam ich tylko kilku, sam będąc ziarnkiem piasku na pustyni.

Wracamy. W kawiarni Mieszka jeszcze nocne rozmowy, przede wszystkim z Eriką i Jerzym. Była to moja ostatnia tam noc. Z Eriką obiecujemy sobie wspólny wyjazd do Wezlar.

23 IX 1995. Rano pożegnałem się z wszystkimi serdecznie. Może zobaczymy się w przyszłym roku? Olav ponownie zaprosił mnie do Berlina. Chciałbym wreszcie zobaczyć to miasto nie rozdzielone. Czy zobaczę? Pożyjemy, zobaczymy, a może nie pożyjemy i nie zobaczymy?!

Z panem Andrzejem Braunem pojechaliśmy na dworzec do Mieszkowic. Właściwie to on przyjmował mnie do SPP w Warszawie. Było mi przykro, iż nie poznałem go w Bad Freienwalde. Dopiero później dowiedziałem się, w jak niezręcznej sytuacji się znalazłem. Nie będę się jednak o tym rozpisywał. Należę do SPP i nie chcę skwaśnieć – na tym koniec sprawy. Myślałem o tym w pociągu całych osiem godzin patrząc w słoneczny, coraz bardziej ciemniejący krajobraz Polski Zachodniej – i przypomniało mi się owo „Piekło wybrukowane": – *Przegrałem tak jak ty. Jak my wszyscy. Kłamiąc. Wiesz, kiedy przegrałem? Kiedy uwierzyłem. Kiedy ograbiłem się z wiary w siebie...*

Pożegnaliśmy się, dwaj siwiuteńcy panowie, na dworcu w Mieszkowicach. Pan Andrzej Braun pojechał jeszcze do Szczecina, a ja w przeciwnym kierunku ekspresem Szczecin – Budapeszt, do Bogumina. Wysiadłem jednak w Chałupkach, poszedłem na piechotę przez most nad Odrą. Oczywiście komputer działał prawidłowo: Niech pan idzie!

Życie leci dalej, kulawe, garbate – ale jakoś leci...

1 XI 1995. ZADUSZKI. Do dzisiaj od nikogo, chociaż do wszystkich pisałem (do Berlina, do Szczecina), nie otrzymałem listu. Trudno. Za dużo sobie obiecywałem od Polsko–Niemieckiego Statku Literackiego – Deutsch–polnischer Poetendampfer 17 – 28 September 1995. Czyżby wszyscy o wszystkim zapomnieli, cośmy sobie obiecywali? A może mi się to wszystko tylko śniło? Ale tacy głupcy jak ja, nadal wierzą w poranek...

Dopisałem dnia 17 XI 1995 w Ostrawie.

W BRNEŃSKIM TEATRZE HUSA NA PROVÁZKU

Słońce nadziane na wieżach Petrowa / Wpadło w pułapkę ja też dałam się złapać / wieczorowi i Brnu aurze i zapachom / Ciągnęło mnie do teatru / od jednego uciekłam / ale nadal trzymały mnie jak na sznurku / rekwizyty i zwłoki nieżyciowa krew / Mądrzy nazywają to przywiązaniem / Krwawiące słońce oświetlało budynek teatru / Husa na provázku Na sznurku balansował / malowany pierrot Obok na tarasie / spacerował król w białej kryzie / który urwał się z innej epoki / Tylko niezbędny papieros / demaskował jego rolę i miejsce w życiu / i w tym mieście Przekłute słońce powoli / ściekało po wieżach Na scenę / wchodził księżyc w dole brzmiały oklaski / Nieboszczykowi jeszcze raz / udała się stara sztuczka / Z niedowierzaniem kłaniał się tym / którzy ochoczo pozwalali się oszukiwać / Biło mi serce zawsze mam żywszy puls / kiedy czuję ten zapach jedyny na świecie / Kiedy krwawi zachodzące słońce / Gdy aktorzy sadowią się / wolno w garderobach / Sentymentalna gęś ze mnie pomyślałam / Taka stara a nadal zielona.

Wiersz ten powstał tuż po wieczornym rekonesansie, w trakcie którego chciałam stwierdzić czy Brno może być moim ukochanym miastem (tak jak Kraków, Praga czy Paryż) i na dodatek moim drugim miastem (obok Cieszyna, który jest dla mnie zawsze pierwszy). Każda bowiem miejscowość ma swój specyficzny klimat i zapach, koloryt lokalny, który nie zawsze jest uchwytny przy pierwszym zetknięciu. Bywa i tak, że krzykliwa zewnętrzna atrakcyjność miasta pryska przy bliższym poznaniu i korzystniej prezentują się te z posmakiem swojskości, specyficznego prowincjonalizmu. W Brnie nie byłam po raz pierwszy i był już we mnie sentyment, związany z pewnym budynkiem o nazwie AVION. Tak się złożyło, że przed dwunastu laty zawitałam do Brna na dłużej, bowiem mój narzeczony (obecnie mój mąż) odbywał w tym mieście służbę wojskową. Nocleg zamówił mi w hotelu AVION, który słynie ze swej funkcjonalistycznej architektury. Po powrocie do domu dowiedziałam się od dziadka, że Cieszyn też miał swój AVION, tyle że nie był to hotel, a kawiarnia. Brnu więc zawdzięczam moją obecną przygodę z „Kawiarnią AVION, której nie ma"

i której być może nie odkryłabym na starych widokówkach, gdyby nie dawne sentymenty.

Tym razem miasto chciało mnie urzec jeszcze w inny sposób. Gdy schodziłam po schodach z malowniczego Petrowa, zobaczyłam na tarasie Teatru Husa na provázku króla w koronie i gronostajach. Przez chwilę myślałam, że to złudzenie optyczne, brneńska fatamorgana; czar prysł, gdy zobaczyłam w jego ręce bardzo współczesnego papierosa. Monarcha po chwili zniknął i dopiero brawa przywołały mnie do porządku dziennego – był to Król Lear z wieczornego spektaklu teatru, który znałam z legendy i z autopsji – gościł bowiem w Czeskim Cieszynie na teatralnych festiwalach „Na granicy". Jego długoletni kierownik literacki, a obecnie dyrektor, Petr Oslzlý (przez dwa lata był również asystentem i doradcą prezydenta V. Havla), współpracuje od lat z polskimi teatrami altenatywnymi i w związku z tym nic, co polskie, nie jest mu obce. Pierwsze zetknięcie z magią tego teatru, który w tym roku świętuje swoje trzydziestolecie, było więc chyba nieprzypadkowe.

Żegnaj mi, Krakowie, / bywajże mi zdrów, / pod mym domem furka czeka już. / Tu z mojego miasta / gnają mnie jak psa, / jakże pusta dziś uliczka ma... Tej piosenki w polskim przekładzie przedwcześnie zmarłej Agnieszki Osieckiej liczne grono brneńskich Polaków słuchało ze łzami w oczach. Na dużej scenie Teatru Husa na provázku już po raz drugi występował bowiem wraz ze swym zespołem niezwykły artysta o niemiecko-polskim rodowodzie André Hübner-Ochodlo. Swój program, złożony z pieśni żydowskich (a nie zabrakło wśród nich znanego hymnu Piwnicy pod Baranami „Grajmy Panu na harfie" również z tekstem pani Agnieszki), zatytułowany „SHALOM", artysta zadedykował „pamięci Agnieszki Osieckiej". Była ona bowiem współzałożycielką sopockiego Teatru Atelier (dziś nosi on Jej imię), który był ostatnim dziełem Jej życia i właśnie André Ochodlo jest jego aktorem. Po niezwykłym, wzruszającym koncercie dyrektor Oslzlý zaprosił ówczesnego konsula Piotra Szwarca oraz grono Polaków do teatralnej kawiarni na spotkanie z pieśniarzem i jego zespołem. W trakcie „nocnych Polaków rozmów" okazało się, że André w przyszłym roku pragnie zaprosić do Sopotu Hanę Hegerową i zaprezentować również jej pieśni w polskich wersjach. Gdyby nie Brno, nigdy zapewne nie nawiązałabym współpracy z tym artystą i z sopockim teatrem.

Słyszę czasem swój głos / w innych wierszach: nie mam o to / już

żalu: sam / jestem dzisiaj cudzymi / ustami. Ten, czyj głos / we mnie się rozlega / oniemiał z rozpaczy i gniewu. Ten wiersz przeczytał osobiście jego autor, gość kwietniowego Międzynarodowego Festiwalu Pisarzy Praga '98, w zabytkowej piwnicy Teatru Husa na provázku, Ryszard Krynicki, legendarny poeta Pokolenia 68 – Nowej Fali, której przedstawicielami są m.in. Stanisław Barańczak, Adam Zagajewski czy cieszyński poeta, ostatnio także autor sztuk teatralnych Jerzy Kronhold. Dzięki inicjatywie dyrektora Instytutu Polskiego Andrzeja Jagodzińskiego wieczór prowadziło „dwoje dawnych kierowników literackich" : dyrektor Oslzlý i ja. Okazało się, że Kraków stał się ostatnio autentyczną stolicą polskiej poezji: mieszka tu Wisława Szymborska, ma tu swoje drugie mieszkanie Czesław Miłosz – oboje są zresztą honorowymi obywatelami Krakowa – a niedawno przeniósł się tu również z Poznania Ryszard Krynicki wraz ze swym Wydawnictwem a5. Obecni na sali redaktorzy brneńskiego miesięcznika literackiego HOST (w czerwcowym numerze poświęconym literaturze polskiej zamieściłam również wiersze pana Ryszarda) zasypali zazwyczaj małomównego poetę pytaniami na temat sytuacji na polskim rynku wydawniczym i z nieukrywaną zazdrością słuchali o sprzedaży wielkich nakładów książek poetyckich, przede wszystkim o wyborach wierszy noblistów, dzięki którym wydawca zarabia na wydania książek mniej poczytnych poetów. Kulminacją spotkania było „zejście do podziemi", dla mnie o tyle symboliczne, że obaj panowie, Krynicki i Oslzlý, byli przez długie lata opozycyjnymi działaczami kulturalnego „podziemia". Tym razem chodziło tylko o zejście do malowniczych kamiennych piwnic teatru, gdzie obejrzeliśmy wystawę rzeźb i raczyliśmy się wernisażowym winem.

W trakcie czerwcowych obchodów 30-lecia Teatru Husa na provázku miało miejsce jeszcze jedno niezwykłe spotkanie. Koncert „Ciche pieśni" był dla mnie odkryciem przepięknej muzyki, którą przez wiele lat komponował dla brneńskich teatrów nadworny kompozytor Jiří Bulis, który w wieku 46 lat zginął w wypadku samochodowym na trasie Brno – Ołomuniec, którą znam już na pamięć. Gdy słuchałam jego pieśni w wykonaniu praskich, brneńskich a także czeskocieszyńskich artystów (Jarek Nohavica jako gość honorowy zaśpiewał na finał kilka jego pieśni z towarzyszeniem kwartetu muzycznego) doszłam do wniosku, że brneński Bulis wart jest tego, by go przedstawić polskiej publiczności.

Jeden teatr, a tyle fascynacji... I kawał Polski w stolicy Moraw...

WYSTAWA OBRAZÓW EDWARDA KAIMA

Wiadomo, że coraz trudniej zorganizować wystawę, coraz trudniej o mecenasów, sponsorów. Edward Kaim rozwiązał problem po swojemu, nie po raz pierwszy zresztą. Zaprosił przyjaciół, znajomych i przedstawicieli naszego świata sztuki na wystawę swych prac do własnego domu. Było ogrodowo i domowo, było z muzyką, śpiewami, z nakrytym stołem i z kielichem też (4. 7. 1998).

fot. FRANCISZEK BAŁON

JAK NAPISZEMY WITAJCIE, TO NAS NIE ZNAJDZIE SPONSOR...

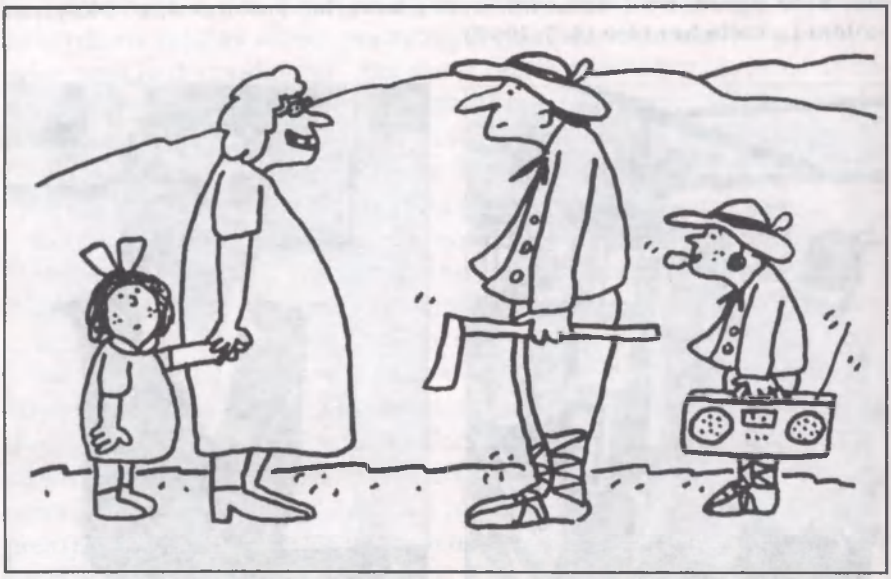

TO PIĘKNIE, ŻE KONTYNUUJECIE TRADYCJE.

rys. Bronisław Liberda

CZARUJĄCY JUBILAT

Tuż przed końcem sezonu pokazała Scena Polska „Czarującego łajdaka". Można by dyskutować na temat czy aby na pewno był to odpowiedni dobór repertuaru – dość ważki – na bądź co bądź mały benefis aktorski. Ale o tym potem. „Czarujący łajdak", którego autorem jest współczesny francuski komediopisarz Pierre Chesnot – polskiego przekładu dokonał Andrzej Miłosz – jest farsą. Farsa to, posiłkując się „Słownikiem terminów literackich", odmiana komedii o komizmie niższego rzędu, tj. takim, który posługuje się niewyszukanymi konceptami, grą słów, elementami karykatury i groteski; temat czerpie farsa z codziennego życia, przedstawiając konflikty błahe.

Przedstawienie „Czarujący łajdak" reżyserował w Scenie Polskiej goszczący tu po raz pierwszy Andrzej Gałła z Wrocławia, autorką scenografii i kostiumów była Marlena Skoneczko, muzykę przygotował Zbigniew Siwek. Tytułowy czarujący łajdak nazywa się Franciszek Dumolin i jest tzw. mężczyzną w sile wieku, bo ma już ...dziesiąt lat. Z pierwszą żoną Elisabeth przeżył 13 lat, po czym opuścił ją dla Katarzyny, kiedy ta spodziewała się dziecka. Żyje z nią od 20 lat, tyle lat ma ich jedyna córka. To jednak nie przeszkadza mu spotykać się od 10 lat z Barbarą Perez, a od niedawna również z Marią Desnouettes i mieć na oku zupełnie nową ofiarę.

Czy jednak można nazwać kolejne miłości Franciszka jego ofiarami? Dwie pierwsze żony są najlepszymi przyjaciółkami, prześcigają się we wspomnieniach o wspólnie z nim przeżytych chwilach, chętnie mu matkują. Z przymrużeniem oka patrzą na jego następne romanse, byle tylko nie zniknął im z oczu. Młodsze dziewczyny również go uwielbiają, chociaż mniej odpowiada im rola którejś kolejnej, a nie pierwszej dziewczyny.

Akcja odbywa się w pomieszczeniu, którego wygląd i kolorystykę dostosowali autorzy przedstawienia do całości poruszanego tematu. Okna pokoju okrągłe jak w kajucie, na ścianach tapety z pływającymi syrenami, no i bohater w garniturze przypominającym mundur kapitana statku. Bo przecież Franciszek płynie przez życie, zawijając do coraz to innego portu.

Monologi Franciszka à part odbywają się na proscenium, gdzie chwile wolne od kobiet spędza w fotelu na biegunach. Tam też przeprowadza wstępny monolog, by zaznajomić widzów ze swoimi planami na najbliższą przyszłość. Przedstawiając się jako postać sztuki, wprowadza niejako widza w świat nierzeczywisty, świat fantazji autora.

Franciszek jest postacią, o której przez cały czas mówi się na scenie, ale sam, zwłaszcza w pierwszej części, pojawia się rzadko. To raczej dialogi pań pozwalają o nim nie zapomnieć, umożliwiają lepiej go poznać. I wbrew pozorom role kobiece, przede wszystkim role dwu kolejnych żon Franciszka oraz Barbary, wydają się być w tym przedstawieniu bardziej wyeksponowane. Halina Pasekowa jako Katarzyna oraz Janina Buława jako Elisabeth więcej mają do powiedzenia. W czasie przygotowań do uczczenia święta jubilata zaskakuje je Barbara (Małgorzata Pikus). Ich rozmowa, wspólne perypetie stanowią sedno pierwszej części spektaklu. Dopiero wtedy dochodzi do głosu Franciszek, który do tej pory krył się po kątach. Kulminacja napięcia daje o sobie znać, kiedy Franciszek ma nóż na gardle, a w tym wypadku dwa pistolety przystawione do głowy. Wybawieniem dla niego jest Maria (Gabriela Fabian), kolejna dziewczyna, która w odpowiedniej chwili pojawia się na horyzoncie. Świadkami całego zajścia są niechciani właściwie w tym momencie goście Ewelina (Anna Paprzyca) i Paweł (Ryszard Malinowski). Ona, początkowo osłupiała, później rozbawiona ponad granice rozsądku, on zaś - w najzabawniejszym epizodzie - nieprzyzwoicie pijany.

Solidnie pod względem warsztatowym zrobiony spektakl, którego cały urok polega na wartkich dialogach i dowcipnych ripostach, ma dobre tempo i jest dob-rze zagrany. I tu wracam do mojej uwagi początkowej. Przedstawienie przygotowane zostało z myślą o odtwórcy głównej roli - Pawle Niedobie - który niedługo obchodzić będzie jubileusz życiowy. Jest to okazja do ukazania całego jego kunsztu aktorskiego. I tu wydawałoby się, że kunszt ten powinien ujawnić w jakiejś sztuce zajmującej się problemami więk-szej wagi. Twórcy przedstawienia postąpili jednak inaczej, dając jubilatowi do zagrania rolę, w której czuje się najlepiej. Jego Franciszek jest mężczyzną w wieku średnim, który jednak nigdy nie wydoroślał. Bierze z życia to, co sprawia mu przyjemność, a najbardziej podobają mu się kobiety. Siłą swego wdzięku zwabia takie, które ulegają jego czarowi osobistemu i nie przestają wielbić go nawet wtedy, kiedy rzuca je dla następnych. Sam nie czuje się winny, uszczęśliwia je przecież wszystkie.

CZESŁAWA RUDNIK

O ZAOLZIU PO CZESKU

Problematyka mniejszości narodowych bywa zazwyczaj, w wyniku nacisków politycznych i ideologicznych, pomijana bądź tendencyjnie wypaczana. Obywatel państwa komunistycznego żył w centralnie kierowanym i kontrolowanym społeczeństwie. Nie zwracano uwagi na lokalne inicjatywy kulturalne ani na specyficzne potrzeby kulturalne różnych grup etnicznych. Za pozytywny i progresywny proces uznawano wyzbywanie się tożsamości narodów i narodowości. Jedna z tez leninowskich formułowała program takiego oto skierowania społecznego: *Socjalizm nie ogranicza się w swych celach jedynie do usunięcia rozdrobnienia ludzkości na małe państwa czy do zerwania z wszelkiego rodzaju wyłącznością narodową, lecz pragnie w sumie doprowadzić do zlewania się.*

Aktualność problematyki mniejszości narodowych w dzisiejszej Europie uświadomili sobie również pracownicy Instytutu Badań Etnikum Polskiego w RC przy Fakultecie Filozoficznym Uniwersytetu Ostrawskiego, w którym zrodził się projekt naukowo-badawczy poparty przez Agenturę Grantów RC. Powołano grupę pod kierownictwem Karola Daniela Kadłubca, której członkami oprócz pracowników wspomnianego instytutu zostali również pracownicy polskich uniwersytetów na Śląsku, badający od lat kwestie mniejszości polskiej. Trzyletni program badawczy, którego wynikiem jest publikacja **„Polska mniejszość narodowa na Śląsku Cieszyńskim i w Republice Czeskiej (1920–1995)“**, postanowił *dociec w miarę wszystkich najistotniejszych momentów, które kształtowały życie Polaków cieszyńskich na lewym brzegu Olzy w latach 1920–1995.* Jak dalej konstatuje K.D.Kadłubiec, chociaż od chwili zaistnienia w r. 1920 polskiej mniejszości narodowej na terenie byłej Czechosłowacji (obecnie Republiki Czeskiej), w wyniku podziału Śląska Cieszyńskiego w ramach procesów państwowotwórczych po I wojnie światowej, upłynęło niemalże 80 lat, ani w polskiej, ani w czeskiej literaturze fachowej nie znajdziemy pracy, która spojrzałaby na polską mniejszość w sposób syntetyczny i objęła najróżniejsze aspekty jej życia.

Faktem, że chodzi o publikację kolektywną, usprawiedliwia w części

K.D.Kadłubiec rozmaity pod względem językowym i stylistycznym poziom poszczególnych rozdziałów, jak również ich zróżnicowanie metodologiczne. Wiele tekstów zresztą trzeba było przetłumaczyć z języka polskiego. Tych właśnie spraw będą dotyczyć uwagi recenzenckie, uwagi niejako „na marginesie". Zastanawia przede wszystkim użycie związku frazeologicznego „národní menšina" w tytule publikacji. Chodzi pewnie o niezręczny przekład połączenia „mniejszość narodowa", w bohemistyce wszak już wcześniej przyjął się dla tych zjawisk termin „národnostní menšina". Inną kwestię stanowi przekład słowa „Zaolzie", jako terminu historiografii polskiej używanego dla terenu zamieszkałego przez autochtoniczną mniejszość polską w Czechosłowacji (dzisiaj RC), tj. terenu po czeskiej stronie rzeki Olzy. Odpowiednim przekładem będzie tu nie „Záolší", a „Záolzí", ponieważ przyrostek „-í", służący do utworzenia nazw miejscowych typu „nábřeží" łączy się ze zmiękczonym wariantem poprzedzającej spółgłoski. W przypadku spółgłoski „z" z „ž". W publikacji znajdujemy wiele błędów ortograficznych, które można było usunąć przy staranniejszej redakcji językowej tekstów. Uwagi te wszak nie pomniejszają ogólnej wartości publikacji.

Potrzeba syntetycznego ujęcia danej problematyki rzutuje na strukturę oraz treść poszczególnych rozdziałów; składają się na nie: szkic o rozwoju historycznym mniejszości polskiej (Stanisław Zahradnik), charakterystyka demograficzna Polaków w RC (Tadeusz Siwek), procesy społeczno-kulturalne (Halina Rusek), język i jego dynamika (Irena Bogocz), organizacje gospodarcze (S.Zahradnik), działalność wydawnicza i środki przekazu (S.Zahradnik), organizacje i instytucje społeczne (Władysław Josiek), życie wyznaniowe (W.Josiek), szkolnictwo (Zenon Jasiński), oświata czytelnicza (Halina Molin, Helena Legowicz), ruch teatralny (Aleksandra Humel), twórczość literacka (Edmund Rosner), życie plastyczne (Witold Iwanek) i kultura ludowa (K. D. Kadłubiec). Redaktorami naukowymi publikacji byli Milan Myška (Uniwersytet Ostrawski) oraz Mečislav Borák (Instytut Śląski w Opawie), którzy wystąpili z licznymi zastrzeżeniami zwłaszcza w przypadku rozdziału pierwszego. Zawiera on m.in. artykuł o wybitnych Polakach z czeskiego Śląska Cieszyńskiego (na pewno jeden z najciekawszych fragmentów publikacji), gdzie wśród zasłużonych pojawia się również nazwisko Henryka Połednika (ur. 1937 w Stonawie), który po zmianie swego nazwiska na Jindřich Poledník zrobił karierę pracownika aparatu KPC i został sekretarzem KC.

Zajmijmy się kulturalnymi aspektami życia Polaków w RC, tak jak nam je prezentuje omawiana publikacja.

Jeśli idzie o działalność wydawniczą oraz o środki przekazu, należy skonstatować, iż polski ruch wydawniczy na czeskim Śląsku Cieszyńskim świadczy o społecznej i narodowościowej aktywności miejscowych, etnicznie polskich mieszkańców i że stanowi ona istotny czynnik ogólnospołecznego rozwoju na tym terenie, będąc jednocześnie jego wynikiem. Pod względem metodologicznym rozdział ten należy do socjologii literatury, jego obiektem zaś są prace jednostek oraz grup (działalność organizacji i instytucji), autorów narodowości polskiej ze Śląska Cieszyńskiego, bez względu na miejsce wydania w latach 1920-1995. W produkcji wydawniczej okresu międzywojennego przeważyły pozycje literackie, jubileuszowe i okazyjne, drukowane sprawozdania, podręczniki szkolne, czasopisma i kalendarze. Po wojnie polska produkcja czasopiśmiennicza i kalendarzowa uległa, w wyniku okoliczności zewnętrznych, uszczupleniu. Rośnie natomiast liczba publikacji popularnonaukowych i literackich. Charakter fenomenu uzyskuje tutaj fakt, iż w wyniku kolejnych zmian w strukturze narodowościowej pojawiają się również publikacje czesko-polskie. Wraz z upadkiem komunizmu zniknęła cenzura oraz inne przeszkody charakteru formalnego, pojawił się natomiast problem finansowania, gdyż zostały ograniczone względnie wstrzymane dotacje państwowe. Przestało też istnieć ostrawskie wydawnictwo Profil, wraz z nim zaś edycja polska, zamknięto jedyną księgarnię polską w Czeskim Cieszynie. Liczba publikacji pomimo to wzrosła, m.in. dzięki sponsorom oraz możliwościom wydawniczym w Polsce. Publikacja nie wspomina o roli grantów Ministerstwa Kultury RC w wydawaniu dzieł członków mniejszości polskiej. Nie znajdziemy tutaj bardziej szczegółowej oceny poziomu poligraficznego książek i czasopism polskich, który pozostawia niekiedy wiele do życzenia; winą autorów polskich jest również to, że nawet dzisiaj zadowalają się oni swoistymi samizdatami. Nie znajdziemy tutaj pełniejszego spojrzenia na wyzwoloną działalność edycyjną na czeskim Śląsku Cieszyńskim, lecz podaje je artykuł Heleny Legowicz „Wydawnictwa zaolziańskie po roku 1990" w pracy zbiorowej „Watra" (1997, Bielsko-Biała-Cieszyn). Nie mielibyśmy tutaj pominąć audycji polskiej Radia Ostrawa, istniejącej od 1 sierpnia 1950 roku, a zajmującej się aktualnymi zagadnieniami społeczności polskiej na Zaolziu i sięgającej nieraz do kultury.

Twórczością literacką na czeskim Śląsku Cieszyńskim systematycznie zajmował się Edmund Rosner, pracownik naukowy cieszyńskiej Filii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W swoim przyczynku podjął tematykę rozwoju literackiego od drugiej połowy XIX stulecia również w perspektywie polskich tradycji piśmienniczych na czeskim Śląsku

Cieszyńskim, tak międzywojennych jak powojennych, kiedy to zaczęły wyłaniać się poszczególne generacje literackie, jak generacja „Pierwszego lotu", aż po generacje młodsze składające się z autorów almanachów „Światłocienie" (1976) czy „Spotkanie" (1985). Brak tutaj wzmianki o wędryńskim Bogdanie Trojaku i prowadzonym przezeń piśmie „Weles". Jako najmłodsza autorka zaś występuje Renata Putzlacher, której najnowszy zbiorek „Małgorzata poszukuje Mistrza" nie został wspomniany w bibliografii, jest natomiast wzmiankowany w interpretacji twór-czości poetki. (Przyczynki do publikacji zostały złożone pod koniec roku 1997.) E. Rosner poświęca też uwagę twórczości „nurtu ludowego", literaturze dla dzieci i młodzieży, mapuje pisaną na Zaolziu prozę polską, rozważa wreszcie regionalny charakter tutejszej twórczości jak również wpływy polsko-czesko-słowackie, wspomina także mit monarchii habsburskiej w wypowiedziach literackich zaolzian. Tłumaczenia tytułów literackich przy tym zdradzają pewne mechaniczne względnie nienaturalne podejścia lub po prostu nieuwzględnianie dotychczasowej tradycji translatorskiej. Wyraźnie rzuca się to w oczy w przypadku Wilhelma Przeczka, gdy tytuł zbiorku „Czarna calizna" przełożono na „Černá půda", przy czym dotychczasowy przekład brzmiał „Černý celek", z uwagi na treść tomiku zaś najwłaściwszym okazuje się „Černá vrstva". Powieść Przeczka „Kazinkowe granie" pojawiła się pod tytułem „Hudba z nebe" w opawskim wydawnictwie Optys itd.

Zagadnienia folklorystyczne, teatralne, plastyczne czy muzyczne, wchodzące w zakres działalności kulturalnej Polaków na czeskim Śląsku Cieszyńskim, znajdują się poza fachowymi kompetencjami recenzenta. Pozostańmy zatem u stwierdzenia, iż również tutaj spotkamy się z interesującymi osiągnięciami artystycznych zainteresowań polskich mieszkańców, nawiązujących do szerszego kontekstu europejskiego w przeszłości i teraźniejszości.

Pomimo zaznaczonych zarzutów, dotyczących zwłaszcza spornego przekładu i staranniejszej redakcji pracy, książka K.D.Kadłubca i zespołu okazuje się niezmiernie potrzebną syntezą rozwoju życia kulturalnego i społecznego mniejszości polskiej na czeskim Śląsku Cieszyńskim, przedstawiającą wiarygodny obraz jej rozwoju historycznego, demograficznego, gospodarczego, językowego, religijnego, oświatowego i kulturalnego.

LIBOR MARTINEK
tł. Saw

JAK MYŚLĄ UCZNIOWIE

W Katedrze Pedagogiki Przedszkolnej i Wczesnoszkolnej Uniwersytetu Łódzkiego powstała praca Mariana Lelonka **„Rozwijanie myślenia uczniów w procesie edukacji środowiskowej"**. Publikację wydała w roku bieżącym Oficyna Wydawnicza TUVEX w Pabianicach. Chodzi o naukowe opracowanie, którego zadaniem jest przedstawienie procesu poznawania rzeczywistości przez uczniów młodszych na lekcjach nauki o przyrodzie. Stanowi próbę poszukiwania odpowiedzi na pytania dotyczące struktury i funkcji myślenia w trakcie działalności poznawczej dziecka w młodszym wieku szkolnym, jak również warunków, które umożliwiają rozwój myślenia oraz jego przyspieszenie. Praca składa się z części teoretycznej, która jest wprowadzeniem w problematykę badań oraz prezentacją podstawowych założeń poszukiwań badawczych, z części diagnostycznej, będącej analizą zadań dydaktycznych z podręczników szkolnych i zeszytów ćwiczeń, oraz z części empirycznej, przedstawiającej wyniki badań etapowych z kolejnych trzech lat rozwijania czynności myślenia uczniów oraz ich analizę.

Myślenie, tj. złożona czynność umysłowa, której rezultatem jest odzwierciedlenie świata zewnętrznego w postaci wyobrażeń i pojęć, już w okresie wczesnoszkolnym zaczyna przekształcać się z konkretno-obrazowego w coraz bardziej abstrakcyjne. Owo przekształcanie pozostaje w ścisłej zależności od sposobu uczenia się, od poznawanych treści oraz od struktury zadań dydaktycznych w podręcznikach szkolnych.

Badania przeprowadzone zostały w tych samych klasach - dotyczyły klas pierwszych, drugich i trzecich - w ciągu trzech lat szkolnych, tj. od roku 1993/94 do roku 1995/96. Badaniami objęto 175 uczniów w mieście i na wsi. Okazało się, że możliwy jest wpływ na rozwój czynników poznawczych dziecka poprzez wprowadzenie nowych sposobów nauczania. W klasach eksperymentalnych - z nową koncepcją nauczania - uczniowie osiągali wyższy stopień pojmowania rzeczywistości, która ich otacza, większą operatywność i samodzielność myślenia.

Publikacja Mariana Lelonka może być pomocna również w pracy naszych nauczycieli oraz ich następców, studentów wydziałów pedagogicznych.

MR

JUBILEUSZOWE ŚLĄSKIE ŚPIEWANIE

Już po raz piąty odbył się przegląd piosenki dziecięcej pn. Śląskie Śpiewanie. Jego celem jest kształtowanie wśród dzieci i młodzieży poczucia tożsamości narodowej i przywiązania do ziemi rodzinnej. Głównymi organizatorami tej gigantycznej imprezy są Związek Górnośląski w Katowicach, Sejmik Samorządowy województwa katowickiego, Kuratorium Oświaty, Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego i Urząd Miasta w Katowicach.

W kwietniu przebiegały eliminacje rejonowe w Katowicach, Tychach, Pszczynie, Łaziskach Górnych, Piekarach Śląskich, Żorach, Siemianowicach Śląskich, Zabrzu, Łubnianach k. Opola, Rudzie Śląskiej, Cieszynie. Po raz pierwszy odbyły się eliminacje rejonowe również na Zaolziu. Przypomnieć trzeba, iż młodzież zaolziańskich szkół już dwa razy, w latach 1996 i 1997, uczestniczyła w tej pięknej folklorystycznej imprezie, odnosząc wspaniałe sukcesy i zdobywając najwyższe laury w finałowych zmaganiach.

W roku bieżącym do przeglądu z Zaolzia zgłosiło się blisko 200 dzieci i młodzieży z czterech przedszkoli, dwunastu szkół podstawowych oraz trzech szkół średnich na Zaolziu. W środę 29 kwietnia w Klubie PZKO przy ul. Bożka w Cz. Cieszynie spotkało się 38 solistów, 10 duetów, 9 zespołów wokalnych (65 wykonawców), 2 zespoły wokalno-instrumentalne (25 wykonawców) oraz dwa chóry szkolne (45 śpiewaków). Popisy maluchów, dzieci i młodzieży oceniało 5-osobowe jury, któremu przewodniczyła pani Jadwiga Masny z Katowic, pedagog i metodyk wychowania muzycznego Kuratorium Oświaty w Katowicach.

Przyznać trzeba, iż jury nie miało łatwego zadania, bowiem większość solistów, duetów i zespołów była dobrze przygotowana przez swoich opiekunów, za co należą im się wielkie słowa uznania. Po długiej naradzie do eliminacji finałowych w Rybniku jury wytypowało ostatecznie 8 solistów: Adasia Sikorę (przedszkole Karwina-Frysztat), Sylwię Siedlaczek i Janinę Wałoszek (PSP Gnojnik), Magdę Martynek (PSP Mosty k. Jabłonkowa), Dominikę Szymańską lub Anetę Santarius (PSP Orłowa-Lutynia), Agatę Wacławik i Michała Rzeszuta (PSP Karwina-N. Miasto), Helenę Lugsch (Gimnazjum Karwina), 3 duety: Anna Niedoba i Monika Teofil (PSP Mosty k. Jabłonkowa), Natalia Siedlaczek i Barbara Čapińska (PSP Gnojnik), Alicja Herman i Helena Lugsch (Gimnazjum

Karwina), 4 zespoły wokalne: trio wokalne (PSP Bukowiec), Wiolinek (PSP Karwina-Frysztat), Dziołchy i Syncy z Kolónije (PSP Karwina-N.Miasto) oraz Szwarne Dziyweczki (PSP Trzyniec). Szkoda, że trzyniecki zespół, który wykazał wiele werwy i pomysłowości wypadł z udziału w finale z powodu „nadmiaru" zespołów wokalnych. Do finału zakwalifikowała się także Nowina (PSP Jabłonków), Kapela Gorolsko Zorómbek (Gimnazjum Cz. Cieszyn) oraz chór szkolny (PSP Bystrzyca).

Zorganizowany po raz piąty największy w Polsce festiwal piosenki dziecięcej okazał się pod wieloma względami rekordowy. Padł przede wszystkim rekord w ilości uczestników. Podczas piętnastu eliminacji regionalnych jury wysłuchało ponad 13 tysięcy młodych artystów. Najmłodsi mieli po cztery lata, najstarsi, z zespołu Komes z Kędzierzyna-Koźla byli studentami wyższych uczelni. Po raz pierwszy w historii konkursu zorganizowano eliminacje rejonowe na Zaolziu w Czechach. Dotąd dzieci z Zaolzia musiały przyjeżdżać na przeglądy do polskiego Cieszyna. Wśród patronów honorowych tegorocznego Śląskiego Śpiewania był nawet ambasador Republiki Czeskiej w Warszawie. W tym roku po raz pierwszy wystartowały także zespoły należące do Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim. I tak np. zespół z Osowca Heimat Glocken otworzył eliminacje rejonowe w Ozimku. O „międzynarodowe" akcenty konkursu zadbali nie tylko organizatorzy, ale także sami uczestnicy. W jednym z zespołów z Piekar Śląskich w oryginalnym śląskim stroju wystąpiła prześliczna Mulatka. A podczas przeglądu na Zaolziu czarował publiczność czarnooki i ciemnowłosy Hassan.

Również w eliminacjach finałowych jury nie miało łatwego zadania. Ze względu na wielką liczbę uczestników sito eliminacyjne było gęste, jak podczas przyznawania filmowych Oscarów. Podczas dwudniowego finału 13 i 14 maja w Teatrze Ziemi Rybnickiej wystąpiło 159 wykonawców. Najsilniejsze drużyny wystawiły Tychy, Żory, Łaziska, Czerwionka-Leszczyny, Piekary Śląskie, przede wszystkim zaś Zaolzie.

– *Mieliśmy ogromne kłopoty z wyłonieniem finałowej grupy. Poziom festiwalu jest z roku na rok coraz wyższy* – przyznała Izabela Kloc, współorganizator konkursu i członek jury. Tegoroczny konkurs przebiegał pod znakiem powrotu do źródeł i korzeni śląskiej kultury. Kilka lat temu dominowały standartowe piosenki – typu „Karolinka", „Karliku", „Górniku, górniku". Teraz niektórzy wykonawcy sięgnęli po pieśni nieznane nawet przewodniczącemu jury profesorowi Adolfowi Dygaczowi. Po raz pierwszy na scenie pojawiły się zespoły wyspecjalizowane w określonym repertuarze, na przykład pieśniach zalotnych, weselnych, górniczych, gospodarskich.

Można powiedzieć, iż prawdziwa rewolucja dokonała się także, jeżeli

chodzi o oprawę występów. Zespoły sięgnęły nie tylko po staroślązki repertuar, ale po takież stroje, charakterystyczne dla ziemi, którą reprezentowały. Zespół Sonet z Łężec wystąpił w strojach kozielskich, Dąbrowskie Dzieweczki zaprezentowały suknie piekarskie, Katowiczanie paradowali w strojach rozbarskich (które nie pasowały jednak do tańców cieszyńskich). Zespoły miały też swojsko brzmiące nazwy jak Knefliczki, Wrazidloki, Szkloki, Kobiórsko Czeslodka, Żniwiareczki, Frajerski, Gynsi Pympki.

– *Cały Śląsk zaśpiewał. Pieśń pokazała, że pomimo sporów i waśni związanych z regionalizacją kraju, ważnym czynnikiem ustalania granic przyszłych regionów są więzi kulturowe, poczucie wspólnoty regionalnej, przejawiające się poprzez strój, gwarę, zwyczaje, obrzędy* – powiedział współorganizator imprezy Janusz Kloc.

Po występach finałowych przyznano 21 pierwszych miejsc, 15 drugich, 12 trzecich oraz 29 wyróżnień. Z Zaolziaków 1 miejsce zdobyli: Adaś Sikora, Helena Lugsch, duet Alicja Herman i Helena Lugsch, Zespoły Nowina, Dziołchy i Syncy z Kolónije oraz trio wokalne z Bukowca. Dwa trzecie miejsca przyznano Michałowi Rzeszutowi oraz chórowi szkolnemu z Bystrzycy. Ponadto wyróżnienie zdobyli: Sylwia Siedlaczek, Janina Wałoszek i Agata Wacławik, zespół wokalny Wiolinek oraz Kapela Gorolsko Zorómbek.

W werdykcie jury m.in. czytamy: *Jury pragnie podkreślić, iż zespoły z Zaolzia corocznie prezentują bardzo wysoki poziom artystyczny, cechuje je wielka dbałość o autentyzm stroju oraz instrumentarium. Młodzi wykonawcy z Zaolzia w swoich występach wyrażają wielki szacunek dla kultury regionalnej i umiłowanie śląskiej tradycji.* Grzeje chyba na sercu taka ocena!

Jak co roku jury musiało wybrać nalepszego wykonawcę całego festiwalu, bez względu na kategorię wiekową czy wykonawczą. Tym razem jednak zamiast od razu ogłosić zdobywcę Szczyglika przyznało dziewięć nominacji. Najlepszy zaś z najlepszych wybrany zostanie w koncercie galowym. Wśród 9 nominowanych zespołów do Grand Prix znalazły się aż dwa zespoły zaolziańskie: jabłonkowska Nowina oraz Dziołchy i Syncy z Kolónije z Karwiny-N. Miasta.

Emocje Śląskiego Śpiewania osiągnęły swój punkt kulminacyjny w przeglądzie finałowym, Gala Koncercie w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu, gdzie w niezwykle upalną niedzielę 7 czerwca zebrało się mnóstwo gości, redaktorów, widzów. W jury, któremu przewodniczył prof. A. Dygacz, zasiadł również prof. Daniel Kadłubiec z Zaolzia.

Pierwsza część koncertu była poświęcona laureatom pierwszych miejsc, solistom, duetom i zespołom śpiewającym, grającym i tańczącym. Przez

gigantyczną scenę przewijali się przedstawiciele ziemi pszczyńskiej, rybnicko-raciborskiej, opolskiej, katowicko-bytomskiej oraz cieszyńskiej wraz z Zaolziem. Największym ulubieńcem nie tylko, publiczności, ale i telewizji, stał się Adaś Sikora z Frysztatu, który czarował dźwięcznym i miłym głosem a także grą na skrzypcach wspólnie ze swoim dziadkiem Otokarem Winklerem. Był urzekająco naturalny, figlarny, tak iż parę razy musiał się kłaniać rozentuzjazmowanej publiczności. Potem wystąpił znany już na całym prawie Zaolziu duet Alicja Herman - Helena Lugsch.

W drugiej części organizatorzy postarali się o prawdziwie hollywoodzkie emocje. Na scenie kolejno pojawili się ci, którzy walczyli o Grand Prix, czyli Szczygliczka. Wśród dziewięciu kandydatów karwiński zespół Dziołchy i Syncy z Kolónije z opiekunką Jadwigą Palowską oraz jabłonkowska Nowina z Krystyną Mruzek. Oba zespoły na pewno górowały nad innymi autentyzmem stroju i instrumentarium, czystością śpiewu, wielką dbałością wykonawstwa. Wiedzieli, co śpiewają, o czym śpiewają, wiedzieli, jak wyśpiewać swoją duszę. A jednak Grand Prix przyznano Zespołowi Pieśni i Tańca Katowiczanie. Nie pomogły nawet rzeczowe argumenty prof. Daniela Kadłubca. Głosowanie przesądziło o ostatecznym wyniku.

I tak Katowiczanie pojadą w nagrodę do Wiednia. Zaś Dziennik Zachodni przyznał specjalne wyróżnienie młodym artystom ze szkoły w Łączniku - za zajęcie III miejsca w kategorii chórów.

JÓZEF WIERZGOŃ

SREBRO I BRĄZ DLA DŹWIĘKU

W dniach 11-13 czerwca br. odbywał się w Ołomuńcu 26. Międzynarodowy Festiwal Chórów. Głównymi organizatorami byli: chór Campanella, Fundacja Festa Musicale Olomouc, Istytut Wychowania Muzycznego Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Palackiego.

Festiwal został zagajony w katedrze św. Michała. Drugi dzień przeznaczony był na dokształcanie i uzyskanie nowych doświadczeń i informacji, były odczyty itp. Wieczorem zaś przebiegały w różnych miejscach koncerty festiwalowe. Punktem kulminacyjnym była sobota 13 czerwca. W tym dniu bowiem chóry próbowały swe siły. W 16 kategoriach można było uzyskać złoty, srebrny lub brązowy medal. Każdy amatorski chór mógł brać udział w konkursie nie tylko w jednej kategorii. W ciągu 15 minut mógł wykonać dowolną ilość utworów, ale przynajmniej jeden a cappella.

Dzięki pomocy finansowej Funduszu Kultury Urzędu Miejskiego

w Karwinie na Święto Pieśni 98 do Ołomuńca wyjechał chór Dźwięk działający przy MK PZKO w Karwinie-Raju. Zespół pod kierownictwem prof. Haliny Goniewicz-Urbaś zgłosił się do konkursu w dwóch kategoriach.

W kategorii chórów mieszanych Dźwięk zaprezentował następujące pieśni: „Koziery", „Tam w ogródeczku", „Prší, prší", „Postój, piękna gołąbeczko" oraz „Polskie śpiewy" z akompaniamentem mgr. Piotra Cirbusa.

W kategorii chórów kameralnych, które mogły liczyć 24 chórzystów, zespół przedstawił „Na Istebnym zakazali", „Missa brevis", „Amatemi, ben mio", „Niewierność", „Hej, tam w dolinie", „Brałem niegdyś".

Ogłoszenie wyników nastąpiło na rynku w Ołomuńcu. Przy dżdżystej i chłodnej pogodzie panowała tam bardzo gorąca atmosfera. Nadzwyczaj ciepło było „Dźwiękowcom", kiedy przewodniczący komisji przekazywał pani dyrygent srebrny medal w kategorii chórów mieszanych i brązowy w kategorii zespołów kameralnych.

Oficjalne zakończenie nastąpiło o godz. 20.00 w Domu Narodowym. Odbyło się tam spotkanie towarzyskie wszystkich śpiewaków. Już teraz zapraszano chóry na następne Święto Pieśni Ołomuniec '99.

KSENIA OWCZARZY

rys. OSKAR PAWLAS

PLENER MALARSKI 1998

Od wielu lat bliskie są kontakty i współpraca kulturalna ZG PZKO i Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. Długoletnie są również przyjazne kontakty twórcze naszych plastyków, członków Stowarzyszenia Artystów Plastyków przy ZG PZKO, ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków (ZPAP) - Polska Sztuka Użytkowa - oddział w Opolu. Najbardziej znaczące są Międzynarodowe Plenery Malarskie urządzane corocznie przez ZPAP w różnych miejscowościach, na które zapraszani są również członkowie SAP. Był plener malarski na Górze św. Anny, w Paczkowie, w Pokrzywnej i od kilku lat w Kędzierzynie-Koźlu.

W tym roku na zaproszenie ZPAP na plener malarski w Kędzierzynie-Koźlu, który rozpoczął się 6 czerwca, wyjechał artysta malarz Oskar Pawlas. Wszyscy artyści z Polski, Zaolzia, Ukrainy i Rosji zakwaterowani byli w hotelu Centralny, należącym do Zakładów Azotowych w Kędzierzynie-Koźlu, które są długoletnim sponsorem plenerów. Pogoda sprzyjała, toteż wszyscy malowali interesujące ich tematy. Powstało wiele pięknych i ciekawych prac, które można było obejrzeć na wystawie urządzonej na zakończenie pleneru. Część prac będzie później wystawiona w Warszawie w Łazienkach.

20 czerwca rozpoczęła się w miejscowości Moszna, leżącej na trasie z Krapkowic do Prudnika, druga część pleneru. Artyści zakwaterowani byli w wygodnych pokojach budynku należącego do zamku. Wspominając zamek, warto go bliżej opisać.

Zamek w Mosznej jest monumentalną budowlą i zadziwia architektonicznym rozmachem i fantazją. Posiada ponad 360 stylowych pomieszczeń i 99 wież i wieżyczek. Park otaczający zamek ma 240 hektarów, rosną tutaj 200-letnie lipy i 300-letnie dęby oraz dorodne krzewy rododendronów i azalii. Co roku w maju i czerwcu obchodzone jest tu Święto Kwitnącej Azalii. W tym czasie odbywają się liczne koncerty polskich i zagranicznych zespołów muzycznych oraz sławnych solistów. W pobliżu zamku znajduje się kościół, stadnina koni i bażanciarnia.

Od 1972 roku działa w zamku Wojewódzki Ośrodek Profilaktyczno-Sanatoryjny w Mosznej. Zamek położony jest z dala od gwaru miasta i uciążliwości przemysłu. Będąc obiektem o zabytkowym charakterze, jest zarazem nowoczesnym ośrodkiem sanatoryjnym.

Na zakończenie pleneru odbyła się wystawa prac w Galerii Zamkowej. Efekt twórczej pracy uczestników pleneru będzie można oglądać do połowy sierpnia.

We wrześniu odbędzie się natomiast urządzany co dwa lata przez SAP przy ZG PZKO Międzynarodowy Plener Malarski Beskidy '98, tym razem w Łomnej Górnej, na który zjadą artyści zaolziańscy oraz goście z ośrodków zaprzyjaźnionych z Polski.

OSKAR PAWLAS

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

WIZYTA PREMIERÓW RP i RC OCZYMA MŁODZIEŻY

Niemało czasu minęło od dnia, kiedy szefowie rządów Polski i Czech odwiedzili Podbeskidzie. Całkiem sporo, żeby tę wizytę przeanalizować na łamach wszelkich pism. My, młodzi Polacy zaolziańscy, teraz świeżo upieczeni absolwenci gimnazjum czeskocieszyńskiego, pragniemy dorzucić do tego kilka słów od siebie. Kilka słów o pewnym momencie, który w gruncie rzeczy był jedynie drobnym ułamkiem dnia 16 lutego 1998.

Pomiędzy przyjazdem premierów na lewy brzeg Olzy a początkiem uroczystego obiadu w ratuszu kilkuosobowa grupka uczniów gimnazjum zjawiła się pod tymże ratuszem. Czekaliśmy na sposobność „porwania" premiera Buzka, przynajmniej na chwilę. Ponieważ taka sposobność szczęśliwie się nadarzyła, mieliśmy kilka minut na przekazanie premierowi pozdrowień od uczniów naszej szkoły. Wręczyliśmy mu także folder informacyjny z podstawowymi danymi o gimnazjum, zarysem jego historii i zdjęciami, razem z zaproszeniem do odwiedzenia naszej szkoły przy następnej okazji. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że premier Buzek był tym dość zaskoczony i wzruszony. Sam serdecznie pozdrowił wszystkich nauczycieli i uczniów, czego nie omieszkaliśmy im następnie przekazać. Premier udał się na obiad, my natomiast wróciliśmy do przygotowań do egzaminów na uczelnie, matur...

Egzaminy i matury już za nami, na horyzoncie pojawiają się zgoła nowe sprawy, natomiast spotkania z premierem na pewno szybko nie zapomnimy. A napisaliśmy o nim nie dlatego, żebyśmy sądzili, iż miało jakieś wielkie znaczenie dla Zaolzia, ale dlatego, że zdaje nam się, że myśl pokazania naszego szkolnictwa premierowi nie jest aż tak nierealna i zdecydowanie nie byłoby to szkodliwe. Tymczasem wszystkim uczniom gorąco życzymy wytrwałości w, bądź co bądź, budowaniu przyszłości regionu!

Reprezentacja gimnazjum na lutowym spotkaniu z premierem Buzkiem

BYŁAM NAD WĄGLANKĄ

Dwa lata temu przeczytałam w Zwrocie o Polonijnym Konkursie Poezji w Wąglanach. Ponieważ lubię pisać wiersze i jeszcze nigdy nie brałam udziału w żadnym międzynarodowym kunkursie, to napisałam parę wierszy i przesłałam je do konkursu. Konkurs trwa cały rok, a w stycz-

niu jury zapoznaje się z wierszami uczestników z różnych krajów (w tym roku 412 z 26 krajów) i przyznaje nagrody i wyróżnienia oraz dyplomy pamiątkowe i książki. Podczas wakacji dotarła do mnie książka z Wąglan, w której były wszystkie ocenione i wyróżnione wiersze. Nie było w tym małym tomiku mojego wiersza, ale otrzymałam list od organizatora tego konkursu. Bardzo serdecznie zaprosił mnie do następnego konkursu, który trwał do końca 1997 roku. Na początku października znowu wysłałam do Wąglan swoje prace. Należało wysłać pięć wierszy w trzech egzemplarzach, krótki życiorys i też fotografię, które można znaleźć w kronice tego konkursu lub w różnych almanachach pokonkursowych z tymi wierszami. I właśnie 13 lutego (piątek!) otrzymałam list od pana Waldemara Jóźwika, organizatora Międzynarodowego Konkursu Poezji „Szukamy talentów wsi", list. Otrzymałam też protokół jury. W tym roku jury przyznało trzy główne nagrody, dwa wyróżnienia specjalne oraz dwanaście równorzędnych wyróżnień. Kiedy stwierdziłam, że wśród tych, którzy otrzymali wyróżnienie, znajduje się także moje nazwisko, bardzo się ucieszyłam. Zostałam zaproszona do Wąglan na uroczyste podsumowanie konkursu. Koszty (podróż, wyżywienie, noclegi) pokrywają organizatorzy. Jeszcze większą radość sprawiła mi wiadomość, że może ze mną pojechać osoba towarzysząca.

2 maja pojechałam do Polski. W Polsce mieli się spotkać wszyscy wyróżnieni w XVII konkursie. Przez cały czas towarzyszyła mi osoba, której chciałabym bardzo serdecznie podziękować. Jest to również uczestnik tych konkursów prezes MK PZKO w Suchej Górnej pan Władysław Bura. Do Opoczna sąsiadującego z Białaczowem i Wąglanami przyjechaliśmy po południu. Zakwaterowaliśmy się w miejscowym internacie i wieczorem pojechaliśmy wszyscy nad rzekę Wąglankę, gdzie rozpoczęło się uroczyste ognisko. Niestety zaczął padać deszcz, więc autobusem przemieściliśmy się do ośrodka harcerskiego, gdzie trwała zabawa aż do godziny 24.00. Starsza generacja tańczyła przy akompaniamencie kapeli, która towarzyszyła nam przez cały czas, a ci młodsi spędzili wieczór przy ognisku. Potem wróciliśmy do internatu. W niedzielę 3 maja po śniadaniu poszliśmy do Muzeum Regionalnego, gdzie odbywały się również warsztaty. Czytano tam różne próbki wierszy i omawiano je. Po południu pojechaliśmy razem do Pałacu Małachowskiego w Białaczowie. Nazywany jest Domem Pomocy Społecznej. Był to przepiękny pałac klasycystyczny, wokół którego rozciągał się park. Budynek ten posiada bogate dekoracje, więc przyjemnie było podczas udzielania nagród. Każdy uczestnik przeczytał kilka swoich wierszy, otrzymał nagrodę i zadowolony wracał do do-

mu. Ciekawostką tego całego podsumowania było to, że wszyscy oprócz laureatki 1. nagrody, która była z Niemiec, i mnie byli Polakami. A to dlatego, że w tym samym czasie, gdy trwa konkurs polonijny – dla poetów piszących po polsku, ale zamieszkałych w innym kraju, trwa też konkurs dla mieszkańców Polski. Poznałam tam wiele osób, które brały udział w konkursie, ale także poznałam pana Andrzeja Grabowskiego – pisarza fraszek i bajek, pana Nikosa Chadzinikolau – autora wierszy czy powieści publikowanych nie tylko po polsku, ale również po grecku. Szczególnie cieszę się, że poznałam organizatora tego konkursu – pana Waldemara Jóźwika. Jest on m.in. prezesem Towarzystwa Przyjaciół Wąglan, sympatykiem poetów, ojcem ośmiorga dzieci i człowiekiem, który głosi: ***Nic nie zbliża Polaków, jak serce na oścież otwarte.***

Wróciłam nie tylko z kwotą 80 zł, jaka przypadała mi jako wyróżnienie, ale mam również wiele książek, m.in. całą trylogię Henryka Sienkiewicza, tomik wierszy nagrodzonych w ciągu pięciu lat i również ostatni, książki z dedykacją, od TVP otrzymałam też zegarek, mam kasetę video z całego konkursu, dyplom, zdjęcia... Ale co zostanie mi na zawsze, to wspomnienia, których mam bardzo dużo. Niektórymi podzieliłam się z Wami.

A jeśli Wy – Czytelnicy, również chociaż trochę próbujecie na polu poezji, to wyślijcie swoje prace do Wąglan. Może też będziecie mieli okazję zwiedzić Opoczno, Wąglany, Białaczów, stanąć pod słynnym koniem Pegazem, poznać wielu sympatyków tego konkursu. Cieszę się, że mogłam wyjechać na ten konkurs, a szczególnie chciałabym podziękować swoim rodzicom, którzy zawsze popierają mnie. I właśnie Mojej mamie i Mojemu ojcu chciałabym zadedykować jeden wiersz w podzięce za wszystko, co dla mnie zrobili.

Nie chcę być gwiazdą,
nie znam przyszłości,
nie szukam szczęścia,
nie znam podłości,
nie ufam obcym,
nie krzyczę ze złości,
nie lubię kłamstwa,
nie myślę o przeszłości,

Tak zawsze będzie,
gdy zrobicie dla mnie jedno,
wystarczy mi tylko,
że będziecie ze mną.

EWA MROWIEC

REGULAMIN
V POLONIJNEGO KONKURSU POEZJI
„NAJDROŻSZE GNIAZDO RODZINNE" WĄGLANY 1999

1. **Celem naszego konkursu jest utrzymanie stałej więzi poetów polonijnych z krajem ojczystym poprzez kultywowanie piękna języka polskiego na całym świecie.**
   Wyszukiwanie utalentowanych poetów piszących po polsku oraz umożliwienie im debiutów w naszym konkursie, szerokie propagowanie ich twórczości w środkach masowego przekazu i we wspólnym almanachu pokonkursowym.
2. **Organizatorzy – Towarzystwo Przyjaciół Wąglan.**
   Współorganizatorzy i zarazem sponsorzy naszego konkursu:
   Ministerstwo Kultury i Sztuki – Departament Edukacji i Animacji Kulturalnej, Urząd Wojewódzki Wydział Kultury, Sportu i Turystyki w Piotrkowie Trybunalskim, Urząd Gminy w Białaczowie oraz zaprzyjaźnione środki masowego przekazu polskie i polonijne, współpracujące z naszym konkursem.
3. **Zapraszamy do uczestnictwa wszystkich poetów piszących po polsku z całego świata!** Bez względu na narodowość, wiek, miejsce zamieszkania czy też dorobek literacki, mogą to być początkujący i zrzeszeni w związkach twórczych.
   Pragniemy zachęcić, ocalić od zapomnienia i zebrać w jedną całość dorobek literacki wszystkich poetów piszących po polsku, zbliżyć ich do siebie i nawiązać przyjaźnie.
   Nie ograniczamy tematyki wierszy, prosimy o przysłanie 5 wierszy w 3 egz. maszynopisu lub czytelnego rękopisu **do 31. 12. 1998 r.** Prace nadesłane po tym terminie wezmą udział w kolejnej edycji.
   Nasz adres:
   Towarzystwo Przyjaciół Wąglan
   Waldemar Jóźwik
   Wąglany 50
   26–307 Białaczów
   z dopiskiem **„V Konkurs – Najdroższe gniazdo rodzinne"**
4. Dla 15 najlepszych poetów ufundujemy cenne nagrody książkowe lub ich równowartość dla tych, którzy przyjadą po odbiór nagród i wyróżnień do Wąglan na podsumowanie konkursu, oczywiście w gotówce, ponadto laureaci otrzymają pamiątkowe dyplomy i almanachy pokonkursowe z nagrodzonymi i wyróżnionymi wierszami oraz inne cenne pamiątki.
5. **Uczestnicy konkursu proszeni są o podanie bardzo dokładnych adresów zamieszkania, dokładnej daty i miejsca urodzin**, krótkiej notki biograficznej, mile widziane listy i zdjęcia, czasopisma polonijne piszące o naszym konkursie i inne wydawnictwa.
6. Staropolskim cudownym Szczęść Boże życzymy udanych debiutów i zadowolenia ze współpracy z naszym konkursem, bo nic tak nie zbliża przyjaciół jak serce na oścież otwarte, a ileż to jeszcze pereł i diamentów z prowincji, wciąż nie wydobytych z wąglańskiej kopalni talentów!

ORGANIZATORZY

ŻARTY Z BRODĄ

Woźnica: Czy paniuchna ma fałszywe zęby?
Dama (oburzona): Cóż was to może obchodzić?
Woźnica: Ja tam nie z ciekawości pytam. Ale nasze drogi są pełne wybojów, więc jeżeli zęby nie siedzą mocno, to lepiej schować je do torby.

Wyjątek z wiadomości bieżących:
M.L., upiwszy się wczoraj, spadł z wozu i ciężko ranił się w głowę. Lekarze mają jednak nadzieję, że obejdzie się bez amputacji.

Kandydat na literata: Pochlebiam sobie, że mój artykuł jest oryginalny.
Redaktor: Tak, szczególnie pod względem ortograficznym.

Babcia: Jeżeli Józieczek wciąż będzie taki niegrzeczny, to babcia zachoruje ze zmartwienia, będzie brała gorzkie lekarstwa, a potem umrze i powiozą ją na dużym czarnym wozie. Rozumiesz, Józieczku?
Wnuczek: A czy ja, babciu, będę mógł siąść na koźle przy stangrecie?

Wnuczek: Babciu, a kiedy babcia będzie znów chorować?
Babcia: A dlaczego?
Wnuczek: Bo mi potrzebne pudełko od pigułek.

Babcia: Czego chcesz, Kaziu, na imieniny?
Wnuczek: Konika, szablę i żebym się trzy dni nie musiał myć.

W jednym z miast komendant garnizonu wydał taki rozkaz:
W niedzielę wielkanocną ma się stawić kompania odkomenderowana do kościoła przed kościołem za kościołem, a po kościele przed kościołem.

Tapicer: Czy chce pan, aby kanapa miała materace z włosia końskiego, czy z trawy morskiej?
Klient: Koniecznie z trawy morskiej, bo jestem jaroszem.

Karolek modli się: Boziu, daj, aby Bukareszt był w Turcji!
Mama: Karolku, co ty pleciesz?
Karolek: Bo ja, mamusiu, napisałem w wypracowaniu, że Bukareszt jest w Turcji.

◀ *widok z Kozubowej, fot. FRANCISZEK BAŁON*

DARKOWIANIE STALE AKTYWNI

Miejscowe Koło PZKO w Darkowie liczy 168 członków, ale tylko 70 związkowców mieszka nadal w zdewastowanym przez kopalnie Darkowie. Większość zmuszona była wyprowadzić się do karwińskich osiedli, a nawet dalszych miejscowości. Związkowe życie w Darkowie jednak nie zamarło. Dowodem tego może być majowe spotkanie darkowian przygotowane przez Zarząd MK.

W ramach programu kulturalnego inż. Bolesław Mrózek przypomniał obrzędy i zwyczaje związane z wiosną. Wiązankę pieśni ludowych ze Śląska Cieszyńskiego wykonała kapela Zespołu Regionalnego Suszanie z Suchej Górnej pod kierownictwem Leona Buławy i młodzi soliści: Grażyna Pilch, Marian Pilch i Beata Czendlik, ubiegłoroczna laureatka Śląskiego Śpiewania (1. miejsce), obecnie studentka konserwatorium w Ostrawie. Miłym urozmaiceniem był solowy koncert akordeonowy w wykonaniu Romana Kuli, również studenta Ostrawskiego Konserwatorium. Na majowym spotkaniu nie zabrakło pieśni w wykonaniu darkowskiego chóru mieszanego Lira pod batutą młodej dyrygentki mgr Beaty Pilśniak-Hojka. Lira stanowi główny filar działalności społecznej darkowskich pezetkaowców. Większość chórzystów dojeżdża na próby z różnych miejscowości, z karwińskich osiedli czy nawet z Rzeki. Już za dwa lata ambitny i stojący na dobrym poziomie artystycznym zespół obchodzić będzie 90-lecie swojego istnienia.

Na zakończenie Wiosennego Spotkania wystąpił kwartet męski pod kierownictwem muzyka i akompaniatora Franciszka Burego, a z dowcipnym monologiem Józef Górecki.

J.W.

IGRZYSKA LEKKOATLETYCZNE SZKÓŁ PODSTAWOWYCH

Po raz XVI z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka 1 czerwca na stadionie w Trzyńcu odbyły się Igrzyska Lekkoatletyczne Polskich Szkół Podstawowych, których organizatorem tym razem była PSP w Suchej Górnej przy wsparciu Sekcji Sportu i Turystyki ZG PZKO. W zawodach wzięło udział 580 młodych sportowców z 28 polskich szkół. W imieniu organizatorów otwarcia igrzysk dokonała dyrektor PSP w Górnej Suchej Apolonia Mrózek, a uczniowie Roman Cieśla i Krystyna Lincer dopełnili olimpijskiej ceremonii. Sprawozdawcą zawodów był Marek Siderek, szkoleniowiec narciarskiej reprezentacji Polski.

F.B.

JUBILEUSZ POLSKIEJ SZKOŁY I PRZEDSZKOLA W KARWINIE-FRYSZTACIE

W dniach 12 i 13 czerwca przebiegały w Karwinie-Frysztacie główne uroczystości z okazji osiemdziesięciolecia miejscowego Polskiego Przedszkola oraz Polskiej Szkoły Podstawowej. W piątek zebrali się rodzice, byli wychowankowie i wychowawcy, przyjaciele szkoły i przedszkola, jak również liczni zaproszeni goście w Domu Kultury w Karwinie-Nowym Mieście, by obejrzeć w wykonaniu uczniów przedstawienie „I wszystko się może zdarzyć..." Główną autorką spektaklu była nauczycielka Ewa Hladík, która napisała scenariusz, przygotowała scenografię oraz całość reżyserowała. Aranżację muzyczną opracowała nauczycielka Ewa Blanik. W dwu i półgodzinnym programie przewinęli się przez scenę wszyscy uczniowie szkoły, jak również przedszkolacy. Dyrektor szkoły Janina Fierla oraz dyrektor przedszkola Elżbieta Gałuszka odebrały gratulacje z rąk zgromadzonych gości, m. in. przedstawicieli Urzędu Miejskiego, Urzędu Szkolnego, ZG PZKO, Rady Polaków, polskich szkół i przedszkoli, Kół PZKO oraz innych organizacji, związków i stowarzyszeń. Po przedstawieniu odbyło się spotkanie zaproszonych gości z pracownikami obu placówek.

Sobotni ranek rozpoczęto w miejscowym kościele parafialnym Mszą św. w intencji polskiego szkolnictwa we Frysztacie. Pod znakiem zapytania stało jednak powodzenie popołudniowego festynu szkolnego, gdyż padający od wielu godzin deszcz uniemożliwił zabawę w ogrodzie szkolnym. Festyn odbył się w pomieszczeniach budynku szkolnego oraz pobliskiego gościnnego Domu PZKO. W sali gimnastycznej obejrzeli rodzice popisy gimnastyczne i taneczne swoich dzieci, przedstawili się przedszkolacy oraz uczniowie poszczególnych klas szkoły podstawowej. Można było zwiedzić budynek szkoły i przedszkola, obejrzeć wystawę prac uczniów. Niektóre prace z tej wystawy na czas wakacyjny przeniesiono do pomieszczeń Biblioteki Regionalnej w Karwinie-Frysztacie.

Częścią festynu stało się spotkanie wychowanków, na Balu Wspomnień można było powspominać i potańczyć. Nie zabrakło też smacznej kuchni. C.R.

OTWARCIE DOMU PZKO W KOCOBĘDZU

Historyczną wstęgę przecięli w drzwiach odrestaurowanego Domu PZKO w Kocobędzu wiceprezes ZG Jerzy Taraba i starościna Leona Konieczna. Mimo że sobota 13 czerwca była wyjątkowo ulewnym dniem, kocobędzanie i zaproszeni goście przybyli tłumnie do ogrodu okalającego Dom. Uroczystość uświetnił swym występem Chór Nauczycieli Polskich z dyrygentem Alojzym Suchankiem, a prezes Władysław Martynek i wiceprezes Gustaw Walek przedstawili historię MK PZKO w Kocobędzu. Koło jako samodzielne powstało w roku 1957 z wyodrębnienia z dużego Koła w Ligocie, obejmującego także teren Kocobędza i Podobory. Od 1986 roku ma siedzibę w byłym budynku przyszkolnym, dawnym majątku Macierzy. Po trzech latach Dom został wykupiony na własność. Dzięki sponsorom i pracy społecznej członków Koła został wyremontowany. Najbardziej zasłużonym wiceprezes ZG PZKO Jerzy Taraba wręczył pezetkaowskie honorowe odznaki i akty uznania.

Mimo deszczu wszyscy z przyjemnością obejrzeli w specjalnie przygotowanym namiocie występ jabłonkowskiej Nowiny, którą prowadzi Krystyna Mruzek.

E.S.

AVION NA STRYCHU

Galeria Strych w Ośrodku Kulturalnym i Społecznym Strzelnica w Czeskim Cieszynie gościła 13 czerwca uczestników wieczoru wspomnień o Wiesławie Adamie Bergerze. Kongres Polaków w RC, Ośrodek Kulturalny i Społeczny Strzelnica, Galeria Strych, Teatr Cieszyński oraz Towarzystwo Avion byli organizatorami wieczoru, na który złożyły się premiera i jednocześnie jedyne wykonanie spektaklu na podstawie utworów Wiesława Adama Bergera „Księga o nieumieraniu czyli Dzisiaj miałbym urodziny" oraz wystawa prac jego żony Helgi Berger.

Autorką scenariusza na podstawie książek, rękopisów i listów pisarza oraz główną realizatorką programu była Renata Putzlacher, a całość reżyserował Karol Suszka. Oprócz niej w spektaklu udział wzięli Karol Suszka jako Stary Adam, Michał Siegoczyński jako Młody Adam, Gabriela Fabian, Sebastian Pawlak, Janusz Laskowski. Śpiewaczką była Alina Farna-Podskalska, aktorem Rudolf Moliński. Muzykę do spektaklu przygotował Zbigniew Siwek, który razem z Tamarą Czudek, Bronisławem Liberdą i Januszem Laskowskim tworzył zespół muzyczny, akompaniujący wykonawcom. Autorką oprawy plastycznej spektaklu została Helga Berger. Dodatkowym niezaplanowanym, a tworzącym nastrój elementem były bębniące o dach krople deszczu. C.R.

fot. w Kronice – FRANCISZEK BAŁON

KRZYŻÓWKI

WYKREŚLANKA

POLSKA ZAPRASZA... (zakończenie zaprosin stanowi rozwiązanie dodatkowe zadania).
Poniżej podane wyrazy należy w diagramie wykreślić w rzędach poziomych, pionowych i ukośnych (również wspak). Pozostałe litery utworzą właśnie rozwiązanie dodatkowe.

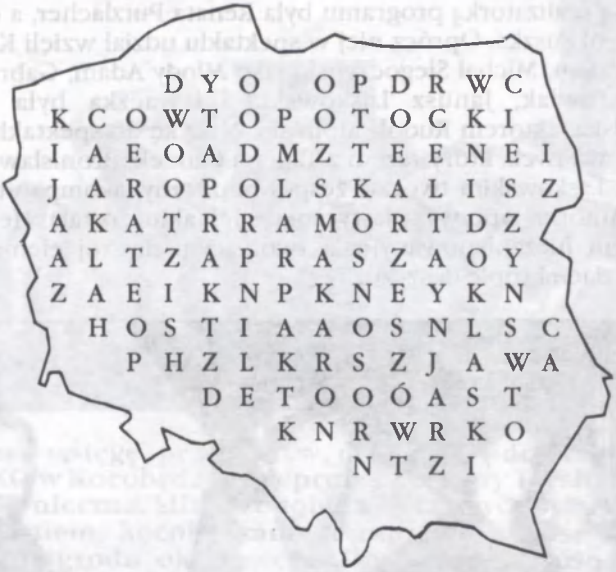

CELTA - CIESZYN - HALKA - HOSTIA - KALISZ - KAPRAL - KARPATY - KARTA - KOZAK - KRAKSA - LESZEK - MAKARON - OKLASKI - OTWOCK - PASTOR - POETA - POMORZE - PORAJ - POTOCKI - RZESZÓW - SENAT - SKALD - TORKA - TROKI - ZJAWA - ZWORA.

WARSZAWA DA SIĘ LUBIĆ...

WŚRÓD LICZNYCH I CIEKAWYCH ZABYTKÓW STOŁECZNEGO MIASTA PRZYKUWA UWAGĘ TURYSTÓW RÓWNIEŻ... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki).

POZIOMO: A. Imię męskie; związek chemiczny; dzieli się na wieki. **B.** Stan i rzeka w USA; łużycki działacz narodowy. **C.** Główny składnik powietrza; czeski rze-

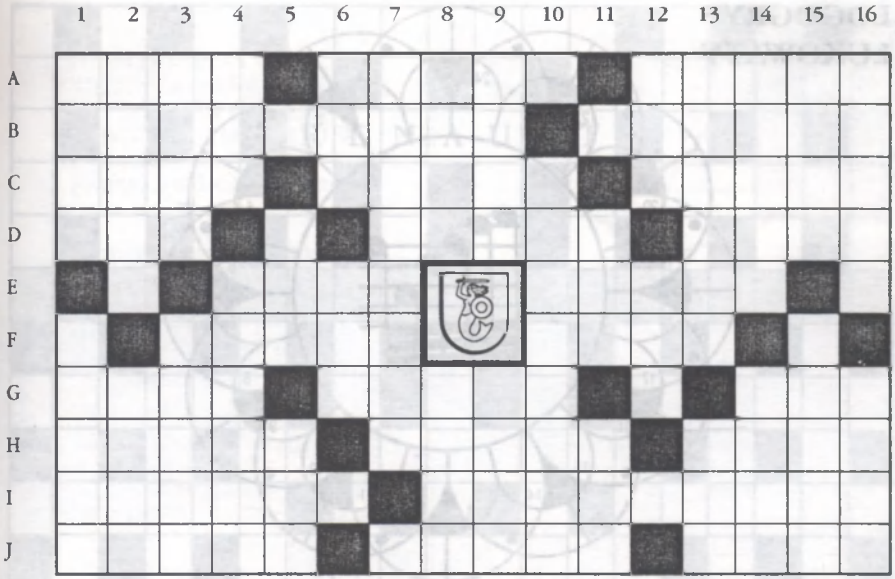

źbiarz (Vilém); lewy dopływ Rodanu. **D.** Głową nie jest do przebicia; miasto we Włoszech; kolejność, etap. **E.** Polski mikrobus; mahometanizm. **F.** Mieszkaniec Bukaresztu; jeden z bliźniąt Jakuba i Rebeki. **G.** Odmiana chalcedonu; biednemu zawsze wieje w oczy; rzeka w Portugalii. **H.** Samochód produkcji czeskiej; elektroda dodatnia; mieszka w Brukseli. **I.** Glicerydy; królowa rozrywek umysłowych. **J.** Narośl na liściach lub łodygach roślin; nieżyt; czeski prozaik (Jindřich Šimon).

PIONOWO: 1. Halucynacja, przywidzenie; mocny bat. **2.** Pochlebca; odświętny, uroczysty strój. **3.** Miejscowość we Francji; ssak z rodziny łasicowatych, miodożer. **4.** Poeta rosyjski (Afanasij); ziemnowodny gryzoń. **5.** Może być częstochowski; miasto w Brabancji (Belgia). **6.** Żądłówka; część cyklu pracy silnika. **7.** Wchodzi w skład batalionu. **8.** Starogrecki portyk; kanadyjski piosenkarz (Paul). **9.** 0,9144 m; słodki prezent. **10.** Forteca. **11.** Autor trylogii „Przed potopem" (Szalom); miasto, hrabstwo i rzeka w Szkocji. **12.** Miejscowość w Japonii lub Rosji; do pieczętowania listów i paczek. **13.** Staropolska miara sukna (32 łokci); większy od fasoli. **14.** Kwas siarkowy dymiący; wąski bęben z tarczami, bobina. **15.** Fizyk szkocki (John); taniec wirowy. **16.** Obszar, powierzchnia gruntu; pożywka dla drobnoustrojów.

Wyrazy trudne: ANOR, AYR, COA, EMI, KERR, OKSYM, SMOLER.

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach: A-15, H-9, A-2, F-4, E-14, B-3, J-10, F-11, E-5, H-16, F-5, D-2, F-7, C-10, J-15, E-4, H-2, A-13, H-15, J-8, G-14, F-6, C-2, J-4, C-7, I-8, B-7, G-6, I-11, D-1.

LOGOGRYF ŁUKOWATY

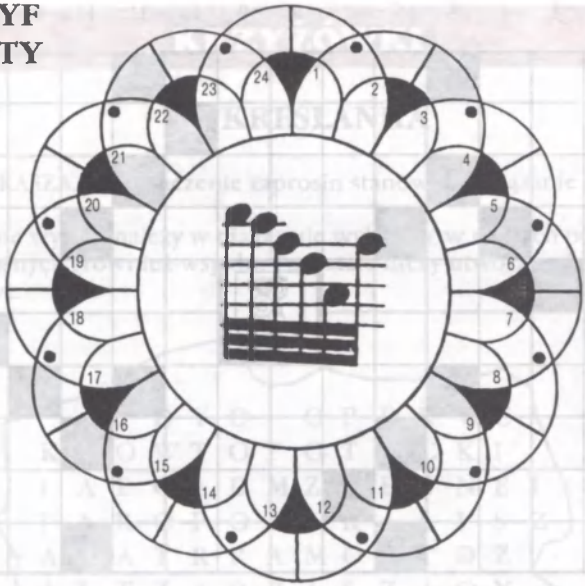

ZNANA WŚRÓD MELOMANÓW MIEJSCOWOŚĆ NAD UTRATĄ stanowi rozwiązanie dodatkowe kolejnego zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1–4.	Tytuł komedii Gogola.
3–6.	Wycięcie odsłaniające szyję.
5–8.	Mięczak.
7–10.	Część dawnego uzbrojenia.
9–12.	Ryba morska (sardynka norweska).
11–14.	Glazura.
13–16.	Nibygwiazda.
15–18.	Długi i zobowiązania jednostki gospodarczej.
17–20.	Rodzaj kombinezonu.
19–22.	Pierwiastek chemiczny (Co).
21–24.	Drzewo o dużych, pachnących liściach.
23–2.	Płytkie zagłębienie wypełnione wodą.

Wyrazy trudne: 13–16. KWAZAR.

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

BARDZO POPULARNĄ ATRAKCJĄ TURYSTYCZNĄ TORUNIA JEST... (patrz rozwiązanie dodatkowe krzyżówki sylabowej).

	1	2	3	4
A				
B				
C				

POZIOMO: A. Sztuczna postawa, afektacja; ziemia uprawna. **B.** ROZWIĄZANIE DODATKOWE. **C.** Przywara lub usterka; drzewo owocowe pochodzące z Chin (persymona).
PIONOWO: 1. Roślina o parzących włoskach. **2.** Poeta ludowy (Wojciech, 1870–1906) lub po prostu przeszkoda. **3.** Chroni oko. **4.** Składane fotele z płótna naciągniętego na ramę.
Wyrazy trudne: KAKI.

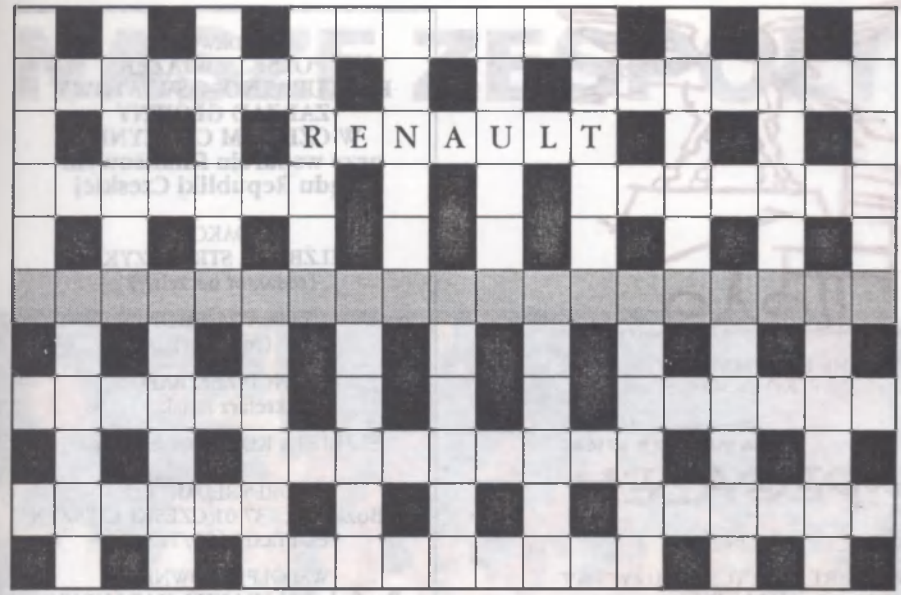

SYNTEZA KRZYŻÓWKI

W CAŁEJ EUROPIE NIEWIELE JEST MIEJSC TAK UROKLIWYCH JAK ...
(patrz rozwiązanie dodatkowe zadania).

Zapraszamy po dłuższej przerwie naszych Czytelników nie do rozwiązywania, lecz do układania krzyżówek. Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę nawet z rozwiązaniem dodatkowym. Jeden wyraz – **RENAULT** – wpisano już dla ułatwienia na właściwym miejscu.

Wyrazy 6–literowe:
AURIOL, EDWARD, ENEASZ, IKARUS, IMBRYK, JEDWAB, KAKTUS, KARATE, KORALE, LAUDUM, OLESZA, OŁTARZ, OOSKOP, OSESEK, PANICZ, PIGMEJ, RADZIM, RYMARZ, RZEPAK, SIEWKA, SWETER, SZORTY, ULRYKA.
Wyrazy 7–literowe:
ARTYSTA, KOMNATA, KOPALKO, ŁOWISKO, OFICYNA.
Wyrazy 9–literowe:
KAMIZELKA, ROZWALINY.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązanie prosimy przesyłać do końca miesiąca sierpnia.
Rozwiązanie krzyżówki z numeru czerwcowego:
Hasło: Na poły zrobiono robota, je jak zogroda bez płota.
Nagrody książkowe wylosowali:
Jan Cienciała – Bystrzyca
Helena Šenkýřowa – Sucha Górna
Jolanta Dedkowa – Moravský Krumlov

MK PZKO JABŁONKÓW
ZG PZKO Czeski Cieszyn

KAWIARENKA
POD PEGAZEM

zaprasza na

KONCERT POETYCKO-MUZYCZNY
„TO LUBIĘ"
poświęcony 150. rocznicy URODZIN
Jana KUBISZA

WYSTĄPIĄ:
ŻEŃSKI TERCET SMYCZKOWY
w składzie Krystyna MRUZEK – Ludmila NIEDOBA – Věra MIKLEROVÁ

w programie utwory W. A. MOZARTA, G. F. HÄNDLA, A. DVORÁKA

solista Władysław CZEPIEC w repertuarze operowym i operetkowym
prawykonanie „Mojej ziemie" Józefa ŚWIDRA do słów Władysława MŁYNKA

aktor Karol SUSZKA w montażu „PIEŚŃ DLA WNUKA"

8 VIII 1998 r., godz. 19.00
Sala Koncertowa Szkoły Muzycznej w Jabłonkowie (przy kościele)

Po KONCERCIE zapraszamy na spotkanie towarzyskie w Sali Biesiadnej Domu PZKO

W programie m. in. prezentacja własnej twórczości literackiej.

LII edycja Kawiarenki „POD PEGAZEM" w ramach „ŚG" '98
Scenariusz i prowadzenie
Kazimierz KASZPER, Jan PYSZKO
Przy fortepianie Erika CIENCIAŁA

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/712 261

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

NASZE ZESPOŁY

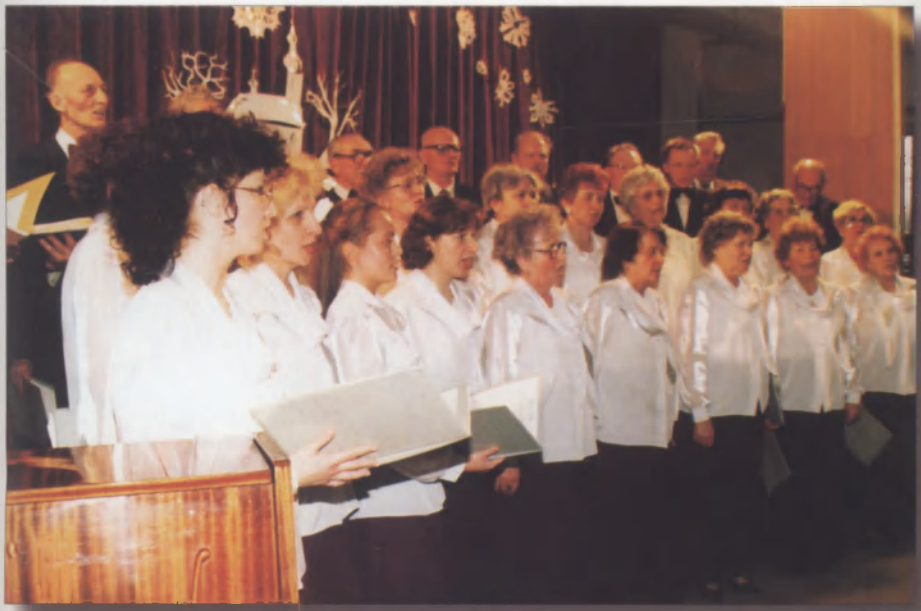

LUTNIA

Chór mieszany Lutnia działający przy Miejscowym Kole PZKO w Lutyni Dolnej należy do najstarszych chórów na Zaolziu. Powstał w r. 1908 i obchodzi w roku bieżącym 90-lecie działalności. Pierwszymi dyrygentami byli nauczyciele W. Greger, A. Fober, J. Topiarz i miejscowy organista F. Janeczek. W okresie międzywojennym chórem dyrygowali: J. Małysz, A. Niedźwiedź, F. Czernek, K. Prymus, J. Górniczek, K. Czyż, R. Bajger, R. Gałuszka, F. Klus, R. Wójcik, J. Jeleń. Po II wojnie światowej chór prowadzili nauczyciele E. Pastuszek, W. Pawlas-Filipkowa i S. Wacławik. Od r. 1959 Lutnię nieprzerwanie prowadzi Alojzy Babiński. Chór może się poszczycić wieloma osiągnięciami. Do najważniejszych należy udział chóru w Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie (1985). Chór bierze czynny udział we wszystkich konkursach śpiewaczych, festiwalach PZKO, występuje w okolicznych miejscowościach i w Polsce (m. in. w Godowie, Piekarach Śląskich, w „Trojoku Śląskim" w Katowicach i Bielsku-Białej). Za systematyczną i bogatą działalność otrzymała Lutnia wiele dyplomów, aktów uznania oraz najwyższe odznaczenie ZG PZKO oraz Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie – Odznakę Honorową Złotą z Laurem, którą uwieńczony też został wieloletni trud dyrygenta Alojzego Babińskiego.

Okolice Pniewy

Zwrot
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ
9/98

Słodki... "BABSKI FESTYN"

TACY BYLIŚMY

Szkoła ludowa w Kocobędzu została wybudowana w roku 1898 przez Macierz Szkolną.
Zdjęcie zostało wykonane w roku 1907. Od roku 1945 w budynku mieści się szkoła czeska. W latach 1948–1979 była tu także małoklasowa szkoła polska, której długoletnim dyrektorem (1956–1979) był Gustaw Walek. Widoczny na zdjęciu mały budynek znajdujący się za szkołą dziś jest siedzibą Miejscowego Koła PZKO, którego otwarcia po rekonstrukcji dokonano w czerwcu br.
Właścicielem starej widokówki jest Gustaw Walek z Cierlicka.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 586 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

9/98

Książnica Cieszyńska

W NUMERZE

[2]	Gorolski Święto w epizodach	F.B.
[9]	„My z niego wszyscy“	ELŻBIETA WANIA
[15]	Z żołnierskich tradycji Śląska Cieszyńskiego [1]	EDWARD BUŁAWA
[20]	Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim [21]	ALOJZY NOWOK
[26]	Moje dorastanie do dojrzałości [9]	BOLESŁAW ORSZULIK
[30]	50 lat pracy PZKO za nami: Była i Uciecha!	ANTONI STRZYBNY
[36]	Tajemnice Piasta i Domu Polskiego	
[39]	Jubileusz malarki	C.R.
[40]	170 lat polskiej szkoły w Koszarzyskach	C.R.
[42]	Co nowego w Nydku	TADEUSZ TOMAN
[43]	W szponach czarnego orła	KAROL MRÓZEK
[48]	Poezja Zbigniewa Herberta	
[50]	Jindřich Zogata: Studnia Kapuśniców	
[56]	Fraszki	WICEK SZ.
[59]	To i owo	
[63]	Echo wydarzeń muzycznych	
[67]	Na naszej scenie	CZESŁAWA RUDNIK
[70]	Trybuna czytelników	
[72]	Kronika	
[74]	Abrahamowiny społecznika	J.K.
[76]	Mozaika	JAN KUBICZEK
[79]	Krzyżówka	

Numer zamknięto 14. 08. 1998

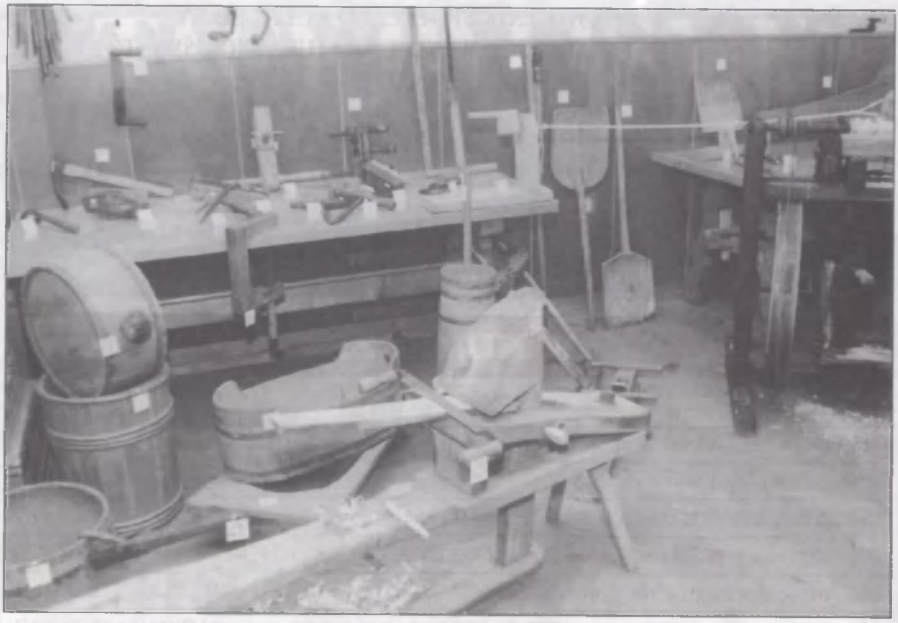

Wystawa... zarodek Izby Tradycji

Jedna z kapel występujących w sobotę... („Tradycyjny zlepek...")

GOROLSKI ŚWIĘTO W EPIZODACH

SŁOWO

Słowo mówione, wiążące, jest nieodzowną częścią każdej imprezy o charakterze przeglądu, na którą składają się występy wielu zespołów. Gorolski Święto miało tradycję utrzymywaną przez dziesiątki lat również w protagonistach prowadzących program. Postacie Jury spod Grónia, Macieja, potem Hadama z Drugi Izby i wreszcie Filipa, występujących z zespołem Gorol i samodzielnie, wpisały się na zawsze nie tylko w programy Gorolskich Świąt, ale towarzyszyły wielu imprezom zarówno na naszym terenie, jak i w Polsce. „Ho, ho, ho" Władysława Niedoby – Jury, humor prezentowany przez Ludwika Cienciałę – Macieja, pełne mądrości góralskiej i poezji wypowiedzi Władysława Młynka – Hadama, któremu jeszcze w zeszłym roku towarzyszył ze swym nieco rubasznym humorem Tadeusz Filipczyk – Filip, są powszechnie znane. Na pełne określenie wrażeń wywołanych ich słowem potrzeba by wielu słów. Niestety na zawsze odeszli ludzie z najzacniejszych...

Na tegorocznym Gorolskim Święcie nieżyjących już Ludwika Cienciałę i Władysława Młynka, jak również nieobecnego w tym roku Władysława Niedobę wspominała młoda para prowadzących program Halina Młynek oraz Marcin Filipczyk z zespołu Olza, oboje pochodzący z Nawsia, córka Hadama z Drugi Izby i syn Filipa.

ZMIANY

Bardzo trudno zmieniać, jakiekolwiek byłyby po temu powody, tradycję. Do zmiany chyba największej w tradycji Gorolskigo Święta zaliczyć należy jego włączenie w ramy obchodów Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Dzięki temu program w Lasku Miejskim w Jabłonkowie co roku wzbogacają występy zespołów folklorystycznych nie tylko z Polski, ale również z wielu innych, nieraz bardzo egzotycznych stron. Gorolski Święto stało się więc w ostatnich latach jeszcze barwniejsze, bogatsze.

Gorolskie świętowanie i w soboty, przede wszystkim dla młodych, też urosło do dużych rozmiarów. I w tym roku ponownie tłumy w sobotę były większe od tych w niedzielę...

MUZYKA

To święto tańca i śpiewu nie mogłoby istnieć bez kapel, bez muzyki. Grają więc orkiestry na jabłonkowskim rynku, grają kapele w pochodzie, na scenie. Chyba jednak najbardziej wzruszają te przypadkowe – muzykujące w tłumie pod drzewami. Próbując w tym roku stwierdzić pochodzenie jednej z nich, usłyszałem piękne i jakże dosadne określenie: *To tradycyjny zlepek powstały*

Konferansjerzy

Zespół „Drevar" ze Słowacji

z okazji Gorolskigo Święta. Grają i śpiewają pieśni ludowe z werwą i widoczną przyjemnością. Są młodzi, ubrani w dżinsy, w szorty... Górole, Bystrzyca, Sómsiek i nie wiadomo kto jeszcze... Z każdej kapeli po trochu, osobno i wszyscy razem.

W sobotni wieczór jest także muzyka inna, ta dla młodych żądnych tańca. Tym razem przed nią wystąpił Golec Sold Band. Między góralskie stroje i tradycyjne dla kapel ludowych istrumenty grających wmieszał się nawet puzon. Ludowe melodie w nieco innym, ciekawym brzmieniu. Do tańca aż rwało!

ZACHWYT

W niezwykle barwne widowiska trwające od 51 lat trudno wnieść coś dotąd nieznanego wiernemu widzowi, coś, co swą niezwykłością nieoczekiwanie wzruszy jeszcze głębiej. A jednak wspominając minione Święta – prawie na każdym znalazło się właśnie takie COŚ. W tym roku na pewno był to zespół z Macedonii, którego tancerze po zakończeniu występu w niedzielę wyszli w stronę publiczności i wciągnęli w duży taneczny krąg siedzących w pierwszych rzędach...

NIE TYLKO W LASKU

Coraz bogatsze są imprezy towarzyszące Gorolskimu Świętu. Wśród wielu organizowanych i w tym roku uwagę szczególną wzbudziły dwie.

Niezmiernie bogata w rzadkie eksponaty – rarytasy – wystawa obrazów i widokówek o Jabłonkowie, zainstalowana w Domu Działkowca, dopełniona była bardzo ciekawymi eksponatami, powstającej w Jabłonkowie Izby Tradycji.

Kawiaranka Pod Pegazem, której edycje od kilku lat towarzyszą i Gorolskim Świętom, cieszyła się w tym roku zasłużenie znacznie większym zainteresowaniem. Przebiegła ona w sobotę w dwu etapach.

Koncert poetycko–muzyczny „To lubię", poświęcony 150. rocznicy urodzin Jana Kubisza, odbył się w sali koncertowej Szkoły Muzycznej. Zaprezentował się tu żeński tercet smyczkowy pod kierownictwem Krystyny Mruzek, wykonawcą montażu poetyckiego był Karol Suszka. Punktem kulminacyjnym było pierwsze publiczne wykonanie przez Władysława Czepca, przy akompaniamencie fortepianowym Eriki Cienciały, pieśni Józefa Świdra do wiersza poety Władysława Młynka.

Przeniesiona po koncercie do tradycyjnej siedziby Kawiarenek Pod Pegazem w Domu PZKO biesiada poetycka przedłużyła się do późnej nocy.

Jedyny na tym Święcie koń... koń uskrzydlony galopował triumfalnie.

PIERWSZE GOROLSKI ŚWIĘTO

Jak wiadomo, są też od samego początku Gorolski Święta miejscem wielu miłych spotkań – rodzinnych, koleżeńskich, jak rów-

nież... międzynarodowych, nieoczekiwanych, wręcz zaskakujących. Sława tego wielkiego, bogatego i różnorodnego przeglądu folkloru (od czasu połączenia Gorolskigo Święta z Tygodniem Kultury Beskidzkiej – przeglądu, można powiedzieć światowego) szerzy się coraz dalej. Wielu ludzi w szerokim świecie marzy o tym, żeby zobaczyć to święto na własne oczy.

W tym roku udało się wreszcie takie wieloletnie marzenie spełnić i Dominikowi Jaśkowiakowi z północnej Francji, z miasta Maricourt, znajdującego się 50 km od granic Belgii.

Pan Dominik urodził się we Francji. Jego matka – Polka – wyemigrowała tam z Limanowej jako osiemnastoletnia dziewczyna. Wyszła za mąż za Polaka żyjącego we Francji już w drugim pokoleniu. Dziadkowie pana Dominika przyjechali do Francji z poznańskiego.

Pan Dominik Jaśkowiak jest z zawodu nauczycielem mechaniki ogólnej w technikum. Jego pasją jest jednak folklor i polska kultura ludowa. Jest kierownikiem dwu kapel ludowych, których członkami obok Polaków żyjących we Francji są i Francuzi. Jak stwierdził – *Francuzi tylko grają, nie śpiewają.*

Ten dobroduszny pan, mówiący poprawnie po polsku, ma na naszym terenie wielu przyjaciół. Szczególnie miło wspomina członków zespołu Olza, z którymi zetknął się po raz pierwszy przed jedenastu laty na kursie etnograficznym w Lublinie. Potem towarzyszył Olzie w Londynie i w Belgii.

Pan Dominik Jaśkowiak z Filipem...

Koliba księgarska

Pan Dominik Jaśkowiak do tego stopnia hołduje wszystkiemu, co polskie – ludowe, że chce we Francji wybudować prawdziwą drewnianą chałupę góralską! *Będzie moja góralska chałupa, żeby wszyscy, których znam – na przykład tancerze Olzy – przyjechali do mnie, żeby się pobawić.*

Dla pana Jaśkowiaka z dalekiej Francji – pierwsze – pięćdziesiąte pierwsze Gorolski Święto było wielkim, wzruszającym przeżyciem.

GOROLSKI ŚWIĘTO I... BIZNES

Jest dla niejednych to święto też biznesem (może nawet tylko...). Tu do bardzo pozytywnych inicjatyw, które mają znaczenie nie tylko handlowe, zaliczyć trzeba Kolibę Księgarską państwa Wirthów – ich zasługi dla szerzenia polskiej książki na Zaolziu nie trzeba podkreślać. W tym roku działalność koliby wzbogacona została o autorów podpisujących na miejscu swe książki (Andrzej Grabowski, Piotr Horzyk, Józef Wierzgoń).

Do pozytywnych aspektów handlowych zaliczyć należy także stoisko z wyrobami rzemiosła ludowego.

Niestety przybywa stoisk, które nie mają nic wspólnego z naszą kuchnią i ludową tradycją.

F.B.

Zespół z Macedonii... fot. FRANCISZEK BAŁON

„MY Z NIEGO WSZYSCY...“

Z. Krasiński

Na zaproszenie Stowarzyszenia Wspólnota Polska oraz Polskiej Macierzy Szkolnej na Białorusi w dniach od 2 do 6 lipca br. uczestniczyliśmy w Międzynarodowej Konferencji Nauczycielskiej pn. Twórczość Adama Mickiewicza w krajowych programach nauczania. Dzięki wielkiemu WIESZCZOWI spotkali się nauczyciele języka polskiego oraz działacze polonijni z Białorusi, Belgii, Francji, Węgier, Niemiec i Zaolzia (sześcioosobowa grupka nauczycielek).

Po całodziennej podróży i przekroczeniu mocno strzeżonej granicy wieczorem 2 lipca dotarliśmy do Grodna. Po uregulowaniu zegarków na czas białoruski okazało się, że nasze spóźnienie wzrosło o godzinę i nie spotkamy się już tego dnia z oczekującymi nas gospodarzami w Polskiej Macierzy Szkolnej. Prezes PMS Stanisław Sienkiewicz, nie zważając na późną porę, towarzyszył nam podczas kolacji i zakwaterował w najbardziej komfortowym hotelu Grodna.

3 lipca

Dzień ten okazał się Świętem Narodowym na Białorusi. Zgodnie z życzeniem miejscowych władz pojechaliśmy dwoma autokarami na Cmentarz Wojskowy, by złożyć tu wiązanki kwiatów. Nasze bukiety położyliśmy pod Pomnik Ofiar Katynia.

Inauguracja konferencji odbyła się w auli w jedynej na Białorusi Polskiej Szkole Podstawowej w Grodnie. Referaty dotyczyły programów nauczania, potrzeb edukacyjnych i tradycji Mickiewiczowskich w szkołach na Białorusi. Bardzo ciekawie wypadło porównanie języka Mickiewicza ze współczesną polszczyzną młodzieży grodzieńskiej. Dr Tatiana Biełocka udowodniła, że język współczesnej młodzieży zachował wiele podobieństw. Do dziś używana jest np. konstrukcja „u mnie jest“, którą znajdujemy u Mickiewicza: *Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli / moich / I liczne mam serca mego / rodzeństwo, / Piękniejszy kraj niż ten, co w / oczach stoi,/ Rodzina milsza niż całe / pokrewieństwo.*

W dyskusji okazało się później, że język Mickiewicza jest bliższy młodzieży polskiej na Białorusi, aniżeli w innych krajach Europy.

Po południu rozpoczęły się nasze wędrówki „Szlakiem Adama Mickiewicza“. Litwa Mickiewiczowska czyli Wielkie Księstwo Litewskie – to dziś terytorium zarówno Białorusi, jak i Litwy. Najpierw zapoznaliśmy się z zabytkami, historią i kulturą polską w Grodnie.

Grodno, liczące dziś 300 tys. mieszkańców, w tym 60 tys. Polaków, leży po obu brzegach Niemna. W XVI wie-

ku było to jedno z najpiękniejszych miast Europy. To tu w Starym Zamku, przejął koronę polską Kazimierz Jagiellończyk, tu przebywał i zmarł w 1586 r. Stefan Batory. W Grodnie odbywały się sejmy Rzeczypospolitej. Ten ostatni w 1793 r. zatwierdził II rozbiór Polski.

Do ciekawych zabytków Grodna należy Kościół Farny mieszczący się po wschodniej stronie rynku. Podczas zwiedzania kościoła słysząc polską mowę, podchodzili do nas modlący się ludzie, Polacy, mieszkańcy Grodna, żyjący nieraz w bardzo trudnych warunkach. Zwiedziliśmy też Cerkiew Borysa i Gleba, wielokrotnie przebudowywaną i restaurowaną pod koniec lat 80. Oryginalne są tu tzw. garnki akustyczne.

W Grodnie mieszkało wiele wybitnych osobistości, wśród nich Eliza Orzeszkowa. Od jej domu - muzeum pojechaliśmy do Bohatyrowicz, by podziwiać Niemen, odwiedzić grób Jana i Cecylii i grób powstańców z 1863 roku. Zagłębieni myślami w lekturze „Nad Niemnem" Orzeszkowej dotarliśmy do potomków rodu Bohatyrowiczów. A potem było ognisko, wspólne śpiewy i te pola, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnione.

4 lipca

Dziś mamy poznać miejsce urodzenia Wieszcza, dom związany z okresem jego dzieciństwa, z tym najpiękniejszym, beztroskim okresem w życiu człowieka. *Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie / Święty i czysty jak pierwsze kochanie* - czytamy w Epilogu „Pana Tadeusza".

Jadąc autokarem, przypominałam sobie literacki krajobraz Nowogródczyzny, pola, zielone łąki, rzeki, ruczaje, dworki szlacheckie. I wydawało mi się, że niewiele się zmieniło.

Nowogródek przygotowuje się do obchodów dwusetnej rocznicy urodzin poety. Przez rynek, gdzie przeprowadzane są prace remontowe, przechodzimy do dworku Mickiewiczów, w którym znajduje się obecnie muzeum. W tym domku Adaś słuchał opowieści i bajek starej niańki hrabianki Horbatowskiej. Być może późniejsze ballady Mickiewicza miały źródło w tych opowieściach. Stąd Adam wraz z bratem wychodził do nieistniejącej już dziś szkoły w Nowogródku, tu przeżył wiele znamiennych wydarzeń, wybuch wielkiego pożaru, przejazd wojsk napoleońskich, które znalazły odbicie w jego twórczości. W muzeum można obejrzeć kopię metryki chrztu Adama, rękopisu małego Adasia, jego świadectwa szkolne, są oryginalne meble, portrety rodziny i przyjaciół, pierwsze wydania jego dzieł. Przez piwnice dworku, w których zgromadzono malarstwo poświęcone miejscom związanym z Mickiewiczem oraz wizerunki poety, przechodzi się do oficyny. Tu w salonie poetycko-muzycznym towarzysząca nam przez cały czas Telewizja Polska nagrywała program „Pomosty", który najprawdopodobniej emitowany będzie we wrześniu br.

Prócz Muzeum Mickiewicza w No-

wogródku zwiedziliśmy ruiny zamku nowogródzkiego na Górze Zamkowej. *Zamek na barkach nowogródzkiej góry / Od miesięcznego brał pozłotę blasku, / Po wałach z darni i po siwym piasku / Olbrzymim słupem łamał się cień bury / Spadając w fosę*

Tak opisany został zamek w „Grażynie". Prawdopodobnie zamek Mendoga pochodzi z XV wieku. Zniszczony przez Krzyżaków odbudowany został przez księcia Witolda po 1410 roku. Gościem zamku bywał i król Władysław Jagiełło. Tu odbył się jego ślub z Sońką (czwartą żoną króla). Do dziś ocalały jedynie fragmenty wschodniej i południowej baszty zamku. Obok wzgórza zamkowego w latach 1924-31 usypano Kopiec Mickiewicza. Na kopiec przywieziono ziemię ze wszystkich miejsc, w których w czasie swej tułaczki przebywał Adam Mickiewicz oraz z różnych stron Polski. Kopiec stał się pomnikiem wznoszonym przez cały naród. U podnóża znajduje się tablica w języku białoruskim: *Kurhan bjassmiertia nasypan u cześć polskaha paeta Adama Mickiewicza 1924-31.*

Poniżej wzgórza zamkowego znajduje się kościół farny, gdzie 12 lutego 1799 roku ochrzczony został Adam Mickiewicz. W Nowogródku ma poeta również swój pomnik. Odsłonięto go dopiero we wrześniu 1992 roku i wypełniono jakby życzenie Mickiewicza. Pisał bowiem w jednym z listów do Ignacego Domeyki: *Żegoto, jeżeli za co, to za „Pana Tadeusza" muszą kiedyś postawić mi nowogrodzianie pomnik na placu w Nowogródku.*

Po wspaniałym obiedzie w domu ss. nazaretanek udaliśmy się do Miru. Ludzie kiedyś opowiadali, że zamek w Mirze miał podziemne połączenie z zamkiem nowogródzkim. Ogromny zamek mirski jest już 10 lat rekonstruowany, a według słów przewodnika z braku finansów jego rekonstrukcja potrwa jeszcze co najmniej dziesięć lat. Niektórzy uważają, że zamek mirski mógł być jednym z pierwowzorów zamku w „Panu Tadeuszu", choć zamek horeszkowski był na pewno o wiele mniejszy.

Celem naszej dalszej podróży jest Zaosie - miejsce urodzenia poety. W strugach deszczu, wśród ogromnej przestrzeni pól i łąk ukazuje nam się samotny dworek Mickiewiczów. Na przełomie XVIII/XIX w. był tu folwark stryja Mikołaja Mickiewicza Bazylego. W folwarku przez jakiś czas gospodarował ojciec poety. Dworek był bardzo skromny - drewniany, parterowy, kryty gontem. Obok stały obora, stodoła, świronek i studnia z żurawiem. I tu w Zaosiu w wigilię Bożego Narodzenia przyszedł na świat Adam Bernard Mickiewicz - drugi syn Barbary i Mikołaja. Dworek w Zaosiu w czasie I wojny światowej został zniszczony, a po drugiej wojnie zlikwidowano resztki budowli. Jeszcze do niedawna jedynie wzniesiony w 1927 r. obelisk przypominał o fakcie urodzenia Mickiewicza. W 1990 r. zlokalizowano fundamenty dworku i w końcu 1996 roku na podstawie rysunku Edwarda Pawłowicza wykonanego w 1842 r. opracowano

projekt i zrekonstruowano budynki dawnego majątku. W chwili obecnej wyposażeniem dworku i ekspozycją zajmuje się Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie.

Mając w pamięci słowa Mickiewicza: *Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,/ Do Płużyn ciemnego boru / Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie / Byś się przypatrzył jezioru./ Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,/ W wielkiego kształcie obwodu,/ Gęstą po bokach puszczą oczerniona,/ A gładka jak szyba lodu/*, zatrzymaliśmy się nad jeziorem Switeź. Jezioro i okolica jest taka sama jak w opisach mickiewiczowskich. Dotykaliśmy ręką miękkiej i przeczystej wody Świtezi i śpiewaliśmy „Świteziankę". Jezioro nie jest duże ani głębokie (1.75 km² powierzchni i do 15 m głębokości).

Nad Świtezią został utworzony Park Narodowy im. Adama Mickiewicza. Jest tu unikalny krajobraz, różne rodzaje lasów i znane nam z książek poety białe kwiaty zwane „carami". Podobno w słoneczne południe można zobaczyć w toni jeziora zatopione miasto. (Związana z jeziorem legenda mówi, że było tu kiedyś miasto – stolica Tuhana. Zostało zatopione na prośbę bezbronnych kobiet, gdy mężowie je opuścili, udając się na wojnę, a na gród napadli nieprzyjaciele.) Nam pogoda niestety nie sprzyjała. Pełni wrażeń dojechaliśmy wieczorem do Lidy.

5 lipca

W niedzielny słoneczny ranek wyruszyliśmy na polską Mszę św. do kościoła w Bieniakoniach. W małym miasteczku leżącym tuż przy granicy litewskiej powitał nas miejscowy proboszcz, przypominając historię i losy kościoła, który od 10 lat (przedtem służył jako magazyn paliw) znów służy wiernym. Na przykościelnym cmentarzu jest kilka starych grobów i najważniejszy dla nas grób Maryli. Napis na granitowej płycie głosi: *Marya z Wereszczaków Hr. Puttkamerowa ur. 1799 r. Grudnia 24 um. 1864 r. Grudnia 28. Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie.*

Nad grobem Maryli miejscowy poeta Michał Wołosewicz recytował nam swoją balladę o miłości Adama i Maryli, opartą na znanej w Bieniakoniach legendzie. *W pałacu z czerwonej cegły mieszkała niewiasta Marylą zwana. Stroje miała i sługi, a do Bieniakoń na mszę przyjechawszy, klęknie, oczy zasłoni. Lud patrzy i pyta: dlaczego? Leśnik podpatrzył ją w gaju siedzącą na szarym kamieniu z wyrytym krzyżykiem. Cości czytając płakała. Mówiono, że pani hrabina kochała w życiu kogo innego... Jak wzięły wieśniaczki te wiersze do ręki, wtenczas wiedziały którego... Adam i Maryla – to te imiona ludzie na zawsze łączyć będą. Taka moc ich tęsknoty była, że przecież choć po śmierci spotykać się im pozwoliły losy... W noc świętojańską tu nad rzeką ukazują się. Słychać ich szept...*

Z Bieniakoni udajemy się do Bolcieników, gdzie na folwarku zamieszkała po zamążpójściu Maryla

Puttkamerowa. Mickiewicz gościł tu w 1822 r., przeżywając szczęśliwe chwile z ukochaną. Miejscem spacerów i spotkań był wspomniany w legendzie lasek sosnowy, nazywany „gaikiem Maryli". Do dnia dzisiejszego leży tu kamień, na którym wyżłobiony krzyż upamiętnia ból rozstania. Słuchając kolejnych wierszy Wołosewicza, poszliśmy pod dom Puttkamerów. W dworze mieszczą się dziś biura kołchozu im. J. Gagarina. Komitet Pamięci Adama Mickiewicza planuje utworzenie muzeum we dworze.

W Bolcienikach pożegnaliśmy polskiego poetę Wołosewicza zbiorkami poezji naszych zaolziańskich twórców i udaliśmy się do Domu Polskiego w Lidzie. Biały budynek z brunatno-czerwonym dachem zwraca uwagę swą niezwykłą dla miasta architekturą. Jest symbolem polskiego odrodzenia na Białorusi. Dzięki Lidzianom i pomocy Stowarzyszenia Wspólnota Polska został otwarty w ubiegłym roku. Znajduje się tu klasopracownia, gdzie prowadzi się naukę języka polskiego, jest biblioteka, pomieszczenia dla Klubu Kobiet, kombatantów, harcówka i piękna sala wykładowa, gdzie odbyło się uroczyste zakończenie konferencji. Po wspaniałym referacie Ewy Cywińskiej na temat „Metodyka lekcji muzealnej" rozgorzała dyskusja połączona z podziękowaniami, wyrazami uznania dla gospodarzy za zorganizowanie tak owocnej konferencji.

A potem wspólne śpiewy z Lidzianami. Z pieśnią na ustach wyszliśmy przed Dom Polski, gdzie w niezapomnianej atmosferze jakże wzruszająco zabrzmiały słowa „Roty" Marii Konopnickiej: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród.*

Po uroczystej kolacji w siedzibie Polskiej Macierzy Szkolnej, gdzie nie szczędziliśmy podziękowań panu prezesowi Stanisławowi Sienkiewiczowi oraz konsulowi generalnemu RP w Grodnie Sylwestrowi Szostakowi, którzy nie tylko opiekowali się nami, ale byli zarówno wspaniałymi przyjaciółmi, odbywały się długie Polaków rozmowy.

6 lipca

Droga powrotna do granicy w Kuźnicy Białostockiej jak i odprawa celna przebiegły niezwykle szybko i sprawnie. Niedaleko za granicą jeszcze jedno miłe i nieplanowane wcześniej spotkanie w siedzibie Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Białymstoku. Tu zdradzono nam, jakie niespodzianki czekają tegorocznych laureatów konkursu recytatorskiego Kresy. Mam nadzieję, że zdobywający zawsze najwyższe laury uczniowie naszego gimnazjum będą mogli z nich skorzystać.

Reszta drogi do Warszawy przebiegła bardzo roboczo, uzupełnialiśmy notatki, wymieniali adresy i marzyli o kolejnym spotkaniu na Szlaku Mickiewicza.

ELŻBIETA WANIA

Z ŻOŁNIERSKICH TRADYCJI ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO (1)

W odmętach pierwszej wojny światowej

MŁODA GENERACJA POLAKÓW A WOJNA

Śląsk, jedna z pięciu dzielnic Piastowskiej Polski, został od Macierzy oderwany w XIV wieku w wyniku dzielnicowego podziału państwa i naporu Niemców oraz związanych z Rzeszą królów czeskich. W XVII wieku, po klęsce narodowej Czechów pod Białą Górą znalazł się, razem z całą koroną św. Wacława, w rękach Habsburgów. W 1757 r. Fryderyk II, król pruski, napadł na Austrię i zostawił jej tylko skrawek Śląska – w większości zamieszkały przez Czechów Śląsk Opawski oraz Śląsk Cieszyński położony między rzeką Białką, Beskidami, Ostrawicą i granicą pruską. Przez środek tej krainy płynie rzeka Olza, nad którą położony jest Cieszyn, przed 700 laty stolica piastowskiego księstwa.

Na Śląsku Cieszyńskim, zdominowanym, poza czeską strefą północno-zachodnią (Frydecczyzna i okolice Ostrawy), przez ludność etnicznie polską, od roku Wiosny Ludów rozpoczęła pracę narodową polska inteligencja wywodząca się spośród miejscowych Ślązaków. Najwybitniejszą postacią wśród niej był Paweł Stalmach wydający od 1848 r. Gwiazdkę Cieszyńską – tygodnik wskazujący jego rodakom przez szereg dziesięcioleci drogę do polskiej wspólnoty narodowej. W roku 1885 jego dzieło podjęła Macierz Szkolna dla Księstwa Cieszyńskiego, skupiająca liczne grono miejscowych działaczy polskich. Ich praca doprowadziła już u schyłku XIX wieku do powstania na Śląsku Cieszyńskim silnego i dobrze zorganizowanego polskiego ruchu narodowego.

W dekadzie poprzedzającej wybuch pierwszej wojny światowej pojawiły się w życiu polskiej społeczności Śląska Cieszyńskiego nowe siły. Obok tradycyjnego ruchu chłopskiego nowym czynnikiem stał się zorganizowany ruch robotniczy, wymuszający społeczny postęp i daleko idącą demokratyzację życia publicznego we wszystkich wymiarach, z szeroko pojętymi swobodami narodowymi włącznie.

Kolejnym, dynamizującym polski ruch narodowy, czynnikiem było pojawienie się licznej grupy po polsku wychowanej inteligencji, wychodzącej z założonych staraniem Macierzy Szkolnej polskich szkół średnich – gimnazjum oraz seminarium nauczycielskiego. Do wybuchu wielkiej wojny obie polskie szkoły wykształciły łącznie i mocno związały z polską kulturą ponad cztery setki młodych Ślązaków.

Młoda polska inteligencja zdominowała społeczność nauczycieli szkół ludowych, pozyskując tym samym wielki wpływ nie tylko na wychowanie w szkole, ale i poza nią. Z tego pokolenia śląskiej inteligencji wyłonili się utalentowani twórcy regionalnej literatury oraz liczna kadra prężnych organizatorów ruchu czytelniczego, śpiewaczego i teatralnego, którego działalność zaważyła na kształtowaniu się świadomości narodowej przedwojennej generacji młodzieży śląsko-cieszyńskiej, wywodzącej się z wiosek i osiedli robotniczych. Treści zawarte w literaturze, pieśniach i utworach scenicznych umożliwiły dziesiątkom tysięcy młodych Ślązaków w kraju nad Olzą wrośnięcie w polską narodową tradycję.

Owa tradycja budziła tęsknotę za niepodległą Polską i żołnierską służbą dla niej. Antyrosyjski charakter tej tradycji dobrze harmonizował z dążeniami małopolskiego ruchu niepodległościowego, który również na Śląsku Cieszyńskim, w oparciu o sieć organizacji narodowego Sokoła i socjalistycznej Siły przygotowywał młodzież w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny do wyruszenia w bój przeciw wschodniemu zaborcy.

W tradycji śląsko-cieszyńskiego ruchu narodowego żywo brzmiał również ton przeciwstawiający się zaborczości niemieckiej, której istnienie potwierdzało codzienne życie Ślązaków, pełne starć z panującymi w kraju Niemcami. Pewnie z tej racji w społeczności młodych inteligentów polskich bardzo popularną lekturę stanowili „Krzyżacy" Henryka Sienkiewicza, na ogół w niemieckiej wersji językowej.

Ważnym wydarzeniem dla umocnienia tego właśnie kierunku narodowej edukacji były podniosłe uroczystości 500-lecia grunwaldzkiej bitwy obchodzone z wielkim rozmachem w Krakowie w 1910 r., przy uczestnictwie setek młodych Polaków ze Śląska Cieszyńskiego, bardzo wrażliwych na wartości narodowych tradycji. Treści z tymi obchodami związane, dzięki szerokiej popularyzacji w prasie i wydawnictwach, stanowiły przez kolejne przedwojenne i wojenne lata trwały element pracy wychowawczej polskich towarzystw w kraju nad Olzą, szczególnie przydatny w latach 1917/18.

W LEGIONIE ŚLĄSKIM I AUSTRIACKICH PUŁKACH

Wybuch pierwszej wojny światowej został przyjęty przez ogół Ślązaków jako wielkie nieszczęście. Na rozkaz Franciszka Józefa I - cesarza Austrii - opuszczały swoje rodzinne domy liczne grupy mężczyzn, żegnane dźwiękami kościelnych dzwonów i płaczem najbliższych. W kraju nad Olzą punktem zbornym dla zmobilizowanych był w zasadzie Cieszyn, gdzie wcielano ich do 100 cesarsko-królewskiego pułku pie-

choty oraz do 31 i 56 pułku obrony krajowej (Landwehry). Już w pierwszej dekadzie sierpnia wymienione formacje były gotowe do wymarszu na front. Po uroczystościach pożegnalnych, na które składały się nabożeństwa, przeglądy, przysięgi, defilady, żołnierze wyruszyli na wschód. Panował wśród nich raczej beztroski nastrój. Byli przekonani, że wybierają się na niedługą i zwycięzką wojnę, gdyż zgodnie z narzuconym im przekonaniem przewaga wojsk austro-węgierskich i niemieckich nad Rosjanami, Serbami i Francuzami nie budziła wątpliwości.

W takiej atmosferze, zgodnie z prowadzonymi od lat przygotowaniami, lokalne polskie partie polityczne i stowarzyszenie narodowe powołały 23 sierpnia Sekcję Naczelnego Komitetu Narodowego i przystąpiły do formowania Legionu Śląskiego. Na polski zew zgłosiło się na przygotowawcze zgrupowanie do parku Sikory, stanowiącego jedno z centrów życia narodowego, 424 ochotników, zaś do I Brygady w Krakowie, dowodzonej przez socjalistę - Józefa Piłsudskiego, zgłosiła się ponad setka członków Siły. W narodowe szeregi zaciągnąć się mogła młodzież nie wprzągnięta jeszcze do obowiązkowej służby wojskowej w austriackim wojsku. Pod względem społecznego składu zespół ochotników-legionistów stanowił prawie dokładną miniaturę zdominowanej przez chłopów i robotników polskiej społeczności kraju nad Olzą.

Po odbyciu ćwiczeń sformowano legionowy półbatalion z por. Józefem Lebiedzikiem na czele, zaś jego dwoma kompaniami dowodzili podporucznicy Feliks Hajduk oraz Jan Łysek. Zaopatrzenie oddziału organizował kapitan Hieronim Przepiliński, z zawodu nauczyciel, jak zresztą cała kadra oficerska jednostki. Oddział liczył 372 legionistów, zatem, łącznie z setką legunów w I Brygadzie w polskich mundurach wymaszerowało na front ponad 460 ochotników z Cieszyńskiego. Legion Śląski wyjechał 21 września do Mszany Dolnej i jako kompania śląska został włączony do 3 pułku legionów, dowodzonego przez mjr. Józefa Hallera, a skierowanego do osłony Węgier przed rosyjską inwazją. Przekroczywszy Przełęcz Pantyrską, legioniści toczyli krwawe boje w okolicach Nadwórnej, Rafajłowej, Maksymca, Rarańczy.

Dowództwo oddziałów starało się o podtrzymanie wśród żołnierzy nastrojów sprzyjających celom wojennym. W śląskiej kampanii legionowej wysuwała się na pierwszy plan potrzeba godnego reprezentowania ojczystej dzielnicy. Taka wola legionistów została wystawiona na ciężką próbę już po przyjeździe do Mszany Dolnej, gdzie formowane legionowe oddziały po prostu się rozpadały. Ślązacy pod opieką wychowawczą profesora i porucznika Przepilińskiego zdali ten egzamin pomyślnie.

Dowództwa austriackich formacji przed wejściem w bój podnosiły ducha żołnierzy poprzez udział w uroczystościach urodzin cesarskich,

przypadających na 18 sierpnia. Łączyły się one z solennymi nabożeństwami, przemówieniami dowódców, defiladami. W 31 pułku następną okazją do politycznych refleksji było przekroczenie granicy Królestwa Polskiego. Tego rodzaju wydarzenia i ceremoniały wywierały w początkach wojny na żołnierzach mocne wrażenie, lecz stopniowo na tle codziennej szarzyzny, nieludzkich warunków bytowania i ciągłego obcowania z widmem śmierci, bardziej drażniły, niż mobilizowały.

W 31 pułku, już w pierwszych dniach walki, bojowy entuzjazm starł się mocno z frontowymi realiami. Obok marszów na piaszczystych terenach, wyczerpujących siły żołnierskie, czasem brodzenia w bagnie, dawała się we znaki konieczność okopywania się na stale nowych pozycjach. Jesienią zaczęły dokuczać chłody i deszcze. Ustawiczne tytłanie się w błocie było wymuszone nie tylko logiką walki, ale również faktem, iż przeciwnik celowo palił okoliczne domy, by uniemożliwiać żołnierzom osuszenie się i ogrzanie. Potem doszły śnieg i mróz. Okopywanie się w zlodowaciałej ziemi wyczerpywało siły, zaś walka w otwartym terenie przynosiła ogromne straty.

Warunki zimowe wymusiły pozycyjną metodę walki. Żołnierze wkopywali się głęboko w ziemię i budowali systemy stanowisk strzeleckich. Szerokie wykopy osłaniano z góry warstwami drewna i ziemi, zaś boczne ściany drewnem. Fortyfikacje stale rozbudowywano w głąb i wszerz, zdobywając w ten sposób miejsce na wstawienie prycz, ław i stołów, a co najważniejsze, żelaznych piecyków. Na przedpolach przed okopami przeciwnika powstawały zapory z drewna i drutów kolczastych, których skuteczność wzmacniano przewodami elektrycznymi pod napięciem oraz systemem pól minowych. Żołnierz obserwował przeciwnika i czatował na niego z karabinem w dłoni. Trwała wymiana ognia, padały ofiary. Nocą podbudowywano stanowiska strzeleckie, zabezpieczano wyłomy, uszkodzenia. Bytowanie całymi miesiącami w chłodzie, wilgoci, zaduchu, pyle, w brudnej, przepoconej, zawszonej bieliźnie, bez możliwości przebrania się i kąpieli, w ciągłym pogotowiu i nerwowym napięciu, podcinało i wyniszczało zdrowie nawet najsilniejszych.

Zdekompletowane oddziały uzupełniano rezerwistami, dzięki czemu pułk odzyskał przewidziany regulaminem stan osobowy, tyle, że tysiące jego żołnierzy zginęły, odniosły rany, względnie zostały skazane na jeniecką poniewierkę. Kadry oficerskie i podoficerskie odnawiano poprzez szkolenie i awansowanie podoficerów, żołnierzy. Porucznik Ludwik Skrzypek, odnotowując w swoich „Frontowych zapiskach" fakt, iż w wyniku strat opróżnionych zostało w pułku 16 stanowisk dowódców plutonów, stwierdzał sarkastycznie: Istnieją przed nami duże możliwości. I faktycznie, nawet nauczyciele wiejskich szkół ludowych otrzy-

mywali stosunkowo wysokie stopnie i obejmowali odpowiedzialne funkcje. Ludwik Skrzypek został w czerwcu 1915 r. dowódcą kompanii. W lipcu ranny, został wycofany na zaplecze, by się leczyć, ale natychmiast po zakończeniu kuracji skierowano go na front włoski. Po odniesieniu ponownej kontuzji powrócił do cieszyńskich koszar, do kadry pułku. Podobnymi były losy jego kolegów. Zaszeregowanym do 100 c.k. pułku wypadło walczyć w Karpatach Wschodnich, a potem w Alpach, gdzie realia wysokogórskie w warunkach wojny pozycyjnej stwarzały większe możliwości działań z zaskoczenia, a odłamki skalne raniły niemniej groźnie niż odłamki granatów.

W setkach starć i bitw znalazły śmierć tysiące mężyczyzn i chłopców, których wojna wyrwała z rodzinnych stron. Pozostały po nich sieroty, wdowy, płacz matek i wspomnienia najbliższych. Tysiące żołnierzy powróciło do domu z ranami, często z trwałym kalectwem, najczęściej z nadszarpniętym zdrowiem, co było wynikiem wegetacji w nieludzkich warunkach.

Nie innymi były losy żołnierzy śląskiej kompanii legionowej. Mimo wątpliwości co do sensu walki po boku Austrii trwali na posterunkach w Karpatach Wschodnich do września 1915 r. Nie wytrzymał trudów frontowej walki dowódca kompanii por. Feliks Hajduk, który jesienią 1914 roku podupadł na zdrowiu. Poległ Wincenty Koch z zaolziańskiego Rychwałdu, padł pod Nadwórną jak wielu innych. W walkach na Wołyniu, pod Kostiuchnówką poległ 5 listopada 1915 roku dowódca kompanii śląskiej por. Jan Łysek z Jaworzynki, nauczyciel, utalentowany poeta, działacz. Jego oddział utracił wtedy jedną trzecią swego stanu.

Jesienią 1915 roku legionistów oddano pod komendę niemiecką. Mieli stanowić kadrę armii polskiej tworzonej z ochotników w Królestwie Polskim. Kiedy odmówili przysięgi na wierność obcym władzom, część spośród nich znalazła się w obozach dla internowanych, inni w austriackich szeregach, jeszcze inni, by wydobyć się z nieludzkich warunków w obozie dla internowanych, wstąpili w szeregi Polskiego Korpusu Posiłkowego, podporządkowanego niemieckiej komendzie. Niektórzy z nich przedostali się w szeregach brygady dowodzonej przez generała Józefa Hallera za rosyjski front. Ich losy we wstrząsanej rewolucją Rosji były bardzo różne, podobnie jak tych, którzy znaleźli się tam wcześniej jako austriaccy jeńcy.

EDWARD BUŁAWA

c.d.n.

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (21)
UTRATA HELENY – MIĘDZYWOJENNA SŁUŻBA

Monotonię życia obozowego w Biedrusku urozmaicałem sobie cotygodniowymi wyjazdami do teatru w Poznaniu, pilną lekturą dzieł literackich wszystkich laureatów Nobla i historią oraz pisaniem listów do Heli. Przeżyłem też piękną uroczystość wręczenia naszemu pułkowi sztandaru przez mieszkańców miasta Kępna Wielkopolskiego.

W okresie do końca stycznia 1922 roku napisałem do Heli wiele listów oprócz specjalnych życzeń świątecznych i noworocznych. Niestety od grudnia 1921 roku nie dała znaku życia. Zaniepokojony tym milczeniem prosiłem o krótki urlop, który otrzymałem niestety dopiero pod koniec kwietnia. Pojechałem wprost do ciotki Heli, lecz już jej nie zastałem. Nie żyła. Przedstawiłem więc moje troski bratu ciotki, który z nią mieszkał. Nie dowierzał mi w pierwszych chwilach, lecz po przedstawieniu mu listów Heli przekonał się jakoś do mnie i dowiedziałem się o jakiejś dziwnej tragedii. Hela poznała w Krakowie pewnego Brazylijczyka, który miał być rzekomo członkiem jakiejś misji handlowej. Po krótkiej znajomości odbył się podobno ślub i już na Boże Narodzenie Hela znalazła się jako małżonka tego Brazylijczyka w Sao Paulo w Brazylii. Wszystko odbyło się błyskawicznie, bez wiedzy zrozpaczonej ciotki, która rozpoczęła niedługo energiczne i mozolne poszukiwania. W lutym otrzymała ciotka jedyny list od Heli datowany w ostatnich dniach stycznia. Czytałem ten list. Ani słowa w nim o mnie. W liście tym Hela dziękuje w gorących słowach ciotce za dobroć, przeprasza ją za samowolę, niewdzięczność i wyraża żal, że opuściła Polskę, lecz żywi nadzieję, że w niedługim czasie wróci do kraju.

Na początku kwietnia ciotka odebrała zawiadomienie, że biedna Hela umarła tragicznie w Sao Paulo w dniu 2 lutego. Jej zwłoki znaleziono na trotuarze pod oknami kamienicy, w której było jej mieszkanie. Wypadła a może została wyrzucona przez okno mieszkania na trzecim piętrze? Tragiczny wypadek? Samobójstwo? A może zbrodnia? Kilka dni po odebraniu tej wiadomości ciotka nie żyła. Umarła na skutek gwałtownego ataku serca.

Nie było mi nigdy dane rozwikłać tajemnicę śmierci nieszczęsnej biednej Heli, lecz zawsze wydawało się mi, że padła ofiarą jakiegoś sutenera. Próbowałem sprawdzić, z kim się Hela w Krakowie kontaktowała.

Zwróciłem się do władz kościelnych w Krakowie z prośbą o informację, z kim Helena X. z Cieszyna zawarła w grudniu małżeństwo. W prośbie napisałem otwarcie, o co chodzi. Otrzymałem odpowiedź podpisaną przez ówczesnego biskupa krakowskiego A. S. Sapiehę, że Helena X. w całej diecezji krakowskiej, a więc ani w żadnym kościele w Krakowie nie miała ślubu i nie zawarła z żadnym cudzoziemcem małżeństwa.

Napisałem również do dyrekcji konserwatorium w Krakowie, lecz otrzymałem tylko zwięzłą odpowiedź, że Helena X. z Cieszyna od początku grudnia 1921 roku nie uczestniczyła w żadnych wykładach ani nie pobierała lekcji gry i zaprzestała ćwiczyć. O jakichś kontaktach Heleny X. z jakimś obcokrajowcem dyrekcja nie wiedziała, podobnie jak koleżanki Heli.

Hela pozostała dla mnie na zawsze tajemniczą zagadką. Tylekroć osobiście w Cieszynie i później w listach przysięgała, że mnie kocha. Zabrała mi spokój i dla niej zmieniłem moje plany życiowe na przyszłość. Dla niej pozostałem w wojsku. I tu naraz ta nagła jej zdrada, wyjazd do Brazylii i tragiczna śmierć. Kobiety nikt nie zrozumie i największe tytany intelektu tego nie dokonały. Powiedział kiedyś jeden z genialnych kompozytorów muzycznych, bodajże Mendelsohn, że „w kobiecie nie ma w ogóle nic do zrozumienia". Myślę, że to nieprawda. Widocznie nie umiałem pielęgnować tej miłości, bo miłość jest jak delikatny kwiat, który trzeba umiejętnie i cierpliwie pielęgnować. Lecz jak tu pielęgnować z dala? Ja byłem pod Poznaniem, a Hela w Krakowie. Po otrzymaniu odpowiedzi od władz kościelnych i od dyrekcji konserwatorium w Krakowie przedstawiłem dowódcy pułku moją ponowną prośbę o zwolnienie mnie z wojska. Przecież w wojsku pozostałem głównie dla Heli. Prośbę moją odrzucił jednak sędziwy dowódca dywizji generał Unrug, motywując to koniecznością utrzymania pełnych stanów oficerskich i pogotowia bojowego dywizji, która lada dzień miała wkroczyć na Górny Śląsk. Nie było więc już dla mnie drogi odwrotu z wojska.

Mieliśmy w niedługim już czasie zainstalować garnizony polskie w tej części Górnego Śląska, która została przyznana Polsce po długich i pogmatwanych targach dyplomatycznych i głównie dopiero po bohaterskim zrywie ludu śląskiego w trzecim powstaniu. Polsce przyznano niestety tylko powiaty Katowice, Królewska Huta (Chorzów), Świętochłowice, Mysłowice, Pszczyna, Rybnik, Tarnowskie Góry i Lubliniec, pozostawiając Niemcom Bytom, Zabrze, Gliwice, Opole, Racibórz, Koźle, Prudnik, Niemodlin, Strzelce, Olesno, Kluczbork, to jest prawie połowę spornego i etnicznie polskiego obszaru plebiscytowego.

Nadszedł wreszcie dzień 22 czerwca 1922 – jeden z najpromienniejszych w moim życiu dni. Był to dzień wkroczenia oddziałów wojska polskiego, w tym i mojego pułku, do odzyskanej części Górnego Śląska. Trudno mi opisać moje radosne przeżycia związane z tą chwilą. Chociażby tę eksplozję radości ludu śląskiego, która nam towarzyszyła od granicznej Brynicy.

Dzień 22 czerwca 1922 roku jest dla mnie jednocześnie dniem zamknięcia okresu moich wspomnień wojennych i powojennych związanych z wojną światową i odzyskaniem niepodległości. W dniu tym zos-

tały bowiem przejęte przez wojsko polskie ostatnie połacie kraju, które przypadły Polsce po tej wojnie.

Płynęły wartkim nurtem dni, miesiące i lata w międzywojennym okresie. Wiele niebanalnych przeżyć tego okresu przeznaczyłem do lamusa. Wspomnę tylko, że w okresie od 1919 do 1939 roku zmieniałem bez własnej woli 11 razy miejsca postoju garnizonów, leczyłem się 5 razy w szpitalach, a w tym raz z ciężkiej rany postrzałowej w klatkę piersiową, byłem uczestnikiem czy też instruktorem i wychowawcą w 8 szkołach lub specjalnych kursach wojskowych. I takie już miałem szczęście żołnierskie, że służbę odbywałem w garnizonach kresowych i granicznych. Moje główne dramaty życiowe rozgrywały się teraz z dala od mego rodzinnego Zaolzia na wszystkich rubieżach Rzeczypospolitej, przede wszystkim na Kresach Wschodnich w Ostrogu Wołyńskim, w Krzemieńcu, w Wilnie i Lwowie. Opisywanie frapujących, a nieraz i dramatycznych epizodów moich ówczesnych przeżyć odbiegałoby jednak od głównego celu i głównej osi konstrukcyjnej mego opowiadania. Wystarczy wspomnieć, że moja międzywojenna tułaczka żołnierska skończyła się w 1937 roku w Warszawie. Przedtem muszę jednak zatrzymać się w Tczewie, to jest w moim ostatnim garnizonie, w którym pełniłem najdłuższą, siedmioletnią służbę wojskową w moim życiu.

Do Tczewa przybyłem w kwietniu 1930 roku już jako żonkoś. Historia mojego życia małżeńskiego to oddzielny temat. Tutaj powiem tylko tyle, że nasze małżeństwo było szczęśliwe i żona była dobrą, dzielną towarzyszką w moim dalszym życiu. Nie mieliśmy niestety dzieci.

Tczew był wówczas niedużym granicznym garnizonem, w którym stacjonował 2 Batalion Strzelców. Nasz garnizon czuwał nad zabezpieczeniem granicy przed wilczym apetytem Prusaków szczerzących na nas zęby z niedalekiego Malborka i pobliskiego Gdańska, który za kilka lat po moim przybyciu w te okolice stał się jedną z najważniejszych baz wojującego agresywnego hitleryzmu oraz głównym ogniskiem zarzewia drugiej wojny światowej.

Tczew był wówczas również miasteczkiem, w którym toczyło się dość bujne życie towarzyskie. Całe miasto znało nazwiska i imiona wszystkich stacjonujących tu oficerów. Mieszkańcy wiedzieli też, kto i ile kieliszków wódki wypił w Café – Grand czy też w czasie przyjęcia imieninowego u dowódcy batalionu i komendanta garnizonu podpułkownika dypl. Kruka-Śmigłego. Nic z naszego codziennego życia nie uchodziło uwadze polskiego cywilnego społeczeństwa, z którym utrzymywaliśmy zażyłe stosunki. Byliśmy oczywiście również bacznie obserwowani przez miejscowych Niemców.

Polskie społeczeństwo w mieście cieszyło się, gdy generalska inspekcja dokonana przez dowódcę 16 Dywizji Piechoty w Grudziądzu gen. Sawickiego przysporzyła nam chwały, a smuciło się, gdy wyjeżdżaliś-

my z dala od miasta na dłuższe ćwiczenia czy manewry. Całe miasto wiedziało też i opowiadało o tym, komu z oficerów udzielił generał w czasie inspekcji pochwały, a kto oberwał naganę.

W Tczewie pełniłem przez pięć lat funkcję oficera mobilizacyjnego, a w ostatnich dwóch latach byłem dowódcą kompanii szkolnej. Z częstych kontroli przeprowadzanych z ramienia dowództwa korpusu w Toruniu i dowództwa dywizji w Grudziądzu wychodziłem stale obronną ręką, a za sumienne prowadzenie spraw mobilizacyjnych otrzymałem nawet dwukrotną pisemną pochwałę.

W Tczewie zadzierzgnąłem trwalszą nić przyjaźni z wszystkimi starszymi i młodszymi zawodowymi oficerami i podoficerami. Interesowałem się ich losami po wojnie i sprawdziłem, że z całego batalionu przeżyło tylko dwóch podoficerów. Reszta oficerów i podoficerów poległa we wrześniu 1939 roku, trzej oficerowie zostali zamordowani w Katyniu, dwóch zamordowało niemieckie gestapo a trzech poległo w powstaniu warszawskim w 1944 roku. Z jednym z żyjących podoficerów, z plutonowym Leszczyńskim, który był bokserem zawodowym Wojskowego Klubu Sportowego w Grudziądzu, spotkałem się w 1945 roku w Warszawie. Miał zamiar porzucić i boks, i wojsko i przejąć gospodarkę po swoim ojcu pod Poznaniem.

W 1937 roku zostałem przeniesiony do Straży Granicznej. Po niedługiej praktyce u Komendanta Obwodu w Gdyni podpułkownika Franciszka Buriana, zasłużonego bojownika niepodległościowego, doświadczonego oficera i znanego mi dobrze rodaka z Zaolzia, zostałem powołany do Komendy Głównej Straży Granicznej w Warszawie, gdzie pełniłem w latach 1937 – 1938 funkcję zastępcy szefa wydziału wyszkolenia i mobilizacji, a w 1939 roku po odejściu mego szefa podpułkownika Kozioła przejąłem szefowstwo tegoż wydziału.

Komendantem Straży Granicznej był wówczas sędziwy i otoczony nimbem sławy w walce o niepodległość (jeden z dziesięciu z Pawiaka) generał Jur–Gorzechowski, który odszedł wkrótce po moim przybyciu w stan odpoczynku, przekazując tę funkcję zasłużonemu twórcy i organizatorowi oddziałów polskich w czasie pierwszej wojny światowej na Syberii generałowi Czumie. Szefem sztabu w Komendzie Głównej Straży Granicznej był wówczas rodak z Rychwałdu na Zaolziu, mój były druh z dawnej szkolnej konspiracji i zawsze dla mnie życzliwy pułkownik dypl. Ludwik Zych, który w 1938 roku był organizatorem i dowódcą Legionu Zaolzie a w 1939 roku szefem sztabu 6 Dywizji Piechoty w Krakowie.

Do moich zadań w Komendzie Głównej Straży Granicznej należało między innymi przygotowanie mobilizacyjne wszystkich jednostek Straży Granicznej na wypadek wojny z hitlerowskimi Niemcami. Było pewne, że do tej wojny dojdzie i to w krótkim czasie. Nasz wywiad miał niezbite tego dowody.

Praca naszego wydziału była żmudna i pracochłonna, gdyż sprawy te leżały tam dotychczas odłogiem i trzeba było je rozpocząć od podstaw, to jest od tworzenia szczegółowych instrukcji mobilizacyjnych oraz sporządzania zapotrzebowań na potrzeby wojenne wszystkich jednostek granicznych.

Godzi się tu wspomnieć, że w tych latach służbę ochrony granic Rzeczypospolitej pełniły dwa odmienne typy sił zbrojnych. Było to następstwem ówczesnej sytuacji politycznej oraz odbiciem ówczesnych stosunków między Polską i sąsiadami. Wyrazem tych stosunków były różne konwencje i umowy między różnymi sąsiadami.

Nieliczne i słabo uzbrojone w nowoczesny sprzęt, lecz stosunkowo bardzo dobrze wyszkolone jednostki Straży Granicznej pełniły służbę ochrony na całej granicy z Niemcami, na obszarze Wolnego Miasta Gdańsk, dalej przeważnie na górskich szlakach na granicy z Czechosłowacją i wreszcie na granicy z Rumunią w rejonie Zaleszczyk. Była to ogromnie rozwlekła linia z rzadko rozlokowanymi i słabymi liczebnie placówkami.

Natomiast służbę ochrony granic wschodnich, to jest z Litwą, Łotwą i Związkiem Radzieckim pełniły jednostki Korpusu Ochrony Pogranicza składające się z doborowych żołnierzy wojska stałego.

Stosunki między Polską i Czechosłowacją od czasu napadu czeskich wojsk na Śląsk Cieszyński 23 stycznia 1919 roku nie były oczywiście normalne, a raczej były chłodne a niekiedy nawet zimne. Po wrześniu 1938 roku była Polska oskarżana przez niektórych polityków, że zwrócenie Zaolzia wymusiła sobie w nieodpowiednim czasie. Miała więc Polska zgodzić się na okupację Zaolzia przez hitlerowskie Niemcy już w 1938 roku? Co prawda Hitler został zahamowany w tym wypadku tylko na okres jedenastu miesięcy, ale i to coś przecież znaczy. Karwiński węgiel miał dla Niemców olbrzymią wartość i znaczenie strategiczne.

Konflikt polsko-czechosłowacki we wrześniu 1938 roku był w rzeczywistości jakimś rewanżem za nieszlachetny i do tego krwawy napad braci Czechów na Śląsk Cieszyński w styczniu 1919, a więc w początkowym okresie naszej niepodległości. Początkiem i główną przyczyną tego haniebnego sporu sąsiedzkiego byli więc bracia Czesi.

Ogólny bilans wartości materialnych i rachunek wyników w wieloletnim sporze sąsiedzkim o Zaolzie między Polakami i Czechami został więc w 1938 roku na ogół wyrównany. Pozostały jednak do wyrównania niepowetowane straty moralne, a przede wszystkim wzajemna sąsiedzka nieufność i niechęć. Uważam, że główną rolę popisową w gojeniu tych wzajemnych urazów należałoby więc przyznać braciom Czechom jako inicjatorom sporu i głównym tegoż winowajcom.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

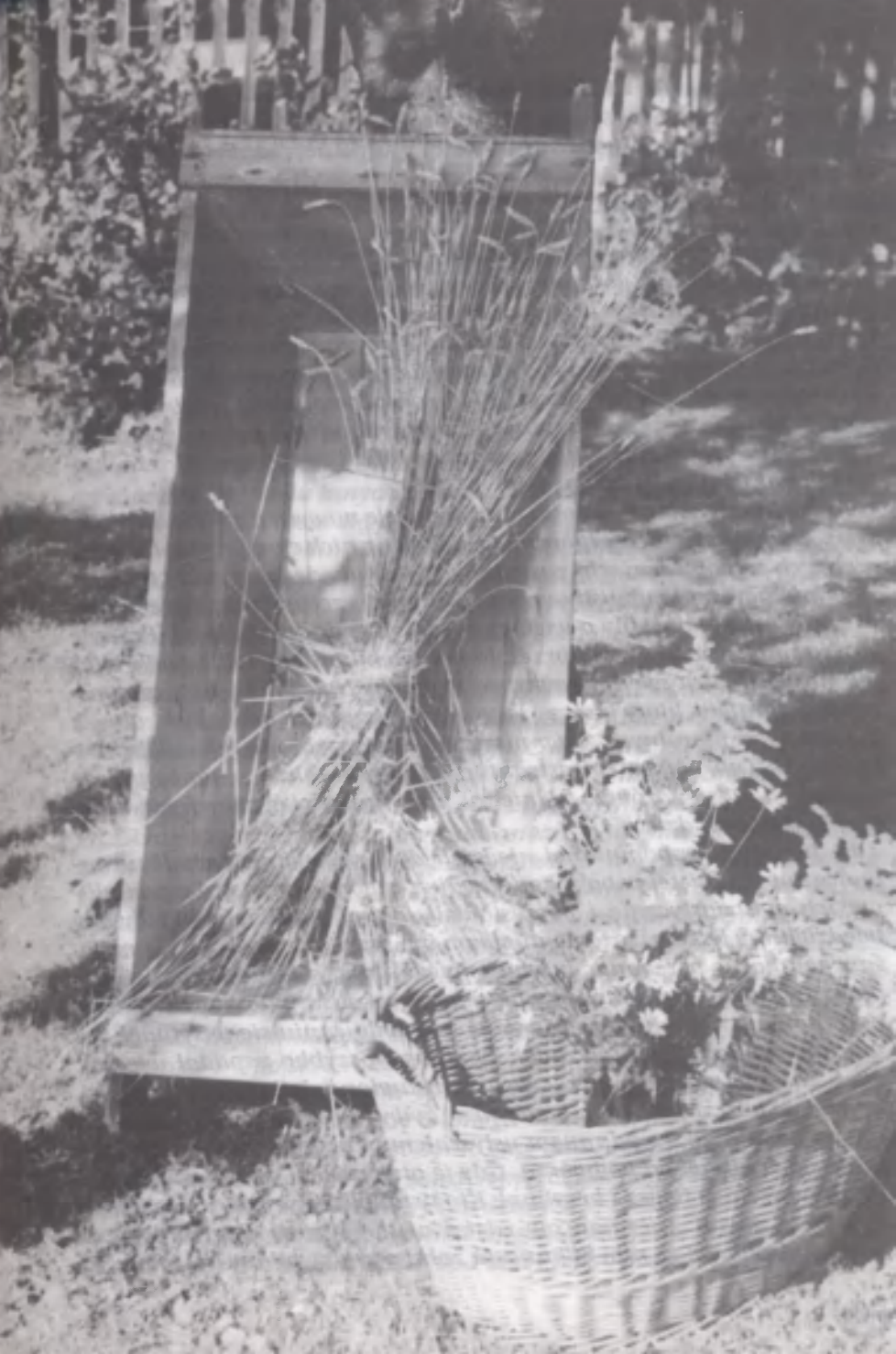

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (9)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Ów pamiętny dla mnie wtorek 23 stycznia 1945 roku, w którym bauer musiał opuścić swoje gospodarstwo, miał oznaczać koniec mojej blisko 5-letniej niewolniczej pracy oraz kres moich licznych upokorzeń i krzywd doznawanych u tegoż bauera. Tego samego zresztą oczekiwali wszyscy pozostali we wsi Polacy. Niestety, wkroczenie Rosjan do Kreisewitz w niedzielę 4 lutego 1945 roku bynajmniej nie poprawiło naszej sytuacji, wręcz odwrotnie – wyraźnie uległa ona pogorszeniu i to nie tylko dla nas Polaków, ale także i dla żywego inwentarza, którym dotychczas się opiekowaliśmy.

Ta nowa sytuacja przyniosła bowiem wiele nowych ciężkich doświadczeń. Trudno mi o nich zapomnieć. Niektóre z nich chcę przywołać w niniejszych wspomnieniach, zastrzegając jednak, że nie czynię tego, by „upamiętnić" mój jednostkowy los. Miliony przecież ludzi przeżywały w czasie ostatniej wojny o wiele tragiczniejsze doświadczenia. Przez tę garść reminiscencji sprzed przeszło pół wieku pragnę tylko podkreślić, jak surowe i bezwzględne są prawa wojenne. Należałoby tu raczej mówić o bezprawiu, które niszczy wszystko i wszystkich bez jakichkolwiek zahamowań moralnych. Owo niszczenie dotyczyło nie tylko dóbr materialnych (np. miast, infrastruktury itp.), ale także, a może przede wszystkim ludzi, zarówno żołnierzy, jak i ludności cywilnej, nie wyłączając starców i dzieci.

Po południu wspomnianej niedzieli do Kreisewitz wjechali na armatce zaprzągniętej w parę koni dwaj czerwonoarmiejcy. Przywitaliśmy ich entuzjastycznie i poczęstowali jakimś posiłkiem. Wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że ten entuzjazm był przedwczesny, o czym mieliśmy gorzko się przekonać już następnego dnia, a także i później, gdy podczas długiej wędrówki na piechotę wracaliśmy do swych rodzinnych domów. Owi dwaj żołnierze po zorientowaniu się w sytuacji we wsi natychmiast pojechali dalej. Tymczasem szybko zapadał wieczór, wieś zaś od pewnego już czasu pozbawiona była elektryczności. Zdążyłem jeszcze jako tako oporządzić żywy inwentarz i udałem się na spoczynek. Około 4 nad ranem usłyszałem przez sen gwałtowne dobijanie się do drzwi od podwórza. Gdy je otworzyłem, ktoś zaświecił mi latarką prosto w twarz i krzyknął: Kto ty takoj? Usłyszawszy, że jestem Polakiem, spytał: Giermancow zdzieś niet? i wszedł chwiejnym krokiem do środka, a za nim kilkunastu żołnierzy. Ów pijany był oficerem.

Gdy tylko wszedł do pokoju, natychmiast powalił się na łóżko. Kazano napalić mi w piecu. Udając się po węgiel, zauważyłem w ciemnościach, że podwórze pełne jest wojska i koni, które niemal po sam grzbiet pławiły się w sianie. Gdy wróciłem do pokoju, zobaczyłem, że jeden z żołnierzy dobrał się do mojej walizeczki, którą trzymałem pod łóżkiem. Pod pachą i na ramieniu miał już jakieś części mojej skromnej garderoby. Na moją uwagę, że to moja własność, w ogóle nie zareagował i nadal przerzucał moje rzeczy. Nie miałem innego wyjścia, jak tylko obudzić pijanego oficera, aby mu się poskarżyć na samowolę jego podwładnego. Gdy ten nie miał zamiaru wykonać rozkazu, by pozostawił moje rzeczy w spokoju, oficer wstał i skopał go za tę niesubordynację, obrzucając go przy tym nieparlamentarnymi epitetami. Udało mi się wprawdzie uratować moje „mienie", ale później musiałem się mieć na baczności, by ów żołnierz nie przydybał mnie gdzieś na osobności. Był on również jak wielu innych żołnierzy pijany i dlatego wolałem go unikać, aby nie próbował się na mnie zemścić. Te pierwsze momenty zetknięcia się z sowieckim wojskiem były niezmiernie szokujące, co nakazywało mi, wówczas już niemal dwudziestolatkowi, zachowywać szczególną ostrożność. Ale jak się później okazało, wszystko to, co dotychczas obserwowałem, było niczym w porównaniu z tym, co mnie dopiero czekało.

Tymczasem po około 3 godzinach wojsko nagle opuściło wioskę. Już się rozwidniało i dlatego mogłem stwierdzić, jakiego spustoszenia dokonano w ciągu tego krótkiego postoju. Całe podwórze pokryte było sianem pomieszanym ze zbożem, nie tylko owsem. Mój bauer posiadał największy we wsi areał łąk, stąd na zimę zgromadził duży zapas siana. Teraz niewiele pozostało go w sąsieku, podobnie jak niewiele pozostało ziarna w spichlerzu – wszystko to w jednej chwili zostało zniszczone i stłamszone w śniegu. Ale na tym nie koniec. W oborze znalazłem wszystkie naczynia kuchenne zadeptane przez krowy. Widocznie żołnierze po udoju i wypiciu mleka rzucili je do gnoju. Całe mieszkanie bauera zostało również doszczętnie splądrowane nie do poznania. Rodowa porcelana bauerki walała się rozbita na podłodze.

Jak już wspomniałem, w miejscowym dworze pracowały polskie dziewczęta i 4 polskie rodziny z dziećmi. Udałem się do nich, by opowiedzieć im o dokonanym spustoszeniu. Zobaczyłem wtedy, że na drodze i w rowach walały się w śniegu materace, pierzyny, łóżka, stoły, krzesła, naczynia itp., a więc był to ciąg dalszy „krajobrazu po bitwie".

We dworze zastałem tylko samych mężczyzn pogrążonych w wielkim szoku. Ich relacji słuchałem z prawdziwym przerażeniem. Okazało się, że tutaj odbyła się w nocy wielka tragedia. Rosjanie zażądali od nich wódki, a gdy jej nie otrzymali, bo Polacy jej po prostu nie mieli, wypro-

wadzili ich na podwórze z groźbą rozstrzelania, jeżeli nie spełnią ich żądania. Z pomocą pospieszył jeden z polskich robotników bauerskich, który będąc przypadkowym świadkiem owego groźnego zajścia, obiecał natychmiast przynieść Rosjanom butelkę denaturatu, na co oni się zgodzili. Ale kulminacyjny moment owego dramatycznego zdarzenia miał dopiero nastąpić. Oto po otrzymaniu denaturatu żołnierze wprawdzie uwolnili Polaków, ale zabrali przemocą wszystkie dziewczęta i żony, uprowadzając je w niewiadomym kierunku. Tymczasem wszystkich nas zebranych we dworze mężczyzn porażała bezradność w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków. Około południa powróciły porwane kobiety, wśród nich była 13-letnia dziewczynka. Okazało się, że uprowadzono je do domku myśliwskiego znajdującego się niedaleko w dworskim lesie. Nie sposób opisać owej chwili, ale ten przerażający obraz powracających zgwałconych kobiet do dziś staje mi przed oczyma. Podobnie nie mogę zapomnieć towarzyszących tej scenie dramatycznych zachowań zarówno rozpaczających kobiet i odchodzącej od zmysłów niepełnoletniej dziewczynki, jak i cierpiących mężów. My zaś, którzy byliśmy świadkami skutków tego bestialskiego wydarzenia, boleśnie odczuwaliśmy uświadamianą bezsilność wobec zaistniałej potwornej sytuacji.

Kobiety ubłagały nas, byśmy dłużej nie pozostawali w tym przeklętym dla nich miejscu i natychmiast udali się byle gdzie. Dlatego też tego samego dnia już około godz. 15,00 (5 II) nastąpił nasz exodus (około 20 osób) z tej wciąż nieżyczliwej, a może jeszcze bardziej dla nas nieprzyjaznej wsi. Na łasce losu musieliśmy pozostawić cały inwentarz żywy, również kompletnie zdewastowaną w ciągu kilku godzin wioskę. O jej dalszych losach dowiedziałem się już po wojnie od wspomnianego Janka Piechowicza, którego odwiedziłem w Olkuszu. Wtedy, w styczniu 1945 roku, musiał opuścić on wieś wraz z bauerką, ponieważ jej mąż, wspomniany już R. Gestenberg, przebywał w wojsku, a był organizacyjny wymóg, aby każdym wozem kierował mężczyzna. Mieszkańcy Kreisewitz dotarli wtedy gdzieś pod Sudety, skąd w czerwcu powrócili do swoich gospodarstw. Zastali wieś kompletnie zrujnowaną oraz padnięty inwentarz żywy, zwłaszcza pozostawione na łańcuchach krowy. W powietrzu unosił się nie pozwalający oddychać odór. Gdyby nie te dramatyczne wydarzenia, których my, Polacy, byliśmy świadkami pierwszego dnia po zajęciu przez Rosjan Kreisewitz, mogliśmy przecież opiekować się dalej porzuconym przez Niemców majątkiem i spokojnie doczekać lepszych warunków powrotu do domu. Wobec zaistniałej sytuacji byliśmy jednak zmuszeni udać się na dalszą poniewierkę, która w moim wypadku miała trwać jeszcze przeszło 3 miesiące.

Nie mieliśmy żadnego rozeznania, jak przebiega linia frontu nawet w najbliższej okolicy. Wiedzieliśmy jedynie, że w Brzegu toczy się jeszcze walka, a więc w odległości zaledwie 7 km w kierunku północno-wschodnim. Postanowiliśmy zatem pójść na południowy wschód w kierunku Opola. Zabraliśmy pozostawione przez Niemców rowery, które miały nam służyć przede wszystkim do transportu naszego skromnego bagażu. Jako środek lokomocji nie mogły być na razie wykorzystane z uwagi na uniemożliwiający jazdę śnieg. Ta niecodzienna karawana wyruszyła na ślepo, niemalże w panice, w nieznane, w kierunku sąsiedniego Alzenau (dziś Olszanka). Na samym początku tej drogi, jeszcze w Kreisewitz, natknęliśmy się na pierwszego trupa. Był to jedyny cywil niemiecki, który pozostał na miejscu. Zastrzelili go Rosjanie, gdy próbował bronić swego inwentarza, zaś zwłoki wrzucili do przydrożnego rowu.

W pierwszym dniu dotarliśmy do jakiejś wioski niedaleko Löwen (dziś Lewin Brzeski). Tu przenocowaliśmy w opuszczonym gospodarstwie. Tutaj też uśmiechnęło się do mnie szczęście: znalazłem nowe, w sam raz dla mnie niemieckie wojskowe buty, z półwysoką szeroką cholewką i podbite ćwiekami (tzw. saperki). Bardzo mi się przydały w dalszej długiej wędrówce, były bowiem wygodne, w dodatku nieprzemakalne!

W następnym dniu naszej przymusowej peregrynacji natknęliśmy się niespodziewanie na okopy, w których przyczajeni byli Rosjanie. Dziś już nie przypominam sobie, jak to się stało, że przepuszczono nas przez te okopy wraz z rowerami. Przepychając się do przodu, słyszeliśmy poszczególne strzały Niemców. Życzliwy nam oficer poinformował nas, że możemy bezpiecznie skierować się na wschód w kierunku Odry. Wydostając się z osłoniętego przez las okopu ruszyliśmy we wskazanym kierunku przez wertepy, pola i polne drogi, wtedy już pełne roztopów. W pewnym momencie znaleźliśmy się w miejscu, w którym niedawno stoczono walkę. Świadczyła o tym ziemia, która na dużym obszarze przeorana była gąsienicami czołgów i kołami innych pojazdów, zarośla zaś zrównane zostały z ziemią. W roztopionym śniegu leżało kilkanaście trupów niemieckich żołnierzy, ale już bez spodni i butów. Obok poległych walały się różne zdjęcia. Jedno z nich do dziś utkwiło mi w pamięci. Była to fotografia rodzinna: mąż w niemieckim mundurze, uśmiechnięta młoda żona i dwoje małych dzieci. Uświadomiłem sobie wtedy, że żona i dzieci nie doczekają powrotu męża i ojca, a w dodatku nigdy zapewne nie dowiedzą się, gdzie, kiedy i jak zginął.

Dopiero w następnym dniu dotarliśmy do mostu pontonowego na Odrze, zbudowanego przez rosyjskich saperów na północ od Opola,

w miejscu, gdzie na lewym brzegu znajdował się duży tartak. Bez przeszkód przepuszczono nas na drugą stronę i udaliśmy się do Opola. Tu na którymś skrzyżowaniu zatrzymano nas i pod eskortą zaprowadzono na boisko piłkarskie. Były na nim chyba tysiące rowerów równo poustawianych w rzędy. Wskazano nam, gdzie mamy ustawić nasze, lecz polecono zabrać ze sobą bagaże. Następnie, wciąż pod eskortą, zaprowadzono nas do jakiegoś budynku, gdzie musieliśmy zostawić nasze toboły. Niektórym z nas zabrano wierzchnie okrycie (ze mnie np. zdarto starszy płaszcz, który swego czasu otrzymałem z domu). Znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji, bo pozostałem tylko w tej bieliźnie i ubraniu (spodnie i stary sweter), które miałem na sobie tamtej wspomnianej nocy, gdy wpuszczałem w Kreisewitz pijanego oficera. Ocalił on wtedy mój bagaż, a teraz jego ziomkowie ukradli mi go w bardziej wyrafinowany sposób. Całe szczęście, że nie zauważono moich zdobycznych butów. Częściowo ukrywałem je przezornie pod nogawkami spodni. Przez całą noc trzymano nas pod strażą na korytarzu w sąsiednim budynku. Byliśmy załamani. Ale obiecano nam, że na drugi dzień będziemy mogli skorzystać z wojskowych samochodów udających się na zaplecze frontu po zaopatrzenie. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nazajutrz nasza grupa, dotąd trzymająca się razem i dzieląca wspólnie wszystkie trudne doświadczenia, zostanie rozproszona.

c.d.n.

50 LAT PRACY PZKO ZA NAMI: BYŁA I UCIECHA!

Pod koniec 1955 roku powstał przy Kole PZKO w Bystrzycy Teatrzyk Cieni Uciecha. Pracował przez następne trzy lata, osiągając w tym czasie poważne sukcesy, by dać swoje ostatnie 129. przedstawienie 25 stycznia 1959 roku. Według skrupulatnie prowadzonych (i potwierdzonych!) zapisków obejrzało jego przedstawienia co najmniej 11 913 widzów. Wyrażenie „co najmniej" oznacza, że z całą pewnością było ich więcej, ale nie można podać dokładnej liczby widzów, którzy oglądali przedstawienie Teatrzyku podczas jego występu (na żywo!) w Telewizji Katowickiej. Niestety właśnie telewizja, która go rozpropagowała, była zarazem powodem jego zaniku. W owych latach dopiero powstawała, ale, co naturalne, była dla Uciechy konkurentem nie do pokonania. Chociaż początkowo miło było zespołowi Teatrzyku słyszeć: ależ wasze przedstawienie jest lepsze od telewizji, należy to jednak przyjmować z rezerwą. Jedyne, w czym Uciecha górowała nad telewizją, to wielkość

ekranu, bo ten w Teatrzyku był większy niż w niejednym ówczesnym odbiorniku telewizyjnym. Ale na ekranie Uciechy poruszały się tylko cienie...

Jak te cienie potrafiły zauroczyć tych, którzy przedstawienia Uciechy oglądali, o tym niech mówią zapiski w „Księdze pamiątkowej Uciechy", wpisane tam przez jej widzów, oraz liczne notatki prasowe. To powinno być bardziej wiarygodne od wspomnień piszącego te słowa...

Sięgnijmy więc do nich.

Głos Ludu 24.1.1956 doniósł:

Najmłodszym zespołem koła PZKO w Bystrzycy jest Teatrzyk Lalek. Zespół istnieje od kilku tygodni i wystąpił dotychczas 8 razy. Prace przygotowawcze rozpoczął jednak już przed kilku miesiącami. (...) Wszystkie dotychczasowe przedstawienia oglądało prawie 750 widzów, przede wszystkim dzieci. W odróżnieniu od zespołu ZG PZKO Bajka jest tak zwanym teatrzykiem cieni. Jego obecny repertuar tworzą dwie przeróbki inscenizacyjne, „Bajka o kotku", „Leniuch i sojka" oraz jedna dłuższa sztuka Skowrońskiej-Feldmanowej pt. „O Marysi, która zwierzęta kochała". Program swój uzupełniają bystrzyczanie występami muzyczno-wokalnymi. Całość tworzy bardzo pomysłowe, piękne i naprawdę wartościowe widowisko.

Zespół liczy 5 osób. Jego duszą jest Antoni Strzybny, dalszymi członkami zaś Renata Strzybna, Waleria Heczkowa, Anna Samlicka i Jan Samlicki. Scenka i całe urządzenie jest bardzo pomysłowo skonstruowane i łatwo przenośne. Teatrzyk posiada własną „elektrownię" w postaci akumulatora, może więc występować w najodleglejszych nawet zakątkach, nie posiadających dotychczas prądu elektrycznego. „Punktem honoru" zespołu bystrzyckiego są właśnie występy na Kamienitym, w Nydku-Głuchowej, w Bystrzycy-Pasiekach i innych podobnych osiedlach.

Głos Ludu, 9.2.1956

Daleko z Bystrzycy do Szonychla. Nie przeszkodziło to jednak bystrzyckiemu Teatrowi Lalek w odwiedzeniu Szonychla ze swym programem. Dlaczego Szonychel? Być może z sentymentu kierownika zespołu do swej wsi rodzinnej, ale przede wszystkim dlatego, że zespół bystrzycki stara się być tam, gdzie inni rzadko lub wcale nie docierają. (...)

Tak zapełnionej Świetlicy jeszcze w Szonychlu nie było. I wszyscy, ci trzyletni i 80-letnia prababka, odchodzili zadowoleni. Lalki urzekły wszystkich.

W Szonychlu wypadł skromny jubileusz zespołu. Tysięczne dziecko obejrzało jego przedstawienie! Pamiętał zespół o swym tysięcznym wi-

dzu i obdarował go ładną książką. 1001 dzieci, 182 dorosłych – oto bilans sześciotygodniowej pracy zespołu.

Głos Ludu 1.4.1956

Udane zebranie członkowskie PZKO odbyło się onegdaj w Bystrzycy w Domu Robotniczym. Była to właściwie świetlica z interesującym programem, w którym wystąpił amatorski zespół kukiełkowy na małej scence „teatrzyku cieni" ze starą sztuką chińską. Był to już 19. występ zespołu. Ten występ urozmaicony był jeszcze piosenkami tria żeńskiego oraz grą na skrzypcach z akompaniamentem gitary, co bardzo się wszystkim podobało. Zespół kukiełkowy wystąpił już w 18 różnych okolicach Śląska przed 1776 widzami. Z przeprowadzonego w świetlicy konkursu na nazwę zespołu przyjęty i nagrodzony został wniosek Anny Bujokowej, w myśl którego zespół nosić będzie nazwę Uciecha.

Głos Ludu 9.7.1956

W okresie półrocznego istnienia odwiedził teatrzyk Uciecha 30 miejscowości od Mostów po Bogumin. Dał pełny program w 21 świetlicach dziecięcych, 14 razy wystąpił w szkołach czy przedszkolach. Zespół nie ma do dyspozycji żadnego innego środka lokomocji prócz własnych nóg i wielokrotnie – kiedy do bardziej odległych miejscowości udaje się w południe – wraca dopiero o godzinie 11 w nocy. Nic dziwnego, że każdy z pięciorga członków zespołu poświęcił na ten cel sporo czasu! Widocznie muszą na tym dobrze zarabiać – pomyślą niektórzy. Jedyną i bodajże najmilszą dla nich zapłatą to zadowolenie, z jakim żegnają ich nie tylko dzieci, ale i dorośli. Uznanie ze strony społeczeństwa, świadomość, że trud ten jest społeczeństwu potrzebny i przynosi korzyści, zagrzewają do dalszej pracy.

Miał zaszczyt Teatrzyk Cieni Uciecha istniejący przy Kole PZKO w Bystrzycy reprezentować lalkarstwo czechosłowackie na Międzynarodowym Kongresie Lalkarskim UNIMA, który odbył się w roku 1957 w Pradze. Ale nim do tego doszło, zaskarbił sobie uznanie i pełne poparcie Katedry Lalkarstwa AMU w Pradze i jego grona profesorów, którzy oglądali go w roku 1956 na ogólnopaństwowym przeglądzie teatrów lalkowych w Chrudimiu. Tam co prawda nie był oficjalnym uczestnikiem przeglądu, ale pomimo to zrobił furorę i dlatego zadecydowano o jego udziale na kongresie UNIMY.

Oficjalnie w przeglądzie teatrów lalkowych V. Loutkařská Chrudim 1956 Uciecha nie mogła brać udziału, bo Ostrawa jej „sprzyjająca" pomimo zgłoszenia do konkursu raczej nie wysłała tam żadnego zespołu lalkarskiego ze swego okręgu, byle nie musieć wysłać polskiego. A Uciecha była już wtedy u nas bardzo znana i pracownicy Okręgowego Teatru Lalek specjal-

nie przyjeżdżali, by obejrzeć jej przedstawienia w tak zwanym terenie. Jedna z pracownic tego teatru Jiřina Kubíčková po prostu zmusiła Uciechę, by ta poza konkursem wzięła udział w tym przeglądzie, a resztę to już ona załatwi. I załatwiła. Dała Uciecha w Chrudimiu cztery przedstawienia przyjęte tam niezmiernie ciepło i z ogromnym zainteresowaniem.

Głos Ludu 8.12.1957

Nie lada zaszczyt spotkał bystrzycką Uciechę. Centralny Dom Twórczości Ludowej w Pradze zaprosił ją do wystawienia swojego programu na Międzynarodowym Kongresie Lalkarzy, który odbywa się w dniach od 4 do 14 grudnia.

Międzynarodowa Organizacja Lalkarzy (L'union internationale de marionetistes – UNIMA) odbyła swój ostatni kongres w roku 1933. Wojna przerwała jej działalność i dopiero obecnie z inicjatywy lalkarzy czechosłowackich zostaje ona wznowiona.

W dniu 13 grudnia uczestnicy kongresu przyjadą do Brna, gdzie zapoznają się z dorobkiem Uciechy. Na podkreślenie zasługuje fakt, że delegacjom lalkarzy zagranicznych zostaną przedstawione tylko trzy amatorskie teatry lalek, przy czym jednym z nich jest nasza bystrzycka Uciecha.

Głos Ludu 19.12.1957

Sala Grand Hotelu przybrała świąteczną szatę. Na czołowym miejscu stoi scenka z polskim napisem Uciecha. Zespół amatorski PZKO z Bystrzycy ma zaszczyt dziś wieczór pokazać lalkarzom z różnych krańców świata swój dorobek i zarazem zaprezentować nasze PZKO.

Kiedy na sali pogasły światła i żółta kurtyna odkryła tajemnicę pierwszego obrazu, posypały się oklaski i słychać było w różnych językach „wunderschön", „beatifull", „roztomile"... Prostota i piękne wykonanie urzekły wszystkich na sali. Nic też dziwnego, że pod koniec przedstawienia, przy finałowej piosence – wszyscy obecni śpiewali razem z wykonawcami przedstawienia. Kiedy spuszczono kurtynę i światło z sufitu rozlało się po sali, zespół Uciechy został otoczony przez widzów śpieszących uścisnąć dłoń jej kierownikowi i złożyć gratulacje, a w księdze pamiątkowej umieścić wyrazy podziwu i uznania. Nowo wybrany prezes UNIMA oświadczył, że to przedstawienie to jakby cukierek po tych wszystkich, które już oglądali.

Głos Ludu 30.12.1957

W niedzielę 22 grudnia odbyła się w polskiej szkole ludowej w Nydku–Głuchowej uroczystość choinkowa przeznaczona dla dzieci szkolnych i dorosłych tego odległego osiedla. (...)

Atrakcją imprezy był występ teatrzyku lalek Uciecha bystrzyckiego

Koła PZKO. Uciecha była już w Głuchowej cztery razy i zawsze jest tam mile witana. Tym razem wydarzenie niezwyczajne, bo zespół obchodzi trzy jubileusze: Dokładnie dwa lata od rozpoczęcia swej regularnej pracy, swoje setne przedstawienie oraz powitanie wśród publiczności dziesięciotysięcznego widza.

Uciecha była pierwszym polskim zespołem z Czechosłowacji, który wystąpił (kryjąc się z tym, bo nie miał zezwolenia) w telewizji katowickiej. Prasa tak to zrelacjonowała:

Przed dwoma laty zorganizowany został w miejscowości zaolziańskiej Bystrzyca polski teatr cieni Uciecha. Poszczycić się on już może pomimo krótkiego okresu istnienia szeregiem sukcesów, przy czym warto podkreślić, że ten bodaj jedyny na terenie całej Czechosłowacji teatr cieni dociera do najodleglejszych środowisk polskich na Zaolziu (...) Niedawno bystrzycka Uciecha bawiła po raz pierwszy w Polsce, a mianowicie w Cieszynie, dając w miejscowym Domu Kultury dwa przedstawienia, oraz w Katowicach, gdzie mili rodacy zza Olzy wystąpili w miejscowej telewizji.

Głos Ludu 23.1.1958

Wszyscy na pewno słyszeliśmy o teatrzyku lalek Uciecha w Bystrzycy. W tych dniach wpłynęło do ZG PZKO zaproszenie dla tego zespołu na międzynarodowy festiwal teatrów lalkowych, który odbędzie się w drugiej połowie maja w Bukareszcie.

Zarząd Główny PZKO po porozumieniu z władzami nadrzędnymi i z sekretariatem Międzynarodowej Federacji Teatrów Lalek rozpatrzy możliwość wysłania Uciechy na wspomniany festiwal. Samo zaproszenie jest już jednak zaszczytem i dowodem uznania dla ofiarnych członków bystrzyckiego zespołu.

Ale do Bukaresztu nie pozwolono teatrzykowi Uciecha wyjechać... Nie zraziło to pięcioosobowego zespołu teatrzyku lalek Uciecha i w dalszym ciągu udawał się tam, gdzie go zapraszano. Jednak tych zaproszeń przychodziło coraz to mniej... W końcu telewizja zwyciężyła. Ostatnie przedstawienie Uciechy odbyło się 18 stycznia 1964 roku dla dzieci bystrzyckiego przedszkola.

W roku 1970 dziesięcioro uczniów bystrzyckiej szkoły podstawowej na krótko ożywiło jeszcze laleczki i dało 8 przedstawień dla 677 widzów, wykorzystując repertuar swej „dorosłej" poprzedniczki.

Po obu tych zespołach pozostały już tylko wspomnienia...

ANTONI STRZYBNY

Zespół UCIECHY – od lewej: Jan Samlicki, Anna Samlicka, Waleria Heczkowa, Renata Strzybna, Antoni Strzybny

Scena ze sztuczki „O Marysi, która zwierzęta kochała"

OSZUKANE SPOŁECZEŃSTWO ZAOLZIAŃSKIE CZYLI

TAJEMNICE PIASTA I DOMU POLSKIEGO

O Piaście i Domu Polskim mówi się na Zaolziu półgębkiem, z zażenowaniem, sprawa owiana jest mgiełką tajemnicy. Dziennikarze czescy, jak również ci z Polski, których nie łączą z naszym terenem żadne sentymenty, wietrzą sensacje i piszą o nich wprost.

29 czerwca br. gazeta **Dziennik Zachodni** doniosła:

*Od przeszło roku mieszkańców Zaolzia bulwersuje utrata hotelu Piast w Czeskim Cieszynie, narodowej pamiątki, odkupionej swego czasu od Czechów za 260 tys. dolarów ofiarowanych przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska w Warszawie. (...) Niedawno na Zaolziu rozeszły się pogłoski, że utrata Piasta pociągnie za sobą utratę jeszcze jednej narodowej pamiątki – hotelu Dom Polski w Ostrawie, perły secesji. (...) „Zobowiązania o wiele przewyższają realne należności i spółka (*Dom Polski S.A. – przyp. red.*) nie może istnieć w takim stanie. Zobowiązania sięgają 35 mln koron, zaś realne należności zamykają się kwotą 10 milionów" – stwierdził Wantuła* (Zdzisław Wantuła był wiosną br. prezesem spółki – przyp. red.). *W tej sytuacji całkowicie nierealnym celem, jaki postawił sobie poprzedni zarząd spółki Dom Polski, było wzięcie pożyczki na wysoki procent na rzecz remontu hotelu Piast. Oprocentowanie w terminie płatności wynosiło 24 proc., a po terminie z odsetkami karnymi 72 proc. Część tej pożyczki, prawie 130 tys. dolarów, wywieziono do USA na założenie siostrzanej spółki Dom Polski Incorporation, która okazała się fikcją. Do dziś nie wiadomo, kto jest jej akcjonariuszem i jakie osoby kryją się za tym szyldem. (...) Błędem, wręcz karygodną nieodpowiedzialnością, było poręczenie kwoty pożyczki całym hotelem Piast, a następnie – gdy pieniądze się rozeszły – hotelem Dom Polski, obiektem będącym podstawowym majątkiem spółki. Dom Polski, wart księgowo 135 mln koron, realnie 60 mln, sprzedany został za 7 mln koron! (...) Jedynym możliwym sposobem uratowania hotelu jest odsprzedanie kontrolnego pakietu akcji, jaki ma spółdzielnia Dom Polski, strategicznemu partnerowi z Polski, który by kontynuował ideę polskości tego obiektu. Ale nie wiadomo czy to się uda. Poprzednie zarządy oszukiwały społeczeństwo zaolziańskie, twierdząc, że mają takiego partnera.*

24 lipca br. dziennik **Moravskoslezský den** napisał:

Znany ostrawski hotel Dom

Polski zamknął swe podwoje i na razie nie wiadomo, na jak długo. (...) Kilkudziesięciu pracowników, których firma wysłała do domu, boi się, że zostanie bez pracy. Nikt nie wie, co dalej stanie się z budynkiem wartości kilkudziesięciu milionów koron. Nowym właścicielem hotelu została niedawno Těšínská leasingová společnost, s.r.o. w Czeskim Cieszynie, która już wcześniej zyskała cieszyński hotel Piast. (...) Przedstawiciele spółki akcyjnej Dom Polski, która do tej pory była właścicielem hotelu, nie chcą rozmawiać na temat przekazania majątku. Spółka przechodzi ostatnio poważny kryzys finansowy i przekazanie majątku jest według wiarygodnych źródeł rekompensatą za niedotrzymanie zobowiązań wobec cieszyńskiego przedsiębiorcy Glety. „Nieprawdą jest, że kończy się działalność naszej spółki. Wszyscy pracownicy zostali wysłani na urlop, który zaplanowany został dużo wcześniej," powiedział bez bliższego komentarza wiceprezes spółki Dom Polski Petr Shtula (chodzi zapewne o Piotra Sztułę - przyp. red.). *Nie poinformował jednak, jak długo hotel pozostanie zamknięty dla gości.*

A jeszcze przed rokiem ówczesny prezes spółki akcyjnej Dom Polski Józef Toboła w wywiadzie dla **Biuletynu Stowarzyszenia Wspólnota Polska** (8/97) twierdził:

Spółka macierzysta prowadzi szeroko zakrojoną działalność, na którą składają się: dwa hotele - Dom Polski w Ostrawie i hotel Piast w Czeskim Cieszynie; biuro podróży Dom Polski Travel i działalność handlowa (handel węglem i stalą, żywnością, sprzętem elektronicznym i materiałami budowlanymi) - w oparciu o kontakty z Polską. Na pytanie o największy sukces odpowiedział: *Niewątpliwie odzyskanie prawa do własności budynku, zawiązanie Spółki Dom Polski i spłacenie długów, które wynosiły 1,5 mln USD.* Tak przedstawiały się wtedy plany na najbliższą przyszłość: *W przyszłości chcemy wykorzystać dogodne położenie Domu Polskiego w Ostrawie, wybudować na wykupionym obok terenie Centrum Bankowo-Handlowe, rozbudować hotel, poszerzyć kontakty międzynarodowe. Mamy już swoje przedstawicielstwo w Niemczech i w New Jersey w USA, właśnie w oparciu o miejscową Polonię. Część naszych projektów będzie realizowana w oparciu o fundusz PHARE. Jesteśmy już po stosownych konsultacjach w Brukseli. A w najbliższych miesiącach czeka nas remont hotelu Piast. Wymaga on wielu inwestycji, by przywrócić mu jego pierwotny wygląd i standard.* Dziś już wiadomo, że z planów nic nie wyszło. Gdzie szukać winnych?

oprac. C.R.

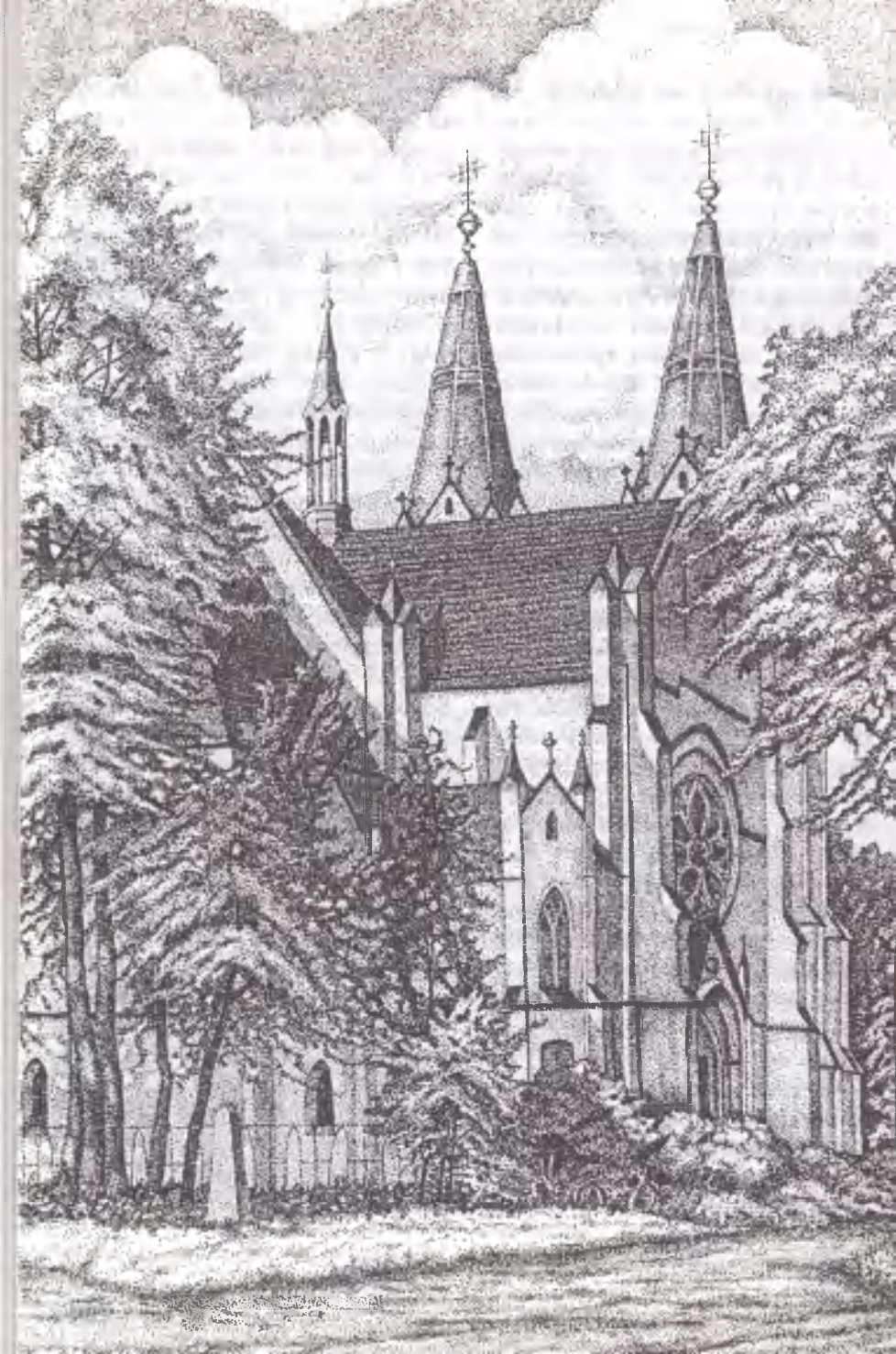

JUBILEUSZ MALARKI

Alicja Bartulcowa obchodzi w tym miesiącu swój okrągły jubileusz życiowy. Jest jedną z tych artystek Zaolzia, dla których tworzenie jest potrzebą danej konkretnej chwili, wyrazem utrwalenia nastroju, ale również portretu ukochanej lub podziwianej osoby czy bliskiego krajobrazu. Dzieło malarskie nie powstaje po to, by ozdabiało galerię, lecz po to, by sprawiało radość autorce i jej bliskim. Dlatego rzadziej spotkać można obrazy malarki na wystawach twórców naszego regionu.

Alicja Bartulcowa urodziła się 15 września 1928 roku w Orłowej. Z tym miastem związała swój los na stałe. Tu chodziła do Polskiego Gimnazjum. Profesorem rysunków był wtedy Gustaw Fierla. To jego uważa za swojego mistrza, który pomógł jej w wyborze drogi życiowej. Zamiłowanie do malarstwa postanowiła podeprzeć rzetelną znajomością rzemiosła. Po maturze rozpoczęła studia plastyczne na uniwersytecie w Brnie. Po ich ukończeniu w roku 1953 powróciła do Orłowej. W polskiej szkole w Łazach podjęła pracę pedagogiczną.

Już w roku 1957 została członkinią Sekcji Literacko–Artystycznej ZG PZKO. Jednak swą pierwszą wystawę indywidualną urządziła dopiero w roku 1987. Od tego czasu jeszcze kilkakrotnie można było obejrzeć jej obrazy na wystawach indywidualnych, m. in. w Karwinie i Orłowej. Malarstwo Alicji Bartulcowej to głównie obrazy olejne, niekiedy maluje pastelem. Wykonuje też rysunki – przede wszystkim piórkiem.

Tematykę jej twórczości stanowią krajobrazy, portrety, martwa natura. Realistyczne malarstwo, dbałość o szczegół, precyzja w rysunku – to zasadnicze cechy, które decydują o odbiorze jej obrazów i rysunków. Bo w krajobrazach Alicji Bartulcowej od razu można rozpoznać znane widoki rodzimej krainy. Kwiaty na jej obrazach przyciągają wzrok nie tylko kształtem i barwą, ale wydaje się, że czuje się ich zapach. Ludzie portretowani przez nią – czy to jej najbliżsi krewni, czy też np. znane osobistości zaolziańskie – przedstawieni są z wielkim talentem i tak realistycznie, iż nie ma cienia wątpliwości, o kogo chodzi.

Obrazy Alicji Bartulcowej są pełne optymizmu, tchną spokojem, nastrajają pogodnie. Malarka, jak sama stwierdziła, programowo niejako omija ciemne strony naszej rzeczywistości, stara się pokazać dobro i piękno, by widz, który ogląda te obrazy, doznał uczucia odprężenia.

C.R.

◀ *rys. ALICJA BARTULCOWA „Kościół Narodzenia Marii Panny w Orłowej" (rysunek tuszem)*

170 LAT POLSKIEJ SZKOŁY W KOSZARZYSKACH

Jeśli szkoła ma wspaniałe, kochane DZIECI, ofiarnych RODZICÓW, pełnych poświęcenia NAUCZYCIELI, wielu PRZYJACIÓŁ i LUDZI szkole życzliwych – powinno to być gwarancją JEJ przetrwania. Takie życzenie znalazło się w biuletynie wydanym przez Macierz Szkolną Polskiej Szkoły Podstawowej w Koszarzyskach z okazji 170 lat istnienia szkoły.

Początki szkolnictwa datują się od drugiej połowy XVIII wieku. Zajęcia prowadzono najpierw w domach prywatnych. Pierwszy budynek szkolny powstał w roku 1828, Koszarzyska liczyły wtedy 440 mieszkańców. W roku szkolnym 1828–29 do szkoły uczęszczało 60 dzieci. W roku 1869 szkoła, dotąd prywatna, została szkołą publiczną. W miejsce zburzonego w roku 1873 budynku drewnianego powstał budynek nowy. W roku 1910 powstała szkoła dwuklasowa. Plany rozbudowy przerwała pierwsza wojny światowa. Prawdziwy napór uczniów przeżyła szkoła po pierwszej wojnie światowej. W roku szkolnym 1919–20 pobierało w niej naukę 117 dzieci. W roku szkolnym 1923–24 było to 89 dzieci, w roku następnym – po otwarciu czeskiej szkoły – liczba dzieci zmniejszyła się do 77. W roku 1938 doszło do rekonstrukcji budynku. Po drugiej wojnie światowej naukę w szkole rozpoczęło 61 uczniów, kierownikiem szkoły został Gustaw Zuczek. Cztery miesiące tylko zajęło zbudowanie nowego budynku szkoły w Koszarzyskach, kiedy w roku 1950 po reformie szkolnictwa placówka została niezupełną szkołą wydziałową. W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych liczba uczniów przekroczyła 70 i nastąpiło otwarcie trzech klas. W sierpniu 1977 roku oddano do użytku nowy

budynek szkolny. Duża w tym zasługa ówczesnego dyrektora Zbigniewa Zuczka, syna Gustawa. Szkoła polska mieści się na parterze tego budynku. Dziś do dwu klas uczęszcza 25 uczniów. Dyrektorką szkoły jest od roku 1991 Irena Starzyk.

Życie szkoły to nie tylko nauka. Sporo czasu zajmują dzieciom zajęcia pozalekcyjne. Biorą udział w konkursach recytatorskich, plastycznych, muzycznych, sportowych, przygotowują przedstawienia szkolne, obrazki sceniczne, imprezy okolicznościowe. Tradycyjne spotkania mają swoje ciekawe nazwy, które są zarazem krótkimi wierszykami:

Przecież my nie jacy tacy, uściskamy was, pierwszacy,
Mikołaju, Mikołaju – czyś ty tu stąd, czy też z raju?,
Niechaj każdy z nas się bawi i niech dąsy gdzieś w kącie zostawi,
Serce otworzyć się musi Miłemu Dziadkowi, Kochanej Babusi,
Ostatni dzwonek? Tu nie ma takiego! Chociaż odchodzisz, powrócisz, kolego!

Dorobek Polskiej Szkoły Podstawowej w Koszarzyskach zaprezentowany został na majowej wystawie jubileuszowej. Ukoronowaniem obchodów jubileuszu 170 lat szkoły stało się przedstawienie sztuki Władysława Młynka „Cudowny owoc" w reżyserii Ireny Starzyk. W przygotowaniu spektaklu wzięły udział nauczycielki Irena Szymonik i Ilona Piechaczek, opracowania muzycznego dokonał Henryk Sumera. Zgromadzeni widzowie obejrzeli popisy aktorskie, wokalne i taneczne uczniów szkoły.

C.R.

Fotografie z przedstawienia „Cudowny owoc"

CO NOWEGO W NYDKU?

Jednym z dwóch kandydatów wybranych w 1994 roku z listy Wspólnoty do przedstawicielstwa gminnego w Nydku jest Jan Szturc, członek PZKO, zatrudniony na wydziale walcowni Huty Trzynieckiej. Pana Jana Szturca odwiedziłem 9 lipca br. Poprosiłem go, żeby przedstawił czytelnikom ZWROTU swoją gminę i działalność przedstawicielstwa gminnego.

Nasza gmina liczy około 2000 mieszkańców, z czego około 30% - to Polacy. Liczba Polaków w gminie niestety maleje. Przedstawicielstwo gminne jest 15-osobowe, działa ono w składzie: 9 członków ODS, 2 członkowie KDS, 2 członkowie KSČM i 2 członkowie Wspólnoty. Po wyborach komunalnych w 1994 r. w przedstawicielstwie było 8 Polaków, w trakcie kadencji jeden nasz radny zmarł i obecnie jest tam 7 Polaków. Brak jednak, moim zdaniem, między Polakami w przedstawicielstwie współpracy. Jako działacz społeczny i były prezes PZKO nie mogę pogodzić się z faktem, że ważniejsze jest dla nich członkowstwo w ODS, niż ich narodowość. Przykładem może być wybór starosty. W wyborach jawnych wybrano pani Tichánovou z ODS. W wyborach tajnych prawdopodobnie by nie przeszła.

Gminna organizacja ODS robi sobie w gminie - co chce. Wymownym dowodem może być fakt, że nie zgodziła się do Rady Gminnej wybrać nikogo spoza ODS - w 5-osobowej Radzie Gminnej jest 5 członków ODS.

Jakie problemy udało się w gminie rozwiązać?

Udało się zrealizować gazyfikację w gminie. Kontynuowano rekonstrukcję kanalizacji i wodociągu, inwestycje te rozpoczęto jeszcze przed 1989 rokiem. Niestety gmina zaciągnęła, jeszcze w poprzedniej kadencji, pożyczkę w wysokości 30 mln Kč. Dziś niestety nie ma jej z czego spłacać.

W Nydku można doliczyć się około 25 przedsiębiorców prywatnych, np. stolarz, hydraulik, właściciele sklepu, jest dentysta. Ja np. sprzedaję lody. Niestety - ich sytuacja finansowa też nie jest dobra. Koniecznie trzeba by rozwinąć turystykę, mówiono nawet coś na temat budowy wyciągu krzesełkowego na Czantorię. Wszystkie tego typu inwestycje znów jednak blokuje brak pieniędzy.

Stan dróg w gminie jest fatalny. Rozkopano je podczas gazyfikacji. Przykładem może być rynek. W ubiegłym tygodniu przynaj-

mniej rozpoczęto odnowienie nawierzchni głównej drogi do Bystrzycy.

Jakie organizacje działają w Nydku?

Najaktywniejsze jest PZKO, szczególnie Klub Kobiet. Jednak działalność w PZKO, pomimo że mamy młodego prezesa, spoczywa na barkach emerytów. Z czeskich organizacji działają w gminie klub piłkarski, strażacy, ogrodnicy, myśliwi, Czerwony Krzyż. Ogólnie jednak działalność społeczna wygasa.

Dawniej wydawano biuletyn Nýdecký zpravodaj, który informował o działalności poszczególnych organizacji, zamieszczał też informacje o urodzinach mieszkańców gminy.

W Nydku jest też polska szkoła, jednak tylko roczniki niższego stopnia. Czeska szkoła jest 9-klasowa.

Czy zamierza Pan kandydować w tegorocznych wyborach komunalnych?

Po doświadczeniach z tej kadencji nie będę kandydował. Moją działalność oceniam jako niepotrzebną, wszystkie moje inicjatywy były odrzucone przez członków ODS. Jednak nowo wybranym radnym nie zazdroszczę.

rozmawiał TADEUSZ TOMAN

W SZPONACH CZARNEGO ORŁA

(Opowiadanie osnute na tle prawdziwego zdarzenia)

Było to w niedzielę, bodajże 2 czerwca 1944, kiedy to odjeżdżałem z powrotem do ówczesnego Haydebrecku – dzisiejszego Kędzierzyna, gdzie od ponad dwu lat byłem na pracach przymusowych. Miałem wolną niedzielę i udało mi się skoczyć do domu na jednodniowy nielegalny urlop. Na peronie w Cieszynie Zachodnim, w tłumie czekających na pociąg pasażerów, pomimo zmierzchu późnego wieczora, jako że zaciemnienie było skrupulatnie dotrzymywane, w pewnej chwili mignęła mi przed oczyma znajoma twarz. Tak, to przecież Henryk Dziadek. Obserwowałem go przez chwilę, robił wrażenie zamyślonego, wręcz roztargnionego. W pewnej chwili, jak gdyby pod wpływem telepatii, odwrócił się, spojrzał na mnie uważnie i powiedział:

– Ach, to ty?

A po chwili jakimś nienaturalnym, załamanym głosem dodał:

– Zostałem powołany do Wehrmachtu, odjeżdżam, by walczyć za Führera i Vaterland. Wiem, co o mnie pomyślisz, ale ja tę Volkslistę musiałem przyjąć, nie mogłem przecież dopuścić do tego, aby ten nasz ro-

dzinny domek, który ojciec z takim trudem wybudował, Niemcy skonfiskowali, a rodziców wywieźli gdzieś do Polenlagru. Wiem, że historia jest dobrym sędzią i sprawiedliwie mnie kiedyś osądzi.

Zrobił na mnie wrażenie człowieka, który ślepo idzie za swoim przeznaczeniem, jak gdyby zdawał sobie sprawę z tego, że nikt nie cofnie tego, co ma się wydarzyć.

Ten pesymistyczny nastrój Henryka na zawsze utkwił mi w pamięci i wywołał wspomnienia lat szkolnych w czeskocieszyńskiej wydziałówce. Henryk był 2 - 3 lata starszy ode mnie. Poznałem go bliżej, kiedy to w rozgrywkach międzyklasowych w piłce nożnej, odbywających się na boisku w parku Adama Sikory, nadepnął mi na nogę. Upadłem, jęcząc z bólu. On natychmiast podbiegł do mnie, zaczął przepraszać, że to był całkiem przypadkowy i nieumyślny faul. Był to całkowicie odosobniony gest, bo rozgrywki miały raczej bezpardonowy i trochę brutalny charakter. - Taki dryblas, najwyższy z całej szkoły, a taka dobra dusza - pomyślałem. Niedługo potem spotkałem go na ulicy w Cz. Cieszynie w towarzystwie może 7-letniego chłopca.

- To zapewne twój młodszy brat, od razu to widać, bo tak bardzo podobny do Ciebie?

- Nie, to mój stryjeczny brat, Teoś Dziadek, jego ojciec jest bratem mego ojca. Mieszkamy tak blisko siebie, w linii powietrznej nie dalej niż 2 kilometry, ja na lewym brzegu Olzy, a on na prawym, a zarazem to tak daleko, bo rozdziela nas granica na Olzie.

Po około 50 latach u podnóża ich rodzinych domów stanął kocobędzki most na Olzie, ale tego już Henryk nie dożył, bowiem szybkim krokiem zdążał ku swemu przeznaczeniu.

Po parotygodniowej musztrze został przydzielony do kompanii, która pośpiesznie odjechała na front w rejonie Sandomierza, jako uzupełnienie ogromnych strat, jakie Niemcy na froncie wschodnim ponosili. Trwały tu zaciekłe walki o przyczółek na Wiśle, który miał Armii Radzieckiej posłużyć jako punkt wyjściowy do dalszej ofensywy. Henryk znajdował się w pierwszej linii, a żołnierze na rozkaz Hitlera mieli walczyć do ostatniego naboju i raczej polec z „honorem", aniżeli chociażby o krok się wycofać.

W czasie niezwykle krwawych walk przednia linia znalazła się pod straszliwym ogniem radzieckich moździerzy i karabinów maszynowych. Ponad trzy czwarte jej załogi poległo. Henryk wraz z kilku żołnierzami wycofał się do drugiej linii. Zobaczył to dowódca ich kompanii i nakazał im natychmiast wracać do pierwszej linii. Na ich uwagę, aby szedł się przekonać na własne oczy, co pozostało z reszty jej obrońców, oficer w odpowiedzi wyjął z kabury pistolet i strzelił Henrykowi w pierś.

Kędzierzyn-Koźle - bunkier, rys. OSKAR PAWLAS

Pozostali czym prędzej powrócili do pierwszej linii, gdzie niebawem wszyscy polegli. Rana postrzałowa Henryka nie była śmiertelna, kula nie naruszyła żadnej tętnicy, był to gładki przestrzał. Henryk przeleżał na ziemi przez kilka godzin, zanim sanitariusze zabrali go nocą do szpitala polowego, a stąd po paru dniach został przewieziony do szpitala wojskowego w Opawie.

Ze szpitala napisał do ojca list i w ten sposób ojciec dowiedział się całej prawdy. Pocieszał się, że Henryk na pewno wyzdrowieje. Niestety na próżno. Przeszkodziła temu niemiecka skrupulatność i pedanteria. Do władz szpitala zapewne dotarła informacja od jego jednostki frontowej odnośnie jego zranienia z notatką, że po wyleczeniu czeka go sąd polowy. W tej sytuacji według wszelkiego prawdopodobieństwa czy to z nienawiści do zdrajcy, a może dla zaoszczędzenia mu śmierci przez rozstrzelanie, zaprzestano go leczyć, w wyniku czego Henryk zmarł. Rozpacz rodziców nad stratą jedynego syna była bezgraniczna. Ojcu udało się sprowadzić jego zwłoki do Cieszyna Zachodniego, gdzie został pochowany na cmentarzu komunalnym. Jego pomnik to jeszcze jeden niemy świadek hitlerowskiego okrucieństwa i bezprzykładnej bezwzględności.

A jak potoczyły się losy Teodora Dziadka, stryjecznego brata Henryka? W chwili wybuchu wojny w roku 1939 miał on zaledwie 12 lat. Jego ro-

dzice, by uchronić się przed wywłaszczeniem majątku, również przyjęli Volkslistę. Nawet przez myśl im nie przeszło, by wojna miała trwać tak długo, aby również i ich syn miał stać się żołnierzem Wehrmachtu. Niestety stało się inaczej. Teoś, jako 17-latek, został powołany do Wehrmachtu 7 grudnia 1944. Było to w czasie, kiedy sytuacja militarna III Rzeszy była beznadziejna.

Pod koniec kwietnia 1945 roku front zatrzymał się na północ od Ostrawy przed Hluczynem, a Teoś znalazł się w pierwszej linii w tzw. Einzelgraben. Jego zadaniem było walczyć do końca bez możliwości odwrotu.

1 maja 1945 roku kompania musiała obowiązkowo przyglądać się egzekucji przez rozstrzelanie podoficera z sąsiedniej kompanii, który bez rozkazu na piśmie zabłąkał się do pierwszej linii.

- Koledzy, jeśli jest ktoś z was z Opola, zawiadomcie, proszę, moich rodziców.

Tymi słowy żegnał się z życiem jeden z parotysięcznej rzeszy ofiar hitlerowskich sądów polowych.

W tym samym dniu Teoś przeżywał podobne jak jego stryjeczny brat Henryk godziny trwogi. Był późny wieczór. Jego okopowi sąsiedzi leżeli martwi lub ranni. Teoś wyczołgał się ze swego okopu w bezpieczniejsze miejsce. Zobaczył to jego dowódca kompanii i, wyjmując z kabury pistolet, powiedział: - Wracaj natychmniast na swoje miejsce albo cię zastrzelę. Teoś, drżąc ze strachu, powrócił do swego okopu. Korzystając z ciemnej, bezksiężycowej nocy, zaczął się czołgać w stronę radzieckich pozycji, leżąc bez ruchu w chwili, gdy wystrzelane race oświetlały przedpole frontu. Po pewnym czasie zauważył sylwetkę rosyjskiego żołnierza:

- Ty, ruski towariszcz, nie strielaj, ja dezerter, ja Polak, ja nie choczu bojować za germańca.

-Haraszo, ruki w wierch i chody siuda.

Teoś, jako niepalący, obdarzył hojnie papierosami swego wybawcę, który ze względu na swój wiek mógłby być jego ojcem, po czym został odprowadzony na tyły do sztabu. Z porannym brzaskiem rozpętała się nad niemieckimi okopami niesamowita artyleryjska nawałnica. Niemiecki front pod Hlučinem dosłownie został zmieciony z powierzchni ziemi i jeszcze tego dnia została wyzwolona Ostrawa. Teodor Dziadek dostał się do obozu jenieckiego w Oświęcimiu, a do domu powrócił na początku października 1945. Jeszcze dziś zastanawia się czy czasem swe życie nie zawdzięcza właśnie swemu dowódcy, który chciał go zastrzelić, co skłoniło go do dezercji z frontu.

KAROL MRÓZEK

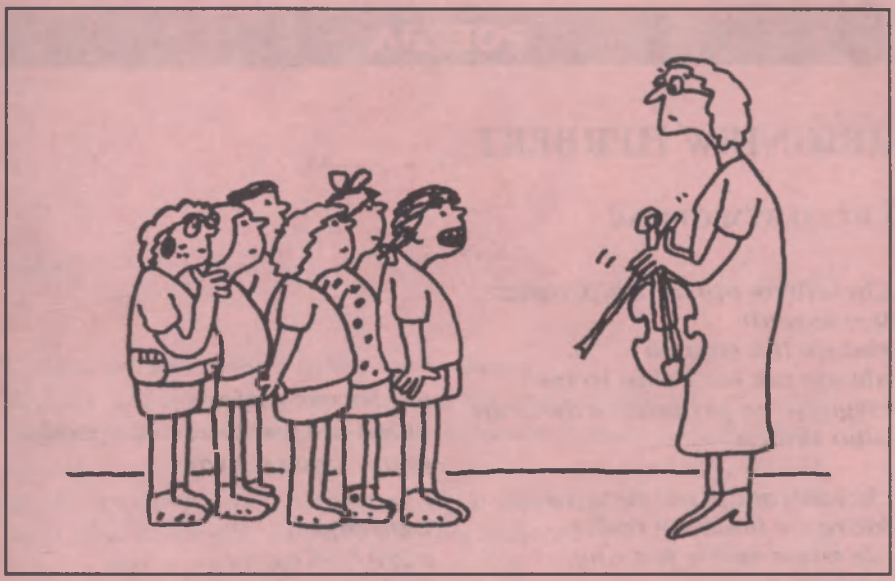

Z TĄ PIOSENKĄ NIE ZROBIMY KARIERY, PANI NAUCZYCIELKO!

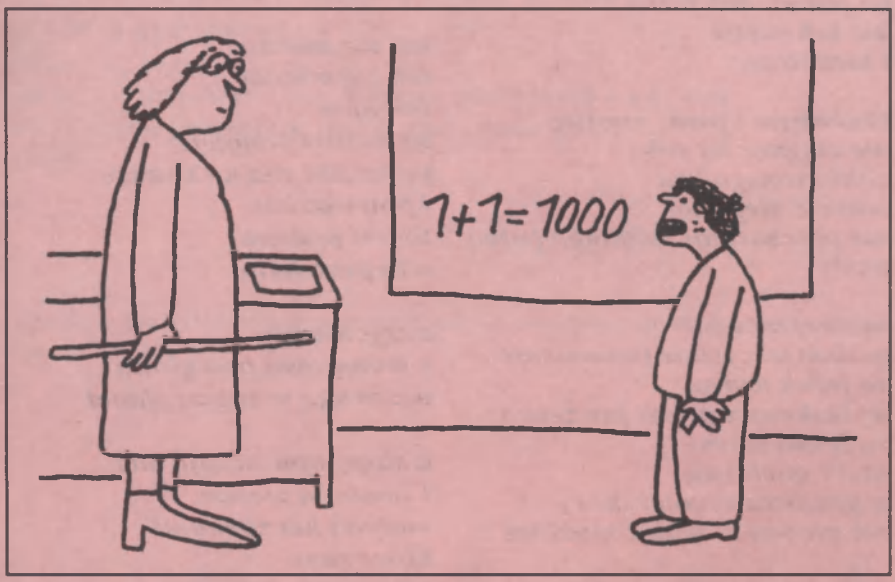

TATA WSPÓŁPRACUJE Z MAFIĄ

rys. Bronisław Liberda

ZBIGNIEW HERBERT

CHCIAŁBYM OPISAĆ

Chciałbym opisać najprostsze
wzruszenie
radość lub smutek
ale nie tak jak robią to inni
sięgając po promienie deszczu
albo słońca

chciałbym opisać światło
które we mnie się rodzi
ale wiem że nie jest ono
podobne
do żadnej gwiazdy
bo jest nie tak jasne
nie tak czyste
i niepewne

chciałbym opisać męstwo
nie ciągnąc za sobą
zakurzonego lwa
a także niepokój
nie potrząsając szklanką pełną
wody

inaczej mówiąc
oddam wszystkie przenośnie
za jeden wyraz
wyłuskany z piersi jak żebro
za jedno słowo
które mieści się
w granicach mojej skóry
ale nie jest to widać możliwe

i aby powiedzieć – kocham
biegam jak szalony
zrywając naręcza ptaków

a tkliwość moja
która nie jest przecież z wody
prosi wodę o twarz

i gniew
różny od ognia
pożycza od niego
wielomównego języka

tak się miesza
tak się miesza
we mnie
to co siwi panowie
podzielili raz na zawsze
i powiedzieli
to jest podmiot
a to przedmiot

zasypiamy
z jedną ręką pod głową
a z drugą w kopcu planet

a stopy opuszczają nas
i smakują ziemię
małymi korzonkami
które rano
odrywamy boleśnie

(Z antologii „Po schodach wierszy")

KONIEC

A teraz to nie będzie mnie na żadnym
zdjęciu zbiorowym (dumny dowód mojej śmierci
we wszystkich literackich tygodnikach świata) kiedy ktoś
powie patrzcie widzicie – to Zbyszek – wskazując palcem
na mężczyznę który szamoce się z walizką – ale to nie
ja to ktoś inny nawet nie jest z tej branży
nie ma mnie i nie ma zupełna pustka
nawet gdybym skupił wolę w jedno ognisko
nie potrafiłbym na moment nawet w błysku magnezji
zaistnieć więc nie ma
szlus
tak po tyrańsku nie ma jakbym okazał się wrogiem
rewolucji a przedtem stał bezpiecznie w słońcu
wodza

(Z ostatniego tomiku „Epilog burzy")

Zbigniew Herbert wybitny polski poeta i eseista zmarł w wieku 74 lat w sierpniu br.

JINDŘICH ZOGATA

STUDNIA KAPUŚNICÓW
(fragment prozy „Drewniane piramidy")

– Po co są straszydła? – spytała pod lampą naftową stryja Pawła Jurowa córka Jadwiżka.

– Aby se czart gębę utrzył. –

Jadwiżka otwarła usta. Nie rozumiała.

Stryj Paweł powiedział: – Straszydła są po to, aby o nich opowiadać. Kiedy wiesz o straszydle, wcale nie musisz się bać. Znasz je i ono ci nie ubliży. –

Tego, co Paweł mówił, nawet starsi nie rozumieli. Pogłaskał Jadwiżkę i powiada: – Znasz pana Ćmoka? –

– Znam. –

– To dobrze. Ćmok nigdy niczego się nie bał, straszydeł zaś wcale nie. Nie bał się nawet czarta. Raz, idąc z karczmy, taki wydawał się silny, że splunął na krzyż na Krzyżowej, na owym rozdrożu. Boga Ćmok jeszcze mniej się bał, niż czarta. Bóg sprzyja ludziom, to po co go się bać. Nie pomstuje jak ten czart. Pan Ćmok mieszkał w murowanicy na Rudnisku, wiesz, gdzie to jest? –

– Wiem. W Ziemi. –

– No właśnie. Pamiętasz, jaki potem był za parę lat, kiedy już zbudował murowanicę w Ziemi, na tym Rudnisku? Lecz ty tego nie możesz pamiętać, kiedy on stawiał, byłaś taka mała –

pokazał stryj małej Jadwiżce oparcie krzesła. – No, tóż jaki był? Gdzie nie zniebieszczał, tam zzieleniał, sczerwieniał, zsiniał albo i sczerniał. W trumnie potem, kiedy umarł, taki był pstrokaty, że własna baba go nie poznawała, ani jego dziecka. A to stąd, że się nigdy niczego nie bał, ani Boga, ani straszydeł. Straszydła nigdy nie ubliżą, jeśli im człowiek nie ubliży tym, że ich nie chce znać. Żyją pośród nas. Jakby to było, gdyby z tobą Zuzka nie mówiła lub gdyby z tobą nikt nie mówił...? –

– Stryjku, ja nie jestem straszydło. –

– Ty nie, ty nie, ja tak sobie, że straszydła mają takie życie jak my, są bystre, głupie, obraźliwe i wszelakie, wiesz? –

– Mh. –

– Straszydła nie ubliżą, nie, nie. Człowieka bez wstydu i bojaźni, tego się bój. Taki to czart. Gorszy od straszydła. –

Jadwiżka ponownie otwarła usta.

– Będziesz większa, to zrozumiesz. –

– Rozumiem, stryjku! Michał się nie bał, kiedyśmy szli ze szkoły i wylazł na krzyż koło Jawora, krzyż się złamał i Michał teraz ma głowę na krzywo. –

– Nie strasz dziecka! – odbyła Pawła szwagierka Hanka. – Pleciesz jak niepodara. –

– Pozostaw go – powiedziała do siostry Marynka.

– Przemyśliwałem o tym – mówił Paweł. – Czy też tam jeszcze straszy, nie wiem, ale nic bym za to nie dał, że będzie – zaczął opowiadać, Bóg zaś jeden wie, jakimi słowy.

– To już ani nie będzie prawda. Kapuśnicowie jakieś dziesięć lat przed Markiem Czutorą tam kopali studnię, o dwa gronie dalej za Polanką. W pobliżu tylego pola, jak graniasty kamień w graniastej dłoni, którym by tak panom przyzabić kogosi, proroka zaś pominąć. Lecz w kogo rzucać taki graniasty kamień, że nie ma dlań takiej graniastej dłoni? W kogo tu rzucać kamienistym polem, skoro się na nim pośliźniesz? Kapuśnicowie kopali studnię w skale, wykopali. Modlili się, aby im

Bóg cokolwiek przysporzył. Do placków i mleka się modlili. Źle się modlili. Rad był Kapuśnica, że choć studnię wykopał. Las go używi i światło pomiędzy drzewami. Nie wiedział, że gdyby tak podnieść ów kamień w jakiś tam sposób i rzucić, traf nie traf, jak to robią mądrzejsi ludzie, darzyłoby się Kapuśnicom nad innych. Do kościoła nie chodzili, bo był za daleko.

Dożyli. Ostatni z Kapuśniców umarł przed dwudziestu pięciu laty. Pochowano go tam, gdzie dziś leży Czutora. Potem grabarz-kopidoł po wykopaniu grobu bąkał w szynku, iż w grobie najstarszego Kapuśnicy, tam gdzie chowano młodszego, wygrzebał czarne kości. Musieli ci Kapuśnicowie mieć w rodzinie Murzyna lub Cygana. Murzyni mają czarne kości. Kto by tam spamiętał? Żyli Kapuśnicowie i dożyli na groniu, gdzie nikt nie zachodził ani na sałasz. Co by tam robił niegdyś Cygan albo i Murzyn? Poza polanami, za lasami, w puszczy Kiczery. Od czego te kości tak mogły sczernieć? Ludzie mówili, że gdziesi tam, gdzie żyje zagubiona i zapomniana rodzina Kapuśniców, jest łom modrego kamienia, najlepszego pod budowę, ale nawet tego kamienia nie chodzono tam łamać ani wydobywać. Poniechano kamień kamieniem. Chwała Bogu. Gdyby ktoś tam otworzył kamieniołom na graniastym polu, postawiłby sobie krzyż. W kurnej swej izbie świecili ponoć Kapuśnicowie żółcią dzika. Czego to ludzie nie wymyślą!

Kapuśnica miał przed pięćdziesięciu laty więcej szczęścia, niż długo po nim Czutora. Trafił na wodę już w głębokości jednego metra. Wykopano studnię w niespełna miesiąc. Wygładzono dno i studnia nazajutrz, kiedy kał osiadł, świeciła kryształową wodą. Nic by w tej wodzie nie było dziwnego, przeciwnego Bogu i przyrodzie, smaczna była, zawierała wapień, gdyby się w kilka lat nie doniosło do dworów trzech dziedzin i szerokiej okolicy, że Kapuśnicowie z poręby, wszyscy co do jednego, postradali zmysły. Starsi, średni i dzieci, było ich zaś jak chrabąszczy pod trześnią. Przyszli o ro-

zum, to przyszli, co tu robić. Aż po latach ludzie znaleźli to miejsce. Szukali, z papierami hipoteki w kieszeni, poręby, miejsca pod budowę, z pięknym jakim, spamiętanym przez Boga, widokiem na kraj. Znaleźli rozwaloną kuczę. Hipotekę głębiej wsterczyli do kieszeni, na gorsze czasy i zaczęli grzebać. Jednej studni w skale nie trzeba było czyścić. Świeciła kryształową wodą. W jakiejś tam dziurze w ziemi, podpartej kamieniami, nie mogła być stajnią ani piwnicą, ni dla myszy, wygrzebano czaszkę. Czarną.

Panoczkowie, którzy tu zapragnęli wznieść budynek na letni pobyt, odeszli z hipoteką w kieszeni i zawołali żandarmów, żandarmi zawołali jeszcze wyższych żandarmów, ci zaś zawołali psa, przyszli, pies obwąchiwał tamtą szczelinę pomiędzy kamieniami i wył. Odwieziono czarną czaszkę. Do miasta. W mieście tę kościaną głowę prześwietlono jakimś rentgenem i przekonano się, że jest cała. Nikt jej ponoć nie zamordował. Wszystko było na głowie i w głowie, jak być powinno. Panoczkowie wrócili i nadal budowali. Od jednego z Jałowiczorzy, chłopa, co za młodu pasał owce po lasach, dowiedziano się, iż Kapuśnicowie mieli także jedną córkę. Wiedział, że się taka urodziła, lecz nikt jej nigdy nie widział. Nie zapisano jej w metryce, za co by ją zresztą ochrzczono? Tak jakby zniknęła ze świata, skoro już na nim była. Jałowiczor widział ją raz siedzącą na progu chaty. Wołał do niej Johanka! Nogi skrzyżowała pod sobą, z palcami w ustach żuła swoje włosy. To dlatego Jałowiczor ją zapamiętał. Umarła pewnie, to zagrzebano ją tam, gdzie przyszła na świat.

To już dawno temu. Panoczkowie wybudowali letni domek. Pili kryształową wodę ze skalnego źródła. Jedna radość. Domek otynkowali, na zewnętrznych ścianach zaś namalowali sobie owieczki. Przyciapnięte. Jak muchomórki. Ale do czego to nie doszło. W kilka lat później panoczkowie zaczęli zbierać w lesie zamiast prawdziwków muchomory i tylko ich kobiety uratowały ich od niechybnej śmierci. Nie gotowały te-

go, co panoczkowie nazbierali. Kędy zaś chodzili, mówili do siebie. Najpierw po cichu. Gajowy zbudował im drogę. Samochód mieli, na samochodzie zaś napisane Lucyfer, jeździli nim do wsi po sól i mąkę, tam też coś mówili, czego nawet pies nie rozumiał. Wiosną panoczek przyjechał Lucyferem i pałał radością, że woda mu nawet zimą w studni nie zamarzała. – Przyjeżdżajcie do mnie, mam jasne źródło! – zapraszał ciekawego Gębę. Nie zamarzła nawet struga cieknąca od studni. W wysokim śniegu zrobił się wąwozik. Panoczek rozmawiał już teraz z motylami, jaszczurkami, wężami. Gajowy też się dziwił, że każdy, kto tej kryształowej wody się napije, bywa jakiś wesoły, nabrał więc owej wody do butelki i zawiózł ją do wielkiego mias-ta. A ta woda w mieście świeciła. – Polej kuczę naftą i uciekaj! – radzono panoczkowi w dziedzinie. Nie posłuchał, nie usłuchał nawet gajowego, gdy ten wrócił z wielkiego miasta i powiedział, że ma pod studnią jaszczura w ziemi. Przyjechali chłopi z miasta z wiertarkami tak długimi, że całą ziemię dokoła skalnej studni przewiercili. Potem do litej skały ze studnią wyciosali krzyżyczek. Odjechali i nie wrócili. O panoczku zaś poszła wieść, iż umarł gdzieś w sanatorium dla świecących ludzi i kiedy nożem nacinano skórę na jego głowie, kość pod nią okazała się czarna. –

Narrator zamilkł.

– Pleciesz dzieciom w głowach – napomniała go szwagierka. Dzieci z otwartymi buziami siedziały na ziemi koło nóg stryjaszka.

– Co było potem? Stryjku, co było? –

– Tak jak zawsze. Ktoś tam po dziś dzień się z tego śmieje, znajdą się też tacy, co po nocach jeżdżą do studni ze świecącą wodą, biorą ją do butelek i sprzedają na targu, kto zaś nie chce kupić, tego tą wodą polewają. –

– To nie jest prawda! –

– Jeśli nie, to nie, ale prawdą jest, że dokoła tej studni biega przy świetle księżyca pies z białą łysiną. Nigdy się ze studni

nie napije. Obiegnie studnię dwukrotnie, trzykrotnie, wydeptuje w trawie legowisko, kładzie się i żuje swe łapy albo sierść. Nikogo przy tym nie puści do studni. Nawet tych chłopów, co tam wiercili i zrobili krzyżyk.

– Co jest w tej studni? –

– Petrol albo coś takiego, co świeci bez lampy. –

– Dlaczego, stryjku? –

– A dlatego, że chłopcy, kiedy szli ze szkoły, siusiali do potoczka, jak nikt ich nie widział. Woda z potoczka przesiąknęła do studni Kapuśniców. I woda świeci. –

– Zgłupiałeś albo co? – skarciła chłopa Marynka. – Ranek bywa rozumniejszy, chodźmy spać. –

Przekład: WŁADYSŁAW SIKORA

CZY TO FRASZKI, CZY TEŻ NI, PRZECZYTEJCIE ASPÓŃ WY

WE FABRYCE
Wymyślij tam co nowego
wołajóm z kancelaryje
dostaniesz za to dyplóm
a my, premije...

AGITATOR–"DEMOKRAT"
Piyrszy lotoł, agitował za Je–Ze–De
dowejcie nóm pole, krowy, kozy też,
teraz zaś piyrszy lotoł za restutycyjóm
i głosi, że od downa był za demokracyjóm.

SZPORUS
Gdo szporuje na jedzyniu,
bydzie za rok leżoł w „ciyniu",
pinióndze po nim zustanóm
dziecka sie o ni pobijóm.

DOBROTLIWI
Dąli dzieckom dacze, wilki
i na auto też cosi przidali
bo czym by ich jejich pupilki
do dómu starców odwożali?

POTOP
Świat sie zaleje gorzołkóm
wszyscy krziczóm, narzykajóm,
ale na śmietnik, do dołków
hołdy flaszek wywożajóm.

ODMIANA ZAIMKÓW
JA piję, TY pijesz,
ON, ONA, ONO też już próbuje,
bo rum z czekoladek wylizuje.
MY pijemy, WY pijecie,
ONI już nie piją,
bo w „cieniu" odpoczywają,
marskość wątroby
złożyła je w groby...

KRYTYK
Móndruje taki se jedyn i krytykuje każdego,
ale ze zowiści, że za radnego nie wybrali jego.

„ŚWIYNTOSZEK“
Wszystko złe widzi w sómsiadowi
opowiado, najgorsze o ciebie,
a zapómnioł na stare przisłowi:
„sóndzym ciebie podle siebie“...

PIERNICKI TELEWIZORY
Dziecka przi telewizorach siedzóm do nocy,
potym ni możóm ani spać, mali borocy,
bo sie im ty horrory na oczy stawiajóm,
fantazyrujóm, i do szkoły nieskoro stowajóm.

Starsi też przi tych „pudłach“ siedzóm do trzeci,
rano, ku autobusu ledwa tak doleci,
we warsztacie czy w kancylorzu, jak może podrzymuje,
że mo słabóm wypłatym strasznie sie potym dziwuje.

Same besperactwa w „pudłach“ oglóndajóm,
potym to nikierzi sami naśladujóm,
chłop kajsi z fabryki wyjyżdżo „urzyndowo“,
baba na rekreacyji mówi że je wdowóm...

– Żyli se kiejsi ludzie bez radija i telewizorów,
ale za to żodyn ni musioł nerwów lyczyć u dochtorów,
ojcowie do lasów z dzieckami na szpacyr chodziyli,
i poznować ptoszki, motylki i zwierzóntka ich uczyli.

TAK BYCH ZACZAROWOŁ!
Gdybych był jak w bojkach, wielkim czarownikym,
zamiyniół bych wszyckich ludzi w jaskółki, pryncikym,
bo by se tak jak óny, dycki we zgodzie żyli,
że mo gdosi trochym wiyncy, nic nie zowiściyli.

Gniozdka by se jednaki lepiyli z gliny,
trowkóm przeplotali, dodowali śliny,
szczebiotali jednako, chytali se muszki,
obleczóni do piórek, jak w czorne fraczuszki.

Czyściutkóm wodziczkym piyliby z strumyka,
nie zaglóndaliby jak ludzie, czynsto do kielicha,
nie oglóndoł by se żodyn po piekniejszym dziubku,
bo by mioł takóm samóm we swojim gniozdku!

WICEK SZ.

DOLINA WYTRWAŁYCH

Zielony Sztandar w numerze z 29 lipca br. przynosi reportaż o mieszkańcach miejscowości Puławy Dolne nad Wisłokiem w Beskidzie Niskim, rodakach z Zaolzia. *Pierwsi przyjechali w roku 1969. Następni kilka miesięcy później. Wraz z całymi rodzinami. Szukali odludzia, miejsca, gdzie będą mogli zapuścić korzenie na nowo. Na Zaolziu, skąd pochodzili, zrobiło się (jak dziś mówią) nie do życia. Władze patrzyły na nich krzywym okiem i w ogóle klimat był nie ten.* Wsie, do których przyjechali, nie istniały od ponad dwudziestu lat. Poprzedni mieszkańcy w roku 1946 wyjechali na Ukrainę. *Kiedy zapytać ich o początki – mówią skromnie, że było ciężko, ale jakoś się udało. Ci, którzy obserwowali ich zmagania z zewnątrz, twierdzą, że tylko tej wspólnocie mogło się udać. Bo zasiedlanie na nowo tych terenów wymagało wyobraźni, pieniędzy, fantazji, wiedzy rolniczej, ale przede wszystkim ciężkiej, a niekiedy wręcz heroicznej pracy. A zielonoświątkowcy potrafią pracować jak nikt.*

Dziś mieszka w Puławach Dolnych 30 rodzin, z których połowa zajmuje się rolnictwem. Coraz więcej jest tych, które zaczynają nastawiać się na agroturystykę. W tej chwili w czterech gospodarstwach przyjmują u siebie turystów. Pokoje z łazienkami i telefonami czekają na gości. *We wsi śmieją się, że Brukowie, Brózdowie, Stonawscy starają się odrobić to, co przez wieki ciążyło nad Puławami jako fatum. Miejscowa legenda głosiła bowiem, że na terenie Puław stał kiedyś okazały zamek z cerkwią. Zapadł się on jednak pod ziemię, kiedy właściciel grodu – Kryło Tchor – odmówił schronienia ludziom uciekającym przed Tatarami.*

STARE MAPY ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO

O osiemnastowiecznych mapach Śląska Cieszyńskiego pisze Dziennik Zachodni z 19 czerwca br. Mapa Jonasza Nigriniego, nauczyciela szkoły ewangelickiej w Cieszynie, z 1724 roku przedstawia elementy kultury pasterskiej w Beskidzie Śląskim. Obraz boczny mapy pokazuje górali beskidzkich na tle szałasu zbudowanego z okrąglaków, z wiszącym kotłem nad ogniskiem i naczyniami mleczarskimi. Owczarz gra na trombicie. Obok znajduje się *opis walorów pasterstwa wyjaśniający, że w górach Karpatach na Śląsku hodowane są rogate owce z dużego gatunku o rogach osobliwie zakrzywionych do tyłu. Pasą się wybornymi ziołami rosnącymi obficie w górach. Mleko od tych owiec znane jest jako najskuteczniejszy środek leczenia podagry.*

Mapa austriackiego porucznika Jana Wolfganga Wielanda z roku 1736

◀ *Na Filipce, fot. FRANCISZEK BAŁON*

zwraca uwagę przede wszystkim na hodowlę bydła mlecznego, produkcję skór i wyrobów mleczarskich. Tytuł mapy umieszczony jest na rozciągniętej skórze, na obrazie namalowano również stosy skór, stado krów oraz naczynia do produkcji masła, sera i bryndzy. Winnice symbolizują kiście winogron. Trzej strażnicy w charakterystycznych strojach uzbrojeni w czekany, szable i broń palną pilnują porządku. W tle znajduje się krajobraz górski z obronnymi szańcami jabłonkowskimi.

EUROPA BEZ GRANIC Z UVALNA DO BRANIC

O wspólnej Europie dwu wsi przygranicznych donosi Nowa Trybuna Opolska z 4-5 lipca br. Polskie Branice i czeskie Uvalno dzieli graniczna rzeczka. Przed trzema laty zostało tu otwarte przejście graniczne dla pieszych. Most zaczął ściślej łączyć. Branice liczą 2300 mieszkańców, Uvalno niecały tysiąc. Odległość z jednej miejscowości do drugiej wynosi tylko około osiemset metrów. Mieszkańcy postanowili lepiej się poznać i zaprzyjaźnić.

Zaczęło się wcześniej, kiedy jeszcze potrzebne były przepustki, od topienia marzanny po polskiej stronie. W powitaniu wiosny wzięły udział również czeskie dzieci. Wtedy jeszcze uczestnicy imprezy mogli pod eskortą straży dojść tylko do połowy mostu. Pierwszego maja odbyła się wspólna majówka w Uvalnie, trzeciego maja w Branicach.

Od trzech lat, od kiedy to na branickim moście otwarte zostało wreszcie przejście graniczne dla pieszych, wspólnym inicjatywom, imprezom, spotkaniom praktycznie nie ma końca. Wójt Branic i starosta Uvalna zaczęli poważnie zastanawiać się nad wspólną przyszłością. *Jest nad czym radzić, bo - jak uważają mieszkańcy - najwyższy już czas, by przyjaźń i dobre sąsiedzkie kontakty zaowocowały wreszcie bardziej wymiernymi efektami.*

W Uvalnie powstanie czesko-austriacko-polskie muzeum tamtejszego rodaka Hansa Kudlicha, jednego z przywódców Wiosny Ludów. W Branicach zaś chcą wybudować muzeum biskupa Józefa Nathana i sprowadzić tu jego zwłoki z Opawy. Dzieci czeskie będą się uczyć polskiego, polskie czeskiego. Gdyby stało się zadość wszystkim formalnościom, pomysł zostałby wprowadzony w życie już w ubiegłym roku. Obie szkoły wspólnie chciałyby poprzez odpowiednie programy nawiązać kontakty ze szkołami w innych jeszcze krajach. Na rok następny planowany jest wspólny międzynarodowy obóz namiotowy. Bliską współpracę nawiązali też działkowicze, myśliwi i pszczelarze.

PRZEGLĄDAM SIĘ W ŚLĄSKU

Taki tytuł nosi rozmowa ze Stanisławem Hadyną, kompozytorem, dyrygentem, pisarzem, dramaturgiem, twórcą Państwowego Zespołu Ludowego Pieśni i Tańca Śląsk, jaka ukazała się w Dzienniku Zachodnim z 26 czerwca br. z okazji jubileuszu 45-lecia istnienia zespołu.

Na pytanie: *Gdyby pan nie pochodził z Karpętnej na Zaolziu, gdzie folklor wciąż kwitnie, to czy droga pana do Śląska byłaby inna?* Stanisław Hadyna odpowiedział: *Przed wojną skończyłem konserwatorium katowickie na pianistyce u prof. Brachockiego, ucznia wielkiego Paderewskiego, po wojnie studiowałem kompozycję u Ludomira Różyckiego, dyrygenturę u prof. Artura Malawskiego. Pisałem poważne koncerty fortepianowe, symfonie. Dopiero później przyszło mi do głowy, by zrealizować pomysł, który zrodził się u mnie, gdy byłem jeszcze chłopcem. Wówczas folklor na co dzień był we mnie, a ja byłem w nim. Z kolegami razem śpiewaliśmy i graliśmy, byliśmy twórcami ludowymi w pełnym tego słowa znaczeniu. Dopiero studia nadały tej sztuce inny wyraz. Zastanawiałem się, jak ten folklor przetworzyć, żeby zabrzmiał inaczej. Na rok przed śmiercią prof. Różyckiego powiedziałem mu o zamiarze powołania dużego zespołu. Cóż bowiem z tego, że napiszę symfonię najbardziej wymyślną – uzasadniałem. Ile razy ktoś ją zagra i wysłucha?... Chciałem zrobić coś, co będzie trwałe, charakterystyczne, wyjątkowe.*

Są piosenki, które profesor ceni szczególnie. *Ważnym utworem w repertuarze Śląska jest „Helo, helo, Helenko", bo w nim zawarłem credo naszych zamierzeń. Nie tracąc więzi z korzeniami ludowej i narodowej kultury, chcemy nadać jej artystyczną formę. Mam sentyment do „Ondraszka" z moimi słowami i muzyką, choć często spotykam się na festiwalach z informacją, że jest to ludowa, bezimienna pieśń. Podobnie traktowany jest w środowisku górniczym „Starzyk" do słów Z. Pyzika i z moją muzyką.*

ŻEBY ŚLĄSKIE ŚPIEWANIE BYŁO ŚLĄSKIM

3 lipca br. przynosi Dziennik Zachodni rozważanie Daniela Kadłubca na temat Śląskiego Śpiewania. Jest ono reakcją na werdykt jury, obroną czystości folkloru.

We współczesnym świecie kultury pozornej, kiedy człowiek jest przede wszystkim odbiorcą, a nie twórcą, takie imprezy jak Śląskie Śpiewanie należy otaczać szczególną opieką.

Ślązacy, oderwani w XIV wieku od Macierzy, zachowali narodowy stan posiadania dzięki kulturze plebejskiej, bo polskich warstw wyższych tu nie było.

Jeszcze dziś pokutuje pogląd, że gwara jest językiem, który degraduje, jest synonimem zaściankowości, źle wpływa na opanowanie polszczyzny ogólnej itd., toteż należy ją tępić.

A kultura ludowa? Wiele z powyższego i jej się przypisuje.

Gdy więc pytamy młodych Ślązaków, za kogo się uważają, słyszymy nieraz: za Europejczyków.

Śląskie Śpiewanie, ruch rozpoczęty przez Izabelę i Janusza Kloców, pomaga odkrywać piękno Śląska, pomaga wrastać w niego emocjonalnie i kulturowo, pomaga wychowywać i uszlachetniać.

Jak dalej? W jakim kierunku ma iść Śląskie Śpiewanie?

Folklor jest twórczością anonimową. Piosenki, tańce, opowieści nie mają autorów. Nie oznacza to jednak, że można z nimi robić, co się żywnie chce. Piosenka śląska, taniec śląski, strój, śląska muzyka ludowa mają swoją specyfikę.

Artykuł zawiera zalecenia, które należałoby wziąć pod uwagę, by to śpiewanie było naprawdę śląskim. Nie przytaczamy ich, mając nadzieję, że nie dotyczą naszych zaolziańskich zespołów.

CZESKI MODEL OPIEKI ZDROWOTNEJ

Wybitnego specjalistę w dziedzinie chirurgii laparoskopowej a jednocześnie współwłaściciela sprywatyzowanego 140-łóżkowego szpitala w Trzyńcu Stanisława Czudka przedstawia 15 lipca br. Dziennik Zachodni. *Najtrudniejsze - stwierdza dr Czudek - były pierwsze trzy lata, bo tyle na ogół trzeba czasu dla zdobycia renomy. Kto ten okres przetrwał, wygrywał. Ale sukces nie przychodzi tak łatwo. Pracujemy niezwykle wydajnie. Kolega kierujący szpitalnym centrum kardiologicznym rzadko zjawia się w domu przed dziesiątą wieczorem. Ja też dużo pracuję. W moim 50-łóżkowym oddziale wykonujemy ponad 2000 operacji rocznie.*

Jako przykład godny naśladowania przedstawiono w artykule czeską reformę służby zdrowia. *O czeskim modelu opieki zdrowotnej słyszałam już wcześniej wiele dobrego* - pisze autorka. *Dobrze funkcjonująca podstawowa opieka medyczna, prawidłowo rozwijana promocja zdrowia, a przede wszystkim powszechna dostępność drogich procedur medycznych (np. w kardiologii cewnikowania serca, wszczepiania by-passów, rozruszników itp.) - to tylko niektóre z jasnych stron czeskiego systemu opieki zdrowotnej. Znający tamtejszą sytuację polscy specjaliści przyznają zgodnie, że w dziedzinie ochrony zdrowia obywateli zostaliśmy przez Czechów wyraźnie zdystansowani.*

W Czechach działa duża powszechna kasa chorych oraz 13 małych, rozwijających się firm ubezpieczeniowych. Starają się przyciągnąć klientów szerszym wachlarzem opłacanych usług (bogatsza lista refundowanych leków, zabiegów stomatologicznych, kosztownych procedur itp.). Państwo gwarantuje ubezpieczenie emerytom, dzieciom oraz osobom bezrobotnym. O pozostałych troszczą się bądź pracodawcy, bądź oni sami. Zgodnie z prawem można ubezpieczyć się tylko w jednej kasie.

Od wielu lat na ochronę zdrowia przeznaczano w Czechach 13,5 proc. wpływów podatkowych, czyli mniej więcej tyle, co we Francji i w Niemczech. U nas mówi się o 7,5 proc., choć powszechnie wiadomo, że za tak skromne pieniądze pakiet usług refundowanych przez kasy chorych może być nad wyraz skromny.

STO LAT DLA GAMY

UDANA REWIA PIOSENEK

W pogodnym i miłym nastroju spędzili sobotnie popołudnie wszyscy, którzy tak licznie przybyli w ostatnią majową niedzielę do górnosuskiego Domu Robotniczego na zorganizowany przez Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne oraz MK PZKO w Suchej Górnej przegląd małych zespołów wokalnych pn. Spotkanie z piosenką, połączony również z jubileuszem 45-lecia istnienia zespołu wokalno-istrumentalnego GAMA. Ponad dwie godziny pełna widownia wynagradzała szczerymi i spontanicznymi oklaskami pieśni i piosenki w wykonaniu sześciu zespołów: Amici Cantionis Antiquae (kierownictwo artystyczne Leszek Kalina), Błędowice z Hawierzowa-Błędowic (kier. Danuta Bilan), Rychwałdzianie (kier. Władysław Rusek), Andrusi ze Skrzeczonia (kier. Czesław Bugdol), Musicae Amantes z Nydku (kier. Bogdan Szmek) i zespół-jubilat Gama (kier. Erich Paździora).

Zaprezentowały się na scenie zespoły śpiewacze a cappella (Amici

Cantionis Antiquae i Musicae Amantes), grupy, którym towarzyszył fortepian (Błędowice, Rychwałdzianie) czy też grupy instrumentalne (Andrusi, Gama). A śpiewano muzykę dawną i klasyczną, melodie negrospirituals i sakralne, narodowe i ludowe, operetkowe, opracowania klasycznych przebojów, nie brakowało programu urozmaiconego własnym komentarzem i scenicznym dowcipem. Były 4 zespoły mieszane i 2 męskie. Obok zespołów z wieloletnimi tradycjami, ale duchem i zapałem wciąż młodych (Błędowice, Gama, Rychwałdzianie, Andrusi), były grupy młode wiekiem (Amici Cantionis Antiquae, Musicae Amantes). Ogólnie repertuar był dostosowany do możliwości wykonawczych poszczególnych zespołów, mniej i bardziej ambitny, nie było rażących usterek ani monotonii. Występy poszczególnych zespołów uzupełniane były umiejętnym i ciekawym komentarzem z życia małych form wokalnych na naszym zaolziańskim podwórku w przeszłości i teraźniejszości (Józef Wierzgoń).

Punktem kulminacyjnym imprezy był finałowy występ górnosuskiej Gamy, która zasługuje na wyrazy szczerego uznania, podziwu i szacunku. Zarząd Główny Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie uhonorował Gamę oraz trzech jej członów Odznaką Honorową IV stopnia – Złotą z Laurem, zaś Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne uhonorowało dalszych czterech członków srebrną i złotymi Oznakami Honorowymi PZChiO.

JUŻ PO RAZ PIĄTY TROJOK ŚLĄSKI – TYM RAZEM W OPAWIE

Już po raz piąty odbyło się Święto Śląskiej Pieśni Chóralnej pn. Trojok Śląski, które od roku 1993 organizują corocznie w pierwszą czerwcową niedzielę Oddział Śląski i Oddział Bielski Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, Zrzeszenie Śpiewaczo-Muzyczne PZKO oraz Unia Czeskich Zespołów Chóralnych w Ostrawie, która w roku bieżącym pełniła rolę gospodarza i głównego organizatora tej pożytecznej międzynarodowej imprezy śpiewaczej.

Trojok Śląski jest imprezą artystyczną, mającą na celu upowszechnianie piękna pieśni chóralnej, konfrontowanie jej z folklorem i osiągnięciami różnych regionów w Europie, a zwłaszcza w Republice Czeskiej i Słowackiej. Pragnie zapewnić dalszy rozwój twórczości muzycznej i śpiewu chóralnego. Trojok jest imprezą otwartą dla wszystkich zespołów chóralnych bez względu na przynależność organizacyjną i narodową. Po powstaniu Słowacji Polski Związek Chórów i Orkiestr próbuje nawiązać kontakt i przystąpić do współpracy ze Związkiem Chórów w Słowacji i wprowadzić Trojoka na teren tego kraju.

Katowicki Oddział PZChiO oczekuje, że przyszłoroczna edycja

tego święta odbędzie się już z udziałem chórów czeskich i słowackich, w tym polskich z Zaolzia. Zespołów trójpartnerskich zgodnie z wymogami trojoka (tańca) mogłoby oczywiście być więcej, nic nie stoi bowiem na przeszkodzie, by zaśpiewać go i zatańczyć z zachodnimi sąsiadami – Niemcami.

W niedzielę 7 czerwca zjechały do Opawy 22 zespoły chóralne: 7 z Polski, 15 z północnych Moraw oraz 2 chóry z Zaolzia. Koncert inauguracyjny zaszczycili swoją obecnością konsul generalny RC w Katowicach Josef Byrtus, konsul RP w Ostrawie Marian Ozimek, wojewoda katowicki Marek Kempski oraz wojewoda bielski Andrzej Sikora, prezes ZG PZKO Jerzy Czap, prezesi oddziałów Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Katowicach i Bielsku-Białej Rajmund Hanke i Kazimierz Fober, prezes Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego PZKO Jan Hławiczka, prezes Zarządu Głównego w Pradze i oddziału ostrawskiego Unii Czeskich Zespołów Chóralnych Jiří Kolář i Drahoslav Štula.

Koncert w języku czeskim i polskim prowadził Józef Wierzgoń, wiceprezes ZŚM i członek ZG PZChiO.

Z Trojokiem ściśle związana jest Nagroda im. Stanisława Moniuszki za wybitne zasługi dla społecznego ruchu muzycznego, w kształtowaniu kultury muzycznej i trwałych wartości etycznych płynących z upowszechniania pieśni i muzykowania na Górnym Śląsku polskim i czeskim. Jej fundatorami są od 1996 r. wojewoda katowicki, od 1998 r. również wojewoda bielski. W roku bieżącym laureatami jej zostali: Młodzieżowy Chór Mieszany z Zabrza Resonans con tutti, chórmistrz z Knurowa Jerzy Pogocki, chórmistrz z Bielska-Białej Piotr Jakóbiec oraz Drahoslav Štula, prezes oddziału Unii Czeskich Zespołów Chóralnych w Ostrawie. Złotą Odznakę z Granatem UČPS wręczono Rajmundowi Hankemu prezesowi Oddziału Śląskiego PZChiO w Katowicach.

Jako pierwszy w koncercie inauguracyjnym swoje ambitne i wysokie umiejętności artystyczne zaprezentował Chór Studencki Collegium Juvenum czeskocieszyńskiego gimnazjum pod dyrekcją Leszka Kaliny. Warto przypomnieć iż największym dotychczasowym sukcesem chóru było uzyskanie Grand Prix – absolutnego zwycięstwa w Ogólnopolskim Konkursie Chórów Szkolnych a Cappella w Bydgoszczy (1994). Jako drugi śpiewał Młodzieżowy Chór Mieszany z Zabrza Resonans con tutti, który i tym razem potwierdził swoją wysoką klasę wykonawczą. Trzecim z kolei był Chór Studencki Luscinia z Opawy, założony przed trzema laty przez małżonków Eliškę i Jerzego Slovika.

Z inicjatywy swego chórmistrza został założycielem corocznych ogólnorepublikowych, w końcu i międzynarodowych festiwali – OPAVA CANTAT, przeznaczonych dla chórów szkół średnich.

Koncerty wszystkich trzech chórów przyjęte zostały ciepło i z uznaniem. Na zakończenie koncertu inauguracyjnego wszystkie chóry pod batutą Leszka Kaliny odśpiewały dwie śląskie pieśni ludowe – Aničko děvečko – w opracowaniu Arnošta Rychlego oraz – A nie ta ptaszyna – w opracowaniu Jana Gawlasa.

Po koncercie odbyła się wspólna Msza św. w intencji braci śpiewaczej. Podczas nabożeństwa Mszę D–dur Antoniego Dvořáka wykonał opawski chór katedralny oraz chór mieszany ze Štěbořic. Z mottetami J. Arcadelta, Ch. Gounoda, L. Cherubina, A. Brucknera i J. Różyckiego wystąpił też Chór Katedry Chrystusa Króla w Katowicach pod dyrekcją Krzysztofa Kagańca. Nabożeństwo zakończył wspólny śpiew wszystkich zespołów chóralnych, które pod batutą Petera Škarohlída i Jerzego Pogockiego wykonały G. O. Pitoniego Laudate Dominum oraz J. Surzyńskiego Wszystkie trony niebieskie.

W godzinach popołudniowych chóry z Polski – Kolejarz z Tarnowskich Gór (dyrygent Irena Jasiurkowska), Echo z Bielska–Białej (dyr. Piotr Jakóbiec), Chór Katedralny w Katowicach (dyr. Krzysztof Kaganiec), Schola Cantorum z Knurowa (dyr. Jerzy Pogocki), chór mieszany Gwiazda z Chorzowa (dyr. Krystian Latocha), Młodzieżowy Chór Pałacu Młodzieży w Katowicach (dyr. Barbara Zielonka–Rusin), Resonans con tutti z Zabrza (dyr. Waldemar Gałązka), nawsiańska Melodia (dyr. Aleksandra Paszek–Trefon) oraz chóry morawskie – Pěvecké sdružení Kopřivnice (dyr. Pavel Altrichter), Rýmařovský chrámový sbor (dyr. Petr Wolff), Pěvecké sdružení Kopřivnice, Pěvecký sbor MěKS Bílovec (dyr. Karel Kostera), Křížkovský Opava (dyr. Dr Karel Holeš), Pěvecké sdružení slezských učitelek Opava (dyr. Petr Škarohlíd), Komenský Vítkov (dyr. dr Eduard Zimola), Smíšený pěvecký sbor Háj ve Slezsku (dyr. Drahomír Moravec), Slezan Mosty u Jablunkova (dyr. Pavel Rusek), SPS Bruntál (dyr. Jiřina Sokolářova), SPS Lašan Brušperk (dyr. Jitka Humelová), Chlapecký pěvecký sbor Štěbořice (dyr. Karel Kostera) – koncertowały w Opawie, Hradcu na Morawach, Krawarzach, Vítkowie, Štěbořicach, Haju, Nowym Dworze, Wielkich Hošticach, Oticach i Slavkowie.

W przyszłym roku odbędzie się Trojok Śląski w Katowicach, a w roku 2000 ponownie na Zaolziu.

JÓZEF WIERZGOŃ

INDIANIE W BESKIDACH

W nietypowym czasie odbyła się ostatnia w jubileuszowym sezonie premiera Teatru Lalek Bajka. Młodsi i starsi widzowie zasiedli w salce teatrzyku w budynku na ulicy Strzelniczej w Czeskim Cieszynie w czwartek 9 lipca, czyli już podczas wakacji. Premierowym przedstawieniem była baśń indiańska Jana Makariusa w przekładzie Stanisława Gawłowskiego „Trzy białe strzały". Spektakl reżyserował Karol Suszka, scenografię opracowała Halina Szkopek, muzykę napisał Andrzej Macoszek. Na scenie stały wigwamy indiańskie, przenosząc myśli widzów w daleki kraj Indian.

A tymczasem miało być zupełnie inaczej. Twórcy spektaklu zaplanowali premierę w plenerze na zboczach gór beskidzkich. W Koszarzyskach niedaleko od Ośrodka ZG PZKO i harcerskiej Kikuli rozlokowane miały zostać namioty indiańskie. Widzowie przechodziliby z miejsca na miejsce, zależnie od miejsca akcji, śledząc kolejne kroki bohaterów przedstawienia. Niesprzyjająca aura pokrzyżowała te plany. Padający od kilku dni deszcz rozmył szlaki, błoto i mokra trawa skutecznie ostudziły zapał pomysłodawców spotkania z Bajką w lesie. Na dwa dni przed premierą zmieniono pierwotne plany i ostatecznie premiera odbyła się tradycyjnie na stryszku w siedzibie Teatru Lalek Bajka.

Pomysłu spektaklu plenerowego nie zaniechano jednak do końca, zaplanowano go na miesiące powakacyjne. I być może w czasie, kiedy ukazuje się niniejszy numer Zwrotu, przedstawienie takie – w Beskidach na łonie przyrody wśród gór i lasów, gdzie mali widzowie Bajki, tropiąc Białego Sokoła i Ospałego Marudę wśród drzew, towarzyszą im w ich kolejnych przygodach czy to w wiosce indiańskiej, czy w królestwie czarownicy Hinakagi, u Wielkiego Siwego Bawołu lub u Tikipawy – Gwiazdy Porannej – jest właśnie przygotowywane lub może nawet odbyło się już.

Ponieważ niewielu widzów obejrzało zapewne do tej pory ten spektakl, nie czas, by zdradzać w tej chwili meritum sztuki. Dość powiedzieć, że porusza ona odwieczne problemy dobra i zła, treści stosunków międzyludzkich. Tematyka to na tyle ważka i ujęta w taki sposób, że może zainteresować również dużego widza. Dowodem tej tezy niech będzie przypomnienie, że po tę samą sztukę Makariusa sięgnął w 1989 roku Janusz Klimsza, by wystawić ją w Scenie Polskiej, oglądanej przecież przede wszystkim przez widza dojrzałego.

Bohaterowie „Trzech białych strzał" w Bajce poruszają się wśród kolorowej dekoracji dalekich wiosek indiańskich i baśni mieszkańców tych wiosek. Ale owi bohaterowie są dziwnie do nas podobni. Mają podobne do nas zalety i wady, kierują nimi podobne do naszych uczucia. Nie lalki

fot. FRANCISZEK KALON

bowiem odgrywają w tym spektaklu główne role, a aktorzy. Nie bezduszne kukły, lecz żywi ludzie, z którymi o wiele łatwiej nam się utożsamić. Lalki dopełniają tylko jakby całości obrazu, przypominając, że jesteśmy w teatrze lalek.

Reżyser Karol Suszka zawierzył aktorom i dobrze na tym wyszedł. Role głównych bohaterów Białego Sokoła i Ospałego Marudy gra sprawdzona już para Wanda Michałek i Jan Szymanik. Powrót Wandy Michałek po urlopie macierzyńskim jest mocnym zastrzykiem dla Bajki, zwłaszcza że niestraszne są dla niej również role dzielnych młodzianów. Jan Szymanik, który troszczy się także o opracowanie techniczne przedstawień Bajki, jest coraz lepszym aktorem. I tu drobna dygresja. Kiedy oglądam go na scenie, przypomina mi się zawsze zdanie, które przysłał kiedyś do redakcji Zwrotu jeden z korespondentów, pisząc o ojcu Jana Szymanika, że miał czterech synów dorodnych i zaradnych.

Resztę najważniejszych postaci sztuki można było akurat sprawiedliwie rozdzielić między pozostałych aktorów. Babkę Anczidę, dobrotliwą, choć stanowczą, gra Krystyna Kubiczek. Czarownicą Hinakagą jest Pawełka Niedoba. Niby zła, ale jak spragniona miłości. Dorota Urbuś to piękna, dobra i miła dziewczyna o imieniu Srebrny Księżyc, która jest przeciwieństwem czarownicy, u której służy. Krystyna Czech jako Tikipawa – Gwiazda Poranna – pomaga w osiągnięciu szlachetnego celu.

A tytułowe trzy białe strzały? Spełnią swoje zadanie i wszystko skończy się szczęśliwie.

CZESŁAWA RUDNIK

fot. FRANCISZEK BAŁON

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Szanowna Redakcjo!
Z radością pragnę donieść, że takiego rozśpiewanego i akordami w tonacjach Dur-Moll rozbrzmiewającego lipca jeszcze nie miałyśmy do tej pory. Muszę zdradzić, że chodzi o cztery uczestniczki z Zaolzia (Annę Kiszka z Suchej Górnej, Reginę Góralik z Olbrachcic, Beatę Roman z Trzanowic i Irenę Małysz z Trzyńca), które wzięły udział w Studium Dyrygentów Chórów Polonijnych Koszalin '98 oraz w Warsztatach Artystycznych Koszalin '98, jako chór Ojczyzna Studium Dyrygentów Polonijnych,liczący około 40 osób. Organizatorem Studium i Warsztatów był Zarząd Krajowy Stowarzyszenia Wspólnota Polska z Warszawy, Oddział Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Koszalinie i Ministerstwo Kultury i Sztuki – Centrum Animacji Kultury.

Studium jest pięcioletnie. Ukończyłyśmy pierwszy rok studium i zaliczyłyśmy, w dwu wypadkach pierwszy rok nauki, zaś w kolejnych dwu, pierwszy i drugi rok nauki. Program obejmował ćwiczenia z zakresu dyrygowania, emisji głosu indywidualnej i zespołowej, metodyki prowadzenia chórów, polskiej literatury chóralnej, aranżacji, zespoły wokalne i chór. Prowadzone były zajęcia z zawodowym chórem ćwiczebnym Cantica Cantamus z Białegostoku pod kierownictwem Violetty Bieleckiej. Wykładowcami studium byli profesorowie i adiunkci Akademii Muzycznych z Poznania, Krakowa, Wrocławia i Warszawy (dyrygent chóru Opery Narodowej w Warszawie).

Oprócz nas zaolzianek z Republiki Czeskiej przyjechali do Koszalina żacy z batutą z 14 krajów – nieraz bardzo egzotycznych i odległych – z trzech kontynentów świata: Europy, Azji i Ameryki. Przybyli więc z Białorusi, Ukrainy, Rosji, Litwy, Łotwy, Kazachstanu, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Francji, Włoch, Węgier, Niemiec i Austrii.

Na pierwszym spotkaniu w świetlicy Bursy Międzyszkolnej, w asyście Szanownego Grona Wykładowców zwróciła się do uczestników Lata Polonijnego – Koszalin '98 przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego, członek Rady Krajowej, prezes Koszalińskiego Oddziału Stowarzyszenia Wspólnota Polska senator Gabriela Cwojdzińska tymi słowy: – Witam Was gorącym sercem – jak co roku – na tej pięknej koszalińskiej ziemi, nad polskim Bałtykiem, w Ojczyźnie, która na Was zawsze czeka, w której wielu Polaków tęskni do lipcowych rozśpiewanych spotkań z Wami, Drodzy Goście... – wzruszająco!

W dwa tygodnie później pani senator witała na inauguracji Światowych Spotkań Chórów Polonijnych na placu przy Pomniku Więzi Polonii z Macierzą 12 chórów i zespołów wokalnych z 6 państw. Z Ukrainy – Śpiew Duszy z Drohobycza, Krzemienieckie Barwy z Krzemieńca, Kantyczki z Kijowa, Elegię z Baru, Chór im. Juliusza Zarębskiego z Żytomierza; z Białorusi – Czerwone Maki z Mińska i Kresowiankę z Iwieńca; z Łotwy – Dyneburg z Dyneburga i Polonez z Rygi; z Kazachstanu Stepowe Kwiaty z Kokczetawu; z Czech – Chór Żeński Melodia z Nawsia, któremu towarzyszył prezes ZŚM Jan Hławiczka (wśród w.w. chórów Melodia wyróżniała się perfekcyjnie wykonanymi pieśniami, pełnymi dynamizmu); z Litwy Troczan z Troków oraz chór Ojczyzna, składający się ze słuchaczy Studium Dyrygentów. W inauguracji wzięła też udział 140-osobowa grupa uczestników Polonijnych Warsztatów

Artystycznych dla Dzieci i Młodzieży ze Wschodu i Zachodu. Dzieci w ciągu trzech tygodni doskonaliły język ojczysty i swoje umiejętności artystyczne pod bacznym okiem doświadczonych specjalistów. Najdłuższą, bo liczącą aż 7 tysięcy kilometrów drogę miał do przebycia zespół wokalny Karolinka. Jego rodzinne miasto Barnauł leży bowiem w jednej z najbardziej odległych części Rosji. Młodym wokalistom towarzyszyła grupa wybitnie uzdolnionych plastycznie dzieci, które przywiozły do Koszalina swoje prace związane tematycznie z 200. rocznicą urodzin Adama Mickiewicza. Oprócz Karolinki przyjechały Skowronki, Truskaweczki, Jałóweczki i Irenki z mniej odległych terenów. Każdy z zespołów zaprezentował się fragmentem własnego repertuaru, po czym przy dźwiękach werbli złożono kwiaty pod pomnikiem Więzi Polonii z Macierzą.

W nastroju powagi przebiegały również uroczystości inauguracyjne Światowych Spotkań Chórów Polonijnych na Rynku Staromiejskim, gdzie w imieniu władz miasta powitał polonijnych gości prezydent miasta dr Antoni Grzechowski oraz wojewoda koszaliński Grażyna Anna Sztark, życząc wiele radości przy wspólnym świętowaniu polskiej pieśni oraz wspaniałych, głębokich przeżyć – patriotycznych i artystycznych.

Pobyt w Koszalinie był dla chóru Ojczyzna bardzo atrakcyjny, bowiem chór koncertował aż sześć razy w ciągu tak krótkiego okresu, a to: przy Pomniku Więzi z Ojczyzną, na schodach historycznego ratusza kołobrzeskiej Starówki, w porcie jachtowym w Kołobrzegu – na jachcie przycumowanym do nabrzeża, w hotelu Skanspol, w koszalińskiej katedrze oraz na Koncercie Galowym w amfiteatrze im. Ignacego Jana Paderewskiego. Wszędzie spotykał się z niecodzienną atmosferą życzliwości, zainteresowania i serdeczności.

Pragnę wraz z koleżankami z Zaolzia gorąco podziękować twórcom dorocznych spotkań rozśpiewanych rodaków państwu prof. prof. Gabrieli i Andrzejowi Cwojdzińskim oraz pani prof. Wiesławie Krodkiewskiej za wspaniałe, przemiłe i owocne chwile pobytu w Koszalinie.

IRENA MAŁYSZ

UZUPEŁNIENIA

Na prośbę p. Janusza Ruckiego, współautora przygotowanego przez dr. Stanisława Zahradnika, a opublikowanego w nr 8/98 Zwrotu artykułu „Anna Rucka (1903-1944)- czołowa działaczka społeczno-narodowa - na Zaolziu w okresie międzywojennym" drukujemy niezbędne uzupełnienia: Na str. 10 (u góry) poprawnie powinno być **MVDr Janusz Rucki** (nie inż).

Na str. 14 (u dołu) za zdaniem - *Dnia 14. 7. 1943 przychodzi gestapo aresztować Stanisława Ruckiego, któremu jednak udaje się zbiec* - brakuje bardzo ważnych następujących szczegółów: **Niestety dalsze jego losy okazały się tragiczne. Przypadkowo 3.9.1943 wpadł w ręce Sicherheitsdienst w Nydku. Zginął potem w egzekucji w Nawsiu 14.2.1944.**

FESTYN NA FILIPCE

Dopisała pogoda wszystkim, którzy nie szczędząc trudu, wspięli się w niedzielne popołudnie 19 lipca na Filipkę, gródeckie wzgórze. Jedno z najmniejszych kół pezetkaowskich MK w Nydku-Głuchowej od kilkudziesięciu lat jest organizatorem festynu na Filipce. Dziś koło liczy zaledwie 33 członków, skupia kilka polskich rodzin. Jego prezesem jest Władysław Widenka. W najbliższym czasie członkowie koła zamierzają zmienić jego nazwę na MK PZKO Gródek-Filipka, zgodnie z geograficznym usytuowaniem. Tradycja festynów sięga czasów, gdy w pobliżu była polska szkoła i to ona właśnie była ich głównym współorganizatorem. Tego roku na Filipkę przybyło ponad 600 osób. To niebywały sukces organizatorów. Dla nikogo nie zabrakło jednak smacznego posiłku i napojów. Na polance u szczytu Filipki biesiadowali starzy i młodzi, grupki młodzieży i wielopokoleniowe rodziny z dziećmi i wnukami, indywidualnie (turyści rowerowi) i zbiorowo (zawsze niezawodni członkowie PTTS Beskid Śląski). Można było również potańczyć.

E.S.

ZLOT '98

W połowie lat siedemdziesiątych zloty młodzieży związkowej cieszyły się olbrzymią popularnością. Tu spotykały się wchodzące w dorosłe życie kolejne pokolenia zaolziaków. Tu była niepowtarzalna szansa wspólnej zabawy przy dźwiękach najbardziej popularnych polskich zespołów rockowych i solistów. Pomysłodawcą i organizatorem zlotów był Tadeusz Wantuła. Pod koniec lat 80. do zlotowej tradycji Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej nawiązał bystrzycki Klub Młodych.

Tegoroczny zlot odbył się 1 sierpnia w Bystrzycy nad Olzą, a jego organizatorami był Kongres Polaków w RC i Miejscowe Koło PZKO. Przybyło około tysiąca młodzieży, która bawiła się przy dźwiękach rockowych kapeli z Polski i miejscowych, zaolziańskich. Były też happeningi plastyczne i występy teatrów alternatywnych. Nad całością czuwał Bogdan Kokotek.

E.S.

COEXISTENTIA-WSPÓLNOTA MA SWOJEGO KANDYDATA NA SENATORA

Ruch Polityczny Coexistentia -Wspólnota zgłosi do listopadowych wyborów senackich PaedDr Jiřího Pinkawę, który będzie kandydował z listy Wspólnoty jako kandydat niezależny. Jiří Pinkawa jest absolwentem Fakultetu Pedagogicznego w Hradcu Kralowe i Uniwersytetu Karola w Pradze. Obecnie pełni funkcję dyrektora Integrowanej Szkoły Średniej w Czeskim Cieszynie. W latach 1990 - 1994 był członkiem przedstawicielstwa miejskiego w Czeskim Cieszynie.

Ruch Polityczny Wspólnota oczekuje, że w wypadku pomyślnego wyniku wyborczego PaedDr Jiří Pinkawa będzie w imieniu swych wyborców działać w interesie wszystkich grup narodowych i obywateli zamieszkałych w naszym regionie.

T.T.

ABRAHAMOWINY SPOŁECZNIKA

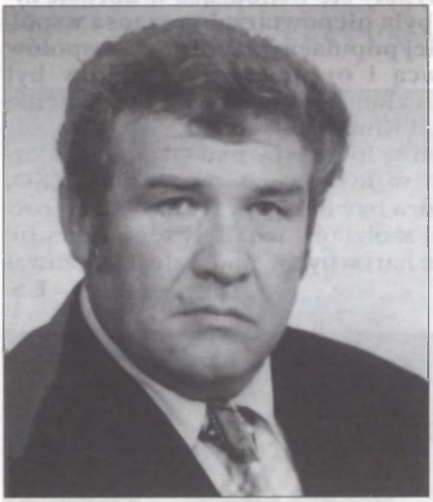

Znany i ceniony działacz społeczny MK PZKO Cierlicko-Kościelec Władysław Mikula obchodzi swój życiowy jubileusz – abrahamowiny.

Urodził się 23 sierpnia 1948 roku na cierlickim Kościelcu. Po ojcu pracowitym i sumiennym górniku i murarzu przejął niespożytą chęć do uczciwej pracy i niesienia pomocy bliźniemu. Po matce przywiązanie do rodziny i społeczności. Uczęszczał do polskiej szkoły ludowej w Cierlicku i wydziałowej w Błędowicach. Zawód uzyskał w szkole przyzakładowej w Trzyńcu-Kanadzie w latach 1963-66. Odtąd pracuje w trzynieckiej hucie jako elektryk do dziś.

Od wczesnej młodości angażuje się społecznie, szczególnie w PZKO, którego członkiem jest od roku 1963. Działa w kościeleckim Kole, najpierw jako członek zarządu, następnie przewodniczący komisji rewizyjnej, a od roku 1987 jako prezes MK. Jest niezwykle pracowitym i ofiarnym organizatorem. Od momentu powstania przewodzi Komitetowi Budowy Domu Polskiego na Kościelcu. Trudno w pełni ocenić wkład Władysława Mikuli w realizację budowy Domu Polskiego im. Żwirki i Wigury, który uroczyście otworzył swoje podwoje w 1994 roku.

W Miejscowym Kole za czasów prezesury Władysława Mikuli działa klub Młodych i Klub IKS (Interklub Kościelec-Stanisławice). Co roku organizowane są tu obchody rocznicowe tragicznej śmierci polskich lotników Żwirki i Wigury z licznym udziałem gości z Polski. Dużą popularnością cieszą się Bale u Czarnej Księżnej, śmiergustówki, majówki, andrzejki, mikołajki czy zabijaczki, gdzie Władysław Mikula wykazuje się mistrzostwem w kuchni domowej.

MK PZKO w Cierlicku-Kościelcu dzięki niezwykłemu talentowi Prezesa-Jubilata zyskało wielu przyjaciół w Polsce, w Warszawie, Bielsku-Białej i Jastrzębiu-Zdroju.

Władysław Mikula od 1992 roku jest honorowym członkiem Klubu Seniorów Lotnictwa w Bielsku-Białej. Tam uczy się sztuki latania na szybowcach. Jest także członkiem Klubu Seniorów Spadochroniarzy w Cieszynie. Posiada Złotą Odznakę Seniorów Lotnictwa Polskiego.

Z okazji jubileuszu wiele szczęścia i radości życzą członkowie MK PZKO w Cierlicku-Kościelcu i przyjaciele z okolicy.

J.K.

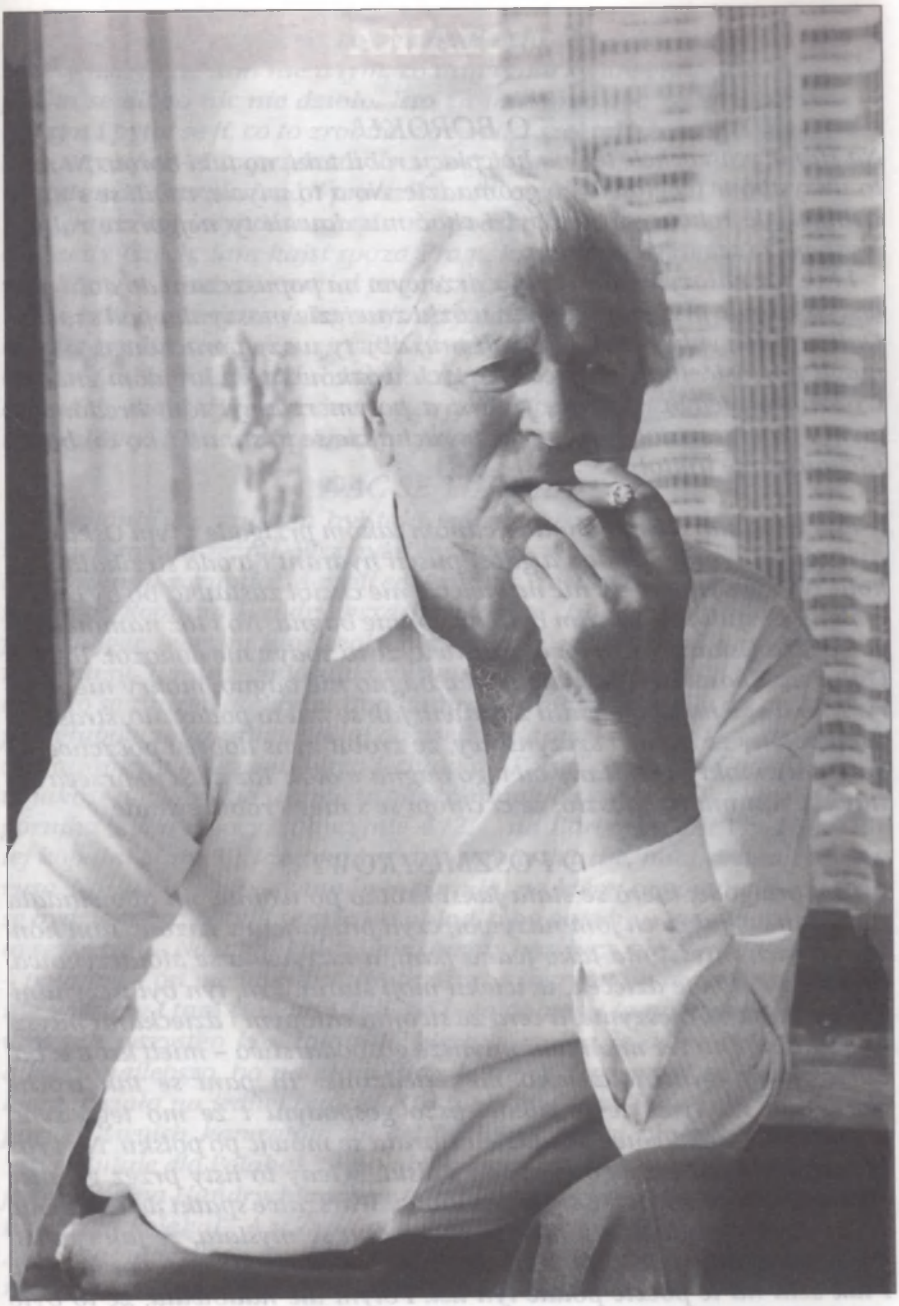

Z cyklu „Portrety naszych nestorów" – Władysław Niedoba (15. 8. 1998)
fot. FRANCISZEK BAŁON

O BOROKU

Na Hańdrychszachcie też na holcplacu robił taki, no taki borok. Ni mioł to wszystko w tej głowie po grómadzie. No a to wiycie, robili se s niego srande. Ale robotny to ón był i choć mu dowali ty nejgorsze roboty. Myślym, że se nazywoł Oskar.

I tak roz nałożyli kłóniczoki z drzewym na popuszczani do dołu a uż wszystko było przigotowane, że wózki zawiezie maszynka pod szachte. Dali mu do rynki krejde i kozali mu, aby ty wozy porachowoł, aby to mógli nagłosić. I tak ón szeł kole tych wózków i tóm krejdóm znaczył i rachowoł: jedyn..., dwa..., trziii... a potym rzaznył tóm kredóm na ziym i zawrzeszczoł: – A kurde, porachujcie se to sami!!... bo ón borok rachować nie umioł.

Eszcze mi starzik opowiadoł jednóm takóm przigode z tym Oskarym. Byli roz na tym holcplacu a gdosi puścił hydrant i woda strzikała dookoła. No i żodyn jóm za nic na świecie nie chcioł zastawić, bo by był cały mokry i sfultany, bo tam było uż godnie bagna. No i tóż namówili tego boroka Oskara, aż to idzie zastawić, że to żodyn nie dokozoł. Tóż tyn Oskar tam poszeł... woda nie woda, bagno nie bagno, mokry nie mokry. Tóm wode na tym wyntlu zastawił. Jak se mu to podarziło, strasznie zadowolóny ze siebie i szczynśliwy, że zrobił kyns dobre i poczciwe roboty, cały mokry i sfultany od tego bagna wołoł: Tóż żech to przeca zastawił... Ani mu nie doszło, że ci chłopi se s niego robili srande.

O POSZMISTROWI

Tóm przigode, kiero se stała jaksi krótko po wojnie, mi opowiadała staro starka, jak żech jóm nazywoł, czyli prababcia z Łazów. Tam kónsek od nich miyszkała tako jedna pani, a nazywała se Mołdrzykowa. Óna miała dwoje dziecek, w wieku moji starki. Syn, tyn był urzyndnikym w polskim Cieszynie, a cera ze swojim chłopym i dzieckami miyszkali s nióm. Óni też mieli taki miynsze gospodarstwo – mieli krowe, babucia, kury, gynsi, tóż jako na dziedzinie. Ta pani se tak troche zakłodała na tym, że je tako lepszo gospodyni i że mo tego syna w Polsce na państwowe posadzie i starała se mówić po polsku. No i roz też napisała list do tego syna, do Polski. Wtedy to listy przez granice chodziły całóm wieczność – przez Prage, Warszawe spatki do Cieszyna, Wisły czy Ustrónia, no sumeryja. No a óna se myślała, że jak tyn list poszle polecóny, tak to pujdzie warciejszy i dóndzie to w porzóndku. I tak szła na te poczte podać tyn list. Potym ale nadowała, że to było

strasznie drogi, że ty kanalije by s ni ostatni grejcar zedrziły i to za normalny list. Jo uż tam nie wiym, co tam tymu synowi naporynczyła, ale potym se dłógo nic nie dzioło. Isto za miesiónc abo za dwa przijechoł tyn syn i pytoł se ji, co to zrobiła, że tyn list szeł tak strasznie dłógo i był sóm sztympel – i to przeważnie z poczty lotniczej. I tak wszyscy zaczli medytować i sprawdzać, i przizli na to, co se stało.

Ta pani Mołdrzykowa zaszła na poczte, kaj był takim poszmistrym rodowity Czech, tam kajsi spoza Pragi, kiery se tu przikludził niedowno i kiery w zómb nie umioł po polsku.

Tóż taki poszmister, jak go aj nazywali. Óna, jak żech prawił, chciała, aby tyn list szeł jak niejrychli i prawiła mu, aby ji go posłoł jako polecóny. Ón, borok, ji nie rozumioł, choć to był moc szykowny i słószny człowiek, i wyłożył se to, że to chce posłać pocztóm lotniczóm – polecóny a letecky. No sami rzeknicie – jako w tym je różnica. No ni?

DAĆ SE TUTAJA?

W kólóniji Na szustym był taki jedyn straszny chytrok. Ón to jakby wszystek rozum zeżroł. Wszyndzi był, wszystko wiedzioł, wszystko zażył i wszystkimu rozumioł. A robił se strasznie, że umi po polsku, bo se Polak nazywoł. Robił na Hańdrychszachcie takigo stupaje. To było cosi takigo jak sztajger, kiery ni mo szkoły, ale deli robi w hawiyrni, a zrobił jakisi tam kursy. Tymu że mioł takóm nature, a że se wszyndzi yny chwolił, czynsto se z niego hawiyrze abo kamraci robili srande. Ale ón przez swojóm głupote se moc razy dostoł do wielki szlamastyki. Roz też se tyn Polak stoł człónkym delegacji, kiero jechała do Polski na Dziyń Górnika. Było to jakosi niedłógo po wojnie w pindziesióntych rokach. My sławili dziyń górnika 9.9. a Polocy tradycyjnie 4.12. ... na Barbórke. Tóż tyn Polak na tej kopalni Marcel, s kieróm Armada miała drużbe, mioł strasznego morusa. No, jak bywało – rano była porada, na kierej se pomówiło, co i jak se bydzie robić, potym se szło na obiod, a po połedniu na zabawe. Ale piło se od rana. No a tyn Polak, jako każdy hawiyrz, abych mu nie ubliżył – powiym – ón nie wyływoł. No przizeł z inszymi na te zabawe, uż godnie wiesioły i tam ciónęnył dali, bo była okazja i to nie byle jako. Jak to tam tak wszystko kóntrolowali, kiero gorzołka je dobro, kiero lepszo, a kiero najlepszo, bo na złóm isto nie trefili, wszymnył se Polak hasła, kiere wisiało na jednej budce: „Kto tutaj pije, ten długo żyje!" Zaroz też porwoł swoich kamratów ku tej budzie i prawi obsługujómcymu: – Sztyry tutaje dlo Polaka!... – no i było śmiychu. W pyndziałek był uż niejedyn wóz na Hańdrychszachcie pomalowany i popisany hasłym „Sztyry tutaje dlo Polaka!". A u Żyda w gospodzie se mu dość dłógo pośmiywali. Ale ni zaś moc dłógo, bo jak żech prawił ...ón se chłopisko nie pouczył i za niedłógo zaś był w dalsze szlamastyce.

JAN KUBICZEK

WSPOMNIENIA WAKACJI, WSPOMNIENIA FESTYNÓW PRZERÓŻNYCH I WIECZORNYCH OGNISK...
pozostają na długo, często wraz ze smakiem wspaniałej potrawy przyrządzonej na świeżym powietrzu...

Ten baran przygotowany przez pana Władysława Skałkę z Nawsia był świetny...!

fot. FRANCISZEK BAŁON

KRZYŻÓWKA

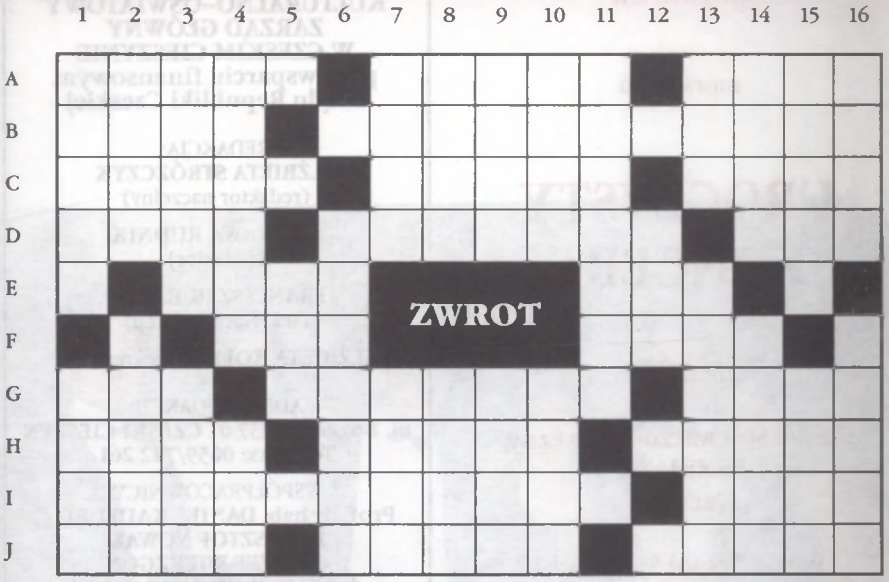

POZIOMO: A. Dawniej szlachcic na Litwie i Białorusi; 1/3 trylogii H. Sienkiewicza; dwusylabowa stopa wierszowa. **B.** Koczownik; lud malajski zamieszkujący część Celebesu. **C.** Owoc tropikalny; niemiecki reformator religijny; zabawka dziecinna. **D.** Książę nowogrodzki i kijowski; fundusz; roślina lub tkanina. **E.** 60 sztuk; wzywanie pomocy. **F.** Łącznik metalowy; mała oś. **G.** Drobna moneta srebrna; układ koloidowy; olejek różany. **H.** Wąski bęben z tarczami; robotnik portowy; ziemia orna. **I.** Dział elektrotechniki; siostra Baala. **J.** Brutto minus netto; jedna z planetoid; miododajna roślina zbożowa.

PIONOWO: 1. Rzeka w Iranie (uchodzi do M. Kaspijskiego); jest kwaśny. **2.** Kształtem przypomina elipsę; aktor polski (Jerzy). **3.** Tytuł opery W. Żeleńskiego; dawna nazwa rosyjskiego miasta Kalinin. **4.** Pisarz francuski (Louis, 1897–1982); wiecznie zielone drzewo. **5.** Obchodzi imieniny 19 stycznia. **6.** Stanowisko profesora na wyższej uczelni. **7.** Miasto w południowej części Czadu; polityk amerykański (Elihu, 1845–1937). **8.** Haracz; oszklone ramy w ścianach budynku. **9.** Francuski reżyser i aktor filmowy (Jacques); szczyt w Górach Macdonnella w Australii. **10.** Pospolity chwast polny; ciężka praca, harówka. **11.** Chroni przed słońcem i deszczem. **12.** Ma potężne, łopatowate poroże. **13.** Kilkuwiosłowa łódź okrętowa; ryba akwariowa (tzw. żaglowiec). **14.** Poręka na wekslu lub czeku; stolica z Akropolem. **15.** Staropolskie imię męskie; starożytne liczydło. **16.** Nowo przyjęty student lub w przenośni głupiec; jest w oknie więziennym.

Wyrazy trudne: ANAT, BABOL, MILEJ, ROOT, ZEIL. (taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki – przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego – dadzą litery w następujących kratkach:
I–14, J–2, A–3, C–7, G–6, A–11, E–13, G–9, C–10, G–14, E–4, H–1, A–8, C–3, J–16, E–11, B–14, H–7, A–13, D–9, A–15, D–4, I–8, A–10, E–15, C–8, B–2, J–14, H–10, D–1, F–12, D–16, F–5, I–1.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca miesiąca września.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru lipcowego:
Hasło: **Gdyby ciotka miała fusy, to by była ujcym**
Miasto ciekawych zabytków
Nagrody książkowe wylosowali: **Oton Wania** – Dąbrowa
Lidia Kozera – Mosty k. Jabłonkowa
Renata Gałuszka – Sucha Górna

Dom Kultury TRISIA
Polski Zespół Śpiewaczy
HUTNIK DK

zaprasza na

UROCZYSTY KONCERT

Udział biorą:

Zespół Śpiewaczo-Muzyczny PRZYJAŹŃ Karwina

Polski Zespół Śpiewaczy HUTNIK

Třinecký komorní orchestr DK Trzyniec

dyrygują:
Józef Wierzgoń
Cezary Drzewiecki
Alena Kostková

soliści:
Władysław Czepiec tenor
Beata Drzewiecka fortepian

Sobota 17 października 1998
o godz. 19.00
Sala Teatralna DK TRISIA

Przedsprzedaż biletów:
DK TRISIA

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK (redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK (redaktor)

FRANCISZEK BAŁON (sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/712 261

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

NASZE ZESPOŁY

MUSICAE AMANTES

Sekstet wokalny Musicae Amantes jest najmłodszym wśród działających na Zaolziu małych zespołów wokalnych. Powstał w styczniu 1997 roku, a jego pierwszy minikoncert odbył się pięć miesięcy później w Gródku. Od tego czasu zespół występował na różnych imprezach kulturalnych, między innymi uświetnił uroczystości 50-lecia MK PZKO w Nydku, śpiewał podczas nabożeństw w kościele w Nawsiu. Repertuar tego ambitnego i dobrze zapowiadającego się zespołu kameralnego obejmuje utwory wokalne renesansu, sakralne i świeckie, opracowania pieśni murzyńskich (negrospirituals) i ludowych oraz utwory muzyki rozrywkowej. Obecnie zespół poszerza repertuar o utwory muzyki XX wieku i kolędy. Członkami zespołu są młodzi ludzie w wieku 16–20 lat, połowę z nich stanowią studenci wyższych uczelni. Założycielem i kierownikiem artystycznym zespołu jest Bogdan Szmek.

interOptic
oferuje usługi w zakładach:
Czeski Cieszyn, ul. Čapkova 7, tel.: 0659-731 223
Trzyniec-Podlesie – Poliklinika, tel.: 0603-216 545
Jabłonków, Rynek Mariacki 19, tel.: 0659-357 076
Oferujemy wyrób okularów w szerokim asortymencie opraw produkcji krajowej i z importu, okulary słoneczne oraz bogaty wybór akcesoriów.
DLA EMERYTÓW I RENCISTÓW DAJEMY ZNIŻKI 10 %

Zwrot
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ
10/98

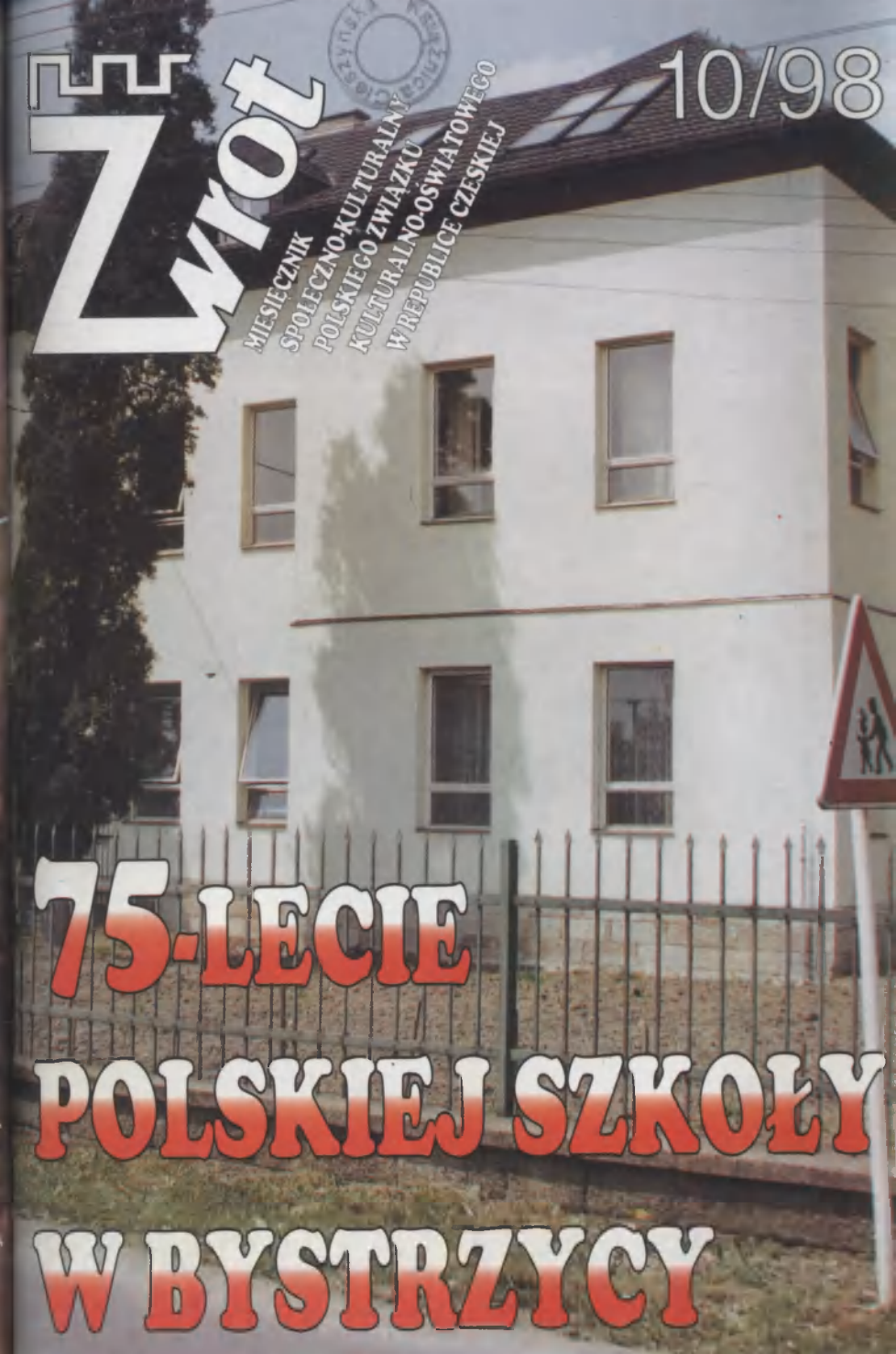

75-LECIE POLSKIEJ SZKOŁY W BYSTRZYCY

TACY BYLIŚMY

7 października 1923 roku w Bystrzycy położono kamień węgielny pod polską szkołę wydziałową. Pierwszym jej dyrektorem był Rudolf Budnik (1923–1938).
Na zdjęciu wykonanym przed budynkiem szkoły uwiecznieni zostali jej pierwsi absolwenci z rocznika 1924/25 w dziesiątą rocznicę opuszczenia szkolnych murów.
Zdjęcie jest własnością ks. Jerzego Walacha z Hawierzowa-Suchej.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 587 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

10/98

W NUMERZE

[2] Rok 1918 i 1939 KRZYSTOF NOWAK
[9] Śląska jesień 1918 roku we wspomnieniach ks. Andrzeja Buzka
[11] Z żołnierskich tradycji Śląska Cieszyńskiego [2] EDWARD BUŁAWA
[16] Moje dorastanie do dojrzałości [10] BOLESŁAW ORSZULIK
[20] Spotkanie z Janem Pawłen II CZESŁAWA RUDNIK
[26] Co nowego w Olbrachcicach i Rychwałdzie TADEUSZ TOMAN
[29] Skrzeczonianie na Zlocie Rodzinnym DANUTA GUZIUR, ELŻBIETA STRÓŻCZYK
[36] Zbigniewa Kubeczki myśli o sztuce
[40] Poezja Andrzeja Jawienia
[42] Kazimierz Bobelak: Jedenaście dni na Zaolziu
[46] Renata Putzlacher – Moje fascynacje
[50] Aforyzmy Lecha Przeczka
[52] Samooszukiwanie HALSZKA LUBELSKA
[55] Wędrynia teatralna CZESŁAWA RUDNIK
[60] Polska Szkoła Ludowa w Szrzeczoniu WINCENTY SZELIGA
[62] Dziewięćdziesięciolecie chóru Lutnia MARIA SZTWIERTNIA
[64] Na półkach księgarskich
[71] Trybuna czytelników
[72] Kronika
[77] Październikowy gość Kawiarenki pod Pegazem
[79] Krzyżówka

Numer zamknięto 25. 09. 1998

ROK 1918 I ROK 1938

Przed 80 laty runęły potęgi Habsburgów, Hohenzollernów i Romanowów. Dla mieszkańców okolic Warszawy, Kielc czy Krakowa, Pragi, Pilzna czy Brna sprawa okazała się prosta – niezależnie od tego, kim byli i co myśleli, w nowej tworzącej się polskiej czy czechosłowackiej rzeczywistości znaleźli się niemal automatycznie. Inaczej było na kresach, gdzie zachodziły na siebie interesy dwu czy nawet więcej państw i narodowości. Odchodzące do lamusa historii Austro-Węgry pozostawiły po sobie wiele takich ognisk zadawnionych napięć i konfliktów. Pogranicze cieszyńskie było jednym z nich.

Można powiedzieć, że na przełomie października i listopada 1918 roku na ziemiach zamieszkiwanych przez Polaków Polska po prostu „wybuchła". Po wielu latach narodowej niewoli dosłownie z dnia na dzień powstawać zaczęło państwo, które wbrew woli obu wielkich sąsiadów szybko zapewniło sobie trwałe miejsce na scenie politycznej nowoczesnej Europy. Taki wybuch nastąpił i nad Olzą, gdzie utworzona 19 października Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego w tydzień później ogłosiła przynależność Śląska Cieszyńskiego do wolnej i zjednoczonej Ojczyzny. Podobną proklamację, tyle że na rzecz państwa czechosłowackiego, wydał jej czeski dubler Zemský národní výbor pro Slezsko, uznający się za reprezentanta lokalnej czeskiej społeczności. W ten sposób wcześniejsze dyskusje, deklaracje czy obawy pozaregionalnych polityków, próbujących bezskutecznie osiągnąć kompromis, nabrały kształtu realnego konfliktu, który z lokalnych waśni stał się szybko konfliktem o międzynarodowym znaczeniu. Większość z tych polityków w październiku 1918 roku niewiele jednak miała do powiedzenia. Wydarzenia nad Olzą potoczyły się własnym, niezależnym torem.

Przebieg rozwoju polskiego ruchu narodowego na Śląsku Cieszyńskim i jego stan faktyczny w chwili upadku Austrii wskazywał jednoznacznie, że miejscowe polskie środowisko było niejako gotowe na niepodległość Polski. Swego rodzaju paradoksem był jednak fakt, iż w momencie utworzenia Rady tą Polską był właściwie tylko Śląsk Cieszyński. Chociaż samo powstanie Rady Narodowej było efektem podjętej 10 października w Krakowie uchwały o tworzeniu lokalnych komitetów polskich, to jednak ani w Galicji ani na innych ziemiach polskich żadne reprezentacje interesów Polaków jeszcze nie istniały, nie licząc zależnej od władz okupacyjnych warszawskiej Rady Regencyjnej. Mimo tego nie mogą dziwić wysyłane przez Radę Narodową do Rady

◄ *Generał Bortnowski podczas defilady wojsk na rynku frysztackim*

Regencyjnej depesze o jej utworzeniu. Członkowie Rady gorączkowo szukali bowiem jakiegokolwiek kontaktu z reprezentacją, która stanowić mogła namiastkę władz polskich. Ten pierwszy etap kwestii cieszyńskiej z lat 1918–20 wygrali Polacy. Wygrali, bo nie mieli z kim przegrać. Przekonani, że Austria będzie istnieć wiecznie, Niemcy byli zdezorientowani, nieliczni Czesi w Cieszynie i okolicach nie mieli się na kim oprzeć. Powiat frydecki zaś polski ruch narodowy już dawno spisał na straty. Dopiero w ostatnich trzech dniach października Polakom naprawdę zaczęło się spieszyć. Nie chodziło tutaj o fakt, iż 28 października na ulicach Pragi proklamowano niepodległość Czechosłowacji, bo rzecz na razie nie miała większego znaczenia dla odległej prowincji. Radę absorbowały inne sprawy. Już 29 października powstał Zemský národní výbor pro Slezsko, w kilku karwińskich kopalniach pojawiły się trojkolorowe flagi, a we Frysztacie starosta Drlik nie chciał podporządkować się wysłannikom Rady. Od tej pory wiedziano, że Czesi nie ustąpią. 30 października proklamowano więc przynależność Śląska Cieszyńskiego do Polski, następnie podporządkowano sobie polskich wójtów gmin cieszyńskich, starostę bielskiego, cieszyńskiego i w końcu frysztackiego. 1 listopada w rękach polskich były cieszyńskie koszary. Kiedy dzień później rozpoczęto rokowania z Czechami, w rękach polskich było 2/3 powierzchni Księstwa, na której ludność polska stanowiła ponad 70 %. Umowa z 5 listopada oddawała więc realny układ sił.

Pierwsze tygodnie rządów cieszyńskiej Rady wykazały, że nie była ona, jak starano się to przedstawić w czeskich kręgach, władzą samozwańczą, powodującą chaos i bezprawie. O losach własnej ziemi decydowali jej mieszkańcy. Rada robiła, co mogła, aby uratować i ochronić ludność przed skutkami rozpadu państwa austriackiego. W oczach Pragi nie miało to jednak znaczenia. Masarykowi chodziło o węgiel. Gdyby kolej koszycko–bogumińska leżała przy samym Bielsku, Beneš nie oddałby wschodniego Cieszyna i Skoczowa. W warunkach nowego państwa czechosłowackiego hasło samostanowienia narodów było największym zagrożeniem. W takiej sytuacji dla Pragi istniał więc nad Olzą tylko chaos i zagrożenie bolszewickie, a Rada była tym samym, co lokalne niemieckie komitety marzące o swoim Sudetenlandzie. W przeciwnym razie z Hradczan rządzono by krajem bez Śląska, Sudetów, a może i bez Słowacji. Polakom należało się więc bicie, jak pisał do Beneša Masaryk. Lata 1919–20 pokazały Polsce, że myślenie tylko o własnym interesie, trwałe ustalenie priorytetów, zimna kalkulacja i bezwzględność lepiej skutkowały w stosunkach polsko–czechosłowackich niż przewlekłe dyskusje. Ziemia, która pierwsza zgłosiła akces do odradzającej się Ojczyzny, pozostała poza jej granicami. Bielsko, Skoczów i część

Cieszyna to nie była nagroda za kilkadziesiąt lat aktywności narodowej jabłonkowskich górali i karwińskich górników, ale druzgocąca porażka.

Kwestia cieszyńska dla Polaków nie była załatwiona. Niechęć do południowego sąsiada była tak silna, że na przełomie 1920/21 r. wojna z Czechami o Śląsk Cieszyński byłaby w Polsce bardzo popularna. Prawdopodobnym jest, że gdyby nie styczeń 1919 i jego późniejsze konsekwencje, stosunki Polski z Czechosłowacją nie ułożyłyby się tak dramatycznie jak w następnych latach.

20 lat później, jesienią 1938 r. dla Polski przyszedł czas na stanowczość i chłodną kalkulację. Emocje i urazy były kwestią wtórną, dobrą dla prasy i propagandy. Tym razem nie chodziło już o tygodnie i dni, ale dosłownie o godziny, podczas których ulegała zmianie mapa polityczna Europy. Śląsk Zaolziański stał się częścią państwa polskiego, co dla wielu jego mieszkańców oznaczało spełnienie postulatów z 1918 roku. Chociaż odbyło się to w odmiennej sytuacji politycznej, pewne okoliczności przypominały jednak niepewność, lęki i obawy związane z rozpadem Austro-Węgier.

Polityka zagraniczna Polski w 1938 roku była wielką batalią o jej zewnętrzne bezpieczeństwo, a nie tylko dążeniem do odzyskania Zaolzia, jak to się niekiedy mylnie interpretuje. Obserwacja sceny politycznej Europy w latach 30-tych przekonała dyplomację polską o słabnięciu dawnej pozycji Francji, czego zdawał się nie dostrzegać Beneš. We wrześniu 1938 roku minister Józef Beck przekonał się, że celem Anglii i Francji nie jest obrona integralności Czechosłowacji, ale uniknięcie wojny za wszelką cenę, oczywiście z wyłączeniem kosztów, które oba te kraje mogły same ponieść. Nie mogło więc być mowy o sojuszu z Anglią i Francją przeciwko Niemcom. Jedyna rzecz, na której zależało krajom zachodnim, to neutralność Polski na czas ich rokowań z Hitlerem czy raczej na czas namawiania Beneša do oddania Sudetów. Jaką jednak Polska, w której mało kto wierzył w deklaracje polsko-niemieckiego paktu o nieagresji z 1934 roku, miała gwarancję, że po cesji Sudetów uległe wobec Hitlera mocarstwa zachodnie nie będą namawiały jej do zgody na wcielenie Gdańska do Rzeszy czy nawet na oddanie Pomorza?

Z kolei ewentualny sojusz Polski z samą CSR dla dyplomacji polskiej nie wchodził już wtedy w rachubę. Polska nie miała gwarancji dla swego bezpieczeństwa ze strony państw zachodnich w przypadku swego jednostronnego zaangażowania się po stronie CSR. Nie chciała więc sama nadstawiać karku za innych, w tym i za Czechów, którzy bez Francji i tak nie chcieli się bić. Tymczasem, niezależnie od tego, w 1938 roku Beneš liczył nie tyle na sojusz z Polską, ile na przewrót polityczny w Warszawie, zapominając, że nawet najbardziej proczeski rząd polski, nie kwa-

piłby się do szybkiego nawiązania współpracy z Pragą bez wcześniejszego załatwienia problemu Zaolzia, choć niekoniecznie poprzez rewizję granic. Ale i tak oddanie Zaolzia przez Pragę jako ceny za polską pomoc mogło znów stworzyć niebezpieczny precedens. Beck przekonany, że Czesi sami nie będą się bić, rozpoczął więc grę taktyczną. W myśl zasady „nic o nas bez nas" sformułował elastyczną formułę o konieczności nadania zaolziańskim Polakom takich praw jak innym mniejszościom, co zapewniło mu trwały udział w wielkiej politycznej grze, chociaż położenie CSR przypominało atmosferę wokół Polski w okresie przedrozbiorowym w XVIII wieku. O polskie poparcie zaczęła zabiegać Anglia i Francja, od których Beck mógł zażądać włączenia Polski do grona mocarstw decydujących o losach Europy. Od Niemiec można było zażądać przedłużenia paktu o nieagresji i potwierdzenia statusu Wolnego Miasta Gdańska. Gdyby jednak Anglia i Francja wycofały się politycznie z Europy środkowo-wschodniej, zezwalając na rozbiór CSR, Beck planował szybkie utworzenie „Trzeciej Europy", z Polską i Węgrami w roli głównej oraz Słowacją jako rodzajem buforu. Polska zaczęła prowadzić politykę równoległą do niemieckiej, pilnie obserwując przy tym reakcje Paryża i Londynu. Nie było natomiast mowy o współpracy z Berlinem, choć Niemcy zapewne chcieliby, aby Polska pierwsza wysunęła pod adresem Pragi swoje postulaty graniczne. Jednak sam Beck nigdy nie miał zamiaru tego robić. Polska była gotowa jednak w przypadku zmiany stanowiska Anglii i Francji na rzecz poparcia oporu zbrojnego Czechów w ciągu 24 godzin zmienić swoją politykę, by nie znaleźć się nawet pośrednio w charakterze sojusznika Niemiec.

Należy pamiętać, że do połowy września 1938 roku nie było polskiego planu działań i koncentracji wojsk na cieszyńskim pograniczu. Żadnych wojsk wtedy zresztą w Cieszynie nie było, bo nawet miejscowy 4 pułk strzelców podhalańskich wraz z całą 21 dywizją z Bielska przebywał na wołyńskich manewrach. Dopiero rozwój sytuacji spowodował, że zaczęto bać się wybuchu wojny. Nie myślano jeszcze o wkraczaniu na Zaolzie. Naprędce zaimprowizowany sztab Samodzielnej Grupy Operacyjnej Śląsk generała Bortnowskiego zainstalował się w Skoczowie 24 września. Parę godzin wcześniej na Zaolziu doszło do aktów dywersji. Wszystko miało mieć charakter demonstracji siły, skierowanej także pod adresem Niemców. Większość oddziałów wojska była pozbawiona swoich pełnych stanów. Dopiero 26 września powstały, słabo dopracowane, plany działań.

Ostatecznie Anglicy i Francuzi nie zdecydowali się bronić Czechosłowacji, a prezydent Beneš skapitulował. Rok później Polska jako pierwszy kraj w Europie powiedziała „Nie" Hitlerowi. Dwa lata później w Londynie Beneš namawiał Sikorskiego do

tego samego, do czego namawiali go Francuzi i Anglicy w 1938 roku – do oddania części terytorium państwowego. Polacy odmówili, tym razem nie wyrzekając się kresów wschodnich na rzecz ZSRR. Jeśli będziemy winić Polskę za przyłożenie ręki do rozbioru CSR, to z zaznaczeniem, iż wina leży przede wszystkim, nie licząc III Rzeszy, po stronie wielkich mocarstw zachodnich, które dały Hitlerowi wolną rękę na wschodzie. Polskie ultimatum wobec Pragi było nerwową reakcją Becka na niezaproszenie Polski do stołu obrad. Przypuszczenia zaczęły się sprawdzać, następna konferencja monachijska mogła dotyczyć Polski. Ustalono datę polskiego natarcia na Zaolzie – na 4 października, a więc uzgodniono ją jeszcze przed odpowiedzią Pragi na ultimatum. Po 1 października zakładano więc 3-dniową zwłokę. W tym momencie miejsce antyczeskiej propagandowej histerii zastąpiło napięcie, realizm i obawy o nadchodzące godziny. W Polsce mało kto wierzył w możliwość wojny z Czechami i mało kto jej naprawdę chciał. Jak zauważa wybitny historyk wojskowości M. Zgórniak, grupa Śląsk mogła także natychmiast, a więc w ciągu owych 24 godzin osłonić prawe skrzydło 2 armii czechosłowackiej przed Niemcami, gdyby Czesi, mający poparcie Zachodu, podjęli jednak walkę.

Po kilku dniach ostrej dyplomacji ostateczne przyłączenie Zaolzia do Polski miało charakter pokojowy, po uprzedniej zgodzie władz praskich. Nie była to więc agresja zbrojna ani też aneksja. Generalnie jednak w 1938 roku Beckowi nie udało się odsunąć od Polski niebezpieczeństwa niemieckiego. Zachód nie zareagował na wkroczenie Niemców do Pragi w marcu 1939 roku, a Słowacy ks. Tiso oddali się pod ich protekcję. Zyskiem z jesieni 1938 roku było więc tylko Zaolzie.

Przeciętny Polak, także na Zaolziu, nie wnikał w drogi i bezdroża planów strategicznych polskiej polityki zagranicznej. Ludzie cieszyli się, że Polska w ciągu paru dni i godzin odzyskała ziemię, którą utracono w 1920 roku i którą ochroniono przed pożarem, jaki stopniowo ogarniał Europę. Sukces zaolziański skonsolidował społeczeństwo, co zaowocowało rok później. Powszechne było przekonanie, że polska dyplomacja wybrała właściwą drogę, realizując obietnicę Piłsudskiego o niewyrzekaniu się braci za Olzą. Nic innego się wtedy nie liczyło. Ukształtowane od dziesięcioleci na Zaolziu postawy ideowe połączone z krótkowzroczną polityką czeskich władz lokalnych, liczących na szybką asymilację polskiej mniejszości w CSR, złożyły się na fakt, iż polskie wojsko witane było entuzjastycznie. Świadomość narodowa okazała się być, jak przepowiedział w lipcu 1920 roku Paderewski, silniejszą i trwalszą niż rządy.

KRZYSZTOF NOWAK

ŚLĄSKA JESIEŃ 1918 ROKU WE WSPOMNIENIACH KS. ANDRZEJA BUZKA

W 1963 roku w wydawnictwie Zwiastun w Warszawie ukazała się książka „Z ZIEMI PIASTOWSKIEJ", napisana przez księdza Andrzeja Buzka, brata Karola, dziadka obecnego premiera RP. (O rodzie Buzków pisaliśmy w majowym Zwrocie.) Książka ta jest u nas na Zaolziu mało znana. Publikujemy kilka fragmentów rozdziału „Zakończenie pierwszej wojny światowej", będących osobistym zapisem wydarzeń jesieni 1918 roku.

Z ZIEMI PIASTOWSKIEJ

WSPOMNIENIA

(fragmenty)

Wobec stanowczej przewagi, uzyskanej przez aliantów zachodnich w lecie 1918 r. nad wojskami niemieckimi we Francji, uświadomiły sobie mocarstwa centralne i ich sprzymierzeńcy, że wojna jest dla nich przegrana i należy ją nawet za cenę strat jak najprędzej skończyć, by uchronić się przed całkowitą klęską. Krwawy, przeszło czteroletni dramat dobiega więc końca. Wypadki toczą się szybko jedne po drugich, zarówno w skali światowej, jak krajowej i regionalnej. (...)

Dziewiętnastego października polskie stronnictwa Śląska Cieszyńskiego: Polska Partia Socjalistyczna, Związek Śląskich Katolików i Polskie Zjednoczenie Narodowe (złączone dawne Stronnictwo Narodowe i dawne Stronnictwo Ludowe) stworzyły Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, by w tych niezwykłych czasach strzegła interesów narodowych naszej ludności. Prezydium stanowili trzej posłowie parlamentarni reprezentujący trzy powyższe stronnictwa złączone w Radzie Narodowej: Reger, Londzin, Michejda. Sekretarzem był Paweł Bobek.

Dwudziestego siódmego października stronnictwa polskie zwołują olbrzymi wiec w Cieszynie. Nieprzejrzane tłumy ludu manifestują wolę złączenia odwiecznej Ziemi Piastowskiej z nowo powstającą Polską. Polscy posłowie parlamentarni już przedtem oświadczyli w Wiedniu, że Polacy Galicji i Śląska uważają się już za obywateli nowej Polski, ale chcą pokojowej rozłąki z Austrią i dlatego na razie pełnią nadal obowiązki obywateli austriackich. Analogiczne oświadczenie składają w Wiedniu parlamentarzyści czescy. (...)

Dwudziestego ósmego października ogłoszono w Pradze Republikę

Czesko-Słowacką. Z natury rzeczy odpadły w jednej chwili Galicja i Śląsk Cieszyński, od dawna wyciągające dłoń w stronę nowej Polski. (...)

A co dzieje się w Cieszynie? Tu w środę 30 października ogłasza Rada Narodowa objęcie władzy nad Śląskiem Cieszyńskim jako nad częścią nowo powstającej Polski. Starosta Bobowski w Cieszynie oddaje władzę w ręce Rady Narodowej i ustępuje ze stanowiska. To samo czyni starosta Podczaski w Bielsku, pozostaje jednak za zgodą Rady Narodowej nadal na stanowisku. We Frysztacie już dzień wcześniej, 29 października, przejęli władzę tamtejsi członkowie Rady Narodowej dr Ryszard Kunicki i dr Leon Wolf.

W owych dniach leżałem we Frydku poważnie chory. Dlatego nie śledziłem objawów proklamacji Republiki Czechosłowackiej na terenie frydeckim. W środę 30 października otrzymuję od ks. Franciszka Michejdy pocztą wiadomość: W czwartek 31 października pastorowie Polacy zjeżdżają się w Cieszynie, by w siedzibie Rady Narodowej złożyć uroczyste oświadczenie, że uznają Radę za prawowitą władzę państwową nad naszym krajem. Tak czynią wójtowie gmin i inni przedstawiciele społeczeństwa, tak chcemy zrobić i my. Mam więc i ja zjawić się o właściwej porze na miejscu. Mimo gorączki wstałem w czwartek w południe z łóżka i pojechałem pierwszym popołudniowym pociągiem do Cieszyna. Tutaj, jak zawsze, wstąpiłem z dworca do pobliskiego domu teściów. Czując się już podczas podróży słaby, zasłabłem tam zupełnie i zamiast pójść manifestować uznanie zwierzchnictwa Rady Narodowej nad krajem musiałem położyć się do łóżka. O powrocie do Frydku tego samego dnia nie było mowy. W nocy słyszę we śnie ruch na ulicy – turkot aut ciężarowych, nawet jakiś strzał. Rano, czując się raźniej, idę po śniadaniu do pociągu w stronę Frydku i spotykam sędziwego patriotę polskiego Andrzeja Macurę, który od r. 1875 jako sekretarz zboru cieszyńskiego mieszkał w Cieszynie i brał gorliwy udział w miejscowym życiu polskim. Teraz był przewodniczącym klubu polskiego, którym Rada Narodowa uzupełniła drogą nominacji cieszyńską radę miejską, złożoną dotąd z wyjątkiem jednego Polaka z samych Niemców. Nowi polscy radcy miejscy mieli w tych dniach przełomowych czuwać nad prawidłowym tokiem życia w mieście. Stary wiarus przybył więc na lustrację dworca i opowiada mi dzieje ostatniej nocy. Z głównej komendy wojskowej z Krakowa, której podlegał garnizon cieszyński, przyszedł rozkaz, by najstarszy oficer – Polak – objął komendę nad garnizonem i poddał się rozkazom Rady Narodowej. Oficerem tym był porucznik rezerwy Klemens Matusiak, przed wojną nauczyciel w Trzanowicach. Wespół z innymi porucznikami Polakami, jak nauczyciele: Skrzypek, Szczurek, Kantor i inni, pozwolili oni żoł-

nierzom niemieckiej narodowości wyjechać do domów, z czego ci skwapliwie skorzystali. Następnie na czele żołnierzy narodowości polskiej i czeskiej zmusili pułkownika Kerstena i jego sztab do rezygnacji z dowództwa. Rada Narodowa na podstawie układu wypłaciła oficerom niemieckiej narodowości jako odprawę trzymiesięczne pobory, po czym rozjechali się oni do domów. Zaraz potem w nocy obsadzili żołnierze Polacy z udziałem kolegów Czechów wszystkie urzędy i gmachy publiczne w Cieszynie. Patrzę więc teraz rano na dworcu na straż wojskową i widzę na czapkach żołnierskich w miejscu zrzuconych już „bączków" austriackich biało-czerwone kokardki polskie. Myślę: Przyjechałem do Cieszyna składać hołd Radzie Narodowej. Choroba przeszkodziła mi w tym. Za to spotkało mnie co innego. Położyłem się wczoraj spać w Austrii, a obudziłem się dziś w Polsce, bo oto widzę już w Cieszynie polskich żołnierzy.

Całe przejęcie władzy z rąk austriackich w ręce polskie odbyło się na Śląsku Cieszyńskim bez rozlewu krwi.

Powróciwszy do Frydku, słyszę, że tam działo się podobnie jak w Cieszynie. Zjawił się oddział żołnierzy czeskich. Národní výbor zażądał od naczelników dotychczasowych władz uznania Republiki Czechosłowackiej. Uczynili to bez protestu. Jedynie burmistrz Pawlik protestował. Ale słowny protest jego pozostał bez skutku, a do czynnego starcia nie doszło. W Cieszynie, jak już powiedziano, żołnierze czescy współdziałali z żołnierzami polskimi w obaleniu austriackiej komendy garnizonu. Sformowano potem z nich osobną kompanię; na jej czele stanął oficer narodowości czeskiej. Kilka dni później odmaszerowali oni do swojej ojczyzny – oficer na jednym z koni „oficerskich" garnizonu, jakiego w upominku przekazali mu koledzy polscy przy uroczystym pożegnaniu.

Wydawało się, że braterstwo Polaków i Czechów, którzy na Śląsku austriackim bronili się wspólnie przed naporem niemieckim, pozostanie nie naruszone. Ale wśród Czechów podniosły się głosy przeciw władzy polskiej na Śląsku Cieszyńskim, mimo że rozciągała się ona tylko na powiaty etnograficznie polskie: cieszyński, bielski, frysztacki. W imię przedawnionych praw, jakie niegdyś królowie czescy uzyskali do Śląska od Kazimierza Wielkiego, żądali oni całego Śląska Cieszyńskiego dla siebie. Przez kilka dni panowało napięcie z tego powodu. Na razie jednak zwyciężył zdrowy rozsądek. Piątego listopada 1918 r. ostrawski Národní výbor i cieszyńska Rada Narodowa podpisały ugodę, na podstawie której Rada Narodowa zatrzymała władzę nad powiatem cieszyńskim i bielskim oraz nad frysztackim; wszakże z wyłączeniem sześciu gmin, w których władza gminna znajdowała się już za panowania austriackiego w rękach patriotów czeskich. Ostrawski

Národní výbor objął władzę nad całym powiatem frydeckim i nad sześciu gminami powiatu frysztackiego, wyłączonymi spod władzy Rady Narodowej. Dobrze i pięknie. Ale niestety ta słuszna ugoda została później złamana. Na razie jednak zapanowała radość z powodu tak braterskiego załatwienia sprawy. (...)

Spełniły się sny ojców o wolnej, niepodległej Ojczyźnie. Jej wizja, jaśniejąca w myślach naszych od dzieciństwa, stała się rzeczywistością. Przy nabożeństwach dziękczynnych za tę łaskę Bożą nucono radośnie w kościołach naszych na terenie władzy polskiej „Boże, coś Polskę". Ja odprawiłem we Frydku nabożeństwo za pomyślność Republiki Czechosłowackiej. Nie znając języka czeskiego, poprosiłem o wygłoszenie kazania na tym nabożeństwie ze względu na obecność przedstawicieli władz czeskich ks. Krzysztoufka ze Starych Hamer, sam zaś w przemówieniu polskim zaznaczyłem, że jak niegdyś w Polsce żył Komensky ze swym zborem czeskim, tak my ewangelicy polscy pragniemy żyć wśród bratniego narodu w Czechosłowacji.

KS. ANDRZEJ BUZEK

Z ŻOŁNIERSKICH TRADYCJI ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO (2)

W odmętach pierwszej wojny światowej

ŻOŁNIERZE W PUŁKACH AUSTRIACKICH, A SPRAWA POLSKA

Służącym w austriackich pułkach żołnierzom z kraju nad Olzą sprawa polska nie była obojętna. W latach 1914/15 wojna rzuciła ich na zamieszkałe przez Polaków obszary Galicji i Królestwa. Byli świadkami wojennej niedoli polskiej ludności cywilnej, współczuli jej. Dużo wiedzieli o legionach, których pierwsza brygada walczyła w 1914, niedaleko od pozycji 31 pułku. Ubrani w austriackie mundury Polacy interesowali się najczęściej ruchem niepodległościowym już przed wybuchem wojny, spotykali się z jego problematyką w szkołach, w pracy wychowawczej polskich towarzystw, wielu uczestniczyło w ćwiczeniach wojskowych inspirowanych przez Sokół czy Siłę i tylko włączenie do armii austriackiej uniemożliwiło im akces do Legionu Śląskiego. Głębokie zainteresowanie sprawami polskimi wynikało wreszcie z wychowania w środowiskach rodzinnych i szkolnych. Dotyczy to zwłaszcza absolwentów polskich szkół średnich.

Absolwent seminarium nauczycielskiego por. Ludwik Skrzypek notował w 1914 w okopach nad Nidą: – *Dziś jest 3 Maja, dzień konstytucji*

z 1791 r. Poczem ze zdziwieniem stwierdzał... miejscowa ludność nie wie, czym była kiedyś Polska. –O jego stylu myślenia, ukształtowanym przez narodową literaturę oraz atmosferę domu rodzinnego, świadczy zapis z 26 czerwca, kiedy to zamiast wojskowego regulaminowego określenia, że ze swoją kompanią ruszył do ataku na folwark położony na wzgórzu, użył zwrotu Mickiewicza: – *Hajże na Soplicę.* – Kiedy w lipcu 1915 roku przebywał w wojskowym szpitalu urządzonym w zabudowaniach Politechniki Lwowskiej, starł się ostro z Madziarami i Niemcami z racji ich negatywnego stosunku do niepodległości Polski. Trzej bracia Ludwika Skrzypka, również absolwenci polskiego seminarium nauczycielskiego w Cieszynie, włączeni jako jednoroczni ochotnicy (podchorążowie) do armii austriackiej, reprezentowali identyczne postawy i przekonania, jak setki młodych inteligentów polskich wywodzących się z beskidzkich i podbeskidzkich wsi oraz osiedli robotniczych w nadolziańskim okręgu przemysłowym.

Nadzieje na kres wojny i wolność narodową zaczęły przybierać bardziej konkretne kształty na przełomie lat 1916/17. Pierwszym mocnym impulsem był akt cesarzy Franciszka Józefa I i Wilhelma II z 5 listopada 1916 r., zapowiadający powstanie państwa polskiego. Manifest ten, choć obliczony przede wszystkim na pozyskanie polskiego „mięsa armatniego", dla wojennych celów Niemiec, był wydarzeniem znaczącym dlatego, gdyż postawił na porządku dziennym sprawę utworzenia państwa polskiego i pociągnął za sobą powstanie jego pierwszych instytucji w Królestwie. Wywołał też falę sporów m.in. na temat politycznego kształtu i międzynarodowych uwikłań przyszłego państwa polskiego. W 1916 roku zakładano, że obejmie ono ziemie Królestwa Polskiego i Galicji, z Habsburgiem jako królem polskim. Ponieważ Śląsk Cieszyński leżał poza obrębem zapowiadanego państwa, stąd już 13 listopada śląscy posłowie do Rady Państwa – ks. Józef Londzin, dr Jan Michejda oraz Tadeusz Reger – zwrócili się do Koła Polskiego, grupującego w Wiedniu wszystkich parlamentarzystów polskich, z prośbą o obronę narodowych racji na Śląsku Cieszyńskim. W toczących się wokół tej kwestii debatach wysunięto koncepcję podziału Śląska Austriackiego na część polską – cieszyńską oraz opawską – niemiecką.

Takie projekty wywołały gwałtowną reakcję lokalnych środowisk niemieckich, które opowiedziały się stanowczo za jednością zdominowanego przez siebie Śląska i wysunęły postulat przyłączenia do tego kraju koronnego, należących do Galicji, księstw Zatorskiego, Oświęcimskiego, jak i miast oraz powiatów Biała i Żywiec. Polacy zaprotestowali przeciw niemieckim roszczeniom i zainicjowali zbiera-

nie podpisów pod memoriałem do Ministerium Spraw Wewnętrznych, żądając przyłączenia Śląska Cieszyńskiego do związanej z Austrią Polski.

Narastaniu oczekiwań na koniec wojennych cierpień i na polityczne przemiany sprzyjały rewolucyjne wstrząsy w Rosji i związane z nimi deklaracje w sprawie niepodległości Polski i pokoju, jak i orędzie prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona. Reakcją na zrodzone powyższymi deklaracjami nadzieje były liczne wystąpienia i manifestacje również w kraju nad Olzą. Pod koniec stycznia 1918 roku przybrały one formę wielkiej fali strajków skierowanej przeciw zaborczej polityce Niemiec i Austrii.

Problemem co prawda ubocznym, ale budzącym żywy rezonans wśród Polaków w Cieszyńskiem były pierwsze decyzje dotyczące granic przyszłej Polski. Przewidywały one oderwanie etnicznie polskiej Chełmszczyzny od ziem dawnego Królestwa Polskiego i przyłączenie tego regionu do Ukrainy. Plan ten wykazał, czym jest Polska dla mocarstw centralnych, i podważył ostatecznie zaufanie Polaków do tych państw. Również w lokalnym, cieszyńskim wymiarze sympatie Polaków przesunęły się wtedy zdecydowanie na stronę przeciwników Austrii. Klęska wiosennej ofensywy niemieckiej na froncie zachodnim dowiodła ostatecznie, że polityka sojuszu z mocarstwami centralnymi utraciła sens również w wymiarze militarnym.

Austria, choć osłabiona i pozbawiona politycznego prestiżu, istniała jednak nadal. Jak w innych krajach koronnych monarchii, również na Śląsku Cieszyńskim sprawowała władzę jej państwowa biurokracja posiadająca oparcie w policji i żandarmerii oraz w armii, która, mimo zaawansowanego rozkładu, była nadal siłą znaczącą.

POLACY W CIESZYŃSKIM GARNIZONIE

W drugiej połowie 1918 roku na obszarze Śląska Cieszyńskiego stacjonowało łącznie ponad 10.000 żołnierzy. Najliczniejszymi były jednostki kadrowe, przygotowujące rezerwy dla wojsk na froncie włoskim i wschodnich obszarach okupowanych. Znajdowały się wśród nich kadry pułku piechoty i kawalerii w Bielsku, liczące łącznie 3 tysiące, kadry pułku piechoty we Frydku – 2 tysiące, wreszcie kadra pułku piechoty w Cieszynie – 2500 oficerów i żołnierzy. Resztę wojska stanowiły oddziały kadry węglowej rozlokowane w zagłębiu karwińskim i po kopalniach, wreszcie liczne oddziały wartownicze kwaterowały w zakładach przemysłowych i kolejowych. Całość uzupełniały formacje związane z wewnętrznymi służbami wojskowymi oraz,

sprowadzone do walki z manifestacjami, szwadrony węgierskich huzarów, rozlokowane po gminach na obrzeżu Zagłębia. Pod względem narodowościowym garnizony bielski i frydecki były zdominowane przez ukraińskich szeregowców z Galicji Wschodniej, natomiast garnizon cieszyński składał się mniej więcej w równiej części z Niemców oraz Polaków i Czechów. Wyższe stanowiska oficerskie zajmowali prawie wyłącznie Niemcy, związani ze starą monarchią zarówno profesją, jak i pozycją społeczną.

Trzon załogi wojskowej Cieszyna stanowiła kadra 31 pułku piechoty, jej główną siłę stanowił batalion zapasowy, złożony z trzech kompanii piechoty w sile około 300 ludzi każda oraz kompanii karabinów maszynowych w sąsiednim Skoczowie. Uzupełniającymi jednostkami były: ponad 600-osobowa kompania byłych jeńców rosyjskich oraz 400-osobowa kompania ozdrowieńców po malarii. W skład pułku wchodziły jeszcze oddziały sztabowe, techniczne, wartownicze. Z takiego zaplecza ludzkiego oraz poborowych formowano bataliony marszowe, które wysyłano na front włoski. W koszarach stacjonowały też nieliczne oddziały spoza 31 pułku.

Nastroje wśród żołnierzy w połowie 1918 r. były zdecydowanie złe. Oczekiwali oni niecierpliwie na koniec wojny i rychły powrót do domów. Chwiała się wojskowa dyscyplina rozpaczliwie podtrzymywana przez dowódcę garnizonu płk. Johana Gerndta i zawodową kadrę oficerską. Dla żołnierzy kompanii byłych jeńców rosyjskich powszechnie zwanych bolszewikami dyscyplina właściwie już nie istniała. Z zasady nie oddawali honorów oficerom, odmawiali udziału w ćwiczeniach, względnie sprowadzali je do parodii. By wyizolować kompanię z reszty garnizonu, ulokowano ją za miastem, w sąsiadującej z Cieszynem Sibicy. Na załogę garnizonu zasadniczy wpływ nadal wywierała, licząca koło 30 osób, kadra oficerska, złożona z około 210 Niemców, około 30 Polaków i tyluż Czechów. Polacy, podobnie jak Czesi, to oficerowie niższych stopni, a więc podporucznicy i porucznicy, byli dowódcami plutonów oraz sprawowali funkcje w służbach pomocniczych.

Spośród oficerów polskich do postaci znaczących zaliczał się por. Klemens Matusiak - wojskowy cenzor, przebywający przez cały okres wojny w ganizonie. Służba w cenzurze niezbyt go absorbowała, stąd miał czas na kontakty towarzyskie, głównie z kierownikami polskiego życia narodowego, gdyż jako znany i doświadczony działacz narodowy, w tym środowisku czuł się najlepiej. Z tej racji najłatwiej mu było odegrać rolę łącznika między lokalnymi narodowymi politykami, a polskimi oficerami w koszarach.

Kolejną znaczącą postacią był por. Józef Figna, oficer placu, z racji służbowych zawsze bliski osobie komentanta garnizonu płk. Gerndta. Znanym i wpływowym oficerem był por. Franciszek Barteczek. Jako frontowy inwalida został komendatem pułkowej orkiestry. Rzetelny, pracowity powszechnie poważany i wykorzystywany przez oficerów wyższych stopniem do wielu posług, dzięki czemu zdobył pewien wpływ na wydarzenia w garnizonie.

Bezpośrednim dowódcą żołnierzy był natomiast por. Ludwik Skrzypek, kierował pułkową szkołą podoficerską i był zastępcą dowódcy 3 kompanii batalionu zapasowego, w skład której wchodziła szkoła. Dzięki szkole stanowiła ona najsprawniejszy pododdział w koszarach. Porucznik Skrzypek posiadał spośród Polaków największy staż frontowy i największe doświadczenie jako dowódca liniowy. Cieszył się wśród oficerów i podoficerów Polaków zaufaniem i autorytetem zarówno z uwagi na manifestacyjne podkreślanie polskości, jak i humanitarny stosunek do podwładnych.

Kilkudziesięcioosobowa grupa polskich oficerów była świadoma zbliżającego się upadku Austrii i ciążących na Polakach obowiązków. Owe obowiązki zostały określone już dawno, w szkolnych ławach oraz w kontaktach z towarzystwami narodowymi jeszcze przed wybuchem wielkiej wojny.

Publiczną manifestacją takiej właśnie postawy stał się latem 1918 r. pogrzeb Józefa Gabzdyla, kierownika szkoły w podcieszyńskim Pogwizdowie a zarazem porucznika 31 pułku. Ranny w 1915 roku na froncie wschodnim, po długim okresie leczenia i służby w cieszyńskich koszarach uległ chorobie i został zwolniony z wojska.

Franciszek Barteczek, urodzony tak samo jak Gabzdyl w zaolziańskiej Lutyni, często odwiedzał kolegę w jego Pogwizdowie. Rozmawiali o sytuacji ogólnej i zadaniach oficerów. Gabzdyl, choć ciężko chory, zakładał w chwilach lepszego samopoczucia oficerski mundur i myślał o powrocie do cieszyńskich koszar, bo uważał, że jako Polak będzie tam w decydującej chwili potrzebny. Niestety umarł w sierpniu 1918 r. Jego pułk urządził mu pogrzeb. Kompanią honorową, w zastępstwie wyższego rangą oficera, dowodził Franciszek Barteczek. Pożegnał kolegę w języku polskim, co zostało serdecznie przyjęte przez licznie zebranych mieszkańców gminy. Przemówienie, pełne regionalnych i osobistych akcentów, zakończył słowami: – *Śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni Tobie. Niech Ci ziemia śląska lekką będzie.* –

EDWARD BUŁAWA

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (10)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Dziś nie mogę sobie dokładnie przypomnieć wszystkich okoliczności, w których nastąpiło rozdzielenie naszej grupy. Pamiętam tylko, że następnego poranka kazano mnie i koledze Genkowi wsiąść na samochód. W Kreisewitz Genek pracował w dworskiej oborze i był jednym z tych, którym Rosjanie grozili wówczas rozstrzelaniem. Pochodził z Kóz koło Bielska, stąd trzymaliśmy się razem, ponieważ czekała nas (przynajmniej początkowo) wspólna droga powrotu. Na otwartej skrzyni samochodu znajdowała się duża sterta odzieży, na której leżał żołnierz. Samochód rzeczywiście pojechał w pożądanym dla nas kierunku – na wschód. Podczas szybkiej jazdy zimno przenikało mnie do szpiku kości, nie miałem bowiem wierzchniego okrycia. Zapytałem żołnierza, czy mogę ubrać kurtkę, którą upatrzyłem sobie wśród zwału odzieży. Zezwolił mi na to, lecz równocześnie zastrzegł, że przy wysiadaniu będę musiał ją oddać. Tymczasem, gdy ujechaliśmy zaledwie parę kilometrów za Opole, kierowca zatrzymał samochód i przez okienko szoferki rozkazał nam, byśmy natychmiast zeskoczyli, co też niezwłocznie uczyniliśmy. Samochód szybko pojechał dalej, a my zostaliśmy na drodze, nie wiedząc, co dalej począć. Ale przynajmniej zdobyłem nową ciepłą kurtkę, chociaż była stanowczo za duża, ale wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia – ważne było, że ją miałem.

Wnet zorientowaliśmy się, że jesteśmy na drodze prowadzącej do Gross Strehlitz (dziś Strzelce Opolskie), a więc znajdowaliśmy się na właściwej trasie naszej planowanej wędrówki. Idąc piechotą, byliśmy świadkami niecodziennego widoku. Oto pewien staruszek ciągnął na wózku zwłoki swojej dorosłej córki, by je pogrzebać na niedalekim cmentarzu. Dziewczyna zginęła podczas działań wojennych. W całej wyludnionej okolicy nie mógł znaleźć żadnej pomocy w swojej trudnej sytuacji, dlatego sam musiał zająć się pogrzebem. Tragizm tego obrazu podkreślał dodatkowo fakt, że wózek był za krótki, skutkiem czego nogi zmarłej wlokły się po bruku. Było to dla mnie podobne przeżycie, jakiego doświadczył Cezary Baryka w czasie rewolucji w Baku, kiedy to przyglądał się, jak z dwukołowej arby załadowanej trupami osuwały się zwłoki młodej ormiańskiej dziewczyny, której czarne włosy sięgały ziemi, a jedna ręka, zwisając bezwładnie, uderzała miarowo o szprychy toczącego się koła. Ale to skojarzenie nastąpiło u mnie dopiero później, gdy w cieszyńskim liceum pedagogicznym czytałem „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego.

Gdy pod wieczór zmęczeni i głodni znaleźliśmy się w Strzelcach, zo-

staliśmy brutalnie zatrzymani przez dwóch czerwonoarmiejców i zaprowadzeni wprost do miejscowego więzienia. Tutaj za zamkniętą bramą wiezienną mogliśmy wybrać sobie dowolną celę, w której jednak nie trzymano nas pod kluczem. W więzieniu przebywało już sporo ludzi. Byli to przeważnie miejscowi Niemcy, a także nieliczni Polacy powracający podobnie jak my z przymusowych robót. Wraz z kolegą spenetrowaliśmy całe więzienie oraz warsztaty, jakie znajdowały się za tymi murami. Późnym wieczorem zebrano nas wszystkich na placu więziennym. Tam przeszedłem pierwsze „szkolenie ideologiczne", które odbyło się w języku rosyjskim. Pewną znajomość tego języka zawdzięczałem owej Rosjance spod Leningradu, z którą przez 3 lata pracowałem u tego samego bauera. Stojąc na stoliku, oficer radziecki wygłosił płomienne przemówienie na cześć Stalina i jego geniuszu. Nie przeszkadzało mu wcale, że mało kto rozumiał jego płomienną mowę. Stwierdził, że wielki wódz prowadzi ich na Berlin aż do ostatecznego zwycięstwa komunizmu. Następnie zapowiedział, że od nas będzie wymagał, byśmy w tym zwycięskim pochodzie pomogli Armii Czerwonej. Dlatego od jutra będziemy wykonywać różne prace dla potrzeb wojska. Szczytem zaś arogancji jego wystąpienia było stwierdzenie, że nie spodziewał się takiej liczby uczestników tego spotkania, stąd nie przygotowano dla nas żadnego posiłku. Ale obiecał nam, że jutro otrzymamy śniadanie.

Rzeczywiście – po nieprzespanej nocy na twardej pryczy więziennej i po bardzo wczesnej pobudce otrzymaliśmy kawałek lepiącego zakalca i pół garnuszka mocno przypalonej grochówki. Jeszcze w ciemnościach musieliśmy wysłuchać na porannym apelu drugiego podobnego „ideologicznego wykładu" na cześć Stalina, po czym ten sam oficer oświadczył nam wprost, że jesteśmy więźniami i skazani na przymusowe roboty. Na koniec zapytał, kto z nas posiada jakikolwiek fach. Kiedy głównie aresztowani Niemcy zgłaszali swoje zawodowe kwalifikacje, ja z kolegą, stojąc na samym końcu grupy, szybko zaczęliśmy się naradzać czy nie zgłosić się również. Dawałoby nam to możliwość zatrudnienia pod dachem – w warsztatach więziennych (było to przecież w lutym), ale tym samym – jak przypuszczaliśmy – mogłoby nas pozbawić okazji wyjścia poza mury, a więc uniemożliwić ewentualną szansę ucieczki. Postanowiliśmy nie udawać rzemieślników i ta decyzja miała niebawem okazać się słuszna.

Tak jak przewidywaliśmy, fachowców odprowadzono do warsztatów więziennych, pozostałych podzielono na 10-osobowe grupy i pod strażą uzbrojonego żołnierza wymaszerowały zwartym szykiem poza mury więzienne. „Nasz" żołnierz zaprowadził nas poza miasto do jakiegoś dużego folwarku, gdzie wokół obszernego podwórza (chyba wielkości boiska sportowego) były różne zabudowania gospodarcze (obory, stajnie, stodoły). Cały obiekt otoczony był wysokim murem, zaś w bramie wjazdowej czuwał uzbrojony żołnierz. Na placu widać było uwijających się żołnierzy sowieckich, którzy wykonywali różne prace: kar-

mienie koni, ładowanie worków, siana, słomy itp. Nasz „opiekun", prowadząc nas wokół podwórza, przydzielał kolejno poszczególnych „więźniów" do pomocy owym żołnierzom. Mnie i kolegę jako ostatnich z grupy zaprowadził do jedynego na tym placu budynku mieszkalnego, usytuowanego w samym rogu podwórza, naprzeciw wspomnianej pilnowanej bramy. Dom był wewnątrz zdemolowany. We wszystkich pomieszczeniach walały się różne rupiecie, szmaty, papier i książki. Znajdujące się tu nieliczne meble były poniszczone i poprzewracane. Żołnierz rozkazał nam, by to mieszkanie doprowadzić do porządku, ponieważ – jak podkreślił – będzie tutaj kwartira dla starszyny. Następnie ów żołnierz rozpoczął kontrolę nad całą przyprowadzoną grupą. Polegało to na tym, że systematycznie obchodził dookoła plac i sprawdzał w poszczególnych zabudowaniach pracę swoich „podopiecznych". Także i do nas zaglądał mniej więcej co pół godziny, udzielając nam dodatkowych surowych poleceń. Mieliśmy zatem sporo czasu, by dokładnie rozejrzeć się w naszej sytuacji, zapoznać się z miejscem i szukać możliwości ucieczki. Niestety, murowane ogrodzenie folwarku, znajdujące się tuż za domem, było za wysokie, aby je można było sprawnie i szybko sforsować. Na podwórzu zaś znajdowało się wielu żołnierzy, którzy z łatwością mogliby zauważyć naszą próbę ucieczki.

Gdy już wydawało się, że nasze plany nie mają szans jakiegokolwiek powodzenia, niespodziewanie zaświtała dla nas nowa nadzieja. Podczas naszych bacznych obserwacji wszystkiego, co działo się na placu, zauważyliśmy, że przez wspomnianą strzeżoną bramę, znajdującą się naprzeciw domu, który przygotowywaliśmy dla starszyny, przechodzą cywile zupełnie nie kontrolowani przez uzbrojonego strażnika. Mając na rękawach biało-czerwone opaski wchodzili oni i wychodzili bez jakichkolwiek przeszkód. Kiedy jednego z nich zapytałem, co oznacza ta opaska, poinformował nas, że dla odróżnienia od Niemców noszą ją tutejsi Polacy-autochtoni. On sam jest pracownikiem w tutejszym dworze i dzięki tej opasce nie podlega żadnej wojskowej kontroli. Była to dla nas wspaniała wiadomość, wymagała jednak od nas odwagi i nie lada brawury.

Biało-czerwone opaski zdobyliśmy bardzo łatwo. Szczęśliwym bowiem zbiegiem okoliczności w porządkowanej przez nas kuchni ocalała na ścianie biała makatka z czerwonym wyszyciem i takim samym oblamowaniem. Ona to dostarczyła nam owego cennego rekwizytu. Odtąd czekaliśmy już tylko na ponowne pojawienie się żołnierza, a raczej na jego kolejne odejście. Gdy to nastąpiło, odczekaliśmy jeszcze chwilę, dopóki nasz „stróż" nie zginął nam z oczu. Wtedy to z opaskami na rękawach ruszyliśmy pewnym krokiem na podwórze i swobodnie po polsku rozmawiając, przeszliśmy przez bramę, w ogóle nie zwracając uwagi na uzbrojonego żołnierza. Ten, niejako rewanżując się nam, również nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Byliśmy znowu wolni!

Początkowo za bramą przyśpieszyliśmy kroku, a następnie już biegiem skierowaliśmy się w kierunku pobliskiego lasu. Strach ma wielkie oczy, a my obawialiśmy się pościgu, bo gdyby nas ponownie schwytano, nie chcę nawet pomyśleć, jak by to mogło się skończyć. Gdy brnąc w śniegu, wychodziliśmy z cienia lasu na sąsiadującą łąkę, nagle śnieg się skończyl i przed nami zobaczyliśmy oświetloną słońcem zieleń trawy z licznymi kretowiskami, ale jakoś dziwnie tworzącymi regularną szachownicę. Z przerażeniem uświadomiliśmy sobie, że oto znajdujemy się na zaminowanym terenie. Być może były to miny przeciwczołgowe, ale my nie mieliśmy w tym względzie żadnego rozeznania. Zawróciliśmy natychmiast i po własnych pozostawionych w śniegu śladach ostrożnie wycofywaliśmy się aż do drogi, po której wcześniej widzieliśmy przejeżdżające pojazdy wojskowe. Teraz, już nieco uspokojeni i kilka kilometrów oddaleni od owego więzienia, ruszyliśmy dalej piechotą w kierunku Gliwic.

Jeśli mnie pamięć nie myli, to właśnie na tym odcinku naszej wędrówki mieliśmy oglądać jeszcze jeden obraz świadczący o tym, do czego może być zdolny człowiek zdeprawowany warunkami okrutnej wojny, która pozbawia go wszelkich zahamowań moralnych, wyzwalając w nim najciemniejsze instynkty zachowań. Oto idąc przez kolejną wieś, zobaczyliśmy w jej centrum porażający nas widok. Na usypanym ze śniegu kopczyku leżała na grzbiecie ubita świnia, a na jej brzuchu między nogami znajdował się trup niemieckiego żołnierza ubranego tylko w górną część munduru, bez butów i spodni. Obok wetknięto napis po rosyjsku. Nie zapamiętałem dokładnie jego sformułowania, ale wyrażał on pełne szyderstwa życzenie, by ów żołnierz mógł sobie jak najwięcej użyć. Stojących obok kilku podchmielonych czerwonoarmiejców rechotało do rozpuku. Było to dla nas bardzo przygnębiające przeżycie, którego pamięć prześladuje mnie do dziś.

W Pyskowicach zostaliśmy wprawdzie jeszcze raz zatrzymani i przez dwie godziny przesłuchiwani przez oficerów sowieckich, ale szczęśliwie nas wypuszczono. Wolnością nie cieszyliśmy się jednak zbyt długo, bo gdy pod wieczór dotarliśmy do Gliwic, znowu zostaliśmy zatrzymani i zamknięci w pilnowanym domu. Wepchnięto nas do ciasnego korytarza, w którym znajdowało się kilkudziesięciu starszych mężczyzn. Jak się później okazało, byli to miejscowi Niemcy. Na ich twarzach malowało się przerażenie, niektórzy płakali. Nie wiedzieli, za co ich tutaj trzymają i co ich czeka.

Całą noc wywoływano pojedynczych mężczyzn na jakieś przesłuchania. Mnie z kolegą wezwano nad ranem. Gdy przesłuchujący nas oficer dowiedział się, kim jesteśmy (legitymowaliśmy się jak i przy poprzednich zatrzymaniach niemieckimi dokumentami zatrudnienia) oraz skąd i dokąd idziemy, zwolnił nas natychmiast. Mogliśmy zatem kontynuować naszą wędrówkę o głodzie i chłodzie, bez możliwości zachowania jakiejkolwiek higieny osobistej.

c.d.n.

DWUDZIESTOLETNI PONTYFIKAT
SPOTKANIA Z JANEM PAWŁEM II

Motto:
Wy, Polacy,
przez niniejszy ucisk
oczyszczeni i miłością wspólną silni,
nie tylko będziecie się wzajem wspomagali,
nadto poniesiecie ratunek innym narodom
i ludom, nawet wam niegdyś wrogim.
I tym sposobem wprowadzicie
dotąd niewidzialne braterstwo ludów.
Najwyżej zaś Pan Bóg was wyniesie,
kiedy dacie światu
Wielkiego Papieża.

ks. Bronisław Markiewicz (1842-1912)

16 października 1978 roku pod wieczór polskie radio i telewizja podały wiadomość o wyborze nowego papieża. Został nim kardynał krakowski Karol Wojtyła. *Annuntio vobis gaudium magnum: habemus Papam* – zabrzmiało w Watykanie. Nowy papież, chcąc podkreślić gotowość kontynuacji dzieła swoich bezpośrednich poprzedników, przybrał imię Jana Pawła II.

Miałam to szczęście przeżyć ten dzień w Krakowie. Miasto oszalało. Kraków wyległ na ulice. Do grupek śpiewających księży i kleryków dołączali cywile, pochody radosnych krakowian kroczyły ulicami, wzbudzając zainteresowanie niedoinformowanych jeszcze przechodniów, zdziwionych, co znaczą te demonstracje. Były to przecież czasy budowania drugiej Polski czy drugiej Japonii, era gierkowska, chociaż pod względem wolności religijnej nieporównywalna z naszym krajem, to jednak niezbyt przychylna publicznemu manifestowaniu przynależności do Kościoła.

Wiosna następnego roku przebiegała w Polsce pod znakiem przygotowań do wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II. Papież miał przylecieć do Warszawy 2 czerwca 1979 roku, a Kraków był jednym z miejsc, gdzie zatrzymał się na dłużej.

Cała Polska stroiła się, by godnie powitać swego papieża. Domy zdobiły flagi papieskie, portrety świętych, nad ulicami wisiały transparenty z niespotykanymi dotąd napisami, np. Chrystus drogą, prawdą, życiem, Polonia semper fidelis, Ty jesteś Piotr – opoka, Vivat Papa,

HERB OJCA ŚWIĘTEGO JANA PAWŁA II

Umacniaj braci w wierze. Okna domów zamieniły się w ołtarzyki, ozdobione kwiatami, świecami, obrazami czy figurkami świętych i napisami. Totus Tuus - Cały Twój - oznaczający odnowę pobożności maryjnej, całkowitego zawierzenia Matce Boskiej, to motto pontyfikatu Jana Pawła II najczęściej pojawiało się wśród napisów. Na krakowskich Błoniach przygotowywano lądowisko dla papieskiego helikoptera.

Inaczej, bo jako okazję do rozruchów, do działania sił kontrarewolucyjnych odczytały wizytę papieża w Polsce władze czeskie. Przedstawiciele ambasady czechosłowackiej w Warszawie pofatygowali się, przyjechali do Krakowa, by nas, studiujących tu obywateli CSRS przestrzec przed niebezpieczeństwem, jakie grozi nam, jeśli na czas wizyty papieża nie wyjedziemy do domu. Zostałam na własną odpowiedzialność, inni zresztą również, by przeżyć na własnej skórze to działanie sił antysocjalistycznych. Dziś trudno już pojąć tę euforię, jaka ogarnęła ludzi, nie tylko wierzących, był bowiem Jan Paweł II owocem w krajach bloku wschodniego zakazanym, symbolem wolności, prawdy i nadziei.

Nie inaczej było w czasie jego następnej wizyty w Polsce w czerwcu 1983 roku. Wtedy zadaniem papieża było m. in. podtrzymywanie na duchu zrezygnowanych i rozczarowanych. Wcześniej był bowiem sierpień 1980 roku, epoka Solidarności, a potem grudzień 1981 roku

– ogłoszenie stanu wojennego. Był też 13 maja 1981 roku, kiedy w Watykanie w czasie spotkania z wiernymi dokonano zamachu na życie papieża.

Po raz trzeci przybył Jan Paweł II do Polski w czerwcu 1987 roku. Dopiero ta pielgrzymka stała się okazją do prawdziwej manifestacji politycznej, zwłaszcza że jej trasa wiodła między innymi przez Gdańsk, Gdynię i Szczecin. Społeczeństwo wykorzystywało słabość władzy państwowej. Wzniesione ręce z palcami w kształcie litery V towarzyszyły wszystkim spotkaniom papieża z wiernymi. *Nie może być program walki ponad programem solidarności* – nawoływał papież, pragnąc idei porozumienia.

Inny wymiar miała papieska wizyta w wolnej już Polsce w 1991 roku. Papież mówił przede wszystkim o moralności, przypominał kolejne przykazania Dekalogu, wymagał od rodaków przestrzegania prawd wiary. Na krótko zawitał do Polski w roku 1995, ostatnia do tej pory jego pielgrzymka do kraju ojczystego odbyła się w czerwcu 1997 roku. Papież wypowiadał się w sprawie roli Kościoła w Polsce, słychać bowiem ostatnio głosy, by uznać Polskę za „wzorcowe państwo katolickie". Sprawy wiary i problematykę etyki chrześcijańskiej stawiał na pierwszym miejscu, przestrzegał jednak również w kwestiach politycznych: *Wolności nie można tylko posiadać, trzeba ją stale, stale zdobywać.*

Zupełnie inaczej niż w Polsce, gdzie Ojciec Święty postrzegany jest nie tylko jako głowa Kościoła katolickiego, ale też wielki Polak rozsławiający Polskę w świecie, odbierany jest na ziemiach czeskich. Liczba ludzi wierzących w Czechach jest o wiele niższa niż w Polsce, istnieje też o wiele większe zróżnicowanie wyznaniowe. Mimo to w czasie pierwszej wizyty w Czechosłowacji w kwietniu 1990 roku papieża witały tłumy, manifestujące nie tylko wierność Bogu, ale też radość z odzyskanej wolności. Wśród uczestników uroczystości nie zabrakło również Polaków z Zaolzia. Relacje ze spotkania z papieżem pióra Danuty Brannej, Stanisława Zahradnika i Piotra Przeczka znalazły się także w Zwrocie (6/90): *Przez krótką chwilę mogłem z odległości chyba jednego metra widzieć twarz tego niezwykłego człowieka – zmęczonego, co staje się chyba widoczne i nikogo nie może dziwić. Co pozostanie jednak na pewno na zawsze w pamięci ludzi, którzy go spotykają na trasie licznych wędrówek, to łagodny, mądry uśmiech człowieka pełnego dobra i miłości. Dzięki niemu chyba po raz pierwszy w życiu miałem wśród Czechów wrażenie, że zazdroszczą nam naszej polskości.*

To właśnie w Pradze zwrócono uwagę na fakt, że Czechy są drugim po Polsce krajem postkomunistycznym, gdzie papież przyjeżdża tak często. W czasie swej wizyty w roku 1995 głoszący zasady ekumeniz-

mu i wzywający do modlitwy o zjednoczenie chrześcijan Jan Paweł II przeprosił ewangelików za krzywdy wyrządzone im w ciągu wieków przez katolików. W czasie ostatniej pielgrzymki w czerwcu 1997 roku, nawiązującej do milenium św. Wojciecha, którego papież nazwał *pierwszym Czechem o znaczeniu międzynarodowym,* uczestniczył w Pradze w nabożeństwie ekumenicznym. W swych homiliach podkreślał bliskość narodów Polski i Czech, znaczenie tradycji św. Wojciecha w budowaniu dzisiejszej zjednoczonej Europy. Wzywał wierzących do nowej ewangelizacji, do tworzenia cywilizacji miłości.

Nowe odczytanie Ewangelii jest jednym z głównych zadań stawianych wiernym przez Jana Pawła II. Pomocą ma im służyć wydany w 1995 roku nowy „Katechizm Kościoła katolickiego", do powstania którego w znacznej mierze przyczynił się sam papież. Prawdy ewangeliczne głosi Ojciec Święty w czasie swych pielgrzymek, których ma na swoim koncie po wszystkich kontynentach już setkę, w czasie audiencji, spotkań z wiernymi, w homiliach podczas Mszy św.

W roku 1994 ukazała się książka „Przekroczyć próg nadziei", będąca rozmową z Janem Pawłem II. Pytający - Vittorio Messori - tak określił najważniejsze orędzie papieskie: *Zrozum, że kimkolwiek jesteś, jesteś kochany! Pamiętaj, że Ewangelia jest wezwaniem do radości! Nie zapominaj, że masz Ojca i że każde życie, nawet najbardziej bezsensowne w oczach ludzi, ma wieczną i nieskończoną wartość w oczach Boga!* Książka, zawierająca myśli Ojca Świętego na temat Boga, religii, Kościoła, wiary oraz ich wpływu na postępowanie ludzi, starająca się podać rozważania filozoficzne w sposób przystępny dla każdego czytelnika, stała się światowym bestsellerem.

Karol Wojtyła jest autorem publikacji naukowych m. in. „Miłość i odpowiedzialność", „Osoba i czyn", „U podstaw odnowy. Studium o realizacji Vaticanum II", jako papież wydał kilkanaście encyklik.

Mądrość życiowa Jana Pawła II, głoszone przez niego prawdy poparte są ogromną wiedzą, którą zdobywał przez długie lata. Średnie wykształcenie otrzymał w swym rodzinnym mieście Wadowicach, gdzie urodził się 18 maja 1920 roku. Po maturze rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, które musiał jednak po wybuchu wojny i zamknięciu uniwersytetu przerwać. W czasie okupacji pracował jako robotnik w kamieniołomach w Zakrzówku, w krakowskich Zakładach Chemicznych Solvay w Borku Fałęckim. W roku 1942 rozpoczął studia teologiczne w konspiracyjnym Arcybiskupskim Seminarium Duchownym w Krakowie. Jednocześnie działał w założonym przez kolegę szkolnego Mieczysława Kotlarczyka konspiracyjnym Teatrze Rapsodycznym. Studia teologiczne skończył po wojnie jako alumn Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Krakowie na Wydziale Teologicznym

Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1 listopada 1946 roku otrzymał święcenia kapłańskie. Studia z zakresu filozofii kontynuował w rzymskim Angelicum oraz w Belgii i Francji, gdzie prowadził również działalność duszpasterską wśród tamtejszej Polonii. W Krakowie uzyskał doktorat z zakresu teologii moralnej, habilitację na podstawie pracy o etyce Maksa Schelera. Docentem został na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie prowadził ze studentami zajęcia z etyki aż do roku 1978. *Tutaj, tworząc własną filozoficzną wizję świata, ukazywał wielkość i godność człowieka, odsłaniał prawdę o nim, ukazywał miłość jako jedynie właściwy sposób działania, jako sposób tworzenia, spełniania się osoby ludzkiej i ludzkiej wspólnoty. Nie było to tylko oddziaływanie teoretyczne. Otoczony był młodymi ludźmi, którzy poszukiwali nie tylko racji naukowych, ale także miłości i dobroci* – wspomina Jerzy W. Gałkowski, jeden z jego studentów. I dodaje: *Był znakomitym wykładowcą. Nie był suchym teoretykiem, ukazywał życiowy sens omawianych problemów. Dobrze pamiętam słowa, które teraz w miarę własnych możliwości staram się przekazywać dalej studentom – uprawianie etyki to nie tylko teoria, to nie tylko sprawa intelektu. W człowieku teoria i praktyka stanowi jedność. Przyjęcie i uznanie prawdy o dobru umożliwione jest całościową postawą człowieka. Tę zasadę realizuje on konsekwentnie w swoim życiu.*

Oprócz teologii i filozofii interesował się również sztuką. Działał w teatrze Kotlarczyka, sam także pisząc sztuki teatralne, np. „Jeremiasz", „Brat naszego Boga", „Przed sklepem jubilera". Pod pseudonimami ukazywały się jego wiersze i proza poetycka, np. „Magnifikat", „Profile Cyrenejczyka", „Narodziny wyznawców".

16 października mija dwudziestolecie pontyfikatu papieża Jana Pawła II, głowy Kościoła katolickiego. Ojciec Święty postarzał się, sam zalicza siebie do wspólnoty chorych, nie zrezygnował jednak nawet w części ze służenia wiernym, ze spełniania swej posługi papieskiej. Ujmuje nadal wszystkich swoją skromnością, serdecznością, otwartością, nie wywyższaniem się nad innych. Dla świata, jakkolwiek przez niektórych krytykowany za konserwatyzm, za niechęć do radykalnych reform w Kościele, stał się symbolem upadku komunizmu. Jak odległe wydają się dziś czasy, kiedy papież w telewizji był czymś u nas niespotykanym, wręcz zabronionym i dlatego wzbudzającym wielkie emocje. Normalnością stało się już dla nas to, że co niedziela w południe pojawia się na ekranach telewizorów licznych krajów świata, by błogosławić oglądającym go i zapewniać, że postara się poprowadzić wiernych w trzecie tysiąclecie.

CZESŁAWA RUDNIK

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

CO NOWEGO W OLBRACHCICACH

Żeby przygotować na łamy Zwrotu artykuł informacyjny o polityce komunalnej w Olbrachcicach, odwiedziłem członka Rady Gminnej inż. Albina Budjača, kandydującego w ostatnich wyborach komunalnych z listy Ruchu Politycznego Coexistentia–Wspólnota.

Naszego radnego z Olbrachcic poprosiłem o informację na temat działalności władz gminnych.

Olbrachcice liczą około 4 tys. mieszkańców, z czego 1/3 – to Polacy. Do 17-osobowego przedstawicielstwa wybrano 8 Polaków, z listy Wspólnoty oprócz mnie członkiem przedstawicielstwa gminnego jest MUDr Stanisław Kowalski.

Rada Gminna, której jestem członkiem, jest 5-osobowa. W jej skład wchodzi również starosta gminy Juraj Legindi (ČSSD), wicestarosta inż. Henryk Feber (ODS), Iwona Guńkowa, przewodnicząca PZKO (KSČM)i RNDr Česlav Valošek (ODS).

Rada schodzi się w sali Urzędu Gminnego co 2 tygodnie, z wyjątkiem okresu wakacyjnego. Zebrania przedstawicielstwa zwoływane są co 2-3 miesiące, najczęściej do Domu PZKO.

Oprócz partii politycznych w gminie działają liczne organizacje społeczne. Najliczniejszą organizacją jest PZKO, aktywnie działa też Macierz Szkolna. Gmina wspiera organizacje społeczne finansowo poprzez dotacje docelowe, przede wszystkim na organizowanie akademii kulturalnych. W bieżącym roku dotację przekazano klubowi sportowemu na rozwój młodzieżowej piłki nożnej.

Jakie zadania udało się radnym rozwiązać w tej kadencji?

Głównym zadaniem Rady Gminnej było przygotowanie budżetu, który corocznie musi uchwalać przedstawicielstwo. Najwięcej problemów sprawiało oddanie do użytku bloku mieszkalnego, 2 razy 36 mieszkań, który jest własnością gminy. Inwestycja ta będzie dokończona w przyszłej kadencji.

Zgazyfikowano niemal 100% wioski, z wyjątkiem obrzeży gminy. W centrum 1 metr gazociągu kosztuje 250 Kč, natomiast na obrzeżach gminy przeszło 800 Kč. Dlatego gazyfikacja pojedynczych domów się nie opłaca.

We współpracy z gminą Cierlicko w dzielnicy Pacałówka oddano do użytku oczyszczalnię ścieków. Ścieki gminne nie będą już wypuszczane do Zapory Cierlickiej. Wspólnie z Suchą Górną i Stonawą zakupiliśmy traktor, który służy do koszenia trawy w rowach. W ten sposób traktor jest efektywnie wykorzystany.

Sfinansowano również remonty w szkołach. W polskiej szkole przeprowadzono gazyfikację i wymianę okien, w czeskiej szkole wymieniono dach. Pieniądze przeznaczono również na naprawę sieci elektrycznej i telekomunikacyjnej.

Niestety na poważniejsze inwestycje zabrakło pieniędzy.

Czy mieszkańcy gminy są poinformowani o działaniach władz gminnych?

Informacje przekazujemy prasie lokalnej. Wykorzystujemy również lokalną telewizję TV LOCAL Stonawa, której sygnał jest dobrze odbierany na terenie całej wioski. Oficjalne informacje są zamieszczane na tablicy urzędowej, to zresztą nakazuje nam ustawa.

Jednak najważniejszym środkiem informacji w gminie jest gazetka Albrechtické listy, ukazująca się 5-6 razy w roku. Gazeta wydawana jest na poziomie profesjonalnym, artykuły drukuje w języku czeskim i polskim. Członkami rady redakcyjnej są Juraj Ligindi, mgr Zdeněk Feber, Iwona Guńkowa. Współpracujemy z wydawnictwem SAK mgr. Karola Santariusa.

Zbliżają się wybory komunalne. Czy będą brać w nich udział wszystkie partie polityczne w Olbrachcicach?

Na pewno kompletne listy zgłoszą dwie najsilniejsze partie - ODS i ČSSD. Listy wyborcze zgłoszą też KDU-ČSL, KSČM i Wspólnota, prawdopodobnie też Unia Wolności, SPR-RSČ i Moravská strana středu. Z doświadczenia jednak wiem, że wyborcy będą głosować przede wszystkim na osobistości, z różnych partii, co zresztą umożliwia ustawa. Nawet pierwsze miejsce na liście nie zapewnia w Olbrachcicach mandatu.

O ile chodzi o mnie osobiście, w wyborach komunalnych mam zamiar kandydować. Chciałbym jeszcze w następnej kadencji dokończyć niektóre zadania.

W RYCHWAŁDZIE

Członka Rady Miejskiej w Rychwałdzie, wybranego z listy Ruchu Politycznego Coexistentia-Wspólnota, dr. Tadeusza Siwka poprosiłem o informację nt. działalności władz miasta. Poprosiłem również o przedstawienie swego miasta.

Rychwałd jest rozległą gminą między Ostrawą, Orłową i Boguminem. Jej obszar wynosi 17 km². Obecnie ma 6.5 tys. mieszkańców, częściowo ludności autochtonicznej, a częściowo napływowej z głę-

bi Czech i ze Słowacji. Wielu autochtonów jest polskiego pochodzenia, chociaż do narodowości polskiej przyznaje się tylko niewiele ponad 200 mieszkańców gminy. Od roku 1985 Rychwałd jest miastem.

W 1994 roku wybrano 15-osobowe przedstawicielstwo, w jego skład wchodzi 6 członków ODS, 5 członków KSČM, 3 członków ČSSD, 1 członek SPR-RSČ i 1 członek Wspólnoty. Rada Miejska jest 5-osobowa (2 - ODS, 2 - KSČM, 1 - Wspólnota). Starostką jest Pavla Kristová (ODS), jej zastępcą Ervín Plaček (KSČM). Zebrania przedstawicielstwa odbywają się raz na kwartał w Domu Kultury na osiedlu w centrum miasta, gdzie mieszka 25% mieszkańców gminy. Rada obraduje raz w miesiącu w Urzędzie Gminnym, według potrzeby nawet częściej. W Rychwałdzie działają organizacje społeczne: PZKO, Straż Pożarna, Sokół, ostatnio wznowił działalność Czerwony Krzyż.

Co udało się Radzie Miejskiej załatwić?

Rada Miejska w okresie 1994-1998 rozwiązywała następujące problemy: gazyfikację - idzie z oporami ze względu na rozproszoną zabudowę, poprawę bezpieczeństwa na drogach - współpracujemy z policją RC, budowę nowych przystanków autobusowych, budowę pensjonatu - Domu Spokojnej Starości, który ma być ukończony w 1999 roku.

Z omawianych kwestii majątkowych najbardziej interesuje czytelników Zwrotu informacja o decyzji władz miasta zwrócenia pierwotnym polskim właścicielom świetlicy MK PZKO. Przekazanie świetlicy mieszczącej się w dawnej polskiej szkole nie doszło do skutku, pomimo poparcia władz miasta, z powodu sprzeciwu ministerstwa.

Miasto wydaje informator - 6 numerów rocznie, którego jestem redaktorem naczelnym. Miejscowy radiowęzeł jest wyeksploatowany i nie ma niestety środków na nowy. Planów podłączenia do telewizji regionalnej, np. w Stonawie, na razie nie zrealizowano.

Czy partie polityczne w Rychwałdzie przygotowują się do listopadowych wyborów komunalnych?

W wyborach widzą szansę przede wszystkim partie lewicowe, które w Rychwałdzie były silne już przed II wojną światową. Listy kandydatów prawdopodobnie zarejestrują: ODS, ČSSD, KSČM, republikanie i Wspólnota. Głównym zadaniem nowych władz będzie dokończenie tego, co rozpoczęto w obecnej kadencji, przede wszystkim zapewnienie dopływu pieniędzy, np. przez przyciągnięcie większej ilości przedsiębiorców, których na razie jest mało.

Rozmawiał TADEUSZ TOMAN

SKRZECZONIANIE NA ZLOCIE RODZINNYM POLSKIEGO TOWARZYSTWA SCHRONISK MŁODZIEŻOWYCH

Członkowie Miejscowego Koła PZKO w Skrzeczoniu wiedzą, jak dobrze jest mieć przyjaciół w Polsce. W tym roku, korzystając z gościnności Towarzystwa Miłośników Grodkowa (dla przypomnienia - wzajemna współpraca trwa już 25 lat), mieli okazję wziąć udział wraz z grodkowianami w IV Zjeździe Rodzinnym Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych, który odbył się w dniach 22 - 30 sierpnia br. w Kłębowie koło Lidzbarka Warmińskiego.

Droga z Grodkowa na Warmię (około 600 km) wiodła niezwykle urozmaiconą trasą, o co skrzętnie zadbali organizatorzy wyprawy. Autokar z 48 uczestnikami zlotu (w tym 10 z Zaolzia) kilkakrotnie zatrzymywał się wzdłuż całej trasy, by zlotowicze mogli podziwiać uroki polskiej ziemi.

Jeden z przystanków godnych odnotowania to niewątpliwie Licheń, zaledwie maleńką kropką zaznaczona na mapie Polski wieś, leżąca w odległości 10 km na północ od Konina. Tu znajduje się drugie obok Jasnej Góry w Częstochowie sanktuarium Maryjne, miejsce pielgrzymowania rodaków z całej Polski i zagranicy. Sanktuarium ulokowane na wzgórzu i otoczone wysokim murem przeżywało właśnie kolejne oblężenie pielgrzymów, podążających do słynącego z cudów Obrazu Matki Boskiej Najświętszej i rozlokowanych wzdłuż alejek olbrzymiego ogrodu stacji drogi krzyżowej. Od niedawna nową atrakcją Lichenia jest budowana tu przez przedsiębiorstwo Budimex ze składek wiernych jedna z największych bazylik na świecie, wzorowana na rzymskiej Bazylice św. Piotra. Świątynia pod wezwaniem Bolesnej Królowej Polski jest budowana jako wotum narodu polskiego na jubileusz 2000-lecia chrześcijaństwa. Na pewno warto zobaczyć, przy okazji pobytu w Polsce, to niezwykłe miejsce kultu religijnego.

Trasa podróży grodkowskich zlotowiczów wiodła dalej przez Ziemię Chełmińską, gdzie w miejscowości Radzyń Chełmiński można było obejrzeć ruiny potężnego zamku krzyżackiego z XIII wieku.

Wieczorem pełni wrażeń grodkowscy zlotowicze przybyli do Kłębowa nad jezioro Symsar.

W ciągu następnego dnia zjeżdżały się kolejne rodziny z całej Polski, biorące udział w zlocie. Grodkowianie z zagraniczną ekipą, czyli zaolziakami, stanowili najliczniejszą grupę, toteż we wszystkich grach i zawodach brał udział Grodków i reszta świata.

Choć pogoda nie sprzyjała, nikt się nie nudził. Piękna okolica za-

chęcała do wycieczek. I tak na długie lata pozostanie w pamięci uczestników pięciogodzinny rejs statkiem po Kanale Elbląsko-Ostródzkim, niegdyś zwanym Oberlandzkim od nazwy krainy go otaczającej. Dawno temu lodowiec pracowicie wyrzeźbił powierzchnię Pojezierza Iławskiego, tworząc liczne wytopiska i rynny, zalane następnie wodą, dzięki czemu jedno za drugim z południa na północ ułożyło się w kilka jezior. W ten sposób przyroda sama podsunęła ludziom pomysł zbudowania drogi wodnej wiodącej w kierunku Zalewu Wiślanego i delty Wisły, skracającej pięciokrotnie szlak żeglowny do Gdańska, przebiegający tradycyjnie po Drwęcy i Wiśle. Trzeba było tylko uzupełnić jej dzieło, czyli połączyć jeziora odcinkami kanału. Okazało się, że do realizacji dzieła potrzebne będą, bagatela: przekopy, nasypy, uszczelnienia, zabezpieczenia skarp, śluzy, jazy, upusty i wrota przeciwpowodziowe. Rozwikłać ponadto należało problemy: zasilania kanału w wodę, odprowadzania ścieków, a przede wszystkim pokonania różnicy poziomów, która na odcinku niespełna 10 km pomiędzy jeziorami wynosiła 104 metry! Wreszcie pozostawała trudność, kto wie czy nie równorzędna z kwestiami technicznymi - finanse. Efektem rozwiązania łamigłówki zadanej przez przyrodę był właśnie kanał, „w którym statki pływały po górach". Głównym konstruktorem kanału był Georg Jakub Steenke.

Budowa bazyliki w Licheniu

Uroczysta inauguracja kanału odbyła się 31 sierpnia 1860 roku. Służył żegludze towarowej i handlowej, a dziś turystycznej. Kanał Elbląski należy do unikalnych w skali światowej dzieł techniki, będąc przy okazji obiektem o wyjątkowych walorach zabytkowych, jako że wszystko, co powstało przy kanale i w kanale, ma rodowód XIX-wieczny. Jeszcze bardziej zdumiewające jest, iż owe wysłużone urządzenia hydrotechniczne i budowle działają tak sprawnie, jakby upływ czasu nie wywierał na nich większego wrażenia. Skonstruowano je bowiem bardzo precyzyjnie, z perfekcją zdumiewającą każdego znawcę tematu. Toteż od ponad stu lat znany jest jako „najprawdziwszy cud świata". Bo czyż może nie robić wrażenia statek, który płynie najpierw po jeziorze, potem po kanale, a nagle woda kończy się i statek unoszony na przedziwnym wózku po szynach kolejowych pnie się pod górkę po łące, na której tu i ówdzie pasą się krowy, by po pokonaniu wzniesienia ponownie zjechać do kanału. Takich miejsc na trasie całego kanału jest pięć.

Grupa grodkowska miała wynajęty cały statek tylko dla siebie. A nie jest to takie proste, bo żeglowanie po kanale cieszy się olbrzymim powodzeniem wśród turystów, szczególnie niemieckich.

Ciekawe były również wycieczki po okolicznych miastach, gdzie można było obejrzeć zabytkowe budowle, muzea i kościoły. W po-

Zamek w Lidzbarku Warmińskim

bliskim Lidzbarku Warmińskim znajduje się pochodzący z drugiej połowy XIV wieku zamek, będący przez wieki siedzibą biskupów warmińskich. Tu wielokrotnie przebywał Mikołaj Kopernik. Okazałe zamczyska można było podziwiać w Morągu i Reszlu. W Stoczku Warmińskim można było obejrzeć Sanktuarium Matki Pokoju, gdzie w roku 1983 papież Jan Paweł II ukoronował obraz Matki Boskiej. W latach 1953 - 1956 klasztor był zamknięty przez ówczesne władze komunistyczne. Tu przetrzymywano prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Jedna z tras wycieczkowych wiodła do Świętej Lipki, miejsca słynnego z bazyliki Maryjnej i znajdujących się w niej organów. Legenda dotycząca tego miejsca głosi, że w XIV wieku w Kętrzynie niewinnie skazanemu w przeddzień egzekucji objawiła się Matka Boska i poprosiła go o wyrzeźbienie jej postaci z Dzieciątkiem. Rano, gdy skazanego doprowadzono przed oblicze sędziów, ten opowiedział im o widzeniu i pokazał figurkę, którą w ciągu nocy wyrzeźbił. Ci zdumieni, widząc olśniewająco piękną figurkę, doszli do wniosku, że jest to znak Bożego ułaskawienia i zwrócili skazanemu wolność. Człowiek ów, dziękując Matce Boskiej za ocalenie, szedł w kierunku Reszla i szukał po drodze dorodnej lipy, na której mógłby postawić rzeźbę. Właśnie tutaj, gdzie obecnie stoi bazylika, znalazł wspaniałą

Nad „naszym" jeziorem...

lipę. Wkrótce miejsce to zasłynęło cudami, a na przełomie XVII I XVIII wieku zbudowano tu kościół. Od roku 1983 na mocy dekretu Papieża kościół nosi tytuł bazyliki mniejszej. Każdego dnia odwiedzają go tysiące turystów, by wysłuchać koncertu organowego. Właściwie wysłuchać i obejrzeć, bo wspaniale brzmiące i bogato ozdobione organy posiadają jeszcze dodatkową atrakcję. Figury ustawione na organach są ruchome. W trakcie koncertu przedstawiają scenę Zwiastowania: Archanioł Gabriel z prawej wieży kłania się nisko, Maryja z lewej strony lekko skłania głowę. Anioł na środkowej wieży gra na mandolinie i obraca głowę ozdobioną promieniami. Cztery aniołki poruszają dzwoneczkami, a dwa anioły grające na trąbkach obracają się. Kręcą się gwiazdy i dzwonią dzwoneczki na wieżach. A wszystko razem daje niezapomniane wrażenia.

W pobliżu Kętrzyna jest jeszcze jeden osobliwy zabytek wart obejrzenia, tzw. Wilczy Szaniec, czyli kwatera Adolfa Hitlera. Tu przez kilka godzin grupa grodkowian podążała za przewodnikiem po ukrytych w zielonych chaszczach ruinach potęgi Trzeciej Rzeszy. Wilczy Szaniec był swego rodzaju warownym miasteczkiem o powierzchni 2.5 km^2. Były tu m. in. bunkry Hitlera, Bormana, Keitla i Göringa. Mieszkali tu także członkowie gwardii przybocznej Hitlera, lekarze, sekretarki, kierowcy. Mieli do dyspozycji m. in. dwa kasyna oficerskie,

Pola Grunwaldzkie, fot. FRANCISZEK BAŁON

dwie herbaciarnie, kino i saunę. Ogółem w Wilczym Szańcu było około 80 budowli, w tym 7 najcięższych schronów o ścianach i stropach grubości 5 - 8 m. Wokół pola minowe o długości 10 km i szerokości 100 - 150 m. Były też dwa lotniska. W Wilczym Szańcu przebywało 2100 oficerów, żołnierzy i osób cywilnych. Tu 20 lipca 1944 roku pułkownik Claus Schenk von Stauffenbert dokonał nieudanego zamachu na życie Hitlera. W czasie wojny Hitler łącznie przebywał w Wilczym Szańcu ponad 800 dni. Opuścił okolice Kętrzyna 20 listopada 1944. 24 stycznia, gdy zbliżała się Armia Czerwona, saperzy niemieccy wysadzili wszystkie obiekty w powietrze. Od 1959 roku Wilczy Szaniec mogą zwiedzać turyści. Dzięki ogromnej wiedzy przewodnika grupy turystycznej z Grodkowa potężne ruiny stały się kanwą dla poglądowej lekcji historii.

Wycieczki wzbogacały wiedzę zlotowiczów, ale to był tylko jeden z punktów programu zlotu. Organizatorzy czynili również starania o rozwój fizyczny. Były więc: kurs tańca towarzyskiego dla dorosłych i dzieci, siatkówka, tenis stołowy, marsz na orientację, wieczorek taneczny z udziałem zespołu muzycznego, aerobik i sauna. W zależności od pogody można było popływać na kajaku lub rowerze wodnym, łowić ryby, zbierać grzyby. Zaolziacy jako reprezentanci Grodkowa wobec reszty świata zdobywali nagrody we wszystkich konkurencjach. W marszu na orientację na 8 startujących drużyn drużyna Zaolzie, w składzie Halina Szeliga, Renata Guziur i Tadeusz Guziur, zdobyła brązowy medal. W turnieju tenisa stołowego dla pań Renata Guziur zdobyła 2. miejsce, natomiast Tadeusz Guziur zwyciężył w kategorii mężczyzn, za co otrzymali dyplomy i drobne nagrody rzeczowe.

W ostatnim dniu pobytu uczestnicy zlotu zwiedzili Olsztyn. W drodze powrotnej do Grodkowa zatrzymali się na polach grunwaldzkich, gdzie 15 lipca 1410 roku wojska króla Władysława Jagiełły rozgromiły wojska krzyżackie. Można tu było obejrzeć monumentalny pomnik postawiony ku czci zwycięskiej bitwy, kopiec Władysława Jagiełły i ruiny kaplicy wybudowanej po bitwie.

Po przyjeździe do Grodkowa przyszedł czas na serdeczne pożegnanie i słowa podziękowania dla grodkowian, szczególnie dla wiceburmistrza miasta i prezesa Towarzystwa Miłośników Grodkowa zarazem Józefa Kośli oraz Tadeusza Zaleskiego, inspektora w Urzędzie Miasta i Gminy w Grodkowie, za mile i pożytecznie spędzony wspólnie czas na Warmii i Mazurach.

DANUTA GUZIUR
ELŻBIETA STRÓŻCZYK

ZBIGNIEWA KUBECZKI MYŚLI O SZTUCE

Jeden z zaolziańskich klasyków (Władysław Sikora) powiedział kiedyś dawno, niedawno, że „utraconego miejsca i czasu nie przywrócą wspomnienia".

Każdą wystawę, przedstawiającą jakikolwiek dorobek twórczy, można potraktować jako spojrzenie wstecz, wartościowanie, nawet jako swego rodzaju remanent.

Wielu będzie podchodziło do takiego tematu, wychodząc ze swych priorytetów, nastrojów, stanów duszy, poziomu myśli. Każdy będzie miał swoje racje i poglądy, każdy słuszne.

Może znaleźć się ktoś, kto będzie się starał doszukać poza formalnymi i kwantytatywnymi walorami ekspozycji jej sedna, myśli przepowiedniej, wspólnego mianownika, jej duszy. Może to być najciekawsza oraz najtrudniejsza droga do odczytania wartości tych pozornych i tych rzeczywistych.

Każda wystawa jest również, może i przede wszystkim, rozmową autora z widzem. Trudność jest w szczególe. Autor powinien umieć, widz powinien chcieć.

Jeśli ktoś decyduje się na wystawienie swych prac, odczuwa prawdopodobnie potrzebę podzielenia się swymi dokonaniami i myślami. Chce słyszeć pogląd innych. Nie tanią zdawkową pochwałę, ale pogląd. Szuka duszy na fali, tej samej, co jego częstotliwości. Choćby jednej.

Nie często się to udaje, ale warto o taki stan zabiegać.

Może się wydawać, że w wypadku ekslibrisu, skierowanego przecież do konkretnego człowieka, taki stan jest łatwiej osiągalny. I tak, i nie.

Nie ma reguły na to, że trafna i udana wypowiedź graficzna na temat konkretnej osoby znajdzie akceptację. Nie ma reguły i przymusu na zrozumienie między ludźmi.

Ale dobry ekslibris powinien dążyć do konkretnego, trafnego portretowania, do wyrażenia osobowości, nie do opisywania znaków zewnętrznych. W ilu wypadkach się to uda?

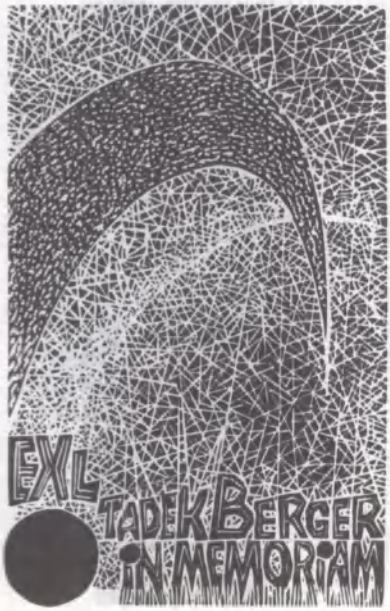

A jednak warto. Stale na nowo uparcie nawiązywać dialog z ludźmi ze swymi myślami, zawodami, rozczarowaniami, rozpaczami, starać się odszukiwać w sobie iskierki nadziei, nie ulec zobojętnieniu.

Jest mianowicie, powinien być, ekslibris czymś więcej poza ekwilibrystyką rzemiosła graficznego.

Powinien być manifestem ludzkiej życzliwości, życzliwej ironii, zrozumienia, porozumienia i pokory a niekiedy także sympatii, przyjaźni i miłości.

Trudno orzec, w ilu wypadkach jest taki stan możliwy.

Utraconych sympatii, przyjaźni, miłości nie przywrócą wspomnienia. To prawda, ale to wszystko istniało, działało na nas i gdzieś tam zostało, wyskakując znienacka, udowadniając nam, że to nie tylko zgliszcza się w nas roztoparczają.

Tradycje, działające bez względu na naszą wolę, nie pozwolą nam chyba zaprzepaścić wartości naprawdę ważnych. I tak możemy sobie tworzyć teorie, programy i kierunki, ale nie powinniśmy zapomnieć, że wartościowe

będzie tylko to, co jest autentyczne i szczere, bo to podpowiada nam doświadczenie tych wszystkich, którzy byli tu przed nami i pozostawili nam w spuściźnie obowiązek kontynuacji i trwania.

Chyba brzmi to patetycznie, ale czy nie warto się nad tym zastanowić? Choćby na takiej wystawie?

Czy istnieje utracony czas?

Urodził się 19. 10. 1938 w Orłowej. Żyje w Orłowej. Wystawę bogatego dorobku Zbigniewa Kubeczki przygotowaną z okazji jego jubileuszu życiowego można oglądać aktualnie w Bibliotece Regionalnej w Karwinie-Frysztacie.

Jest on bezspornie największym, można też powiedzieć - jedynym prawdziwym twórcą ekslibrisu na naszym terenie. Twórca a zarazem znawca i zbieracz tych małych grafik książkowych. Jest dobrze znany w Czechach, w Polsce i poza granicami tych dwu krajów. Znany z wystaw, biennale, konkursów, na których zdobywał laury najwyższe.

ANDRZEJ JAWIEŃ

MYŚLĄC OJCZYZNA...

Ojczyzna – kiedy myślę – wówczas wyrażam siebie i
zakorzeniam,
mówi mi o tym serce, jakby ukryta granica, która ze mnie
przebiega ku innym,
aby wszystkich ogarniać w przeszłość dawniejszą niż każdy z
nas:
z niej się wyłaniam... gdy myślę Ojczyzna – by zamknąć ją w
sobie jak skarb.
Pytam wciąż, jak go pomnożyć, jak poszerzyć tę przestrzeń,
którą wypełnia.

KAMIENIOŁOM

(fragment)

II. NATCHNIENIE

Praca zaczęła się wewnątrz, a na zewnątrz ma tyle przestrzeni,
że dłonie ogarnia natychmiast i dosięga do granic oddechu.
Oto spójrz: wola trafiła w kamienia głęboki dzwon.
Kiedy myśl uzyskuje swą pewność,
wówczas razem dosięgły szczytu serce i dłoń.

Za ten pion, za tę pewność umysłu, za pewność oka
płaci się ręką szczodrą.
Wydaje ci kamień swą moc, a przez pracę dojrzewa człowiek,
ona bowiem niesie natchnienie trudnego dobra.
I od niej się to zaczyna, co narasta w sercu i myślach,
co tyle ważnych wydarzeń i ludzi tylu osacza.
– jakaż miłość dojrzewa w młotach!
Grupki dzieci poniosą ją w przyszłość,
śpiewając: „w sercach ojców bezgraniczna spełniała się praca".

2

To natchnienie w dłoniach nie zostaje. Do kamienistych rdzeni
zstępuje przez serce człowieka, które tworzy osobny rdzeń.
I od niego rozrasta się w ziemi historia kamieni,
a w ludziach ta równowaga, którą miłość osiąga przez gniew.

One obie prowadzą człowieka, nie wyczerpią się w ludziach nigdy,
nie ustaną w napięciu ramion ani w serca ukrytym geście –
a biorą się z siebie wzajemnie, dopełniają się taką dźwignią,
która myśli i ruchy zespala w nierozerwalny pierścień.

Więc jeśli chcesz trafić z daleka i wejść i w ludziach pozostać,
to musisz obie te siły skupić mową nad wyraz prostą
(mowa twoja nie może prysnąć w napięciach owej dźwigni,
którą tworzą miłość i gniew).
Wówczas nikt cię nie wydrze z człowieka, nie oderwie od
niego nigdy.

1956

Andrzej Jawień to pseudonim poetycki Karola Wojtyły, obecnie papieża Jana Pawła II.

KAZIMIERZ BOBELAK

JEDENAŚCIE DNI NA ZAOLZIU...

V. Kolařik i inni...

Pilnowało nas na zmianę trzech „strażmistrów". Oswoili się z nami. Wchodzili do naszej celi, siadali i gadali z nami od rana do nocy. Rzecz pewna, że zachowanie ich w niemałym stopniu formowała świadomość, iż reprezentują wobec nas czeską kulturę. Temu przypisuję poniekąd ich uprzejmość w stosunku do nas. Poniekąd, bo niezupełnie. Nie wiem czy trafiliśmy na jakieś wyjątkowe okazy, czy wybrano ich specjalnie, ale, chcąc być szczerym, muszę stwierdzić, że ich stosunek do nas był nie tylko poprawny, ale wręcz wzorowy. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że gdybym zaczął bujać o wyrafinowanych torturach, jakim nas poddawano, ściągnąłbym na swe czoło aureolę męczennika narodowego. Nie czynię tego. Wolę podawać rzeczy tak, jak się naprawdę odbywały.

Kolařik. Z tym rozmawialiśmy najwięcej i najczęściej. Chłop inteligentny (miał 6 klas gimnazjalnych), zajadły patriota czeski. Na domiar, co psychikę jego silnie komplikowało, pacyfista i antymilitarysta. Patrząc na niego, gdy mówił o posuwaniu się Niemców w głąb Czech, współczuło się szczerze.

Pamiętam taką scenkę: w drugim lewym skrzydle naszego piętra mieszkał jeden ze strażników, który popołudniami słuchał radia. My oczywiście też. Otóż czy ów „radiota" nie orientował się, czy po prostu było mu wszystko jedno, dość, że raz nastawił na Morawską Ostrawę. A trzeba wiedzieć, że maszty tej radiostacji znajdują się w Svinovie, parę kilometrów od miasta.

Gwarzymy właśnie z Kolařikiem, a tu jak grom: – Hallo, hallo! Hier Reichsender Schönbrunn! Heil Hitler! – I dalej rżnie Sudetenmarsch jak wszyscy diabli! Po prostu Niemcy zajęli ów Świniów (nomen–omen!) i – uszczęśliwiali ludzkość koncertem.

Trzeba było wtedy zobaczyć naszego Kolařika! Zdawało się, że padnie trupem. Chciał iść i rozwalić aparat, ledwośmy go jakoś

uspokoili. Siedział i klął dosadnie, pierwszy i ostatni raz w naszej obecności. Prawdę powiedziawszy, nie dziwiliśmy mu się, raczej podziwialiśmy cynizm czy głupotę właściciela aparatu. Bo proszę sobie uzmysłowić: działo się to w Morawskiej Ostrawie.

Długo się nie mógł uspokoić. Cała żółć wylewała się z niego. Nie był to Czech w typie Szwejka, bynajmniej. Łzy miał chłop w oczach, gdy mówił o odstąpieniu wojsk czeskich bez walki. Żal go nam było, bo czuło się, że w tym człowieku wszystko się kraje w kawały. Słowa płynęły z niego jak woda. Czegośmy nie rozumieli, tłumaczył nam Damek. Aż wreszcie padły słowa:

– Wy, Polacy, wbiliście nam nóż w plecy! Wystąpiliście w najcięższej dla nas chwili. To się nie godzi!

– A jak wyście wzięli Śląsk, Spisz, Orawę, Czadeckie? – zapytałem.

Był na tyle uczciwy czy może uprzejmy, że nie podjął dyskusji. Zwiesił głowę...

– Jeszcze i do was dobiorą się Niemcy! – rzekł po chwili. – A wtedy Czechy będą za słabe, aby wam pomóc.

Nie mieliśmy złudzeń ani co do pierwszego, ani co do drugiego twierdzenia.

– Z nami im tak łatwo nie pójdzie! – rzuciłem. – Ile razy próbowali, tyle razy dostawali baty, Grunwald, Płowce...

– Psie Pole! – dorzucił Stefek.

– U nas, jak trzeba, to bijemy wszyscy – ciągnąłem – nawet baby i dzieci.

– Jak w dwudziestym roku! – wtrącił Damek.

Kolařik nie oponował. Popatrzył tylko na nas, jakby z urazą, jakby czuł do nas żal, że należymy do takiej wojowniczej nacji.

– O sakra! take pevnosti! To była hruzna zdrada! – westchnął na koniec i nie rozmawiał już do końca służby. Na następną zmianę przyszedł lekko zawiany, widać zalewał robaka, i przyniósł nam olbrzymią tablicę czekolady.

Tak, Kolařik był patriotą w najlepszym sensie tego słowa. Zdawało się, że każde posunięcie się Niemców naprzód odchorowuje. Do Polaków miał nieco mniej pretensji, a właściwie miał je tylko z racji owego „noża w plecach".

– Najpierw jest Słowianin, potem dopiero Czech czy Polak! – mawiał.

Myśmy byli innego zdania. Widocznie nie dorośliśmy do panslawizmu.

Zupełnie innym typem był Boda. Problemy polityczne nie interesowały go zbytnio, możliwe, że nie miał dla nich zrozumienia. Z upodobań muzyk, siadał i całymi godzinami słuchał, jak śpiewamy ze Stefkiem polskie piosenki żołnierskie. Szczególnie podobały mu się „Białe róże".

– Musicie mi przysłać nuty! – prosił.

– Po co?

– Zrobię z tego śliczne tango dla radia! – mówił i wystukiwał na lufie karabinowej jakieś frazy muzyczne, które sam tylko słyszał. Uśmiechał się przy tym tak pogodnie, jakby Czechy nie ponosiły żadnych strat terytorialnych, a w celi nie siedzieli wrogowie. Po prostu nie myślał o tym.

Z tym śpiewaniem to była kiedyś, gdyśmy jeszcze siedzieli w osobnych celach, dość morowa historia. Opowiedział nam ją Damek.

Szedł wtedy po wodę czy obiad i zatrzymał go jakiś żołnierz.

– To ci bojowcy śpiewają?

– Tak!

– Sakra! – lada godzina ich mogą powiesić, a ci gwiżdżą i śpiewają cały dzień. To są chłopy. Ten brylaty to je sakra zubata szczuka! Nam by takich trzeba!...

Kiedy Damek opowiadał to, porykiwaliśmy z radości.

Tak to śpiewaliśmy w aresztach policyjnych pięknego miasta Morawskiej Ostrawy...

Pavliček, trzeci strażnik, był znowu w zupełnie innym gatunku. Ani jego patriotyzm nie był wpadający w oko, ani sprawy muzyczne go nie ciekawiły. Cenił natomiast sprośnie kawały i wszelkie dyskusje na ten temat. On to również wtajemniczał mnie w misteria czeskiej musztry – bądź co bądź oryginalne zajęcie, jeśli zważyć, że on był dozorcą, a ja więźniem. W ogóle nie umiem sobie wyobrazić polskiego żołnierza czy policjanta, który by dał broń z garści. Widocznie poglądy obrońców republiki w tej mierze są zupełnie inne, dziwne i niezrozumiałe dla nas. W każdym razie armia, złożona w Pavličków, nie byłaby groźnym przeciwnikiem...

Wiadomości przesączały się do nas rzadko, chaotycznie i nieściśle. Niemcy mają na ten rodzaj nowin małowonne, lecz trafne określenie „Latrinenparole". O postępach wojsk polskich informowano nas niechętnie i fałszywie, o ile w ogóle informowano. Wiadomości o ruchach niemieckich były częstsze, choć nosiły cechy paniki. Pamiętam wiadomość o – regularnej bitwie, stoczonej w Boguminie między wojskiem polskim a niemieckim. Przyjęliśmy to do wiadomości bez wzruszenia, a jeden z nas zauważył spokojnie, że w takim razie Niemcy musieli dostać porządne lanie. Informator pokiwał głową nad naszym tupetem, ale nie protestował.

Nie ma co! Zdenerwowani byli Czesi w owe dni październikowe! Ten i ów nadrabiał miną, inni nawet o to nie dbali. Nie dziwi mnie to specjalnie, ale trudno jest wczuć się w położenie ludzi,

którzy oddają ziemię bez jednego strzału. Chodziły wprawdzie wieści o jakimś oddziałku, który zamknął się w jednej z fortyfikacji i zdrowo trzepie Niemców, ale – nie wierzyliśmy w to. Żaden z nas nie potrafił sobie wyobrazić Czechów walczących tak, idących na pewną śmierć. Damek wyraził nawet przypuszczenie (oczywiście tylko nam), że ci bohaterscy obrońcy dostali ze strachu paraliżu i nie mogą Niemcom otworzyć. Bardzo możliwe...

Pretensje, pretensje, pretensje... Do Polski, do Niemiec, do Francji, do Sowietów, do całego świata. Nie mieli natomiast pretensyj do samych siebie, do swego braku krwi w żyłach. Tak, chcieli, aby inni bili się za nich. Sami nie mieli ochoty ryzykować. Zupełnie tak, jak śpiewali w czasie wojny światowej, choć tyle zmieniło się od tych lat. Zapamiętałem sobie tę piosenkę, wielce dla nich charakterystyczną:

Jen pricz z walkou, jen pricz z walkou:
my tahnem z kutalkou.
Bez boje, a bez walki
tahnem podle kutalki

Niestety! dobre to było, gdy miało się walczyć o Austrię; kiedy ma się walczyć o siebie, zawodzi taka taktyka! I na nic to się nie przyda, że Vokal, poczciwa dusza, odesłał do Paryża swoje francuskie odznaczenia: Paryż się tym nie przejął, a Vokal zrujnował się na przesyłkę. Zdaje mi się, że jednak Czesi sami zdawali sobie sprawę z tego, że Zaolzie nie należało się im i nie należy. Inaczej trudno byłoby zrozumieć ich bierność. O swoje walczy się; skradzione trzeba oddać.

Lamentowali, że Morawska Ostrawa zostaje na wierzchołku cypla, pozbawionego komunikacji z resztą Czech. Jest to prawda, ale nikt na to nie poradzi. Chybaby oddali Morawską Ostrawę – Polsce. A zresztą – dobry Boże! – nie mój kłopot!

Dni płyną, jeden podobny do drugiego. Dyskusja z Kolařikiem na tematy literackie i polityczne, wokalne produkcje z Bodą, „indywidualne szkolenie“ w chwytach bronią z Pavličkiem. Kartoflanka w południe i wieczór, niezliczone „Vlasty“. Damkowe pieniądze topnieją, jak woda. Okazuje się, że urlop spędzany w więzieniu nie jest specjalnie tani. Zabija nas brak ruchu: Stefek leży cały dzień, Damek i ja urządzamy spacerki po celach i korytarzyku. Wszystko staje się nudne. Rozmowy nasze nie wnoszą nic nowego, bo nie ma skąd zaczerpnąć nowych wrażeń. Więc tylko palimy coraz więcej i czekamy na poniedziałek. A tymczasem – nie ma co robić.

PRZEDRUK Z PISMA POWSTANIEC, 27. 11. 1938

ZOBACZYĆ NEAPOL ... I PRZEŻYĆ

Gdy wybieraliśmy z mężem miejsce naszego tegorocznego urlopu – bo jak dotąd nad wszelkimi tropikalnymi atrakcjami zwyciężał Bałtyk – zdecydowaliśmy, że nie może to być jeden z typowych wakacyjnych ośrodków-molochów. Chcieliśmy wybrać bardziej niecodzienne miejsce i przy okazji coś zwiedzić po drodze. Do Włoch ciągnęło mnie już od lat, tym bardziej, że słyszałam wiele dobrego o lazurowo czystym morzu na południu i o tamtejszych wulkanicznych wyspach, na których jest mnóstwo źródeł termalnych. Wyspa Capri również wydawała nam się przereklamowana, zdecydowaliśmy się więc na Ischię, nazywaną Isola verde (zielona wyspa) lub Perłą Śródziemnomorską. W decyzji tej utwierdziła nas dodatkowo nasza rodaczka malarka Marika Drechsler, urodzona w Orłowej i mieszkająca od lat w Neapolu. Ischia jest jej ukochaną wyspą i ciągle do niej wraca w swoich niezwykłych pracach. Po nieoczekiwanym spotkaniu w Czeskim Cieszynie zaplanowałyśmy tym razem spotkanie na Ischii.

Zanim wybraliśmy się w podróż, sięgnęłam do kilku przewodników, najlepszym jednak okazał się piękny tom esejów o tematyce historyczno-kulturowej i artystycznej „Barbarzyńca w ogrodzie" poety Zbigniewa Herberta. W tym wysmakowanym dzienniku podróży po fascynujących mnie krajach (Francja, Włochy, Grecja) znalazłam rozdział zatytułowany „Siena". To najbardziej średniowieczne miasto włoskie w Toskanii, krainie włoskich snów, było pierwszym, całodniowym przystankiem w naszej podróży. Ze względu na swoje położenie miasto to od wieków walczyło z Florencją o pierwszeństwo i o dostęp do morza. Dla potężnej Florencji i potężnej Sieny nie było miejsca w Toskanii; miasta te nienawidziły się, *z wyrafinowaną namiętnością walczyły mieczem i słowem, nękały się w nowelach, legendach i poezji.* W końcu jednak Siena, która wg legendy została założona przez Seniusza, jednego z synów Remusa – stąd jej symbolem jest wilczyca – uległa prymatowi Florencji.

Trafiliśmy na moment, kiedy miasto dopiero budziło się ze snu. Wyczytałam, że rankiem Siena powinna pachnieć bukszpanem, ponieważ jednak moje nozdrza nie były w stanie wyłowić tego zapachu, czułam tylko woń spalin zabawnych samochodów służących do oczyszczania miasta. Ich wielkość i kształt były idealnie przystosowane do wąskich, kamienistych uliczek bez chodników. Z powodzeniem można się było zgubić w ich labiryncie. Tu po raz pierwszy zobaczyłam też na własne oczy słynne włoskie skutery, domenę młodzieży, południowców i wyspiarzy. Pojazd taki mieści się wszędzie i swoim jazgotem nie sprzyja kontemplacji zabytków. A Siena ma się czym pochwalić. Niespotykany, spadzisty kształt placu ratuszowego, zwanego Piazza Pubblico, przypomina wklęsłą stronę muszli. Nad miastem, które ma łososiowy, pomarańczowo-szary kolor starych cegieł, dominuje wysoka, biała na szczycie wieża ratusza. Zresztą wieże są chlubą każdego włoskiego miasta - Florencja ma ich na przykład około stu pięćdziesięciu. Zupełnie niespotykany wygląd ma potężna katedra, il Duomo, której wnętrze za sprawą biało-czarnych pasów kamienia na kolumnach i drewnianego sklepienia krzyżowo-żebrowego w niczym nie przypomina gotyku francuskiego. A mówi się, że katedra sieneńska jest najlepszą budowlą gotycką Italii. Byli nią zafascynowani europejscy romantycy; Wagner wyobrażał sobie, że tak wyglądała legendarna świątynia Graala.

Herbert tak o niej pisze: *Katedra stoi na najwyżej położonym placu i jest jak wzniesiony w górę biało-czarny herb miasta i jak śpiew, który wzlatuje i spada kaskadą rzeźb, lazurowych łuków i złotych gwiazd. Po lewej stronie piękna wieża - oparta o powietrze włócznia anioła. Nie należy ulegać terrorowi przewodników, lecz spojrzeć na tę jedną z najpiękniejszych budowli na świecie odrobinę krytycznie. Po oszołomieniu i pierwszym zachwycie oczywiście. Tej przyjemności nie należy sobie nigdy odmawiać, zresztą twórcy fasady, a wśród nich Giovanni Pisano, zrobili wszystko, aby utrzymać nas w stanie estetycznej febry.* Stan ten udzielił nam się jeszcze raz w Umbrii, nazywanej Zielonym Sercem Włoch, w trakcie zwiedzania Orvietto, urokliwego miasteczka położonego wysoko na masywie skalnym, gdzie znajduje się podobna, choć późniejsza o pół wieku katedra. Włoski gotyk zaskoczył nas wszystkich.

Jak przystało na miasto średniowieczne, Siena była kolebką wielu świętych i błogosławionych; historycy podają astronomiczną nawet jak na Włochy sumę pięciuset postaci z aureolą. Najbardziej znaną świętą, którą szczyci się miasto, była Katarzyna Benincasa, urodzona w roku 1347 późniejsza święta Katarzyna. W trakcie wizyty w Awinionie u papieża Grzegorza XI miała wpłynąć na jego decyzję przenie-

sienia z powrotem stolicy papiestwa do Rzymu. Nota bene Siena wydała również dziewięciu papieży.

Chlubą tego regionu jest również wino o miłej dla ucha nazwie chianti. O sztuce picia tego napoju mówi Zbigniew Herbert w swym wysmakowanym eseju: *Należy nachylić szklankę, aby zobaczyć, jak płyn spływa po szkle, czy nie zostawia śladów. Następnie podnosi się ją do oczu i, jak mówi pewien francuski smakosz, zatapia się oczy w żywych rubinach i kontempluje się jak chińskie morze pełne korali i alg. Trzeci gest – zbliżyć brzeg szklanki do dolnej wargi i wdychać zapach mammola – bukietu fiołków oznajmiających nozdrzom, że chianti jest dobre. Zaciągnąć się tym aż do dna płuc tak, żeby mieć w sobie woń dojrzałych winogron i ziemi. Wreszcie – ale unikając barbarzyńskiego pośpiechu – wziąć w usta mały łyk i językiem rozetrzeć ciemny, zamszowy smak na podniebieniu.*

Poeta w trakcie swojej włoskiej wędrówki przybył do Sieny z Neapolu. My jechaliśmy w odwrotnym kierunku, mijając Rzym i Monte Cassino, by wreszcie zobaczyć miasto, które w myśl porzekadła należy zobaczyć... i umrzeć. Na pewno z wrażenia, pytanie jednak, czy chodzi o wrażenie pozytywne czy negatywne. Będąc w trakcie pisania scenariusza spektaklu o Adamie Mickiewiczu dla Sceny Polskiej, miałam pełną głowę południowych Włoch, widzianych oczami naszych wieszczów. Z małą poprawką – krajobrazy przez nich opisywane przed 150 laty z całą pewnością już się zmieniły. Zatoka Neapolitańska nie zawiodła jednak moich oczekiwań – błękitna, malownicza, z Wezuwiuszem w tle. Tu malarz Andriolli w trakcie słynnej podróży Mickiewicza i Edwarda Odyńca narysował obu poetów, którzy zaglądali w krater Wezuwiusza, w jego ogniu zapalali laski i cygara, a wieszcz Adam *urwał w górach gałązkę pieprzu, ażeby potem powiedzieć na Litwie, że go los zapędził tam, gdzie pieprz rośnie.* W trakcie swego sześciotygodniowego pobytu w Neapolu w 1830 roku nie przeczuwał jeszcze, że nigdy nie ujrzy już swoich ojczystych stron. Juliusz Słowacki w swej „Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu" pisał: *Jeśli Europa jest nimfą, Neapol / Jest nimfy okiem błękitnym, Warszawa – Sercem.* Na murze tutejszego domu przy ulicy Santa Lucia 28, w którym poeta mieszkał, polski śpiewak Dygas zamieścił pamiątkową tablicę. Jest już prawie nieczytelna.

Na ścianie zburzonego już hotelu Continental przy via Partenope Polacy i Włosi zamieścili z kolei w 50 rocznicę śmierci Henryka Sienkiewicza tablicę upamiętniającą jego pobyt w Neapolu. Tu w roku 1894 pisał „Rodzinę Połanieckich" i dumał o pierwszych rozdziałach „Quo vadis", które w Neapolu *ujrzało swe pierwsze tłumaczenie włoskie.* Pisarz tak go opisał: *Neapol jest cudem świata, snem grec-*

kim – ale czekać jest źle, nawet w Neapolu. Nuta nostalgii pojawia się w listach wszystkich polskich pisarzy, którzy najpiękniejsze widoki kontemplują poprzez pryzmat swej ojczyzny. Oddajmy głos Stefanowi Żeromskiemu: *Neapol. Szum tego miasta, jakby szum w konchach muszlowych.... istnieją w świecie miasta, które są obce nam i cudze. Jesteśmy przechodniami, którzy słuchają szumu tych miast... który zacichnie w naszym uchu i ustanie.*

To, co dla ówczesnego ucha było szumem, dla naszego było hałasem – dobrodziejstwa motoryzacji są w Neapolu przekleństwem. Korki uliczne, wyścigi motocyklami po ulicach i chodnikach oraz światła na skrzyżowaniach traktowane bardzo specyficznie przez kierowców są tu, zdaje się, na porządku dziennym. Mimo to z okien autobusu udało nam się zobaczyć wszystkie piękne zabytki, rozsypane po całym tym ruchliwym mieście. Większość pięknych pałaców i kościołów mieści się przy długiej ulicy Spaccanapoli (dosłownie rozcinając Neapol); tędy wiodła przez sam środek zabytkowego miasta dawna droga rzymska. Stąd ruszyliśmy wzdłuż wybrzeża do miasteczka Pozzuoli, skąd ruszają promy na wyspy rozsiane po całej zatoce. Największe wyspy to Capri i Ischia, cel naszej podróży.

Im dalej na południe od Rzymu, tym słońce grzeje mocniej, posiłki trwają dłużej, a namiętności stają się silniejsze. Region ten nazywany Mezzogiorno (południe, ale jako pora dnia, nie jako strona świata) przez długi czas był przedmiotem negatywnych sterotypów powstałych na bardziej uprzemysłowionej Północy. Włosi, zdaje się, do dziś nie potrafią wybaczyć niejakiemu Garibaldiemu, który ma swój pomnik również w Neapolu, że walczył o zjednoczenie tego tak pełnego kontrastów kraju. We Włoszech naocznie uświadomiłam sobie czesko-słowackie kontrasty i konflikty. W każdym razie południowcy są bardzo dumni ze swego serdecznego charakteru, silnej tradycji, antycznych ruin, błękitnego morza i licznych plaż.

Mezzogiorno – południe. Słońce wysusza ziemię i mąci w głowie. Okna zamykają się z trzaskiem. Znad kamieni unoszą się białe płomyki upału. Południe trzeba przeczekać w cieniu... Obiecywałam sobie, że po powrocie z Włoch zajrzę jeszcze do „Barbarzyńcy w ogrodzie". Wieczorem, w dniu naszego przyjazdu, Telewizja Polska nadawała nawet cały program poświęcony sylwetce Zbigniewa Herberta. Cóż za zbieg okoliczności, pomyślałam. Później okazało się, że w tym samym czasie, kiedy w drodze powrotnej przemierzaliśmy kraj Dantego i Petrarki, umierał polski poeta i autor włoskich esejów. Mój ukochany pisarz, Zbigniew Herbert.

cdn.

LECH PRZECZEK

AFORYZMY

* Ciągle nie mógł zrozumieć, że za minimalną płacę nie może od swoich pracowników wymagać maksymalnych wyników.

* Był to naprawdę niezwykły sklep – liczba ekspedientek w nim zawsze kilkakrotnie przewyższała liczbę klientów.

* Pieniądze czasami przynoszą kolejne pieniądze, innym razem znów długi. Wszystko zależy od osoby ich właściciela.

* Na świecie jest niezbędnych wielu zupełnie zwykłych ludzi tylko po to, aby mogło zaistnieć tych kilku naprawdę wyjątkowych.

* Zbyt ostre światło bywa często gorsze niż najgłębsza ciemność.

* Mózg jest na szczęście jedną z rzeczy, których nie można kupić za żadne pieniądze.

* Był bardzo szczęśliwym człowiekiem. Przeżył bowiem na jawie wszystko to, o czym mu się nawet nie śniło.

* Kochał wszystkie kobiety. Oczywiście poza swoją żoną.

TEN BĘDZIE PASOWAŁ DO NASZEJ TAPETY

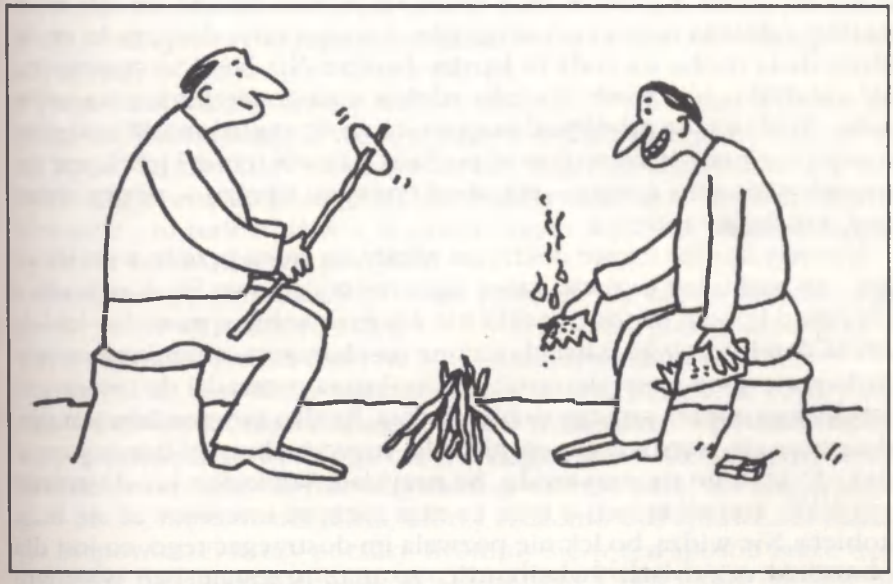

POEZJĘ NOSZĘ ZAWSZE Z SOBĄ *rys. Bronisław Liberda*

SAMOOSZUKIWANIE

Oszukujemy często siebie, nie innych. Oszukiwanie samego siebie to samoobrona przed jakimś zagrożeniem. Każdy z nas określa i ocenia siebie. Np. *wyglądam młodo na mój wiek. Jestem zgrabna, chociaż ważę trochę za dużo... Jestem przedsiębiorczy i zdolny. Lubią mnie kobiety. Potrafię bronić swojego zdania. Kieruję się w różnym stopniu emocjami jak rozsądkiem.*

Takie i podobne stwierdzenia, wyobrażenia i odczucia wyznaczają naszą odrębność i niepowtarzalność. Poczucie tożsamości sprawia, że jest się zakorzenionym w rzeczywistości, ale też decyduje o tym, jakich dokonuje się wyborów. Np. *Chcę się przyjaźnić z Magdą, a nie z Elżbietą. Chcę wydawać pieniądze na zagraniczne wycieczki, a nie na stroje.* Któregoś dnia może się jednak okazać, że ten autoportret odbiega mocno od oryginału, a co gorsza – dotyczy to cech, które dana osoba uważała za bardzo istotne. Np. Nie jest stanowcza, ale apodyktyczna; wcale nie taka zdolna, a na dodatek nie taka znów miła... Traci wtedy grunt pod nogami, czuje się zagrożona. W takiej sytuacji powinno się zrewidować poglądy na swój temat i jeżeli jest się niezadowolonym z tego – już obiektywnego obrazu – popracować nad tym, by go zmienić.

Niestety bardzo często dochodzi wtedy do głosu przede wszystkim lęk – to paskudne uczucie, które znosimy wyjątkowo źle. Każdy stara się przed lękiem bronić. Często nie zdajemy sobie sprawy, że lęk zaczyna nami sterować, a uruchomione mechanizmy samoobronne wymykają się spod naszej kontroli. Samoobrona prowadzi do tworzenia fałszywego obrazu samego siebie i świata. Bardzo powszechne jest niedostrzeganie wtedy tego, co niemiłe, niewygodne, co burzy porządek, do którego się przywykło. Na przykład: Wiele żon nie dostrzega sygnałów świadczących o tym, że mąż zaczyna interesować się inną kobietą. Nie widzą, bo lęk nie pozwala im dostrzegać tego, co jest dla otoczenia oczywiste. Świadomość, że mąż przestaje być wiernym i kochającym partnerem zachwiałaby bowiem ich poczucie bezpie-

czeństwa. Podobnie bywa z osobami nieuleczalnie chorymi. Ich bliscy zastanawiają się czy chory rzeczywiście nie wie, czy też oszukuje siebie i innych. Często jest to jednak nie świadome oszukiwanie, lecz wynik blokowania informacji, której ze strachu nie chce się przyjąć do wiadomości. Psycholodzy nazywają to obronnością percepcyjną.

Źródła zagrożenia tkwią często w nas samych. Zdarza się, że możemy żywić uczucia, których nie akceptujemy, które są sprzeczne z zasadami wyznawanymi przez nas samych. Wtedy dochodzi do rozdźwięku... Bojąc się utraty szacunku do samych siebie - zaczynamy wierzyć, że już nie żywimy urazy... że wybaczyliśmy... Dzięki temu, że zakwalifikowaliśmy naszą urazę do przeszłości, łatwiej nam teraz trzymać te uczucia na wodzy.

Nie zawsze jednak wygląda to tak prosto. Im bardziej ktoś czuje się niepewny, tym usilniej dąży do kamuflowania tej swojej cechy czy swojego stanu, który uważa za niewłaściwy, manifestując natomiast to, co jest jego zaprzeczeniem. Np. nieśmiały będzie zachowywał się agresywnie, tchórzliwy będzie podejmował brawurowe ataki. Konstrukcja taka - w chwilach wyjątkowego napięcia - może się załamać i nagle wybucha skrzętnie ukrywana niechęć czy bezwzględność. Zdumiewa to otoczenie, a także osobę, która nie podejrzewała siebie o aż takie nasilenie negatywnych uczuć.

Jeżeli oszukiwanie samego siebie pomoże w konkretnej sytuacji przetrwać życiowy kryzys, zmniejszać ból czy może zapobiec poważnej kolizji, to nie ma o co kruszyć kopii.

Natomiast inaczej ma się rzecz z długofalowym oszukiwaniem samego siebie, szczególnie wtedy, gdy samoobrona staje się sposobem na życie. Środowisko wyczuwa wtedy fałszywą skromność czy słodycz, ukrywaną nieufność czy zazdrość i odczytuje trafnie deklaratywność... to uniemożliwia, a nawet często wręcz przekreśla nawiązywanie autentycznych przyjaźni.

Nastawienie na samoobronę nie pozwala też często na realizację celów sobie wytyczonych. Żyjąc w świecie iluzji, pielęgnując swój fałszywy obraz - nie ma motywacji do pokonywania trudności.

Jednym ze sposobów samoobrony jest tzw. projekcja, czyli przerzucanie winy na kogoś innego. Nie jest to działanie wyspekulowane, lecz spontaniczne. Projekcja nie jest często łatwa do rozszyfrowania, bo nie zawsze jest dla nas oczywiste „zwalanie winy" na kogoś innego - szefa, męża, nauczyciela, którzy rzekomo byli sprawcami naszego niepowodzenia czy porażki. Bronimy się w ten sposób także wtedy, kiedy nie akceptujemy swoich cech, wad. Czasami nie chcemy się przyznać sami przed sobą, że motywem naszego postępowania było

brzydkie uczucie - zazdrość, chęć pogrążenia przeciwnika, urażona miłość własna... A więc - nie jesteśmy tacy, za jakich chcielibyśmy uchodzić i wtedy te brzydkie intencje przypisujemy komu innemu - właśnie naszemu przeciwnikowi. Krytykujemy kogoś za wady, które dostrzegamy w sobie. Czujemy się w porządku, ponieważ potępiamy niewłaściwość, w zupełnym niestety oderwaniu od własnej osoby.

Taki mechanizm samoobrony powoduje dalsze konsekwencje, bo jeżeli kogoś za coś potępiamy, obwiniamy, jesteśmy mu niechętni, czujemy się jednak niezbyt pewnie... i aby jakoś tę niechęć uzasadnić, usprawiedliwić - wyszukujemy dalsze argumenty przeciwko tej niechętnie postrzeganej osobie. Wtedy nasze negatywne nastawienie pogłębia się coraz bardziej.

Mówiąc o oszukiwaniu siebie samego - warto wspomnieć o racjonalizacji. Racjonalizacja to operacja intelektualna, polegająca na uzasadnianiu swoich zachowań, impulsów, uczuć. W celu samoobrony posługujemy się często racjonalizacją fałszywą, a więc dobieramy takie przesłanki, które nas mogą uspokoić byle - jak się to określa w języku potocznym - wyszło na nasze. Uciekamy się do tego sposobu, gdy coś się nam udało, gdy spotkał nas jakiś zawód, gdy poprowadziliśmy jakąś sprawę w niewłaściwy sposób i efekt okazał się przeciwny od oczekiwanego. Np. kobieta nadmiernie ceniąca swoją urodę, dzięki której zwykle mogła załatwić z każdym urzędnikiem pomyślnie swoje sprawy - zostaje jednego dnia odesłana z kwitkiem. Swoje niepowodzenie tłumaczy tym, że ten urzędnik to z pewnością homoseksualista!

Trudno jest jednoznacznie stwierdzić, że samooszukiwanie jest szkodliwe. Trzeba brać pod uwagę skutki doraźne, bezpośrednie, ale też długofalowe. Wiedza o mechanizmach samoobrony jest nam potrzebna z dwóch powodów. Po pierwsze - pozwala nam zrozumieć, że nie wszystkie zachowania, które budzą nasz sprzeciw czy nas urażają, są podejmowane świadomie czy wynikają ze złej woli. Wiedza uczy nas, że w wielu sytuacjach lepiej nie wdawać się w bezcelową polemikę, należy raczej przeczekać, przemilczeć, bo łatwiej wtedy przebaczać. Po drugie może to nas skłonić do refleksji nad sobą, nad własnymi reakcjami zachowania. To z kolei może sprawić, że postaramy się coś w sobie zmienić, zamiast zawsze obwiniać otoczenie.

HALSZKA LUBELSKA
(Dziennik Polski, Londyn)

WĘDRYNIA TEATRALNA

Amatorski ruch teatralny w Wędryni ma długą tradycję. Zasłużony wieloletni kierownik wędryńskiej sceny amatorskiej Jerzy Cienciała postanowił przelać na papier dzieje „swego" teatru. W ten sposób powstała publikacja „Dzieje amatorskiego ruchu teatralnego w Wędryni 1903-1998". *Chociaż działalność teatru w Wędryni nie jest wcale zjawiskiem odosobnionym i wyjątkowym, służyć może za przykład innym zespołom tego typu, zarówno pod względem reprezentowanego poziomu artystycznego, jak również aktywności społecznej. Ambicją tej publikacji jest pokazanie form pracy teatralnej w środowisku wędryńskim (od 1903 r.), ich ciągłego rozwoju i kształtowania się, przede wszystkim w okresie od zakończenia II wojny światowej po dzień dzisiejszy*, napisał autor we wstępie.

Pierwszym odegranym w Wędryni spektaklem teatralnym było „Błogosławieństwo matki", przedstawione - na zbitej z desek scenie umieszczonej na beczkach piwa - w nowej szkole przez amatorów z Jabłonkowa. Przybyli oni na zaproszenie prezesa Czytelni Katolickiej księdza Franciszka Hermana i nauczyciela Józefa Wawrosza. Było to w roku 1903. Gościnne przedstawienie stało się bodźcem do działania dla młodzieży wędryńskiej skupionej w Czytelni Katolickiej. Zapoczątkowało pracę teatru amatorskiego. Pierwsze sporadyczne występy, np. na zebraniach, przerodziły się w bardziej regularne próby Kółka Amatorskiego, którego pierwsza premiera odbyła się 20 maja 1906 roku. Zagrano wtedy dwie sztuki „Szkoda wąsów" i „Nie bez przyczyny". Wyreżyserował je Józef Wawrosz.

Oficjalne założenie Kółka Amatorskiego przy Czytelni Katolickiej w Wędryni wiąże się z datą 27 grudnia 1908 roku. Pomocną rękę podała wędryńskim amatorom Czytelnia z Cieszyna. Pochodzący z Cieszyna Józef Liberda przeprowadził się do Wędryni, został reżyserem Kółka Amatorskiego. Pierwszym przewodniczącym Kółka Amatorskiego stał się Józef Wałaski, zastępcą Jan Goryl, sekretarzem Jan Grzegórz. Zespół borykał się z problemami lokalowymi, nie zawsze spotykał się z przychylnością właścicieli gospód, w których grał, brak było dekoracji i kostiumów, dochodziły też problemy ze strony władz austriackich za używanie języka polskiego. Mimo to działał aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Już pod koniec wojny doszło do reaktywowania kółka teatralnego, 3 lutego 1918 roku wystawiono dwie sztuki „Szlachta czynszowa" i „Jeden z nas musi się ożenić". W tym samym roku przygotowano jeszcze pięć następnych sztuk, w roku następnym dziesięć.

W okresie międzywojennym obok Kółka Amatorskiego Czytelni Katolickiej, gdzie reżyserowali Teofil Rygiel, Józef Wałaski, Antoni Wałaski, Józef Ćmiel, Rudolf Szlibner, Stefan Szücs, działała sekcja teatralna Związku Młodzieży Ewangelickiej. Członkowie obu tych zespołów występowali też w przedstawieniach polskiego Towarzystwa Gimnastycznego Sokół i Macierzy Szkolnej. Młodzież bezrobotną zrzeszała sekcja teatralna komunistycznej partii. W latach 1924-32 istniał zespół teatralny Stowarzyszenia Robotniczego Siła. Realizowano sztuki o tematyce narodowej, o charakterze rewolucyjnym, głoszące hasła wolnościowe. Grano sztuki rodzime, np. Ernesta Farnika, Karola Bergera, często pisane gwarą, sięgano też do klasyki polskiej, wystawiono np. „Balladynę" Juliusza Słowackiego, „Damy i huzary" Aleksandra Fredry, „Karpackich górali" Józefa Korzeniowskiego, komedie Gabrieli Zapolskiej i Michała Bałuckiego.

Po drugiej wojnie światowej amatorski ruch teatralny w Wędryni zaczął odradzać się na nowo. Z inicjatywy Józefa Kaszpera powstał zespół teatralny. Na początku 1947 roku wystawiono w Czytelni sztukę „Grynia - herszt zbójców" w reżyserii Jana Słowika i Jerzego Cienciały. Kiedy powstało Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej, założono również jego sekcję teatralną. Kierownikiem stał się Jan Słowik, reżyserem Stefan Szücs. Po zawieszeniu działalności SMP w roku 1952 młodzi aktorzy-amatorzy zostali członkami PZKO. Kierownictwo sekcji teatralnej objął Władysław Lasota, reżyserią zajął się Albin Kulhanek.

Zespół teatru amatorskiego w Wędryni do dnia dzisiejszego utrzymuje się w I kategorii wśród pezetkaowskich zespołów teatralnych, co świadczy o jego wysokim poziomie artystycznym. Wędryniacy od początku brali udział we wszystkich organizowanych przez Sekcję Teatralną i Żywego Słowa przy ZG PZKO konkursach teatralnych. Od połowy lat pięćdziesiątych zawsze w czołówce wśród najlepszych zespołów.

Członkowie zespołu brali udział w kursach, seminariach, szkoleniach. W latach osiemdziesiątych właśnie w Wędryni odbyły się trzykrotnie Spotkania Teatralne PZKO z udziałem kilku zespołów. Młodzi aktorzy występowali też corocznie w przeglądzie zespołów małych form scenicznych Melpomenki, często prezentując teksty własne. Reżyserami tych krótkich spektakli byli Roman Bujok, Janusz Ondraszek, Bogdan Cieślar i Bogusław Raszka. Teatr niejednokrotnie wyjeżdżał poza teren. Grał m. in. w Cieszynie, Krakowie, Strzelcach Opolskich, Istebnej, trzykrotnie brał udział w Spotkaniach Polskich Teatrów z Zagranicy w Rzeszowie.

W latach 1947-1997 amatorzy z Wędryni odegrali 107 premier i 125 przedstawień powtórkowych. Było to 61 sztuk pełnospektaklowych i 46 jednoaktówek. Repertuar zawierał przede wszystkim utwory pisarzy polskich.

Scena ze „Skąpca"

Prezentowano dzieła klasyczne takich autorów jak Aleksander Fredro, Michał Bałucki, Gabriela Zapolska, Józef Bliziński, Józef Ignacy Kraszewski, Stefan Żeromski, Leon Kruczkowski. Często wystawiano utwory polskich pisarzy współczesnych, np. Jerzego Zawiejskiego, Adama Grzymały-Siedleckiego, Tadeusza Hołuja, Adama Ważyka, Jerzego Lutowskiego, Albina Siekierskiego, Haliny Auderskiej, Włodzimierza Odojewskiego, Zdzisława Skowrońskiego, Jerzego Jurandota, Zofii Bystrzyckiej. Sięgano do twórczości autorów rodzimych, na scenie ukazały się sztuki i adaptacje sceniczne utworów m. in. Adama Wawrosza, Józefa Ondrusza, Ernesta Farnika, Karola Bergera, Emanuela Grima, Wilhelma Przeczka. Nie zapominano też o pisarzach czeskich, grano np. „Matkę" Karla Čapka, „Wojnarkę" Alojzego Jiráska, „Córkę podpalacza" Josefa Kajetána Tyla, kilkakrotnie pojawiły się też sztuki obce.

W okresie powojennym przez teatr przewinęło się 20 reżyserów. Dziesięciu z nich ma na swoim koncie po jednym spektaklu, pięciu po dwa spektakle, Jan Sikora trzy, a Roman Bujok sześć. W latach 40. i 50. kilka przedstawień reżyserował Albin Kulhanek, w latach 90. Janusz Ondraszek. Ale głównym autorem inscenizacji był Jerzy Cienciała, który przygotował z zespołem teatru wędryńskiego

od roku 1947 do roku 1998 aż 75 premier. Był on głównym motorem działania teatru, spoiwem łączącym przez lata kolejne pokolenia aktorskie, iskrą rozpalającą w sercach członków zespołu miłość do teatru. To głównie dzięki niemu teatr nie tylko przetrwał wszystkie trudne lata, ale rozwijał się i rozkwitał ku radości wszystkich życzliwych mu ludzi.

Powojenny teatr amatorski w Wędryni tworzyło również dziesięciu scenografów, siedmiu charakteryzatorów, sześciu choreografów, czterech inspicjentów, jeden dyrygent, ale przede wszystkim ponad dwustu aktorów. W teatrze grały całe rodziny, zamiłowanie do sceny przekazywane było z pokolenia na pokolenie.

Obecny rok przebiegał w Wędryni pod znakiem obchodów jubileuszu 95-lecia teatru amatorskiego. Główne uroczystości przygotowano na maj. 16 maja odbyła się premiera „Gwiazdy polarnej" Adama Wawrosza w reżyserii Jana Sikory, na którą zaproszeni zostali wszyscy, którzy kiedykolwiek grali w zespole wędryńskim. Zaś tydzień później ambitny teatr przedstawił licznie zgromadzonej publiczności przedstawienie wybitnej pozycji klasyki dramatu światowego - komedię Moliera „Skąpiec". Reżyserem spektaklu był Janusz Ondraszek, pierwszy obecnie reżyser zespołu, który przejął pałeczkę prowadzącego od Jerzego Cienciały. Jerzy Cienciała ze względu na swój poważny wiek został reżyserem pomocniczym, piastując jednocześnie stanowisko kierownika artystycznego zespołu. Teatrem kieruje w chwili obecnej Janina Hlávka, nazwana rekordzistką wśród aktorów, zagrała bowiem na wędryńskiej scenie w 33 sztukach. Jej zastępcą jest Renata Ondraszek. Oprócz Janusza Ondraszka reżyserią zajmują się Bogdan Ondraszek i Roman Bujok.

Teatr w Wędryni jest na pewno swego rodzaju ewenementem naszej sceny amatorskiej, gdyż udało mu się, nie licząc wojen, przez tyle lat bez przerwy głosić ze sceny polskie słowo, kontynuować pracę przodków- szczytnego krzewienia kultury polskiej na naszej ziemi. Doceniano jego zasługi, oceniono licznymi medalami zbiorowymi i indywidualnymi, z których najważniejszym jest przekazany w roku ubiegłym przez ministra kultury Rzeczpospolitej Polskiej medal Zasłużony dla Kultury Polskiej. Cieszy niezmiernie fakt, że zespół jakby omijał kryzys kultury i kryzys polskości, który przez wielu uważany jest już za główny wyznacznik naszych czasów. Młodość ciała i ducha tryskające z wędryńskiej sceny każe wierzyć, że nic nie stanie na przeszkodzie i za pięć lat wspólnie obchodzić będziemy stulecie teatru amatorskiego w Wędryni.

CZESŁAWA RUDNIK

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

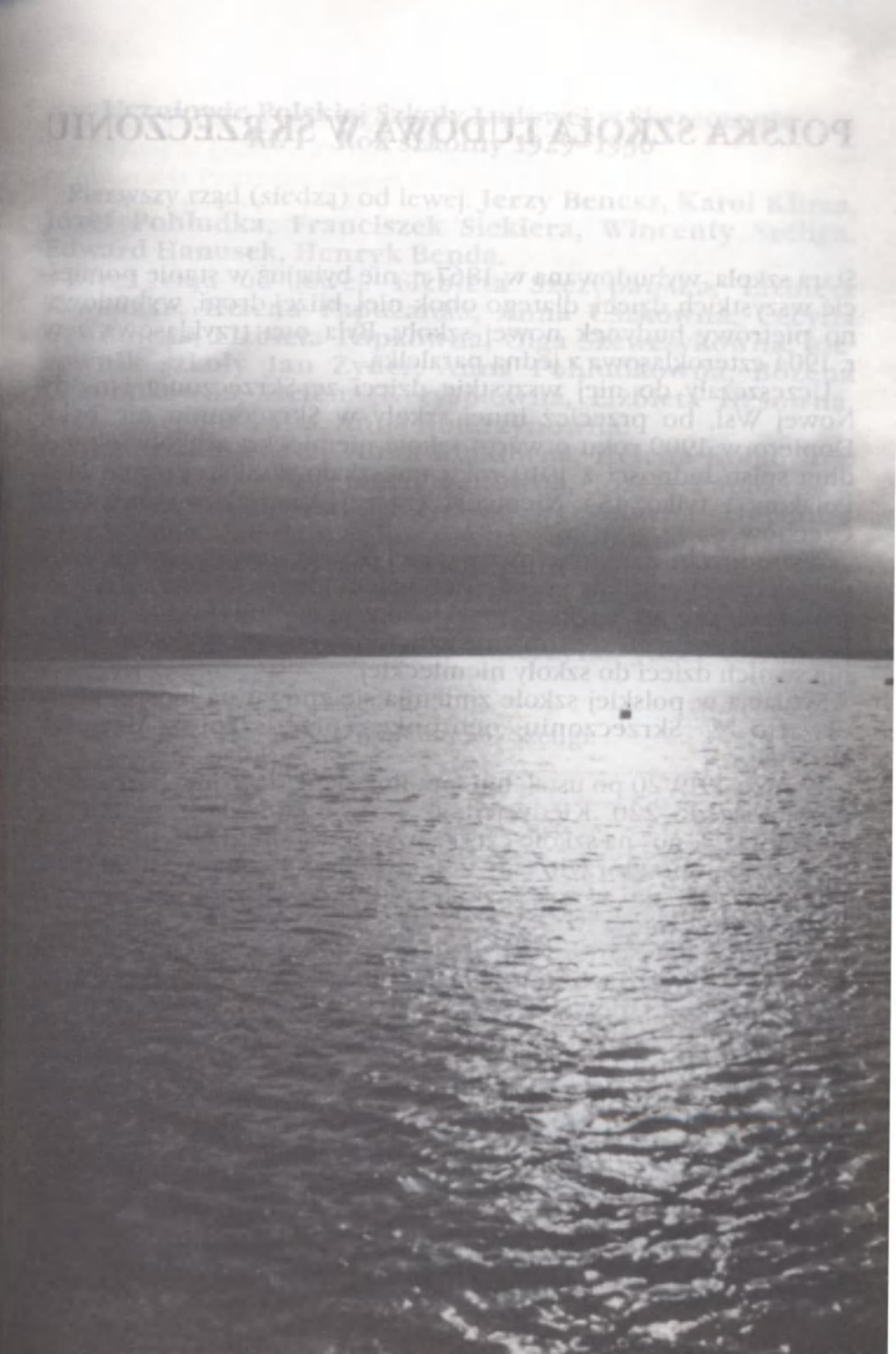

POLSKA SZKOŁA LUDOWA W SKRZECZONIU

Stara szkoła, wybudowana w 1867 r., nie była już w stanie pomieścić wszystkich dzieci, dlatego obok niej, bliżej drogi, wybudowano piętrowy budynek nowej szkoły. Była ona trzyklasowa a w r. 1904 czteroklasowa z jedną paralelką.

Uczęszczały do niej wszystkie dzieci ze Skrzeczonia i osady Nowej Wsi, bo przecież innej szkoły w Skrzeczoniu nie było! Dopiero w 1909 roku otwarto szkołę niemiecką, aczkolwiek według spisu ludności z 1910 roku mieszkało w Skrzeczoniu 2411 Polaków i tylko 454 Niemców (raczej Austriaków) oraz 353 Czechów.

Wybudowanie szkoły niemieckiej spowodowało gwałtowny ubytek dzieci w szkole polskiej, albowiem kierownictwa kolei państwowych czy też większych zakładów przemysłowych zmuszały po prostu różnymi sposobami swoich pracowników do wpisywania swoich dzieci do szkoły niemieckiej.

Sytuacja w polskiej szkole zmieniła się znowu na lepsze, kiedy otwarto w Skrzeczoniu ochronkę (przedszkole) Macierzy Szkolnej.

W roku 1919/20 po ustaleniu tzw. linii demarkacyjnej liczba dzieci wzrosła do 220. Kiedy jednak po r. 1920 szkołę niemiecką „przekształcono" na szkołę czeską, wyżej wspomniane „przeciąganie" dzieci powtórzyło się z jeszcze większym nasileniem... Pomimo wszystko w roku szkolnym 1937/38 były jeszcze pełne dwie klasy uczniów.

W r. 1945 miejscowe władze gminne nie zezwoliły na otwarcie polskiej szkoły. Dzieci zmuszone były uczęszczać do szkół polskich w Boguminie i Orłowej. Drzwi polskiej szkoły w Skrzeczoniu otwarto dopiero 15 września 1948. Największą liczbę dzieci zanotowano w r. 1949/50. W dwu klasach uczyło się 45 dzieci.

Ostatnim rokiem istnienia polskiej szkoły w Skrzeczoniu był rok 1968/69 - do szkoły uczęszczało 12 dzieci.

Polska szkoła w Skrzeczoniu istniała więc 110 lat i przez jej klasy przewinęło się tysiące dzieci miejscowych polskich rodzin. Nie można się więc dziwić, że trwa ona mocno w naszej pamięci.

WINCENTY SZELIGA

Uczniowie Polskiej Szkoły Ludowej w Skrzeczoniu
Kl. I Rok szkolny 1929–1930

Pierwszy rząd (siedzą) od lewej: **Jerzy Benesz, Karol Klima, Józef Pohludka, Franciszek Siekiera, Wincenty Szeliga, Edward Hanusek, Henryk Benda.**

Drugi rząd od lewej: **Elżbieta Szczepańska, Elżbieta Zawadzka, Helena Papużanka, Anna Uszkówna, Cecylia Ganitówna, Elżbieta Popkówna, Olga Szewczykówna, kierownik szkoły Jan Zyder, Anna Pohludkówna, Bożena Chrobokówna, Helena Krzystkówna, Elżbieta Hesówna, Anna Chrobokówna, Anna Koterżynówna.**

Trzeci rząd od lewej: **Anna Kołkówna, Helena Kołkówna, Józefa Hanuskówna, Maria Kotówna, Józefa Papużanka, Leontyna Opicówna, Helena Szewczykówna, Hermina Frankówna, Helena Soboszówna, Widłówna, Edyta Łukaszczykówna, Elżbieta Łukaszczykówna.**

Czwarty rząd od lewej: **Oton Guziur, Franciszek Marosz, Franciszek Sztwiertnia, Brunon Grzebień, Oton Maciejarz, Józef Musioł, Erwin Mrózek, Koterżyna, Józef Chrobok, Edward Sedlaczek.**

Zdjęcie jest własnością Wincentego Szeligi.

DZIĘWIĘĆDZIESIĘCIOLECIE CHÓRU LUTNIA

W roku 1908 założono w Lutyni Dolnej Kółko Śpiewacze, którego pierwszym dyrygentem był nauczyciel Wilhelm Greger, później nauczyciel Andrzej Fober. Próby urządzano raz w tygodniu w gospodzie gminnej Harendzie. Po pierwszych dyrygentach batuty przejęli nauczyciele Józef Topiarz, Jan Górniak i organista Ferdynand Janeczek. Chór liczył 19 osób.

Po powtórnym założeniu Macierzy Szkolnej w roku 1922 reaktywowano chór mieszany.

Dyrygentami chóru w okresie międzywojennym byli: Józef Małysz, Józef Płonka, Adolf Niedźwiedź, Frydolin Czerner, Karol Gierat, Karol Prymus, Jan Górniak, Rafał Bajger, Robert Gałuszka, Franciszek Klus, Karol Gzyl, Józef Mierzwa, Franciszek Szymonik, Rudolf Wójcik, Jan Mokrysz. W kwartecie nauczycielskim Rudolfa Siwka z Rychwałdu śpiewał również Józef Płonka. Dnia 16.4.1938 r. odbył się w Lutyni Dolnej na boisku Szkoły Wydziałowej zjazd chórów okręgu bogumińskiego, którego dyrygentem okręgowym był Paweł Pszczółka.

Po wyzwoleniu w Lutyni Dolnej przerzedzone szeregi śpiewacze skupiły się w Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym i pod batutą Emanuela Pastuszka, kierownika lutyńskiej szkoły, rozpoczęły pracę. Batutę dyrygenta przejęli następnie Stanisław Wacławik, Wanda Filipek i Alojzy Babiński.

Lutnia liczy obecnie 36 członków i zrzesza śpiewaków z różnych krańców Lutyni, Wierzniowic, Rychwałdu i Orłowej. Od niemal 40 lat chórem dyryguje Alojzy Babiński. Kiedy podziwia się jego ogromną ruchliwość, niespożytą siłę witalną, nie chce się po prostu wierzyć, że w roku bieżącym obchodzić będzie 74 lat.

Chór mieszany Lutnia zawsze godnie reprezentował swoje Koło i nasze społeczeństwo na różnych imprezach nie tylko u nas, ale również w Polsce. Wielkim przeżyciem dla chórzystów Lutni było uczestnictwo w VI Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie w 1985 roku. Były to chwile niezapomniane, pełne wzruszeń i życzeń dalszej owocnej pracy w krzewieniu piękna polskiej pieśni. Kolejne lata to okres, w którym praca całego zespołu była bardzo aktywna. Dyrygent sięgał po coraz ambitniejsze i trudniejsze utwory. Wysoki poziom artystyczny chóru osiągnięty został dzięki mozolnej, systematycznej i całkowicie bezinteresownej pracy członków chóru.

Lutnia występuje przeciętnie 15 razy w roku na imprezach Kół PZKO, imprezach centralnych, bierze udział w uroczystościach kościelnych obwodu bogumińskiego i orłowskiego, uczestniczy w przeglądach chórów oraz w Trojoku Śląskim. Przez wiele lat Lutnia współpracowała z chórem męskim Hasło z Orłowej, nadal kontynuuje współpracę z chórem mieszanym Słowik nad Olzą z Gorzyc w Polsce.

Przeciętna wieku chórzystów jest bardzo wysoka, niektórzy śpiewają w chórze ponad 60 lat. Śpiewają małżonkowie, rodzice z dziećmi, może dlatego panuje w nim atmosfera wyjątkowo serdeczna i niepowtarzalna.

Podobno muzyka łagodzi obyczaje, a pieśń niesie radość, wiedzą o tym śpiewacy starszego pokolenia, jednak młodzież nie garnie się do śpiewu. Również w naszym zespole brak młodych głosów, naszym zadaniem będzie szukanie nowych atrakcyjnych form pracy. Hasłem przewodnim naszego chóru mieszanego są słowa Adama Mickiewicza: *Płomień rozgryzie malowane dzieje, skarby mieczowi spustoszą złodzieje, pieśń ujdzie cało.*

MARIA SZTWIERTNIA

TOŻSAMOŚĆ NARODOWA MŁODZIEŻY NA POGRANICZACH

Istotną również dla naszego społeczeństwa publikację naukową wydał w ubiegłym roku Instytut Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego. Zagadnienie „Tożsamości narodowej młodzieży na pograniczach" podjęło tu wielu naukowców i to nie tylko z samej Polski, lecz także z Republiki Czeskiej, a nawet z Niemiec. Nie można więc a priori zarzucić pracy jednostronnego pod względem narodowym spojrzenia. Książka nie zajmuje się jednak młodzieżą na pograniczach w ogóle (jak można by wnioskować z jej tytułu), lecz skupia swoją uwagę na młodzieży polskiej, czeskiej, niemieckiej, ukraińskiej, białoruskiej, słowackiej oraz łużyckiej, cygańskiej i żydowskiej. Chodzi więc w przeważającej mierze o pogranicze państwa polskiego.

Redaktorami tomu są prof. Zenon Jasiński z Uniwersytetu Opolskiego i dr Anna Kozłowska z WSP w Częstochowie. Jak wielu czytelnikom Zwrotu wiadomo, w kręgu zainteresowań badawczych profesora Jasińskiego ważne miejsce zajmuje problematyka zaolziańska, w szczególności zaś nasze szkolnictwo. Również w omawianej tu pozycji nie brak artykułów poświęconych, tym razem, naszej młodzieży.

Książka pt."Tożsamość narodowa młodzieży na pograniczach" składa się z 30 artykułów podzielonych na 4 części. Pierwsza o nazwie „Teoretyczne aspekty tożsamości narodowej" stanowi właściwie wprowadzenie do problematyki. Wśród autorów znajdziemy tu między innymi prof. Tadeusza Lewowickiego z Uniwersytetu Warszawskiego, który znany jest naszemu społeczeństwu jako redaktor takich prac naukowych jak np.: „Dzieci z Zaolzia" czy „Kulturowe, społeczne i edukacyjne wyznaczniki dróg życiowych młodzieży z Zaolzia". Na drugą część pod nazwą „Edukacja a tożsamość" składają się artykuły autorstwa trzech pań z Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie w osobach prof. Ireny Bukowskiej-Floreńskiej, prof. Katarzyny Olbrycht i mgr Edyty Koperty. Poruszane tu kwestie to przede wszystkim związki pomiędzy tożsamością narodową a rodziną, sztuką czy tworzeniem więzi regionalnych w procesie edukacji literackiej.

Najobszerniejsza, i to zarówno pod względem objętości, jak i liczby artykułów, część publikacji nosi nazwę „Uwarunkowania tożsamości narodowej na pograniczach". Nazwa ta jest mianownikiem wszyst-

kich zamieszczonych tutaj przyczynków, z których jednak każdy posiada własny punkt ciężkości, jak również na ogół poświęcony jest innej młodzieży. I tak np. jest tu mowa o identyfikacji z grupą społeczną, determinantach i problemach tożsamości narodowej, nowych sytuacjach społeczno-kulturowych, dylemacie dwoistości życia, zróżnicowaniu kulturowym pogranicza, strukturze stereotypów narodowościowych, postawach młodzieży itd. Natomiast odnośnie narodowości i miejsca zamieszkania młodzieży prace zajmują się kolejno: młodzieżą na Śląsku Cieszyńskim, a więc polską, czeską i zaolziańską!, polską młodzieżą na pograniczu polsko-czeskim, młodzieżą ostrawską i opawską, czeską młodzieżą na pograniczu czesko-polskim, młodzieżą na pograniczu polsko-niemieckim i vice-versa, młodzieżą prawosławną w woj. białostockim, młodzieżą na pograniczu wschodnim oraz na Podhalu i Orawie.

Czytelnik znajdzie tu jednak również artykuły, których tematem nie jest wyłącznie młodzież. Zagadnienie tożsamości narodowej na danych pograniczach ujęte jest bowiem w sposób bardziej kompleksowy, a więc dotyczący całych społeczeństw. Badania poświęcone również naszej społeczności znajdują się w tekście dr. Tadeusza Kani „Nowe sytuacje społeczno-kulturowe na pograniczu Śląska Cieszyńskiego" oraz przede wszystkim w „Dylemacie dwoistości życia polskiej społeczności na Zaolziu" pióra dr Haliny Rusek. Autorzy są pracownikami UŚ w Cieszynie, a więc zaolziańską problematykę znają nie tylko z teorii, a Halina Rusek jest ponadto mieszkanką Zaolzia. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż ostatnio ukazała się jej książka „Kulturowe wzory życia polskich rodzin na Zaolziu a asymilacja". Również pewien „dylemat dwoistości życia" jest jak wiadomo udziałem takich społeczeństw jak nasze. Tym bardziej wskazane jest zapoznanie się z tym, co zostało tu na ten temat napisane.

Ostatnią część publikacji „Tożsamość narodowa młodzieży na pograniczach" tworzą „Komunikaty". Różnią się one od pozostałych artykułów przede wszystkim nieco odmienną tematyką wykraczającą poza zagadnienie tożsamości narodowej i spraw młodzieżowych. Kto zainteresowany jest takimi kwestiami jak np. społeczna akceptacja idei euroregionalizacji, Cyganie a obywatelska tolerancja w Czechach, język łużycki jako komponent etniczności Łużyczan, życie organizacyjne jako determinanta tożsamości narodowej i kulturalnej Żydów czy wreszcie stosunek do innych narodowości uczniów szkół średnich na Morawach, powinien znaleźć w „Komunikatach" wiele cennych informacji.

Miłym dla nas akcentem publikacji jest zdjęcie umieszczone na stronie tytułowej, które przedstawia Gorolski Święto w Jabłonkowie.

ROMAN BARON

SKARBNICA SPUŚCIZNY I WIEDZY O REGIONIE

Burzliwa przeszłość Śląska Cieszyńskiego, jego częste zmiany przynależności państwowej, zwłaszcza w XX wieku, nie sprzyjały dochowaniu bazy źródłowej dla badaczy przeszłości. Pomimo tego dzięki usilnym staraniom odpowiednich instytucji, zacnych przyjaciół i zagorzałych bibliofilów udało się uratować cenne zbiory materiałów dokumentacyjnych, które niestety nie zawsze są z różnych przyczyn należycie wykorzystywane przez historyków i badaczy różnych dziedzin przeszłości regionu.

W Cieszynie, stolicy historycznego Śląska Cieszyńskiego, znajduje się kilka ośrodków zawierających i opiekujących się bogactwem piśmienniczym i wydawniczym dotyczącym przeszłości nie tylko regionu. Jest to Biblioteka im. Tschammerów przy Parafii Ewang.-Augsburskiej, Biblioteka Dekanatu Parafii św. Marii Magdaleny, Biblioteka oo. Bonifratrów w cieszyńskim klasztorze Zgromadzenia Braci Miłosiernych, Biblioteka Muzeum Miejskiego w Cieszynie oraz Książnica Cieszyńska. Razem obejmują kilkadziesiąt tysięcy rękopisów, ponad 160 tys. książek i czasopism, w tym 24 tys. starych druków (wydanych do 1800 r.) i 77 inkunabułów (druki do 1501 r.). Zbiory te stanowią jeden z ważniejszych składników kulturowej spuścizny regionu oraz cząstkę uniwersalnego, głównie polskiego, niemieckiego i czeskiego dziedzictwa piśmienniczego.

Naszą uwagę skupimy na Książnicy Cieszyńskiej. Jest to biblioteka naukowa, powstała w 1994 roku. Należy do najmłodszych bibliotek w Polsce, lecz jej zbiory mają długą i bogatą historię. W ich skład wchodzi kilka kolekcji książkowych, które powstały lub były przechowywane na terenie Cieszyna od ponad 200 lat. Wymienimy najważniejsze: biblioteka ks. L. Szersznika z przełomu XVIII i XIX w. - najstarsza biblioteka publiczna na ówczesnym Śląsku Austriackim; biblioteka J. I. Kraszewskiego, od 1908 r. w Cieszynie; biblioteka Czytelni Ludowej założonej w 1861 r.; biblioteka Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego powstałego w 1901 r.; biblioteka T. Regera posiadająca cenny zbiór do badań nad historią Śląska Cieszyńskiego od 90-tych lat XIX w. do 1938 roku. Najobszerniejszą biblioteką jest tzw. księgozbiór pomuzealny, wydzielony w 1960 r. z biblioteki muzeum w Cieszynie jako nieprzydatny tej placówce. Obejmuje kilkaset jednostek ewidencyjnych rękopisów, 2500 starodruków, 27 tys. druków zwartych i kilkanaście tysięcy roczników czasopism, głównie miejscowych. Księgozbiór ten jest na bieżąco uzupełniany i jako całość posiada największą wartość dla badaczy zarówno bardziej odległej przeszłości, jak i najnowszych czasów Śląska Cieszyńskiego. Warto zaznaczyć, że do 1920 r. znajdują się w nim również cenne pozycje z Zaolzia lub o Zaolziu.

Książnica Cieszyńska organizuje od 1993 r. w Cieszynie Letnie Szkoły Bibliotekoznawstwa. Ostatnia czwarta, najważniejsza z nich, odbyła się w 1996 r., zorganizowana nie tylko dla potrzeb Książnicy, ale wszystkich

cieszyńskich bibliotek zabytkowych. Poprzedzona została kilkumiesięcznym programem badawczym, tworząc płaszczyznę do podsumowania jego wyników.

Czwartą Letnią Szkołę Bibliotekoznawstwa organizowała Książnica Cieszyńska przy wsparciu Centrum Badań Śląskoznawczych i Bohemistycznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Program sfinansowany został z subwencji Open Society Institute w Budapeszcie przyznanej Książnicy w ramach Regional Library Program. Jego celem było pełne naukowe rozpoznanie wszystkich przechowywanych w Cieszynie zabytkowych kolekcji książkowych i opracowanie na tej podstawie koncepcji badań, których realizacja powinna w perspektywie doprowadzić do włączenia owych zbiorów do międzynarodowego obiegu naukowego. Do udziału w programie zaproszono specjalistów z Polski (prof. dr hab. Barbara Bieńkowska, prof. dr hab. Józef Szczepaniec), Czech (PhDr Anežka Baďurová z Biblioteki Głównej Czeskiej Akademii Nauk w Pradze, PhDr Lubomír Bajger z Biblioteki Instytutu Śląskiego w Opawie) i z Niemiec (Jelko Peters, współpracownik Federalnego Instytutu Wschodnioniemieckiej Kultury i Historii w Oldenburgu, prof. dr Alfred G. Świerk z Uniwersytetu w Erlangen). Opracowano także referaty dotyczące polskiego, czeskiego i niemieckiego stanu badań nad księgozbiorami historycznymi z terenu całego Śląska.

Ekspertyzy i referaty zostały przedstawione na konferencji pn. Historyczne księgozbiory Cieszyna na tle śląskim. Rola kulturowa i przedmiot badań. Odbyła się w dniach 28-30 października 1996 w Cieszynie z udziałem ok. 50 specjalistów z kraju i zagranicy. Wszystkie materiały zostały opublikowane („Historyczne Księgozbiory Cieszyna na tle śląskim. Rola kulturowa i przedmiot badań." pod redakcją Ryszarda Gładkiewicza. Książnica Cieszyńska, Cieszyn 1997, s. 194).

Dyrektor Książnicy Krzysztof Szelong we „Wprowadzeniu" stwierdził, że zorganizowanie konferencji i wyniki całej akcji zostały jednoznacznie pozytywnie ocenione przez wszystkich uczestników. Przedstawione w trakcie konferencji oceny stanu badań, zawierające - z jednej strony - obfity i uporządkowany materiał bibliograficzny, z drugiej zaś usystematyzowany katalog postulatów badawczych oraz bogaty zestaw propozycji metodologicznych, stać się mogą punktem wyjścia i programową podstawą planowania dalszych badań, służąc zarazem jako cenna pomoc warsztatowa dla bibliologów oraz historyków zajmujących się kulturą Śląska.

Społeczeństwo cieszyńskie a zwłaszcza tych, którzy w jakikolwiek sposób parają się dokumentacją przeszłości regionu, powinien szczególnie ucieszyć fakt, że istnieje w Cieszynie instytucja, która nie tylko w naukowy sposób otacza opieką spuściznę piśmienniczo-wydawniczą, pogłębia jej porządkowanie i udostępnianie, ale także w sposób systematyczny, organizowany gromadzi dochowane materiały i na bieżąco uzupełnia całą produkcję wydawniczą przedmiotową i podmiotową Śląska Cieszyńskiego, w tym i Zaolzia.

STANISŁAW ZAHRADNIK

LEKSYKON REGIONALNEJ HISTORII MEDYCYNY

Drukowany w odcinkach w Biuletynie Okręgowej Izby Lekarskiej Pro Medico w Katowicach „Leksykon regionalnej historii medycyny" w roku 1997 w numerach 33 i 36 zamieścił również przygotowane przez Krzysztofa Brożka liczne hasła zaolziańskie. Wśród wybitnych lekarzy i naukowców z dziedziny medycyny, których życiorysy podano w leksykonie, znalazły się następujące nazwiska ludzi związanych z Zaolziem:

Bruk-Stonawski Władysław (1904-1981) - ur. w Bystrzycy, lekarz ginekolog, położnik, przed wojną w Ustroniu Śl., w czasie wojny w Szwajcarii w obozach internowanych, po wojnie zaangażowany w repatriację Polaków do kraju, od r. 1946 w Piekarach Śl., następnie w Cieszynie, m. in. kierownik Powiatowego Wydziału Zdrowia i dyrektor szpitala przeciwgruźlicznego.

Bujwid Odo Feliks Kazimierz (1857-1942) - twórca polskiej mikrobiologii, lekarz bakteriolog i immunolog, w roku 1900, gdy Domowi Polskiemu w Ostrawie groziła licytacja, poprzez założenie w Krakowie Komitetu dla Ratowania Domu uzyskał finanse na ten cel.

Dostal Karol (1907-1980) - lekarz dermatolog, ur. w Pietwałdzie, absolwent orłowskiego gimnazjum, od roku 1938 lekarz miejski i kolejowy w Karwinie, po wojnie pracował w Cieszynie.

Gaudyn Janusz (1935-1984) - lekarz i poeta, absolwent orłowskiego gimnazjum, pracował w szpitalach w Czeskim Cieszynie, Trzyńcu, w przychodni w Trzycieżu, założył Grupę Literacką 63., prezes Sekcji Literacko-Artystycznej przy ZG PZKO, członek Katowickiego Oddziału Związku Literatów Polskich, Unii Polskich Pisarzy Medyków, uczestnik Międzynarodowych Zjazdów Polskiego Towarzystwa Lekarskiego.

Hałacz Józef (1887-1947) - ur. w Dąbrowie, lekarz dermatolog, brat Emanuela, lekarza, po pierwszej wojnie światowej pracował w Komitecie Plebiscytowym w Łazach, po r. 1920 w Będzinie został dyrektorem państwowego szpitala dla prostytutek, następnie lekarzem obyczajowym przy Dyrekcji Policji w Katowicach.

Kania Henryk (1905-1965) - ur. w Mostach k. Cz. Cieszyna, profesor Akademii Medycznej w Gdańsku, autor pierwszego polskiego podręcznika chirurgii rekonstrukcyjnej „Zarys chirurgii wytwórczej".

Knapczyk Aleksander (1886-1939) - ur. w Boguminie, lekarz ogólnie praktykujący, po r. 1920 w Mysłowicach.

Knapczyk Andrzej (1847-1914) - lekarz miejski i sądowy oraz kolejowy w Boguminie, przewodniczący Komitetu Budowy Domu Polskiego w Ostrawie w r. 1899.

Kożusznik Bogusław (1910-1996) - ur. w Suchej Dolnej, absolwent orłowskiego gimnazjum, od r. 1938 lekarz górniczy w Karwinie, po wojnie m. in. wiceminister zdrowia, poseł do Sejmu, współorganizator Światowej Organizacji Zdrowia, przewodniczący Polskiego Komitetu Współpracy z UNICEF, profesor Akademii Medycznej w Warszawie, autor ponad 200 prac z zakresu medycyny społecznej, uczestnik I Światowego Zjazdu Zaolziaków w Czeskim Cieszynie w r. 1990.

Kubeczka Adolf (1900-1979) - ur. w Błędowicach Dolnych, absolwent orłowskiego gimnazjum, lekarz szkolny Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji, zastępca lekarza kasowego w Karwinie, po odebraniu mu przez Czechów prawa do wykonywania zawodu - posiadał dyplom Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie - przeniósł się do Polski.

Kubisz Jan Władysław (1885-1948) - ur. w Gnojniku, syn poety Jana, lekarz chirurg, najpierw w Szpitalu Powszechnym w Ostrawie, od r. 1922 w Szpitalu Śląskim w Cieszynie, założyciel i prezes Koła Cieszyńskiego Towarzystwa Lekarzy Polaków na Śląsku.

Kunicki Adam (1903-1989) - ur. we Frysztacie, profesor Akademii Medycznej w Krakowie, współtwórca polskiej neurochirurgii.

Matuszek Ernest (1897-1952) - ur. w Rychwałdzie, lekarz radiolog, uczestnik wojny polsko-czeskiej, w r. 1938 komisarz Zakładu Ubezpieczeń Górników i Hutników w Karwinie, po wojnie pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, redaktor, autor podręcznika „Zarys techniki rentgenowskiej".

Mazurek Józef (1891-1968) - ur. w Rychwałdzie, lekarz ogólnie praktykujący, w latach 1923-25 lekarz w Karwinie, od r. 1938 dyrektor sanatorium w Darkowie, w czasie wojny w Bystrzycy, lekarz AK, po wojnie

zbierał materiały do historii polskiego ruchu oporu na Zaolziu, w latach 1955-58 członek ZG PZKO.

Michejda Adam (1916-1961) - ur. w Bystrzycy, absolwent orłowskiego gimnazjum, lekarz chirurg dziecięcy, ordynator Oddziału Chirurgii Dziecięcej Szpitala im. Rydygiera, kierownik IV Katedry i Kliniki Chirurgii Dziecięcej Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Michejda Kornel (1887-1960) - ur. w Bystrzycy, profesor chirurgii w Wilnie, Gdańsku i Krakowie.

Michejda Tadeusz (1879-1956) - ur. w Nawsiu, syn Franciszka, pastora ewangelickiego, działacza narodowego na Śląsku Cieszyńskim, lekarz górniczy w Suchej Górnej, w latach 1918-19 członek Rady Narodowej Śląska Cieszyńskiego, po r. 1920 w Polsce, m. in. minister zdrowia, poseł do Sejmu.

Pająk Józef (1897-1943) - ur. w Rychwałdzie, lekarz neurolog, psychiatra, uczestnik wojny polsko-czeskiej w r. 1919, autor artykułów z zakresu neurologii i psychiatrii, opublikował „Boje o Śląsk Cieszyński a służba zdrowia", „Gazeta Lekarska Śląska Polskiego", Cieszyn 1939, z. 1 s. 1-13.

Rykała Paweł (1893-1956) - ur. w Wędryni, lekarz radiolog, uczestnik wojny polsko-czeskiej w r. 1919, w latach 1924-56 lekarz w Śląskim Szpitalu w Cieszynie.

Seidl Wacław (1867-1939) - lekarz górniczy w Niemieckiej Lutyni koło Bogumina, prezes Stowarzyszenia Dom Polski, które objęło opiekę nad otwartym w r. 1900 Domem Polskim w Ostrawie.

Wolny Alojzy (1902-1959) - ur. w Rychwałdzie, absolwent orłowskiego gimnazjum, lekarz ogólnie praktykujący, mieszkał i pracował w Polsce.

Wolny Gabriel (1906-1973) - ur. w Rychwałdzie, brat Alojzego, absolwent orłowskiego gimnazjum, lekarz ogólnie praktykujący, mieszkał i pracował w Polsce.

Wöllersdorfer Adolf (1885-1940) - ur. w Mostach k. Cz. Cieszyna, lekarz wojskowy, uczestnik wojny polsko-czeskiej w r. 1919, polsko-sowieckiej w latach 1919-20, w r. 1938 wrócił na Zaolzie, więzień Starobielska, zamordowany w Charkowie.

opr. C.R.

TYDZIEŃ PEŁEN PRZYGÓD

W dniach od 27 lipca do 1 sierpnia br. odbywał się w Koszarzyskach, zorganizowany przez Radę Polaków, Kurs Wodzireja. Do Domu PZKO zjechało 13 młodych ludzi, pragnących uzupełnić swoją wiedzę na temat prowadzenia imprez. Wykładowcami byli: Danuta Branna, Bogdan Kokotek, Krystyna Klimsza, Leszek Kalina, Wiesław Przeczek. Mówili o organizacji imprez, sprawach formalno-prawnych, dykcji...

Uczestnicy kursu podzieleni zostali na grupy. Każda grupa miała codziennie przygotować konkretną impezę, która następnie była oceniana. Nie wszystkie niekonwencjonalne pomysły udało się połączyć w zgrabną całość. Do udanych małych imprez zaliczyć można Kabaret i RE.WE.KA (relaks, wernisaż, kabaret) oraz dzień sportowy Paraolimpiada Mrówek i Niekonwencjonalna Burza Sportów Różnych. Były też duże imprezy: Wybory Miś oraz Festyn.

Gorąco witanymi gośćmi kursu, na który dotarli 31 lipca również uczestnicy wcześniejszych kursów wodzireja, byli członkowie polskiego zespołu Harlem. Pierwsze owacje zgotowano im już w lesie. W budynku drogę do sali oświetlały płonące świece. Po tradycyjnym powitaniu chlebem i solą zapalono światła, a na scenie przedstawił się Wodzirejowski Harlem w składzie: Agnieszka Branna – śpiew, gitara, Jacek Branny – wiolonczela, Rafał Zawadzki – gitara, Marek Grycz – patelnia, wiaderko, skrzynka. Następnie odbył się koncert prawdziwego Harlemu.

A rano wszyscy wyruszyli do Bystrzycy na Zlot Młodzieży.

KSENIA OWCZARZY

DOŻYNKI

W Gutach już po raz 31. odbyły się Dożynki Śląskie z udziałem licznie przybyłych gości. Gospodarzami tegorocznych byli Franciszka i Jan Kaletowie. Dożynkowy wieniec wręczyli im młodzi tancerze z zespołu Ołdrzychowice, którzy brali także udział w programie artystycznym obok chóru Godulan z Ropicy, zespołu Skotnica z Orłowej-Lutyni i kapeli Kamraci.

Gospodarzami Dożynek pod Tyrką, organizowanych przez MK PZKO w Oldrzychowicach, byli Helena i Jan Kowalczykowie. I tu podobnie jak w Gutach nie zabrakło dożynkowego korowodu i wspaniałych kołaczy.

Swoje święto plonów obchodzili również błędowiczanie. Niestety ulewny deszcz spowodował, że licznie przybyli do Błędowic sympatycy dożynkowych godów musieli pomieścić się w sali miejscowego Domu PZKO. Ale miła rodzinna atmosfera, stworzona przez organizatorów z MK PZKO i gospodarzy dożynek Danutę i Jana Nierostków, wynagrodziła pogodowe niedostatki. W programie kulturalnym zaprezentowali się zespół Bystrzyca i kapela Kamraci oraz błędowickie przedszkolaki i uczniowie polskiej szkoły. E.S.

Gospodarze dożynek w Błędowicach

PROFESOR ANDRZEJ STELMACHOWSKI W GNOJNIKU I CZESKIM CIESZYNIE

Na rozpoczęcie nowego roku szkolnego w Gnojniku przybyło tak wielu utytułowanych gości, że trudno było pomieścić dostojne grono wraz z dziećmi i wychowawcami w budynku szkolnym. Toteż mimo chłodnego poranka uroczystość miała miejsce na szkolnym boisku, gdzie na ławkach zajęli miejsca uczniowie, nauczyciele, rodzice i goście, m. in. minister Jaroslav Bašta, ambasador RP w Pradze Marek Pernal, przedstawiciel polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych dyrektor Jacek Junosza Kisielewski, prezes Stowarzyszenia Wspólnota Polska prof. Andrzej Stelmachowski i prezes Oddziału Wojewódzkiego w Bielsku-Białej Wojciech Dębowski. Dyrektor Małgorzata Rakowska podzieliła się z zebranymi radosną wiadomością o uzyskaniu pozwolenia na rozbudowę polskiej szkoły w Gnojniku, a architekt Józef Kiszka zademonstrował jej makietę. Koszty planu architektonicznego nowej szkoły w Gnojniku pokryło Stowarzyszenie Wspólnota Polska.

Wizyta prof. Stelmachowskiego w gnojnickiej szkole miała przede wszystkim charakter roboczy, toteż nic dziwnego, że wraz z profesorem do Gnojnika przybył dyr. Andrzej Chodkiewicz. Po części oficjalnej uroczystości obaj panowie zwiedzili szkołę, a potem odbyli rozmowę na temat polskiego szkolnictwa na Zaolziu z miejscowymi nauczycielami i przewodniczącym Towarzystwa Nauczycieli Polskich w RC Stanisławem Folwarcznym. Odwiedzili także PSP w Czeskim Cieszynie i redakcję Zwrotu. E.S.

BABSKI FESTYN W GRÓDKU

Niezwykle tłoczno było na tegorocznym Babskim Festynie, którego organizatorami była Sekcja Kobiet przy ZG PZKO i Miejscowe Koło w Gródku. W programie artystycznym wystąpiły dzieci z polskiej szkoły z Gródka i Karwiny-Frysztatu oraz kapela i zespół folklorystyczny Bystrzyca. Tradycyjnie nie zabrakło wspólnego śpiewania pod kierownictwem Józefa Wierzgonia. W Domu PZKO można było obejrzeć wystawę prac twórców ludowych: Jana Heczki, Pawła Martynka i Józefa Borskiego oraz piękne hafty, robótki szydełkowe i kompozycje z suchych kwiatów przygotowane przez Klub Kobiet w Gródku. Powodzeniem cieszyło się stoisko z książkami firmy Contact. Kupowano książeczki dla dzieci i śpiewnik opracowany przez Józefa Wierzgonia. Przewodnicząca Sekcji Kobiet może mieć powody do zadowolenia. Panie, jak zwykle, nie zawiodły. E.S.

MSZA POLOWA W CIERLICKU-KOŚCIELCU

W 66. rocznicę tragicznej śmierci polskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury przed pomnikiem bohaterów odprawiona została polowa Msza św. Wzięli w niej udział przedstawiciele Aeroklubu z Bielska-Białej, wicekonsul RP w Ostrawie Małgorzata Filipek, przewodniczący Rady Polaków Wawrzyniec

Fójcik, przedstawiciele Koła Polskich Kombatantów w RC na czele z jego przewodniczącym Bronisławem Firlą i harcerze. Po mszy pod pomnikiem złożone zostały kwiaty. Bielski Aeroklub z okazji 80-lecia polskiego lotnictwa zorganizował w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury uroczyste spotkanie swoich członków. **E.S.**

MŁODZIEŻOWY FESTYN GÓRSKI W KOSZARZYSKACH

Rada Młodzieży i Sportu przy ZG PZKO i MK PZKO w Koszarzyskach były organizatorami Młodzieżowego Festynu Górskiego w Ośrodku ZG PZKO w Koszarzyskach. Niestety nie powiodła się kolejna próba wznowienia tej niegdyś cieszącej się olbrzymim powodzeniem imprezy. Przybyło niewiele młodzieży, choć organizatorzy przygotowali dla niej wiele atrakcji. Były zawody rowerowe, mecz siatkówki, zawody w ringo i dobra muzyka znanych zespołów młodzieżowych, takich jak Hazah czy Arzia.

E.S.

PAŹDZIERNIKOWY GOŚĆ KAWIARENKI POD PEGAZEM

Niezwykła to osobowość naukowa, badacz literatury, zwłaszcza czeskiej, absolwent Uniwersytetu Karola w Pradze i Palackiego w Ołomuńcu. Nieustający w pracy, zrównoważony, świadomy słowa, rodowity Ślązak. Po studiach pracuje naukowo w Instytucie Śląskim oraz Muzeum w Opawie, jest wykładowcą na wydziale pedagogiki w Zlinie... W 1980 roku odchodzi na przedwczesną rentę inwalidzką (dotkliwie poznaczony w 1968 roku „normalizacją" życia politycznego). Obecnie jest redaktorem naczelnym miesięcznika literackiego ALTERNATIVA Nova, wychodzącego od 1994 roku w Opawie. Podwójny nr 9–10 z czerwca br. poświęcony jest literaturze polskiej na Zaolziu.

Drahomír Šajtar jest autorem wielu studiów literackich drukowanych w prasie literackiej oraz znaczących publikacji, między innymi – „Złamana droga", Ostrawa 1945; „Źródła pieśni śląskich", Praga 1954; „Mit Ojczyzny", Karwina 1993; „Poezja 1931–34", Opawa 1966; „Poeta Eduard Bagrickij", Šenov u Ostravy 1997 i inne. Napisał również książkę poświęconą Renacie Putzlacher...

Panie Doktorze, co było i stale jest przedmiotem pańskich dociekań, badań i sądów literackich?

Na UK studiowałem romańską literaturę porównawczą, zwłaszcza francuską. W roku 1948 musiałem przejść do Ołomuńca na wydział literatur słowiańskich, w szczególności literatury czeskiej. Po studiach, już jako pracownik Istytutu Śląskiego CzAN w Opawie, gros mej pracy badawczej poświęciłem twórczości P. Bezruča oraz określonym zjawiskom w literaturze regionalnej wypływającym z jego dzieła. Badania dotyczyły przede wszystkim lat 90-tych minionego stulecia. Francuski modernizm studiowałem też dlatego, ażeby odkryć, porównać jego wpływ na literaturę czeską od symbolizmu, dekadencji po poetyzm i surrealizm.

Jest pan rodowitym Ślązakiem urodzonym w Zabłociu k. Bogumina. Obecnie żyje pan w Ostrawie... Co stanowi inspirację dla zainteresowań, głębszych spojrzeń krytyki czeskiej, specjalistów od literatury na twórczość literatury polskiej powstającej w Republice Czeskiej na Zaolziu. Jak pan widzi ów dorobek w kontekście czeskich środowisk literackich regionu morawsko-śląskiego?

Na jesieni 1947 roku podczas dłuższego pobytu w Polsce poznałem niektórych poetów polskich - K. I. Gałczyńskiego, Tadeusza Różewicza..., pó niej nawiązałem serdeczne przyjaźnie z wielu literatami polskimi, byłem ich częstym gościem, a tym samym w ciągłym kontakcie z literaturą polską, co trwa do dzisiaj. Jeśli chodzi o polskich autorów naszego Cieszyńskiego, studiowałem ich dorobek na bieżąco, stale (zwłaszcza twórczość Henryka Jasiczka), niemniej jednak w ostatnim czasie moje zainteresowanie ową „naszą" literaturą ma głębszy wymiar, znaczenie; sądzę, iż dlatego, bowiem dopiero dzisiaj dorównuje każdej innej dobrej literaturze. Chcę powiedzieć, że najbardziej pociąga mnie poezja Renaty Putzlacher, która dokumentuje to w sposób najbardziej przekonywujący, najbardziej plastycznie. Co mnie inspiruje? Nade

wszystko to, co mnie inspirowało w stosunku do lit. czeskiej: iż z tego kraju pochodzę, stąd (konkretnie z Rychwałdu) – po matce, ojciec wywodził się z Moraw – nasz ród, iż kraj ten kocham i głównie dlatego, że i w literaturze czeskiej na Śląsku wyłaniały się tak nadzwyczajne zjawiska – po Bezruču czy Závadzie – jak Bohumír Četyna, Josef Strnadel, Václav Chytil czy fenomen Jindřich Zogata, którego twórczość jawi się jako jeden z filarów literatury czeskiej w ogóle.

Być może warto by porównać obie literatury naszego kraju – czeską i polską. Przykładowo twórczość (prozatorską) Władysława Sikory i Jindřicha Zogaty – jakoby wyrastały z korzeni identycznych. Chociaż być może na tego rodzaju poczynania jest poniekąd za wcześnie – właśnie w ostatnim podwójnym numerze ALTERNATIVY, poświęconym literaturze polskiej na Zaolziu, próbowałem prześledzić jej rozwój i doszedłem do ciekawej poniekąd konkluzji: że literatura polska w czeskiej części Cieszyńskiego orientuje się raczej ku współczesnej literaturze ogólnopolskiej, a kontakty twórców (wpływy literatury czeskiej) raczej stagnują... A jeśli chodzi o pańską twórczość, przyjacielu Janie, ma pan, wydaje mi się bliżej do literatury słowackiej niż czeskiej.

W październiku zgodził się pan być gościem jabłonkowskiej Kawiarenki Pod Pegazem z niezwykle frapującym tematem – Twórczość poetycka Renaty Putzlacher z Czeskiego Cieszyna...

Tak, zgodziłem się, chociaż ostatnio trochę niedomagam. Pani Putzlacher? W tej chwili jest gdzieś na pograniczu, pełna fermentu twórczego. W liście przedwakacyjnym mi pisze, że swojego nowego tomiku poezji, zapowiedzianego w Krakowie, nie wyda, bowiem w jakimś sensie – wierzę, iż chwilowo – z poezji rezygnuje... Będzie to proza czy eseistyka, co ponownie wciągnie ją do literatury? To będzie jedno z wielu pytań, które chciałbym jej w Kawiarence Pod Pegazem w Jabłonkowie postawić...

Rozmawiał JAN PYSZKO

KRZYŻÓWKA

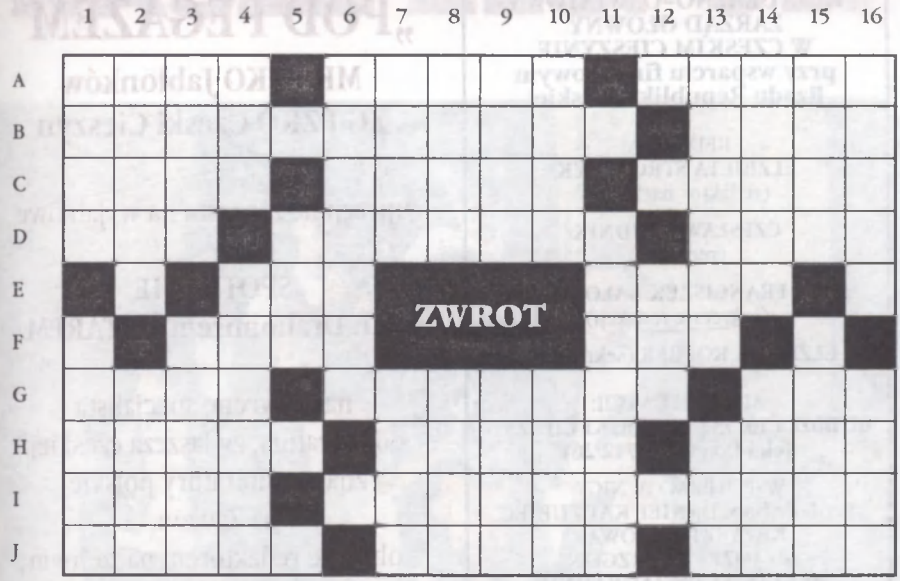

POZIOMO: A. Duży kamień; brzęczący owad; między ramieniem a bokiem klatki piersiowej. **B.** Odbiornik radiowy; imię Kruczkowskiego. **C.** O_3; imię Polańskiego; tytuł szlachecki. **D.** W starożytności rzeka w Afryce; roślina rosnąca w górach; awangardowy ruch literacko-artystyczny w latach 1916-1923. **E.** Biblijna Moabitka; wieczne miasto. **F.** „Morze" po łacinie; pląs. **G.** Koń krwi czystej; specjalista w zakresie metod liczbowych; pojazd konny używany w Anglii w połowie XIX wieku. **H.** Złudzenie; czeski malarz i grafik (Václav); pospolicie oko. **I.** Kość, cesarz rzymski, przyrodni brat Gracjana (IV w.n.e.). **J.** Kultura starożytna; kreska; wydawca podręczników i słowników (Michał).

PIONOWO: 1. Napój alkoholowy; znak na monetach tureckich i tatarskich. **2.** Włóczęga; polska piosenkarka (Danuta). **3.** Szwajcarski polityk i działacz społeczny (Gustave); rewolucjonista francuski (Jean Paul). **4.** Polski architekt (Wiktor); wąskie grządki kwiatowe. **5.** Kiedy pieje, pogoda się chwieje. **6.** Prowitamina A. **7.** Dydelf; rzeka na granicy Europy i Azji. **8.** Matka pieszczotliwie; państwo w Afryce. **9.** Hodowca bydła w Mongolii; czeski aktor (Marek). **10.** Angielski przemysłowiec filmowy (anagram wyrazu KRAN); żona radży. **11.** Twórca lub odtwórca dzieł sztuki. **12.** Rosyjski pianista (Jakow). **13.** Bohater baśni arabskiej; Ghańska Agentura Informacyjna (ang. skrót). **14.** Pisarz niemiecki („Bogowie, groby i uczeni"); stolica Egiptu. **15.** Robin...; okazały gmach. **16.** Rocznik; opaska, obręcz w ślusarstwie.

Wyrazy trudne: ADOR, GIR, KAB, TAMGA, ZAK. (taj)

Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki – przysłowie ludowe z Śląska Cieszyńskiego – dadzą litery w następujących kratkach: A-1, H-15, G-7, B-7, H-2, F-11, J-4, C-16, A-14, D-6, B-3, C-15, I-6, C-1, I-1, A-2, E-5, F-15, H-11, C-2, E-13, J-16, G-11, C-10, J-15, B-15, J-9, D-2, G-9, G-4, I-14, I-9, C-6, B-14.

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy przesyłać do końca miesiąca października.

Rozwiązania krzyżówek z numeru sierpniowego:

Wykreślanka: DO ODWIEDZENIA RODZINNYCH STRON KOLUMNA ZYGMUNTA NA PLACU ZAMKOWYM

Logogryf łukowaty: ŻELAZOWA WOLA

Krzyżówka sylabowa: KRZYWA WIEŻA

Synteza krzyżówki: POJEZIERZE MAZURSKIE

Nagrody książkowe wylosowali: Władysław Kwaśnica – Bogumin-Skrzeczoń, **Maria Kolberowa** – Czeski Cieszyn, **Wanda Gągolowa** – Orłowa-Lutynia, **Teresa Hůlkowa** – Cheb, **Władysław Bobek** – Stonawa

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/712 261

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

KAWIARENKA „POD PEGAZEM“

MK PZKO Jabłonków
ZG PZKO Czeski Cieszyn

uprzejmie zaprasza na wyjątkowe

SPOTKANIE
z dr. Drahomírem ŠAJTAREM,

naukowcem, specjalistą od literatury, zwłaszcza czeskiej, znawcą literatury polskiej na Zaolziu, obecnie redaktorem naczelnym miesięcznika literackiego ALTERNATIVA Nova, wychodzącego od 1994 roku w Opawie (Ostatni podwójny numer 9-10 tego roku poświęcony jest literaturze polskiej na Zaolziu). Gościem literackim gościa Kawiarenki „Pod Pegazem“ będzie **Renata PUTZLACHER**. Kawiarenka odbędzie się w ostatni piątek października, tj. **30. X. 1998 r. o godz. 18.30 w Domu PZKO Jabłonków**. Serdecznie zapraszamy. Kawiarenkę prowadzą **Kazimierz Kaszper i Jan Pyszko**.

NASZE ZESPOŁY

SKRZECZOŃSKI ZESPÓŁ ESTRADOWO-KABARETOWY ANDRUSI

Początki działalności zespołu Andrusi to lata 1958–1969, kiedy to z wielkim powodzeniem 7 członków tego zespołu w Kołach PZKO od Szarychla po Nydek dało ponad 100 występów. Zespół wznowił działalność w grudniu 1983 roku pod kierownictwem artystycznym Konstantego Krzystka. W ciągu dziesięciu lat wystąpił w 69 miejscowościach na Zaolziu i w Polsce. Łącznie dał ponad 150 występów, prezentując repertuar składający się z 74 piosenek i niezliczonej ilości humorystycznych anegdot.

Od 1996 roku zespół przeżywa swój renesans pod kierownictwem Czesława Bugdoła. Obecnie zespół liczy 11 osób: Czesław Bugdoł, Alfred Grzebień (popularna skrzeczonianka), Alojzy Sładeczek, Stanisław Górniok, Bogdan Waluszczyk, Bogusław Czapek, Marek Chorzempa, Czesław Gałuszka z pięcioletnim synem Kristianem, akompaniatorka Irena Szeliga oraz okazjonalnie występujący najstarszy członek zespołu 83-letni Konstanty Krzystek. W ostatnich latach zespół niestety opuścili na zawsze dwaj członkowie Bronisław Waluszczyk i Władysław Ożóg, a w roku bieżącym prof. Tadeusz Blanik, który kilkanaście razy występował z zespołem.

Zespół ma w swoim repertuarze humorystyczne piosenki góralskie, żołnierskie i folklorystyczne z terenu Skrzeczonia. W ramach współpracy skrzeczońskiego Koła PZKO z Towarzystwem Miłośników Grodkowa zespół występuje w Polsce, w tym roku podczas dożynek województwa opolskiego.

Gołysz widokiem na Jaworowy

Zwrot

11/98

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

NIE ZAPOMNA TEGO, KTÓRY NIE ZAPOMINA...

TACY BYLIŚMY

Rok 1938.
U góry: 11 listopada – defilada Wojska Polskiego w Suchej Górnej. Trybuna przed Szkołą Wydziałową.
Poniżej: powitanie Wojsk Polskich w Suchej Górnej przez burmistrza Alojzego Sznapkę.
Fotografię udostępnił redakcji dr Józef Mackowski.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr. 588 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

11/98

W NUMERZE

[2] 75. i 100. rocznica budynków szkolnych w Bystrzycy F. B.
[5] Cieszyńskie święto teatru CZESŁAWA RUDNIK
[9] Z żołnierskich tradycji Śląska Cieszyńskiego [3] EDWARD BUŁAWA
[14] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim [21] ALOJZY NOWOK
[22] Moje dorastanie do dojrzałości (11) BOLESŁAW ORSZULIK
[27] Rozmowa z Jiřím Pinkawą ELŻBIETA STRÓŻCZYK, CZESŁAWA RUDNIK
[32] Co nowego w Orłowej TADEUSZ TOMAN
[34] Błędowickie cmentarze ANDRZEJ PAWLAS
[38] Paweł Kubica. Wspomnienie
[40] Łęcka szkoła kształciła i wychowywała JÓZEF KULA
[43] Maria Chraścina w kontekście literatury czeskiej LIBOR MARTINEK
[46] Poezja Franciszka Hennera
[48] Władysław Martynek: Pamiętnik sybiraka (fragment)
[52] To i owo
[55] Na naszej scenie CZESŁAWA RUDNIK
[58] Na półkach księgarskich
[61] Echo wydarzeń muzycznych
[65] Kronika
[70] Humor sprzed lat
[73] Mozaika AMALIA PAWLASOWA
[79] Krzyżówka

Numer zamknięto 16. 10. 1998

Pieśń.

Śpiewana przy położeniu kamienia węgielnego pod polską szkołę wydziałową w Bystrzycy, dnia 7. października 1923.

1.

O Boże! usłysz głos prośby naszej,
Który za naród zanosim swój!
Przywróć nam jeszcze te złote czasy,
Gdy łask Twych jasnych nam płynął zdrój!
Ach, Panie święty, naród nasz miły
Prawdę Twą skaził w upadku swym,
Zbłądził od Ciebie, stracił swe siły,
Wróć się ku niemu, miej litość z nim.

75. i 100. ROCZNICA BUDYNKÓW SZKOLNYCH W BYSTRZYCY

Okładką numeru 10/98 Zwrotu zapowiadaliśmy jubileusz bystrzyckiej szkoły. Napis na niej 75-lecie Polskiej Szkoły w Bystrzycy korespondował przede wszystkim z tekstem pod zdjęciem w rubryce Tacy byliśmy na drugiej stronie okładki.

Fotografia na okładce przedstawia chlubę bystrzyczan – wspaniale odremontowany budynek drugiej jubilatki – szkoły 100-letniej (przy drodze).

Niestety okładki Zwrotu, z wielu przyczyn, muszą być drukowane na kilka miesięcy przed ukazaniem się numeru. I tak nieszczęśliwie złożyło się, że oryginalna historyczna ulotka, której fragment umieściliśmy powyżej, tak samo jak niniejszy tekst, nie zostały umieszczone w numerze październikowym.

Pojawienie się tego materiału dopiero w numerze listopadowym, w przeddzień uroczystości w Bystrzycy, podyktowane było staraniami ze strony redakcji, aby dane o obszernych działaniach nauczycieli, rodziców i sympatyków bystrzyckiej szkoły na rzecz organizacji i bogatego programu tych znaczących jubileuszy były w miarę możliwości zupełnie kompletne.

Polskie szkolnictwo w Bystrzycy chlubi się już ponad 200-letnią tradycją. Jego początek datowany jest na rok 1784, kiedy powstała tu szkoła ewangelicka. Od roku 1893 szkoła przechodzi pod zarząd państwowy.

Kamień wmurowany w fundamenty polskiej szkoły stojącej przy drodze (2.12.1898) dał początek stojącemu do dziś i służącemu polskim dzieciom obiektowi szkolnemu. Właśnie z okazji 100. rocznicy powstania budynek szkolny z przeciekającym już dachem został gruntownie odremontowany. Przy tej okazji architekci zaprojektowali na strychu dodatkowe trzy klasy oraz pokój nauczycielski. Dzięki Urzędowi Gminy szkoła otrzymała estetyczne i nowoczesne wyposażenie klas i szatni znajdujących się na dole budynku.

Bystrzycka polska szkoła mieści się właściwie w dwu budynkach. W wymienionym już tu 100-letnim są klasy od II do VII. Klasa I jest w budynku przedszkola, gdzie ma wyjątkowo dobre warunki – salę do nauki i salę do zabaw. W budynku głównym uczą się uczniowie klas VIII i IX. Tu także są pomieszczenia dyrekcji, pokój nauczycielski, stołówka oraz świetlica szkolna.

Historia czasem płata nam figle. Według jednego źródła kamień węgielny pod Polską Szkołę Wydziałową w Bystrzycy został wmurowany 12 sierpnia 1923, zaś zachowana w oryginale ulotka okolicznościowa (wspomniana tu na początku) jednoznacznie głosi, że fakt ten miał miejsce 7 października 1923. Szkoła ta była wybudowana przed 75 laty dzięki staraniom Macierzy Szkolnej.

100 i 75 lat to jubileusze zasługujące na należyte uczczenie.

Grono pedagogiczne, Macierz Szkolna, jak również współpracujące ze szkołą MK PZKO w Bystrzycy dołożyły wszelkich starań, żeby jubileusz był przygotowany naprawdę godnie. Z inicjatywy dyrektor Tomčalowej oraz grona pedagogicznego postanowiono z tej okazji nadać szkole imię, ustanowić hymn szkolny oraz uhonorować szkołę własnym sztandarem.

Autorem tekstu hymnu szkolnego jest Władysław Młynek, muzykę napisał nie kto inny jak Stanisław Hadyna.

Przy rozpatrywaniu kandydatów do imienia szkoły wzięto pod uwagę trzy nazwiska: Adam Mickiewicz (w tym roku obchodzimy 200. rocznicę jego urodzin), Helena Marusarzówna (wybitny polski sportowiec) i Stanisław Hadyna.

W wyniku demokratycznego głosowania wśród grona pedagogicznego, Macierzy Szkolnej i Zarządu MK PZKO jednoznacznie wskazano na osobę Stanisława Hadyny. Urodzony w Karpętnej, wiosce sąsiadującej z Bystrzycą, znany jest nie tylko jako założyciel i dyrygent zespołu Śląsk. Stanisław Hadyna jest także kompozytorem, autorem wielu prac literackich, dwukrotnie nagrodzonym przez UNESCO. Profesor Hadyna wyraził zgodę na nazwanie jego imieniem bystrzyckiej szkoły. Pomysł zaakceptowały również władze czeskie.

Jak powiedziała dyrektor Tomčalowa: *Nadanie bystrzyckiej szkole imienia Stanisława Hadyny będzie podkreśleniem nie tylko tradycji i umiłowania folkloru w tych okolicach, ale również języka dającego podstawę patriotyz-*

mowi i przywiązaniu do ziemi ojczystej, żeby nie było jak w pieśni Płyniesz Olzo... lecz wnuk starą mowę dziadów ledwie że rozumie.

Do bystrzyckiej szkoły uczęszcza aktualnie 208 uczniów. Kształcą się tu dzieci nie tylko z Bystrzycy, ale także z okolicznych wiosek - Gródka, Koszarzysk, Milikowa i Nydku. W placówce uczy 17 nauczycieli.

Bystrzycka szkoła, określana słusznie mianem „szkoły z tradycją", kształci dzieci nie tylko na lekcjach. Istniejąca przy niej od dawna tradycja bogatej działalności pozalekcyjnej niesie owoce. Należy tu wymienić znany i poza granicami zespół „ŁĄCZKA", chór szkolny, przedstawienia szkolne, jak również coroczne, znaczące osiągnięcia uczniów tej szkoły w licznych konkursach powiatowych i okręgowych. Jej uczniowie mają również wysokie lokowania na polu sportowym. To wszystko składa się na dobre imię szkoły, na to, że jest ona szkołą, której nie zapomina się, która napawa dumą jej uczniów aktualnych i tych, którzy już dawno opuścili jej mury, by zaistnieć w dorosłym życiu.

Uroczystości jubileuszy budynków szkolnych w Bystrzycy organizowane są w listopadzie, choć zgodnie z historyczną datą powinny mieć miejsce w grudniu.

14 listopada br. o godzinie 11 odbędzie się uroczyste otwarcie wystawy, potem odsłonięcie tablicy i portretu Stanisława Hadyny w budynku szkoły. O godzinie 15 w Domu Kultury TRISIA w Trzyńcu będzie miał miejsce Koncert Jubileuszowy, podczas którego gościnnie wystąpi Zespół Pieśni i Tańca Śląsk. Wieczorem absolwenci szkoły spotkają się na wspólnej zabawie.

Nie trzeba podkreślać, że Stanisław Hadyna będzie wśród zaproszonych gości - gościem najzacniejszym.

Z okazji jubileuszu szkoła wydała broszurę okolicznościową zatytułowaną „W tobie obyczaj, nadzieja i wiara" oraz kolorową ulotkę.

F.B.

Budynek 75-letniej... i 100-letniej szkoły

CIESZYŃSKIE ŚWIĘTO TEATRU

Już po raz dziewiąty teatromani na Śląsku Cieszyńskim po obu stronach Olzy przez kilka dni obchodzili swoje święto. Święto teatru. Dzięki Międzynarodowemu Festiwalowi Teatralnemu Na Granicy. To, co tuż po roku 1989 było manifestacją radości z odzyskanej wolności, dziś ma zupełnie inny charakter. Stało się dla miłośników sztuki scenicznej okazją do obejrzenia przeglądu tego, co teatry wybitne i te mniej znane trzech państw Polski, Czech i Słowacji miały do pokazania swoim widzom w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A że organizatorom udaje się sprowadzić zespoły z bardzo dobrym repertuarem, tym lepiej dla nas widzów.

Organizatorami IX Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Na Granicy, który w tym roku odbył się w dniach od 7 do 10 października, była Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka, Těšínské divadlo, Dom Narodowy, KaSS Střelnice, Teatr im. A. Mickiewicza. Patronat honorowy nad festiwalem po raz pierwszy objął Sekretarz Generalny Rady Europy Daniel Tarschys, chargé d'affaires Unii Europejskiej w Pradze Ralf Dreyer oraz Ambasador Unii Europejskiej w Warszawie Rolf Timans. W trzecim dniu festiwalu spektakle obejrzeli zacni goście: minister kultury i sztuki RP Joanna Wnuk-Nazarowa i minister kultury RC Pavel Dostál, jak również ambasador RP w Pradze Marek Pernal i ambasador RC w Warszawie Karel Štindl. Dyrektorami festiwalu zostali z polskiej strony Marian Dembiniok z Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej, z czeskiej Roman Rozbrój, dyrektor Těšínského divadla. Głównymi sponsorami festiwalu był SPT Telecom a.s. oraz Bracki Browar Zamkowy w Cieszynie.

Na festiwalu pokazano szesnaście przedstawień. Dziesięć z nich wzięło udział w konkursie o nagrodę główną festiwalu Złamany Szlaban. Trudną rolę miało międzynarodowe jury pod przewodnictwem Zuzany Jindrovej, bowiem nie tylko spektakle reprezentowały różny ciężar gatunkowy, ale i zespoły, które je przedstawiały, pochodziły z różnych teatrów: stałych scen dramatycznych, teatru lalkowego, studenckiego, eksperymentalnego.

Przedstawieniem inaugurującym festiwal było „Genezis" w wykonaniu studentów trzyletniego studium Wychowania Dramaturgicznego Niesłyszących, otwartego przed sześciu laty na Wydziale Teatralnym Akademii Sztuk Muzycznych im. Janáčka w Brnie. Przedstawienie pokazane za pomocą języka migowego z elementami tańca, ruchu i akrobacji wykonane zostało przez ludzi, którzy nie słyszą. Dźwięki perkusji odbierane były przez widzów słyszących, natomiast aktorom pomocą służyły, zdaniem fachowców, jedynie wibracje akustyczne. Spektakl został nagrodzony na Międzynarodowym Festiwalu Wyższych Szkół Teatralnych.

Poza konkursem pokazano spektakl Starego Teatru z Krakowa „Sztuka" pisarki francuskiej Yasminy Rezy w inscenizacji wybitnego reżysera polskiego teatru Krystiana Lupy. Dramat, a właściwie trochę gorzka kome-

dia, napisana w roku 1994, uhonorowana licznymi nagrodami, obiegła już sceny Europy, wszędzie odnosząc sukces. Dramat dla trzech aktorów, gdzie rolę przedmiotu wywołującego konflikt odgrywa kupiony przez jednego z przyjaciół za mnóstwo pieniędzy biały obraz w białe prążki, stawia pytanie zarówno o granice sztuki nowoczesnej, jak i granice przyjaźni między ludźmi.

Pierwszy dzień festiwalu zakończyło pozakonkursowe przedstawienie powstałego w 1993 roku w St. Petersburgu, a działającego obecnie w Pradze Teatru Novogo fronta nazwane „Fabryka ludzi", pokazane na rynku w Cieszynie. „Ołowiana mgła" to drugi spektakl tego teatru, zaprezentowany w drugim dniu festiwalu. Zespół teatru tworzą aktorzy i tancerze różnych krajów Europy, ale także Kanady i Japonii. Tworzywem teatralnym jest ciało aktora i przestrzeń, tematem zachowania, reakcje ludzi w nietypowych, skrajnych sytuacjach życiowych.

„Gazdina roba" czyli „Żona gospodarza" Gabrieli Preissovej to znane już cieszyńskiej publiczności przedstawienie klasyki czeskiej w Czeskiej Scenie Těšínského divadla z Lenką Pešák w roli głównej.

W Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie pokazano spektakl sławnego Towarzystwa Wierszalin z Supraśla. Reżyser Sebastian Majewski i dyrektor teatru Piotr Tomaszuk dokonali adaptacji prozy jednej z najzdolniejszych polskich pisarek współczesnych Ołgi Tokarczuk „Prawiek i inne czasy". Jest to epicka opowieść o polskiej wsi w środku

Teatr Divadlo v Dlouhé – „Rogacz wspaniały"

Wszechświata i jej mieszkańcach na przestrzeni kilkudziesięciu lat naszego stulecia. Spektakl uzyskał między innymi główną nagrodę w III Ogólnopolskim Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej.

„Matka" Jana Antonína Pitínskiego w wykonaniu zespołu Teatru Astorka Korzo'90 z Bratysławy zakończyła drugi dzień festiwalu. Teatr ten dobrze znany jest festiwalowej publiczności, gdyż brał w nim udział już po raz trzeci.

Słowacki teatr reprezentowała też Scena Jorik przy Teatrze Lalkowym z Koszyc, która przedstawiła okrojoną wersję „Świętoszka" Moliera. Współtwórcą teatru i reżyserem przedstawienia jest Valentin Kozmenko-Delinde, pracujący przez kilka lat w moskiewskim teatrze artystycznym MChAT, wychodzącym z idei Stanisławskiego, opartym o teatr aktorski.

Po raz drugi przedstawiono na festiwalu spektakl w reżyserii Anny Augustynowicz, laureatki tegorocznego Paszportu Polityki, nagrody udzielanej twórcom, których dzieła warto promować za granicą. Po ubiegłorocznej szokującej „Młodej śmierci" festiwalowa publiczność obejrzała w tym roku przedstawienie sztuki przedwcześnie zmarłego austriackiego dramatopisarza Wernera Schwaba „Moja wątroba jest bez sensu albo zagłada ludu". Za ten spektakl Anna Augustynowicz otrzymała Laur Konrada, główną nagrodę na I Ogólnopolskim Festiwalu Sztuki Reżyserskiej Interpretacje. Sztuka jest groteskowym spojrzeniem na nie-

zdrowe stosunki międzyludzkie, na chore społeczeństwo naszych czasów.

Polską część festiwalu zakończył Teatr Śląski z Katowic, który przyjechał również ze sztuką współczesną: „Królową piękności z Leenane" irlandzkiego autora Martina McDonagha. Przygotowała ją młoda reżyserka Katarzyna Deszcz. Przedstawienie rekomendowano jako kameralną opowieść o dwóch samotnych skazanych na siebie kobietach: matce i córce.

Dopełnieniem polskiej części był wędrowny lalkarz Tomek Sylwestrzak, aktor bielskiego Ośrodka Teatralnego Banialuka, ze swą przenośną scenką i przedstawieniem „Punch i Judy".

Poza konkursem wystąpiło też Towarzystwo Teatralne CD 94 z Pragi w komedii autorskiej na podstawie scenariusza Jiřígo Janků i Petra Svojtky „W filmowej niewoli", mówiącej o uzależnieniu od blasku srebrnego ekranu i zapachu prażonej kukurydzy.

W Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie wystąpił zespół Teatru Narodowego - Teatru Kolowrat z Pragi, orkiestra, chór i balet z nietradycyjnym przedstawieniem operowym „Szaleństwo i namiętność" w reżyserii i choreografii Pavla Šmoka, na które składały się dwa dzieła brytyjskiego kompozytora Petera Maxwella Daviesa „Osiem pieśni dla szalonego króla" i „Kaprys panny Dinnithorn" oraz „Notatnik zaginionego" Leoša Janáčka. Jeden z wykonawców Ivan Kunsjer otrzymał honorowe wyróżnienie festiwalu.

Przedostatni dzień festiwalu zakończył Teatr Klicpery z Hradca Králové groteskowym przedstawieniem „Hrabia Palfy, czyli Piekło i zemsta" Huberta Krejčí, które jest jedną z czterech części projektu inscenizacyjnego nazwanego „Noce antylop". Całość reżyserował Vladimír Morávek. Spektakl przyjęty został entuzjastycznie przez praską publiczność, teatr uznano za najlepszą obecnie pozapraską scenę dramatyczną. Autor sztuki Hubert Krejčí, znowu autor współczesny, uprawia parodię teatru jarmarcznego i komedii dell'arte.

Ukoronowaniem czterodniowego maratonu festiwalowego była komedia „Rogacz wspaniały" belgijskiego pisarza pierwszej połowy naszego stulecia Ferdynanda Crommelyncka w reżyserii Hany Burešovej, którą zaprezentował praski teatr Divadlo v Dlouhé. Spektakl ten, mówiący o niszczycielskiej sile zazdrości, przyciągnął do teatru największą ilość widzów. Zyskał też między innymi dzięki wspaniałej grze aktorskiej przedstawiciela głównej postaci Karla Rodena uznanie jurorów i nagrodę Złamanego Szlabanu.

IX Międzynarodowy Festiwal Teatralny Na Granicy przeszedł już do historii, przed nami kolejny - jubileuszowy. Obecni na festiwalu ministrowie kultury RP i RC obiecali, że nie zapomną o wsparciu tego przedsięwzięcia. Być może dołączy do nich za rok również słowacki minister kultury.

CZESŁAWA RUDNIK

Z ŻOŁNIERSKICH TRADYCJI ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO (3)

Na Polski progach

FORMOWANIE SIĘ POLSKIEJ WŁADZY

Już w sierpniu 1918 r. por. Klemens Matusiak, w cywilu wybitny działacz polski na Śląsku Cieszyńskim, wobec zbliżającego się upadku Austrii rozważał z miejscowymi narodowymi przywódcami sprawę poparcia przez wojsko rodzącej się władzy polskiej. Od razu jego starania spotkały się z poparciem poruczników Franciszka Barteczka i Ludwika Skrzypka. Odtąd ta trójka kierowała przygotowaniami do decydującej chwili. Trzej porucznicy studiowali garnizonowe realia pod kątem opracowania planu zamachu wojskowego oraz przygotowywali oficerów-Polaków do udziału w nim. Niedługo ukształtował się kilkunastoosobowy zespół polskich oficerów, zdecydowanych na zbrojne poparcie rodzącej się polskiej władzy.

W pierwszej połowie października 1918 gwałtownie przyśpieszył się proces rozkładu autriackiej monarchii. Cesarz Karol szukał ratunku przed ostateczną katastrofą w przekształceniu swego państwa w związek państw narodowych, te jednak domagały się niepodległości. Takie dążenia manifestowano również w wiedeńskiej Radzie Państwa, w której w dniu 12 października trzej polscy posłowie ze Śląska złożyli deklarację o zakończeniu swej misji w Wiedniu, wobec przynależności Śląska Cieszyńskiego do Polski. W Cieszynie przystąpiono do walki o rzeczywistą realizację ich zapowiedzi. Środkiem do tego celu było organizowanie masowych wieców wspierających deklarację posłów. Pierwszy wiec odbył się 15 października w zdominowanej przez Czechów Orłowej.

W sytuacji pełnej napięć cesarz Karol wydał manifest „Do moich wiernych ludów", w którym wyraził zgodę na obejmowanie we wszystkich krajach koronnych politycznej władzy przez ich przedstawicielstwa, zakładając, iż w porozumieniu z nimi uda się odbudować monarchię jako związek niepodległych państw. Śląsk Cieszyński, jako Księstwo Cieszyńskie był jednym z krajów koronnych, stąd przywódcy polscy wykorzystali cesarski manifest i w dniu 19 października utworzyli Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego na czele z trzema prezydentami - posłami, a zarazem przywódcami trzech lokalnych partii politycznych: ks. Józefem Londzinem (Związek Śląskich Katolików), dr. Janem Michejdą (Polskie Zjednoczenie Narodowe) oraz Tadeuszem Regerem (Polska Partia Socjaldemokratyczna dla Galicji i Śląska). Władze Wiedeńskie uznały formalnie Radę Narodową w dniu 21 października, w następnym dniu uczynił to Rząd Krajowy w Opawie, jednak rzeczywistą władzę mogła Rada Narodowa posiąść tylko przez podporządkowanie sobie administracji i wojska. Oba te narzędzia władzy nie były jednak skłonne do uznania polskich przywódców za swoją zwierzchność.

Źródłem siły Rady Narodowej było poparcie mas. Przejawiło się ono dobitnie na wielkich wiecach. Najpotężniejszym z nich, dającym Radzie Narodowej ewidentny mandat do sprawowania władzy, był wielki wiec w Cieszynie z niedzieli 27 października. Przygotowały go działające w gmi-

nach komitety narodowe, uczestników osłaniała dobrze zorganizowana obywatelska straż – nowy ważny czynnik o znaczeniu politycznym, później również militarnym.

Wojskowe dowództwo, zawiadomione o wiecu, zajęło wobec niego postawę neutralną, niemniej zarządziło stan pogotowia w garnizonie, co eliminowało żołnierzy Polaków z uczestniczenia w wiecu. W niedzielę 27 października sztab garnizonu z jego komendantem pułkownikiem Gerndtem obserwował pochód z okien swojej siedziby. Szli karwińscy górnicy i trzynieccy hutnicy, górale i chłopi z nizin, mężczyźni i kobiety, dzieci i młodzież, często w strojach ludowych, z orkiestrami, sztandarami, transparentami. Momentem najbardziej deprymującym oficerów, w zasadzie niechętnych Polakom, były rozmiary manifestacji. Sam pułkownik, widząc pojawiające się stale nowe kolumny, w zdenerwowaniu powtarzał: Schaut – noch, noch (Patrzcie – jeszcze, jeszcze). Podobnie zszokowani byli sprawujący władzę urzędnicy starostwa i ogół niemieckiego mieszczaństwa.

Z trzech trybun, dla lepszej słyszalności rozmieszczonych w różnych punktach rynku, przemawiali posłowie zwani prezydentami i działacze polskich organizacji. Głosili treści nie nowe, uznane za swoje już przed wiecem. Zapowiadali koniec wojny, powstanie Polski, która będzie matką ludowych mas. Patriotyczne uczucia najlepiej wyrażały pieśni: Boże, coś Polskę, Rota Konopnickiej i Jeszcze Polska nie zginęła. O tym, że nie zginęła mówiła obecność rozentuzjazmowanego tłumu, liczącego według ostrożnych szacunków 40 tysięcy osób. Cieszyńscy Niemcy, którzy początkowo zamierzali rozbić wiec, wobec jego ogromu zdobyli się tylko na urządzenie, w bocznej uliczce wiodącej do Rynku, w sumie niezauważalnej, żałosnej awantury. W nocy wybili w Domu Narodowym kilka szyb.

W manifestacji uczestniczyli dwaj porucznicy – Polacy. Klemens Matusiak – cenzor, przebywał tu służbowo. Drugim był Franciszek Barteczek, który, nie licząc się z zakazami, po prostu opuścił koszary i poszedł na Rynek w mundurze. Po latach wspominał, jak to w pozycji do przysięgi śpiewał ze łzami w oczach: *Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił,* traktując tekst Roty jako tekst żołnierskiej przysięgi.

W poniedziałek po niedzielnym wiecu Prezydium Rady Narodowej zażądało od starostów trzech powiatów, zamieszkałych w większości przez Polaków, uznania polskiej władzy za swoją zwierzchność. Jednak sprawujący władzę w Cieszynie i Bielsku austriaccy biurokraci odmówili, zasłaniając się lojalnością wobec cesarza. Natomiast starosta frysztacki – Czech dr Baron po prostu wyjechał, a jego zastępca dr Drdlík zasłonił się brakiem kompetencji. W sumie więc starania polskich władz zakończyły się fiaskiem.

A właśnie w tym dniu – 28 października – proklamowano w Pradze powstanie niepodległego państwa czechosłowackiego. W Ostrawie powstał Zemský národní výbor pro Slezsko – tymczasowa reprezentacja polityczna lokalnej społeczności czeskiej. Wychodząc z założenia, iż Śląsk jest częścią ziem korony czeskiej, ów Zemský národní výbor zmierzał do objęcia faktycznych rządów na całym Śląsku Cieszyńskim.

We wtorek 29 października doszło do pierwszej poważnej konfrontacji na polsko-czeskim styku w powiecie frysztackim. W szeregu gmin trakto-

wanych przez Radę Narodową jako obszar polski pojawiły się czeskie flagi. Do Frysztatu przybył delegat ostrawskiego Výboru i zażądał od zastępcy frysztackiego starosty – dr Drdlíka złożenia ślubowania. Tylko w wyniku interwencji Polaków do tego nie doszło.

Czeskie zagrożenie zmusiło Radę Narodową do energicznych działań. Sprawą najważniejszą było podporządkowanie sobie administracji gmin, a więc wójtów. Stąd nocą wysłano w teren grupy działaczy i dzięki ich energicznym staraniom prawie wszyscy wójtowie znaleźli się 30 października o godzinie dziesiątej w Domu Narodowym w Cieszynie – siedzibie polskich władz, i tu złożyli Radzie, jako reprezentantce Polski, ślubowanie wierności i sami zgłosili akces do jej składu. Po tym ważnym akcie prezydenci Rady udali się na rozmowę ze starostą i wojskowym komendantem.

Pułkownik J. Gerndt zapewnił prezydentów Rady o swojej neutralności i lojalności wobec polskiej władzy, oświadczając równocześnie, że żadnego ślubowania złożyć nie może. Natomiast cieszyński starosta ponownie odmówił podporządkowania się Radzie, wobec czego został usunięty ze stanowiska i zastąpiony przez urzędnika, który ślubowanie złożył. Rada Narodowa zażądała ślubowania od starostów bielskiego i frysztackiego, a w razie sprzeciwu żądała zastosowania podobnych rygorów, jak to uczyniono w stosunku do starosty cieszyńskiego.

PRZYGOTOWANIA WOJSKOWE

Równolegle z politycznymi działaniami Rady Narodowej trwały przygotowania oficerów – Polaków do przejęcia władzy w garnizonie. Poszerzał się krąg wtajemniczonych, zdecydowanych na podjęcie w razie konieczności działań zbrojnych. Powstał plan wojskowego zamachu autorstwa por. L. Skrzypka. Od poniedziałku 28 października oficerskie spotkania zmieniły swój charakter. W tym dniu bowiem por. K. Matusiak w obecności por. L. Skrzypka złożył na ręce dr. Jana Michejdy przyrzeczenie wierności dla Rady Narodowej. Był po temu czas najwyższy, gdyż wobec bliskiego już rozstrzygnięcia ścisłe współdziałanie władz cywilnych z oficerami – Polakami stało się konieczne. W środę 30 października Rada Narodowa podjęła uchwałę o podporządkowaniu ogółu wojskowych – Polaków na Śląsku Cieszyńskim swojej władzy. Zewnętrznym przejawem respektowania owej decyzji było umieszczenie na wojskowej czapce obok austriackiego „bączka" o kolorach cesarskich białoczerwonej kokardy. Polecenie Rady Narodowej zostało wykonane, a ponieważ wojskowi czescy też udekorowali czapki kokardami o kolorach narodowych, garnizon rozpadł się na trzy narodowe frakcje.

W swoich przygotowaniach, w owych gorących dniach 30 i 31 października, polscy oficerowie kierowali się planem porucznika L. Skrzypka, który wprowadzał w ich nerwowe i odruchowe działania elementy ładu. Plan przewidywał zaskoczenie dotychczasowego dowództwa poprzez zarządzenie alarmu w garnizonie i przejęcie przez polskich oficerów dowództwa nad pododdziałami. Sprawą dedydującą miało być opanowanie czterech kompanii batalionu zapasowego, którego żołnierze stanowili podstawową siłę bojową wojskowej załogi Cieszyna. Zakładano, iż wszyscy żołnierze, bez względu na narodowość, poprą polskich spiskowców, by złamać opór dowództwa uniemożliwiającego ich powrót do domów. Nie

wykluczano możliwości powikłań, łącznie z koniecznością stoczenia walki z oficerami – Niemcami, liczącą około 150 osób kompanią żandarmerii i być może częścią niemieckich żołnierzy. Dla zapewnienia sobie przewagi opracowano plany opanowania podręcznych magazynów amunicyjnych i składów broni w koszarach. Na wypadek niepomyślnego rozwoju i nasilenia się walki przewidywano wycofanie się zamachowców za miasto w stronę Boguszowic, gdzie znajdował się centralny magazyn amunicyjny. Porucznik L. Skrzypek zlecił opanowanie tego decydującego o przebiegu dalszej walki obiektu porucznikowi F. Barteczkowi przy pomocy straży obywatelskiej z sąsiadujących z Boguszowicami Łąk. Dysponując liczebną przewagą oraz dużymi zapasami amunicji, spiskowcy zakładali, że będą w stanie opanować sytuację również w Cieszynie, bez odwoływania się do ludności podcieszyńskich gmin, na których poparcie i osłonę mogli liczyć nawet w wypadku skrajnie niekorzystnego rozwoju sytuacji.

W czwartek 31 października dotarły do kierowniczej trójki polskich oficerów wieści, że również Czesi i Niemcy przygotowują zamach wojskowy. Oficerowie czescy z por. Jaroslavem Pavlíkiem na czele wyznaczyli sobie spotkanie, razem z podoficerami, na godz. 23.00 w oficerskiej restauracji na Strzelnicy, by stąd o godz. 24.00 rozpocząć akcję obliczoną na opanowanie garnizonu.

Z kolei Niemcy na czele z ppłk. Mladym i kpt. Paulerem zwoływali zebranie wszystkich oficerów w koszarach w dniu 1 listopada, by tu pod osłoną kompanii złożonej z Niemców aresztować oficerów polskich i czeskich, a potem przy współpracy z żandarmerią oraz administracją kierowaną przez starostę Jaxę von Bobowskiego przejąć władzę i, korzystając z poparcia niemieckich partii politycznych oraz współpracującej z Niemcami Śląskiej Partii Ludowej Józefa Kożdonia, ogłosić powstanie na Śląsku niemieckiego państwa sprzymierzonego z powstającym w krajach czeskich Deutschböhmem i Sudetenlandem oraz mającą powstać, po załamaniu się monarchii Habsburgów, Niemiecką Austrią.

W czwartek przed południem ppłk Mlady zaproponował polskim oficerom, którzy nie mieli jeszcze rozeznania co do niemieckich zamiarów, spotkanie o godz. 17.00. Porucznik Klemens Matusiak chętnie zaproszenie przyjął, sam natomiast zaprononował spotkanie oficerom czeskim na godz. 14.00.

Po naradzie polskich oficerów o godz. 13 w Domu Narodowym, na którym zaaprobowano podjęcie zaplanowanych rozmów, odbyło się spotkanie polskiej trójki kierowniczej z Czechami w kawiarni Kofina. Stwiedzono potrzebę współdziałania przeciw Niemcom. Zgodnie z sugestiami Czechów rozpoczęcie akcji ustalono na godz. 24.00.

Rozmowy z Niemcami w pełni potwierdziły obawy polskiej trójki kierowniczej co do celu zebrania organizowanego w dniu 1 listopada. Niemieccy rozmówcy nie potrafili ukryć swoich zamiarów, a jeszcze bardziej jednoznaczne były niedomówienia.

Postanowiono działać niezwłocznie, stąd por. F. Barteczek wyjechał natychmiast do Łąk, by przy pomocy straży obywatelskiej opanować magazyn amunicyjny w Boguszowicach. Zaś porucznicy K. Matusiak i L. Skrzypek udali się na zebranie polskich oficerów i żołnierzy do lokalu Dziedzictwa przy Starym Targu. Obradowało tam ponad 60 osób.

Prowadzący zebranie por. Jerzy Szczurek uświadomił zebranym przełomowy charakter chwili i potrzebę wsparcia polskiej władzy przez wojskowych. Zaś jednoroczny ochotnik (podchorąży) kapral Józef Hellstein przedstawił założenia wojskowego zamachu i związane z tym zadania taktyczne. Podał też hasło będące sygnałem do rozpoczęcia działań. Uczestnikom zamachu przyrzeczono przydział ziemi z dóbr habsburskich.

Po godzinie 20.00 podoficerowie razem z żołnierzami wracali do koszar, zaś oficerowie udali się do Domu Narodowego na ostatnie już przed rozpoczęciem działań spotkanie oficerskie. Na tej naradzie, a raczej odprawie, przedstawiono wyniki rozmów z Czechami i Niemcami oraz przebieg zebrania podoficerskiego i uzgodniono rozpoczęcie akcji na godz. 21.00. Pozostało zatem około pół godziny...

Zanim zebranie zostało zakończone, dyżurujący przy ganizonowej centrali telefonicznej jednoroczny ochotnik kapral Gustaw Morcinek przekazał K. Matusiakowi rozkaz brygadiera Roji z Dowództwa Okręgu Generalnego w Krakowie, polecający najstarszemu wiekiem i stopniem oficerowi - Polakowi przejęcie komendy w cieszyńskim garnizonie. Nie było sprawą przypadku, że w tak ważnym momencie przy służbowym telefonie dyżurował Polak, który zamiast przekazać ową depeszę płk. Gerndtowi, zadzwonił do Domu Narodowego i powiadomił o niej por. K. Matusiaka. Właściwej obsady stanowisk w garnizonie dopilnował komentant placu - Polak por. Józef Figna.

EDWARD BUŁAWA

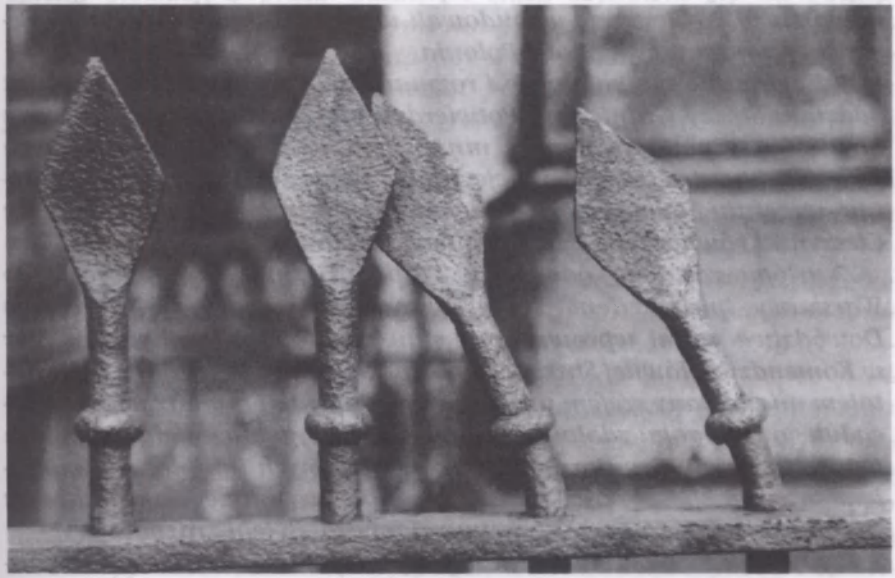

fot. FRANCISZEK BAŁON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (21)

ZAOLZIE W POLSCE - WYBUCH WOJNY

W dniu 10 października 1938 roku udałem się na kilkudniowy urlop do Ropicy. Był to pierwszy urlop w okresie mojej długoletniej służby w Wojsku Polskim, w czasie którego mogłem udać się bez przeszkód do rodzinnego domu na Zaolziu. Niedługo jednak zabawiłem w domu, gdyż spragniony wrażeń chciałem zlustrować przynajmniej pobieżnie cały szmat odzyskanej ziemi. Pojechałem więc do pobliskiego Trzyńca, gdzie w hucie odwiedziłem szefa personalnego tego zakładu, mojego byłego kolegę szkolnego magistra Górę, pochodzącego z Wędryni. Wpadłem również do Jabłonkowa, Karwiny, Frysztatu i Bogumina. Wszędzie spotykałem mnóstwo znajomych, a w tym sporo takich, którzy w 1920 roku wyemigrowali z Zaolzia, mieszkali w rozproszeniu w różnych zakątkach Polski, a obecnie odwiedzali swoje rodzinne miejscowości i swoje rodziny.

W czasie tej krótkiej lustracji zdołałem się przekonać naocznie, że Polacy zaolziańscy zdołali, mimo emigracji do Polski tysięcy zaangażowanych społecznie w okresie plebiscytowym inteligentów i prostych robotników, utrzymać liczebność swojego narodowego posiadania oraz swój dorobek materialny i kulturalny. Zdołali zorganizować i utrzymać na wysokim standardzie spółdzielcze konsumy i różne przedsiębiorstwa. W Cieszynie wybudowali wielkim nakładem piękny i elegancki reprezentacyjny hotel Polonia.

W Boguminie spotkałem się i rozmawiałem z tamtejszym dowódcą oddziału Straży Granicznej. Potwierdził mi, że doszło tam do starcia między naszym patrolem i mniejszym oddziałem niemieckiego Wehrmachtu. A więc informacje zdobyte przez nasz wywiad w sierpniu-wrześniu potwiedzały się. Niemcy mieli zamiar wtargnąć na Śląsk Cieszyński równocześnie z zabraniem Sudetów.

Z urlopu zostałem odwołany 17 października. Po powrocie do Warszawy sprawdziłem, że na wszystkich szczeblach Naczelnego Dowództwa został wprowadzony stan pogotowia. Tak było również w Komendzie Głównej Straży Granicznej, w której w grudniu 1938 zostałem mianowany szefem wydziału wyszkolenia i mobilizacji. Do końca lutego 1939 roku zdołałem się uporać z przygotowaniem wszystkich jednostek Straży Granicznej do zadań wojennych i mimo woli musiałem przy tej sposobności patrzeć na ubóstwo naszego wyposażenia w zakresie nowoczesnego sprzętu wojennego. Byłem zrozpaczony!

Wydarzenia wokół Polski zaczęły się toczyć od marca 1939 roku nie-

zwykle wartkim prądem. Hitlerowskie Niemcy okupowały od 15 marca Czechosłowację, a z naszych jednostek granicznych napływały do Komendy Głównej codzienne meldunki o prowokacjach niemieckich. Hitler przygotowywał się do wielkiego uderzenia i cały świat zaskakującego Blietzkriegu.

W Czechosłowacji wpadł Niemcom do rąk ogromnie bogaty łup. Armia czechosłowacka była wyśmienicie wyposażona we wszelkiego rodzaju sprzęt wojenny. W kraju tym był skoncentrowany przecież cały przemysł Austro-Węgier, który zaopatrywał przed 1914 rokiem we wszelką najsilniejszą broń w Europie armię tego mocarstwa. Po roku 1918 Czechosłowacja dokonała modernizacji przemysłu i teraz Niemcy hitlerowskie mogły korzystać z jego produkcji. Był to arsenał, który Hitlerowi nawet się nie marzył. Zdolni czescy technicy zaprojektowali i w zakładach Škoda w Pilźnie wyprodukowali najgroźniejsze działo drugiej wojny światowej, zwane przez Niemców FIAK-88, czyli działo przeciwlotnicze o średnicy 88 mm. Jeszcze bardziej przydatne okazało się to działo do zwalczania czołgów. Było postrachem jednostek pancernych aliantów. W ręce niemieckie dostało się całe, stosunkowo silne, lotnictwo czechosłowackie, bardzo silna artyleria wszelkiego rodzaju i mnóstwo broni pancernej. Wszystko to wpadło Niemcom do rąk bez strzału, bez najmniejszego oporu ze strony czechosłowackiej.

Wcześniej zabrał Hitler bezkarnie Saarę, Austrię, Kłajpedę, otoczył opieką Słowację i przez Gdańsk i Śląsk szykował się na Polskę. Rozzuchwalony dotychczasowymi łatwymi zdobyczami był przekonany, że bezkarnie rozbije czy zmiażdży w ciągu kilku dni ubogą, biednie uzbrojoną Polskę. Wcale nie wziął pod uwagę przestrogi ministra Józefa Beka, który w maju na zgromadzeniu Sejmu oświadczył, że Polska będzie się bronić.

Jeżeli dookoła Polski wydarzenia wiosną i na początku lata potoczyły się wartkim prądem, to w sierpniu prąd ten przeistoczył się w istną lawinę.

W dniu 24 sierpnia Naczelne Dowództwo zarządziło tak zwane „pogotowie osłony", czyli przeprowadzenie w tempie alarmowym mobilizacji jednostek nadgranicznych osłonowych wojska stałego, które miały to wykonać w okresie 48 godzin (Z + 48).

Były to opóźnione zarządzenia, gdyż wybuch wojny groził nam lada chwila. Po zajęciu Słowacji przez wojska hitlerowskie byliśmy już otoczeni z trzech stron, to jest od strony zachodniej, od południowej strony słowackiej oraz od północnej prusko-wschodniej, a od 25 sierpnia po niespodziewanym zawarciu przez Berlin i Moskwę przyjaznego paktu Ribentropp-Mołotow znaleźliśmy się w worku, związanym od 1 wrześ-

nia z trzech stron przez Hitlera, a zamkniętym szczelnie w dniu 17 września przez Stalina.

W ostatnich dniach sierpnia wydarzenia zaskakują nas jak błyskawice i gromy. Z placówek granicznych napływają codzienne meldunki o prowokacyjnym naruszaniu granic i potyczkach granicznych prowokowanych specjalnie na Śląsku przez oddziały Freikorps oraz regularne wojska hitlerowskie. Z Tarnowa meldują o wybuchu na dworcu bomby zegarowej powodującej śmierć osiemnastu osób. Gdańsk zalany jest mrowiem wojsk hitlerowskich.

W nocy z 28 na 29 sierpnia Naczelne Dowództwo zarządziło mobilizację powszechną. Jak się okazało była to ogromnie spóźniona decyzja. Na ulicach Warszawy pojawiły się rozlepiane w pośpiechu dużych rozmiarów afisze mobilizacyjne. Jednak już za kilka godzin odwołano powszechną mobilizację, a afisze zostały szybko zdarte. Wprowadziło to koszmarny zamęt i przeczucie niechybnej i rychłej klęski.

Nie rozumiałem tych bałaganiarskich i kunktatorskich pociągnięć najwyższych sztabów i kląłem wraz z innymi kolegami–oficerami na czym świat stoi. Dopiero po kapitulacji Warszawy dowiedziałem się w szpitalu na Ujazdowie, że mobilizacja powszechna została w dniu 29 sierpnia odwołana i przerwana na skutek dyplomatycznej interwencji Anglików i Francuzów, którzy łudzili się jeszcze, że Hitler nie zdecyduje się na otwartą wojnę. Nie powstrzymało to jednak błyskawicznej lawiny wypadków, lecz powodowało klęskę za klęską, upokorzenie za upokorzeniem.

W dniu 30 sierpnia zarządziła Warszawa powtórną, i jak się już za kilka godzin okazało, zupełnie opóźnioną mobilizację powszechną. Jako oficerowi mobilizacyjnemu jeszcze z długoletnim stażem pułkowym było mi wiadomo, że na przeprowadzenie mobilizacji powszechnej w ówczesnych warunkach trzeba co najmniej 30 dni normalnego i spokojnego czasu i normalnego transportu kolejowego, a więc bez lotniczych bomb niemieckich. Tę ilość dni przewidywały zresztą ówczesne plany i instrukcje mobilizacyjne wydane przez Oddział I. Sztabu Generalnego.

Wyczuwało się już wówczas wyraźnie, że Hitler uderzy lada godzinę, aby przeszkodzić w sprawnym przeprowadzeniu tej mocno spóźnionej mobilizacji. Wskazywały na to liczne meldunki z jednostek granicznych. Najliczniejsze i najbardziej alarmujące napływały ze Śląska, Gdańska i granicy słowackiej.

W dniu 1 września przed godziną 5.00 obudził mnie telefon w moim mieszkaniu przy Alejach Ujazdowskich 36. Telefonował ówczesny szef sztabu generała Czumy ppłk dypl. Kozioł krótko: – Szkopy rozpoczęli wojnę – udać się natychmiast do sztabu! –

W kilkanaście minut znalazłem się w sztabie. Mieliśmy już tam meldunki o ostrzeliwaniu w Gdańsku Westerplatte przez niemiecki pancernik Schleswig-Holstein, o walkach na wybrzeżu, koło Tczewa i Chojnic, o silnym uderzeniu zmasowanych wojsk pancernych na Czarny Dunajec, Jabłonkę i Chabówkę, o silnym natarciu niemieckim na Rybnik, na umocnione pozycje pod Mikołowem, o walkach o Tarnowskie Góry. Napływała lawina meldunków z wszystkich Okręgowych i Obwodowych Komend. Meldowano o tym, że jednostki Straży Granicznej spełniły na wszystkich odcinkach granicy swoje osłonowo-alarmowe zadania i zaraz potem zostały wchłonięte przez regularne jednostki wojska.

Niedługo potem usłyszeliśmy wycie syren alarmowych, warkot samolotów i pierwsze detonacje lotniczych bomb niemieckich z lotniska na Okęciu. Oczywiście przez cały dzień krążyły fantastyczne plotki i domysły. Z napięciem oczekiwaliśmy pokrzepiających wiadomości o pomocy ze strony naszych sojuszników Francji i Anglii. Krążyły fantastyczne wieści o bombardowaniu Berlina przez lotnictwo angielsko-francuskie, a nawet uporczywie opowiadano o bombardowaniu przez polskie bombowce Łosie Berlina, Wrocławia i Królewca. Bombardowania te były wytworem chorej fantazji i egzaltacji różnych romantyków i proroków. Rzeczywistość była zupełnie inna. Wśród wzmagających się nalotów bombowców niemieckich oraz coraz częstszych pożarów docierały do nas meldunki o narastających postępach i sukcesach wojsk niemieckich na wszystkich odcinkach frontowych. I tak upłynął pierwszy i drugi dzień mojego września w Warszawie.

W dniu 3 września z meldunków frontowych wynikało, że mimo bohaterskiej obrony naszych oddziałów przegraliśmy bitwę na wszystkich odcinkach naszej granicy, że niemieckie dywizje pancerne posuwają się błyskawicznie w głąb naszego terytorium, miażdżąc po drodze nasze słabo uzbrojone dywizje piechoty i brygady kawalerii. Wiedzieliśmy o tym, że 7 dywizja częstochowska dowodzona przez generała Gąsiorowskiego została po bohaterskich walkach rozbita w puch. Podobny los spotkał dowodzoną przez gen. Monda 6 dywizję krakowską. Szefem sztabu tej dywizji był mój przyjaciel i kolega szkolny płk dypl. Ludwik Zych. Podobny los spotkał sukcesywnie do 17 września niemalże wszystkie nasze oddziały.

Niepomyślne i wręcz tragicznie smutne wiadomości z frontu zostały w dniu 3 września częściowo zrekompensowane bardzo pomyślną wiadomością o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Anglię i Francję. Tegoż dnia wieczorem podano nam do wiadomości, że nasz generał Walerian Czuma odebrał rozkaz zorganizowania obrony stolicy – zos-

tał mianowany Dowódcą Obrony Warszawy. Zostałem przydzielony do jego sztabu i zaraz przystąpiliśmy do gorączkowej pracy nad organizacją obrony stolicy. Pracowaliśmy we dnie i w nocy, gdyż nadchodziły alarmujące sygnały, że do Warszawy zbliża się niemiecki XVI korpus pancerny złożony z 1. i 4. dywizji pancernej. Należało w pośpiechu rozdysponować na stanowiskach obronnych szczupły stan załogi.

W dniu 5 września nastąpiła chaotyczna ewakuacja wszystkich ministerstw oraz władz państwowych różnych szczebli. Przystąpiono nawet do ewakuacji policji państwowej i stołecznej straży pożarnej. W naszym sztabie patrzyliśmy na ten beznadziejny bałagan z niemym przerażeniem. Zaczęło nas ogarniać przeczucie niechybnej klęski.

Do mojego biura wchodzi były komendant Okręgu Straży Granicznej w Ciechanowie, mój dobry znajomy płk Chmura.

– Kończę organizację pułku złożonego przeważnie z członków Straży Granicznej. Brakuje mi doświadczonego oficera w stopniu majora na dowódcę batalionu. Chcę pójść w tej sprawie do gen. Czumy. –

Znałem płk. Chmurę jako doświadczonego, mądrego, pełnego inicjatyw oficera. Odżyła we mnie żyłka oficera liniowego i postanowiłem zgłosić się ochotniczo na wakujące stanowisko. Zadowolony z tej propozycji płk Chmura zaproponował natychmiastowe pójście do gen. Czumy w tej sprawie.

Rozmowę naszą przerwały syreny sygnalizujące nowy nalot bombowców niemieckich. Odzywają się potężne detonacje ciężkich bomb. Jedna eksploduje blisko naszej siedziby. Wylatują szyby okienne i zasypują nas odłamki szkła. Wychylamy się z okien i obserwujemy nowe dymy i łuny w centrum i na peryferiach stolicy. Ponure widowisko. Niestety – polskie niebo jest zupełnie opanowane przez lotnictwo wroga.

Udajemy się do gen. Czumy. W pokoju szefa sztabu dowiadujemy się, że w czasie dzisiejszych nalotów strącono 9 samolotów niemieckich i że u gen. Czumy bawi w tej chwili generał broni Sosnkowski. Podobno został mianowany przez marszałka Rydza-Śmigłego dowódcą Frontu Wschód, to jest frontu przeciwsowieckiego. Nie mieści się to nam w głowie. Czyżby Rosjanie zamierzali wystąpić zbrojnie przeciw nam? I to na spółkę z Niemcami? Istnieje co prawda pakt Niemcy hitlerowskie – Rosja Sowiecka, ale wspólna akcja zbrojna takich mocarstw przeciw słabej Polsce? To niemożliwe!...

Wreszcie dostajemy się do generała. Stanowczo nie zgodził się na moje odejście do płk. Chmury i zadecydował: – Na razie nie możecie odejść. Na odwrót – otrzymacie do pomocy jeszcze dwóch oficerów i do jutra w południe przedłożycie mi schemat organizacyjny obrony Warszawy–Zachód. Szef sztabu płk Kozioł podyktuje wam poszczegól-

ne odcinki obronne z ich granicami oraz dokładnymi składami i obsady ich poszczególnych jednostek. – Moja próba opuszczenia sztabu gen. Czumy spaliła więc na panewce. Razem z przydzielonymi mi por. Majerem i kpt. Woźniakiem ślęczałem całą noc nad schematem organizacyjnym dla dowódcy i nazajutrz przedłożyłem go generałowi do zatwierdzenia.

W dniu 7 września rwała ulicami Warszawy wezbrana rzeka uchodźców cywilnych i rozbitków wojskowych. Ponury i koszmarny był to widok. Wszystko pędziło gdzieś na wschód. Środkiem jezdni ciągnęły się nieprzerwane sznury furmanek chłopskich. Na wozach przeważnie kobiety z dziećmi i starcy. Do drabiniastych wozów były często przywiązane wynędzniałe ze zmęczenia krowy. Tu i ówdzie przeciskały się środkiem jezdni samochody. Luźne grupki wycieńczonych obdartusów w drelichach żołnierskich wlokły się chodnikami, wypatrując tępym wzrokiem jedzenia, picia i kresu swej poniewierki. Nikt się nimi nie opiekował. Nie było komu. Wszystko było w rozsypce.

Po sześciu bezsennych nocach, które spędziłem w biurze sztabu, postanowiłem, że 7 września przenocuję w moim mieszkaniu. Wrodzona pasja do włóczęgostwa zapędziła mnie w drodze do domu na ulice starej Warszawy. Z trudem szedłem przez wijące się smugi dymne pożarów. Tu i ówdzie przemykały po chodnikach sylwetki nielicznych grupek czy też pojedynczych przechodniów. W ogrodach i na placach biwakowały gromady uchodźców cywilnych. Słychać było płacz dzieci i lament matek. Gdzieniegdzie wałęsały się grupki rozbitków wojskowych i zdemoralizowanych maruderów.

Gnały mnie przed siebie złe przeczucia, koszmarny niepokój o jutro Polski, pędziły mnie rozpaczliwe czarne myśli i trwoga o niepewny los żony, którą wysłałem dzisiaj w nieznaną dal na poniewierkę. Postanowiłem podjąć wszystkie moje oszczędności w gmachu PKO i przesłać na adres siostry żony do Lwowa. Dotychczas o tym nie myślałem. Myślałem tylko o ratunku Polski. Pieniędzy nie podjąłem, gdyż gmach był zamknięty. Idę dalej przez plac Napoleona, Świętokrzyską na Nowy Świat i oglądam ślady bombardowań i pożarów. Było już ciemno, w centrum miasta przygasały pożary. Tylko Wola, Ochota i Targówek świeciły łunami palących się tam jeszcze domów. Skręcam w stronę placu Trzech Krzyży i potykając się o gruzy, śmieci, zwoje jakichś drutów podążam do mojego pokoju przy Alejach Ujazdowskich 36. W oknach i na wystawach wszędzie ciemno. Bieliły się tylko papierowe kratki przeciwbombowe na szybach.

Nagle kilka kroków przede mną padają strzały karabinowe i zaraz

po nich słyszę rozpaczliwy krzyk. Podbiegam do sprawców strzelaniny i widzę czwórkę piechurów w drelichach z kapralem na czele.

– Do kogo strzelaliście? – pytam kaprala. Ten wskazuje na okno mieszkania na poddaszu przeciwległego budynku, z którego płynął snop dość jasnego światła.

– Tam szpiedzy dawali sygnały Niemcom – wskazuje kapral jeszcze raz na oświetlone okienko mansardy.

– Z jakiej jednostki jesteście i dokąd zdążacie? – badam kaprala.

– Jesteśmy z częstochowskiego pułku. Niemcy rozbili nas już w trzecim dniu wojny. Mają ogromną przewagę w czołgach, lotnictwie i artylerii. Prawie wszyscy z naszych zginęli, zostali ranni lub wpadli do niewoli. Tylko niewielu z pułku ocalało. Wszędzie pełno szpiegów, a tu w Warszawie najwięcej! Chcemy się znów zaszeregować, chcemy walczyć! –

Wchodzę z kapralem do mansardy. Tam na podłodze leżał trup mężczyzny. W małym pokoiku mieszkał stary kawaler, czeladnik stolarski z siostrą garbuską. Okazało się, że brat wprawiał dyktę w miejsce wybitej szyby i w momencie zawieszania okna zdjął kołdrę, którą okno było zakryte i został zastrzelony. Jeden z pocisków był celny – prosto w głowę.

– Zabiliście niewinnego człowieka i pójdziecie ze mną na Komendę Miasta – zwracam się do kaprala, lecz już go nie widzę. Słyszałem tylko, jak biegł szybko po schodach w dół. Pobiegłem za nim, lecz zniknął gdzieś w ciemnościach na zakręcie ulicy Trębackiej. Pewnie aż do śmierci miał wyrzuty sumienia. A czy był naprawdę winny? I kto był winny?

Poszedłem dalej w kierunku mojej kwatery. Obok budynku muzealnego Wojska Polskiego biwakuje grupa uchodźców z Górnego Śląska. Stoją dookoła unieruchomionego autobusu. Pytają mnie, gdzie można kupić benzynę. Płacą każdą cenę, gdyż ich cel podróży to Lubartów za Lublinem. Wzruszam ramionami i podążam dalej – nie mogę pomóc. Koło Instytutu Głuchoniemych widzę, jak płacząca staruszka ciągnie za linkę beczącą kozę. Pyta mnie o ulicę Chmielną, podaje adres. Podprowadzam staruszkę kilkanaście kroków i dowiaduję się, że wczesnym rankiem bomba lotnicza zniszczyła jej ubogą chatę koło Piaseczna. Ona ocalała cudem, a jej córka wraz z dwojgiem dzieci została zabita. Idzie z kozą do zięcia, który pracował w browarze Schielego i sypiał kątem u znajomych na Chmielnej, aby go zawiadomić o nieszczęściu.

Tysiące, a pewnie setki tysięcy takich i podobnych wydarzeń i nieszczęść spowodował wybuch wojny.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (11)
(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Nadal nie mieliśmy rozeznania, jak przebiega linia frontu. Nie wiedzieliśmy czy Kozy, do których wracał kolega oraz Zaolzie, które było celem mojej wędrówki, są już wyzwolone. Postanowiliśmy ruszyć w kierunku Rybnika. Doszliśmy tylko do Knurowa, by tam się dowiedzieć, że Rybnik znajduje się jeszcze w rękach niemieckich, a więc moja droga prowadząca do domu w Górnej Suchej jest zamknięta. Ale naiwność młodzieńcza utrzymywała mnie w nadziei, że Zaolzie jest już wyzwolone, tylko będzie trzeba się tam udać drogą okrężną. Tymczasem bardzo zmęczeni dotychczasowymi przejściami postanowiliśmy zatrzymać się w Knurowie nieco dłużej. Mieszkańcy tej miejcowości zaopiekowali się nami, zapewniając nam warunki, jakie w tamtym również dla nich trudnym czasie były możliwe. Umieścili nas w domu, w którym już przedtem zakwaterowali kilku podobnych jak my nieszczęśników. Spaliśmy na piętrowych łóżkach bez materacy (na sprężynach), ale dostarczano nam codziennie wystarczającą ilość żywności. Po tych dotychczasowych trudnych doświadczeniach czuliśmy się tu wspaniale i – co chyba najważniejsze – zupełnie bezpiecznie.

W Knurowie zatrzymaliśmy się kilka dni, po czym postanowiliśmy wyruszyć w dalszą drogę. Nasz plan zakładał, że najpierw udamy się do domu Janka, a następnie ja będę próbował dotrzeć na Zaolzie od wschodu. W pierwszym dniu doszliśmy tylko do Gostynia. Przyjęła nas na nocleg i nakarmiła kobieta, która z dwojgiem małych dzieci oczekiwała powrotu swego męża z Wehrmachtu. Prosiła nas, byśmy dłużej u niej pozostali, ponieważ będąc samotna w swoim domku obawiała się żołnierzy rosyjskich, którzy podobno grasowali w okolicy. W naszej sytuacji nie mogliśmy spełnić jej prośby, ponieważ i tak nasza obecność w niczym by jej nie pomogła (pod tym względem mieliśmy już spore rozeznanie), a nawet mogłaby zaszkodzić, że ukrywa jakichś „zbiegów". Po wtóre zaś, śpieszno nam było, by zakończyć wreszcie tę naszą poniewierkę. Żegnając nas, dała nam na drogę trochę prowiantu oraz paczkę tytoniu i bibułki do skręcania papierosów. W czasie tej wędrówki zaczęliśmy bowiem palić.

Wyruszyliśmy w kierunku Pszczyny. Gdy wychodziliśmy z lasu pszczyńskiego, z naprzeciwka nadjechał na rowerze żołnierz, który za-

trzymując nas zapytał, czy nie mamy zakurit'. Podałem mu ową paczkę tytoniu, aby zrobił sobie skręta, lecz nie chciał bibułki. Z kawałka gazety skręcił coś na kształt papierosa, zakleił śliną i oddał mi go. Nasz tytoń szybko schował do kieszeni i mówiąc spasibo natychmiast wsiadł na rower i odjechał. To wydarzenie nie wywołało w nas specjalnie oburzenia, wręcz odwrotnie, nawet nas trochę ubawiło.

Do Kóz dotarliśmy wieczorem tego samego dnia. Tu dopiero dowiedziałem się, że miejscowość ta została wyzwolona przed paroma dniami (12 II). W domu kolegi panowała prawdziwa nędza. Matka była wdową z trojgiem małych dzieci, a kolega był czwartym, najstarszym z rodzeństwa. Mieszkali w jednej izbie o głodzie i chłodzie. W tej sytuacji nie wyobrażałem sobie, bym mógł tutaj zatrzymać się choćby na kilka dni. Dlatego następnego dnia rano wyruszyłem w kierunku Skoczowa, mając wciąż niezłomną nadzieję, że i ja dotrę wreszcie do swoich.

Tymczasem już na którejś ulicy Bielska zostałem znowu zatrzymany przez żołnierzy, którzy zapędzili mnie do pracy na podwórzu szpitalnym, gdzie kazano mi ładować na samochód stertę zużytych bandaży i innych odpadów szpitalnych. Na szczęście w krótkim czasie udało mi się stamtąd uciec i ruszyć dalej. Gdzieś pod Pierśćcem dowiedziałem się, że w Skoczowie są jeszcze Niemcy. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko skierować się do Rudzicy, a następnie do Chybia, w którym również natknąłem się na linię frontu. Byłem zrozpaczony. Po krótkim namyśle zdecydowałem się pójść w kierunku północnym. Gdy tak szedłem, sam nie wiedząc dokąd, jakąś polną drogą, dojechał do mnie na rowerze mieszkaniec Zarzecza. Dowiedziawszy się, w jakiej jestem sytuacji, zabrał mnie do siebie i oświadczył, że mogę w jego domu pozostać tak długo, jak tylko zechcę: spać będę w kuchni, a jedzenia (zwłaszcza ziemniaków) jest u niego dostatek. W tym domu przebywałem chyba około tygodnia. By się jakoś odwdzięczyć, chciałem tę gościnność przynajmniej w pewnym stopniu odpracować, lecz gospodarz powiedział mi, że nie ma dla mnie żadnej pracy i żebym się wyzbył wszelkich skrupułów.

Niebawem odkryłem, że we wsi znajduje się kilku chłopców, którzy podobnie jak ja powracali z przymusowych robót i czekali na sposobność powrotu do swych domów rodzinnych. Spotykałem się z nimi. Czasami dla zabicia czasu graliśmy w karty – w tzw. tysiąca. Jedną taką grę pamiętam do dziś. Było to w poniedziałek 26 lutego u sąsiedniego gospodarza, z którym w godzinach popołudniowych zasiedliśmy do gry. Nagle do mieszkania wtargnęło dwóch czerwonoarmiejców.

Wszystkich wylegitymowano. Następnie nas, którzy nie byliśmy mieszkańcami tej wsi, eskortowano pod strażą do sąsiedniego Zabrzega.

Tam zostałem poddany najsurowszemu dotąd przesłuchaniu. Dzisiaj, gdy tyle napisano o zbrodniczej działalności NKWD, doszedłem do wniosku, że chyba i ja znalazłem się wówczas w zasięgu tej wszechwładnej terrorystycznej organizacji, a może nawet już wcześniej. Przesłuchanie odbywało się w pokoju, gdzie za stołem zasiadł oficer, naprzeciw niego usadowiono mnie, zaś z boku po prawej mojej stronie siedział drugi oficer z mongolską twarzą. Ten przez całe chyba przeszło dwugodzinne przesłuchanie nie zadał mi żadnego pytania, tylko cały czas swymi świdrującymi skośnymi oczkami wpatrywał się we mnie, obserwując moje zachowanie. Pierwszy wymieniony oficer zadał mi w sumie niewiele pytań, lecz wciąż w kółko powtarzał je wielekroć. Pytał o imiona rodziców, rodzeństwa, członków rodziny bauera, nazwiska sąsiadów w Górnej Suchej i w Kreisewitz, stawiał mi jeszcze kilka innych idiotycznych pytań, których już nie pamiętam, by znowu do nich wciąż i wciąż uparcie powracać. Odpowiadałem, jak umiałem, po rosyjsku. W pewnym momencie przeraziłem się, gdy przesłuchujący zarzucił mi, że ja celowo popełniam błędy i zniekształcam dialekt leningradzki. Widocznie zaczął podejrzewać mnie o dezercję z wojska. Tłumaczyłem mu, że moją skromną znajomość języka rosyjskiego zawdzięczam Rosjance spod Leningradu, z którą przez 3 lata pracowałem w Niemczech u tego samego bauera. Oficer dokładnie przestudiował moją Arbeitskarte ze zdjęciem, w której znajdowały się moje dane personalne, miejsce urodzenia i zamieszkania, a także nazwisko i adres bauera. Potem jeszcze nastąpił kilkakrotny powrót do wymienionych pytań. Przez cały ten długi czas deprymująco wpływał na mnie utkwiony we mnie wzrok Mongoła.

Po przesłuchaniu zaprowadzono mnie do miejscowej gospody (jeśli mnie pamięć nie myli, właścicielem był niejaki Wawrzyczek). Tam odebrano mi pasek od spodni, inne twarde drobiazgi i wprowadzono na salę, w której znajdowała się scena. Wzdłuż trzech ścian na słomie leżało lub siedziało kilkudziesięciu mężczyzn. Pod oknami po lewej stronie znajdowali się żołnierze niemieccy według stopni od oficerskich po szeregowych, pod sceną byli cywile, zaś wzdłuż prawej ściany również w kolejności dystynkcji wojskowych żołnierze sowieccy. Mnie wskazano ostatnie miejsce pod sceną przeznaczone dla cywilów, na styku z szeregowymi czerwonoarmiejcami. Nie wolno było wstawać ani rozmawiać. Trzy razy dziennie wyprowadzano nas dziesiątkami na

podwórze celem załatwienia naszych potrzeb fizjologicznych, w południe zaś wnoszono miednice z jakąś bliżej nieokreśloną zupą, rozdzielano brudne łyżki i kawałek zakalcowatego chleba. Z jednej miednicy jadło naraz 5–6 osób. W ciągu całej doby siedzieli na krześle u drzwi wejściowych, zmieniający się co parę godzin, pilnujący nas uzbrojeni w pepechy żołnierze. W nocy strażnik zapalał przed sobą lampę naftową z osłoną, która go ocieniała, zaś całe światło odbijała na salę.

Znowu znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji, najgorszej z dotychczasowych. Leżałem na przemoczonej słomie, przypuszczam, że inni również. Całkowicie zostałem pozbawiony, podobnie jak wszyscy, jakiejkolwiek możliwości umycia chociażby rąk. Tutaj nabawiłem się wszawicy i świerzbu. Któregoś kolejnego dnia zauważyłem, że jeden z pilnujących nas żołnierzy pilnie mi się jakoś przygląda, a czynił to podczas każdego swojego „dyżuru". Zrozumiałem. Leżąc pod sceną z nogami skierowanymi w jego stronę, wystawiałem na widok moje zdobyczne niemieckie saperki podkute i podbite ćwiekami, którego to obuwia nie mogłem całkowicie ukryć pod nogawkami spodni. Duże obawy budziły we mnie także wywoływania co pewien czas niektórych więźniów, którzy potem już nie wracali na salę. Można to było różnie interpretować. Mnie wywołano w piątym dniu po owym denerwującym przesłuchaniu, mianowicie w piątek po południu (2 III).

Zaprowadzono mnie znowu do tego samego budynku, gdzie odbyło się poprzednie przesłuchanie. Teraz nastąpiła całkowita jego kopia: ta sama sceneria, ci sami dwaj oficerowie, te same pytania zadawane „w koło Macieju". Wszystko to trwało chyba znowu około dwóch godzin, gdyż po upływie dość długiego czasu zaczęło się ściemniać i Mongoł musiał zapalić lampę naftową, by mnie mógł dokładniej obserwować. Na szczęście wszystko skończyło się dla mnie pomyślnie. Zwrócono mi Arbeitskarte i owe drobiazgi wcześniej zarekwirowane. Wypuszczono mnie wreszcie wolno.

Zanim jednak wyszedłem z budynku, czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Oto w ciemnym korytarzu złapał mnie ów żołnierz, który tak łakomie przyglądał się na sali moim butom. Jestem pewien, że to spotkanie z nim nie było przypadkowe – zapewne czekał tu cierpliwie na moje zwolnienie. Początkowo tłumaczył mi, że on idzie na Berlin bić faszystów, mnie zaś sapagi nie nużny, bo wracam do domu. Kiedy próbowałem bronić jedynej mojej rzeczy, która znajdowała się jeszcze w jakim takim stanie, nagle pojawił się drugi sołdat. Ten obezwładnił mnie od tyłu i w ten sposób umożliwił swemu koledze przeprowadzenie zaplano-

wanego rabunku. Gdy pozbawiono mnie jednego buta, wtedy już bez oporu oddałem drugi. Złodziej w zamian oddał mi swoje wysokie gumowce, o co najmniej trzy numery dla mnie za duże, w dodatku z pękniętymi wzdłuż na kilkanaście centymetrów cholewami. Jak ostatni żebrak odziany, brudny, zawszony i z świerzbem opuszczałem ten dom, w którym doznałem tyle upokorzenia, krzywdy i cierpienia.

Tymczasem był już dość późny wieczór. Wiedziałem, że o tej porze obowiązuje godzina policyjna, zakazująca mieszkańcom wychodzenia z domu. Groziło mi zatem, że znowu mogę się natknąć na jakiś patrol wojskowy i wrócić tam, skąd dopiero co wyszedłem. Dlatego natychmiast udałem się polną ścieżką wzdłuż potoku do najbliższego domu, by poprosić o nocleg. Na moje pukanie wyszedł właściciel domu, lecz wysłuchawszy mnie oświadczył, że rozumie moją sytuację i bardzo mi współczuje, ale nie może mnie przyjąć, ponieważ wojsko wydało ostre zarządzenie zabraniające przyjmowania nieznajomych, a w dodatku w jego domu znajdują się Rosjanie. W czasie tej rozmowy wyszedł na korytarz zupełnie pijany żołnierz sowiecki i zapytał, kim jestem. Gdy odpowiedziałem mu coś po rosyjsku, ucieszył się bardzo i uznając mnie za „przyjaciela", powiedział, że koniecznie muszę się z nim napić. Zaprowadził mnie do pokoju, w którym odbywała się żołnierska libacja wspólnie z mieszkańcami tego domu. Było tu ciepło, czego nie zaznałem od dłuższego już czasu. Od razu podano mi coś do jedzenia. Tymczasem ów żołnierz pragnący się ze mną napić, podał mi pół szklanki wódki, bym ją natychmiast wypił. Nigdy dotąd nie piłem alkoholu i dlatego ta propozycja nie przypadła mi do gustu. Z drugiej strony obawiałem się, że gdy dłużej będę się wzdragał, mogę rozsierdzić żołnierza, co z kolei może się dla mnie źle skończyć. Próbowałem zatem łyknąć raz i drugi, ale to nie zadowoliło mojego „kompana". On bowiem domagał się, bym zawartość owej szklanki wypił duszkiem. Uczyniłem to wreszcie i wypiłem wódkę do dna. Jako nowicjusz w tym względzie dostarczyłem zebranym wiele radości, bo czyn mój wywoływał salwy śmiechu. Widocznie bawiły wszystkich moje grymasy na twarzy oraz brak wprawy w piciu alkoholu, bo istotnie doznawałem wstrętnego smaku prawdopodobnie samogonu. Zdawałem sobie sprawę, że bawiono się moim kosztem, co odczuwałem jako jeszcze jedno upokorzenie, na które niestety musiałem się zgodzić. Nie wiem, co działo się ze mną dalej. Obudziłem się dopiero rano z ciężką głową w pokoiku na poddaszu. Ale przynajmniej przespałem bezpiecznie noc.

c.d.n.

„PRZYGOTOWUJEMY UCZNIÓW DO ŻYCIA"

ROZMOWA Z DYREKTOREM JIŘÍM PINKAVĄ

Integrowana Średnia Szkoła Przedsiębiorstwa Handlowego w Czeskim Cieszynie, odznaczona w roku 1994 medalem J. A. Komenskiego, w skład której wchodzą Szkoła Hotelowa, Średnia Szkoła Zawodowa i Szkoła Rodzinna, posiada długoletnią tradycję. Założona została 7 sierpnia 1945 roku jako Szkoła Przysposobienia Zawodowego. Mieściła się w jednym z budynków szkoły podstawowej w Parku Masaryka. W ciągu dziesięcioleci wiele razy zmieniała swoją nazwę i swoje oblicze. Niezmienna pozostała troska o wychowanie dobrych rzemieślników i specjalistów w branży usługowej.

Na początku 1991 roku jeszcze jako Średnia Szkoła Zawodowa stała się podmiotem prawnym. Od 1 września 1994 roku istnieje pod obecną nazwą. Oprócz budynku w Parku Masaryka posiada dwa budynki na ulicy Frydeckiej: „różowy" z zapleczem sportowym w budynku i w ogrodzie, z basenem, z barem służącym nie tylko uczniom do nauki, oraz „niebieski", gdzie mieści się dyrekcja szkoły, z parkiem wypoczynkowym. W nauce pomagają liczne klasopracownie: komputerowe z Internetem, do nauki pisania na maszynie, wideo, do nauki aranżacji, techniki cukierniczej, kucharskiej i stołowania, kuchnia i bufety.

Do szkoły uczęszcza około tysiąca uczniów. Mają oni do dyspozycji trzyletnie specjalizacje zawodowe (cukiernik, kucharz, kelner, dekorator, ekspedient) oraz czteroletnie specjalizacje z maturą (działalność przedsiębiorczo-handlowa, hotelarstwo i turystyka oraz handlowiec). Cukiernicy, kucharze, kelnerzy i ekspedienci mogą kontynuować naukę w dwuletnim dziennym lub trzyletnim zaocznym studium Działalność Handlowa i Żywienie Zbiorowe, zakończonym maturą.

Od 1 lutego 1990 roku funkcję dyrektora szkoły pełni PaedDr Jiří Pinkava. Redakcja Zwrotu zwróciła się do niego z kilkoma pytaniami:

Do szkoły chodzą zarówno dzieci czeskie, jak i polskie. Również niektórzy nauczyciele są Polakami. Jak układa się współpraca między nimi?

Nie widzę tu żadnego problemu.

Dzieci czeskie i polskie chodzą do tej szkoły razem już ponad pięćdziesiąt lat. Trzech zastępców dyrektora to Polacy. Wśród nauczycieli i mistrzów fachowego wyszkolenia są również Polacy.

Poza tym współpracujemy ze szkołami w Polsce, w chwili obecnej jest to współpraca ze Szkołą Hotelową w Wiśle. Byliśmy tam w czasie egzaminów maturalnych, zapraszaliśmy ich na nasze konkursy. Nasza szkoła ma też bardzo dobre kontakty z Polską Szkołą Podstawową w Czeskim Cieszynie, która urządza u nas festyn szkolny. Absolwenci tej szkoły często kontynuują naukę w naszej szkole.

Do programu nauczania historii włączyliśmy problematykę Śląska Cieszyńskiego. Nie unikamy żadnej polemiki na temat problemów, które były w naszym regionie. Jest to jeden z tematów pytań maturalnych. Na lekcjach języka czeskiego uczymy również o pisarzach naszego regionu. I ten temat znajduje się wśród pytań maturalnych.

Jakie szanse dalszego kształcenia mają absolwenci szkoły?

Po ukończeniu naszej szkoły zainteresowani mogą dalej studiować na wyższych uczelniach. Podejmują studia na Wydziale Handlu i Przedsiębiorczości w Karwinie, ale również na Wydziale Ekonomicznym w Ostrawie, a niektórzy nawet na Wydziale Pedagogicznym w Ołomuńcu. Mamy naszych absolwentów na studiach w Polsce w Krakowie, ale też w Stanach Zjednoczonych. Faktem jest, że niektórzy nasi absolwenci są bezrobotni, ale są między nimi tacy, którzy pracować nie chcą. Jest mi przykro z tego powodu, ponieważ niektórzy byli uczniami celującymi. Twierdzą, że na razie wystarczy im zasiłek dla bezrobotnych.

Nie istnieje problem bezrobocia dla absolwentów kierunków handlu i usług. O ile nie znajdą pracy tutaj, wyjeżdżają do Pragi, ale również do innych krajów, np. do Lichtensteinu. Ich zarobki tam są o wiele wyższe, wynoszą w przeliczeniu ponad 30 tysięcy koron. Nasza absolwentka otworzyła niedawno w Austrii wielką cukiernię i piekarnię, znalazła się tam poprzez kontakty ze zmarłym w ubiegłym roku hrabią Larischem i jego siostrą. Mamy też naszych uczniów w Australii.

Jednym słowem staramy się przygotowywać naszych uczniów do dorosłego życia. Stwarzać im takie warunki, by się w nim nie zagubili. O tym, jak nam się to udaje, przekonaliśmy się, kiedy nasi uczniowie jeździli na praktyki do Francji, gdzie byli również polscy uczniowie z Cieszyna i Wisły, i dorównywali we wszystkim swoim rówieśnikom z tamtejszych szkół. Obsługiwali francuskich, czeskich,

angielskich gości równie dobrze jak uczniowie francuscy.

Uczniowie muszą wobec tego znać języki obce?

W naszej szkole uczymy języka angielskiego, niemieckiego, rosyjskiego, wielu uczniów zna oczywiście język polski, a do Francji przygotowywaliśmy uczniów na specjalnym kursie języka francuskiego.

A jak jest z przygotowaniem fachowym?

Nasza szkoła posiada bardzo dobre warunki, jeśli chodzi o przygotowanie uczniów do zawodu. Mamy nową kuchnię i trzy bary, gdzie praktykują uczniowie szkół hotelowych. Zdobyliśmy w tym roku pierwsze miejsce w RC w konkursie barmanów wśród szkół państwowych w Hradcu nad Moravicą, trzecie i szóste miejsce w RC w konkursie cukierników. Myślę, że udaje nam się tak przygotować uczniów do zawodu, że opuszczają szkołę jako prawdziwi fachowcy.

Uczniowie, którzy w przyszłości obejmą kierownicze stanowiska, mają w szkole do dyspozycji dwie klasopracownie komputerowe podłączone do Internetu, laboratorium językowe, salę do nauki pisania na maszynie. Na strychu powstała galeria, gdzie prezentują swoje prace dekoratorzy oraz uczniowe innych specjalizacji handlowych.

Szkoła posiada wiele miejsc pracy w Okręgu Północnomorawskim, niedawno np. doszło do uroczystego otwarcia ośrodka przysposobienia zawodowego w Trzyńcu w przebudowanym supermarkecie.

Urządzamy wycieczki, uczniowie nasi wrócili właśnie z Austrii, gdzie zwiedzili kilka miast, ale byli również w szkołach hotelarskich i ich ośrodkach szkoleniowych.

Urządzamy spotkania informacyjne o naszej szkole dla uczniów kończących szkoły podstawowe w Hawierzowie, Karwinie, Czeskim Cieszynie, Trzyńcu i Orłowej.

Jak dba szkoła o kondycję fizyczną swoich uczniów?

Poprawie kondycji fizycznej uczniów służy całe zaplecze sportowe. Mamy basen, saunę, siłownię, ścianę do wspinaczki i całą masę boisk, gdzie urządzamy współzawodnictwa również dla uczniów reszty szkół cieszyńskich lub zawody międzynarodowe w sportach nietradycyjnych, np. ringo, siatkówka plażowa, we wrześniu odbył się już szósty rocznik zawodów o puchar dyrektora naszej szkoły w minigolfie. Założyliśmy park wypoczynkowy z fontanną, wodotryskiem i rzeźbami, gdzie uczniowie mogą odpoczywać. W uroczystym otwarciu wzięły udział nasze mażoretki, które też mogą się poszczycić sukcesami, a w przeszłości na spotkaniu mażoretek z CR wygrały konkurs na najładniejszy strój.

Szkoła, której jest Pan dyrektorem, ma szereg osiągnięć. Chcielibyśmy przybliżyć czytelnikom Zwrotu również Pana sylwetkę. Jak układają się Pana osobiste kontakty z Polakami?

Zgodziłem się kandydować w wyborach do Senatu RC z ramienia Ruchu Politycznego Wspólnota jako kandydat niezależny. Nie jestem członkiem żadnej partii politycznej. Mój program dotyczy naszego regionu. Wspólnota jest jedynym ruchem politycznym w naszym państwie, którego priorytetem są problemy obywateli naszego regionu, jedynym, który może bronić w parlamencie praw mniejszości narodowych. Wydaje mi się, że Polacy nie uświadamiają sobie tego w pełni. Dopóki będzie u nas istniał taki system parlamentarny, jaki istnieje do tej pory, Polakom nigdy nie uda się zebrać takiej liczby głosów, by ich kandydat dostał się do niższej izby Parlamentu, natomiast w Senacie jest miejsce i dla mniejszych partii politycznych. Gdybym został wybrany, moim celem będzie taka praca, abym po skończeniu kadencji mógł oddać swoje krzesło w Senacie prawowitemu Polakowi, który stąd pochodzi, umie po polsku i będzie bronił praw mniejszości polskiej. Obok niego powinien siedzieć w Senacie również Niemiec, Słowak czy Węgier i muszą mieć możliwość współpracy z urzędnikami państwowymi, którzy zajmują się sprawami mniejszości, i w ten sposób szansę na rozwiązywanie swoich problemów.

Jeśli chodzi o mój stosunek do Polaków, to jest on jasny. Nie dzielę ludzi ani na Polaków, ani na Czechów, ani na nikogo innego. Wśród Polaków mam mnóstwo znajomych i przyjaciół, moja żona jest Polką, syn chodzi do polskiej szkoły, krewni ze strony żony mieszkają w Polsce od Cieszyna po Bałtyk. Opublikowałem kiedyś w Zwrocie cykl artykułów o rysunku dziecięcym (dyrektor Pinkava jest również plastykiem, w galerii szkolnej wiszą m. in. jego ekslibrisy – przyp. red.), współpracowałem również z Głosem Ludu, byłem współzałożycielem związku dziennikarzy, znam więc problematykę tutejszej prasy polskiej, polskiego radia. Biorę udział w imprezach pezetkaowskich, byłem na festynie Macierzy Szkolnej na Bagińcu, wraz z małżonką odwiedziliśmy szereg Kół PZKO z cyklem prelekcji o Japonii. To Polacy poprosili mnie, bym kandydował w wyborach do Senatu.

Dziękujemy za rozmowę!

ELŻBIETA STRÓŻCZYK
CZESŁAWA RUDNIK

Nauka sztuki barmańskiej

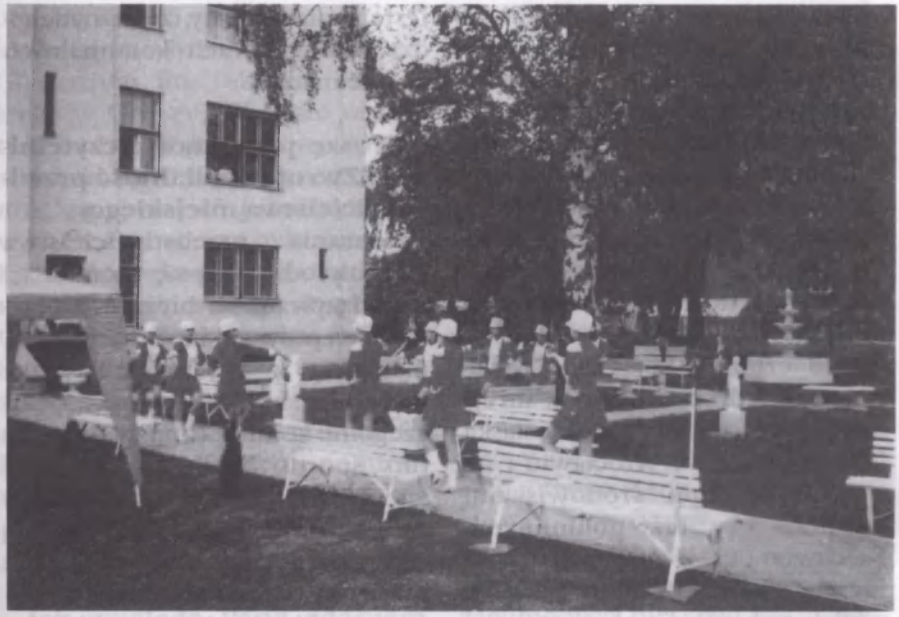

Mażoretki w parku za szkołą

CO NOWEGO W ORŁOWEJ

MUDr Zbigniew Michałek, wybrany z listy Stowarzyszenia Kandydatów Niezależnych, jest jednym z dwu Polaków – członków przedstawicielstwa miasta. Naszego radnego poprosiłem o przedstawienie się czytelnikom Zwrotu:

Urodziłem się 8 czerwca 1946 w Mostach koło Jabłonkowa. Tam ukończyłem szkołę podstawową. Po zdaniu egzaminu maturalnego w Czeskim Cieszynie w roku 1963 (w klasie śp. prof. Pawła Zieliny) podjąłem studia na Fakultecie Medycznym w Ołomuńcu. Studia ukończyłem w maju 1969 roku. Po promocji pracowałem przez 10 lat w trzynieckim szpitalu Na Sośnie jako lekarz-radiolog. Jednocześnie byłem lekarzem Pogotowia Ratunkowego w Jabłonkowie.

Po dziesięcioletnim stażu specjalistycznym wygrałem konkurs na stanowisko ordynatora Oddziału Radiologii (RTG) w nowo otwartym szpitalu w Orłowej. Pracuję tam do dziś – to już niespełna dwadzieścia lat (do roku 1993 byłem też w Orłowej lekarzem pogotowia).

Jako członek Polskiego Towarzystwa Medycznego w CR utrzymuję ścisłe kontakty z Dolnośląską Izbą Lekarską we Wrocławiu i innymi lekarskimi środowiskami polskimi czy też polonijnymi. Niedawno (15-16 maja br.) uczestniczyłem w 4. spotkaniu przedstawicieli polskich i polonijnych organizacji medycznych z krajów ościennych (Ukrainy, Białorusi, Litwy, Niemiec) we Wrocławiu i Szczawnie.

Od roku 1990 jestem członkiem ruchu politycznego Niezależni. Z listy kandydatów tego właśnie ruchu startowałem w tegorocznych wyborach parlamentarnych. Niestety Niezależni nie uzyskali wymaganej liczby głosów, dającej szansę wejścia do Parlamentu. Jestem przekonany, że w nadchodzących wyborach komunalnych będzie inaczej.

Proszę przedstawić czytelnikom Zwrotu działalność przedstawicielstwa miejskiego:

Zebrania przedstawicielstwa z reguły odbywają się co miesiąc. Rozwiązywane są bieżące problemy. Akceptowane lub odrzucane są materiały przygotowane przez Radę Miejską oraz poprzez poszczególne komisje (budżetową, kultury, sportu, szkolnictwa, komunikacji, bezpieczeństwa, ekonomii itp.).

Na kilku ostatnich zebraniach dyskutowano szczegółowo na temat gazyfikacji miasta, problemów

mieszkaniowych, likwidacji odpadów i śmieci, utrzymania zdrowego środowiska naturalnego.

Regularnie analizujemy problemy bezpieczeństwa obywateli (omawiamy sposoby prewencji zagrożenia utraty zdrowia, życia czy też mienia obywateli). Na każdym zebraniu jest obecny pan Fajkus - komendant Policji Miejskiej.

Chciałbym podkreślić, że wszystkie zebrania przedstawicielstwa miasta są publiczne. To znaczy, że każdy obywatel zawsze może na posiedzeniu być obecny i podejmować dyskusję na temat nurtującego problemu.

Od obywateli miasta (ale też całego regionu) deklarujących narodowość polską oczekiwałem więcej aktywności w zeszłych latach, kiedy to ważyły się losy Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. W nowo otwartym budynku gimnazjum, nawiasem mówiąc wybudowanego również za „polskie" pieniądze, bo w budżecie budowy była suma kilku milionów koron z odszkodowania za zanik starego budynku Gimnazjum Polskiego im. Juliusza Słowackiego w Łazach w wyniku szkód towarzyszących wydobywaniu węgla, była szansa otwarcia klas polskich. Niestety, pomimo wszelkich starań nie udało się zapewnić kontynuacji działania polskiego gimnazjum...

Jak wygląda Pana zdaniem sytuacja ochrony zdrowia w Orłowej?

Szpital, który otwarto przed dwudziestu laty, dzięki nowemu kierownictwu (dyrektorem szpitala jest MUDr Kazimierz Kawka) pozostał na „państwowym garnuszku", ale tak samo jak i sektor prywatnej służby zdrowia jest „pod pręgierzem" wszechmocnych ubezpieczalni zdrowotnych. To one dyktują, ile, i za ile może pacjent „otrzymać zdrowia" czy to w formie lekarstw, czy zabiegów lekarskich, nawet badań diagnostycznych. Wiem, że pogorszyła się sytuacja obywateli Łazów, Poręby, Starego Miasta i innych obwodów z powodu potrzeby dojazdu do Lutyni, gdzie jest większa koncentracja przychodni i są apteki, a autobus też podrożał, nie mówiąc o taksówkach, bo przewozić ludzi karetką można już też tylko w bardzo uzasadnionych przypadkach. Sytuacja prawna jest dziś taka, iż miasto nie może dyktować lekarzom prywatnym, żeby otwierali swoje przychodnie według zapotrzebowania obywateli.

Co się Panu w obecnej kadencji udało zapewnić, a czego się nie udało?

Jako członek przedstawicielstwa jestem na swój sposób współtwórcą ogólnego stanu rzeczy w mieście. Za pozytywny wynik mych wielokrotnych interpelacji uważam wybudowanie schroniska dla zagubionych piesków. Jako człon-

ka komisji sportowej satysfakcjonuje mnie, że udało się znaleźć środki finansowe na działalność klubu hokeja na lodzie, i to na poziomie II ligi. Tym bardziej dumny jestem z tego faktu dlatego, że w drużynie hokejowej występował aktywnie też mój syn. Hokej jest w Orłowej sportem nr 1.

Czy będzie Pan ubiegać się o miejsce w przedstawicielstwie miejskim również w następnej kadencji?

Wybory komunalne będą w listopadzie. Ruch polityczny Niezależni wystawi w Orłowej pełną listę kandydatów. Będzie na tej liście też moje nazwisko. Nasz Ruch jest aktywny, jego członkowie są w mieście nie tylko zauważani, ale też poważani.

Od wyborców zależeć będzie czy w ratuszu zasiądzie przynajmniej jeden Polak, by w Orłowej miał kto przemówić do pary narzeczonych w sali orłowskiego ratusza i przeprowadzić ten akt prawny po polsku, żeby starał się załatwić, aby dzieci tych małżeństw mogły uczęszczać do polskich przedszkoli i kształcić się w polskich szkołach.

W przedstawicielstwie trzeba takich, którzy nie boją się wstać i powiedzieć swoje zdanie.

Dziękuję za rozmowę.

TADEUSZ TOMAN

BŁĘDOWICKIE CMENTARZE

Pod kościołem św. Małgorzaty – na stromo opadającym stoku rzeki Łucyny nasi przodkowie założyli katolicki cmentarz, koło którego zbudowali pierwszy drewniany kościół. Lokalizacja tego cmentarza na skrawku ziemi nie nadającej się do uprawy świadczy o gospodarskim stosunku do ziemi naszych przodków, a także o ich romantycznej postawie życiowej. Cmentarz ten znajduje się na tzw. Zakościelu, daleko od zabudowy miejskiej i dziś należy do najspokojniejszych zakątków Hawierzowa.

W drewnianym, dziś już nieistniejącym kościele pod podłogą znajdował się grobowiec rodziny baronów Marklowskich. Po zburzeniu kościoła na grób położono płytę z czeskim napisem. Obok niego znajdował się grobowiec właściciela dóbr z Górnych Błędowic Józefa Koschla, z polskim napisem. Przy nowym rozplanowaniu cmentarza obie płyty złożono w kostnicy. Na cmentarzu pogrzebany jest podobno również hetman husycki.

Aż do roku 1843 miejscowi ewangelicy nie posiadali własnego cmentarza, przy śpiewie i dzwonieniu katolickich dzwonów grzebali tu swoich zmarłych, a na katolickiej plebanii płacili za koszta pogrzebowe.

Kiedy byłem małym chłopcem, pod wieczór w dniu Wszystkich Świętych mój ojciec zabierał mnie na już puste miejscowe cmentarze. Wtedy najbardziej urzekał mnie swoim rzęsistym oświetleniem dopalających się zniczy, ostatni w tej wędrówce, cmentarz katolicki. W drodze powrotnej z cmentarzy zakończeniem tej niezwykłej, romantycznej wędrówki, były na przykościelnym cmentarzyku groby rodzinne właścicieli błędowickich dóbr, ludzi szlachetnie urodzonych i miejscowych księży.

Zawsze na grobach zarastających bluszczem dopalały się znicze na dowód tego, że dawno temu zmarli stale żyją w ludzkiej pamięci. Do dziś dnia słyszę szczęk zamykanej furtki tego uprzywilejowanego miejsca wiecznego odpoczynku.

Cmentarz katolicki ma za sobą przeszło 600 lat istnienia. Obok cmentarza katolickiego znajduje się tzw. stary cmentarz ewangelicki, przy ulicy Frydeckiej, z charakterystyczną bramą cmentarną w formie antycznego łuku, na którym nasi przodkowie przed przeszło 150 laty umieścili polski napis główny: *Błogosławieni są umarli, którzy w Panu umierają*, po jego bokach, również w języku polskim, fragmenty Pisma Świętego. Bramę zamykają żelazne wrota. Cmentarz ogrodzono murowanymi słupami, pomiędzy które wstawiono dębowy, ozdobny płot. Historyczny napis niesie dziś znamię przeżytego czasu. Sto lat pozostawiono go w spokoju, dopiero w roku 1952, kiedy zbór błędowicki opuszcza ks. F.

Budínský, na jego życzenie umieszczono napis główny w języku czeskim i polskim. W roku 1996 w czasie kolejnego odnawiania bramy pierwotnego napisu z roku 1843 już nie przywrócono. Pozostał więc napis główny dwujęzyczny, po jego bokach napisy polskie.

Największe zasługi w założeniu cmentarza miał długoletni pastor ewangelicki ks. S. T. Barthelmuss, w roku jego poświęcenia miał 74 lata. Jego grobu na cmentarzu jednak nie znajdziemy, w ostatnich latach życia przebywał poza zborem.

Dziś stary cmentarz ewangelicki zapełnił się i staje się cmentarzem historycznym. Pewnie dlatego Urząd Ochrony Zabytków w Ostrawie czyni starania w celu zaszeregowania całego kompleksu obiektów, w tym i starego cmentarza ewangelickiego, do państwowej ewidencji zabytków.

Do historycznych pamiątek należą grobowce rodziny Prymusów z napisami w języku niemieckim, przed 130 laty otoczone żelaznym płotkiem. Na tym cmentarzu miejsce odpoczynku znaleźli miejscowi pastorowie, kuratorowie, sekretarze, skarbnicy zborowi.

Drugim cmentarzem ewangelickim jest tzw. nowy cmentarz ewangelicki. Jego nazwa przetrwała do dziś, choć to już sto lat od chwili, kiedy został założony na polu kuratora Józefa Pawlasa. Na wolnej wtedy przestrzeni ogrodzonej drewnianym parkanem zasadzono mnóstwo drzewek cyprysowych, drzewa zasadzono też tuż za bramą i w środkowej części cmentarza. W ten sposób założony i utrzymywany cmentarz długo sprawiał wrażenie parku, a miejscowy pastor ks. Józef Mamica chętnie odwiedzał to miejsce odpoczynku swoich zborowników, nazywając go „świątynią dumania". Skromny był wtedy sposób grzebania zmarłych, groby obkładano darnią, obsadzano jakiś czas bratkami, później zarastały trawą, latem poziomkami, a nawet grzybami. Tu i tam uroku dodawały krzaki dzikiej róży. Tylko zamożniejsi budowali pomniki.

Dziś cmentarz zapełnił się grobami, płytami z betonu i kamienia. Brakuje ludziom pokrytej czerwoną dachówką kostnicy.

W środkowej części cmentarza znalazł miejsce wiecznego odpoczynku fundator Józef Pawlas (1913), przed 40 laty jego wychowanek i organista nauczyciel Andrzej Pawlas, w ostatnich latach zwierzchnik kościoła ewangelickiego ks. biskup Władysław Kiedroń oraz miejscowy pastor ks. Karol Krzywoń.

Tak jak ziemia katolickiego cmentarza ukrywa zwłoki husyckiego hetmana, tak na nowym cmentarzu ewangelickim w jego środkowej części znajduje się pomnik z posągiem bolejącej kobiety legionisty Jaroslava Svobody, uczestnika walk pod Zborovem, na którym umieszczono epitafium: Hoši od Zborova, klidně v zemi spěte...

W roku 1995 zbór przejął na siebie obowiązek utrzymania obu cmentarzy.

Rada Cmentarna Zboru Błędowickiego troszczy się również o cmentarz w Żywocicach. Przed przeszło 100 laty miejscowi ewangelicy, a było ich tylko 18, z prezbiterem Bernardem Tomanem na czele, chcąc w sprawach pogrzebowych uniezależnić się od miejscowych katolików, z wielkim zacięciem przystąpili do założenia cmentarza. Założyli cmentarz, wybudowali kaplicę i ufundowali dzwon.

Na żywocickim cmentarzu spoczął jego założyciel Bernard Toman (w r. 1901), zaś w r. 1962 kurator zboru Józef Rozbrój.

Osobny rozdział tworzą lata okupacji. Sparaliżowany dzwon w kaplicy został zmuszony do milczenia. Żałośnie zapłakał w czerwcu 1945, kiedy z Orłowej wracały szczątki cielesne ofiar faszyzmu z sierpnia 1944. Stoi dla potomnych niemy świadek tamtych dni - ewangelicka kaplica cmentarna w Żywocicach. Ofiary żywocickiej tragedii spoczywają we wspólnej mogile naprzeciw cmentarza.

ANDRZEJ PAWLAS

ANDRZEJ KUBISZ

(1916–1998)

Był najmłodszym synem autora hymnu zaolziańskiego „Płyniesz Olzo" Jana Kubisza.

Należał do grupy powojennych działaczy polskich w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, którzy stali u początków Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, jak również polskiej prasy - Głosu Ludu, którego był redaktorem naczelnym, i Szyndziołów, przekształconych później w miesięcznik ZWROT.

Jego szlachetne serce przestało bić 10 października 1998.

Jego duch pełen spokoju i mądrości pozostanie na zawsze w sercach wszystkich, którzy go znali!

Skłaniamy pogrążone w smutku głowy.

PAWEŁ KUBICA
WSPOMNIENIE (1910-1973)

Był Zaolziakiem z urodzenia i warszawiakiem z wyboru. Przyszedł na świat w Łazach jako jedenaste dziecko górnika dołowego. Ukończył słynne polskie gimnazjum w Orłowej w 1928 r., a potem studia medyczne w Pradze (1934), które dały mu nie tylko tytuł doktorski, ale i przydomek „hardego Polaka". Odpracowywał stypendium Macierzy Szkolnej w zaolziańskim Boguminie jako „lekarz służby przemysłowej".

Po wybuchu wojny ukrywał się przed hakatystami: najpierw w okolicach Istebnej, a w 1941 r. znalazł się w Warszawie i podjął pracę w Szpitalu Zakaźnym św. Stanisława na Woli. Był urodzonym lekarzem. Pamiętają go jeszcze pacjenci z sanatarium otwockiego, gdzie był ordynatorem. Był człowiekiem bardzo wymagającym i stanowczym zarówno wobec personelu, jak i samego siebie, życzliwy wobec pacjentów, dla których był prawie jak ojciec.

Najbardziej dramatyczny epizod jego życia rozegrał się w czasie Powstania Warszawskiego. Jako dyrektor szpitala św. Stanisława, znając znakomicie niemiecki, będąc doskonałym organizatorem, uratował nie tylko setki pacjentów, w tym rannych powstańców, przed natychmiastowym rozstrzelaniem, ale praktycznie cały personel, w tym słynnych później prof. Leona Manteuffla i prof. Stefana Wesołowskiego, siostry szarytki, pielęgniarki świeckie z grup uderzeniowych „Parasola", chorych. Szczególnie początek sierpnia 1944 r. był na Woli przerażający. Rzeź dokonywana przez rozbestwione żołdactwo niemiecko-kałmuckie nie ominęła i szpitali. *W Szpitalu Wolskim* - pisał dr Kubica w swoich powojennych notatkach - *Niemcy zamordowali dyrektora dr. Józefa Piaseckiego, prof. Janusza Zeylanda, wybitnego internistę, kapelana ks. Kazimierza Ciecierskiego, a poza tym wielu pracowników szpitala i chorych. W szpitalu im. Karola i Marii rozstrzeliwano i palono chore dzieci, w szpitalu św. Łazarza masowo mordowano pracowników szpitalnych. Nam udało się,*

mimo kilkakrotnych niebezpiecznych sytuacji prowokowanych przez gestapo i Wehrmacht, uratować prawie cały szpital i po upadku powstania dotrzeć do Studzieńca na ziemi skierniewickiej.

Dr Kubica działał nie tylko jako dyrektor szpitala. Był w ścisłym kontakcie z dowództwem powstania na Woli. Uratował od zagłady sporą część załogi fabryki Franaszka, mieszczącej się tuż za parkanem szpitalnym. Po prostu dał pracownikom białe fartuchy i w ciągu kilku nocy przeprowadził do podziemi szpitala.

Po wojnie znalazł się w teamie prof. Adama Grucy i wybrał specjalizację ortopedii i traumatologii. Należał do grona „wielkich" w tej dziedzinie profesorów: Grucy, Malawskiego, Garlickiego i in. Potem został przeniesiony do sanatorium przeciwgruźliczego im. Janka Krasickiego w Otwocku, gdzie był ordynatorem oddziału ortopedycznego aż do ostatnich dni. Tam pacjenci przebywają nawet po kilka lat. Lekarz musi być nie tylko specjalistą, ale przede wszystkim człowiekiem wrażliwym na ludzkie cierpienie i osamotnienie. *Gdybym był ciężko i beznadziejnie chorym, nie pytałbym mojego lekarza o wiedzę, jaką dysponuje, aby mnie uratować. Pytałbym o jego serce* – mawiał dr Kubica. Tych zasad trzymał się, pracując z chorymi.

Był człowiekiem niezwykle lubianym, towarzyskim, świetnie grał w brydża, a dom Pawła i jego żony Lucyny, znanego marszanda dzieł sztuki, był miejscem, gdzie spotykali się znani twórcy, naukowcy, artyści. Bywali tam m. in. Jan Cybis, Włodzimierz Zakrzewski, Andrzej i Jerzy Mierzejewscy, Andrzej Janota, Jerzy Baurski, profesorowie Emil Chroboczek, Tadeusz Koszarowski, Bogusław Kożusznik i wielu innych.

Paweł Kubica lubił bywać w licznym towarzystwie i ta cecha wiązała go mocno także ze wszystkimi członkami Klubu Cieszyniaków, w którym działał prawie 20 lat; był duszą wszystkich poczynań Klubu. Często odwiedzał rodzinne strony, składał kwiaty na grobie rodziców, witał się z licznymi kuzynami mieszkającymi na Zaolziu i w Cieszynie.

Zmarł 26 lutego 1973 r. Spoczął na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, żegnany przez setki przyjaciół i tych z Warszawy, i tych z Zaolzia, i tych z prawej strony Olzy.

GRONO PRZYJACIÓŁ
Z ZAOLZIA I WARSZAWY

Wspomnienie opublikowane na łamach dodatku stołecznego Gazety Wyborczej w 25. rocznicę śmierci Pawła Kubicy.

ŁĘCKA SZKOŁA KSZTAŁCIŁA I WYCHOWYWAŁA

TEATR SZKOLNY W ŁĄKACH

Polska Szkoła Ludowa w Łąkach nad Olzą powstała w zamierzchłej przeszłości, a jej właściwy rodowód trudno dziś jednoznacznie określić. Pierwotne bowiem i sprawdzone dane historyczne bezpowrotnie zaginęły w zawierusze czasu. Jedna z kronik podaje, iż starą szkołę mieszczącą się pod numerem 95 otwarto w czasach panowania Marii Teresy, a w roku 1770 należała do powiatu cieszyńskiego. Należała do fundacji religijnej, nazwano ją trywialną, a dozór nad nią sprawował Józef Paduch. W roku szkolnym 1868/69 jednoklasowa szkoła katolicka wychowywała 146 chłopców i dziewcząt w języku polskim. Szkoła najnowsza, zbudowana w roku 1878, największą liczbę uczniów - 349 - osiągnęła w roku 1921. W tym samym roku powstała w Łąkach První česká menšinová škola, jednoklasówka, mieszcząca się w domu polskiego nauczyciela Józefa Paździory. W czasie wojny hitlerowski okupant przekształcił szkołę w stajnię dla koni. Budynek przetrwał wojnę, legł w gruzach dopiero w roku 1982, płacąc tak srogą daninę za cenę węgla.

W roku 1945 po zakończeniu działań wojennych dzięki wysiłkowi i ofiarności społeczeństwa polskiego Łąk można było ponownie otworzyć szkołę. Dyrektorem został Józef Kokotek, nauczycielem Edward Pawlik. Po przeniesieniu ich do Karwiny w szkole uczyła Zofia Chlebik, nowym dyrektorem mianowano Adolfa Żyłę. To właśnie on stworzył podwaliny pięknej tradycji kształcenia i wychowywania poprzez teatr amatorski.

Pierwszym przedstawieniem, przygotowanym z pomocą Rady Rodzicielskiej, w którym wzięła udział cała szkoła, była „Królowa Zima". Drugą i zarazem ostatnią premierą przygotowaną pod kierunkiem dyrektora Żyły, stał się, pokazany 29.12.1946 „Sen wigilijny".

Na dyrektorskim krześle zasiadł Józef Kokotek, na czele Rady Rodzicielskiej stanął Karol Kula, pałeczkę reżyserską przejął Edward Pawlik.

28.12.1947 odegrano tradycyjne „Jasełka". W rok później 12.12.1948 w nowo otwartej świetlicy PZKO u Urbanka bardzo udane „Sen Zosi i zaśnij oczko". 25 i 26.3.1950 szkoła zagrała „Śpiących rycerzy". Reżyserem został znany działacz pezetkaowski Tadeusz Chrząszcz.

W roku szkolnym 1953/54 dyrektorem szkoły mianowany został Wiktor Duda, nauczycielką Danuta Morys. Nowy dyrektor nawiązał do pięknej tradycji teatru szkolnego. 11.4.1954 wystawił „Coś tam w lesie huknęło", 21 i 22.5.1955 „O Oleńce, co kochała złoto". Wypełniona po brzegi sala nagrodziła młodych aktorów niemilknącymi oklaskami.

Następny rok szkolny upłynął pod znakiem przygotowań do jubileuszu osiemdziesięciolecia szkoły. Punktem kulminacyjnym obchodów była uroczysta akademia, w której wzięli udział wszyscy uczniowie.

Rozpoczęto przebudowę szkoły. Nie zaniechano jednak pracy teatru szkolnego, 14.12.1958 odbyło się przedstawienie „Baśni o zaklętym kaczorze". Odtąd wystawiano sztuki bardziej sporadycznie. 8 i 9.12.1962 była to „Jagienka i smok", 18.12.1966 „Czarodziejskie wrzeciono". W tym roku odbyły się też uroczystości dziewięćdziesięciolecia szkoły. Ostatnim przedstawieniem była sztuka „Za siedmioma górami", pokazana w roku szkolnym 1968/69.

Dzieje szkolnego teatru w Łąkach to również nazwiska Elżbiety Ocisk, Hildy Jurczyk, Walerii Ożanówny, W. Wronkowej, Gemrotówny, Rewendy, Sembolowej, Węglarzych.

Wskutek szkód górniczych rozpoczęło się powolne zamieranie Łąk i zamieranie szkoły. W roku szkolnym 1975/76 pozostała w pięknie wyremontowanej szkole pod dyrekcją Wiktora Dudy jedna klasa z 18 uczniami.

Rok szkolny 1981/82 był ostatnim rokiem istnienia szkoły. Na mocy uchwały Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Karwinie z dnia 7.8.1981 Polska Szkoła Ludowa w Łąkach została 1.9.1982 zlikwidowana.

Łęcka szkoła ludowa spełniła swoje posłannictwo dziejowe. Kształciła, wychowywała, uczyła patriotyzmu. Złotymi literami wpisała się w chlubną historię Łąk nad Olzą.

JÓZEF KULA

Tak jeszcze wyglądała Polska Szkoła Ludowa w Łąkach w latach 1953–1957: Danuta Morys, dyr. Wiktor Duda, Edward Pawlik

MARIA CHRAŚCINA W KONTEKŚCIE LITERATURY CZESKIEJ

Maria Chraścina nie jest na Zaolziu autorką nieznaną. Pochodzi z Suchej Górnej. Ukończyła Średnią Szkołę Ekonomiczną w Czeskim Cieszynie i Studium Języków Obcych w Ostrawie. Obecnie pracuje jako ekonomistka. Jest mieszkanką Czeskiego Cieszyna.

Od wczesnej młodości przejawiała zdolności artystyczne, jednak aktywnie i oficjalnie uczestniczy w życiu literackim Zaolzia od roku 1984, kiedy została członkiem Grupy Literackiej GL '63 działającej przy trzynieckim Domu Kultury. Jest wielokrotną laureatką konkursów literackich organizowanych przez GL '63 oraz Sekcję Literacko-Artystyczną ZG PZKO. Jej wiersze ukazały się w almanachach tych grup literackich. Teksty literackie publikowała w gazetach i czasopismach kulturalnych. Swoją twórczość zaprezentowała również w almanachu wydanym z okazji jubileuszu czterdziestopięciolecia Polskiego Gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Jej debiutancki tomik ukazał się jednakże całkiem niedawno. Chodzi naturalnie o wydany w Katowicach w roku 1995 zbiorek zatytułowany „Czas pieśni". Czeski czytelnik miał możliwość zapoznania się z twórczością tej autorki po raz pierwszy dopiero pod koniec ubiegłego roku, kiedy jej debiut pisarski jako „Čas písně" w czeskim przekładzie Libora Martinka i Wilhelma Przeczka wydało czeskocieszyńskie Wydawnictwo Olza.

W posłowiu do tomiku napisałem o poezji Marii Chraściny: *Jej wiersze, tylko pozornie proste, prezentują czytelnikowi czeskiemu autorkę związaną ze swym ojczystym Śląskiem Cieszyńskim, jednakże wyrażającą poprzez starannie dobrane słowo poetyckie uniwersalne problemy i wartości ludzkie. Na pierwszy rzut oka powszednie, a jednak często niecodzienne sytuacje zostały tutaj przedstawione na płaszczyźnie poetyckiej z wrażliwym liryzmem, na płaszczyźnie filozoficznej z nadzieją i wiarą w pełnię ludzkiego istnienia.* Książka dotarła nie tylko do rąk czeskiego czytelnika, ale również do kilku czeskich krytyków literackich. Z dotychczasowych głosów krytyki wybrałem opinie dwu obiektywnych czeskich recenzentów, obiektywnych przede wszystkim dlatego, że sami są również poetami.

Ostrawska poetka Lydie Romanská powitała „Czas pieśni" na łamach opawskiego miesięcznika o literaturze, sztuce, krytyce, historii Alternativa nova (20.3.1998, nr 7, s. 322-323) emfatycznym zawołaniem: *To nie czas pieśni, żyjemy w czasach ogłuszających okrzyków, lecz ustanówcie go: wszystko ucichnie, oczarowane.* W ten sposób, mniema słusznie recenzentka, pojmuje poezję Marii Chraściny grupa zwolenników, dla których jest poetka pośredniczką ku mniej znanemu posłannictwu słowa. *Bez potrzeby szerszego kontekstu podziwiają to, co autorka za nich postrzega i uwydatnia*, dodaje jednym tchem Lydie

◀ *fot. FRANCISZEK BAŁON*

Romanská, usiłując cieszyńską autorkę „Czasu pieśni" umieścić na szerszym tle literackim.

Przede wszystkim zarzuca Marii Chraścinie, że poetka jakby lekceważy rozwój poezji w obecnym stuleciu, podając jako przykład poetę rosyjskiego Chlebnikowa, który mógł bez skrupułów użyć w dłuższym tekście siedem razy słowa złoto, złoty. Uwaga ta pojawia się w związku z kolorową symboliką poezji pani Chraściny, która cała jest zielona, różowa i złota a także przyjemnie ciepła, błękitna i srebrna... To prawda, twierdzę, problem jednak w tym czy możemy autorkę z czesko-polskiego pogranicza mierzyć tą samą miarą co twórczość czołowych przedstawicieli poezji europejskiej. Problem tkwi raczej w stylu tej czy innej generacji poetyckiej, tego czy innego kierunku literackiego. Jest przy tym sprawą oczywistą, że środki literackie i zwroty ukształtowane przez pewną generację stopniowo wyczerpują się i generacja następna odrzuca je całkowicie lub zaczyna parodiować. Jeśli tomik Chraściny ukazuje się po czesku, dlaczego nie podać jako przykładu poety czeskiego, np. z kręgu północnomorawskiego Parnasu? Przecież w poezji Viléma Závady czy Óndry Łysohorskiego znajdziemy środki analogiczne do używanych przez Chraścinę. Jednak porównań całkiem adekwatnych musielibyśmy poszukać w poezji polskiej. Jej tzw. „dobra średnia" pod wieloma względami podobna jest do tego, co tworzy Chraścina.

Co do jednego możemy zgodzić się z Lydią Romanską. Autorka „Czasu pieśni" osobliwe wyrażenia przedstawia głównie za pomocą epitetów, a to przede wszystkim za pośrednictwem poniekąd zwietrzałych przydawek, *np. struny pragnienia, powiew nadziei, dzban miłości* itp. Niekiedy wkradnie się zasnuty mgłą szablon w rodzaju: *zapachniało tęsknotą / nadzieją spełnienia* (wiersz „Przebudzenie") czy *budzisz wiosno życie –/ pachniesz spełnieniem* („W sadzie").

Innym problemem, powstałym przy porównaniach czeskiej i polskiej poezji, jest częsta skłonność polskich poetów do moralizatorstwa. Sam, jako tłumacz, często spotykam się z tym, że poeci za północnymi granicami RC nie darują sobie, by nie zachęcać, pouczać i ukierunkowywać czytelnika w celu wychowania go. I to nawet poeci o tak ciętym piórze jak poeta opolski Wiesław Malicki. Budzi to znaczne zdziwienie czeskiej krytyki, ponieważ dzisiejszy czeski poeta unika imperatywów jak diabeł święconej wody, o ile w ogóle moralizowanie we współczesnej nowoczesnej poezji nie jest już tematem tabu.

Ostatni zarzut pod adresem Chraściny to pierwszoplanowość wierszy, metafory zbyt rzadkie i całkowicie nieprzekonujące. Natomiast uznanie recenzentki zyskuje praca ilustratora tomiku Józefa Dronga.

Północnoczeski krytyk literacki i poeta dr Ivo Harák, pracujący w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Ústí nad Labem, poddaje krytyce „Czas pieśni" na łamach wydawanego w Zlínie czasopisma poetyckiego Psí víno (sierpień 1998, nr 5, s. 19): *Chodzi o poezję tradycjonalistyczną*

jak w ładunku myślowym, tak w metodzie twórczej. Najlepszej tam, gdzie autorka – oczarowana rzeczywistością – przestaje „tworzyć“, chwali pisarkę i podaje jako przykład wersy: *przy drodze znów/ bazie pierwszego srebra/ a tuż nad ziemią/ nieśmiałe złoto podbiału*. Harákowi, co ciekawe, nie przeszkadza kolorowa symbolika złota i srebra ani nawet bazie, które razem z przebiśniegami uważa Romanská za wyblakłe rekwizyty w pierwszoplanowej poezji autorki. Niemniej ani Harák nie oszczędził poezji Marii Chraściny: *Jednak tam, gdzie ją obwiesza wstęgami, staje się rozwlekła (w wyliczeniach) i opisowa (ponieważ autorka nie potrafi wyłapać skojarzeń i związków), poprawna wprawdzie, ale także poniekąd mdła, bo nie przynosząca niespodzianek. Zbyt oczywista w swoim świecie małych radości. W świecie liryki opisującej przyrodę, liryki miłosnej i refleksyjnej – o tradycyjnych emblematach i tradycyjnych „przerzutniach“ ku tematom ogólnoludzkim, ku koniecznemu już wręcz pouczaniu czytelnika. W świecie już o wiele wcześniej ustanowionych kanonów piękna*, kończy swoją recenzję Harák, mówiąc przy użyciu trochę innych słów w zasadzie to samo co Romanská.

Jest rzeczą oczywistą, że nie doczekamy się już z ust czeskich krytyków odmiennej oceny zbiorku Marii Chraściny. Niemniej cieszy już samo zainteresowanie czeskiej krytyki literackiej dziełami powstającymi w środowisku polskiej mniejszości narodowej i pisanymi pierwotnie po polsku. Te dwie próbki krytycznego myślenia o współczesnej przekładowej poezji polskiej wystarczają zaś do wyciągnięcia kilku ogólnych wniosków:

1/ Poezja twórców w regionach, głównie przygranicznych, nie odstaje od dobrej przeciętnej w centrum i (w naszym wypadku) w literaturze narodowej – to jest polskiej.

2/ Wprowadzanie twórców regionalnych z terenu innojęzycznego do literatury narodowej (czeskiej) okazuje się trudne i niezbyt wdzięczne. Oczekiwane są bowiem rezultaty podobne do reszty tłumaczonej literatury, którą tworzą wszakże przeważnie najwybitniejsi twórcy literatury danego narodu (z języka polskiego są to przekłady Miłosza, Herberta, Różewicza, Szymborskiej).

3/ Jeśli tłumacz chce zrobić „odkrycie“ dla rodzimego czytelnika, musi szukać nie na pograniczu, lecz za granicami.

4/ Jakkolwiek bądź będziemy usiłowali w ramach krytyki literackiej ujednolicić mierniki i kryteria wartościowania, zawsze konieczne będzie ad hoc dostrzeganie twórców na peryferiach bez próby włączenia do kontekstu wyższego niż regionalny, ponieważ taki twórca nie sięga w swych aspiracjach poza dany region; również krąg jego czytelników jest specyficzny i pewnie ograniczony ilościowo i co do wymagań jakości estetycznej dzieła.

LIBOR MARTINEK
tłum. MR

FRANCISZEK HENNER

PAMIĘTAJ

Wierząc w życie pozagrobowe
zmarłych opłakiwujecie
czyż nie ironia losu
rządzi uczuciami waszymi
życzcie im
był to ich mat
w nadziei w drugi
świat

PODZIĘKOWANIE MAMUSI

Paląc resztki realii
ożywiłem wspomnienia
malując obraz
na płótnie pamięci

Mamo

Twoja twarz
świeciła bielą
Twych skroni
pnąc się do nieba
głaskana ostatnim
promieniem słońca
ręką wiatru
delikatnie sfałdowana
w końcu
rozpłynęła się
we mgle
wszechświata

Dedykowane Świętej Pamięci
Kochanej Mamy

***

Czas odkroił z budżetu życia
naście lat,
nie patrzę już w tym
kierunku.

Wiem, że tam jesteś.

Dalej,
będę płacił haracz
latami pracy,
sam.

Gdy kruk zakracze
hejnał północy,
krew śladów
nie zbroczy.

Czas odkroi
ostatni dzień
a
mój cień
za Twoim
wykroczy.

Dedykowane Świętej Pamięci
Kochanego Ojca

POŻEGNANIE

Pamięci mojej Kochanej Małżonki ANIČKI

Spojrzeniem wyczyściłem złotą ramę
zdjęcia
Uporządkowałem kwiaty
w wazonie
Obserwował mnie płomień
świecy
przesuwał się razem z cieniem
w rytmie żałobnego marsza

Oczami pogłaskałem
jej włosy
podparłem brodę
o ramię świecznika
i
roztopiony wosk ściekał
po twarzy
Twardniał
jak łzy wspomnień

Powiadają że mężczyzna nie płacze
chyba nie jestem
mężczyzną...

WIERSZE POCHODZĄ Z TOMIKU „CICHY ŚWIADEK", WYDAWNICTWO SAK OLBRACHCICE 1996

WŁADYSŁAW MARTYNEK

PAMIĘTNIK SYBIRAKA

(fragment)

Znalazłem się w obszernej izbie wraz z siedmioma innymi młodymi ludźmi, jest ze mną również mój nierozłączny kolega z bursy Geniek. Każdy z nas ma swoje łóżko z nieheblowanych desek oraz taborecik zastępujący krzesło. W środku stoi duży stół, dwie ławy, w kącie naprzeciw niedużych okien jest murowany piec. Blisko łóżek tkwi w ścianie kilka dużych gwoździ. To zamiast szafy.

Na jakieś ulepszenie naszej nowej kwatery na razie nie ma czasu. Nazajutrz po przeprowadzce trzeba iść do kopalni. O siódmej zbieramy się przed budynkiem dyrekcji. Prowadzą nas do salki posiedzeń, zwanej i tu krasnyj ugołok. Oprócz dekoracji, jak zwykle na czerwono, i dużego portretu Stalina są na ścianie dwie tablice. Biała – to tablica pochwał z nazwiskami bohaterów pracy i „stachanowców", czarna – to tablica hańby. Na niej także wypisanych jest już parę nazwisk osób, które nie wykonują normy albo bez usprawiedliwienia opuściły kilka zmian.

Pod czołową ścianą zasiadło za stołem naczalnictwo kopalni. Z odczytywaniem naszych nazwisk ma spore trudności. By nie przedłużać tej ceremonii, nie protestuję, kiedy „przechrzcili" mnie na Wołodzię Martyniuka.

Ponad godzinę czytają, różne instrukcje, nakazy i rozporządzenia. Wielokrotnie podkreślają, że na co dzień będziemy w kontakcie ze złotem. Niechaj nikomu nawet przez myśl nie przejdzie wziąć do ręki choćby najmniejszego ziarenka. Kradzież karana będzie bardzo surowo, od kilkuletniego więzienia, po dożywocie ciężkich przymusowych robót, w tzw. gułagach.

Pytano nas czy ktoś pracował fizycznie, a jeśli tak, to w jakim zawodzie, co robią rodzice, jaki mieliśmy w domu majątek itp. Na pytanie, za co zostałem wywieziony, nie potrafiłem odpowiedzieć. Po prostu – nie wiem.

Wreszcie podzielili nas na mniejsze grupy i razem z przewod-

nikami poszliśmy do kopalni. Do dołu nie zjeżdża się tu windą ani też nie schodzi się po drabinach, jak miało to miejsce w starej nieczynnej kopalni w Konstantynówce. W podziemia prowadzi opadający stopniowo w dół tunel. Rzadko rozmieszczone pod sufitem żarówki dają niewiele światła i trwa dość długo, nim wzrok przyzwyczai się do ciemności. Schyleni posuwamy się ostrożnie naprzód. Sufit i ściany obudowane są grubymi kłodami. Te świerkowe lub sosnowe pnie przycięte na potrzebną wysokość szczelnie przylegają do siebie. Nie trzeba się obawiać, że spadnie na głowę jakiś kamień czy osunie się ziemia. Środkiem tunelu porusza się na rolkach taśma przenośnikowa, która przemieszcza gdzieś na płuczkę góry złotonośnej ziemi.

To dopiero 2 listopada, a rano, gdy szliśmy do pracy, był już tęgi mróz. Pod ziemią mrozu wprawdzie się nie czuje, ale jest dość chłodno. Pierwszych kilkadziesiąt metrów tunelu wykutych jest w wiecznie zamarzniętej ziemi. Na ścianach obudowy i na suficie iskrzy się w świetle żarówek gruba warstwa szronu. Osiada tu na ścianach od pierwszych dni robót w kopalni. Podobno są to oddechy i wyziewy ciał górników, którzy pracują w najdalszych przodkach. Wysokość tunelu przekracza dwa metry, pomimo to, człapiąc za przewodnikiem gęsiego, schylamy się nisko. Nikt nic nie mówi, idziemy cicho, w milczeniu, każdy sam tylko z własnymi myślami. Przypominam sobie, że gdy byłem dzieckiem, schodziłem z ojcem do głębokich ciemnych piwnic pod Starym Folwarkiem. Były to chwile podobne do tych dzisiejszych – pełne napięcia i strachu.

Kilkadziesiąt metrów dalej zaczynają się pojawiać z jednej i drugiej strony głównej trasy wejścia w kolejne korytarze. Nie ma w nich przenośników, tylko co jakiś czas wyłania się z ciemności człowiek z naładowaną taczką, zgrabnym ruchem wysypuje jej zawartość, po czym szybko wraca z powrotem.

Od czasu do czasu któryś z przewodników odlicza z grupy kilku ludzi, skręca z nimi w taki właśnie boczny tunel i za pierwszym zakrętem znikają nam z oczu. Zostało nas już tylko paru, gdy przyszła kolej na mnie. Z czterema kolegami i przewodnikiem skręcamy w prawo. Chodnik jest znacznie węższy, trzeba odskakiwać pod ścianę, by zrobić miejsce górnikowi pchającemu taczkę. Kończy się labirynt podziemnych przejść, nie ma już innej drogi, niż ta prowadząca do czołowej ściany.

Ku mojemu zaskoczeniu w „moim" przodku pracują dwie rosyjskie dziewczyny. Doskonale sobie radzą z łopatą i taczką. Mój przewodnik poszedł z kolegami dalej, a ja zbliżyłem się trochę do nich. Przez dłuższą chwilę stałem i przyglądałem się ich ruchom, a one nic, dalej pilnie i bez wytchnienia pracują. Dopiero gdy odezwałem się do nich, widocznie niezbyt poprawnie po rosyj-

sku, parsknęły śmiechem. Okazało się, że moje ubranie, a przede wszystkim mój zegarek, zmylił je do tego stopnia, że myślały, iż oto stoi przed nimi jakiś nowy dyrektor lub co najmniej urzędnik kontrolujący normy. Aby im udowodnić, że ja też należę do klasy robotniczej, wziąłem do ręki łopatę. Barysznie buzie rozdziawiły ze zdumienia, widząc, jak domniemany syn burżuja sprawnie napełnia taczkę. Na pewno bym ją też i dowiózł szczęśliwie ku taśmie, ale pech chciał, że po przejechaniu kilku metrów żelazne kółko najechało na kamień, taczka się przewróciła i niewiele brakowało, a byłbym się nadział na jej żelazny uchwyt.

Jeszcze długi czas, i to nie tylko słowem, musiałem je przekonywać, że w domu nie żyję z kapitału.

Przed godziną czternastą znalazł mnie przewodnik i tą samą drogą wywiódł na powierzchnię. Tak skończyła się moja pierwsza zmiana górnika w kopalni złota.

Następnego dnia wyfasowałem własną łopatę, kilof oraz żarówkę i zostałem mianowany odkadczykiem. Można to też nazwać szoferem. Kierownicę mam dwulewarkową jak w czołgu, a zamiast czterech kółek mam tylko jedno. Razem z pięcioma innymi odkadczykami należę do brygady kierowanej przez zabojszczyka.

Brygadzista ten zaopatrzony jest w młot pneumatyczny i baczy, byśmy przez całą zmianę mieli co odwozić ku taśmie, wyrównuje też ściany przodku, aby brygada cieśli mogła na czas obudować wyrobisko.

Od pierwszego dnia pracuję w akordzie. Normy dla nas, niewprawnych w kopaniu złota nowicjuszy, są nie do spełnienia. W ciągu ośmiu godzin trzeba wywieźć odpowiednio do długości trasy od czterech do sześciu metrów sześciennych ziemi. Staram się, jak umiem, ale normę wykonuję zaledwie w 75 procentach. I ja nie zarobię, i niezadowolony będzie brygadier, którego płaca też jest częściowo uzależniona od wyników mojej pracy. W naszej brygadzie jest jeszcze inny Polak, syn rolnika na kilkuhektarowym gruncie, z parą koni i ilomaś tam krówkami. Wie, jak trzyma się łopatę, a normy też nie wyrabia. Reszta brygady to tubylcy. Jeden z nich, Jakut, jest nawet stachanowcem i systematycznie normy przekracza o co najmniej 50 procent.

Członkowie brygady szybko się zorientowali, że my, Polacy, też już kiedyś łopatę w ręku trzymaliśmy. Dzięki paczce papierosów, którą aż tu dowiozłem ze Lwowa, szybciej zdobyliśmy sobie ich sympatię. Nasi współpracownicy, a przede wszystkim sam brygadzista, służą nam cennymi wskazówkami, jak pracować, aby zarobić. Trzeba mieć tzw. „ruską smykałkę". Metoda nie zawsze jest uczciwa, ale pomyślnie wpływa na spełnienie zadania.

Pracujemy tu na trzy zmiany, pierwsza rozpoczyna się o szóstej, druga o czternastej, a trzecia o dwudziestej drugiej. Tak jak u nas w Trzyńcu. Kopalnia podzielona jest na kilka odcinków. Kiedy z jednego wywozi się na płuczkę złotonośną ziemię, na innym wybrane chodniki zabezpiecza się drewnianą obudową. Tam, gdzie grozi to zawałem, całe wyrobiska aż pod strop okłada się kamieniami. Na jeszcze innym odcinku przygotowuje się do eksploatacji czołowe ściany. Grupa specjalistów wierci w nich otwory, wkłada dymamit i zapala lonty.

Po pierwszym tygodniu pracy w kopalni wydarzył się niebezpieczny dla mego życia wypadek. Każdorazowo przed rozpoczęciem zmiany szukamy w labiryncie podziemnych chodników jakiejś lepszej taczki. Nie wszystkie są dobre, dlatego warto w tym celu spenetrować nawet odleglejsze odcinki. Światła tu mało, więc nie mogłem nie zauważyć palącego się w przodku ogniska. Na chodniku z desek płonęły skrzynki i jakieś papiery. Obudowa chodnika też jest drewniana, więc by nie dopuścić do rozszerzenia się pożaru, jak tylko mogłem, tak ognisko próbowałem gasić.

Jeszcze męczę się z tym żarem, gdy z odległości może stu metrów krzyczy w moim kierunku jakiś Rosjanin. Nerwowo gestykuluje, jakby dawał mi do zrozumienia, że mam natychmiast uciekać. W ogóle nie pojmuję, o co mu chodzi, ale zaniechałem gaszenia i poszedłem spytać. I w tej właśnie chwili za moimi plecami rozległ się straszliwy huk. Nie wiem czy z własnej woli, czy siłą podmuchu znalazłem się na ziemi, wgrzebując się jak kret pod pnie obudowy. Powietrze rozdzierają kolejne wybuchy. Chronię przede wszystkim głowę, bo ziemia i kamienie sypią się z góry na mnie.

Kiedy wszystko ucichło, zerwałem się z ziemi i co sił w nogach zacząłem uciekać przed siebie. Byle dalej od tego miejsca grozy. Ktoś jednak był szybszy ode mnie. Dwaj górnicy złapali mnie i wyprowadzili na górę.

Dość długo trwało, zanim w jakimś biurze zdążyłem się uspokoić. Tu dopiero pojąłem, co się wydarzyło. Ogień, który starałem się gasić, był umownym sygnałem dla załogi pracującej w najbliższej okolicy, by nikt nie zbliżał się do tego miejsca. W promieniu dwudziestu metrów zostały zapalone lonty ładunków dynamitu.

W czasie szkolenia o tak ważnej sprawie zapomniano nam powiedzieć.

Książka ukazała się w Wydawnictwie Olza
w Czeskim Cieszynie w 1997 roku.

PATRIOTYZM POLAKÓW I CZECHÓW

Patriotyzm rozumiany jako duma z osiągnięć swego narodu badali socjologowie amerykańscy. Badania objęły 28,4 tysięcy osób z 23 trzech krajów świata.

Najbardziej dumnymi z przynależności do swego narodu okazali się Austriacy, na następnych miejscach znaleźli się Amerykanie, Bułgarzy, Węgrzy i Kanadyjczycy. Polacy, posiadający kompleksy na tle utraty Polski po drugiej wojnie światowej miana supermocarstwa, znaleźli się na trzynastym miejscu.

Nie zmienili natomiast Polacy swego dobrego zdania o polskich siłach zbrojnych, z których są bardzo dumni i tu znaleźli się razem z Amerykanami, Irlandczykami czy mieszkańcami Nowej Zelandii na czołowych miejscach.

Ciekawie przedstawia się porównanie mniemania Polaków i Czechów o poszczególnych osiągnięciach swego kraju. Polacy znaleźli się na szarym końcu, za nimi są już tylko mieszkańcy Rosji i Łotwy. Lepiej niż Polacy oceniają Czesi funkcjonowanie demokracji oraz gospodarki w swoim kraju, ale również osiągnięcia naukowe i techniczne, sportowe a także literaturę, sztukę i historię swego kraju. Z naszego punktu widzenia, porównując Polskę i Czechy, wydaje się, że Polacy są zbytnimi pesymistami.

UPRZEDZENIA NARODOWE W EUROPIE ŚRODKOWEJ

Prof. dr hab. Bogusław Bakuła, pracownik naukowy poznańskiego uniwersytetu, ujawnił na łamach prasy wyniki swoich badań na temat siły stereotypu i uprzedzeń narodów Europy Środkowej. Wychodząc z literatury, oparł się również na własnych badaniach empirycznych.

Sąsiadujący ze sobą Polacy, Czesi, Słowacy, Węgrzy, Rumuni, Bułgarzy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Rosjanie właściwie niewiele o sobie wiedzą, co nie przeszkadza im żyć w kręgu wzajemnych negatywnych wyobrażeń, stereotypów i uprzedzeń.

Przeciętny Polak to sprytny handlarz, biznesmen, jak mówi się o nim z przekąsem i ironią. Polak uważa się za kogoś wyższego cywilizacyjnie i kulturowo od przeciętnego Rosjanina. Polaka nie znosi Czech, Litwin i Ukrainiec, Węgier odrzuca Rumuna, Węgra Słowak, który jest ośmieszonym w dowcipach pastuchem.

Tożsamość środkowoeuropejska jest mitem, na co dzień wygrywają ostre sprzeczności i historyczne uprzedzenia. Tym, co łączy, jest negatywny stereotyp antyrosyjski sąsiadujący z fascynacją oraz potrzebą zrozumienia i wyjaśnienia fenomenu Rosji. Partner najbardziej znienawidzony w paradoksalny sposób mocno wiąże tych, którzy nie lubią siebie wzajemnie, a jednocześnie nie potrafią uwolnić się od dwu-

znacznej fascynacji Rosją. Gdyby zapytał, dlaczego tak opornie realizuje się integracja środkowoeuropejska, tak źle funkcjonuje międzynarodowy podział pracy, kiepsko działa międzynarodowy biznes, tutaj znajdzie część odpowiedzi: w sferze psychospołecznej, zdominowanej przez stereotypy, od których uzależnieni są nie tylko zwykli obywatele, ale najbardziej eksponowani ekonomiści, politycy, z reguły będący produktem procesów dokonujących się w ich społeczeństwach.

O ile tożsamość narodowa warunkuje negatywny stereotyp obcego, sąsiada w większości społeczeństw postkomunistycznych, to literatura tej części Europy żyje mitem tożsamości europejskiej – od Josepha Rotha poczynając, poprzez Kunderę, Miłosza, Seiferta, aż do młodej prozy polskiej i czeskiej tzw. małych ojczyzn, i ukraińskiej neoawangardy. Pozostaje nadzieja, że polityka, biznes wezmą sobie do serca lekcję literatury i w miejsce dotychczasowego oddzielania, wyodrębniania rozpocznie się proces powolnego zbliżania narodów, a realnie jest on możliwy wówczas, gdy zaczną ulegać zmianie wrogie stereotypy, utrudniające zwłaszcza współpracę między regionami, tej podstawy przyszłej Europy.

NOWY „SŁOWNIK WYRAZÓW BLISKOZNACZNYCH"

W roku bieżącym pojawił się na półkach księgarskich nowy poszerzony i zaktualizowany „Słownik wyrazów bliskoznacznych". Przez całe dziesięciolecia służył słownik zredagowany przez Stanisława Skorupkę. W nowym wydaniu nazwisko jego zniknęło z okładki, ponieważ słownik uległ znacznej przemianie. „Słownik wyrazów bliskoznacznych „ pod redakcją Danuty Ludwiczak, Alicji Piskadłowej i Ewy Tarki–Huczek jest dzięki wytłuszczeniom i nowemu układowi poligraficznemu o wiele bardziej przejrzysty. Ze względu na rozwój języka ilość haseł uległa poszerzeniu, hasła zbyt pojemne lub rozpadające się na grupy znaczeniowe podzielono, niektóre hasła uzupełniono o nowe bliskoznaczniki. Słownik ukazał się w wydawnictwie Wiedza Powszechna, zawiera 408 stron.

POLSKA REFORMA OŚWIATY

W następnym roku szkolnym ma w Polsce wejść w życie nowa reforma oświaty, która stanowić będzie całkowitą rewolucję w dotychczasowym trybie edukacyjnym. Po sześcioletniej szkole podstawowej, niezależnie od wyniku egzaminu kompetencji, wszyscy uczniowie uczyć się będą w trzyletnim gimnazjum, gdzie w każdej klasie będzie szesnaście przedmiotów. Gimnazjum kończyć będzie egzamin przeorientujący, który zastąpi egzamin wstępny do liceum. Absolwenci będą mogli następnie pójść do trzyletniego liceum profilowanego zakończonego maturą lub dwuletniej szkoły zawodowej, której dopełnieniem dla chcących dalej studiować będzie dwuletnie liceum uzupełniające z maturą. Zmieni się też system studiów wyższych.

ROBIMY PAMIĄTKOWE ZDJĘCIE Z OSTATNIM WIDZEM!

MNIE JUŻ REKWALIFIKOWALI

rys. Bronisław Liberda

CZAS BARABASZA

Nieczęsto zdarza się, by na premierze przedstawienia teatralnego na widowni zasiadł sam autor dramatu, pierwowzoru literackiego. A tak właśnie stało się podczas pierwszej w tym sezonie premiery Sceny Polskiej. Wystawiła ona „Barabasza" Krzysztofa Wójcickiego.

Krzysztof Wójcicki, autor średniego pokolenia, jest człowiekiem teatru. Nie tylko pisze sztuki teatralne, ale jako najpierw kierownik literacki, a następnie dyrektor teatru - w Gdyni - zna go dokładnie od wewnątrz. Jest profesjonalistą, praktykiem, wie, jak pisać sztuki teatralne. W pracy dramatopisarza korzysta z tematów znanych, bohaterowie tego sztuk to często postacie autentyczne, zapisane na kartach historii i literatury. Nie wymyśla swoich bohaterów, ale korzysta z gotowych schematów, gdyż, jak twierdzi, *nasza epoka nie ma po prostu swego bohatera, a on jest w dramacie niezbędny.*

W lecie 1989 roku, już po zmianie linii politycznej w Polsce, na pytanie, czym jest jego „Wolność dla Barabasza", której premiera odbyła się 30 października 1988 roku w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, odpowiedział: *Obrazem opozycjonisty i opozycji. Dziś już konstruktywnej. I próbą odpowiedzi na pytanie o granice wolności człowieka opuszczającego więzienie czy miejsce internowania. Co może robić młody człowiek bezprawnie pozbawiony wolności i „prawnie" ułaskawiony.* Po dziesięciu latach tamto odczytanie sztuki byłoby anachronizmem, zawężeniem tematu.

„Barabasza" w Scenie Polskiej wyreżyserował Jacek Andrucki, realizator wcześniejszych przedstawień na podstawie innych sztuk Krzysztofa Wójcickiego: „Księgi Bałwochwalczej" i „Powrotu Łazarza". Został zarazem autorem nowego układu i opracowania tekstu scenicznego.

Problematyka wolności jednostki, naczelny temat dramatu, wyrwany ze ściśle politycznego kontekstu, zyskał wymiar uniwersalny. Bohater wypuszczony naraz z więzienia, bo zamiast niego skazany został na śmierć ktoś inny, jest wolny. Wolny, bo może pójść, dokąd zechce, bo może robić to, co chce. Ale czy tak wygląda prawdziwa

wolność? Kiedy nie może znaleźć odpowiedzi na szereg pytań: Dlaczego ofiarowano mu wolność, komu powinien podziękować, jaki sens ma jego życie, a także co to jest prawda czy jaki kształt posiada miłość bliźniego?

Problem wolności nie jest tematem nowym. Inspirował autorów dramatów od swoich prapoczątków. Zaczęło się od Ajschylosa i trwa. Nie wychodząc poza granice Polski, wystarczy sięgnąć do klasyki i przewertować chociażby „Dziady" Adama Mickiewicza, by przypomnieć sobie walkę wewnętrzną Księdza Piotra i Gustawa-Konrada, czy „Wyzwolenie" Stanisława Wyspiańskiego, gdzie Muza zapowiada „wyzwoliny", a Konrad na różne sposoby „analizuje" swoją wolność.

Dramat Wyspiańskiego rozpoczyna się zresztą podobnie jak „Barabasz": Widz otrzymuje potwierdzenie tego, że jest w teatrze, tylko przyszedł trochę za wcześnie i jest świadkiem ostatnich chwil prywatności aktorów tuż przed rozpoczęciem właściwego spektaklu. Ten popularny zabieg pokazania sceny, kiedy chodzą po niej jeszcze aktorzy jakby w swoich prywatnych strojach, jest dla reżysera bardzo wygodny. Pozwala bowiem wmówić ludziom zasiadającym po drugiej stronie rampy, że to, co zobaczą, to nie życie prawdziwe, lecz wymyślone przez artystę, wobec tego jego obarczać trzeba winą za wszelkie niezrozumiałe być może momenty.

Do każdego przedstawienia przygotowywane są programy teatralne. Stają się coraz bardziej światowe, bo coraz mniej w nich informacji o danym przedstawieniu. W wypadku „Barabasza" niedoinformowanie widzów jest szczególnie odczuwalne. Nie zapominajmy, że do niedawna hasło „Biblia" czy konkretniej „Barabasz" nie mogło jeszcze widnieć w programach szkolnych, a kościoły w Niedzielę Palmową, kiedy czytana jest Męka Chrystusa i kilkakrotnie na pytanie Piłata, kogo uwolnić, Jezusa czy Barabasza, pada odpowiedź tłumu: Barabasza!, na pytanie zaś, co zrobić z Jezusem, tłum odpowiada: Ukrzyżuj go!, nie pękały w szwach i dlatego istnieją pokolenia, dla których Ewangelie to terra incognita.

Autorem scenografii i kostiumów do spektaklu „Barabasz" jest Bogusław Cichocki. Surowa to dekoracja, utrzymana w szarej tonacji, której obrotowa część środkowa i kilka charakterystycznych kolorowych rekwizytów umożliwiają łatwą i szybką zmianę miejsca akcji. Kostiumy i charakteryzacja natomiast są bogate i wiele mówią o postaciach. Jak zwykle w tego rodzaju spektaklach, gdzie wypunktowane musi być to, co w danej chwili jest na scenie najważniejsze, dużą

rolę spełnia gra świateł. Godna wielkich inscenizacji jest też chwilami monumentalna muzyka Zbigniewa Siwka.

Trzy godziny, z przerwą, trwał spektakl premierowy. To dostatecznie długi odcinek czasowy, by zdążyć wypowiedzieć wszystkie myśli autorów. Bo w trakcie przedstawienia pada niejedno mądre zdanie, maksyma życiowa, które warto zapamiętać i rozważyć. To jednak zbyt długi odcinek czasowy w stosunku do zawartości tekstu, by stworzyć bardzo dobry spektakl. Bo zdania wypowiadane powinny być szybko, w dialogach poszczególne kwestie powinny być odbijane w stronę przeciwnika z szybkością piłeczki... Przedstawieniu brakuje tempa, przez co staje się rozwlekłe i miejscami nudne.

Trudne problemy ma do rozwiązania główny protagonista spektaklu Barabasz. Ale jeszcze większe problemy, jak pokazać swego bohatera, ma jego odtwórca Bogdan Kokotek. Zastanawiają się więc obydwaj, jak rozegrać to ofiarowane cudem życie, miotając się pomiędzy Poncjuszem Piłatem (dumna rola Ryszarda Pochronia) i jego Claudią Proculą (dziewczęco bezbronna, a przy tym usiłująca walczyć Gabriela Fabian), Annaszem (stanowczy Ryszard Malinowski) i Kajfaszem (stanowiący cień Annasza Janusz Laskowski), Piotrem i Szymonem (występujący w kilku rolach Michał Siegoczyński i Sebastian Pawlak) oraz kobietami lekkich obyczajów: Nabatejką (tragiczna matka bohatera Krystyna Pryszczyk) i jej dziewczynami Salome (znająca się na rzeczy Anna Paprzyca), Estherą (debiutująca w Scenie Polskiej Teresa Branna) i Rachelą (ukochana bohatera równie tragiczna Małgorzata Pikus). Barabasz w końcu znajduje jakiś sens, lecz ma być nim zemsta za śmierć ukochanej. Po raz drugi w więzieniu nikt już go nie uratuje. Może jednak jeszcze uratować swoją rolę Bogdan Kokotek. Jest jeszcze czas.

To dobrze, że mamy możliwość obejrzenia w Scenie Polskiej utworów polskiej dramaturgii współczesnej. Jacek Andrucki, który wbrew obiegowym opiniom twierdzi, że istnieje polski dramat współczesny, przed dwoma laty pokazał nam „Szczęśliwe wydarzenie" Sławomira Mrożka, w obecnym sezonie „Barabasza" Krzysztofa Wójcickiego. Z drugiej strony szkoda, że Scena Polska nie wybiera z tej dramaturgii tego, co naprawdę najlepsze, co obiegło sceny teatralne Polski.

CZESŁAWA RUDNIK

DZIEJE SZKOLNICTWA RAZ JESZCZE

Wbrew pozorom polska historiografia Śląska Cieszyńskiego, ściślej miejscowej ludności polskiej, jest o wiele głębiej i bardziej szczegółowo opracowana niż historiografia ludności czeskiej. A przecież historycy czescy mieli do dyspozycji aparat państwowy z odpowiednimi instytucjami i etatową kadrę naukową. Istniejący stan zdokumentowania dziejów społeczeństwa polskiego na Zaolziu w znacznej mierze jest wynikiem ofiarności świadomych celu miejscowych działaczy, którzy często w sposób społecznikowski, amatorski podejmowali się tego trudu i osiągali wspaniałe wyniki, np. w takich dziedzinach jak kultura materialna i duchowa (folklor), życie organizacyjne i gospodarcze, ruch wydawniczy, szkolnictwo.

Do czołowych osiągnięć wśród publikacji o szkolnictwie zaliczyć można pracę dr. Józefa Macury „Z dziejów szkolnictwa polskiego na Zaolziu", którą wydało w 1998 roku Towarzystwo Nauczycieli Polskich w Republice Czeskiej (opracowanie graficzne Franciszek Bałon). Praca składa się z czterech części: I Część ogólna „Poprzez wieki" (131 stron). II Część szczegółowa „Od szkoły do szkoły" (255 s.), III Część statystyczna (34 s.), IV Część ilustracyjna (24 s.). Tematem publikacji są dzieje szkolnictwa polskiego od zarania do 1989 roku na Zaolziu i w Ostrawskiem.

Dr Józef Macura podjął się pracy ogromnej. Nie dysponował wprawdzie pełnym warsztatem pracy profesjonalnego historyka, jednakże długoletnia praca pedagogiczna, funkcje społeczne, upór i świadomość celu spowodowały, że spod jego pióra wyszła niezmiernie cenna praca nie tylko ze względu na kompleksowe ujęcie problematyki szkolnictwa polskiego na Zaolziu, ale też ze względu na walory dokumentacyjne, co w sytuacji stopniowego zanikania poszczególnych placówek wychowawczych ma szczególne znaczenie.

Praca ma charakter popularnonaukowy, w znacznym stopniu kompilacyjny. Trafne wydaje się metodyczne podejście do opracowania, bowiem podział chronologiczny i tematyczny odpowiada charakterowi pracy.

Część I posiada 9 rozdziałów, przy czym zastosowany podział chronologiczny dobrze wyraża złożoność przeszłości tego obszaru. Autorowi udało się przedstawić w syntetycznym ujęciu główne momenty dziejowe zaolziańskiego szkolnictwa polskiego na przestrzeni istnienia różnego rodzaju jego form i stopni oraz zagadnień związanych z jego rozwojem. Można by polemizować z niektórymi interpretacjami autora, na przykład zbyt czarnym obrazem stosunków na Zaolziu w latach 1938–1939, oceną władz politycznych w państwie po 1948 roku, różowym obrazem szkolnictwa polskiego po 1960 roku. Zaś historycy pogłębiający w przyszłości

podejmowany temat powinni uwzględnić w szerszej mierze rolę niektórych nauczycieli w okresie międzywojennym, niepostępujących w duchu polskim (ślązakowcy, Niemcy), feminizację polskiego (i nie tylko) szkolnictwa i jej konsekwencje, osiągnięcia uczniów i wychowawców w działalności pozalekcyjnej.

W części II autor przedstawia krótkie dzieje poszczególnych placówek wychowawczych - przedszkola, szkolnictwo podstawowe (ludowe, wydziałowe, specjalne, ponadpodstawowe), średnie, zawodowe, gospodarcze, uzupełniające szkoły przemysłowe, rolnicze - które istniały na omawianym obszarze. Część ta była najtrudniejsza i najbardziej czasochłonna do opracowania. Autorowi udało się po raz pierwszy podać kompletny obraz, na ogół wiernie oddający rzeczywistość. Szczególnie cennym materiałem dokumentacyjnym jest tu spis nauczycieli i kierowników (dyrektorów) szkół i przedszkoli.

Rzuca się w oczy zjawisko zanikania polskich szkół na Zaolziu, głównie z powodu braku polskich dzieci w nich.

Bardzo cenne są zestawienia statystyczne podane w części III (52 tabele). Dane dotyczące starszego okresu pochodzą w większości z istniejących już opracowań, natomiast tabele nowsze żmudnie opracował autor na podstawie dostępnych mu materiałów. W tym wypadku musiał przezwyciężyć nie tylko trudności wypływające z braku odpowiednich źródeł, ale również z pojawiających się często różnic i nieścisłości w wykorzystywanych materiałach - kronik szkolnych, statystyk urzędowych lub katalogów szkolnych.

Ostatnia, czwarta część pracy zawiera 40 pozycji dokumentalnych. Autor przedstawia tu widoki budynków dawnych zaolziańskich szkół polskich, zasłużonych pedagogów cieszyńskich i reprodukcje materiałów archiwalnych - wokacje, świadectwa.

Praca dr. Macury wypełnia dotychczasową lukę opracowania całokształtu zagadnień związanych z rozwojem polskiego szkolnictwa na Śląsku Cieszyńskim. Brak niektórych głębszych analiz przekraczających możliwości autora nie obniża wartości całości. Szczególnie cenne są tu opracowania takich wątków, jak przedstawienie organizacji szkolnictwa po 1945 roku, zestaw podręczników polskich (z nieznacznymi lukami) uwzględnienie znaczenia dla szkolnictwa polskiego Macierzy Szkolnej, Rodziny Opiekuńczej, Harcerstwa Polskiego czy powojennego Stowarzyszenia Rodziców i Przyjaciół Szkoły. Nie jest również pominięte znaczenie pisemek szkolnych, szczególnie po 1945 roku. Można było szerzej potraktować znaczący wkład i opiekę nad szkolnictwem polskim w okresie powojennym ze strony PZKO. Wysoko należy ocenić ujęcie w pracy po raz pierwszy w takim zakresie problematyki szkolnictwa polskiego w Ostrawskiem od końca XIX wieku do II wojny światowej.

Znajomość rzeczy, długoletnie doświadczenie, ogrom włożonej pracy oraz interpretacja zgodna z rzeczywistością historyczną i z odczuciem zaolziańskiej społeczności polskiej stawia publikację dr. Macury wśród czołowych osiągnięć miejscowych historyków polskich.

STANISŁAW ZAHRADNIK

„ZMARŁYM PAMIĘĆ, ŻYJĄCYM POJEDNANIE"

Zupełny przypadek sprawił, że stałam się pośredniczką w sprawie pomocy rodakom za Uralem. Zupełnie przypadkiem zetknęłam się z krakowskim reportażystą Marianem Sudą, który przez miesiąc przebywał w zachodniej Syberii, towarzysząc załogom przedsiębiorstwa budowlanego REALBUD z Krakowa, pomagającym odbudować odzyskany przed sześciu laty kościół katolicki w Tobolsku. Kościół wybudowany został kiedyś przez polskich zesłańców. Plonem pracy reporterskiej stała się książka „Polska... do Tobolska".

Chicago i Tobolsk – pisze autor we wstępie – *dwa miasta ze znanej piosenki Jana Pietrzaka. Dwa punkty – symbole na mapie świata, gdzie Polacy mocno zaznaczyli swoją obecność, miejsca podobnie oddalone od ojczystego kraju. Lecz na tym kończą się w zasadzie podobieństwa, jeśli nie liczyć wyjątkowych i zupełnie nietypowych losów naszych rodaków. Za Atlantyk emigrowało się dobrowolnie, za Ural było się przymusowo deportowanym.*

Książka przynosi szczegółowy opis całych pokoleń polskich rodzin, które los rzucił na Syberię i które tu pozostały i znalazły swój dom. Miejscem, gdzie spotykali się Polacy, gdzie czuli bliskość ojczyzny, był kościół. *Kościół był głównym ogniskiem życia duchowego Polaków na Syberii, plebanie – miejscami spotkań rodaków. Czuli się wtedy naprawdę razem, stanowili cząstkę narodu polskiego. Kapłani mówili wiernym o Polsce, o kulturze narodowej, przekonywali o potrzebie solidarnych zachowań, niesienia sobie wzajemnej pomocy i o tym, że zawsze, w każdym miejscu dobrym przykładem godnego życia i dobrej pracy trzeba świadczyć o Polsce i wierze katolickiej, że należy postępować tak, by „na cześć, nie litość zasługiwać u obcych". Dodawali otuchy, pocieszali, bronili przed krzywdzącymi oskarżeniami...*

Najstarsze dokumenty o parafii tobolskiej pochodzą z połowy XIX wieku. Odbudowywany dziś kościół powstał w końcu XIX wieku i stał się najpiękniejszą świątynią katolicką na Syberii. W roku 1923 zamieniono go na magazyn. Na szczęście budynek przetrwał, by po latach zacząć pełnić swą pierwotną funkcję.

Nie możemy wszyscy pojechać do Tobolska – pisze Marian Suda – *żeby ofiarować swój wysiłek na rzecz odbudowy „naszego" kościoła. Każdy jednak, nawet z najodleglejszych stron kraju, Europy i świata może to dzieło wesprzeć choćby i symboliczną złotówką. Dla tych, którzy się na to zdecydują, podajemy poniżej adres Społecznego Komitetu Odbudowy Kościoła Zesłańców Polskich w Tobolsku oraz numery kont:*

Społeczny Komitet Odbudowy Kościoła Zesłańców Polskich w Tobolsku – Syberia, Sekretariat w Krakowie, PRiKB REALBUD, 31-829 Kraków, os. Złotej Jesieni 14, tel. 647 07 33, fax (012) 647 07 29.

Konta bankowe: Wydział Misyjny Kurii Metropolitalnej w Krakowie I O/PKO BP Kraków 10202892-821559-270-1 TOBOLSK lub Sekretariat Episkopatu Polski Warszawa Zespół Pomocy Kościelnej dla Katolików na Wschodzie TOBOLSK WBK X O/W-wa 10901014-96061-128-00-0.

Zmarłym pamięć, żyjącym pojednanie – brzmi hasło Związku Sybiraków. Wspomnienia zaolziańskiego sybiraka, weterana drugiej wojny światowej, ukazały się niedawno i u nas. W ubiegłym roku Wydawnictwo Olza w Czeskim Cieszynie wydało książkę Władysława Martynka „Pamiętnik sybiraka". Jej fragment drukujemy w niniejszym numerze Zwrotu. Recenzję pióra Kazimierza Jaworskiego zamieściliśmy w Zwrocie w maju ubiegłego roku.

Marian Suda, autor książki „Polska... do Tobolska", przyjedzie na Zaolzie. Spotkanie z nim odbędzie się w Oddziale Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie-Frysztacie na Rynku Masaryka w piątek 20 listopada br. o godz. 17.00. Zaproszony został również autor „Pamiętnika sybiraka" Władysław Martynek.

C.R.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

JUBILEUSZ CHÓRU DŹWIĘK

Koniec lat 20. naszego stulecia to okres, w którym zaczyna dawać się we znaki kryzys gospodarczy. Warunki bytowe ludzi pracy znacznie się pogarszają, robotnicy wzmagają walkę o swą egzystencję. Jedną z form obrony przed kryzysem było ożywienie działalności społecznej, która przybierała różnorodne formy. W wielu miejscowościach powstają zespoły, w tym również śpiewacze. Przy aktywnym Kole Macierzy Szkolnej w Karwinie-Raju powołany zostaje chór, który początkowo stanowi część zespołu teatralnego. Zespół śpiewaczy w Karwinie-Raju powołano uchwałą zarządu Koła Macierzy Szkolnej z dnia 13 marca 1928 roku na wniosek Ludwika Blachy. Prowadzenia podejmują się kolejno nauczyciel Robert Chlebik i Jan Oleownik. Wyniki cierpliwej i wytrwałej pracy zespołu szybko stają się widoczne na różnego rodzaju zabawach, weselach, uroczystościach publicznych i spotkaniach. Po odejściu wspomnianych

dyrygentów prowadzenia zespołu podejmuje się Sylwester Broda, ale problemy zdrowotne zmuszają go do zaniechania działalności. Po krótkiej przerwie pracy z chórem dla potrzeb kółka teatralnego podejmuje się emeryt Sztuła. Młodzieży udaje się jednak wyszukać w swoim gronie samouka, który przejmuje dyrygencką pałeczkę. Józef Owczarzy brak fachowej wiedzy nadrabia dużym zapałem i zdolnościami organizacyjnymi. W tym okresie chór liczy przeciętnie 40 osób, a niekiedy nawet 60. Regularne próby, występy na najróżniejszych imprezach, udział w kon-

certach połączonych chórów przynoszą coraz to lepsze rezultaty. Na krótki okres prowadzenia chóru podejmuje się wtedy Rudolf Pinkas, przekazując jednakże dyrygenturę ponownie Józefowi Owczarzemu.

Okres okupacji wywołuje przerwę w pracy dobrze zapowiadającego się zespołu śpiewaczego. Po wyzwoleniu chór rozpoczyna swą ożywioną działalność z początku pod patronatem SMP, następnie PZKO. Na czele chóru stanął Józef Owczarzy. Próby odbywają się początkowo w szkole, później w gospodzie U Ulmańskiego (obecnie Na Przystanku), w rajskim zamku, w gospodzie U Szczerby (obecnie Pod Czarnym Lasem), potem w starym ośrodku agitacyjnym, ponownie w szkole, a na końcu w świetlicy PZKO.

Tak, jak zmieniały się lokale i członkowie, zmieniali się i dyrygenci. W powojennym okresie byli nimi Janina Godula-Czajowa, Józef Owczarzy, Henryk Swaczyna, Wanda Molinkówna, Karol Gąsior, Józef Owczarzy i Danuta Grabowska, która bardzo mocno zaktywizowała rajskie śpiewactwo. Powstają w tym okresie kwartet żeński Relidasty (od początkowych liter imion chórzystek) i zespół Promyk. Oba zespoły zys-

kały w naszym regionie szeroki rozgłos, nagrody i wyróżnienia. Zespół Promyk po zamknięciu szkoły w Karwinie-Raju znalazł siedzibę w Polskiej Szkoły Podstawowej w Karwinie-Nowym Mieście, a obecnie pracuje pod patronatem Kopalni 1 Maja. Niestety w działalności chóru następuje przerwa, spowodowana między innymi zmianą miejsca zamieszkania czy pracy chórzystów. Po pewnym okresie, dzięki inicjatywie zarządu MK PZKO i Henryka Berbalka, zapalonego działacza ruchu śpiewaczego i społecznika, postanowiono wznowić pracę chóru mieszanego w Karwinie-Raju, przyjmując nazwę Dźwięk, nawiązującą do tradycji chóru z Karwiny-Granic. Chór ten powstał, podobnie jak rajski zespół, w 1928 roku z inicjatywy Koła Macierzy Szkolnej, a jego założycielem był nauczyciel Józef Matuszek. Do najaktywniejszych dyrygentów należeli Leon Lauko i Leon Janiurek. Pracę zespołu skonsolidował Józef Matros, prowadząc ofiarnie chór przez długie lata z sukcesami na wielu konkursach śpiewaczych. W ramach chóru pracowały ponadto w Karwinie-Granicach małe zespoły wokalne, np. Dziesiątka, Mambo oraz trio i kwartet - Biedroneczki i Młodość. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Dźwięk przeżywa kryzys. Po zamknięciu Koła w starej Karwinie chór przeniesiono do nowej dzielnicy Karwina-Granice, gdzie organizowany jest jubileusz zespołu - 50-lecie istnienia. Nie mając jednak stosownych warunków lokalowych i kadrowych chór Dźwięk przerywa swą działalność.

W 1979 roku dzięki staraniom organizatorów, zarządu MK PZKO i Henryka Berbalka, powstaje w Karwinie-Raju nowy chór Dźwięk. Z początku funkcję dyrygentki powierzono Danucie Grabowskiej, następnie na krótki okres kilku innym dyrygentom, m. in. Tadeuszowi Gajgerowi. Problemy zostają rozwiązane, gdy dyrygenturę chóru obejmuje mgr Halina Goniewicz-Urbaś, która prowadzi go do dnia dzisiejszego. Chór liczy obecnie 36 członków, podejmując się coraz to ambitniejszego repertuaru. W swej pracy poszczycić się może wielu osiągnięciami, m. in. w 1984 roku zdobyciem ex aequo 2. - 3. miejsca na konkursie PZKO-wskich zespołów śpiewaczych w Czeskim Cieszynie. W 1985 roku chór Dźwięk zdobywa Złote Pasmo w powiatowych eliminacjach i Srebrne Pasmo w okręgowym konkursie Pieśni Przyjaźni. Występował m. in. w Cieszynie, ośrodku rehabilitacyjnym w Karwinie-Granicach, darkowskim uzdrowisku, wielu sąsiednich Kołach PZKO oraz na imprezach własnych. Jeden z największych sukcesów zanotował w roku 1986 w konkursie zespołów śpiewaczych, zwyciężając w 1. kategorii chórów mieszanych. W ostrawskim studio radia (wtedy jeszcze czechosłowackiego) nagrał 7 pieśni, które emitowane były w samodzielnym programie. W 1987 roku Dźwięk reprezentował pezetkaowskie śpiewactwo na Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Chóralnej w Między-

zdrojach oraz na Międzynarodowym Festiwalu Przyjaźni Kalisz '87, gdzie jury festiwalu przyznało chórowi nagrodę Za pielęgnowanie tradycji polskiej pieśni za granicą. Zdobytą na kaliskim festiwalu nagrodę pieniężną w wysokości 25 tysięcy złotych prezes Koła Tadeusz Puchała przekazał w imieniu zespołu na ręce wojewody kaliskiego Mariana Jóźwiaka na budowę łódzkiego szpitala - Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. Ponadto Dźwięk uhonorowano medalem PZChiO Za sukcesy w I Spotkaniach Chóralnych Kalisz '87 i pucharem.

W ostatnim dziesięcioleciu do sukcesów chóru można zaliczyć uzyskanie 1. miejsca w Konkursie Pieśni Przyjaźni (1989), 2. miejsca w Konkursie chórów PZKO (1990), srebrnego pasma w Praskich Dniach Śpiewu Chóralnego w Pradze (1993), złotego pasma w Konkursie chórów PZKO (1995), 4. miejsca w Ogólnopolskim Festiwalu Polskiej Pieśni Chóralnej w Katowicach (1996), 2. miejsce w konkursie Svátky písní w Ołomuńcu (1998). Miłe wspomnienia zostały na pewno chórzystom po występach barbórkowych na KWK Morcinek w Kaczycach. Pod sukcesami Dźwięku podpisały się między innymi wyjazdy w 1992 i 1995 roku do Koszalina na Spotkania Chórów Polonijnych - Warsztaty Artystyczne oraz współpraca ze studentami Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Chórzyści brali udział już w trzech koncertach absolwenckich wychowanków tego instytutu. Do najatrakcyjniejszych zaliczyć można pobyt w Belgii w 1989 roku. Chór wyjechał tam na zaproszenie Polonijnego Zespołu Folklorystycznego Krakus z Genku. Jako partnerów rajskiego zespołu można wymienić polskie chóry mieszane: Słowiczek z Reptów Śląskich i Hasło z Zebrzydowic. Po kilkuletniej przerwie zapewne dojdzie do odnowienia rodzinnych kontaktów z chórem z Wyszanowa.

Członkowie chóru, oprócz cotygodniowych spotkań na próbach, aktywnie biorą udział w różnych własnych i PZKO-wskich imprezach. Dzięki zdolnemu kierownikowi organizacyjnemu Antoniemu Tomankowi do udanych imprez można zaliczyć np. Pochowani basy, bale, festyny, Wykopki... O wszystkich imprezach i występach można przeczytać w kronice chóru, którą przez długie lata przepięknie prowadzi Zofia Owczarzy (w ostatnich latach pomaga jej Tadeusz Owczarzy).

Dzięki finansowemu wsparciu Funduszu Kultury Urzędu Miejskiego w Karwinie w zeszłym roku doszło do nagrania taśmy magnetofonowej Dźwięku. Chór otrzymał również wsparcie finansowe na stroje i obchody jubileuszu 70-lecia, które zaplanowano na sobotę 21.11. 1998 na godz. 16.00 w auli Uniwersytetu Śląskiego w Karwinie.

KSENIA OWCZARZY

FESTYN NA BAGIŃCU

19 września odbył się, zorganizowany przez Zarząd Główny Macierzy Szkolnej w RC, II Baginiecki Festyn Szkolny. Przybyli pod budynek szkolny na Bagińcu goście gotowi byli nie tylko bawić się, korzystając z pięknej pogody ostatnich dni lata i łykając świeże górskie powietrze, ale również wesprzeć materialnie fundację, która patronuje remontowi budynku. Schronisko na Bagińcu odwiedzają uczniowie w czasie wycieczek szkolnych, w jego gościnnych progach organizują obozy i biwaki drużyny harcerskie. Toteż potrzeba, by służyło jak najlepiej. Z apelem o pomoc zwrócił się więc do obecnych w słowie powitalnym prezes ZG Macierzy Szkolnej Jan Branny. W programie kulturalnym wystąpili członkowie zespołu Bystrzyca. Nie zabrakło też jadła i napojów.

C.R.

SPOTKANIE SUSZAN

Prawie dwieście osób przybyło w sobotę 26 września do lokali Domu PZKO i Domu Robotniczego w Suchej Górnej, by wziąć udział w spotkaniu byłych i obecnych członków zespołu tanecznego Suszanie. Wiosną bieżącego roku zespół pod kierownic-

twem Ireny Rzyman obchodził swoje 45-lecie. W krótkim programie przedstawili się obecni członkowie zespołu. Najmłodsi, tańczący w zespole jeden rok, zaprezentowali znane wszystkim tańce cieszyńskie „Zasiali górale", „Błogosławionego" i „Piekła placki", starsi „Polkę szariszską". Wiązanka tańców wschodniokrakowskich miała przypomnieć początki zespołu. Dziś zespół stara się połączyć tańce ze śpiewami, nawet chłopcy w „Krakowiaku" przekonali, że potrafią śpiewać. Zespołowi towarzyszyła kapela.

W programie zabawy byłych i obecnych Suszan nie zabrakło tańca, do którego przygrywała orkiestra Forum Bronisława Kapiasa. W aukcji szły pod młotek przedmioty, które zespół zdobył w czasie wyjazdów, zyskane w ten sposób fundusze przekazane zostały do dyspozycji zespołu. Była też loteria, nagrody ufundowali sponsorzy, m. in. Stowarzyszenie Wspólnota Polska, Urząd Gminny w Suchej Górnej oraz okoliczne przedsiębiorstwa. Do dyspozycji była też smaczna kuchnia.

W sali Domu PZKO można było obejrzeć albumy i kroniki zespołu. Organizatorom udało się zestawić spis członków Suszan, którzy przewinęli się przez zespół w ciągu całego jego istnienia. Na liście znalazło się około trzysta nazwisk. Jest to jednak lista niepełna, dlatego apelowano o jej dopełnienie, by na pięćdziesięciolecie zespołu można było przedstawić pełny wykaz jego członków.

C.R.

WYSTAWA ZBIGNIEWA KUBECZKI

19 października obchodził Zbigniew Kubeczka swój jubileusz życiowy - sześćdziesięciolecie urodzin. Jubileusz uczczono, jak na artystę przystało, wystawą. Ma bowiem Zbigniew Kubeczka w swoim dorobku już około 700 ekslibrisów. Tworzenie ekslibrisów, dzieł małej grafiki, stało się jego pasją życiową.

Wystawa odbyła się w Bibliotece Regionalnej w Karwinie-Frysztacie, gdzie zresztą grafik prezentował swoją twórczość już po raz czwarty. Niewielkie lokale biblioteczne nie mogły pomieścić wszystkich, którzy 2 października przybyli na wernisaż wystawy. Po powitaniu gości przez kierowniczkę Oddziału Literatury Polskiej Helenę Legowicz i odczytaniu Złotych myśli Zbigniewa Kubeczki (ukazały się w październikowym numerze Zwrotu) gratulacjom nie było końca.

Trochę nietypowy to był wernisaż, bowiem nie polegał tylko na oglądaniu wystawy i wznoszeniu toastów. Nie wiem czy przy okazji takiej imprezy, będącej przede wszystkim strawą duchową, wypada wspominać o żołądkach, w tym wypadku jednak wyjątkowo nie można tej kwestii pominąć. Ilość kolorowych kanapek i ciasteczek była bowiem również ucztą dla oka.

Bogaty program kulturalny przygotowany został przez przyjaciół i krewnych jubilata, między innymi członków Polskiego Towarzystwa Medycznego. Ludzie zawodów niekoniecznie związanych z kierunkami artystycznymi wystąpili na scenie w nietypowych dla siebie rolach. Do pianina zasiadł oprócz Bronisława Liberdy również Romuald Gąsior. Oprócz Renaty Putzlacher, czytającej swój wiersz dla Zbigniewa Kubeczki, recytację wiersza Tadeusza Łopalewskiego przedstawił także Bogusław Chwajol. Gwoździem programu były piosenki o jubilacie w wykonaniu Kabaretu Młodszych Pań, prowadzonym przez jego siostrę Halinę Kowalczyk.

C.R.

SPOTKANIA Z AFORYZMEM

W dniach 8 i 9 października przebywał na Zaolziu w towarzystwie znanego opolskiego aforysty Wiesława Malickiego prof. Joachim Glensk, kierownik Zakładu Dziennikarstwa Instytutu Nauk Społecznych Uniwersytetu Opolskiego, który od lat zajmuje się wyszukiwaniem i gromadzeniem aforyzmów. Jest autorem antologii aforyzmów, np. „Współczesna aforystyka polska", „Myślę, więc jestem", „O miłości wszelakiej... – aforyzmy, opinie, refleksje", pracuje nad kolejnym tomem „Wielkiej encyklopedii aforyzmów".

Pierwsze spotkanie z Joachimem Glenskiem odbyło się w Kawiarence U Adama w Domu PZKO im. A. Wawrosza w Trzyńcu VI. Podobny charakter miało spotkanie w Domu PZKO w Jabłonkowie podczas kolejnej edycji Kawiarenki Pod Pegazem. Gimnazjaliści karwińscy zaś wzięli udział w prelekcji Joachima Glenska w karwińskiej bibliotece. Profesor przypomniał definicję aforyzmu, zaznajomił z historią aforystyki, Wiesław Malicki przeczytał kilka aforyzmów. Uczestnicy spotkania mieli okazję, by obejrzeć przywiezione przez gości zbiory aforyzmów, w tym również te napisane przez żonę profesora Czesławę Glensk oraz aforyzmy Wiesława Malickiego, niektóre zbiorki można było na miejscu zakupić.

C.R.

JESIENNE ŻEGNANIE LATA

Jedną z imprez organizowanych już tradycyjnie co roku przez wiele Kół PZKO jest, niekoniecznie sentymentalne, spotkanie z okazji kończącego się lata, początku jesieni, kiedy w czasie przedłużających się z dnia na dzień wieczorów miło spotkać się ze znajomymi, posiedzieć w towarzystwie przyjaciół, pośpiewać, poplotkować, chwaląc przy tym wyborną kuchnię gospodarzy. Spotkaniom takim towarzyszy bowiem prawie wszędzie degustacja placków ziemniaczanych, czyli naszych popularnych stryków.

W chwili, kiedy oddajemy ten numer Zwrotu do druku, trwają jeszcze w niektórych Kołach przygotowania do pożegnania lata. Są też Koła, które „wykopki" mają już za sobą.

19 września odbyła się Kopaczówka w MK PZKO w Karwinie-Raju. Uczestników zabawiał gość z Beskidów Tadeusz Filipczyk. W tym samym dniu na Wykopki zaprosili pezetkaowcy z Orłowej-Poręby, którzy gościli u siebie zespół Familijo z Polski.

20 września Wykopki i smażenie stryków mieli członkowie MK PZKO w Karwinie-Darkowie i ich goście. W tym samym czasie przebiegało Pożegnanie lata w MK PZKO w Karwinie-Frysztacie, gdzie „Nadolziańską śpiewogrę, czyli jak Jaś Kasię namawiał" autorstwa Antoniego Strzybnego w reżyserii Urszuli Odstrčil, dyrygentki chóru Zaolzie, który

razem z zespołem Skotnica odegrał ten spektakl, nagrodzono gromkimi brawami. Była to jakby jedna z prób generalnych przed koncertem chóru Zaolzie oraz zespołów Skotnica i Skotniczka, który odbył się w Hawierzowie 10 października. 20 września przebiegło też Pożegnanie lata w MK PZKO Niebory, z udziałem Teatrzyku Gapa. Na program złożyło się przedstawienie zatytułowane „Absolutnie straszny olbrzym", wystawa prac plastycznych uczniów szkoły i przedszkola, a także konkurs na Malarza Lata 98 oraz rozwiązanie konkursu Poeta Lata 98.

26 września żegnali lato pezetkaowcy z Orłowej-Miasta i Orłowej-Łazów. W świetlicy w Zimnym Dole nie zabrakło placków ziemniaczanych, rozmowy przeplatano śpiewem przy akompaniamencie akordeonu Bronisława Bednarza.

3 października smażono placki ziemniaczane w czasie wspólnej imprezy Kół Czeski Cieszyn-Mosty i Czeski Cieszyn-Osiedle.

5 października na placki ziemniaczane zaprosiły panie z Klubu Kobiet MK PZKO w Boguminie.

10 października odbyło się Pożegnanie lata z udziałem młodzieży szkolnej, zespołu TO MY i kapeli Kamraci w Wędryni. Wcześniej, 23 września, na swym spotkaniu klubowym zajadali ze smakiem placki ziemniaczane członkowie wędryńskiego Klubu Seniora i Klubu Kobiet. Tradycyjne Górnosuskie Wykopki, również 10 października, miały bogaty program. Były nie tylko występy przedszkolaków, uczniów miejscowej polskiej szkoły oraz kapela zespołu Suszanie, ale zaprezentowali się też goście z Polski: Dziecięca Kapela Ludowa Polanki oraz dziewczęcy Zespół Wokalny Arce-du z Bielska-Białej.

13 października smażenie placków urządził Klub Kobiet MK PZKO w Zabłociu.

C.R.

Z występu uczniów PSP w Suchej Górnej na „Wykopkach"

PRZEDWYBORCZY HUMOR LAT TRZYDZIESTYCH

Pieśń przedwyborcza

Nie ma jednej wioski, nie ma jednej chatki,
gdzie by się nie zaczął bój o „kandydatki".
Hej, hej, wyborcy, malowane dzieci,
niejedna figura za wami poleci.
Niejedna figura i niejedna głowa
będzie wam prawiła same szumne słowa.
Hej, hej, wyborcy, malowane dzieci,
na pewno i Manuś znów do was przyleci.
Partia umierała, jeszcze się pytała,
czy mię, chłopi, przecie wybierać będziecie.
Hej, hej, wyborcy, malowane dzieci,
długo was znać nie chciał, teraz do was leci.

Czterej panowie siedzą w kawiarni przy jednym stoliku. Jeden wzdycha. Drugi jęczy. Pauza. Wreszcie trzeci uderza pięścią w stół i krzyczy ze złością:
– Przestańcie, panowie, już raz mówić o tym przeklętym kryzysie.

W parlamencie:
– To bardzo myślący polityk...
– Jakto?
– Myśli, że jest naprawdę politykiem.

Bankier H. do ubiegającego się o rękę córki: – Jak wielki jest pański dochód?
Konkurent: – Jestem kierownikiem firmy Impet i pobieram dwadzieścia tysięcy rocznej premii.
Bankier (z pychą): – Akurat tyle, ile moja córka wydaje na chustki do nosa.
Konkurent (odcinając się): – W takim razie muszę cofnąć starania o rękę pańskiej córki. Nie potrzebuję bowiem tak zasmarkanej żony.

– Jak mam panu oddać mój dług?
– Jak to jak?
– Czy w dolarach, czy w złotych polskich?
– Co za różnica?
– Jeżeli w dolarach, to nie mogę oddać ani centa, a jeżeli w złotych, to ani grosza.

– Jak stoją interesy Iksowieckiego?
– Tak stoją, że prawdopodobnie prędko będzie już siedział.

Włóczęga został skazany na kilka dni więzienia.
– Czy nie macie nic do powiedzenia? – pyta przewodniczący.
– Powiem tylko – odpowiada oskarżony – że w dzisiejszych ciężkich czasach narzucanie państwu nowego pensjonariusza wydaje mi się rozrzutnością, powiem nawet szaleństwem.

– Podobno siedziałeś w areszcie dwa dni?
– Niestety tak.
– A dlaczego cię tam wpakowali?
– Bo przyłapali mnie na tym, że dałem łapówkę jednemu urzędnikowi?
– A dlaczego więzili cię tak krótko?
– Bo dałem łapówkę drugiemu urzędnikowi.

– W życiu nic nie można zrobić bez pieniędzy!
– Owszem, długi!

– Widzisz tego eleganckiego pana? To jest człowiek, który zaczął swój interes dosłownie bez grosza.
– A teraz?
– A teraz ma sto tysięcy... długu.

W opałach.

Kandydat na posła: — Rany Boskie — co tu począć? Telefon dzwoni, a mój sekretarz już odeszedł.

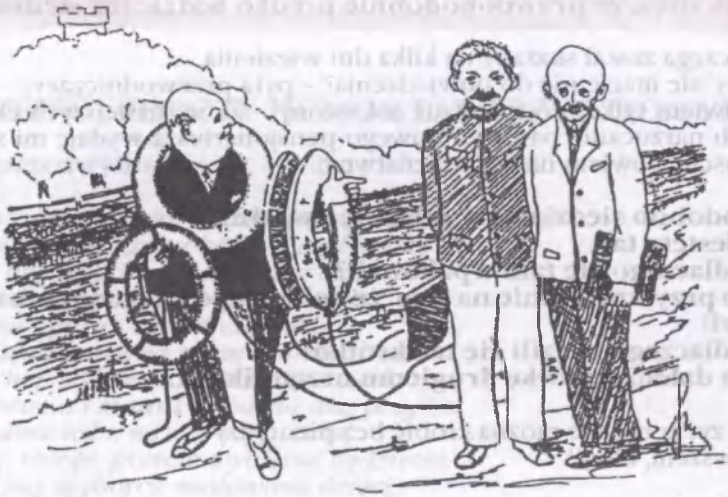

August i Antóń: Manuś, co ty wyrobiosz za kumedje?

Manuś: Jak mie zmusicie do złożenia mandatu, to skoczę do Olzy.

Lunatyk.

— Francek! przebudź sie — dyć już je przeca po wyborach!

Rysunki przedrukowane z „Szerszenia" z roku 1935.

RARASZEK

Opowiadała moja starka (Anna Michejdowa, z domu Wajner, ur. w Cierlicku w r. 1868, zm. w r. 1950). Jak była dzieuchóm, to służyła u wielkigo gospodarza w Cierlicku za dziywke. Gospodarstwo było wielkie, przeszło sto jochów pola, 14 krów dojnych, 2 pary koni, l para wołów, 10 świni, byk, jałówki, cielęta, kury, trusioki, gęsi pełny plac, nie szło tego porachować. Czeladki też było moc. Było 6 dziywek, co robiły kole krów, świni, gawiedzi i w kuchyni, a jedna była przi dzieciach. Trzech pachołków do koni i jedyn starszi hyrbaty pachołek był pastyrz. Roboty było moc kole bydła, a na polu jeszcze więcej. Gospodarze byli dobrzi, pobożni katolicy, każdą niedziele jeździli na Kościelec do kościoła. Gospodarz nie pił gorzoły, o gospodarke sie staroł, czeladke gónił do roboty a w niedziele do kościoła też. Staroł sie też, aby czeladka chodziła porządnie i czysto obleczóno i najedzóno. Piykło sie tam każdy tydzień 14 bochenków chleba, a do stołu było przeszło 20 ludzi, a jak była robota w polu, to 30 i więcej. Była jedno wielko izba, na postrzodku stoł duży stół, naokoło były ławy. Każdy przy stole mioł swoje miejsce i co mu sie należało, to musioł dostać. Tam nie było nic ekstra, gospodarze, dzieci i służba – wszyscy jedli przy jednym stole. Jyny dlo gości był ekstra stół w rogu izby, nakryty ładnym serwetym. Między dziywkami 3 były ewangeliczki. Była wtedy tako moda, że katolicy wygryzali na ewangelików, ale u Farnika tego nie śmiało być, ze wszystkimi żył w zgodzie, wszystkich traktowoł sprawiedliwie, a łyni gónił na 4 wiatry.

Żeby było co jeść, na jesiyń zabiło sie 3 albo 4 kormiki, byczka, narobili kiełbas, uwędzili tak, że zawsze był pełny komin. Ku mięsu też było trzeba jeszcze cosi więcej. To na jesień kole Wszystkich Świętych deptało sie 3 beczki dębowe, każda po 300 litrów kapusty. Na dożynki, przy zabijaczce czy przy deptaniu kapusty, jak sie urodziło, a robota sie podarziła, to sie piekło kołacze, uwarziło kluchy, mięso sie jadło, też sie i coś wypiło, znalazł sie też ktoś z harmonijóm, zagroł, wszyscy razem – gospodarze, czeladka, sąsiedzi, goście – jedli, pili, tańczyli, opowiadali bajki, stroili żarty, cieszyli sie z dobrej, udanej roboty. Zawsze opowiadała starka, że u Farnika służyła 6 roków, a że to była najlepsza jejo służba.

Opowiadała, co sie zdarzyło w trzecim roku służby na jesień, kole Wszystkich Świętych. Takteż i w tym roku deptali kapuste. Dziywki krążały, a pachołcy deptali do beczek. Dziywki z kuchni i gospodyni warziły gałuszki ze zimnioków z kapustóm i piykły placki, rozumi sie też z kapustóm. Robota szła raźno i wesoło. Pachołcy przi deptaniu gwizdali, a dziywki przy krążaniu pośpiwowały. Gospodarz siedzioł za stołym z dwiema sąsiadami, częstowali sie z pękatej flachy, coś wesołego sobie opowiadali, bo sie śmioli do rozpuku. Było już późno wieczór, robota sie pomału kończyła, beczki już były pełne, a z kuchni dochodziła smakowita woń mięsa, pieczonej kapusty na maśle i dobrego ciasta. Wszyscy sie nie mogli doczekać końca i cieszyli sie na smakowite jedzenia i zabawe. Dziywki pocichu lutowały Marysie, kiero sie zaziębiła przy skludzaniu kapusty, a teraz leżała w gorączce w kuchyni, przikryto pierzynóm, żeby ji było ciepło. A była to dzieucha szykowno, do roboty chętno a do zabawy skoro. Po godzinie 10 beczki były pełne, a robota z kapustóm sie skóńczyła. Dziywki ukludziły, pozamiatały. Zasiedli do stołu, a kluski wóniały, a smakowały, bo były ze ziymnioków w postrzodku z kapustóm smażoną na maśle a jeszcze okraszone masłym, a co dopiero kołacze z kapustą i herbata z rumem. Pojedli, popili, Jura zagroł na gajdach, tańczyli, bawili sie, aż huczało. Pachołek Francek pocichu sie wymknół do kumory, zrobił z nasiennej główki kapusty małego chłopka. Do główki styrczył 2 węgliki, to były oczy, nos zrobił z marchewki, a gębe namalował, głąb to był brzuch. Nogi i ręce zrobił z wiyrbowych kołków. Dziywka, co była przi dzieciach, przyniósła koszulke, pierzynke i powijan, oblykli chłopka, zawinęli do pierzynki i zaniyśli Marysi, kiero akurat spała, włożyli pod pierzyne. Teraz poszli do czeladnej, zawołali Janka, kiery sie zawsze koło Marysi kręcił.

– Janek, pódź tu i podziwej sie, coś ty narobił. My wszyscy myśleli, że óna jest przeziębiono, a óna tu mo dziecko.

Za Jankym wszyscy polecieli do kuchni, wyciągli zpod pierzyny fajnie zmajstrowanego z kapusty cudoka, husiali, udowali, że płacze i śmioli sie z Marysi i Janka, że to jest jejich robota. Uciecha była wielko, a najwięcej z tego figla śmioł sie Janek i Marysia, kiero z tej uciechy ozdrowiała. Dochodziła prawie godzina 12, Francek, co to cudo zmajstrowoł, odzioł sie biołóm łochtuszóm, a na głowe włożił czarną baranice, na talerzu przyniósł wody z nadeptanej kapusty, przyszeł do kuchynie i zawołoł:

– Cicho, bo przeca musimy Jankowi i Marysi tego kapuścianego synka ochrzcić. A że matka jest ewangeliczka, tóż go krzcimy po ewangelicku. Jo jest ksiądz, a Jura i Kasia bedóm za potków.

Wszystko ucichło. Francek postawił wode z talerzem na stole, zrobił sie poważny, a Kasia podała mu pierzynke z cudokym. Francek wzión pierzynke na lewóm ręke i powiedzioł:

– Syneczku, z Janka i Marysi zrodzóny, z głowki kapusty z głąbkiem i wiyrbowych kołków zrobióny, zielnioczkóm będziesz pokropióny, po lutersku okrzcóny – prawóm ręką pokropił cudoka – a na miano ci dowóm Raraszek. A teraz, Raraszku, dobrze posłóchej, co ci powiym: Twoja mama i twój tata są na służbie, a tu u Farnika jest moc roboty, chować cie nie bedóm mieli czasu, tóż by było dobrze, gdybyś z tej pierzynki zaroz wyloz i chodził se po jodło sóm. Tóż ci powiadóm jeszcze roz, hokus-pokus stóń a chodź.

W tym na polu zahuczoł wiater, błyskło sie i uderziło do lipy, kiero stoła blisko chałupy. Powijok na pierzynce sie rozerwoł, z pierzynki wyskocził Raraszek, na poczkaniu urosnół, polecioł do czeladnej na stół, na miejsce, gdzie siodował gazda i wrzasnął:

– Dowejcie jeść gałuszki a moc.

Wszyscy se strasznie wylękali, każdy był blady ze strachu jak ściana, a gazda myśloł w pierwszej chwili, że to garbaty pastyrz Bernat, zrobił ze siebie taki straszydło i powiedzioł:

– Ale Bernat, nie wiedzioł żech, że cie na starość dzierżóm taki głupoty.

W tym zamieszaniu podsunął Raraszkowi ktoś miske z gałuszkami, a ten jóm opróżnił w mig i wrzasnął:

– Pić, a herbaty z rumem, a hónym, bo jo tu teraz gazdóm!

Gazda sie strasznie rozgniwoł, skoczył spoza stołu, chycił Raraszka za ramie i wrzasnął:

– A ty hóncwócie, coś ty za jedyn, że sie tu tak rozdziyrosz.

– Ja jestem Raraszek, z Janka i Marysi urodzóny, przez Francka z główki kapusty z głąbiem i prętów zrobióny, no i po lutersku zielnioczkóm ochrzcóny. Tóż już teraz gozdo wszystko wiycie, a kożcie mi dać herbaty z rumem, bo ze mnóm nima żodnych szpasów.

Gazda kozoł zawołać całóm czeladke i tak im powiedział:

– Niefajnie, niegodziwie ście sie zabawili, Pana Boga żeście obrazili, boście z cudzej wiary błozna robili, a za moją dobroć przez wasze głupstwa pod mój dach diabła żeście przikludzili. No, ale nic, Raraszkowi dejcie, czego żąda, a wy wszyscy teraz wynoście se spać. Jutro rano, Francek a Marysia spakujcie se swoji manatki i wynoście se zpod mojigo dachu. Za służbe do Nowego Roku wóm zapłacym, a Jurek, ty wyrychtujesz kolase i o 7-mej pojedziesz po księdza proboszcza na Kościelec i powiesz mu, żeby zabrał ze sobą Pismo Święte i świynconóm

wode, że ja go bardzo proszę, żeby tu zaroz z tobą przyjechoł. Bo z pomocą Bożą musimy se tego nieproszónego gościa pozbyć.

Raraszek na stole popijoł herbate i powiedzioł:

– Uwidzimy, gazdo, gdo sie kogo pozbedzie, jedno jest pewne na fest, że mnie sie tak zaroz nie pozbedziecie.

Każdy poszeł do swojego kąta, ale żodyn do rana nie społ.

Rano Jurek pojechoł na Kościelec po księdza. Proboszcz był wyjechany do Cieszyna, dlatego Jurek przywiózł kapelanka. Za kapelankym do czeladnej przyszła kupa ciekawych ludzi, gdyż już całe Cierlicko wiedziało o Raraszku. Raraszek siedzioł dali za stołym na gazdowym miejscu i jod z wielkiej misy żarnówke z mlekiem. Taki rozkozoł se przynieść śniodani. Kapelan zaczął swoje odwiedziny od modlitwy porannej, jak zaczął rzykać, Raraszek mu prawił:

– Teżeś móg, kapelanku, przyjść troche prędzej, nie leżeć tak długo, byłbyś porzykoł przed moim śniodaniym, bo by mi lepszi szmakowało.

Po modlitwie zaczęli wszyscy śpiewać „Kiedy ranne wstają zorze". Raraszek w międzyczasie zdążył zjeść śniadanie, pogłoskoł sie po brzuchu i puścił takiego bąka, że wszyscy zaczęli mdleć od smrodu. Raraszek sie zaczół chichrać i prawił:

– Kapelanek zapómnioł kadzidło, tóż jo kadzym za niego.

Pootwierali wszystkie okna i drzwi, bo nie szło od smrodu wydzierżeć. Kapelan wziął kropidło i zaczón kropić izbe świyncónóm wodóm, a Raraszek na to:

– Widzicie go, jaki świynty, przisze Raraszka wyrzykać i wykropić, wygnać z chałupy, ale taki kapelanek to mie tam nigdy nie ruszy, dej se dobry pozór, żebyś ty z Kościelca nie wylecioł. Jak idzie do kościoła odprawiać nabożeństwo i ino sie dziwo, kaj kiero gryfniejszo dzioucha, a za Hankóm od fojta goło chodzi nieroz po ćmi, a tu taki świynty. Jak mi tu roz jeszcze z tego kropidła sikniesz, to sie ludzie o tobie wszystko dowiedzóm, a ksiądz proboszcz cie wykurzi na sztyry wiatry.

Ludzie sie zaczęli pocichu śmioć a kapelanek wiedzioł, że nie do rady, zebroł ze stołu swoje książki i szeł na Kościelec piechotóm. Nie czekoł, aż go odwiezą. Raraszek zaś sie wygodnie rozsiadł i krzyknął:

– Dejcie tu zaraz herbaty z rumem, bo mi w gardle wyschło.

I nie było rady, Raraszek siedzioł, smerdzioł, a co chwila wrzeszczoł: Dowejcie jeść! I eszcze se wymyśloł. To chcioł kiełbasy z kapustóm, to chleba z masłym i maślanki, cała służba koło niego skakała, bo gazda nakozoł, że co Raraszek zażądo, to mu majóm dać. Żodyn za stół nie siednół, żodyn też nic nie jod, bo co dali na stół, to Raraszek w mig zeżroł. Chodzili wszyscy głodni, niewyspani, jak ztruci, krowy a bydło we chly-

wach ryczało, świnie kwiczały, bo nie były oporządkowane. Gazda z gospodynią popędzili do fojta, fojt zwołoł co mądrzejszych gospodarzy, żeby wspólnie się naradzić, jak sie Raraszka pozbyć, ale rada była ciężka.

Wieczorem przyjechał z Cieszyna ksiądz proboszcz. Od kapelanka sie wszystko już dokładnie dowiedzioł. Pokiwoł głowóm, porozmyśloł i polecioł do fojta, bo to nie było daleko. Otworzył dwiyrze i od razu krzyknął:

– Moji mili, coście uradzili?

– No, dogrómady nic, bo i rada trudna – odpowiedzioł fojt – historyja paskudna, a z diabłem żartów nima. Jo widzę, że nasze chłopskie głowy są na to za słabe.

– I jo tak myślym, moi kochani, idźcie teraz spać, bo już teraz noc, a ja jutro poczytam we starych księgach, co i jak należy z tym diabłym Raraszkym zrobić. Robota nie będzie łatwa, bo jak mi opowiadał ksiądz kapelan, to jest chytra sztuka. Wy, Farniku, w piątek wieczorem przyjdźcie na plebanię na narade.

W piątek Farnik przyszedł na fare, a zaczął prosić na smiłowani, aby z nim pojechoł do niego, bo u niego w dómu robi sie sądny dzień. Krowa uginęła, koń złamał nogę, kury, gęsi, indyki zdychają, a Raraszek siedzi, smerdzi, chce jeść i strasznie sie chichrze.

– Wiadomo – prawi proboszcz – pan i gospodarstwo jest w mocy szatana. Wyczytałem we starych księgach i Piśmie Świętym, że tam żaden duchowny katolicki szatana nie wygoni, gdyż wasza czeladka nie z katolickiej, a z ewangelickiej wiary sie naśmiewała, a wy, mój kochany, teraz za to pokutujecie, boście nie dopilnowali, a jest płacz i zgrzytanie zębów. Ale nic, oto jest przeze mnie napisane pismo, w niedzielę popołudniu pojedziecie do Cieszyna na Wyższą Brame do księdza seniora Hasego, ja mu tam wszystko dokładnie napisałem i proszę go, żeby do Was przyjechoł, a wy go też od siebie poproście. Ja zaś w niedzielę na waszą intencję odprawię specjalne nabożeństwo i przypuszczam, że szatan wasz dom opuści.

W niedzielę ku wieczoru przyjechał ksiądz senior w sutannie z Pismem Świętym do Cierlicka i uroczyście wszedł do czeladnej. Raraszek, jak zawsze siedział za stołem i popijał herbatę. I powiedział:

– Serwus, księdzoszku pastorze. Widzę, że gazda zaczął z innej beczki.

Pastor siednół za stół koło samego Raraszka, Pismo Święte położył na stole, nałożył okulary, otworzył księge i chciał czytać. Raraszek książkę zawrzył i wrzasnął:

– Dej pokuj, wiysz dobrze, że jo taki rzeczy nie mogę słuchać, bo mi uszy odpadną.

A ksiądz na to:

– Nie byłoby źle, żebyś ty sie cały rozsypoł, bo jo tu właśnie po to przyszeł, żebyś sie stąd wyniós.

– Widzicie go, jaki dobry, jaki świynty. Raraszka przisżeł wygónić a matce jegłe ukrod.

Ksiądz mu na to:

– Nie była to żadna kradzież, bo jegła była mamina, a jo też mamin. Jegła posłużyła mi do załotanio spodni, żeby mama nie musiała tego robić. Czyli – to był dobry uczynek.

– Hm, hm, hm. Aleś ty jest, pastorku, mądry, ale święty, toś nima, bo jakeś dzisio robił kozani, toś se w kościele bąka puścił.

– Co szło z przodku, to do Boga, a co ze zadku, to dla ciebie, i dlatego tak straszliwie śmierdzisz, że aż bydło zdycho.

– Co! – wrzasnął Raraszek – jo smerdzym, widzicie go, jaki fajny! Ale, żeby ci nie smerdzić, to już idym do pola sie przewietrzyć.

Rozgniwany wyskocził spoza stołu i wylecioł do pola. Na placu stanął. Porozglądoł sie dokoła. W ogrodzie rosła wielko staro gruszka. Raraszek skoczył tam aż na sóm wyrch, że go tam lepszi przedmucho. Stał sie dziwnie mały i już był na samym wiyrchu gruszki. Chwileczke sie jeszcze gałązki ruszały, potym sie uspokojiły a na wyrszczku gruszki było widać tylko głąb, główke kapusty z oczami z węgla i nosem z marchewki.

Przyszła zima, liście z gruszki opadło, jesienne wiatry ruszały gałęziami, łamały je, napadało śniegu, ale Raraszka nikt i nic z gruszki nie ruszył. Na wiosnę gruszka okwitła, obrodziła, ale gruszki były taki złe, ciyrpki, kwaśne i śmierdzące. Przedtem zaś nie było w całej dziedzinie lepszych gruszek. Raraszek, abo kapusta z głąbem, jak kto woli, dalej na gruszce były, nie zmarzła, nie zgniła, dalej patrzyła czarnymi oczami, jakby hen gdzieś daleko.

Na jesień, jak opadło liście, gazda napytoł 4 chłopów i kozoł gruszke ściąć, a raczej wykopać z korzeniami. Między innymi był tam brat mojej starki Paweł, mój ujec. Gruszka była wielko, gazda nakozoł, żeby na wierchu uwiązali długi powróz, a jak bedzie gruszka dobrze podkopano, pień ciągli, tam gdzie trzeba. Żodyn jednak gruszki nie uwiązoł, bo sie boli na mióm wylyźć, bo gdyby tam siedzioł Raraszek. Kopali, ucinali korzenie, ale jeszcze było sporo korzeni w ziymi, nic na to nie ukazowało, że sie gruszka już przewróci, a naroz coś praskło, a gruszka sie przewróciła, a pień przywalił 2 chłopów i zabił. Ujec uciyk, ale jak uciekoł, trafił go jakiś konar po prawym policzku, potym już aż do śmierci nosił na pamiątkę po Raraszku wielką szrame.

AMALIA PAWLASOWA

KRZYŻÓWKA

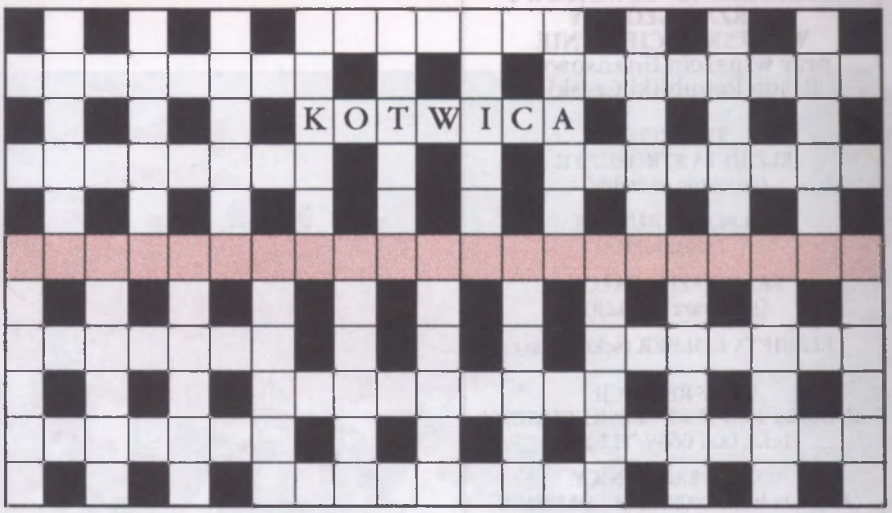

SYNTEZA KRZYŻÓWKI

Rozwiązanie dodatkowe: Tytuł jednego z „Sonetów krymskich" Adama Mickiewicza

Oto zestaw odpowiednio dobranych wyrazów, z których należy ułożyć krzyżówkę z rozwiązaniem dodatkowym. Jeden z wyrazów – **KOTWICA** – wpisano już dla ułatwienia na właściwym miejscu.

Wyrazy 6-literowe: ALPAKA, ANKARA, ANNAŁY, ANTONI, DIABEŁ, ESTERA, ISZTAR, KAKADU, KARTEL, ŁACINA, OSTRAK, PLOTKA, POKARM, RIKSZA, SKIBOB, STWOSZ, SZATYN, WIEDEŃ, WULKAN, YAMAHA, ZITTAU.

Wyrazy 7-literowe: KONCERT, KRZEMEK, PACJENT, PRZESĄD, ZNACHOR.

Wyrazy 8-literowe: BARATRON, INSULINA, KACZĄTKO, PANTROPA.

Wyrazy 9-literowe: ATLANTYDA, AUTOKRATA.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe. Rozwiązania prosimy przesyłać do końca miesiąca listopada.

Rozwiązania krzyżówki z numeru wrześniowego:
Hasło: **Najlepsze to, co na swojim gnoju wyrośnie.**
Nagrody książkowe wylosowali:
Maria Bojkowa – Piosek
Jan Rusz – Bystrzyca n. Olzą
Barbara Kufowa – Mosty k. Jabłonkowa

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY ZARZĄD GŁÓWNY W CZESKIM CIESZYNIE przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/712 261

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

NASZE ZESPOŁY

PRZYJAŹŃ

Zespół śpiewaczo-muzyczny Przyjaźń to chór, orkiestra i soliści. Powstał w r. 1958 przez połączenie chórów mieszanych MK PZKO w Karwiny-Frysztatu i Karwiny-Nowego Miasta. Repertuar Przyjaźni jest bardzo różnorodny, obejmuje muzykę operową, sakralną, popularną, operetkową i musicalową, a także pieśni okolicznościowe i ludowe. Chór zawsze śpiewa z orkiestrą.

Długoletnią i bogatą działalność śpiewaczo-muzyczną zespołu najwymowniej charakteryzują słowa recenzenta: *Koncerty karwińskiej Przyjaźni cieszyły się zawsze i nadal cieszą niesłabnącą popularnością, która wywodzi się z dwu najważniejszych źródeł. Pierwsze to charakter, profil repertuaru ambitny, ale atrakcyjny w powszechnym odbiorze, a zatem przystępny, efektowny, wpadający w ucho i serce. Drugie – bardzo dobry poziom zespołu, co jest oczywistą zasługą przede wszystkim kierownika artystycznego i dyrygenta dr. Józefa Wierzgonia, którego wytrwała praca i sztuka zasługują na uznanie. Przyjaźń poprzez muzykę i śpiew szerzy autentyczną przyjaźń. Przyjaźń szerzona przez sztukę jest najtrwalsza, bo najgłębiej wrasta w serce. Na tym polu ma zespół niezwykłe zasługi. Jego nazwa jest jak najbardziej uzasadniona.*

Zespół uczestniczył m. in. w VII Światowym Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie (1988), Zjeździe Polonii i Polaków z Zagranicy w Krakowie (1992) oraz Trojoku Śląskim w Katowicach (1996). Posiada najwyższe odznaczenie Polskiego Związku Chórów i Orkiestr w Warszawie oraz Zasłużony dla Kultury Polskiej Ministerstwa Kultury i Sztuki RP.

Z cmentarza w Cieszynie

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W REPUBLICE CZESKIEJ

12/98

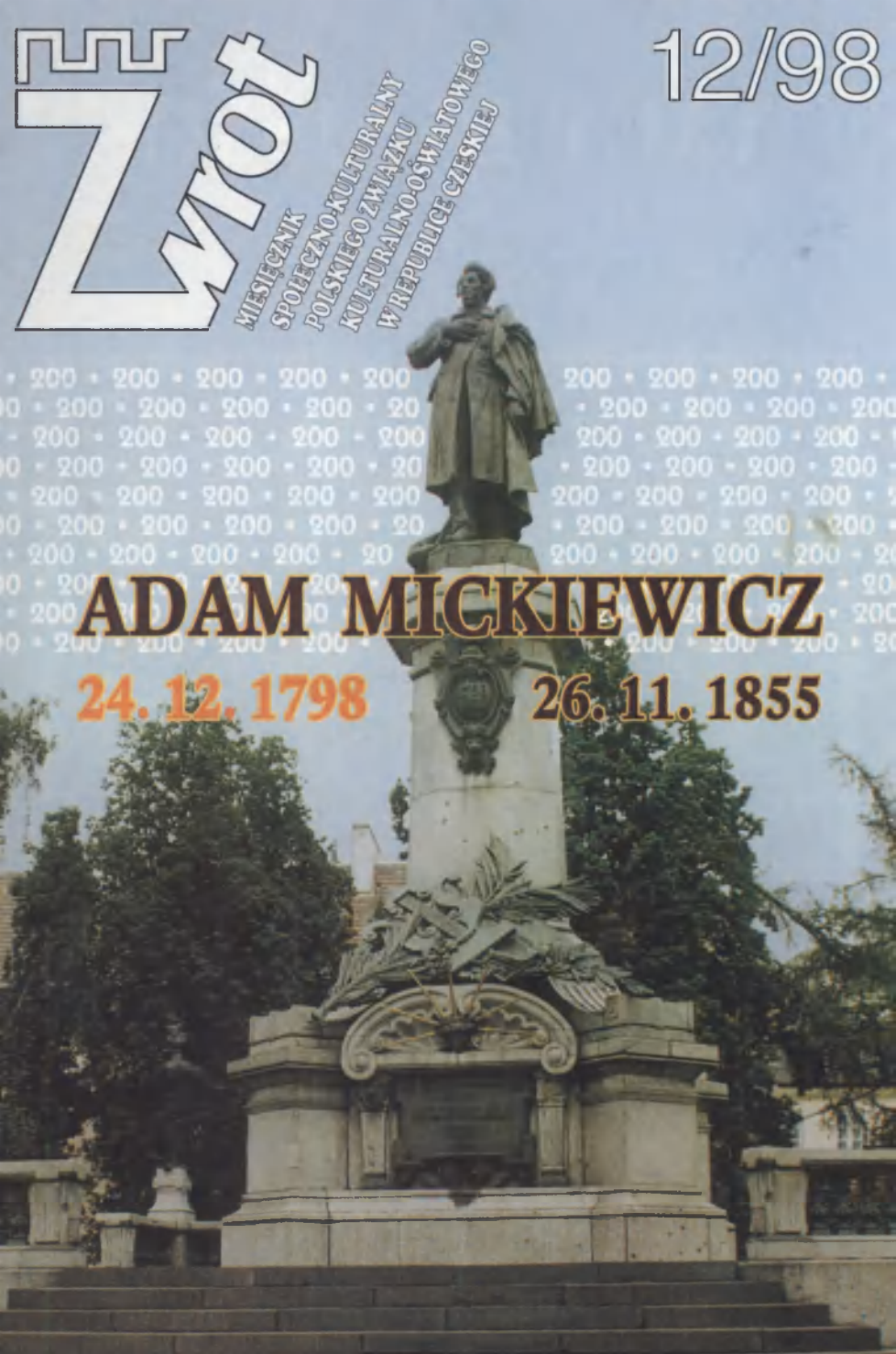

ADAM MICKIEWICZ

24. 12. 1798 — 26. 11. 1855

TACY BYLIŚMY

Uczennice Szkoły Gospodarczej w Orłowej w roku szkolnym 1932/33. Fotografię wykonał Leo Beer z Frysztatu, a udostępnił redakcji ks. Jerzy Wałach z Hawierzowa-Suchej.

Zwrot

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
POLSKIEGO ZWIĄZKU KULTURALNO-OŚWIATOWEGO
W REPUBLICE CZESKIEJ

Rok XLIX Nr 589 Cena numeru 14,00 Kč
W prenumeracie pocztowej 18,50 Kč

12/98

W NUMERZE

[3] Do młodzieży śląskiej! Na uroczystość Mickiewicza — JAN KUBISZ
[5] Kostaryka Bożonarodzeniowa — F. i B. JEŻOWICZOWIE
[9] Z żołnierskich tradycji Śląska Cieszyńskiego (4) — EDWARD BUŁAWA
[14] Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim (22) — ALOJZY NOWOK
[21] Moje dorastanie do dojrzałości (12) — BOLESŁAW ORSZULIK
[27] Adam Mickiewicz a Czechy — LIBOR MARTINEK
[32] Poezja Adama Mickiewicza
[34] Maria Wardasówna: Wyłom
[38] Renata Putzlacher – Moje fascynacje: Mickiewicz – my z niego wszyscy
[43] Na naszej scenie — CZESŁAWA RUDNIK
[47] Echo wydarzeń muzycznych
[52] Kronika
[58] Humor sprzed lat...
[62] Mozaika
[66] Ze starych kalendarzy
[70] Krzyżówki
[74] Spis treści – rocznik XLIX

Numer zamknięto 16. 11. 1998

JAN KUBISZ

DO MŁODZIEŻY ŚLĄSKIEJ!
NA UROCZYSTOŚĆ MICKIEWICZA

Utwory wieszczów – to są żywe wody,
Z których, gdy piją, nie giną narody,
Bo duch narodu, wyszedłszy z omycia
Świeży i młody – ma potęgę życia.

Wieczną jest także i wieszcza pamiątka:
Po całej ziemi, z każdego jej kątka,
Spod każdej strzechy powieść się odzywa –
A młódź wesoła jego pieśni śpiewa.

Dziś wieszcza pamięć święci Polska cała –
Po całej Polsce jedna pieśń zabrzmiała:
Pieśń o Wilii i pieśń Pustelnicy;
Aże do śląskiej zabrzmiała granicy.

I młodzież nasza z zadziwieniem słucha
Pieśni, co dziwnie przemawia do ducha;
A głos tłumiony dotąd bez oporu,
Śpiewem ojczystym uderza do wtóru;

Po całej ziemi pieśń ta cudna leci –
Nieznane czucia w piersi ludzkiej nieci
Ogień miłości, co dotąd w iskierce
Tlał i płomieniem świętym pała serce –
A ziemia ojców, dotąd niepoznana,
Stoi przed okiem miła, ukochana.

O! młodzi śląska – niech wieszcz, co katusze
Za miliony cierpiał, w Twoją duszę
Wleje choć cząstkę swej wielkiej miłości –
Wtenczas twą ziemię, co żebrze litości –
Duszą i sercem ty pokochasz całym,
I wtenczas ona będzie ideałem
Twoim najdroższym – a wcześnie, za młodu
Już się nauczysz dla sprawy narodu
Poświęcać życia i czyny i siły –
I być jej wiernym aże do mogiły!

◄ *Wzgórze zamkowe w Nowogródku z widocznym w tle kościołem, fot. FRANCISZEK BAŁON*

Może o młodzi! między tobą rośnie
Druh, który kiedyś, jak kwiatek we wiośnie
Zakwitnie – blaskiem takim zajaśnieje,
Że się zadziwią błonia, łąki, knieje...
Albo jak ptaszę, co siedzi na drzewie,
I w swoim wdzięcznym wypowiada śpiewie
To, co go cieszy i to, co go boli, –
Zanuci pieśni podług swojej woli,
I powie czego trzeba naszej braci,
Co ją rzetelnym szczęściem ubogaci.
I on rozsieje mocą tej piosenki
Ziemi ojczystej powaby i wdzięki,
By drogocenne perły i klejnoty;
A tak zachwyci wszystkich blask ich złoty,
Że zawołają; Oto ziemia nasza!
To Piastów łany! to sadyba lasza,
Tak cudnie piękna!

I on tą „szczęśliwą
Pieśnią największe zrobi wśród nas dziwo",
Albowiem pieśń ta z uśpienia obudzi
Braci – tych dotąd obojętnych ludzi,
Że teraz myśleć już będą świadomie
Tylko o swojej ziemi i swym domie,
I nie pozwolą na przyszłość nikomu,
W naszym, jak w swoim gospodarzyć domu.

Szyndzioły nr 17, 24.12.1948

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

SŁOWO I CZYN
W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

Pod choinką – oglądanie podarunków

KOSTARYKA BOŻONARODZENIOWA

Odwiedziliśmy na przełomie lat 1997/98 ponownie rodzinę naszej córki w Kostaryce i podczas Świąt Bożego Narodzenia mogliśmy obserwować wiele tamtejszych zwyczajów.

Święta Bożego Narodzenia przebiegają w Ameryce Środkowej w odmiennej atmosferze niż w krajach o chłodniejszym klimacie północnej półkuli. Kostaryka ma klimat tropikalny, w grudniu zaczyna się tu „lato", a właściwie pora sucha i popołudniowe ulewy ustają. Bujna, ciągle zielona roślinność nabiera intensywniejszych kolorów, przybywa kwitnących drzew i krzewów, jak znana u nas doniczkowa roślina gwiazda betlejemska tu rozrastająca się do pokaźnego krzewu w przydomowych ogródkach. Jej jaskrawoczerwony kwiat jest symbolem Świąt Bożego Narodzenia jak u nas gałązka jodły, tutaj jest zwana pastorą, gdyż jak pasterze betlejemscy wita narodzonego Jezusa.

Przygotowania do świąt zaczynają się wcześniej niż u nas. Przed adwentem umieszcza się w kościołach i mieszkaniach wieńce adwentowe. Na początku grudnia zaczyna się ozdabianie mieszkań, domów handlo-

wych, ulic i placów w miastach. Ozdoby te są bogatsze niż u nas, wiesza się różnokolorowe girlandy migotające w nocy elektrycznymi lampkami - made in China. Domy ozdabia się również na zewnątrz. W połowie grudnia pojawiają się arbolitos - choinki, również bogato ozdobione. Są one nieco mniejsze niż nasze, z rodzaju cyprysowatych, podobne do naszych tui. Obok choinki na honorowym miejscu umieszcza się portal - stajenkę, bardzo okazałą, z figurkami, ale z pustym żłóbkiem, do którego kładzie się El Lino - Boże Dziecię dopiero w noc wigilijną. Wszystkich ogarnia gorączka podarunkowych zakupów pod choinkę. W rodzinie kupują podarki każdy dla każdego, również rodzice chrzestni i chrześniacy nawzajem. Za małe dzieci kupują rodzice. Wielką uwagę poświęca się różnokolorowym opakowaniom, wzorzystym, odmiennym dla dzieci, kobiet i mężczyzn. Na podarunkach pisze się, od kogo jest podarunek. Kładzie się je pod choinką na kilka dni przed wigilią.

Nasz zwyczaj przynoszenia podarunków przez św. Mikołaja w dniu jego imienin jest tutaj nieznany. Wyręcza go importowany z krajów anglosaskich Santa Claus, bardzo podobny do niegdysiejszego Dziadka Mroza. W handlu i mass-mediach w świątecznej kampanii reklamowej jest Santa Claus wszechobecny. Przyjął się też zwyczaj wkładania podarunków od Santa Clausa do specjalnie w tym celu uszytych czerwonych pończoch, zawieszanych przez dzieci za oknem. Dawniej dawano dzieciom podarunki w wieczór wigilijny po wieczerzy pod poduszkę, kiedy zasnęły.

Przed świętami odbywają się w stolicy San José i większych miastach koncerty bożonarodzeniowe.

Wysłuchaliśmy koncertu Kameralnej Orkiestry Latynoamerykańskiej, która wykonała utwory kompozytorów z XVII i XVIII wieku.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, po zachodzie słońca, gromada dzieci chodzi po domach na swej ulicy ze świecami, śpiewając canticos navidenos - piosenki opiewające zbliżające się narodziny Jezusa. Od gospodarzy domów otrzymują drobne podarunki. Dawniej w domach wieczorami śpiewano w tym czasie modlitwy do Dzieciątka Jezus przy dźwiękach skrzypiec i mandolin. Pieśni tych nie należy utożsamiać z naszymi kolędami; nie wrosły one do tradycji świątecznych. Podczas nabożeństw w kościołach, gdzie tylko w największych są organy, występują zespoły śpiewacze z akompaniamentem gitar. Natomiast w telewizji i radiu rozbrzmiewają kosmopolityczne pieśni, jak „Cicha noc" lub „Jingle Bells". Naszym wnuczkom, które znają język polski, bardzo podobały się polskie kolędy z taśmy magnetofonowej, przywiezionej przez nas. Niektóre z nich nauczyliśmy je śpiewać. Najwięcej podobały im się „Pójdźmy wszyscy do stajenki..." i „Lulajże Jezuniu...".

Zwyczaj postu w wigilię nie jest obecnie w Kostaryce dotrzymywany;

dawniej poszczono, a wieczerzę spożywano dopiero po powrocie z jutrzni, która była o północy. Dziś jutrznia odbywa się wcześniej.

Wieczerza w wigilię jest obfita, głównym daniem jest tamal, dalej w jadłospisie jest purée z fasoli z chlebem, słodkie ciasta, ryż z mlekiem, owoce, a jako napoje czekolada; dorośli piją chichę - wódkę z kukurydzy lub likiery kokosowy i z rodzynek. Naszej tradycyjnej ryby tutaj się w wigilię nie spożywa. Nasza córka jednakże, chcąc zachować nasze zwyczaje, przygotowała danie rybne.

Podczas wieczoru wigilijnego rozpala się na dworze cohetes - fajerwerki i strzelają petardy.

W dzień Bożego Narodzenia przed południem w kościołach są msze dla dzieci, przynoszą one podarki spod choinki i kładą je przed ołtarz, a ksiądz je po mszy święci. Starsi idą do kościoła po południu, kiedy już wypoczną po obfitej wieczerzy wigilijnej. Wieczorem ludzie odwiedzają się nawzajem.

Dzień św. Szczepana jest w Kostaryce dniem roboczym, jednakże niewiele się pracuje, gdyż rozpoczyna się dwutygodniowy okres różnych fiest. W stolicy - San José - odbywa się na głównej ulicy topé - rewia jazdy na koniach, następnego dnia jest karnawał - pochód zespołów tanecznych. Później, aż do Trzech Króli, odbywają się na arenie widowiska z bykami, gonitwa i ujeżdżanie byka - monte de toro. Na rozległym placu wokół areny jest wesołe miasteczko z wymyślnymi karuzelami i huśtawkami oraz niezliczonymi straganami ze specjałami kostarykańskiej kuchni.

Na ogół zwyczaje świąteczne w Kostaryce wywodzą się z kultury śródziemnomorskiej przeniesionej przez Hiszpanów do Ameryki Łacińskiej. Jednakże jedno z najważniejszych dań świątecznego jadłospisu - tamal - wywodzi się z kultury pierwotnych mieszkańców, Indian, z czasów przedkolumbijskich. Potrawę tę sporządzano z ciasta z kaszy kukurydzianej z nadzieniem z mięs bażanta, przepiórki lub indyka, jelenia a nawet ślimaków z dodatkiem papryki, pomidorów i różnych przypraw. Tamale spożywano na ucztach królewskich, a podczas obrzędów ślubnych jadali je nowożeńcy. Hiszpanie zmodyfikowali tamal dodatkami ze swej kuchni, jak oliwki, rodzynki i śliwki.

Dziś ciasto na tamale zawiera oprócz kaszy kukurydzianej ryż, purée ziemniaczane, tłuszcz, marchewkę, groszek, a z mięs wieprzowinę i drób. Tamale przygotowuje się już podczas pierwszych dwu tygodni grudnia. Osobno przygotowuje się ciasto i mięso. Z ciasta formuje się na arkuszach z liści banana porcje około ćwierć kilograma wagi, nadziewa drobno pokrojonym mięsem, zawija i przewiązuje sznurkiem. Zawinięte tamale gotuje się jeszcze 45 minut. Przechowuje się je w lodówce i po

podgrzaniu podaje na stół. Dawniej tamale przygotowywano w domach i każda gospodyni miała własny przepis. Dziś tamale produkowane są w wytwórniach i sprzedawane w sklepach. Tamale są bardzo pożywne, bo zawierają oprócz tłuszczów, białek i węglowodanów wiele witamin i minerałów. Często spożywa się je także po świętach na śniadanie i podaje gościom jako jedno danie.

Kuchnia kostarykańska różni się znacznie od naszej. Prawie nie jada się zup, z mięs spożywa się więcej drobiu, ryb i owoców morza - krewetek, ośmiornic, itp. Spożywa się także wiele jarzyn i owoców, przeważnie na surowo. Obowiązkowo na koniec obiadu musi być podane fresko - sok ze zmiksowanych owoców z lodem. Typowym jednym daniem na śniadanie lub kolację jest gallo-pinto - ryż z fasolą, zasmażony na oleju z różnymi dodatkami z mięsa i jarzyn. Fasola i ryż są podstawowymi dodatkami do mięs. Z napojów jest obecnie obok freska i coca coli bardzo popularne piwo, które jednak nie dorównuje czeskiemu.

Kuchnia kostarykańska jest zdrowsza niż nasza środkowoeuropejska. Może jest to jeden z czynników osiągania przez Kostarykan dłuższego wieku życia od nas.

F.i B. JEŻOWICZOWIE

San José, topé

Z ŻOŁNIERSKICH TRADYCJI ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO (4)

Na Polski progach

ZAMACH WOJSKOWY

Rozkaz brygadiera Bolesława Roji na pewno został przejęty przez służbowy podsłuch i dotarł do Niemców, stąd polscy spiskowcy musieli wykorzystać każdy moment, gdyż groziło im aresztowanie, a to oznaczało przekreślenie szans na powodzenie zamachu i poważne komplikacje dla sprawy polskiej. Przy pomocy znajdujących się w pododdziałach oficerów i podoficerów - Polaków oraz zaskoczonych tak wczesnym rozpoczęciem działań Czechów zaalarmowano wszystkie kompanie, wyjąwszy zdominowaną przez Niemców kompanię malaryków.

We wszystkich kompaniach, rozmieszczonych w różnych punktach miasta, wydarzenia przebiegały według tego samego schematu. Zarządzono zbiórkę i komunikowano zebranym żołnierzom, że wojna się skończyła i władzę w Cieszynie przejmują Polacy. Niemcy mogą zatem wyjechać nazajutrz do domów. W dwu kompaniach zamknięto niemieckich żołnierzy w koszarach, przeciw czemu zresztą nie protestowali - nie mieli zamiaru narażać się. W dwu pozostałych wezwano ich do współpracy i nie odmówili.

W niespełna godzinę cztery kompanie zebrały się na placu koszarowym. Dowódcy - wyłącznie Polacy - meldowali przybycie por. L. Skrzypkowi, ten zaś zgłosił całość zgrupowania por. K. Matusiakowi. Polski komendant podzielił żołnierzy na formacje według narodowości, po czym dokonano aktu zaprzysiężenia. Por. L. Skrzypek odebrał przysięgę od Polaków, którzy przysięgali wierność Polsce, od Czechów przyjął przysięgę por. Jarosław Pavlík - przysięgali państwu czechosłowackiemu, zaś Niemcy przyrzekali dopomóc por. K. Matusiakowi w zlikwidowaniu austriackiej komendy i od nich przyjął on tego rodzaju zobowiązanie.

Na dalszy tok wypadków wpłynął budzący niepokój meldunek, iż zbuntowała się niemiecka kompania malaryków. Stąd zgromadzone wojsko szybko ruszyło ze wzgórza koszarowego równoległymi ulicami, by oskrzydlić siedzibę malaryków przy Placu Rudolfa i zmusić ją do złożenia broni. Niebawem jednak wyjaśniło się, że malarycy zbuntowali się przeciw austriackiemu dowództwu.

Dopiero wtedy, dzięki bardzo niesprawnemu działaniu systemu informacji, pojawił się na Placu Rudolfa pułkownik Gerndt, przebywający dotąd w hotelu Pod Jeleniem w otoczeniu oficerów sztabowych. Poirytowany zaalarmowaniem wojska bez jego wiedzy zażądał wyjaśnień. W odpowiedzi por. K. Matusiak oświadczył, iż w imieniu polskich władz, w oparciu o rozkaz brygadiera Roji z Dowództwa Okręgu Generalnego, któremu to okręgowi Cieszyn służbowo podle-

gał, przejmuje komendę i zażądał od pułkownika rezygnacji ze sprawowanej funkcji. Gerndt nie miał zamiaru kapitulować. Prawda, że mocno zachwiały jego samopoczuciem żołnierskie okrzyki „Niech żyje Polska" oraz czeskie „Nazdar", ale budziło jego nadzieje gromkie „Hurra" niemieckiej kompanii malaryków. Rychło jednak wytłumaczono mu, iż ten okrzyk oznacza radość żołnierzy z zakończenia wojny i wyraźnej już perspektywy powrotu do domów. Reszty dokonała drużyna szkoły podoficerskiej por. L. Skrzypka, która z bagnetami na karabinach otoczyła pułkownika, zagrażając użyciem broni.

Austriacki komendant nie miał innego wyjścia, jak udać się z polskimi oficerami do sąsiadujących z miejscem wydarzeń biur komendy placu. Tam sąsiad przekazał oficjalne swoje kompetencje por. K. Matusiakowi. Po zrzeczeniu się funkcji wyszedł z gmachu dzisiejszego liceum Kopernika na plac cesarzewicza Rudolfa, nazwanego później, dla uczczenia opisanego wydarzenia, Placem Wolności.

Kiedy por. K. Matusiak nakłaniał płk. J. Gerndta do rezygnacji z prób odzyskania komendy, por. L. Skrzypek obsadził swoimi oddziałami centralne punkty i instytucje miasta. Nie obyło się bez momentów dramatycznych. Na poczcie mdlały telefonistki na widok wdzierających się do biur żołnierzy z bagnetami na karabinach. Trzeba było groźbą użycia broni łamać opór dyrektora kolei – inż. F. Tschigfrei, stale wierzącego w opanowanie Cieszyna przez Niemców. Kierownictwo Rady Narodowej w pewnym momencie było przerażone faktem wkroczenia na Rynek zwartej formacji czeskiej, śpiewającej patriotyczną pieśń „Pátého července...". Niedługo wysłano tych żołnierzy do Skoczowa, by tam rozbroili kompanię karabinów maszynowych. Wrócili ze sprzętem, bo skoczowska kompania na wieść o wydarzeniach w Cieszynie sama się rozpadła. Zaś obawy polskich polityków nie były bezpodstawne. Czeski oddział nie rezygnował z opanowania Cieszyna.

Nocą dokonano reorganizacji garnizonu. Z żołnierzy – Polaków sformowano trzy kompanie, w czwartą wyodrębniono Czechów. Wszystkie jednostki zgrupowano w centralnych koszarach, do których sprowadzono też amunicję z magazynu w Boguszowicach. Przejęto obiekty koszarowe i zaciągnięto w nich polskie warty. Stworzono możliwość natychmiastowego opuszczenia miasta przez szeregowców i podoficerów – Niemców, z czego skwapliwie skorzystali.

W celu uświadomienia ogółowi wojska istoty przemian, udekorowano obiekty wojskowe białoczerwonymi chorągiewkami, zaś w budynku komendy garnizonu umieszczono dużą, białoczerwoną flagę. Taka flaga pojawiła się też, za sprawą straży obywatelskiej, na symbolizującej polski charakter Śląska Cieszyńskiego – Piastowskiej Wieży. Rankiem w rękach oficerów znalazł się tekst pierwszego rozkazu polskiej komendy, podpisany przez porucznika K. Matusiaka. Zobowiązywał on wojskowych narodowości polskiej i czeskiej do po-

zostania w koszarach. Dowódcą batalionu 31 pułku strzelców został por. L. Skrzypek. Mianowano dowódców kompanii oraz służb garnizonowych, poza dowódcą czeskiej kompanii - Polaków. Niezależnie od polskich załóg wojskowych we wszystkich kluczowych obiektach miasta, na ulicach pojawiły się liczne czteroosobowe patrole złożone z dwu żołnierzy i dwu członków straży obywatelskiej. Był to widomy znak istnienia polskiej władzy.

Większość oficerów - Niemców decydującą noc spokojnie przespała w swoich wygodnych mieszkaniach. Rankiem przychodzili do koszar, by podjąć służbę i dowiadywali się w kancelarii pułku od urzędującego tu por. F. Barteczka, iż zostali zwolnieni ze swoich funkcji, zaś szczegółowe informacje uzyskają o godz. 9 na oficerskim zebraniu. Reakcje tych twardych, przyzwyczajonych do rządzenia ludzi były na ogół ostre, ale bezskuteczne. Musieli czekać na zebranie, na którym, zgodnie z pierwotnymi zamierzeniami niemieckich spiskowców, właśnie oni mieli przejąć komendę i usunąć Polaków.

To zebranie miało jednak zgoła inny przebieg. Prowadzili je polscy oficerowie pod osłoną plutonu polskich żołnierzy. W efekcie 210 niemieckich oficerów uznało przewagę Polaków i zadeklarowało wolę wyjazdu z Cieszyna, co po kilku dniach nastąpiło. 5 listopada opuściła Cieszyn czeska kompania na czele z por. J. Pavlíkiem. Do końca wielu z odchodzących nie mogło się pogodzić z faktem opanowania miasta przez Polaków i z niepowodzeniem ich własnych prób opanowania Cieszyna. Nie chcieli przyjąć do wiadomości, że o fakcie przynależności tego kraju do Polski zadecydowała wola ludu tej ziemi.

POZA CIESZYNEM

We wczesnych godzinach rannych w dniu 1 listopada trzytysięczny garnizon wojskowy Bielska po prostu się rozpadł. Miejscowi Miemcy, nie chcąc uznać zwierzchności Polaków, organizowali własne wojsko - Bürgerwehrę. W Skoczowie w dniu 1 listopada pozostały na miejscu tylko resztki dawnej kompanii karabinów maszynowych z ppor. Golcem i Kochańskim. Oficerowie ci nawiązali kontakt z kształtującą się tu strażą obywatelską, co dało niewielkiej grupie żołnierzy pewne poparcie społeczne. W Dziedzicach i sąsiadującymi z nimi podbielskich Czechowicach, środowiskach robotniczych, pozostających pod wpływem PPSD dla Galicji i Śląska utworzono liczne oddziały straży obywatelskich, zwanych, zgodnie z nazewnictwem przyjętym w wymienionej partii, milicją.

Najliczniejsze oddziały milicji powstały w zagłębiu węglowym. O ich sile, a zarazem o operacyjnych możliwościach mogą świadczyć osiągnięcia oddziału utworzonego w Suchej Górnej. Składał się on przeważnie z byłych żołnierzy frontowych, wśród których na plan pierwszy wysuwał się legionista - sierżant Karol Siwek. Pod dowództwem por. Pawła Pawlasa, który przyjechał do rodzinnej wioski

na krótki urlop związany ze Świętem Zmarłych, oddział górnosuskiej milicji już 1 listopada rozbroił szwadrony huzarów węgierskich w Górnej, Średniej i Dolnej Suchej, zaś rankiem 2 listopada w Szonowie. Górnosuszanie por. Pawła Pawlasa przekazali Wojsku Polskiemu w Cieszynie ponad 200 koni z kawaleryjskim wyposażeniem.

W Karwinie, w oddziałach bardzo tu licznej milicji, ożywioną działalność rozwijał legionowy podporucznik Zaręba, zaś w sąsiedniej Dąbrowie sokoli działacz i legionowy sierżant Józef Kynast. W likwidowaniu węgierskiej kawalerii w zagłębiu przy pomocy milicji uczestniczyli podporucznicy Emil Sznapka oraz Paweł Cienciała.

We Frysztacie sformowano w oparciu o miejscowych górników i sokołów 50 osobowy oddział, który w dniu 1 listopada przejął funkcje dotychczasowej załogi wojskowej, eliminując tym samym możność penetracji tego obszaru przez Czechów. Akcja frysztackiej milicji, przeobrażonej w oddział Wojska Polskiego, spotkała się raczej z poparciem niż oporem austriackiego podpułkownika Pasternaka. Tutejszym oddziałem wojskowym dowodził ppor. Henryk Kowalowski, posiadający bliski kontakt z oficerami - Polakami w Cieszynie. Kolejną znaczącą postacią był ppor. Robert Szewieczek, w 1914 roku dowódca plutonu frysztackiego w wyruszającym w bój Legionie Śląskim.

W Boguminie podobnym oddziałem dowodził ppor. Józef Kopecki. Oddział ten przeprowadził, przy współdziałaniu z milicją w Rychwałdzie, udaną akcję rozbrojenia w tej gminie oddziału węgierskiej jazdy, zapobiegł też w dniu 1 listopada obsadzeniu dworca w Boguminie przez oddział wojska czeskiego.

Akcja oficerów polskich w Cieszynie, choć godna głębokiego uznania, sama w sobie nie przesądziła o przynależności kraju nad Olzą do Polski. Faktem zasadniczym była wola śląskich robotników i chłopów związania się z Polską, wyrażona w postaci czynnego udziału milicji i straży obywatelskich w rozbrajaniu oddziałów austriackich, węgierskich, bośniackich, pod kierownictwem, wywodzących się ze śląskich środowisk, legionistów i oficerów, inteligentów wychowanych w polskich szkołach. To zdecydowanie wierna Polsce postawa ludu zadecydowała o niepowodzeniu przedsięwzięć oficerów niemieckich, zmierzających do stworzenia na Śląsku niemieckiego minipaństwa oraz kilku prób oficerów czeskich, zmierzających do opanowania Cieszyna, Bogumina i innych miejscowości. Deklaracja wierności Polsce, złożona na wielkim wiecu w Cieszynie, została potwierdzona zbrojnym czynem. Lud polski Śląska Cieszyńskiego, jak to określił śląski literat - Gustaw Morcinek - wywodzący się z górniczej Karwiny, wyrąbał sobie chodnik do Polski.

EDWARD BUŁAWA

Wnętrze domu Mickiewiczów w Nowogródku (muzeum), ▶
fot. FRANCISZEK BAŁON

Z MYŚLĄ O POLSKIM ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM (22)

W OBLĘŻONEJ WARSZAWIE – ZNÓW RANNY

W Warszawie mieszkałem od 1937 roku aż do wybuchu wojny samotnie, to jest bez żony, gdyż w 1940 roku miałem być przeniesiony z wojskowej służby zawodowej w stan spoczynku, aby po awansie przejść na etat Głównego Ispektoratu Ceł w Gdańsku. Kilka dni przed wybuchem wojny wezwałem jednak żonę do Warszawy. Przypuszczałem bowiem, że w nadgranicznym Tczewie, w którym była dosyć duża grupa Niemców, może dojść do jakichś zamieszek. Byłem więc przekonany, że w Warszawie będzie dla żony bezpiecznej. Poleciłem jej przekazać cenniejsze rzeczy z naszego dorobku po dokonaniu mobilizacji osłonowej tczewskiego 2 Baonu Strzelców wraz z nadwyżkami tegoż baonu do Rembertowa. Tam zostały one po wkroczeniu Niemców całkowicie rozgrabione.

Warszawę opuściła żona dnia 7 września o świcie. Odjechała samochodem ewakuacyjnym, który odwoził najważniejsze akta Komendy Straży Granicznej do Rawy Ruskiej. Z Rawy Ruskiej chciała udać się do swej starszej siostry we Lwowie, aby tam przeżyć bezpiecznie aż do końca wojny. Jak się okazało, to samochód ten nie dotarł jednak z powodu bombardowań lotniczych i braku benzyny nawet do Lublina, a żona zawędrowała w urozmaicony sposób aż do Łucka. Stamtąd po dwudniowej opiece władz sowieckich zdołała zawrócić w kierunku Warszawy. Wróciła sponiewierana, lecz żywa i cała w dniu 20 października.

W mieszkaniu, które żona wczesnym rankiem opuściła, było wszystko jeszcze w porządku. Wykąpałem się z rozkoszą i po sześciu niemalże bezsennych nocach runąłem na sofę. Cieszyłem się, że się nareszcie przyzwoicie wyśpię. Niestety już o 3 godz. przebudził mnie natarczywy telefon por. Majera. Czekała nas bowiem przeprowadzka.

W dniu 8 września został przeniesiony nasz sztab do nowego miejsca postoju. Usadowiliśmy się w opróżnionych na skutek ewakuacji biurach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Nowy Świat. W dniu tym nawiązały zbliżające się szybko w kierunku stolicy czołgi niemieckie pierwszą styczność ogniową z obsadą obrony. Przy alei Żwirki i Wigury miał miejsce pierwszy pojedynek ogniowy między pancerną szpicą niemieckiej 4 Dywizji Pancernej a naszą przeciwpancerną obroną. Niemcy byli już u bram Warszawy i spodziewaliśmy się lada chwila generalnego szturmu.

Pierwszy bój o stolicę nastąpił o świcie w dniu następnym. Pod silnym ogniem niemieckiej artylerii skierowanym na skraj i centrum miasta

szarżowały wzdłuż ulicy Grójeckiej oraz alei Żwirki i Wigury liczne czołgi i dotarły niebawem w pobliże Placu Narutowicza. Dzięki celnemu ogniowi naszych działek przeciwpancernych oraz dział artylerii polowej jako też bohaterskiej postawy ludności cywilnej Niemcy ponieśli jednak na tym odcinku dotkliwą porażkę, pozostawiając na placu bitwy kilka rozbitych czołgów i wielu zabitych i rannych żołnierzy.

Zażarty bój rozgorzał w tym samym dniu w godzinach późniejszych również na Woli, gdzie kolumna czołgów nacierających wzdłuż ulicy Wolskiej wpadła na misternie zamaskowane pole ogniowe, zorganizowane przez strzelców lwowskich z 40 pułku piechoty w rejonie reduty Sowińskiego. Dowódca tego pododcinka obrony por. Kuźmiński z wymienionego pułku dopuścił kolumnę czołgów i samochodów motoryzowanej piechoty niemieckiej do silnie umocnionej przez saperów oraz najeżonej minami jak również innymi przeszkodami przeciwpancernymi barykady, a następnie zasypał całą kolumnę lawiną ognia z działek przeciwpancernych, dział polowych i broni maszynowej i spowodował paniczną ucieczkę Niemców. Panikę spotęgował pożar terpentyny czy też jakiejś innej cieczy zapalnej, którą przemyślny dowódca znalazł w magazynach pobliskiej fabryki pasty do butów Dobrolin. Niemalże 100 beczek z terpentyną rozstawił na trasie, którą pojazdy nieprzyjaciela musiały przejeżdżać. Posuwające się czołgi i samochody pancerne beczki te oczywiście zgruchotały. Wtedy wystarczyło kilka granatów zapalnych i pojazdy nieprzyjaciela znalazły się w morzu płomieni z zapalonej cieczy.

Przybyłem na ten odcinek w trakcie ataku nieprzyjaciela i byłem świadkiem odwrotu a raczej panicznej ucieczki Niemców. Po powrocie do sztabu złożyłem meldunek o bitwie i por. Kuźmiński miał awansować i otrzymać odznaczenie. Niestety dnia 12 września poległ. Został trafiony odłamkiem bomby lotniczej.

Dnia 10 września przybył do Warszawy sztab byłej armii Łódź dowodzonej przez generała Rómmla, wycofującej po zażartych walkach swoje mocno nadwątlone dywizje na wschodni brzeg Wisły. Następuje reorganizacja jednostek obronnych i wyższych dowództw i tak powstaje dowodzona przez gen. Rómmla armia Warszawa, w skład której wchodzi również zorganizowana przez gen. Czumę i jego współpracowników Obrona Warszawy.

Nastąpiła konsolidacja obrony. Po dotkliwej porażce na Ochocie i Woli w dniu 9 września nie ponawiali już Niemcy prób szturmowania stolicy naziemnymi siłami. Wzmogła się natomiast działalność lotnictwa i artylerii. Trwały silne naloty nieprzyjacielskich samolotów, które spowodowały groźne pożary i zniszczenia (najsilnej ucierpiał Grochów) oraz duże straty zabitych i rannych specjalnie wśród ludności cywilnej. Mimo wszystko wzmagał się duch oporu wśród wojska

i ludności cywilnej. Zawziętość i upór obrońców Warszawy wzmagał się bodajże z każdą godziną a to przede wszystkim dzięki trafnym decyzjom gen. Czumy i dzięki dynamicznej wprost działalności, wszechobecności i wszędobylstwa prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego w punktach newralgicznych akcji obronnej, cywilnej i porządkowej. Toteż odwaga czynu i słowa oraz pasjonujące prawie codzienne apele radiowe prezydenta zapaliły do czynów bohaterskich całą ludność stolicy i stały się symbolem bohaterskiego uporu i wytrwania obrońców.

Dzień 17 września był dla nas dniem gwałtownego wstrząsu psychicznego. Z audycji radiowych i prasy dowiedzieliśmy się, że wojska rosyjskie przekroczyły granicę wschodnią, wystąpiły zbrojnie i rzuciły się na dogorywającą Polskę.

W dniu 18 września przeniósł gen. Czuma swój sztab do podziemnych i doskonale urządzonych schronów w gmachu PKO, gdzie również znajdował się już sztab armii gener. Rómmla. Ja z moją grupą pozostałem jednak w gmachu na Nowym Świecie.

Przeczuwaliśmy, że Niemcy przygotowują generalny szturm na stolicę z ziemi i z powietrza. Szturm ten nastąpił w dniu 25 września. Cała Warszawa znalazła się w tym dniu w morzu ognia. Na stolicę spadł piekielny deszcz ciężkich bomb burzących i zapalających oraz gęsty grad pocisków z ciężkich moździerzy niemieckich. W akcji tej brało udział setki samolotów bombardujących i setki dział różnego kalibru. Rozpętało się piekło pożarów we wszystkich dzielnicach, a zupełny brak wody utrudniał ich gaszenie. Warszawa była bez wody, bowiem około 15 września zostały zbombardowane stacje pomp wodociągowych przy ulicy Filtrowej. Moje stanowisko czy kwatera, które znajdowało się na parterze gmachu MSW, zostało zasypane warstwą gruzu i odłamków. Przed oknem eksplodował ciężki pocisk artyleryjski. Całe szczęście, że w tym momencie znajdowałem się w niedalekiej stołówce.

Wieczorem wybiegłem na ulicę, aby rozpędzić czarne myśli i złe przeczucia. Gdzie spojrzysz – wszędzie morze ognia. Było już późno i panował zmierzch, ale artylerzyści niemieccy nękali nadal miasto salwami, koncentrując swój ogień na czułych punktach komunikacyjnych, większych ogrodach i placach stolicy. W ciemnościach potykam się co kilka kroków o jakieś cegły, zwały gruzu, kilka kroków dalej zapadam w głęboki lej od bomby. Ledwo się wygramoliłem z leju na jezdnię i już czuję, że nadepnąłem na coś miękkiego. Oświetliłem jezdnię latarką i z przerażeniem sprawdziłem, że potknąłem się o trupa młodej kobiety. Leżała na jezdni z rozwianymi włosami, oburącz przyciskając do piersi niemowlę. Szarpię za rączkę dziecko, a później kobietę. Nie żyły. Obok leżał ciężko ranny w pierś ksiądz-zakonnik. Został ranny na swoim posterunku, udzielając ostatniej pociechy konającym. Koło rannego zakonnika krząta się już jakaś służba szpitalna w towarzystwie

siostry zakonnej. Kładą go na noszach i kierują swoje kroki na Krakowskie Przedmieście.

Pożary Starego Miasta oświetlają mi drogę, więc omijając leje od bomb, kupy gruzów, zabite konie, podążam w kierunku Zamku Królewskiego. Oślepia mnie przerażająca łuna – to cały Zamek Królewski w płomieniach. Skręcam na most Kierbedzia, aby spojrzeć na Wisłę. W lustrze jej wody odbijała się groza i smutek palącego się Zamku Królewskiego i jakoby całej Polski. Zdawało mi się, że jej wody były zabarwione purpurą naszego męczonego Narodu.

Przesycony wrażeniami powracam na mój posterunek. Niedaleko księgarni Gebethnera mija mnie jakiś oficer w towarzystwie kobiety. Po kilku sekundach słyszę za sobą detonację i krzyk kobiety. Oglądam się, podbiegam i widzę, że pocisk artyleryjski trafił w balkon jednego z domów. Walący się gruz zgruchotał i zabił na miejscu oficera. Ocalała jednak jego zrozpaczona towarzyszka.

Dnia 26 września pośpieszyłem do sztabu w podziemiach gmachu PKO po odbiór rozkazów. Gen. Czuma znajdował się w tym czasie na naradzie u dowódcy armii gen. Rómmla. Rozważano na tej naradzie możliwości dalszej walki oraz ewentualności kapitulacji. W sztabie był obecny również gen. Kutrzeba, który po zaciekłych walkach nad Bzurą i w Puszczy Kampinoskiej przebił się z częścią swoich wojsk do Warszawy i 20 września zameldował się u gen. Rómmla. Z podziwem oraz szczerym szacunkiem patrzyłem na zmęczoną przeżyciami szlachetną twarz gen. Kutrzeby.

W drodze do sztabu zobaczyłem na ul. Świętokrzyskiej zdruzgotaną platformę furmanki. Obok niej pełno gratów, połamana kanapa, rozprute pierzyny i koce. Obok furmanki leżał trup wąsatego, posiwiałego wozaka, który ściskał mocno oburącz lejce swojego ciężkiego gniadego perszerona z rozbitą głową i rozprutym brzuchem. Obok trupów klęczał gruby jegomość o buraczanej twarzy w cyklistówce, krajał długim rzeźniczym nożem olbrzymi zad perszerona i składał odcięte kęsy na leżące obok prześcieradło. Brakowało już żywności w stolicy.

W czasie powrotu ze sztabu na mój posterunek przystaję na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światu, aby zapalić papierosa. W tym momencie następuje wybuch ciężkiego pocisku artyleryjskiego. Silny podmuch powietrza odrzucił mnie na kilka metrów i poniósł na kupę gruzów, na której zostałem podobno przysypany jakimiś cegłami z innej kamienicy. Oberwałem porządnie – miałem złamaną lewą rękę i doznałem ogólnych kontuzji. Dobrze, że miałem hełm na głowie. Podobno uratował mi życie. Sanitariusze odwieźli mnie do szpitala wojskowego na Ujazdowie.

W szpitalu tym dowiedziałem się 28 września, że w dniu 27 września Warszawa skapitulowała. Nie z przyczyny braku męstwa obrońców,

lecz na skutek ogromnego zniszczenia, szalejących stale pożarów, których nie można było gasić z powodu zniszczenia urządzeń wodociągowych i braku wody, oraz na skutek braku amunicji i fatalnego stanu sanitarnego.

O moim pobycie w szpitalu zawiadomiłem panią Bosquet, wynajmującą trzypokojowe mieszkanie w oficynie przy Alejach Ujazdowskich 36. U pani Bosquet mieszkałem do lutego 1939 jako sublokator. Była to siedemdziesięcioletnia o anielskim usposobieniu trzykrotna wdowa i to pierwszy raz po Polaku, drugi raz po Rosjaninie a trzeci raz po Francuzie. W sąsiedztwie jej mieszkania wynająłem elegancką kawalerkę z łazienką. Stołowałem się u pani Bosquet. Po zawiadomieniu pani Bosquet odwiedziła mnie zaraz w tym samym dniu, przynosząc w prezencie kompoty i konfitury. Przy tej okazji oddałem jej mój pistolet z prośbą o przechowanie go w pewnej skrytce w jej mieszkaniu. Po trzech dniach przybiegła znowu do mnie z wieścią, że był u niej jakiś niemiecki cywil, pewnie gestapowiec i wypytywał o moje miejsce pobytu, które mu podała, gdyż była przestraszona jego niespodzianą wizytą. Nalegała na mnie, abym się pozbył również belgijskiego pistoletu kieszonkowego, który trzymałem w mieszkaniu w cywilnym ubraniu. W Warszawie ogłoszono bowiem już pierwsze wyroki śmierci za posiadanie broni. Uległem tym sugestiom i prosiłem, aby oba pistolety odniosła do mego kolegi por. Zygmunta Majera, który się ukrywał u swego teścia na Pradze, ul. Mała 13a. Prosiłem również, aby wszystkie dokumenty i papiery, które przechowywałem w specjalnej walizce, natychmiast spaliła. Nie uświadomiłem sobie, że w walizce znajdują się również dokumenty, które mi były później bardzo potrzebne. Jak się okazało, pani Bosquet zniszczyła wszystko od razu po powrocie do domu. Z pistoletami poszła wieczorem do por. Majera, ale w drodze spotkała patrole niemieckie, wystraszyła się i na moście Kierbedzia wrzuciła je do Wisły.

Nawiedziły mnie obawy, że będę przesłuchany przez niemiecki wywiad lub gestapo. Zastanawiałem się czy zatrzeć swoje ślady i uciec jakoś ze szpitala, czy też pozostać w szpitalu i czekać na dalszy bieg wypadków. Radziłem się leżącego na naszej sali pułkownika korpusu sądowego. Poradził mi, abym nie opuszczał szpitala przede wszystkim ze względu na mój stan zdrowia, leczył się nadal, gdyż jako chory w szpitalu jestem chroniony międzynarodową konwencją sanitarną i w mojej sytuacji mi właściwie nic nie zagraża, tym bardziej, że nie byłem żadną wielką figurą i nie pracowałem w wywiadzie. Radził mi dalej:

– W czasie przesłuchania nie paplać niczego, dawać krótkie, lecz konkretne odpowiedzi, a w razie konieczności nie ukrywać tajemnic, które przestały być tajemnicami i o których już Niemcy dawno wiedzą. Na

przykład składy osobowe wydziałów czy też struktura organizacyjna, która już runęła i nigdy nie odżyje, nie jest już żadną tajemnicą a więc ani naszą wojskową, ani też dla Niemców. –

– A przysięga? – pytam pułkownika.

– Otóż przysięga każe nam strzec aktualnych i żywych tajemnic wojskowych, które są i muszą pozostać tajemnicami, a składy osobowe i struktura organizacyjna już nieżyjącej Komendy Straży Granicznej przestała już być tajemnicą – zakończył mój doradca prawny – pułkownik mecenas.

Leżało nas na dużej sali ponad 20 rannych oficerów i podchorążych. Przeważali ciężko ranni. Wielu rannych jęczy i wykrzykuje coś w gorączce. Większość przeklina Niemców, lecz niektórzy złorzeczą na nieudolność rządu i naczelnego dowództwa w czasie wrześniowej kampanii.

W następnym dniu do naszej sali wchodzi nagle niemiecki major z trójką podoficerów w towarzystwie trzech cywilów. Wszyscy oprócz majora przeszukują całą salę, szperają w naszych szafkach, zaglądają pod poduszki i materace. Szukali broni, lecz niczego nie znaleźli i niebawem zniknęli za drzwiami. Jednak wracają za chwilę z siostrą zakonną – pielęgniarką i podchodzą pod jej kierownictwem wprost do mojego łóżka. Jeden z cywilów zwraca się do mnie dobrą polszczyną:

– Należy się natychmiast ubrać. Jeżeli trzeba, to ewentualnie pomożemy. Zabieramy pana na małe przesłuchanie, po czym odwieziemy pana z powrotem do szpitala. –

Przy ubieraniu, w trakcie którego umyślnie mocno narzekałem na ból w złamanym ramieniu, pomagała mi pielęgniarka, która w towarzystwie dalszej innej pomogła mi wyjść z budynku szpitala. Na jezdni podoficerowie niemieccy wepchnęli mnie do samochodu i zawieźli do budynku byłego Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych przy alei Szucha.

c.d.n.

ALOJZY NOWOK

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

PRÓBA

Wtenczas powiesz, człowieku, żeś godzien zbawienia,
Jeśli zdołasz wniść w piekło i nie czuć płomienia.

BOLESŁAW ORSZULIK

MOJE DORASTANIE DO DOJRZAŁOŚCI (12)

(wspomnienia z okresu międzywojnia i wojny)

Byłem więc znowu wolny. Musiałem teraz podjąć jakąś decyzję, by przerwać owo nadmierne zagęszczenie nieprzyjaznych wydarzeń, które przyszło mi przeżywać w ciągu zaledwie jednego miesiąca. Dopiero podczas ostatnich pięciu dni uświadomiłem sobie w pełni, że cała moja dotychczasowa wędrówka, od Kreisewitz poprzez Opole, Strzelce Opolskie, Gliwice, Pszczynę, Bielsko aż do Chybia, odbywała się wzdłuż linii frontu, gdzie obowiązywały nie tylko najsurowsze prawa wojenne, ale także wielka i niczym niekontrolowana samowola żołnierzy zwycięskiej armii. Do tej wędrówki, a właściwie panicznej ucieczki zmusiły mnie szybko następujące po sobie wydarzenia wojenne od pierwszego zetknięcia się z Armią Czerwoną. Dziś nie wiem czy miałem jakieś inne wyjście, by uniknąć tego wszystkiego, co mnie na tej drodze spotkało. Jeżeli popełniłem tu jakiś błąd, należy to przypisać młodości i brakowi jakiegokolwiek doświadczenia w zetknięciu się z ową tak nagle zaistniałą twardą i wrogo ustosunkowaną do człowieka sytuacją. Zważywszy to wszystko, postanowiłem uciec daleko od frontu i czekać na wyzwolenie Zaolzia. Umożliwił mi to fakt, że w Chrzanowie i tamtejszych okolicach, skąd pochodziła moja matka, mieszkali jej krewni, m. in. dwie siostry, czyli moje ciocie. Chociaż nie znałem ich bliżej, postanowiłem schronić się u nich, sądząc, że nie na długo. Przerażało mnie tylko to, że byłem nosicielem wszawicy i świerzbu oraz że mój zewnętrzny wygląd był godny pożałowania – zwisająca na mnie za duża kurtka (zdobyta za Opolem po zrabowaniu moich osobistych rzeczy) oraz owe rozdarte gumiaki („podarowane" mi w zamian za skradzione saperki). Ale pragnienie, by jak najdalej uciec od frontu, było tak silne, że przezwyciężyło ono moje opory.

Podziękowawszy zatem gospodarzom domu za nocleg oraz otrzymawszy od nich prowiant na drogę, wyruszyłem z Zabrzega z samego rana w kierunku Chrzanowa. Gdzieś za Dziedzicami, chyba w Kaniowie, kiedy przechodziłem przez łąkę, nadleciał dość nisko samolot. Nie wiem czy niemiecki, czy rosyjski. Prawdopodobnie wzięto mnie za żołnierza (byłem w zielonej kurtce), bo w pewnym momencie, gdy obserwowałem samolot, zobaczyłem iskrzenie i usłyszałem terkot. Skierowano na mnie serię z broni pokładowej, a świszczące pociski przelatujące około 2 metrów obok mnie znaczyły swe ślady wzdłuż linii prostej poprzez wytryskujące z łąki grudki błota i głuche, szybko na-

◄ *Z Wieczoru Mickiewiczowskiego w Grodnie, fot. FRANCISZEK BAŁON*

stępujące po sobie odgłosy plaśnięć. Na szczęście było to jedyne dla mnie zagrożenie na wyznaczonej sobie w tym dniu trasie. Idąc przez Brzeszcze, Oświęcim dotarłem pod wieczór do Chrzanowa, pokonując trasę około 50 km. Z łatwością udało mi się odnaleźć ciotkę z kuzynem, którzy przyjęli mnie bardzo serdecznie. Chociaż później przebywałem także u krewnych w Kwaczale (tu był dom rodzinny mojej matki) i Szczakowej, jednak najczęściej powracałem do Chrzanowa. Przede wszystkim tutaj umożliwiono mi pozbycie się uciążliwej wszawicy i świerzbu. U wszystkich krewnych miałem zapewnione dobre warunki higieniczne, z których przedtem nie mogłem korzystać przez blisko miesiąc, kiedy to byłem skazany wręcz na największy brud bez możliwości dostępu do wody (np. w więzieniu w Strzelcach Opolskich, w Zabrzegu). Miałem tylko wyrzuty sumienia, że moi krewni musieli dzielić się ze mną żywnością, której nie mieli za wiele. Było to bowiem w czasie bardzo trudnej sytuacji aprowizacyjnej ludności (okres bezpośrednio pookupacyjny, przednówek, rekwizycje wojskowe). Muszę jednak przyznać, że te skrupuły bynajmniej nie wynikały z jakiegoś niechętnego stosunku do mnie moich krewnych. Wręcz odwrotnie, powtarzano mi, że pozostanę u nich tak długo, dopóki nie będzie pewności, że bezpiecznie będę mógł wrócić do domu.

Decyzja oddalenia się od frontu okazała się słuszna. Przebywając kolejno w Chrzanowie, Kwaczale i Szczakowej czułem się całkowicie bezpieczny. Miałem tu bardzo dobre warunki egzystencji, by spokojnie czekać na dalszy rozwój sytuacji, która pozwoli mi wreszcie na szczęśliwy powrót do domu. A tego wyczekiwałem z tęsknotą i niecierpliwością. Oprócz wielu powodów owej niecierpliwości był może jeden najważniejszy, mianowicie świadomość, że w domu zapewne się martwią, co się ze mną dzieje. Moja matka już i tak przez całą wojnę opłakiwała brak wiadomości o moim najstarszym bracie Janku, który był polskim oficerem rezerwy saperów, a o którym wszelka wieść zaginęła w 1939 roku. Powodowany usilnym pragnieniem jak najszybszego powrotu, udawałem się codziennie rano na chrzanowski rynek, gdzie funkcjonowały już megafony, przez które warszawska rozgłośnia radiowa nadawała komunikaty wojenne. Mnie najbardziej interesowały wiadomości o przemieszczającym się na zachód froncie.

Dopiero po przeszło dwóch miesiącach oczekiwania w pamiętny dla mnie czwartek 3 maja podano w komunikacie, że wojska radzieckie zajęły Cieszyn, Bogumin i inne okoliczne miejscowości. Była to dla mnie wspaniała wiadomość. Początkowo chciałem natychmiast ruszyć w drogę, lecz pomny poprzednich doświadczeń, by zbyt wcześnie nie znaleźć się znowu w strefie przyfrontowej, postanowiłem parę dni odczekać. W tym zamiarze nie wytrzymałem jednak długo. Serdecznie podziękowawszy krewnym za udzielenie mi tak wielkiej pomocy

i prawdziwej opieki wymagającej z ich strony wielu poświęceń, wyruszyłem z Chrzanowa już w sobotę 5 maja z radosną nadzieją, że tym razem dojdę wreszcie szczęśliwie do domu. Ta nadzieja rzeczywiście po trzech dniach się spełniła, ale trzeba było jeszcze pokonać niejedną trudność.

Na dworcu w Chrzanowie stał przy peronie krótki skład pociągu towarowego. Okazało się, że za chwilę odjedzie jako pociąg osobowy w kierunku Oświęcimia. Dojechałem więc (oczywiście bezpłatnie) tylko do Soły, ponieważ dotarcie pociągu do samego dworca oświęcimskiego uniemożliwiał zburzony most. Odtąd już na piechotę przemierzałem tę samą około 25-kilometrową trasę do Dziedzic, którą przed dwoma miesiącami pokonywałem w przeciwnym kierunku, ale tym razem w nieco lepszych butach otrzymanych od kuzyna. W Dziedzicach dowiedziałem się, że funkcjonują już tutaj polskie urzędy i że mogę tam szukać pewnej pomocy, zwłaszcza otrzymać gorący posiłek lub nawet nocleg. Gdy wszedłem do wskazanego mi gmachu, by ewentualnie skorzystać z owej pomocy, zastałem tu mnóstwo interesantów. Wśród nich były dwie starsze kobiety, które dowiedziawszy się ode mnie, w jakiej sprawie tu przybyłem, zaoferowały mi, bym z nimi udał się do ich domu w Drogomyślu. Nie bardzo mi się to uśmiechało, ponieważ czułem się tego dnia, głównie z powodu dużego upału, bardzo zmęczony. W dodatku zorientowałem się, że wspomniana miejscowość oddalona jest o 25 km, a więc musiałbym pokonać podobną długość dopiero co przebytej trasy. One jednak prosiły mnie, bym poszedł z nimi, bo będą się czuły bardziej bezpiecznie. Ten argument nie był dla mnie przekonujący, bo z doświadczenia wiedziałem, że nie mogę zapewnić im żadnej opieki. Ale świadomość, że szczęśliwe dotarcie do Drogomyśla skróci wyraźnie moją drogę na Zaolzie, zmobilizowała mnie i zdecydowałem się towarzyszyć owym kobietom.

Jak się później okazało, przybyły one piechotą przed południem do Dziedzic, aby zobaczyć się ze swymi mężami, którzy zostali aresztowani, zdaje się, że już przez polskie władze. Byli oni bogatymi rolnikami. Dokładnie już nie pamiętam czy aresztowano ich za posiadanie w czasie okupacji tzw. dwójki (lista narodowościowa), czy też zarzucano im jakiś inny rodzaj współpracy z Niemcami. Tymczasem ich żony nie uzyskały zezwolenia na widzenie się z mężami, stąd w godzinach popołudniowych musiały wracać, a ja dołączyłem do nich. Ponieważ zaś miały przygotowany dla mężów spory zapas żywności (nawet wiele specjałów), częstowały mnie podczas tego długiego marszu.

Szliśmy wzdłuż toru kolejowego przez dobrze mi już znany Zabrzeg i Chybie. Nie zatrzymywani przez nikogo i bardzo zmęczeni dotarliśmy po kilku godzinach na miejsce. Drogomyśl był bardzo zniszczony. Nocowałem u jednej z owych gospodyń, której dom w czasie działań

wojennych został pozbawiony dachu, pokoje zaś sufitu. W jednej izbie spało wiele osób, w tym spora grupka dzieci. Mnie przydzielono jakieś miejsce na podłodze. Gdy zasypiałem, mogłem obserwować gwiazdy na niebie. Nad ranem jednak zaczął padać deszcz, budząc wszystkich naraz. Po śniadaniu ruszyłem w dalszą drogę przez Pruchnę i Zebrzydowice, a stąd skierowałem się w kierunku Frysztatu. Po pewnym czasie idąc przez las zostałem nagle zatrzymany przez dwóch cywilów z karabinami i biało-czerwono-niebieskimi opaskami na rękawach. Zorientowałem się, że mam do czynienia z jakimiś czeskimi funkcjonariuszami. Wylegitymowali mnie, wypytywali o różne szczegóły personalne i rodzinne, wreszcie oświadczyli mi, że jako Polak nie mam prawa tu wracać, bo tady je Československo. Dramatyzm tego spotkania potęgował fakt, że odbywało się ono w lesie, w dodatku z wrogo usposobionymi do mnie uzbrojonymi dwoma mężczyznami. Dlatego nie mogłem sobie pozwolić na żadną arogancję, chociaż we mnie wszystko kipiało ze złości i oburzenia. Długo tłumaczyłem tym panom, że urodziłem się we Frysztacie, wychowałem w Karwinie i Górnej Suchej, stąd wywieźli mnie Niemcy na przymusowe roboty do Rzeszy, a teraz po pięciu latach katorgi wracam do mojego domu rodzinnego. Oglądali moją Arbeitskartę, w której m.in. znajdowała się rubryka: Heimatort: Ober Suchau. Odniosłem wrażenie, że jednak najbardziej nie podobał im się mój tzw. Fingerabdruck, stwierdzający moją polską narodowość. Po dość długiej nieprzyjemnej dyskusji przepuszczono mnie w końcu „wspaniałomyślnie i łaskawie". Pozostało jednak wielkie poczucie krzywdy, że chciano mi brutalnie odmówić prawa do powrotu w strony rodzinne, z których zostałem wywieziony w czasach powszechnej nienawiści narodowej. W trzy dni zaś po przejściu frontu przez tę ziemię dała o sobie znać podobna nienawiść, chociaż jej rodowód wywodził się z odmiennych przesłanek.

Tak nieprzychylnie potraktowany w zetknięciu się po latach poniewierki z moją małą ojczyzną dotarłem w pamiętną dla mnie niedzielę 6 maja do mojej zamężnej siostry mieszkającej w kolonii górniczej w Karwinie na Sowińcu. Tam przenocowałem i następnego dnia przed południem nareszcie znalazłem się, radośnie witany, w domu rodzinnym w Górnej Suchej. Byłem wreszcie wśród swoich!

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

SKĄD MĘKA?
Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata:
Sam sobie robi koło i sam się w nie wplata.

Pomnik Adama Mickiewicza w Nowogródku, fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

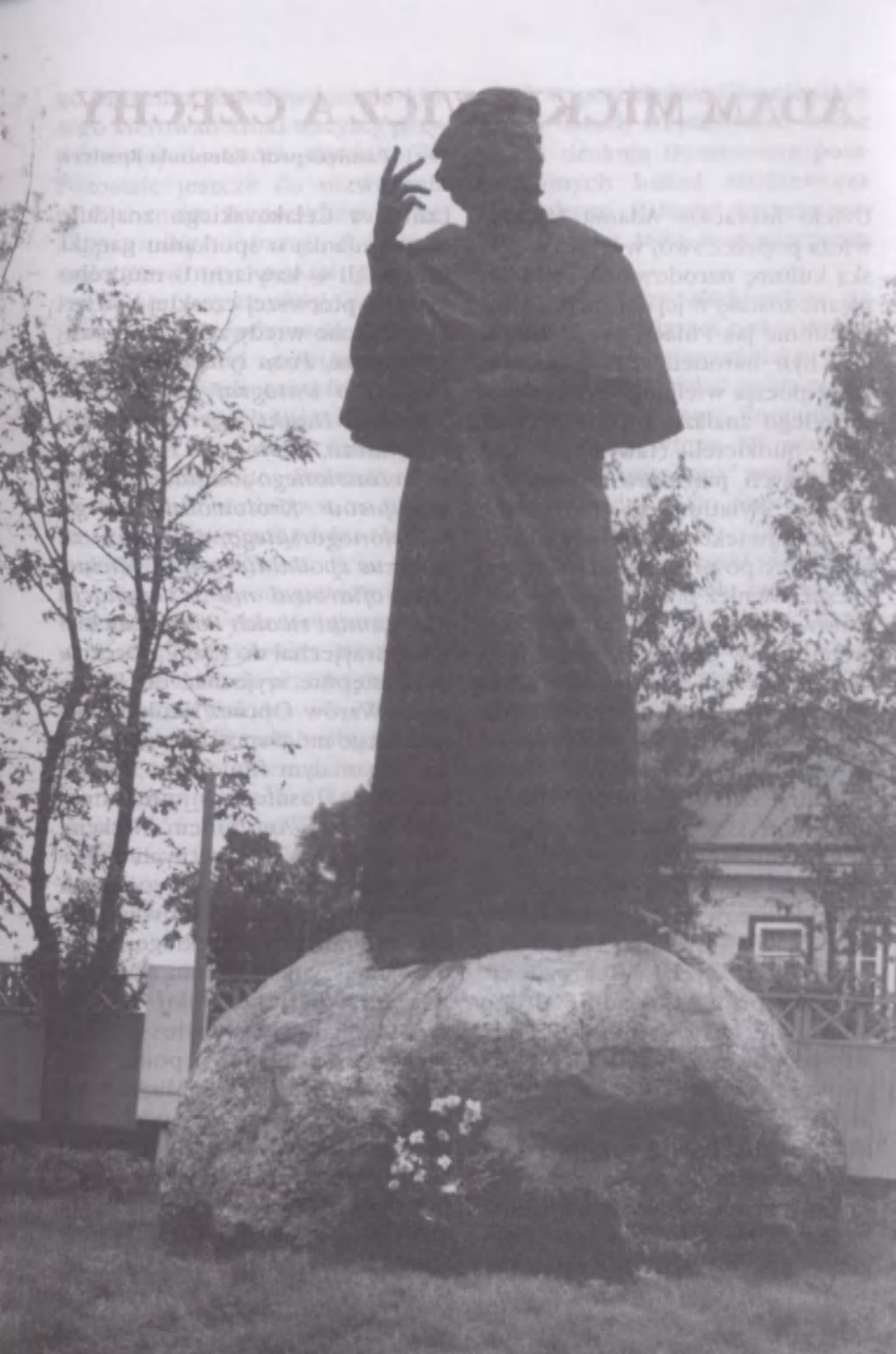

ADAM MICKIEWICZ A CZECHY

Pamięci prof. Edmunda Rosnera

Dzieło literackie Adama Mickiewicza poprzez swój wpływ na czeską kulturę narodową na stałe zapisane zostało w jej dziejach. Czesi, podobnie jak Polacy, przez długie lata byli narodem zniewolonym, toteż poezja wielkiego romantyka polskiego znalazła odzew u czeskich budzicieli (tak nazywano pierwszych patriotów budzących czeską świadomość narodową z kilkuwiekowego uśpienia), a wkrótce po przekładach na język czeski również u czytelników-patriotów czeskich. Jednak tym, co wzbudziło w Czechach zainteresowanie dziełem Mickiewicza, była nie tylko tematyka narodowowyzwoleńcza jego poezji, ale również jej wartości estetyczne.

Istnieje dziś wiele publikacji zajmujących się sprawą korespondencji Mickiewicza z Czechami oraz jego odwiedzin w Czechach. Henryk Batowski w swej książce „Przyjaciele Słowianie. Szkice historyczne z życia Mickiewicza" (1956) opisuje dokładnie drogę Mickiewicza do Pragi i koryguje starsze prace na ten temat (Czechów Františka Kvapila, Jana Máchala i Polaka Mariana Szyjkowskiego). Mickiewicz przyjechał do Pragi w końcu sierpnia 1829 roku. Mamy niestety mało wiadomości na temat jego pobytu. W liście czeskiego poety i slawisty Františka Ladislava Čelakovskiego znajduje się wzmianka o spotkaniu garstki budzicieli w kawiarni U modrého hroznu, pierwszej czeskiej kawiarni w mocno wtedy zgermanizowanej Pradze. *Poza tym mamy jeszcze tylko autograf w albumie Wacława Hanki, miernego poety i tłumacza, bibliografa i gramatyka, wsławionego „odnalezieniem" Rękopisów Królowodworskiego i Zielonogórskiego, i wiemy, że podczas spotkania z nim Mickiewicz ofiarował mu z dedykacją dwa tomiki swoich Poezji.* Mickiewicz przyjechał do Pragi z Drezna, by następnie wyjechać do Karlowych Warów. Oprócz Hanki i Čelakovskiego mógł spotkać się jeszcze ze wspaniałym filologiem i leksykografem Josefem Jungmannem oraz z poetą Antonínem Markem. Nie ma jednak konkretnych dowodów na ich spotkanie. Oprócz nich można jeszcze brać pod uwagę historyka Františka Palackiego, który o późniejszym spotkaniu z Mickiewiczem w Paryżu w roku 1853 pisze tak, jakby nie było to jego pierwsze spotkanie z poetą. Być może spotkał się też Mickiewicz w Pradze ze swoim pierwszym tłumaczem na język czeski Josefem Krasoslavem Chmelenskim. Łącznie wchodzi w rachubę pięć osób, które Mickiewicz poznał w Pradze dzięki Hance, księgarzowi Czeskie-

go Muzeum Narodowego, do którego kierowali kroki wszyscy przyjeżdżający do Czech słowianofile. Pozostaje jeszcze do rozważenia treść rozmów. Batowski uważa, że: *Najprawdopodobniej dotyczyły one literatury: poezji polskiej i rodzącej się czeskiej, zapewne i rosyjskiej, przy czym Mickiewicz mógł najlepiej poinformować swoich nowych czeskich znajomych o dziełach Puszkina, Żukowskiego, być może także poetów-dekabrystów. Rozmawiano na pewno o slawistyce, w której Czesi mogli się już pochwalić poważnymi pozycjami.* Echa tych rozmów wydają się pobrzmiewać w jednym z wykładów paryskich, w którym Mickiewicz nazwał uczonych czeskich przedstawicielami nauki przyszłości.

Czescy budziciele usiłowali nakłonić autora poematów patriotycznych o walkach z krzyżakami „Grażyna" i „Konrad Wallenrod" do napisania wiersza o Janie Žižce, żołnierskim wodzu czeskich husytów. Mickiewicz poważnie o tym myślał i Hanka w swym liście z roku 1832 przypomina mu jeszcze ten temat, ale polski wieszcz zajmował się w tym czasie trzecią częścią „Dziadów".

Chociaż Mickiewicz przebywał w Czechach bardzo krótko, trwałe było jego oddziaływanie na kształtowanie się czeskiej literatury. Pierwszą próbką poezji Mickiewicza jest „Osiem sonetów" w Czasopiśmie Muzeum Czeskiego z roku 1828 w przekładzie Chmelenskiego. W latach trzydziestych różne pisma drukują tłumaczenia poszczególnych ballad Mickiewicza (kompletne „Ballady" wydane zostały w roku 1884 w tłumaczeniu Jana Nečasa).

Wpływ poezji Mickiewicza na Františka Ladislava Čelakovskiego widoczny jest najwyraźniej w jego balladzie „Trhlá dívka", która powstała pod wpływem „Romantyczności" Mickiewicza. W wierszu „Toman a lesní panna" znajdujemy motywy podobne do „Świtezianki" Mickiewicza.

Oddziaływanie sztuki poetyckiej Mickiewicza wpłynęło twórczo na mistrza czeskiej ballady Karla Jaromíra Erbena. Podobieństwo motywów znajdziemy w jego zbiorze „Kytice" (1853).

Generacja późniejsza, do której zaliczał się największy poeta czeskiego romantyzmu Karel Hynek Mácha, pojęła, przede wszystkim pod bezpośrednim wpływem powstania listopadowego w 1830 roku, niezrozumiałą dla budzicieli rewolucyjną nutę romantyzmu Mickiewicza. Mácha, poeta wielce oryginalnego i twórczego ducha, szukał w poezji Mickiewicza przede wszystkim poparcia dla swego nowatorstwa.

Do tej samej generacji należał ojciec Václav Štulc, który jako pierwszy systematycznie tłumaczył poezję Mickiewicza. Oprócz ballad, wierszy i „Konrada Wallenroda" przetłumaczył „Dziady". Wynikiem

jego działalności przekładowej była wydana w roku 1878 książka „Knihy překladův básní A. Mickiewiczových". Štulc był nienajlepszym poetą, niezbyt udane były jego wersje tłumaczeń Mickiewicza, nie można jednak pominąć zasługi, jaką było zaznajomienie społeczeństwa czeskiego z największym polskim poetą. Swoją pionierską pracą dał impuls i przykład prawdziwym mistrzom – Elišce Krásnohorskiej, Josefowi Václavowi Sládkowi i Jaroslavowi Vrchlickiemu.

Karel Havlíček Borovský na wygnaniu szukał wsparcia w dziele Mickiewicza. Przetłumaczył wiersz Mickiewicza „Przegląd wojska" z „Ustępu" trzeciej części „Dziadów" i nazwał go na wpół po rosyjsku „Smotr Petrohradský". Został też tłumaczem ballady „Trzech budrysów" i „Pani Twardowska" oraz 39 aforyzmów „Zdania i uwagi", które ponieważ sam pisał epigramy, były mu szczególnie bliskie. Wolne tłumaczenia Havlíčka, noszące ponadto piętno jego oryginalności, spowodowały zatarcie indywidualizmu wypowiedzi Mickiewicza. Miały jednak wielkie znaczenie ideowe.

Grupa literacka Majowców, skupiona wokół swego almanachu Máj, którego pierwszy tom ukazał się w roku 1858, manifestacyjnie opowiada się za spuścizną Mickiewicza. W czwartym roczniku almanachu Máj z roku 1862 drukuje redaktor Vítězslav Hálek portret Adama Mickiewicza oraz obszerną rozprawę o jego życiu i twórczości, której autorem jest Josef Kolář, znawca poezji Mickiewicza, tłumacz „Farysa", części ballad i szerokiego wyboru „Sonetów krymskich". Studium zawiera fragmenty nieprzetłumaczonego dotąd „Pana Tadeusza".

W roku 1866 opublikował Jaroslav Goll w czasopiśmie Květy rozległy artykuł pod nazwą „Mickiewiczův Pan Tadeáš" i umieścił w nim również fragmenty własnego tłumaczenia. Przekład ukończyła w roku 1882 Eliška Krásnohorská. W pokonywaniu zawiłości językowych pomagali jej polscy i czescy przyjaciele, np. Eliza Orzeszkowa. Do tłumaczenia regularnie powracała, aż do definitywnego trzeciego poprawionego wydania w roku 1917. Reedycja „Pana Tadeusza" ukazała się jeszcze w roku 1925 i 1955.

Niewątpliwe ślady wpływu Mickiewicza zawierają wielkie historyczne wiersze patriotyczne i idyliczne eposy wiejskie Svatopluka Čecha „Ve stínu lípy" i „Václav Živsa", gdzie pojawia się sielankowe życie ze staroświeckimi postaciami wieśniaków i taka sama koncepcja bliskiej więzi ludzi i przyrody. S. Čech zajmował się polskimi problemami także w wielkich eposach alegorycznych „Evropa" i „Slávie", gdzie między innymi starał się rozwiązać kwestię – w której pośrednikami mieli zostać Czesi – pojednania Polaków i Rosjan. Echo

tych problemów pobrzmiewa również w wierszu Čecha „Step" (1908), będącego parafrazą „Stepów Akermańskich" Mickiewicza.

Josef Václav Sládek także poznał twórczość Mickiewicza. Pierwsze fragmenty „Konrada Wallenroda" wydrukował już w roku 1880 w piśmie Lumír. Przekład, który można scharakteryzować jako wierny i staranny, ukończył w roku 1891.

Najsilniejszy kult Mickiewicza powstaje w Czechach w latach 90. XIX wieku, kiedy dochodzą do głosu ponownie burzliwe nastroje narodowowyzwoleńcze. W roku 1895 ukazuje się tłumaczenie „Dziadów" Jaroslava Vrchlickiego pod nazwą „Tryzna". Było to tłumaczenie wielce artystyczne, o silnym w owym czasie oddziaływaniu. Hołd dla geniuszu poety polskiego oddał Vrchlický w czasie swych wykładów uniwersyteckich, których tematem była analiza „Dziadów", a przede wszystkim w emocjonującym przemówieniu w czasie obchodów setnej rocznicy urodzin Mickiewicza.

Wynikiem wszechstronnego oddziaływania Mickiewicza na czeską kulturę są ponadto prace naukowe młodego, przedwcześnie zmarłego historyka L. K. Hofmana: „Adam Mickiewicz 1798 – 1855", „Adam Mickiewicz a socialismus", „Novější a nejnovější literatura o Mickiewiczovi".

W roku 1906 wypełnił František Kvapil swoim tomem przekładów Mickiewicza „Grażyna i inne wiersze" ostatnią lukę, która pozostała z lat dziewięćdziesiątych. W Czechach zaistniały w ten sposób solidne tłumaczenia utworów polskiego romantyka. Zakończony został okres drugiej połowy XIX wieku, kiedy poezja czeska skupiła największy wysiłek twórczy w celu przejęcia i przetłumaczenia ogromnego dzieła Mickiewicza. Nie kończy się jednak oddziaływanie poezji Mickiewicza. W czasie pierwszej wojny światowej „Pan Tadeusz" pobudza wiarę narodu czeskiego w odzyskanie wolności narodowej. Wiersze polskiego wieszcza czytane były jak hasła ruchu oporu.

Podobnie podczas drugiej wojny światowej; walka podbitych narodów o wyzwolenie oraz cierpienia w obozach koncentracyjnych i więzieniach faszystowskich zaktualizowały i ożywiły na nowo siłę poezji Mickiewicza. Z tej atmosfery wyrastają nowe przekłady „Grażyny", „Konrada Wallenroda" i „Dziadów", których w czasie okupacji dokonał František Halas przy współpracy J. Matouša (wydanie książkowe ukazało się w roku 1947). Dzięki Halasowi czytelnicy otrzymali główne dzieła Mickiewicza napisane współczesnym językiem poetyckim, zachowującym jednak doskonale iluzję starszego oryginału.

„Dziady" wystawiono również w teatrze. Po raz pierwszy w roku 1899 w reżyserii Roberta Poláka w Teatrze Narodowym pod nazwą

„Zjevy duší". Po raz ostatni w roku 1974 w reżyserii Vlastimila Fišara w Lirze Pragensis.

Z sytuacji powojennej wyrasta tłumaczenie politycznych artykułów Mickiewicza „Trybuna Ludów" pióra V. Buriana (1949). W roku 1975 w wydawnictwie Melantrich ukazała się publikacja „Adam Mickiewicz - Čas zápasů a nadějí. Překlady korespondence, článků a projevů z let 1845-1855", praca autorki ukrywającej się pod pseudonimem Jitka Sulková.

W roku 1953 wydawnictwo Státní nakladatelství krásné literatury a hudebního umění w serii Knihovna klasiků wydało czterotomowe „Spisy Adama Mickiewicze", zawierające „Ballady i romanse", „Sonety", „Sonety krymskie", „Wiersze", „Grażynę", „Konrada Wallenroda", „Dziady", „Pana Tadeusza" oraz prozę Mickiewicza.

W roku 1969 jeden z najlepszych współczesnych tłumaczy na język czeski Erich Sojka (1922-1997) przedstawił nowe i na wskroś nowoczesne tłumaczenie „Pana Tadeusza". Pięć lat wcześniej Karel Krejčí zajął się „Panem Tadeuszem" od strony naukowej w książce „Heroikomika w básnictví Slovanů". Prof. Hana Jechová pisała o symbolach polskiej poezji romantycznej i możliwościach ich tłumaczenia na język czeski (Sborník prací literárněvědných, AUPO, Philologica 10), zaś Otakar Bartoš o problematyce rozwoju przekładów z języka polskiego na czeski (Slavica Occidentalis).

LIBOR MARTINEK

tłum. M.R.

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

CNOTA

Gdy, pełniąc cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

BOŻE NARODZENIE

Wierzysz, że się Bóg zrodził w Betlejemskim żłobie,
Lecz biada ci, jeżeli nie zrodził się w tobie.

 Grób Maryli Wereszczakówny w Bieniakoniach, fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

S.ŚP.
Marya
z Wereszczaków
Hr. PUTTKAMMEROWA
Ur. 1799 r. Grudnia 24
Um. 1863 r. Grudnia 28
Wieczne odpoczynienie
racz Jej dać Panie.

ADAM MICKIEWICZ

DO WIZYTUJĄCYCH

Pragniesz miłym być gościem, czytaj rady moje!
Niedość, wszedłszy, donosić, o czem wszyscy wiedzą:
Że dzisiaj tam walcują, ówdzie obiad jedzą.
Zboże tanie, deszcz pada, w Grecyji rozboje.

Jeśli w salonie znajdziesz bawiących się dwoje,
Zważaj, czy cię z ukłonem, z rozmową uprzedzą,
Czyli daleko jedno od drugiego siedzą.
Czy wszystko jest na miejscu, czy w porządku stroje.

Jeśli pani co wyraz zaśmiać się gotowa.
Choć usta śmiać się nie chcą – jeśli panicz zboku
Pogląda i zegarek dobywa i chowa,

I grzeczność ma na ustach, a coś złego w oku:
Wiesz, jak ich trzeba witać? „Bywaj zdrów, bądź zdrowa!"
A kiedy ich masz znowu odwiedzić! – Po roku.

JA RYMÓW NIE DOBIERAM...

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeżeli w tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu, ani płód marzenia:
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia;
Niem widzę przyszłość, chwytam myśli, czuciem rządzę.
Niem silny, grzechy nasze i przyszłość osądzę.

Wiedzcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

ZALOTY

Póki córeczki opiewałem wdzięki,
Mamunia słucha, stryj czyta;
Lecz, skorom westchnął do serca i ręki,
Ja słucham – cały dom pyta.

Mama o wioskach i o duszach gada,
Pan stryj o rangach, dochodach,
A pokojowa służącego bada
O mych w kochaniu przygodach.

Mamo, stryjaszku – jedną tylko duszę
I na Parnasie mam włości;
Dochodów piórem dorabiać się muszę,
A ranga – u potomności!...

Czym dawniej kochał? Ciekawość jałowa!
Czy kochać mogę? Dowiodę:
Porzuć lokaja, kotko pokojowa,
Przyjdź w wieczór na mą gospodę...

ROZMOWA

Kochanko moja! Naco nam rozmowa?
Czemu, chcąc z tobą uczucia podzielać,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Zaco ją trzeba rozdrabiać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce doścignął,
W ustach wietrzeją, na powietrzu stygną?

„Kocham, ach, kocham!" – po sto razy wołam,
A ty się smucisz i zaczynasz gniewać,
Że ja kochania mojego nie zdołam
Dosyć wymówić, wyrazić, wyśpiewać;

I, tak w letargu, nie widzę sposobu
Wydać znak życia, bym uniknął grobu.

Strudziłem usta daremnem użyciem:
Teraz je z twemi chcę stopić ustami
I chcę rozmawiać tylko serca biciem
I westchnieniami i całowaniami,
I tak rozmawiać godziny, dni, lata,
Do końca świata i po końcu świata.

MARIA WARDASÓWNA

WYŁOM

(fragment)

– Na polu sie śćmiywo. Trzeja nakryć stół wilijny łochtuszą i nagotować opłatki. Przyniyś, rybeczko, miękutkigo siana, to wyścielymy stół, zaczym go nakryjymy. Jo za tyn czos pochledóm świyczek.

Po chwili Hanula wniosła na naręczu wiązkę siana i rozścieliła go po stole. Rajwaska w skupieniu nałożyła na niego biały obrus specjalnie przeznaczony na wielkie święta. Na nim postawiła wyczyszczony świecznik z nową świecą, na środku talerz z opłatkiem, orzechy i jabłka. Tu i tam położyła paczuszki, w których mieściły się wszystkie gatunki zboża.

– Jeszczech zapómniała o miodzie. Rybeczko, przyniyś na talyrzu łyżke miodu z izby. Je na ostatni półce w olmaryji.

Zmrok już nadchodził, gdy do izby wszedł gospodarz z siekierą w ręce.

– Pieknie żeście postroiły stół. A czyście nie zapómniały dać pod łochtusze ryńskigo, żeby sie nas dzierżały piniądze cały rok?

Żona przystanęła wystraszona.

– Dyć żech na śmierć zapómniała.

– Ale za to jo pamiętóm – zaśmiał się wsuwając złotą monetę pod serwetę w miejscu, gdzie zwykle siedział. Uczyniwszy zadość zwyczajowi, położył na podłodze pod stołem siekierę.

– A ta siekiyra od czego? – spytała Hanula poprawiając obrus.

– Żeby nogi nie bolały przez cały rok.

– Haniczko, wyzdrzyj na pole czy sie już nie pokazała piyrszo gwiozda – przypomniała teściowa.

– A dyć jużech o tym pastyrzowi prawił. Wylatuje co chwila z chlywa i wyglądo ji po niebie.

– To pódź sy mną do kuchyni, porozkłodómy miski z wieczerą na blasze. Potym, jak sie wszyscy poschodzą, zaniesymy roz dwa do izby, żebych nie musiała od stołu odbiygać, bo bych umrzyła do roku...

Rajwas wyszedł i wrócił po chwili z młotkiem i gwoździem od końskiej podkowy. Na wysokości głowy wbił w ścianę gwóźdź, aby wszystkich domowników uchronić przez cały rok od bólu zębów. Na stole wigilijnym położył drugi gwóźdź, który miał

mieć moc nad kretami. Nie będą psuły wiosną rozsady na grządkach...

– Gwiozda betlymska już świyci! – krzyknął na cały głos Bartek wbiegając do sieni.

– Kunda! Wołej Jónka ku wieczerzy! – krzyknęła za Bartkiem gospodyni wnosząc z synową do izby wszystkie potrawy i układając je na ławie.

Bartek obrócił się na pięcie i pobiegł do obory, gdzie w rogu stał już przygotowany przez gospodarza pełny snop owsa. Porwał go rozluźniając po drodze powrósło, które rzucił koniom za drabiny. Nie miał już czasu na jego rozwiązywanie, żeby wyzwolić uwięzioną we węźle duszyczkę – pędem przebiegł podwórze wpadając do sieni w chwili wejścia Jónka do izby z drugich drzwi od ogrodu. Pośpiech ten był uzasadniony, bowiem kto się spóźni do wieczerzy wigilijnej, będzie poszkodowany cały rok i ciągle go trzeba będzie nawoływać „ku jodłu".

W izbie paliły się już dwie świece na stole, żeby przez cały rok było w domu jasno.

– Jeszcze se jyny ręce wymyję, boch mazoł zowiasy dwiyrzy od stodoły, żeby przy otwiyraniu nie kwiczały przez cały rok – odezwał się Jónek spiesząc do kuchni. Za nim udał się ojciec i Bartek. Umyli się ciepłą wodą i wtedy przyszli do izby wyświeżeni i przyobleczeni odświętnie.

Gospodarz z powagą zasiadł na honorowym miejscu, żona obok niego, potem Jónek, Hanula, a na ostatku pasterz z Kunegundą.

Kunegunda wystroiła się jak do kościoła, w suknię po nieboszczce matce, ze staroświeckim żywotkiem, nie wyszywanym a nakładanym złotymi i srebrnymi pasami, jakich używa się do ornatów kościelnych. Włosy, ledwie trochę przyprószone siwizną, miała pierwszy raz od niepamiętnych czasów zaczesane gładko z małym, krzywym przedziałkiem na środku czoła. Cała twarz, dziwnie zaróżowiona i błyszcząca jak lustro, wyrażała zadowolenie. Nic też dziwnego, że ściągnęła na siebie uwagę reszty domowników.

– Ale se Kunda wyglancowała gębe jak pón cholewy, a przedzioł we włosach mo taki prosty jak chodnik do Bielowicka – odezwał się złośliwie Bartek poprawiając na sobie uwierające go w kroku, przyciasne spodnie.

– Cicho! Jeszcze w te święta, wilije bydziesz ją dopalowoł? – zgromiła go szeptem Hanula.

– W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, rozpoczynómy sie łómać tym świętym opłatkym na pamiątke przyjścia na świat Zbawiciela Świata – rozpoczął gospodarz, powoli skandując każde słowo jak ksiądz przy ołtarzu. Z posmarowanym miodem opłatkiem w palcach zwrócił się do żony:

– Życzę ci, Jewko, żeby my przyszłą wilije w takim samym zdrowiu i szczęściu odprawiali – podał jej opłatek do ułamania.

– Jo ci też tego samego życzę, Jędrysku – wyszeptała.

– Tobie, Jónku, życzę, żebyś wytrwoł w swojim postanowiyniu i do końca swojigo żywobycio nie pił gorzołki. A tobie Hanulo, co siedzisz piyrszy roz s nami przy wiliji, życzę, żebyś do nas przywykła i nas słuchała podle boskich przykazań. Bartkowi życzę, żeby miyni pyskowoł, a więcy robił, a Kundzie, żeby przy robocie nie drzymała.

– Co prawicie?

– Żebyś nie drzymała przy robocie!

– Jo wiym, że je moc roboty przy sobocie... – przytaknęła gospodarzowi skwapliwie.

Bartek parsknął głośnym śmiechem.

– Nie wiysz o tym, że sie we wilije nie trzeja śmioć, bo przez calutki rok bydziesz z niczego suszył zęby jak przygłupi – przygadał gospodarz.

Rajwaska, także ubrana odświętnie, sięgnęła z uroczystą miną na ławę po pierwsze danie: miskę grochu z kapustą, stawiając ją na środku stołu.

Wszyscy byli wygłodzeni całodziennym postem, jednak szanując zwyczaj, nie spieszyli się z łyżkami. Jedynie Kunegunda z Bartkiem trochę spieszniej nawracali do miski.

Jedli w ciszy, w nabożnym skupieniu. Dopiero, gdy o dno miski zaczęły niecierpliwie chrobotać łyżki Kunegundy i Bartka w poszukiwaniu resztek grochu z kapustą – gospodarz nie wytrzymał:

– Cóż sie tak bijecie o tyn groch z kapustą, jakbyście rok nie jedli? Zostowcie przeca kapeczke na dnie dlo bydła.

Hanula odsunęła prawie pustą miskę. Teściowa postawiła kaszę pszeniczną, tak zwaną krupicę, polaną masłem. Był to ulubiony przysmak Bartka, toteż nachylił się cały nad stół, by lepiej widzieć, gdzie we wgłębieniach najwięcej znajduje się masła i podjechał tam niby niechcący łyżką. Kunegunda, widząc w pewnej chwili, że Bartek bezczelnie zdziera masło z jej strony – trzasnęła w jego łyżkę swoją, aż mu wyleciała i spadła z brzękiem pod stół.

– Maryjo święto, gdóż jeszcze do nas dzisio przydzie? – zawołała ze strachem w oczach gospodyni.

– Óni zawdy muszą broić – denerwował się Jónek patrząc ze zgorszeniem na pasterza, który zwinął się pod ławą, wydostał łyżkę, oblizał językiem spływające z niej jeszcze masło i czym prędzej zaczął jeść, by nadrobić utracony czas.

Na stole znalazły się gotowane suszone śliwki, jabłka i gruszki zmieszane z białą fasolką.

Bartek łypnął okiem na gospodynię.

– Jeszcze mi sie dziwej, ty zazraku. Myślisz, że nie wiym, żeś mi wyniósł z truwły wszycki pieczki?

Pasterz zrobił najniewinniejszą w świecie minę.

– Jak jyny sie wóm co straci, to wszycko na mie skłodocie, a jo wóm prawię, że pieczki powyciągoł tchórz, boch go widzioł, jak uciekoł od truwły z czymsi w zębach.

– Większego tchórza nad ciebie ni ma w całym Roztropcu – gospodarz nie mógł już utrzymać należnej powagi.

Gospodyni wniosła na stół śnieżnej białości grysik gotowany na mleku, nakryty złotą czapą cynomanu pływającą w maśle i cukrze.

Na ten widok oczy Bartka wyszły na wierzch. Zaledwie też podniósł do ust pierwszą łyżkę, nie mógł utrzymać swego zachwytu.

– Strasznie dobry tyn gryzek, że język za nim kansi do bachorza ucieko.

Gospodyni uśmiechnęła się do niego łaskawie.

– Tóż jydz, jak ci szmakuje, żebyś nie narzykoł, że cie głodym morzymy, jak przydziesz do swoji mamulki na stawy.

– Ach, żeby to chocioż co miesiąc była wilija, to by tam jakosi było – westchnął pobożnie pasterz i już nie odezwał się słowem, dopóki nie zgarnął z miski ostatniej łyżki. A tu już gospodyni postawiła miskę ziemniaków z gęstym sosem cebulowym.

Przyjemny zapach słodzonego sosu podrażnił nos Kunegundy.

– Taki moczki cebulowej to jeszcze nie pamiętóm – odezwała się z uznaniem wyprzedzając szybkimi ruchami łyżkę Bartka.

– Dobro, dobro – potwierdził gospodarz.

Po sosie cebulowym z ziemniakami miska tatarczanej kaszy z masłem już tak nie smakowała. Mimo to Kunegunda z Bartkiem sumiennie ją wypróżniali aż do ukazania się dna.

Weszła na stół siódma potrawa: zupa rybna z ziemniakami, gotowana z odciętych rybich ogonów i głów. Chociaż była niemniej dobra od sosu cebulowego, jednak obładowany obfitymi potrawami żołądek z trudem przyjmował nowe porcje. A tu podano jeszcze pęcak jęczmienny z mlekiem. Nie doznał jednak należytego przyjęcia. Miska wróciła na ławę z połową zawartości.

Pływające w maśle, gotowane na parze kluski z pszennej mąki z serem i cukrem, wywołały szczery zachwyt, jednak po skosztowaniu kilku okrągłych klusek domownicy kładli łyżki na stół.

– Strasznie dobre są te gałuszki, ale cóż. Nie chcą się już pomieścić – stęknęła Kunegunda.

Na smażoną brukiew, obficie okraszoną masłem, nikt poza Bartkiem nie zwrócił baczniejszej uwagi. A skoro weszły na stół smażone ryby, nawet Bartek już nie mógł jeść.

– Chwała Bogu, że to już kóniec – westchnęła do męża Hanula na widok dwunastej potrawy: jabłek, orzechów włoskich i laskowych.

MICKIEWICZ – MY Z NIEGO WSZYSCY

Mój zwrotowski cykl zainicjowałam przed dwoma laty artykułami na temat polskości i polskich pisarzy. W chwili, gdy cykl ów dobiega końca, kulminują w Polsce uroczystości związane z obchodami dwusetnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. I choć wydaje się, że już wszystko zostało napisane na temat naszego wieszcza, chciałabym się na pożegnanie w ramach cyklu „Moje fascynacje" podzielić z czytelnikami paroma refleksjami na temat moich lektur.

Pytanie o polskość, o istotę polskości. Pytanie, które Mickiewiczowi towarzyszy od pierwszych wierszy do śmierci w Konstantynopolu. Co to znaczy być Polakiem? Jak się jest Polakiem? I co trzeba zrobić, żeby pozostać Polakiem? Wszystkie jego dzieła – jego dzieła literackie i jego życie jako dzieło – są odpowiedzią na to pytanie. Te słowa znalazłam w książce „Mickiewicz czyli wszystko" Jarosława Marka Rymkiewicza, współczesnego prozaika, poety i historyka literatury, który poświęcił Adamowi Mickiewiczowi cykl biograficzny „Jak bajeczne żurawie" („Żmut" 1987, „Baket" 1989, „Kilka szczegółów" 1993). Jakiż to fenomen – największy polski poeta, który urodził się na terenie dzisiejszej Białorusi, napisał pamiętne słowa *Litwo, ojczyzno moja,* a na dodatek według niektórych biografów, cytujących jego słowa z *matki obcej*, pochodził po kądzieli z rodziny żydowskiej (w każdym razie takie było pochodzenie jego żony Celiny Szymanowskiej).

Istnieją trzy wersje miejsca urodzin Adama Mickiewicza: Nowogródek, Zaosie lub najbardziej malownicza – karczma Wygoda, w której mieli się zatrzymać jego rodzice, jadący na Święta Bożego Narodzenia z Nowogródka do Zaosia. Historia niemal biblijna – przyszły wielki poeta, który znajdzie swe miejsce spoczynku w katedrze wawelskiej, wśród królów polskich, rodzi się w karczmie w Wigilię i otrzymuje imię pierwszego człowieka i grzesznika Adama. Niejednoznaczne będzie również całe jego życie, obfitujące we wzloty i upadki, czyny

niecodzienne i wstydliwe. Jego życiorys pomaga zrozumieć burzliwa historia ówczesnej Polski i Europy, historia, w której on sam uczestniczył.

Trzeba być kimś znad Niemna, ale trzeba też być mieszkańcem Europy – pisze Rymkiewicz o świadomości romantycznej młodego poety – *Trzeba to w sobie połączyć. I w przyszłości Mickiewicz zawsze to będzie łączył. I jego siłą przez całe życie będzie to napięcie, jakie się wytwarza między doświadczeniem powiatowym a doświadczeniem europejskim.* Właśnie książka „Kilka szczegółów" opowiada o Mickiewiczu jako o poecie powiatowym, który jednocześnie kontaktuje się z łatwością z duchem europejskim. Zderzenie tych tendencji znajdziemy potem w jego ostatnim wielkim dziele w „Panu Tadeuszu". *Tam* – powiedział w jednym z wywiadów J.M. Rymkiewicz, który przyznaje się otwarcie, że „Pan Tadeusz" jest dla niego obecnie jedyną książką, do której regularnie powraca – *są odpowiedzi na wszystkie nasze pytania, także na te, które dziś sobie stawiamy, także na to pytanie dziś najważniejsze: co powinniśmy robić, jak powinniśmy żyć, w co powinniśmy wierzyć, aby ocalić naszą zaściankową, tutejszą odrębność. Czyli to, co Mickiewicz nazwał centrum polszczyzny.*

Wielkość jego talentu sprawiła, że na Wileńszczyźnie, w opisywanym przez wieszcza *centrum polszczyzny*, wszyscy Polacy czują się jak u siebie. Bo jest to kraj Mickiewicza, znany z naszych wczesnych lektur. W Wilnie na własnej skórze poczułam radość i ból bycia Polakiem, dreszcz, który czuje każdy z nas, wstępując do *narodowego pamiątek kościoła*. Ciekawe to centrum – na kresach, dziś już poza granicami Rzeczypospolitej. Wracam do książki „Mickiewicz czyli wszystko": *Dawna Polska była wielką ojczyzną, która składała się z małych ojczyzn i żyły w niej obok siebie w jakiej takiej przyjaźni, w jakiej takiej zgodzie – choć niekiedy rozdzierane konfliktami – różne nacje. Myślę, że Mickiewicz, którego dziś widzimy jako poetę prowincji, poetę jednego regionu, poetę nawet jednego powiatu, a jednocześnie jako poetę wszystkich Polaków, jest dla nas dobrym przykładem tego, jak powinniśmy się sytuować. Być ze swojego powiatu, ze swojej wioski, ze swojego zaścianka, a jednocześnie być z całej Polski.* Czyż to nie najlepsza recepta na nasze zaolziańsko-kresowe zbłąkanie i pozorną bezdomność, brak przynależności?

W pewnym momencie Rymkiewicz próbuje dociekać: jak Mickiewicz mówił. Ze świadectw potomnych wynika, że mówił z wileńska,

polszczyzną kresową, niskim, ochrypłym głosem (poeta przez całe życie bardzo dużo palił), niezbyt wyraźnie (wiemy z korespondencji samego poety, że dosyć wcześnie stracił zęby). Znał siedem języków, ale istniał – był w stanie powiedzieć, kim jest – tylko po polsku. Od kilku pokoleń dzieci w polskich szkołach rozpoczynają swoją edukację od wierszy Mickiewicza. Jak słusznie zauważył Rymkiewicz, zostały one napisane pewną szczególną polszczyzną, polszczyzną kresową, która nie była językiem wszystkich Polaków. W dzisiejszych wydaniach dzieł Mickiewicza stosowana jest już współczesna fonetyka, bo pewne szczególności jego języka się nie przyjęły. Dla mnie samej zastanawiający był również fakt, że np. niektóre bajki i ballady wieszcza, w tym najsłynniejsza „Pani Twardowska", bardzo się już zestarzały. Za moich czasów szkolnych największe problemy sprawiało nam osławione *dictum acerbum;* moja córka–pierwszoklasistka natrafiała w trakcie czytania już na wiele innych „orzeszków": lulki, bisy, bratnale, samkę i tym podobne dziwactwa. W efekcie nasze domowe lekcje języka polskiego zamieniły się w tłumaczenia „z polskiego na nasze". Jedyna recepta to czekanie na to, kiedy dziecko dojrzeje i samo sięgnie do proponowanych w dzieciństwie lektur. Dla mnie każdy taki powrót staje się z biegiem lat coraz bardziej odkrywczy.

Powtórką z Mickiewicza, swego rodzaju drugą pracą magisterską, był dla mnie spektakl „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju", napisany przeze mnie dla Sceny Polskiej na podstawie dzieł poety, jego korespondencji, wspomnień i pamiętników potomnych, a także licznych monografii Adama Mickiewicza. Tematem pierwszej, uniwersyteckiej pracy magisterskiej był w moim przypadku „Bohater romantyczny", i już wówczas, przed laty, przeżywałam dylemat: pisać o autorze „Dziadów", czy o kimś innym. W moim wypadku zwyciężył Zygmunt Krasiński i morze jego korespondencji, na podstawie której próbowałam zwrócić uwagę na najważniejsze cechy bohatera romantycznego. Mickiewicza w pewnym momencie się przestraszyłam – wydawał mi się już dostatecznie opisany i – o młodzieńcza naiwności! – wydawało mi się wówczas, że ów klasyk, znany już od szkolnej ławy, nie ma dla mnie tajemnic. Gdy w ciągu ostatnich kilku miesięcy przyszło mi zanurzyć się w jego dziele, stwierdziłam, że im dalej w las, tym więcej przede mną rzeczy nowych i niewytłumaczalnych. Męczyli się z naszym największym poetą naukowcy i biografowie, stawiano go na piedestałach i buntowano się przeciwko pomnikowemu widzeniu wieszcza. Wywlekano na światło dzienne sprawy wstydli-

we, zapominając, że Mickiewicz był tylko człowiekiem. I właśnie jego ludzkość, to, że w swoim życiu zaznał tyle radości i goryczy jednocześnie, że próbował się spełnić w wielu rolach, bardziej i mniej udanych, sprawiają, że jest on postacią pełnokrwistą, niezwykłą, odbiegającą od czytankowych wzorów dla dziatwy szkolnej. *Mickiewicz był skazany na ten los, który przypadł mu w udziale* – mówi J.M.Rymkiewicz – *Wszystko tam jest, aż po ostatnie jego chwile, więcej: łącznie z jego całą drogą pośmiertną, z jego drogą na Wawel, wszystko tam jest absolutnie konieczne. Nie ma, nie mogło być i nie mogłoby być innego Mickiewicza. Odczytuję to wszystko, co się stało, jako znaki jego losu: tajemnicze znaki tajemniczego polskiego losu. /.../ Bo los Mickiewicza to jest los Polski, to jest los Polaków, to jest rodzaj paradygmatu losu Polski i Polaków. Wszystkie szaleństwa Mickiewicza, jego wściekłość, okrucieństwo, jego zdziczenia jakieś, jego straszne pomyłki, jego heretyckie pomysły – wszystko to ma swój odpowiednik w losie narodowym. To wszystko musiało się wydarzyć, inaczej być nie mogło. Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego tak właśnie było. Wiem, że nie ma na to pytanie odpowiedzi. Ale może to jest podstawowe pytanie moich książek, na które jednocześnie nie ma odpowiedzi: dlaczego ten los układał się tak a nie inaczej?*

Lata lecą, a Mickiewicz nadal żyje swoim własnym życiem. W chwili, gdy piszę te słowa, na moim biurku leżą dwa pięknie wydane tomiki i dwa praskie zaproszenia. Pierwsze dotyczy uroczystego wieczoru w Ambasadzie RP, w ramach którego zaprezentowano nowy przekład „Ballad i romansów" i został przyznany jego tłumaczce pani Vlaście Dvořáčkowej Krzyż Komandorski za zasługi dla polskiej kultury. Drugie zaproszenie dotyczy przyznania prestiżowej literackiej Nagrody Jiřího Ortena za rok 1998 młodemu wędryńskiemu poecie Bogdanowi Trojakowi za tomik wierszy w języku czeskim (z ilustracjami Bronisława Liberdy) zatytułowany „Pan Twardowski". Gdy Mickiewicz pisał swoją „Panią Twardowską", miał tyle samo lat...

Na zakończenie posłużę się jeszcze jednym cytatem. *Jest Mickiewicza tak dużo, że wystarczy dla wielu* – pisze w swojej monografii „Mickiewicz" Jacek Łukasiewicz. – *Tym lepiej. Niech łączy, a nie dzieli. Jest polskim poetą narodowym, a jego dzieło pomaga odebrać słowo „naród" szowinistom i ksenofobom. Naród tworzą jego język i kultura, Mickiewicz jest podwaliną polskiej kultury i polskiego języka.*

ADOMAS MICKEVIČIUS
ADAM MICKIEWICZ

JAM SIĘ TWÓRCĄ URODZIŁ! CZYLI MICKIEWICZ NA CENZUROWANYM

Długo zastanawiano się w Scenie Polskiej, w jaki sposób dostojnie uczcić jubileusz dwusetnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. Ostatecznie zrezygnowano z planowanych jeszcze w roku ubiegłym „Ballad i romansów", wystąpił zresztą z tym spektaklem w Ostrawie i w Czeskim Cieszynie gościnnie zespół Teatru Śląskiego z Katowic. Zdecydowano się na Mickiewicza w całości.

Sklecenia scenariusza podjęła się Renata Putzlacher. Właśnie sklecenia, choć to nieładnie brzmi, a nie napisania, bowiem – i tu posłużę się cytatem ze zredagowanego przez Kazimierza Kaszpera programu do przedstawienia: *Konstruując ten wyjątkowy dramat biograficzny Putzlacher nie tyle posiłkowała się tekstami literackimi Mickiewicza, jego korespondencją oraz listami, pamiętnikami, świadectwami współczesnych i monografiami poety, ile w całości złożyła go z odpowiednio dobranych fragmentów tych wypowiedzi. Autorka scenariusza nie odważyła się dodać do nich ani jednego własnego słowa.* I na tym właśnie według mego mniemania polegał podstawowy błąd. Nie dało się z tekstów tak różnych gatunkowo (obok utworów stricte artystycznych znalazły się fragmenty publikacji o charakterze popularnonaukowym) i powstałych w różnych epokach na przestrzeni wielu dziesiątków lat stworzyć bez łączącego je jednorodnego elementu widowiska spójnego.

Nie jest takim elementem wbrew pozorom osoba Norwida, który siedzi prawie cały spektakl przy stole na proscenium, śledzi jakoby Mickiewicza dzieje, coś pisze, coś czyta i od czasu do czasu zabawia się w narratora, wyjaśnia, komentuje, puentuje. W rolę narratora wcielają się zresztą kilkakrotnie podczas spektaklu również młody i stary Mickiewicz i kilka innych osób. Renacie Putzlacher życzyłabym więcej odwagi, życie składa się również z niekonsekwencji.

Śmieszny wydaje mi się dylemat, kogo uznać za autora spektaklu. Czy na afiszu ma widnieć ponad tytułem granego przedstawienia Renata Putzlacher obok Adama Mickiewicza, czy tylko sam wieszcz. A kto powiedział, że musi tam być koniecznie jakieś nazwisko? Wystarczyło napisać tytuł „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju..." (jeśli już konieczny

◄ *Dom w Wilnie, w którym mieszkał Adam Mickiewicz – obecnie muzeum, fot. FRANCISZEK BAŁON*

jest taki długi tytuł), a pod nim np. Rzecz o Adamie Mickiewiczu, po czym wymienić autorkę scenariusza i źródła, z których korzystała (bo nie ma ich w programie). Jest to sposób nie nowy, często stosowany w teatrach i co najważniejsze: adekwatny do zawartości wystawianego dzieła teatralnego. Przypomnę przy okazji przywoływaną przez czeskocieszyńskich twórców sławną inscenizację Konrada Swinarskiego w krakowskim Starym Teatrze z roku 1973, kiedy na afiszu umieszczono napis „Dziady", a pod nim „Adama Mickiewicza", a nie odchodząc z tamtego teatru i tamtych lat, tytuły składanek bez umieszczania nad nimi nazwisk autorów, np. „Sen o Bezgrzesznej" czy „Z biegiem lat, z biegiem dni". Poświęcam temu tematowi, trzeciorzędnemu, uważam, tyle miejsca, bo i dla twórców spektaklu, jak wynika z szumu wokół niego, wydaje się bardzo ważny.

Realizacji spektaklu teatralnego powinien przyświecać jakiś cel nadrzędny. Widz powinien po jego obejrzeniu znać odpowiedź na pytanie: po co, dlaczego akurat takie, a nie inne widowisko. W wypadku przedstawienia o Mickiewiczu nie umiem na to pytanie w pełni odpowiedzieć. Tylko dlatego, że Mickiewicz ma dwieście lat? Pewnie za dużo wymagam. Dowiaduję się przecież w trakcie przedstawienia, że Mickiewicz poetą wielkim był. Ale o tym wiedziałam już wcześniej. Nie chcę chyba zrozumieć, do kogo zaadresowany został ten spektakl. A dydaktyzm płynący ze sceny jest przecież tak widoczny.

Reżyserii przedstawienia „Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju..." podjął się Rudolf Moliński. Zrobił dobry spektakl szkolny, przepełniony wiadomościami z życiorysu poety, scenkami z kolejnych etapów jego życia, rozpoczęty, jakże by inaczej, od słów: *Litwo, ojczyzno moja!*, uzupełniany odpowiadającymi tematowi danej sceny fragmentami jego utworów.

Zgodne z zamiarami twórców były zapewne reakcje przedpremierowej widowni, którą stanowili gimnazjaliści, rozpoznający znane utwory Mickiewicza, a nawet niecierpliwie podpowiadający półgłosem aktorom końce wersów. Z zainteresowaniem obejrzeli pierwszą część przedstawienia o młodości poety. Mniej zaciekawiły ich filozofie Towiańskiego, zaś zdanie młodego widza o Mickiewiczu: *Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie umrze,* wypowiedziane po zakończeniu spektaklu mówi samo za siebie.

Widowisko zawiera kilka dobrych scen. Jedną z nich jest scena rozstania Adama i Maryli przy aktywnym udziale chóru wieśniaczek, a przede wszystkim Guślarza przepowiadającego przyszłość. Przypomina uroczystość dziadów i właśnie „Dziady" Mickiewicza są tym utworem, który przewija się przez cały spektakl. Próbkę wielkiego teatru romantycznego

stanowią sławne monologi Gustawa-Konrada i Księdza Piotra. Mają swoją wymowę sceny salonowe, Mickiewiczowski prolog i finał, młody Adam z towarzyszami śpiewający pieśni programowe itd. Bo jakkolwiek do przedstawienia jako całości mam zastrzeżenia, patrz powyżej, to jednak przemawiają do mnie niektóre ze scen-obrazów.

Wielka w tym zasługa muzyki, mocnego elementu spektaklu. Jej autorem jest Zygmunt Konieczny. (Partie wokalne wykonuje chór Collegium Canticorum pod batutą Leszka Kaliny.) Nadworny muzyk Starego Teatru w Krakowie, tu znowu wracam do epoki „Dziadów" Swinarskiego, pisał wtedy muzykę do największych przedstawień tego teatru, chociażby „Dziadów" i „Wyzwolenia" Swinarskiego, „Biesów" i „Nocy listopadowej" Wajdy. Echo ich pobrzmiewa w widowisku Sceny Polskiej. A w moim wypadku wywołuje dreszcz emocji i sentymentalne wspomnienia młodości. Czyli jednak coś dał mi ten spektakl.

Ważnym składnikiem przedstawienia jest scenografia (zaprojektował ją Tadeusz Smolicki, autorką kostiumów jest Anna Smolicka). Mimo że nader skromna. Czarna kotara unosi się, odsłaniając w niektórych scenach kolorowe tło nieba, poszczególnym scenom towarzyszą charakterystyczne elementy dekoracji, np. przydrożna kapliczka, obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, wieża więzienna, ogrywany jest stół, krzesło czy tapczan. Ale poza tym scena jest właściwie pusta. Wypełniają ją aktorzy.

Rolę Mickiewicza gra dwóch aktorów. Rozpoczyna przedstawienie scena czytania „Pana Tadeusza" przez dojrzałego Mickiewicza na emigracji w Paryżu, kończy jego śmierć w Lozannie. Kazimierz Siedlaczek jako Stary Mickiewicz jest bardziej obserwatorem niż uczestnikiem i bohaterem wydarzeń. Kilkakrotnie staje na proscenium, by z boku przyglądać się zdarzeniom, najwyżej objaśnia je, komentuje. Jego gra jest spokojniejsza, bardziej stonowana. Inaczej pełen werwy i buntu Młody Mickiewicz. Sebastian Pawlak stara się w tej roli wykrzyczeć radości i troski towarzyszące młodości. Zdecydowanymi gestami podkreśla wagę słów i wiarę w to, co mówi. Na początku drugiej części przedstawienia, nim rolę przejmie Stary Mickiewicz, zmienia się, dojrzewa, poważnieje po przeżyciu nieszczęśliwej miłości i wobec widma emigracji. Próbuje obronną ręką wyjść ze scen, kiedy po realistycznym dialogu przyjdzie mu nagle zacząć mówić wierszem, do tego słowa znane ze szkolnych czytanek.

Do najlepszych momentów spektaklu należą, bardzo prawdziwie zagrane, sceny między Mickiewiczem i Marylą Wereszczakówną-Puttkamerową, którą, młodą i starą, przekonująco gra Gabriela Fabian. Inna, bardziej dumna i arystokratyczna, jest w epizodzie jako Ewa Henrietta Ankwiczówna.

Na większą uwagę zasługują monologi Gustawa-Konrada i Księdza Piotra w wykonaniu Michała Siegoczyńskiego. Wcale nieźle udaje się młodemu wykonawcy przekazywanie widzowi, a właściwie komuś Wyższemu swych myśli, wątpliwości, rozterek, wypowiadanych do tego wierszem. Aktor przechodzi w trakcie monologu od spokojnego wejścia do coraz wyższych tonów, kłócąc się i gniewając, zachowując jednak pewną granicę, której nie przekracza.

W przedstawieniu bierze udział cały zespół aktorski. Część aktorów gra po kilka ról. Wszystkie postacie zagrane są na przyzwoitym poziomie, niezależnie od tego czy biorą udział bezpośrednio w zdarzeniach z życia Mickiewicza, czy mają spełniać zadanie doinformowywania widza.

Spółka Moliński-Putzlacher stworzyła przedstawienie, będące plastycznie ujętą lekcją pokazową z Mickiewicza. Dziatwa szkolna zostanie douczona, starszym przypomni się lata, kiedy sami uczyli się recytować „Panią Twardowską" lub nawet „Odę do młodości". Niewątpliwą zasługą twórców spektaklu jest natomiast to, że wśród zalewu wiadomości o wieszczu udało im się przemycić trochę wielkiej poezji i dobrego teatru.

CZESŁAWA RUDNIK

fot. WIESŁAW PRZECZEK

PAŹDZIERNIKOWE WYSTĘPY CHÓRU NAUCZYCIELI POLSKICH

Chóru Nauczycieli Polskich nie trzeba na naszym terenie przedstawiać. Zespół śpiewa ponad 70 lat i chociaż średnią wieku śpiewających panów można niestety porównać z wiekiem zespołu, to nadal reprezentują liczący się poziom i są zapraszani na znaczące imprezy.

Październik był wyjątkowo bogaty w występy. W trzecią sobotę miesiąca ChNP składał pieśnią życzenia dolnolutyńskiej Lutni, o tydzień później uczestniczył w jednym z koncertów Festiwalu Chórów Męskich Ostrawa 1998. W sali koncertowej Konserwatorium im. Janáčka przedstawili się gospodarze imprezy - Chór Męski Witkowice, ołomunieckie chóry Haná i Nešvera, Orlice z Prostějova oraz nasi nauczyciele. Z pieśni, które ChNP zaprezentował, spodobały się najbardziej Leoša Janáčka „Láska opravdivá" i Mariana Radzika „Ballada bieszczadzka".

Spoglądając na scenę, można było się przekonać, że chyba wszystkie prezentujące się zespoły borykają się z podobnym problemem generacyjnym. Jedynie w chórze Witkowice można było dojrzeć kilka młodszych twarzy. Czyżby dzisiaj śpiew chóralny był domeną tylko starszych panów?

Największą październikową imprezą chóru był uroczysty koncert z okazji 80. rocznicy utworzenia Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego i odzyskania niepodległości przez Polskę i Czechosłowację.

Na tę uroczystość ChNP zaprosił Pěvecké sdružení ostravských učitelek z dyrygentem dr. Vladimírem Kovaříkiem oraz Estradę Ludową Czantoria z Ustronia. Koncert zaszczycili swoją obecnością konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis, konsul Małgorzata Filipek, przedstawiciele Unii Czeskich Zespołów Chóralnych Drahoslav Štula i Zdeněk Děrkas, ZG PZKO - Jerzy Taraba i Władysław Niedoba, Zrzeszenia Śpiewaczo-Muzycznego Jan Hławiczka i inni goście.

Program był niezwykle urozmaicony, na pewno każdy znalazł coś dla siebie.

Po krótkim przemówieniu prezesa ChNP Gustawa Walka jako pierwszy zaprezentował się chór - gospodarz. W jego repertuarze znalazły się tym razem przede wszystkim pieśni patriotyczne, narodowe, żołnierskie. Mogliśmy m. in. usłyszeć kantatę „Rycerze" Jana Sztwiertni czy „Alarm" Jerzego Kołaczkowskiego do słów poety Antoniego Słonimskiego, utwory, które na pewno już dosyć długo nie zabrzmiały na naszej zaolziań-

skiej ziemi. Koncert prowadzili prof. Alojzy Suchanek i inż. Władysław Rusek, akompaniowała Marta Bury.

Następnie przedstawiło się Pěvecké sdružení ostravských učitelek, zespół, który jest zaliczany do najlepszych chórów żeńskich w Republice Czeskiej. Panie zdobywały laury na festiwalach w Irlandii, Szwajcarii, regularnie uczestniczą w festiwalach krajowych. Chociaż śpiewają już od r. 1955, to największe sukcesy osiągają od r. 1979, kiedy dyrygenturę objął dr Vladimír Kovařík, prowadzący zespół do dnia dzisiejszego.

Spotkanie obu nauczycielskich chórów nie było pierwszym. Dokładnie przed rokiem ChNP brał udział w uroczystym koncercie z okazji jubileuszu życiowego V. Kovaříka.

W drugiej części zmieniono nastrój. Estrada Ludowa Czantoria obchodząca w tym roku dziesięciolecie swego istnienia, zaprezentowała pieśni wszystkim znane. Wspólnie z salą zaśpiewała „Szumi jawor", „Szła dzieweczka"...

Potrójne święto uczczono w Czeskim Cieszynie godnie. Zasługa to chórzystów, którzy nie szczędzili sił w przygotowaniu repertuaru i samej imprezy. Nie mogłaby się ona jednak odbyć bez szczodrej ręki sponsorów: Ministerstwa Kultury i Sztuki RP, Towarzystwa Nauczycieli Polskich, firm Univox i Zelmer Bohemia.

A.O.

KONCERT HUTNIKA I PRZYJAŹNI W TRZYŃCU

W Domu Kultury Trisia w Trzyńcu 17 października odbył się koncert dwóch chórów. W jego pierwszej części zaprezentował się Zespół Śpiewaczo-Muzyczny Przyjaźń z Karwiny, którego dyrygentem jest Józef Wierzgoń. Zespół obchodzi w roku bieżącym jubileusz 45-lecia działalności. Mimo popularności w Trzyńcu koncertował dopiero drugi raz w swej karierze. Przyjaźń zaprezentowała trzynieckiej publiczności swoje najpiękniejsze pieśni i piosenki. Aplauz publiczności wzbudziły szczególnie popularne melodie operetkowe. Solistką zespołu jest Adelajda Szymik.

W drugiej części koncertu zaprezentowali się gospodarze - Polski Zespół Śpiewaczy Hutnik z Trzyńca i Trzyniecki Zespół Kameralny pod dyrekcją Aleny Kostkovej. Dyrygentem chóru jest Cezary Drzewiecki, a na fortepianie akompaniuje Beata Drzewiecka. Zespół wykonał wspólnie z Trzynieckim Zespołem Kameralnym „ Ave verum" Wolfganga Amadeusza Mozarta i „Laetatus sum" Grzegorza Gerwazego Gorczyńskiego oraz a cappella pieśni Stanisława Wiechowicza, Jana Maklakiewicza, Tadeusza Szeligowskiego, Józefa Świdra.

Zespół swoim tradycyjnym, perfekcyjnie wykonanym repertuarem,

wprowadził słuchaczy w nastrój jesiennej zadumy. Doskonale prezentował się na scenie, szczególnie panie w swoich nowych strojach.

Solowe pieśni z udziałem zarówno Przyjaźni jak i Hutnika wykonał Władysław Czepiec.

E.S.

JUBILEUSZOWY KONCERT LUTNI

17 października odbył się w Domu Kultury w Lutyni Dolnej uroczysty koncert chóru mieszanego Lutnia, działającego przy Miejscowym Kole PZKO w Lutyni Dolnej. Chór obchodzi bowiem w tym roku dziewięćdziesięciolecie swojej działalności. Kiedy w roku 1908 rozpoczynał pracę artystyczną przy Kole Macierzy Szkolnej w Niemieckiej Lutyni, liczył 19 osób. Dziś śpiewa w chórze 36 osób. Swój osobisty jubileusz - czterdziestolecia pracy dyrygenckiej - obchodzi też w roku bieżącym dyrygent chóru Alojzy Babiński.

Licznie zgromadzona na koncercie publiczność wysłuchała pieśni w wykonaniu chóru-jubilata. W uroczystości wzięły udział również dzieci przedszkola i uczniowie Polskiej Szkoły Podstawowej w Lutyni Dolnej, szkoły, z którą chór utrzymuje ścisły kontakt, szkoły, w której odbywają się próby chóru. Gościnnie wystąpił Chór Nauczycieli Polskich, chór żeński Kalina z Karwiny-Frysztatu a także chór mieszany Słowik nad Olzą z miejscowości Olza w Polsce. Z chórem tym łączy Lutnię dziesięcioletnia współpraca i wspólne występy.

W ubiegłym roku podczas Festiwalu PZKO dyrygent Alojzy Babiński otrzymał z rąk ministra kultury i sztuki RP medal Zasłużony dla Kultury Polskiej. W tym roku chór-jubilat został uhonorowany wpisem do Złotej Księgi PZKO.

C.R.

CHÓR ZAOLZIE ŚPIEWA 75 LAT

Jubileuszowy koncert chóru mieszanego Zaolzie, działającego przy Miejscowym Kole PZKO w Orłowej-Lutyni, a obchodzącego w tym roku jubileusz siedemdziesięciopięciolecia, odbył się 24 października w Domu Kultury w Orłowej-Lutyni. W pierwszej części koncertu zaprezentował się chór-jubilat, wykonując „Ave verum" W. A. Mozarta, „Pod borem" T. Sygietyńskiego, „Bude večer" Z. Mrkosa, „Rosła kalina" i „Wisła" w opr. A. Grefa, „Morze" K. Chruścielskiej i K. M. Prosnaka. Dyrygentką chóru jest Urszula Odstrčil, która prowadzi chór od dziesięciu lat. Chórzystom akompaniowała na pianinie Aniela Mulka.

Gratulacje i naręcza kwiatów otrzymał chór po występie. Odznaczenia

odebrał cały chór-jubilat, jak również jego najbardziej zasłużeni członkowie i działacze.

Po przerwie, w czasie której można było obejrzeć i zakupić polskie książki, wystąpił chór mieszany Jutrzenka z Nakła Śląskiego w Polsce pod batutą Ireny Róg, który współpracuje z chórem zaolziańskim.

C.R.

REWELACYJNY KONCERT W MOSTACH KOŁO JABŁONKOWA

O tym, że wielkich solistów o europejskiej sławie można posłuchać także w Mostach koło Jabłonkowa, a nie tylko w Warszawie czy Pradze, mogli przekonać się ci, którzy przybyli wieczorem 24 października do sali tamtejszego Domu PZKO. Mimo anonsów w Głosie Ludu nie było zbyt wielu słuchaczy spoza Mostów, za to miejscowi w pełni skorzystali z niezwykłej atrakcji. Gwiazdami wieczoru byli Jolanta Kremer, sopran, primadonna Teatru Muzycznego w Gliwicach, i Aleksander Teliga, bas, solista Teatru Muzycznego w Warszawie i Teatru Narodowego w Pradze. Obok wielkich profesjonalistów w cyklicznym jesiennym koncercie Piękne Głosy wzięli także udział amatorzy Irena Zawada (sopran) i Władysław Czepiec (tenor). Organizatorem koncertu był Władysław Czepiec, członek komisji ds. kultury w Mostach. Na program złożyły się arie z oper i operetek G. Bizeta, Ch. Gounoda, S. Moniuszki, G. Rossiniego, F. Lehara, I. Kalmana i innych. Solistom akompaniowała, a słuchaczy z wdziękiem wprowadzała w tajemny świat opery i operetki żona Aleksandra Teligi. Trzeba też zaznaczyć, że o sobie i muzyce wiele również opowiadał, popisując się przy tym, podobnie jak jego małżonka, piękną polszczyzną Aleksander Teliga, a jest to godne podkreślenia, bo oboje pochodzą z byłego ZSRR, a dopiero od roku 1989 żyją w Polsce.

Soliści zachwycili mostecką publiczność nie tylko pięknymi głosami, osobistym urokiem, ale także profesjonalnym podejściem. Śpiewali i tańczyli na mosteckiej scenie tak, jak czynią to w Warszawie, Pradze czy innej europejskiej stolicy. Publiczność nie szczędziła braw, a soliści bisów. Z niecierpliwością oczekiwać będziemy zapowiedzianego przez Jarosława Teligę na rok przyszły kolejnego koncertu w Mostach.

E.S.

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

ZGODNOŚĆ

Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi,
Gdzie czuje, że głos własny w harmoniji gubi.

Ostra Brama w Wilnie, fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

SPORTOWE ZMAGANIA

W niedzielę 11 października odbyły się w skrzeczońskim Domu PZKO już XVIII mistrzostwa Miejscowego Koła PZKO w tenisie stołowym.

Rozgrywki przebiegły w dwu kategoriach. W kategorii młodzieży szkolnej zwyciężyła Renata Guziur, na drugim miejscu uplasowała się Aneta Marcol, a trzecie zajęła Marta Szeliga. Zacięte pojedynki rozegrano w kategorii mężczyzn. Ubiegłoroczny tytuł mistrza koła bez porażki obronił inż. Tadeusz Guziur (w dotychczasowych mistrzostwach zwyciężył po raz ósmy), drugie miejsce zajął Rudolf Grabowski, a na trzecim uplasował się Bogdan Waluszczyk. Zwycięzcom nagrody w imieniu Zarządu Koła przekazał przewodniczący inż. Bogusław Czapek.

D.G.

SPOTKANIE Z ANDRZEJEM CHODKIEWICZEM W CIESZYŃSKIM KLUBIE PROPOZYCJI

Z inicjatywy Władysława Oszeldy, nestora polskiego dziennikarstwa i założyciela cieszyńskiego Klubu Propozycji, 16 października w lokalu klubowym odbyło się spotkanie z członkiem Rady Krajowej Stowarzyszenia Wspólnota Polska dyr. Andrzejem Chodkiewiczem. Tematem spotkania była działalność Stowarzyszenia na rzecz Polonii i Polaków zamieszkałych w różnych częściach świata.

Na spotkanie licznie przybyli słuchacze z obu stron Olzy. Nie zabrakło także przedstawicieli cieszyńskiego Koła Stowarzyszenia Wspólnota Polska, powołanego przy Oddziale w Bielsku-Białej. Kołu przewodniczy Paweł Czupryna, redaktor naczelny Głosu Ziemi Cieszyńskiej.

Spotkanie trwało prawie trzy godziny, ale to nie tylko ciekawy wykład o Polonii w świecie, a przede wszystkim ocena bieżącej sytuacji Polaków na Zaolziu była przyczyną długiej i burzliwej dyskusji. Poruszono m.in. problem braku rzetelnej informacji na temat historii Zaolzia w polskiej prasie, kompromitującej sprawy hotelu Piast i Domu Polskiego oraz perspektyw podtrzymywania polskości na Zaolziu. Ten ostatni problem widziany poprzez porównawczy obraz polskiego szkolnictwa na Litwie, Białorusi i Ukrainie, gdzie dzieci w polskich szkołach ciągle przybywa, mimo niesprzyjających warunków społecznych i politycznych, daje nam wiele do zastanowienia.

E.S.

JESIENNE SPOTKANIE TNP

Towarzystwo Nauczycieli Polskich w RC swoje doroczne spotkanie towarzyskie zorganizowało tym razem w Domu PZKO w Lesznej Dolnej. 24 października spotkało się tu około dwustu nauczycieli, reprezentujących polskie przedszkola i szkoły na Zaolziu, by obejrzeć program artystyczny w wykonaniu najlepszych szkolnych zespołów, solistów i wokalistów. Wystąpili m.in. Dziołchy i syncy z kolónije z Karwiny-Nowego Miasta, błędowickie Anki, harcerze z drużyny Czarne Pantery z Trzyńca, tercet smyczkowy z Suchej Górnej, teatrzyk Arlekin z Karwiny-Frysztatu i wiele innych. Największy aplauz nauczycielskiej publiczności zyskał mały Adaś Sikora, który śpiewał i grał na skrzypcach w towarzystwie swego dziadka Otokara Winklera. Dowcipną konferansjerką zabawiała publiczność Halina Kowalczyk i dyrektor 2. Polskiej Szkoły Podstawowej w Trzyńcu Roman Wróbel - gospodarz spotkania. Spotkanie zakończyła zabawa towarzyska przy muzyce zespołu Wiesława Farany.

E.S.

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

DOBRA RADA

W jednym tylko przypadku rada nie zawadzi.
W jakim? – Gdy się Pokora u Mądrości radzi.

PIĘTNASTOLECIE KLUBU SENIORA W WĘDRYNI

Piętnaście lat temu 26 października z inicjatywy Józefa Kaszpera powstał przy MK PZKO w Wędryni Klub Seniora. Już w pierwszym roku istnienia liczył 130 członków, a należeć może do niego każdy, kto ukończył sześćdziesiąty rok życia. Od początku klub był organizatorem spotkań z ciekawymi ludźmi. Jego pierwszym gościem był profesor Karol Polak, a później m. in. Władysław Młynek, Józef Kazik, Janusz Gaudyn, polski pisarz Tadeusz Nowak, prof. Jerzy Kukucz z Warszawy, prof. Daniel Kadłubiec, Mieczysław Szwarc z zespołem instrumentalnym, Władysław i Jadwiga Oszeldowie z Cieszyna, Jan Szymik, Danuta Lisicki d'Abreau z Brazylii – dyrektor Parku im. Jana Pawła II w Kurytybie i dr Kazimierz Kaszper. Spotkań z ciekawymi ludźmi było już 150.

Poza spotkaniami popularnością wśród klubowiczów cieszą się wycieczki piesze i autokarowe w obrębie regionu i poza, a także do Polski i innych krajów europejskich.

Ważnym elementem działalności klubu są prace porządkowe w Czytelni. Członkowie i członkinie klubu poświęcili niezliczoną ilość godzin przy myciu okien oraz czyszczeniu pomieszczeń i sali Domu PZKO.

Zarząd klubu składa się z trzech osób. Przewodniczącym jest Józef Kaszper, a zastępcami Józef Cienciała i Józef Marosz.

Uroczyste jubileuszowe spotkanie odbyło się w wędryńskiej Czytelni 25 października. Przybyło ok. 250 osób, nie tylko członków, ale także sympatyków i prelegentów. Obecny był także starosta gminy Stefan Kujawa. W programie artystycznym wystąpił chór Wędryńka i miejscowy zespół teatralny.

E.S.

RAJD ŚLADAMI GROBÓW LEGIONISTÓW

Dla uczczenia 80. rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę Koło Polskich Kombatantów w RC zorganizowało w piątek 6 listopada rajd, w trakcie którego złożono kolejno wieńce: pod tablicą upamiętniającą pobyt marszałka Piłsudskiego w Jabłonkowie i tablicą pamiątkową poświęconą pierwszemu prezydentowi Czechosłowacji T. G. Masarykowi, na grobie Legionistów Polskich na cmentarzu w Jabłonkowie, na grobie legionisty Józefa Gacka na cmentarzu w Trzyńcu, na grobach legionistów na cmentarzach w Stonawie, Olbrachcicach i Suchej Górnej. Część uczestników rajdu odwiedziła groby legionistów w Orłowej.

Na zakończenie rajdu odbyła się w kościele rzymskokatolickim w Suchej Górnej msza ekumeniczna.

Rajd odbył się pod patronatem Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie. Obok kombatantów wzięli w nim także udział: konsul generalny Konsulatu RP w Ostrawie Marek Masiulanis, wicekonsul Małgorzata Filipek, dyrektor generalny Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych w Warszawie Andrzej Kowalczyk oraz przedstawiciel Ewangelickiego Duszpasterstwa Wojskowego Krakowskiego Okręgu Wojskowego ksiądz kapitan Zbigniew Kowalczyk.

Straż honorową przy grobach pełnili harcerze HPC.

F.B.

WYSTAWA KSIĄŻEK POLSKICH

Co roku zaolziański listopad przebiega pod znakiem książki. Nie inaczej było i w roku bieżącym. 11 listopada, w dniu obchodzonego w Polsce Święta Niepodległości, otwarta została w czeskocieszyńskim Klubie PZKO na ul. Bożka VI Wystawa Książek Polskich Wydawców. Wśród organizatorów znaleźli się: ALFA Hurt Księgarski z Bielska-Białej, ALFA Danuta Wirth z Czeskiego Cieszyna, ZG PZKO w Czeskim Cieszynie, Konsulat Generalny RP w Ostrawie, Głos Ludu - Gazeta Polaków w RC oraz Wydawnictwo Wiedza Powszechna z Warszawy.

Wydawnictwa Naukowe PWN, Państwowe Wydawnictwa Muzyczne, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Literackie, Znak, Prószyński i S-ka, Wiedza Powszechna, Arkady,

Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Polskie Wydawnictwa Ekonomiczne, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Nasza Księgarnia, Kleks, czeskocieszyńskie Wydawnictwo Olza to niektóre z wydawnictw, które zaprezentowały na wystawie czytelnikom swoje książki.

Na otwarciu wystawy, którego dokonał konsul generalny RP w Ostrawie Marek Masiulanis w obecności konsul Małgorzaty Filipek, wszystkich zebranych powitał dyrektor hurtowni Alfa Zenon Wirth, w imieniu współorganizatora ZG PZKO prezes Jerzy Czap. Głos zabrał również warszawski krytyk literacki Tadeusz Żółciński, który obecny był na wystawie po raz trzeci. Podkreślił, że w Polsce istnieje obecnie około tysiąca wydawnictw, z tego liczących się jest około dwustu. Prezentowane na Zaolziu należą do najlepszych.

W krótkim programie kulturalnym fragmenty „Dziadów" Adama Mickiewicza przedstawiła uczennica czeskocieszyńskiego Polskiego Gimnazjum Ilona Franek, cała sala zaśpiewała z Józefem Wierzgoniem kilka piosenek ludowych.

Swoje książki podpisywali na wystawie Władysław Sikora – „Ojcowizna" jest najświeższą nowością, Piotr Horzyk – „Bajki Piotrusia", Władysław Martynek – „Pamiętnik sybiraka".

Wystawa w Czeskim Cieszynie trwała do 15 listopada. Tradycyjnie już jej drugi etap w dniach od 19 do 22 listopada odbył się w Domu PZKO w Jabłonkowie a trzeci w dniach od 26 do 28 listopada w Domu PZKO w Karwinie-Frysztacie.

C.R.

foto w kronice FRANCISZEK BAŁON

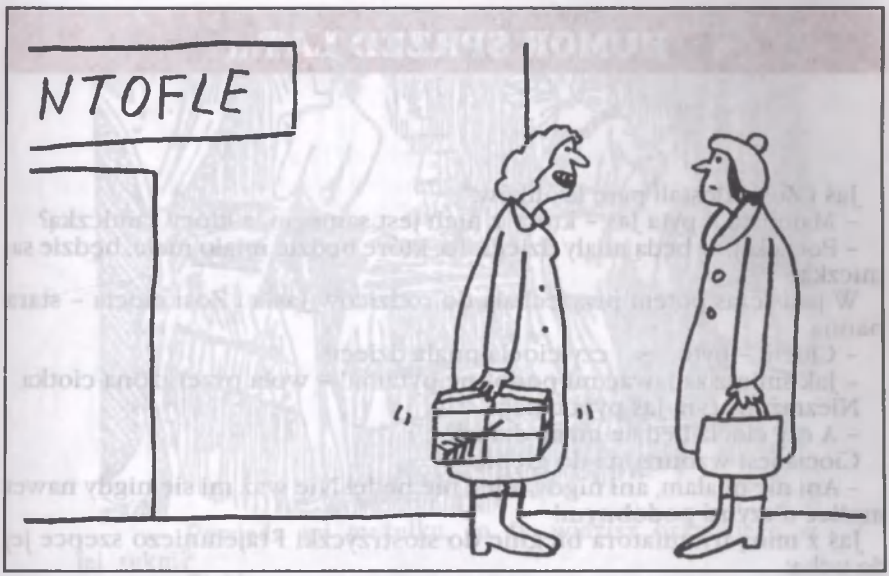

NIE MIAŁAM KŁOPOTÓW Z PREZENTEM, BO ZACZĄŁ OGLĄDAĆ SERIALE.

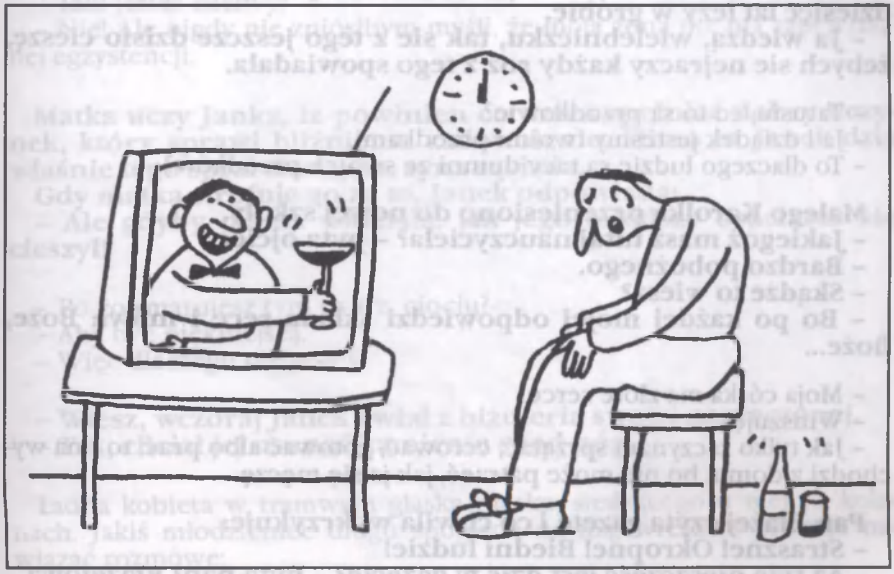

DUŻO SUKCESÓW W NOWYM ROKU! *rys. Bronisław Liberda*

HUMOR SPRZED LAT...

Jaś i Zosia dostali parę królików.
– Mamusiu – pyta Jaś – który z nich jest samcem, a który samiczką?
– Poczekaj, aż będą miały dzieci. To, które będzie miało małe, będzie samiczką.
W jakiś czas potem przyjechała do rodziców Jasia i Zosi ciocia – stara panna.
– Ciociu – pyta Jaś – czy ciocia miała dzieci?
– Jak śmiesz zadawać mi podobne pytania! – woła przerażona ciotka.
Niezrażony tym Jaś pyta dalej:
– A czy ciocia będzie miała dzieci?
Ciocia jest wzburzona do głębi:
– Ani nie miałam, ani nigdy mieć nie będę! Nie waż mi się nigdy nawet myśleć o czymś podobnym!
Jaś z miną triumfatora biegnie do siostrzyczki i tajemniczo szepce jej do ucha:
– A nie mówiłem! Ciocia–samiec...

Staro Gomulino spowiado sie, że chłopowi nadrzązgała.
– Nale, Gomulino, jak to jest możliwe, przecież wasz mąż już dziesięć lat leży w grobie.
– Ja wiedzą, wielebniczku, tak sie z tego jeszcze dzisio cieszę, żebych sie nejraczy każdy roz z tego spowiadała.

– Tatusiu, co to są przodkowie?
– Ja i dziadek jesteśmy twoimi przodkami.
– To dlaczego ludzie są tacy dumni ze swoich przodków?

Małego Karolka przeniesiono do nowej szkoły.
– Jakiegoż masz tutaj nauczyciela? – pyta ojciec.
– Bardzo pobożnego.
– Skądże to wiesz?
– Bo po każdej mojej odpowiedzi składa ręce i mówi: Boże, Boże...

– Moja córka ma złote serce!
– Winszuję!
– Jak tylko zaczynam sprzątać, cerować, gotować albo prać, to ona wychodzi z domu, bo nie może patrzeć, jak ja się męczę.

Pan Błażej czyta gazetę i co chwila wykrzykuje:
– Straszne! Okropne! Biedni ludzie!
– Aż tyle nieszczęść jest dziś w gazecie? – pyta pani Błażejowa.
– Tak, pół strony ogłoszeń o ślubach.

foto w kronice FRANCISZEK BALON

— Powiedz mi mężulku, co ty widzisz brzydkiego w tej sukni?
— Ciebie.

– Ja się ożenię tylko z bardzo bogatą kobietą.
– Taki jesteś chciwy?
– Nie! Ale nigdy nie zniósłbym myśli, że moja żona nie ma zapewnionej egzystencji.

Matka uczy Janka, iż powinien co dzień spełniać dobry uczynek, który sprawi bliźniemu zadowolenie. Mimo to Janek dziś właśnie tęgo sprał Henryka, syna sąsiada.
Gdy matka strofuje go za to, Janek odpowiada:
– Ale gdyby mama widziała, jak jego młodszy braciszek się cieszył!

– Po co smarujesz tym twarz, ciociu?
– Aby być piękniejszą.
– Więc dlaczego nie jesteś?

– Wiesz, wczoraj Janek zwiał z biżuterią swojej narzeczonej.
– Tak, chciał jej usunąć kamienie spod nóg.

Ładna kobieta w tramwaju głaska pieska, siedzącego u niej na kolanach. Jakiś młodzieniec długo spogląda na nią, wreszcie próbuje nawiązać rozmowę:
– Chciałbym być na miejscu tego pieska.
– Czyżby? Właśnie wiozę go do weterynarza, by go sterylizować.

– Cóż, czy biuro detektywistyczne zbadało już, gdzie twój mąż spędza wieczory?
– A jakże! Pomyśl tylko, ten drań całymi wieczorami siedzi w domu.

Przed kościołem stoi żebrak w łachmanach i zawodzi:
– Miłosierne osoby, zlitujcie się nad człowiekiem, który nie jest ani ślepy, ani kulawy, ani sparaliżowany i ma z tego powodu bardzo utrudnioną karierę żebraka.

Kwestująca pani przychodzi z puszką do bogacza, który szorstko odpowiada:
– Nic nie mam.
– Proszę, niech pan sobie weźmie – mówi niestropiona kwestarka – zbieram dla biednych.

Fragment wykładu: Jak państwo widzicie, to teraz nic nie widzicie. A dlaczego nic nie widzicie, to zaraz zobaczycie.

Janek filozof myśli: Kiedy się opowiada człowiekowi, że na niebie jest 267 589 326 gwiazd, wówczas wierzy w to bez zastanowienia. Kiedy jednak ujrzy gdzieś napis „Świeżo malowane", to uwierzy wówczas dopiero, kiedy dotknie mokrej farby palcem.

Kwaretka robi se chodnik, jak pujdzie w nocy z balu.

— Po czem mamusia poznała, że się nie myłeś?

— Zapomniałem mydło zwilżyć.

SYLWESTROWSKO HISTORYJA

Paskudny pech prześladowoł mie od samego rana. Już przi wylazowaniu z łóżka tyrknąłech lewą nogą do nocnego zbiorniczka, z kierego cyrpło na świyżo wyglancowane parkety. Moja Barbara tak sie rozpajedziła, że piyrszy roz w życiu podniósła na mnie swoją zgrabniutką piąstke i wycisła mi pod lewym okym pieczęć małżyńską.

– Nó moja wina – prawię se w duchu i nie rewanżowołech sie ji za to.

Gupio mi ale było prowie w dziyń starego roku iść do roboty z podbitym okym. Ale cóż było robić?... Po chodniku spotkołech moją piyrszą miłość – Klotylde. Wyszczyrziła na mie swoji kóński zęby i prawi:

– To ci dobrze, stary grzibie. Gdybyś se mie wzión, to byś ni mioł sińców pod oczami, ale kansi indzi.

W robocie powiedziołech kamratóm, żech spod ze schodów na głowe. Uwierzili mi i było wszystko w porządku, aż na tyn wieczór. Kaj tu iść na Sylwestra z takim oczyskym?

Po powrocie z roboty Barbara przziwitała mie już uhalkano i uśmiychnióno. Powiedziała, że mo dlo mie niespodzianke na wieczór. Zamiast do Robotniczego na hołdamasz bedymy dóma siedzieć i że o program mo już postarane. Pokozała mi butelke ze 4 gwiozdkami, w trąbie królika, a w kredynsie jak strużok dorte ze śmietónką i czekuladą z napisym „Szczęśliwego Nowego Roku". Zdradziła mi jeszcze, że ku telewizyi zaprosiła gości.

Barbare pogłoskołech miłosiernym okym i byłech rod, że to tak mądrze obmyśliła.

Już od wieczora zaczyni sie schodzić goście. Pocieszające było to, że każdymu tyrczoł z kapsy karczek od butelki. Kapke mie mierziało, że wszyscy przismyczyli ze sobą kyrdel dziecek. Nó ale myślę se:

– Niech sie uczą od starszych życio, aspóń beje w chałupie wiesioło.

I naprowde było. Po zmłócyniu królika i cielęcia z kapustą, po wypróżniyniu moji litrówki, tej ze sztyryma gwiozdkami, hnetka termómeter uczuć i humoru podniós sie do góry.

Kiedy sąsiod Mietełka wysmyczył słodki likier i zaczón loć do nas, wtedy sie zaczón Sylwester na całego. Jego baba, Elżbietka, zaczyna głoś-

no mlaskać i podować od zachcynio swoim małym latoroślóm. Dziecka jako dziecka, zaczyny sie oblizować a ta malutko Ewunia zaczyna ślęczeć:

– Mamo, ecie!

A mama była szczodro. Bo kieróż to matka nie życzy swojimu dziecku. Dzieci dostowały rumiyńców i roztoczyły swoji widowisko. Synek od Kopidoła, dwanościletni gibczok, zaczón pokazować, jak sie tańczy kalipso. Zaś Januszek i Marteczka od Mietełki bawili sie na tate i mame. Pukalimy wszyscy od śmiychu. Januszek wlóz pod telewizor i udowoł wylękanego, zaś przed nim Marteczka wygrożała piąstką i krziczała ciyniutkim głosym:

– Cóżeś zrobił z wypłatą. Mów, bo cie zatłókym, ty stary smoku.

– Nie bij, babeczko, jo już pić nie bedę – stękoł Januszek pod stolikym.

Wśród śmiychu i uciechi Marteczka popadła synka za noge, aby go wypłacić. Synek sie zamotoł, że przewrócił stół i z telewizorym.

Brzinkło, zakurziło sie i zrobiła sie cisza. Jedynie z olmaryje rozlygoł sie śpiyw małego Jozefka Zosmożkowego, kiery jakoby nic strzigoł nożycami już drugi rękow mojigo ślubnego kabota.

– Moja dorta! – wrzaskła Barbara i jak pantera skoczyła do kuchynie.

Było już nieskoro. Na delinach siedzioł Izydorek od Gniłkule i marasił rękami w dorcie, kiere wyciyroł do nowo po „pikasowsku" wymalowanych ścian.

Barbara pognała sie ku dziecku, by ratować, co sie jeszcze do, kiedy nieszczęśliwie ukielzła na śmietónce i wpadła zadkym na poharataną dorte. Dziecko wylękane zaczyno sie drzić wniebogłosy. Barbara, kiero miała na sobie piyrszy roz obleczóne nowe szaty z krepsilónu, mój prezynt podchoinkowy, zaszlochała żałośnie.

Nie wiym, kiedy sie wszyscy wytracili, bo kiedych sie spamiętoł, bylimy sami w splądrowanych izbach. Barbara chyłkała nad strzaskanym telewizowym. Kiedy ale pizła północ i zaczli suć z moździyrzi i ciepać rachetlami po niebie, pocałowołech Barbare i zaniós do łóżka. Po dłógich kumedyjach udało mi sie ją uspokoić i uspać.

Tej nocy nie społech do rana. Straszyły mie dzieci z tym swoim programym, kiery my, starzi, sami wyreżyserowali. Straszyły mie ty piekne szaty Barbary z odbitym na zadku śmietónkowym napisym „Szczęśliwego Nowego Roku".

ADAM WAWROSZ

Przedruk z książki „Z Adamowej dzichty"

POWRÓT Z SYLWESTRA

Już se nie pamiętóm, kajmy wszędzi byli. Tela wiym, że nas gospodzki po dobroci wyciepoł przez okno. Szlimy z kamratym ku chałupie, jyny my sie ni mogli domówić, w kieróm stróne mómy iść. Pośpiywowali my se „Gojiczku zielóny..." bo inszej kolędy my se ni mogli spómnieć. Jakosi baba wrzeszczała na nas:

– Bando przemierzło, ni możecie to iść po cichu do dómu?

– Katać też tam – odpowiado kamrat – dyć my nie idymy do dómu, jyny do drugi gospody.

Na rogu przy trafice stanyłech pod oknym, bo sie mi zdało, że tam miyszko pani Kidoniowa.

– Pani Kidoniowa, pani Kidoniowa! – wrzeszczeli my oba do potarganio.

Kidoniowa rozespano, w koszuli ze zmiyrwionymi włosami, odewrzyła okno:

– Cóż sie drzecie, ancychrysty przegrzeszone?

– Pani Kidoniowa, pójcie tu na dół i rozeznejcie w nas swoigo chłopa, bo my są tak naprani, że sie już ni mogymy rozeznać!

Kole siódmej rano prziszełech ku moji chałupie. Myślołech se, że je to moja chałupa podle tego, że sie z kumina kurziło.

Przichodzym do chałupy, wyciągóm klucz i próbujym trefić do dziurki. Jak tu trefić, kiedy jich tam było siedym, a wszystki skokały i miyrwiły sie, że ani rusz trefić.

Naroz odewrziły sie dwiyrze i niżech sie spamiętoł, trzepaczka dudniła po moji głowie.

– Ty chacharze łożrały, jo ci to kwicisko z czepanie wytrzepiym! – sierdziła sie baba.

Aż naroz baba jak ni wrzaśnie:

– Jyndrys Maryna kany, dyć to ni ma mój chłop...! – i trzasła dwiyrzami.

A jo se już myśloł, że to bedym mioł zbyte.

No, bedzie repeta!

Po tej trzepaczce żech troche wytrzyźwioł. Klepiym na dwiyrze i po głosiech zmiarkowoł, żech dobrze trefił. Staro mi odewrziła jak jasełkowy Herod z warzechóm w ręce:

– Kaś był, ty rozpustniku! Podziwej sie na siebie jak wyglądosz! Kabot mosz na ręby obleczóny. Nogawice mosz krawatkóm związane. Z czopki ci druty z parasola tyrczą! Kaś był? Mów! Prziznej sie!

– Babeczko – prawiym – byłech jyny we dwóch kieliszkach a wypiłech pięć gospód...

– Kaś jeszcze był? Mów! Przyznej sie po dobroci!

– Nigdzi, babeczko!

– A ty sie myślisz, żech cie nie widziała wychodzić naprzeciwko od sómsiadki, od tej odfarbionej małpy?... Ty se to popamiętosz!

Chodzym z powiązanom głową i myślym se, że jak żech wracoł z tego Sylwestra, tak musiała jakosi niedobro planeta świycić.

HENRYK JASICZEK

Przedruk z książki „Humoreski beskidzkie"

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

Z ŻYCIA FRYSZTACKIEGO STAROSTY VON BOBOWSKIEGO

Starsi obywatele powiatu frysztackiego przypominają sobie jeszcze z pewnością tego ojca powiatu. Był on nie tylko przez lud swój bardzo lubiany i poważany, lecz także wyższe urzędy były z niego bardzo zadowolone, bowiem starosta powiatowy von Bobowsky wychodził dobrze z swymi poddanymi tak, że nie musiał się nigdy z powodu jakichś zajść lub nieporozumień przed nadzorczymi urzędami tłumaczyć. A nie było to w powiecie takim, jakim był powiat frysztacki, żadne łatwe zadanie. Jak wiadomo, przywędrowało do naszego kraju, a szczególnie do okolic, posianych kopalniami węgla, mnóstwo ludzi z różnych stron starej Austrii. A nie byli to, rozumie się, ludzie inteligentni, umiejący zachować dyscyplinę, karność, toteż obcowanie z takim towarzystwem nie było łatwością. Ale starosta von Bobowsky poznał duszę tego ludu tak, jak może nikt inny z jego poprzedników, i zżył się z ludem tym, złajał, kiedy tego było potrzeba, ale też lud wkrótce pokochał go jak ojca.

Starosta von Bobowsky był też niezwykłym filologiem. Mówił biegle oprócz niemieckiego języka też polskim, czeskim, a w krótkim czasie przyswoił sobie także i tutejszą gwarę „po naszemu", toteż i z tego powodu był przez ludność lubiany. Jako arystokrata, do każdego odzywał się „per ty", tak jak ojciec do swoich dzieci. Kiedy to było potrzebne, złajał, groził karą, lecz dużo przebaczył. Nie znosił zaś wizyt urzędowych i nie lubił, jeżeli mu ktoś z nadzorczych urzędów „sznupał" w jego aktach, bowiem miał on w swoim biurku wielki nieporządek. Ale pomimo tego nie trzymał on akt przez całe lata, i pomimo tego, że akta jego leżały, jak sam mawiał „drunter und drüber", wiedział doskonale, w którym miejscu się poszczególne akta znajdują, załatwiał je po kolei i według potrzeby, tak, że jakieś urgencje bardzo rzadko się u niego zdarzały.

Jedyny resort, który von Bobowsky miał w najlepszym porządku, to sprawy wojskowe. Tu leżało wszystko jak najstaranniej uporządkowane, czemu się zawsze urzędnicy z urzędu krajowego bardzo dziwowali. Co także dziwiło urząd krajowy, było to, że nie miał on w czasie swego starostowania prawie żadnych procesów w sprawach prawa wodnego. Tu trzeba wiedzieć, że procesy o prawa wodne są postrachem każdego urzędnika administracji powiatowej, bowiem sięgają one nieraz aż gdzieś

czasów potopu świata. A kiedy pewnego razu podczas wizyty urzędowej prezydent krajowy zapytał go, jak to robi, wyciągnął Bobowsky z kieszeni mały notatnik, w którym w alfabetycznym porządku miał spisane wyciągi z różnych urzędów co do prawa wodnego. – To jest moja księga ustaw – powiada. – Jak tylko zjawi się u mnie ktoś z zamiarem procesowania się o prawo wodne, natychmiast daję mu odpowiednie wyjaśnienia, ewentualnie zawezwana zostanie strona przeciwna, przeczytam odnośny ustęp ustawy i zmuszę ich do pogodzenia się na miejscu.

Także i w innych spornych kwestiach potrafił on bardzo często powaśnione strony pogodzić. Kazał powaśnionych zawezwać do siebie, dał im piętnaście minut czasu do pojednania się, a jeżeli to w tym czasie nie nastąpiło, wziął każdego pojedynczo, objaśnił skutki długiego procesowania się, pogroził karą w razie niezastosowania się do jego dobrej rady, i w ten sposób bardzo często udało mu się uratować pragnącym procesować się koronki w ich kieszeniach.

Kiedy pewnego razu, krótko przed wybuchem wojny światowej miał odwiedzić nasz kraj niemiecki cesarz Wilhelm II, otrzymał starosta von Bobowsky ścisłe i tajne rozporządzenie aresztowania wszystkich podejrzanych o jakieś zamieszki osobników lub też takich, ze strony których groziłoby cesarzowi jakieś niebezpieczeństwo. Takie zarządzenia, zdaniem starosty, całkiem na pewno wywołałyby chaos i wzburzenie wśród ludności, a także nie było możliwe wszystkich niespolegliwych umieścić w więzieniach. Toteż starosta Bobowsky wyśmiał takie rozporządzenie i zarządził według swojego systemu, i tak, nie tylko że zaoszczędził chaosu wśród ludności, lecz udało mu się na podstawie jego zarządzenia, że dni pobytu cesarza niemieckiego przeszły bez najmniejszego zakłócenia spokoju lub porządku publicznego. Przysłano wprawdzie mnóstwo żandarmerii i wojska, lecz to wszystko nie wystarczyłoby, gdyby nie rozumne i roztropne postąpienie starosty. A za to został po wizycie cesarza odznaczony dalszym złotym medalem.

– Ale niech mi pan powie, jak to pan zrobił? – zapytał go prezydent krajowy, kiedy już było po wszystkim i wszystko poszło gładko bez najmniejszego zajścia.

– Całkiem prosto – odpowiedział von Bobowsky z uśmiechem. – Ja przecież znam moich ludzi bardzo dobrze. Moi ludzie lubią troszkę popić, lubią się też pobić z babami, a jak długo ich baby pozwolą im się bić, nie są oni niebezpieczni. A ich baby wytrzymają dużo. Lecz na wszelki wypadek zawezwałem do siebie kilku tych, którzy uchodzą za najniebezpieczniejszych i wygłosiłem do nich krótką przemowę. Mianowicie tak się do nich odezwałem:

– Posłóchejcie, chłopi! Wy wiycie, że do nas przyjedzie nimiecki pón cysorz. Prawim wóm, że Wiluś mo strasznie bystre oko. A gdyby tak

uwidzioł kajsi na ceście oto takigo, jako naprzykłod ty, Koziorek, coś sie już od krzcin nie mył, albo ciebie, Kaczmarczyk, co już o tobie pore razy czytoł w Berliner Tagblatt, żeś sie rwoł w gospodzie i ze sztachetami z gwoździami synkóm głowy przebijosz, albo też i ciebie Boruta z tym szwym na czole od tych bokserów, coby powiedzioł? Co myślicie, coby mi za to zrobił, że takich ludzi mu stawióm na oczy? Wiycie co? Wyprzezywołby mie nejprzód jak diobli, a potym by mie przesadził kajsi prycz, do Sarajewa, do Limanowej, albo diobli wiedzą kaj. A chcielibyście, aby mie tustela wyciepoł? Co? Chcielibyście, aby wóm tu przyszeł inszy za mie, coby wóm strzygoł na galaty, ażby wóm krew z gałot strzykała? Co? Chcielibyście to?

– Ni, ni, – wołają wszyscy i trzepią głowami. – To my nie pozwolimy, aby nóm naszygo becyrshauptmana zebrali. To ni!

– No tak widzicie. Tóż jo wóm dóm dobrą rade. Idźcie na policajdyrekcyje i niechejcie sie zawrzyć na ty dwa albo trzy dni, jak dłógo tu tyn cysorz będzie, najycie sie tam na moi koszta, a jak przydziecie naspadek, jak już cysorz bedzie odjechany, przydźcie do mie, a jo wóm zapłacim beczke kwitu.

Wysłuchawszy takiej mowy, byli wszyscy bardzo szczęśliwi i wołali mi: Niech żyje nasz becyrshauptman, niech żyje nasz tatulek!

Kiedy runęła Monarchia Austro-Węgierska, został starosta von Bobowsky odwołany i miał otrzymać posadę w innym państwie. Lecz on nie przyjął tej propozycji z takim udowodnieniem:

– Bobowsky przysięga tylko raz.

Przez kilka lat nie było słychać nic o Bobowskim. Zapadł gdzieś i zamieszkał na swoim folwarczku, który jest zadłużony aż po komin. Lecz pewnego razu spotkał go na polowaniu jeden z jego dawnych znajomych. Wygląda dosyć dobrze, nie postarzał się bardzo, lecz opowiadał, że ma dużo kłopotu ze swymi synami, gdyż wyrzucili mu obu z gimnazjum w Wiedniu, a mianowicie z następującej przyczyny: Przyszło do sprzeczki pomiędzy jego starszym synem i profesorem, a profesor powiedział mu, że kłamie. Tu wyskoczył młody Bobowsky i krzyknął: – Bobowski nigdy nie kłamie i nie ścierpi, aby mu to rzucono w twarz – wyciąwszy przy tym profesorowi kilka siarczystych policzków. A młodszy zaś, ponieważ solidaryzował z bratem, został wyrzucony także.

Żegnając starego znajomego, naszego krajana, powiedział doń wiedeńskim dialektem były frysztacki starosta von Bobowsky:

– Moja żona powiedziała mi, że muszę chłopcom porządnie wygarbować skórę, gdyż jest to wstyd straszny, ale ja, przy spotkaniu się z nimi na dworcu kolejowym, pocałowałem obóch. Nie mogę sobie pomóc. Ja, tacy już są Bobowscy.

1937

fot. FRANCISZEK BAŁON ▶

KRZYŻÓWKI

W dwusetną rocznicę urodzin największego polskiego poety – Adama Mickiewicza – zamieszczamy na łamach grudniowego Zwrotu rozrywki umysłowe tematycznie związane z jego twórczością.

WYKREŚLANKA

Poniżej podane wyrazy należy w diagramie wykreślić w rzędach poziomych, pionowych i ukośnych (również wspak). Pozostałe litery utworzą rozwiązanie dodatkowe zadania.

R	P	S	O	T	N	I	K	K	E	T	N	A	K	T	O	R	W
O	A	A	I	N	T	E	R	I	E	R	G	W	A	S	T	E	R
I	T	K	R	T	B	A	C	A	N	O	A	L	E	S	Z	E	K
N	R	N	W	Y	K	Y	K	K	R	Z	L	K	A	R	P	O	W
E	O	L	O	Ó	Ż	O	A	D	A	M	C	I	T	E	L	A	B
S	L	W	W	K	H	L	F	R	G	Ó	P	E	A	C	E	D	Ł
R	A	D	O	M	I	C	K	I	E	W	I	C	Z	E	C	H	Y
O	B	T	T	G	Y	Z	A	A	L	C	O	A	I	R	Y	H	S
T	E	R	R	O	R	W	R	D	O	A	T	R	E	H	C	O	K
K	L	A	A	K	W	Ó	J	Y	R	K	R	M	E	O	Z	L	O
E	F	C	U	M	A	R	D	N	A	S	K	E	Ł	K	A	M	T
S	E	J	M	I	K	K	Ż	E	R	K	Ó	W	T	O	R	E	K
E	R	A	A	C	W	A	N	O	K	Y	W	Y	T	A	T	S	A

AKTOR – ANTEK – ASTER – BALET – BELFER – BŁYSKOTKA – BRAMKA – CIETRZEW – CZART – CZECHY – CZWÓRKA – DACHÓWKA – DRIADY – DROGA – FILARETA – HOLMES – INTERIER – KAFKA – KALIGRAF – KARPOW – KOCHER – KOLCZATKA – KONTO – KOTEK – KRAKÓW – KRYJÓWKA – KWAZAR – LEGAR – LESZEK – NOWOGRÓDEK – PARYŻ – PATROL – PIASTR – PIOTRKÓW – PLECY – PSOTNIK – RACJA – RADOM – ROZMÓWCA – RZECZNIK – SEJMIK – SEKTOR – SENIOR – SITKO – STATYW – TERROR – TRAUMA – WŁOCHY – WOREK – WTOREK – WYKONAWCA – ŻERKÓW – ŻYCIE.

KRZYŻÓWKA SYLABOWA

Rozwiązanie dodatkowe: Postać z „Pana Tadeusza"

	1	2	3	4
A				
B				
C				

Poziomo: A. Żywi się pędami bambusa; do przechowywania pieniędzy. **B.** ROZWIĄZANIE DODATKOWE. **C.** Wskazówka postępowania; słuszność.

Pionowo: 1. Drapieżnik. **2.** Piosenkarka francuska. **3.** Filmowa lub telewizyjna. **4.** Nazwa obozu Józefa Piłsudskiego.

LOGOGRYF ŁUKOWATY

Rozwiązanie dodatkowe: Wiersz poety pisany w roku 1830.
1-4. Echo.3-6. ... i Gomora.5-8. Kraj podległy władzy emira.7-10. Lichy utwór literacki.9-12. Groźny szkodnik ziemniaka. 11-14. Proces wytwarzania tkanin. 13-16. Królowa Anglii (de Hainault, ?1314-1369).15-18. Zakończenie większego utworu literackiego.17-20. Jest mniejsza od brzoskwini. 19-22. Wiadomość nieprawdziwa, zmyślona.21-24. Początkowy wiersz nowego ustępu zwykle wcięty.23-2. Tytuł cesarza japońskiego. **Wyrazy trudne:** 13-16. FILIPA.

KRZYŻÓWKA

Rozwiązanie dodatkowe: „Złota" myśl Wieszcza narodu polskiego.

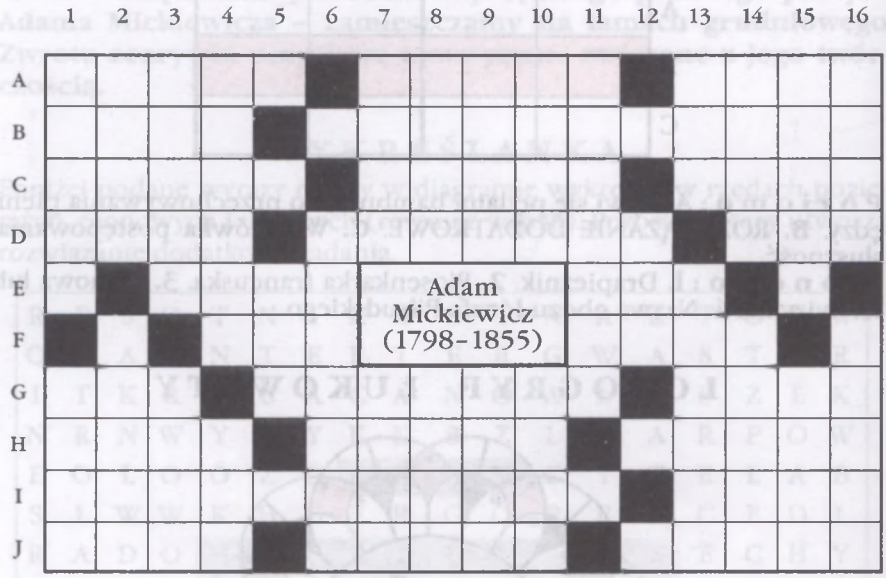

POZIOMO: A. Spadek kursu papierów wartościowych na giełdzie; podziałka na narzędziu pomiarowym; port nad Irtyszem. **B.** Stała posada; nauka badająca ilościowe prawidłowości w życiu gospodarczym. **C.** Dawna moneta srebrna; rodzina słynnych lutników z Cremony; niemiecki samochód osobowy. **D.** Marka samochodu obcej produkcji; dział mechaniki; działacz polskiego ruchu robotniczego (Feliks). **E.** Nauczycielka; Republika Południowej Afryki. **F.** Jałowcówka; imię żony Chaplina. **G.** Wyspa na Morzu Irlandzkim; pałac i bazylika w Rzymie; rzeka w Bułgarii i Grecji. **H.** Paliwo jądrowe; tężec po czesku; stosowany jest w sztukaterii. **I.** Wytknięty cel działania; jest kwaśny. **J.** Pisarz religijny (Baltazar), magister Akademii Krakowskiej; brat Mojżesza; płyty stanowiące na przykład wierzchnią część stołu.

PIONOWO: 1. Mieszanina cementu, wody i kruszywa; miejscowość w Kolumbii. **2.** Odcinek trasy; bicz z krótką rękojeścią. **3.** Mączka otrzymywana z niektórych gatunków storczyków; imię po niemiecku.

4. Niemiecki obóz jeniecki; potrzebna do szycia. **5.** Najdłuższa rzeka na Ziemi. **6.** Amerykański piosenkarz i aktor filmowy (Frank). **7.** Gra w karty; twierdzenie. **8.** Śpiączka lub przecinek; środek stosowany przy narkozie. **9.** Siostra Baala; wczesna pora dnia. **10.** Skrzydła ptaków; dzielnica mieszkaniowa w Warszawie. **11.** Cząsteczka kolodialna o promieniu poniżej 5 mm. **12.** Szczyt górski w Filipinach. **13.** Imię pisarza czeskiego Pavla; imię męskie. **14.** Osoba małomówna, milczek; miasto w Chile. **15.** Działacz ruchu oporu (Kazimierz); zespół dwuosobowy. **16.** Zabił Abla; zdarzenia, zjawiska.

Wyrazy trudne: ANAT, APO, ARDA, ARICA, MUZO, OPEĆ.
Rozwiązanie dodatkowe krzyżówki dadzą litery w następujących kratkach:
D-6, G-8, H-2, I-14, A-2, C-16, E-3, J-9, B-4, F-11, A-8, D-1, A-7, D-9, B-14, I-7, B-1, F-4, G-13, J-4, C-15, D-8, G-9, I-15, B-11, H-4, E-6, I-8.

(taj)

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań zostaną wylosowane nagrody książkowe.
Rozwiązania prosimy przesyłać do końca grudnia.
Rozwiązanie krzyżówki z numeru październikowego:
Hasło: **Głupi tyn, co dowo, głupszy tyn, co nie biere.**

Nagrody książkowe wylosowali:
Czesława Gąsior – Karwina-Frysztat
Wanda Kalina – Sucha Górna
Adam Morawiec – Czeski Cieszyn

Z MYŚLI ADAMA MICKIEWICZA

MĄDROŚĆ
Nauką i pieniądzmi drudzy cię zbogacą –
Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

SPIS TREŚCI

ROCZNIK XLIX – NR 1-12 (578-589)

ARTYKUŁY OGÓLNE

Baron Elżbieta: Współpraca nauczyciela z rodzicami, nr 3, s. 38-39.
Chocholáč Franciszka: Formy i perspektywy współpracy mniejszości ze społeczeństwem większościowym w zakresie reprezentacji politycznej, nr 1, s. 10-13, nr 2, s. 9-13.
C.R.: Oszukane społeczeństwo zaolziańskie czyli Tajemnice Piasta i Domu Polskiego, nr 9, s. 36-37.
J.K.: Jubileusz Alojzego Szymanika, nr 3, s. 69, Abrahamowiny społecznika, nr 9, s. 74.
Jeżowiczowie F. i B.: Kostaryka bożonarodzeniowa, nr 12, s. 5-8.
Karłowicz Leon: Czesi w wołyńskim Kupiczowie, nr 4, s. 10-14.
Kula Józef: 80-lecie społecznika Gustawa Słowika, nr 7, s. 72.
Lubelska Halszka: Samooszukiwanie, nr 10, s. 52-54.
Oszelda Jerzy: Żywot śladem ryb pisany, nr 1, s. 21-22.
Rudnik Czesława: Spotkania z Janem Pawłem II, nr 10, s. 20-24.
Stróżczyk Elżbieta: Polacy w Republice Słowackiej, nr 7, s. 9-14.
Szeliga Wincenty: Od ostatków do śmiergustu, nr 4, s. 4-9.
Śmiech to zdrowie, nr 4, s. 72-74.
T.G. i E.S.: 25-lecie Domu PZKO w Skrzeczoniu i współpracy z Grodkowem, nr 8, s. 31-34.
Walentynki, nr 2, s. 14-15.

REPORTAŻE, WYWIADY

C.R.: Z zebrania na zebranie, nr 3, s. 63-68, Przedszkole nad Olzą, nr 6, s. 4-8, Domowe przedszkole, nr 6, s. 9-11, Moje przedszkole, nr 6, s. 12-14, Harcerski rajd, nr 6, s. 21-23, Karwińskie polskie gimnazjum w rodzinie Słowaków, nr 6, s. 24-26, 170 lat polskiej szkoły w Koszarzyskach, nr 9, s. 40-41.
E.S.: Kresy 97, nr 1, s. 36-37, Koncert świąteczny, nr 2, s. 28-29, Premier Jerzy Buzek w rodzinnych stronach, nr 3, s. 2-3, Co robimy w polskim gimnazjum w Czeskim Cieszynie, nr 6, s. 26-27.
F.B.: Bal Gorolski w Mostach po raz 20., nr 2, s. 3-5, Na Balu Śląskim była i „Córka rybaka", nr 2, s. 6-8, Zjazd Gwiaździsty, nr 3, s. 40-42, Gorolski Święto w epizodach, nr 9, s. 3-8, 75. i 100. rocznica budynków szkolnych w Bystrzycy, nr 11, s. 2-4.
Guziur Danuta, Stróżczyk Elżbieta: Skrzeczonianie na Zlocie Rodzinnym Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych, nr 10, s. 29-34.
Kula Józef: Wycieczka szlakiem drewnianych kościółków Zaolzia, nr 3, s. 36-37.
Rudnik Czesława: Jesienna rozmowa w teatrze. Wywiad z Rudolfem Molińskim, nr 1, s. 29-33,

Szkoła dobrej sławy, nr 6, s. 15–18, VI Światowe Forum Mediów Polonijnych, nr 7, s. 4–8, Nie mogę żyć bez Zaolzia. Rozmowa z Pawłem Niedobą, nr 8, s. 35–39.

Stróżczyk Elżbieta: Jubileusz szkoły w Olbrachcicach, nr 6, s. 19–20.

Stróżczyk Elżbieta, Rudnik Czesława: Przygotowujemy uczniów do życia. Rozmowa z dyrektorem Jiřím Pinkavą, nr 11, s. 27–31.

Toman Tadeusz: Co nowego w Dąbrowie, w Suchej Górnej, nr 5, s. 17–19, Co nowego w Czeskim Cieszynie i Kocobędzu, nr 6, s. 44–45, Co nowego w Wędryni, nr 7, s. 36–37, Co nowego w Łomnej Dolnej, nr 8, s. 29–30, Co nowego w Nydku, nr 9, s. 42–43, Co nowego w Olbrachcicach, w Rychwałdzie, nr 10, s. 26–28, Co nowego w Orłowej, nr 11, s. 32–34.

Wania Elżbieta: „My z niego wszyscy...", nr 9, s. 9–13.

HISTORIA, WSPOMNIENIA

Buława Edward: O roku ów. W 150 rocznicę Wiosny Ludów, nr 7, s. 28–33, Z żołnierskich tradycji Śląska Cieszyńskiego, nr 9, s. 15–19, nr 10, s. 11–15, nr 11, s. 9–13, nr 12, s. 9–12.

Buzek Andrzej: Z ziemi piastowskiej. Wspomnienia, nr 10, s. 8–11.

C.R.: Tamten sierpień, nr 8, s. 2–5.

Kula Józef: Łęcka szkoła kształciła i wychowywała. Teatr szkolny w Łąkach, nr 11, s. 40–41.

Matuszek Otokar: Wspomnienia i refleksje o Wacławie Olszaku, nr 5, s. 10–11.

Mrózek Karol: W szponach czarnego orła, nr 9, s. 43–46.

Nowak Krzysztof: Rok 1918 i rok 1938, nr 10, s. 3–7.

Nowok Alojzy: Z myślą o polskim Śląsku Cieszyńskim, nr 1, s. 15–20, nr 2, s. 16–21, nr 3, s. 18–24, nr 4, s. 16–21, nr 5, s. 20–25, nr 6, s. 33–38, nr 7, s. 15–20, nr 8, s. 17–23, nr 9, s. 20–24, nr 11, s. 14–20, nr 12, s. 14–19.

Orszulik Bolesław: Moje dorastanie do dojrzałości, nr 1, s. 24–27, nr 2, s. 23–26, nr 3, s. 25–29, nr 4, s. 23–27, nr 5, s. 26–32, nr 6, s. 39–42, nr 7, s. 23–26, nr 8, s. 25–28, nr 9, s. 26–30, nr 10, s. 16–19, nr 11, s. 22–26, nr 12, s. 21–24.

Kubica Paweł. Wspomnienie, nr 11, s. 38–39.

Pawlas Andrzej: Wieś błędowicka w XVIII wieku, nr 4, s. 30–31, Błędowickie cmentarze, nr 11, s. 34–37.

Rucki Jan: Życiorys Anny Ruckiej, nr 8, s. 12–15.

Rudnik Czesława: Ród Buzków, nr 5, s. 3–9.

Sikora Jan: Z działalności Sekcji Akademickiej Jedność w latach 1950–54, nr 6, s. 29–32.

Smolarz Władysław: Spotkanie z Warszawą, nr 4, s. 28–29.

Stróżczyk Elżbieta: Guziurowie, nr 3, s. 30–35.

Strzybny Antoni: 50 lat pracy PZKO za nami: była i Uciecha, nr 9, s. 30–35.

Szeliga Wincenty: Polska Szkoła

Ludowa w Skrzeczoniu, nr 10, s. 60-61.
Wspomnienie o ks. prałacie Józefie Londzinie, nr 5, s. 12-15.
Zahradnik Stanisław: Anna Rucka 1903-1944, nr 8, s. 10-12.

POŻEGNANIA

C.R.: Józef Kazik, nr 1, s. 8, Emilia Michalska, nr 1, s. 9, Anna Filipek, nr 2, s. 42-43, Tadeusz Błanik, nr 6, s. 28.
F.B.: Pożegnanie Władysława Młynka, nr 1, s. 6.
Redakcja: Edmund Rosner, nr 7, s. 62.

PLASTYCY I ICH DZIEŁA

C.R.: Obrazy Stanisława Krausa w bibliotece frysztackiej, nr 2, s. 35-36, Przed dziesięciu laty zmarł Karol Piegza, nr 2, s. 40-42, Jubileusz malarki, nr 9, s. 39.
F.B.: Odwieczny marzyciel, nr 2, s. 33-34.
Kubeczka Zbigniew: Myśli o sztuce, nr 10, s. 36-39.
Pawlas Oskar: Podsumowanie działalności Stowarzyszenia Artystów Plastyków w roku 1997, nr 2, s. 31-32, Plener malarski 1998, nr 8, s. 65.
Wystawa obrazów Edwarda Kaima, nr 8, s. 51.

SZKICE O LITERATURZE

C.R.: Wspomnienie o Janie Kubiszu, nr 1, s. 4-5, Józef Ondrusz urodził się 18 marca 1918 roku, nr 3, s. 43-45.
Martinek Libor: Poznański listopad poezji, nr 2, s. 49, Stylizacja i intertekstualność w poezji Renaty Putzlacher, nr 6, s. 46-54, Maria Chraścina w kontekście literatury czeskiej, nr 11, s. 43-45, Adam Mickiewicz a Czechy, nr 12, s. 26-30.
Pyszko Jan: Październikowy gość Kawiarenki pod Pegazem, nr 10, s. 76-78.
Všetička František: Poeta spod Kozubowej, nr 4, s. 32-33.

POEZJA

Filipek Anna: Przeznaczenie. Śnieżyczki. Staro jedla, nr 2, s. 44-45.
Gaudyn Janusz: nr 6, s. 3.
Henner Franciszek: Pamiętaj. Podziękowanie mamusi. Pożegnanie, nr 11, s. 46-47.
Herbert Zbigniew: Chciałbym opisać. Koniec, nr 9, s. 48-49.
Horzyk Piotr: O pilnej pszczółce, nr 6, s. 56-57.
Jawień Andrzej: Myśląc ojczyzna... Kamieniołom (fragment), nr 10, s. 40-41.
Korczak Janusz: Do dorosłego czytelnika, nr 6, s. 3.
Kryl Karel: Piosenki, nr 8, s. 6-9.
Kubisz Jan: Wiersz (fragment), nr 1, s. 38-39, Do młodzieży śląskiej na uroczystość Mickiewicza, nr 12, s. 3-4.
Młynek Władysław: Bieguny życia, nr 1, s. 2-3.

Mickiewicz Adam: Do wizytujących. Ja rymów nie dobieram. Zaloty. Rozmowa, nr 12, s. 32-33.
Mikulski Wiesław Janusz: (wiersze wybrane), nr 7, s. 52-53.
Palowski Gabriel: Poeci. Czy warto... Tułaczy los. Moja generacja, nr 3, s. 46-47.
Pyszko Jan: Migoty. Scena. Poezja. Pełnia, nr 4, s. 34-35.
Sajdok Gustaw: Obłęd, nr 8, s. 40-41.
Sikora Władysław: Płonka. Pozostać. Łąka. Refren po szkodzie, nr 5, s. 34-35.
Syrokomla Władysław: Pierwsze myśli w dzień Zmartwychwstania, nr 4, s. 2-3.
Zawadzki Rafał: nr 7, s. 60.

PROZA

Berger Wiesław Adam: Z Barcelony do Mieszkowic, nr 4, s. 36-40, nr 5, s. 36-40, nr 6, s. 58-61, nr 7, s. 54-56, nr 8, s. 42-47.
Bobelak Kazimierz: Jedenaścic dni na Zaolziu..., nr 10, s. 42-45.
Kubisz Jan: Pamiętnik starego nauczyciela (fragment), nr 1, s. 40-41.
Martynek Władysław: Pamiętnik Sybiraka (fragment), nr 11, s. 48-51.
Ondrusz Józef: Niezwykły gość. O powstaniu Wędryni. O założeniu Orłowej. Żywocice, nr 3, s. 48-51.
Putzlacher Renata: Wnuczka piekarza (fragment), nr 2, s. 46-48.
Wardasówna Maria: Wyłom (fragment), nr 12, s. 34-37.
Zogata Jindřich: Studnia Kapuśniców, nr 9, s. 50-55.

POLEMIKI

Berger Piotr: Lew i makatka z orłem, nr 7, s. 44-49.

FRASZKI, AFORYZMY, ZŁOTE MYŚLI

Grabowski Andrzej: Zadziorki, nr 7, s. 50.
Przeczek Lech: nr 4, s. 43, nr 10, s. 50.
Sajdok Gustaw: nr 3, s. 52
Serce na dłoni, nr 5, s. 58-63.

RENATA PUTZLACHER
- MOJE FASCYNACJE
Zaolzie literackie we Francji, nr 1, s. 44-46, nr 2, s. 50-53, Jaka to polskość? nr 3, s. 53-56, nr 4, s. 41-42, nr 5, s. 42-44, Marika Drechsler - nasza artystka w Neapolu, nr 6, s. 62-64, „A" jak autor, autoreklama, Avion czyli sama sobie sterem, żeglarzem, menażerem, nr 7, s. 57-59, W brneńskim teatrze Husa na Provázku, nr 8, s. 48-50, Zobaczyć Neapol... i przeżyć, nr 10, s. 46-49, Mickiewicz - my z niego wszyscy, nr 12, s. 38-41.

TO I OWO

nr 2, s. 72-74, nr 4, s. 45-54, nr 7, s. 39-43, nr 9, s. 59-62, nr 11, s. 52-53.

TRYBUNA CZYTELNIKÓW

Absolwentka klasy 2: Spotkanie po 62 latach, nr 1, s. 55-57.
cis: Polacy z Zaolzia są dla nas przykładem zaangażowania, nr 1, s. 53-55.
Imiolczyk Anna: Skąd jest w was taka miłość do ojczyzny?, nr 2, s. 61.
Krupa Monika: Drogi Zwrocie!, nr 4, s. 62.
Małysz Irena: nr 9, s. 70-71.
Mrowiec Ewa: Byłam nad Wąglanką, nr 8, s. 66-68.
Owczarzy Ksenia: Tydzień pełen przygód, nr 10, s. 71.
Reprezentacja gimnazjum: Wizyta premierów RP i RC oczyma mło-dzieży, nr 8, s. 66.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Baron Roman: Tożsamość narodowa młodzieży na pograniczach, nr 10, s. 64-65.
C.R.: Leksykon regionalnej historii medycyny, nr 10, s. 68-70, Zmarłym pamięć, żyjącym pojednanie, nr 11, s. 60-61.
F. B.: Szczęśliwy autor, który znajdzie wydawcę, nr 5, s. 55-56, Zaproszenie do lektury pogodnej, nr 7, s. 63-67.
Martinek Libor: O Zaolziu po czesku, nr 8, s. 55-58.
MR: Jak myślą uczniowie, nr 8, s. 59.
Nowak Krzysztof: Książka godna polecenia, nr 6, s. 66-68.
ON: Śpiewamy wszyscy, nr 2, s. 58-59.
Zahradnik Stanisław: Nasze osiągnięcia na polu wydawniczym w 1997 roku, nr 2, s. 37-39, Trzyniec i okolica na przestrzeni lat, nr 2, s. 57-58, Kulturowe wzory życia polskich rodzin na Zaolziu a asymilacja, nr 3, s. 60-61, Skarbnica spuś-cizny i wiedzy o regionie, nr 10, s. 66-67, Dzieje szkolnictwa raz jeszcze, nr 11, s. 58-59.

NA NASZEJ SCENIE

Bajka pięćdziesięcioletnia, nr 3, s. 5-17.
E.S.: „Przejazdem" w Teatrze Cieszyńskim, nr 1, s. 34-35.
Rudnik Czesława: O przysłudze quasi niedźwiedziej czyli Klimsza kontra Morcinek, nr 2, s. 55-56, Bajka za dwa grosze, nr 4, s. 54-56, Rozerwijmy się więc, nr 4, s. 57-59, Królowa firanek, nr 5, s. 48-49, Ania z Łysej Góry, nr 5, s. 50-52, Żydzi w Avionie, nr 5, s. 53-54, Teatr mój widzę ogromny?, nr 7, s. 68-70, Czarujący jubilat, nr 8, s. 53-54, Indianie w Beskidach, nr 9, s. 67-69, Wędrynia teatralna, nr 10, s. 55-58, Cieszyńskie święto teatru, nr 11, s. 5-8, Czas Barabasza, nr 11, s. 55-57, Jam się twórcą urodził! czyli Mickiewicz na cenzurowanym, nr 12, s. 43-46.

ECHO WYDARZEŃ MUZYCZNYCH

A.O.: Październikowe występy ChNP, nr 12, s. 47-48.

C.R.: Jubileuszowy koncert Lutni, nr 12, s. , Chór Zaolzie śpiewa 75 lat, nr 12, s. 49-50.
E.S.: Koncert Hutnika i Przyjaźni w Trzyńcu, nr 12, s. 50, Rewelacyjny koncert w Mostach, nr 12, s. 48-49.
Guziur Danuta: Koncert chóru Hasło w Polsce, nr 1, s. 50-51.
Guziur Janusz: Collegium Canticorum koncertowało w Olsztynie, nr 1, s. 47-49.
on: Gromkie brawa dla Przyjaźni, nr 1, s. 49.
Owczarzy Ksenia: Środki z funduszu kultury UM w Karwinie dla chóru Dźwięk, nr 1, s. 51, Srebro i brąz dla Dźwięku, nr 8, s.63-64, Jubileusz chóru Dźwięk, nr 11, s. 61-64.
R.Ch.: Śląska nagroda im. Juliusza Ligonia dla Zaolzian, nr 3, s. 59.
Sztwiertnia Maria: Dziewięćdziesięciolecie chóru Lutnia, nr 10, s. 62-63.
Wierzgoń Józef: W służbie polskiej pieśni. 60. urodziny prezesa Jana Hławiczki, nr 3, s. 58-59, Wielki sukces stonawianina Michała Rzeszuta, nr 5, s. 64-65, Jubileuszowe Śląskie Śpiewanie, nr 8, s. 60-63, Sto lat dla Gamy, nr 9, s. 63-64, Już po raz piąty Trojok Śląski - tym razem w Opawie, nr 9, s. 64-66

ZE STARYCH KALENDARZY

Rady praktyczne sprzed 60 lat, nr 4, s. 69-70.
Z życia frysztackiego starosty von Bobowskiego, nr 12, s. 66-68.

HUMOR SPRZED LAT

Przedwyborczy humor lat trzydziestych, nr 11, s. 70-72.
Żarty z brodą, nr 8, s. 71, nr 12, s. 58-61.

KRONIKA

nr 1, s. 59-72, nr 2, s. 62-71, nr 3, s. 71-76, nr 4, s. 64-68, nr 5, s. 64-73, nr 6, s. 69-78, nr 7, s. 73-77, nr 8, s. 72-75, nr 9, s. 72-73, nr 10, s. 72-76, nr 11, s. 65-69, nr 12, s. 52-56.

MOZAIKA

Filipek Anna: Gorol w mieście. Kosztowani żywota, nr 2, s. 76-77.
Jasiczek Henryk: Powrót z sylwestra, nr 12, s. 64.
Jozef: Mój tata opowiadali, nr 5, s. 74-76.
Kubiczek Jan: O Żydach. O pociapłym. O orłowskim Jozefowi, nr 1, s. 73-75, Fusekle, nr 4, s. 76-77, O boroku. O poszmistrowi. Dać se tutaja?, nr 9, s. 76-77.
Ondrusz Józef: Przysłowia i przymówiska ludowe ze Śląska Cieszyńskiego, nr 3, s. 77-78.
Pawlasowa Amalia: Raraszek, nr 11, s. 73-78.
Wawrosz Adam: Sylwestrowsko historyja, nr 12, s. 62-63.
Wicek Sz.: Wszyscy numizmatykami, nr 7, s. 22, Niezgodliwi ludziska, nr 7, s. 34-35, Poplantane jynzyki, nr 7, s. 27, Czy to fraszki, czy też ni, przeczytejcie aspóń wy, nr 9, s. 56-57.

WYDAWCA:
POLSKI ZWIĄZEK KULTURALNO-OŚWIATOWY W REPUBLICE CZESKIEJ
przy wsparciu finansowym Rządu Republiki Czeskiej

REDAKCJA:
ELŻBIETA STRÓŻCZYK
(redaktor naczelny)

CZESŁAWA RUDNIK
(redaktor)

FRANCISZEK BAŁON
(sekretarz redakcji)

ELŻBIETA KOLBER (sekretariat)

ADRES REDAKCJI:
ul. Bożka 16, 737 01 CZESKI CIESZYN
Tel. i fax: 0659/569 83

WSPÓŁPRACOWNICY:
Prof. dr hab. DANIEL KADŁUBIEC
KRZYSZTOF NOWAK
dr JÓZEF WIERZGOŃ
dr STANISŁAW ZAHRADNIK

Podkłady, układ graficzny i montaż komputerowy okładek (wg dyspozycji redakcji) oraz układ graficzny i skład komputerowy tekstów – fa LUBOMIR HORŇÁK, Czeski Cieszyn
Druk fa FINIDR, spółka z o. o., Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca tekstów nie zamówionych i fotografii wykonanych współcześnie, przeznaczonych do druku lub archiwum.
Cena prenumeraty rocznej 168,- Kč, z wysyłką pocztową 222,- Kč do uiszczenia przekazem pocztowym lub bezpośrednio w redakcji.
Honoraria wypłaca redakcja.
Wysyłka pocztowa na podstawie zezwolenia nr. 1532/95P/1 z dnia 3. 8. 1995 wydanego przez Przedsiębiorstwo Państwowe POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

RADOSNYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA

oraz

WIELE SZCZĘŚCIA W ROKU

1999

też ze ZWROTEM

życzy redakcja

NASZE ZESPOŁY

CIESZYNIANKA

Chór dziecięcy składający się z samych przedszkolaków założony został 14. 12. 1974, będzie więc obchodził w przyszłym roku dwudziestopięciolecie. Początkowo w jego skład wchodziły dzieci trzech czeskocieszyńskich polskich przedszkoli: na Rozwoju, przy ul. Moskiewskiej i przy ul. Grabińskiej. Później dołączyło przedszkole z Sibicy. Aktualnie zespół liczy ponad 50 dzieci. Dyrygentami Cieszynianki były kolejno panie: Zofia Włosok, Joanna Knopek, Irena Harok. Od roku 1985 prowadzi zespół Maria Szymanik. Długoletnim akompaniatorem była Maria Helis, obecnie tę rolę pełni Maryla Mendrek. Cieszynianka znana jest z imprez Macierzy Szkolnej i PZKO w Czeskim Cieszynie i szerokiej okolicy.

redakcja ZWROTU
wraz z serdecznymi życzeniami

DO SIEGO ROKU 1999
WSZYSTKIM CZYTELNIKOM I SYMPATYKOM

pragnie również
serdecznie podziękować za zrozumienie, zaufanie i pomoc
właścicielom firm:

LUBOMÍR HORŇÁK
ZELMER Bohemia
SPECTRA
Sil Car
SLESTOUR
Silva ART
inter Optic

Zimowe Beskidy

Książnica Cieszyńska
CZ III 6/ 1998